SLAV
5198
77

www.libtool.com.cn

Harvard College Library



FROM THE FUND OF

CHARLES MINOT

Class of 1828

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 214.

www.rcin.org.pl

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1894. — Tom II.

WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ulica Foksal Nr 6.
—
1894.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

SLAV
5198
77

HARVARD COLLEGE
MAY 11 1907
LIBRARY.
Minot fund.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Апрѣля 1894 года.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

RODZINA POŁANIECKICH. [1]

X.

„Katastrofa", jak mówił Bukacki, wreszcie nadeszła. Połaniecki doświadczył też, że jeśli jest w życiu wiele takich dni, w których człowiek nie może połapać własnych myśli, to do takich należy przedewszystkiem dzień ślubu. Chwilami kilkanaście na raz kręciło się w jego mózgu, tak niewyraźnych, że podobnych raczej do nieuświadomionych dokładnie wrażeń, niż do myśli. Czuł więc, że w życiu jego zaczyna się nowa epoka, że bierze na siebie wielkie obowiązki, które spełnić trzeba sumiennie i poważnie, a jednocześnie, ale to zupełnie jednocześnie, dziwił się, że kareta dotąd nie zajeżdża, i zdziwienie swoje wyrażał w kształcie groźby: „niech mi się szelmy spóźnią, to im karki pokręcę." Opanowywał go chwilami nastrój uroczysty i jakby uczciwa bojaźń przed tą przyszłością, za którą brał na siebie odpowiedzialność — czuł w sobie pewną podniosłość i w tem uczuciu podniosłości poczynał mydlić brodę i namyślał się, czy na dzień tak wyjątkowy nie warto-by wyjątkowo sprowadzić fryzyera do swej nieco niesfornej czupryny. Marynia podstawiała się współcześnie we wszystkie jego wrażenia. Widział ją, tak, jakby była przed nim. Myślał, że się

[1]) Patrz zeszyt marcowy „Biblioteki."

Digitized by Google

w tej chwili także ubiera, że stoi w swoim pokoju przed lustrem, że mówi ze służącą, a dusza jej leci ku niemu i serce bije niespokojnie. Wówczas chwytało go rozczulenie i monologował: „Tylko ty się tam nie bój, moje poczciwe stworzenie, bo, dalibóg, ja ci krzywdy nie zrobię" — i widział się w przyszłości dobrym, wyrozumiałym, tak, że z pewnem wzruszeniem począł spoglądać na lakierki stojące obok fotela, na którym leżało ślubne ubranie. Powtarzał sobie także od czasu do czasu: „kiedy się żenić, to się żenić!" Mówił sobie, że był głupi, wahając się, bo takiej drugiej Maryni niema na świecie; czuł, że ją kocha, a zarazem myślał, że pogoda jest niezła, ale że może i deszcz upaść, że w kościele wizytkowskim może być chłodno, że za godzinę będzie klęczał przy Maryni, że bezpieczniej jest wziąć biały krawat wiązany, niż przypinany; że jednak ślub jest chyba najważniejszym w życiu obrządkiem, że jest w tem coś świętego i że nie trzeba, u licha, głowy tracić w żadnych okolicznościach, bo za godzinę to się skończy, nazajutrz wyjadą, a potem zacznie się normalne i spokojne życie męża z żoną.

Te myśli jednak rozlatywały się chwilami jak stado wróbli, w które ktoś nagle z za płotu strzeli—i w głowie Połanieckiego robiła się próżnia. Mechanicznie wówczas przychodziły mu na usta tego rodzaju frazesy, jak naprzykład: „ósmy kwietnia, jutro środa! jutro środa! mój zegarek! jutro środa!" — Później budził się, powtarzał sobie: „trzeba być idyotą!"—i rozproszone ptaki wracały znowu całem stadem do jego głowy i poczynały w niej wichrzyć.

Tymczasem nadjechał Abdulski, komisant domu Połaniecki, Bigiel i S-ka, który, obok Bukackiego, miał być drugim drużbą. Będąc z pochodzenia Tatarem i człowiekiem smagłym, chociaż przystojnym, wyglądał we fraku i białym krawacie tak pięknie, iż Połaniecki wyraził nadzieję, że zapewne także wkrótce się ożeni. Abdulski odpowiedział: „Chciałaby dusza do raju", poczem rozpoczął pantominę, mającą przedstawiać liczenie pieniędzy i począł mówić o Bigielach. Wszystkie dzieci chciały być na ślubie i na weselu, Bigielowie zaś postanowili wziąć tylko dwoje starszych, z czego powstały niesnaski i różnica zdań, wypowiadana ze strony pani Bigielowej za pomocą klapsów. Połaniecki, który był wielki dzieciarz, oburzył się tem nadzwyczajnie i rzekł:

— Ja Bigielom figla zrobię. Czy oni już pojechali?

— Zaraz mieli wyjeżdżać.

— To dobrze, to ja wpadnę do nich, po drodze do państwa Pławickich, zabiorę wszystkie dzieciska i wysypię je przed panią Bigielową, u mojej narzeczonej.

Digitized by Google

Abdulski wyraził przekonanie, że Połaniecki tego nie zrobi, ale tem bardziej utwierdził go tylko w zamiarze. Jakoż, siadłszy do karety, pojechali wprost po dzieci. Nauczycielka Bigielów, wiedząc jakie stosunki łączą Połanieckiego z domem, nie śmiała się sprzeciwiać, tak, że w pół godziny później, Połaniecki, ku wielkiemu przerażeniu pani Bigielowej, wszedł do państwa Pławickich na czele całego stadka Bigieląt, ubranych w codzienne sukienki, z poprzekrzywianemi kołnierzami, z czuprynami po większej części w nieładzie i z minami nawpół uszczęśliwionemi, a nawpół przestraszonemi.

I podbiegłszy do Maryni, rzekł, całując jej ręce, przybrane już w białe rękawiczki:

— Chcieli dzieciska pokrzywdzić. Niech pani powie, żem dobrze zrobił!

A Marynię ujął i ucieszył naprawdę ten dowód jego dobrego serca, więc rada była dzieciom z całej duszy, a nawet rada i z tego, że zebrani goście poczytali jej przyszłego za oryginała, i że pani Bigielowa, poprawiając pośpiesznie przekrzywione kołnierzyki, powtarzała z zakłopotaniem:

— No i co z takim waryatem robić!

Trochę tego samego zdania był i pan Pławicki. Ale Połaniecki i Marynia zajęli się po chwili tak wyłącznie sobą, że wszystko inne znikło im z oczu. Obojgu serca biły trochę niespokojnie. On spoglądał na nią z pewnem zdziwieniem. Cała w bieli, począwszy od trzewików, aż do rękawiczek, z zielonym wiankiem na głowie i z długim welonem, wydała mu się inną niż zwykle. Było w niej coś niezwykle uroczystego, tak jak w zmarłej Litce. Połaniecki nie uczynił wprawdzie tego porównania, czuł jednak, że w tej chwili ta biała Marynia, jeśli nie jest mu dalszą, to więcej go onieśmiela od wczorajszej, przybranej w codzienny ubiór. Wydawała się przytem brzydszą niż zazwyczaj, bo wianek ślubny wyjątkowo tylko bywa kobietom do twarzy, a w dodatku niepokój i wzruszenie zaczerwieniły jej twarz, która przy białym kolorze wyglądała jeszcze czerwieńsza, niż była rzeczywiście. — Ale dziwna rzecz! ta właśnie okoliczność wzruszyła Połanieckiego. W jego sercu, z natury raczej dobrem, powstało jakieś uczucie, podobne do rozczulenia lub litości. Zrozumiał, że w tej Maryni musi teraz serce bić, jak w schwytanym ptaku, i począł ją uspokajać, począł mówić do niej tak dobremi i uczciwemi słowami, że aż sam się dziwił, skąd się mu tyle ich bierze i jakim sposobem przychodzą mu z taką łatwością. Ale przychodziły mu one z łatwością właśnie z powodu Maryni. Tak w niej znać było, że ona oddaje mu się z biciem serca, ale zarazem z ufnością, że oddaje mu serce, duszę i całą istotę, całe życie, i to nietylko na dobre, ale na każde chwile życia—i aż do końca życia,

Digitized by Google

że pod tym względem żaden cień nie powstał w umyśle Połanieckiego, a ta pewność uczyniła go w tej chwili lepszym, tkliwszym i wymowniejszym, niż bywał zwykle. W końcu trzymali się za ręce i patrzyli sobie w oczy nietylko z miłością, ale z największą przyjaźnią i otuchą na przyszłość. Oboje odczuwali wzajemną rzetelność. Jeszcze kilka chwil — i ta przyszłość miała się rozpocząć. Ale teraz myśli obojga poczęły się wyjaśniać i ten niepokój wewnętrzny, od którego nie byli wolni, ustępował coraz bardziej i zmieniał się, w miarę zbliżania się obrzędu religijnego, w poważne skupienie. Myśli Połanieckiego nie rozlatywały się już jak wróble, pozostało mu tylko jakby pewne zdziwienie, że on, przy całym swym sceptycyźmie, tak odczuwa nawet religijną doniosłość mającego się spełnić aktu. W gruncie rzeczy nie był on sceptykiem. W duszy tkwiła mu nawet tęsknota za uczuciami religijnemi — i jeśli do nich nie wracał, to jedynie przez pewne odzwyczajenie się i przez duchową opieszałość. Sceptycyzm, co najwyżej, wstrząsał powierzchnię jego umysłu, tak jak wiatr marszczy powierzchnię toni, której głąb' pozostaje spokojna. Odwykł również od form— ale była to rzecz przyszłości i Maryni — tymczasem jednak już ten obrzęd, któremu miał się poddać, wydał mu się tak podniosłym, tak pełnym powagi i świętości, że gotów był przystąpić do niego ze schyloną głową.

Przedtem wszelako trzeba było się poddać innemu obrządkowi, który, sam w sobie również uroczysty, był Połanieckiemu dość przykry: mianowicie, trzeba było klęknąć przed panem Pławickim, którego Połaniecki uważał za durnia, przyjąć jego błogosławieństwo i wysłuchać przemówienia, do którego sposobności, wiadomo było, iż pan Pławicki nie pominie. Połaniecki jednak już poprzednio powiedział sobie: skoro się chcę żenić, to muszę przejść przez wszystko, co ślub poprzedza, i to z dobrą miną, a jaką minę będzie miała w takich chwilach ta małpa, Bukacki, to mnie mało obchodzi. Wskutek tego klęknął teraz z całą gotowością koło Maryni przed panem Pławickim i wysłuchał jego błogosławieństwa oraz przemówienia, które zresztą niedługo trwało. Pan Pławicki sam był także naprawdę wzruszony, głos mu drżał, ręce również i zaledwie zdołał wypowiedzieć coś w rodzaju zaklęcia do Połanieckiego, by choć czasem nie bronił Maryni w przyszłości przyjść i pomodlić się na jego grobie, zanim zupełnie trawą nie porośnie.

Zresztą uroczystość tej chwili zmącił poniekąd Józio Bigiel, widząc bowiem z jednej strony łzy pana Pławickiego, z drugiej Marynię i Połanieckiego na klęczkach, co w domu Bigielów bywało nietylko karą, ale częstokroć i wstępem do jeszcze sprężystszych środków pedagogicznych, dał wyraz swemu współczuciu i obawom za pomocą zamknięcia oczu, otworzenia ust — i uderzenia w płacz tak donośny, na

Digitized by Google

jaki tylko umiał się zdobyć. Gdy przytem pozostałe rodzeństwo poszło w znacznej części za jego przykładem i gdy wszyscy poczęli się poruszać, chwila bowiem wyjazdu do kościoła nadeszła, porosły trawą grób pana Pławickiego nie mógł wywołać należycie elegicznego wrażenia.

Siedząc w karecie między Abdulskim a Bukackim, Połaniecki ledwie półsłówkami odpowiadał na ich pytania, nie mieszał się do rozmowy, natomiast monologował sam z sobą. Myślał, że za parę minut stanie się to, o czem marzył całemi miesiącami i czego aż do śmierci Litki najmocniej w życiu pragnął. Tu po raz ostatni wstrząsnęło nim poczucie różnicy między tą niedawno ubiegłą przeszłością a chwilą obecną. Była jednak różnica. Dawniej dążył i pragnął, dziś tylko chciał i zgadzał się. Myśl ta przejęła go jak zamróz, przemknęło mu bowiem przez głowę, że może w nim samym brak tych podstaw, na których wolno budować. Ale był to człowiek, który umiał krótko trzymać swoje niepokoje, a w danym razie rozganiać je na cztery wiatry. Powiedział więc sobie: „naprzód, nie czas o tem myśleć, a powtóre, że rzeczywistość nie zawsze odpowiada rojeniom, to rzecz prosta." Potem przesuwało mu się jeszcze przez pamięć to, co powiedział Bukacki: „nie dość wziąć, trzeba się i dać" — ale pomyślał, że to jest jakieś przędzenie nitki tak cienkiej, że jej wcale niema i że życie trzeba brać prościej, nie jest ono bowiem obowiązane zgadzać się z uprzednio powziętemi teoryami. Tu powtórzył, co sobie często powtarzał: „żenię się—i koniec!" — Poczem objęła go rzeczywistość, a raczej chwila obecna, nic innego nie miał już w głowie, jak tylko Marynię, kościół i ślub.

Ona tymczasem jadąc, prosiła po cichu Boga, żeby jej dopomógł i pozwolił uszczęśliwić męża; dla siebie prosiła także o trochę szczęścia, będąc zresztą pewna, że to jej zmarła matka wyprosi.

Potem szli oboje prowadzeni pod ręce przez szpaler zaproszonych i ciekawych, widząc trochę jak przez mgłę: w dali świece migocące przy ołtarzu, a obok twarze znajome i nieznajome. Oboje dojrzeli wyraźniej twarz pani Emilii, przybraną w biały kwef siostry miłosierdzia, i jej oczy, zarazem uśmiechnięte i zalane łzami. Obojgu przypomniała się Litka i przyszło im na myśl, że to ona właściwie prowadzi ich do ołtarza. Po chwili klęczeli, mając przed sobą księdza, wyżej zaś płomyki świec, blaski pozłoceń i święte twarze głównego obrazu. Ceremonia się rozpoczęła. Poczęli powtarzać za księdzem zwykłe wyrazy przysięgi ślubnej, i Połanieckiego, trzymającego rękę Maryni, ogarnęło nagle takie wzruszenie, jakiego się nie spodziewał i jakiego nie doznał od czasu, gdy matka zaprowadziła go do pierwszej komunii. Oto poczuł, że to nie jest tylko zwykły, prawny obrządek, na mocy którego

Digitized by Google

mężczyzna zyskuje prawo do kobiety; ale że w tem związaniu rąk, w tej przysiędze, jest jakaś tajemnicza, zaświatowa moc—jest poprostu Bóg, przed którym uchyla się dusza i serce drży. O uszy obojga obijały się teraz wśród ciszy uroczyste słowa: „quod Deus junxit, homo non disjungat" — a Połaniecki odczuwał, że ta Marynia, którą brał, staje się jego ciałem i krwią i częścią jego duszy, i że dla niej również on ma być tem samem. Tymczasem na chórze wybuchnął chór głosów: „Veni Creator", i w kilka chwil później Połanieccy wyszli z kościoła. Po drodze przedtem objęły jeszcze Marynię ręce pani Emilii: „Niech was Bóg błogosławi"—i gdy oni jechali do domu na weselne przyjęcie, ona poszła na cmentarz, by powiedzieć Litce nowinę, że „pan Stach" ożenił się dziś z Marynią.

www.libtool.com.cn

XI.

W dwa tygodnie później, w Wenecyi, portyer hotelu Bauera oddał Połanieckiemu list ze stemplem warszawskim. Było to w chwili, gdy oboje z żoną siadali do gondoli, by pojechać do Santa Maria della salute, gdzie tego dnia, jako w rocznicę śmierci matki Maryni, miała się odprawić msza za jej duszę. Połaniecki, który się nic ważnego z Warszawy nie spodziewał, włożył list do kieszeni i spytał żony:

— A czy to trochę na mszę nie za wcześnie?

— Tak jest; całe pół godziny.

— To może chcesz się przejechać przedtem w stronę Rialto?

Marynia zawsze była na to gotowa. Nie będąc przedtem nigdy w życiu za granicą, żyła wprost w nieustającem upojeniu i zdawało jej się, że wszystko, co ją otacza, jest snem. Nieraz, z nadmiaru zachwytu, rzucała się mężowi na szyję, tak jakby to on zbudował Wenecyę i jakby jemu wyłącznie należało się podziękowanie za jej piękność; nieraz także powtarzała:

— Patrzę, widzę i nie wierzę, że to prawda!

Pojechali więc ku Rialto. Ruchu było jeszcze, z powodu wczesnej godziny, mało, woda jakby śpiąca, dzień cichy, przezroczysty, ale niezbyt słoneczny, jeden z takich, w których Canale Grande przy całej swej piękności ma spokój cmentarza; pałace zdają się puste i zapomniane, a w nieruchomem ich odbiciu w toni jest jakiś głęboki smutek rzeczy martwych. Patrzy się wówczas na nie w milczeniu i jakby z obawą, by słowami nie zamącić ogólnej ciszy.

Tak też patrzyła Marynia. Ale Połaniecki, mniej wrażliwy, przypomniał sobie, że ma w kieszeni list, więc go wydobył i począł czytać, a po chwili rzekł:

Digitized by Google

— A! — Maszko także już żonaty. Ich ślub odbył się w trzy dni po naszym.

Marynia zaś, jakby zbudzona ze snu, spytała, mrugając oczyma:

— Co mówiłeś?

www.libpol.com.cn

— Mówiłem, rozmarzona głowo, że ślub Maszki już się odbył.

Ona zaś wsparła głowę na jego ramieniu i, patrząc mu w oczy, odpowiedziała:

— Co mi tam Maszko, ja mam swojego Stacha.

Połaniecki uśmiechnął się, jak człowiek, który łaskawie pozwala się kochać, ale się temu nie dziwi, poczem pocałował żonę w czoło z pewną dystrakcyą, gdyż list począł go jednak zajmować, i czytał dalej. Nagle rzucił się, jakby ukłóty i zawołał:

— O to, to prawdziwa katastrofa!

— Co się stało?

— Panna Krasławska ma dziewięć tysięcy rubli dożywocia, które zapisał jej wuj. Zresztą ani grosza posagu.

— Ale to i tak dużo.

— Dużo? To posłuchaj, co pisze Maszko: „wobec tego moje bankructwo jest rzeczą spełnioną, a ogłoszenie niewypłacalności kwestyą czasu." — Zawiedli się oboje, rozumiesz? bo on liczył na jej majątek, a ona na jego.

— Przynajmniej mają z czego żyć.

— Mają z czego żyć, ale Maszko nie ma czem pospłacać długów, a to trochę i nas obchodzi—mnie, ciebie i twego ojca... Wszystko może przepaść.

Teraz Marynia zaniepokoiła się na dobre.

— Mój Stachu — rzekła — może twoja obecność tam potrzebna, to wracajmy... Co to będzie za cios dla papy.

— Napiszę zaraz do Bigiela, by mnie zastąpił i ratował co można... Nie bierz przytem, dziecko, zanadto do serca tej sprawy. Ja mam na kawałek chleba dla nas obojga i dla twego ojca.

Marynia objęła ręką jego szyję.

— Mój ty dobry!... Z takim człowiekiem, jak ty, można być spokojną.

— Przytem coś się da uratować... Jeśli Maszko znajdzie kredyt, to nas pospłaca. Może też znajdzie kupca na Krzemień. Ale! pisze mi, żebym spytał Bukackiego, czyby nie kupił Krzemienia i żebym go do tego namawiał. On dziś wieczór jedzie do Rzymu i zaprosiłem go na śniadanie... Spytam go. On ma znaczny majątek — i miałby coś do roboty. Ciekawym, jak Maszkom życie pójdzie. On mi pisze w końcu listu: „Żonie odkryłem stan moich interesów, wobec czego zachowała się biernie, ale matka nie posiada się z oburzenia." — Wreszcie dodaje,

Digitized by Google

że się w ostatnich czasach w żonie pokochał i że gdyby się rozstali, było-by to dla niego największem w życiu nieszczęściem. Ta liryka mało mnie obchodzi — ale ciekawym jednak, jak się to wszystko skończy.

www.libtool.com.cn

— Ona go nie opuści — rzekła Marynia.

— Nie wiem; sam nawet myślałem w swoim czasie, że nie, — ale mam ochotę się sprzeczać. Chcesz pójść o zakład?

— Nie, bo nie chcę wygrać. Ty brzydki człowieku, nie znasz kobiet.

— Owszem, znam je i dlatego wiem, że nie wszystkie są takie, jak ta mała, która płynie teraz gondolą...

A ona odpowiedziała:

— W Wenecyi, gondolą i obok swojego Stacha!

Tymczasem dojechali do kościoła. Wróciwszy po mszy do hotelu, zastali już Bukackiego, przybranego jak do drogi w kraciaste szare ubranie, które na jego wątłe ciało wydawało się zaobszerne, w żółte trzewiki i fantastyczny krawat, zawiązany z równą fantazyą, jak niedbałością.

— Jadę dzisiaj — rzekł przywitawszy się z Marynią. — Czy pani każe przygotować mieszkanie we Florencyi? — Mogę nająć jaki pałac.

— To pan zatrzymuje się po drodze do Rzymu?

— Tak jest. Naprzód dlatego, żeby dać znać w galeryi, że przyjedziecie — i żeby położono dywan na schodach, powtóre dla czarnej kawy, która wogóle we Włoszech jest zła, a we Florencyi u Giacosa wyjątkowo doskonała... via Tornabuoni... To zresztą jedyna rzecz coś warta we Florencyi...

— Co pan ma za przyjemność mówić zawsze co innego, niż pan myśli...

— Owszem myślę szczerze nająć wam jakieś ładne mieszkanko na Lung-Arno.

— My się zatrzymujemy w Weronie.

— Dla Romea i Julii? Owszem, owszem! póki jeszcze nie wzruszacie ramionami myśląc o nich — jedźcie. Za jaki miesiąc było-by już może za późno.

Marynia fuknęła na niego jak kotka, poczem zwróciwszy się do męża, rzekła:

— Stachu, nie pozwól temu panu tak mi dokuczać.

— Dobrze — odpowiedział Połaniecki. — Utnę mu głowę, ale po śniadaniu.

Bukacki zaś począł deklamować:

„ . . . . . Nie! jeszcze nie świta!
„To nie skowronek — to jest głos słowika."

Digitized by Google

I następnie zwróciwszy się do Maryni, spytał:

— Napisał Połaniecki dla pani jaki sonet?

— Nie.

— O, to zły znak!... Macie balkon od ulicy... Czy nie przyszło mu do głowy ani razu stanąć pod balkonem pani z mandoliną?

— Nie!

— O, bardzo źle!...

— Przecie tu niema gdzie stanąć, bo woda.

— Mógł podjechać gondolą. Widzi pani, u nas co innego; ale tu, we Włoszech, takie już jest powietrze, że jeśli ktoś prawdziwie kocha, to albo pisze sonety, albo staje z mandoliną pod balkonem. To jest rzecz zupełnie pewna, wypływająca z położenia geograficznego, prądów morskich, składu chemicznego powietrza i wody — i jeśli ktoś nie pisze sonetów, ani nie staje z mandoliną, to najniezawodniej nie kocha. Mogę pani przytoczyć bardzo znakomite dzieła, traktujące o tym przedmiocie.

— Zdaje się, że będę zmuszony uciąć mu głowę przed śniadaniem — rzekł Połaniecki.

Do egzekucyi jednak nie przyszło z tego powodu, że właśnie pora była na śniadanie. Siedzieli przy osobnym stole, ale w tej samej sali, w której był stół ogólny, co dla Maryni, którą wszystko zajmowało, było także źródłem rozkoszy, widziała bowiem *prawdziwych* Anglików. Czyniło jej to wrażenie, że zajechała gdzieś, do krajów tak już egzotycznych, że jak Krzemień Krzemieniem, żaden z jego mieszkańców nie zapuścił się w taką drogę. Dla Bukackiego, a nawet i dla Połanieckiego, to jej upojenie było powodem nieustających żartów, ale też i prawdziwej przyjemności. Pierwszy mówił, że przypomina mu to jego młodość, drugi nazywał żonę polną stokrotką — i mówił, że takiej nie żal świat pokazywać.

Sam Bukacki zauważył jednak, że „polna stokrotka" miała dużo poczucia sztuki i dużo szczerości. Wiele rzeczy było jej wiadomych z książek lub rycin; nie umiejąc się na niektórych poznać, przyznawała się do tego otwarcie, ale nie było w jej wrażeniach nic sztucznego, ani nic wmówionego. Gdy jej co przypadło do serca, zachwyt jej nie miał natomiast granic, tak, że oczy jej stawały się wilgotne. Bukacki czasem żartował z niej bez miłosierdzia, czasem wmawiał w nią, że wszyscy tak zwani znawcy mają gwoździe w głowie, i że ona, jako natura wrażliwa i wykwintna, a dotychczas niezbałamucona, jest dla niego największą w rzeczach sztuki powagą, była-by zaś jeszcze większą, gdyby miała lat dziesięć.

Przy śniadaniu nie było jednak mowy o sztuce, albowiem Połaniecki przypomniał sobie nowiny warszawskie i rzekł:

Digitized by Google

— Miałem list od Maszki.

— I ja — odpowiedział Bukacki.

— I ty? to jednak tam naprawdę pilno. Maszko musi być przyciśnięty nie żartem. Wiadomo ci tedy, o co chodzi?

— Namawia, a raczej zaklina mnie, żebym kupił — wiesz co?

Bukacki umyślnie nie wymienił Krzemienia, wiedząc doskonale, jakiej rozterki był on powodem między Połanieckim a Marynią — i przez delikatność dla Maryni.

Lecz Połaniecki, zrozumiawszy jego intencyę, ozwał się:

— Ach Boże! Niegdyś unikaliśmy tego wyrazu, jak dotknięcia bolączki — ale teraz — przy żonie — to przecie co innego... Trudno się całe życie krępować.

Bukacki spojrzał na niego bystro, Marynia zaś zarumieniła się trochę i rzekła:

— Staś ma zupełną słuszność. Zresztą wiem, że chodzi o Krzemień.

— A tak, chodzi o Krzemień.

— No i cóż? — spytał Połaniecki.

— Nie kupiłbym go, choćby dla tego samego, żeby pani nie miała wrażenia, że tak nim ludzie rzucają jak piłką.

Marynia zarumieniła się jeszcze więcej i rzekła:

— Kiedy ja już wcale nie myślę o Krzemieniu.

I spojrzała na męża, on zaś kiwnął głową na znak zadowolenia i pochwały.

— To dowód, — odpowiedział — że jesteś rozsądne dziecko.

— Przyczem — mówiła dalej Marynia — jeśli pan Maszko się nie utrzyma, to Krzemień albo się rozpadnie, albo pójdzie w lichwiarskie ręce, a to jednak było-by mi przykro...

— Aha! — rzekł Bukacki — skoro jednak pani *wcale* nie myśli już o Krzemieniu?

Marynia spojrzała znów na męża i tym razem już z niepokojem, on zaś począł się śmiać.

— Złapała się Marynia — rzekł.

Poczem zwrócił się do Bukackiego:

— Widocznie Maszko widzi w tobie jedyną deskę ratunku.

— Ale ja nie jestem deska... patrz na mnie... raczej słomka. Kto się zechce ratować przez schwycenie takiej słomki, zginie, utonie... Zresztą sam Maszko nieraz mi mówił: „masz przytępione nerwy." — Może i mam! Ale właśnie dlatego potrzebuję silnych wrażeń... Gdybym Maszce pomógł, wygrzebał-by się, stanął-by na nogach, udawał-by dalej lorda, żona jego udawała-by wielką panią, byliby okropnie „comme il faut..." i miałbym nudną komedyę, którą już widziałem i na

Digitized by Google

której ziewałem. Przeciwnie, jeśli mu nie pomogę, zrujnuje się, zginie, zdarzą się jakieś zajmujące a niespodziane wypadki, zdarzyć się może coś tragicznego, co mnie więcej zajmie. Teraz pomyślcie państwo: za lichą komedyę musiałbym zapłacić, i to drogo — tragedyę mogę mieć darmo. Jak tu się wahać?

— Fe! jak pan może mówić takie rzeczy! — zawołała Marynia.

— Nietylko mogę mówić, ale je napiszę Maszce. Przytem on mnie zawiódł w najniegodziwszy sposób.

— W czem?

— W czem? W tem, że ja myślałem: o to prawdziwy snob! to materyał na czarny charakter! to człowiek naprawdę bez skrupułu i bez serca! Tymczasem cóż się pokazuje: że on na dnie duszy ma jakąś uczciwość, że chciałby pospłacać wierzycieli, że mu tej lalki z czerwonemi oczyma żal, że ją kocha, że rozłączenie się z nią było-by dla niego straszną klęską... Sam mi to pisze najbezczelniej... Słowo daję, że w tem społeczeństwie na nic liczyć nie można!... Przesiaduję za granicą, bo tego znieść nie mogę.

Tym razem pani Połaniecka rozgniewała się na dobre:

— Jak pan będzie takie rzeczy mówił, to poproszę Stasia, żeby zerwał z panem stosunki.

A Połaniecki wzruszył ramionami i dodał:

— Że też ty naprawdę zagadujesz dla konceptu siebie i drugich, a nigdy nie myślisz rozsądnie i po ludzku. Rozumiesz, że ja cię nie namawiam do kupna Krzemienia, a to tem bardziej, że mógłbym mieć w tem pewien interes, ale jednak — miałbyś jakieś zajęcie, miałbyś coś do roboty...

Na to Bukacki począł się śmiać, po chwili zaś odrzekł:

— Ja ci już niegdyś powiedziałem, że przedewszystkiem lubię robić to, co mi się podoba, a że mi się najwięcej podoba nic nie robić, więc nic nie robiąc, robię to, co mi się najwięcej podoba. Jeśliś mądry, dowiedź mi, że powiedziałem głupstwo. Powtóre: ja hreczkosiejem!... To przecie wprost przechodzi imaginacyę! Ja, dla którego deszcz i pogoda jest tylko kwestyą wzięcia laski lub parasola, miałbym na stare lata wystawać na jednej nodze jak żóraw i patrzeć, czy się podoba słońcu świecić, czy chmurom kropić? jabym miał palpitować, czy mi pszenica nie porośnie, czy mi się rzepak nie wysypie, czy zaraza nie padnie na kartofle, czy się uwinę z grochem; czy potrafię dostawić Ickowi do Psiej Wólki tyle korcy, na ile zawarłem kontrakt, czy mi fornalki nie dostają nosacizny a owce motylic? Ja miałbym na starość dojść do tego, żeby z powodu stępienia umysłowego mówić co trzy słowa: „Panie Dobrodzieju" albo: „Co to ja chciałem powiedzieć?" Voyons! pas si bête! Ja, człowiek wolny, miałbym

Digitized by Google

zostać glebae adscriptus? mościpanem, somsiadem, bratem Łatą, panem Maciejem, Lechitą?...

Tu, podniecony nieco winem, począł cytować półgłosem słowa Ślaza z Lilli Wenedy:

www.libtool.com.cn

Czy ja Lechita? Cóż to? czy mi z oczu
Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,
Siedm grzechów śmiertelnych, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów?

— Gadaj-że tu z nim — rzekł Połaniecki — tem bardziej, że w gruncie rzeczy ma trochę słuszności.

Ale Marynia, która od chwili, gdy Bukacki zaczął mówić o kłopotach wiejskich, zamyśliła się nieco, teraz strząsnęła z czoła zamyślenie i rzekła:

— Ja, gdy papa był niezdrów (a nigdy w Krzemieniu nie był tak zdrów, jak w ostatnich czasach) wyręczałam go trochę w gospodarstwie—i później weszło mi to w zwyczaj. Chociaż, Bóg widzi, że kłopotów nie brakło, robiło mi to taką przyjemność, że nie umiem tego wypowiedzieć. Ale nie rozumiałam, dlaczego to tak jest i zrozumiałam dopiero, gdy mi to wytłómaczył pan Jamisz. On mi mówił, że to jest ta istotna praca, na której świat stoi, a wszelka inna jest albo dalszym jej wynikiem, albo czemś sztucznem... Później też zrozumiałam nawet takie rzeczy, o których on nie wspominał. Nieraz, jak na wiosnę wyszłam w pole i widziałam, że wszystko rośnie, to czułam, że i serce przytem rośnie. I wiem teraz dlaczego: bo w każdych innych stosunkach ludzkich może być kłamstwo, a ziemia—to prawda... Ziemi nie można oszukać, ale i ona: da, albo nie da, ale nie oszuka... Dlatego ziemię kocha się tak, jak prawdę — a że się ją kocha, więc i ona uczy kochać... I rosa pada nietylko na zboża, nietylko na łąki, ale jakby i na duszę, i człowiek staje się lepszym, bo jak ma do czynienia z prawdą i kocha, to jest bliżej Boga... Dlatego ja tak kochałam mój Krzemień.

Tu pani Połaniecka przestraszyła się i swojej wymowy, i tego, co tam pomyśli „Staś" — a jednocześnie wzruszyły ją wspomnienia, wszystko to zaś odbiło się jakby zorzą w jej oczach, na jej młodej twarzy — i sama była jak zorza.

Bukacki patrzył na nią, jakby patrzył na jakieś nieznane, świeżo odkryte arcydzieło szkoły weneckiej, następnie przymknął oczy, pochował do połowy swą małą twarzyczkę w ogromny fantastyczny krawat i szeptał:

— Delicieuse!...

Digitized by Google

Poczem, wysunąwszy brodę z krawata, rzekł:

— Pani ma najzupełniejszą słuszność...

www.libpol.com.cn

Ale logiczna kobietka nie pozwoliła się pozbyć komplimentem.

— Jeśli ja mam słuszność, to pan jej nie ma.

— To inna rzecz. Pani ma słuszność dlatego, że jej z tem do twarzy, a kobieta zawsze wówczas ma słuszność.

— Stasiu! — rzekła Marynia, zwracając się do męża.

Lecz tyle było w niej w tej chwili uroku, że on patrzył na nią również z zachwytem, oczy mu się śmiały, nozdrza poruszały się szybkim ruchem; na chwilę nakrył jej rękę dłonią i rzekł:

— Oj, dziecko! dziecko!

A potem, pochyliwszy się ku niej, szepnął:

— Gdyby nie to, że jesteśmy w sali, tobym zacałował te oczy kochane i te usta.

I mówiąc tak, Połaniecki popełniał wielką omyłkę, w tej chwili bowiem nie dość było odczuć fizyczne ponęty Maryni, zapłonąć do kolorów na jej twarzy, do oczu lub ust, ale należało zrozumieć i odczuć w niej duszę, jak zaś dalece on jej nie odczuł, dowodziły najlepiej jego pobłażliwe słowa: „oj, dziecko! dziecko!" Była mu w tej chwili tylko uroczem dzieckiem-kobietą—i o niczem innem nie myślał.

Tymczasem przyniesiono kawę. Na zakończenie rozmowy Połaniecki rzekł:

— Tak tedy Maszko wyszedł na liryka — i to po ślubie.

Bukacki zaś, połknąwszy filiżankę wrzątku, odpowiedział:

— W tem głupstwo, że to Maszko, ale nie w tem, że po ślubie... Trochę liryzmu, właśnie po ślubie... Ale przepraszam! Tylko com nie powiedział czegoś rozsądnego... Przepraszam panią najmocniej i przyrzekam, że więcej nie będę!... Sparzyłem się widocznie w język gorącą kawą, ale piję tak gorącą dlatego, że mi powiedziano, iż to dobrze na ból głowy, a mnie głowa boli, boli...

Tu Bukacki położył dłoń na karku i potylicy, przyczem zamrużył oczy i przez kilka sekund pozostał bez ruchu, poczem rzekł:

— Gada się i gada, a głowa boli. Poszedłbym już sobie, ale ma tu przyjść do mnie malarz Swirski, z którym jadę razem do Florencyi, znakomity akwarellista, prawdziwie znakomity... Nikt nie wydobył z akwarelli większej siły. Ale oto właśnie przychodzi.

I istotnie Swirski, jakby wywołany zaklęciem, zjawił się w tej chwili w sali i począł się rozglądać, upatrując Bukackiego. Dostrzegłszy go wreszcie, zbliżył się do stołu.

Był to krępy, nízki człowiek, o grubym karku, potężnej piersi, cerze nadzwyczaj smagłej i czuprynie tak czarnej, jakby był Włochem. Twarz miał pospolitą, ale spojrzenie rozumne i głębokie, a przy-

Digitized by Google

tem łagodne. Idąc, kiwał się nieco na obie strony, z powodu szerokości bioder.

Bukacki przedstawił go w następnych słowach pani Połanieckiej:

— Przedstawiam pani pana Swirskiego, malarza, rodzaj gieniusza, który nietylko ma talent, ale miał najnieszczęśliwszą ideę niezmarnowania go, co mógł zrobić tak dobrze i z równym dla ludzi pożytkiem, jak każdy inny... Ale on woli zapełniać świat akwarellami i rozgłosem.

Swirski uśmiechnął się, ukazując dwa szeregi dziwnie drobnych, ale zdrowych i białych jak kość słoniowa zębów, i rzekł:

— Chciałbym, żeby to była prawda.

— I powiem państwu dlaczego on nie zmarnował talentu — ciągnął dalej Bukacki — oto z powodów tak parafialnych, że porządnemu artyście wstyd-by było do czegoś podobnego się przyznać: kocha Pognębin — gdzieś koło Poznania — czy tak? a kocha dlatego, że się tam urodził. Gdyby się urodził na Gwadelupie, toby kochał Gwadelupę — i miłość do Gwadelupy była-by go także ratowała w życiu. Ten człowiek oburza mnie — i niech pani powie, czy nie słusznie? — Na to, Marynia rzekła, podnosząc swoje błękitne oczy na Swirskiego:

— Pan Bukacki nie jest taki niegodziwy, jak się wydaje, bo jednak powiedział o panu wszystko, co można było najlepszego.

— Umrę zapoznany — szepnął Bukacki.

A Swirski patrzył tymczasem na Marynię, tak, jak sobie może pozwolić bez obrażenia kobiety tylko malarz. W oczach jego malowało się widoczne zajęcie; w końcu mruknął:

— Tu w Wenecyi zobaczyć niespodzianie taką głowę — to przecie coś bajecznego!

— Co takiego? — spytał Bukacki.

— Mówię, że pani ma ogromnie swojski typ: o to, o! naprzykład (tu pociągnął sobie wielkim palcem przez nos, usta i brodę). I jaka przytem czystość linii!

— Co? nie prawda—rzekł z zapałem Połaniecki—zawsze to samo myślałem!

— Założę się, że tego nigdy nie myślał — odparł Bukacki.

Lecz Połaniecki rad był i dumny z tego zajęcia, jakie w słynnym artyście wzbudziła Marynia, więc rzekł:

— Gdyby tak panu zrobiło jakąkolwiek przyjemność malowanie jej portretu, mnie-by zrobiło jeszcze większą przyjemność mieć go.

— Z duszy serca — odpowiedział z prostotą Swirski — ale ja jadę dziś do Rzymu. Tam mam też zaczęty portret pani Osnowskiej.

— I my właśnie, najdalej za dziesięć dni, będziemy w Rzymie.

— A więc zgoda!

Digitized by Google

Marynia dziękowała, czerwieniąc się po uszy. Lecz Bukacki począł się żegnać i pociągnął za sobą Swirskiego. Wyszedłszy, rzekł mu:

— Mamy jeszcze czas. Chodź do Florianiego na kieliszek koniaku.

Bukacki nie umiał i nie lubił pić, ale od czasu gdy się morfinizował, czynił to w wyższym stopniu, niż mógł znieść, albowiem ktoś mu powiedział, że to jedno drugie zobojętnia.

— Co za miła para ci Połanieccy! — rzekł Swirski.

— Niedawno się pobrali.

— I widać, że on ją ogromnie kocha. Jakem ją pochwalił, aż mu się oczy śmiały i rósł jak na drożdżach.

— Ona jego sto razy więcej kocha.

— Skąd ty się na tych rzeczach znasz?

Bukacki nie odpowiedział, tylko podniósłszy swój spiczasty nos do góry, mówił jakby do siebie:

— To mi brzydziło małżeństwo i miłość, że to zawsze z jednej strony wyzysk, z drugiej ofiara. Taki Połaniecki—dobry człowiek! ale cóż? ona ma tyle samo rozumu, tyle samo charakteru — tylko więcej kocha, więc im się życie ułoży tak: że on będzie słońcem, będzie łaskawie świecił, łaskawie grzał, uważał ją za swoją własność, za planetkę, która się powinna koło niego kręcić. To się już wszystko dziś zaznacza... Ona już weszła w jego sferę. Jest w nim jakaś pewność siebie, która mnie gniewa. On będzie miał ją — i rentę, ona tylko jego — bez renty. On się będzie pozwalał kochać, uważając ze swojej strony kochanie jako swoją cnotę, dobroć i łaskę, ona będzie kochała, uważając swoją miłość za szczęście i obowiązek... Patrzcie mi go, bożka promienistego!!.. Mam ochotę wrócić i powiedzieć im to, w nadziei, że staną się mniej szczęśliwi.

Ale tymczasem siedli przed Florianim i po chwili podano im koniak. Swirski myślał czas jakiś o Połanieckich, poczem spytał:

— No! a jeśli jej będzie z tem dobrze?

— Wiem, że ma krótki wzrok, więc mogło-by jej być równie dobrze nosić okulary.

— Idź-że do licha! do takiej twarzy...

— Więc ciebie to oburza, a mnie tamto.

— Bo ty masz w głowie jakiś młynek od kawy, który wszystko miele i miele, póki nie zmiele na drobny pył. Czego ty wogóle chcesz od miłości?

— Ja, od miłości? Ja nic nie chcę od miłości! Niech tego dyabeł weźmie, kto czegoś chce od miłości! Ja mam od niej strzykanie w łopatkach. Ale gdybym był inny, niż jestem, gdybym miał określić, czem miłość być powinna, gdybym od niej czegoś chciał, tobym chciał.....

Digitized by Google

— Czego? hop! przeskocz!

— Żeby się składała w równej ilości: z żądzy i czci!

Poczem wypił kieliszek koniaku i po chwili dodał:

— Zdaje się, że powiedziałem coś, co może być mądre, jeśli nie jest głupie... Ale mi to wszystko jedno!...

— Nie! to nie jest głupie.

— Dalibóg, to wszystko jedno!

XII.

Po tygodniowym pobycie we Florencyi, odebrał Połaniecki pierwszy list od Bigiela w sprawach Domu, a w nim wiadomości tak pomyślne, że przechodzące niemal oczekiwanie. Prawo wzbraniające wywozu zboża z powodu głodu zostało ogłoszone. Ale Spółka miała ogromne zapasy zakupione i wywiezione poprzednio, że zaś ceny w pierwszych zwłaszcza chwilach podskoczyły za granicą nadzwyczajnie — więc Bigiel i Połaniecki poczęli robić doskonałe interesa. Spekulacya, pomyślana i przeprowadzona na wielką skalę, okazała się tak korzystną, iż z ludzi zamożnych, jakimi byli poprzednio, stawali się niemal bogatymi. Połaniecki zresztą oddawna był pewien swego i nie żywił żadnych obaw; wiadomość jednakże ucieszyła go zarówno ze względów finansowych, jak i ze względu na miłość własną. Powodzenie upaja i wzmaga ufność do siebie samego. To też w rozmowie z żoną niezupełnie potrafił się wstrzymać od tego, by jej nie dać do zrozumienia, że jest niepospolitą głową, wyższą bezwarunkowo od całego otoczenia, jakby drzewem najbardziej wybujałem w lesie, człowiekiem, który dochodzi zawsze tam, dokąd zamierzył, słowem: rodzajem feniksa we własnem społeczeństwie, obfitującem w ludzi, którzy nie umieją sobie dać rady na świecie. Na świecie też całym nie mógł był znaleźć wdzięczniejszego i gotowego przyjąć wszystko z głębszą wiarą słuchacza.

— Ty jesteś kobieta — mówił jej nie bez pewnego odcienia wyższości — więc cóż ci mam tam opowiadać sprawę od początku i wdawać się w szczegóły. Jako kobiecie, najlepiej wszystko wyjaśnię, gdy ci powiem tak: tego medaliona z czarną perłą, który ci pokazywałem u Godoniego, wczoraj nie byłem w stanie kupić—dziś jestem—i kupię.

Marynia poczęła mu dziękować i prosić, żeby tego nie czynił, ale on uściskał ją, zapowiedział, że nic go nie wstrzyma, że to rzecz postanowiona i że „Maryś" ma się uważać za właścicielkę czarnej wielkiej perły, która na takiej białej szyjce będzie ślicznie wyglądała. Potem jął całować tę szyjkę, a gdy się wreszcie nasycił, czując jednak po-

Digitized by Google

trzebę jakiegokolwiek słuchacza, począł chodzić po pokoju, uśmiechać się do żony, do samego siebie i mówić:

— Nie wspominam już o takich, którzy nic nie robią: Bukacki naprzykład, wiadomo, że do niczego... nie mówię o osłach — taki Kopowski, wiadomo, że kocia głowa; ale weźmy nawet ludzi, którzy coś robią i którzy niby mają rozum: taki Bigiel nigdy-by sposobności w lot nie pochwycił, zaczął-by namyślać się, ociągać, dziś-by się decydował, jutro-by się bał — i pora-by przeszła. A tu o co chodzi? — Naprzód, żeby mieć głowę, a powtóre, żeby siąść i porachować. — I jak działać, to działać!... Trzeba mieć przytem trzeźwość i nie pozować. Maszko niby nie głupi, a patrz, co wymędrkował!... Ja tam nie chodziłem i nie pójdę jego śladem.

Tak mówiąc, chodził dalej i potrząsał swoją obfitą czarną czupryną, a Marynia, która-by w każdym razie słuchała z wiarą jego słów, przyjmowała je teraz jako niezbity pewnik, tem bardziej, że miały one podstawę w istotnem powodzeniu.

On zaś zatrzymał się wreszcie przed nią i rzekł:

— Wiesz, co ja myślę? że trzeźwość to rozum. Można mieć inteligentną głowę, to jest i wsiąkającą wiedzę jak gąbka, i wrażliwą, a nie mieć przytem swego własnego trzeźwego rozumu. Dowodem dla mnie Bukacki. Nie bierz mnie za zarozumialca, ale gdybym ja naprzykład wiedział tyle o sztuce, ile on, tobym miał o niej lepszy sąd. On się tyle naczytał i tyle pochwytał opinii, że wreszcie nie ma żadnej. Doprawdy, ja z tego materyału, który on nagromadził, cośbym jednak własnego wycisnął.

— O to! — odpowiedziała Marynia — z największą pewnością!

Połaniecki mógł mieć pod pewnym względem słuszność. Nie był on wcale człowiekiem głupim, i być może, że jego inteligencya była bardziej zwartą i tęższą od inteligencyi Bukackiego; ale natomiast była i mniej giętką, i mniej obszerną — to zaś nie przyszło mu na myśl Nie pomyślał również, że w tej chwili, pod wpływem chełpliwości, mówi przed Marynią rzeczy, od których wypowiedzenia wobec obcych, bardziej sceptycznych ludzi, wstrzymała-by go obawa śmieszności i krytyki. Ale on już z Marynią nie krępował się. Sądził, że jeśli wobec kogo mógł sobie na taką małą chełpliwość pozwolić, to wobec żony. Przecie, jak sam się wyrażał: „wziął ją i skończyło się" — przecie ona była jego.

Wogóle nie czuł się nigdy tak szczęśliwy i tak zadowolony z życia, jak teraz. Doznał powodzenia materyalnego i przyszłość uważał za zabezpieczoną. Wziął kobietę młodą, ponętną dla siebie i rozumną, dla której został dogmatem, co i nie mogło być inaczej, gdy usta jej po całych dniach nie osychały od jego pocałunków, a zdrowe i uczciwe

Digitized by Google

serce było przepełnione wdzięcznością za kochanie. Czego mu mogło braknąć, czego mógł jeszcze pożądać? Był przytem zadowolony z siebie, bo przypisywał w znacznej części swemu rozumowi i swojej zasłudze to, że tak potrafił urządzić sobie życie, iż zapowiadało się i pomyślnie, i spokojnie. Widział, że innym jest źle, jemu dobrze—i tłómaczył tę różnicę na własną korzyść. Niegdyś myślał, że człowiek, chcąc być spokojnym, potrzebuje uregulować swój stosunek do siebie samego, do ludzi, do Boga. Dwa pierwsze uważał za uregulowane. Miał żonę, pracę i przyszłość; więc dał i zapewnił sobie to, co mógł dać i zapewnić. Co do ogółu, pozwalał sobie na jego krytykę, czasem na wymyślanie, ale czuł, że go na dnie duszy kocha rzeczywiście, że nawet choćby chciał, nie potrafił-by inaczej, że gdyby w danym razie trzeba było pójść w wodę lub ogień — toby poszedł, więc uważał, że i z tej strony wszystko jest załatwione. Pozostał stosunek do Boga. Czuł, że gdyby i ten stał się jasnym i pewnym, mógłby wszystkie zadania życia uważać za załatwione, a w końcu powiedzieć sobie: wiem dlaczego żyłem, czego chciałem i dlaczego muszę umrzeć. Nie będąc uczonym, zetknął się jednak o tyle z nauką, iż wiedział, że wyjaśnień i odpowiedzi niema co szukać w tak zwanej filozofii, raczej we własnem widzeniu rzeczy, a przedewszystkiem w uczuciu, o ile jedno i drugie jest proste, inaczej bowiem prowadzi do dziwactw. Tymczasem ponieważ nie był pozbawiony zupełnie wyobraźni, widział przed sobą jakby obraz uczciwego i zrównoważonego człowieka, który jest dobrym mężem, dobrym ojcem, pracuje a modli się, w święta prowadzi dzieci do kościoła i żyje życiem ogromnie pod względem moralnym zdrowem. Obraz taki uśmiechał mu się, a w życiu tyle się robi dla obrazów! Myślał również, że ogół, który-by posiadał wielką ilość takich obywateli, byłby tęższym i zdrowszym od społeczeństwa, które u dołu składa się z ciemnych głów, a u góry z mędrków, dyletantów, dekadentów i wszelkich tego rodzaju zakazanych figur ze zwichniętym mózgiem. — Niegdyś, wkrótce po poznaniu Maryni, zapowiadał sobie i Bigielowi, że jak skończy z własną osobą i z ludźmi, to się zabierze tęgo i do tego trzeciego stosunku. Otóż czas nadszedł, lub przynajmniej nadchodził. Połaniecki rozumiał, że do tego potrzebny jest większy spokój niż ów, jaki daje podróż poślubna, wrażenia nowego życia, nowego kraju i ta krętanina między hotelami a galeryami, w jakiej z Marynią żyli. Ale, pomimo tych warunków, w rzadkich chwilach, w których zostawał z własnemi myślami — zwracał je natychmiast do tego głównego dziś dla siebie zadania. Ulegał przytem rozmaitym wpływom, które, same przez się drobne, wywierały jednak pewne działanie, choćby dlatego, że im się już umyślnie nie opierał. Takim był wpływ Maryni. Połaniecki nie zdawał sobie z niego sprawy i nie byłby go przyznał, a je-

Digitized by Google

dnak ciągła obecność przy nim tej duszy pogodnej, szczerze i bardzo poprostu religijnej, bardzo obowiązkowej w stosunku do Boga, dawała mu mimowolne poczucie spokoju i pogody, jakie w wierze znaleźć można. Ilekroć też prowadził żonę do kościoła, przypominał sobie te słowa, jakie mu powiedziała w Warszawie: „jakże? to służba boża!" — I wciągał się w nią, chodził bowiem zawsze z żoną do kościoła, z początku dlatego, by jej nie puszczać samej, a później i dlatego jeszcze, że sprawiało mu to pewne wewnętrzne zadowolenie, jakie naprzykład uczonemu może sprawiać przypatrywanie się objawom, które go szczególnie zajmują. W ten sposób, mimo nieodpowiednych warunków, mimo podróży i roztarganego wszelkiego rodzaju wrażeniami umysłu, szedł ciągle naprzód po nowej drodze. Myśli jego w tym kierunku miewały chwilami wielką energię i stanowczość: „Ostatecznie — mówił sobie — ja Boga czuję! czułem go u grobu Litki, czułem, chociażem nie przyznawał, w słowach Waskowskiego o śmierci, czułem przy ślubie, czuję go u nas na równinach, i tu w górach nad śniegami, a tylko pytam jeszcze, jak go mam sławić, czcić i kochać? czy tak, jak się spodoba mnie osobiście, czy tak, jak to czyni moja żona i jak mnie uczyła moja matka?"

W Rzymie jednak przestał z początku o tych rzeczach myśleć. Tyle wrażeń zewnętrznych gromadziło się naraz w jego umyśle, że na żadne refleksye nie było miejsca. Przytem przychodzili wieczorem z Marynią tak zmęczeni, że prawie ze strachem przypominali sobie słowa Bukackiego, który czasem, służąc im dla własnego zadowolenia za „cicerone", mawiał im za każdym razem: „nie widzieliście tysiącznej części tego, co widzieć warto, ale to wszystko jedno! bo wogóle nie warto i tu przyjeżdżać—tak samo jak nie warto siedzieć w domu."

Bukacki był teraz w okresie przeczenia w każdem następnem zdaniu, temu, co zdawał się twierdzić w poprzedniem.

Profesor Waskowski przyjechał też na ich powitanie z Perugii, co Marynię tak ucieszyło, iż przywitała go, jakby był jej najbliższym krewnym. Ale po uspokojeniu się pierwszych wybuchów radości, zauważyła jakby jakiś smutek w oczach profesora.

— Co panu jest, — pytała — czy panu nie dobrze we Włoszech?

— Moje dziecko — odpowiedział profesor — i w Perugii dobrze, i w Rzymie dobrze... Ach! jak dobrze! Wiedz o tem, że tu, chodząc po ulicach, depcesz pył świata... To, jak zawsze powtarzam, przedsionek do inngo życia — tylko...

— Tylko co?

— Tylko ludzie... widzicie, to nie ze złego serca — bo tu, jak i wszędzie, więcej dobrych, niż złych; ale mi czasem smutno, że jak u nas, tak i tu, mają mnie trochę za waryata.

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

Bukacki, który słyszał rozmowę, rzekł:

— Więc nie ma profesor większego powodu do smutku tu, niż u nas.

www.libtool.com.cn

— Tak — odpowiedział Waskowski — tylko że tam mam blizkich, jak wy, którzy mnie kochają, a tu, nie... I przytem tęsknię.

Poczem zwrócił się do Połanieckiego:

— Dzienniki tutejsze pomieszczały sprawozdania z mojej rozprawy. Niektóre zupełnie szydzą — Bóg z niemi! Niektóre godzą się, że nowa epoka powinna się rozpocząć przez wprowadzenie Chrystusa i jego ducha do dziejów. Jeden przyznał, że pojedyńczy ludzie żyją ze sobą po chrześciańsku, a narody jeszcze po pogańsku — nazwał nawet tę uwagę wielką, ale i ten, i wszystkie inne, gdy przechodzę do tego, co twierdzę, iż to jest misya, którą Bóg przeznaczył nam i innym najmłodszym z Aryów — biorą się za boki od śmiechu... A to mnie boli... Dają też do zrozumienia, że ja mam trochę tu...

I biedny Waskowski począł stukać palcem w czoło.

Po chwili jednak podniósł głowę i rzekł:

— Człowiek rzuca ziarno w smutku i nieraz w zwątpieniu, ale ziarno pada na rolę i da Bóg, że zejdzie.

Potem jął wypytywać o panią Emilię, w końcu zaś zwrócił ku nim swoje jakby rozbudzone ze snu oczy i spytał naiwnie:

— A dobrze wam ze sobą?

Marynia, zamiast odpowiedzieć, poskoczyła do męża i przytuliwszy mu głowę do ramienia, rzekła:

— O, widzi profesor! — ot, tak nam ze sobą! tak!...

A Połaniecki począł gładzić ręką jej ciemną główkę.

XIII.

Po tygodniu zawiózł Połaniecki żonę na via Margutta do Swirskiego, z którym poprzednio widywali się niemal codzień, z którym się zżyli, polubili i który miał rozpocząć teraz jej portret. Zastali tam państwa Osnowskich i zrobili z nimi znajomość, tem łatwiej, że panie te były niegdyś, przed kilku laty, razem na jakimś wieczorze, a Połaniecki był nawet w swoim czasie przedstawiony w Ostendzie pani Osnowskiej, potrzebował się więc teraz tylko przypomnieć. Nie pamiętał wprawdzie Połaniecki, czy w owej epoce, w której po zobaczeniu każdej młodej i przystojnej kobiety pytał się siebie: „czyby nie ta?" — zadawał sobie takie pytania i co do dzisiejszej pani Osnowskiej — mogło to jednak być, miała bowiem wówczas opinię ładnej, chociaż nieco narwanej panny. Dziś była to kobieta lat dwudziestu sześciu lub

Digitized by Google

ośmiu, bardzo wysoka, o świeżej lubo smagłej cerze, wiśniowych ustach, rozwianej grzywce i nieco skośnych fiołkowych oczach, które nadawały jej twarzy podobieństwo do twarzy chińskich, a zarazem wyraz pewnej złośliwości i sprytu. Miała dziwny zwyczaj trzymania się, polegający na zasuwaniu w tył ramion, a wysuwaniu naprzód figury, wskutek czego Bukącki mówił o niej, że nosi biust „en offrande." W jednej niemal chwili powiedziała Maryni, iż ponieważ pozują w jednej pracowni, więc się powinny uważać za koleżanki; Połanieckiemu, że go sobie przypomina z balu w Ostendzie, jako dobrego tancerza i dobrego „causeur", i że z tego nie omieszka i teraz korzystać; obojgu, że jej bardzo przyjemnie, że się upaja Rzymem, że czyta „Cosmopolis", że jest zakochana w willi Doria, w widoku z Pincio, że ma nadzieję, iż razem zobaczą katakumby, i że zna dzieła Rossiego w przekładzie Allarda. Poczem uścisnąwszy ręce Swirskiemu i uśmiechnąwszy się z kokieteryą do Połanieckiego, wyszła, oświadczając, że ustępuje miejsca godniejszej od siebie, i zostawiając wrażenie zawieruchy, Chinki i kwiatu. Pan Osnowski, człowiek bardzo młody, z nic nie znaczącą, ale dobrą twarzą jasnego blondyna, wyszedł za nią, nie zdoławszy prawie przemówić słowa.

Swirski odetchnął głęboko.

— O to burza! — rzekł — mam z nią tysiąc trudności, by ją utrzymać dwie minuty w spokoju.

— A jaka interesująca twarz — rzekła Marynia. — Czy wolno przyjrzeć się portretowi?

— Już mu nie wiele brak, więc wolno — odrzekł Swirski.

Marynia i Połaniecki zbliżyli się do papieru i mogli, bez potrzeby sadzenia się na grzeczności, wyrazić swój podziw Swirskiemu. Ta głowa, malowana akwarellą, miała siłę i ciepło olejnego obrazu, a zarazem była w niej cała istota duchowa pani Osnowskiej. Swirski słuchał spokojnie pochwał i znać było, że sam jest rad z własnej roboty. Następnie zakrył go i odniósłszy w ciemny kąt pracowni, usadził Marynię na przygotowanem krześle i począł się w nią wpatrywać.

Ją mieszał cokolwiek ów uparty wzrok i policzki jej poczęły się rumienić, ale Swirski uśmiechał się z zadowoleniem, mrucząc:

— Tak! to inny typ... ziemia i niebo!

Chwilami przymykał jedno oko, co Marynię jeszcze bardziej mieszało, chwilami zbliżał się do papieru, to znów odstępował i znów się w nią wpatrywał, i znów mówił, jakby sam do siebie:

— Tam trzeba było wydobyć dyabła, a tu kobiecość.

Na to Połaniecki rzekł:

— Skoro pan to tak odrazu spostrzegł, to już jestem pewny arcydzieła.

Digitized by Google

Swirski przestał nagle spoglądać na papier i na Marynię—i zwróciwszy się ku Połanieckiemu, uśmiechnął się wesoło, ukazując swoje zdrowe zęby.

www.libtool.com.cn

— Co, panie! kobiecość — i swojska kobiecość, to główny charakter pani twarzy.

— I chwyci go pan, tak jak w tamtym portrecie chwycił pan dyabła.

— Stasiu!! — rzekła Marynia.

— To nie ja wymyśliłem — to pan Swirski.

— Jeśli pani sobie życzy, to powiedzmy: dyabełek — nie dyabeł... I ładny dyabełek, ale niebezpieczny. Ja, malując, obserwuję sobie rozmaite rzeczy. To ciekawy typ, pani Osnowska.

— Dlaczego?

— Czy pani zauważyła jej męża?

— Jakoś tak byłam nią zajęta, że nie miałam kiedy.

— Otóż widzi pani, ona go tak zasłania, że go prawie nie widać, a co gorzej, to i ona go nie widzi, tymczasem jest to najpoczciwszy w świecie chłopiec, ogromnie dobrze wychowany, niesłychanie delikatny, bardzo bogaty i wcale nie głupi, a w dodatku kocha ją do szaleństwa.

Tu Swirski począł rysować i powtórzył jakby przez dystrakcyę:

— Ko-cha ją sza-lenie... Niech pani trochę poprawi włosy koło ucha... Jeśli mąż pani także gawędziarz, to będzie w rozpaczy, bo Bukacki utrzymuje, że jak się wezmę do roboty, to mi się usta nie zamykają i nikomu nie dam przyjść do słowa... Ona, widzi pani, może być sobie dotychczas czysta jak łza, ale jest kokietka... To zimne serce a ognista głowa... Niebezpieczny rodzaj! o! niebezpieczny! Całemi tuzinami zjada książki — naturalnie francuskie... Uczy się z nich psychologii, dowiaduje się o temperamentach kobiecych, o kobiecej zagadkowości, szuka w sobie zagadek, których wcale w niej niema, odnajduje aspiracye, o których wczoraj nie wiedziała, deprawuje się umysłowo i tę deprawacyę uważa za rozum, a męża lekceważy.

— Ale pan straszny człowiek — zauważyła Marynia.

— Panie, panie — rzekł Połaniecki — żona mi się jutro schowa ze strachu, jak nadejdzie chwila posiedzenia.

— Niech się nie chowa. To inny typ... Osnowski wcale nie jest głupi, ale ludzie, a zwłaszcza, za przeproszeniem, kobiety, są tak niemądre, że jeśli czyjś rozum nie bije nikogo po głowie, jeśli mu trochę brak pewności siebie, jeśli nie drapie jak kot i nie rozcina jak nóż, to go nie cenią. Dalibóg widziałem to sto razy w życiu!...

Po chwili przymknął znów jedno oko, popatrzył na Marynię i mówił dalej:

Digitized by Google

— Wogóle, jakie społeczeństwo ludzkie jest głupie! Ja nieraz zadawałem sobie pytanie, dlaczego uczciwość charakteru, serce i taka rzecz jak dobroć, bywają mniej cenione, niż tak zwany rozum? Dlaczego w życiu społecznem istnieją dwie przeważnie etykiety: rozumny lub głupi, a naprzykład niema zwyczaju mówić: cnotliwy i niecnotliwy — tak dalece niema zwyczaju, że już same wyrazy wydały-by się śmieszne.

— Bo — rzekł Połaniecki — rozum to jest latarka, którą sobie musi świecić i cnota, i dobroć, i serce — inaczej mogą sobie porozbijać nosy, a co gorzej, porozbijać nosy drugim.

Marynia nie rzekła wprawdzie ani słowa, ale z twarzy jej można było wyraźnie wyczytać:

— Jaki ten Staś mądry, to strach!

„Mądry Staś" tymczasem dodał:

— Ja zresztą nie mówię o Osnowskim, bo go nie znam.

— Osnowski — odrzekł Swirski — kocha żonę, jak swoją żonę, jak swoje dziecko i jak swoje szczęście, a ona ma głowę zawróconą Bóg wie czem i nie odpłaca mu wzajemnością! Mnie, jako człowieka nieżonatego, zajmują ogromnie kobiety, to też nieraz po całych dniach mówimy, a zwłaszcza mówiliśmy o nich z Bukackim, póki i jego więcej interesowały, niż dziś. Bukacki dzieli kobiety na duchowe plebejuszki, przez które rozumie liche i płaskie dusze — i na duchowe patrycyuszki, to jest natury wyszlachetnione, pełne wyższych aspiracyi i wsparte na zasadach, nie na frazesach. Jest w tem pewna słuszność, ale ja wolę mój podział, bo jest prostszy: na wdzięczne serca i niewdzięczne.

Tu na chwilę oddalił się od szkicu, przymrużył oczy, poczem wziąwszy małe lusterko, nastawił je ku obrazowi i począł patrzeć na odbicie:

— Pani pyta co ja rozumiem przez wdzięczne i niewdzięczne serca?—rzekł, zwracając się do Maryni, jakkolwiek ta o nic nie pytała. Otóż wdzięczne serce jest takie, które czuje, gdy jest kochane, i wzrusza się miłością, i za kochanie coraz bardziej kocha i coraz bardziej się oddaje i ceni je i czci. — Niewdzięczne — wyzyskuje tylko miłość i im jest pewniejsze, tem mniej sobie z niej robi, więcej ją lekceważy i depce... Kobietę o niewdzięcznem sercu dość jest pokochać, by ona przestała kochać. Rybak nie troszczy się o rybę w matni—więc i pani Osnowska nie troszczy się o pana Osnowskiego. W gruncie rzeczy jest to najgrubsza forma egoizmu, jaka istnieje — poprostu mu i zyńska! — i dlatego niech Bóg strzeże pana Osnowskiego, a ją niech licho porwie z jej chińskiemi oczyma koloru fiołków i fryzowaną grzywką. Malować taką — dobrze! ale ożenić się z taką — niema głupich! Czy

Digitized by Google

pani uwierzy, że ja się tak boję niewdzięcznego serca, żem się dlatego dotąd nie ożenił, choć mi dobrze wydzwoniła czterdziestka.

— Przecie to tak łatwo poznać — rzekła Marynia.

A Swirski odrzekł:

www.libook.com.cn

— Licha tam! zwłaszcza gdy ktoś straci zmysły i rozum.

I przegiąwszy swoją atletyczną figurę, patrzył czas jakiś na szkic, poczem rzekł:

— No, dosyć na dziś! Nagadałem się też tak, że chyba muchy popadały ze ścian. Jutro, jak pani będzie miała tego nadto, to niech pani tylko w dłonie klaśnie... Ja zresztą tyle z panią Osnowską nie gadam, bo i ona lubi gadać... A co ja się nasłucham tytułów książek! No, mniejsza z tem!—Coś jeszcze chciałem powiedzieć i zapomniałem... Aha!—że pani jest wdzięczne serce!

Połaniecki począł się śmiać i zaprosił Swirskiego na obiad, obiecawszy mu towarzystwo Bukackiego i profesora Waskowskiego.

— Z wielką radością, odpowiedział Swirski, ja jestem taki samotny, jak dzik. A że jest pogoda i pełnia, więc potem pojedziemy oglądać Koloseum przy księżycu.

Obiad jednak odbył się bez umysłowych koziołków Bukackiego, albowiem ten czuł się niezdrów i napisał, że nie przyjdzie. Natomiast Swirski i Waskowski przystali do siebie wybornie i zaprzyjaźnili się od razu. Swirski tylko przy robocie nie pozwalał nikomu przyjść do słowa, wogóle zaś lubił i umiał słuchać, a jakkolwiek profesor wraz ze swemi poglądami wydawał mu się czasem komiczny, jednak znać było w staruszku taką szczerość i dobroć, że trudno mógł sobie kogo nie zjednać. Artystę uderzyła też jego mistyczna twarz i wyraz oczu. Trochę go sobie w duszy szkicował, i słuchając o Aryach, myślał jakby też wyglądała taka głowa, gdyby dobrze uchwycić wszystko, co w niej jest.

Pod koniec obiadu, profesor jął rozpytywać Marynię, czyby nie chciała widzieć Papieża, i oświadczył, że za trzy dni ma przybyć belgijska pielgrzymka, do której możnaby się przyłączyć. Swirski, który znał cały Rzym i wszystkich monsiniorów, zaręczył, że potrafi to z łatwością przeprowadzić. Usłyszawszy to, profesor, patrzył na niego i spytał:

— To pan prawie Rzymianin?

— Od szesnastu lat.

— Proszę!..

Tu profesor zmieszał się nieco, z obawy, czy nie popełnia niedyskrecyi, ale chcąc jednak wiedzieć, co ma sądzić o człowieku tak sympatycznym, przemógł nieśmiałość i spytał:

— A... czy z Kwirynału, czy z Watykanu?

Digitized by Google

— Z Pognębina—odpowiedział Swirski, marszcząc nieco brwi.

Zakończenie obiadu przerwało dalsze objaśnienia i dalszą rozmowę. Marynia ledwie mogła dosiedzić na myśl, iż zobaczy przy księżycu Kapitol, Forum i Koloseum. Jakoż w chwilę później pojechali przez oświecone elektrycznością Corso, ku ruinom.

www.libtool.com.cn

Noc była cicha i ciepła, a koło Forum i Koloseum pusto zupełnie, jak zresztą czasem bywa i we dnie. W okolicach kościoła Santa Maria Liberatrice ktoś grał w otwartem oknie na flecie, i w ciszy słychać było każdą nutę. Na przednią część Forum padał głęboki cień od wzgórza i gmachu kapitolińskiego, ale dalsze plany były oblane jasnem zielonawem światłem, również jak i Koloseum, które zdala wydawało się jak srebrne. Gdy powóz zatrzymał się przy arkadach olbrzymiego cyrku, Połaniecki, Swirski i Waskowski weszli do wnętrza i poczęli posuwać się ku środkowi areny, omijając nagromadzone bliżej arkad gruzy, odłamy kolumn, fryzów, stosy cegieł, kamieni i nizkie, stojące tu i owdzie cokoły. Pod wpływem milczenia i pustki, słowa nie cisnęły się im do ust. Przez łuki arkad wchodziły do wnętrza snopy miesięcznego światła, które zdawało się spać cicho na podłożu areny, na przeciwległych murach, w szczerbach, rozpadlinach ścian, w załamaniach, na osrebrzonych mchach i bluszczach, pokrywających tu i owdzie zwalisko. Inne części gmachu, pogrążone w nieprzebitym mroku, czyniły wrażenie czarnych i tajemniczych czeluści. Z położonych nizko kunikułów szło surowe tchnienie pustki. Rzeczywistość zacierała się wśród tego labiryntu i tej mieszaniny murów, arkad, świetlistych plam, świetlistych pasem i głębokich cieniów. Olbrzymia ruina zdawała się tracić swój byt realny i stawać się sennem widziadłem, albo raczej jakiemś dziwnem wrażeniem, złożonem z ciszy, nocy, księżyca, ze smutku i ze wspomnień wielkiej a pełnej cierpień i krwi przeszłości.

Swirski pierwszy począł mówić przyciszonym głosem:

— Ile tu bólu, ile łez, jaka niezmierna tragedya!.. Niech sobie, mówią co chcą,—w chrześciaństwie tkwiło coś nadludzkiego—i tej myśli nie można się oprzeć.

Tu zwrócił się do Maryni i szeptał dalej:

— Niech pani sobie wyobrazi tamtą potęgę: cały świat, miliony ludzi, żelazne prawo, siłę, jakiej nigdy przedtem i potem nie widziano-organizacyę, jakiej nigdy nie było, wielkość, sławę, setki legionów, olbrzymie miasto, władnące światem—i ten tam oto Palatyn, władnący miastem; zdawało-by się, że żadna moc ziemska tego nie obali—tymczasem przychodzi dwóch żydów: Piotr i Paweł,—nie z bronią, lecz ze słowem—i patrz pani: tu ruina, na Palatynie ruina, na Forum ruina, a nad miastem krzyże, krzyże, krzyże i krzyże...

Digitized by Google

Znów nastała cisza, tylko od strony Santa Maria Liberatrice zachodził ciągle głos fletu.

Po chwili profesor Waskowski rzekł, wskazując na arenę:

— I tu był krzyż—ale oni go znieśli...

Lecz Połaniecki rozmyślał o słowach Swirskiego, miały one bowiem dla niego żywotniejsze znaczenie, niż mogły-by mieć dla człowieka, który walkę duchową z sobą ukończył. Wreszcie, idąc za biegiem własnych myśli, rzekł:

— Tak, w tem tkwi coś nadludzkiego.—Jakaś prawda świeci tu w oczy, jak ten księżyc.

Zwolna mieli się ku wyjściu, gdy w tem na zewnątrz zaturkotał powóz, potem w ciemnej niszy, prowadzącej do środka cyrku, dały się słyszeć kroki i jakieś dwie wysokie postacie wychyliły z cienia na światło.

Jedna z nich, przybrana w szarą suknię, która w blasku miesięcznym lśniła jak stal, zbliżywszy się na kilka kroków, by lepiej przypatrzyć się zwiedzającym, rzekła nagle:

— Dobry wieczór!—Noc taka śliczna, że i my wybraliśmy się do Koloseum. Co za noc!

Połaniecki rozpoznał głos pani Osnowskiej.

Ona zaś, podając mu rękę, mówiła głosem tak miękkim, jak ów głos fletu, dochodzący od strony kościoła.

— Zacznę wierzyć w przeczucia, bo doprawdy coś mi mówiło, że znajdę tu znajomych.—Jaka noc śliczna!...

XIV.

Wróciwszy do hotelu, Połanieccy znaleźli z pewnem zdziwieniem karty wizytowe państwa Osnowskich, a zdziwienie ich pochodziło stąd, że im-to pierwszym, jako młodemu małżeństwu, należało składać wizyty. Na uprzejmość, i tak niezwykłą, trzeba było jednak odpowiedzieć równą uprzejmością, nazajutrz więc pokwapili się z rewizytą. Bukacki, który ich przedtem widział, jakkolwiek mocno niezdrów i ledwie włóczący nogi, zdobył się wszelako na jeden ze swych zwykłych konceptów, i rzekł Połanieckiemu, gdy na chwilę zostali sam na sam:

— Ona będzie cię kokietowała, ale jeśli przypuszczasz, że się w tobie zakocha, to się mylisz. W niej jest trochę podobieństwa do brzytwy,—potrzeba jej paska do ostrzenia się—i w najlepszym razie, będziesz dla niej paskiem.

— Naprzód, nie chcę być jej paskiem, odpowiedział Połaniecki, a powtóre jeszcze na to za wcześnie.

Digitized by Google

— Zawcześnie?—To się znaczy, że sobie zabezpieczasz przyszłość.

— Nie, to znaczy, że myślę o czem innem, a także, że coraz więcej kocham swoją Marynię, tak, że gdy skończy się: zawcześnie, będzie: zapóźno—i że pani Osnowska mogła-by się na mnie poszczerbić, ale nie wyostrzyć.

I Połaniecki, mówiąc to, był szczerym: myśli miał istotnie zajęte czem innem, był zbyt uczciwym, żeby kiedykolwiek módz zdradzić żonę—w każdym zaś razie było na to za wcześnie.

Był zaś tak dalece pewny siebie, że jednocześnie czuł pewną gotowość poddania się próbie. Inaczej mówiąc, sprawiło-by mu to pewne zadowolenie, gdyby pani Osnowska się na nim poszczerbiła.

Tymczasem po śniadaniu pojechali z Marynią na posiedzenie do Świrskiego, które jednak krótko trwało, artysta bowiem był sędzią w jakimś konkursie artystycznym i musiał śpieszyć na posiedzenie. Gdy wrócili do siebie, w kwadrans później nadszedł pan Osnowski.

Połaniecki po rozmowie ze Swirskim wyniósł dla niego pewne politowanie, ale zarazem jakby lekceważenie, Marynia jednak czuła do niego żywą sympatyę. Ujęło ją to, co słyszała o jego dobroci, delikatności i przywiązaniu do żony. Teraz zdawało jej się, że te wszystkie przymioty jakby są wypisane na jego twarzy, wcale zresztą niebrzydkiej, chociaż tu i owdzie pokrytej pryszczami.

Pan Osnowski, powitawszy ich, począł mówić z pewną swobodą człowieka, przywykłego do dobrych towarzystw:

— Ja tu przychodzę z polecenia żony, z pewną propozycyą. Chwała Bogu, że ceremonie wizytowe między nami skończone, chociaż za granicą niewarto się zbyt ściśle z tem rachować. Jest rzecz taka: chcemy dziś jechać do Świętego Pawła, a następnie do Tre Fontane. To już za miastem; ciekawy klasztor i śliczny ztamtąd widok. Otóż było-by nam bardzo przyjemnie, gdyby państwo zgodzili się razem odbyć tę wycieczkę.

Marynia zawsze gotowa była na wszelkie wycieczki, zwłaszcza w towarzystwie i przy miłej pogawędce, skutkiem czego poczęła spoglądać na męża, czekając co powie. Połaniecki zaś spostrzegł, iż ona ma ochotę, a prócz tego pomyślał w duchu: „chcesz się trochę poszczerbić, to się poszczerb!"

I odrzekł:

— Ja zgodził-bym się chętnie, ale to zależy od mojej władzy wyższej.

Władza wyższa jeszcze nie była pewna, czy pokorny podwładny mówi to szczerze, ale widząc na jego twarzy uśmiech i dobry humor, ośmieliła się wreszcie zawyrokować:

Digitized by Google

— Z wielką wdzięcznością — tylko czy nie narobimy kłopotu.

— Nie kłopotu, ale przyjemności, — odpowiedział Osnowski.— W takim razie doskonale! Za kwadrans tu będziemy.

www.rcin.org.pl

Jakoż za kwadrans ruszyli. Chińskie oczy pani Osnowskiej pełne były zadowolenia i pogody. Ubrana w fularową suknię koloru irys i w jakieś okrycie, mogące uchodzić za ósmy cud świata, wyglądała rzeczywiście jak rusałka. I nim dojechali do Św. Pawła, Połaniecki sam nie wiedział, jakim sposobem pani Osnowska, która nic w tym przedmiocie nie mówiła, potrafiła mu jakoś powiedzieć, a przynajmniej dać do zrozumienia, mniej więcej co następuje:

— Twoja żona, to sobie ot, miła, wiejska kobiecinka, o moim mężu niema co i mówić. Rozumieć się i dzielić wrażeniami możemy tylko my dwoje.

Ale on ją postanowił drażnić.

Gdy dojechali do Św. Pawła, którego zresztą pani Osnowska nie nazywała inaczej, jak „San Poolo fuori le Mura", mąż jej chciał zatrzymać powóz, lecz ona rzekła:

— Zatrzymamy się z powrotem, bo wówczas będziem wiedzieli, ile nam czasu zostaje, a teraz jedźmy prosto do Tre Fontane.

Poczem zwróciwszy się do Połanieckiego, mówiła dalej:

— Są też tu, w tem sławnem podwórzu, rozmaite rzeczy, o które chciałabym pana zapytać.

— To pani źle trafi—odpowiedział Połaniecki,—bo ja się na tych rzeczach nic a nic nie znam.

Pokazało się wkrótce, przy mijaniu rozmaitych pamiątkowych miejscowości, że w całem towarzystwie zna się najlepiej pan Osnowski. Biedaczysko studyował od rana do wieczora przewodniki, dlatego, by sam mógł być przewodnikiem żonie, a po części dlatego, żeby jej się przez swoją wiedzę podobać. Ale ona lekceważyła objaśnienia, jakich mógł udzielić, właśnie dlatego, że pochodziły od niego. Więcej jej przypadła do smaku zuchwała pewność siebie, z jaką Połaniecki przyznał się, iż o starożytnościach nie ma pojęcia.

Za Świętym Pawłem odkrył się widok na Kampanię, wraz z jej akweduktami, zdającemi się biedz jakby z pośpiechem do miasta, i na góry Albańskie, przesłonione błękitną mgłą oddalenia, zarazem spokojne i świetliste. Pani Osnowska patrzyła na nie czas jakiś rozmarzonym wzrokiem, poczem spytała:

— Czy państwo byli w Albano i w Nemi?

— Nie,—odpowiedział Połaniecki: posiedzenia u Swirskiego przecinają nam dzień tak, że nie możemy czynić większych wycieczek przed ukończeniem portretu.

Digitized by Google

— Myśmy już byli, ale jak państwo wybiorą się tam, weźcie mnie jeszcze raz z sobą—weźcie mnie z sobą... Dobrze?—Pani pozwoli?—dodała, zwracając się do Maryni.—Będę trochę piątem kołem, ale to nic... Zresztą będę cichutko, cichutko, siedzieć w kącie powozu i ani się odezwę—ani mrumru! Dobrze...

— Oj, mała, mała!—rzekł pan Osnowski.

A ona mówiła dalej:

— Mąż mój nie chce wierzyć, że zakochałam się w Nemi. A ja się zakochałam. Jak tam byłam, to mi się zdawało, że tam jeszcze chrześciaństwo nie doszło, że nocami wychodzą jacyś kapłani i odprawiają nad jeziorem pogańskie obrzędy. Krótko powiem: cisza i tajemnica!—oto Nemi. Czy pan uwierzy, że jak tam byłam, to mi przyszła ochota zostać pustelnicą—i dotąd nie przeszła. Zbudowała-bym sobie pustelnię nad brzegiem jeziora—i chodziła-bym w długiej szarej sukni, podobnej do habitu Św. Franciszka z Assyżu—i boso. Cobym dała, żeby zostać pustelnicą... Widzę siebie nad jeziorem...

— Anetko, a coby się ze mną stało?—spytał pół żartem, pół poważnie, pan Osnowski.

— Tybyś się pocieszył,—odpowiedziała krótko.

Połaniecki zaś pomyślał:

— Była-byś pustelnicą, pod warunkiem, żeby na drugim brzegu jeziora stało parę tuzinów frantów i przypatrywało się przez lornetki, co pustelnica robi i jak wygląda.

Był zbyt dobrze wychowanym, żeby powiedzieć jej wprost to, co pomyślał, ale powiedział jej coś podobnego i co można było tak zrozumieć, a ona poczęła się śmiać i odrzekła:

— Naturalnie. Żyła-bym z jałmużny, więc czasem musiała-bym ludzi widywać, i gdybyście państwo przyjechali do Nemi, przyszła-bym także do pana i powtarzała-bym pocichutku: „un soldo! un soldo!"

To rzekłszy, wyciągnęła ku niemu swe drobne ręce i poczęła niemi potrząsać, powtarzając z pokorą:

— Un soldo per la povera! un soldo!..

I patrzyła mu w oczy.

Pan Osnowski zaś mówił tymczasem Maryni!

— To się nazywa Tre Fontane, bo tam są trzy źrodła. Tam był ścięty Św. Paweł i jest podanie, że głowa jego podskoczyła trzykrotnie i że na tych miejscach wytrysły źródła. To teraz należy do trapistów. Dawniej tam nie mogli nocować, taka była febra, ale teraz mniejsza, bo zasadzili na wzgórzach cały las eukaliptów. O! widać już ztąd.

A pani Osnowska, przechylona nieco w tył, przymknęła na chwilę oczy i mówiła Połanieckiemu:

Digitized by Google

— Mnie to powietrze rzymskie upaja. Jestem jak nieprzytomna. W domu nie wymagam więcej od życia nad to, co mi daje, a tu się demoralizuję, tu czuję, że mi czegoś brak.—Czy ja wiem czego? Tu się coś przeczuwa, coś odgaduje, za czemś tęskni... Może to źle. Może nie potrzebnie to mówię? Ale ja zawsze mówię to, co mi przez myśl przejdzie. W domu, jak byłam mała, nazywali mnie Szczerotką. Poproszę męża, żeby mnie ztąd wywiózł. Może najlepiej żyć w swojej ciasnej skorupce, jak żółw', albo jak ślimak.

Na to Połaniecki odrzekł poważnie:

— W skorupie może być dobrze ślimakom lub żółwiom, ale nie ptakom, i do tego rajskim, o których jest podanie, że nie mają nóg i z tej przyczyny nie mogą nigdy spocząć, tylko muszą latać i latać.

— Jakie śliczne podanie, —odpowiedziała pani Osnowska...

I podniosłszy dłonie, poczęła niemi poruszać, udając ruch skrzydeł i powtarzając:

— Tak ciągle w powietrzu, w powietrzu.

Pochlebiło jej porównanie, a przytem zdziwiło ją to, że Połaniecki mówił z powagą w głosie, a zarazem z twarzą niedbałą i jakby ironiczną. Począł ją zajmować, bo wydał jej się bardziej inteligentnym i trudniejszym do opanowania, niż się spodziewała.

Tymczasem dojechali do Tre Fontane. Zwiedzili ogród, kościół i kaplicę, w której podziemiu biją trzy zródła. Pan Osnowski objaśniał swoim dobrym, trochę jednostajnym głosem, co przedtem wyczytał. Marynia słuchała go z zajęciem, Połaniecki zaś pomyślał:

— Jednak żyć z nim trzysta sześćdziesiąt pięć dni na rok, musi być trochę ciężko!

Usprawiedliwiało to poniekąd w jego oczach panią Osnowską, która, wziąwszy teraz na się nową rolę rajskiego ptaka, nie spoczęła ani na chwilę, nietylko na ziemi, ale na żadnym przedmiocie. Naprzód napiła się likieru z eukaliptów, który klasztor wyrabia jako środek przeciw febrze, następnie oświadczyła stanowczo, że gdyby była mężczyzną, toby została trapistą; potem jednak przypomniała sobie, że uśmiechał-by się jej zawód żeglarski, „ciągle między morzem a niebem —jakby za życia w nieskończoności"; wreszcie jednak nad wszystkiemi innemi wzięła w niej górę chęć zostania wielkim, bardzo wielkim pisarzem, który maluje najdrobniejsze poruszenia duszy, pół-świadome uczucia, niedopowiedziane pragnienia, wszystkie kształty, wszystkie kolory, wszystkie cienie. Zgromadzeni dowiedzieli się też pod sekretem, że pisze swój pamiętnik, który „ten poczciwy Józio" uważa za arcydzieło, ale ona wie, że to jest nic, nie ma najmniejszych pretensyi i wyśmiewa się i z Józia, i z pamiętnika.

Digitized by Google

„Józio" zaś patrzył na nią rozkochanemi oczyma, z wielką miłością na popryszczonej twarzy i powtarzał, protestując:

www.libtool.com.cn

— A, co do pamiętnika, to przepraszam, bardzo przepraszam.

Wyjechali już pod zachód. Od drzew kładły się długie cienie, słońce stało się wielkie i czerwone. Dalekie akwedukty i góry Albańskie świeciły różowo. Byli w połowie drogi, gdy z wieży Św. Pawła zadzwoniono na „Anioł Pański"—i wnet za tym dzwonem ozwał się drugi, trzeci, dziesiąty. Każdy kościół podawał głos następnemu i zrobił się chór tak ogromny, tak rozdźwięczało się całe powietrze, jakby na „Anioł" dzwoniło nietylko miasto, ale cała okolica, równiny i góry.

Połaniecki spojrzał na oświeconą złotym blaskiem twarz Maryni. Był w niej wielki spokój i skupienie. Widać było doskonale, że tak sobie teraz odmawia „Anioł Pański", jak odmawiała w Krzemieniu, gdy dzwoniono w Wątorach. Zawsze i wszędzie jednako. Połanieckiemu przypomniała się znów: „służba boża."—Wydało mu się to tak proste i uspakające, jak nigdy. Ale zarazem, teraz, zbliżając się do miasta, zrozumiał trwałość, żywotność i ogrom tych wierzeń. To wszystko, pomyślał, przecie tak trwa od półtora tysiąca lat i nie w czem innem moc i niewątpliwość tego miasta, tylko w tych wieżach, dzwonach, w tej stateczności krzyża, który trwa i trwa. Tu znów przypomniały mu się słowa Swirskiego: „Tu ruina, na Palatynie ruina, na Forum ruina, a nad miastem krzyże, krzyże i krzyże!" I wydało mu się niewątpliwem, że w samej tej trwałości jest coś nadludzkiego. Tymczasem dzwony biły, a niebo nad miastem oblewało się zorzą. Pod wrażeniem modlącej się Maryni i dzwonów, i tego nieszpornego nastroju, który zdawał unosić się nad miastem i całą ziemią, w Połanieckim, który miał wiele duchowej prostoty, poczęła się wyłaniać następna myśl: „Jakim musiałbym być głupcem i pyszałkiem, gdybym wobec tej potrzeby wiary i tego poczucia Boga miał szukać jakichś swoich własnych form czci i miłości, zamiast przyjąć te, które Marynia nazywa „służbą bożą", i które muszą być jednak najlepsze, skoro świat żyje w nich od blizko dwóch tysięcy lat..." Poczem, jako człowieka praktycznego, uderzyła go rozsądna strona tej myśli i jął dalej mówić sobie, niemal wesoło: „Z jednej strony tradycya tysięcy lat, życie Bóg wie ilu pokoleń, Bóg wie ilu społeczeństw, którym było i jest w tych formach dobrze, powaga Bóg wie ilu głów, które uważają je za jedyne,—z drugiej strony kto taki? ja! wspólnik domu komisowego pod firmą Bigiel i Połaniecki!—i ja miałbym mieć pretensyę, że wymyślę coś lepszego, w co się Pan Bóg lepiej pomieści? Toż trzeba-by chyba być durniem! Ja przecie jestem z sobą szczery człowiek i nie zniósłbym, gdyby mi przychodziło od czasu do czasu na myśl, że jednak jestem kiep. A do

Digitized by Google

tego, tak wierzyła moja matka i tak wierzy moja żona,—a nie widziałem w nikim więcej spokoju, jak w nich.

Tu spojrzał raz i drugi na Marynię, a ona widocznie skończyła swój „Anioł Pański"—bo uśmiechnęła mu się na odpowiedź i spytała:

— Coś ty taki milczący?

— Wszyscy milczymy,—odpowiedział.

I tak było, ale z różnych przyczyn. W czasie, gdy Połaniecki był zajęty swemi myślami, pani Osnowska zagabnęła go kilkakrotnie i oczyma i słowami. On jednak na słowa odpowiedział coś piąte przez dziesiąte—spojrzeń zaś wcale nie zauważył—i poprostu obraził ją; mogła mu przebaczyć, a nawet mogło jej się podobać, gdy na oznajmienie, że pragnęła-by być zakonnicą, odpowiedział jej ukrytem w grzecznych słowach zuchwalstwem, ale dotknęło ją śmiertelnie, gdy poprostu przestał na nią zważać—i za karę, również przestała na niego zważać.

Ale, jako osoba dobrze wychowana, stała się tem grzeczniejszą dla Maryni. Poczęła ją wypytywać o jutrzejsze zamiary i, dowiedziawszy się, że mają być w Watykanie, oświadczyła, że i oni z mężem mają karty wstępu i że również skorzystają ze sposobności.

— Pani wie, jak trzeba być ubraną, spytała: czarna suknia i na głowie czarna koronka. Trochę się staro w tem wygląda, ale to nieodzowne.

— Wiem, przestrzegał mnie pan Swirski,—odpowiedziała pani Połaniecka.

— Pan Swirski ciagle mi w czasie posiedzeń o pani opowiada. On ma dla pani ogromną sympatyę.

— I ja dla niego,—rzekła Marynia.

W czasie tej rozmowy zajechali przed hotel. Połaniecki otrzymał od pięknej pani tak lekki i oziębły uścisk ręki, że, jakkolwiek głowę miał zajętą czem innem, jednak to zauważył.

— Czy to jest nowy sposób, pomyślał, czy też ja powiedziałem coś, co jej się nie podobało?

I wieczorem spytał Marynię:

— Co myślisz o pani Osnowskiej.

— Myślę,—odrzekła,—że pan Swirski może mieć trochę słuszność.

A Połaniecki odpowiedział:

— Ona w tej chwili pisze pamiętnik, który „Józio" uważa za arcydzieło.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

XV.

Nazajutrz, gdy Marynia wyszła ubrana do męża, ów ledwie ją poznał. Ubrana w czarną suknię i w czarnej koronce na głowie, wydawała się wyższą, szczuplejszą, smaglejszą i starszą. Ale podobała mu się pewna w niej powaga, która przypomniała mu chwilę ślubu. W pół godziny później wyjechali. Marynia przyznała mu się po drodze do strachu i do bicia serca, on zaś uspokajał ją, żartując, chociaż także był nieco wzruszony, a gdy po krótkiej drodze wjechali w olbrzymie półkole przed Św. Piotrem, czuł, że i jemu pulsa nie biją jak codzień, a prócz tego miał takie dziwne wrażenie, jakby był mniejszy niż zwykle. U schodów, przy których stało kilku szwajcarów, przybranych w przepyszne, obmyślone przez Michała Anioła, ubiory, znaleźli Swirskiego, który wprowadził ich na górę wraz z tłumem ludzi, przeważnie Belgów. Marynia, trochę ogłuszona, sama nie wiedziała, kiedy znalazła się w bardzo obszernej sali, w której tłum był jeszcze większy, z wyjątkiem w środku, gdzie szwajcarowie, ustawieni w szpaler, utrzymywali szerokie wolne przejście. Tłumy, między któremi słychać było język francuski i flamandzki, szepcąc między sobą zniżonemi głosami, zwracały głowy i oczy ku temu przejściu, w którem pojawiały się od czasu do czasu przez drzwi przyległej sali postacie w dziwnych kostiumach, przenoszących Połanieckiego myślą do galeryi antwerpskich, lub brukselskich. Zdawało mu się, że średnie wieki zmartwychwstają: czasem więc był to jakby jakiś rycerz średniowieczny, w innym wprawdzie hełmie niż na dawnych obrazach, ale ze stalą na piersiach, czasem niby herold w krótkiej czerwonej dalmatyce i w czerwonym na głowie berecie, chwilami przez uchylone drzwi migały purpury kardynalskie, lub fiolety biskupie, strusie pióra, koronki na czarnych aksamitach, i głowy niezmiernie sędziwe, o białych włosach, lub twarze jakby z sarkofagów. A jednak znać było, że spojrzenia tłumu padają na te osobliwe stroje, na te barwy i na te twarze, jakby mimochodem, że oczy oczekują czegoś innego, wyższego, i czegoś innego serca, że uwaga skupia się w umysłach, a uczucie w duszach w oczekiwaniu jakiejś chwili, którą się w życiu raz ma, a nazawsze pamięta. Połaniecki, trzymając Marynię za rękę, by jej nie zgubić w tłumie, czuł, jak ta ręka drży ze wzruszenia, sam zaś, wśród tych cichych tłumów, wśród tych bijących serc, wśród tej powagi historycznej i jakby zmartwychwstałych prastarych czasów, wśród tego skupienia i oczekiwania—doznał znów tego dziwnego wrażenia, że staje się coraz mniejszy i mniejszy, i tak mały, jak nigdy w życiu.

Wtem jakiś głos cichy i nieco zdyszany szepnął przy nich:

Digitized by Google

— Upatrywałem was i ledwie znalazłem. Zdaje się, że to już będzie zaraz.

www.ifbtool.com.cn

Ale to nie miało być jeszcze zaraz.—Swirskiego tymczasem powitał znajomy Monsinior i pomówiwszy z nim kilka słów, wprowadził uprzejmie całe towarzystwo do przyległej sali, obitej czerwonym adamaszkiem. Połaniecki ze zdziwieniem spostrzegł, że i tu już było pełno ludzi, z wyjątkiem jednego końca sali, który osłaniała straż honorowa, a w którym stało na podwyższeniu krzesło, przed niem zaś kilku prałatów i biskupów, rozmawiających z sobą poufnie. Tu oczekiwanie i skupienie wpadało w oczy jeszcze wyraźniej. Widać było, że ludzie wstrzymują oddechy i że wszystkie twarze mają uroczysty, tajemniczy wyraz. Błękitna jasność dnia, pomieszana z purpurowemi odblaskami obicia, napełniała tę salę jakiemś niezwykłem światłem, w którem promienie słońca, wdzierające się tu i owdzie przez szyby, wydawały się bardziej rumiane i jakby czerwieńsze.

Czekali jeszcze przez czas jakiś, nakoniec w pierwszej sali dał się słyszeć szmer, potem pomruk, potem okrzyk, nakoniec w otwartych bocznych drzwiach ukazała się biała postać, niesiona przez gwardzistów szlacheckich. Ręka Maryni ścisnęła nerwowo dłoń Połanieckiego, ów zaś oddał jej ten uścisk i wrażenia szybkie, zlewające się w jedno ogólne poczucie jakiejś wyjątkowej i uroczystej doniosłości chwili, poczęły cisnąć się tak do jego umysłu, jak w czasie ślubu.

Jeden z kardynałów począł przemawiać, lecz Połaniecki nie słyszał i nie rozumiał jego przemowy. Jego oczy, myśl i cała dusza były przy przypranej biało postaci. Nic z niej nie uchodziło jego uwagi. Uderzyło go jej niesłychane wycieńczenie, szczupłość, chudość i twarz tak blada, a zarazem tak przezrocza, jak bywają twarze umarłe. Było w niej coś bezsilnego, a przynajmniej wydała mu się nawpół tylko ciałem, a nawpół zjawiskiem; jakby tylko światłem, przeświecającem alabaster, jakby duchem, wszczepionym w jakąś przezroczą materyę, jakby pośredniem ogniwem między dwoma światami, ogniwem ludzkiem jeszcze, lecz już i nadludzkiem, ziemskiem dotąd, ale zarazem nadziemskiem. I przez dziwną antytezę materya w niej wydawała się czemś widziadłowem, duch czemś realnem.

Potem, gdy ludzie poczęli zbliżać się do niej po błogosławieństwo, gdy Połaniecki zobaczył u stóp jej swoją Marynię, gdy uczuł, że do tych kolan, nawpół już empirejskich, można zarazem pochylić się jak do ojcowskich, ogarnęło go silniejsze nad wszystko wzruszenie, oczy zaszły mu jakby mgłą i prawda!—nigdy w życiu nie czuł się tak małem ziarnkiem piasku, ale zarazem uczuł się ziarnkiem piasku, w którem bije wdzięczne serce dziecka.

Digitized by Google

Po wyjściu wszyscy byli milczący. Marynia miała oczy jakby rozbudzone ze snu; profesorowi Waskowskiemu trzęsły się ręce; na śniadanie przywlókł się Bukacki, ale, sam będąc chory, nie potrafił nikogo rozgadać, nawet Swirski mało gawędził podczas posiedzenia— i tylko, wracając ciągle do tego samego przedmiotu, od czasu do czasu powtarzał:

— Tak tak. Kto tego nie widział, ten nie może mieć o tem żadnego pojęcia. To zostaje.

Wieczorem Połaniecki z Marynią poszli oglądać zachód słońca z Trinità dei Monti. Dzień kończył się bardzo pogodnie. Miasto całe pogrążone było jakby w rozpylonym złotym blasku; pod ich stopami, hen, w dole, na Piazza d'Espagna, poczynał się już zmierzch, ale zmierzch jeszcze świetlisty, w którego łagodnych tonach widać było bzy, irysy i białe lilie w wystawach kwiatowych po obu stronach Condotti. W całym obrazie był jakiś wielki i niezmącony spokój, jakby kojąca zapowiedź nocy i snu. Potem Plac Hiszpański począł coraz bardziej zanurzać się w cień, tylko Trynità świeciła ciągle purpurowo.

I Połaniecki, i Marynia odczuli ten spokój w sobie. Zstępowali teraz z olbrzymich schodów z jakiemś dziwnem uczuciem ciszy w duszach. Wszystkie wrażenia dnia układały się w nich w linie tak wielkie i spokojne, jak owe pasma zorzy, która świeciła jeszcze nad niemi. Połaniecki wreszcie rzekł:

— Wiesz co ja pamiętam jeszcze z dziecinnych lat?—że u nas w domu mówiło się pacierz wieczorny zawsze razem.

I począł patrzyć pytającym wzrokiem w jej oczy.

— A, mój Stachu!—odrzekła głosem, w którym drgało wzruszenie—ja ci tylko nie śmiałam o tem mówić—mój najlepszy.

On zaś odrzekł:

— „Służba boża!"—czy pamiętasz?

Lecz ona powiedziała to niegdyś z taką prostotą i jako rzecz, która tak bardzo rozumiała się sama przez się, że teraz nie pamiętała nic a nic.

XVI.

Połaniecki ciągle jednak był w niełasce u pani Osnowskiej. Spotykając się z nim u Swirskiego między jednem posiedzeniem a drugiem, mówiła z nim tylko tyle, ile nakazywało jej dobre wychowanie i grzeczność. Połaniecki widział to doskonale, czasem pytał się siebie: „Czego ta baba ode mnie chce"—i niewiele sobie z tego robił, a byłby jeszcze mniej robił, gdyby jednak „ta baba", zamiast dwu-

Digitized by Google

dziestu ośmiu, miała pięćdziesiąt ośm lat, gdyby nie posiadała tak fijołkowych oczu i tak wiśniowych ust. I taka jest natura ludzka, że pomimo, iż rzeczywiście niczego od niej nie chciał i nie wyglądał, nie mógł wstrzymać się od myślenia, coby być mogło, gdyby istotnie starał się o jej łaski i do czego ona była-by zdolną się posunąć.

Odbyli we czworo jeszcze jedną przejażdżkę do katakumb Św. Kaliksta, Połaniecki bowiem chciał się wypłacić grzecznością za grzeczność, to jest powozem za powóz. Ale wycieczka ta nie przyniosła zgody. Rozmawiali tylko o tyle, żeby nie zwrócić na siebie uwagi—i jego wreszcie zaczęło to gniewać. Rzeczywiście to zachowanie się pani Osnowskiej wytwarzało między nimi szczególny stosunek, niby niechętny, ale im tylko wiadomy, zatem coś wyłącznego między nimi, jakiś rodzaj tajemnicy, do której nikt inny nie był dopuszczany. Połaniecki sądził, że wreszcie wszystko to urwie się z chwilą, gdy koło jej portretu nic już nie będzie do roboty, ale tymczasem, choć twarz była już dawno skończona, pozostawało dużo innych drobnych szczegółów, dla których obecność uroczej modelki okazywała się niezbędną.

Składało się zaś znowu tak, choćby z tej prostej przyczyny, że Swirski nie chciał tracić czasu, że gdy Połanieccy przychodzili, państwo Osnowscy byli jeszcze w pracowni. Czasem też przyzostawali nieco, dla powitania się i krótkiej pogawędki o wczorajszych wrażeniach, czasem pan Osnowski bywał wysyłany przez żonę za jakąś sprawą, lub po jakieś wiadomości—wówczas wychodził naprzód, zostawiając jej powóz przed pracownią.

I raz zdarzyło się, że gdy Marynia już zasiadła do pozowania, pani Osnowska jeszcze nie była wyszła; przez chwilę, dowiedziawszy się, że Połanieccy byli zeszłego wieczoru w teatrze, wypytywała się, nakładając przed lustrem kapelusz i rękawiczki, o śpiewaków i operę —poczem zwróciwszy się Połanieckiego, rzekła:

— A teraz poproszę o odprowadzenie mnie do powozu.

I zarzuciwszy okrycie, poczęła szukać wstążek, przyszytych z tyłu do podszedwki, żeby je zawiązać w pasie, ale w przedpokoju zatrzymała się nagle.

— Nie mogę przez rękawiczki znaleźć wstążek,—rzekła—niech się pan zmiłuje nade mną!

Połaniecki począł szukać, ale przytem musiał ją niemal objąć. Przez chwilę oblał go war żądzy, tem bardziej, że pochyliła się ku niemu, tak, że ciepło od jej twarzy i ciała poczęło na niego bić.

Ona zaś zapytała półgłosem:

— Czemu się pan gniewa na mnie. To źle! Ja tak potrzebuję przyjaznych dusz! Co ja panu zrobiłam?

Digitized by Google

On tymczasem znalazł wstążki, odsunął się, ochłonął i z tem nieco grubem zadowoleniem człowieka szorstkiego, który chce wyzyskać swój tryumf i zaznaczyć, że się nie dał—odpowiedział jej poprostu impertynencyą:

— Pani mi nic nie zrobiła—i nic nie może zrobić.

Lecz ona odbiła niegrzeczność, jakby piłkę w tennisie:

— Bo tak mało czasem zważam na ludzi, że ich prawie nie widzę.

Poczem poszli w milczeniu aż do powozu.

— A więc to tak?—myślał, wracając do pracowni Połaniecki: więc tamby się można posunąć tak daleko, jak się podoba!

I znów przebiegł go dreszcz od stóp do głowy.

— ...Tak daleko, jak się podoba... powtórzył.

Przyczem nie zdał sobie sprawy, że popełnia omyłkę, jaką popełniają codziennie tuziny mężczyzn, miłośników polowania na cudzych gruntach. Pani Osnowska była kokietką, miała oschłe serce i zniecniały już umysł, ale była jeszcze o sto mil od zupełnego fizycznego upadku.

Tymczasem wrócił do pracowni z uczuciem, że uczynił dla Maryni jakąś ogromną ofiarę i z pewnym żalem w sercu, naprzód z tego powodu, że ona o tem wiedzieć nie będzie, a powtóre, że, choćby się dowiedziała, toby jego postępek uważała za zupełnie prosty. To poczucie gniewało go, i gdy spojrzał na nią, na czyste jej oczy, na twarz jej spokojną i piękną uczciwą pięknością, mimowoli porównanie tych dwóch kobiet nasunęło mu się na myśl i w duszy powiedział sobie:

— Ach, Marynia! taka wolała-by się w ziemię zapaść! tej można być pewnym!

I rzecz szczególna. Było w tem niewątpliwie uznanie, ale był zarazem odcień politowania i jakby rozdrażnienia. Była to dusza, tak bardzo jego, iż nie czuł się w obowiązku do ustawicznego podziwu nad jej wartością.

I przez resztę posiedzenia wracał ustawicznie myślą do pani Osnowskiej. Przypuszczał, że w przyszłości przestanie mu poprostu rękę podawać i pokazało się, iż się znów omylił. Przeciwnie, chcąc mu dowieść, że nie przywiązuje żadnej wagi do niego, ani do jego słów, była z nim grzeczniejsza niż przedtem. Tylko pan Osnowski miał minę obrażoną i stawał się dla niego z każdym dniem bardziej lodowaty—zapewne wskutek rozmów z „Anetką."

Lecz w kilka dni później, innego rodzaju wrażenia zatarły to zajście w pamięci Połanieckiego. Bukacki oddawna ciągle był niezdrów; narzekał coraz bardziej na ból głowy z tyłu czaszki i na jakieś dziwne uczucie, jakby rozbratu z własnemi mięśniami. Humor jego od-

Digitized by Google

zywał się jeszcze czasem, ale wybuchał i gasł, jak ogniotrysk. Coraz rzadziej przychodził na wspólne obiady w hotelu. Nakoniec któregoś ranka Połaniecki odebrał jego kartkę, skreśloną bardzo niepewną ręką, a w niej słowa:

„Mój drogi, zdaje się, że od dzisiejszej nocy jestem na wsiadanem. Jeśli chcesz widzieć odjazd, to przyjdź do mnie, zwłaszcza w braku czego lepszego do roboty."

Połaniecki zataił kartkę przed Marynią, ale poszedł natychmiast. Zastał Bukackiego w łóżku, a przy nim lekarza, którego zresztą Bukacki natychmiast odprawił.

— Przestraszyłeś mnie okropnie,—rzekł Połaniecki: co ci jest?

— Nic wielkiego: maleńki paraliżyk lewej części ciała.

— Bój że się Boga!

— Rozumnie mówisz! jeśli kiedy była pora po temu, to teraz. Nie mam władzy w lewej ręce, w lewej nodze—i nie mogę wstać. Takem się obudził dziś rano. Myślałem, żem stracił i mowę i zacząłem sobie deklamować:

„Per mi si va..." ale jak widzisz—nie! Język został—a teraz pracuję nad odzyskaniem pogody myśli.

— Czyś ty tylko pewny, że to paraliż?—może to chwilowe zdrętwienie.

— „Czem jest życie—ach, chwilką tylko!"—począł deklamować Bukacki.—Nie mogę się ruszać i skończyło się—albo jeśli wolisz: zaczęło się!

— Toby była okropna rzecz, ale ja w to nie wierzę. Każdy może na czas jakiś zdrętwieć.

— Bywają chwile w życiu nieco przykre, jak mówił karaś, którego kucharka oskrobywała nożem z łuski. Przyznaję ci się, że w pierwszej chwili strach mnie zdjął. Czy ty miałeś kiedy uczucie podnoszenia się włosów na głowie? Niezupełnie ono się da policzyć do uczuć rozkosznych. Ale teraz przyszedłem już do równowagi i po trzech godzinach wydaje mi się, żem sobie żył z moim paraliżem od dziesięciu lat. Kwestya przyzwyczajenia! jak mówił rydz na patelni. Dużo gadam, bo nie mam wiele czasu. Czy ty wiesz, mój drogi, że ja za parę dni umrę?

— Prawdziwie gadasz! Ludzie sparaliżowani żyją po trzydzieści lat.

Bukacki odpowiedział:

— Nawet po czterdzieści! Paraliż jest to poniekąd luxus, na jaki sobie mogą niektórzy pozwolić—ale nie tacy, jak ja. Dla tęgiego człowieka, który ma porządny kark, porządne plecy i porządne łydki, to może być nawet rodzajem wypoczynku, rodzajem wywczasu po wesołej

Digitized by Google

młodości—i sposobnością do rozmyślań—ale dla mnie! Pamiętasz, jakeś wyśmiewał moje łydki?—Otóż powiadam ci, że miałem wówczas elefantiasis w porównaniu z tem, co dziś jest. To nieprawda, że każdy człowiek jest bryłą—ja jestem tylko linią—i do tego linią, idącą— bez żartów—*w nieskończoność*!..

Połaniecki począł się zżymać, zaprzeczać, powoływać się na znane sobie przykłady—lecz Bukacki odparł:

— Daj pokój! ja czuję i wiem, że za parę dni przyjdzie paraliż mózgu. Nie mówiłem nikomu, żem ja się od roku tego spodziewał i od roku czytałem medyczne książki... Przyjdzie drugi atak i będzie koniec!

Tu umilkł, lecz po chwili począł znów mówić:

— I czy myślisz, że ja tego nie wolę! Pomyśl, że ja jestem samotny, jak odcięty od ręki palec. Nie mam nikogo... Tu, a nawet i w Warszawie, mogli-by mnie pilnować tylko ludzie płatni.—To ogromnie podłe życie, bez ruchu i bez żywego ducha bliźniego.—Gdy stracę mowę, jak straciłem ruch, to pierwsza lepsza dozorczyni, albo pierwszy lepszy dozorca będzie mnie mógł po fizyognomii bić, ile mu się podoba. A trzeba ci wiedzieć jedną rzecz. Zląkłem się w pierwszej chwili paraliżu, ale w mojem marnem ciele siedzi harda dusza—przypomnij sobie, com ci mówił, że się śmierci nie boję—i nie boję się!

Tu w oczach Bukackiego mignął jakiś płowy odblask odwagi i energii, ukrytej gdzieś na dnie tej zwichniętej i rozmiękczonej duszy.

Lecz Połaniecki, który miał dobre serce, położył rękę na jego sparaliżowanej dłoni i rzekł z wielką serdecznością:

— Mój Adziu! Nie przypuszczaj tylko, że cię tak zostawimy, jak jesteś—i nie mów, że nie masz nikogo. Masz mnie, a oprócz mnie i moją żonę, i Swirskiego, i Waskowskiego, i Bigielów. Dla nas nie jesteś obcym. Przewiozę cię do Warszawy, umieszczę w domu zdrowia i będziemy cię doglądali, a po pysku żaden dozorca nie będzie cię bił, —naprzód dlatego, że jabym każdemu kości połamał, a powtóre, że u nas są szarytki, a między niemi jest pani Emilia.

Bukacki umilkł i trochę pobladł. Był i on więcej wzruszony, niż chciał okazać. Przez oczy przeszedł mu cień. Po dłuższem milczeniu rzekł:

— Ty jesteś dobry chłopak. I sam nie wiesz, że dokazałeś cudu—boś dokazał, że jeszcze czegoś chcę... Tak, ogromnie-bym chciał do Warszawy,—między was wszystkich. Ogromnie-bym się cieszył na Warszawę!..

— Trzeba, żebyś i tu zaraz przeniósł się do jakiego domu zdrowia pod stały nadzór. Swirski powinien wiedzieć, gdzie najlepiej.—

Digitized by Google

Tymczasem oddaj mi się w łapy—dobrze?—Pozwól, że ja się za ciebie rozporządzę.

— Rób co chcesz,—odpowiedział Bukacki, w którego, na widok nowych planów i energii Połanieckiego, poczęła wstępować otucha.

www.libtool.com.pl

Połaniecki napisał do Swirskiego, do Waskowskiego i wysłał natychmiast posłańców. W pół godziny zjawili się obaj, a Swirski ze słynnym miejscowym lekarzem—i jeszcze przed południem Bukacki znalazł się w domu zdrowia, w jasnym i wesołym pokoju.

— Jaki to łagodny i ciepły ton—rzekł—spoglądając na złotowy kolor ścian i pułapu. To ładne.

Poczem zwrócił się do Połanieckiego.

— Przyjdź do mnie wieczorem—rzekł, a teraz idź do żony.

Połaniecki pożegnał się i wyszedł. Przyszedłszy do domu, opowiedział ostrożnie Maryni cały wypadek, nie chciał jej bowiem przestraszać nagłą wieścią, przypuszczając, że może być w stanie odmiennym. Marynia poczęła go prosić, by zabrał ją do Bukackiego, jeśli nie wieczorem, to nazajutrz rano—co przyrzekł uczynić. Wybrali się też zaraz po śniadaniu, gdyż posiedzenia tego dnia nie było.

Ale przedtem profesor Waskowski nie odstępował Bukackiego ani na chwilę. Gdy chory zagospodarował się już w nowem łóżku, w domu zdrowia, staruszek począł mu opowiadać, jak raz myślał już, że umrze, ale po spowiedzi i po przyjęciu sakramentów zrobiło mu się jakby cudem lepiej.

— Znana metoda, kochany profesorze,—odpowiedział z uśmiechem Bukacki—i wiem o co panu chodzi.

A profesor zmieszał się, jakby złapany na złym uczynku—i złożył ręce.

— Bo ja się założę, że to-by ci pomogło,—rzekł.

Bukacki zaś odpowiedział z odbłyskiem dawnego humoru:

— Dobrze. Za parę dni przekonam się, o ile mi to pomoże—z tamtej strony rzeki.

Przybycie Maryni ucieszyło go tem bardziej, że było dla niego niespodzianką. Począł mówić, że nie spodziewał się już po tej stronie rzeki zobaczyć żadnej kobiety, a do tego swojej. Trochę przytem na wszystkich zrzędził, ale z widocznem wzruszeniem.

— Co to za romantycy! —mówił. —To jest wprost brak rozsądku zajmować się takim kościanym dziadkiem, jak ja. Wy nigdy nie potraficie być rozsądni. Poco to? naco? Oto jeszcze przed śmiercią muszę być wdzięczny—i jestem wdzięczny—szczerze—bardzo szczerze!..

Ale Marynia nie dała mu mówić o śmierci, natomiast z wielkim spokojem mówiła o konieczności przeniesienia się do Warszawy, między swoich; mówiła o tem, jak o rzeczy, której możliwość wykonania

Digitized by Google

nie podlega najmniejszej wątpliwości i potrafiła zwolna wszczepić to przekonanie w Bukackiego. Dawała mu rady, jak ma się urządzić, a on w końcu słuchał ich chciwie. Myśli jego przeszły w jakiś stan folgi, w którym dały sobą powodować. Czuł się jakby dzieckiem, i do tego biednem dzieckiem.

Tegoż samego dnia odwiedził go jeszcze pan Osnowski i ten również okazał mu tyle zajęcia i serca, ile mógł okazać rodzony brat. Bukacki wprost się tego wszystkiego nie spodziewał i na nic podobnego nie liczył. To też gdy późnym wieczorem przyszedł jeszcze raz Połaniecki i gdy zostali sam na sam, rzekł:

— Powiem ci teraz szczerze: nigdym lepiej nie czuł, żem z życia zrobił głupią farsę i żem je zmarnował, jak pies.

Po chwili zaś dodał:

— I gdybym był chociaż znajdował prawdziwe upodobanie w tej metodzie, według której żyłem—ale i to nie. Jaka głupia ta nasza epoka! Człowiek się rozdwaja: wszystko, co w nim lepsze, chowa i zatyka gdzieś w kąty, a staje się jakąś małpą, czy pajacem, i to gorzkim pajacem, a w dodatku często nieszczerym. Więcej wmawiać w siebie marność życia, niż ją odczuwać—jakie to dziwne!—Jedna rzecz mnie pociesza, że czemś naprawdę rzeczywistem w życiu jest tylko śmierć—chociaż z drugiej strony, to znów nie racya, żeby przedtem, nim ona przyjdzie, mówić jak dureń na wino, że to ocet.

— Mój kochany,—odpowiedział Połaniecki,—tyś się zawsze męczył tem ciągłem nawijaniem myśli na byle motek. Nie czyń-że tego teraz.

— Masz słuszność. Ale nie mogę o tem nie myśleć, że pókim chodził i był jako tako zdrów, drwiłem z życia, a teraz—powiem ci to pod sekretem—ja mam ochotę jeszcze żyć.

— I będziesz.

— Ej, daj spokój. Żona twoja mi to wmówiła—ale teraz znów nie wierzę. I ciężko mi.—Zmarnowałem się. Ale słuchaj, dlaczego chciałem z tobą mówić. Nie wiem, czy czeka mnie jaki obrachunek, czy nie? Szczerzę ci mówię: nie wiem!—a jednak mam jakiś dziwny niepokój, jakbym się czegoś bał— i powiem ci czego: oto, że ja tam, dla swoich, nic nie zrobiłem, a mogłem! mogłem! Przed tą myślą strach mnie bierze—daję ci słowo! To jest niegodna rzecz! Nic nie zrobiłem: zjadałem darmo chleb, a teraz... śmierć. Jeśli są jakie baty i jeśli mnie czekają, to za to—i słuchaj Stachu—ciężko mi!..

Tu, jakkolwiek mówił, zwykłym sobie, niedbałym tonem, twarz jego poczęła wyrażać istotny niepokój—usta pobladły mu nieco, a na czole osiadło kilka kropel potu.

Digitized by Google

— Daj-że pokój!— rzekł Połaniecki: ot, co mu do głowy przychodzi! Szkodzisz sobie.

Lecz Bukacki mówił dalej:

— Słuchaj, czekaj! Ja mam dość znaczny majątek—niech choć on coś zrobi za mnie. Ja tobie zostawię część, ale ty resztą rozporządź na coś pożytecznego! Ty jesteś praktyczny i Bigiel także. Namyślcie się, bo ja nie wiem, czy będę miał czas. Zrobisz to?

— I to, i co chcesz.

— Dziękuję ci.—Jaki to dziwny tego rodzaju niepokój i tego rodzaju wyrzuty. A jednak nie mogę się pozbyć poczucia winy. Takie warunki, że nie godzi się!—Trzeba zrobić coś uczciwego chociaż przed śmiercią. To jednak nie żarty!—Śmierć. Żeby to było coś widnego, ale to takie ciemne!.. I trzeba rozpadać się, psuć i gnić *po ciemku*. Czy ty jesteś człowiek wierzący?

— Tak jest.

— A ja ani tak, ani nie.—Bawiłem się w nirwanę, tak jak w inne rzeczy. Wiesz, żeby nie poczucie tej winy, tobym był spokojniejszy. Nie miałem pojęcia, że to tak może dokuczać.—Mam wrażenie, że jestem pszczołą, która ograbiła swój ul, i że to jest rzecz podła.—Ale przynajmniej zostanie po mnie majątek. Co? prawda?—Trochę straciłem, ale bardzo nie wiele—i to na obrazy, które także zostaną—prawda?—Ach, jakbym ja chciał teraz jeszcze żyć, choćby z rok, choćby tyle, by nie umrzeć tu.

Na chwilę zamyślił się i potem rzekł:

— Ja teraz rozumiem jedno: życie może być złe, bo je człowiek może sobie głupio urządzić—ale istnienie, to dobra rzecz.

Połaniecki odszedł późną nocą. Przez tydzień następny zdrowie chorego wahało się. Lekarze nie umieli nic przewidzieć, sądzili jednak że podróż w żadnym razie nie może sprowadzić niebezpieczeństwa. Swirski i Waskowski podjęli się odwieźć chorego, który tęsknił coraz bardziej i codziennie prawie wspominał panią Emilię—siostrę miłosierdzia. Ale w wigilię dnia, w którym mieli wyjechać, stracił nagle mowę. Połanieckiemu serce się krajało, gdy patrzył na jego oczy, w których chwilami malował się straszny niepokój, a chwilami, jakby jakaś wielka, niema już prośba. Probował pisać, ale nie mógł. Wieczorem przyszło porażenie mózgu—i umarł.

Pochowano go na Campo Santo, tymczasowo.—Połaniecki bowiem domyślał się, iż jego spojrzenia wyrażały prośbę o przewiezienie go do kraju, a Swirski potwierdził domysł.

Tak znikła ta bańka mydlana, czasem połyskująca barwami tęczy, ale czcza i nie trwała, jak prawdziwa bańka.

Digitized by Google

Połaniecki szczerze strapiony był jego śmiercią i następnie całemi godzinami rozmyślał o tem dziwacznem życiu. Myślami temi nie dzielił się z Marynią, bo jakoś dotąd nie weszło mu w zwyczaj dzielić się z nią z tem, co się w nim działo. Ostatecznie, jak to się często zdarza ludziom, którzy myślą o umarłych, wyprowadził z tych rozmyślań rozmaite wnioski na własną korzyść.

— Bukacki,—mówił sobie,—nigdy nie umiał przyjść do ładu z własnym rozumem; brakło mu zmysłu życiowego, nie umiał rozpoznawać się w tym lesie i szedł zawsze według chwilowej fantazyi. I gdyby mu było z tem dobrze, gdyby był z życia coś wycisnął—przyznałbym mu jeszcze rozum. Ale jemu było źle. Istotnie głupią jest rzeczą, wmawiać w siebie, zanim śmierć przyjdzie, że wino jest octem. Jednak patrzę jaśniej na rzeczy, a oprócz tego, byłem z sobą daleko szczerszy. Bądź, co bądź, ja prawie zupełnie jestem w porządku i z Bogiem, i z życiem.

Było w tem nieco prawdy, ale były i złudzenia. Połaniecki nie był w porządku z własną żoną.

Sądził, że dając jej opiekę, chleb, dobre obchodzenie się i miażdżąc od czasu do czasu jej usta pocałunkami, spełnia wszelkie możliwe obowiązki, jakie względem niej zaciągnął. Tymczasem stosunki między nimi zaznaczały się coraz wyraźniej w ten sposób, że on tylko raczył kochać i raczył przyjmować miłość.—W ciągu jego spostrzeżeń życiowych uderzało go niejednokrotnie dziwne zjawisko, że gdy naprzykład człowiek, znany z uczciwości, spełnił jakiś szlachetny postępek, ludzie kiwali rękoma, jakby z pewną niedbałością, mówiąc: „Ach, ten, pan X To zupełnie naturalnie!“ gdy jednak wypadkiem zdarzyło się uczynić coś uczciwego szui—ci sami ludzie mówili z wielkiem uznaniem: „A jednak w nim coś jest.”—Sto razy Połaniecki widział, że grosz, dany przez skąpca, więcej czyni wrażenia, niż dukat, dany przez człowieka hojnego. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że w stosunku do Maryni sam trzyma się takiej samej miary sądu i uznania. Oddawała mu całą swą istność, całą duszę?—„Ach, Marynia! to naturalne!”—I kiwał również ręką. Gdyby jej miłość nie była tak względną, gdyby przychodziła mu z większą trudnością, gdyby w przeświadczeniu, że jest skarbem, oddawała się jako skarb, gdyby w przeświadczeniu, że jest bóstwem, wymagała schylonej głowy i czci—Połaniecki byłby ją przyjmował ze schyloną głową i czcił. Takie jest ogólnie serce ludzkie i tylko najbardziej wyborowe natury, utkane z promieni, umieją wznieść się nad ten poziom.—Marynia oddawała Połanieckiemu swoją miłość, jako jego prawo—więc i przyjmował ją jako swoje prawo. Jego miłość uważała za szczęście, więc też on dawał ją jako szczęście—sam

Digitized by Google

zaś czuł się bożkiem w ołtarzu. Jeden jego promień padał na serce kobiece i rozjaśniał je—resztę promieni bożek chował dla siebie. Biorąc wszystko—oddawał tylko część. W jego miłości nie było tej bojaźni, która wypływa ze czci—i nie było tego, co w każdej pieszczocie mówi kochanej kobiecie: „do twoich stóp!"

Ale nie rozumieli jeszcze tego oboje.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Henryk Sienkiewicz.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Spory dyplomatyczne o samozwańców.[1)]

III.

To zakończenie, wzmianka o „innych sprawach", bronienie się przed przemocą, mogło-by być niezrozumiałem dla niewtajemniczonego w ówczesne położenie. Szujski żądał nasamprzód od posłów, a potem znowu od posłanników, zawarcia osobnego traktatu pokoju, zaś w miarę, jak zbliżało się nowe niebezpieczeństwo w postaci drugiego samozwańca, chcąc koniecznie przyprowadzić do tego, aby posłowie poręczyli odłączenie się Polaków i Litwinów od Dymitra II, chwycił się tego gwałtownego, radykalnego i niesłychanego środka, jakim było zamknięcie poselstwa, bo tym tylko sposobem mógł sparaliżować siły nowego impostora. W istocie położenie cara Wasyla stawało się z każdym dniem trudniejszem, gdyż nowy Samozwaniec zbliżył się z nową kolosalną bandą pod Tuszyn. Największą zaś podporą jego byli właśnie Polacy i Litwini, najrozmaitsi zbiegowie z pogranicza, ochotnicy zorganizowani, z dzielnymi dowódcami na czele, bitni, zuchwali i znający sztukę wojenną. Wprawdzie przeważali wielokrotnie w kupie Samozwańca liczebnością kozacy, ale prawdziwe i rzeczywiście niebezpieczne jądro stanowiła stosunkowo mała cząstka nieźle uzbrojonych żoł-

[1)] Dokończenie. Patrz zeszyt marcowy „Biblioteki."

Digitized by Google

nierzy z Polski i Litwy. Nie można bynajmniej twierdzić, aby z inicyatywy Zygmunta pułki te organizowały się; nie, Zygmunt wprzód tylko nie przeszkadzał, albo udawał, że zakazuje, a teraz nie mógł-by był nawet przeszkodzić, więc bandy tworzyły się, same organizowały i wkraczały do Moskwy, ciągnęły do nowego impostora. Zygmunt sam wplątanym był wtedy w rokosz Zebrzydowskiego, sam naprzeciw siebie ujrzał kupy uzbrojonego szlachectwa, z któremi staczał bitwy. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, iż Szujski pragnął wyzyskać to ubezwładnienie korony, miał nadzieję uspokojenia państwa, zabezpieczenia się od mniej lub więcej otwartego udziału sąsiadów w zamieszaniach; przerachował się, bo się wszystko przeciw niemu sprzysięgło, bo nowa przed nim stanęła groza.

Traktat, zawarty pod przymusem, nie miał znaczenia, a jednak Szujski wymusił go, zobowiązał się wypuścić wszystkich zatrzymanych, zwrócić zabrane ruchomości, jakie-by się dały odszukać. Co zaś do sporów pogranicznych, oraz co do pretensyi, jakie sobie roszczono z powodu spustoszenia państwa przez Dymitra I—rzecz cała odłożoną została do dogodniejszej chwili. Tym sposobem, usunąwszy ważniejsze przeszkody, obie strony zawarły umowę na następujących warunkach (Ist. smutn. wremjeni D. Buturlina. Petersb. 1841, t. II. Str. 127—132): Rozejm, zawarty za Borysa Godunowa, trwać ma jeszcze trzy lata i jedenaście miesięcy. Znaczyło-by to przedewszystkiem, iż Szujski uznał pośrednio rozejm, zawarty za Borysa w r. 1601, za niebyły, ale chciał przynajmniej wytargować w ten sposób rozejm do lat dziesięciu od powyższej pierwotnej daty ugody. Podczas tych niespełna czterech lat mieli być wysłani obustronnie posłowie dla zawarcia wiecznego pokoju. Traktat omawiał jeszcze zwykłe kwestye stosunków sąsiedzkich, które nie miały wejść w wykonanie, dlatego też dłużej nad tą ugodą zatrzymywać się nie będziemy. Najdalej 28 września (vet. st.) mieli być wypuszczeni Jerzy Mniszech z Maryną, natomiast król i Rzplta odwołają kn. Romana Rożyńskiego, kn. Adama Wiśniowieckiego i innych adherentów Samozwańca; nie mają wierzyć na przyszłość żadnym podobnym ludziom; Jerzy Mniszech nie uzna „tuszyńskiego" (Samozwańca II), Maryna przestanie się tytułować „carową moskiewską."

Lubo Wasyl otrzymał z dworu poselskiego ostrzeżenie przez zdrajcę, że 4 posłowie działają nieszczerze, bo podpisując traktat, nie mają zamiaru go dotrzymać (czego się słusznie mógł spodziewać—boć, prócz kwestyi przymusu moralnego, był jeszcze niezbędny warunek potwierdzenia przez sejm Rzeczypospolitej); jednakowoż zawarł umowę, poczem pierwszych dni sierpnia 1608 r. zatwierdził ją własnym podpisem. Życzeniem jego przedewszystkiem było ubić, we własnym interesie, wszelkie pretensye, jakie-by Polacy rościć sobie mogli z tytu-

Digitized by Google

łu rzezi i rabunków przy śmierci Łże-Dymitra, tak, iżby nie mogły już być powodem do dyplomatycznej interwencyi. Nie przebierał w środkach, więc chciał mieć, jako autor tegoż zamachu stanu, w ręku pokwitowanie. Dlatego, tegoż samego dnia, posłowie i bojarowie podpisali jeszcze oddzielny akt, a mianowicie: posłowie pokwitować musieli bojarów z odbioru ruchomości wojewody Mniszcha i jego dzieci (Maryny i syna), poświadczyli odbiór sprzętów i rzeczy osób wzmiankowanych powyżej: Wolskiego, Niemojewskiego i Wojny, oraz zwrot rzeczy i towarów polskich kupców: Siemiradzkiego i Celarego, oraz niemieckich: Althana i Zauszburga (t. j. Andrzeja Natana z Auszpurga). Stanęło atoli, że pretensye za zabicie lub zrabowanie różnych osób, z drugiej zaś strony za spustoszenia, sprawione w państwie moskiewskiem przez Polaków Otrepjewa, za wysłanie przez tegoż Marynie klejnotów i za pobrane przez Mniszchów i ich towarzyszy towary u moskiewskich kupców, będą przedmiotem pertraktacyi w następnych poselstwach. Powiedzieliśmy już, że podpisujący przyjęli na siebie obowiązek odciągnąć Polaków i Litwinów od tuszyńskiego, t. j. drugiego samozwańca, zobowiązali się nawet napisać do samego króla z prośbą o zatwierdzenie tego żądania surowym nakazem, mieli rozesłać po wszystkich granicznych miastach, nawet do Inflant, obwieszczenia, aby nikt nie ważył się iść na wojnę do Moskwy i t. d. i t. d.

Posłowie królewscy, radzi, nieradzi zawarli umowę, do której zresztą upoważnienia nie mieli, tak, że ją uważać z góry musieli za akt bez wartości. Zresztą nie mieli możności powstrzymywania napływu ochotników do Tuszyna. To jednak nie ulega wątpliwości, iż, gdyby się Polacy oddalili, niesforna lubo tak liczna tłuszcza samozwańca nie była-by niebezpieczną, straciła by podporę, rozbiła się rychło sama na mniejsze rozbójnicze kupy, bez karności, uzbrojenia, dowództwa i jakiej takiej organizacyi. Z samymi kozakami wojsko Wasyla łatwo mogło sobie dać radę. Tymczasem doraźne obliczenia Szujskiego chybiły na tym punkcie zupełnie.

Po podpisaniu umowy, Polacy zostali uwolnieni, Mniszchowie okrężną drogą wysłani ku Litwie. Atoli wypadki wzięły przebieg całkiem inny od planów Szujskiego. Nie tylko Mniszchowie, ale nawet Mikołaj Oleśnicki znaleźli się niebawem w obozie Samozwańca—nie wiadomo, czy dobrowolnie, czy też porwani przez watahę tuszyńca.

Relacye posłów, po powrocie do korony, już po ukończonym rokoszu Zebrzydowskiego, dolały oliwy do ognia. Podczas, gdy w Moskwie, jak widzieliśmy, winę powodzenia Samozwańca przypisywano dwulicowości Zygmunta, jego politycznym machinacyom—w Polsce zapatrywano się inaczej na bieg wypadków. Ostatecznie, ani naród jako taki, ani rząd, formalnego udziału w tem nie brali, z dziełem i przedsie-

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

biorstwem kilku panów i kilkunastu możniejszej szlachty ogół mógł sympatyzować, ale nie był wmieszanym. O poparciu drugiego Dymitra, choćby na mniejszą oficyalną skalę, nie mogło nawet być mowy, gdyż od r. 1606 do r. 1608 panował w koronie zamęt, wywołany rokoszem Zebrzydowskiego.

www.libtool.com.cn

Taktykę Szujskiego pokrzyżowało nagle zjawienie się drugiego Samozwańca, zwanego raz tuszyńskim, to znów kałuskim, względnie do miejsca, gdzie się usadawiał. Łże-Dymitr II zebrał kilkadziesiąt tysięcy hultajstwa, podszedł pod stolicę i wyczekiwał jej upadku.

Wiemy, że potem przyszła, w r. 1609, wyprawa Zygmunta pod Smoleńsk, z zamiarem zajęcia przezeń tronu aż do czasu pełnoletności młodego Władysława; wiemy, że było stronnictwo nie uchylające się wcale od tej kombinacyi. Mieliśmy sposobność opowiedzieć na innem miejscu, w jaki sposób zamysły Wazy pokrzyżowane zostały przez szeroką agitacyę religijną, jak zwyciężyli patryoci i duchowieństwo, jak zaciętą stoczono walkę w latach 1611 i 1612, które stanowią niewątpliwie jedną z najpiękniejszych kart historyi Rossyi, a zarazem epilog do epoki drugiego samozwańca, jako to: zajęcie Moskwy przez hetmana Stan. Żółkiewskiego, rządy A. Gosiewskiego na Kremlu razem z życzliwymi Polsce bojarami, zbieranie *opołczenia*, powstanie w stolicy, bitwy na ulicach, pożar miasta i ściśnięcie małej polskiej załogi przez pospolite ruszenie chłopstwa, zamknięcie jej w Kremlu zanim na pomoc zdążył Inflant J. K. Chodkiewicz, i w końcu wzięcie jej głodem.

IV.

Od dwóch lat (t. j. od r. 1613) panuje wybrany na tron Michał Fiodorowicz Romanow, nieuznany dotychczas przez Polskę, ignorowany przez nią, bo i stosunki wzajemne obu państw są nieuregulowane, a nawet o świeżo przez Zygmunta zdobyty Smoleńsk na nowo toczy się walka, gdyż wojska carskie obległy polską załogę. W Rzpltej rewindykują owszem dla królewicza Władysława prawa do tronu moskiewskiego, na zasadzie aktu, spisanego z Żółkiewskim, na zasadzie drugiego poselstwa Sołtykowa z jesieni 1611 roku. Wprawdzie pomyślnego przebiegu pertraktacyi, pozwala oczekiwać to, że w nich pośredniczy cesarz niemiecki, podobnie jak do rokowań Moskwy ze Szwecyą wdają się Anglia i Hollandya. Zanosi się tedy na traktaty pokojowe nad granicą w jesieni r. 1615. Ze strony carskiej koresponduje w tej materyi z senatem warszawskim, znany nam z czasów elekcyi królewicza Władysława, kn. Fiodor Mścisławski. Jemu-to odpowiada, wracając myślą do świeżych wypadków z czasów drugiego Samozwańca, podczas wal-

Digitized by Google

nego sejmu w marcu, przez posłannika, Fiodora Żelabuskiego, prymas, Wojciech Baranowski, kiedy zawiadamia *dumę* o blizkim wyjeździe komisarzy nad granicę, dla układów. „Pisaliśmy do was przez Fiodora Reźniczyna, iż życzylibyśmy sobie zgody między koroną Polską a Moskiewskiem Hospodarstwem, aby zakończyć rozlew krwi, tak, aby nasz i wasz naród mogły żyć bezpiecznie w domach swoich. Na poselstwo nasze odpowiedzieliście przez Żelabuskiego i w liście waszym zamieściliście wiele słów oskarżających, nieprawdziwych, zwalając wszystkie winy na nas i Hospodara naszego. Na list wasz odpowiedzieliśmy wam przez waszego gońca, Oładyna, poczem wyście powtórnie takąż uwłaczającą odpowiedź nadesłali, jakoby król złamał pokój, zawarty z Borysem, popierając *rozstrzygę*.

Bogu i ludziom wiadomo, iż król nasz nie popierał Samozwańca, lecz Bóg ukarał Borysa za nieprawości i złości. Boska kara dosięgła go nie z ręki królewskiej, lub z ręki obcego narodu, lecz z ręki chłopa jego narodu, który się targnął na jego państwa. A Polaków nie było przy Samozwańcu (pierwszym), jeno Dworzycki z 700 ludzi swywolnych, co z gardłem od sądów J. Kr. Mości uszli!"

Ludzie tego Dworzyckiego, który prowadził, jak pisze prymas, 700 ludzi konnicy, były to roty, najęte przez wojewodę sandomierskiego, Mniszcha, dla Łże Dymitra, kiedy ruszał w pochód do Moskwy. Do nich przyłączyli się kozacy. Wiarogodny świadek, Samuel Maskiewicz, wspomina o nich także w pamiętniku swoim.

Przechodząc do świeższych zdarzeń, pisze prymas w dalszym ciągu.

„Piszecie, iż król złamał powtórnie pokój, zawarty przez posłów swoich, Oleśnickiego i Gosiewskiego, gdy tymczasem wiadomo wszystkim, iż Wasyl Szujski, zabiwszy rozstrzygę, wielu naszych pomordował, posłów królewskich, jako więźniów, półtrzecia roku przetrzymał, poczem zawarłszy z nimi rozejm, na lat trzy (i jedenaście miesięcy) rozejm naruszył. Za to go Bóg skarał przez drugiego samozwańca, co się przezwał Piotrem Fiodorowiczem (rzeczywiście był taki mniejszy Samozwaniec) synem Fiodora Hospodara waszego, zaś Polacy wcale mu nie pomagali. Gdy drugi Samozwaniec zniesionym został, znalazł się trzeci, co się nazwał Dymitrem (Łże-Dymitr II), zdobył grody Siewierskie; choć swywolni Polacy połączyli się z nim, jednakowoż działo się to bez wiedzy króla. Gdy posłowie J. Kr. Mości powrócili od cara (w r. 1608), król, lubo widział nieprawości Wasyla, przecie wydał uniwersały, zabraniające popierać Samozwańca, stojącego w Tuszynie, a do owych swywolnych ludzi posłał uniwersały, aby Moskiewskie Hospodarstwo opuścili. Gdy uniwersały nie poskutkowały, król był za tem, aby, porozumiawszy się z Wasylem, ludzi tych znieść, lecz Hospo-

Digitized by Google

dar wasz tej propozycyi nie przyjął, i zamiast wypuścić na wolność Polaków, których trzymał w niewoli, według warunku pokoju, posłał Gołowina i Sydawnego do Karola Sudermańskiego, krzywoprzysiężcy, poddanego J. Kr. Mości, poczem zawarłszy układ z Karolem, zaczął się mianować księciem połockim. Widząc złamanie przymierza, król ruszył na Wasyla, Bóg mu pobłogosławił i Hospodara ukarać raczył."

Nie przytaczamy tutaj dokumentu w całej rozciągłości jego, gdyż zawiera rzeczy znane już skądinąd, jednakowoż powiedzieć jeszcze musimy, że, wracając się do będącej wtedy przedmiotem ostrych starć kwestyi elekcyi młodego Władysława na cara, Baranowski wzywa przeciwników, aby, zaniechawszy zwalania winy na króla i zapomniawszy przeszłości, myśleli nad tem, jakby zaprzestać rozlewu krwi i zawrzeć stałą ugodę. W tym celu zostali wydelegowani pod Smoleńsk, razem z Erazmem Hejdeliusem, pośrednikiem niemieckim: biskup kijowski, K. Kazimierski, hetman w. lit. J. K. Chodkiewicz, Aleksander Gosiewski, M. Hlebowicz, Krzysztof Radziwiłł, B. Ogiński, podkom. trocki, S. Hornostaj, podkom. kijowski, K. Charlęski i Jan Hrydicz, a z drugiej strony: J. M. Worotyński, A. Siekij i Art. Izmaiłow.

W ślad za tym listem wysłanym był w lipcu glejt dla moskiewskich komisarzy i vice versa dla polskich.

Teraz rozpoczynały się kłótnie na nowo, a więc nasamprzód o miejsce zjazdów. Trzeba wiedzieć, iż płynęło z tradycyi, aby zjazdy miewały miejsce na samej granicy obydwu państw. Jeśli-by więc Smoleńsk zostawiony był w tyle po-za miejscem zebrania komisarzy, byłoby to stanowiło prejudykat dla rozgraniczenia na korzyść jednej lub drugiej strony. Dlatego też J. K. Chodkiewicz zmuszonym był z Bychowa zwrócić uwagę pp. moskiewskich, a osobliwie Chowańskiego, oblegającego teraz Smoleńsk, że najlepiej będzie zjechać się między Smoleńskiem a Dorohobużem, nie zaś między Białą i Wieliżem, jak bojarzy proponowali, nazywając Smoleńsk ojcowizną swoją. Zresztą było, jak zawsze, dość drażliwych punktów do przedyskutowania, jak np. zajścia pograniczne, zaprzestanie kroków wojennych, rychła ekspedycya gońców i t. d. Dość, że Chodkiewicz zniewolonym był, po krótkim czasie, wysłać nowego gońca, Maksymiliana Kaleczyckiego, z pismem, gdzie dowodził, że i w instrukcyi komisarskiej wskazanem było, aby zjazd odbył się między Smoleńskiem a Wiaźmą. Według tarego bowiem zwyczaju, posłowie i gońcy jeździli do Moskwy zawsze ze Smoleńska, nietylko wówczas, gdy Smoleńsk do Litwy należał, ale również gdy do Moskwy został przyłączonym. Miał to być argument na rzecz odwiecznych praw Litwy do tego grodu. Przypominali też, że Olgierd, syn Gedymina, zawarł, stojąc pod Moskwą, pokój z Dymitrem Iwanowiczem z okre-

Digitized by Google

śleniem granic jak się należało, a nie aż do tego miejsca, gdzie toczyły się układy. Podobnie i teraz układy będą się prowadziły nie o granicę między Białą i Wieliżem, albo też Orszą a Smoleńskiem, lecz o pokój między chrześcijańskiemi narodami. „Napróżno zwlekacie (pisali oni); dobrze wiemy, iż nie uspokoił się jeszcze gniew boży za grzechy ludzkie i nie dopuszcza Bóg, byście naprawdę o zgodzie pomyśleli. O tem także wiemy, iż Hospodarstwo Moskiewskie, przez tyloletnią wojnę domową i przez ościennych nieprzyjaciół zniszczone, na dalsze spustoszenie jest skazanem. Trzeba więc, aby pokój śród nas zapanował Lubo przypuszczać trudno, by do niego doprowadziły wasze zwłoki, hramoty i postępki, jednak pokładamy nadzieję w Bogu. Jeżeli wszakże do pokoju nie dojdzie, zaświadczy poseł J. Cesarskiej Mości, zobaczą panowie senatorowie i wszystkie stany korony i księstwa litewskiego, oraz państwa ościenne, żeśmy szczerze o pokoju myśleli. Dlatego więc, lubo rozkazano nam zjechać się z wami nad rzeką Wopią, my przy swojem się nie upieramy i zdajemy to na posła J. Ces. Mości, gdzie on znajdzie właściwem, by się zjazd odbył, czy za Wopią, czy też bliżej. O tem tylko wiedźcie, iż pomiędzy Białą i Wieliż, ani też między Orszę i Smoleńsk nie pojedziemy i zjazdu tam nie będzie."

Że jednak bojarowie czynili cierpkie a nawet uwłaczające wyrzuty z powodu drobnych utarczek, jakie zaszły między obustronnemi wojskami, a zwłaszcza z powodu pułku Lisowczyków, niszczących powiaty nadgraniczne, przeto Chodkiewicz uznał za stosowne wskazać na wojska Chowańskiego, rozłożone pod Smoleńskiem. „Co wam nie miło nie czyńcie drugim, wyprowadźcie wojska z powiatu Smoleńskiego i zachowujcie pokój na Ukrainie, a wówczas i my go zachowywać będziemy..." W rzeczywistości, obie strony manifestowały wprawdzie głośno chęć pokoju, ale podjazdy zbrojne trwały, z obozu Chodkiewicza i Chowańskiego. Smoleńsk był oblężonym od lat dwóch, a wojewoda moskiewski, Sokoliński, zmówiwszy się ze szlachtą połocką, witebską i innemi grodami, spustoszył Oświej i kilka miasteczek Połockiego powiatu. Jakby na złość także, Chowański, korespondując z polskimi panami, podpisywał się wojewodą Smoleńskim, nie szczędził obraźliwych wyrażeń, nawet posła cesarskiego, Hejdeliusa, interpelował o plenipotencyę, gdyż, jak wiadomo, cesarz Maciej, stojąc, jako krewny królewski i głowa katolicyzmu, po stronie Zygmunta, Michała Fiodorowicza uznać nie chciał. Wobec nowej zwłoki i zbliżającej się zimy 1615/16 (której zdaje się przeciwnicy wyczekiwali), przy budzącej się wątpliwości, aby wogóle traktaty do skutku doszły, niektórzy z pp. komisarzy, jak J. K. Chodkiewicz i Krzysztof Radziwiłł, odjechali do obozu, a zostali się tylko w Orszy ci, co do wojska nie należeli.

Digitized by Google

www.libool.com.cn

Tymczasem, w instrukcyi, danej w czasie sejmu polskim delegatom, powiedzianem było, aby najdalej do 30 listopada zjazdy zakończyli, a czy pokój dojdzie do skutku, czy nie—powracali. Rozumie się, im więcej termin określony się zbliżał, tem też i korespondencya stawała się częstszą i drażliwszą. Pisał Worotyński, aby hetmani wycofali wojska swe z powiatu Smoleńskiego, odwołali Lisowczyków; Chowański znowu nasyłał Chodkiewicza skargami na podjazdy żołnierskie. Co prawda, to i Chowańskiego podjazdy czyniły wycieczki w Orszańskie. Podkradłszy się nocą, kozacy moskiewscy posiekli ludzi pana Młockiekiego, zabrali ludzi w niewolę; z Dąbrowny puścili się za nimi szlachta, rozbili szajkę i przekonali się, że nie byli to włóczęgi, czy hultaje swywolni, ale umyślnie wysłani przez bojaryna. Podobna awantura zdarzyła się także pod samą Dąbrowną. Działo się to wszystko pomimo umowy, aby Chowański brał żywność dla wojska w powiecie Dorohobuskim, a Chodkiewicz w Smoleńskim, dlatego też hetman lit. kazał swoim opuścić okolice Dorohobuża. Kiedy nareszcie obustronni komisarze zbliżyli się pod Smoleńsk, gdzie, jak ostatecznie postanowiono, miały być prowadzone układy, wysłano do moskiewskich (ostatnich dni listopada), Mikołaja Worońca i Mikołaja Mirowickiego, aby się ułożyć co do pierwszego zjazdu.

Stanęło w końcu, aby się zjechać pod samym Smoleńskiem, między zamkiem a cerkwią Ś-go Ducha, na pogorzelisku.

Plastycznie i z humorem maluje w liście do żony hetman Chodkiewicz pierwsze spotkanie się pp. polskich komisarzy traktatowych z moskiewskimi, te nieuniknione zatargi, ceremonie, formalności, balast ów dyplomatyczny, bez jakiego w owym czasie traktatów wyobrazić nie możemy. (Bibl. ord. Krasińskich, t. I. Warszawa 1875, str. 94) [1]),

„I tak zszedłszy się tego dnia (t. j. ostatnich dni listopada), nazajutrz takimże porządkiem nastąpiliśmy; oni drugą stroną namioty, na placu, im i wojsku potrzebne, rozbiwszy, stanęli. Była długa certacya, że, mimo postanowienia, drogę nam zastąpili. Owa przebaczyło się im i to. Potem chcieli, abyśmy do nich szli. To już niepodobna było. Owa, za długiemi alterkacyami, a było ich pewnie godzinę, postanowiliśmy na pół drogi się zejść. Była rzecz śmieszna, jakośmy tam do siebie szli, właśnie jakby maszkary. To stąpniem krok—to staniem. Oni jeszcze śmieszniej, bo w miejscu deptali jako glinę, że nimeśmy tak wiele przeszli, jak przez izbę stołową w Bychowie, pewnie siedem psalmów pokutnych zmówić-by mógł. Zatem zszedłszy się—o czapki długi hałas,

[1]) Mylnie położona data 1611, zamiast 1615. Omyłka dotyczy szeregu listów, zamieszczonych w tem wydawnictwie.

Digitized by Google

kto ma wprzód zdjąć? Przemogliśmy, że i zdjąć je i przyjść do ręki każdego z nas wprzód musieli. Potem zaczęli sprawę tak, pod niebem, odprawować. Owa, kiedy przyszło, że tam kilkakroć głupio nieprawdę królowi Imci zadano, poczęliśmy się swarzyć i mało nie za łeb! Potem, że nam długi tekst wyrecytowali, a noc już następowała, odłożyliśmy to do 29 Novembra."

A dalej, przy następnem spotkaniu, już z Hejdeliuszem: „Oni czy to przed nim moc swoją ukazując, czyli na jaki chytry fortel, poczęli nam przed przyjściem mojem z wojskiem (eskortą) miejsca warowne zastępować, szańce robić, kobyliny stawiać i jazdę (t. j. eskortę) tak postawili, żeby naszych pp. komisarzy albo znieść, albo pojmać mogli. Gdym z wojskiem wyszedł, napominałem, aby z miejsc tych ustąpili, a po pierwszemu, tak jak się już słowem upewniło, stali, bo—albo nic kończyć nie będziem, albo też za łeb pójdziemy. Ostro mi jakoś stanęli. Jam też z wojskiem zaraz bliżej do nich: działa ku nim wyrychtowałem. Dali się takiej prośbie uprosić—prędzej zbiegli, niż myśleli, z tamtych miejsc. Dopiero pp. komisarzy wprowadziłem do budy, na to urobionej."

Oczywiście moskiewscy wystąpili odrazu z długim szeregiem pretensyi, żądali oddania Smoleńska, pieniędzy wziętych na Kremlu, zwrotu więźniów, jak Filareta, Golicyna i t. d. (Suppl. ad hist. Russiae monumenta Petropoli, 1848, CLXIII, str. 404—452 i Akty otnosiaszcz. k. istor. zap. Rossii, t. IX, N. 209).

Nie chcemy zatrzymywać się dłużej nad kwestyami wstępnemi, zbędziemy je też krótko. Odrzekli polscy panowie, tłómacząc chęć swoją ukrócenia rozlewu krwi, zawarcia zgody, odpierali znowu znany już zarzut, jakoby król złamał rozejm z Godunowem. Przypomniał także A. Gosiewski, jako jeszcze w r. 1608, za Wasyla Szujskiego, dał im razem z M. Oleśnickim wyczerpującą, przytoczoną przez nas wyżej, odprawę.

Nie o pierwszego Samozwańca już chodzi—prędko zapomniany, przywalony późniejszemi pierwszorzędnej wagi wypadkami, schodzi równie prędko z widowni historycznej, jak i z pola dyplomatycznych rozrachunków. Wszakże po nim przyszedł Szujski, potem drugi Dymitr, utrata Smoleńska, nadewszystko pamiętny wybór Władysława na cara, niewola Filareta i Golicyna, obsadzenie Kremlu przez polsko-litewskie chorągwie, uwolnienie stolicy przez ruch ludowy i wreszcie wybór Michała Fiodorowicza, a więc tak burzliwe i wielkie chwile, że odrazu odsuniętym został do odległej epoki, choć to zaledwie dziesięć lat upłynęło, jak carował na Kremlu. Przepadł razem z Maryną i z całą sprawą swego otoczenia, bo są rzeczy ważniejsze, jest co wymawiać i o co się kłócić, tem bardziej, iż z obu stron występują naoczni

Digitized by Google

świadkowie ostatnich zdarzeń; niema wprawdzie Oleśnickiego, ale jest nadewszystko ten sam Aleksander Gosiewski, nieodłączny od tej epoki, od początku do końca wmieszany do wszystkich spraw, pamiętający wszystko, bardzo tych rzeczy świadom, znający sąsiadów, jak nikt wtedy, ani w Litwie, ani tem mniej w koronie. Nikt lepiej od niego nie zdoła bronić nieudanej sprawy Zygmunta, jego taktyki, jego polityki i ludzi, kiedy Polacy gospodarowali na Kremlu, dlatego przemawia obszernie, maluje zwykle szczegółowo sceny, jakie widział, a widział dużo rzeczy, bo sam, jak wiemy, dłuższy czas siedział na Kremlu, podczas tych gorących chwil, jako główna postać, w charakterze namiestnika Stanisława Żółkiewskiego. Wie zapewne znacznie więcej, niż mówi, ale i to z czem występuje, wystarcza znowu, aby naszkicować bieg wypadków, ważniejszych jeszcze, niż te, jakich za pierwszego Dymitra był świadkiem.

Iwan Michajłowicz Worotyński i jego towarzysze byli naturalnie, jak zwykle zresztą, dokładnie pouczeni, w jaki sposób mają nacierać na przeciwników i odpierać ich słowa. Z natury rzeczy należało przedewszystkiem podnosić złamanie przez Polskę zawartego rozejmu przez popieranie pierwszego fałszywego Dymitra. Było przytem do przewidzenia, że Polacy wspominać będą potajemne wzywanie Władysława na tron za panowania tegoż Dymitra, zwłaszcza przez kn. Szujskich. W takim razie, Worotyński miał zaprzeczyć wyraźnie: „ja, kniaź Iwan Michajłowicz, byłem wtedy między bojarami, lubili mnie, Szujscy byli mymi przyjaciółmi, niczego prze demną nie taili. Wy teraz tak mówicie, bo Szujscy już nie żyją, więc na umarłych chcecie wszystko zwalić. Myśmy tego nie robili, nawet nam to przez głowę nie przeszło!" Gdyby zaś pp. polscy wymienili nazwiska tych, co występowali z propozycyą, należało oświadczyć: Iwan Bezobrazow i Michajło Tołoczanow byli pierwsi przyjaciółmi i zaufanymi Samozwańca; jak tylko Samozwaniec doszedł do Monastyrewska, Tołoczanow już wtedy został jego powiernikiem. Za tę jego zdradę, car Borys Godunow żonę i dzieci jego rozesłał do więzień po miastach. Zresztą Bezobrazow, po tym łotrze Fedce Andronowie, był najbliższym Łże-Dymitrowi—po jego zabiciu uciekł do Tuszyńca, więc czyż można było używać takich ludzi?.. Tymczasem Al. Gosiewski, po zabiciu Samozwańca (był wtedy, jak wiemy, z poselstwem w Moskwie) zapytywał kn. Dymitra Szujskiego w tej materyi i usłyszał odpowiedź potwierdzającą propozycye, czynione królewiczowi. „Kniaź Dymitr już nie żyje, co chcesz, możesz na niego zwalić," miał odpowiedzieć bojarzyn. Zresztą, na Gosiewskiego przygotowanym był cały arsenał zarzutów i obwinień, z czasów, kiedy z załogą rządził na Kremlu. „Niewielu wtedy braci bojarów mieszkało w swoich domach, wielu z nich razem z żonami powyrzucano

Digitized by Google

z dworów, w których zamieszkali polscy i litewscy ludzie, zabrali im dostatki i zapasy, kiedy hetman Żółkiewski wyjechał pod Smoleńsk, wtedy ty, Gosiewski, mieszkałeś w dworze cara Borysa, a Michajło Sołtykow nie w swoim nędznym domku, ale w dworze Iwana Wasylewicza Godunowa, Fedko Andronow w dworze protopopa, gdzie nikt poprzednio nie stawał! Mnie, kn. Worotyńskiego, kn. And. Golicyna, okolniczego kn. Aleks. Zasiekina, oddano pod przystawów (pod nadzór), w bramach ustawieni byli stróże, kraty na ulicach połamano, nikomu z Moskwiczów nie tylko szabli przy boku nosić, ale i kupcom przy sprzedaży, cieślom z toporami, noży przy pasie nosić nie było wolno, żony i córki brali, gwałcili, do rozpusty używali, drzewa na sprzedaż chłopom przywozić nie pozwalali, wieczorami zabijali rozmaitych ludzi, idących z dworu do dworu, na mszę, nietylko świeckim, ale i duchownym chodzić nie dawali!

Fedce Andronowi kazał wasz król być „kaznaczejem" (podskarbim) i dumnym dworzaninem, Stefankowi Sołowieckiemu dumnym dyakiem, Waśce Jurjewowi u pieniężnych poborów, Ewdokimowi Witowtowi w rozrjadzie pierwszym dyakiem dumnym, Iwanowi Hramotynowi pieczętnikiem poselskim, w wielkim przykazie kn. Fiodorowi Meszczerskiemu, w puszkarskim przykazie kn. Jurce Chworostyninowi, w Pańskim przykazie znanemu łotrowi Michałce Mołczanowowi, w kazańskim dworcu Iwanowi Sołtykowowi, a ty, Aleksandrze Gosiewski! według królewskiego listu zrobiłeś się bojarem w strzeleckim przykazie, tyś sam widział jakąśmy bojarzy biedę cierpieli od twych doradców, ludzi złych, od Fedki Andronowa i jego towarzyszy!.. Nikt nas za poprzednich Hospodarów tak nie bezcześcił (?) jak ten łotr, a tyś go ciągle na nas podszczuwał!.. Żeby nie ty, czyby on nawet myślał o tem, aby mówić przeciwko nam i tak nas bezcześcić?.. Wyście i wasz król zniszczyli moskiewskie państwo, Bóg się będzie za to mścił na was!.. sam sobie drogę do tronu zagrodził syn waszego króla, nieprawdami swemi i rozlaniem krwi!.. Skoro się zbliżył z wojskiem hetman Carolus Chodkiewicz, wtedy ty, Gosiewski! wszystkim nam mówiłeś, abyśmy byli zdrajcami na stronę króla i potoś posyłał do nas kn. Jurja Trubeckiego, Iwana Hramotyna i Waśkę Jurjewa!.."

Położenie nie było naówczas tak prostem, jak je przedstawiał Worotyński. Owszem, Zygmunt jeśli obsadził ważniejsze stanowiska w Moskwie swojemi kreaturami, czynił to dlatego, iż na kilku z ważniejszych bojarów miał podejrzenie, że go chcą podejść. W chwili, kiedy pamiętne poselstwo Golicyna i Filareta ruszało pod Smoleńsk, w Moskwie po cichu gotowało się powstanie. Samozwaniec II przysyłał do Moskwy z Kaługi popa Charytona z listami, bojarowie zaczęli się znosić z Tuszyńcem, aby go przeciwstawić królowi. Znalazły się na

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

to poszlaki i dowody. Ale Worotyński miał odpowiedź gotową: „zmówiliście się wtedy na mnie, złodzieja popa nauczyliście, a bojarowie, coście kazali, też to robili. Przez was tylko bunty, kłótnie, rozlew krwi! Gdyby wtedy król Zygmunt się był oparł i nas prawdziwych bojarów dopuścił do urzędów, a zdrajców, złodziei, złych ludzi, do przykazów nie posyłał, nic-by się złego nie było stało, wszystko było-by dobrze. Mieliśmy przecie i za poprzednich Hospodarów naszych opały (mowa tu o Iwanie Groźnym), ale w całem państwie mieliśmy rząd i sprawiedliwość. Złoczyńcy nas nie bezcześcili, czci nam nie odbierali, kiedyśmy na tron obrali syna waszego króla, to zanim jeszcze przybył, już nam cześć odebrał, przysłał ciebie! Kazał tobie zawiadować sprawami w tak wielkiem państwie, a u swego króla toś nawet w senacie nie zasiadał! Z tobą nasłał do moskiewskiego państwa zdrajców, łotrów, chłopów, kupców, młodych dzieciaków bojarskich, zrobił ich okolniczymi, kaznaczejami, starymi dyakami—nie było tak lichego, coby się dumnym nie tytułował!.. Kto dał Lwu Sapieże parę soboli, ten i dumny dyak, a kto błam, ten bojaryn lub okolniczy!..

Takiegośmy się honoru doczekali od waszego monarchy!..“

Już to Gosiewski wziętym był przez nich w opały.

„Do bojarów chodziłeś, prośby przynosiłeś! Tylko jakeś przyszedł, usiądziesz, koło siebie posadzisz doradców, Michajłę Sołtykowa, Wasyla Massalskiego, Fedkę Andronowa, Iwana Hramotyna i innych—my nawet nie słyszeliśmy, coś ty ze swymi doradcami mówił. Coś postanawiał na prośby wykonać, to oni i robią, prośby podpisują twoi doradzcy: Hramotyn, Ewdokim Widowtow, Iwan Czyczeryn, z kupieckich chłopów: Stefanko Sołowiecki, a starych dyaków wszystkich wygnano precz! To była dla nas wszystkich śmierć, że taki podły, kupiecki łyk Andronow przyjdzie i siądzie z nami braćmi bojarami razem, z F. Mścisławskim, ze mną i innymi, nami rządzi i rozporządza się... Bóg widzi serca nasze... myśmy wtedy wszyscy umarli... A listy od bojarów myśmy pisali według twej woli, byliśmy u was jakby w niewoli, kazali przykładać rękę (t. j. podpisywać) i też przykładali!“ (Serg. Sołowiew. Ist. Rossii, t. IX).

Zaostrzała sytuacyę okoliczność, że Aleksander Gosiewski podczas pobytu swego na Kremlu w r. 1610/11, zelżył w kłótni Worotyńskiego; w sercu tego ostatniego wrzała osobista nienawiść, ztąd też, lubo mu przykazano mówić gładko, nie wywoływać zerwania, uniósł się rychło, skutkiem czego obie strony, niedługo czekać, przeszły do grubych słów i obelżywych epitetów, bo jeśli kto, to Gosiewski nie był człowiekiem, który-by obelgę płazem puścił!

Po-za temi starciami, wypadało jednak, dla dojścia do zgody, przedstawić rzecz w łagodniejszem świetle, jak tego sprawa traktatów

Digitized by Google

wymagała, sprostować tendencyjne zarzuty, jakie-by się znalazły, wystąpić z własnemi żalami, zwalić je na kark przeciwników i jeśli nie przekonać, to w każdym razie przegadać, lub przekrzyczeć. Nie było innego sposobu, jak rozwinąć własny obraz tych niedawnych wypadków w tem oświetleniu, w jakiem się w Rzeczypospolitej wydawały, i dopiero szukać przez pośrednika sposobów zgody, od której zresztą obie strony dalekiemi nie były, gdyż oba państwa spokoju potrzebowały.

Tłómaczył tedy Gosiewski:

„Za wielkiego kniazia, Wasyla Szujskiego, Filaret i inni bojarowie, którzy z powodu tyrańskiego opuścili go i przeszli na stronę tuszyńskiego (t. j. drugiego Samozwańca) przysłali byli pod Smoleńsk bojaryna Sołtykowa-Morozowa i Massalskiego, bijąc czołem i prosząc o Władysława na tron moskiewski. Król zaś wysłał właśnie na moskiewskie, tatarskie i niemieckie (t. j. szwedzkie) drużyny cara Wasyna hetmana Żółkiewskiego, któremu Bóg dał zwycięstwo pod Kłuszynem, przeto wyście wnet Wasyla z tronu złożyli, a przysiągłszy sobie wzajem, iż nie będziecie na tron wybierali nikogo z bojarów, posłaliście wysłanników do hetmana, zawiadamiając, iż Wasyl przestał być Hospodarem, wy zaś chcecie mieć za pana—Władysława. Zażądaliście wówczas, aby pan hetman co rychlej do stolicy przybył i zasłonił was przed tuszyńskim czy kałuskim Samozwańcem. Gdy hetman na żądanie wasze pod stolicę przybył, jęliście wnet radzić z nim społem o wyborze królewicza na hospodarstwo. I z łaski Boga sobór ziemski wybrał Władysława na Hospodara, całowaliście krzyż, przysięgając służyć mu wiernie, jako poprzednim przyrodzonym Hospodarom i wielkim kniaziom Rusi i że o niczyjem więcej panowaniu nie będziecie myśleli. Na tych warunkach (?) podpisaliście układ z hetmanem, stwierdziwszy go przysięgą, do Władysława wyprawieni byli Filaret i Golicyn z nakazem: gdy król Jmość rozkaże im jechać na Litwę do królewicza i tam oczekiwać walnego sejmu, mają to uczynić i doprowadzić całą sprawę do dobrego końca. Atoli posłowie okazali swoją nieżyczliwość, zwlekali uskutecznienie sprawy, Filaret zapomniał, iż sam z Tuszyna wzywał na hospodarstwo królewicza, odnowił w swej myśli zamiar pierwotny, za który jego krewni na gardle sądzeni byli, a on z żoną do monasteru zesłany, t. j. zamiar sięgnięcia samemu po koronę. O czem zamyślał za Borysa, teraz obmyślił potajemnie z Hermogenem; będąc posłem, pracował chytrze ku przeszkodzeniu Władysławowi do zajęcia tronu. Golicyn, w dzień zrzucenia Szujskiego, gdy bojarowie wyszli z miasta w pole, dla narady, oświadczył, iż dał poznać wielu bojarom, że sam o tronie zamyśla, Zachar Lapunow i riazańska szlachta głośno mówili o jego wyborze, lecz przedniejsi lu-

Digitized by Google

dzie oświadczyli się przeciwko niemu, poczem W. Golicyn społem z innymi przysiągł, jako nikogo z moskiewskich na tron nie wybiorą. Zapomniał jednak rychło swojej przysięgi, bo wnet po wyjechaniu z Moskwy (t. j. z poselstwem do Zygmunta) porozumiał się z kałuskim Samozwańcem, chcąc w Moskwie naprzód go osadzić, a potem ze swymi stronnikami, na wzór Szujskiego, strącić i zająć jego miejsce. Piastując podobne zamiary w sercu swojem, posłowie przyjechali pod Smoleńsk, niby szczerze na tron Władysława zapraszając. Król przyjął ich łaskawie, syna przyobiecał, o czem do Moskwy napisał, zaś panom senatorom rozkazał radzić z posłami, jakby pojmać Samozwańca i pokój w Hospodarstwie uczynić, lecz posłowie o czem innem zamyślali.

„Kiedy jeszcze Filaret z W. Golicynem byli w Moskwie, a właśnie trzeciego dnia po przysiędze królewiczowi danej, niektórzy z bojarów, za radą i namową, jak nam powiadano, Golicyna, zaczęli uchodzić do kałuskiego Dymitra. Zbiegli: Michajło Boguczarow, znaczny człowiek, a w parę dni potem Fiodor Czołkow, obaj ze znaczną gromadą. Bojarowie, widząc zdradę w Moskwie i innych miastach (na rzecz drugiego Samozwańca), przysłali do hetmana kn. Mścisławskiego, kn. Worotyńskiego, aby oświadczyć: wieści są pewne, iż Samozwaniec chce targnąć się na stolicę, zatem niech hetman z wojskiem do Moskwy pośpieszy, a resztę wojska wyśle przeciw niemu pod Kaługę. Hetman, podziękowawszy bojarom za dbałość o dochowanie przysięgi J. Król. Mości, zebrał na radę pułkowników, rotmistrzów, wszystkich żołnierzy i rozmyślał: jeśli z wielkiem wojskiem do Moskwy wejdzie, ciasno w niej będzie i brak żywności, a potem niezgoda i kłótnie. Jeśli zaś osadzi w niej małą załogę, to gdy kałuscy (banda Dymitra) ją oblegną a czerń zdradzi, może ją stracić na próżno. Na radzie uchwalono zostawić 4000 ludzi w Dziewiczym monasterze (pod Moskwą) i w słobodach, a do Moskwy ich nie wprowadzać. Z tą decyzyą posłał hetman do Moskwy do bojarów mnie, pułkownika Aleksandra (Gosiewskiego) i pułkownika Kazanowskiego, a p. Bałabana do patryarchy. Patryarcha na zajęcie monasteru nie zezwolił, aby nie wyprowadzać ztamtąd czernic. Na to powiedział mu Iwan Romanow, człowiek sprawiedliwy, a o praktykach Filareta z patryarchą nie wiedzący: Sam wiesz, jak wzburzoną jest Moskwa, trzeba nam bronić głów naszych przed Samozwańcem i Polaków do miasta wpuścić, lub też w Dziewiczym monasterze i słobodach poumieszczać. Wówczas dusze nasze czyste będą przed Bogiem, gdy się miastu co złego stanie. Chciał wówczas patryarcha wiedzieć, jak sądzić będą polskich żołnierzy (t. j. załogę), a gdy mu zostały przetłómaczone uchwały Rady, z których wniósł, iż za przestępstwa, karane przez ich sudiebnik batogiem lub turmą, żołnierze na

Digitized by Google

gardle skazani będą, zezwolił, aby hetman zajął nie monaster, ale samą stolicę. Czynił on to nie ze względu na królewicza, ale na siebie, bojąc się, by go nie spotkało to samo, co Jowa (patryarchę) za Dymitra.

www.libtool.com.cn

„Bojarowie, naznaczywszy nowe głowy (naczelników), starostów i setników, rozkazali przygotować kwatery na 4300 hetmańskich ludzi, spis domów wręczyli Kazanowskiemu. Zawarłszy z nimi układy, hetman wszedł do Moskwy z niewielkim oddziałem, Sapiehę (Jana) posłał w ziemię Siewierską, potem Strusia, Bałabana i innych do Możajska i Wiaźmy, zaporożców zaś wcześniej jeszcze na Ukrainę. Niemieckie najemne wojsko (t. j. właściwie szwedzkie de la Gardiego i Horna), które służyło za W. Szujskiego, odesłał do domu przez Litwę i Koronę, poczem król wypłacił im żołd należny. Wałujewa wysłał na oswobodzenie Wielkich Łuk, a Sołtykowa (Iwana) w Nowogródzką ziemię. Wojując z Samozwańcem i Niemcami (Szwedami), wielu naszych zginęło, Wielkie Łuki zostały oswobodzone (od Szwedów). Na wszystko to bojarowie nietylko zezwolili, lecz prosili o to hetmana; czy podobna, byśmy weszli do Moskwy przemocą, skoro klucze miejskie przy was zostały i wojsko piesze i konne? Wszedłszy do stolicy, hetman pozostawił mnie, Gosiewskiego, nie jako naczelnika miasta, lecz wojska polskiego i litewskiego, król o tem, jako wy piszecie, jeszcze nie wiedział, więc mnie nie posłał jako naczelnika miasta, ale abym zajął miejsce hetmana." Hetman opuścił Moskwę 30 października.

V.

Toczyła się o tych spornych kwestyach także i słowna zapalczywa dyskusya. Gosiewski odezwał się wtedy (S. Sołowiew „Hist. Rossyi" t. IX): Ja, Aleksander Gosiewski, zostawszy na miejscu hetmana, nie byłem bojarem, ani żadnym moskiewskim urzędnikiem, do spraw moskiewskich nie mieszałem się i, będąc tylko namiestnikiem hetmańskim, rządziłem wojskiem, żołnierzy swoich za najmniejsze winy surowo i ostro karałem—według przepisów hetmańskich. Pamiętacie! niedługo po wyjeździe hetmana, towarzysz wojskowy Tarnowiecki, pijąc razem z popem, pokłócił się z nim i uderzył go w twarz do krwi. Skazałem go na śmierć, ale patryarcha i bojarowie przysyłali do mnie, kn. Mścisławski z drugimi bojarami i z tymże popem przychodzili do mnie na podwórko, żebym ja Tarnowieckiego z więzienia wypuścił i nie kazał go karać gardłem. Poważając patryarchę i bojarów, zmuszony byłem to uczynić, ale żeby na przyszłość innym swywolnikom nie zachciało się łotrować i ludzi moskiewskich, prostych i nierozum-

Digitized by Google

nych, od króla odciągać, kazałem Tarnowieckiemu prawą rękę uciąć, co też wykonanem zostało w Kitajgrodzie, naprzeciw Frołowskiej Bramy, przed całym narodem. Bojarowie i wszyscy ludzie ruscy dziwili się i sam patryarcha później wymawiał mnie, że za tak małej winy nie wypadało tak srogo karać.

Później hajducy nasi pokłócili się, uczynili huk około cerkwi, gdzie odprawiał nabożeństwo patryarcha — osądziłem ich na śmierć. Tejże nocy dwóch pacholików zrabowało jabłka i orzechy przeznaczone na sprzedaż. I tych kazałem ukarać śmiercią, ale patryarcha, wezwawszy mnie do siebie, nie wypuścił mnie tak długo, póki nie kazałem tych ludzi uwolnić od kary śmierci, zamieniając ją na batogi. Niemców za rabowanie cerkwi poleciłem ukarać gardłem i tak ich tem nastraszyłem, że później nie śmieli słowa rzec Moskwiczowi!"

Chodzi tu prawdopodobnie o dwóch pachołków z pułku p. Andrzeja Młockiego, którzy pokradli owoce, potem na śmierć skazani byli razem z czterema pachołkami hałasującymi koło cerkwi, i na instancyę patryarchy ułaskawieni zostali. Kazał za to Gosiewski prowadzić ich nagich po rynku, siec knutem według miejscowego zwyczaju. Niemców ochotników, z liczby tych co przeszli na polską służbę po bitwie pod Kłuszynem, za różne przestępstwa i okradzenie cerkwi, dwudziestu siedmiu rozstrzelać kazał, a dwudziestu katom na męki wydał. Rzeczywiście: Gosiewski zaprowadził karność wyjątkową, a wiemy, że do energii był zdolnym. „Tak uśmierzyłem ich (tłómaczył on dalej), że choć się byli za Szujskiego znarowili krzywdzić naród, żaden Niemiec nie śmiał Moskwiczowi słowem ubliżyć. Przypomnijcie sobie, jakem bez miłosierdzia kazał poodrzynać ręce i nogi, spalić żywcem Polaka, Aryanina, dlatego, że po pijanemu strzelił do obrazu Włodzimierskiej Bogarodzicy w Nikolskiej Bramie, a odcięte ręce gwoździami pod obrazem przybić. Nietylko w stolicy, ale i w okolicy, żadna wina nie pozostała bez kary. Żywym świadkiem jest kn. Borys Michajłowicz Łykow: skazałem na śmierć rotmistrza, pana Oszajskiego, bo ograbił jego wioskę; Oszajski zbiegł, później do nóg padał kniaziowi, tego ledwie sam kn. Borys od śmierci wyprosił. W mniejszych sprawach naznaczeni byli do sądzenia i wykonania sprawiedliwości między polskimi i moskiewskimi ludźmi: kn. Hrehory Romadanowski, a z mojej strony, od wojska, pułkownik Dunikowski i porucznik Wojtkowski..."

Mimowoli przychodzi na myśl podobne zdarzenie, jakie zaszło w czasie znacznie późniejszym, bo w r. 1639 w Wilnie, czego powodem byli kalwini. Strzelono wtedy z kalwińskiego zboru, z łuku także, kilkakrotnie, do posągu św. Michała Archanioła na kościele św. Michała. Rozumie się, iż sprawa nabrała odrazu rozmiarów wypadku politycznego, wytoczonem zostało śledztwo, okazała się zobopólna zaciekłość

Digitized by Google

ewangielików i katolików. Powodu znieważania wyobrażeń świętych szukać należy jedynie w zaprzeczaniu czci świętych, a jak u Aryanów, w nieuznawaniu Chrystusa za Boga, a tylko za człowieka, stąd i cześć dla Bogarodzicielki była im w szczególny sposób nienawistną. Wprawdzie, co się tyczy wykroczenia w Moskwie, zwykłe pobudki religijnego antagonizmu nie są wykluczone, chcemy jednak wierzyć, iż Bliński był rzeczywiście Aryaninem.

www.libtool.com.cn

O fakcie przytoczonym przez starostę wieliskiego napomyka także zacny Samuel Maskiewicz w pamiętniku, krytykując surowo zachowanie się polskiego żołnierstwa. „Nasi, jako są niepowściągliwi, tak sobie poczynali, że co się komu podobało i u największego bojarzyna, żona albo córka, brali je gwałtem. Czem się wzruszyła Moskwa i miała czem naprawdę.“ Według niego, z strzelaniem do obrazu miało się tak: jeden z roty Marchockiego, będąc na straży przy jednej z bram, niejaki Bliński, upiwszy się, strzelił kilkakroć do obrazu Najświętszej Panny, wymalowanego na murze w tej bramie, o co skarga przyszła przed Gosiewskiego od bojarów. Osądzono go na śmierć i spalono (po odcięciu rąk) na stosie przed tą bramą. Zdarzyło się także, że ktoś strzelił do krzyża na wieży kościelnej; strzała w kopule utkwiła. Badano, lecz nie znaleziono winowajcy, inaczej jemu-by również ucięto rękę.

Wreszcie zdarzyło się, iż jeden pacholik porwał gwałtem córkę bojara, który z nią i żoną powracał z łaźni do domu. Skrzywdzony nie wiedział na kogo się skarżyć. Nakoniec, po dwóch tygodniach, córka wróciła do rodziców. Winowajcę znaleziono. Złożone koło osądziło go na śmierć podług praw polskich. Pułkownik Bobowski radził wszakże sądzić go podług praw moskiewskich, dla uspokojenia obu stron. Winowajcę bito tedy knutem na ulicy. Był rad, że głowę ocalił, ludzie moskiewscy także zostali zaspokojeni (Maskiewicz l. c.).

Toż samo wojsko dokazywało później na Litwie, rozsypało się po kraju i było przyczyną wielkich niepokojów. Wogóle ówczesna *soldatesca* głośną jest z rozbojów i gwałtów — gorzej nawet działo się np. podczas trzydziestoletniej wojny w Niemczech.

„Sam doglądałem — ciągnął Gosiewski dalej — aby wymiar sprawiedliwości był szybkim, zatem podczas mojej bytności w Moskwie nie była daną ze strony wojska najmniejsza przyczyna, dla której mogli-by mieszkańcy śmieć zdradzać i targać się na nas. Coście nam tu mówili i pisali, tem tylko chcieliście wstyd i hańbę krzywoprzysięstwa pokryć...

„Nie gołosłownie, ale piśmiennemi dowodami, pokażemy wam krzywdy, jakich od was doznał nasz Hospodar. Naprzód, gdy Żółkiewski Moskwę zajął, W. Buturlin porozumiał się z (Prokopem) Lapuno-

Digitized by Google

wem i uradzili wszcząć nowe zaburzenia, wojnę przeciw Królowi J. Mości. Lapunow zamierzał sam zająć tron, mawiał do doradzców, iż Hryszka (t. j. pierwszy samozwaniec), Godunow i Szujski nie byli lepszymi od niego. Buturlin sam później zeznał bojarom, iż przysiągł sobie z Lapunowem, podmówiwszy Niemców, uderzyć na naszych. Wówczas też rozrzucone były po ulicach listy samozwańca, odwodzące od posłuszeństwa dla królewicza. Bojarowie rozkazali chwytać szpiegów; pojmany pop zeznał na pytce, iż Golicyn, jadąc pod Smoleńsk, potajemnie do samozwańca pisał, iżby go rad widział na moskiewskim tronie, że samozwaniec zamierza, podstąpiwszy nocą pod Moskwę, wejść do Kremlu od strony rzeki, tajemnemi wrotami, o czem w Moskwie wiedzą i pomagać mu będą. Pop stracony został, jak i inni szpiedzy, przyczem ja nie bywałem przytomny, ale słyszałem o tem i radziłem z pułkownikami, aby nam dozwolonem było postawić straże swoje na Kremlu.

„Hermogen (patryarcha) okazywał mi łaskę i miłość, jedzenie i picie mi przysyłał, bywał u mnie i jam u niego bywał; tymczasem, wezwawszy nas dla własnej obrony, gniew w sercu przeciw królowi i nam bez przyczyny chował, zaczął przeciwko nam spiskować. Rozkazał swoim duchownym, aby między wami szerzyli ku nam gniew i nienawiść, czego wam dowieść możemy listem pewnego duchownego, który mnie ostrzegał. Lecz myśmy mu złem płacić nie myśleli, według stanowiska uszanowanie czynili, Moskwy bronić byliśmy gotowi. Tymczasem J. Sapieha w Siewierszczyźnie, od strony Kostromy Wasiuczyński, od strony Możajska Struś (Mikołaj) otaczali samozwańca, on zaś, wysławszy przeciwko nim wojsko, sam pozostał bez ludzi, i zabił go kniaź Urusow. Tak więc uwolniliśmy moskiewskie hospodarstwo od niego, jakeśmy je pierwej uwolnili, kiedy był w Tuszynie.

„Podówczas, po jego śmierci w Kałudze, patryarcha rozesłał po miastach listy podstępne, podburzające naród, oskarżające nas i bojarów, dochowujących przysięgi Władysławowi. Przytoczymy wam list pisany przezeń do Prosowieckiego i Michała Zaporożca, będących przy samozwańcu, gdzie, jak przystoi, nakłania ich razem z bojarami, aby przysięgli Władysławowi, a on się za nimi wstawi do królewicza. Atoli o dzień pierwej, ósmego stycznia, posłał do Niżnego-Nowgorodu i Kostromy burzące listy. Wtedy został schwytanym Fiodor Pohożyj i ten zeznał i własnoręcznie wypisał, że Filaret, wyjeżdżając z Moskwy, uradził z patryarchą, jako Władysław nie będzie hospodarem, ale na tronie zasiądzie Michał (Romanow). Zeznał on jeszeze, jako Filaret posyłał listy burzące do Jarosławia i do innych miast i zamków, tej treści: „Król syna na hospodarstwo nie da, niech więc powstaną przeciw wojskom królewskim.“ Praktyki Filareta i patryarchy sprawiły, iż ludzie

Digitized by Google

wasi zaczęli prześladować naszych. Wszędzie ich otaczano i zabijano, zdradnie przywiódłszy w ciasne miejsca Drewnianego Gorodu (dzielnicy Moskwy), czego nie godzi się czynić nawet niewiernym. Izwoszczyki pijanych zapraszali do sań, chcąc niby do domu odwieźć, tymczasem topili ich w rzece. Na targu za rybę i mięso brali od nas dziesięciokrotną cenę, wymyślając przytem służbie naszej. W dzwony bili także często, zwołując lud i grożąc nam śmiercią. Taka to wasza prawda, i wezwawszy nas do siebie dla obrony, chcieliście nas pomordować jak zbrodniarzy, nie wiadomo za co!..."

Wczytując się w dokumenta odnośne do agitacyi religijnej, jaką rozwinął wtedy przeciw Zygmuntowi patryarcha Hermogenes, widzimy z tych próbek, jak była gorącą i nieprzebłaganą (Russ. hist. biblioteka t. XIII Petersburg 1892).

Wskazując na zdarzenie, podane wyżej przez nas, mówi jedna z tych misyw: „Ci odszczepieńcy urągają nawet obrazowi Zbawiciela, Bogarodzicy i w święte oblicze Boga i Matki jego strzelają, jak o tem świadczą teraz świętokradzkie ręce, przygwożdżone do ściany, pod obrazem Matki Boskiej, na postrach i trwogę dla tych wszystkich szalonych potępieńców!" Agitatorowie zaprzeczali wręcz wszelkim dobrym chęciom królewskim dla Moskwy, wołając: W żadnym razie, prawosławni! stać się to nie może, aby syn jego żył pomiędzy nami! Sami widzicie, iż to wszystko fałsz!... Natomiast Smoleńsk, za bohaterską obronę, wynoszonym bywa pod niebiosa. Agitacyi tej między ludem zawdzięcza Moskwa swe oswobodzenie.

Aleksander Gosiewski:

„Gdy po miastach wszczęły się zaburzenia, Smoleńszczanie, zniósłszy się z Filaretem, nie chcą złożyć przysięgi królewiczowi, miasta zaś od Moskwy odpadły i pod dowództwem Lapunowa pod Moskwę przybyły, aby nas wyciąć. Myśmy zwołali wówczas bojarów i innych na *Łobne* miejsce (kamienna trybuna na jednym z rynków) i mówiliśmy, aby zaprzestali nas prześladować i z nami społem przeciwko zdrajcom walczyli. I do P. Lapunowa kilkakroć pisałem, odwodząc go od zdrady; mówiłem, iż myśmy rycerscy ludzie, z Moskwy wypędzić się łatwo nie pozwolimy, krwi rozlew spadnie na jego głowę, nie na nas. Bojarowie oświadczyli nam, jako nikogo za Hospodara mieć nie chcą, jeno Władysława, chcą oczekiwać jego przybycia, a przeciw zdrajcom walczyć z nami razem. Ponieważ nam to poprzysięgli, przeto wspólnie uradziliśmy wysłać do Lapunowa posłów: archimandrytę czudowskiego monasteru, protopopa spaskiego, Michała Nagoj, oraz z mej strony: Dunikowskiego, Hreczynę i czterech towarzyszy, aby nie szedł z wojskiem pod Moskwę. Atoli lud wysłał do Prokopa Lapunowa swo-

Digitized by Google

ich wysłańców, nagląc go, aby pod Moskwę śpieszył. Jakoż przybyli pod miasto: Lapunow, Zarucki, Massalski i Wołyński [1]).

Gdy mi o ich pochodzie dano znać, radziłem z bojarami, co czynić, tymczasem zaś czerń, bez żadnego powodu, napadła na naszych w Bielgorodzie (dzielnica Moskwy), lecz myśmy i to zcierpieli. W poniedziałek (przed Wielkanocą 1611 roku) rozstawiono wartę w bramach, a we wtorek Kossakowski porucznik prowadził armatę ku Wodzianym Wrotom w Kremlu, toż samo czynił p. pułkownik Zborowski, nie myśląc o żadnej napaści. Wówczas ktoś z czerni uderzył kołkiem porucznika od Zborowskiego, inni zaś w dzwony bić zaczęli... W pół mszy wyskoczyłem, włożywszy zbroję, pieszo pobiegłem na Kitajgród, dopiero mnie dopędzili moi z koniem. Wtedy zacząłem powstrzymywać rozlew krwi, szablą kilkunastu pachołków raniłem. Lecz podówczas zaczęli do mnie strzelać z samopałów, co rozgniewało wojsko; uderzywszy w trąby i kotły, ruszyło na wroga i z Kitajgrodu go wyparło. Lecz moskiewscy zmogli nas liczbą, pułki Kazanowskiego i Dunikowskiego musiały nocą ustąpić do Kremla. W Bielgorodzie i Drewnianym-gorodzie moskiewscy się zatrzymali, dzień cały w dzwony bili, urągali, grozili, iż nas żywcem wezmą i na pale powbijają. Tejże nocy przybył Pleszczejew od Lapunowa z wojskiem. Nazajutrz kniaź Mścisławski z towarzyszami wyjechał do Bielgorodu, chcąc uspokoić naród, lecz oni go nie usłuchali i zaczęli strzelać do naszych, co widząc, poszliśmy w bój z takiem wielkiem mnóstwem ludzi, gdzie było po stu na naszego jednego. Bóg dał nam zwycięstwo, wyparliśmy ich z Bielgorodu i Drewnianego-gorodu—a tu wszczął się pożar [2]). Tejże nocy pan Struś przybył nam na pomoc z swym pułkiem z Możajska. Ufali moskiewscy liczbie, acz Bóg wybawił nas niewinnych z tej przygody. Osądźcie posłowie!... Kto jest winien spustoszenia Moskwy, czy my, którzyśmy się bronili, czy wy, coście na życie nasze godzili?!...

„Cerkwi Polacy nie rabowali, zostały one zniszczone podczas pożaru. Świętą Trójcę (t. j. Siergiejewsko-Troicką Ławrę pod Moskwą) zrabowali wasi ochotnicy [3]) Niemcy, heretycy, których sprowadziliście dla zbawienia hospodarstwa, nie Litwini, ani Polacy; myśmy zrabowanego dochodzili, a cośmy doszli, wróciliśmy do cerkwi—rabusiów stracili. Hermogena patryarchę rozkazaliśmy uprowadzić z jego dworca, ponieważ on-to wszczął zaburzenia. Na trzeci dzień po rozruchach, we czwartek, przysłali do mnie moskiewscy powtórnie, aby zaprzestać

---

[1]) Z pospolitem ruszeniem.
[2]) Polacy podpalili miasto dla obrony.
[3]) Wojsko sprowadzone ze Szwecyi, które przeszło do Żółkiewskiego.

Digitized by Google

krwi rozlewu. Przystaliśmy na to, lecz oni wnet wysłali przeciwko nam Prosowieckiego, atoli Bóg dał nam zwycięstwo, poczem kazałem zaprzestać rozlewu krwi i odbierać przysięgę. Lecz gdy przybył Lapunow, złamali wnet wasi przysięgę, zaczęli naszych na pogorzelisku mordować... Taka to wasza prawda: dziś czołem biją, prosząc o pokój jutro krew przelewają!...

www.lootool.com.cn

„Gdyśmy napisali królowi o rozruchach, senatorowie nie chcieli cierpieć dłużej Filareta i Golicyna w obozie—rozkazali im jechać na Litwę. Lapunow przybył nocą pod Moskwę, gdzie rozbił tabory. Struś we dwa dni potem ustąpił pod Możajsk dla braku żywności, a namiestnik już ledwie z 3,000 ludzi w Moskwie pozostał—przeciwko 80 tysiącom waszych. Cała ta moc wasza nie mogła nas zwalczyć, bo Bóg sprawiedliwość wspierał. A że nas tak mało było, świadczą spisy, według których ze skarbu moskiewskiego żołd wydawano, raz po 10, drugi raz po 30 złotych na człowieka z koniem. Macie je i możecie policzyć!“

Zabiera głos hetman w. lit. Karol Chodkiewicz od tego miejsca, gdzie się rozpoczynają wspomnienia oblężenia małej polskiej załogi w Kremlu, kiedy na pomoc śpieszył z Inflant, albowiem Gosiewski opuścił niebawem Moskwę.

„Odstępować Smoleńska nie godziło się królowi JMci, gdyż nie chciał przysięgać na wierność Władysławowi, więc go król oblegał, a odjeżdżając na sejm, posłał do Moskwy mnie, Karola Chodkiewicza.

„Przybywszy do Moskwy, zawiadomiłem was, iż król pozwala synowi zająć tron moskiewski i po to walny sejm zwołał. Bojarowie wysłali wtedy w poselstwie kniazia Trubeckiego (Jurja) z towarzyszami (Michajłem Sołtykowem i t. d.) na sejm, i ci, otrzymawszy odpowiedź, przesłali ją im, bojarowie zaś napisali do taborów (pospolitego ruszenia), że król przyśle Władysława, skoro tylko wyzdrowieje. Podówczas wasi wzięli głodem ludzi J. Król. Mości, pod Mikołajem Strusiem w Moskwie będących, przyczem przysięgli, że im pozwolą do króla powrócić, tymczasem przysięgę złamali, gdyż wszedłszy do grodu wielu pomordowali. Tych, co żywi zostali z panem Strusiem, powrzucali do więzień, lub po miastach różnych porozsyłali i posłów J. Kr. Mości do miasta nie wpuścili i bój z nimi stoczyli, a następnie posadzili na tronie Michała.

„Przypomniawszy, jak się wszystko stało, dowiedliśmy wam, iż król w niczem przysięgi wam nie złamał. Jak wówczas, tak i dziś, królewicz Władysław chce być waszym hospodarem i odstępować swego państwa, na które go Bóg powołał, nie myśli i nie chce. Wy, bracia nasi, powinniście prawdą nagrodzić wszystkie nieprawdy i praktyki waszych, przypomnieć sobie, jakeście go na cara wybrali, powinniście zatem służyć mu wiernie. Żaden samozwaniec nie będzie śmiał pod-

Digitized by Google

nieść się przeciwko niemu i cześć wam będzie wśród mocarstw ościennych. Pomyślcie z drugiej strony, jak niesłusznie jest, nieprzystojnie i niesprawiedliwie, aby na tronie Michał siedział, on, co z innymi razem przysięgał na wierność królewiczowi! Wiecie sami, ile ucierpiało hospodarstwo wasze, gdy bojarowie nieprawnie, niegodnie do tronu dochodzili, tyrańskwem się na nim wzmacniali. Póki car z carów nad wami panować nie będzie, nie mogą skończyć się wasze wojny domowe i zamieszania. Przedewszystkiem zaś należy wam pomyśleć o Bogu, przed którym przysięgliście przyznać za pana Władysława. Skoro to uczynicie, przebłagacie nasamprzód gniew boży, grody przez Niemców (Szwedów) i innych wrogów zajęte odbierzecie, Bóg pobłogosławi państwom waszym pod berłem ojca i syna, pomiędzy którymi i potomkami ich po wszystkie wieki panować będą miłość i pokój. Ten koszt i nakład, który idzie na zamki i załogi graniczne, powróci do skarbów, a miecz i siły nasze społem się zwrócą przeciw bisurmanom— wszystkich chrześcian napełni nadzieja, że chrześcianie z pod bisurmanów oswobodzeni zostaną..."

Wątpić należy, czy swada naszych komisarzy sprawiła jakie większe wrażenie na ich kolegach z Moskwy, bo już luty r. 1616 nadchodził, a tu o żadnym skutku i wzajemnych ustępstwach nie było jeszcze słychać. Zdawało-by się, że tamta strona wyczerpała wszystkie inkryminacye z czasów drugiego Samozwańca. Widać, że tak jednak nie było, bo K. Chodkiewicz uważa za stosowne odezwać się jeszcze w tej samej kwestyi.

Posłowie carscy zarzucali przedewszystkiem Zygmuntowi, iż syna swego dać nie chciał—ale sam dążył do objęcia władzy dla siebie; następnie, czy chciał dać syna, czy też miał egoistyczne polityczne zamysły, dość, że go nie nadsyłał, a oni dłużej w bezkrólewiu pozostawać nie mogli. Rzeczywiście Zygmunt nie chciał z początku słyszeć o daniu syna na tron Iwana Groźnego, później jednak zaczął się namyślać i pragnął widocznie doprowadzić do jakiegokolwiek, bliżej jeszcze wtedy nie określonego, kompromisu. Broni go więc hetman litewski:

„Mówicie, iż król Zygmunt uciskał wasz naród w Moskwie, stał się przyczyną rozlewu krwi, na co wszystko, jak rzeczywiście było, daliśmy odpowiedź. Napisaliście jeszcze: król rozdawał majątki waszym, aby przysięgli jemu samemu, nie królewiczowi. Prawdy w tem nie masz: król nie pragnął przyłączyć Moskwy do Polski i Litwy, ale chciał i chce posadzić na tronie syna, wy zaś niesprawiedliwie słowa jego tłómaczycie. Ja, hetman, przybywszy do Moskwy, mówiłem, iż król na hospodarstwo syna wam daje, aby Korona i W. X. Litewskie na zawsze w pokoju z Moskwą pozostały, oraz gdy bojarowie, szlachta i rycerstwo tego zechcą, aby korzystali z tych praw i swobód, jakie

www.ibtool.com.cn
Digitized by Google

Polakom przysługują. Bojarowie radzi i wdzięcznie przyjęli łaskę królewską—przybycia królewicza oczekiwali. Niesłusznie przymawiacie kn. Sołtykowowi i kn. Chworostyninowi, bo i wśród was wielu dochowało królewiczowi wierności, za co ucisk od Filaretowego syna cierpią. Niesprawiedliwie też przymawiacie nam o Andronowa, jakoby nie przystało kupcowi być urzędnikiem, gdyż u was dziać się to zwykło, wszakże dziś Kuźma Minin, rzeźnik, skarbnikiem i rządcą jest.

„Napisaliście także, iż skarbiec został zniszczony i rozgrabiony, że bogactwa jego częścią na dwór królewski wywieziono, częścią wojsko między sobą niemi się podzieliło, pan Młocki, Zborowski i inni rozebrali, a resztą ja, namiestnik (Gosiewski), się wzbogaciłem. Na to odpowiemy: skarb rozebrali wasi skarbnicy. Ty, Telepniewie, będąc przy skarbie, wziąłeś sobie trzydzieści tysięcy rubli. Zresztą niepotrzebnie o skarbie mówicie, mogliście go dochodzić, gdyby hospodar na swoje hospodarstwo przybył, dla skarbu nie godziło się przysięgi łamać.

„Za dawnych czasów, naród nasz przez siedm lat czekał na Kazimierza; gdy Henryk, królewicz francuski, do Francyi odjechał, myśmy go przez półtora roku czekali — a wyście nie chcieli czekać kilka miesięcy!...

(Mowa tu widocznie o Kazimierzu Odnowicielu—oraz o Walezym).

Piszecie jeszcze, dziwiąc się, jak hetman może wierzyć Gosiewskiemu, który niemałych dlań kłopotów był przyczyną. Otóż, mnie Chodkiewiczowi, lepiej znane są jego zasługi, gdyż on z chorągwią swoją nigdzie krwi i życia nie oszczędzał, wielkie oddawał usługi, nic też o nim złego od bojarów nie słyszałem, owszem, wszyscy go chwalili i prosili mnie, abym go na tem miejscu zostawił. Wszystko to, co wy mówicie, jest fałszem, a żeście go nie mogli zmódz, więc dlatego teraz nań winę zniszczenia stolicy zwalacie!“

VI.

Zdaje się, że, pomimo zerwania komisyi, niedojścia do skutku traktatów, spory z Rzpltą o jej zachowanie się przy obu samozwańcach, wspomnienia z lat 1605 i 1606 oraz z roku 1610 i 1611 przycichły, pomimo odnawianych jeszcze wielokrotnie kłótni o prawo Władysława do tronu. To niedochodzenie komisyi, zrywanie ich, odwlekanie ze strony posłów moskiewskich wzbudzało zwykle słuszne podejrzenia, że po-za tem kryją się *pericula* od pogan *imminentia*—t. j. od Turcyi. Tak

Digitized by Google

pojmował położenie sam Władysław IV [1]). Z tego powodu i wogóle ze względu na tradycyjną taktykę, zaleca się komisarzom Rzptej, aby uważali „z jakiemi dowcipami i naturami sprawa."

www.mtopi.com.pl

W d. 10 marca 1616 r. sporządzają pp. komisarze: ksiądz Kazimierski, J. K. Chodkiewicz, Hlebowicz, Krzysztof Radziwiłł, Gosiewski, Ogiński, Hornostaj, Charłęski i Hrydicz, akt protestu, objaśniający, jako nie z ich winy umowy do rezultatu nie doprowadziły. (Sbornik istor. materj. iz kijewsk. centr. archiwa. Kiew 1890, str. 68).

Akt ten streszcza podane wyżej zarzuty i obronę, reasumuje argumenta i kontrargumenta, poczem kończy: „Tak temi jak i podobnemi dokumenty justyfikacyę J. Kr. Mości i Rzpltej podaliśmy i aby według instrukcyi naszej królewicza na państwo przyjęli. Ale oni temu kontradykowali, ponawiając kalumnie i kwerellae, hardzie i upornie z nami się nie zjeżdżając, rekwirowali od nas, aby królewicz nie był wspominany, tylko żeby od nas *Michajło* za hospodara był uznany i z nim pokój ustanowiony. Na zwłokę niepotrzebne kwestye rzucali, jak np., żebyśmy ludzi z sobą nie mieli i armaty żadnej, a traktaty zaś stojąc wierzchem na koniach, koło dział, odprawowali, cośmy wszystko dla pokoju skromnie znosili, pozwalając im rewidować co do ludzi (eskorty), że nad liczbę w glejtach opisaną u nas niema, owszem mniej, chociaż u nich więcej, i żądaliśmy, aby armatę znieśli, którą koło cerkwi św. Ducha (pod Smoleńskiem) blizko traktatów mają, a myśmy żadnej armaty z sobą brać nie chcieli. Podawaliśmy im przytem, że gdyby królewicz od nich na państwo nie miał być przyjęty, tedy żeby wszystkie prowincye, miasta, zamki, niesprawiedliwie J. Kr. Mości zabrane, czego jest do siedmdziesięciu i kilku zamków, ustąpili *ex nunc* i sumę rycerstwu Rzpltej i W. X. litewskiego za to, że ich od impostorów obronili, zapłaconą w żołdzie, żeby zwrócili, według obowiązków ich w postanowieniu hetmana koronnego, a więc i ukontentowanie królewicza za zrzeczenie się dobrowolne państwa.

„Ale oni o tem ani słowa rzec, ani pisma brać, ani nawet zjeżdżać się nie chcieli. Więc dla stanowienia pokoju trzy sposoby podaliśmy, aby sobie który obrali: 1) aby jakośmy od państw z obu stron wysłani, więc żeby między państwy pokój stanowić *doczesny* i nie jeno od Rzpltej, ale i od króla. A oni za tego *Michała*, teraźniejszego hospodara, utwierdzą go przysięgami, a co do praw królewicza do państwa moskiewskiego na uznanie cesarza puścić, albo wcale o tem wzmianki nie czynić. Na to posłowie moskiewscy pozwolić nie chcieli, upornie

[1]) Listy Władysława IV-go w rocznikach dziejów Polski wyd. Aug. Podgórski. Wrocław 1840, str. 73 i inne.

Digitized by Google

stojąc przy tytule Michała, a myśmy dla pokoju i tytuł Michała hospodarski napisać w paktach pozwolili, lubośmy w instrukcyi nic o tem nie mieli, oraz żeby część zamków siewierskich ustąpili, co z dawna do Smoleńska należało. Zaś co do wypuszczenia Filareta i Golicyna, żeby za to część ostrożków dali z pod Smoleńska i do biskupstwa kijowskiego należących. Ale i na to i wzmianki o prawie Władysława nie pozwolili. Tego jeszcze upornie chcieli, aby między Michałem Fiodorowiczem i królewiczem przyjaźń i zgodę, a między państwy pokój stanowić, prawo królewicza (do tronu carskiego) skasować, Smoleńska ze wszystkiem ustąpić. Ostrożków od Smoleńska ustąpić, zamiany więźniów czynić i innych komisarzy posłać nie chcieli, jeszcze żądali, abyśmy się Siewierskiej Ziemi zrzekli i aby król im przeciwko nieprzyjaciołom pomagał.—W obec tej hardości, że nietylko Smoleńska oddać nie chcą, ale Kijowa, Wołynia, Podola, Białej Rusi, Brześcia Litewskiego i Inflant rekwirują, nie widząc żadnej skłonności do zgody, jedziemy nazad do Rzpltej, a protestacyę tę podajemy W. Mości (Hejdeliusowi) przez p. Bohdana Ogińskiego podkomorzego trockiego i Samuela Hornostaja podkomorzego kijowskiego, dla autentyku, abyśmy J. Kr. Mości i braci naszej pokazać mogli."

Działo się w Smoleńsku nad Dnieprem, przy ostatnim zjeździe. Podpisali panowie koronni i litewscy, oraz sam pośrednik: Hejdelius a Ressenstein.

A. Darowski.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

MARYA KONOPNICKA.

„Wszystko co głębokie, jest śpiewem, powiada Carlyle w swoich „Bohaterach"; śpiew to główny pierwiastek życia i natury, świat widomy tworzy dlań tylko łupinę. Poezya jest myślą muzykalną, a poetą ten, kto tworzy w takty melodyi. Wychodzi to na potęgę inteligencyi: kto zobaczy dość głęboko, zobaczy muzykalnie, albowiem serce natury drga muzyką, chodzi więc o to, aby ją wydobyć".

Słowa te godne są zastanowienia. Istotę rzeczy stanowi melodya, harmonia wszechbytu, duch świata—to ton zasadniczy. Dusza natury w swem niepokalaniu iści się melodyą w sztuce. W poezyi stwarza muzykę słowa, przechodzi w rym i rytm. Poeta podsłuchuje głębokie tony, tętniące w przyrodzie, i powtarza je w pieśni, tak jak muzyk je ze strun wydobywa. Malarstwo działa harmonią barw, a rytmicznością kształtów żyje i oddycha rzeźba i architektura. Wiekuiste piękno jest odwieczną prawdą, która w tajnikach natury rozbrzmiewa muzyką, płynie falą melodyi przez nieskończoność.

Człowiek myśli swe wyraża mową, będącą szeregiem dźwięków. Każde słowo — to ton oderwany. Ale przy spokojnym nastroju ducha mowa ludzka jest mało muzykalną. Dopiero, gdy namiętności zagrają w ludzkiem łonie, gdy w serce uderzy wielka radość, albo ból głęboki, gdy całą istotę człowieka ogarnia wzruszenie, wówczas oderwane dźwięki zlewają się w przeciągły okrzyk, rozbrzmiewają gamą śmiechu lub ze ściśniętego gardła wydobywają się jękiem boleści. Mowa pod-

Digitized by Google

niecona, namiętna, posiada zazwyczaj rytmiczność bardzo uchwytną i wyraźną, bo właściwa jaźń człowieka dźwięczy muzyką.

„Mów o nas prosto i z krzykiem", wołają duchy legendowe do twórcy „Lilii Wenedy"; mów z krzykiem, to znaczy przejmij się naszą starą klęską i tryumfem, wyśpiewaj nasze dzieje! Nie jest to bez znaczenia, że po wszystkie czasy i wśród wszystkich ludów wielcy pisarze dawali myślom swoim melodyjną szatę. W całej Biblii brzmią uroczyste, rytmiczne tony, a epos Homerowy jest arcywzorem pieśni. Poeci pisali wierszem dla tego, że nie mogli nie pisać wierszem. Wszak poezyę stanowi myśl muzykalnie odczuta i plastycznie oddana w obrazie; *poezya to obraz melodyjny*. Podczas porodu obrazy poetyckie drgają melodyą, przeniesione na papier wyrażają się wierszem. Wiersz jest najdoskonalszem wcieleniem widzeń poety, oddaje bowiem, na równi z prozą, kształt artystyczny i barwę, lecz nadto nie zatraca, co najważniejsza, muzyki uczuć i marzeń, którą w swej niemocy tłumi proza.

Znaczenie pieśni jest głębokie. Rozumiał to Heine, gdy od słowiczego śpiewu wszystkiemu początek brać każe:

Im Anfang war die Nachtigall
Und sang das Wort: Züküth, Züküth.

Słowo twórcze, przez które świat powstał z nicości, musiało drgać potężną melodyą: jej rozszczepione tony dźwięczą dotąd w łonie natury, a skoro zamilkną, nastąpi śmierć świata. Tę melodyę wszechbytu, grecką sfer harmonię, słyszy wyraźnie poeta z bożej łaski i powtarza ją, niby objawienie.

Do zastępu wybranych pisarzy, co mają uszy otwarte na głosy natury, należy Marya Konopnicka.

I.

Gdy się uważnie wsłuchamy w muzykę poezyi autorki „Pana Balcera", uderzy nas przedewszystkiem, zda się, nieprzebrana rozmaitość tonów. Cała gama uczuć, wstrząsających nerwami i sercem nowożytnego człowieka, cały świat wrażeń, ruchliwych i zmiennych, w liryce Konopnickiej znajduje poetycki wyraz. Z dźwięków natury, z nastrojów ducha nie uroniła poetka ani jednej nuty, ani jednego nie stłumiła tonu. Ból, rozpacz i pogarda, wstręt i przesyt, smutek i zwątpienie, tęsknota, melancholia, rezygnacya i omdlenie, potężnie grają na jej śpiewnej lutni, z której w jasnych chwilach umie wydobyć echa nadziei i wiosny, miłości i życia. Poezya smutku tak nie jest jej obcą, jak poezya upojenia, a z przepaścistych głębin beznadziejnej rozpaczy po-

Digitized by Google

trafi dźwignąć się na wyżyny ekstazy, patosu i grozy. Zaledwie umilkną przejmujące dźwięki hymnu boleści i zwątpienia, już bucha pieśń nieposkromiona ku czci młodości, rozkoszy i siły, zaś krzyk zuchwały protestu i buntu tłumi pokora i skrucha, wstręt i pogardę łagodzi rezygnacya. A te nieokreślone stany duszy, te odruchy uczuć i te pół wrażenia naszych wyrafinowanych umysłów i nerwów rozstrojonych, odczuwa poetka dokładnie subtelnym zmysłem poetyckim i ciche szepty echowe zlewa w wyraźny, harmonijny akord.

Poeta jest ustami ludzkości. On powinien rzec do słuchaczy: „Kto zapragnie kochać, ja mu dam łabędzie głosy, ażeby miłość swoją śpiewał; gdy kto kląć zechce, przeze mnie kląć będzie; kto zechce płonąć, ja będę rozgrzewał". Tak powinien zakląć słuchaczy i samego siebie i powinien dotrzymać przysięgi. Ale „dać mowę wszystkim krzywdom ziemi, i wszystkim nędzom i tęsknotom ducha" ten tylko potrafi, kto posiadł kunszt melodyjnego słowa.

Konopnicka dar ten posiada w wysokim stopniu. Posiadała go już w pierwiosnkach swoich, gdy po raz pierwszy silną dłonią uderzyła w struny swej lutni, która w jej rękach rozbrzmiewała jak harfa eolska. Odrazu zaśpiewała hymn melodyjny głosem donośnym, chociaż nie zawsze dość czystym. Do harmonii doszła dopiero przez życie. Melodyę jej pierwiosnków miesza zgrzyt mdłego pessymizmu, fałszywa nuta retoryki, nieszczere tony efektownych zaklęć, udana żałość i ból nieodczuty. Ale dźwięczna fala jej późniejszych pieśni dawno już stłumiła i zalała owe dyssonanse. Dziś bywa prosta, i szczera, i często natchniona.

Dla tego też wsłuchajmy się w jej pieśni, w jej tony, aby nie powiedziano, że „najpiękniejszy rapsod nie w sercach ludzi, ale w głębi fal morza utonął".

* * *

Dominującą nutą w liryce Maryi Konopnickiej, głuszącą nieraz wszelkie inne tony, jest głęboki smutek, graniczący niekiedy z rozpaczą. „Ból istnienia" wybucha w piersiach poetki jękami i płaczem, „wszystkie krzywdy ziemi" rzucają słowa protestu w błękity, a „nędza ludzka" gra przejmująco na strunach zwątpienia. Przez nastrój ducha swego jest Konopnicka nieodrodnem dzieckiem współczesnej doby. Jakiś straszliwy rozdźwięk panuje za dni naszych w życiu i w sztuce, a gnębiąca umysły zmora pessymizmu zda się rozciągać całuny pod błękitami. Już widać tak być miało, aby bluźnierstwa Byrona padły na nasz wiek w kolebce i aby go żegnano przekleństwami w trumnie. A jednak dziewiętnaste stulecie płodne było w wielkie ideje, w wielkie czyny i w wielkie ofiary. Ono w swem zaraniu widziało epopeję Napoleona, ono roz-

Digitized by Google

winęło poczucia narodowości w masach, ono wysoko podniosło sztandar godności ludzkiej, ono wydało w poezyi wonny i barwny kwiat romantyzmu i stworzyło nowożytną muzykę, ono usiłowało rozwiązać palące zagadnienia społeczne, ono wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiej wzbogaciło obfitym dorobkiem, ono przez cuda wynalazków dało pracy wytwórczej nowe potężne dźwignie, ono pchnęło świat niemal na nowe tory, człowieka uczyniło swobodniejszym, światlejszym, możniejszym, nie zrobiło go tylko szczęśliwszym. Sumę dóbr ziemskich pomnożono wielokrotnie, do czary szczęścia ludzkiego nie dodano ani jednej kropli. Cały trud wiekowy, wysiłek geniuszów, poświęcenie jednostek i mas znojna praca, zdolne są zapewnić wykwint cywilizacyi jednostkom tylko, ale nędzarzowi nie ujmą ciężaru, nie spędzą troski z czoła myśliciela. Wieszcze słowa Genesis iszczą się za dni naszych, tak jak przed wiekami. Po staremu ziemia jest dla człowieka przeklętą, on w pocie oblicza chleb swój z niej pożywa, aż póki w proch się nie obróci. Tylko, że „ból istnienia“ coraz wzbiera wzdętą falą, wzmaga się pragnienie szczęścia—niezaspokojone.

Czujnem uchem chwytała Konopnicka skargi, jakiemi dokoła niej zdawała się rozbrzmiewać natura cała, chciwie śledziła całą nędzę życia, boleśnie odczuwała wszelką krzywdę ludzką, i krwawe rany odkryć, nieukojone smutki wyśpiewać postanowiła sobie poetka:

O, dajcie usta wszystkim krzywdom ziemi,
I wszystkim nędzom i tęsknotom ducha,
I niech się niebo drzwiami błękitnemi
Otworzy i Bóg niech słucha!

Oczywiście, że po takiej zapowiedzi, skarga długo nie schodziła z ust smętnej śpiewaczki, że lutnia jej dźwięczała naprzemiany głośnym płaczem i tłumionem łkaniem, uśmiech zaś wesela zjawiał się w wyjątkowych tylko chwilach. A przecież, mimo na pozór jednostajnej nuty jej pieśni żałobnych, poetka ustrzegła się zabijającej monotonii. Sprawił to niepospolity talent, zdolny z jednej struny wydobyć pełną gamę tonów.

Pośród nich najczęściej drga nuta łagodnej melancholi. Konopnicka bardziej potrafi w ciszy i pokorze cierpieć, niż głośno wyrzekać, bardziej błogosławić, niżeli przeklinać. W jej rezygnacyi więcej jest poezyi, niż w jej oburzeniu, w bólu więcej wymowy, niż w szumnych protestach. Bardzo wdzięczna, kiedy się modli i korzy przed Bogiem, chorągwi buntu podźwignąć niezdolna, gdyż nie dość posiada siły. Wielkie bluźnierstwa Byrona w „Kainie“, szał i obłąkanie Mickiewiczowskiego Konrada, potworna zbrodnia „Króla Ducha“, który samego

Digitized by Google

Boga chciał ludzką męką przerazić, rozdzierające jęki Hioba, tego nędzarza nad nędzarze, co skarży się wspaniałą mową płomiennych obrazów—zdają się niebios sięgać i mącić ich pogodę. Żałosne wołania Maryi Konopnickiej nie wznoszą się tak wysoko. Mimo gorzkich skarg i głośnych wyrzutów, które tak często, za często może, biją z jej strun rozpłakanych, poetka nie należy do umysłów prawdziwie zrozpaczonych w literaturze. Niema w niej zabijającego szyderstwa i dumy niepohamowanej duchów prometeuszowych. Bo skoro tylko stanie „na rozstajnych drogach sądów Przedwiecznego", skoro nędza ludu, jak robak w źrenicy jej łzy zakrwawi", wówczas „mowa jej o tych rzeczach, „jak w modlitwie Ezdraszowej, trzęsie się i łamie, i drży w sobie, zgwałconym zaparta językiem".

Ale rozwiązują się jej usta, gdy pełna melancholijnej zadumy wśród ciszy nocnej wzrok głęboko zapuści w tajemnice bytu, a czujnem uchem nasłuchuje, „jak serce ziemi kołata". Magiczne blaski miesięczne, złotych gwiazd migotanie, wstęga szlaku mlecznego, balsamiczny oddech uśpionej natury, sen dobroczynny, „to najlepsze danie na uczcie żywota", co w objęciach swych tuli królów i nędzarzy, nastrajają poetkę na nutę głębokiej tęsknoty. Rozdźwięk życia drga w jej sercu boleśnie wobec bezdźwięczności dokoła, niepokój dręczy ją wśród ciszy, palą łzy zawodów i smutku minionego dnia, pragnienie szczęścia budzi się niepohamowanie na widok różowego świtu. Poezyę gęstych mroków i księżycowych świateł, urok sennych widziadeł i marzeń, czar bezwładności w naturze i rozkosz niemocy wyśpiewała Konopnicka w „Nocach Letnich" i w hymnach podniosłych „Pieśni Nocy".

„Noce letnie" rozpoczyna toast, pity z róż kielicha, na cześć miłości i szczęścia. Poetka w natchnieniu rozpina skrzydła do lotu, chce płynąć przez morza, szybować przez stepy, aby pozbyć się ciężaru troski i nudy dnia zapadłego; za wszelką cenę zbyć się myśli i pamięci. Wówczas wyrywa jej się okrzyk niecierpliwości, który w czytelniku sympatyczny znajduje odgłos:

Dość, dość skarg tych, dość tych żalów,
Noc tak cicha, pełna woni...
Czuję srebrną mgłę na skroni,
A w źrenicy błysk opalów...

Ale to są tylko słowa podniecające. Działanie ich nie trwa długo. Już w trzeciej pieśni skarży się poetka, że oszukała ją cisza zdradziecko, że senne bory, wód srebrne zwierciadła, ciche błękity i łąki omglone nie dały jej ukojenia, bo oto burza zrywa się w łonie nanowo, a duch nękany nie zaznał spoczynku.

Digitized by Google

Potem następują kolejno wyrzuty i skargi, gorzka modlitwa o śmierć i znicestwienie, krwawienie własnych ran i nurzanie się w posępnem morzu smutku i boleści, które za dno ma pełną łez ziemię, a za śmiertelny całun „cichy strop niebieski". Tak wije się nić żałobna na srebrnem tle nocy majowej, póki pierwsza złota strzała świtu w pieśni czternastej nie rozproszy duszących oparów zwątpienia.

W pokrewny nastrój wprowadzają nas „Pieśni Nocy". Tylko, że tony w nich głębsze, podnioślejsza nuta. Podczas tworzenia tych posępnych hymnów poetka musiała być bardzo smutna i bardzo znużona duchem. Wzruszeni i przejęci powtarzamy za nią przejmującą skargę z drugiego hymnu:

Na nędzę naszą i na wielkość Twoją,
Na tajemnice, co przed nami stoją,
Na krzywdy ludzkie, i łzy, i konanie,
Dosyć nam patrzeć przez dzień cały, Panie!

Więc bądź błogosławiona nocy, co balsam ciszy na ziemię rozlewasz, witajcie gwiazdy złote, z was myśl uśpiona ma łoże i posłanie swoje, przybądź śnie skrzydlaty i nędzarzowi pozwól o bratniej marzyć miłości. Oto człowiek, król stworzenia i syn śmierci, perła świata i lepianka z gliny, po dniu znojnej pracy i płonnych zabiegów, znużon jest śmiertelnie i pragnie ciemności, snu i zapomnienia. Spać, nieczuć, to dlań to samo, co przestać cierpieć i tęsknić. Wówczas najwyższą rozkoszą dla ducha staje się utrata świadomości, a chwila wytchnienia błogosławieństwem dla ciała, gdy geniusz snu zdejmuje dobroczynną dłonią z szyi człowieczej ciężkie jarzmo istnienia.

Dziękczynne modły wieczorne hymnu drugiego „Pieśni Nocy" tchną rozpaczą niemal, biją głosem wyrzutu w niebiosy. Wiersz ten ze swoją szczerością i głębią uczucia jest artystycznie skończonym.

Ostatnia modlitwa „Pieśni Nocy" poczyna się od tęsknego „Wieczór już, Panie". Dziwny czar posiadają te słowa proste, a tak przenikliwe. Z serca płynie ta modlitwa pokorna i cicha, wypowiedziana z ujmującą prostotą i z wdziękiem.

Jakaż to gorzka rozmowa człowieka z Bogiem, jak przeraźliwie brzmią te ciche szepty!

Hymn pierwszy „Pieśni Nocy", to poezya ciszy. Jest coś tragicznego w tem podsłuchywaniu poetki śród nocy groźnych pomruków uśpionej natury, płynących w wieczność nieskończoną falą. Echa zmieszane dokoła niej szeleszczą, podmuchy pieśni unoszą jej włosy, a czujne ucho wieszczki rozróżnia wyraźnie szum morskich bałwanów, bicie dzwonów, poświst wichru, odgłosy puszcz i lasów, szmer strumieni i plusk potę-

Digitized by Google

pionej rzeki, co łzami wzbiera ludzkiemi, całą tę syzyfową pracę chaosu, żyjącego własnym wysiłkiem i bólem.

A zakończenie wiersza, pełne lotnej fantazyi, kontrastem omdlenia potęguje jeszcze wrażenie:

Cisza...—Brzóz białych szept kędyś zamiera,
Gwiazda źrenice bezsenne otwiera,
Chwieją się lekkie powoje.

Cechą znamienną każdego wielkiego talentu pisarskiego jest szczerość. Wielcy poeci piszą z głębi przekonania i dzieła swe stwierdzają, jak Mickiewicz, życiem, lub jak Byron, śmiercią je pieczętują. Między myślą ich a czynami niema tej sprzeczności, jaka tak często u drugorzędnych talentów spostrzegać się daje. Bez koniecznego czynnika szczerości nie powstało dotąd ani jedno wielkie, nieśmiertelne dzieło poetyckie. Szczerość poety nadaje słowom jego ważkość i moc przekonywającą. Poeci nieszczerzy śpiewają zazwyczaj na fałszywą nutę.

Marya Konopnicka już niejednokrotnie mogła największych przekonać sceptyków, że jako duży talent szczerą być potrafi. Jest też nią w całym cyklu pieśni sielskich, w wielu fragmentach, w „Pieśniach Nocy", w „Mojżeszu", w uroczym hymnie na cześć nadziei i wiosny „Co się stało", w „Nocach Letnich", w „Panu Balcerze", w „Syzyfie i Prometeuszu", w cyklu „Italia", słowem tam, gdzie poetka nie deklamuje, lecz śpiewa, nie uczy, lecz wzrusza, nie moralizuje, ale porywa. Przecież z nią nie zawsze tak bywa. Nie zawsze natchnienie góruje nad ozdobną retoryką, a blask fantazyi nie zawsze złoci spłowiałe sztandary i przebrzmiałe hasła. Niekiedy Konopnicka przemawia takim tonem, że w czytelniku rodzi się wątpliwość, kto to właściwie do niego się zwraca: poeta czy doktryner. Na szczęście zazwyczaj szkolarza zwycięża artysta, który, szczęśliwym wiedziony instynktem, porzuca szybko mielizny dydaktyczne, aby z rozwiniętemi żaglami wypłynąć na pełne morze poezyi.

Talent Konopnickiej w istocie swojej nie posiadał nic z doktryny. To była naleciałość z zewnątrz, z której bez trudu w dobie dojrzałości pisarskiej otrząsnęła się poetka. Jaskrawa tendecya jej wierszy społecznych i filozoficznych pochodziła z wielkiej wrażliwości na otoczenie. Nie biorąc ongi bezpośrednio udziału w polemice stronnictw, Konopnicka w lot pochwyciła szumne hasła młodej prasy i zapragnęła dać im poetycki wyraz. Poczęła rozprawiać z młodzieńczym zapałem, bardzo wymownie, ale też nawskroś retorycznie, na temat postępu i pracy, braterstwa i równości, niedoli maluczkich i obojętności możnych; układała

Digitized by Google

wierszowane traktaty z zabarwieniem filozoficznem; młodą brać zachęcała do wytrwania, rada marzyła o świetlanej przyszłości, gdzie już wszystkim będzie jak w raju; kobietom tłómaczyła, niby prelegent z katedry, jak mają kochać; rozciągnęła poetycką filantropię nad ubogiemi matkami i dziećmi opuszczonemi; co chwila rzucała niepokojące umysły pytania: co to jest życie? czy warto? co pocznie? a nie znajdując na nie odpowiedzi, biegła z wyciągniętemi ramionami „za ideą białą"; społeczność oskarżała za niedolę wydziedziczonych i w wiecznej rosterce pozostawała z Bogiem, którego nierzadko stawiała w stanie oskarżenia, czyniąc go odpowiedzialnym za nieporządki tej ziemi. Wielki talent liryczny na śpiewnej lutni usiłował wygrywać wstępne artykuły społecznego dziennika, żuzle chciał w złoto oprawiać i gotów był odstąpić za łyżkę soczewicy prawo pierwszeństwa we współczesnej poezyi ojczystej.

A jednak jej dar poetycki odrazu prawie był dojrzały, myśl tylko przechodziła przez rozwojowe fazy. Już widać trzeba było przebyć wąwozy bałamutnych tez i kwestyi, efektownych haseł i jaskrawych idei, aby stanąć na tej wyżynie, skąd jasno widać, że w poezyi najważniejszą kwestyą jest poezya sama, że plastyki i melodyi nie zastąpią tezy, że nie o nagą chodzi tu ideję, lecz o jej doskonałe wcielenie, że nie dobre chęci i szlachetne zamiary, ale kunszt formy rozstrzyga o wartości artystycznej dzieła. Miłość i szczęście w sztuce muszą posiadać swój wdzięk i polot, cierpienie—majestat i grozę, a jeśli poeta rad się nurza w mrokach niemocy, bólu i w księżycowem złocie tęsknoty, to tym stanom ducha winien dać poetycki wyraz nie przez retorykę, choćby najbardziej efektowną, jak to uczyniła Konopnicka w wierszach: „Ja się nie skarżę?" „Nie dziw się?", „Czy warto?", w obrazkach: „Co pocznie?", „Bez dachu", „Chłopskie serce", ale natchnionym, melodyjnym śpiewem powinien grać na sercach słuchaczy.

Już od czasów Byrona czytający ogół wystawiony jest na dokuczliwe skargi talentów zapoznanych. Zwątpienie i duch buntu romantyków przeszedł za dni naszych w pessymizm i apatyę i wydał monotonną poezyę szpitalną. Bez wzruszeń czytamy wyrzekania nieudolnych zazwyczaj autorów na nędzę życia i znikczemnienie ludzkości, słuchamy bez współczucia ich roztkliwień nad własną niedolą, patrzymy obojętnie, jak własne rany własnemi krwawią rękoma. Ich noce bezsenne, ich nieskończona tęsknota, ich potrzeba szczęścia nawet, wydają nam się podejrzanemi. Zresztą uczucia same mogły być prawdziwe, zostały tylko bez artyzmu oddane. Bo na strunach zwątpienia grać trzeba po mistrzowsku, albo nie grać wcale. Owóż Konopnicka potrafi być istnym wirtuozem poezyi smutku. Podziwialiśmy już uroczystą melodyę bólu i tęsknoty w „Pieśniach Nocy". Pokrewnemi tony rozbrzmiewają

www.libool.com.cn

Digitized by Google

„Noce Letnie", „Modlitwa Ezdraszowa", „Piosnki i Pieśni", „Modlitwy Wieczorne", „Echa Majowe", „Fragmenty", oraz cykl pieśni sielskich. A choć nie wszystkie te wiersze utrzymane są na jednakowej wysokości artyzmu, choć natchnienie poetki nierzadko miewa gwałtowne spadki, choć nieraz strofka strofkę goni, jak jasna perła paciorek; cała ta przecież muzyka echowa, ta melodya łez i łkania, te modły błagalne i dziękczynne hymny, i duszna spowiedź, i lęk, ból i zgryzota wdrażają się w umysł i nad sercami mają moc i władzę. Bo to głos namiętny a gorzki bije w niebiosy, gdy na widok krasy i przepychu wiosny modli się poetka: „Ty nam Boże, nie stroj ziemi w kwiatów puchy, póki łzami gorącemi płaczą duchy"; gdy znużona życiem i troski syta wyznaje z prostotą: „Już mam dosyć, już mam dość tej gościny, smętny gość—daj już polnym ziołom lichym na mogile mojej rość"; gdy zwraca się do nieszczęśliwych i zbolałych nie z pociechą, ani z ukojeniem, lecz z wezwaniem do ich godności i dumy: „O, nie płaczcie smutni!"; gdy tęskni za jedną jasną chwilą w życiu, gdy pragnie pogody i słońca: „Szczęścia, szczęścia choćby chwilę przelotną wśród burz, choćby tyle, ile rosy w polnym kwiecie drży"; gdy trwożnie zapytuje wśród wieczornej ciszy: „Zkąd szmer ten, czy czerw lichy pełza serce wygryzać puszczom?"; gdy przygnębiona i obezwładniona woła boleśnie: „Ha, czy mi kto Tatry zwalił na ramiona?"; gdy nagle budzi się w niej duch buntu: „A choćby wszyscy milczeli, ja przecie błękity wstrząsać będę swym protestem" i błękitom tym rzuca śmiałą i w treść brzemienną a krótką odpowiedź: „To my!" i gdy w końcu za śmiertelny grzech pychy i buntu korzy się cicha i skruszona przed Panem: „Więc i nade mną sąd uczyń litosny, bom pełna żalów—i trosk — i tęsknoty". Lecz przecież nad tem *de profundis clamavi* płynie słodka melodya otuchy i nadziei. „Otuchy w cichy sen po dziennym trudzie, nadziei w pewny skon po znojnem życiu".

Dopiero na widok zielonych łąk i borów, przy fletni graniu i szumie lecących ptaków, w sercu poetki wzbiera pragnienie nowego życia:

.... wszystkiemu, co mękę
Śmierci przebyło i grobu ciemnice!
Oto już słychać słowiczą piosenkę,
Oto się letnie palą błyskawice...

II.

Wśród zastępu współczesnych pisarzy naszych Marya Konopnicka najszczerzej może kocha lud i najlepiej zna jego duszę. Tęskne to-

Digitized by Google

ny pieśni gminnej musiały głęboko zapaść w serce poetki, skoro jej lutnia cała dźwięczeć się zdaje melodyą pól, łąk i lasów. Cykl wierszy sielskich: „Piosnki i pieśni“, „Z łąk i pól“, „Po rosie“, „Na fujarce“, „Z chaty“, „Z daleka“, „Na palecie“, toć to bogaty skarbczyk poezyi ludowej, co układa się sama pod muzykę.

www.libfoot.com.cn

Hymn to bolesny wieśniaczego ludu, który w sztucznem oświetleniu naszej poetki cierpi bez winy, pracuje bez wytchnienia i żywot męczeński wiedzie bez nadziei. A ten biedny lud polski, rzekomo uciskany i wydziedziczony, posiadł wszystkie cnoty. On niewzruszenie przywiązał się do ojczystego zagonu i nie odda go przybyszowi za cały stół talarów („Chodziły tu Niemce, chodziły odmieńce“); on kocha czułem sercem dach słomiany swej strzechy i miesiąc, co tę strzechę mu złoci, i dzwon, co na pacierze woła, i szumy lasów, i kwiaty polne, i krzyż pochyły przy chacie; on od brzęku złota woli klekot bociani i śpiew skowronków po rosie. W jego sercu nie rozsiadła się brudna chciwość, ani żądza nizka. Tkliwy w miłości, wytrwały w pracy, wrażliwy na wdzięk przyrody, której jest prawym synem, kmieć Konopnickiej jawi się przed nami w postawie złamanej i bolesnej, nękany przez srogie losy i przez pana, gorszego niż losy. Już mu cyganka wywróżyła niedolę („Idzie cichy wiatr przez pole“), obiecała kęs czarnego chleba i siermięgę lichą; chadzać on będzie w czerwieni potu i w błyskach kosy, a umiłuje go królowa— krwawa bieda — miłością wierną aż do grobu. A że krom zgrzebnej szaty nic nie zostawi po sobie, więc kościelne dzwony nie pokwapią się darmo dzwonić chłopu „na żałosną drogę“, jeno zaszumi wietrzyk w zielonej dąbrowie („Dzwony“).

Rzeczywistość niejednokrotnie przeczy słowom poetki: ani natura kmiecia nie jest tak jasna, ani tak czarną jego dola, jak je maluje Konopnicka. A przecież, mimo tendencyi jawnej jej pieśni sielskich, niby echa zmieszane potężnego chorału, dolatują w nich odgłosy z siół, z pól i z lasów, a wśród tego harmonijnego akordu wyraźnie odróżniamy szum niwy, poświst wiatru, szmer strumienia, bicie dzwonów i pieśni, łkania, płacze wieśniaka, który przejmującą nutą swej skargi, głębokością bólu i tęsknicy, świadomością swych krzywd i niedoli, panuje nad głosami natury i zdaje się tłumić je zupełnie. Niezgłębiony smutek tchnie z tych dźwięcznych melodyi, smutek często beznadziejny, w rozpacz przechodzący. Rzec można, iż cały cykl sielskich poezyi rozbrzmiewa jedną gromadną skargą, której akcenta żywe są i szczere. Skarży się chłopak na tempo oberka, że mu ojce z białej chaty nie chcą dać dziewczyny („Jakże cię mam brać dziewczyno?“); narzeka na chłodne rosy kmieć ubogi, na głód w chałupie i nędzę („A czemu wy chłodne rosy padacie“); zaklina parobczak ptaki niebieskie, aby wesołym śpiewem jego smutku nie powiększały, w którym

Digitized by Google

już wytrwać nie sposób („Albo mi ptaszkowie"); wyrzuca czarnej roli ojciec nieszczęśliwy, iż jej plonem rodziny wyżywić nie może („Wsiałem ci ja w czarną rolę na wiosnę"); czule żegna młody wyrobnik, co z kosą za chlebem rusza w świat szeroki, starych rodzicieli, „gołąbków siwych", a brzozy płaczące wtorują mu chórem („Oj zaszumiały brzozy płaczące"); wyrzuca ubogi koniucha obojętność dziewczynie w ślicznym, melodyjnym śpiewie („A kiedy mi przyjdzie zagrać w polu dziewczynie"), a jakiś kmiotek pokorny i cichy troski swe i niepokoje zwierza cichej nocy gwiaździstej. („Zaświadcz-że mi, nocko jasna"). Tak u Konopnickiej płacze, narzeka, tęskni wiejski lud ubogi, w rytmach bogatych a swojskich, przepojonych melancholijną poezyą smutku, rzuconą na tło ciemnych borów i łąk szmaragdowych. Niekiedy do tego hymnu boleści, co w niebo uderza, łączy sama poetka głos doniosły i czysty i jeszcze potęguje wrażenie. Z tej krainy niedoli i smutku, oblanej krwią i potem oracza, ona-by poszła pod obce, pogodne nieba, tylko że jej żal tej ziemi, kurhanów pełnej, tej chaty pod zarosłą lipą i tego sokoła, „co po-nad polem siwe piórka gubi". („Poszłabym ja na kraj świata").

A kiedy poetka zapragnie dać wyraz współczucia dla kmiecia, czyni to w pieśniach sielskich, zawsze w wysoce artystyczny sposób, bez cienia retoryki i przesady. Dość porównać obrazek silnie melomadryczny i tendencyjny „Chłopskie serce" z rzewną piosnką o Stachu, co zginął na wojnie:

A jak poszedł król na wojnę,
Grały jemu surmy zbrojne,
Grały jemu surmy złote,
Na zwycięstwo, na ochotę.
A jak poszedł Stach na boje,
Zaszumiały jasne zdroje,
Zaszumiało kłosów pole
Na tęsknotę, na niedolę...

W strofkach, gdzie mowa o królewskiej wyprawie i tryumfach, wyrazy same układają się w rytm bojowy, dźwięczą wesoło i tryumfalnie na wysoką nutę; smutny los żołnierza poetka opiewa słowem tęsknem i miękkiem, tonem minorowym. Podczas czytania krótkiego wiersza czytelnik kilkakrotnie z nastroju wesołego przechodzi w smutny, według woli autorki, która potrafi grać na sercach biegłą wirtuoza dłonią.

W pieśniach sielskich mamy też kilka obrazków. Najpiękniejszy z nich to sen pełen księżycowej fantazyi „A czy to urok jaki". Każda

Digitized by Google

strofka tego wiersza kończy się tajemniczem hasłem „Miesięcznaż bo noc“, które rzuca na cały obrazek koloryt rozmarzony i senny, mieniący się księżycowem złotem.

www.libtool.com.cn

Za to jaki posępny, złowrogi ton dźwięczy w wierszu „Hej! mruga na mnie, mruga, szumiąca, chłodna struga“, jakie prawdziwe akcenta wydobywają się z piersi chłopa, który z rozpaczy idzie topić się do rzeki. Cała skarga nędzarza. cały ból ojca, nie mogącego już więcej patrzeć na cierpienia najbliższych, streszcza się w kilku słowach: „dał Pan Bóg ciężkie dni!“ Ani śladu patosu albo roztkliwienia. Chłop zrozpaczony rzuca się do wody z okrzykiem: „Ha w imię Ojca, Syna... co za szum!... mocny Boże! .. bądź miłościw mi!“... i ginie śmiercią topielca. Konopnicka otworzyła przed nami smętne serce nędzarza, którego twarda ręka losu spycha w niezaszczytny dół śmierci.

Ale czyż istotnie maluczkim zgotowano tylko posępne życie i zgon beznadziejny? czy ciemne pasmo ich dni, nie przetkane ani jedną srebrną nicią radości? czyż po-nad chatami tylko wichry huczą, cieką chłodne strugi, a słońce patrzy bladą twarzą niemej tęsknoty? Więc na żywot oracza tej ziemi smutków składają się jedno przeszłe krzywdy niezapomniane, niedola obecna i hańbiący wypoczynek po znoju na dnie wilgotnem strumienia? Oczywista, że autorka we własnym nastroju nurza nasze pola i chaty, że krzepkiemu chłopu daje swe nerwy i wrażliwość i przebywać mu każe w obcej dlań atmosferze melancholii i tęsknoty, że uporczywie uderza w jedną tylko grobową strunę lutni wieśniaczej i wieśniacze życie ukazuje nam nie bez tendencyi w jednem, zawsze tem samem oświetleniu. Zatem patrzymy na wioskę przez pryzmat temperamentu poetki, wsłuchani w sielską melodyę smutku, smutni jesteśmy sami, mimo że tam, pod słomianą strzechą, nierzadko zdrowie gości i zadowolenie, że na łąkach słońce wesoło świeci, a na barwnych kwiatach barwne siadają motyle, że czarna rola nie zawsze przecież głogi rodzi, lecz czasem wyda żyto na chleb smaczny i złotą pszenicę. Nieco nadziei i wesela, nieco tonów rzeźkich i radosnych urozmaiciło-by smutne piosnki i pieśni, i wrażenie prawdy, jakie wywierają, znakomicie-by spotęgowało. Ale wolno było poetce trzymać czytelnika w nastroju melancholii i pokazać mu naturę przez mglistą gazę zadumy, skoro ona sama tęskna była i zadumana, skoro wyznała, że mówić inaczej nie chce i nie może, gdyż „smętność czasów“ widomie drogę jej zachodzi. Miała ona prawo z wielostrunnej lutni natury i życia dobyć ton dowolny, a miała obowiązek tylko grać donośnie i czysto. To uczyniła. Jej pieśni sielskie przez swą melodyjną prostotę i szczerość łacno znajdą posłuch, dopóki anioł harmonii trzymać będzie nad sercami władzę.

Digitized by Google

III.

www.libtool.com.cn

W jaki sposób poeta przez tony dochodzi do barw i kształtów, muzyką wywiera wrażenie plastyki, jak uzmysławia wewnętrzną harmonię uczuć i zjawisk i melodyjną ideę wciela w doskonałe kształty, tego daje wzór Konopnicka w swych porywających hymnach na cześć młodości i wiosny, w swych wybuchach pragnień, ekstazy i upojenia. Jej kontemplacyjna poezya smutku bynajmniej nie obfituje w obrazy. Dominujący pierwiastek czystej muzyki sprawia, że we mgle melancholii roztapiają się wszelkie kontury lub przy magicznem oświetleniu miesiąca łamią się w fantastyczne linie. Zmierzch najbardziej liliowy i noc księżycowa, chociażby przy pełni iskrząca gwiazdami, zdolne natchnąć poetkę do tęsknych słowiczych tryli, jednocześnie tłumią w niej poczucie plastyki i kolorytu. Rzeźbiarz i malarz potrzebują światła dziennego. To też przy świetle dziennem, pod działaniem południowego słońca, poetka, zbywszy się swej księżycowej melancholii, przemawia barwnym, dyszącym zmysłowością językiem, rzeźbi i maluje—śpiewem, wykazując dowodnie, że jeżeli głęboko smutną być potrafi, umie także odczuć czar życia i wprowadzić samą siebie oraz czytelnika w nastrój podnieconego entuzyazmu.

Zachwyty Konopnickiej, wyłącznie niemal pięknościami natury wywołane, mają w sobie dużo podniecenia, namiętności i szału. Po nocy, spędzonej we łzach i tęsknocie, poetka wpada w drugą ostateczność. Żar i blask słoneczny działają na nią upajająco, wywołują pieśń nie nadziei i wesela, lecz sprowadzają niemal żywiołowy wybuch ekstazy i uniesienia. Nie jest to zdrowy entuzyazm natury prostej i krzepkiej, lecz okrzyk namiętny zbolałego serca, które ze wszystkich sił rwie się do szczęścia, pragnie go i pożąda, a nigdy posiąść nie może. Ręka, co nazbyt długo uderzała w struny zwątpienia, chwyta gorączkowo za czarę życia i namiętnie do ust ją przyciska.

Takiem gorącem, namiętnem podnieceniem dyszą najsilniej dwa wspaniałe obrazy natury, zamknięte w ramach dwu króciutkich wierszy, p. t. „W jarze“ i „Co się stało?“

W pierwszym obrazku widzimy rozentuzyazmowaną poetkę, z pałającem obliczem i iskrzącym wzrokiem, pochyloną nad przepaścią wśród skał i huczących strumieni, pokrytą srebrnym pyłem wód i tysiącem barwnych tęczy, nurzającą się w rozkosznym cieniu i w jego świeżości szukającą ucieczki przed letnim upałem, widzimy ją, jak się upaja balsamicznem powietrzem, słonecznym blaskiem i zawrotnym widokiem kipiącego jaru, jak szybko przechodzi w stan zmysłowej ekstazy, która samą naturę zdaje się ogarniać:

Digitized by Google

Powój dziki mnie oplata,
We mgły idę, w pianach ginę,
Coś drży we mnie, pała, wzlata,
Coś się zmienia w biegu świata,
Gdy patrzę w głębinę.

www.libtool.com.cn

Poetka kończy wizyą, każdy jej nerw drga, jak harfiana struna, widzi się otoczoną płomienną dokoła muzyką, której odpowiada błyskami i hymnem uniesienia:

Cicho! ktoś na szczytach woła,
Jako harfa głos odbrzmiewam...
Ogniem płoną skalne czoła,
Brzmi excelsior dookoła —
Lecę—błyskam—śpiewam...

Fantazya „W Jarze“ wykazała w poetce jeden przymiot cenny— zdolność do uniesień. A szczery entuzyazm jest cechą niepospolitych umysłów, potrzebą serc głęboko czujących, oznaką natur wrażliwych i zdolnych. Człowiek tępy zapala się z trudnością i rzadko.

Komu jednak niedość zachwytów, kto pożąda wrażeń silniejszych jeszcze, pragnie upojenia, ten niech czyta hymn miłości i wiosny, niech podziwia jedną z najcenniejszych pereł naszej poezyi lirycznej, arcydzieło Maryi Konopnickiej, wiersz króciutki a wiekuiście piękny, urywek pod skromnym tytułem „Co się stało?“.

Jest to poezya upojenia, równie wspaniała, jak poezya grozy, bujny i najwonniejszy kwiat sztuki. Autorka przemawia językiem tak zmysłowym, tak przepojonym blaskami i wonią, iż zda się istotnie, że każdy wiersz, wyraz każdy „drży z rozkoszy, płonie, żyje“. Zaraz pierwsze zwrotki wprowadzają nas w zaczarowane koło uroków wiosennych:

Przysłoniwszy oczy rzęsą,
Słońce patrzy poprzez liście;
Szarych mietlic drżące kiście
Brylantowe rosy trzęsą.
Rozwichrzyły się srebrzyste
Pasma lekkich, długich cieni...
Na mchy rzucił snop promieni
Arabeski przezroczyste.

Kto wrażliwy na piękno natury, ten podziwiać będzie to słońce, co przez gąszcz patrzy przymrużonemi zda się oczyma, i te świetlne

Digitized by Google

plamy przejrzyste na tle zacienionem murawy. Jest to impresyonizm w najlepszym rodzaju, polegający na żywem odczuciu barw i na ich harmonijnem oddaniu. Grę kolorów wiosennego ranka maluje Konopnicka pędzlem delikatnym i lekkim, maczanym w słonecznem złocie.

W tym zacisznym gaju ptaki, owady, rośliny żyją odrodzonem i bujnem życiem, które subtelnemi rysami, jakby mimochodem, a przecież z ogromną plastyką oddaje poetka. W dwu króciutkich wierszach daje wizerunek bociana, tak wyrazisty i wierny, iż nieledwie słyszymy szelest jego skrzydeł, patrzymy na jego lot ociężały, jak nad łąkami krąży wyciągnięty. A owe niezapominajki, co zbite w gromadkę, wilgotne od rosy, ze zdumieniem patrzą niebieskiemi oczyma na nagłe zmiany wokoło, są nieporównane:

Wykąpane w wód przezroczy
Niezabudki kupką całą
Otworzyły modre oczy:
— Co się stało? co się stało?

Pod działaniem południowego słońca, powietrze przesycone blaskami i żarem wprowadza w stan upojenia naturę, owady, rośliny, ptaka i... samą poetkę. Nastaje chwila rozkosznej ekstazy:

Szmer się szerzy, miesza, dzieli,
Szybszym ruchem biją tętna,
Po liliowej głogów bieli
Łuna rzuca się namiętna...
Jakieś smutki i tęsknoty
Z mgłą padają na świat białą...
Czuć w powietrzu szmer pieszczoty...
Co się stało? co się stało?

Stało się, że wiosna wraz z ciepłem i światłem potężnie odradzają uśpioną przyrodę, pełną garścią naokół sypią posiew życia, działają magnetycznie na wszelkie stworzenia a w piersi człowieka niecą uczucie, co groźne jest śmierci, nieprzepartą potrzebę kochania. Słowo zagadki rozwiązuje poetka:

Zda się, że ta ustroń cicha
Drży z rozkoszy, płonie, żyje...
Ach, ktoś szepce! szepce... wzdycha!..
Ach, to komuś serce bije!
Ach! to wiosny słodki trunek
Upojenie w piersi sączy...
Ach! to pierwszy pocałunek
Rozkochane usta łączy!

Digitized by Google

„Co się stało“, to jeden z najpiękniejszych wierszy poetki. Wspaniały koloryt, język melodyjny i zdumiewająco plastyczny, polot wyobraźni, sprawiają, iż ten krociutki utwór do rzędu arcydzieł zaliczyć można. Nie znajdujemy go w wyborze poezyi Konopnickiej.

www.libool.com.ua

Z tym ognistym hymnem wiosennym pod względem żaru i blasku słowa da się porównać chyba równie płomienna apoteoza młodości i siły, wybuch podziwu poetki na widok Praksytelesowego fauna tańczącego. („Faun“ z cyklu „Italia“). Na ziemi włoskiej, pod oczynieniem greckiej plastyki, natchniona śpiewaczka uderzyła w struny zachwycenia tak potężnie, wydobyła melodyę grzmiącą i tak zawrotną, że piękny, nagi geniusz rozkoszy i szału, o krwi gorącej i zmysłowej twarzy, zaklęty ręką mistrza w marmur, ożył ponownie w pieśni i puścił się namiętny i niepohamowany w bachiczny pląs młodości. A ten zapamiętały tanecznik, wspaniałe wcielenie siły fizycznej i zdrowia, wie, co to jest żyć i użyć, potrafi kochać bujną krwią i zmysłami, pić nektar upajający z jagody winnej ciała nimf płochliwych, ani jednego nie pominąć dania na uczcie żywota, rozkoszować się powietrzem, słońcem, naturą całą i nurzać się w jej pięknościach, wołając:

Jak świeży gaj! Jak piękny świat!
Jak kipią życia miody!

To wiecznie młody geniusz starożytnej Hellady, przybrawszy kształty nieśmiertelnego piękna, stanął widomie przed autorką naszą i wydobył z niej cały kunszt i doskonały artyzm melodyjnego słowa. Nagie ideje, zaraz przy poczęciu, wcielają się tu w formy niemal dotykalne, skrzą się barwami, dźwięczą muzyką. Każda zwrotka, to obraz, każdy wiersz, to ton, każdy wyraz, to rys. Żadnych ogólników, ani śladu ukrytej, lub jawnej tendencyi. Poetka nie przemawia ani do chłopa, ani do pana, ani do mężczyzny, ani do kobiety, lecz do serca i do wyobraźni. Pracuje dla czystego artyzmu i jest w swojej roli, hołduje pięknu i jest natchnioną. Tak stare, dawne hasło estetyczne, sztuka dla sztuki, święci za dni naszych nowe tryumfy.

Po księżycowych trenach taka porywająca pobudka młodości grzmi jak hasło zmartwychwstania. Smutek, choćby tak głęboki i szczery, jak u Konopnickiej, to tylko jedno uczucie, a bujna młodość to świat cały, to zdrowie i miłość, to zapał i twórczość, to siła, namiętność, szał, to szczęście. Jej wschodzące słońce wesoło przyświeca, dla niej zielenią się murawy życia, roztaczają się szeroko, aż giną w błękitnej mgle przyszłości. Ona mieści w sobie nieprzebrane skarby uczucia, mieni się wszystkiemi barwami tęczy, grzmi potężnym chorałem, rozszczepionym na tysiące głosów. Niewysłowiony, wiosen-

Digitized by Google

ny czar młodości, to najdzielniejszy środek artystyczny dla wywoływania wrażeń rzeźkich a silnych. A przecież jak rzadko poeci współcześni uderzają w najdźwięczniejszą, złotą strunę młodości!

Talent Konopnickiej w swoich arcytworach, to jakby żywy odblask geniuszu Mickiewicza. Bo zda się, że od niego przejęła zmysł plastyki, poczucie kolorytu i wielki, niezrównany kunszt obrazowania. Ze wszystkich pisarzów poromantycznej doby jej jednej udało się stanąć kilkakrotnie na szczytach artyzmu i potężne stworzyć obrazy z Mickiewiczowską siłą, prostotą i miarą. Wprawdzie sprawiły to nie nazbyt częste, rzadkie nawet, chwile szczerego natchnienia, wprawdzie Konopnicka wydobyła z siebie wówczas „cały zapas ducha“ i dała nam nie skończone arcydzieło, ale kilka jego odłamów; przecież w tych wielkich, błogosławionych momentach doścignęła poetka niezaprzeczenie samego źródła poezyi. Do takich nielicznych, ale imponujących polotem wyobraźni i artystycznie doskonałych objawów twórczego natchnienia autorki naszej należy wniebowstąpienie Jehowy w „Mojżeszu“, gniew Jowisza w „Faunie pijanym“ i opis burzy morskiej w „Panu Balcerze“.

Biblia, którą Konopnicka, jak wszyscy wielcy poeci, zna i żywo odczuwa, udzieliła jej do „Mojżesza“ płomiennego tła i dała styl lapidarny. Początek poematu zdaje się być skreślony ognistemi zgłoski. Niby objawienie Apokalipsy roztacza poetka w błyskach i piorunach gorejący obraz wniebowstąpienia Jehowy po krótkim pobycie na ziemi:

Oto się oddala
Na czterech wichrach spętanych, jak konie,
W błysk, który w dłoniach dzierży piorunowy...
A za nim chmura, jak czara z korala,
Z której ogniste węże piją, płonie
Od skier, skrzesanych złotemi podkowy.

Ale ziemia nie znosi widomej obecności Boga, drży, ugina się, jęczy pod stopą Przedwiecznego, a na blaski, co biją od majestatu Pana Zastępów, struchlałe słońce spogląda bladą twarzą upiora:

Ucichło, tylko pustynia łkająca
Tarza się w bólach, jako lwica płowa,
Co ma porodzić lwa, króla tych piasków;
A blade widmo umarłego słońca,
W koronie swoich przygaszonych blasków

Digitized by Google

Z grobu chmur czarnych powstaje...
Jehowa!
Jehowa! wróć się!.. Cisza. Z burzy proga
Pan wstąpił w wiecznych błękitów swych gmachy;
I tylko w dali mdlejące przestrachy
Niosą tęczowy płaszcz Boga.

Poezya patosu i grozy, moc niezwyczajna słowa, zdumiewające wirtuozostwo porównań, trzymane na wodzy artystyczną miarą, złożyły się na ten obraz pustyni wschodu, który istotnie zdaje się unosić w „wichrach i płomiennych łunach". Na takiem tle piorunowem postać żydowskiego prawodawcy, pełna groźnej powagi, mogła-by dźwignąć się do olbrzymich rozmiarów posągu Michała Anioła, gdyby poetka utrzymała się dłużej na tych zawrotnych szczytach, gdzie przebywają orły i geniusze, i zaraz potem nie zstąpiła na bezpieczne, szeroko a powabnie rozłożone, równiny talentu.

Krótki jak błyskawica, rażący jak piorun, rozgrzmiał się gniew Zeusa w „Faunie Pijanym". W trzech strofach potrafiła poetka oddać po mistrzowsku wściekłość żywiołów, szalejących na rozkaz gromowładnego pana Olimpu. Trudno o większą lapidarność stylu. Imponujące obrazy powstają nagle, wywołane jednym rzutem ręki, malowane kilku płomiennemi słowy, z zadziwiającą oszczędnością miejsca i czasu, a przecież skończone i całe, jakby poetka wykazać pragnęła, że panuje nad przestrzenią i czasem, że w pyłkach, igrających na słońcu, potrafi zamknąć nieskończoność.

Za to na olbrzymich ramach rozpina wspaniałe pejzaże morza w „Panu Balcerze". Poemat ten cały składa się z obrazów, kreślonych w szerokim epickim stylu, a prym pomiędzy niemi trzyma opis trąby morskiej, który na równi z burzą z „Pana Tadeusza" postawić można i należy. Zostawiamy sobie jednak na później szczegółowy rozbiór tych pierwszorzędnych piękności.

Oto są szczyty artyzmu Maryi Konopnickiej. Poniżej spostrzegamy liczne płody talentu, cały szereg utworów bogatej wyobraźni i szczerego natchnienia. Wabi i nęci zdradnym śpiewem syreny, magnetyzuje księżycowym blaskiem, upaja zapachem łąki, nocną wysrebrzonej rosą, urocza fantazya „Latawica"; chwyta za serce charakterystyczny dyalog „Na Gody", napisany z tak pożądanym objektywizmem, przeniknięty humorem serdecznym i rzewnym, a na ludową wyśpiewany nutę; bije pod niebiosy przeraźliwą skargą wygnańców z ojczystego zagonu wiersz „Do Granicy"; drga głębokiemi, biblijnemi tony „Modlitwa Ezdraszowa"; dźwięczy erotyczną nutą, tak rzadką

Digitized by Google

u Konopnickiej, „Romans wiosenny“; iskrzy się subtelną ironią część druga „Jana Husa“; zajmują bogactwem i rozmaitością motywów, obfitością treści, liczne „Fragmenty“, a słowiczą melodyą kołyszą wspominane już wyżej: natchnione „Piosenki i Pieśni“, „Z łąk i z pól“, „Z daleka“, „Na Fujarce“, „Wieczorne pieśni“, „Noce Letnie“, i „W Górach“.

W ten barwny poetycki wieniec wpleść jeszcze należy kwiat najświeższy, wprawdzie egzotyczny, lecz bodaj najpiękniejszy, wydany na włoskiej ziemi, cykl wierszy p. t. „Italia“. Znajdujemy tam niejedną cenną perłę. Podziwiamy nieśmiertelnych „Faunów“, nieśmiertelnych już nie tylko w marmurze, ale także w pieśni; i zamkniętą, białą, marmurową, sypiącą różami u sennych podwojów, wśród smutnych dumającą cyprysów, pałającą na słońcu a duchami zaludnioną „Willę Wołkońskich“; i stylową opowieść z doby renesansu o abbatessie Giovanninie i mistrzu Corregio p. t. „W Parmie“, żywo przypominającą najpiękniejsze strofy Heinego. Niekiedy znów poetka, bawiąca na ziemi klasycznej, przemawia potoczystą mową klasyczną, pisze tym świetnym, okrągłym stylem, co, napastowany przez romantyków, żyje przecież i po wsze wieki czarować będzie miłośników i znawców kunsztownego słowa. Cały początek „Willi Cycerona“ składa się ze strof toczonych, pod któremi z dumą i rozkoszą podpisałby się wytworny Trembecki. Wiersze takie nie czytać, lecz uroczyście skandować należy:

Cycero? Z tej więc fali, co łódź moją trąca
Wstała ta mowa nagła, silna, błyskająca
Słonecznemi iskrami, lub pogardy pianą,
Mowa, której Rzym słuchał, ugiąwszy kolano.
Tu więc, po tym mirtowym przechodząc się chłodzie,
Kąpał wieńczone czoło w błękitnej pogodzie
I upojon tych winnic pochlebnym szelestem,
Myślał, że tłumy, stawał i witał je gestem.

A w jaki artystyczny sposób ten rzymski orator uczy się trudnej sztuki publicznego przemawiania, jak stara się nabrać wytwornej potoczystości stylu:

Tu wodząc miękką dłonią po etruskiej wazie,
Uczył się jej okrągłość zamykać w wyrazie,
W którym, choćby przeklinał i wołał: banita!
Drżała piękność, od kształtów amfory odbita.

Digitized by Google

Ale i polska poetka nauczyła się na italskiej ziemi okrągłość zamykać w wyrazie, i u niej słowa gonią się „niby jasne perły“, i w jej ostatnich wierszach drży piękność greckiej plastyki. Kunszt epickiego obrazowania widnieje w całym blasku w jej ostatnim poemacie, zakreślonym na wielką skalę, mianowicie w „Panu Balcerze“. Zanim jednak zaprosimy czytelnika w daleką a tak ciekawą podróż do Brazylii, musimy przedtem zająć się jeszcze zmudną pracą wydobywania złotych ziarn poezyi z niewdzięcznej rudy wierszy społecznych i filozoficznych Maryi Konopnickiej.

STANISŁAW KOZŁOWSKI.

(Dokończenie nastąpi).

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Wśród stepów i jarów.

I.

Ziemia.

Szeroko się rozłożyły stepowe czarnoziemne przestrzenie dzisiejszej gub. Kijowskiej i sąsiednich powiatów wschodnich Podolskiej. Naturalne granice tego obszaru zaznaczyły z trzech stron, miejscami tylko przerywane, wodne szlaki: od wschodu Dniepr wspaniały całkowitym średnim swoim biegiem; na zachód Boh stary od miejsca, gdzie na pierwszym jego energiczniejszym zwrocie siadł Chmielnik, do Olwiopola, czyli do ujścia Siniuchy; od północy—najpierw wierzchowiny Teterowa, następnie Unawa do Fastowa, a w końcu Stubna aż do Dniepru pod Trypolem. Bez porównania trudniej oznaczyć tutejsze naturalne rubieże południowe; administracyjne granice obrały sobie wprawdzie Wyś, Jatrań i Siniuchę dla oddzielenia gub. Kijowskiej i Podolskiej od sąsiedniej Chersońszczyzny, jednak różnica w wyglądzie powierzchni po obu brzegach tych dopływów Bohu i Dniepru jest tak niewielka, zamierzchłe zaś, jak też i mniej dawne ich dzieje, bywają częstokroć tak do siebie podobne, że pod względem topograficznym, etnicznym i ekonomicznym, trudno oznaczyć między niemi taką granicę, która-by odpowiadała administracyjnej. Północne bowiem powiaty Chersońszczyzny i leżące na północy dorzecza Rosi, oraz na całem dorzeczu Sobu, zupełnie różne, mają łącznik w powiatach południowych gub. Kijowskiej i Podolskiej, które swą fizyognomią

Digitized by Google

stanowią coś pośredniego między niemi. Ścisłe więc oznaczenie południowej granicy tutejszych przestrzeni stepowego czarnoziemu byłoby zbyt drobiazgowem, etnicznie zaś i kulturalnie, jego krzywa linia graniczna, wysuwająca się to dalej ku morzu Czarnemu, to cofająca się bardziej na północ, jest jakby graficznem wyobrażeniem tego kolonizacyjnego prądu, który od wieków stale parł tu życie ekonomiczno-społeczne ku południowi, a zatrzymywał się lub cofał tylko chwilowo pod wpływem przeróżnych wydarzeń.

Jeszcze w początkach bieżącego stulecia równiny południowej Kijowszczyzny i pogranicznych z nią ziem od zachodu i południa stanowiły przestrzeń, na której kultura gleby była bardzo słabo rozwinięta. Wielokrotnie wprawdzie w ciągu wieków wytryskiwały tu takie zdroje życia, tyle było energii, a nawet częstokroć taki jej nadmiar, że, gdyby nie przeszkody zbyt do pokonania trudne, jakie bieg czasu przynosił, kraj ten liczył-by się dziś do rzędu przodujących, przynajmniej kulturą swej bogatej gleby; a jednak siła szeregu wypadków była taką, że jeszcze w pierwszej ćwierci bieżącego stulecia nawet zboża tu wiele nie zasiewano. Za to wysokie, naturalne, soczyste trawy, dawały wyśmienite pastwiska i znakomite siano. Na stepie pasły się stada pięknych koni krwi wschodniej, trzody siwych wołów i cienkowełnistych owiec; tylko na zimę zapędzano je do chróścianych stajen, obór i owczarni, gdzie głównym pokarmem bywało siano stepowe. Na obszarze tu i owdzie, od wieków, zakładano „futory", niewielkie, kilkomorgowe, okolone liściastemi drzewami przestrzenie, śród których nad źródliskami sadzono drzewa owocowe, chroniące pod swym cieniem „kurzenie" futorowych stróży lub pasieczników, jeżeli, co się często zdarzało, futor był pasieczyskiem. Pszczoły hodowano, jak i dziś jeszcze, w ulach wydrążonych z kłód topoli lub lipy, „bezdenkami" zwanych, a nakrywanych miskami lub „kulami" ze słomy, które wyglądały jak czapki, rozsunięte u dołu i spadające do połowy wysokości ula. Stepowe kwiaty, lipa, hreczki, wreszcie mięta lub melisa, zasiewane pośród pasieczyska, dawały pszczole obfity i aromatyczny wziątek. Na zimę ule szły do specyalnie urządzonych podziemi, „temnikami" zwanych, gdyż stepowa pszczoła, jak ktoś dowcipnie powiedział, jest troglotydem na równi z tutejszym charakterystycznym susłem.

Na wiosnę, szybko po zejściu śniegów step się zazieleniał, młoda trawa wyskakiwała po-nad obumarłe zeszłoroczne burzany, tu i owdzie pękały barwne kielichy; tysiące pstrych motyli wiodły między sobą gonitwy, w trawie odzywał się konik polny, a od czasu do czasu, przeciągłym basem dawał znać o sobie bąk, w „oczeretach" goszczący. Gdzieś w oddali zatętnił przez chwilę tabun koni, pędząc ku skrzypiącemu, u studni na stepie żurawiowi; fala czystego powietrza unosiła

Digitized by Google

daleko gwary parobczanej młodzi i śpiewy czarnobrewych, wiotkich jak trzcina, zręcznych jak sumak krasawic, a nad tą radującą się, bogatą w życiodawcze siły wiosną na ziemi, świegotał w powietrzu, trzepocąc skrzydłami, skowronek, przeciągały klucze żórawi i klekotały bociany, podążając tym samym powietrznym szlakiem, którym już wcześniej przywędrowały przodownicze ptaków zastępy — dzikie gęsi i kaczki.

Jednocześnie i rolnik wychodził w pole. Niewielka wprawdzie przestrzeń czarnoziemu, w porównaniu z tą, jaka się dziś uprawia, była pod pługiem. A pług był domowej roboty, drewniany, o skrzypiących, najczęściej zużytych od wozu kołach, lecz zaprzężony w sześć wielkich, siwych wołów, o rozłożystych rogach i posuwistym kroku; orka była płytka, często pięciu cali nie przenosząca, ale dostateczna na tej bujnej glebie, przy jej klimacie i jeszcze w przededniu wymagań kultury takiej, jaka się obecnie prowadzi.

Że klimat musiał tu być dawniej o wiele wilgotniejszy niż dzisiaj, dowodzą wyschłe niewielkie rzeczułki, które wpadały do morza Czarnego, a na miejscu których obecnie głębokie jary zachowały gdzie niegdzie tylko trochę wody. Te suche łożyska leżą już wprawdzie po za południową granicą przestrzeni, o których mówimy, lecz dowodzą, że atmosferyczne warunki stale wpływały na wysychanie tutejszych wód, co widzimy tem jaśniej, im posuwamy się dalej ku południowi. Obecnie klimatyczne warunki tego kraju są następujące: leżąc między 28-m i nieco dalej po-za 35-ty stopień długości wedle południka w Greenwich, dochodzi on do 50-go stopnia szerokości północnej. Jego linie izoteryczne przechodzą tak, że średnia temperatura lata wynosi 19 C. dla północnych, a prawie 22 C. dla południowych punktów; izochimeny zaś wskazują, że średnia zimy waha się między —3 C. np. dla Olwiopola, a —5 C. dla całej linii wybrzeża środkowego Dniepru[1]). Tutejsza więc średnia temperatura zimy jest niższą od warszawskiej, trochę tylko wyższą od zimowej temperatury Rewla, niższą od odeskiej, a znacznie wyższą od woroneskiej. Inaczej przedstawiają się kierunki linii izotermicznych; wskazują one, że średnia temperatura roku dla Berdyczowa jest taka jak dla Warszawy, czyli około + 7.5 C., ale już Białocerkiew ma + 8 C., a Olwiopol co najmniej + 9.5 C., czyli tyle co Taganróg, znacznie dalej na południo-wschód leżący. Słowem, średnia temperatura lata w tym kraju wynosi mniej więcej + 21 a zimy —4 stopnie wedle ciepłomierza Celsyusza, zaś w ciągu roku— przecięciowo + 8 [2]). Stan ten można bezwarunkowo uważać jako

[1]) E. Reclus. „Nouvelle Géographie." T. V, planche 61.

[2]) Andrees Handatlas, 12.

Digitized by Google

skutek braku zasłony większych gór. W istocie, tylko Karpaty i ich odnoga Owratyńska zasłaniają kraj na niewielkiej przestrzeni od Zachodu, reszta zaś jest całkowicie odsłoniona dla ostrych, suchych wiatrów od północo-wschodu, suchych od wschodu, a gorących od wschodo-południa. Północ jest wprawdzie zasłoniona poleskiemi i białoruskiemi lasami, lecz znaczne ich oddalenie stanowi słabą zasłonę, tem słabszą, im więcej tych lasów ubywa. Wilgoć przynoszą tu zachodnie wiatry, śnieg zimą—północne, a latem deszcz—czasem południowe, lecz przeważnie południowo-zachodnie. Trzebież lasów i kierunki wiatrów w rozmaitych porach roku sprawiają, że wiosna przeważnie bywa tu sucha, a lato średnio wilgotne, co się przeciąga do końca października; zima zaś zwykle obfituje w śniegi. Opady wilgoci, aczkolwiek nie zawsze w porę dla potrzeb rolnictwa przychodzą, ze względu na śnieżność zimy nie należą do małych. W gub. Kijowskiej i wschodnich powiatach Podolskiej suma ich jest prawie taka, jak w Petersburgu, Moskwie, w samym Wiedniu i Berlinie, wreszcie w Szwecyi, czyli od 40 do 55 ctm. w ciągu roku, kiedy w sąsiedniej gub. Chersońskiej, w Krymie, na Donie i w górę ku Woroneżowi i Saratowowi, nie przewyższa 40 ctm.; w Warszawie zaś, w prowincyach Nadbaltyckich a nawet w sąsiedniej gub. Wołyńskiej i górzystej północno-zachodniej części Podolskiej, waha się między 55 a 70 ctm. [1]).

Widzimy więc, że klimat stepowej przestrzeni Kijowszczyzny i sąsiednich z nią powiatów podolskich nie należy do suchych, a jednak ta ilość wilgoci, jaka tu bywa w porze największego wzrostu roślinności, prawie zawsze jest niedostateczna. Obok wyżej wskazanych przyczyn działa tu jeszcze przepuszczalność samej gleby, gdyż warstwa czarnoziemu dochodzi tu miejscami do półtorametrowej głębokości. Trudno-by było określić, jak długo ta warstwa się tworzyła, gdyby nie następujące wskazówki: w gub. Czernihowskiej znajduje się grupa kurhanów, w których poszukiwania wykazały, że były sypane prawie wyłącznie z piasku. Obecnie jednak wierzchnią ich powłokę stanowi ziemia czarna, humusowa, powstała z roślinności gromadzącej próchnicę z roku na rok, naturalnie po usypaniu kurhanów; a ponieważ znajdowane w nich monety dowodzą, że te kurhany istnieją od X stulecia naszej ery, stąd wynik, że leżący na ich powierzchni czarnoziem potrzebował dziewięciu wieków, aby utworzyć warstwę od 15 do 20 centymetrów głęboką, jaką dziś przedstawia. Jeżeli więc trzeba było 900 lat dla nagromadzenia takiej warstwy, to zalegająca południowe przestrzenie Cesarstwa, a więc i obszary gub. Kijowskiej i Podolskiej,

[1]) Reclus, pl. 60.

Digitized by Google

potrzebowała od 3600 do 6000 lat czasu, stosownie do miejscowej, obecnej swej głębokości [1]). Naturalista Hartman, zdaniem p. Reclus, porównywa bez przesady, pod względem znaczenia ekonomicznego, tutejsze warstwy czarnoziemu z pokładami węgla w Anglii [2]). Cały pas bogatej gleby na południu państwa Russkiego od Dniestru po-za Don, jak niektórzy obliczają, zawiera w sobie azotowych części tyle, że ich wartość przedstawia szesnaście miliardów franków [3]), a ponieważ tutejsze przestrzenie czarnoziemu stanowią mniej więcej jedną dziesiątą część tego pasa i należą do głębokich, przeto wnosić można, że jeśli to obliczenie nie jest mylnem, to na dział tutejszy przypadnie półtora miliarda franków, czyli około sześciuset milionów rubli, stanowiących wartość azotowych części kijowskiego i podolskiego czarnoziemu. Im bliżej północnego z jednej i południowego z drugiej strony jego krańców, t. j. im bliżej rzeki Prypeci i morza Czarnego, tem cieńszym staje się pokład: na Polesiu domieszka humusowa stanowi już tylko bardzo nieznaczny procent do piasku; również gdy się przejdzie nizki granitowy grzbiet karpackiej odnogi na południu, widocznem się staje, że czarnoziem miejscami zaledwo przykrywa pokład miękkiego porowatego kamienia, charakteryzującego całe wybrzeże morza Czarnego. W samym zaś środku między temi dwiema granicami warstwa rodzajna ma z wierzchu kolor mocno czarny do półmetrowej nieraz głębokości, następnie staje się czarno-brunatną, dalej brunatno-czerwoną, aż w końcu w głębi 1 do $1^1/_2$ metra czarnoziem całkowicie ustępuje pokładowi gliniastemu, spoczywającemu na gnejsach lub granicie. Wszystko to świadczy, że tutaj warstwy roślinności narastały nieprzerwanie jedna nad drugą w ciągu wieków, wśród sprzyjających dla nich warunków.

Była jednak epoka, kiedy temu porządkowi poważne groziło niebezpieczeństwo, a mianowicie w czasach, gdy góry lodowców wędrowały przez wierzchy skandynawskich i finlandzkich skał od północy ku południowi i wschodo-południowi. Miażdżąc wszystkie zapory, jakie napotykały, unosiły one masy porozbijanych granitów, a szlifując i zaokrąglając, zostawiały je wraz z nanoszonym piaskiem po drodze. Takiemi eratycznemi bryłami kamieni usłana znaczna część Europy na południu i południo-wschodzie od Baltyckiego morza. Łamana linia, idąca od zachodu do Włodzimierza wołyńskiego, następnie zwracająca się ku północy do rzeki Prypeci, znikająca w bagnach pińskich, aby się znowu ukazać pod Rzeczycą nad Dnieprem, omijająca półkolem od północy Czernihów, dochodząca do Putywla a ztamtąd olbrzymiemi zało-

[1]) Reclus, T. V, 445.
[2]) Tamże.
[3]) Tamże.

Digitized by Google

mami do Kaługi i Wiaźmy, — ma swój kulminacyjny, najbardziej ku południowi wysunięty punkt pod Woroneżem, zkąd energicznie podnosi się ku wschodo-północy i, nie doszedłszy do Uralu, kończy się nagłym zwrotem ku północo-zachodowi, prawie u Białego morza [1]). Linie wskazujące na mapach geognostycznych szlaki lodowców, ułożone wedle wskazówek, jakie nam dają rodzaje kamieni eratycznych i porządek ich rozrzucenia, rozchodzą się jakby promienie olbrzymiego wachlarza, od Szwecyi i Finlandyi. Sądząc z kierunku tych linii, widzimy, że lodowce szły prosto i ku nam, ale że w dolinie dzisiejszej Prypeci musiały się zatrzymać u stóp granitowego płaskowzgórza, będącego właśnie ową odnogą Karpat. Tam stopniały powoli i utworzyły olbrzymie jezioro, którego resztki stanowią dzisiejsze błota pińskie. Tylko w ten sposób stało się, że lodowce, dążące w tym kierunku, dalej nie poszły, że nie naniosły tu kamieni i piasku, których nagromadzenie było-by wpłynęło na zjawienie się roślinności całkiem innej, niż ta, jaka była niezbędną dla utworzenia z czasem czarnoziemu.

Przedmiotowe traktowanie kwestyi każe nam jednak tu przyznać, że nowsze badania w południowym pasie czarnoziemu wykazały istnienie kamieni eratycznych, miejscami o wiele dalej ku południowi, niż granica, którą tu wedle wskazówek mapy Majendorfa i Murchissona przedstawiliśmy. Według niej bowiem, nie powinny-by się one już znajdować w najbogatszej pokładami czarnoziemu części gub. Połtawskiej nad rzeką Udajem, a jednak sprawdzono, że tu, pomieszane z gliną, leżą one między dwiema warstwami czarnoziemu, z których dolna bardzo gruba, a górna cienka [2]), co dowodzi, że wędrówki lodowców odbywały się już wtedy, kiedy stepowa roślinność utworzyła grubą warstwę czarnoziemu, że dalszy rozwój roślinności został tu na czas jakiś przerwany i że następnie, po stajaniu lodowców i spłynięciu wody, znowu wszystko zaczęło iść dawnym, a przynajmniej zbliżonym do dawnego, trybem, skoro nad warstwą kamieni eratycznych i gliny utworzyła się nowa warstwa czarnoziemu. Niemniej jednak to wszystko nie usuwa twierdzenia, że gdy w glebie kijowsko-podolskiej nie znajdujemy kamieni eratycznych, gleba ta, dzięki temu tylko, że się kierujące w tę stronę lodowce u stóp granitowego płaskowzgórza zatrzymać musiały, stała się bardzo głęboko rodzajną, a co najważniejsza — jednakowych własności, tak na powierzchni, jak i znacznie głębiej, co zadanie rolnictwa znakomicie ułatwia.

---

[1]) Mapa geognostyczna Majendorfa, ułożona podług Murchissona.

[2]) Atlas III Archeologicznego zjazdu w Kijowie; mapa VI do referatu p. Kamińskiego.

www.libool.com.cn

Digitized by Google

Lecz nie same tylko lodowce groziły zamieszaniem w świecie roślinnym, gdyż tu się wdarły i wody oceanu od północy, które poszły o wiele dalej niż lodowce. Na szczęście, pochyłość całej powierzchni ku południowi i tak wydłużone ku morzu doliny, jak dorzecze Dniepru, nie pozwoliły zatrzymać się stale wodzie morskiej na wielkiej wschodnio-europejskiej równinie. Z wyższych miejsc, do których tutejsze płaskowzgórze zaliczyć należy, woda spłynęła szybciej niżeli z miejsc niższych, gdzie pozostałości jezior słonych, osady soli na miejscach dziś ubogich w roślinność, talerzowatych, wskazują, że dłuższe zatrzymanie się wód oceanu wyrokowało o dzisiejszej rodzajności gleby. Dowodzą tego zamknięte doliny, niedaleko Kaspijskiego i Czarnego morza położone, gdzie roślinność żyje bardzo krótko na wiosnę, poczem obumiera, zostawiając rudawe plamy, na których błyszczą kryształki soli. Nawet lewy brzeg Dniepru, o wiele niższy od prawego, posiada w czarnoziemnym pasie znaczny procent z tego powodu nieurodzajnej gleby. Trafia się to i w niektórych miejscowościach prawego brzegu Dniepru w tymże pasie, lecz tak rzadko, że przypuszczać należy, iż dzięki 300-metrowemu wyniesieniu płaskowzgórza i lekkiemu spadkowi ku morzu, oraz gładkości powierzchni, wody oceanu musiały tu zajść albo bardzo niedaleko, albo bardzo były płytkie, lub też ustąpiły tak szybko, że się sole nie miały czasu osadzić w takiej ilości, jaka-by mogła ujemnie oddziaływać na późniejszą roślinność.

Widzimy więc, że w historyi utworzenia się wierzchniej warstwy gleby tutejszej, choć bierny ale potężny wpływ miało to, iż góry Karpackie wysłały tu swoją odnogę szeroką, płaską, która od wzgórzy krzemienieckich i płoskirowskich przedstawia się jakby blat stołu, nieco pochylony ku południo-wschodowi, a ciągnący się w poprzek Dniepru prawie aż do morza Azowskiego. Początek tego odnóża Karpat, wzgórzem Owratyńskiem zwany, wznosi się do wysokości 360 metrów nad poziom morza, ale dalszy ciąg tego wzgórza, t. j. sama wysoka równina, jak powiedzieliśmy, nie wyżej 300 metrów podniesiona u swej północno-zachodniej krawędzi, już tylko 200 metrów wysoka nad Dnieprem, na oko wydaje się prawie horyzontalną. Ta horyzontalność powtarza się i w niższych jej warstwach, tak, że skalisty pokład ani żadnych energiczniejszych wyniesień, ani fantastycznych załomów pod powierzchnią nie tworzy, co wpływa na jednostajność gleby i ułatwia jej kulturę [1]). Powyższa uwaga znakomitego geografa tyczy się wprawdzie całej wschodnio-europejskiej równiny, naszem jednak zdaniem, specyalniej i słuszniej może być zastosowaną do tutejszego

[1]) Reclus, 280.

Digitized by Google

płaskowzgórza, tem bardziej, że tenże sam autor dobitniej powiada, iż na południu Rossyi, a więc i tu, formacye rozłożyły się równoległemi do siebie warstwami, jedna nad drugą, na granitowem płaskowzgórzu, przecinającem na ukos stepy południowe.

www.libtool.com.cn

Nie mogąc rozpatrywać zbyt szczegółowo chemicznego składu tutejszej gleby rodzajnej, a tem bardziej tych warstw, które stanowią jej podglebie, ponieważ rzecz ta wymaga specyalisty a jednocześnie i dla specyalistów tylko mogła-by być zajmującą, zwrócimy jedynie uwagę na geologiczne wskazówki, które znaleźliśmy u innego autora, w opisie jednego z południowych powiatów Kijowszczyzny, lecz które mogą być zastosowane do całego rozpatrywanego tu obszaru: „Budowa geologiczna (obszernej przestrzeni pow. Zwinogrodzkiego oraz przylegającego doń od zachodniej strony pogranicza pow. Humańskiego), jest bardzo prosta i prawie wszędzie jednostajna. Główną, zasadniczą, widoczną podstawę gruntu stanowią tu wogóle pokłady gnejsów okresu azoicznego, poprzerywane tu i owdzie żyłami granitów. Na tych leżą miejscami cienkie i nieobszerne płaty, a raczej gniazda utworów eocenicznych, złożonych z warstw lignitowych, a wogóle na całej przestrzeni spoczywają osady dyluwialne jasno-żółtej gliny, pokryte ostatecznie grubą powłoką wierzchnią, złożoną ze znanego ze swych szczególnych własności rolniczych, aluwialnego czarnoziemu" [1]). Taką jest mniej więcej geologiczna budowa tutejszych przestrzeni, jeszcze niedawno stepami zwanych. W tem tylko, co się tycze gniazd lignitowych, powyższa charakterystyka stosuje się specyalniej do jednego z powiatów południowych, Zwinogrodzkiego, gdzie lignit jest już używanym jako materyał opałowy. Nic jednak nie dowodzi, żeby go gdzieindziej na południowej stronie rzeki Rosi być nie miało.

Warstwy szarych gnejsów i granitów zlewają się wzajemnie, jak to widać na pierwszy rzut oka tam, gdzie wody poodkrywały te zasadnicze utwory podkładowe; czasami zwietrzałe wierzchnie ich części wytwarzają rozmaitej grubości pokłady kaolinu [2]), u miejscowej ludności białą gliną zwanego, a używanego do bielenia mieszkań; pokłady zaś żółto-czerwonawej gliny dyluwialnej dochodzą do kilkunastu metrów głębokości i odpowiadają pokładowi, znanemu pod charakterystycznem mianem gliny mamutowej. W nim-to znajdują szczątki zwierząt zaginionych, oraz domieszki wapienne, w kształcie białych żyłek. Należy więc ten pokład do młodszych utworów dyluwialnych [3]), w któ-

[1]) Ossowski. „Materyały do Paleontologii kurhanów." Część I, str. 5.
[2]) Ossowski, str 7.
[3]) Tamże.

Digitized by Google

rych niezawodnie znalazły-by się i narzędzia ręką ludzką robione z epoki kamiennej, jak to się dzieje po lewej stronie Dniepru [1]).

Przerzynając więc u samego wierzchu warstwy aluwialne, czarnoziemne, następnie niżej dyluwialne, gliniaste, aż do odkrycia skał, potworzyły rzeczki i rzeki tutejsze mniej lub więcej głębokie wądoły, jarami zwane. Wiele rzeczułek wyschło już oddawna i pozostały po nich tylko stare łożyska, te właśnie jary, które są pod tym względem charakterystyczne, że zwykle idą w kierunku równoległym jeden do drugiego, aż do zetknięcia się z jakąś większą rzeką. Nie mówiąc nic jeszcze o Dnieprze, którego wielkość i znaczenie wymagają specyalnej wzmianki, można spadki rzek tutejszych określić w sposób następujący: te wszystkie, które biorą początek u stóp krzemieniecko-owratyńskich wzgórzy, jak np. Boh i górne jego dopływy, a również i inne, jak Teterów, Roś z dopływami pierwszej swojej połowy, Siniucha z Jatranią i Wyś, płyną z początku niezbyt głębokiemi wąwozami, prawie na wysokości płaskowzgórza, czyli do 300 metrów nad powierzchnią morza; ale w miarę tego, jak woda staje się obfitszą, ryje ona sobie głębsze łożysko, i im dalej, tem śmielej boryka się nawet ze skałami; bieg jej staje się coraz szybszym, coraz energiczniejszym, tak dalece, że trafiają się nawet małe wodospady, dziś już niewidoczne, ponieważ z nich skorzystano dla pobudowania grobel w tych właśnie miejscach, gdzie energiczniejsze spady dają przemysłowi gotowy motor. Na Siniusze, w jednem miejscu, naturalny spad wody dochodzi do 10 metrów wysokości, a bardzo energiczne znajdujemy też na Bohu i Rosi. Roś od połowy biegu, Siniucha bardzo niedaleko od swych początków, a Boh od jednej trzeciej długości, znajdują się już w dolinach nie wyżej 200 metrów nad powierzchnią morza, przyczem jednak obadwa brzegi tych wądołów są jeszcze znacznie wyższe, na równi z najwyższym brzegiem Dniepru po prawej jego stronie. Dopiero na linii porohów dnieprowych wszystkie wody, skierowane ku południowi, spływają niżej, na stometrowej wysokości równinę, na monotonny chersoński step spalony przez słońce, prawdziwe (dawniej) „dzikie pola“ z mnóstwem głębokich, krętych i suchych jarów, „bałkami“ zwanych, solnych dolin, wyschłych limanów, które stanowią jeszcze i dzisiaj charakterystykę ujść rzek, wpadających do morza Czarnego.

U limanu kończy się i Boh stary, znany jeszcze Herodotowi, który opisał go w swej Melpomenie, czyli IV księdze Historyi, w sposób następujący: „Hypanis przychodzi ze Scytyi, a wypływa z wielkiego jeziora, wkoło którego pasą się białe, dzikie konie. To jezioro spra-

[1]) Atlas III Arch. Zjazdu. VI.

Digitized by Google

wiedliwie zowią matką Hypanisu. Rzeka ta jest małą, a wodę ma słodką na przestrzeni pięciu dni żeglugi, lecz o cztery dni od morza staje się ona gorzką. Gorycz ta pochodzi od źródła znajdującego się na granicy kraju Scytów-Oraczy i Alazonów, a nosi nazwę od miejsca, w którem bierze początek. W języku scytyjskim nazywa się ono Exampeos, co po grecku znaczy „Drogi święte“ [1]). Następnie, według Herodota, Boh ma się gdzieś przybliżać do Dniestru, ale się później znowu od niego oddala. Takie opisanie Bohu z wielu względów warte zastanowienia. Wprawdzie pod Międzybożem, wyżej Latyczowa, jest małe jezioro Onostawcem zwane, lecz tworzy je nie właściwy Boh, ale jeden z jego dopływów, Bożkiem nazywany. Nie na tem jednak polega niedokładność: u Herodota Boh wygląda na rzekę tak krótką, że, zdaniem niektórych jego komentatorów, wziął on Kodymę, lewy dopływ Bohu, za główną rzekę, a rozległe dziś piasczyste łożysko dawnej Kodymy, które rzeczywiście mogło być niegdyś szeroką szybą wody, policzył do rzędu jezior i dał mu nazwę „matki Hypanisu“ [2]). Jednakże bliższe wpatrzenie się w mapę okolic Międzyboża i Latyczowa wskazuje nam przedewszystkiem, że oba brzegi wzmiankowanego wyżej jeziorka Onostawca są nizkie i błotniste, tak, że to jezioro przeszło 2000 lat temu mogło być o wiele szerszem i dłuższem, niż dzisiaj; następnie Bożek, łączący Onostawiec z Bohem, i dolina właściwego Bohu pod Międzybożem do Latyczowa jest tak nizko położona, że mogła stanowić coś w rodzaju szerokiego naturalnego kanału między Onostawcem a wielkim latyczowskim stawem oraz przyległemi błotami, które dawniej mogły być także wodą zalane. W ten sposób wszystkie te dzisiejsze błota, jeziorka i stawy w okolicach Międzyboża mogły w istocie stanowić jedno źwierciadło wody, może znane Herodotowi tylko z opowiadań, i bylibyśmy skłonni do postawienia takiej hypotezy, gdyby nie wyraźna wskazówka Herodota, że Hypanis wypływa z kraju Scytów. Przypuszczenie więc, że podania udzielane Herodotowi o „matce Hypanisu“ tyczą się dzisiejszych wód i błot z okolic Międzyboża, zmusiło-by nas do umieszczenia Scytów o wiele wyżej, niż to do tej pory czyniono, a ponieważ określenie północnej granicy Scytyi będziemy rozpatrywali dopiero po wykazaniu, jak daleko sięgają u nas scytyjskie zabytki, przeto obecnie pierwszej zagadki w opisie Bohu przez Herodota poruszać więcej nie będziemy.

Ale jest jeszcze i druga, nierównie ciekawsza w tymże opisie zagadka, a mianowicie owa gorycz wód Hypanisu od połowy prawie jego

---

[1]) Herodota Hist. we francuskiem tłóm. Melpomena LII.

[2]) Brunn. Czernomorje. T. II, str. 26.

Digitized by Google

biegu aż do morza, ewentualnie zapewne do limanu. Gdzie było to źródło, które dawało przykry smak wodzie? co się z niem stało? czy wyschło tak, jak wysycha Tiliguł i mnóstwo innych chersońskich rzeczułek; czy też, jak niektórzy przypuszczają, jest niem Siniucha, która, płynąc śród błotnistych wówczas przestrzeni, mogła Bohowi przynosić wodę niesmaczną; czy też to „Mertwawoda“ [1]), jeszcze do 1856 roku rzeczułka, dziś raczej błoto, która mogła mieć wodę niesmaczniejszą niż Siniucha? Lecz Herodot najwyraźniej mówi, że woda jest gorzka, określa więc jej smak ściśle, nie zaś ogólnikowo, i dlatego niektórzy przypuszczają, że taki smak mogła ona mieć tylko niedaleko Limanu, od połączenia dzisiejszej Mertwowody z gorzko-słoną limanową. Upewnić się, czy Éxampeos był tylko źródłem, jak to zdaje się przypuszczać Lelewel [2]), który go mieści między Siniuchą a Kodymą, czy też w istocie za jeden, i który mianowicie, z dopływów Bohu uważać go należy, było-by rzeczą bardzo ważną, nie zapominajmy bowiem, że źródło to miało się znajdować na granicy kraju Scytów i Alazonów, a więc dokładne określenie miejscowości dało-by nam wskazówki, jak daleko na północ doszli Scytowie, odgrywający niegdyś tak ważną rolę w historyi tutejszego południa.

Pamiętajmy nadto, że Herodota historya jest naprzód najlepszem dziełem, które o spółczesnej geografii tego kraju źródłowo traktuje: inni geografowie są albo późniejsi, albo tylko komentują Herodota; następnie, że się przekonano o wielkiej w wielu razach dokładności tego historyka tak dalece, że absolutnie niczego co się u niego znajduje lekceważyć nie można; każdy zaś jego opis treściwy jest i dokładny o tyle, o ile nim być mógł na owe czasy przy środkach komunikacyi, umożliwiających Herodotowi osobiste zwiedzanie opisywanych przezeń krajów. Gdzie sam być nie mógł, starał się dowiadywać od mieszkańców przybywających do miast, w których się kolejno znajdował. Kto zna historyę komentarzy jego dzieła, kto się naczytał tego wszystkiego, co ludzie napisali, chcąc po swojemu wytłómaczyć rzeczy jeszcze niezrozumiałe, albo takie, które się rozmaitym niezrozumiałemi wydały, ten doznaje pewnego rodzaju zachwytu przed patryarchą historyków i czci dla niego, gdy się dowiaduje, że najnowsze odkrycia w jednej chwili obracają w niwecz niejedną z tej sztucznej mozaiki, którą komentatorowie i krytycy, każdy na swó sposób, układali. Wszystko się rozsypuje w proch, zostaje tylko on jeden, prawdomówny, sumienny, rozsądny i, o ile mógł nim być, dokła-

[1]) Brunn, str. 26.
[2]) Narody na ziemiach słowiańskich, 26.

Digitized by Google

dny — wzór dla ludzi nauki a chwała wieków,—za nim zaś szczupła garstka komentatorów takich, jak Lelewel, którzy nie naginali Herodota do swoich teoryi, lecz, przeciwnie, teorye kontrolowali przy pomocy wiekopomnego dzieła wielkiego pisarza. Niepodobna więc nam tu pominąć Herodota, gdy mówić mamy o Dnieprze, choć go starożytny historyk znał mało i na niewielkiej przestrzeni. Powiada on więc, że Borysthenes wielkością swoją ustępuje tylko dwom rzekom: Istrosowi (Dunaj) i Nilowi, że po brzegach jego leżą doskonałe pastwiska, że obfituje w rybę, a gleba śród której przepływa bogatą jest w urodzaje zbóż. Zna on go wprawdzie tylko na przestrzeni 40 dni drogi do kraju Gerrhos w górę, ale wie, że płynie od północy, choć nie zna krajów, przez które Dniepr w górze przepływa [1]). Opis właściwego Dniepru zawiera dalej już tylko wzmianki o narodach, które tu w owym czasie mieszkały; zostawiamy więc na później tę część opisu, ale nie możemy z porządku rzeczy ominąć jeszcze jednej zagadki, która, dotycząc lewego brzegu rzeki, tylko pośrednio należeć może do naszego przedmiotu, jest jednak bardzo ciekawa i bezpośrednio z Dnieprem związana. „Siódma rzeka Scytyjska, — tak głosi zagadka — jest Gerrhos, który się oddziela od Borystenesu niedaleko miejsca, w którem ten ostatni zaczyna być znanym, w kraju nadającym mu swą nazwę. Płynąc ku morzu, oddziela Scytów koczujących od królewskich i wpada do rzeki Hypaciris“ [2]). Rzecz tę można tłómaczyć w ten sposób, że w górę od ujścia, w okolicy porohów dnieprowych,—gdyż tam, jak to już poszukiwania dowiodły, mieścił się kraj Gerrhów, — Dniepr oddziela z lewej strony olbrzymią odnogę, która, po połączeniu się z inną rzeką, wpada do morza. Dziś można-by złożyć poważną ilość dzieł, które ten ustęp Herodota komentowały, gdyż wszystko zależało od tego, co pod nazwą Hypaciris rozumieć należy. Na niektórych mapach, rysowanych na podstawie komentarzy, spotykamy ją przy dzisiejszym Dońcu [3]), a w takim razie owa odnoga Dniepru łączyła-by się z morzem Azowskiem; na innych jest to tylko maleńka rzeka, nieco niżej ujść Dniepru wpadająca do morza Czarnego, dziś Kałanczakiem zwana [4]), która mogła być połączona z Dnieprem, gdy jeszcze w tej stronie wody były obfitsze niż dzisiaj.

Obecnie niektórzy są zdania, że ową odnogą Dniepru jest dopływ jego, Konką zwany, ale ponieważ nigdzie śladów niema, aby Konka, nim do Dniepru wpadnie, mogła być kiedy kanałem, łączącym dwie

---

[1]) Herodot. Melpomena LIII.
[2]) H. Melp. LVI, tłóm. francuskie.
[3]) Sprünera Atlas.
[4]) Brunu.

Digitized by Google

rzeki, przeto inni dodają, że Herodot nazywa rzeką Gerrhos nie istotną odnogę Dniepru, lecz właściwie przedłużenie Konki od miejsca, w którem ona, chwilowo połączona z Dnieprem, oddziela się od niego i płynie z nim równolegle, tworząc także wraz z Dnieprem wyspy prawie do samego Limanu; tam dopiero napotkawszy dolinę, która się ku południowi zwraca, łączy się za jej pośrednictwem z dzisiejszym Kałanczakiem [1]).

www.tibtool.com.cn

Czy tak w istocie chciał tę rzecz i Herodot przedstawić, trudno jeszcze twierdzić. Zwolennicy powyższego zdania opierają je na wymiarach i kombinacyach czysto topograficznej natury, jakie czerpią ze studyów nad Herodotem, ale te wnikania do rozmaitych doprowadzają wniosków, nam zaś się zdaje, że tak tej zagadki, jak i wielu innych kwestyi u Herodota, rozwiązać póty nie będzie można, póki się nie upewnimy, gdzie w istocie były granice krajów, opisywanych przez niego na północy od morza Czarnego, a taki rezultat może być osiągnięty za pomocą archeologii, nad którą obecnie więcej niż kiedy i umiejętniej pracują.

Dawny Borysthenes, dzisiejszy Dniepr, zaczynając od Kijowa, a raczej od połączenia się z wodami Desny, przedstawia ogromną różnicę między dwoma swojemi brzegami. Lewy jest nizki, łatwo zalewany, piasczysty, tworzący mnóstwo wysepek na wiosnę, porosły łozą i wierzbą. Za to prawy wysoki, falisty, ścisły, nadzwyczaj malowniczy: daleko z góry św. Andrzeja i św. Włodzimierza w Kijowie, z klasztoru Wydubyckiego, z mogiły Szewczenki pod Kaniowem, widać olbrzymią wstęgę trzeciej wielkością rzeki w Europie. Nizkie miejsca na prawym brzegu środkowego biegu Dniepru zdarzają się b. rzadko; do rzędu zaś tych policzyć należy dolinę, po której Taśmina wpada do Dniepru, albo błotnistą przestrzeń Irdyni, dziś oddzieloną szeroką smugą piasku od rzeki, a stanowiącą zapewne kiedyś łożysko olbrzymiej łachy dnieprowej. Wogólności, prawy brzeg jest, jak to powiedzieliśmy, o 100 metrów wyższy od lewego. Najwspanialszym Dniepr bywa w maju, kiedy już przybrał masę wód z górnych dopływów po całkowitem rozmarznięciu błot, przez które przepływają. Wtedy „sina“ wstęga jest tak szeroka, że miejscami lewego brzegu dojrzeć nie można, a migocą tylko łachy między wyspami, na których pusto przed powodzią; ale za to na rzece jak ludno, gwarno wtedy! Jest to chwila, w której dla pewnego rodzaju żeglugi rzeka staje się dostępną do samego ujścia. Niema tu mowy o statkach parowych lub nawet większych berlinkach, które tylko do porohów dochodzić mogą, lecz

[1]) Patrz mapę Scytyi na końcu 2-go tomu dzieła Brunna p. t. Czernomorje.

Digitized by Google

o budulcowem drzewie, spławianem z północnych lasów od górnego Dniepru i tamtejszych jego dopływów. Powiązawszy bale lub deski w kształt olbrzymich tratew, z każdą wiosną spławiali swój leśny towar jeszcze dawni Krywicze; dziś czynią to samo ich potomkowie, Białorusini, mimo trudną zawsze ze starym kapryśnikiem robotę. Z ławami piasku, ze zmianami koryta rzeki, radzić tu sobie można tem łatwiej, im wcześniej się do tego przystępuje po zejściu pierwszych lodów; ale czekające w oddali porohy, to zanadto twardy orzech do zgryzienia w każdej porze roku, aby je kiedykolwiek śmiał kto lekceważyć. Borykać się z kotłującym, wirującym, spienionym i Bóg wie jakie dziwy wyprawiającym żywiołem umiała zawsze tylko miejscowa, urodzona u porohów ludność, albo choć i zdaleka przybyli oczajdusze, lecz tacy, dla których umizgi śmierci były chlebem powszednim, junactwo—potrzebą temperamentu, odwaga—bezsporną zaletą, a złoto Wschodu lub haremowe baszów żony i kochanki—zachętą.

Już od Kremenczuga, od ujścia lewego swego dopływu, Psioła, Dniepr zniża swój poziom o 20 metrów na przestrzeni tyluż prawie wiorst,—jest to jakby zapowiedź porohów; ale dopiero po przyjęciu wód Samary, w tem miejscu, gdzie się Dniepr zwraca ku południowi i gdzie napotyka główną odnogę granitowego płaskowzgórza, które się tu już znacznie zniżyło, leży właściwy pierwszy „poroh", Starokudackim zwany, za którym, w rozmaitych odległościach, następuje cały ich szereg, a między niemi krótsze, tak zwane „zabory." Latem wyglądają one nad wodą jak olbrzymie żebra nastrzępione bryłami kamiennemi, śród których z szalonym pędem przelatuje woda, czasem tylko na półtora metra głęboka, aby natychmiast wpaść w trzydziestometrowej głębokości otchłanie [1]), w których bezustannie, jakby wydobywając swą siłę z pod ziemi, wiruje żywioł, gotowy pochłonąć wszystko, coby się doń tylko dostało. Wodospadów właściwych nigdzie niema, ale na przestrzeni 75 kilometrów, które porohy wzdłuż rzeki zajmują, różnica poziomu wynosi 47 metrów, spadek zaś największy dochodzi do 6 centymetrów na metr długości [2]). Szerokość rzeki na całej tej przestrzeni jest nader rozmaita, a naturalnie im szerzej, tem płyciej, tem więcej nad wodę wystających kamieni, skał, i gdy u porohu „Nenasytca" od brzegu do brzegu liczy się 1750 metrów, to zaledwo ich 160 oddziela lewy brzeg Dniepru od prawego tam, gdzie się kończy ostatni, „Hadiuczy" i gdzie szyja rzeki tak głęboka a wązka, że ją „Wilczem gardłem" nazwano.

---

[1]) Reclus. T. V, str. 457.
[2]) Tamże.

Digitized by Google

Ludność u porohów osiadła umie sobie z niemi dawać radę tak dalece, że istnieje cała osada, zwana „Łocmańską słobodą“, której głównem zajęciem sternictwo, a przeprowadzanie tratew i mniejszych naw przez porohy na wiosnę—głównym zarobkiem. Nie wszyscy geografowie podają jednakową liczbę porohów, stawiając niektóre z nich w rzędzie „zaborów“, t. j. takich przeszkód, które tylko do jednego, lewego brzegu rzeki dotykają. Porfirogeneta podaje ich siedm, Beauplan i Brunn jedenaście, a Reclus i Ewarnicki liczą dziewięć: Starokudacki, Surski, Łacheński, Żwanecki, Nenasytecki, Wołnihowski, Budiłowski, Łyszni i Wilny, albo Hadiuczy [1]). Są to już nazwy dane bądź przez Zaporożców, bądź przez miejscową ludność nowszej epoki; w kronikach byzantyjskich figurują one inaczej. Czwarty np. u Porfirogenety zwie się Ajfor, a pochodzenie tej nazwy tłómaczono najrozmaiciej: jedni wywodzili ją od holenderskiego wyrazu, oznaczającego „bocian“, inni od skandynawskiego „ejforr“ — „wiecznie huczący“ [2]).

Porohy przebywać można tylko z góry na dół; latem jedynie na czółnach; na wiosnę najniebezpieczniejszym rodzajem żeglugi jest tratew, ponieważ podczas wielkiej wody nieznać kanału, który przez porohy przechodzi, lecz płynie się po-nad wierzchami ław kamiennych i łatwo zaczepić o podwodną skałę. Referent VI zjazdu archeologicznego w Odessie, podróżując trzykrotnie po Dnieprowych porohach, skorzystał raz z nadchodzącej tratwy poniżej Samary. „Powiedzcie, diad'ku, spytał sternika p. Ewarnicki, a straszno na porohach?“ — Co tam strasznego, była odpowiedź, cztery razy byłem już na samem ich dnie, to mi i nie straszno. Dwukrotnie bił mnie Kudacki, a dwa razy „Did“ (Nenasyteć). Trzeba zachować się tak: jeśli się tratew rozbije, to płynąć nie z wodą, ale przeciw wodzie, bo inaczej rozbite drzewo dopędzi, uderzy po głowie, a wtedy zaraz idzie się na dno; gdy przeciwnie, jeśli płynąć przeciwko wodzie, to się niebezpieczeństwo widzi i omija; zawsze się w ten sposób ratowałem. Można także od razu dać nurka i pod wodą przeczekać aż przepłynie drzewo.“ Otrzymawszy powyższe wskazówki, siadł późniejszy referent na tratew i puścili się na bystre wody. Jeszcze nie dopłynęli do pierwszego porohu, a już sternik i 17-tu jego towarzyszy rozpoczęli przygotowania do przeprawy; pozrzucali obuwie, świty, pożegnali się między sobą jak skazańcy przed wykonaniem wyroku, myślą żegnali pozostałe rodziny, w końcu głośno zaczęli odmawiać pacierze. Każdy był niespokojny, blady, tylko

[1]) Ewarnicki. Referat na VI Archeologicznym zjeździe 1884 r. w Odessie.
[2]) Brunn, II, 367.

www.libtool.com.cn
Digitized by Google

sternik zachował zimną krew i, stojąc na przedzie, milczący, pięścią wskazywał kierunek, którego się flisacy mieli trzymać. Krytyczny moment nastąpił, gdy tratew już była u samego porohu: każdy czuł, że jego życie w ręku sternika. Szum wody był taki, że najbliżej wypowiedzianych wyrazów nie można było dosłyszeć. Już tratew pędzi nad porohem, zaczyna się zanurzać, woda sięga do kostek, do kolan i raptem wszystko zdaje się iść na dno; ale po chwili rzeka wyrzuca wszystkich cało i zdrowo na powierzchnię. Pierwszy poroh w jednej chwili pozostał daleko; słychać tylko łoskot fal i widać pianę wodną. Buchnęły dźwięki wesołej pieśni szczęśliwych flisaków; lecz to dopiero początek, bo czeka jeszcze ów „Did" nienasycony dwuwiorstowej szerokości, a przerzucający łódź z jednego boku na drugi w ciągu minuty [1]). „A dlaczego się Nenasytcem nazywa?" pyta podróżny sternika. „Dlatego, tłómaczy stary, że od czasu jak istnieje, jeszcze się nie nasycił, i jak zaczął pożerać ludzkie ciała od początku, tak je pożera do tej pory. Ot, niedawno, szła berlinka do Chersonu, niosąc wielki dzwon, wpadła na skałę u Nenasytca i natychmiast wszystko poszło na dno, a piasku tyle zaraz naniosło, że ani dzwonu, ani berlinki wydobyć nie można było." „Cóż się z ludźmi stało?" „A tam, patrzajcie!... ilu ich pływa." W istocie, przyszły referent VI zjazdu archeologów ujrzał kilka ciał, wyrzuconych na powierzchnię wody i pływających między skałami. Były tam dwie pary, które się w chwili śmierci w ostatnim objęły uścisku; jedną był mężczyzna i kobieta, zapewne mąż i żona, a drugą — matka z dziecięciem. Podróż śmiałego żeglarza skończyła się pomyślnie. Do wypraw tego rodzaju, jakie się dawniej przez porohy odbywały, wrócimy w swoim czasie i miejscu, jak również powiemy i o tych, którzy nam zostawili historyczne o nich wzmianki; na zakończenie zaś tego pobieżnego opisu dodamy tylko, że kilka jaskiń naturalnych i jedna ręką ludzką wykuta znajduje się w skałach obu brzegów Dniepru na przestrzeni porohów; sztuczna grota ma 20 sążni długości.

Za „Wilczem gardłem" zaczyna się tak zwany dnieprowy „Niż"; jest to nizina, którą mnóstwo oddzielających się od rzeki strumieni i kilka wpadających z prawej strony rzeczułek podzieliło na wyspy i wysepki, porosłe trawą, łozą, szuwarem a miejscami i większem drzewem. Najdziksza z nich a niezamieszkała nosi nazwę „Peruna", a największa i wyróżniająca się od innych jest długa „Chortyca." Z nazwą tej malowniczej i malowniczo położonej wyspy wiążą się wspomnienia wydarzeń, które mają doniosłe znaczenie w historyi tego stepowego

[1]) Referat Ewernickiego.

Digitized by Google

kraju. Przedewszystkiem strategiczne jej położenie już przez to było ważnem, że sąsiadując o wiorst 14 z ostatnim porohem, tuż obok miała pierwszą na dolnym Dnieprze przeprawę, Kiczkasem zwaną, którędy się odbywały wszelkie zbrojne i niezbrojne wędrówki od stepów perekopskich i dońskich, na prawy brzeg Dniepru. Skaliste, do 10 sążni wysokie wybrzeże wyspy od północy, doskonale się nadawało do fortyfikacyi; dziś jeszcze widać ich łańcuch, ciągnący się wzdłuż wyspy dość daleko aż do zetknięcia się z drugim szeregiem, tym razem już wpoprzek wyspy leżących, okopów, poprzedzielanych przekopami. Trzy kurhany wznoszące się pośrodku wyspy dowodzą, że była ona oddawna już zamieszkaną. Cała jej przestrzeń równa się 2785 desiatynom, obwód zaś 24½ wiorstom. Na północy skalista, dzika, wysokobrzeżna, w miarę zniżania się ku południowi staje się łatwiejszą do uprawy, porasta pięknem liściastem drzewem, pośrodku zaś nawet sosnowym lasem, wtórującym swym szumem Dnieprowi, a upiększającym siedzibę niemieckich Menonitów, którzy tu, od końca XVIII stulecia zamieszkali, prowadzą gospodarstwo rolne i uważają tę wyspę za rodzaj ziemskiego raju. Dzisiejszą jej nazwę po raz pierwszy spotykamy w kronikach pod r. 1103 [1]), kiedy kniaź Światosław Izasławowicz zebrał na Chortycy wszystkie swe lądowe i wodne siły dla wyprawy przeciwko Pieczyngom; następnie, zbierająca się w 1223 r. wyprawa przeciw Mongołom, tak tragicznie zakończona nad Kałką, dzisiejszym Kalmiusem, miała również swą pierwszą stacyę na Chortycy. Lecz jeszcze pierwiej, o wiele dawniej, wyspa ta była uważaną jako miejsce, na którem wybierająca się na Konstantynopol Ruś zostawiała to wszystko, coby jej ruchy podczas szybkiego a niespodziewanego napadu krępować mogło; a ponieważ kniaziowie, zanim swe siły na Chortycy zebrali, zabawiali się łowami, przeto zabierali z domu myśliwskie psy, charty, zwane tak na wzór łotyskich „kurts“ i litewskich „kurtas“ [2]), które przy ostatecznem ruszeniu floty na Carogród zostawiano na wyspie. W ten sposób powstała może nazwa dzisiejsza ostrowu, któren u Porfirogenety nazywa się wyspą św. Jerzego, gdyż takie było dawniejsze, chrześciańskie miano Chortycy. Na wiosnę, podczas wylewu, oddziela się od całości mała wysepka, którą-to prawdopodobnie poseł cesarza Rudolfa II do Kozaków widział i nazywa Małą Chortycą, a nieco wyżej jest jeszcze inna, dziś „Werbiw-Ostrów“ zwana, na której Kozacy, po szczęśliwem przebyciu porohów, lądowali swe czajki aby ucztować. Beauplan zdaje się wspominać właśnie o tej wysepce,

[1]) Brunn, T. II, 366.

[2]) Tamże, 369.

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

kiedy mówi, że za porohami napotkał wyspę, „Kaczawanicze“ przez Kozaków zwaną, co wedle francuskiego inżyniera ma oznaczać, że na niej gotowano jaglaną kaszę i częstowano się wzajemnie po przebytych niebezpieczeństwach [1]). Bardzo naturalne, że przekręcony przez Francuza wyraz ma związek albo z koczowaniem, albo też, sądząc po celu, w którym tu lądowali Kozacy, może być przerobionym z czegoś co ma związek z warzeniem kaszy.

www.ubook.com.cn

W roku 1884, wszystkich wysp na Niżu dnieprowym liczono 218 [2]). Ile ich bywa, nigdy napewno wiedzieć nie można, bo Dniepr jedne roznosi, inne tworzy i tak ciągle być musi, póki się koryto rzeki nie ureguluje; ale pomiędzy wyspami Niżu są jednak tak stałe, że się na nich mogła mieścić „Sicz“ zaporoska, rodzaj stolicy, zabudowanej drewnianemi i chróścianemi szopami, w których mieszkać można było tylko latem, z wyjątkiem domostw, gdzie się mieściła starszyzna, kancelarya, weterani i t. d., które były lepiej budowane i opatrzone na zimę [3]).

---

[1]) Tamże. 377.

[2]) Ewarnicki. Referat.

[3]) W dalszym ciągu tej pracy nad „Siczą“ i jej wpływem na ekonomiczny stan tego kraju, wypadnie nam się dłużej zatrzymać, obecnie zaś wskażemy tylko, gdzie się ona różnemi czasy mieściła. Sicz siedm razy zmieniała miejsce pobytu. Założona w 1557 r. przez ks. Dymitra Wiśniowieckiego, zwanego Bajdą, na Chortycy, wkrótce została stamtąd przeniesioną, lecz powróciła na tę wyspę znowu za Konaszewicza Sahajdacznego w początkach XVII w. Na wyspie Tumak, po tatarsku czapka, obecnie bezludnej, jakiś czas „trzymał“ Sicz Bohdan Chmielnicki, ale najbardziej znaną za jego czasów była u „Mekitowego perewozu“, niedaleko dzisiejszego Nikopola. Jeszcze 40 lat temu, póki woda stopniowo wszystkiego nie uniosła, był tu rodzaj przylądka ostro wysuniętego ku środkowi rzeki. Na nim był cmentarz Zaporożców, kaplica, okopy, których część jeszcze ocalała. Przedstawia wielkie koło. W nikopolskiej cerkwi można widzieć różne dawne pamiątki po Zaporożcach, które się na Siczy przechowywały; między innemi księga Ewangielii ważąca 117 funtów, bardzo stary obraz, chorągwie. W tej właśnie Siczy Chmielnicki został wybrany na hetmana i z niej poszedł na wyprawę 1648. — „Stara“, inaczej „Czertomelicka“ Sicz, znajdowała się gdzie obecnie wieś Kopyłówka, niedaleko ujścia Czertomeliku do Dniepru; zakładano ją dwa razy: w 1594 i 1652 r. i tu przetrwała do 1709 r. t. j. do bitwy Połtawskiej, po której została zniesioną. W niej pochowany ataman Sierko w 1680 r., jak o tem świadczy krzyż i napis; jednakże miejscowa legenda każe wierzyć, że tu spoczywa tylko jedna jego ręka, a reszta ciała żyje i gdzieś po świecie wojuje. Inna legenda każe wierzyć, że Sierko w istocie pod tym tu krzyżem złożony został, ale że Zaporożcy odjęli mu jedną rękę, zasuszyli i przez 10 lat wozili z sobą na wojnę, jako talizman. Późniejsze trzy Sicze były w różnych miejscach, a z nich ostatnia, t. zw. „Nowa“, nad brzegiem rzeczki Pidpilnej, niedaleko dzisiejszego Bazowłuku. Sicz od 1775 roku nie istnieje wcale. Ciekawym jest obraz, zachowany w miejscowej cerkwi; wyobraża Matkę Boską, w powłóczystym płaszczu, z pod którego z jednej strony wyglądają mnisi, a z drugiej Kozacy. Ewarnicki, l. c.

Digitized by Google

Poszukiwania w ziemi, jakie się od czasu do czasu robią na wyspach niżowych, nie doprowadziły do odkryć ciekawszych nad znalezienie szkieletu Kozaka, u którego głowy leżała butelka z wódką, lub kobiety, przy którym między innemi drobnemi przedmiotami, służącemi do stroju, znajdowało się i lusterko; dwie zaś monety, znalezione w tym samym grobie, były pochodzenia tatarskiego i arabskiego. Takie ubóstwo wykopalisk niżowych tłómaczyć się może tem, że wyspy tutejsze niszczyła rzeka, która mogła zabierać to, co w ich wnętrzu zostało pogrzebanem, jak również i tem, że najdawniejsi mieszkańcy „Niżu“ mogą mieć swoje groby w kurhanach, które się wznoszą niedaleko stąd po obu stronach Dniepru. Za Niżem, już bez przeszkód, mnogiemi odnogami, spokojnie, jakby zmęczony, podąża Dniepr „ku morzu, ku Czarnemu, ku limanu szerokiemu.“

Najważniejszą rzeką w wododziale między średnim biegiem Dniepru a takimże przepływem Bohu, jest Roś. Dzieli ona tę połać kraju, po którym przepływa, na dwie części o dość odmiennych fizyognomiach; północna, od źródeł Rosi do większej części jej biegu, t. j. do Białej Cerkwi, właściwie stepową nie jest, gdy przeciwnie, południowa i ta część północnej, która od Biało-Cerkwi ciągnie się do Dniepru, bezwarunkowo za taką uważaną być może, z wyjątkiem niektórych niewielkich piaszczystych przestrzeni, do samego brzegu Rosi dotykających, które są zalesione. Z tą różnicą w powierzchownym wyglądzie obu części południowej Kijowszczyzny, przedzielonych Rosią, łączą się do pewnego stopnia odmienne ich losy a nawet etniczne pochodzenie mieszkańców. Dla tych-to przyczyn rzeka ta, acz niespławna i zaledwie do średniej wielkości dopływów Dniepru zaliczyć się mogąca, zasługuje na powyższą wzmiankę. Powierzchnia obszaru, po którym Roś płynie, jest lekko falista, długo, bardzo często mil parę, spuszczająca się nieznacznie i stopniowo, bądź ku samej tej rzece, bądź ku jej dopływom, które, mniej więcej równoległe do siebie, stanowią granice obszernych a żyznych wododziałów, z horyzontem rozległym i urozmaiconym. Bo nad temi wodnemi szlakami wszędzie rozsiadły się wielkie wsie i miasteczka niedaleko od siebie i wzdłuż dorzeczy; jeżeli więc droga prowadzi w kierunku rzeki i blizko niej, to sioło dochodzi do sioła często bezpośrednio a prawie zawsze bardzo blizko; przeciwnie, jeżeli dorzecza przejeżdża się wpoprzek, to osady trafiają się o wiele rzadziej i wtedy kraj ten może się wydać o wiele mniej ludnym, bardziej do południowszych stepów podobnym, niż jest w istocie. Wszędzie, gdzie osada, wodę zatrzymano groblami i utworzono wielkie stawy, których nieraz po dwa i trzy na jedną wieś wypada. Nawet Roś, mimo obfitość wody, mimo swój spadek i kaprysy wirów, natrafiana cały szereg grobel, często je psuje, wyrywa, jeśli nie są murowane z kamie-

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

nia, ale w końcu musi uledz przemysłowi, który postawił na całym jej biegu dawniej skromne, a dziś wielkie, młyny. Obfituje ona w łąki i „łuhy“, któremi lud miejscowy nazywa przeważnie olchowe zarośla. Najpiękniejsze jej brzegi śród skał są na dolnym biegu, u Steblowa, a zwłaszcza u Korsunia w pow. Kaniowskim. Piękna też jest wpadająca z lewej strony do Rosi Rastawica, niedaleko Pawołoczy, naprzykład w Bukach-Bakorzynie, gdzie przepływa między skałami, śród których jedno wązkie przejście na brzegu wygląda prawie jak tunel, na całym zaś biegu tworzy ogromne stawy; we wspaniałe wodozbiory rozlewa się Tykicz Uhorski (lecz ten już nie jest dopływem Rosi), tworząc pod Ochmatowem największy w tych stronach staw, raczej jezioro, w dwóch miejscach ujęte groblami, aby następnie zwijać się jak wąż po jarach i stworzyć dziką malowniczość Talnego; nie mniej piękna jest Siniucha przy połączeniu z Jatraniem, a cóż dopiero mówić o krajobrazach z nad Bohu, przy których tamte wszystkie tracą i na wielkości, i na estetycznej wartości.

Słowem, wód tu nie brak i, jak to powiedzieliśmy, obszary, dzięki temu, nie mają monotonii stepów chersońskich, stają się jednak do nich podobnemi, im więcej zbliżamy się ku południowi, gdzie Humań, Bałta, rzeka Wyś, za którą-to linią, w stronę Ingułu, step dawniej dostawał nazwę „Dzikich pól.“ Dziś kraj ten bezwarunkowo bardziej otwartym wydawać się musi, niż nawet w początkach bieżącego stulecia, ponieważ na jego obecny wygląd wpłynęła stanowczo trzebież lasów, których tu jeszcze pięćdziesiąt lat temu było znacznie więcej niż obecnie. Lewa strona Rosi i środkowy bieg Bohu były z natury gruntu swego zawsze bardziej zalesione, niż więcej ku południowi położone powiaty, niemniej jednak pozostałe gaje, wraz z nieodłącznem o ich dawniejszym drzewostanie i wielkości podaniem, popartem dokumentami piśmiennemi, wskazują, że i tu, śród bardzo już szczerego, prawie chersońskiego stepu, trafiały się znaczne zalesione przestrzenie. I tak, komisya graniczna w 1570 r., po prawej stronie Rosi znajduje „lasy kaniewskie“ na granicy ówczesnego pow. Zwinogrodzkiego; na wierzchowinach Zgniłego Tykicza już w 1622 r. były znane lasy „bohaterskie.“ Minąwszy Kahorlik i Rasawę, w stronę Korsunia, były w tymże mniej więcej czasie wzmiankowane, „Krasny róg“ i „bajeraki—Medweże hołowy.“ Kaniowskie musiały być wielkie, jeżeli w nich Gdańszczanie dzierżawili prawo palenia lasów dla wyrabiania potażu. W XVI w. za Czerkasami, a w XVII nad Taśminą ku Irdyni z jednej strony, zaś ku Ingulcowi z drugiej, jak również las Lebedyński u wierzchowin drobnych dopływów Taśminy i Wysi, spotykają się także; i to wszystko po prawej, bardziej stepowej stronie Rosi, a cóż dopiero po lewej, lub na dorzeczu Sobu, gdzie była nawet t. zw. „Nabożska puszcza“, czyli

Digitized by Google

lasy Koszyłowskie [1]) i t. d. O ówczesnych lasach nie miejsce jeszcze mówić tutaj, chcieliśmy tylko udowodnić nasze twierdzenie, że jeśli obecnie fizyognomia tego kraju jest inną, niż dawniej, to, do pewnego stopnia, z powodu wytrzebienia lasów. Charakterystyka flory pozostałych dzieli je na dwie kategorye: po lewej stronie Rosi przeważa dąb, brzoza i różne miękkie liściaste gatunki, a po prawej i na dorzeczu Bohu obok dębu znajdujemy rywalizujące z nim jesiony, graby, klony i inne t. zw. czarnoleśne gatunki, na niektórych zaś piaszczystych wybrzeżach, dawniejszych łożyskach wód, niewielkie sosnowe lasy. Lasy na północy od Rosi, gdzie głębokich i wielkich jarów nie wiele, rozłożyły się na równinach, te zaś, które są od niej na południe, pokryły przeważnie liczne tamtejsze jary, w których wzrostowi czarnoleśnych gatunków bardziej sprzyja obnażona z czarnoziemu glina. Stąd ta różnica we florze. Wzrostem, objętością, bogactwem konarów, rozłożystością, obok spoistości materyału — dochodziły tu drzewa do olbrzymich rozmiarów. Takich dębów i jesionów, jakie się tu widywało, niepowstydziły-by się żadne puszcze: wysokie, równe a mimo to znacznego obwodu, potrzebowały naturalnie wielu lat, wieków, aby dojść do swych wspaniałych kształtów, lecz za to jaki był z nich budulec, jaki materyał do stolarskiej rzeźby! Długa nieprawidłowa gospodarka, raczej rabunek lasów wystarczył, aby kraj, w którym ich tyle było, że parę temu wieków, wobec małych potrzeb ciągle powstrzymywanego w rozroście zaludnienia, innej intraty lasy nie dawały nad wyrabianie potażu,—aby ten kraj doszedł obecnie do nadzwyczajnej drożyzny nietylko budulcowego, ale i opałowego drzewa, dzisiaj już w znacznej części zastępowanego sprowadzanym węglem. Niemniej jednak wszelkiego rodzaju gospodarka, niezależnie od prowadzących ją ludzi, jest także wytworem ekonomicznych, społecznych i wielu innych czynników.

Przedstawienie rozwoju tego rodzaju stosunków, o ile się da w porządku epok, ma być treścią późniejszych naszych monografii.

KSAWERY CHAMIEC.

---

[1]) Jabłonowski Aleks w „Słowniku Geograficznym“ pod wyrazem „Ukraina.“

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

KRONIKA GALICYJSKA.

W pierwszych dwóch miesiącach bieżącego roku uwaga publiczna zwróconą była w Galicyi więcej niż kiedykolwiek ku wewnętrznym sprawom krajowym, podczas gdy z końcem roku 1893 wniesienie reformy wyborczej, zmiana w stosunku wzajemnym stronnictw politycznych i zmiana w składzie rządu zwracały umysły ku sprawom ogólnej polityki państwa. Ów zwrot uwagi publicznej ku wewnętrznym sprawom krajowym usprawiedliwiony był w zupełności znaczeniem spraw poruszonych na posiedzeniach ostatniego sejmu, który obradował od 10 stycznia do 17 lutego r. b. Na pierwszem miejscu pomiędzy temi sprawami należy postawić wniesioną przez hr. Stanisława Badeniego zmianę ustawy o ponoszeniu kosztów zakładania i utrzymywania publicznych szkół ludowych.

Kiedy przed 21 laty uchwalano w sejmie ustawę o utrzymywaniu szkół ludowych, która z nieznacznemi zmianami przetrwała aż do obecnej chwili, postanowiono, że koszta utrzymania szkoły ludowej mają ponosić przedewszystkiem ci, którzy korzystają ze szkoły. Nie przyjęto myśli nałożenia opłaty szkolnej, utrzymując zasadę bezpłatności nauki elementarnej, a natomiast postanowiono, że koszta utrzymania nauczycieli, tudzież koszta wystawienia i utrzymania budynków szkolnych, mają być opędzane z dodatków do podatków opłacanych przez gminy i obszary dworskie, o ile-by wspomniane koszta nie były pokryte dochodami z majątku szkolnego lub z dawniejszych zobowiązań i z dat-

Digitized by Google

ków dobrowolnych. Ogół kosztów szkolnych podzielono na dwie kategorye: pierwszą stanowiły płace nauczycielskie, zatem koszta osobiste, drugą wydatki na budynek szkolny i przybory szkolne, czyli wydatki rzeczowe.

www.libtool.com.cn

Wydatki na płace nauczycielskie, o ile nie były pokryte przez przychody z majątku szkolnego i dawniejszych zobowiązań, rozłożono pomiędzy przydzielone do danej szkoły gminy i obszary dworskie w ten sposób, iż gminy opłacały na ten cel aż do 12%, obszary dworskie aż do 4% swoich podatków bezpośrednich. Dawniejsze zobowiązania gmin i obszarów dworskich liczono na poczet owej obowiązkowej prestacyi. W późniejszym czasie zmieniono ów wymiar maksymalny prestacyi obowiązkowej na 9% dla gmin, a 3% dla obszarów dworskich; zmiana ta była jednak tylko pozorną, gdyż równocześnie przez zmianę w podatkach rządowych rozszerzyła się podstawa do obliczania podatków, tak, iż te niższe procenta oznaczały tyle, co poprzednio wyższe. Wydatki na płace nauczycieli, niepokryte wspomnianemi prestacyami gmin i obszarów dworskich, pokrywał fundusz szkolny okręgowy, na rzecz którego nałożono na wszystkich opodatkowanych w powiatach, tworzących okręg szkolny, dodatki, aż do wysokości 3% podatków bezpośrednich sięgające. Resztę, jaka-by jeszcze pozostała do pokrycia, dodawał fundusz krajowy szkolny, zasilany z ogólnego skarbu krajowego. Gminy miejskie, posiadające własny majątek, nie miały prawa żądać zasiłku z funduszu okręgowego a względnie krajowego na opędzenie płac nauczycielskich, wyjąwszy wypadki, w których przyznano im taki zasiłek po zbadaniu ich stosunków.

Wydatki na budowę i utrzymanie budynków szkolnych i inne wydatki, t. zw. rzeczowe, włożone zostały również na gminy i obszary dworskie, przydzielone do danej szkoły ludowej, jednakże bez ograniczenia do pewnych maksymalnych procentów i bez prawa żądania zasiłków na te cele z funduszu okręgowego i krajowego. Stosunek przyczyniania się ze strony obszarów dworskich przyjęty został podobny, jak przy wydatkach na płace, postanowiono bowiem, że obszar dworski ma ponosić $^1/_3$ wydatku, który-by przypadał na niego, gdyby należał do związku gminy.

Nierówność prestacyi szkolnych gminy u dworu uzasadniano tem, że nierównie mniej dzieci zamieszkałych na obszarach dworskich uczęszcza do szkoły ludowej, i że wyższa prestacya gminy zastępuje opłatę szkolną, której nie chciano zaprowadzać, aby nie tworzyć przyczyny wstrzymującej od posyłania dzieci do szkoły.

Dodać jeszcze potrzeba, że prestacye szkolne, tak na płace nauczycielskie, jak na budynki i inne urządzenia, płaciły jedynie te gminy

Digitized by Google

i obszary dworskie, które przydzielono już do zakresu pewnej szkoły, gminy zaś i obszary dworskie, dla których szkoły nie urządzono, płaciły jedynie dodatki do funduszu okręgowego i przyczyniały się na równi z innemi do wydatków szkolnych funduszu krajowego.

W ciągu lat 21, które upłynęły od wydania ustawy szkolnej z 2 maja 1873, w toku akcyi, skierowanej ku organizacyi szkół ludowych w kraju, których liczba z 2,752, będących w części tylko na papierze, wzrosła do liczby 4,047, wystąpiły na jaw ujemne strony ustawy z r. 1873 i opartej na niej organizacyi. Jedną z nich jest komplikacya nadmierna funduszów i rachunków szkolnych, wynikająca ztąd, że potrzeba co rok obliczać, ile w każdym funduszu szkolnym miejscowym, którego dochody zmieniają się w miarę ciągłej fluktuacyi podatków, brakuje do opędzenia całego wydatku na płace, ile zatem należy dodać z funduszu okręgowego, a gdyby ten nie wystarczył, nadto z funduszu krajowego. Skutkiem tej zależności wzajemnej funduszów szkolnych, t. j. miejscowego, okręgowego i krajowego, niepodobna oznaczyć wysokości wydatku na płace z funduszu szkolnego krajowego, a zatem sporządzić zamknięcia rachunków tego ostatniego funduszu, nie mając poprzednio zamknięcia rachunków wszystkich funduszów okręgowych, a w dalszym rzędzie i miejscowych. Myśl zasadniczo słuszna, aby fundusze ogólniejsze przychodziły w pomoc tam, gdzie miejscowe koła interesowanych płacą już to, co ustawa uznaje za wymiar maksymalny ich obciążenia a ten wymiar nie wystarcza, w przeprowadzeniu okazała się niepraktyczną. W rachunkach funduszów szkolnych powstał zamęt, który skutkiem nalegań sejmu rada szkolna krajowa uchyliła w ten sposób, że w r. 1884 przeprowadziła likwidacyę wszystkich funduszów szkolnych okręgowych i odtąd rachunki tych funduszów prowadzi u siebie. Zaprowadzono ścisły porządek, ale nie uchylono komplikacyi, wymagającej jak przedtem wiele pracy i kosztów.

Drugą ujemną stroną ustawy szkolnej z r. 1873 okazało się nadmierne przeciążenie gmin, zwłaszcza uboższych, dodatkami na cele szkolne. Kiedy uchwalano ustawę z r. 1873, wyobrażano sobie, że największą część wydatków miejscowych na cele szkolne stanowić będą płace nauczycielskie, i ciężar ten usiłowano ograniczyć przez postanowienie o maksymalnym wymiarze prestacyi, t. j. 12%, a względnie 9%. Praktyka wykazała jednak, że rzeczy mają się inaczej. Nierównie większe ciężary spadły na gminy, skutkiem obowiązku stawiania budynków szkolnych, które musiały odpowiadać rosnącym wymaganiom pod względem hygienicznym, tudzież obowiązku dostarczenia pomieszkań dla nauczycieli, ogrodu szkolnego, miejsca na ćwiczenia gimnastyczne, a wreszcie urządzeń szkolnych. Tutaj zaś ustawa nie stawiała żadnej granicy dla prestacyi szkolnych, a jedyną pomocą dla

Digitized by Google

przeciążonych gmin biedniejszych były zapomogi ze stosunkowo szczupłego funduszu, uchwalanego na ten cel corocznie przez sejm krajowy, oraz pożyczki z funduszu pożyczkowego szkolnego, utworzonego w r. 1872. Dodatki szkolne na budowę szkół w niejednej gminie dochodziły i dochodzą do 100% i 200% podatków rządowych.

www.libtool.com.cn

Owo przeciążenie uchylić przez zrównanie prestacyi obszarów dworskich na cele szkolne z prestacyami gmin i przez wydatniejszą pomoc funduszu krajowego, oto cel, który we wniosku swoim postawił hr. Stanisław Badeni. Wniosek ten, powitany z radością przez opinię publiczną w całym kraju a nawet po-za jego granicami, jak świadczą między innemi głosy dzienników wiedeńskich, komisya szkolna sejmowa uzupełniła i zmieniła w niektórych szczegółach, nie naruszając jego myśli zasadniczej, a sejm krajowy przyjął go jednomyślnie z bardzo małemi zmianami. Nie ulega wątpliwości, że ustawa uchwalona uzyska sankcyę, i wejdzie w życie od r. 1895, podam tedy w krótkości jej treść i wykażę jej doniosłość finansową.

Maksymalny wymiar prestacyi na utrzymanie nauczycieli szkół ludowych oznaczony został w nowej ustawie tak dla gmin, jak dla obszarów dworskich, na 6% rządowych podatków bezpośrednich, zatem dla gmin niżej o 3% niż dotąd, dla obszarów wyżej o 3% niż dotąd. Dla gmin ciężar zniżył się o trzecią część a podwoił się dla obszarów dworskich. Przeciążenie gmin opłatami na utrzymanie nauczycieli wynikało jednak nie tyle z ustawowego wymiaru prestacyi, co przedewszystkiem ztąd, że bardzo wiele gmin bądź przed wydaniem ustawy szkolnej z r. 1873, bądź później, zobowiązało się do rocznych opłat na rzecz szkoły przekraczających bardzo znacznie wymiar ustawowy. Zobowiązania te, niekiedy spowodowane przez urzędników, którzy chcieli sobie zasłużyć na uznanie władz wyższych, nieraz zeznawane przez ludzi, którzy nie zdawali sobie sprawy z ich doniosłości, zostały utrzymane przez ustawę z r. 1873. Wobec zniżenia prawnego wymiaru prestacyi na 6%, wysokość owych dawniejszych zobowiązań stawała się jeszcze bardziej rażącą, gdyby one miały pozostać bez zmiany. To też nowa ustawa zniżyła wysokość owych dobrowolnych zobowiązań również o kwotę odpowiadającą 3% dodatków do podatków bezpośrednich. W miastach, w których nauczyciele pobierają znacznie wyższe płace i w których szkoły odpowiadają potrzebom ludności o wiele zamożniejszej, pozostawiono prestacye na utrzymanie nauczycieli w wysokości 9%. Pozostawiono także w swej mocy obowiązek gmin miejskich, mających własny majątek, do opłacania nauczycieli z własnych funduszów miejskich wyłącznie lub w znaczniejszej części, stosownie do orzeczenia rady szkolnej krajowej, jednakże

Digitized by Google

ulżono tym gminom o tyle, że przy obliczeniu owego majątku mają być strącone długi.

Przy sposobności tych zmian wprowadziła nowa ustawa dalszą zmianę, mającą na celu uproszczenie wspomnianej już poprzednio manipulacyi z funduszami szkolnemi. Postanowiono bowiem, że z wyjątkiem miast Lwowa i Krakowa, gdzie fundusze szkolne okręgowe są zarazem funduszami miejscowemi, wszędzie zresztą fundusze okręgowe będą zwinięte a 3% dodatki na rzecz tych funduszów pobierane, tudzież przychody funduszów szkolnych miejscowych, przeznaczone na opłacanie nauczycieli, wpływać będą do funduszu szkolnego krajowego, który odtąd będzie nauczycieli opłacał. Ustaną tedy wszelkie rozliczania się pomiędzy trzema kategoryami funduszów szkolnych, oszczędzi się mnóstwo pisaniny i pracy rachunkowej.

Efekt finansowy tej części reformy, t. j. zmiany w sposobie ponoszenia wydatków na płace nauczycielskie, przedstawia się następnie: Według dat z r. 1893 opłacały gminy przydzielone do szkół ludowych, z wyłączeniem Lwowa i Krakowa, tytułem prestacyi obowiązkowych i dawniejszych zobowiązań, ogółem rocznie 852,641 złr., obszary dworskie 77,207 złr. Według nowej ustawy opłacały-by gminy 666,658 złr., czyli mniej o 185,983 złr., niż dotąd, obszary dworskie 137,672 złr., czyli więcej o 60,465 złr., niż dotąd. Ogółem tedy wpłynęło-by z prestacyi miejscowych mniej o 125,518 złr., gdyż podwyżka prestacyi obszarów dworskich przyniesie mniej, niż wynosić będzie zniżenie prestacyi gmin. Ubytek ten pokryje fundusz szkolny krajowy.

Nie mniej doniosłą jest druga część reformy, wywołanej wnioskiem posła Badeniego, t. j. zmiana w sposobie ponoszenia wydatków na budynki i inne urządzenia szkolne. I tu zrównano zupełnie obowiązki obszaru dworskiego z obowiązkami gminy, tak, że wydatki na rzeczone cele rozkładają się na wszystkich interesowanych bez różnicy podług opłacanych przez nich podatków. Nadto obejmuje nowa ustawa postanowienia, mające na celu ochronę przed nadmiernem przeciążeniem wydatkami na budynki i urządzenia szkolne. Nowa ustawa rozróżnia tu między zwyczajnemi i nadzwyczajnemi wydatkami. Na pierwsze, do których liczy się utrzymanie budynku i sprzętów, opał, obsługę i oświetlenie, ma być wyznaczoną dla każdej szkoły odpowiedna ryczałtowa kwota. Gdyby wyjątkowo kwota ta przekraczała 10% podatków bezpośrednich, płaconych przez gminy i obszary należące do danej szkoły, natenczas nadwyżkę pokryje fundusz szkolny krajowy. Poprzednio wysokość owych wydatków zależała jedynie od uznania rady szkolnej miejscowej i, nieraz przekraczając istotną potrzebę, nadmiernie obciążała podatkujących. Obecnie oznaczenie ryczałtu i konieczność uzasa-

Digitized by Google

dnienia wniosku o pomoc z funduszu krajowego da skuteczną ochronę przed zbytecznemi wydatkami. Co się tyczy wydatków nadzwyczajnych na wystawienie lub przebudowę budynków szkolnych oraz nabycie gruntów potrzebnych dla szkoły, to wysokość tych wydatków, które sprowadzały naraz bardzo wielki ciężar, została ograniczoną bez szkody dla rozwoju szkolnictwa w ten sposób, że rada szkolna okręgowa nie może na ten cel obciążyć stron w jednym roku kwotą wyższą, jak 40% opłacanych przez nie podatków bezpośrednich. Jeżeli-by wydatek był większy, należy go rozłożyć na lat kilka, a jeśliby był tak wielki, że nie byłby pokrytym w całości, gdyby strony konkurujące składały przez lat 3 po 40% swoich podatków, natenczas fundusz szkolny krajowy ma pokryć nadwyżkę wydatku.

Utrzymano w nowej ustawie w swej mocy postanowienie, że przychodu z grzywien za nieposyłanie dzieci do szkoły będzie rada szkolna miejscowa używała na zaopatrzenie ubogich uczniów w odzież, książki i przybory szkolne.

W końcu zmieniono skład rady szkolnej miejscowej, wzmacniając ją żywiołami inteligentnemi i interesowanemi w dobrej gospodarce, mianowicie reprezentantem obszarów dworskich i delegatem wydziału powiatowego.

Wynik finansowy postanowień nowej ustawy, odnoszących się do wydatków t. zw. rzeczowych, da się obliczyć dopiero wtedy, gdy ustawa wejdzie w życie i na jej podstawie rady szkolne okręgowe obliczą kwoty ryczałtowe dla każdej szkoły; wszakże już dzisiaj można powiedzieć, że tak przy wydatkach zwyczajnych, jak przy wydatkach na nowe budowy, ulga będzie bardzo znaczną, zwłaszcza dla gmin mniejszych i uboższych. Znaczniejszy natomiast ciężar spadnie na obszary dworskie, tudzież na fundusz krajowy. Wzrost wydatków funduszu krajowego z tytułu nowej ustawy obliczano przy obradach w komisyi szkolnej w przybliżeniu na 250,000 do 300,000 złr. rocznie. Nie licząc wydatków rzeczowych, wynosił wydatek Galicyi na szkoły ludowe publiczne, według zamknięcia rachunkowego za r. 1892, ogółem 2,258,761 złr.,—z wydatkami rzeczowemi zwyczajnemi (t. j. bez nowych budowli) wynosił z pewnością po-nad 3 miliony złr. Według budżetu na r. 1894, wynosi ten wydatek po przeprowadzeniu regulacyi płac 2,920,463 złr., a z wydatkami rzeczowemi zwyczajnemi wyniesie on w r. 1894 przeszło 4 miliony złr. Jeżeli mimo to sejm, w którym posłowie, należący do większej własności lub przez nią wybrani, przeważną część głosów stanowią, jednomyślnie przyjął nową ustawę, sprowadzającą znaczny wzrost obciążenia własności większej na cele szkolne, a obok tego znaczny wzrost obciążenia wszystkich opodatkowanych, to jest to fakt, bądź co bądź, dodatni, który należy zanotować.

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

Im więcej wzrasta ilość szkół ludowych, tem więcej troskać się trzeba o to, aby wychować dla nich nauczycieli w odpowiednej ilości i—co nie mniej ważnem a właściwie ważniejszem—w odpowiedniej jakości. Seminarya nauczycielskie mieszczą się dotąd wszystkie w wielkich miastach i nie czynią żadnej różnicy pomiędzy tymi, którzy mają być później nauczycielami w miastach, a tymi, którzy mają poświęcić się pracy nauczycielskiej w szkołach wiejskich. Zakłady te dają wykształcenie, ale nie dają wychowania, gdyż nie są internatami. Młodzież uczęszczająca do tych zakładów, bez wyjątku uboga a po największej części pozbawiona opieki rodzicielskiej w miejscu, pobiera z funduszu krajowego zasiłek po 100 złr. rocznie, a nie mogąc za to umieścić się przyzwoicie, mieszka w suterenach i na poddaszach, wespół z najniższą warstwą ludności, stołuje się w szynkowniach, słowem przebywa cztery lata studyów w otoczeniu, w którem zdrowych zasad moralnych i społecznych nie może w sobie wyrobić, a przeciwnie narażoną jest na wielkie pod tym względem niebezpieczeństwa. Nadto młodzież ta przywyka do życia miejskiego i nie umie żyć i dać sobie rady na wsi. Że tak jest źle i bez wielkiego niebezpieczeństwa dla samejże oświaty ludowej i dla społeczeństwa tak nadal pozostać nie może, uznano już u nas dawno. Gdy nie było widoków, aby państwo samo urządziło internaty przy seminaryach nauczycielskich, uchwalił sejm, na wniosek ś. p. Pawła Popiela, urządzić na próbę internat krajowy we Lwowie. Myśl ta nie została wykonaną, natomiast jednak powstały z inicyatywy prywatnej internaty dla kandydatów nauczycielskich: we Lwowie pod kierunkiem wielce zasłużonego około instytucyi dobroczynnych w mieście tem ks. Gorazdowskiego, dalej w Krakowie, pod kierunkiem zawiązanego w tym celu komitetu, a później i w kilku innych miastach, w których istnieją seminarya nauczycielskie. Dla uczennic żeńskiego seminaryum urządziły dobroczynne panie również mały internat we Lwowie. Usiłowania te, popierane przez sejm subwencyami na budowę i utrzymanie internatów, bardzo są zbawienne, lecz nie wystarczają, skoro jeszcze znaczna część uczniów nie znajduje pomieszczenia w internatach. Należy koniecznie dążyć do tego, aby wszyscy uczniowie wyznania chrześciańskiego byli umieszczeni w internatach, dających rękojmię należytego wychowania młodych ludzi (przeważnie 16-letnich), którzy wstępują do seminaryów. Należy następnie przenieść seminarya po-za obręb miast większych do miasteczek, gdzie życie tańsze i otoczenie dla przyszłych nauczycieli ludowych odpowiedniejsze, a w końcu, zwłaszcza dziś, gdy nowe plany nauki czynią stanowczą różnicę między szkołami miejskiemi a wiejskiemi w urządzeniu nauki i jej kierunku, należy odmiennie kształcić i wychowywać nauczycieli dla każdej z owych kategoryi szkół.

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

Brak nauczycieli, który sprawia, że paręset posad nauczycielskich nie jest obsadzonych, a przeto w znacznej liczbie gmin, mających szkoły, niema nauki szkolnej, spowodował sejm do polepszenia bytu nauczycieli ustawą krajową z 15 czerwca 1892 r. i uchwalonemi równocześnie rezolucyami. Obecnie najniższą płacą wykwalifikowanego nauczyciela na wsi jest kwota 300 złr. z mieszkaniem, ogrodem i morgiem roli. Pewna część nauczycieli wiejskich dostaje 350 i 400 złr., a wszyscy otrzymują dodatki pięcioletnie. Po 25 latach służby nauczyciel wiejski dochodzi do płacy 650 złr. W miasteczkach i miastach płace są stosunkowo wyższe. W najwyższej kategoryi miast nauczyciel szkoły ludowej pospolitej dostaje po 25 latach służby 1150 złr. płacy i 90 złr. dodatku, nauczyciel kierujący szkołą nadto o 100 złr. więcej. Polepszenie płac nie mogło oczywiście sprowadzić odrazu wzrostu liczby nauczycieli. Na razie tylko frekwencya w seminaryach nauczycielskich poprawiła się dość znacznie i spodziewać się można, że za parę lat ustanie brak nauczycieli, jeśli równocześnie zwiększą się stypendya dla kandydatów nauczycielskich i subwencye dla internatów. W tym też kierunku sejm nie poskąpił funduszów w budżecie na r. 1894. Jednakże w niedalekim czasie przyjdzie zapewne do ponownego podwyższenia płac nauczycielskich, gdyż uczniowie kończący seminarya nauczycielskie znajdują nieraz w innych zawodach pomieszczenie, przynajmniej na razie korzystniejsze, wypadnie przeto tej konkurencyi przeciwdziałać, polepszając materyalne położenie nauczycieli.

Z innych spraw szkolnych, któremi sejm się zajmował na ubiegłej sesyi, wymienię tutaj jedynie projekt urządzenia kursów rolniczych przy szkołach ludowych, kursów przeważnie zimowych, 3-letnich, przeznaczonych dla młodzieży wiejskiej, która ukończyła szkołę 4-klasową, dalej statut organizacyjny dla lwowskiej szkoły politechnicznej.

Bardzo obszerną dyskusyę wywołała w sejmie a poprzednio w dziennikach i w szerokich kołach w kraju, sprawa sprzedaży soli w zarządzie kraju. Sól jest, jak wiadomo, w Austryi przedmiotem monopolu państwa, o ile chodzi o jej produkcyę, zaś sprzedaż hurtowa i drobiazgowa jest wolną i nie podlega żadnym ograniczeniom co do ceny. Korzystając z tego, handlarze soli tworzyli związki i ustanawiali dla tego niezbędnego artykułu, drogiego i tak już wskutek monopolu, jeszcze wyższe ceny w sprzedaży drobiazgowej. Wydziały powiatowe usiłowały przeciwdziałać temu wyzyskiwaniu ludności i w wielu powiatach nabywały wprost z salin znaczne partye soli, aby sprzedawać je po cenie ile możności umiarkowanej. Po największej części jednak nie umiano wziąć się należycie do tego interesu i oddawano sprzedaż sprowadzonej soli handlarzom, którzy mieli obowiązek trzymać się oznaczonej ceny, lecz obchodzili ten obowiązek w rozmaity sposób.

Digitized by Google

Przed dwoma laty akcyjne towarzystwo handlowe powzięło myśl ujęcia całego handlu solą w swoje ręce i obiecywało sobie, że kupując od rządu całą ilość soli, przeznaczoną do sprzedaży wewnątrz kraju, zdoła cenę soli zniżyć, a mimo to osiągnąć zysk dość pokaźny. Myśl wytworzenia prywatnego monopolu dla sprzedaży soli znalazła jednak w kraju wielu przeciwników, pomimo, że na czele towarzystwa handlowego stoją wybitne i poważane w całym kraju osobistości. Sejm poprzedni polecił wydziałowi krajowemu, aby starał się u rządu o odstąpienie mu soli, przeznaczonej do sprzedaży wewnątrz kraju, i aby tę sprzedaż zorganizował w interesie ludności. W umowie, skutkiem tego zawartej między rządem a wydziałem krajowym, rząd przyznał wydziałowi prawo pobierania rocznie 420,000 centnarów metrycznych soli warzonki po 9 złr., z prawem sprzedawania jej po cenach rosnących w miarę odległości od salin, jednak najwyżej po 11 złr. za centnar. Sprzedaż ze strony wydziału krajowego miała odbywać się w 60 powiatach, w których dotąd sprzedawano warzonkę, nie zaś sól kamienną, rząd jednak zastrzegł sobie prawo sprzedawania soli także wprost handlarzom. Niestety, składy, które wydział krajowy ustanowił, w wielu powiatach nie zostały powierzone ludziom obrotnym i w ciągu pierwszych $5^1/_2$ miesięcy składy te wybrały tylko 55% tej ilości soli, którą powinny były wybrać, handlarze zaś prywatni zwycięską robili konkurencyę. Cel ostateczny, t. j. utrzymanie niższej ceny soli, nie został wszędzie osięgnięty, a fundusz krajowy nie poniósł wprawdzie straty, lecz nie osięgnął oczekiwanych korzyści. Nadto w ostatniej chwili okazało się, że częściowym powodem zmniejszenia się korzyści były oszustwa, popełnione przez jednego z urzędników w centralnem biurze sprzedaży soli, który też został pod sąd oddany. Niepowodzenia te nie dały powodu do zaniechania sprawy, która, przy odpowiedniejszem kierownictwie i ściślejszej kontroli, obiecuje istotne korzyści dla konsumentów, a obok tego i dla funduszu krajowego. Sejm polecił wydziałowi krajowemu, aby, korzystając z poczynionych doświadczeń, wprowadził odpowiedne modyfikacye w urządzeniu sprzedaży soli i jej rozwożeniu po kraju.

W poprzedniej „kronice" mojej wspomniałem, że rok 1893 z powodu dwukrotnej powodzi i nieurodzaju, był nadzwyczaj niepomyślnym, i że skutkiem tego nie obejdzie się bez pomocy publicznej dla ludności nawiedzonej temi klęskami. W samej rzeczy przedłożony sejmowi obraz klęsk, zrządzonych przez powodzie w różnych okolicach 37 powiatów, zatem niemal w połowie powiatów galicyjskich, tudzież obraz nieurodzaju, spowodowanego w najznaczniejszej części kraju przez ciągłe deszcze, uzasadniał aż nadto potrzebę takiej pomocy. W wielu okolicach od dawnych lat nie pamiętają tak znacznego nieu-

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

rodzaju. W środkowej części kraju zbiór ziemniaków chybił zupełnie, zboże z małemi wyjątkami nie nadaje się do wywozu, nie odpowiada wymaganiom handlu hurtownego i większych młynów. Kupujemy z zewnątrz ziemniaki, sprowadzamy zboże do młynów, sprowadzamy lepsze ziarno na zasiew w wielu okolicach kraju. Z pomocą potrzebną pośpieszył rząd i wydział krajowy jeszcze w lecie, następnie rada państwa uchwaliła dalszą pomoc, a sejm uczynił to samo na ostatniej sesyi, wzywając zarazem rząd do dalszej jeszcze pomocy i do wstrzymania egzekucyi podatkowych aż do nowego zbioru. Nie może być oczywiście mowy o wynagrodzeniu szkód poniesionych, z których same szkody, zrządzone przez powódź, według dochodzeń szacowane są na blizko 10 milionów. Chodziło i chodzi o doraźną pomoc dla tych, których powódź pozostawiła bez dachu i kawałka chleba, o dostarczenie zarobku przy naprawie dróg i budowli wodnych, uszkodzonych przez wylewy, o pomoc dla dokonania zasiewów ozimych i wiosennych, wreszcie dla najbiedniejszych o przeżywienie do lata, głównie znowu przez dostarczenie zarobku. Doświadczenie wykazało, że, pominąwszy wypadki pomocy doraźnej dla zachowania od głodu, której-to zapomogi najlepiej udzielać w naturze, zresztą zapomogi bezzwrotne działają demoralizująco i są często źle użyte przez tych, którym się dostały. Najlepszem będzie zawsze dostarczenie należytego zarobku, a obok tego dostarczenie zboża na zasiew w porze siejby.

Pomiędzy sprawami, uchwalonemi przez sejm na ostatniej sesyi, obok wielu innych, które muszę pominąć, była także ustawa upoważniająca miasto Lwów do zaciągnięcia pożyczki 10 milionów złr., celem spłaty długów dotychczasowych, wynoszących 2,922,685 złr., i przeprowadzenie robót publicznych, jak: urządzenie wodociągów, rozszerzenie sieci kanałów, budowa szkół, budowa nowej rzeźni i t. p. Sprawa pożyczki wywołała w mieście oppozycyę, tak samo, jak przed laty dziesięciu, kiedy dr Biliński, dzisiejszy prezydent kolei państwowych, przedstawił projekt pożyczki 3-milionowej. Wtedy pożyczka upadła, że jednak była uzasadnioną, świadczy ta okoliczność, iż od tego czasu zaciągnęło miasto długi bieżące w kwocie nie o wiele mniejszej. Obecnie oppozycya tak w radzie miejskiej, jak w mieście, skierowaną była nie przeciw samejże myśli pożyczki, lecz przeciw jej wysokości i przeciw zaciąganiu pożyczki, zanim szczegółowe plany zamierzonych robót będą wygotowane, nadto zaś podnoszono obawy złego użycia pożyczki. Większość rady miejskiej, popierająca sprawę pożyczki, usiłowała uchylić owe obawy, zamieszczając w projekcie ustawy postanowienie, iż pożyczka może być użytą jedynie na cele szczegółowo określone w ustawie i że ma być realizowaną częściowo, w miarę jak będą przedłożone i zatwierdzone przez radę szczegółowe plany i kosztorysy.

Digitized by Google

Nadto zastrzeżono w ustawie, że każda częściowa emisya pożyczki musi być uchwaloną na dwóch posiedzeniach rady, odbytych w zwiększonym komplecie, i zatwierdzoną przez wydział krajowy.

www.libtool.com.cn

Sejm przychylił się do zdania większości rady i uchwalił ustawę o pożyczce, gdyż istotnie zachodzi we Lwowie nagląca potrzeba wykonania robót publicznych, objętych programem użycia pożyczki. Miasto rozrosło się znacznie i nie może obchodzić się urządzeniami, które dawniej wystarczały, i mamy pewne obawy, czy też Lwów dzisiaj, gdy owe roboty są tylko w projekcie, przedstawi się godnie licznym gościom, spodziewanym w czasie wystawy. Wystawa będzie na czas gotową i mamy wszelką nadzieję, że korzystne sprawi wrażenie; natomiast w mieście, mianowicie pod względem dróg i innych porządków, wiele jeszcze jest do zrobienia, a pod względem energii i staranności magistrat lwowski spotyka się z częstemi, niestety, zbyt słusznemi zarzutami. Przyczyna tego leży nietylko w tej lub owej osobistości, lecz w wadliwym systemie mianowania urzędników, których na wszystkie posady mianuje rada miejska, złożona ze stu radnych. W takiem ciele zbyt często przeważają względy, którym dobro służby nie kazało-by dawać pierwszeństwa.

U.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Pogląd na świat jako przedmiot historyi.

I.

Dążnością wiedzy historycznej współczesnej jest, jeśli wolno użyć tego wyrazu, coraz większa demokratyzacya jej przedmiotu. Coraz bardziej porzuca ona wyłączne traktowanie tego, co stoi u wyżyn społecznych, aby się zagłębiać w zjawiska, odbywające się wewnątrz mas, składających naród. Od wielkiej polityki, od wojen i zajść dyplomatycznych, w których wprawdzie ważą się losy całego narodu, ale często bez jego czynnego udziału, a nawet bez jego świadomości, zwracają się dziejopisarze ku polityce wewnętrznej, ku mniej głośnym, a dlatego i mniej znanym, lecz wywierającym nie mniej stanowczy, a niekiedy nawet głębszy wpływ na życie narodów, ku przemianom w organizacyi porządku społecznego, instytucyi, życia ekonomicznego; od praw pisanych, ujętych w kodeksa,ku poczuciu prawnemu mas, objawiającemu się w prawie zwyczajowem; od bogactw, nagromadzonych przez pojedyńcze osoby lub klasy, ku badaniom stopnia dobrobytu ogółu; od najwyższych objawów inteligencyi, odźwierciedlających się w utworach literatury i sztuki, filozofii i wiedzy, ku zagadnieniom: jak powszechną była oświata, w jakim stopniu szerzyły się zdobycze myśli wśród rozmaitych warstw narodu, jak na nie oddziaływały; ku zbadaniu wreszcie niezależnie od piśmiennictwa wytwarzających się pojęć ludu w zupełnie nowej gałęzi wiedzy—folklorze.

Digitized by Google

Zwrot taki jest naturalnym wynikiem pogłębienia studyów dziejowych i mógł nastąpić dopiero po opracowaniu tej strony zewnętrznej, bijącej w oczy, do której materyał był gotowy w kronikach, ustawach, pamiętnikach i t. d., do której odtworzenia potrzebna była tylko znajomość tych źródeł. W nowym wytwarzającym się kierunku, przeciwnie, historyk więcej jest zmuszony domyślać się, niż czerpać ze źródeł, powinien umieć korzystać z materyałów pozornie często obcych przedmiotowi badania. Jak dla autora „Katedry Najświętszej Panny" napis „ananke" na ścianie świątyni w Paryżu stał się pobudką do stworzenia postaci księdza, a wydatek w regestrach miejskich—do niemniej charakterystycznego typu poety-kuglarza Gringoire'a, jak Cuvier odtwarzał w myśli kształt i budowę całego zwierzęcia na podstawie jednej znalezionej szczęki; tak historyk, badający życie wewnętrzne narodu, korzysta z każdego ubocznego źródła, z pobieżnej wskazówki, z półsłowa w liście lub pamiętniku, z daty lub cyfry w regestrach, aby zrozumieć sposób myślenia, stosunki i dążenia danej epoki, a przy pomocy wyobraźni, kierowanej i wielokrotnie sprawdzanej krytyką, odtworzyć obraz życia ubiegłych wieków.

Jakże się odbija ten nowy kierunek badań historycznych na dziejach myśli ludzkiej?

Czem są przedewszystkiem dzieje myśli? Prawie nie znamy dzieł, które-by nosiły ten tytuł, ale każda historya cywilizacyi jest w rzeczywistości historyą umysłu ludzkości. W wiedzy i w sztuce, w literaturze popularnej i w dziełach specyalnych, w instytucyach państwowych i prywatnych, w religii, w prawie i moralności, w zwyczajach i zabawach, wszędzie odbija się jakaś cząstka tego wszechludzkiego ducha, który nazwać możemy myślą ludzkości.

Nie każdy wszakże z tych zakresów ma jednakowe znaczenie i jednakową rozległość oddziaływania. Kiedy literatura naukowa, skupiając w sobie najwyższe wyniki myśli, stanowi własność nie wielkiej tylko gromadki ludzi, literatura piękna oddziaływa, a więc i ulega wzajemnie wpływowi bez porównania szerszych mas, a jeszcze rozleglejszych kół udziałem jest religia, moralność i obyczaj, chociaż nie we wszystkich warstwach jednakowo pojmowane. Znaczenie jednak bezwzględne tych czynników nie da się zmierzyć zakresem ich rozpowszechnienia. Jakkolwiek dla nielicznych tylko jednostek przeznaczone, utwory wiedzy ścisłej mają niezaprzeczoną wartość, jako najwyższe szczyty, do których się myśl wzniosła, a od nich promienieje światło na całe pole umysłowości, chociaż osłabione i zamglone odległością. A jakkolwiek literaturze popularnej, zwłaszcza poezyi i powieści, przyznać winniśmy większe znaczenie społeczne, jako wychowawczyni szerszych kół w chwili bieżącej, to jednak tym najwyższym zdobyczom,

Digitized by Google

które zawiera wiedza i mniej popularne, bo nieprzystępne dla mas, dzieła sztuki, przypada większa doniosłość dziejowa: one-to wytykają drogę ku przyszłości. Umysłowość całej ludzkości porównać można do pędzącego tabunu koni stepowych: na czele kilka najdzielniejszych rumaków oddzielonych od siebie znacznemi odległościami, dalej za niemi coraz liczniejsze gromadki i coraz gęściej skupione, w tyle wreszcie zbita masa. Tak i w postępie myśli: ci, którzy biegną w tyle, są najliczniejsi, ale przodownicy pokazują drogę.

www.libtool.com.cn

Biorąc myśl w ścislejszem znaczeniu — jako władzę pojmowania — za wytwór jej najogólniejszy uważać powinniśmy *pogląd na świat*, jako ujęcie w całość wszystkich dostępnych nam zjawisk. Jeśli zaś umiejętne wytworzenie poglądu na świat stanowi zadanie filozofii, to w historyi filozofii znaleźć powinniśmy najogólniejsze wyniki historyi myśli ludzkiej, jej najwyższe zdobycze, w stopniowym rozwoju.

W rzeczywistości tak nie jest. Historya filozofii stanowi może najważniejszy rozdział w dziejach myśli, ale nie jest ich całością. Nie jest też i obrazem stopniowego rozwoju myśli ludzkiej. Składa się na to kilka przyczyn, które rozważyć powinniśmy.

II.

Umiejętnie wyrobiony i w karby wiedzy ujęty pogląd na świat, stanowiący systemat filozoficzny, jest tylko owym szczytem myśli, o którym już wspominaliśmy. Cały szereg przejść stopniowych łączy te wykończone dzieła umysłowości z mniej systematycznemi poglądami wykształconego ogółu danej epoki, stanowiącemi jej atmosferę intelektualną, a te znów z luźnemi mniemaniami mas. Chcąc więc objąć całość dziejów myśli, powinniśmy wciągnąć w jej zakres nie tylko systemata filozoficzne, wydane przez umysły przodujące i twórcze, ale i niesystematyczne filozofowania ogółu. Uwzględnienie tych poglądów, stanowiących atmosferę intelektualną epoki, ułatwi nam zrozumienie związku pomiędzy systematami filozoficznemi i da mniej jednostronny obraz umysłowości epoki badanej.

Wystawmy sobie pasmo gór widziane z daleka: osłona mgły zakrywa je do połowy; widoczne są tylko pojedyńcze wierzchołki, które wydają się zupełnie oderwanemi od siebie; jedne są mniejsze, drugie większe; jedne stoją bliżej, bardziej skupione, inne w większem oddaleniu od siebie, ale związku między niemi nie dostrzegamy. Dopiero gdy promienie słońca rozproszą mgłę okrywającą doliny, dostrzegamy wyraźnie falistą linię łańcucha górskiego, widzimy jak drogą stopniowych i nieznacznych przejść łączą się między sobą najwyższe szczyty przy pośrednictwie mniejszych i najmniejszych wyniosłości.

Digitized by Google

Dzisiejsza historya filozofii jest takiem pasmem gór, okrytem u spodu mglistą zasłoną; jedni historycy podnoszą ją trochę wyżej, inni spuszczają niżej, ale wszyscy odsłaniają nam tylko niewielką ilość wyżyn myśli ludzkiej, a usiłowania znalezienia jakiejś ogólnej formuły jej postępu prowadzą tylko do mniej lub więcej trafnych, rzadko jednak powszechną doniosłość mających lub logicznie jasnych uogólnień. „W każdym razie dotychczasowe doświadczenia uczą, że nie można nigdy być dosyć ostrożnym w ustaleniu formalnych praw rozwoju myśli"— powiada jeden z dziejopisarzy filozofii [1]). Nic dziwnego—bo uogólnienia nasze są tylko spostrzeżeniami empirycznemi, nie sięgającemi w głąb związków łączących systemata filozoficzne: są to prawa Keplera, którym brakuje jednoczącej i powszechnej zasady Newtona.

Za przykład tu może służyć t. z. prawo rozwoju Hegla, jedno z najwybitniejszych uogólnień w historyi filozofii, najcenniejszy może zabytek jego, dziś prawie zapomnianego, systematu wszechrozumu *(panlogizmu)*. Według prawa tego, każda myśl przechodzić ma trzy stopnie rozwojowe. Z początku występuje w formie *twierdzenia* (*thesis*); lecz nie dość ścisłe, nie dość krytycznie oddzielone od ubocznych okoliczności, twierdzenie to, wskutek swej niedokładności, ulega zaprzeczeniu—przeciwstawia mu się wprost przeciwne *przeczenie* (*antithesis*), które, odrzucając to, co było zbytecznem w twierdzeniu, potępia zarazem i prawdziwą jego część, a więc jest również jednostronnem. Dopiero w *kojarzeniu* czyli *różno-jedni (synthesis)* łączą się harmonijnie z sobą obie krańcowości i myśl powraca w formie twierdzącej, ale oczyszczona z nieścisłości, ograniczona, dokładniej zformułowana. Takie jest logiczne uzasadnienie prawa rozwoju ze sprzeczności, a historya myśli wykazuje liczne przykłady jego objawienia się w dziejach. Ileż-to razy widzimy przerzucanie się systematów filozoficznych w przeciwne sobie krańcowości: po okresie materyalizmu następuje krańcowy idealizm, aby znaleźć pojednanie w jakimś systemacie dualistycznym lub panteistycznym. Po epokach głębokiej wiary następują okresy sceptycyzmu i t. d. Nie jest to prawo wszakże ani powszechnem, ani zadawalniającem umysł, pomimo swego pozoru logiczności. Dopiero uwzględniając te niższe poziomy myśli, które pomija historya filozofii, możemy zrozumieć tak sam mechanizm tego „prawa", gdzie ono okazuje się regułą, jako też i zboczenia od niego.

Poziom wykształcenia wszystkich jednostek jakiegokolwiek narodu jest, jak już wspominaliśmy, bardzo niejednostajny; kiedy umysły najwyższe, opierając się na wiedzy i zdobyczach swoich również niepospo-

---

[1]) Falkenberg. *Historya filoz. nowożytnej* str. 6 polskiego przekładu.

Digitized by Google

litych poprzedników, wdzierają się po tem rusztowaniu umysłowem na wysokość, z której widzą słońce prawdy tak jasno, jak tylko można je dostrzedz w danej chwili dziejowej, masa zostaje jeszcze pogrążona w ciemności. Nie widzi ona, lecz wierzy; nie może iść za nicią myśli swoich przywódzców, tylko przyjmuje jej wyniki. Wyniki te szerzą się początkowo przez literaturę popularną wśród kół wykształconych, stają się chlebem powszednim ducha młodego pokolenia, kształcącego się na tej literaturze, następnie wygłaszane w postaci aforyzmów, uwag i sądów w rozmowie i obcowaniu codziennem, w pismach brukowych, zastosowane do wszystkich szczegółów życia, przechodzą z ust do ust, stają się atmosferą umysłową, którą oddycha każdy, dochodzą nawet do takich, którzy żadnych książek nie czytają lub wcale czytać nie umieją. Tak dziś np. często możemy słyszeć myśli Buckle'a lub Drapera, Darwina lub Spencera, wygłaszane przez ludzi, którzy nigdy w ręku nie mieli dzieł tych autorów; a nie jeden młodzieniec, spotkawszy się następnie z temi myślami w książkach, widząc, że są podniesione do godności sądów literackich, gotów uważać siebie za pokrzywdzonego, że się urodził o 20 lat za późno, ażeby mieć do nich prawo pierwszeństwa. Zapomina przytem, że właśnie owe 20 lat potrzebne były, ażeby myśli te wsiąkły w atmosferę epoki, że przez 20 lat oddychając tą atmosferą, musiał przyjść do nich, chociaż może nie słyszał ich w formie twierdzącej i określonej.

Wiele czasu musi upłynąć, zanim nowy pogląd na świat zdąży rozlać się w ten sposób po całym kraju: w samych ogniskach cywilizacyi, w miastach, gdzie istnieje życie umysłowe i literackie, tylko młodsze pokolenie, tylko ludzie o umysłach świeżych i wrażliwych przejmują się nasamprzód nowemi ideami. Zanim to pokolenie urośnie i osiągnie wpływ w życiu, zanim z miast ideje jego drogą dzienników i obcowania osobistego przejdą do zagród wiejskich, a ztamtąd stopniowo wsiąkać zaczną w tłum nieczytający, musi upłynąć sporo czasu.

Jak powolnie odbywa się zmiana opinii wpośród tej najniższej pod względem intelektualnym warstwy, odciętej prawie od źródeł wiedzy, a że jednak odbywa się tam ruch, dowodzi ten fakt, stwierdzony przez folklorystykę dzisiejszą, iż poglądy przyrodnicze i lekarskie, kursujące pośród naszego ludu, nie są zabytkami dawnych wierzeń z pogańskich czasów, jakby to być musiało, gdyby żadne światło z góry nie przenikało w te głębie kulturalne narodu, gdyby one skazane były na życie własnemi tylko tradycyami,—lecz przeciwnie, są to poglądy uczonych greckich lub rzymskich, takich Dyoskorydesów lub Pliniuszów, które przez literaturę łacińską w XVI-m stuleciu dostały się

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

do dworów szlacheckich, a później stopniowo przechodziły do ludu [1]).

Zanim więc jedne zdania i poglądy zdążą wsiąknąć w głąb narodu, w wyżynach intelektualnych odbędzie się nie jedna zmiana. Najbardziej ruchliwą jest oczywiście ta warstwa, która czytuje książki i kształci się systematycznie, ale i tu zmiana zwykle dopiero następuje z wystąpieniem na widownię życiową młodego pokolenia, które w szkolnych czasach zapoznało się z nowemi wynikami, gdyż w tym okresie życia zwykle wyrabiają się poglądy i przekonania.

Gdy więc ukazuje się jakaś myśl nowa, jakiś nowy pogląd na świat, czy to w postaci systematu, czy też w formie bardziej popularnej, spotyka zwykle masę nieprzychylnie dlań usposobioną, jako dla nowości, masę „inteligencyi", która wskutek bezwładności trzyma się raz nabytych opinii, ale jednocześnie wśród tej masy znajduje się pewna mniejszość, która tylko niechętnie i pod naciskiem większości przystała na kursujący pogląd, przyjęła go wbrew przekonaniu, przez bierność i brak siły do jego zwalczenia. Teraz ta mniejszość chwyta się nowego poglądu mniej lub więcej sprzecznego z poprzedzającym, łagodzącym jego jednostronności, a podnosząc w nim przeważnie krytyczną stronę, stara się nagiąć do swoich dawnych sympatyi, zakrzyczanych przez większość, przeciągając wygięty jednostronnie łuk w przeciwnym kierunku. Tak ci, którzy wbrew potrzebom serca musieli się zgodzić na panującą w minionem pokoleniu niewiarę, dziś biorą pierwsze brzaski poglądów przeciwnych sceptycyzmowi i pesymizmowi za odradzające się światła wczorajszego dnia, i z tą łatwością, z jaką je porzucili, wracają do dawnych pojęć, wytwarzając takie formułki, jak neo-chrystyanizm, neo-katolicyzm, neo-konserwatyzm i t. d.

Stopniowo nowa myśl opanowywa ogół, ale zostaje znowu garstka oppozycyonistów, którzy, wbrew wewnętrznemu przekonaniu, ją przyjmują — bo niema takiego poglądu na świat, który-by zarówno dogadzał wszystkim typom umysłowym; z tej garstki z czasem się wyłoni nowy pogląd, przeciwny temu, który dziś zwycięża, a zbliżony do zwyciężonego; ale doświadczenie poprzedniego pokolenia i krytyka przeciwników przyczynią się do złagodzenia ostrych kantów, do usunięcia sprzeczności, do mniej jednostronnego pojmowania, a ogólny postęp wiedzy da stanowisko podnioślejsze. Gdy jednak ten nowy systemat *różnojedni* (syntetyczny) wykluje się z przeciwności dwóch poprzednich, masa inteligencyi będzie się znajdowała jeszcze pod wpływem

---

[1]) Por. Przemówienie prof. Rostafińskie o na VI zjeździe przyrodników i lekarzy polskich. (*Dziennik Zjazdu*).

Digitized by Google

poprzedniego, a w oppozycyi do nowego. Tak więc w masie narodu spotykamy się jednocześnie z całym szeregiem poglądów na świat, po części sprzecznych z sobą, a rozmaicie układających się wśród pojedyńczych warstw jego. Jednostki, stojące na wyżynach myśli filozoficznej, wytwarzają coś nowego, ogół inteligentny hołduje jeszcze poglądom minionego pokolenia, a niżej—wśród masy o rozmaitym stopniu ogłady intelektualnej znajdujemy cały szereg przejść do poglądów najrozmaitszych okresów dawniejszych. Dziś np. u nas, gdy w umysłach wyższych panuje zwrot ku krytycyzmowi (cofanie się ku Kantowi w filozofii, ku teoryom Smitha w ekonomii społecznej i t. d.), charakteryzujący chwilę przełomu, masa inteligencyi stoi jeszcze na stopniu realizmu pozytywistyczno-materyalistycznego, a w niższych warstwach narodu spotykamy najrozmaitsze poglądy aż do średniowiecznych włącznie. Nowy systemat znowuż nie jest doskonałym; pozostawia on pewne jednostronności i niedokładności, które naprawią się przez nowe przeczenie i t. d. Myśl ludzka waha się ku obu stronom prawdy, jak wahadło około linii spoczynku, a każde wahnięcie przybliża ją do tej prawdy. Ale wahania krążących poglądów opóźniają się o całe pokolenia od wahań przodującej myśli.

III.

Poglądy kursujące, które stanowią popularną filozofię intelektualnego ogółu, nie tylko tem się różnią od systematów filozoficznych danej chwili, że są wobec nich spóźnione. Pewien pogląd na świat, wsiąkając w swiadomość mas, ulega przeróbkom, odpowiadającym ich poziomowi umysłowemu.

Dokładne zrozumienie systematu filozoficznego, stworzonego przez umysł o wiele przewyższający otoczenie i oparty na obszernej wiedzy, wymaga takiego wyrobienia myśli, jakiego nie posiada wykształcony ogół. Jak organizmy w rozwoju zarodkowym przejść muszą przez szereg szczebli, kształtem swoim przypominających typy niższej organizacyi, tak i w filozoficznym na świat poglądzie osiągnięcie wyższego stanowiska, chociaż już zaznaczone przez przodowników myśli, może nastąpić dopiero po przejściu przez kilka niższych, bardziej pierwotnych stopni. Umysł ucznia nie może od razu wznieść się na wyżyny myśli współczesnej jemu, lecz powinien chociażby w skróceniu przebiedz te fazy, które przechodzili poprzednicy nasi, twórcy dawniejszych systematów, a od zdolności i wszechstronności jego będzie zależało, na którym z tych stopni sam się zatrzyma. Czyż nie spotykamy na każdym kroku ludzi wykształconych, których

Digitized by Google

poglądy nie wznoszą się prawie ponad stanowisko przedsokratycznej filozofii, lub nawet samej szkoły jońskiej?

Dla tego też w filozofii więcej niż gdzieindziej niezbędną jest znajomość jej historyi, a dzieje te stanowią podstawę wykształcenia filozoficznego. Ale ogół, nie posiadający tego wykształcenia, ściąga systemata filozoficzne do swego poziomu, upraszcza je i schematyzuje; nie mogąc ująć całokształtu, wybiera to, co mu najlepiej przypada do gustu, co odpowiada jego poziomowi umysłowemu, indywidualnym usposobieniom lub prądom myśli, które w danej chwili mają przewagę pod wpływem rozmaitych czynników dziejowych—politycznych lub społecznych.

W ten sposób systemat filozoficzny, stając się zdobyczą ogółu, czyli przekształcając się w kursujący pogląd na świat, zostaje mniej lub więcej spaczony i uproszczony, a poglądy jednostek, stojących na rozmaitych szczeblach ukształcenia, są zlepkami eklektycznemi w rozmaitym stopniu oddalonemi od pierwotnej myśli twórcy. Łatwo nas o tem przekonywa rzut oka na tak zwane szkoły filozoficzne oraz na popularyzującą rozmaite systemata literaturę: taki stosunek istnieje np. pomiędzy Lockem a sensualizmem francuskim i późniejszym angielskim; pomiędzy Leibnitzem a Wolffem i jego szkołą; pomiędzy Kantem a jego popularyzatorami. Cóż dopiero gdybyśmy mogli zajrzeć w myśl przeciętnego czytelnika tych popularyzatorów! Niejakie wyobrażenie o tej różnorodności możemy powziąć, jeśli sprobujemy zdać sobie sprawę, jak pojmują rozmaite osoby z naszego otoczenia jakąkolwiek popularną ideję współczesną, np. ideję transformizmu. Przekonamy się, że większość wie tylko tyle, iż według tej hypotezy człowiek ma pochodzić od małpy, t. j. najmniej ogólną i charakterystyczną jej stronę; a nawet wśród zwolenników Darwinizmu bardzo mało jest znających mniej więcej dokładnie poglądy Darwina, a jeszcze nieskończenie mniej takich, ktorzy czytali jego dzieła.

Ta różnorodność pod względem poglądu na świat, istniejąca w każdej chwili dziejowej, łatwo tłómaczy nam wahania wsteczne lub zboczenia postępu myśli filozoficznej w dziejach od prostej linii rozwoju logicznego, jeśli pamiętać będziemy, że jednostki, tworzące nowe poglądy lub systemata, zostają pod wpływem otoczenia, wychowują się w jego atmosferze intelektualnej. Do tego dodaje się nowa okoliczność, która najwięcej może zamąca logiczny porządek w następstwie systematów; jest nią wpływ wypadków dziejowych, politycznych lub społecznych, na usposobienie ogółu do przyjęcia tej lub owej idei. Takie wpływy dają się wykazać w całym przebiegu dziejow filozofii; filozofami najbardziej popularnymi danej epoki są zawsze ci, których nauka najlepiej dogadza usposobieniom klasy, zajmującej się filozofią. Ro-

Digitized by Google

zumiemy dlaczeg o sofiści, jako pierwsi płatni nauczyciele tej umiejętności, mogli ukazać się tylko w społeczeństwie, gdzie istniała bogata młodzież, zajmująca długie godziny nieczynności dyletantyzmem filozoficznym; dlaczego byli właśnie popularni wśród tej klasy, dlaczego gładkość formy i zręczność dyalektyki stawiali na pierwszym planie, a ta pozornie drobna okoliczność, że pobierali opłatę za nauczanie, tłómaczy wiele cech, dotyczących treści i formy, np. arogancyę tak charakterystyczną dla ludzi, którzy, stanąwszy w pewnej zależności ekonomicznej, chcą przesadną rubasznością w obejściu zaznaczyć pozorną niezależność swoją. Łatwo zrozumieć dlaczego nauka Arystyppa znajdowała odgłos wśród złotej młodzieży ateńskiej, lub dlaczego Sokrates szukał uczniów wśród rzemieślników. Upadek wolności Grecyi wytworzył ten kierunek eklektyczno-encyklopedyczny, który nazywamy okresem aleksandryjskim. Często się zdarza, że nowy systemat lub pogląd na świat zostaje przez długi czas zagrzebany w pyle bibliotek, jeśli był wydany w czasie nie odpowiednym do jego przyjęcia przez publiczność. Tak było np. z dziełami Schopenhauera, które wyszły w epoce, gdy energiczne życie polityczne i społeczne Europy, wyrabianie się nowych ideałów i nadzieje na ich prędkie urzeczywistnienie nie zostawiły miejsca dla pesymizmu; lecz gdy nastąpił ogólny upadek ideałów i reakcya, którą zainaugurowały czerwcowe dni 1848 r. w Paryżu, grunt dla pesymizmu był gotów. Wtedy pierwszy lepszy pajac, który potrafił przerobić grymasy, dawniej wcale nie bawiące publiczności, lub miał tyle sprytu, aby zatrąbić w zapomnianą starą trąbkę pesymistyczną, mógł przyswajać sobie cudze laury i sprzedawać w setkach tysięcy egzemplarzy niedorzeczne ramoty, jak to uczynił w Niemczech Hartmann.

Wszystkie te warunki, tłómacząc dlaczego umiejętność poglądu na świat nie rozwija się jednem nieprzerwanem pasmem, wykazują jednocześnie, jak rozmaite stanowiska może zająć badacz dziejów myśli ludzkiej w tej najbardziej uogólnionej i syntetycznej jej formie, której wyrazem jest pogląd na świat, jeśli zechce wszechstronnie objąć swój przedmiot.

IV.

Możemy zaznaczyć tu cztery rozmaite punkta widzenia: w pierwszych dwóch przeważać będzie stanowisko filozoficzne—analityczne lub syntetyczne; w dwóch ostatnich—historyczne i psychologiczne.

1-o. Filozofia jako umiejętność posiada pewne gałęzie (np. teorya poznania, logika), w których odbywa się ustawiczny postęp, niezależny

Digitized by Google

od falowania systematów, a zostający w związku z postępem innych gałęzi wiedzy, polegający głównie na pogłębieniu analizy dokładniejszem rozróżnieniem pojęć, co swoją drogą wpływa na ściślejsze rozwiązanie zagadnień filozoficznych, czyli na częściowe syntezy, wchodzące jako składniki w syntezę powszechną poglądu na świat.

www.libtool.com.cn

Możemy więc badać *historyę zagadnień filozoficznych*, postęp w ich ukształtowaniu i rozwiązaniu częściowem, niezależnie od epok dziejowych oraz całości indywidualnych poglądów jednostek, które się przyczyniły do ich rozwiązania. Taki sposób, chociaż ułatwia zestawienie rozmaitych punktów widzenia na pojedyńcze zagadnienie (np. zagadnienie podmiotu i przedmiotu, przyczynowości i celowości i t. d.), oraz wszechstronniejsze jego zrozumienie, ma tę wadę, że wyrywa część z syntetycznej całości systematów, przez co pozbawia ją uzasadnienia oraz związku z pozostałemi częściami poglądu na świat, co w filozofii, jako umiejętności dążącej do najwyższej jedności myśli, stanowi główną stronę. Odpowiedzi materyalizmu i idealizmu na zapytanie o istocie rzeczy mogą się wydawać zupełnie równouprawnionemi, jednakowo zasadnemi, a nawet równie jałowemi, jeśli je bierzemy w oderwaniu od całości poglądów; materya czy idea, atom czy monada, oddzielone od systematów hilików lub Platona, Demokryta lub Leibniza, nie dają nam żadnego punktu, o który-byśmy mogli oprzeć ocenę ich względnej wartości. Dopiero gdy oddalimy się od szczegółu, ażeby rzucić okiem na całość gmachu, w którego skład wchodzą, gdy zrozumiemy, że takim a nie innym być powinny, aby się zgadzały z tą całością, potrafimy należycie ocenić ich wartość. Łatwo widzimy np., jak ściśle wiąże się pojęcie atomu z ideą mechanizmu wszechświata i jaką pustkę zostawia w kwestyi „stanów wewnętrznych"; jak przeciwnie monada spojona jest z celowością, doskonałością i harmonią wszechbytu, ale tylko cudem może odpowiedzieć na pewne zagadnienia przyczynowe; jak idea Platońska prowadzi do ideału najwyższego Dobra.

Taki więc wykład historyi pojedyńczych zagadnień, jako przeważnie analityczny i rozbijający całość systematów, nie może zadowolnić nawet z punktu widzenia czysto filozoficznego; najwłaściwsze dlań miejsce jest przy systematycznym wykładzie filozofii, jako wstępna część do pojedyńczych zagadnień, tak jak to się dzieje przy wykładzie innych gałęzi wiedzy, gdzie rzut oka historyczny poprzedza zwykle roztrząsanie każdej kwestyi. I jako takie przygotowanie może mieć niezaprzeczoną wartość.

Jeden ze współczesnych historyków filozofii [1]) zrobił próbę przed-

---

[1]) *W. Windelband. Geschichte der Philosophie.* Freiburg 1892. Zadanie swoje tak formułuje autor: „zwięzłe i przejrzyste przedstawienie rozwoju idei filozofii euro-

Digitized by Google

stawienia historyi rozwoju myśli filozoficznej w stosunku do pojedyńczych zagadnień, nie tracąc z oka jednocześnie i syntetycznej całości oddzielnych systematów (Platona, Arystotelesa i t. d.), a nawet kierunków myśli (filozofia odrodzenia, filozofia oświaty, niemiecka filozofia XIX-go w.). Takie połączenie umożliwione zostało po części przez to, że pojedyńcze zagadnienia filozoficzne występują na widownię dziejową w pewnym porządku chronologicznym: tak problemat budowy świata przeważa w pierwszym (*kosmologicznym*) okresie greckiej filozofii, a tu dość zgodnie z porządkiem chronologicznym idą po sobie: zagadnienie bytu, powstawania i poznania; dalej idzie okres *antropologiczny* (sofiści, Sokrates i jego pierwsi uczniowie), w którym występują nowe zagadnienia, dotyczące głównie człowieka, jako istoty czynnej i poznającej, a więc etyczne, i problemat wiedzy. Ale już w trzecim okresie (systematycznym—Demokryt, Plato i Arystoteles, jako przedstawiciele trzech systematów: materyalizmu, idealizmu i ewolucyi) wszystkie niemal zagadnienia skupiają się w jednym czasie i w jednej osobie, pogłębiając się zarazem i wiążąc wzajemnie. To samo stosuje się w wyższym jeszcze stopniu do filozofii nowożytnej: chociaż i tu niektóre zagadnienia stają się w pewnych okresach ulubionemi (np. ideje wrodzone i naturalna religia w XVII-tym w.), a niektóre dopiero powstają w nowszych czasach (problemat filozofii dziejów czyli przeznaczenia ludzkości); jednak wogóle w każdym okresie i w każdej osobie twórczej skupiają się i ogniskują najrozmaitsze zagadnienia, coraz to specyalizując się i wyszczególniając.

Nie chcąc ignorować zamkniętej w sobie całości wielkich epok rozwoju dziejowego Europy, autor zachował tradycyjny podział historyi filozofii na starożytną, średniowieczną i nowożytną, z uszczerbkiem dla swojej myśli zasadniczej—postawienia interesu filozoficznego przed dziejowym, rozrywając ciągłość postępu myśli w zakresie pojedyńczych zagadnień.

2. Zupełnie odmienne będzie stanowisko filozofa, który, rozważając dzieje swojej umiejętności, ma na myśli przeważnie syntetycznie-twórczą działalność jej przedstawicieli. Jeśli w oczach analityka dzieje filozofii przedstawiają się jako szereg bocznych kurytarzy idących od głównej kopalni i coraz bardziej rozgałęzionych, coraz głębiej wnikających w ziemię, lub jako stos głazów, przeznaczonych do budowli

---

pejskiej, dla wykazania z jakich pobudek myśli zostały powołane do świadomości i ukształtowane w przebiegu dziejów zasady, według których pojmujemy dziś umiejętnie świat i życie ludzkie. Powinna (ta książka) przyczynić się do tego, aby historya filozofii nie traciła z oczu swego prawdziwego zadania, i zapobiedz, ażeby w niej nie została zapomniana sama filozofia" (Przedmowa).

Digitized by Google

a pojedyńczo okrzesywanych przez niezależnych robotników; to dla syntetyka są one podobne do szeregu oddzielnych i niezależnych od siebie posągów, z których każdy przedstawia pewien moment wybitny, pewien epizod tego samego wypadku. Każdy systemat jest zamknięty w sobie, jest skończoną, wykonaną według idei i planu całością, jak i dzieło sztuki; ale jak w każdym z szeregu posągów układ i ruch jego części, chociaż nierozerwalnie i harmonijnie z sobą spojonych, jest przygotowany przez układ i ruch poprzedniego, stanowiąc niejako ich konsekwencyę logiczną, tak i tu każdy systemat poprzedzający zawiera w zarysie lub w zawiązku składowe części następującego.

Badacz idący tą drogą będzie pomijał oczywiście nie tylko kursujące opinie i poglądy ogółu, wypowiedziane w druku lub nie, ale i wszelkie niedoprowadzone do systematycznej całości usiłowania filozofów, wszelkie prace szczegółowe, ograniczające się do okrzesywania głazów. Tylko planowe i zakończone budynki, tylko *historya systematów filozoficznych* wchodzi w zakres jego poszukiwań, a z nich jeszcze wybiera te, które wiążą się z sobą nicią rozwoju filozofii, które stanowią istotne momenta w postępie, posuwając coraz dalej objęcie i wykończenie całości. Historyk taki przerzuca się ze szczytów na coraz wyższe szczyty, pomijając te, ktore nie doszły do linii jego lotu, aby co prędzej dostać się na najwyższe z osiągniętych stanowisk. Taki sposób traktowania historyi filozofii był najbardziej używany do najnowszych czasów, łącząc się z dążnością do konstrukcyi dziejów tej umiejętności, odziedziczoną po Heglu, jako szczegółowy objaw jego idei *panlogizmu* — logicznego rozwoju wszechświata. Jako piękny przykład może tu służyć czterotomowa „*Historya filozofii nowożytnej*" Kuno Fiszera [1]). Na całym przeciągu dziejów nowożytnych do końca XVIII-go wieku znalazł on tylko 4 filozofów, których uznał za godnych umieszczenia w swojej galeryi wyborowych arcydzieł myśli: Kartezyusza, Spinozę, Leibnitza i Kanta, z których ostatni zajmuje dwa tomy.

3. Pierwsze dwa sposoby mają na myśli przeważnie interes filozoficzny; jeden przytem traktuje filozofię jako umiejętność ścisłą, drugi jako dzieło sztuki; ponieważ zaś jest ona jednem i drugiem jednocześnie (jak zresztą po części i każda syntetycznie opracowana gałąź wiedzy szczegółowej—każda bowiem zawiera pierwiastek architektoniczny, którego źródłem jest twórczość bardzo zbliżona do artystycznej), więc oba stanowiska są uprawnione; każde z osobna przyczynia się do wyświetlenia pewnych stron, a razem wzięte uzupełniają się nawzajem. Żadne jednak nie daje dokładnego pojęcia o stanie umysłowości w danej chwili dziejowej, o poglądach, panujących w rozmaitych kołach

[1]) *Gesch. der neueren Philosophie.* Trzecie wydanie 1880 r.

Digitized by Google

i warstwach społecznych. Jakżebyśmy grubo zbłądzili, gdybyśmy z daty wydania np. głównych dzieł Schopenhauera lub Comte'a sądzili o pesymistycznym lub pozywistycznym usposobieniu ogółu w owych chwilach. Za miarę rozpowszechnienia pewnych poglądów, przynajmniej w inteligentnych kołach publiczności, służy *literatura popularna*, ten kanał, przez który ideje rozlewają się z głębokich krynic mądrości systematycznej na szerokie pola umysłowości ogółu; że traci się przytem na głębokości, to jest samo przez się zrozumiałe. Popularność pewnych imion, rozpowszechnienie pewnych poglądów, a nawet terminów w książkach najrozmaitszej treści, świadczy najlepiej o stopniu wziętości pewnego poglądu na świat, o tem więc, w jakiej mierze był wyrazicielem opinii powszechnej, mniejsza o to, czy jej się siłą swoją narzucił, jak systemat Hegla, czyli też był mniej lub więcej trafnem zformułowaniem kursujących poglądów, a więc od tej opinii się zapożyczył, jak poglądy Spencera, Straussa i tylu innych „ewangelii" doby dzisiejszej.

Ponieważ utwory literatury popularnej najczęściej nie mają ściśle naukowej wartości, jako pozbawione oryginalności a przedstawiające tylko mniej lub więcej eklektycznie wyniki badań filozoficznych, mało więc zająć mogą filozofa-badacza, dla tego też najczęściej bywają zupełnie pomijane w historyach filozofii. Dla publicysty, historyka i polityka mają jednak pierwszorzędne znaczenie: tu bowiem wyrobione w ciszy pracowni ideje filozoficzne przekuwają się na oręż walki, stosując się do zagadnień życia chwili bieżącej, a rzecz zrozumiała, że i te zagadnienia wpływają nawzajem na chętne lub niechętne przyjęcie pewnych teoryi i poglądów, oraz na ich wytworzenie. Dla zrozumienia więc historycznych warunków powstania pewnych poglądów na świat, powinniśmy brać pod uwagę całokształt cywilizacyjnych i dziejowych czynników, a dla dokładnego pojęcia o stanie umysłowym ogółu czyli o stopniu rozpowszechnienia tych lub owych poglądów w rozmaitych kołach i warstwach społeczeństwa, szukać powinniśmy ich znamion w całej literaturze owego czasu, nie mniej i w rozmaitych objawach życia, które są wcieleniem myśli: w prawodawstwie i instytucyach społecznych, w religii i moralności, w rozrywkach i zabawach danej doby. Wykład więc historyi filozofii związać powinniśmy z ogólną literacką, dziejową i cywilizacyjną chatakterystyką okresu.

Wreszcie znajomość poglądów mas, stojących po-za ruchem literackim, powinien dać folklor, i tu otwiera się przed nim obszerne, prawie nietknięte pole. To, co dziś wiemy o opiniach ludu u nas, świadczy, że wiele poglądów, które w średnich wiekach stanowiły powszechne mniemanie klas wykształconych, zachowało u ludu dotychczas swoje znaczenie; stosuje się to zwłaszcza do czarów, zamówień, rozmaitych spo-

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

sobów leczenia sympatycznego i t. d. Należy tylko przy zbieraniu takich wiadomości zachować tę ostrożność, aby nie mieszać z rzeczywistemi poglądami fikcyi poetycznych, wprowadzonych świadomie jako takie do podań, baśni, gadek i t. d. Środkami temi posługujemy się i w naszej literaturze pięknej, nie przypisując im jednak znaczenia rzeczywistości.

Taki sposób wykładu historyi poglądów na świat, stanowiący niejako próbę objęcia *historyi myśli*, nie jest dziś jeszcze w użyciu. Możemy jednak dostrzedz pojedyńcze zbliżenia ku niemu w rozmaitych poszczególnych objawach. Tak literatura, nie ściśle naukowo-filozoficzna, lecz stanowiąca ogniwa pośrednie między naukową filozofią a życiem, znalazła dość szerokie uwzględnienie w *Historyi filozofii nowożytnej* Falkenberga [1]), udzielającej osobne rozdziały literaturom oświaty angielskiej, francuskiej i niemieckiej.

Historya mniemań i poglądów ogółu znalazła wzorowe opracowanie częściowe w *Dziejach oświaty* Leckyego, gdzie przedstawia się stopniowy przewrót w poglądach, odbywający się we wszystkich dziedzinach myśli w całej rozległości znaczenia tego wyrazu [2]). W szerokim stopniu uwzględnił wszystkie wymienione tu czynniki A. Lange w swojej *Historyi materyalizmu* [3]) i może najgłębiej z historyków filozofii starał się wyśledzić mnogie nici, wiążące tę umiejętność poglądu na świat z innemi umiejętnościami i nieumiejętnemi poglądami i wierzeniami, oraz

---

[1]) Przekład polski wychodzi obecnie.

[2]) Pierwszą i jedyną zdaje się próbą historyi myśli w tak szerokim zkreasie jest dzieło *Gilb. Karola Legendre'a* p. t.: *Traité de l'opinion ou mémoires pour servir à l'histoire de l'esprit humain.* Paris, 1733. 6 tom. 4-te wyd. 1758 w 9-ciu tomach.

Podajemy tu kilka ustępów z przedmowy, w których autor sam określa cel swój. Jest to próba umiarkowanego sceptycyzmu, nowa droga do pouczenia rozumu doświadczeniem jego własnych błędów, przez przedstawienie mu jego własnej historyi.“ „Pierwszą radą mądrości jest poznanie siebie samej: nic więc nie może być bardziej pouczającego dla rozumu, jak przegląd jego opinii.“ Dalej wymieniając kilka dzieł, potrącających o historyę myśli, tak formułuje swoje zadanie: „Mój zamiar jest rozleglejszy Postawiłem sobie za zadanie przedstawić jednocześnie najjaśniejszą i najsłabszą stronę pracy umysłu ludzkiego. Ponieważ zaś mniemanie (*l'opinion*) sięga nierównie dalej niż wiedza, dałem temu dziełu tytuł: „Rozprawa o mniemaniu.“ Jest to pod innym tytułem ten sam zamiar co *poszukiwanie prawdy*.“ Materyał objęty w 7-miu księgach tego dzieła ugrupowany jest tak: literatura piękna; historya filozofii z logiką i metafizyką; moralność i prawo; polityka, chronologia i historya; geometrya, fizyka i astronomia; medycyna z chemią i przyrodoznawstwo z rzemiosłami; nauki tajemnicze (magia, astrologia, przepowiednie i t. d.). Oczywiście, że w tej pierwszej próbie nie może być mowy o głębszej idei filozoficznej, ani o takim pragmatyźmie, jak w dziele Leckyego. Ale już samo podjęcie tak olbrzymiego zadania zasługuje na uwagę.

[3]) Przekład polski p. t. *Historya filozofii materyalistycznej.*

Digitized by Google

z czynnikami politycznej i społecznej natury, usiłując wykazać wzajemne oddziaływania na siebie filozofii i życia, a na tem właśnie polega wysoka wartość dzieła i jego kształcące znaczenie. Pełno tu ustępów daleko odbiegających od szkolnie pojętego zakresu historyi filozofii, znajdujemy całe rozdziały poświęcone ogólnej umysłowo-moralnej charakterystyce epoki (np. pierwszy rozdział drugiej księgi p. t. „Religie monoteistyczne w stosunku do materyalizmu"), lub badające związek doktryn filozoficznych z rozmaitemi dziedzinami życia i wiedzy, jak „Materyalizm i badanie ścisłe" w II-ej księdze 2-go tomu, oraz cała IV-ta księga tego tomu, zwłaszcza zaś rozdziały: „Ekonomia polityczna i dogmatyka egoizmu", „Chrześciaństwo i oświata"; „Materyalizm teoretyczny w stosunku do etycznego i do religii." Niemniej szeroko uwzględnione są krążące w każdej epoce opinie literackie. Szczególniej szerokie miejsce udziela się związkowi doktryn materyalistycznych z umiejętnościami przyrodniczemi i psychologią, co zależy już od samego ich charakteru.

4. Od historyi myśli wszechludzkiej możemy przejść wreszcie do historyi rozwoju umysłowego osobnika; od makrokosmu do mikrokosmu. Jak kształtowały się i jakim zmianom ulegały pod różnorodnemi wpływami poglądy bohaterów myśli? Jakie czynniki oddziały wały na ich rozwój? Jak powstawały znane już nam w skończonej formie systemata; jak się dorábiały i przerabiały ich części, słowem: jak wyglądało to, co poznajemy w ostatecznie wykończonej formie, rozciągnięte przez ciąg życia twórcy, i jak to, co jest wielostronnie rozczłonkowane w jego dziełach, łączyło się w jedną całość w jego umyśle; jak odbiły się poglądy filozoficzne na jego zasadach życiowych i postępowaniu?

Na te pytania nie odpowiadały dawniejsze tak zwane „biograficzne" historye filozofii, w których życiorysy filozofów przedstawione były z czysto formalnej i zewnętrznej strony. Pojedyńcze rozbiory poglądów osobistych filozofów dał Lange, wykazując na przykładzie Straussa i Ueberwega związek pomiędzy ich filozoficznemi a życiowemi przekonaniami. W najnowszym czasie Eucken [1]) usiłował dać coś podobnego dla całego szeregu badaczy od Platona do Hegla.

---

[1]) *Die Lebens-anschaungen der grossen Denker — eine Entwickelungs-geschichte des Lebens-problems der Menschheit von Plato bis zur Gegenwart*, 1890. Simmel odezwał się z ogromnemi pochwałami o tem dziele, porównywając stanowisko, które przez nie zajął autor w historyi filozofii, do tego, jakie objął Mommsen w historyi rzymskiej. Nie mogę podzielić tego zdania; zwłaszcza pod względem formy ciężkie jest dzieło Euckena, grzeszące zupełną abstrakcyjnością charakterystyk i brakiem wszelkiego żywszego tchnienia.

Digitized by Google

Te cztery stanowiska w dziejach poglądu na świat uzupełniają się wzajem; każde z nich czyni zadość pewnemu zapotrzebowaniu: pierwsze dwa czysto filozoficznym, trzecie—historycznemu i filozoficzno-społecznemu; czwarte—psychologicznemu i pedagogicznemu. Im harmonijniej zaś zostaną połączone w jednem dziele, tem więcej będzie się ono zbliżało do wszechstronnej *historyi poglądu na świat* czyli *historyi myśli.*

Wł. M. Kozłowski.

www.libool.com.cn

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

POETA BAROKOWY.

(*Jan Andrzej Morsztyn.* Poezye oryginalne i tłómaczone. Warszawa, 1893 r.— z życiorysem Piotra Chmielowskiego.—*Andrzej Morsztyn*, przedsławiciel baroku w poezyi polskiej, przez Edwarda Porębowicza, Kraków, 1893 r.—Ernest Deiches. *Koniec Morstina*, studyum historyczne z czasów Jana Sobieskiego. Kraków, 1894.— *Jędrzej Morsztyn*, studyum literackie, przez Tytusa Swiderskiego—w „Przewod. nauk. i liter."—z r. 1878.)

I.

Jak nas uczono dziejów literatury własnej, świadczą między innemi i wiadomości, podawane o Andrzeju Morsztynie. Podręcznik „Historyi literatury polskiej" z r. 1871, pod ogólnym nagłówkiem: *Morsztynowie*, powiada (tom II, str. 15): „Andrzej Morsztyn przetłómaczył wybornie tragedyę Kornela: *Cyd*, która..." i t. d. Następnie wspomina autor o wydaniu z końca siedmnastego wieku, w którem połączono poetyczne prace Andrzeja z przekładami Stanisława, pierwszemu, oprócz *Cyda*, przypisując jeszcze *Psyche*, co jest prawdą: ale inne utwory, później odkryte, składa on, za Maciejowskim, na Zbigniewa Morsztyna, lubo Antoni Małecki w rozprawie jeszcze z r. 1859, zatem naówczas przed dwunastu laty, dowiódł, że poezye, przypisywane Zbigniewowi, są dziełem Andrzeja. Drobnostka! bo te właśnie poezye, liczbą i charakterem, determinują głównie fizyognomię twórcy. Jakim sposobem kompilator, piszący historyę literatury w r. 1871, mógł nie wiedzieć o rozprawie Małeckiego, trudno zrozumieć.

Digitized by Google

Odtąd jednak prace nad And. Morsztynem nie ustawały, wydania się mnożyły, a nareszcie, dzięki Chmielowskiemu, posiadamy kompletnego Morsztyna, w wydaniu Lewentala z r. 1883.

Po wielu też studyach i rozprawach, poety tego dotyczących, w roku przeszłym ukazuje się nowa praca, wykonana przez Edwarda Porębowicza, p. t.: „Andrzej Morsztyn, przedstawiciel baroku w poezyi polskiej." Znany tłómacz Byrona, Calderona, Trubadurów, oddany badaniom literatur romańskich, p. Porębowicz, jak wiadomo, nie zajmował się dotąd specyalnie literaturą polską, z pozorną więc nieśmiałością wkracza w „dziedzinę studyów nad epoką po wielekroć" i, jak powiada w zaczątku—„przez lepszych roztrząsaną." Jak się sprawili ci *lepsi* w opinii p. Porębowicza, poświadcza, po przejrzeniu ich prac, konkludujące zdanie (str. 6). „O żadnym z poetów siedmnastego wieku nie napisano tyle, co o Andrzeju Morsztynie: żadnego nie oceniono tak fałszywie." Dalej jeszcze (str. 16), jakby dla zaradzenia złemu, oświadcza, że to, co w tym kierunku zbudowano, rozbierać teraz trzeba będzie cegła po cegle, przesunąć punkt zapatrywania się, wprost inaczej stanowisko poety określić. A któż to z pomiędzy owych lepszych wznosił ten lichy budynek, o którym się autor tak radykalnie, zgoła raczej, destrukcyjnie wyraża? Wznosili go: Jan Komierowski, Mecherzyński, Małecki, Siemieński, Bełcikowski, Seredyński, Nehring, Tytus Świderski i nareszcie Chmielowski. Owóż niektórzy z tych krytyków wyobrażenia nawet, zdaniem autora, nie mieli o swem zadaniu, i sądzili naślepo, „intuicyjnie"; inni chodzili około drogi właściwego badania, ale, albo na nią nie weszli, albo się, zaledwie stąpiwszy, cofnęli.

Tą drogą, właściwą do należytego wywiązania się z zadania, jest metoda porównawcza, która-by wykryła, ile poeta polski posiada oryginalności, ile zaś i z jakich korzysta wzorów, oraz jaki jest do nich dzieła jego stosunek. Zestawienia takie ułatwią znowu nawzajem ocenienie stosunku dzieła poety do jego osoby, skreślenie jego fizyognomii duchowej. Mniej obeznanemu z tą kwestyą nasunąć się zaraz może pytanie: a zkąd to podejrzenie, że Morsztyn posiłkuje się wzorami obcemi? i ażeby dokładnie oceniać jakiegoś autora, czy trzeba przedewszystkiem sprawdzać prawo własności jego inwentarza? Kwestya prądów i wpływów w literaturze powszechnej należy niewątpliwie do względów najważniejszych w krytyce; tem bardziej zaś przestrzeganą być winna w ocenianiu pisarzy naszych, skoro wiadomem jest, żeśmy nigdy, nie nadawali tonu w literaturze, ale, przeciwnie, szli zawsze za prądami i wiecznie się w ruchu opóźniali. Szczegółowo co do Morsztyna ostrożność ta wskazaną była już w pierwszym jego druku z końca siedmnastego wieku, który mieści na tytule: „Psyche", z Lucyana

Digitized by Google

Apulejusza, Marina; „Cid albo Roderik", komedya hiszpańska. Znaczy to, że Morsztyn tłómaczy lub przerabia z literatur obcych, a jak wskazuje nazwisko Marina oraz tytuł „komedyi" Cyd, z utworów sobie mniej więcej współczesnych: nic zatem naturalniejszego, jak iść za tą nicią do kłębka wpływów możliwych i istotnych.

Przyznać jednak wypada, iż bałamutne wieści o Morsztynie, oraz utrudnione krytyki jego utworów, pochodziły z przyczyn zewnętrznych. Nad osobą jego, zarówno jak nad dziełami, długi czas zawisła jakaś tajemnica. O dacie jego urodzenia, którą Chmielowski na chybi trafi naznacza na rok 1620, jak również o dacie śmierci, dotąd zgoła nieoznaczanej, dowiadujemy się dopiero z książki p. Ernesta Dejchesa, w r. b. wyszłej w Krakowie p. t. „Koniec Morstina"... (str. 105). Umarł we Francyi, d. 8 stycznia, 1693 r., w dobrach swych Château-Vilain, mając lat 80; urodził się zatem w r. 1613. Tak samo i utwory jego na widok publiczny wywlekano kawałkami, i to niektóre pod fałszywą firmą. Przytoczyliśmy już druk najdawniejszy, także bez miejsca i daty (reprodukowany następnie w Supraślu r. 1752), w którym „typograf" zaznacza, że „Psychę i Rodrika napisał jaśnie wielmożny ś. p. Morstin, referendarz na ten czas, a po tym podskarbi wielki koronny, człowiek we wszystkim *incomparabilis*." I oto wszystko, co nam w druku pozostawiły po nim dwa wieki ostatnie. Dopiero w wieku obecnym, jak to skrzętny zawsze i nieszczędzący trudu na rzecz sumienności badacz, Chmielowski, w wydaniu swem (1883) szczegółowo wykazał, mnożą się drukowane edycye rękopisów i studya. Wyjątek z Morsztynowskiej „Lutni" wychodzi r. 1830 we Lwowie, z ramienia Biblioteki Ossolińskich, oraz w roku następnym „uwagi krytyczne" nad tymże wyjątkiem. Kryptonim N. P., roku 1836, w „Panoramie lit. kraj. i zagr." i, zdaje się Chmielowskiemu, tenże sam roku 1843 w „Bibliotece Warszawskiej", pomieścił z rękopisu razem dziewiętnaście drobnych utworów, które w ostatniem wydaniu mieszczą się pod rubrykami Kanikuły, Lutni i Pieśni religijnych. Przekład komedyi pasterskiej Tassa, p. t. „Amyntas", z rękopisu biblioteki berlińskiej, wydał tamże w r. 1840, F. K. Nowakowski. W cztery lata potem, znowu znaczną część rękopisów ogłosił w Poznaniu Jan Komierowski, utwory atoli przypisał Zbigniewowi, co dopiero r. 1859 na rzecz Andrzeja sprostował, jak wspomniałem, w swej walnej rozprawie Ant. Małecki. Po Komierowskim nie było nowego wydania przez lat trzydzieści; dopiero r. 1875 Wł. Seredyński w rocznikach Akademii krakowskiej przedrukował, ze wstępem, z bibliotek Ossolińskich i Jagiellońskiej, niewydane dotąd utwory poety, aż nareszcie ze wszystkiego tego korzysta Chmielowski, i w r. 1883 przysługuje się wydaniem Morsztyna najzupełniejszem, tak co do poezyi samych, jak co do szcze-

Digitized by Google

gółów życia, z dodaniem słowniczka archaizmów, oraz niektórych imion własnych, ażeby ułatwić „zrozumienie poety, który zbyt mało ogółowi naszemu jest znany, lubo na dokładne poznanie ze wszech miar zasługuje"

www.libtool.com.cn

Chyba zatem należy się uznanie badaczom naszego wieku, którzy nareszcie wydobyli z otchłani przeszłości spuściznę po jednym z celniejszych poetów swojego czasu. I oni-to, wydawcy, właściwie mówiąc, postawili budynek, do którego fałszywie p. Porębowicz porównywa krytykę; bo gdyby tego właśnie budynku nie było, nie było-by i czego krytykować. Na krytykę zawsze jest czas, i zawsze znajdą się umysły: będzie się ona prostować i kształcić, byle miała oprzeć się na czem. Pierwsza tedy zasługa i chluba należy wydawcom, tem bardziej, że oni też, bądź co bądź, dali i pierwsze wskazówki tej krytyce umiejętnej, o którą chodzi p. Porębowiczowi. Niech to będzie „z intuicyi", czy „z przeczucia", nie z eksperymentu,—jak to kilkakroć ironicznie powtarza autor—dość, że przed nim ukazywano już pokrewieństwo Morsztyna z wcześniejszą nieco lub spółczesną poezyą włoską, i to niezupełnie głucho, bo wymawiano nazwisko jej koryfeusza, Marino, i cytowano jedno z jego arcydzieł (?), *Adona*, a tem samem chętnych do bliższego badania stawiano na drodze. Nikt z piszących dzisiaj nie byłby zdolniejszym do oryentowania się na tej drodze i rozszerzenia jej, jak p. Porębowicz, który za specyalność obrał sobie literatury języków romańskich, a więc studyuje one nie już autorami, ale całemi konstellacyami. Wystarcza to dla literatów niespecyalistów znać naprzykład zbliżka pomiędzy Włochami: Danta, Petrarkę, Tassa, Aryosta, Guariniego, no i Marina wreszcie, a o innych sądzić choćby z reputacyi; ale specyalista może dotrzeć do każdego zakątka, spojrzeć w oczy każdemu i każdego osobiście wyspowiadać. Owóż, dla p. Porębowicza Marino, z którego nazwiskiem łączą nazwisko Andrzeja Morsztyna, to nie pojedyńczy autor, to cykl, którego on jest tylko najwydatniejszym, lecz nie jedynym wyobrazicielem; to nie chwila działalnością jednego człowieka określona, ale wiek, który ma nawet swoją szczególną nazwę, wiek, w którym ten urzędowy niejako wyobraziciel (a dowcipnie przez p. Porębowicza „kozłem ofiarnym" przezwany), ma swych poprzedników i następców. Ale cóż to jest wiek? To tylko liczba, abstrakcya, która niczego nie tłómaczy. Po-za tą liczbą i tą abstrakcyą jest duch czasu, prąd literacki, uginający piszących, upodobanie powszechne, słowem: okoliczności duchowe, przepływające po umysłach endemicznie, czy epidemicznie, i wytwarzające pewną wspólność między piszącymi na podstawie jednakowych znamion. Ten wiek, w zwykłej rachubie siedmnasty, terminem, od panującej w nim 6-ki, przez Włochów przyjętym, nazywa się *seicento*: ten styl, którym się objawia-

Digitized by Google

ją w owym wieku pomysły literackie, w przystosowaniu do stylu ówczesnej sztuki plastycznej, p. Porębowicz od siebie nazywa *barokiem*. Po cinquecento zatem następuje seicento; po odrodzeniu—barok.

www.libtool.com.cn

Czy to zestawienie siedmnastego wieku z barokiem może być ścisłe i powszechne? Czy bramy dla jakiegoś prądu i gustu literacko-artystycznego otwierają się w jednej chwili, na całej przestrzeni kwitnienia, i w jednej chwili bezpowrotnie zamykają za nim? Bynajmniej: prąd powstaje jak obłok, drobnym punktem, rozszerza się, wydatnieje tężej w jednej jakiejś smudze, rozchodzi się, łączy z innemi obłokami i gdzieś rozpływa nieznacznie, częstokroć nie obejmując całego widnokręgu. Cóż to jest barok? To wyraz, jaki sobie nadaje znużenie się formami współcześnie panującemi, czy w życiu, czy w sztuce, jednym z wielkich objawów życia. Wyraz taki, choćby był i genialnym, zawsze wyda się ogółowi rażącym, dziwacznym, cudackim, jak strój odmiennego kroju i barwy wśród poprawnego grona gentlemenów; i jeszcze zakamieniały konserwatyzm, trawestując, odezwie się o nim: „ciemno wszędzie, głupio wszędzie: co to będzie?" Cóż, jeżeli ten wyraz odstępu od panujących form, prócz dziwaczności powierzchownych zarysów, nie wykaże się potęgą treści i bogactwem duchowych pomysłów. W pierwszym wypadku, jest to niepoznany narazie wschód nowego słońca, które, po krótkiej walce z otaczającemi chmurami, zapanuje na niebie poezyi; w drugim, fosforyczne światło zabłyśnie, zaswędzi i skona.

Taki „barok" miała mniej więcej każda literatura w upadku, gdy nie starczyło duchów twórczych: miała ją grecka w swych poetach Aleksandryjskich, rzymska w Marcyalisie i jemu pokrewnych, polska w makaronistach. Włoska ma go w seicentystach—zgoda,—tylko co do tego, musimy uczynić dwa zastrzeżenia: Nasamprzód, nie można tego kroju literackiego, który we Włoszech zwie się seicentyzmem, przenosić na cały literacki wiek siedmnasty; gdyż jeżeli tam ma on wyobraziciela w Marinie, poecie nie bez talentu, ale drugorzędnym, we Francyi góruje pod ten czas neoklasycyzm w osobach Corneille'a i Racine'a; w Hiszpanii wielcy poeci pod przywództwem Calderona i Lopeza budują nieporównany teatr narodowy, a w Anglii powstaje mesyasz wszechludzkiego dramatu. Powtóre, jakkolwiek ten seicentyzm włoski nosi cechy upadku względnie do poprzedzającej go epoki poetyckiej, nie jest on znowu tak odarty z żywiołów dodatnich, aby go absolutnie do całego wieku rachunkowego stosować można. Wszakżeż to w tymże samym wieku powstają tam rzeczy tak wartościowe, jak te eposy komiczne, np. „La secchia rapita" Tassoniego, „Lo scherno degli Dei" Bracciolinigo, albo „Il malmantile racquistato" Lippiego; jak znakomite satyry Salvatora Rosy, godna uwagi dydaktyczna Manziniego liryka; Rediego słynny dytyramb „Baco in Toscana, „Poezye fi-

Digitized by Google

lozoficzne" Campanelli. Niezależnie też od belletrystyki, w tymże wieku powstało tam epokowe dzieło Vicona, które na zgoła inne tory wprowadziło naukę historyi: „Principi di scienza nuova", i t. p.. Tak, że dobrze się rozpatrzywszy, co kryje się pod nazwą seicentyzmu i co uchodzi za zepsuty smak, jakiemu dał początek jeszcze Guarini w wieku szesnastym, odnieść trzeba tylko do Marina i Mariuistów, bo właściwie do nich się stosuje, seicentystów miano.

www.libtool.com.cn

Czemżeż się to oznacza ten zwrot, tak zdyskredytowany przez krytykę literacką? Któregokolwiek otworzysz z przedstawicieli, znajdziesz tam przedewszystkiem treść zazwyczaj błahą, przedewszystkiem obracającą się w sferze erotyki i to przeważnie zmysłowej, lubieżnej, przesiąkłej często drastycznościami nie do powtórzenia. Nie znać tam przytem tej siły naturalnego odczucia, któremu, jak naprzykład u swawolnika Alfreda Musseta, talent nadaje ekspresyę prawdziwie poetyczną, a z głębi wrażenia wypływającą,—talent doraźnie poetyzujący i wrażenie, i jego przedmiot; ale odwrotnie, czuć, że piszącemu chodzi głównie o sposób napisania, że się na zimno przymusza do ujęcia swych wrażeń w kształty zadziwiające i bogate. Ztąd powstaje nieustanna gra słów, ubieganie się za przenośniami coraz ekscentryczniejszemi, sypią się metafory i porównania, dylemmaty i antytezy jak najjaskrawsze. Największa sztuka opiera się na kontraście, tak, żeby początek jakiejś tezy z końcowem rozwiązaniem wydał jakiś akord niespodziewany, rozwikłał z góry obmyślone przeciwieństwo, i to się nazywa *concetto* (niby to samo, co koncept, w znaczeniu trywialnem). Za niezły przykład takiego kontrastu—choć są daleko jaskrawsze—posłużyć może choćby wierszyk naszego poety, włożony w usta Neronowej matce:

„Piersiom i żywotowi grozisz, synu miły?..
Ah, pomnij! ten cię nosił, tamte cię karmiły...
Ah! nie pomnij;—godzien ten, że cię nosił, katu
Podledz; tamte, że hańbę wychowały światu." [1])

Pierwszy dwuwiersz, to teza. Nic słuszniejszego, że Agrypina zwraca uwagę syna na to, co winien matce, jako syn. Ale zaraz w trzecim wierszu następuje antyteza. Matka oryentuje się, że porodziła i i wychowała wszechświatowego złoczyńcę, że zatem powinna ponieść karę tak wielką, jak wielką jest zbrodnia matkobójcy. Koncept, bo koncept: ale widać jak tu Agrypina medytowała nad jego ułó-

[1]) Str. 171, wydania Lewentala, w opracowaniu Chmielowskiego,—zkąd i dalsze cytaty czerpać będziemy.

Digitized by Google

żeniem, kiedy naprzykład dzisiejszy dekadent, Richepin, w podobnej okazyi, jednem słówkiem, a jakże inaczej określa uczucie matki. Wyrodek zatapia nóż w jej sercu, a ono trwożnie szepce do matkobójcy: „Syneczku mój, czyś ty aby sobie ręki nie skaleczył?" Cudowniel Oto bezpośredni, a jak prawdziwy głos wnętrzności macierzyńskich. Jest to jedno z takich wyrzeczeń, raczej z takich na gorąco schwytanych obrazów duszy, które wieki zapamiętywają.

Jeżeli więc z takich pierwiastków składowych, jakeśmy tylko co wyszczególnili, powstająca całość, w której brak wyższej treści, indywidualności i natchnienia zastępują igraszki słowne, uczucie poetyczne ustępuje miejsca figurom retorycznym, a ozdób powierzchownych jaskrawość pokrywa ubóstwo wnętrza, można przez assymilacyę do równorzędnej architektury nazywać barokiem,—to p. Porębowicz ma słuszność, i powiem nawet, spostrzeżenie jego jest ze wszech miar szczęśliwem; zbierając bowiem razem grupę szczególną o znamionach wspólnych, odrazu odcina od niej wszystko, co lubo objawia się w jednym z nią arytmetycznie wieku, przecież pod charakter seicentyzmu nie podchodzi. Szczęśliwem jest tem bardziej, że taki barok, raz powstawszy, wyrugowany z głównego ogniska znika, ale nie zamiera w zupełności; tylko, jak roślina pasorzytna, czepia się niedość dbale strzeżonych ścian poetyckich świątyń.

Do takich też wzorów przystąpił nasz Morsztyn, i nic dziwnego. Młodzieńcem 25-letnim, według świeżo odkrytej daty urodzenia, bo w r. 1638, wyjechał za granicę i bawił tam najmniej lat sześć, a między innemi zwiedził i Włochy, gdzie duch marynizmu, przez Klaudyusza Achilliniego i Hieronima Preti, dosięgłszy ostatnich krańców niedorzeczności i niesmaku, ze swemi panegirykami, pieśniami weselnemi, lamentami i innemi drobiazgami, pomimo śmierci koryfeusza, panował w najlepsze aż do ostatniej ćwierci wieku, dopóki go reformatorowie poezyi włoskiej: Redi, Filicaja i Guidi nie poczęli rugować. Musi więc szanowny autor przynajmniej co do Morsztyna zrobić ustępstwo od ogólnie poetom naszym postawionego zarzutu wiecznego, lubo w postępie malejącym, opóźniania się z podejściem pod wpływ obcych prądów literackich (czego bodajby wcale nigdy nie było!). Bo jeżeli Morsztyn zjawił się we Włoszech r. 1640, czyli w jakie piętnaście lat po śmierci koryfeusza seicentyzmu, to przybył w sam czas, ażeby podziwiać jego przechwalonego a wielce lubieżnego „Adonisa," którego już i za pobytu w Paryżu mógł poznać (tam bowiem pierwszy raz wyszedł, omijając cenzurę włoską), przysłuchiwać się jego dźwięcznym sonetom, no i napawać się wonią obiegających, powszechnie lubionych, madrygałów okolicznościowych, czy samego mistrza, który je do życia powołał, czy jego epigonów.

Digitized by Google

O wpływie Marina na Morsztyna wiedzieli i powiedzieli coś inni. Ale p. Porębowicz niezadowolony jest z tego powiedzenia: dla niego ono za głuche, za mało określone, gołosłowne, albo też pomieszane z innemi na poetę wpływami, jak Sannazara, Petrarki, Guarina, których p. Porębowicz nie przyznaje, a przynajmniej rozumie inaczej. Przedsiebierze więc osobną pracę, ażeby nasamprzód, „według znamion wewnętrznych oznaczyć epokę literacką i grupę, do której autor i dzieło należą; następnie, sprawdzać pokrewieństwo zestawianiem z równorzędną grupą tak określonych źródeł."

Z takiej zapowiedzi domyślamy się już, jaka to ma być analiza. Przystępujący do niej, jak gdyby żadne wskazówki nie istniały, po cechach samegoż dokumentu, to jest dzieła poety, chce dzieło to odnieść do pewnego środkowiska, do atmosfery poetyckiej, którą w niem rozpoznaje; następnie porównywać utwory szczegółowe ze szczegółowemi utworami autorów do owego środkowiska należących. Występuje zatem jako przyrodnik, czeka go iście robota teatru anatomicznego, albo pracowni chemicznej. Do tego celu przecina nasamprzód swoje subjektum na dwa dzwona. Nietylko nie zajmuje się Morsztynem jako człowiekiem, ani jego stosunkiem do poezyi polskiej, ale nadto, z jego inwentarza odrzuca część spuścizny, mianowicie z oryginalnych: wiersze okolicznościowe, hieroglifiki i emblemata miłosne, fragmenta i balet królewski, tudzież przeróbkę Psyche, oraz przekłady Amintasa i Cyda. Do jego, określonego powyżej, zamiaru wystarczają mu: Kanikuła, Lutnia i Pieśni religijne. Lwią część wprawdzie pozostawił sobie, ale powodu tego rozpołowienia nie wskazał. Łatwo go się domyślić. Tłómaczenia wyraźnie wskazane mówią same za siebie: mogą być mniej lub więcej dokładne i udatne, ale są tylko tłómaczeniami, nic więcej, do zamierzonej więc analizy się nie przydają. „Psyche" dr Nehring rozebrał i z podobnem dziełem Marina zestawił tak szczegółowo, że dalszy przegląd wydał się zbytecznym. Dlaczego jednakże pominął jedną, wyżej przez nas wymienioną, grupę oryginalną, z którą w zbiorze na jednakowem prawie figurują: Kanikuła, Lutnia i Pieśni religijne? Czy uważa je za takie, które nie podchodzą pod żaden ze wpływów poszukiwanych? Czy porównywał je i nic podobnego nie znalazł? Wątpimy. Bo oto jest naprzykład „Balet królewski", w którym, roku 1654 w Warszawie, przyjąć mają udział panny dworskie, dzielące się na nimfy myśliwe, pasterki, żniwiarki i winiarki (sic). Poeta wystosowuje do niektórych imienne wierszyki pochwalne, właśnie w guście seicentyzmu, bo z jakiemiś alluzyami nietylko do przybranej postaci, ale nawet do imienia lub nazwiska. I tak: do Konstancyi Piotrowskiej, pasterki, (str. 142).

Digitized by Google

—„Nie zostaniesz w żadnym błędzie:
Każda z twych spraw *stała* będzie (oczywiście, *constans*)
I mieszkać będą z tobą cnoty święte,
Kiedy i imię masz od cnoty wzięte."

www.libtool.com.cn

Albo do Heleny Wodyńskiej, winiarki:

—„Panno, do której słusznie to widzimy,
Że możesz rozgrzać cały świat wśród zimy,
Bo choć nie jesień, przecież zbierasz grona,
Żyj w długie lata jak Noego żona,
Co nam rozkrzewił zatopione wina.
Lecz widząc, jako z potopu przyczyna
Do gniewu wszemu na wodę stworzeniu,
Nie mięszaj jej nam, *choć ją masz w imieniu.*"

Otóż to próbka, w dodatku wdzięczna i udatna, tych typowych w koncepcie i słowie igraszek rymowanych, których wzorami się trzęsie włoski seicentyzm. A jeżeli szukamy w Lutni i t. d. nietylko już wpływów atmosferycznych, ale wprost nieprawidłowej i nieujawnionej anneksyi, to któż nam zaręczy, że i inne, wśród wypuszczonych przez autora, nie podlegają podobnemu trafunkowi?

W każdym razie, fakt wypuszczenia zaznaczywszy, powtarzamy: że to, co sobie pozostawił autor, jako część najobszerniejsza, aż nadto do eksperymentu wystarcza. Wywiązując się z programatu, autor daje przedewszystkiem wykład tego, co rozumie przez poezyę barokową, oznacza jej cechy i wymienia w różnych czasach i po różnych krajach jej przedstawicieli, aż do seicentyzmu, któremu odpowiadają inne gdzieindziej nazwy; nadewszystko zaś odbiera Marinowi patent wynalazku na poetyczny barok, usiłując, nie bez pewnych dokumentów, w tem tyle tylko winy jego wykazać, że przyjął go według wolnego wyboru z rąk innych, pierwszeństwo upatrując w dawnej literaturze hiszpańskiej, sięgającej aż pieśni ludowej. Posuwa się jeszcze dalej: igraszki słowne, nadużycia stylowe, przeładowanie antytezami, koncepty, słowem: żywioły baroku widzi już w poślednich pisarzach rzymskich, cytuje Marcyalisa i Klaudyana. Gdyby był zechciał, znalazł-by to samo jeszcze dawniej, bo w rozdrobnionej na miedziaki poezyi Aleksandryjskiej za Ptolomeuszów, gdzie po epigramatach nastąpiły anagramaty; gdzie naprzykład: z imienia *Ptolemajos*, przez przestawienie głosek, tworzono pochlebczo *apo melitos* (miodowy, z miodu) i t. p. i według tego układano wierszyk; gdzie wiersze miarowe w takiej liczbie głosek urządzano, aby po napisaniu figura wydała jakiś przedmiot: skrzydło, toporek, jajko, co miałem sposobność na innem miejscu wyjaśnić (zob. Dzieje lit. powsz. wyd. Lewentala, str. 658).

Digitized by Google

Rozdział ten w pracy p. Porębowicza (str. 17—29), uzbrojony przykładami, ciekawym jest i stanowi cenną kartkę dziejów literatury powszechnej; zaleca go mianowicie u nas nowość i niezależność tematu. W związku z przedmiotem głównym, ma on tę właściwość, że, dając ogólny rzut oka na zjawisko, przezwane poezyą barokową, wyszczególniając jej pierwiastki i znamiona, urządza zarazem tło, na którem ma się pojawić bohater główny, Polak, ażeby był lepiej dostrzeżon i osądzon między obcymi. Dziwi nas tylko nieco owo zaambarasowanie autora w wynalezieniu granicy między dobrym a zepsutym smakiem (str. 20), bez czego jednak niepodobna wydać sądu o wartości poezyi i jej danego utworu. Czyżby naprawdę tak było? Czyżby sąd o dobrym lub złym smaku w poezyi, zatem o poezyi prawdziwej lub fałszywej, należał tylko do upodobań, i nie miał, bez względu na kodeksy, regulujące *artem poëticam*, żadnego stałego sprawdzianu w umyśle ludzkim, sprawdzianu, przeciw któremu ani czas, ani miejsce, ani odmienność cywilizacyi, jak to widzimy na Homerze, ani intryga, jak to widzimy na Szekspirze, nie mogą nic? Odpowiedzi na to może nam w części udzielić sam barok, w którym największą rolę odegrywają: metafora, antyteza i koncept. Jakto? Alboż to nie są przynależności poezyi wszelkiej, najprawdziwszej? Pełno ich w Homerze, ztamtąd one biorą początek; Homer zaś, to podobno najwyższe kryteryum. A koncept? Możeż być jaskrawszym, jak w „Pani Twardowskiej," której wszystkie strofy od początku zmierzają do ostatniego obrazu, gdzie przerażony dyabeł „dotąd jak czmycha, tak czmycha." Prawdę powiedzieć, nie na innym efekcie polega i ballada „Czaty." Niespodzianka, *pointe*, fajerwerk, podobny temu, jaki wywołują w „Hernanim" dewizy dumnego granda przy portretach przodków, określenia wspaniałe, których racyi nikt nie rozumie i nawet puszcza je mimo uszu; dopiero niby pałką w głowę uderza go ostatni zwrot, kiedy grand oświadcza: tu zawiśnie kiedyś portret mój; czyż chcecie, iżby powiedziano przy nim: „a ten, był to zdrajca, który wydał swojego gościa." Cała ta długa odpowiedź granda, dana królowi, żądającemu wydania zbiega, chroniącego się w zamku, która logicznie mogła-by zawrzeć się w jednem zdaniu: nie wydam, bo-bym się zhańbił złamaniem prawa gościnności,—stanowi tu jedną wielkości przodków antytezę do widoku możliwej nikczemności ostatniego potomka, a z drugiej strony jest przygotowaniem do wrażenia strzału, jaki ma na końcu z przygotowania tego naboju wybuchnąć: wkracza tedy w definicyę konceptu. A przecież wszystko to, co tu naprędce przytaczamy, pisali nie seicentyści, lecz poeci dziewiętnastego wieku, co większa, poeci najwytworniejszego gatunku; i niech im kto sprobuje ztąd uczynić zarzut. Wszystko zależy od sposobu użycia: dobry smak kończy się tam, gdzie się zaczyna maniera, wojowanie je-

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

dnym lub kilku środkami, które przez to pospolicieją i przybierają znaczenie celu. Barok nie przez to wywołuje niesmak, że używa figur, ale że się na figury sadzi, na nich tylko polega, niemi pragnie zastąpić istotę poezyi: wyobraźnię twórczą, koloryt i uczucie; że figury, które u prawdziwych poetów, klasyków czy romantyków, kojarzą się z natchnienia i z rozpędu uczuciowego, u niego przychodzą z obrachowania na efekt, obmyślany z góry. Gdziekolwiek zatem i kiedykolwiek ukażą się podobne znaki w literaturze, tam rozpoczyna się zły gust, zagłada piękna.

Autor nasz w samym tytule swej pracy „Andrzej Morsztyn, poeta barokowy," domyślnie postawił tezę, zobowiązującą do przekonania, że ten przymiot istotnie należy się Morsztynowi. Jakoż, po przeglądzie dotychczasowych prac, przedmiotowi temu poświęcanych, należycie wyświetliwszy co i jak pojmuje przez barok, resztę pracy poświęca dowiedzeniu tezy. Jest to praca, wykonana ze ścisłością, nie pozostawiającą w rezultacie najmniejszej wątpliwości co do założeń autora, dowód znawstwa warunków, wyjątkowej cierpliwości, ale tak przepełniona drobiazgami, składającemi się na całość demonstracyi, że iść za nią szczegółowo w sprawozdaniu nie możemy. Przypomina nam ona sprawozdania sądowe, nie te, w których zabiera głos prokurator, streszczający fakta dla ustanowienia istoty czynu i daje poznać jego wartość; ale przypomina ona sameż protokóły posiedzeń, mieszczące w pewien porządek ułożone pytania sędziów i zeznania świadków rozmaitych, z końca świata posprowadzanych. Przedstawia się nam p. Porębowicz w tej części swej pracy nie jako literat, reasumujący spostrzeżenia swoje z uwagą na cel, do którego dążą, ale jako profesor, który w zamkniętym gabinecie wykłada swym uczniom lekcyę poetyki ogólnej, a przy tej okazyi stosunek Morsztyna do niej objaśnia. Podaje nietylko literackie rezultaty przez takie postępowanie osiągnięte, ale odkrywa całą czynność; i zdaje się, że widzimy go, jak otoczony foliałami, z ołówkiem w ręku zagląda to w jeden, to w drugi, przerzuca karty, zaznacza, kreśli notatki, i po tem wszystkiem na surowo ślad ich odbija w druku, ażeby módz powiedzieć swoim poprzednikom: patrzcie, to taką pracę odbyć należało nad Morsztynem, ażeby można nie przez intuicyę, ale z materyalną ścisłością jego stosunek do obcych literatów określić. P. Porębowicz przewiduje niejako, że skutkiem takiego zachodu może być posądzony o „pedantyzm." Nie z naszej to strony spotka go podobny zarzut, na który wreszcie zgoła nie zasługuje. Przeciwnie, samo ujawnienie postępowania, dające poniekąd wzór metody, stać się może pożytecznem: tylko, zdaje mi się, że w tym wypadku zachód nieco przewyższa rezultaty, a w każdym razie jest on dla przeciętnego czytelnika, nie dla ucznia i specyalisty, straconym. Jeżeli Momsen

Digitized by Google

w oczach czytelnika pilnie zestawia teksty i napisy, aż do pojedyńczych brzmień, dla odtworzenia starych dyalektów italijskich; jeżeli Fr. Lenormant odbywa z czytelnikiem zygzakowe podróże, by mu wytłómaczyć geografię pewnej religii starożytnego bóstwa: rozumiem, że inaczej być nie może. Ale dla trzeciorzędnego w znaczeniu wszechświatowem poety puszczać w ruch taką maszyneryę erudycyi, brząkać na wszystkie strony tekstami od Anakreonta do Ronsarda, przytaczać pojedyńcze ustępy w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim, łacińskim, greckim, gdzieby nieraz dość było poprzestać na odnośniku, wskazującym źródło, jak to czynią zazwyczaj historycy ważniejszych spraw politycznych lub literackich,—to już rozpęd zbyteczny nawet dla specyalisty, a dla zwykłego czytelnika stracony.

Nie gorszymy się jednak tem wcale, że autor, zamiast streścić swe wywody, wtajemniczył nas w całą ich manipulacyę, gdyż rzecz sama na tem nic w gruncie nie traci. Ażeby wykazać, że Morsztyn nietylko był naśladowcą, o czem wiedziano, ale w jakim stopniu nim był, nie poprzestaje on na prostem skonfrontowaniu odnośnych jego tekstów z obcemi, ale, oswoiwszy czytelnika z duchem poezyi danej epoki, rozpruwa jego wnętrze, rozbija dzieło jego na pierwiastki składowe, i w nich upatruje porównań, biorąc pod uwagę trzy główne nurty, jakiemi przepływa twórczość poetyczna: styl, treść i formę. Wiemy już, że barok, pomiędzy innemi, ciągle wojuje przenośniami, naprzykład metaforą. Owóż, p. Porębowicz nie zadawala się ogólnem wskazaniem tej przenośni w odnośnych z obu stron dokumentach, ale wynajduje pięć gatunków metafory i każdy gatunek osobno w oczach czytelnika sprawdza porównawczo w poecie naszym i w innych, wykazując podobieństwa, powołując ku temu dwudziestu, czy nie wiem już ilu różnojęzycznych świadków. Tak samo rzecz się ma z antytezą i kontrastem. W tej części wykładu wreszcie porównawczość nie dotyczy jednego tylko Morsztyna, tonącego w duchu epoki, ale z jego okazyi rozwija się chronologiczny obraz naśladowniczego oddziaływania pisarzy różnoplemiennych, co już wkracza w zakres literatury powszechnej raczej, niż szczegółowej. Treść „Kanikuły" i „Lutni", to niemal sama erotyka, objawiana w kilku peryodycznie powtarzających się stanach, w których żar naczelną odgrywa rolę; dalej idą lamenty, łzy, śmiertelne narzekania na oziębłość lub opór; następuje wcielanie się wzajemne dusz, niekiedy pocałunki (autor nie dopowiada wszystkiego, i my też zachowujemy dyskrecyę); miłość przedstawia się ucieleśniona w Wenerze i nieodstępnym towarzyszu, Kupidynie: a wszystko to, rozumie się, na modłę seicentystów. Od nich też Morsztyn zapożycza do swych całostek formy, którą autor dzieli na wewnętrzną i zewnętrzną. W pierwszej, co prawda, nie napotkał wielkiej rozmaitości, wszystkiego trzy figury

Digitized by Google

poetyczne, odpowiadające w architektonice motywom wnętrznym budynku, jako to: Ikon (porównanie, obraz) równoległy, czyli paralela o której zastosowywaniu przez Morsztyna autor nader się pochlebnie wyraża; takiż ikon przeciwległy (antyteza), motywa, znane jeszcze z czasów starożytnych, a mocno szafowane przez Wergiliusza; oraz układ cykliczny (pleciony), w którym wiersze, za pomocą tego samego wyrazu, zazębiają się jeden za drugi i topią przy końcu w jedność pojęcia, układ, którego początek autor znalazł w poezyi hiszpańskiej szesnastego wieku, mianowicie u Gongory. Dodać-by tu może należało igraszkę słowną (jeu des mots), tak mocno uprawianą, a znaną jeszcze za poetów greckich, której jedną z próbek przedstawia wiersz Morsztyna p. t. „Czary niemieckie" (str. 72), wyd. Chmielowskiego:

—„Cyrce Ulissesowe towarzystwo w świnie
Obróciła, dawszy im w *czarze czarów* w winie:
A Hansa chocia żadne nie przewierzgną czary,
Zaraz gotów być świnią, jak dopadnie czary.

A próbek tego rodzaju mamy do przesytu.

Formę znowu zewnętrzną stanowią ograniczające całostkę kompozycyjną warunki liczebno-rytmiczne, jak sonet, canzona, terzina, sestina, oktawa, rondo, epigram i t. p., czyli zewnętrzne motywa architektoniczne, których u Morsztyna znajduje autor wielką rozmaitość. Pozwolimy sobie, na rzecz czytelnika, jednym drobnym wierszykiem Morsztyna objaśnić choć w cząstce połączenie tych dwóch form. Ma on tytuł: „Boginie", a mieści się na stronicy wydania 83.

„Słusznie mówimy, że panny-boginie:
Bo ginie każdy kto im się nawinie;
Kto tedy wpadnie w ręce tych to bogiń,
(Trudno inaczej) albo gni albo giń.

Jest to 1) epigramat (forma zewnętrzna), nadto należący do rzędu tych, które polegają na igraszce słów lub rymów i stanowią osobny gatunek; 2) jest to, co do formy wewnętrznej, wiersz układu cyklicznego, gdyż wyraz *boginie* powtarza się w każdym wierszu, w związku jednego z drugim; mamy w nim zatem specyalne znamiona obu form zespolone. A kiedyśmy już raz wpadli na trop eksperymentu in anima docili, nie od rzeczy będzie wykazać na przykładzie coś więcej, niż formę, a mianowicie treść i żywioły stylowe, czyli figury. Daremnie szukamy po książce poematu, który-by pomieścił całość warunków, bierzemy więc co z brzega, choćby tuż nad tylko co przytoczonym (str. 82), p. t. „Łzy" (do Kasi):

Digitized by Google

—„Jako drzewo surowe, na ogień włożone,
Sapi naprzód i dmucha, potym otoczone
Nieprzyjacielem w koło, przez kryjome oczy,
Wszystkę wilgotność z siebie i wszystek sok toczy;
Nakoniec, kiedy mu już obrony nie staje,
W wągiel gore, a potym w szczery popiół taje:
Tak ja opanowany będąc twą miłością,
Wzdychałem naprzód srogą ściśniony tęsknością;
Potym sobie i łzami serce ulżywało,
Teraz gdy mi obojga tego już nie stało,
Tleję w wągiel, a jeśli nie pojzrzysz wesołem
Okiem, w małej się chwili rozsypię popiołem,
I jako kiedy lecie (*latem*) zajmie się przędziwo
W piekarni lub w świetlicy, kiedy śpi co żywo,
Samo się w sobie dusi, niż się ściana sucha
Zajmie, potym płomieniem przez okna wybucha,
Próżno wtedy gospodarz o ratunek woła;
Cała gromada zgasić pożaru nie zdoła;
Tak we mnie miłość długo potajemnie tlała,
Teraz na wierzch przez obie oczy, okna ciała,
Łzami się pokazuje; wewnętrzne zapały
Ten wilgotny dym pędzą i ten perz zetlały,
Próżno wołać ratunku, rozum nie pomoże,
Twoja to sama łaska, Kasiu, zalać może."

Wiersz ten nie jest ujęty w żadną specyalną formę zewnętrzną, budowa jego swobodna i luźna. Treść erotyczna oznacza się dwoma szczegółami, jakie właśnie p. Porębowicz wytknął między innemi u seicentystów: żarem miłosnym i łzami (stanowiącemi antytezę ognia i wody). W formie wewnętrznej przedewszystkiem uderza koncept: cały opis żaru i łez, ciągnący się przez dwadzieścia kilka wierszy, pozbawiony byłby bukietu, gdyby nie wiersz ostatni: „Twoja to sama łaska, Kasiu, zalać może", ten pożar bezratunkowy. Pomiędzy motywami figurycznemi znajdujemy, co najwidoczniejsza, dwa obrazy równoległe: poeta porównywa nasamprzód siebie do surowego drzewa, rzuconego na ogień (miłości), które schnie i zamienia się w węgiel; następnie miłość swą do płomienia, który, z przędziwa powstawszy w świetlicy, wybucha oknami. Przy tej okazyi wysuwa się i metafora: wcale zręcznie pory drzewa nazwane są „kryjomemi" jego oczyma; oczy zaś, „oknami ciała."

Wobec tych dokumentów, jakie rozłożył p. Porębowicz, niema wątpliwości, że Morsztyn twórczością swą, ryczałtowo wziąwszy, gra-

Digitized by Google

wituje ku plejadzie seicentystów, czy ku barokowi, jak chce autor; tylko, zdaje mi się, w szczegółach należało-by tu uczynić pewną różnicę. Te motywa wewnętrzne, stanowiące tło poezyi, to, czem ona się różni od mowy zwyczajnej, przez co staje się malarką i rzeźbiarką, wspólne są każdemu jej charakterowi, każdemu stanowi, będzie li ona klasyczną, czy romantyczną, renesansową lub barokową: mogą one być więcej lub mniej dołężne i gustowne, ale rodzajowo będą te same. Wynika już to z samej natury umysłu poetyzującego. Poeci w stanie łaski myślą inaczej niż ludzie zwyczajni, nie suchemi kategoryami lecz obrazami; myśli ich dążą do uzmysłowienia się (greckie *ajsthesis*), poetyczne kojarzenia pojęć zawadzają zawsze o jakieś przedmioty widome, dotykalne, i siadają na umysłach, jak motyle na kwiatach, z których czerpią karm. Oczy ich, jak oczy motyla, pełne są tych wrażeń, które biją dokoła z ogrodów życia, i patrzą też umysłem przez te wrażenia. Kto więc jest choć trochę poetą, i o ile nim jest, zawsze mowę swą snuć będzie temi obrazami zmysłowemi, których ma specyalną moc przyswajania sobie; przy danej sposobności wyrzucać je będzie z siebie, a więc zawsze się tam znajdzie jakaś metafora, antyteza, hiperbola, porównanie, lub inna *figura*, uważmy—figura: dla niego pieśń gminna będzie arką przymierza między nowemi i dawnemi laty, i t. p. O ile zatem Morsztyn był poetą z urodzenia, o tyle, puszczając lot myślom, musiał nadawać im kierunek i kształty, zawarowane tą szczególną organizacyą; i czyby był seicentystą, czy klasykiem, myślał-by i zatem komponował przenośniami: tylko, jako seicentysta, mógł je stosować w pewien sposób. Nie te zatem figury, których tak samo używał Homer, jak Marino—przepraszam za zestawienie—czynią go naśladowcą włoskiego baroku, ale sam rodzaj skarlały, który i wszystkie środki, jakiemi wypowiada się treść, do swej miary i kształtu urabia, ilekroć zaś probuje środek podnieść powyżej treści, staje się śmiesznym, bodaj nie obrzydliwym. Dowód tego, nie przetrząsając obcych szpargałów, znajdziemy i w samym Morsztynie, naprzykład w wierszu „Do Heleny" (Lutnia; I, 59). Helenę tę, do której goreje, porównywa on naprzód do Heleny trojańskiej, o co mniejsza; następnie do świętej Heleny, która, jak wiadomo, Boską łaską natchniona, znalazła krzyż, gdzie przybity skonał Zbawiciel, modląc się za swych oprawców: symbol, nie mający do porównania nic, wznioślejszego. I oto jak wypada jego ikon, na ten raz przeciwległy, w zwrocie do przedmiotu zmysłowej chuci, igrający zarazem w sposób barokowy słowami na temat krzyża:

—„Przeszłaś bez chyby swoją drużbę (*imienniczkę*) drugą
Co nam krzyż święty wyniosła z ciemnice;
Ona raz tylko i za pracą długą
Zbawienne ludziom dała tajemnice;

Digitized by Google

Ty przez twarz gładką, przez postępki chyże
Nowe wystawiasz coraz ludziom krzyże...
Słusznie cię krzyżem, krzyżem mym nazowę.
Ach! jeśli tak jest, niechże mię przybiją
Na ten krzyż mocnym gwoździem na pasyją."

Nie trzeba wychodzić z punktu wyznaniowego, aby wprost z racyi czysto poetycznej, po przeczytaniu tego nie doznać niesmaku. Trzeba istotnie pozbawionym być wszelkiego poczucia wartości idei i harmonii, aby symbol miłości najwyższej mieszać z symbolem pożądliwości zmysłowej, i szeregiem strof zdążać do konceptu błyskającego w sposób tak trywialny ostatnim dwuwierszem, który niech sobie czytelnik bliżej rozbierze, aby poznać myśl poety niedomówioną. Nie mogę się też razem z p. Porębowiczem (str. 85) zachwycać z tego samego tematu paralelą w sonecie. „Na krzyżyk na piersiach jednej Panny": autorowi wiadomo zapewne, jak łatwo jest dowcipkować, trawestując rzeczy poważne i święte. Jakżeż inaczej, inny poeta, w innym wieku tenże sam symbol w „Widzeniu ks. Piotra" wyzyskał!

Takie naśladownictwa wzorów, oto są grzechy poetycznego żywota Morsztyna.

II.

Rozbiór estetyczny jego utworów, bystro i z rozległą erudycyą dokonany, stanowi najważniejszy rozdział w książce p. Porębowicza; zawsze bowiem w związku z tłem, na którem poetę swego osadził, wykazuje autor ducha jego utworów, podstawę twórczości i jej kształty panujące. Tym sposobem, lubo, jakeśmy już powiedzieli, absolutnem to przeniesieniem rzeczy na punkt widzenia inny od dotychczasowego nie jest, ale historya literatury polskiej zyskuje ztąd ważną pomoc do nakreślenia rysów fizyognomii Morsztyna. Mniej przeto interesującemi stają się szczegóły, które następnie, dla odgadnienia „literackiego wychowania Morsztyna", w wielkiej obfitości podaje autor, wykazując wpływy nań różnych literatur i różnych poetów, a właściwie zestawiając to w całości, to w części, jego utwory z wzorami, a raczej źródłami, z których poeta czerpie pełną ręką, przyswajając sobie myśli i zwroty, treści i formy, przerabia je, przepolszcza, albo i wprost tłómaczy. Szczegóły te, owoc raczej mrówczej pracy i cierpliwości, niż wysiłku indukcyjnego, mnożą tylko liczbę, nie posuwając tak dalece treści, odkrytej nam w rozbiorze estetycznym. Jak się literacko wychowywał Morsztyn, z żadnych źródeł biograficznych nie wiemy; tego więc po-

Digitized by Google

szukuje i domyśla się autor po wskazówkach, wydobywanych z samych utworów, przy porównaniu ich z obcemi.

Przypuścić łatwo, że młody szlachcic z bogatego domu musiał otrzymać staranną edukacyę jeszcze przed wyjazdem, dla jej uzupełnienia, za granicę. Podstawą tej edukacyi u nas były „humaniora", zatem języki i literatura starożytna, a już co najmniej łacina. O język też francuski, ze względu na dwór ówczesny, i o włoski od czasów Bony, nietrudno było w Polsce; a musiał prawdopodobnie już posiadać te dwa języki młody Jędruś, nim się puścił do Francyi i Włoch, dokąd też zawlókł swe usposobienie poetyczne, które posiadał, a może i w czyn wcześnie wprowadzał w domu, jak świadczy nagrobny wiersz, poświęcony dziadowi po kądzieli, Otfinowskiemu (str. wyd. 173), który mu „podał lutnię do Febowej drogi." Około 25 lat musiał mieć, wyprawiając się w podróż, a już z Belgii przesłał list poetyczny temuż dziadowi. Listu tego nie mamy daty, ani miejsca, ale świadczy o tem odpowiedź rymowana Otfinowskiego (str. wyd.73), która ma iść „do Belgów" (wiersz ostatni), wyprzedzając świeżo drukowany egzemplarz przekładu „Metamorfoz" Owidyuszowych tegoż Otfinowskiego. Jeżeli więc Morsztyn, nie dojechawszy jeszcze do Paryża, pisze list poetyczny, gładki, piórem wprawnem, dowód, że mu wierszem władać nie nowina, i że dziad musiał go już znacznie w tem zaprawić. Przyznam się tylko otwarcie, iż nie rozumiem, dlaczego autor tak uparcie utrzymuje, iż Morsztyn był „wobec kultury Italii o kilkadziesiąt lat spóźniony." Albo to już moja głowa taka, albo autor, zwykle kategoryczny w dowodach, dopuszcza się niejasności. Jak tam wysoko stał Morsztyn w ukształceniu ogólnem i pozytywnem, nie wiemy, bo o jego studyach akademickich w kraju lub za granicą nie słychać nic, i nie to też zapewne autor ma na myśli, lecz raczej wychowanie belletrystyczne. Jeżeli tak, to spóźnionym byłby, gdyby w poezyi swej stał naprzykład na poprzednim okresie, to jest na renesansie, czyli cinquecentyźmie. Ale zgoła tak nie jest. Ani z miary, ani z usposobienia, Morsztyn nie przystaje do tych olbrzymów, jak Camoens, Tasso, Aryost, Kochanowski, którzy stoją opancerzeni powagą, jak karyatydy poezyi szesnastego wieku. Zaledwie dotknąwszy baroku, wcielił się weń, przystosował i wchłonął całą jego *frivolité*, z renesansu przejąwszy tylko jego sztuczny mitologizm grecki i to nie konkretny, ale zredukowany w bóstwach do czczych symbolów, do imion, oraz niektóre formułki drobnowierszykowe. Gdzie tu Rzym, gdzie Krym? Jako zaś przedstawiciel baroku, jest wprawdzie jednym z ostatnich, ale jeszcze nie spóźnionym, skoro poczyna go zaledwie w kilkanaście lat po śmierci Marina, czyli w pierwszej jeszcze połowie siedmnastego stulecia, kiedy barok rugować zaczęto dopiero w ostatniej ćwierci. Jego zbiór liryków „Kanikuła" datowany jest r. 1649, za-

www.libnpl.com.ua

Digitized by Google

tem w pełni baroku, „Lutnia" r. 1661; toż to rachuba jasna, że nasz poeta ze swym charakterem poezyi względnie do włoskiej wcale się nie spóźnił. Barok, ze swemi opowiastkami, canzonami i madrygałami, przemknął jak mgławica, jak kometa, między dwoma słońcami renesansowego eposu i dramatu siedmnastowiekowego; w ogonie tej komety siedzi Morsztyn: wolelibyśmy widzieć go gdzieindziej, ale trudna rada.

Co do samej edukacyi poetycznej, wyszczególnienie wpływów międzynarodowych i przyswojeń, przez p. Porębowicza dokonane, nietylko wskazuje to, co zkąd zagarniał Morsztyn, ale zarazem daje miarę jego gustu, czyli utrafia w psychologiczną stronę jego organizacyi poetycznej. Z poezyi greckiej czerpie najmniej, i to nie do Homera sięga, ani Eschilosa, ale podoba mu się Anakreon i Moschos. Częściej zagląda do autorów rzymskich, tłómaczy swobodnie lub przerabia kilka zaledwie od Horacego (oznaczone są i w wydaniu Chmielowskiego), zato najbardziej rabuje epigramatyka Marcyalisa. Mało nań, pomimo dwukrotnego pobytu w Paryżu, wpływają poeci francuscy, i to tylko tak zwani *précieux*, podobni kierunkiem do seicentystów włoskich. Przekład „Cyda", grany w Warszawie 1661 roku, zatem dokonany wcześniej, stanowi odosobniony epizod w poetycznych upodobaniach Morsztyna: dokonał go więc, przypuszczać można, nietyle z własnego popędu, ile może z insynuacyi towarzystwa dworu Maryi-Ludwiki, któremu duszą był oddany. Wszystkie jednak te wpływy bardzo mało znaczą wobec wpływów spółczesnej poezyi włoskiej, a przeważnie samego kawalera Giambattista Marino: to też wskazówki, wyimki i konfrontacye „Kanikuły" „Lutni" i „Pieśni religijnych" z odnośnemi ustępami włoszczyzny snują się nieskończonym różańcem w książce p. Porębowicza.

Gdybyśmy poprzestali na rozbiorze tylko tych trzech działów, stanowiących atoli przeważny znaczeniem i liczbą odłam utworów Morsztyna, to, nie zaglądając ani do tekstu, ani do końcowej konkluzyi autora, dotyczącej jego ustroju psychicznego, przyszlibyśmy do bezpośredniego wniosku: 1) że poeta ten w usposobieniu swem ma przeważnie skłonności liryczne; 2) że skłonności te wiodą go nie do liryki pindarowskiej, ani nawet horacyańskiej, jak Kochanowskiego i Sarbiewskiego, ale do liryki o treści lekkiej, swawolnej, ba, nawet facecyonistycznej; 3) że w temperamencie jego przeważnie góruje erotyzm i epikureizm. W konkluzyi autora znajdujemy poniekąd sprawdzenie tych wniosków (str. 8.—93), tylko idzie on jeszcze dalej. Odejmuje utworom jego wartość liryki w znaczeniu głosu uczuć bezpośrednich i prawdziwych, a redukuje ją głównie do konceptu i frazesu. „Poglądając— powiada—na cały szereg przekładów i parafraz, dostrzega się jednego

Digitized by Google

znamiennego szczegółu: wszystkie pociągały go charakterem konceptycznym, lub takim, który ułatwiał mu wykazanie, pochwalenie się poetycką lub oratorską erudycyą." Ztąd też tak usilnie czepia się epigramatyków; ztąd z upodobanych sobie poetów sfery lirycznej wybiera nie ich lirykę czystą, „ale motywy schlebiające jego skłonności do niezwykłych zestawień, kontrastów, igraszek": to właśnie, cośmy widzieli wszędzie w przytoczonych tekstach bezpośrednio ze zbioru. Jest to zatem umysł chłodny, przeważnie krasomówczy, dążący na zimno do pewnych efektów słownych, na zimno kombinujący wyrazy, a tak giętki, że nietylko z łatwością chwyta formy, ale i snadno przełamuje trudności, przedstawiające się w nagięciu do nich ekspozycyi słownej obmyślanego tematu. Taką-to zdolność, taką łatwość obracania słowem, jako górującą, upatruje w nim autor, i tyle też ma dlań uznania, że go stawia na pierwszem miejscu wśród uczniów i naśladowców Marina (str. 89), i to nie tyle dla własnych zalet. „ile dla małości tych, którzy z nim w jednym stanęli szeregu." Osobliwsza pochwała! nie potęgująca się wcale wyrażeniem, „że gdyby się był urodził w ojczyźnie Tassa lub Ronsarda, byłby wszystkich seicentystów w kąt zapędził." Jednakże p. Porębowicz, biorąc asumpt z jednego utworu, nacechowanego głębszem wzruszeniem, przeczuwa w nim wyższość twórczą (str. 91—92), której urzeczywistnieniu się w poezyi przeszkodziła tylko karyera polityczna, i gdyby nie ona, Morsztyn „byłby poprowadził poezyę polską jeśli nie ku wielkim celom, to przynajmniej gładszemi tory." Pozwolimy sobie odstąpić od zdania autora, i nasze *gdyby* na inne tory skierować. Zawód polityczny nie gra tu żadnej roli. Gdyby Morsztyn czuł w piersi ten ogień święty, posłanniczy, który wytwarza przodowników, nie dałby się uwieść karyerze dyplomatycznej, nie spokrewnił-by w duszy dwóch idei przeciwnych. Nie widzieliśmy tego nigdy w dziejach poezyi, a nawet poeci Aten, jak Sofokles, bywali przygodnymi tylko, nie już dyplomatami, lecz wojownikami; u nas zaś Jan z Czarnolesia nie chciał być nawet przygodnym kasztelanem.

Morsztyn nie był urodzonym prorokiem poezyi, ale urodzonym dyplomatą: poezya, to tylko życia jego przygodność. Takie przynajmniej wyobrażenie powziąć można z książki p. Ernesta Deichesa, który, uzupełniając niejako pracę p. Porębowicza, według źródeł historycznych i archiwalnych sprobował odtworzyć moralną i obywatelską stronę charakteru pana podskarbiego, z samych jedynie faktów życiowych „ogólniejsze wysnuwając wnioski." Dzięki znajomości języków, obyciu się ze światem, polorowi, nabytemu za granicą i galanteryi, zaraz za powrotem z podróży dostał się on do pocztu Krysztofa Opalińskiego, który wyprawionym był do Paryża po rękę Maryi Ludwiki Mantuańskiej dla Władysława IV. Odrazu wpadł w oko przyszłej

www.libook.com.cn

Digitized by Google

królowej—któż bo inny śród sarmackich uczestników poselstwa mógł się lepiej zaprezentować dostojnej cudzoziemce, jak ten młody, przystojny i układny bywalec, podszyty poezyą i posiadający, jak wnosić można z ducha jego wierszy, wszystkie przymioty Wersalczyka; któż podatniejszym był do figurowania na dworze, gdzie kobieta miała niebawem nadawać ton? W początkach panowania Jana Kazimierza jeszcze pokojowiec, szybko przebiegał Morsztyn wyższe stopnie hierarchiczne, aż w r. 1668 otrzymał podskarbiostwo koronne. Nie dosyć na tem: nie był to prosty dygnitarz państwowy, ale zarazem agitator, poufny, zażyły doradca królowej, która, jak wiadomo, miała wysokie cele polityczne i nosiła się z myślą reformy rządu dosyć radykalnej. On-to właśnie był owym totumfackim Maryi-Ludwiki, pośrednikiem między nią a przywódcami stronnictw politycznych, trzymał się tak zwanej partyi francuskiej, lawirując między królową a Stanisławem Lubomirskim, względem którego miał pewne zobowiązania, i często jeździł po dworach, wyprawiany w misyach dyplomatycznych. Rozumie się, reprezentanci Ludwika XIV przy dworze warszawskim, agenci monarchy uprawiającego własną politykę w Polsce, a od którego Morsztyn pobierał „jurgieltu dziewięć tysięcy liwrów", mieli na Podskarbiego oko, i wszyscy oni zgadzają się, że postępowanie jego jest jakieś niewyraźne, nieszczere. Według tych spółczesnych świadków, Morsztyn jest to nawskroś dyplomata, człowiek niebezpieczny, nieprzenikniony, przezorny, zręczny, obrotny, z usposobieniem giętkiem, a małomówny, któremu nigdy dowierzać nie można: więcej oni obawiają się zdolności jego, niż szanują charakter, nie skąpiąc mu nawet nazwy „wielkiego człowieka." Lecz z fizyognomii jego nie przebija żaden rys wielkości, pozorna śmiałość jego ukrywa pod spodem podejrzliwość i lękliwość: nigdzie serdeczności, przeciwnie, wszędzie raczej interesowność i małoduszność. Królowej jednej oddanym jest, zdaje się, całkowicie, chwali ją i pod niebiosa wynosi (zob. „Psyche", od strofy 36); ale z drugiej strony ma ją za ręką, i na wszelki wypadek przechowuje u siebie jej listy kompromitujące. Pomawiają go o oszacherki z elektorem Brandeburskim (r. 1662); spiskuje za króla Michała. A zapytać, jaka jest idea polityczna, jaki ideał rządu,—odpowiedź niełatwa, bo Morsztyn nigdy nie występuje z inicyatywą własną, tylko za cudze plecy chowa się zwykle. Popiera stronnictwo francuskie, czyli wybór króla, wbrew paktom, za życia panującego, zatem przejście do monarchii dziedzicznej; i to szczerem zdaje się być u człowieka, który i jako poeta w jednym ze swych wierszów narzeka na „brak rządu." Z drugiej jednak strony, za świadectwem reprezentantów francuskich, smakuje mu i złota „wolność szlachecka", i co prawda, jak znowu świadczą jego wiersze i listy, pomimo napływów cudzo-

www.liptool.com.cn

Digitized by Google

ziemczyzny w kulturze i obyczaju, nigdy on się skóry szlacheckiej nie wyzbył, a w każdym jego głosie brzmi wydatnie nuta narodowa. Sejm z r. 1683, stanowiący niejako sąd na Morsztyna w stosunku do króla Jana III i spraw publicznych, spowiedź z jego wykroczeń politycznych, główny przedmiot książki p. Deichesa, wykazuje tyle krętactwa ze strony Podskarbiego, że aż czarno się robi od uwag niekorzystnych i zarzutów nieodbitych; a trzeba było tylko tak mocno wdrożonego hasła „neminem captivabimus..." ażeby podsądnemu wszystkie te zarzuty uszły na sucho. To trudno: kto, z ubogiej wyszedłszy rodziny, bez pracy doszedł do kolosalnego majątku, musi zbudzić podejrzenie co do pochodzenia fortuny. Na dobro jego wszakże przytoczyć należy, iż z tego majątku, gdy straszne pustki zalegały w skarbie rzeczypospolitej, na potrzeby wojny tureckiej z r. 1676 ofiarował 60 tysięcy złotych polskich: czyn sam przez się dość za siebie przemawiający, abyśmy wchodzić mieli w jego pobudki. Mimo to, a skutkiem wszystkich działań i zachowania się, w społeczności swej lubianym on nie był, i dlatego też każdy głos potępienia przeciw niemu szeroko się rozchodził, utrwalał. P. Dejches (str. 21) tak go ogólnie, na podstawie zebranych szczegółów, charakteryzuje: „Morstin przywykł w zawodzie swoim politycznym naginać się do okoliczności, znacznie większy posiadał popęd do czynu niż do myśli; gorączkowa obrotność w świecie i w działaniach, dyplomatyczno-gabinetowych nadała jego powierzchowności cechę zimna i obojętności, taktyka zaś, używana przy załatwianiu interesów publicznych, odbiła się na fizyognomii i aktach uczucia tego człowieka."

Co większa, powiemy, odbiła się ona i na tych nie wielu wierszach, któremi zabiera głos w sprawach wyłącznie narodowych. Mówi on tam o rzeczach najbliższych bez żadnego zapału, cechującego poetów, objektywnie, obojętnie („Psyche", l. c.), o klęskach zgryźliwie raczej, niż boleśnie i ze współczuciem ziomka. Ze wszystkich zatem powyższych rysów widać aż nadto dosadnie, że nie była to dusza namaszczona do wyższych przeznaczeń poetyckich, że poezya u niego stanowiła tylko ozdobną przyprawę życia, nie jego rdzeń. Jako poeta wreszcie, gdyby miał więcej samodzielności twórczej, nie dał-by się zamknąć w klatce narzuconych lub narzucających się upodobań, nie nosił-by liberyi seicentyzmu. Zrobił to, na co go stało. A jak jedna jaskółka nie przynosi lata, tak jeden utwór wydatniejszy, jakim jest „Pokuta w Quartannie" z r. 1678, nie determinuje charakteru poety.

Przypatrzmy się bliżej temu utworowi, który osobną uwagę zwraca krytyków Morsztyna, zarówno jak p. Deichesa, a po ogólnem określeniu moralnego charakteru człowieka staje się dla nas zrozumialszym. Jest to wiersz, nacechowany głęboką pokorą, niby spowiedź grzesznika

Digitized by Google

przy konfesyonale. Tylko Świderski, który miał liche wyobrażenie o religijności Morsztyna, jako i jego czasów, o autorze tego wiersza powiada: „Modlitwa jego przybrała ton jakiejś niewolniczej, tarzającej się w prochu pokory; smutno i okropnie się robi, czytając te jęki duszy..." Przytaczając to zdanie zdolnego pisarza, Chmielowski dodaje od siebie:—„A jednakże utwór ten jest, bądź co bądź, najpiękniejszym wierszem treści religijnej, jaki w pismach Morsztyna napotykamy." P. Porębowicz poprostu wierszem tym się zachwyca, i już nietylko za perłę w zbiorze Morsztyna, ale uważa go za jednę „z najwspanialszych pieśni w polskiej literaturze", za pieśń, w której dusza poety staje przed nami, „jak dantejska mara, opowiadająca swe grzechy." Jest to rzeczywiście w zbiorze Morsztyna utwór pod każdym względem *hors ligne*. Kiedy wszystkie jego liryki krótkie są, od czterech do dwudziestu, rzadko nad trzydzieści wierszy, ten ma ich przeszło dwieście. W toku jego czuć powagę, skruchę, niekiedy naiwność wierzącego, który odkrywa rany swej duszy, nie do tego stopnia jednak, aby widok ich sprawiał obrzydzenie: są tam wyliczone grzechy względem Boga ciężkie, w świecie dość tolerowane, żadnej nikczemności, nic takiego, na co-by się otrząsła dusza i honor szlachcica:

„Więc i to było żem z lekkiej przyczynki
Na zakazane stawał pojedynki...
Jam wszeteczeństwa wszelkiego świadomy
I obywatel bezbożnej Sodomy..."

Nie oskarża się tylko, ale nawet po części i usprawiedliwia:

„Dworskie wykręty i zdradliwe sztuki,
Że się ustawnie w koło mnie bawiły,
Snadź i mnie na swe kopyto zrobiły."

Wiersz ten, w którym, bądź co bądź, obok pięknych zwrotów poetycznych, pobrzmiewa nuta szczerości i namaszczenia, pisał poeta w r. 1678, zatem pod starość, i to, jak podaje Świderski, „ciężką złożony chorobą": nic więc dziwnego, gdyby był wyrazem istotnego wniknięcia w siebie i upamiętania, głosem poetycznym, wywołanym potrzebą duszy, nietylko chęcią napisania wiersza. Ostatni czworowiersz i to podaje w wątpliwość. Psuje on zachwyt p. Porębowiczowi i słusznie; dlatego radzi go wyrzucić z poematu, „jako wtręt późniejszy." Za pozwoleniem! Jakiem prawem i dlaczego on ma być wtrętem późniejszym; jaki ma na to dowód krytyk tak ścisły zkądinąd? Przeciwnie, czworowiersz ten, naszem zdaniem, łączy się organicznie z całością w formie poetyckiej, to *enfant terrible* Morsztyna, to po Bogu, hołd, złożony barokowi. Do tych czterech ostatnich wierszy poeta zjeżdża

Digitized by Google

stopniowo, z namysłem. Chrystus umarł na krzyżu dla zbawienia grzeszników, Jemu się w imię tego oddaje w opiekę. Po gorącej skrusze spekuluje coraz chłodniej; aby ofiara nie zmarniała, wbija w ambicyę Chrystusa, przedstawia Mu własne Jego zadowolenie ze zbawienia człowieka:—„Twoja to rozkosz i pocieszne dzieła, odpuszczać w łasce gdzie zgrzeszono siła;“ aż dojeżdża nareszcie do zamknięcia, nakształt wyniku syllogistycznego, całej tyrady na sposób barokowy *konceptem*, w którym uwyraźnia, że zbawienie jego duszy będzie dla obu stron dobrym interesem.

—„*Ty* rad odpuszczasz, a *mnie* tego trzeba,
Ty nas chcesz zbawić, a *ja* chcę do nieba.
Bądź tedy łaskaw; a tak w jednej dobie
Wygodzisz i *mnie* naprzód, lecz i *sobie*.

Jeżeli nie mamy żadnego prawa przypuszczać, żeby te cztery wiersze dopisane były obcą ręką, tem bardziej, że Morsztyn i większą część innych wierszy religijnych zamyka także konceptami, a proszę się tylko dobrze w tekście przypatrzyć—są tu te wiersze ustępami poprzedniemi jakby umyślnie przygotowane,—to widzimy, że i tu nawet Morsztyn nie cofnął się przed zniewagą, aby wiernym być temu, co snadź uważał za nieodzowny poezyi warunek. Odciąć te cztery wiersze, jak chce p. Porębowicz, nie będzie zniewagi, ale nie będzie i soli, o którą widocznie poecie chodziło; poemat pozostanie z zakończeniem banalnem, zgoła nie odpowiadającem silnemu nastrojowi całości.

Jakkolwiek bądź, oprócz tego zakończenia, jest to jedyny poemat z pośród dziewięciu religijnych Morsztyna, w którym duch poety stoi na wysokości przedmiotu. Inne nietylko psują wrażenie świętości, mieszając figury i wspomnienia mitologiczne z chrześciańskiemi, ale są po większej części, jak to wywiódł p. Porębowicz, przerabiane lub tłómaczone, tworzone zatem nie z nawoływania duszy, ale dla zrobienia wiersza z konceptem. I taż sama konceptyzmu mania, w wierszach świeckich, gdzie poeta nie krępuje się wcale i do celów konceptycznych przedmiotów czci religijnych, jak widzieliśmy, zażywa,—mania ta doprowadza go nawet do bluźnierstwa, jak np. we Fragmencie „Pod dwiema osobami.“

„Żona katolikowi luterka mówiła:
Chcesz-li by zgoda między nami była,
Pozwól żebym osoby drugiej zażywała,
Bo mnie sumienie rusza bym pod dwiema brała.“

Toż samo w następnym. I dlatego też, ze Swiderskim, trudno nam w jego rzetelną religijność uwierzyć, czemu i p. Deiches nie

Digitized by Google

wierzy, mieniąc go zrazu libertynem, tem bardziej, gdy w całości zbioru spostrzegamy tyle gorszącej, bezmyślnej swawoli, uprawianej jedynie dla konceptu przez poetę, który w wierszu ekspiacyjnym sprawiedliwie powiedział o sobie, że „wszeteczeństwa wszelkiego świadomy."

Wiersz ten, przerastający wartością wszystkie inne, wygląda na utwór własnego i bezpośredniego natchnienia; ale możnaż być tego pewnym po odkryciach, dokonanych przez p. Porębowicza? Okazało się z nich, że w zbiorze, zatytułowanym „Lutnia", a stanowiącym liczebnie część najważniejszą (ksiąg dwie) i poetycznie najcharakterystyczniejszą, mieszczą się przeważnie przekłady i wierne przeróbki; w znacznie szczuplejszej „Kanikule" poeta więcej daje z siebie; ale i tu wyzyskuje on motywy Marina na podkład do własnych gawęd; w „Pieśniach religijnych" nie więcej jest oryginalnym. Cóż po tym obrachunku pozostaje u niego na rzecz pomysłów własnych? Ej! nie obliczając pojedyńczo, znaleźliśmy jeszcze sporą część tytułów w Lutni i Kanikule, przez p. Porębowicza nietkniętych, które tedy, zdawało-by się, autor za pomysły oryginalne uważa. I rzeczywiście: „Przekłady i parafrazy— powiada (str. 84)—nie wyczerpują całej twórczości Morsztyna; znajdzie się u niego wiele motywów oryginalnych, nieraz uderzająco zręcznych i dowcipnych, to znów majestatycznych i natchnionych." Gdyby autor poprzestał na tem, można-by odetchnąć spokojniej w trosce o oryginalność Morsztyna, jeszcze-by się dla niej pewien tytuł zachował. Nic z tego: natychmiast po tem pocieszającem wyrzeczeniu, z zupełną konsekwentnością alarmuje:— „I można-by bez zastrzeżeń na ich (motywów oryginalnych) podstawie budować wnioski o talencie twórczym poety, gdyby doświadczenie, że w najbardziej swojskich na pozór tematach kryją się zgrabnie zamaskowane myśli obce, nie zmuszało nas do sceptycznych wahań wobec każdego śmielszego i mniej zwykłego pomysłu." Zawiesza tedy autor wyrokowanie, stosując to zapewne nietylko do siebie, ale i do innych, ażeby nie popaść w błąd dotychczasowy, nie chwalić Morsztyna za to, na co-by nie zasługiwał, gdyż dopóki w którym z jego utworów „nie znajdzie się pierwowzoru, będzie wolno każdej chwili o jego oryginalności przynajmniej powątpiewać."

Ani słowa przeciw temu: smutno-by tylko było snuć dalej nić, wywiązującą się z tego zastrzeżenia. Dlaczegożby-to jeden tylko Morsztyn miał być w tem położeniu, czemu-by i utwory innych poetów naszych nie miały czekać na swe pierwowzory, które odkryje przypadek albo usilność równa tej, z jaką nasz profesor przystąpił do roztrząśnięcia Morsztyna; tem bardziej, iż wskazówki wpływów i naśladownictwa są od szesnastego wieku aż nadto wyraźne, a jeden z krytyków ostatniemi czasy probował zakwestyonować taki nawet arcytwór, jak „Gra-

Digitized by Google

żyna.“ Przyjdzie na to, że żaden z poetów naszych nie pozyska w myśli naszej wszystkich przywilejów właściciela, dopóki sam, albo kto za niego nie złoży świadectwa pochodzenia wszystkich utworów, legalizowanego przez krytykę. Oto, do czego doprowadziła ta łatwość poddawania się obcym wzorom, niejako wrodzona wszej ludności naszej i gorzko wytykana (papuga narodów). Trzeba jednak i tu zachować pewną oględność. Pomiędzy prostym plagiatem a wzajemną suggestyą duchów twórczych istnieje tyle stopniowań i odcieni, że częstokroć nie wiadomo, kto pierwszy; i najstarszy ze znanych nam poetów, Homer, nie wiadomo ile wziął od starszych od siebie aojdów, i indywidua giną wobec jednego, jedynego ducha ludzkości.

www.jiptool.com.cn

Nie idzie za tem, abyśmy nie mieli badać ściśle źródeł, wzorów i wpływów, bo od tego zależy jasny pogląd na prawdę, stanowiącą ostateczny i najwznioślejszy cel życia ludzkiego. I p. Porębowicz z zadania tego wywiązał się szorstko, ale uczciwie. Rezultat jego pracy stanowi wykazanie, ile i w jakim stopniu Morsztyn zależnym jest od swoich wzorów. O ile zaś zajmuje on odrębne stanowisko w poezyi polskiej, co do niej wniósł nowego i co zeń na dalszy czas pozostało, wtedy dopiero, zdaniem autora, rozstrzyganem być może, „kiedy wybitniejsi poeci przed Morsztynem i po nim zostaną dostatecznie zbadani.“ Kwestyę tę zatem pozostawia w zawieszeniu. Istotnie też w tym jedynym zakresie odniesienia Morsztyna do wzorów nikt tyle nie uczynił, co p. Porębowicz; zapalił on w tym mroku tyle światełek i kaganków, że z tej łuny powstało żywe oświetlenie. Oddając mu tę sprawiedliwość, nie możemy jednak podzielać dosłownie tej, którą on sam sobie oddaje, usilnie powracając do wrotki, że odtąd „muszą się zmienić sądy dawnej krytyki, musi upaść przyznanie silnego indywidualizmu, które stawiało go na równi z romantykami nowej doby;“ że zatem odtąd musi się zasadniczo przesunąć punkt widzenia. Pod tą krytyką dawną rozumieć może p. Porębowicz jednego tylko autora krótkiego szkicu, zamieszczonego w „Tygodniku Ilustrowanym“ z r. 1871, zatem przeszło dwadzieścia lat temu, gdzie Morsztyn wystawionym jest z całą przesadą, jako twórca nowego, oryginalnego zwrotu w poezyi powszechnej. Ale przecież zdanie się to w krytyce, z wyjątkiem Seredyńskiego, nie przyjęło, upadło, i dziś niema się nad czem pastwić. Od tej pory znaleźli się krytycy, którzy wciąż odnoszą utwory Morsztyna do typu poezyi włoskiej i otwarcie mówią o naśladowaniu nie tylko tej, ale i innych. Zamiast więc powoływać się na krytykę dawną i zwietrzałą, która nikogo nie dotknęła Morsztynolatryą, właściwiej jest obejrzeć się na późniejszych, których zdania stoją dotąd otwarte i z temi porównywać rezultaty poszukiwań własnych. Ostatnim jest tu Chmielowski, który w życiorysie Morsztyna z r. 1883,

Digitized by Google

stojąc ponad wszystką krytyką dotychczasową, nie daje się uwodzić niczyjemi insynuacyami, ale przyznając wysokie nawet zalety poecie, jako styliście i pisarzowi, ciągły kładzie nacisk na to, że w gruncie, jako poeta, jest on naśladowcą wzorów obcych: cytuje nawet nazwiska i epoki, dodając wyraźnie, jakby wywoływał i oczekiwał p. Porębowicza:—„Nie są jeszcze dotychczas wykazane wszystkie pożyczki Morsztyna, zrobione u tych (poprzednio przytoczonych) poetów, ale i z tych wskazówek, jakie obecnie posiadamy, możemy twierdzić, *że zależność poety naszego od owych wzorów była znaczna.*“ Może się Chmielowski myli co do niektórych nazwisk, ponieważ sam osobiście studyów porównawczych nie robił, ale w gruncie rzeczy przeciwi się krytyce dawnej, z którą teraz dopiero toczy spór p. Porębowicz, pastwiąc się na trupie. Poprawia on Chmielowskiego tylko co do nazwisk dokumentami, które zapewne pierwszy uzna sam życiorysu autor i które my również z uznaniem przyjąć musimy. Nie możemy się tylko z autorem co do wpływu Owidyusza na Morsztyna zgodzić. Prawda, że jak wykazano w rozdziale o wpływach, poeta nasz bardzo mało, tyle co nic, materyalnie korzystał ze swego kolegi rzymskiego. Ale surowy materyał, wzięty do doraźnej przeróbki, nie stanowi jedynej wskazówki dla ocenienia wpływu. Tymczasem—może to przypadkowo, a może też skutkiem oczytania się—ta kanikularna nadczułość miłostkowa, jaką góruje ustawicznie Morsztyn, zupełnie odpowiada tej, jaką płonie w swych Amorach Owidyusz (uro! uror!), i jednakowy duch zmysłowości i żądzy przebija się z utworów obu poetów. Jeżeli zatem chodzi nie o materyalne naśladownictwo, ale o duchowe powinowactwo, na ten raz ma słuszność Chmielowski.

Poprawił go zresztą p. Porębowicz nietylko w nazwiskach, które już są wynikiem, ale w tem, że co podane było jedynie za wskazówkę, rozświetlił i udowodnił, tylko punktu zapatrywania się na samą twórczość umysłu Morsztynowego nie zmienił. W tem nie przesunięciu lecz posunięciu kwestyi jest już przysługa nie mała dla dziejów literatury naszej.

III.

Co do tej literatury wniósł nowego Morsztyn? Oto jedno z pytań, do dalszego rozwiązania przez autora podanych. Na to pytanie odpowiadać można i należy bez względu, czy i o ile poeta ten był samodzielnym, czy naśladowczym, twórcą czy odtwórcą, w każdym razie bowiem, jeżeli to, co wnosił, było w Polsce nieznanem, stanowiło dla niej nowość. Dwaj przed p. Porębowiczem ostatni krytycy a znawcy

Digitized by Google

literatury polskiej już także co do tego oświadczyli zdanie. Swiderski, dość surowo względem Morsztyna usposobiony, przyznaje mu jednak wyłamanie języka ku formom artystycznym w zakresie liryki polskiej. Chmielowski dalej zachodzi w uznaniu: nie tylko przyznaje mu on wysokie mistrzostwo słowa, wzbogacenie języka nowemi zwrotami, ale nadto ukazuje w nim pierwszego u nas przedstawiciela miłości w poezyi, jakkolwiek tylko miłości zmysłowej; uważa go zatem za twórcę nowego rodzaju poetycznego. P. Porębowicz znowu, lubo nie spieszy z określeniem całkowitego znaczenia Morsztyna, uważając je za przedwczesne, i jakby powyższych opinii nie uwzględniając, przyznaje mu jednak giętkość stylistyczną, gładkość i swobodę słowa w najzawilszych zadaniach układu wierszowego. Bez względu tedy na mniej lub więcej pełne określenia, wszyscy zgadzają się na jedno, mianowicie na wykształcenie uprawy językowej. Przy tej sposobności dodam, że jeden ze sprawozdawców z pracy p. Porębowicza (Gazeta Polska, n. 39 r. b.), od samego siebie przyznając Morsztynowi „świetne wyrobienie polskiego poetycznego języka", przymawia autorowi, że na to „żadnego nacisku nie położył"; gdy p. Porębowicz tylkoż na tę jedną zaletę położył nacisk bardzo silny (str. 91), lubo nie w tym ogólniku. Dalej, cieszy się sprawozdawca, że przy galanteryi i dworskości, wprowadzonej do piśmiennictwa naszego za sprawą Morsztyna, choćby z obcych wzorów, jużby Rej lub Kochanowski nie mogli wołać przy kuflu: „Hej, Jagno, daj gęby!"—Jeśli chodzi o „gębę", mogę mu nią u Morsztyna służyć kilkakrotnie:—„Cóż?—gdyby z uśmiechem pozwoliła gęby, i swe perłowe ukazała zęby" (str. wyd. 59).—„Niedbam o gębę (mowa o pocałunku, do Wenery, str. 151).—„Po krzywej przysiędze... gdyś dała bogom bezpieczniej po gębie" (str. 152).—„Daj mi więc gęby, złącz z moją pieszczone usta" (str. 164, wezwanie, jakby na złość także do Jagny, zaczynające się: „Dwieścieś kroć gęby, Jago, obiecała"). Pokazuje się, że sprawozdawca za pośpiesznie czytał i Porębowicza, i Morsztyna.

Ale ten wyrobiony język jest zarazem, według powyższych zdań, wykładnikiem wyrobionych form artystycznych. Czyż to powiedziane na ślepo, lub na żart? Bynajmniej. Porównajmy wiersz Morsztyna z wierszem poprzedników, nawet z Kochanowskim, a spostrzeżemy uderzający postęp w technice. Czytając tego ostatniego, ileż to razy żal się robi, że jego prześliczne pomysły, obrazy poetyczne, zwłaszcza w pieśniach, obrazy, do których Morsztynowym dalej niż od ziemi do nieba, wyglądają jak piękne postacie ludzkie o wytwornej kibici, ujęte w szatę workowatą i źle skrajaną. Daleko wprawdzie do tego, aby wiersz Morsztyna był ze wszech miar doskonałym: jeszcze tam często gęsto zakuleje cezura, rym zrazi swem ubóstwem lub fałszem, całość wszakże prowadzona jest ręką śmiałą, pewną i nie leniwo kroczy przez

Digitized by Google

trudności, zawarowane zewnętrznym układem wiersza, który zwłaszcza w trzystu bez mała oktawach „Psychy" galopuje tak szparko, że i potknięcia się przechodzą jakoś mało odczuwane. W trudnościach utknąwszy wogóle, jeżeli czasem głędzi i bez wielkiego nawet szwanku wydobyć się z nich nie może, to znowu z drugiej strony odleje całostkę tak gładką, że na podobnie udatną robotę czekać trzeba po nim gdzieś aż do czasu Trębeckiego, naprzykład „Pszczoły w sajdaku", (str. wyd. 109) wzięta wyrywkowo:

www.libtool.com.cn

—„Rój matek miodonoszych, ruszony z ogroda.
Osiadł w sajdak Kupidów. O! jak święta zgoda!
Ma swoje żądło miłość, ma żądło i pszczoła,
Tamta ma serca nasze, ta kwiatki i zioła.
Pszczoła w jednymże ciele miód nosi i jady;
Miłość raz miodu pełna, wnetki pełna zdrady.
Ale w tym jest różnica: pszczoła raz zakole
I umiera, a miłość wieczne daje bole;
I od pszczoły, choć nabrzmi, niedługośmy chorzy,
Ale rany miłości nie zleczą doktorzy."

Mamy tu i dobrze przeprowadzoną paralelę, i koncept, a lubo forma wiersza nie zawikłana, prawidłowość i potoczystość jej nazwać można wzorową. Gdyby nas swoboda takiej formy wierszowej o łatwości Morsztyna we władaniu wierszem nie dosyć przekonywała, weźmy jedną z form najbardziej artystycznych, jaką poezyę obdarzyli piewcy włoscy, sonet, np. „Obraz ukradziony," (str. 143), napisany po zabranym kryjomo widać konterfekcie:

—„Nie pręsię [1]) panno, znam się do kradzieży.
Ale choć jawne przy mnie będą lice [2]),
Nie zwrócę, choćby męki, szubienice,
Powróz mię czekał i zgnojenie w wieży.
Tobie też tak być ostrą nie należy,
Bo więcej kradną twe śliczne źrenice,
I ja ich wszystkie wydam tajemnice,
Jeśli przewodnia [3]) temu nie zabieży.
A też niewielka potkała cię szkoda
I łacna tego, com ci wziął, nadgroda,

[1]) nie zapieram się.
[2]) choćby znaleziono przy mnie twe odbicie.
[3]) wspólne porozumienie się

Digitized by Google

Byłebyś tylko poszła do zwierciadła.
Tyś sama w większej o kradzież jest zmazie:
Boś w rzeczy samej serce mi ukradła,
A jam cię ukradł tylko na obrazie."

www.libtool.com.cn

Jest to wprawdzie sonet jeden z najudatniejszych pod względem artystycznej powierzchowności w zbiorze, ale daremnie szukalibyśmy czegoś podobnie wykończonego przed Morsztynem lub obok niego, a po nim w tym rodzaju doskonalsze znajdujemy dopiero w Mickiewiczu (nie porównywając, rozumie się, z sonetami krymskiemi, które stoją za obrębem wszelkiego porównania). Pierwsza strofa drga nawet—co u Morsztyna rzadko się zdarza—jakiemś niekłamanem, silnem uczuciem przywiązania do przyswojonego symbolu; w drugiej, groźba wydania tajemnic wzroku jest niesłychanie wdzięczną i dowcipnie naiwną, *très-courtoise*, jak mówią Francuzi, groźba, stanowiąca delikatny a zręczny dla zagrożonej kompliment; sześciowiersz, zamykający utwór, jest zręcznem manewrowaniem kombinacyi dla wydobycia w wierszu ostatnim konceptu, stanowiącego sonetu nieodzowny warunek, i który tu w przeciwstawieniu serca do obrazu wcale szczęśliwie wypada.

Uwagi te nasze i przytoczenia służą (taka przynajmniej jest nasza intencya) do materyalnego niejako poparcia opinii tych, którzy, szczędząc przykładów, wynosili język i artyzm Morsztyna po-nad miarę epoki literackiej w Polsce. Wiersz oryginalny, czy przyswojony, co nam w tym razie do tego: dla smaku, dla kształcenia czytelnika, zgoła nie znającego jego pochodzenia, był on zawsze pierwszyzną, nowością, i w znaczeniu propedeutyki poetyckiej mógł wywierać wpływ (inne pytanie, czy go rzeczywiście wywierał). Do tych dwóch przymiotów Morsztyna, dotyczących języka i artyzmu, przystępuje trzeci: obdarzenie poezyi naszej nowym żywiołem, czyli, jak się wyraża Chmielowski, nowym gatunkiem poetyckim treści miłosnej, i tego nikt, kto zna dzieje literatury polskiej, nie zaprzeczy, a jakkolwiek jest to przeważnie miłość tylko zmysłowa, posiada ona wszelako właściwe swoje formy w objawach słownych i obrazowaniu. Mamy więc trzy dane do rozważenia stanowiska Morsztyna w literaturze naszej, trzy tytuły przez krytykę uznane. Osobliwie też wobec tego wygląda wyrzeczenie (*l. c.*) „Ze sławy (!) poetyckiej Morsztyna zostały niemal strzępki... zmasakrowany przez p. Porębowicza Morsztyn może jednak w grobie swoim spać spokojnie, bo wygiąwszy język nasz w barokowe esy i floresy Mariniego (*sic*, lubo jest to Marino, nie Marini) i Marota, przygotował zawczasu materyał poetycznej mowy dla tych, co przyjść mieli, dla Słowackich i Zaleskich. Spełnił swe zadanie. *Pax ei!*" Zmasakrował Morsztyna p. Porębowicz?.. Wątpię, czy on będzie sprawozdawcy

Digitized by Google

wdzięcznym za to wyrażenie. Nie dla masakrowania kogo bądź wziął on pióro do ręki, ale dla wykrycia prawdy i postawienia rzeczy na właściwem miejscu. Wykrył naśladownictwa w Morsztynie, i cóż ztąd? Gdyby się był pośpieszył o trzy wieki i uczynił to za życia poety, to ze względu na ówczesny sposób pojmowania u nas literatury nie byłby zgorszył nikogo, nie ująłby ani odrobiny znaczenia poecie, któremu zgoła nie chodziło o to, aby być oryginalnym, tylko aby jak najwięcej nowości sprowadzać do kraju, w pięknym a dostępnym dla kraju języku. A dzisiaj?.. Dzisiaj mamy inne kryteryum do mierzenia rzeczy oryginalnych lub importowanych. Ale istnieje naprzykład malarz Czechowicz. Można z ołówkiem w ręku odbyć na nim eksperyment, jaki świeżo dokonano piórem na Morsztynie, i dowieść, że każda jego kompozycya, ba, nawet każdy szczegół jest naśladowaniem, przeróbką, czy odbiciem kompozycyi włoskiej, wreszcie, to rzecz wiadoma. Czy przez to sława Czechowicza rozbiła się na strzępki? Zawsze tam coś pozostało z niego, coś, co zrobił talent osobisty, z czego korzystała społeczność. Jest to w każdym razie twórczość, która, skrystalizowana w wyrazie konkretnym, stała się pomnikiem sztuki i w otoczeniu szacunku wchodzi do muzeum narodowego. Nikt nad Czechowiczem nie powiada drwiąco: *pax ei*! To samo, słowo w słowo, zastosować można do Morsztyna: jako wyraz poezyi swojego czasu, na zasadzie indywidualności osobistej i narodowej, jaką odbił w swem dziele, ma on wskazane miejsce w panteonie sztuki, żywotnym pomnikom należne; miejsce to należało-by się jemu, choćby był tylko prostym i bezwzględnym tłómaczem, jak w tragedyi „Cyd", jak w większej części „Psychy." Tem bardziej należy mu się ono jako autorowi Lutni i Kanikuły, gdyż, lubo są to przeróbki, ale wcale nie gorsze od „Dworzanina", około którego z racyi przeróbki, wcześnie ujawnionej, wcale nie robiono harmideru, tylko autora, bez względu na pierwowzór, wprost do celniejszych pisarzy zaliczono.

Ma on z Górnickim ten przymiot wspólny, że lubo bierze skądinąd, ściera we własnej indywidualności cechy pochodzenia. Morsztyn, jakkolwiek oddany wpływom obcym, nigdy i w niczem nie zatracił znamion rasowych. Maskuje—powiada p. Porębowicz—zapewne; tylko nie znać tam, ażeby maskowanie to było usiłowane w celach podejścia (niektóre utwory już w rękopisach co do źródeł są zaznaczane). Maskowanie to idzie samo z siebie, z natury silnej, z talentu, z wybitnej ekspresyi narodowej. Wszędzie widać w nim szlachcica, z jego fantazyą lokalną i indywidualną, gospodarza wiejskiego, który w domu, na polu i w lesie, w sadzie i ogrodzie, wszystko umie nazwać po imieniu, rodzinnym kolorytem zabarwić. Dopomaga mu w tem zkądinąd to, że pomimo naginania języka do form delikatnych i subtelnych cie-

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

niowań myśli, pomimo dworskości dykcyi w odpowiednych okolicznościach, nie wyzbył się jeszcze staropolskiej rubaszności i nieraz strzeli wyrazem lub zwrotem, przypominającym czasy Marchołta.

Rozważając wszystkie szczegóły, odznaczające dzieło Morsztyna: jego miłość w części poważną, w zwrotach zwłaszcza do przyszłej małżonki, w największej części swawolną, a traktowaną na zimno i sztucznie dla sztuki; jego wieczny na ustach uśmiech jakiś drwiący obok zapałów i łez zaskórnych; lekkomyślne, choć nie sceptyczne, potrącanie przedmiotów czci religijnej; ubóstwo treści przy bogactwie form; nieustanne szermowanie konceptami i wyszukiwanie niespodzianek; allużye i arabeski mitologiczne; ubieganie się za efektem powierzchownym, a zawsze na drobną skalę; biorąc przytem na uwagę i samą ilość produkcyi, w dziele zawartej, ułatwiającą pochwycenie typu, przychodzimy do jakiejś syntezy. Przed oczyma staje nam *poeta stylowy*; jest to ostatnie określenie, jakie nam na myśl się nasuwa. Może to być styl lichy, zwyrodniały przez brak zasilającej treści, barokowy, ale taki, który potrafił się pewnemi zaletami zdobyć na jednolitość i fizyognomię. Jest to fizyognomia lekkoducha, egoisty i próżniaka, który jednak nikomu nie szkodzi, ani zawadza, a dowcipem towarzyskim, facecyami, dobrym humorem i wykwintnem wzięciem, staje się przyjemnym (un aimable gaillard). W kąciku mu stać obok attycyzmu, gotyku, renesansu, ale kącik to jego własny.

Czy Morsztyn, przy niezaprzeczonym talencie, mógł był poruszać się w innym stylu, w sferach wyższej treści duchowej, to kwestya innego rzędu, której dotknął ś. p. Świderski. Żył on w epoce, kiedy wypadki ogólno-krajowe, w piersiach człowieka wyższej zwłaszcza i inteligentniejszej sfery społecznej, mogły i powinny były obudzić inne jeszcze bicie serca, niż tylko do Kasi, Jasi, Zosi i Heleny. W „potopie“ klęsk i zdrad, przy ogniu bohaterskich wysileń, pan ambasador i referendarz koronny, przy boku króla, w poezyi swej kocha się tylko i goreje; czy to kiedy stany podpisują traktat, przebóg, Oliwski, tak różny od Toruńskiego, czy kiedy Swiderski z bandą swą pod mianem konfederacyi grasuje po kraju, samowolnie wybierając zaległy żołd wojskowy; a w tym samym roku dedykuje marszałkowi nadwornemu pieśni swej „Lutni“, kiedy brzmienie innej pieśni rozegrało pod Montwami fatalną partyę między królem i Lubomirskim. Dziwna istotnie obojętność natury poetycznej, czy dziwny jej nastrój, kiedy niema chwili dziejowej o ciężkich lub wspaniałych przejściach, w której-by siaki taki poeta nie uronił jakiegoś odblasku swego wrażenia; kiedy nawet taki Horacy, płatny dworak i „Epicuri de grege porcus“, pod obuchem despoty podczas polityki, która mu się zdawała niebezpieczną, jeszcze odważa się pisać odę: „O navis!“—Możnaż za tę co do spraw publicz-

Digitized by Google

nych zupełną abstynencyę poetyczną winić Morsztyna? Nie sądzimy. W poezyi i sztuce pamiętać trzeba, że „spiritus flat ubi vult.“ Cały jego kierunek poetyczny świadczy, że duch nie był powołany do wielkich rzeczy, że umysł opanowały *concetti*; a przypomnieć do tego trzeba, że poezya, obok czynnego i obowiązkowego zajęcia się dyplomacyą, była u niego tylko dodatkiem. Stronnik króla Jana Kazimierza, sprzymierzeniec wierny królowej Francuzki, ożeniony z Francuzką, zwolennik francuskiego obyczaju, dawno on już przed sejmem z r. 1683 zamierzał na stałe przenieść się do Francyi; postarał się o indygenat francuski, i nie czekając nawet wyroku sejmowego, dostawiwszy jednak hufiec wojskowy na sławną potrzebę wiedeńską, poprostu uciekł do nowej ojczyzny. Sprawa jego, nierozstrzygnięta na owym sejmie, wznowioną została w półtora roku potem. Oskarżony o nadużycia skarbowe, o zbrodnię stanu i obrazę majestatu, sam nie przyjechał się bronić; sąd odbywał się tedy zaocznie, obronę wnosili za nim rzecznicy z urzędu. Brudna ta sprawa, skutkiem zerwania sejmu przerwana, nanowo się zabagniła. Jak Morsztyn korzystał ze swego wysokiego posterunku państwowego, dowodzi wydany nań następnie zaoczny wyrok senatu, mocą którego, pod rozmaitemi zagrożeniami, skazany został na zapłacenie 360 tysięcy zł. pol. za niewłączone do skarbu dzierżawne z mennicy, oprócz zwrotu zabranych ze skarbca klejnotów koronnych. Milczeniem pokryto inne nieczyste sprawy finansowe i polityczne, obciążające sumienie owego skruszonego „pokutnika z Quartanny“, który bardzo niedługo po napisaniu tego sławnego wiersza przed sądem ludzkim i obywatelskim na obcą schronił się ziemię, pod bok obcego króla.

Kiedy nazwisko jego jako dyplomaty i jako poety najgłośniej brzmiało w Polsce, on tymczasem zakupił nieopodal od Wersalu wielkie dobra Château-vilain, znakomite pod względem krajobrazu i płodności, z któremi łączyły się tytuły baronowskie i hrabiowskie (Er. Deiches, str. 103). Jak tam przepędzał życie, nie wiadomo; są tylko ślady, że jeszcze dyplomatyzował, jako doradca dworu francuskiego w stosunkach z Polską. W kole wiecznych uroczystości wersalskich snadź udziału nie przyjmował, żadne bowiem pamiętniki współczesne, wyprowadzające na arenę tyle nazwisk swojskich i cudzoziemskich, o nim nie wspominają. Jeden tylko Labruyère, jak za Siemieńskim powtarza p. Deiches, w „Charakterach“ na nim wzorować miał sylwetkę typowego skąpca (prawda, że jeszcze za pobytu w Polsce pożyczał pieniędzy na wysoką prowizyę). Nową ojczyznę wziął na seryo, zfrancuział. Syna, tytułującego się już hrabią de Châteauvilain, ożenił z Francuzką, córką księcia de Chevreuse, i umieścił w wojsku francuskiem. Z trzech córek najstarszą zaprzepaścił w klasztorze Urszulanek w Pa-

Digitized by Google

ryżu. Młodsza wyszła za Bielińskiego; najmłodsza zaś za Kazimierza Czartoryskiego, przez co Andrzej Morsztyn stał się po kądzieli pradziadem króla Stanisława Augusta. Po mieczu nic się z jego potomstwa nie zostało: syn bowiem, w lat dwa po śmierci ojca, 1695 roku zginął przy oblężeniu miasta Namur we Flandryi, pozostawiając dwie tylko nieletnie córki.

Próżno zatem argumentować, że gdyby nie dyplomacya, Morsztyn, jako poeta, byłby... i t. d; albo, że Morsztyn w giętkości swego umysłu umiał pogodzić poezyę z dyplomacyą, jak chce p. Deiches, a tylko... i t. d. Pogodzić? zapewne: tylko jaką poezyę. Jakie życie, taka poezya, i innej być nie mogło, bo innym nie mógł być człowiek: gdyby miał być innym, takim, jakim go przypuszczalnie sobie, bez dyplomacyi, wyobrażają, nie byłby się zrobił dobrowolnie dyplomatą. Jego też poezya odpowiada w zupełności materyałowi, z jakiego duch jego powstał: giętka, sprytna, ogładna, nie rachująca się ściśle z moralnością, bez wzniosłości i zapału, czasami jednak odzywająca się głosem szlachetniejszym,—słowem, przystająca do czynów. Należy mu się nawet uznanie za to, że się w poezyi nie przymuszał, że przy ziemi chodząc z oczyma w ziemię wlepionemi, nie chciał wierszami pozować na hussarza ideału, a tym sposobem uniknął obłudy i śmieszności.

Jakkolwiek jednak dużo zawinił w życiu, przez wzgląd na wymienione tu ofiary, z jakiemi w ważnych chwilach pośpieszył, nie możemy oskarżać go o zupełną dla kraju obojętność, tak samo jak nie możemy twierdzić, aby wszystkie jego utwory poetyczne osnute były na obcych wzorach. Pomiędzy temi, które, mimo odkryć p. Porębowicza, mają fizyognomię niepodejrzanie oryginalną i za takie uchodzą, znajdują się i takie, które innemi być-by nie mogły; wychodząc bowiem zgoła ze sfery kosmopolitycznej, stają bezpośrednio na gruncie swojskim. Te bezpośrednie, nie zabarwione ani mitologią, ani konceptem, ani niczem co do seicentyzmu należy, wprawdzie na palcach jednej ręki zliczyć można, zamilczeć jednak o nich nie wypada. I w tej jednak garstce przeważa satyra. Najwydatniejszą pod tym względem jest (chromająca w rymach końcowych wierszy) allegorya p. t. „Sejm Warszawski" (str. wyd. 222), na który „huczno, strojno", zjeżdża siedm grzechów głównych. „Pycha w rynku stanęła, Lenistwo w ulicy, Gniew z Zazdrością po dworach, Obżarstwo w piwnicy. Nieczystość chciała stanąć w rynku przy senacie" i pomimo protestu ze strony Pychy postawiła na swojem. Satyryczną jest też dążność wierszy (str. 185—6), jednego z tytułem „Pospolite ruszenie", z widoczną alluzyą do bitwy pod Żółtemi wodami i Pilawcami, a zakończonego znaną dewizą: Parturiunt montes..."; oraz drugiego p. t. „Non fecit taliter ulli nationi", w którym

Digitized by Google

poeta, wymieniwszy dobrodziejstwa przez Boga uczynione dla kraju, zakończa w ten sposób:—„Czegóż chce więcej ta kraina z nieba, mając dość sławy, obrony i chleba?.. Rządu potrzeba." W obu tych wierszach niema już ani śladu seicentyzmu, intencya satyryczna w dykcyi miesza się z bólem. Wiersz do „Jana Szumowskiego" (str. 93), pokojowca królewskiego, nie zawiera żadnej myśli, ani tendencyi wyższej, ale ma cechę niezaprzeczenie swojską, malując zajęcia osób w kraju i za granicą, zostających w służbie królewskiej; napisany przytem interesująco, z humorem i werwą. Największą jednak we względzie narodowym chlubę przynosi Morsztynowi wiersz „Do Jana Grotkowskiego, internuncyusza J. K. Mości w Neapolim" (str. 153), w którym, wyliczając rozmaite pokusy, jakie ciągnąć go będą do zcudzoziemczenia się, przestrzega przyjaciela i kolegę po tece i piórze:—„Niech cię tak niema sobie kraj napolski (neapolitański), abyś ojczystej miał zapomnieć Polskiej." Stosuje się to głównie do tego, aby poeta Grotkowski, pod wpływem sztuki włoskiej i wspomnień klasycznych, nie przerzucił się do włoszczyzny albo łaciny w języku, zaraz bowiem potem upomina go:

—„Możeć twój wierszem mówić dowcip żyzny,
I z teraźniejszym i z upadłym Rzymem;
Ale ty pomniąc prostotę ojczyzny,
Mów z nią domowym, nieprzewoźnym rymem,
I swojej matce nie zadaj tej blizny..." i t. d.

Jako utwór czysto swojski wskazać też należy wiersz p. t. „Rzeki" (str. 50), gdzie autor, przy krótkiej determinacyi większych, lub mniejszych potoków, np.

—„Niechaj ci Wisła napój leje wszystką siłą,
Królewny naszej śmiercią sławna i mogiłą..."

albo:

—„I Tykicz ochmatowski, i te Sine-Wody
Gdzie swe przeprawy mają ordyńskie narody"—(Tatarzy),

przebiega całą hydrografię Rzeczypospolitej.

Praca p. Porębowicza, jak już powiedzieliśmy, nie jest monografią; poświęcona jedynie wyjaśnieniu wpływów obcych na Morsztyna co do treści i formy, nie zajmuje się ani oceną wartości poetycznej ogółu, ani nie obejmuje całości dzieła. Pod względem oceny, czytelnik znajdzie najkompletniejsze do dziś objaśnienia w studyum Tytusa Świderskiego (Przewodnik nauk. lit. 1878 r.), oraz w rozprawie wstępnej Chmielowskiego do wydania, zatytułowanej „Andrzej Morsztyn." Pod względem życiorysu, książka p. Ernesta Deichesa, opracowana źródło-

Digitized by Google

wo, znacznie uzupełnia luki, dotąd pozostawione. Żaden jednak z dotychczasowych badaczy, wspominając o oddziaływaniu poety na swą epokę, o wpływie na literaturę naszą w ogólności, nie pokusił się nawet wpływu tego bliżej określać. Bo i cóż tu mówić o przepływie myśli literackiej w tym siedmnastym wieku, kiedy część ludności, stanowiąca naród, przez pacta conventa dobijając się coraz większych swobód i udziału w rządzie, a raczej nierządzie, przeważnie zabrała się do polityki sejmikowej, prowadząc ją w sposób najsamolubniejszy. Polityka ta pochłonęła wszystko. Spuszczono z rąk naukę, wychowanie młodzieży i piśmiennictwo. Czytanie tak mało stało się potrzebnem, że druki, prócz broszur, niezmiernie przerzedniały. Produkcye poetów leżały, albo co najwięcej, rozłaziły się w rękopisach, tak, iż najważniejsze rzeczy, jak np. „Wojna Chocimska", drukiem wychodziły w naszym dopiero wieku. Kiedyż w takich okolicznościach poeta mógł doczekać oceny, krytyki, uznania? W podobnem położeniu znalazł się i Morsztyn. Ile ze stylu przedmowy „typografa do czytelnika" wnosić można, część rękopisu wydrukowaną być musiała gdzieś na złamie siedmnastego wieku z ośmnastym, a reprodukowana w połowie tegoż, i to część najmniej charakterystyczna, bo tylko Psyche i Cyd. Na część Lutni czekać trzeba było odtąd lat jeszcze przeszło sto, aż nareszcie, nareszcie... dziesięć lat temu, Warszawa dała dopiero ogółowi kompletny przedruk, ułatwiający poznanie całości. Przy takim raczym pochodzie druków, wychodzących kawałkami rękopisu, nie dziw, że i krytyka nie mogła się odrazu połapać i popełniała omyłki. To też kiedy dzieło, zamiast mieć odrazu obieg publiczny, wiekami spoczywa po szufladach gdańskich kantorków, przechodzi przez ręce czytelników przygodnych i wiekowego snu zażywa w bibliotekach, co mówić o jego oddziaływaniu na umysł ogółu? Skąd o tem zasięgnąć wiadomości? Z zacytowanej tylko co przedmowy do najpierwszego druku, (za której przedruk, nawiasem mówiąc, bardzo wdzięczni jesteśmy p. Chmielowskiemu, bo nas ona cośkolwiek oświeca), śmiesznym stylem, ale uczciwie i rozumnie napisanej, domyślać się możemy, że Morsztyn się podobał. Wydawca ogłasza jego dzieło (Psychę i Cyda w przekładzie), ażeby „pokazać, z jaką *niesłusznością rozumieją niektórzy*, że polski język nie jest tak sposobny, ani jako insze ma płynących i uszom miłych ekspresyi." On sam rozumiał więc, że język Morsztyna ma, jako insze, te uszom miłe ekspresye. Dobrze i ten cień sądu spółczesnego pochwycić. Dalej zaś pan typograf powiada:—„Tym jednak najbardziej celem daję do druku, co autorowie (bo razem wydał i przekłady jego bratanka) dla siebie tylko i prywatnych przyjaciół napisali, żeby *hoc stimulo* wzbudzić *ad aemulationem decora* w Polszcze *ingenia*..." Otóż właśnie i jemu chodzi o ten wpływ, o pobudzenie emulacyi, nie żeby dzieło pozostawało

Digitized by Google

tylko na pożytek osobisty i prywatny. To ostatnie wyrażenie raz jeszcze wskazuje, że Morsztyn, pisząc „dla siebie tylko i prywatnych przyjaciół," nie szukał sławy, że zatem nie było czego rozbijać na strzępy, ani masakrować, jak się przywidziało przywiedzionemu przez nas sprawozdawcy.

Czy i w jakim stopniu powiódł się szlachetny zamiar czcigodnego typografa w obudzeniu konkursu do doskonalenia języka i artystycznych form poezyi wiersza polskiego na podstawie opublikowanych przez niego dzieł, czy na podstawie samych rękopisów lub druków późniejszych, słowem, czy i jakie wpływy wywierał Morsztyn: oto pytanie, mogące się rozwiązać tylko za pomocą takiej ankiety, jaką dla wykazania przez Morsztyna przejmowanych wpływów podjął p. Porębowicz, Czekajmy, może on i sam tej kompensaty dokonana.

Kazimierz Kaszewski.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Apam Darowski.—„Szkice historyczne.“ Seryа I. Petersburg. 1894. (Stron. 317.)

W seryi pierwszej szkiców historycznych p. Darowskiego witamy studya, z któremi mieliśmy już sposobność zapoznać się w łamach poważniejszych wydawnictw warszawskich. Autor usposobił odrazu życzliwie dla swych prac krytykę specyalną, a opowieści jego historyczne zaciekawiały szerokie koła czytelników. Wiek XVII był dobą, w której się autor zawarł szczelnie, a jak wiadomo, był to dla dawnej rzeczypospolitej polskiej wiek nieustających burz i wstrząśnień, który dla historyka zarówno, jak i dla statysty, przedstawia rozległe pole dla naukowych zdobyczy i zasługi.

Na wstępie p. Darowski wymienia źródła, któremi się posiłkował. Nie imponują one obfitością, ale przyznać trzeba, że są ważne i że znajdują się między niemi takie, które dotąd, albo wcale, albo niedostatecznie zostały przez historyków bieżącego stulecia uwzględnionemi. Zaznaczyć również winienem na korzyść autorà, że skrzętnie i gorliwie przejrzał materyał archiwalny russki i prace samodzielne historyków ruskich, którzy się epoką przez niego badaną zajmowali.

Pierwsze studyum, z którem się w seryi I szkiców spotykamy, nosi tytuł: „W przededniu tureckiej nawałnicy.“ Przedmiotem opowieści dziejowej w tym pierwszym i najobszerniejszym szkicu stały się czasy bardzo smutne i dla nadwątlonego gmachu Rzpltej zło-

Digitized by Google

wróżbne. Zaledwie bowiem złożono do grobu Michała Korybutta, gdy trzeba się było zająć elekcyą nowego króla, a dzieje tej elekcyi stanowią punkt wyjścia dla obrazu, jaki Rzplta przedstawiała w przededniu tureckiej nawałnicy.

Autor poświęca głównie uwagę stanowi Ukrainy, która była naówczas jabłkiem niezgody między ościennemi mocarstwami, i zajmuje się stosunkami dyplomatycznemi, jakie panowały między sułtanem, carem moskiewskim i królami polskimi. Czem było każde bezkrólewie dla Rzpltej, przekonać się możemy choćby z tego, że, właśnie korzystając z owej doby niemocy państwa polskiego, wkroczyło 80,000 wojsk russkich na prawą stronę Dniepru w celu zniesienia Doroszeńki „poddanego tureckiego."

Gdy nareszcie obrano Sobieskiego na króla, starali się rezydenci russcy rozwiązać dyplomatyczną zagadkę: czy nowy elekt połączy się razem z ich panującym na Turka, czy też porozumie się z Turkami i Tatarami, poświęcając im Ukrainę. Jan III zaraz po wstąpieniu na tron wysłał poselstwa do sułtana i do cara, powierzając tę ostatnią misyę pisarzowi pokojowemu, Samuelowi Węsławskiemu. Historya jego poselstwa została przez p. Darowskiego szczegółowo opisaną i zawiera wiele interesujących szczegółów, charakteryzujących stosunki dyplomatyczne państw obu. Główny cel jednak dwukrotnego wysłania Węsławskiego do Moskwy spełzł na niczem; car bowiem do wspólnego wojowania przeciw Turkom namówić się nie dał. Nie pozostało też Janowi III nic innego, jak oświadczyć się przed Bogiem i całem chrześciaństwem, że nie dla innej przyczyny, a tylko dla niedania posiłków, nie mogąc sam resistere, będzie musiał ad media pokoju przystępować. Jednem słowem, myśl polityczna, którą widzimy w Andruszowskich układach, zamiar wytworzenia ligi przeciw Turcyi, spełzł mimo starań Jana III na niczem i przebieg dyplomatycznych zabiegów, dążących do tego celu, a zakończonych niefortunnie dla Rzpltej, stanowił główne tło pierwszego szkicu p. Darowskiego.

Drugi szkic p. t. „Rezydent na dworze polskim w XVII wieku" zajmuje się tak samo dziejami Jana III, począwszy od bezkrólewia po śmierci Michała, przyczem autor zwrócił głównie uwagę na sprawozdania poselskie Tiapkina, ówczesnego russkiego rezydenta w Warszawie. Ciekawemi są szczegóły, dowodzące, jak imponującą była postać Sobieskiego i jaki nieprzeparty urok wywierał zwycięski król na otoczenie. Tiapkin też, niezbyt zachwycony lojalnością magnatów polsko-litewskich, mimowoli uczuwał dla Jana III szczerą sympatyę i cześć. Widywał zaś króla w namiocie polowym i na radzie wojennej pod otwartem niebem, gdy przybywszy na miejsce, rzucił na ziemię

Digitized by Google

burkę, usiadł na niej i z tak zaimprowizowanego miejsca przemawiał do zebranych.

www.libtool.com.cn

Trzecim szkicem jest „Intryga Salomonka", podająca nam kartkę z dziejów Jana Mazepy. Zostawszy hetmanem zaporoskiej Ukrainy, Mazepa wraz z buławą pozyskał zażartych nieprzyjaciół, którzy go chcieli zgubić w oczach russkiego dworu. Sypały się też nieustannie denuncyacye. Były one tem łatwiejsze, że w istocie z wyniesieniem Mazepy, żywioł polski, przodujący cywilizacyjnie na Kozaczyźnie i bardzo tam rozgałęziony, mógł upatrywać w nim swoją podporę. Mazepę bowiem łączyły stosunki rodzinne z Polską, a siostra jego zaślubiła jako trzeciego męża, Polaka—Wojnarowskiego.

Przez długi czas nie wiodło się denuncyantom i Mazepa, przyjeżdżając do Moskwy, umiał usuwać nawet cień podejrzenia carskiego. Bezskuteczne denuncyacye nie zniechęcały jednak następców i do rzędu takich bezczelnych oszustów i „wisielców" należał Salomonek, którego niefortunną intrygę opisał p. Darowski.

Nierównie donioślejszym od kartki z dziejów Jana Mazepy jest ostatni szkic, opisujący misyę dyplomatyczną w XVII wieku (1635).— Władysław IV dla odebrania zaprzysiężonego oryginału traktatu Polanowskiego wysłał do Moskwy w 1635 r. Aleksandra Piaseczyńskiego, kasztelana kamienieckiego i doświadczonego pułkownika z ostatniej wojny, oraz Kazimierza Sapiehę, wojewodzica wileńskiego. Obopólną nieufność widać w ciągu całej powyższej misyi dyplomatycznej. Składają się na nią nietylko same polityczne względy; jest także antyteza charakterów, tradycyi, cywilizacyi, jest więc dość powodów do przeciwieństw. Poselstwo Piaseczyńskiego posiada jeszcze i tę ciekawą stronę, że w jego przebiegu uwydatniają się bardzo dobitnie, tak charakterystyczne dla owych czasów, drobnostkowe wymagania dyplomatycznego ceremoniału, ze zwykłemi targami, zastrzeżeniami, kłótniami, pochłaniającemi niemal tyle czasu i trudu, co same układy pokojowe, rozstrzygające o losach państw.

W tymże samym szkicu znajdujemy opis poselstwa russkiego (Lwów i Projestjew) do Władysława IV, które miało być obecnem zaprzysiężeniu traktatu Polanowskiego przez króla. Wogóle zaś ostatnie studyum p. Darowskiego zawiera dużo interesujących szczegółów, które opowieść dziejową czynią barwną i zajmującą.

Serya pierwsza szkiców p. Darowskiego zapowiada niewątpliwie literaturze naszej historycznej pracownika sumiennego i utalentowanego. Dla charakterystyki XVII wieku w Polsce studya jego staną się pożytecznym przyczynkiem. Uderza jedynie w niektórych szkicach za duża przymieszka szczegółów kronikarskiej natury, co wykład ważnych politycznych wypadków nieco zaciemnia. Najudatniejszą

Digitized by Google

opowieścią odznacza się szkic ostatni. W nim nawet prywatne swary Piaseczyńskiego i Sapiehy rzucają właściwe światło na postacie ówczesnych posłów rzeczypospolitej i pouczają czytelnika, jakiemi-to nieniewydyscyplinowanemi organami musiało się państwo polskie posługiwać, załatwiając stosunki dyplomatyczne z ościennemi mocarstwami

www.libtool.com.cn

Karol Potkański.—„Naukowa działalność Lotara Darguna.“ 1893.

Po zmarłym niedawno prof. Dargunie została bogata naukowa spuścizna. Przedmiot, nad którym pracował, nie należał do najwięcej znanych; była nim Socyologia, a ponieważ pr. Dargun pisał przeważnie po niemiecku, przeto p. Potkański powziął bardzo pożyteczną i właściwą myśl skreślenia naukowej działalności zmarłego uczonego na tle jego nauki.

Są zagadnienia, jak utrzymuje autor, które się rodzą jakby na rozstajnych drogach. Na takim właśnie punkcie skrzyżowania powstała socyologia. Złożyło się na nią kilka odrębnych przedtem nauk, które znalazły się naraz w najbliższem sąsiedztwie i poczęły na siebie wzajemnie oddziaływać. W ten sposób weszły w skład socyologii: etnologia, prawo i ekonomia, a dziś nawet nauki przyrodnicze, a przynajmniej pewna ich część. Połączenie to nastąpiło niedawno, nie zrosły się też jeszcze wszystkie części tej młodej umiejętności, znać na niej świeże szwy i spojenia.

Cała zasługa stworzenia etnologii i podniesienie jej do rzędu nauk przypada w udziale nowszym czasom. Dzicy przeszłego stulecia znikli, albo przeszli do literatury. Znikł także wiek złoty i stan natury, nikt nie probuje odnaleźć w sobie dzikiego, idąc do lasu. Metodą panującą pod koniec tego wieku jest metoda porównawcza. Powstała też i etnologia porównawcza, która się połączyła z prawem i zamieniła w jeden z wielkich kierunków socyologii współczesnej. Prawie równocześnie powstał drugi kierunek teoretycznych badań, odmienny niż dawniejsze badania abstrakcyjnych filozofów. August Comte, słynny twórca filozofii pozytywnej, jest tego kierunku głównym przedstawicielem, on pierwszy dał cały system socyologii i dał nawet samą jej nazwę. Po nim badania teoretyczne posunęły się bardzo ku naukom przyrodniczym. Idą one samodzielnie, prawie równoległe z badaniami etnologicznemi, czekając może, aż się gdzieś znowu ostatecznie połączą.

Przedstawicielami kierunku etnologicznego jest bardzo wielu uczonych. Z pośród nich jeszcze wydziela się grupa przedstawicieli kierunku prawa etnologicznego, tak zwanego inaczej prawa porównaw-

Digitized by Google

czego, i do niej właśnie należał Dargun. Jak wiadomo, w pierwszej połowie XIX stulecia Savigny wprowadził do prawa metodę historyczną. Przyjęto ją wkrótce powszechnie, ale sądzono, że bez metody porównawczej, etnologicznej, obejść się można. Połączenie etnologii z prawem dokonane zostało bardzo niedawno. Zasługa zrobienia pierwszego wyłomu należy się sędziemu Tal z Bremy, po nim idzie Köhler z Würzburga, a najmłodszym był Dargun, i tego właśnie najwcześniej dla nauki zabrakło.

Dargun poświęcił się badaniom nad rozwojem rodziny i własności. W r. 1882 pojawia się jego praca „O pokrewieństwie przez same tylko matki u starożytnych Germanów," a w r. 1883 wydał ją rozszerzoną i uzupełnioną po niemiecku p. t. *Mutterrecht und Raubehe und ihre Reste im germanischen Recht und Leben*. Poznajemy tutaj, jak twierdzi autor, znaną nam już rodzinę macierzystą i owo małżeństwo przez porywanie, o którem tyle pisał Mac Lennan. Jedno zaś jest nowem: oto objaśnienie zabytków starego prawa germańskiego, z pomocą nowych zdobyczy etnologii porównawczej. Zyskała na tem i etnologia i było to jej pierwsze zetknięcie się ze ścisłą nauką prawa. Zaraz na wstępie zaznaczył Dargun powszechność linii macierzyńskiej, a jako pierwszą przyczynę tego stanu podawał pierwotną niepewność ojcowstwa. Później dopiero przyszły inne wpływy i system ów pokrewieństwa mógł się dalej rozwijać, choć ojcowstwo było już znanem i wiadomem. Opierało się ono jednak zawsze na prawie własności ojca względem dzieci, nie zaś na związku krwi.

Dargun znalazł dosyć wskazówek, które pozwalają przypuszczać, że linia macierzysta istniała w czasach przedhistorycznych u różnych germańskich plemion. Stan dziecka zależał od stanu matki, krewni po kądzieli byli bliżsi, a stosunek ojca do dzieci nie był oparty na pokrewieństwie. Udowodnieniem, że małżeństwa przez porywanie istniały u starożytnych germanów, zajął się Dargun w drugiej części swej książki, która mu zapewniła trwałe imię wśród historyków prawa niemieckiego.

W r. 1885 wydał Dargun dzieło: „O egoiźmie i altruiźmie" w ekonomii społecznej, oraz swą teoryę własności pierwotnej. W dziedzinie zjawisk ekonomiczno-społecznych walczą z sobą dwa pierwiastki: egoizm i altruizm, choć nie zawsze z jednakową siłą się ujawniają. Dargun oznaczył nawet z całą ostrożnością prawo do ich wzajemnego następstwa. Jest to jakby ruch falisty, w którym każdy z tych pierwiastków to się zniża, to się podnosi i rozszerza. Praca Darguna, poświęcona pierwotnej własności, jest bardzo ciekawą. On-to pierwszy założył lewar pod ową uznaną i wiecznie tylko z jednej strony obrabianą pierwotną wspólną własność. Pokazało się bowiem, iż na najniż-

Digitized by Google

szych szczeblach łowiecko-rolniczego sposobu życia panuje prawie zupełny atomizm, rozbicie na odosobnione rodziny, które się łączą w drobne koczownicze plemionka bez ściślejszych węzłów politycznych. Pojęcie własności w tem stadyum opiera się na faktycznem posiadaniu i plemię nie ma nic przeciw temu, że ktoś coś posiada, bo wszyscy są w równej biedzie i wszyscy równie toż samo zdobyć sobie mogą. Dargun jednak nie przeczył istnieniu własności wspólnej, owszem, twierdził, że jest ona jedną fazą w ogólnym rozwoju ludzkich społeczeństw, tylko że nie jest najstarszą.

Ostatnią pracę wydał Dargun w Lipsku w r. 1892 p. t. *Mutterrecht und Vaterrecht.* W niej rozwiązał pełniej myśl główną, zaznaczoną już w poprzednich studyach, a mianowicie: iż niewiadomość ojcowstwa odgrywa niepoślednią rolę w przejściu od rodziny macierzystej do patryarchalnej, to znaczy: im więcej jest ojcowstwo niepewnem i niewiadomem, tem więcej sprzyja wytworzeniu się rodziny macierzystej, im zaś jest pewniejszem, tem łatwiej może się wyrobić rodzina patryachalna. Obydwom tym formom rodziny odpowiadają systemy dziedziczenia; więc jest system macierzysty i ojcowski. Nie są one jednakże tak proste, jak dotąd mniemano, ani też nigdzie nie były konsekwentnie przeprowadzone i nie przedstawiają się w całej ścisłości.

Zdaniem autora, umysł Darguna można przedewszystkiem określić w dwóch słowach: ścisłość i jasność. Te są dominujące znamiona we wszystkiem, co napisał i pomyślał, to stanowi wewnętrzną osnowę i wewnętrzną spójnię wszystkich jego prac. Nie wprowadzał Dargun nauk przyrodniczych do socyologii, ale nie wprowadzał formalnie, zewnętrznie. Zrobił jednak lepiej, bo wprowadził mimowoli całą ich ścisłość, a zarazem ostrożność, a więc ich metodę. Widział sam nieścisłość swej nauki, znał środki, któremi rozporządzał, i tem właśnie był ścisły. Przestrzegał, że dosyć zawiłe same przez się kwestye jeszcze się staną zawilszemi, jeśli się je połączy z najwyższemi zagadnieniami filozofii. Im ściślej zaś naukowe wnioski w socyologii związane będą ze swą induktywną podstawą, im mniej się od niej oddalą, tem będą pewniejsze. Indukcya pozostała też ulubioną metodą Darguna, wszędzie mu o nią chodziło i wszędzie się na nią powoływał.

Ostrożność i ścisłość zrobiły może Darguna mniej świetnym i pozbawiły wyraźnych i twardych konturów, które mają teorye przeprowadzone bezwzględnie aż do swych ostatecznych granic; ale za to nie pozwoliły stoczyć się razem z teoryą, po równi pochyłej, aż do doktryny, a tak się stało u wielu. Umiał Dargun ograniczyć, zmienić, a nawet obciąć swą teoryę i tem jej oddał może największą usługę.

Rozprawa p. Potkańskiego, oceniająca działalność naukową zmarłego uczonego Darguna, jest w całem znaczeniu tego słowa pracą grun-

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

townną i naukową. Autor zapoznał się dokładnie z literaturą socyologii i dał nam obraz jasny i przejrzysty rozwoju tej nauki w ostatnich czasach. Istotnie też p. Potkański dotrzymał przyrzeczenia danego na wstępie, bo nietylko wykazał zasługi Darguna, ale i przekonał o nich czytelnika, przedstawiając je na tle nauki socyologii. Dodać winienem, że rozprawa, pisana barwnie i treściwie, budzi ciekawość czytelnika, a pobudza badaczów do studyów socyologicznych.

A. Rembowski.

„Atlanta", przez *Zofię Urbanowską*.

Jedna z dzisiejszych metod pedagogicznych polega na podawaniu nauki już nie tylko w formie najprzystępniejszej, najracyonalniej zastosowanej do umysłu uczących się, ale nawet ponętnej. Ponęta ta czerpaną jest nietylko w samem państwie nauki, gdzie w celu wspomnianym eksploatowane bywają interesujące, nieraz wprost fantastyczne hypotezy, jak np. u Juliusza Verne'a, i różne ciekawostki świata przyrodniczego, jak latająca żabka lub zegar kwiatowy, lecz pedagodzy sięgają po-za królestwo nauki, w dziedzinę sztuki, gdzie dla swoich wykładów wyrabiają nieraz kapsułki z prawdziwego artyzmu.

Ta metoda posiada już całą literaturę, która bodajże rozpoczęła się od chwili, kiedy arcydzieło Daniela Foë „Robinson Kruzoe", dostało się do rąk dzieci. Przepiękna ta powieść zawiera trochę wiadomości przyrodniczych, na które dzieci, zajęte losami Robinsona i Piętaszka, mało zwykle zwracają uwagi, które jednak nie uszły przed bacznem okiem pedagogów. Uznano to za metodę i postanowiono stworzyć biblioteki całe dla dzieci. Z tym celem pisane książki oczywiście inaczej muszą wyglądać, niż ich pierwowzór. Stosunek artyzmu do nauki zgoła tu jest inny. W Robinsonie wiadomości przyrodnicze stanowią artystyczną dekoracyę dzieła, w dzisiejszych książkach dla dzieci artyzm jest tylko posłańcem, który wiadomości te przenosi do młodocianych główek.

„Atlanta" jest typowym przykładem takiej stosowanej sztuki.

O dziele panny Zofii Urbanowskiej mogę mówić tylko z pochwałami. Zanim jednak do tego przystąpię, niech mi wolno będzie wyrazić wątpliwość, czy pedagogika wiele zyskała na tem, iż odstąpiono od wzoru, jakim był „Robinson Kruzoe." Dzieło to nie wiele nauczyło zoologii lub botaniki, ale nauczyło dziecko szukać przyjemności w książce. Rozwijało ono tę moc wyobrażeń, którą nazywa się potocznie

Digitized by Google

wyobraźnią, a która potrzebną jest zarówno artyście, jak uczonemu i kupcowi,—spełniało więc ważną i pożyteczną funkcyę pedagogiczną. Książki dla dzieci nowego kroju, ograniczając akcyę i plastykę postaci do roli podrzędnej, tej usługi rozwijającemu się umysłowi dziecka nie oddadzą, wzamian jednak ofiarują mu sporą wiązkę wiadomości ze wszystkich niemal dziedzin ludzkiej wiedzy, z fizyki i chemii, astronomii, zoologii, botaniki i mineralogii. Te „wiadomości", choćby najszczegółowsze i najponętniej przyrządzone, nie zastąpią najelementarniejszego podręcznika fizyki, ani najkrótszej książeczki o botanice, bo te będą zawsze pełniejsze, ściślejsze i systematyczniejsze. Pozostaną te wiadomości—wiadomościami, o których pożytku zadecyduje natura umysłu dziecka. Dzielniejsze niewątpliwie przy systematycznej nauce dopełnią je sobie i powiążą w całość,—i ci jednak mogą stracić przy nauczycielskim wykładzie tę świeżość i nowość wrażenia, które jest tak dzielnym pamięci pomocnikiem. Słabsze umysły dziecięce, nie zawsze zdolne powiązać w organiczną całość wiedzy wrażenia dawniejsze, odebrane przy czytaniu książek, z temi, które odbierają przy wykładzie w szkole, zatrzymują te wszystkie wiadomości w stanie pewnego chaosu—i rosną na te, ogólnie znane, typy ludzi wykształconych, którzy w głowie mają nieraz całe biblioteki, imponują innym prawdziwą w pamięci encyklopedyą, a nie są zdolni do jednej krytycznej, samodzielnej myśli.

Z tych powodów wydaje mi się rzeczą ryzykowną kładzenie nacisku na materyał naukowy w belletrystycznych dziełkach dla dzieci i ograniczanie do prostej ramy książkowej bajki i akcyi.

Zresztą prędzej czy później rozważą to niewątplie pedagodzy. Ponieważ zaś ten rodzaj istnieje i ma powodzenie, sądźmy dzieło p. Urbanowskiej wedle zamiarów samej autorki. „Atlanta" jest książką, w której akcya dorobioną została w sposób bardzo widoczny i wcale nie maskowany do celów nauczania. P. Urbanowska w to dzieło tyle włożyła zalet stylu, jasnego i pięknego, łatwo obrazującego i okazującego nawet widoczną skłonność do tworzenia czysto artystycznego, że zapewnią one „Atlancie" miejsce w tej literaturze nowej dla dzieci pierwszorzędne. Dzieło to jest właściwie dalszym ciągiem „Niezgodnych królewiczów" Maryi Zaleskiej. Czy znacie historyę niezgodnych królewiczów? Bardzo pouczająca. Trzej królewiczowie podzielili pomiędzy sobą wyspę Atlantę, w ten sposób oryginalny, że Kryształek wziął minerały, Pióropuszek zwierzęta, a Zielonko rośliny. Oczywiście wkrótce pokazało się, jak niepraktycznym był ten podział, Kryształek bowiem nie mógł się obejść bez roślin i mięsa, a Pioropuszek i Zielonko bez soli choćby. W akcyi więc autorka przedstawiła związek tak zwanych państw przyrody i ich wzajemną od siebie zależność. Po-

Digitized by Google

mysł ten był to prawdziwie, jak Francuzi mówią, *une trouvaille*—i, choć od autorki tak utalentowanej, jak p. Urbanowska, mielibyśmy prawo wymagać oryginalności, nie można jednak jej winić, że korzystała z pomysłu tak wdzięcznego i pokazała nam, jak doskonale mógł on być jeszcze więcej wyzyskanym.

Gdzie znajduje się „Atlanta", o tem nikt z was się nie dowie, bo naprzód mieszkańcy tej wyspy strzegą tej tajemnicy, a potem wyspy tej niema; pochłonęła ją katastrofa, której uniknęli jednak mieszkańcy, ocaliwszy się na okrętach. Wiecie już pewnie, co znaczy to ocalenie. Daje ono nadzieję, że jeszcze raz spotkamy się z naszymi królewiczami.

Co się na Atlancie działo za czasów jej istnienia, o tem mówią listy mistrza Abracadabrusa, pisane do redakcyi *Wieczorów Rodzinnych*, a więcej jeszcze korespondencye specyalnego wysłańca redakcyi jej, Janka sieroty, który posadę swoją uzyskał na konkursie, opisawszy najdokładniej „ulubioną przez siebie roślinę."

P. Urbanowska wogóle akcyi wcale nie lekceważyła. Posiadając cenny dar fantazyi, urozmaicała akcyę ustawicznie w ciągu długiego szeregu listów mistrza i Janka sieroty, zajmujących 430 stron wielkiego formatu, i każdą wiadomostkę przemycała w pokrywie zawsze zręcznie z bajką związanej, zawsze umotywowanej. Czego zaś nie znajdzie dziecko w książce pani Urbanowskiej? Całą encyklopedyę faktów przyrodniczych, opisy roślin i zwierząt, najnowsze odkrycia naukowe, piękne wiersze, wiadomości z literatury i aż do klasyfikacyi roślin i zwierząt.

Wątpię, aby jakakolwiek inna książka dorównała „Atlancie'' ilością nagromadzonego materyału naukowego.

Materyał ten rozkłada autorka i przedstawia go z prawdziwą maestryą zawodową. Klasyfikacya zwierząt naprzykład rozwinięta została jako wspaniała procesya państwa królewicza Pióropuszka. Klasyfikacyę roślin poznaje Janek sierota, wchodząc do ogrodów królewicza Zielonki, po których oprowadza go oficer dworski; opisy natury, wiadomości botaniczne, wrażenia Janka i rozumowania oficera idą tu na przemian, utrzymując umysł czytelnika w ciągłem zajęciu.

Jedną z ważnych zalet „Atlanty" jest ten serdeczny i ciepły ton, jakim autorka potrafiła przeniknąć swoje dzieło, ton, który trafi do serc dziecięcych i uczucia ich wzmocni. Jest to jeszcze jeden powód, dla którego książka zasługuje na rozpowszechnienie.

W. Kosiakiewicz.

Digitized by Google

„Lew w sieci". Powieść Maryi Rodziewiczówny. Wurszawa. 1894. Nakład i druk S. Lewentala.

www.libtool.com.cn

Do grona piszących, którzy, raz w literaturze naszej głos zabrawszy, najczęściej się w niej odzywają, należy bezsprzecznie Rodziewiczówna, autorka rozgłośnego „Dewajtisa." Nazwisko jej pojawia się w katalogach księgarskich ustawicznie, a firma do najlepiej znanych ogółowi należy. W łaski czytelnika wkupiła ją, i słusznie, wyżej wymieniona powieść obok kilku przednich istotnie utworów drobniejszych, i szkoda doprawdy, że, mimo wciąż powiększającego się balastu jej autorskiego, zawsze jeno „Dewajtis" i wspomniane utwory przeważne, jeżeli nie wyłączne, do łask tych stanowią jej prawo.

Żal i dziw zarazem, boć w organizacyi pisarskiej Rodziewiczówny taką moc złożyła natura talentu, że dla pilnie śledzących objawianie się jego kolejne w całym szeregu dzieł, z których następne zgoła nie wykazują nad poprzedniemi wyższości, a nawet przez uporczywe, coraz jaskrawsze powtarzanie się jednych i tych samych usterków spadają niżej i niżej, aż do maniery prawie, że dla uważnego czytelnika, powtarzamy, prawdziwą stanowi zagadkę. Czego bowiem talentowi temu nie dostaje? Pomysłowość wielka, świeża, oryginalna, zdolność odczuwania danych sytuacyi, uczuć i krajobrazu głęboka, siła w odtwarzaniu ich niepoślednia. Aż nadto liczne dowodzą tego ustępy dzieł autorki—no i przytem wszystkiem, zawsze tylko ustępy, nigdy dzieło pełne. A co najgorsza, że, jak wspomnieliśmy, w ostatnich pracach występują bodaj czy nie początki maniery, owego polipa, co to i z najbujniejszego talentu do ostatniej kropli wyssać jest zdolny soki żywotne. Dopatrujemy się jej przedewszystkiem w prześladującej Rodziewiczównę, że się tak wyrazimy, żyłce do przesady, rozczochranej zawsze kompozycyi i nieustannie powtarzającem się w jej pracach lekceważeniu pewnych wymagań technicznych i szczegółów roboty, bez których, jakkolwiek na oko wydawać-by się mogły drobiazgiem, nie może być porządnie napisanej książki. Listy grzechów autorki dopełnia i obciąża ją poważnie niewyszukany, niedbały, aż do niezrozumiałości miejscami, styl jej i częste używanie mniej jeszcze zrozumiałych prowincyonalizmów.

Wytknięte tu błędy, widoczne już w „Strasznym Dziaduniu", zdaje się, z wyłączeniem nowel, najpierwszej pracy Rodziewiczówny, we wszystkich jej następnych z dziwnym uporem odzywają się utworach, a więc i „Lwa w sieci" nie ominęły, jeżeli go więcej od innych nie prześladują. I w tej powieści spotykamy się ze szczęśliwym a sympatycznym wielce pomysłem: bohaterem jej—Konstanty Jamond, syn osiadłego w Algierze emigranta, na obcej zrodzony i wychowany zie-

Digitized by Google

mi, który, dobiegłszy lat dojrzałych, udaje się w towarzystwie ciotki swojej, starej panny, Felicyi, na innem wykarmionej mleku, w nieznane mu dotąd strony rodzinne, celem wyszukania sobie dozgonnej towarzyszki życia. Kanwa, przyznać należy, i najbogatszym odpowiadająca haftom. Zahaftowała ją też bogato autorka, jeżeli bogactwem nazwiemy ilość danych na niej ściegów, nienajszczęśliwiej jednak ze względu na dobór barw, chaotyczność rysunku, pobieżność i niedbalstwo roboty. Treścią „Lwa w sieci", jakkolwiek nie bardzo wiadomo, kto nim jest właściwie,—boć porównanie Konstantego z królem pustyni, chyba głośnobrzmiący tytuł jeno ma na celu,—obdzielić-by się dało cały szereg tomów; zbita w jednym, robi wrażenie zebranego dopiero materyału, niedokładnie nawet rozklasyfikowanego, notat poprostu, tu i owdzie przeplecionych wykończoną, rzeczywiście do druku gotową kartą.

Rzecz dzieje się w Galicyi, a choć do objaśnienia tego właściwe tylko przywiązujemy znaczenie, niepodobna nam jednak w opisanych okolicach znanego sobie poznać kraju. Owo piekło, w które młodego Jamonda, wychowańca obcej nam zgoła kultury, wprowadza Rodziewiczówna, czy doprawdy przedstawiło się kiedy oczom jej na jawie, czy też powołała je fantazyą do życia, pragnąc nielitościwem a krzywdzącо-przesadnem schłostaniem miejscowych stosunków, drogą jaskrawego kontrastu z cywilizacyą zachodu, uczyć nas, jak to powiadają, rozumu, a więc osiągnąć cel pedagogiczny, przy pomocy najniewiarogodniejszych środków? Nie mówiąc już o tem, że iście na miejscu Konstantego, wobec tego, co poznaje, niejeden, a może każdy, drapnął-by czemprędzej gdzie pieprz, a przynajmniej daktyle rosną, pytamy, kto naukę, kto morał czerpać-by się zgodził ze zgryźliwej i tak oczywiście naciąganej satyry?

W ton ten od pierwszej zaraz stronicy uderza autorka. Po długiej wędrówce dobijają nareszcie Jamondowie do stacyi kolei, z której dalej w strony rodzinne dostać się mają najętemi końmi: a mianowicie, furmanką żyda Alkona, zastępującą tu regularną komunikacyę pocztową, a nieregularną jak sam kaprys. Znamy go wszyscy, ów niewybredny sposób przenoszenia się z miejsca na miejsce nikomu wszakże nie przedstawił się tak ujemnie, jak tu mieszkańcom Algieru, którym się w porównaniu uciążliwe nawet przeprawy po pustyniach Afryki rajem wydały wobec wycieczki ekwipażem Alkony. Rodziewiczówna podróż tę, przeplataną rojem wypadków, opisuje szczegółowo, usiłując ją z niewielkiem powodzeniem zabarwić lekkim tonem humoreski, nieodpowiadającym temperamentowi jej pisarskiemu; żydom przemawiać każe łamaną, żargonową polszczyzną, a że jej nie zna dokładnie, Alkona

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

zatem przeplata frazesy takie, jak: *Sza, sza, pamelach! Wi, wio!* tak poprawnemi, jak następujący:

— O nie — odparł żyd — dwór jest w dzierżawie, a właściciel bawi w dobrach żony lub w Warszawie. Rzadko tu bywa i tylko chwilowo.

Nadzwyczajności jednak, jakie w samej podróży spotykają Konstantego i pannę Felicyę, czemże są w zestawieniu z okropnościami, których w czasie paromiesięcznego pobytu w stronach rodzinnych przyjdzie im być świadkami. Wszystkie grzechy główne, wraz z wszelakiemi idyotyzmami, zmówiły się na tę nieszczęśliwą okolicę i tak opanowały jej mieszkańców, że z wyjątkiem kilku zaledwie osób, na obraz i podobieństwo boskie stworzonych, spotykamy się tu z samemi potworami, waryatami i oryginałami. Biedną pannę Felicyę, której kąt ten ziemi, opromieniony wspomnieniami młodości, rajem się z oddalenia wydawał, tak, że obiecywała sobie nieledwie zaimponować nim siostrzeńcowi, lęk po zetknięciu się z rzeczywistością ogarnia, azali młody człowiek nie odwróci się tu od wszystkiego i wszystkich ze wstrętem. Szczęściem, ów „Lew w sieci" jest sobie poprostu mazgajem, dającym się wodzić na pasku ciotce, a właściwie autorce, i dziwuje się wprawdzie nowemu otoczeniu, jak Sienkiewiczowska Kaśka na okręcie, ale jakoś nic do serca nie bierze.

Jeździ tedy Konstanty rzemiennym dyszlem od dworu do dworu i poznaje: w jednym panią domu pieniaczkę, bruduo skąpą, otoczoną dziećmi, w stanie zupełnej niemal dzikości chowanemi, które, poprostu zagrożone głodową śmiercią, żyją wybiegami, szulerką, lichwą i bezwstydnem okradaniem matki; w drugim—gospodarza, zajętego wprowadzaniem w życie coraz nowych pomysłów własnej inwencyi, rujnującego się na zakładanie fabryk, sprowadzanie maszyn, jednem słowem, zidyociałego cywilizatora okolicy, samochwała, otoczonego rodziną darmozjadów najpaskudniejszego gatunku, spędzających czas na wyuzdanem plotkarstwie, grze w karty i tym podobnych rozrywkach; w trzecim—matkę trzech córek na wydaniu, zalecającą je młodzieży w sposób niesłychanie bezczelny, głupi i naiwny, zawsze samotną, bo mąż szuleruje po okolicy całemi tygodniami. Epuzer afrykański dostaje się nareszcie na t. zw. kontrakty do jednej z małych mieścin okolicznych i tu wpada w grono młodzieży, przy kartach rzucającej na siebie butami, a którą bez wielkiego chyba naciągania kodeksu nie jeden dało-by się zaludnić kryminał. Zbytecznem było-by dodawać, iż przedstawiciele starszych pokoleń nie wiele różnią się od młodszego. W każdej ze wspomnianych tu miejscowości proponują Konstantemu ożenek, on zaś, „Lew w sieci" o bajecznie kochliwem i ślamazarnem usposobieniu, gotów na zawołanie byle kogo poprowadzić do ołtarza, i na zakończenie,

Digitized by Google

po długiej tej krzyżowej dla czytelnika a bezowocnej dla siebie wędrówce, żeni się z młodą wdową, matką trzechletniej córeczki, biedną szwaczką, którą pierwszy raz spotkał na chwilę w wagonie, na początku książki, a następnie znalazł po raz wtóry u samego jej epilogu.

www.libtool.com.cn

W okolicy, sprawiającej wrażenie kałuży, pełnej zaraźliwych miazmatów, ożywczą oazę stanowi dom pana Erazma, starego kawalera, byłego jeszcze konkurenta o rękę panny Felicyi, zamożnego, praktycznego gospodarza, opiekującego się trojgiem dzieci po zmarłej siostrze: Szymonem, Adamem i Rytą. Stosunek wzajemny czworga tych ludzi najcenniejsze zajmuje stronice książki. Zwłaszcza postać Ryty, samodzielnej wielce, energicznej, hardej a oryginalnej panny, wyróżnia się dodatnio z całego tłumu zapełniających powieść sylwetek, już to przekarykaturowanych, już to wyblakłych, szablonowych lub wprost nieudanych. Do tych ostatnich zaliczyć wypada figurę samego bohatera, wrzekomego „Lwa w sieci," o którym autorka sporo nam opowiada, którego wszakże w akcyi nie umiała dostroić do założonego typu. Gdyby takiemi lwami zaludnione były pustynie Afryki, to ginęły-by te jedynie antylopy, które-by się same usilnie o to starały.

Chaotyczne prowadzenie dyalogów, tak, iż często niewiadomo, kto do kogo mówi; opóźnianie się w zaznajamianiu czytelnika z nowowchodzącemi w akcyę osobami, zbyt długo działającemi jako anonimy; używanie prowincyonalizmów: jak *hlaczek*, *pobić mlecznik* i zdań całych, wyforsowanych i niezrozumiałych: „Subjektywne zajęcie wdową przechodziło w ogólną kwestyę nieznanych typów" (co ma znaczyć, że zachwycony na razie widokiem wdowy Konstanty, po straceniu jej z oczu, jął myśleć o innych kobietach wogóle) lub „homeryczną ucztę duchową miały plotki okoliczne"—wszystko to razem nadaje książce cechę niedbalstwa, niemile, bardzo niemile dotykającego czytelnika.

A jednak, powtarzamy na zakończenie, „Lew w sieci" stanowczo materyałem był, i to niezłym, na powieść także niezłą.

Wacław Karczewski.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Im dłużej trwają narady specyalnej komisyi parlamentu włoskiego nad wnioskami ratunkowemi rządu, zarówno finansowemi, jak politycznemi, tem mniej się wie, do jakich doprowadzą rezultatów. Większość komisyi sprzeciwia się podatkowi od renty i żąda większych oszczędności w wydziale wojskowym; rząd stanowczo obstaje przy podatku od renty, a natomiast przeciwny jest większym oszczędnościom wojskowym nad zaprojektowane już przez siebie. Przypuszczając teraz, że te dwa stanowiska są bądź ostateczne i niezmienne, bądź tymczasowe i podlegające zmianom, otrzymamy bardzo znaczną liczbę kombinacyi — możliwych. Albo nastąpi kompromis przez ustępstwo ze strony komisyi, albo kompromis przez ustępstwo ze strony rządu, albo oświadczenie się parlamentu za rządem a przeciwko swojej komisyi, albo przeciwnie, i w takim razie znowu: albo rozwiązanie parlamentu, albo dymisya gabinetu. Jeśli chodzi o domysły, to najprawdopodobniejszy redukuje się do alternatywy, że albo gabinet Crispiego otrzyma uchwały i pełnomocnictwa, których zażądał, albo rozwiąże parlament; ustąpienie tego gabinetu jest wyłączone. Jak wszędzie, tak samo we Włoszech, wiele jest w kołach politycznych figur pretensyonalnych, którym się może wydawać, że potrafiły-by lepiej obmyślić plan naprawy stosunków; korona jednak ma zasadę niedowierzać tym zarozumiałościom. Tak gruntownego kompletu reform, otwierającego

Digitized by Google

perspektywę zaprowadzenia równowagi w budżecie, jak to wypracował Sonnino, nie widział dotąd parlament. Trzeba było mieć i umysł niezwykły i dużą odwagę, żeby ten plan sformułować. Skoro zaś gabinet Crispiego daje nadto większe niż wszelki inny, jaki-by znani przywódcy uformować mogli, rękojmie sprężystego urzeczywistnienia swoich projektów, król nie będzie się wahał w wyborze, gdyby parlament zajął stanowisko oppozycyjne. Ale i król jeszcze dziś nie wie, czy znajdzie się w potrzebie czynienia wyboru.

Równolegle z rozprawami komisyi prasa włoska zaczęła mówić o zbliżeniu z Francyą, jako o rzeczy pożądanej. Tym razem było to o tyle ciekawe, że głosy te wychodziły z dzienników, popierających politykę zagraniczną obecnego rządu włoskiego. Ale nie miały one przytem charakteru oppozycyjnego. Skoro Niemcy mogły zawrzeć traktat handlowy z Rossyą i zbliżyć się do niej ekonomicznie, z korzyścią dla siebie, pomimo, że nie wyrzekają się swoich zobowiązań politycznych austryackich i włoskich, powiedzieli sobie Włosi słusznie, że im toż samo prawo przysługuje w stosunku do Francyi. Przedewszystkiem chodzi naturalnie także o stosunki handlowe. Dlaczego nie miałaby nastąpić ich poprawa? Wydało się Włochom pożądanem zawarcie traktatu handlowego z Francyą. Zaczęli w tym kierunku agitować, a pod wrażeniem tych agitacyi potrosze i wierzyć już, że rzecz jest do zrobienia.

Że istotnie głosy te były symptomatem budzącego się nastroju, dowiódł w tych dniach fakt wielce ciekawy, interwiew samego króla Humberta z korespondentem „Figara." W parę dni po wizycie cesarza Wilhelma w Wenecyi, król przyjął w Rzymie dziennikarza na posłuchaniu specyalnie przeznaczonem, aby treść słów królewskich została powtórzona w „Figarze." Tak się też stało. Król Humbert z naciskiem wielkim mówił o potrzebie, o stosowności, o pożytku przyjaźni i dobrego pożycia Włoch i Francyi. Dzisiejsze niesnaski przypisywał bądź nieporozumieniom, bądź sztucznemu rozdymaniu obustronnych sprzeczności w interesach. Nietylko mówił, że sam on i Włochy pragną pokoju, ale dowodził, dlaczego nie może być inaczej. Taryfy celne Meline'a potępił, jako szkodliwe, i wykazał potrzebę zniesienia ich. Nareszcie wyraził przekonanie, że „prędzej czy później" stosunek wzajemny ułoży się tak, jak powinien między narodami, które łączy podwójne braterstwo „krwi i broni."

W chwili, gdy to piszemy, nie doszły nas jeszcze wiadomości o wrażeniu, jakie te słowa królewskie sprawiły we Francyi. Ale wiemy już co innego, a mianowicie, że przed wystąpieniem króla Humberta prasa paryska zapatrywała się bardzo pesymistycznie na poje-

Digitized by Google

dnawcze odgłosy z Włoch. Rozumiejąc, że chodzi na razie jedynie o układ handlowy, Francuzi dowodzą, że przyjęty względem Włoch system nie stosuje się wyłącznie do nich, że jest on wyrazem tego ducha protekcyonizmu, który owładnął parlamentem i który ma w nim zapewnioną większość. Taryfy Meline'a ułożone zostały dla wszystkich państw i do wszystkich są stosowane. Francya zerwała z systemem traktatów handlowych. Niezależnie od pytania, czy postąpiła źle lub dobrze, w tej chwili, przy dzisiejszym parlamencie i przy obecnym w nim nastroju, faktu tego zmienić nie podobna. Skoro zaś tak jest, zawarcie osobnej umowy handlowej z Włochami, od czego zależała-by poprawa stosunków, jest także niemożliwem.

www.libtool.com.cn

Tak odpowiadali Francuzi pismom włoskim przed interwencyą króla Humberta. Czy ta ostatnia będzie w stanie coś zmienić w sytuacyi? Wydaje się to wątpliwem. Ma ona doniosłość jako dobitny wyraz usposobień pojednawczych po tamtej stronie Alp. Z takich usposobień może z czasem rozwinąć się zbliżenie. Stwarzają one w każdym razie konieczny przedwstępny warunek zbliżenia. Ale na razie we Francyi pozostaną niezmienione taryfy Meline'a, rażące Włochów, Włochy zaś pozostaną w przymierzu z Niemcami, co znowu razi i zniechęca Francuzów do Włoch. Stosunki mogą się nie pogarszać, i to już coś warte. Do polepszenia ich potrzeba takiej zmiany warunków ekonomicznych i politycznych, która nie może nastąpić zaraz, ani nawet prędko.

Po przyjęciu przez parlament niemiecki traktatu z Rossyą, przyszła kolej dla niego roztrząsania projektów reformy finansowej w rzeszy. Komisya parlamentu odrzuciła jednak dwa wielkie źródła dochodowe, projektowane przez ministra finansów Miquela, mianowicie podatek od wina i podatek od tytoniu. Jest to obalenie podstaw reformy. Rząd, nie spodziewając się, żeby ta ostatnia znalazła więcej szczęścia w plenum izby, niż w komisyi, dał do zrozumienia w dziennikach, które mu służą do wyrażania myśli, że nie zależy mu na tem, aby projekta te były przedmiotem obrad już podczas tej sesyi. Dopatrzono w tem wstęp do—cofnięcia się.

Jakoż możliwe jest, że się rząd cofnie od projektu reformy Miquelowskiego, ale nie od projektu reformy wogóle. Ta jest konieczną, już choćby z powodu zwiększonego przez reformę wojskową budżetu armii. Ale pogłoski, dawno obiegające, o niezgodzie między Caprivim i Miquelem w poglądach na reformę finansową mogły być naprawdę uzasadnione. Obecnie mówi się w Berlinie poważnie o dymisyi Miquela i o zastąpieniu go przez Rottenburga. Nowy minister wniósłby nowy projekt, tym razem już zgodniejszy z ideami kanclerza rzeszy, a może i łatwiejszy do połknięcia dla parlamentu. Było-by to zwycięs-

Digitized by Google

two osobiste Capriviego, które-by jeszcze bardziej wzmocniło już i tak dość mocne jego stanowisko.

www.libtool.com.cn

Gabinet Roseberego — wegetuje. Z góry był na to skazany skutkiem słabej większości, na jakiej się opiera, a jeszcze bardziej skutkiem różnorodności żywiołów, jakie ją składają. Raz się już nawet zdarzyło, że został przegłosowany, mianowicie przy wniosku Dalziela, zalecającym rządowi zaprowadzenie samorządu dla Szkocyi, z którym gabinet nie miał odwagi zsolidaryzować się. Wyszło przytem na jaw, że rząd nie panuje należycie nad izbą, i że nawet nie zgadza się z nią w poglądzie, jak daleko na drodze decentralizacyi prawodawczej, którą wytknął Gladstone, iść trzeba i można. W takich warunkach należy się spodziewać, że jakiś krok stanowczy stanie się niebawem koniecznym, bądź w formie rozwiązania parlamentu, bądź w formie dymisyi gabinetu, którego szef posiada niewątpliwie wysokie zalety, jako mąż stanu, ale w nieprzyjaznej chwili dostał do rąk władzę.

Dawno nie pamiętamy, ażeby kwestya kobieca w żywych słowach płynęła tak rączo i szeroko, jak w ciągu ostatnich kilku tygodni. Poruszył ją najpierw cech krawiecki, potem delegacya niewiast, która, skorzystawszy z obrad sekcyi rzemieślniczej w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa, zabrała tam głos z żądaniem wyjaśnienia warunków i rozszerzenia przywilejów dla kobiet w zakresie głosowania i wyboru. Ludzie, nie nawykli do tak nadzwyczajnego zjawiska na naszym gruncie, drwili lub zżymali plecami, podciągnęli to wystąpienie pod rubrykę zachceń emancypacyjnych. Czegoż istotnie chciały te opiekunki pracownic? Oto niektóre cechy, po przyjęciu w praktyce ogólnej zasady uczestniczenia kobiet w korporacyach, będą miały więcej sił niewieścich niż męskich; jednocześnie zaś panowie starsi z góry czynią zastrzeżenia, że „słabsza połowa", na podobieństwo ryb, głosu mieć nie może. Całkiem więc słusznie interesowane zażądały wyjaśnienia, które, wypowiedziane przez usta p. Juszczyka, tłómaczy, iż w sprawach „poszczególnych" głos kobiecy będzie miał swe znaczenie, a racyonalny, zawsze przeprowadzi swe żądania. Chodzi więc tutaj tylko o formę, o sposób wypowiadania tych żądań. Jednakże delegatki, nie poprzestawszy na tem (dr Z. Daszyńska i Kuczalska-Reinsmidt), zażądały pozostawienia kwestyi otwartej, ażeby, w razie utrwalenia się stowarzyszeń kobiet pod skrzydłami cechów, można było sprawy żywotne nietylko po domowemu z zapiecka traktować. Natarty p. Juszczyk i inni tłómaczyli się, że prawodawstwo ogólne nic o tem nie mówi. Istotnie wyraźnych dróg w tym zakresie nie wytknięto. Ale najmniejszej zasady niema przypuszczać, iżby sfery prawodawcze były przeci-

Digitized by Google

wne temu, co w miarę budzących się potrzeb może być w pojedyńczych orzeczeniach przeprowadzone. Wszak w oddzielnych instytucyach, gdzie biorą udział obie płcie, kobiety mają poniekąd prawo głosu, ale nie czuły tylko potrzeby skorzystania z tych przywilejów. Towarzystwo kredytowe miejskie m. Warszawy przyznało to prawo niewiastom, o ile są samodzielne, np. wdowy, właścicielki nieruchomości. Dotychczas wszakże, pomimo swej obecności na posiedzeniach, nie skorzystały jeszcze ani razu z tej swobody. Towarzystwo kredytowe ziemskie przed paru miesiącami podniosło również sprawę udziału kobiet w tej mierze, wreszcie Towarzystwo ogrodnicze korzysta z niewieścich głosów doradczych. Nie trzeba więc tutaj wcale szukać jakiejś uroczystej szaty ogólnego prawodawstwa i tworzyć nowych ustaw tam, gdzie tylko należy już gotowe wyjaśnić i rozszerzyć odpowiednio. Dodajmy jeszcze, że obecny ruch około stowarzyszenia się pracownic fachowych zasługuje na poważniejsze traktowanie. Tymczasem dzieje się wprost przeciwnie: spostrzegliśmy nawet w prasie ton lekki, ubieranie tego przedmiotu w szaty dowcipu, i to robią ci ludzie, od których jak najmniej można było takich wystąpień oczekiwać.

W innej formie kwestya kobieca ozwała się z katedry w sali ratuszowej, przez usta dwóch poważnych i znanych w naszem piśmiennictwie prelegentów: Antoniego Pileckiego i Piotra Chmielowskiego. Obaj obrali przedmioty pokrewne (pierwszy „o kobietach-poetkach", drugi „o Wilkońskiej"), obaj swym wykładom krytyczno-literackim dali tło moralno-społeczne, zcharakteryzowali rolę i stanowisko kobiety ukształconej, autorki. Gruntowna znajomość i zamiłowanie przedmiotu, dar słowa, umiejętność szerokiego ogarniania, to są zasadnicze warunki, które czynią wykład nietylko pożytecznym, ale i wielce zajmującym. Takiemi właśnie zaletami prelegenci umieli sobie zjednać i zainteresować licznych słuchaczy. Pan Pilecki, nie poprzestając na tych warunkach, dał jeszcze słuchaczom to, co daje muzyk: piękną formę, a to również czynnik wielkiej wagi. Prelegent sięgnął do pierwszej chwili budzenia się samodzielności duchowej kobiet naszych, pochwycił i zcharakteryzował pierwsze przebłyski ich myśli i czynów. „Gdy kapłanka naszego ogniska rodzinnego, po długich latach niemowlęctwa, poczuła w sobie rodzące się siły duchowe, gdy wskutek tego zechciała zająć samodzielniejsze stanowisko w życiu i społeczeństwie, dłoń jej wyciągnęła się nie po kęs chleba dla ciała, lecz po strawę dla umysłu i serca. Pierwsza Zofia Oleśnicka z Pieskowej Skały (w. XVI) zanuciła piosnkę nieśmiałą. Za nią o wiele silniejsze, wybitne stanowisko w sferze społeczno-duchowej zajęła Elżbieta Drużbacka, potem już nie pojedyńcze postacie, lecz gromadki idą przebojem przez mroki, prze-

Digitized by Google

sądy i silne szeregi płci męskiej, wrogo usposobionej dla tego pochodu niewiast rozumnych. Widoczniejszy ruch zaznaczyła gromadka arystokratek, autorek powieści sentymentalnych (ks. Czartoryska, ks. Wirtemberska, Elżbieta z hr. Krasińskich Jaraczewska, Klementyna z Tańskich Hoffmanowa). Jeszcze silniej śród kobiet naszych życie duchowo-społeczne rozbudziło się w gronie entuzyastek, których szeregi wzmocnili także entuzyaści (w drugiej ćwierci bieżącego wieku), a polem ich działalności były: „Pierwiosnek" i „Przegląd naukowy." U tego ogniska skupiły się autorki, a w przedniej ich straży stanęły: Paulina Krakowowa, Eleonora Ziemięcka, Narcyza Żmichowska (Gabryela), Emilia Gosselin, Walerya Lewicka, Kryspina Stelmanowska, Anna Skimborowiczowa i inne. Z nowszej doby obok Konopnickiej Deotyma i Ilnicka zajęły wybitne miejsce w odczycie Pileckiego.

Rozbiór krytyczny płodów twórczości naszych autorek-poetek dużo zyskał na owem podścielisku społecznem, które prelegent bardzo umiejętnie podłożył i przeprowadził od początku do końca. To też słuchacz żywo sobie uprzytomnia warunki owej twórczości i duchowo-moralnego rozwoju kobiet, śród których ta twórczość rodziła się i wzrastała. „Świat, na którym duch mężczyzny górował, świat, który widział w kobiecie albo anioła ogniska domowego, albo szatana upadku, który na autorstwo kobiet spoglądał zaledwie okiem łagodnej tolerancyi, jako na zabawkę bezczynnego życia, powitał entuzyastki niechęcią i szyderstwem." Niechęć ową jeszcze podsycały drobne wybryki, przesada entuzyazmu, mieszanie pojęć o „lwicach salonowych" i „emancypantkach", wreszcie przykład rozprzężenia we Francyi, a więc obawa, ażeby dążenie do samoistności nie zaszczepiło w naszych kobietach tej samej zarazy z Zachodu. Rolę kobiet-poetek Pilecki scharakteryzował w następujących słowach: „Mają one tę niespożytą zasługę, że wywalczyły dla sióstr swych prawo wolnego wstępu do krainy wiedzy. Żywym głosem ducha i przykładem owocnego życia swego powiedziały światu: Kobieta ma prawo i siłę dostateczną, aby myślała, czuła i tworzyła na równi z mężczyzną."

Chmielowski, mówiąc o jednej tylko autorce, Wilkońskiej, uzupełnił poniekąd obraz warunków pracy kobiecej i jej rozwoju, rzucony z katedry przez poprzednika. Alę gdy p. Pilecki naszkicował główne postacie owych działaczek i z nich wysnuł ów obraz, Chmielowski, zwróciwszy uwagę na autorki średniej i mniej niż średniej miary, jako bliżej stojące ogółu niewiast ukształconych, bierze je za przedmiot wierniejszej charakterystyki masy kobiet z łona tak zwanej inteligencyi. Dotykając tej samej co i p. Pilecki epoki „entuzyastek", Chmielowski zwraca uwagę również na nieprzyjazne usposobienie mężczyzn,

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

nietylko wrogie, ale wprost brutalne traktowanie pisarek przez krytyków, zalecanie im robienia pończoch i t. d. Tylko te, które mogły się poszczycić blaskiem urodzenia, zasługiwały na większą tolerancyę. Ale z 53 autorek przez sześcioletni okres istnienia „Pierwiosnka" zaledwie parę należało do śmietanki towarzyskiej. Reszta—to szara masa, której złękli się przychylniej usposobieni dla działalności pisarskiej arystokratek. Zgroza tych panów przejęła, że się odważyły oderwać od garnka i całego warsztatu gospodarki domowej. Wychyliwszy się po-za obręb ciasnego gniazdka, zaczęły one wglądać w kwestye filozoficzne i społeczne, a w ślad za tem posypały się obmowy, oszczerstwa, skierowane przeciwko tym działaczkom. Prelegent zarzuca autorkom naszym brak wytrwałości. Większość ich traktuje przygodnie niwę piśmienniczą i ogląda się za ramieniem silniejszem. To też znaczna większość aspirantek do autorstwa wolała poszukać dozgonnej opieki męskiej. Z owych 53 zaledwie piąta część wytrwała. Oprócz czynników rozleniwiających poniekąd umysł po usłaniu gniazdka rodzinnego, niewątpliwie znaczna liczba autorek łamała pióro pod wpływem ostrej krytyki, szyderstwa i napaści. Owa opieka męska, wpływająca na charakter i położenie kobiet, znalazła także pewne odźwierciedlenie w utworach Wilkońskiej. „Nawykliśmy zawsze być pod czyjemiś skrzydłami, ciągle się za niemi oglądamy." W ważnych atoli chwilach kobieta umie się zdobyć na energię, stanowczość, odwagę i wytrwałość. Ażeby te pierwiastki utrwaliły się w jej naturze, trzeba jej dać szerszy rozwój umysłowy, wzmocnić i ugruntować charakter. Wilkońska żądała także przysposobienia kobiety do pracy produkcyjnej, która dała-by jej silniejsze podstawy materyalne.

Ale skończmy kwestyę kobiecą, która w sześciu odczytach dwóch mówców uwagę słuchaczy zajęła. Nad troski i drobiazgi życiowe szarej ziemi naszej wzbił się p. Stanisław Kramsztyk i pozwolił nam zapomnieć na godzinę o tem, co się dokoła nas dzieje. Mówił o kometach. Aby tak jak on mówić, trzeba oprócz wiedzy gruntownej mieć niepospolity dar popularyzatora. Takich mało mamy w gronie pracowników umysłowych. Przy tej sposobności nasuwa się na myśl parę uwag. Od prelegenta zwykle bardzo dużo wymagamy. Musi on przedewszystkiem być przyjemnej powierzchowności, mieć dar wymowy, znać doskonale przedmiot, mówić w taki sposób, ażeby najospalszego słuchacza pobudzić do czujnej uwagi. Są to żądania słuszne. Ale nie zapominajmy jeszcze o jednym, niezmiernie ważnym warunku, który do znacznej wysokości zasługi i ofiarę prelegenta podnosi. Zaproszeni do katedry,

Digitized by Google

są to zazwyczaj ludzie obarczeni nawałem trudów, częstokroć upadający pod brzemieniem obowiązku, trawieni pracą uciążliwą a gorączkową. Inaczej się opracowywa artykuł lub broszurę, inaczej odczyt; inaczej się podaje przedmiot do druku, a inaczej wypowiada żywem słowem. Wyobraźmy teraz takiego uczonego, jak Kramsztyk, który, chcąc przyjść z pomocą osadom rolnym, urywa sobie tę odrobinę czasu wolnego od zajęć obowiązkowych, odmawia wypoczynku i mówi pięknie, przystępnie, *na pamięć* o kometach godzinę. Prawda! Dla gruntownego znawcy przedmiotu nie jest rzeczą trudną wykładać z pamięci. Ale do tego trzeba się przysposobić, obarczyć umysł, wyczerpać sporo siły nerwowej. Prelegent—to nie aktor, jego praca to nie rola w danej sztuce, lecz część mózgu, nerwów i wysoko szacowanego czasu, złożona na ołtarzu dobra powszechnego. Różnie oceniamy prelekcye i prelegentów, ale o powyższych zakulisowych stronach ich pracy nie pamiętamy nigdy. To też jeżeli nasi popularyzatorowie wiedzy (których mamy bardzo szczupłą garstkę) występują rzadko na katedrze, powinniśmy mieć ich za wytłómaczonych, a ofiarę niesioną dla dobra publicznego—szacować wysoko.

Czwarty prelegent, składający swą pracę dla osad rolnych, dr Ołtuszewski, również jest popularyzatorem (z zakresu medycyny). Zapoznał on słuchaczów ze swą specyalnością: psychofizyologią i patologią mowy. W wykładzie swym położył nacisk na niezmiernie ważną stronę hygieniczno-pedagogiczną. W dziedzinie wychowawczej mowa najpodrzędniejsze u nas miejsce zajmuje, a rodzice, szczególnie zaś matki, nietylko nie zwracają uwagi na złe mówienie swych dzieci, lecz przeciwnie—lubują się nawet w tej gwarze. Stąd mamy spory procent jąkałów, ludzi bełkocących. Dorośli, mając mowę zaniedbaną, nie są dobrymi wzorami dla dziatwy, która przecież bardzo jest skłonna do naśladownictwa. Ale dla kształcenia ich mowy nietylko w domu bywają nieprzyjazne warunki. Szkoły również w większości wypadków nie uwzględniają tego niezmiernie ważnego warunku w wychowaniu. Dziś z rodziców nerwowych wyradza się coraz liczniejsza dziatwa nerwowa. Wyobraźmy sobie katusze malca, który na pierwszym wstępie spotyka w szkole nieprzejednaną surowość nauczyciela, onieśmielony, zahukany, traci przytomność umysłu, nie mogąc nad strachem zapanować, jąka się i gdy w takich warunkach pozostanie przez czas dłuższy, to obok skaleczonej mowy, otrzyma wyrok braku wszelkich zdolności do nauki. Nie na tem wszakże kończy się wpływ ujemny niedostatków szkolnych. Nieraz sami nauczyciele odznaczają się nieosobliwą wymo-

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

wą: połykają litery i zgłoski, mówią niewyraźnie lub zbyt prędko, a nigdzie dziatwa nie jest tak skora do naśladownictwa, jak w szkole. Pierwszorzędnym zatem warunkiem kwalifikacyi nauczycielskiej powinna być dobra wymowa. Niedawno czytaliśmy gdzieś wzmiankę o projekcie niedopuszczania jąkałów na wydział lekarski. O ileż surowiej przepis taki powinien się stosować do pedagogów! Szkoda, że odczytu dra Ołtuszewskiego wysłuchała zbyt szczupła garstka osób. Może to ziarenko, na szerszy grunt rzucone, łatwiej zaczęło-by kiełkować. W społeczeństwie naszem najelementarniejsze zasady hygieny nie uzyskały jeszcze prawa obywatelstwa, ztąd i hygiena mowy jest zjawiskiem nowem, zupełnie nieznanem. A jednak, gdyby ona była rzetelnie stosowana w wychowaniu, jakiżby znaczny procent ludzi uniknął w przyszłości uciekania się do uciążliwej, nieraz mało skutecznej, lub nawet całkiem bezskutecznej kuracyi. Rodzice powinni pamiętać, że źródłem znacznej części chorób mowy jest wadliwy system wychowawczy.

Do dziedziny pedagogicznej zajrzał nieco również p. Edmund Jankowski w odczycie swoim, wypowiedzianym na rzecz wydawnictw dla ludu. „Czem jest ogród dla człowieka?" Ten piękny i bogaty temat rozwinął prelegent barwnie i obrazowo wobec licznych słuchaczy, zebranych w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa. Czem jest ogród dla szkoły? My z praktyki na to pytanie odpowiedzieć jeszcze nie możemy. To tylko pewna, że z chwilą, gdy ten warunek wejdzie w życie, młodzież będzie wychodzić ze szkół z większym zapasem sił fizycznych i umysłem niewyczerpanym przedwcześnie. Starożytni lepiej cenili od nas ruch i świeże powietrze, więc też mieli swoich perypatetyków, którzy słuchali wykładu mistrza, chodząc pod otwartym stropem nieba. Nasze warunki klimatyczne pozwoliły-by przez pewną część roku szkolnego urządzać lekcye w ogrodach. Ale p. Jankowski nie sięga tak daleko. Żąda on tylko ogrodów szkolnych na to, ażeby młodzież mogła w nich spędzać pauzy, przedzielające lekcye, ażeby się tam z bogactwem przyrody zapoznawała i w zetknięciu z nią wzmacniała szlachetne pierwiastki duszy i charakteru.

Czemże ów szmat przyrody, pielęgnowany przez człowieka, może być dla dorosłych? Pomijamy względy materyalne, o wielkiem znaczeniu bowiem ogrodnictwa w życiu ekonomicznem sporu być nie może. Prelegent w swym pięknym i gorącym wykładzie wskazał niezmiernie ważne czynniki moralno-zdrowotne, wynikające z obcowania z przyrodą. Przysłowie powiada, że Bóg stworzył wieś, a dyabeł—miasto.

www.iptool.com.cn

Digitized by Google

Na dnie tych słów mieści się głęboka prawda. Miasto z całym swym piekielnym aparatem pracy, trawi energię, życie, siły, częstokroć spala wszelkie szlachetniejsze pierwiastki ducha i serca. Rzesze, przykute do łańcucha obowiązków przez tę „siłę nieczystą" warunków życiowych, nie znają spokoju i ciszy. Któż z najzatwardzialszych mieszczuchów nie zaznał błogiego ukojenia, chociaż na chwilę, zapomnienia o wszelkich troskach gdzieś na skraju Łazienek lub Parku Willanowskiego? Wzrok ludzki, znużony na oschłych murach i brukach, chętnie chwyta najmniejsze drzewko, gdzieś w ciasnem podwórku śród kamieni posadzone. Tych drzewek atoli coraz mniej mamy. Jeszcze niezbyt dawno, pamiętamy przed laty kilkunastu, gdy dość gęsto przez bramy kamienic przeglądała zieleń; po-za frontami ciągnęły się na dość znacznych przestrzeniach ogrody. Dziś wielka ich liczba poznikała zupełnie, na ich miejscu wyrósł *interes*—domy wielopiętrowe, a nawet całe ulice. Ogrodów coraz mniej, a murów coraz więcej, bramy rogatek wciąż się oddalają, a z niemi mieszkańcy śródmieścia coraz bardziej są przegradzani od prądów świeżego powietrza. Nawet ta rozkoszna dla Warszawiaka, wiecznie przykutego do bruku, Dolina Szwajcarska, tylko przez jedno lato będzie ożywiała znużonych i zawiędłych mieszczuchów; poczem wyrosną tam wspaniałe kamienice. Wobec tego na jak największe poparcie zasługują plantacye miejskie, których wzrost zaczyna być widocznym. Z nastaniem pierwszych dni wiosennych zapanował ruch na przestrzeniach rodzącego się parku Ujazdowskiego. Plan ogrodu już się zarysowywa wyraźnie i, chociaż zaledwie tylko krzewy tam zasiadły, chciwe oko mieszkańca miasta przebiega tę przestrzeń dość znaczną, widzi przyszłe aleje, klomby, trawniki, sadzawkę. Zaniedbany dotąd ogród Krasińskich będzie także wzbogacony i przekształcony zupełnie. Tym sposobem nasze rozległe miasto będzie wkrótce miało pięć dużych i pięknych ogrodów publicznych.

Po-za tem na skraju przywdzieje inne szaty Bagatela, zakupiona przez Towarzystwo ogrodnicze. Za ten czyn ryzykowny i wobec zaniedbanych innych zadań owej instytucyi spadły na nią ciężkie i w znacznej mierze słuszne zarzuty. Ale w większości ogół nie wnika w to zupełnie i cieszy się myślą, że będzie miał nowe miejsce rozrywek na świeżem powietrzu. Niedawno na posiedzeniu Towarzystwa mieliśmy sposobność oglądać plan i wysłuchać objaśnień jego. Dowiedzieliśmy się więc, że Bagatela rozpadnie się na trzy części: jedna wyłącznie dla publiczności, druga i trzecia—dla potrzeb instytucyi. Zniknie więc Dolina, ale za to, cokolwiek dalej, Warszawiak, niezmęczony

Digitized by Google

dzięki tramwajom, będzie mógł słuchać muzyki pod niebem otwartem i z większą ufnością łykać „świeże" powietrze; bo przecież jest to już prawie za miastem...

www.libtool.com.cn

O to dobroczynne, czyste powietrze dla dziatwy miejskiej już od paru miesięcy usilnie stara się komitet kolonii letnich. Sprawozdania wykazują stały rozwój instytucyi i niezmordowaną a bezinteresowną pracę jej członków. Dzięki usilnym zabiegom, ogół coraz bardziej się interesuje tą pracą i śpieszy jej z pomocą, której najważniejszym działem jest udzielenie pomieszczeń letnich. Sam atoli wypoczynek nie daje jeszcze całkowitej korzyści; można-by ją rozszerzyć za pomocą prostych środków, na które dotąd nikt nie zwrócił uwagi, i oto po raz pierwszy w prasie wskazał je Poseł Prawdy: Na kolonie wysyłane są dzieci 8—13-letnie. Bawią się one, kąpią, jedzą, śpią. Tó mało! Dlaczego — słusznie zapytuje kronikarz powyższy — przynajmniej starsze nie miały-by się zająć czemś, co nie przeciążało-by ich sił, a dawało wzmacniający ruch i — korzyść materyalną? „Na wsiach jest bardzo wiele robót drobnych, lekkich, do których dzieci bardzo się nadają... Wszędzie, gdzie istnieją chmielniki, do obierania szyszek używane są dzieci. Mali najemnicy wynagradzani są od sztuki. Przypuszczam, że jedno dziecko, nie ponosząc żadnej szkody w zbytniem utrudzeniu i nie tracąc zwykłych dobrodziejstw przebywania na świeżem powietrzu, mogło-by zarobić 15 kop. dziennie, czyli przywiozło-by do Warszawy oprócz zdrowia, parę rubli w kieszeni." Myśl ta — powiada Poseł — nasuwa obawę wyzysku dzieci i chybienia celu przedsięwzięcia filantropijnego; „ale przecież kieruje nimi organizacya ludzi rozumnych, którzy mogli-by ułożyć warunki dla zajęć, a przy każdej gromadce dzieci znajduje się opiekunka, która dopilnowała-by ich dobra."

Rzecz dziwna, iż prasa, wyrażająca wiele sympatyi dla kolonii letnich, nie podniosła powyższego projektu. Miejmy atoli nadzieję, że zwrócą nań uwagę organizatorowie letnich kolonii i, nie zwlekając, postarają się w nadchodzącym sezonie zaszczepić go w praktyce. Wieś przy swej ciszy monotonnej, przy skromnych warsztatach pracy, ma wielkie jej urozmaicenie; mnóstwo zaś jest takich szczegółów, do których nawet jedynie trud dziecęcy się nadaje, zwłaszcza w robotach ogrodowych pod nadzorem starszych (pielenie, sadzenie, polewanie grządek, po-za tem zbieranie kłosów opuszczonych, grzybobranie, zbieranie jagód i t. d.). Lud włościański w wielu okolicach kraju opiera znaczną część gospodarki na wątłych barkach dziatwy; nawet powsta-

Digitized by Google

ły przysłowia, zastosowane do rodzaju zajęć odpowiednio do lat, np. na Polesiu lud powiada: „siedm, ośm (lat) — siano kosim" i t. d.). Ale to już jest wyzysk, częstokroć bardzo okrutny, podczas gdy z tej pracy pacholęcej i dziecęcej można korzystać z zobopólnym pożytkiem.

Komitet kolonii letnich jest jednym tylko szczegółem bardzo sympatycznej opieki i pomocy, niesionej dziatwie miejskiej. Wogólności wszakże te maleństwa, należące do warstw ubogich, przez rok cały są zostawione samopas, tak samo jak dziatwa włościańska po wsiach podczas robót polnych. To też świadectwem takiego stanu rzeczy są rubryki „wypadków" w pismach codziennych. Gdybyśmy chcieli skrzętnie notować owe przejechania, poparzenia, wypadanie z okien i t. d., przekonalibyśmy się, że ten niedozór jest tak groźnym w skutkach, jak niejedna epidemia. Ale nie mniej jest szkodliwy sposób notowania tych i wielu innych wypadków z bruku. Ponieważ warunki życiowe tak się ułożyły, że ich częścią nieodłączną są owe zjawiska, chciwie na światło wywlekane, więc stały się one zyskownem i stałem źródłem dochodu dla reporterów. Ich rzeczą i interesem jest to źródło możliwie rozszerzać; więc do suchego faktu protokólarnego trzeba dodać okrasy, ażeby czytelnik łatwiej przełknął sensacyjną wiadomość, a co ważniejsza — ażeby tym sposobem z najmniejszej błahostki liczbę wierszy do możliwego *maximum* dociągnąć. Ztąd-to właśnie pochodzą owe charakterystyczne dodatki, do wielu wiadomości dające się łatwo przypiąć: „Życiu X., Y. lub Z. grozi poważne niebezpieczeństwo." Przed kilku tygodniami dorożkarz przejechał naszą znajomą dziewczynkę sześcioletnią. Wyczytaliśmy nazajutrz w „Kuryerze", iż „życiu jej grozi poważne niebezpieczeństwo." Po sprawdzeniu atoli przekonaliśmy się, że chociaż dziecko ma złamaną rękę i zranioną głowę, jednakże nie grozi mu niebezpieczeństwo; jest wesołe, rączka się zrasta, rana goi, a rekonwalescentka opowiada lekarzom wesołe bajeczki. Innym razem znowu przeczytaliśmy o wypadku zakażenia krwi u 17-letniego praktykanta handlowego. Musiano mu odjąć rękę; stał się więc dla chłopca i jego blizkich fakt bolesny, aż nadto sam przez się ciężki. Reporter jednak, dla zarobienia o kilkanaście groszy więcej, dodał: „Czy amputacya ręki ocali chłopcu życie? — to nie jest jeszcze wiadomem!" Postawmy się teraz na miejscu rodziców lub opiekunów, którzy taką uwagę przeczytają!

Weźmy inny przykład: Ktoś odjeżdża z domu, w pośpiechu ześlizguje się ze stopnia wagonu i zostaje przez pociąg tak silnie odrzucony, że traci przytomność. Chorego odwożą do szpitala; tam po kilku-

Digitized by Google

nastu godzinach przychodzi on zupełnie do zdrowia. Ale oto wszystko wiedzący reporter utrwalił tę wiadomość w druku, z owym dodatkiem charakterystycznym. Jeżeli to jest ukochane dziecko rodziców schorzałych, nerwowych, którym taka wiadomość wpadnie w ręce, syn może wyjść cało, a oni okropną nowinę—przypłacić życiem. Gdy Jerzy Aleksandrowicz zaniemógł, jeden z „Kuryerów" prawie codzień podawał tak zatrważające buletyny o jego zdrowiu, że aż rodzina musiała poprosić o milczenie, gdyż chory czytywał pisma, a nie można było odmówić mu tej rozrywki. Napotykając atoli wiadomości o sobie, gryzł się, ze szkodą zwątlałego organizmu. Podawanie więc takich wypadków, opatrzonych uwagami niepokojącemi, jest istotnie *poważnem niebezpieczeństwem*, które redaktorowie powinni usunąć, w imię dobra powszechnego.

Dnia 12 marca w Poznaniu zakończył życie znakomity nasz filozof i ekonomista, August hr. Cieszkowski, jeden z założycieli i głównych niegdyś filarów „Biblioteki Warszawskiej", syn Pawła, właściciela Suchej (gub. Siedlecka) i Zofii z Kickich, urodzony d. 14 września 1814 r. Studya uniwersyteckie odbywał w Berlinie w tym okresie, gdy wykładali pomiędzy innymi Schelling, Michelet, Valke, Boeck, Savigny, Gaas. Pierwsza praca naukowa Cieszkowskiego, wydana w Berlinie po niemiecku, nosi tytuł: *„Prolegomena zur Historiosophie."* Roku 1839 wydał w Paryżu pracę p. t. *„Du crédit et de la circulation"*, która przed kilku laty wyszła w nowem, uzupełnionem wydaniu. Myślą przewodnią autora w tem dziele jest dążność wyszukania środków dla wzbogacenia się drogą odpowiedniego kredytu i rozwoju sił, spoczywających w kapitałach bezczynnych w bankach. W roku zeszłym dzieło to ukazało się w Petersburgu w przekładzie russkim, a jeszcze niezbyt dawno Instytut francuski badał pomysł bonów Cieszkowskiego, mających rozwijać stopniowo i podnosić kredyt własności ziemskiej. W pierwszym roku istnienia „Biblioteki Warszawskiej" C. zamieścił w niej: „Rzecz o filozofii jońskiej, jako wstęp do historyi filozofii" (1841), a następnie (1842—1843): „O ochronach wiejskich", „Uwagi nad obecnym stanem finansów angielskich", „Organizacya handlu drzewem i przemysłu leśnego." Z prac w językach obcych zasługują na uwagę: *„Gott und die Palingenesie"* (Berlin); *„Zur Verbesserung der Lage der Arbeiter auf dem Lande"* (1846); *„Anträge zu Gunsten der Kleinkinderbewahranstalten, als Grundlage der Volkserziehung"* (1846); *„De la pairie et de l'aristocratie modèrne."* Wreszcie r. 1869 wydał studyum „O drogach Ducha." Po-za pracą literacko-naukową, Cieszkowski zaznaczył wielką

Digitized by Google

ruchliwość na niwie społecznej. Roku 1849 wybrany został posłem do sejmu pruskiego i zajął wraz z Libeltem w kole wybitne stanowisko; w latach 1851 i 1852 wystąpił z wnioskiem założenia uniwersytetu w Poznaniu. Roku 1857 wybrany na pierwszego prezesa Towarzystwa przyjaciół nauk, następnie w majątku swym, Żabikowie, założył szkołę rolniczą. W jesieni r. z. podczas zjazdu ekonomistów i prawników w Poznaniu obchodzono pięćdziesięcioletni jubileusz działalności naukowej nieboszczyka.

W Krakowie zakończył życie zasłużony archeolog Józef Łepkowski, w 69-ym roku życia. Urodzony r. 1836 w Krakowie, zrazu obrał sobie zawód weterynarski, ale silne zamiłowanie sztuki skierowało go na inne pole. Ukończywszy studya na wydziale filozoficznym, bardzo wcześnie, bo w dwudziestym roku życia, zaczął uprawiać dziennikarstwo. Później, pod wpływem Ambrożego Grabowskiego i J. Kremera, oddał się gorliwie archeologii. Roku 1858 urządził pierwszą wystawę starożytności, w tym celu wszedł w bliższe stosunki z rodziną Czartoryskich i Przeździeckich. Ożeniwszy się z córką Karola Libelta, zawiązał stosunki z szerokiem kołem uczonych i, niezmordowany w swej działalności, nabierał coraz więcej rozgłosu. Aleksander hr. Przeździecki wezwał go do tłómaczenia kronik Długosza na język polski, tudzież do wydawnictwa znalezionych przez siebie listów Jagiellonek, które wyszły w pięciu tomach. Następnie przyjął w Sieniawie miejsce bibliotekarza, ofiarowane przez ks. Władysława Czartoryskiego. Przy wszechnicy katedra archeologii była umyślnie dla niego stworzona. Do ważniejszych prac Łepkowskiego należą: „Listy z Galicyi zachodniej", „Kalwarya Zebrzydowska i jej okolice", „Opisy Gniezna i Trzemeszna", sprawozdania i studya o zabytkach; „Broń sieczna, uważana archeologicznie" (drukowana w rocznikach Towarzystwa naukowego); „O modlitewniku znajdującym się w bibliotece uniwersyteckiej w Monachium"; „O poszanowaniu zabytków"; „Ułamki z podróży archeologicznej"; „Przegląd legend, nabożeństw i t. d.", „Sztuka, zarys jej dziejów." Nadto wydał wiele prac, niemających związku z archeologią („Geografia Galicyi", „Podręcznik weterynaryi",—pierwsza praca).

Dnia 29 lutego w Warszawie zakończył życie znany publicysta, Władysław Olendzki, ostatnio redaktor odpowiedzialny „Kuryera Codziennego" i referent polityczny tego pisma. Urodzony w pow. Kra-

Digitized by Google

snastowskim 2 lutego 1843 r., skończył akademię rolniczą w Proszkowie (Proskau), prócz tego odbył studya uniwersyteckie w Heidelbergu. Zrazu zapowiadał się jako bystry publicysta-historyk; napisał książkę p. t. „Teorya polityczna XVI wieku", która miała stanowić wstęp do „Historyi nauk politycznych od XVI wieku do najnowszych czasów." Praca atoli dziennikarska pochłonęła go całkowicie i odtąd do zakreślonych planów nie pozwoliła już mu nigdy wrócić. Przez pewien czas w Poznaniu redagował tygodnik literacki, był tam ważną osią ruchu dziennikarskiego. Od r. 1874 przeniósł się do Warszawy, w której osiedlił się na stałe. Przed laty kilkunastu robił wiele wrzawy, jako kronikarz „Niwy" pod pseudonimem Jacka Soplicy. Od założenia „Słowa" do r. 1887 był faktycznym redaktorem tego pisma, poczem przeniósł się do „Kuryera Codziennego", i siły swoje całkowicie jemu poświęciwszy, pozostał przy nim aż do zgonu.

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Wiadomości bibliograficzne.

— Dnia 15 lutego odbyło się posiedzenie komisyi historyi sztuki w Akademii Umiejętności w Krakowie, pod przewodnictwem prof. d-ra Maryana Sokołowskiego. Przewodniczący zdał sprawę z postępu wydawnictw komisyi, t. j. IV ostatniego zeszytu V tomu sprawozdania, następnie wydawnictwa materyałów do dziejów sztuki i cywilizacyi w Polsce, tudzież wydawnictw modlitewników. Zeszyt sprawozdań obejmuje prace pp.: Jelskiego, Tomkowicza, Łuszczkiewicza, Hendla, Odrzywolskiego, Kowalczuka i Mycielskiego (oprócz sprawozdań z posiedzeń i zupełnego indeksu do t. V-go). Do wydawnictwa materyałów w drukującym się obecnie tomie wchodzą rachunki Decyusza z bibl. Cesar. w Petersburgu i rachunki Włoszka z bibl. kórnickiej. Jedne i drugie dotyczą dworu Zygmunta Augusta. Modlitewniki Zygmunta I i Bony z biblioteki British-Muzeum w Londynie, z Oxfordu, Monachium i Willanowa, dopełnione zostały nowo odkrytym modlitewnikiem Władysława Warneńczyka, czy też prawdopodobniej Władysława Jagiełły z biblioteki Bodlejańskiej w Oxfordzie. Po opracowaniu tego ostatniego publikacya się rozpocznie.

Prof. Łuszczkiewicz okazał rzeźbę z XI wieku z kości słoniowej, przedstawiającą krucyfiks w otoczeniu wielu postaci. Wedle tradycyi ważny ten zabytek pochodzi z klasztoru tynieckiego, gdzie niegdyś stanowił środek ozdobnej oprawy księgi liturgicznej. Hr. Jerzy Mycielski zwrócił uwagę na portret królowej Maryi Antoniny, malowany

Digitized by Google

przez Kucharskiego (syna), mało dotąd znanego malarza polskiego z epoki Stanisława Augusta, wysłanego kosztem króla za granicę. Portret przedstawia królowę w popiersiu, w skromnem ubraniu wdowiem, i znajduje się dziś w pałacu książęcym w Brukselli.

Przewodniczący złożył krótką notatkę o malarzach krakowskich z początku XVII w., Marcinie i Janie Proszowskich, udzieloną przez d-ra Windakiewicza z rękopisu biblioteki Ossolińskich. Prof. Sokołowski zakomunikował nieznany testament króla Zygmunta III, spisany roku 1598 przed wyprawą do Szwecyi, według egzemplarza, który dochował się w archiwum nadwornem w Wiedniu i przeznaczony był dla rodziny cesarskiej, obdarzonej zapisami. Znajdują się tam wiadomości do budowy kaplicy rodowej Wazów przy katedrze na Wawelu, do budowy kościoła Ś-go Piotra, wzmianka o szpadzie złotej, wykonanej w Krakowie włoską robotą i t. d.

Ks. dr. Fiałek omawiał starożytne przepisy kościelne, mogące objaśnić niektóre zabytki. Zwrócił mianowicie uwagę na statut Jana Szafrańca, oficyała krakowskiego z roku 1408, określający miejsce na przechowanie Najśw. Sakramentu. Następnie zaś przytoczył, że za rządów biskupa krakowskiego, Jana Konarskiego, rozpowszechniło się było w Polsce nabożeństwo do cierpiącego P. Jezusa za konających i weszło do agend kościelnych, co może mieć związek z urządzeniem t. zw. Ogrójców przy naszych kościołach.

— W „Bibliotece pisarzów polskich", wydawanych przez Akademię Umiejętności w Krakowie, wyszło „Epitalamium" na wesele Zygmunta III-go (1592) Andrzeja Zbylitowskiego, wydane przez Jana Łosia. W cesarskiej bibliotece publicznej w Petersburgu znajduje się jedyny znany obecnie egzemplarz "Epitalamium", które dotychczas w większości spisów bibliograficznych prac A. Zbylitowskiego było pomijane. Nie wiedzieli nic o tym utworze Wiszniewski, Maciejowski, Sobieszczański i Turowski; inni wiedzieli coś, ale bardzo niedokładnie, i dopiero pierwszy prof. Wierzbowski, pomieściwszy wiadomość o tym poemaciku w swej „Bibliografii", wskrzesił istotnie jego pamięć.—Egzemplarz petersburski, drukowany in 4-o, nie posiada oprawy, lecz wprost na pierwszej stronicy ma wypisany tytuł; od owej tytułowej stronicy rozpoczyna się paginacya, choć liczby stronicowe występują dopiero na str. 3, gdzie u góry znajduje się cyfra 3, a u dołu a, i ciągną się aż do str. 17, która ma u dołu literę c. Wszystkich stronic jest 18; ostatnia, podobnie jak tytułowa, nie jest niczem osłoniona. Tytuł zajmuje całą pierwszą stronicę: otacza go ramka podwójna z linii prostych, między któremi rzucone są arabeski; takaż sama ramka, ale bez arabesek, czyli podwójny margines, otacza resztę stron książki. Po-

Digitized by Google

czątkowe litery, szczególniej w Epitalamium I, ozdobne, papier ładny, dość gładki, druk zwyczajny, gocki z łacińskim w nagłówkach. Na str. 18 znajduje się następująca rękopiśmienna notatka: „Bentkowski nie wiedział na pewno o tem dziełku Zbylitowskiego, nie wiedział z pewnością, w polskim czy też łacińskim języku miało być wydanem. Mylnie r. 1585 oznacza jako czas wydania Kalinowski. Poemacik ten ze względu na mnogość ustępów, nacechowanych prawdziwem natchnieniem, jak również z powodu zawartych w nim uwag o elekcyach królów polskich i o Kochanowskim, stanowi jeden z cenniejszych zabytków naszej literatury z czasów Zygmuntowskich i jako taki ze wszech miar na uwagę zasługuje.

— Niezależnie od rozpoczętego w tym roku wydawnictwa „Słownika apologetycznego wiary katolickiej" podjętego, jak już wspominaliśmy, przez X. Wł. Szcześniaka, według d-ra Jana Jaugeya, literatura apologetyczna nowy zyskała przyczynek w przekładzie książki kanonika Duilhé de Saint-Proget, gorąco aprobowanej przez Ojca Świętego, Leona XIII, w liście Jego Świętobliwości do autora. Książkę poprzedza słowo wstępne J. E. X. Michała Nowodworskiego, biskupa płockiego. Dzieło wydane w Warszawie (1894), nakładem Gebethnera i Wolffa.

— Artur Bardzki, adwokat przysięgły. Galicyjskie Towarzystwo Kredytowe Ziemskie. Warszawa 1894 (8-ka, str. 90). Autor, przebiegając dzieje i działalność tej instytucyi, miał przed oczami nasze Towarzystwa Kredytowe, na wzajemności oparte, starał się uwydatnić w dziejach i czynnościach Tow. Kred. galicyjskiego to wszystko, co według jego przekonania mogło być korzystnem i pouczającem dla przyszłego rozwoju naszych instytucyi; zaznaczył rzeczy godne naśladowania i—unikania, t. j. starał się przedewszystkiem uwydatnić niezwykłą wytrwałość Tow. galicyjskiego i jego walkę skuteczną z konkurującemi zakładami akcyjnemi. Zjawisko to, u nas zupełnie nieznane, ale, zdaniem autora,—możebne, gdyż „współzawodnictwo wcześniej czy później, wobec zysków, które udzielanie pożyczek amortyzacyjnych przynosić może bez żadnego prawie ryzyka,—wytworzyć się musi i to pod kierunkiem finansistów z powałania, biegłych w swoim zawodzie, z których siłami materyalnemi i umysłowemi liczyć się nam przyjdzie". Autor zwrócił przytem uwagę na bardzo nieliczny i niekosztowny zarząd Towarzystwa galicyjskiego i na możność obywania się bez oddzielnych zarządów w okręgach. Kwestya oszczędności w wydatkach na zarząd stanowi sekret powodzenia Towarzystw akcyjnych

Digitized by Google

które z tych oszczędności głównie czerpią fundusze na zyski dla swych akcyonaryuszów.

www.libtool.com.cn

— Odczyty kliniczne, wydawane przez redakcyę „Gazety lekarskiej". Ból gardła i jego znaczenie dyagnostyczne przy cierpieniach jamy gardzielowej." Skreślił dr. med. Alfred Sokołowski. Warszawa, 1894. Praca ta zawiera. Ogólny charakter bólu gardła, ostre zapalenie błony sluzowej jamy gardzielowej, ostre zapalenie migdałów, ostre zapalenie migdałka językowego, ropne zapalenie migdałka podniebieniowego i jego otoczenia; ropień pozagardzielowy, sprawa rozlana septyczna gardzieli, wyprysk gardzieli, dyfteryt gardzieli, ostre zapalenie torebek migdałowych, włókniste zapalenie gardzieli, ostre zapalenie przy chorobach wysypkowych, obce ciała w gardzieli, przewlekłe zapalenie krypt migdałów złuszczające, grzybica gardzieli, gruzlica gardzieli, przymiot gardzieli, nowotwory złośliwe, nieżyty przewlekłe gardzieli: porostowy i zanikowy. Nerwobóle i parestezye gardzieli. Między innemi autor zwraca uwagę na cierpienia urojone, doznawane najczęściej przez neurosteników, hipochondryków, którzy się naczytali książek lekarskich, lub obcowali z chorymi na gardło.

— „Wisła". Tom VII (październik, listopad, grudzień) 1893. Na treść tego zeszytu składają się następujące prace: Podarek poranny („Morgengabe") przez Jana Witorsa; Kronika geograficzna za rok 1892, przez Wacława Nałkowskiego; Tło ludowe „Balladyny", studyum folklorystyczne, przez Włodzimierza Bugla (dokończenie); Bajka o ocaleniu dziewczyny przez zwierzęta, przez Z. A. K.; Wesele wiejskie (w powiecie Chełmskim) przez Janinę Bogdanowiczównę; Wesele litewskie z okolic Wielony, przez ks. Antoniego Juszkiewicza, w przekładzie z litewskiego przez Izydora Kopernickiego i Jana Karłowicza (dalszy ciąg); Wochy i Koziary, przez ks. Adolfa Pleszczyńskiego; Zwyczaje weselne w Białej-Błotnej, w pow. Włoszczowskim, przez Konstantego Rayskiego; Rogi Jelenie, przez Stanisława Chełchowskiego; Babin mróz, przez Rafała Lubicza. Poszukiwania: I. Lecznictwo ludowe. Przyczynki S. B. Szczęsnego Jastrzębowskiego, Romualda Oczykowskiego, Rafała Lubicza i Stanisława Cerchy. III. Kula. Przyczynki Rafała Lubicza i Szczęsnego Jastrzębowskiego. IV. Chata. Przyczynek Rafała Lubicza. IX. Pojęcia ludu o przyrodzie. Przyczynki Romualda Oczykowskiego, B. W. K., Szczęsnego Jastrzębowskiego i Aleksandra Petrowa. X. Nazwy topograficzne. Przyczynek Stanisława Cerchy. XI. Piłkalnie. Przyczynek Szczęsnego Jastrzębowskiego. XIII. Pamięć o zmarłych. Przyczynek Stanisława Cerchy. XVI. Mak. Przyczynek Rafała Lubicza. XVIII. Sobótka.

Digitized by Google

Przyczynek B. W. K. i Romualda Oczykowskiego. XIX. Jak sobie lud wyobraża istoty świata nadprzyrodzonego. Przyczynek Stanisława Cerchy. XX. Szwedzi, Tatarzy, Turcy. Przyczynki: M. R. Witanowskiego, Aleksandra Petrowa i S. Jastrzębowskiego. Oprócz bogatego jeszcze działu bibliografii, krytyki i wiadomości bieżących, zeszyt niniejszy zawiera następujące rysunki: Tok, nadesł. przez St. Ulanowską. Słup kamienny w Baranowie pod Wiślicą M. B. Witanowskiego. Włościanka ruska z pod Chełma (według fotografii). Bronisław Dembowski (portret). Sprzążka finlandzka (nadesł. przez Adama Onufrowicza). Ubranie głowy panny młodej, przez M. Wawrzenickiego.

— „Geografii powszechnej" ilustrowanej Armanda Schweiger-Lerchenfelda, w przekładzie d-ra Karola Jurkiewicza (nakład M. Orgelbranda) ukazał się zeszyt 9.

— Zeszyt drugi (lutowy) „Przeglądu Technicznego" (Tom XXXI) wyszedł z druku.

— „*Jahresberichten der Geschichtswissenschaft*". W wydawnictwie pod powyżej wymienionym tytułem zamieścił pr. Pawiński w artykule „Polen bis 1795" sprawozdanie z ruchu naukowego historycznego polskiego w okresie od 1888—1892 r. Niejednokrotnie już zwracaliśmy uwagę na usługę, jaką pr. Pawiński oddaje literaturze naszej powyższemi sprawozdaniami, zwłaszcza, że je cechuje zawsze wzorowa gruntowność i wysokie poczucie sprawiedliwości.

W sprawozdaniu ostatniem poświęca pr. Pawiński uwagę nasamprzód wydawnictwom źródeł i z uznaniem wspomina prace pr. Ulanowskiego, Piekosińskiego, d-rów Czołowskiego, Prochaski, Celichowskiego, Bostla, Korzeniowskiego i Ehrenberga. Ze studyów poświęconych wiekom średnim w dawnej Polsce, wymieniono prace Latkowskiego, Koniecznego i pr. Lewickiego. W końcu sprawozdania ocenił pr. Pawiński monografie, badające wiek XVI do XVII w Polsce i tu spotykamy się z nazwiskami pr. Morawskiego, Kraushara, Stesłowicza, Konstantego Górskiego i zgasłego niedawno d-ra Antoniego J.

A. R.

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

Książki, nadesłane do Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej."

www.rcin.org.pl

— Dr Edmund Chaumier (z Tours). O usilnem leczeniu gruźlicy, a szczególnie suchot płucnych za pomocą węglanu kreozotu bukowego Warszawa, 1894, (str. 18).

— Węglan gwajakolu w gruźlicy. Warszawa, 1894, (str. 13). (Przez d-ra Ryszarda Seiferta, chemika z Radebeul pod Dreznem i dra med. Fryderyka Holschera z Mühlheim nad Renem).

— Bazar, kalendarz ilustrowany na rok zwyczajny, 1894, z kalendarzykiem na r. 1895. Ułożył i wydał M. Kazimierowski. Rok piąty. Warszawa. 1894.

— A. Kwiatkowski. Dobre chęci w sklepiku (8-ka, str. 83). Warszawa, 1894.

— Grant Allen. Powieści dziwne; z angielskiego przełożyła Zofia Grabowska (8-ka, str. 223). Warszawa, nakładem red. *Głosu*, 1894.

— Sewer. „Przybłędy." Nowella.—Warszawa, nakładem S. Lewentala.

— „Gorzałka"—z niemieckiego przełożyła M. Twardowska. Warszawa, 1894, nakładem *Gazety Świątecznej*.

— W zbiorze „Skarbczyk". wydawanym staraniem *Gazety Świątecznej*, wyszły „Dumy i pieśni" (IV) 100 śpiewów z ust ludu. Zebrał Zygmunt Gloger. Warszawa, 1894.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weyssenhoff.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

RODZINA POŁANIECKICH.[1)]

XVII.

— Nawet się nie pytam, — mówił Bigiel do Połanieckiego, po jego powrocie do Warszawy — czy jesteś szczęśliwy. Z taką osobą, jak twoja żona, nie można być nieszczęśliwym.

— Tak — odpowiedział Połaniecki. — Marynia taka poczciwa kobiecina, że trudno o lepszą.

Poczem zwrócił się do pani Bigielowej:

— Obojgu nam dobrze — rzekł — i nie może być inaczej. Pamięta droga pani nasze dawne rozmowy o małżeństwie i miłości? Pamięta pani, jak ja się bałem, żeby nie trafić na kobietę, która-by chciała zasłonić sobą mężowi cały świat, zająć wszystkie jego myśli, wszystkie jego uczucia, być jedynym celem jego życia? Pamięta pani, jak dowodziłem i pani i pani Emilii, że jednak miłość do kobiety nie może i nie powinna być dla człowieka wszystkiem i że po-za nią są inne sprawy na świecie?

— Tak, ale pamiętam także, co ja panu mówiłam, iż mnie naprzykład zajęcia domowe nic a nic nie przeszkadzają kochać dzieci... Bo ja wiem! ale tak mi się jakoś zdaje, że te rzeczy nie są, jak naprzykład pudełka, których jak się kilka na stole postawi, to na inne niema już miejsca.

[1)] Patrz zeszyt kwietniowy „Biblioteki."

Digitized by Google

— Moja żona ma słuszność — rzekł Bigiel. — To zauważyłem, że ludzie często się mylą, przenosząc w warunki fizyczne uczucia, albo idee. Gdy o nich mowa, niema co gadać o miejscu...

Na to Połaniecki rzekł wesoło:

— Cicho, ty kraju podbity!

— A, kiedy mi z tem dobrze — rzekł roztropnie Bigiel. — Przytem i ty będziesz podbity.

— Ja?

— Tak. Poczciwością, dobrocią, sercem.

— To co innego. Można być podbitym i nie być pantoflem. Nie przeszkadzajcie mi państwo chwalić Maryni. Trafiłem tak, że lepiej nie mogłem, i właśnie dlatego, że ona zadawalnia się takiem uczuciem, jakie dla niej mam — i nie chce być mojem wyłącznem bożyszczem. Za to ją kocham! Bóg mnie ustrzegł od żony wymagającej poświęcenia dla siebie całej duszy, całego rozumu, całej istoty et caetera — i szczerze mu za to dziękuję, bo takiej-bym nie zniósł. — Prędzej rozumiem, że to wszystko można dać z dobrej woli, a mianowicie wówczas, gdy to nie jest wymaganiem.

— Niech mi pan wierzy, panie Stanisławie, — odrzekła pani Bigielowa — że my bez wyjątku jesteśmy pod tym względem jednako wymagające, tylko z początku bierzemy często tę cząstkę, którą nam dają, za całość, a potem...

— A potem co? — przerwał nieco drwiąco Połaniecki.

— Potem, te, które mają w sercu prawdziwą poczciwość, zdobywają się na coś, co dla was jest słowem bez znaczenia, a dla nas często podstawą życia.

— Cóż to za talizman?

— Rezygnacya.

Połaniecki zaczął się śmiać.

— Nieboszczyk Bukacki mawiał, — rzekł — że kobiety ubierają się często w rezygnacyę, tak jak w kapelusz, dlatego, że im z tem do twarzy. Kapelusz z rezygnacyi, woalka z lekkiej melancholii — alboż to brzydkie?

— Nie, to nie brzydkie. Co pan chce! może to strój, ale w takim stroju łatwiej się dostać do nieba, niż w innym.

— To moja Marynia skazana w takim razie do piekła, bo mam nadzieję, że go nie będzie nigdy nosiła. Zresztą za chwilę ją pani zobaczy, gdyż obiecała mi, że po naszych godzinach biurowych przyjdzie do państwa. Spóźnia się maruda, bo już tu powinna być.

— Ojciec pewnie jej nie puszcza. Ale zostaniecie państwo u nas na obiedzie, bez żadnej ceremonii — prawda?

— Zostaniemy na obiedzie. Zgoda!

Digitized by Google

— I tak ktoś się nam dziś obiecał, więc się tylko towarzystwo powiększy. Tymczasem pójdę zapowiedzieć, żeby przygotowano dla was nakrycia.

www.libtool.com.cn

To rzekłszy, pani Bigielowa wyszła, Połaniecki żaś spytał Bigiela:

— Kogo macie mieć na obiedzie?

— Zawiłowskiego, przyszłego korespondenta naszego Domu.

— Jaki to Zawiłowski?

— Ten, ten sam, znany już — poeta!

— Z Parnasu do kantorka? jakże to?

— Bo już nie pamiętam, kto powiedział, że społeczeństwo nasze trzyma swoich gieniuszów na dyecie. Mówią, że to ogromnie zdolny człowiek, ale wierszami nie można na chleb zarobić. Wiesz, nasz Ciskowski przeszedł do Towarzystwa ubezpieczeń — posada zawakowała i zgłosił się Zawiłowski. Miałem trochę skrupułów, ale on mi powiedział, że to dla niego kwestya chleba i możności do pracy. Przytem podobał mi się, bo się przyznał odrazu, że w trzech językach pisze, ale żadnym dobrze nie mówi, a powtóre, że nie ma najmniejszego pojęcia o korespondencyi handlowej.

— E, to głupstwo, — odrzekł Połaniecki — w tydzień się nauczy. Tylko czy to na długo będzie tej posady i czy korespondencya nie będzie zalegała... Z poetą sprawa!

— To się pożegnamy. Ale rozumiesz, że gdy sam się zgłosił, wolałem dać miejsce takiemu Zawiłowskiemu, niż komu innemu. Za trzy dni ma zacząć robotę. Tymczasem wypłaciłem mu naprzód miesięczną pensyę, bo było trzeba.

— Goły był?

— Zdaje się. Jest tu stary Zawiłowski, ten, co ma córkę, bardzo bogaty człowiek. Pytałem się naszego, czy nie jego krewny. Powiedział, że nie, ale się przy tem zaczerwienił, więc myślę, że tak. Ale jak to u nas! w niczem równowagi: jedni wypierają się krewnych, dlatego że biedni, drudzy dlatego, że bogaci. Wszystko dla fantazyi — i przez tę szelmowską pychę. — On ci się zresztą podoba. Żonie mojej się podobał.

— Kto się podobał twojej żonie? — spytała wchodząc pani Bigielowa.

— Zawiłowski.

— Bom czytała jego taki ładny wiersz, pod tytułem: „Na progu." Przytem Zawiłowski wygląda, jakby coś chował przed ludźmi.

— Chował biedę, a raczej bieda jego chowała.

— Nie, on wygląda jakby przeszedł przez jakiś ciężki zawód.

Digitized by Google

— Widziałeś romantyczkę. Mówiła mi już, że on dużo przecierpiał, i obraziła się, gdym wyraził przypuszczenie, że może na robaki w dziecinnym wieku, albo na ognipiór. To dla niej nie dość poetyczne.

Lecz Połaniecki począł spoglądać na zegarek i trochę się niecierpliwić.

— Nie popisuje mi się Marynia — rzekł — co za maruda!

Lecz „maruda" właśnie w tej chwili nadeszła, a raczej nadjechała. Powitanie obyło się bez wybuchów, albowiem z Bigielową widziały się już poprzednio na kolei. Połaniecki zapowiedział żonie, że zostają na obiad, na co zgodziła się chętnie, a następnie poczęła witać się z dziećmi, które churmem wpadły do pokoju.

Tymczasem nadszedł Zawiłowski, którego Bigiel przedstawił Połanieckim. Był to jeszcze zupełnie młody człowiek, lat koło dwudziestu siedmiu lub ośmiu, i Połaniecki, patrząc na niego, zauważył, że bynajmniej nie ma miny człowieka, który dużo cierpiał w życiu. Był tylko widocznie zakłopotany w towarzystwie, którego przez pół wcale nie znał. Twarz miał nerwową, z wystającą silnie naprzód, jak u Wagnera, brodą, z wesołemi szaremi oczyma i z niezmiernie delikatnem, bielszem niż reszta twarzy, czołem, na którem wydatne żyły formowały literę Y. Był przytem dość wysoki i dość niezgrabny.

— Słyszałem, — rzekł mu Połaniecki — że za trzy dni zacznie pan z nami kolegować.

— Tak jest, panie pryncypale, — odpowiedział młody człowiek— raczej służyć w biurze.

Połaniecki zaczął się śmiać.

— Tylko daj pan spokój z pryncypałowaniem. U nas niema zwyczaju tak się mościć mościami, albo pryncypałować... Nie wiem, chybaby mojej żonie podobał się taki tytuł, dlatego, że dodał-by jej powagi we własnych oczach.

Tu zwrócił się do Maryni:

— Słuchaj-no, pani pryncypałowo: czy chcesz, żeby cię nazywano pryncypałową? Będzie nowa zabawa!

Zawiłowski zmieszał się, ale począł się równie śmiać, gdy pani Połaniecka odrzekła:

— Nie, bo mi się zdaje, że „pryncypałowa" powinna nosić ot taki ogromny czepek (tu pokazała rękoma jak wielki), a ja nie cierpię czepka.

Zawiłowskiemu uczyniło się raźniej wśród wesołej dobrobuszności tych ludzi, zmieszał się jednak znowu, gdy Marynia mu rzekła:

— A pan to mój dawny znajomy. Teraz nic nowego nie czytałam, bośmy dopiero co wrócili; czy przybyło co przez ten czas?

Digitized by Google

— Nie, pani — odpowiedział — ja się tak tem zajmuję, jak pan Bigiel muzyką: w wolnych chwilach i dla własnej rozrywki.

— Nie wierzę — odpowiedziała pani Połaniecka.

I miała słuszność nie wierzyć, bo wcale tak nie było. W odpowiedzi Zawiłowskiego brakło też prostoty, ale on chciał dać poznać, że przedewszystkiem pragnie uchodzić za korespondenta Domu handlowego i być traktowanym jak urzędnik, nie jak poeta. Tytułował też Bigiela i Połanieckiego, bynajmniej nie przez potulność, tylko, by okazać, że podjąwszy się pracy biurowej, uważa ją za tak dobrą, jak każda inna, że się do tej roli stosuje i będzie się stosował w przyszłości. Było w tem również i co innego. Zawiłowski, jakkolwiek młody, spostrzegł, ile jest śmieszności w ludziach, którzy, napisawszy jeden lub drugi wierszyk, przybierają pozy wieszczów i każą się za takowych uważać. Jego wygórowana miłość własna drżała przed obawą śmieszności—wpadł więc w drugą ostateczność i prawie wstydził się swojej poezyi. W ostatnich czasach, w których przytem znosił wielki niedostatek, stało się to niemal dziwactwem i najlżejsza wzmianka z czyjejkolwiek strony o tem, że jest poetą, wprowadzała go w tłumiony gniew.

Czuł zaś jednocześnie, że jest nielogicznym, wobec tego bowiem najprostszą rzeczą było nie pisywać wierszy i nie ogłaszać ich; ale od tego nie mógł się powstrzymać. Głowa jego nie była otoczona jeszcze aureolą, ale padło już na nią kilka promyków, które to rozświetlały mu czoło, to gasły, w miarę jak tworzył, lub się zaniedbywał. Po każdym nowym wierszu, promyk poczynał na nowo drgać—i Zawiłowski, zarówno zdolny jak ambitny, cenił w gruncie rzeczy te odbłyski sławy więcej niż wszystko w świecie. Chciał jednak, by ludzie między sobą tylko o nim mówili, a nie jemu w oczy. Gdy przeczuwał, że o nim poczynają zapominać, cierpiał skrycie. Było w nim jakby rozdwojenie miłości własnej, która chce sławy i zarazem odpycha ją przez pewną dzikość i dumę, z obawy, by ktoś nie powiedział, że jej za dużo. A prócz tego tkwiło w nim mnóstwo sprzeczności, jak w człowieku młodym i wrażliwym, który przejmuje się i odczuwa wyjątkowo, a wśród tych odczuwań nie umie częstokroć własnego *ja* odnaleźć. Z tego powodu artyści wogóle wydają się częstokroć sztuczni.

Tymczasem jednak podano obiad, podczas którego rozmowa toczyła się oczywiście o Włoszech i o ludziach, jakich Połanieccy tam spotkali. Połaniecki opowiadał o Bukackim i o jego ostatnich chwilach, a zarazem ostatniej woli, wskutek której stał się spadkobiercą po nim dość znacznej sumy. Daleko większa część miała być użytą na cele publiczne — i o tem mieli się z Bigielem naradzić. Lubiono jednak Bukackiego i wspominano go ze współczuciem, a pani Bigielowa miała

Digitized by Google

nawet łzy w oczach, gdy Marynia wspomniała, że się przed śmiercią wyspowiadał i że umarł jak chrześcianin. Ale współczucie to było tego rodzaju, że można było przy niem jeść obiad, i jeśli Bukacki wzdychał kiedykolwiek naprawdę za Nirwaną, to obecnie miał, czego chciał, został bowiem dla ludzi, nawet sobie blizkich i którzy go lubili, wspomnieniem zarówno lekkiem, jak nietrwałem. Jeszcze tydzień, miesiąc lub rok — i nazwisko jego miało stać się dźwiękiem bez echa. Istotnie na niczyją głębszą miłość nie zarobił, niczyjej nie miał, i życie spłynęło mu w ten sposób, że nawet po takiem dziecku, jak Litka, zostało nietylko stokroć więcej żalu, miłości, ale i pamiętnych śladów. Zawiłowskiego, który go nie znał, zaciekawiło z początku jego życie, gdy jednak wysłuchał wszystkiego, co Połaniecki opowiadał, pomyślawszy, rzekł: „To w dodatku kopia!" — Bukackiego, który ze wszystkiego żartował, byłby jednak zabolał taki nagrobek.

Lecz Marynia, chcąc nadać weselszy zwrot rozmowie, poczęła opowiadać o wycieczkach, które czynili po Rzymie i jego okolicach, bądź to sami, bądź ze Swirskim, bądź z Osnowskimi. Bigiel, który był kolegą Osnowskiego i od czasu do czasu jeszcze go widywał, rzekł:

— On ma jedną miłość, to jest własną żonę, i jedną nienawiść, to jest własną otyłość, a raczej skłonność do niej. Zresztą najlepszy w świecie człowiek.

— Ależ on wygląda zupełnie szczupły — rzekła Marynia.

— Dwa lata temu był prawie gruby, ale jak począł jeździć na welocypedzie, fechtować się, zażywać kuracyi Bettinga, latem pić Karlsbad a zimą jeździć do Włoch lub Egiptu dla transpiracyi — tak napowrót zrobił się cienki. Zresztą, źle powiedziałem, że on ma nienawiść do otyłości — to jego żona! a on to czyni przez kokieteryę względem niej. Tańcowywał też po całych nocach na balach, także z tego samego powodu.

— To „sclavus saltans" — rzekł Połaniecki. — Swirski już nam o tem opowiadał.

— Bo rozumiem, że można żonę kochać, — rzekł Bigiel — że można ją uważać, jak się to mówi: za źrenicę oka. Dobrze! Ale ja, jak Boga kocham, słyszałem, że on do swojej wiersze pisuje, że otwiera z zamkniętemi oczyma książki, zaznacza palcem wiersz i wróży sobie z tego co przeczyta, czy jest kochany. Jeśli mu źle wypadnie, to wpada w melancholię. On się kocha jak student. Liczy wszystkie jej spojrzenia, usiłuje odgadnąć, co miało za znaczenie takie lub owakie jej słowo; całuje nietylko jej nogi i ręce, ale gdy myśli, że nikt na niego nie patrzy, to i jej rękawiczki... Bóg wie co! i tak już przez całe lata.

— A jaki kochany! — rzekła Marynia.

— Chciałabyś żebym taki był? — spytał Połaniecki.

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

Ona pomyślała chwilkę i odrzekła:

— Nie, bo w takim razie byłbyś inny, niż jesteś.

— O to Machiawel! — rzekł Bigiel. — Warto-by taką odpowiedź zapisać, bo to zarazem i pochwała, i trochę krytyki, i zaświadczenie, że tak jak jest, jest najlepiej, i że można-by żądać czegoś jeszcze lepszego. Dajże tu sobie człowieku z tem radę.

— Ja to biorę, jako pochwałę,— rzekł Połaniecki — choć pani (tu zwrócił się do Bigielowej) powie zapewne, że to rezygnacya.

Pani Bigielowa odrzekła, śmiejąc się:

— Wierzch jest z miłości, rezygnacya może przyjść z czasem jako podszewka, jeśli zacznie być chłodno.

Lecz Zawiłowski patrzył z ciekawością na Marynię. Sama ona wydawała mu się i ładna, i sympatyczna, a odpowiedź jej zastanowiła go. Pomyślał jednak, że tak mogła mówić tylko kobieta ogromnie zakochana, której nigdy nie dość uczucia. I począł spoglądać na Połanieckiego z pewną zazdrością, że zaś był wielkim samotnikiem, więc przyszły mu zarazem do głowy słowa piosenki: „U sąsiada żonka miła."

Tymczasem, ponieważ cały czas milczał, lub przemówił zaledwie parę słów, wydawało mu się, iż trzeba-by jakoś wtrącić się do rozmowy. Ale powstrzymywała go nieśmiałość i przytem przemijający ból zębów, który, po przejściu większego paroksyzmu, odzywał się jeszcze chwilami dość silnie. Odbierało mu to resztę animuszu — wreszcie jednak, zdobywszy się na odwagę, spytał:

— A pani Osnowska?

— A pani Osnowska — odrzekł Połaniecki — ma męża, który kocha za dwoje, więc się nie potrzebuje fatygować. Tak przynajmniej utrzymuje Swirski. Przytem ma chińskie oczy, na imię Aneta, plombę w górnych ząbkach, którą widać, jak się bardzo śmieje — więc woli się uśmiechać — i wogóle jest jak synogarliczka: kręci się w kółko i woła: „cukru! cukru!"

— To złośliwy człowiek! — odrzekła Marynia. — Jest śliczna, żywa, sprytna — a pan Swirski nie może wiedzieć o ile ona męża kocha, bo z pewnością o tem z nią nie rozmawiał. To wszystko są tylko przypuszczenia.

Połaniecki pomyślał dwie rzeczy: naprzód, że to nie są przypuszczenia, a powtóre, że ma żonę równie naiwną, jak poczciwą.

Zawiłowski zaś rzekł:

— Ciekawym, coby było, gdyby ona tak samo kochała się w nim, jak on w niej.

— Byłby to największy dwuosobowy egoizm, jaki świat widział— odpowiedział Połaniecki. — Byli-by tak zajęci sobą, że nie widzieli-by nic i nikogo obok siebie.

Digitized by Google

Zawiłowski uśmiechnął się i odrzekł:

— Światło nie przeszkadza ciepłu, ale je rodzi.

www.libtool.com.cn

— Ściśle biorąc, to jest porównanie więcej poetyczne, niż fizyczne — odrzekł Połaniecki.

Ale obydwom paniom podobała się odpowiedź Zawiłowskiego i obie poparły go gorąco, a gdy do nich przyłączył się i Bigiel, Połaniecki został przegłosowany.

Potem poczęto mówić o Maszce i jego żonie. Bigiel opowiadał, że Maszko dostał w ręce ogromną sprawę o zwalenie milionowego testamentu po pannie Płoszowskiej, z którą wystąpiło kilkunastu spadkobierców dość dalekich. Pan Pławicki donosił o tem Maryni do Włoch, ale uważała całą sprawę za takie marzenie, jakiem niegdyś były miliony oparte na marglu w Krzemieniu, i zaledwie o tem wspomniała mężowi, który też odrazu kiwnął na wszystko ręką. Teraz sprawa, skoro Maszko się jej podjął, zapowiadała się poważniej. Bigiel przypuszczał, że muszą być jakieś nieformalności w testamencie, i twierdził, że gdyby Maszko wygrał, mógłby odrazu stanąć na nogach, wymówił sobie bowiem olbrzymie honoraryum. Połanieckiego cała rzecz zaciekawiła mocno.

— Maszko ma jednak sprężystość kota — rzekł — zawsze padnie na nogi.

Bigiel zaś odpowiedział:

— I tym razem powinniście prosić Boga, żeby krzyża nie złamał, bo to dla pani i dla jej ojca chodzi o niemałą rzecz. — Sam Płoszów ze wszystkiemi folwarkami oceniono na siedmset tysięcy rubli. A prócz tego jest gruba gotówka.

— Toby było dziwne, taka niespodziana gratka — rzekł Połaniecki.

Lecz Marynia dowiedziała się z przykrością, że ojciec jej naprawdę wystąpił wraz z innymi spadkobiercami o zwalenie testamentu. Jej „Stach" był człowiekiem zamożnym i miała ślepą wiarę, że od niego tylko zależy zrobić miliony; ojciec miał rentę, a prócz tego ona odstąpiła mu dożywocie na sumie, która się należała z Magierówki, więc bieda nikomu nie groziła. Miło-by wprawdzie było pani Połanieckiej módz odkupić Krzemień i wozić tam na lato swego „Stacha", ale nie za takie pieniądze.

Poczęła więc mówić z wielkiem ożywieniem:

— Ja się tem tylko martwię. To były pieniądze użyte tak poczciwie! Nie godzi się zmieniać woli zmarłych, nie godzi się odejmować chleba biednym, albo szkołom. Synowiec pani Płoszowskiej zastrzelił się: może jej chodziło o ratunek duszy jego, o przejednanie bożego

Digitized by Google

miłosierdzia. To się nie godzi!... Powinno się inaczej myśleć i inaczej czuć! ..

www.libtool.com.cn

I aż zapłoniła się nieco, a Połaniecki rzekł:

— A jaka rezolutna!

Lecz ona wysnęła naprzód swoje nieco za szerokie usta, z wyrazem zadąsanego dziecka i poczęła powtarzać:

— No, Stachu, powiedz, że ja mam słuszność, powiedz, że ja mam słuszność!! — Tyś to powinien powiedzieć!

— Bez wątpienia — rzekł Połaniecki — ale Maszko może sprawę wygrać.

— Życzę mu, żeby przegrał — odpowiedziała.

Połaniecki zaś powtórzył:

— A jaka rezolutna!

— I jaka poczciwa, jaka szlachetna natura — pomyślał Zawiłowski, nadając zarazem w swym plastycznym umyśle pojęciom o dobroci i szlachetności kształt kobiety o ciemnych włosach, niebieskich oczach, wysmukłej postawie i ustach nieco za szerokich.

Po obiedzie Bigiel z Połanieckim wyszli na cygara i czarną kawę do pokoju biurowego, gdzie mieli zarazem odbyć pierwszą naradę, na jakie cele rozporządzić spadkiem po Bukackim. Zawiłowski, jako niepalący, został z paniami w salonie. Wówczas Marynia, która jako pani „pryncypałowa" poczuwała się do obowiązku ośmielenia przyszłego urzędnika „Domu", zbliżyła się do niego i rzekła:

— Ja, tak jak pani Bigielowa, chciałabym, żebyśmy wszyscy uważali się za jedną wielką rodzinę, dlatego niech pan zaliczy i nas do swoich dobrych znajomych.

— Z największą chęcią, jeśli pani pozwoli — odpowiedział Zawiłowski. — Ja i tak byłbym złożył moje uszanowanie...

— Poznałam wszystkich panów z biura, tylko na ślubie, potem zaraz wyjechaliśmy, ale teraz przyjdzie do bliższej znajomości. — Mąż mi mówił, że chciałby, żebyśmy się zbierali jednego tygodnia u państwa Bigielów, a drugiego u nas. To bardzo dobry zamiar, tylko ja robię jedno zastrzeżenie.

— Jakie? — spytała pani Bigielowa.

— Żeby nie wolno było mówić na tych zebraniach o żadnych interesach handlowych. Będzie trochę muzyki, bo spodziewam się, że o tem pomyśli pan Bigiel — a czasem odczytamy coś takiego, jak „Na progu."

— To chyba nie przy mnie — rzekł z przymuszonym uśmiechem Zawiłowski.

A ona poczęła mu patrzeć w oczy, ze zwykłą sobie prostotą:

Digitized by Google

— Czemu nie? — spytała. — Wobec ludzi szczerze przyjaznych? Myśmy o panu nieraz i mówili, i myśleli, zanim przyszło do poznania, a cóż dopiero teraz.

www.libtool.com.cn

Zawiłowski czuł się ogromnie rozbrojony. Zdawało mu się, iż wpadł między wyjątkowych ludzi, a przynajmniej, że pani Połaniecka jest wyjątkową kobietą. Obawa, która paliła go jak ogień, żeby nie wydać się śmiesznym, razem ze swoją poezyą, ze swoją za długą szyją i śpiczastemi łokciami, poczęła się w nim zmniejszać. Było mu przy niej jakoś swobodnie. Odczuwał, że ona nic nie mówi dlatego tylko, by coś powiedzieć, lub ze względów towarzyskich, ale wypowiada najściślej tylko to, co płynie z jej dobroci i wrażliwości. Przytem zachwycała go jej twarz i postać, tak jak w Wenecyi zachwyciła Swirskiego. A ponieważ przywykł szukać dla każdego wrażenia określeń, więc począł szukać wyrazów i dla niej—i czuł, że one powinny być nietylko szczere, ale zarazem wykwintne, wdzięczne i polne, tak jak piękność jej była współcześnie wykwintna i polna. Uznał, że ma przed sobą temat i zbudził się w nim artysta.

Tymczasem ona poczęła go wypytywać z wielką życzliwością o stosunki rodzinne, na szczęście jednak wejście do salonu Bigiela i Połanieckiego uwolniło go od dokładniejszych odpowiedzi, które musiały-by być mu przykre. Ojciec jego, znany niegdyś karciarz i hulaka, od kilku lat cierpiał na pomieszanie zmysłów i był w zakładzie dla obłąkanych.

Muzyka miała przerwać tę drażliwą rozmowę. Połaniecki kończył z Bigielem naradę, ów zaś mówił:

— Zdaje mi się, że to doskonały projekt, ale trzeba się jeszcze będzie namyślić.

Potem wsparłszy się na wiolonczeli, począł się rzeczywiście namyślać, a wreszcie rzekł:

— To dziwna rzecz! Ja jak gram, to niby nic innego mi nie w głowie, a tymczasem nie prawda! Jakaś cząstka mózgu zastanawia się wtedy nad innemi rzeczami, i co szczególne, to, że najlepsze pomysły właśnie wówczas przychodzą.

To rzekłszy, siadł, chwycił wiolonczelę między kolana, przymknął oczy i rozpoczął „Pieśń wiosenną."

Zawiłowski odszedł tego dnia do siebie, zachwycony domem, ludźmi, ich prostotą, „pieśnią wiosenną", a szczególniej panią Połaniecką.

Ona zaś ani się domyślała, że z czasem może wzbogacić „nowym dreszczem" poezyę.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

XVIII.

Państwo Maszkowie odwiedzili Połanieckich w tydzień po ich przyjeździe. Ona, przybrana w szarą suknię, obszytą takiejże barwy marabutem, wyglądała tak ładnie, jak nigdy. Zapalenie oczu, na które dawniej cierpiała, przeszło. Twarz jej posiadała dawniejszą obojętną, prawie senną łagodność, ale obecnie podnosiło to tylko jej artystyczny wyraz. Dawniejsza panna Krasławska była starsza około pięciu lat od Maryni i jako panna wyglądała starzej, teraz jednak zdawało się, że odmłodniała. Wysmukła i rzeczywiście nader zgrabna jej postać rysowała się w obcisłej sukni, jak dziecinna. Szczególną było rzeczą, że Połaniecki, który jej nie lubił, znajdował w niej coś pociągającego, i ilekroć ją widział, mówił sobie: „wszelako w niej coś jest." Nawet jej głos monotonny i nieco dziecinny miał dla niego pewien urok. Obecnie wprost powiedział sobie, że wygląda wyjątkowo wdzięcznie i że więcej się zmieniła na korzyść od Maryni.

Sam Maszko zakwitł również, jak słonecznik. Dystynkcya aż biła od niego, a obok niej pewność siebie i duma, łagodzona łaskawością. Zdawać-by się mogło, że jednego dnia nie jest w stanie objechać swych włości — słowem *udawał* więcej niż kiedykolwiek. Nie udawał tylko miłości do żony, znać bowiem było z każdego jego spojrzenia, że ją pokochał rzeczywiście. Naprawdę trudno było-by znaleźć kobietę, która-by lepiej odpowiadała jego pojęciom o dobrym smaku, wykwintności i wielko-światowym polorze. Jej obojętność, jej jakby zamrożone obejście się z ludźmi, uważał za coś wprost nieporównanego. Ona tej „dystynkcyi" nie traciła nigdy i w żadnej chwili, nawet sam na sam z nim. On zaś, jak prawdziwy parweniusz, który posiadł księżniczkę, pokochał ją właśnie dlatego, że mu się wydawała księżniczką i że ją posiadł.

Marynia poczęła wypytywać, gdzie spędzili czas poślubny, na co pani Maszkowa odrzekła: „w majątku męża" — takim tonikiem, jak gdyby ów „majątek męża" był majoratem od dwudziestu pokoleń — przyczem dodała, że za granicę wybierają się dopiero za rok, gdy mąż pokończy interesa, tymczasem na letnie miesiące wyjadą znów do „majątku męża."

— Pani lubi wieś? — spytała Marynia.

— Mama lubi wieś — odrzekła pani Maszkowa.

— A Krzemień podobał się mamie pani?

— Tak. Tylko okna w domu jak w oranżeryi. Tyle szyb!

Digitized by Google

— To trochę konieczne—odrzekła śmiejąc się pani Połaniecka— bo jak się taka szyba stłucze, to ją każdy szklarz naprawi, a po wielkie trzeba-by posyłać aż do Warszawy.

— Mąż mówi, że wybuduje nowy dom.

Pani Połaniecka westchnęła po cichu i zmieniła przedmiot rozmowy. Poczęły mówić o wspólnych znajomych. Pokazało się, że pani Maszkowa brała niegdyś z „Anetką" Osnowską i z jej młodszą krewną, Linetą Castelli, lekcye tańca, że znają się doskonale i że Lineta jeszcze ładniejsza od Anety, a przytem maluje i ma cały album własnych wierszy. Pani Maszkowa słyszała, że Anetka już wróciła i że Lineta zamieszka w tej samej willi aż do czerwca, razem ze swoją ciotką, panią Broniczową... „i to będzie bardzo dobrze, bo one takie miłe!"

Połaniecki zaś z Maszką wynieśli się zwolna do przyległego saloniku i rozmawiali o testamencie panny Płoszowskiej.

— Mogę ci powiedzieć, żem prawie wypłynął — mówił Maszko. Byłem niemal nad przepaścią, ale ta sprawa postawiła mnie na nogi, przez to samo, żem ją zaczął. Bo też od lat całych nie było podobnej. Tu chodzi o miliony. Płoszowski, sam przez się, bogatszy był od ciotki — i zanim sobie w łeb strzelił, zapisał majątek matce pani Kromickiej, a gdy ta go nie przyjęła, cała ta fortuna przeszła na starą pannę Płoszowską. Rozumiesz teraz, ile babulka musiała zostawić.

— Bigiel wspominał o siedmiuset tysiącach rubli.

— Powiedz-że twemu Bigielowi, skoro tak lubi liczyć, że jest przeszło dwa razy tyle. No, muszę sobie jednak oddać tę sprawiedliwość, że się umiem ratować, i że łatwiej mnie wrzucić do wody, niż utopić. Ale co ci osobliwego powiem: wiesz komu to zawdzięczam? twemu teściowi. On mi kiedyś o tem wspominał, ale zrazu machnąłem ręką. Potem wpadłem w te tarapaty, o których ci pisałem. Miałem nóż na gardle. Otóż trzy tygodnie temu spotykam wypadkiem twego teścia, który mi, między innemi, zaczyna mówić o pannie Płoszowskiej i wymyśla na nią ile wlezie. Nagle uderzyłem się w czoło. Co mam do stracenia? Nic. Kazałem regentowi Wyszyńskiemu pokazać sobie testament — i widzę, że nieformalności są. Małe, ale są. W tydzień miałem już plenipotencyę od spadkobierców i rozpocząłem sprawę. I co powiesz? na samą wieść o honoraryum, jakie mam dostać w razie wygranej, wróciła ludziom ufność, wróciła moim wierzycielom cierpliwość, wrócił kredyt — i trzymam się... Pamiętasz? był czas, żem spuścił z tonu, że mi po głowie chodziły sielankowe zamiary wyrobienia się mrówczą pracą, ograniczeniem życia. Głupstwo! To trudno, mój kochany! Tyś mi zarzucał, że *udaję*, ale u nas trzeba. Ja muszę dziś udawać człowieka, który jest zarówno pewny swego majątku, jak i wygranej!

— Powiedz mi otwarcie, czy to jest dobra sprawa?

Digitized by Google

— Jakto czy dobra?

— Poprostu, czy nie zbyt ją trzeba będzie ciągnąć za uszy, przeciw słuszności?

www.libtool.com.cn

— Wiedz o tem, że w każdej sprawie jest coś do powiedzenia na jej korzyść i uczciwość adwokacka polega właśnie na tem, żeby to powiedzieć. Właściwie tu jest kwestya, kto ma być spadkobiercą i czy testament jest tak napisany, żeby się mógł ostać wobec prawa — a prawo nie ja wymyśliłem.

— Masz widoki wygranej?

— Gdy chodzi o zwalenie testamentu, niemal zawsze się je ma, dlatego, że atak jest zwykle prowadzony sto razy energiczniej, niż obrona. Kto się będzie przeciw mnie bronił? Instytucye, to jest ciała same przez się ociężałe, mało zaradne, których przedstawiciele nie mają w obronie żadnego osobistego interesu. Wezmą adwokata, dobrze! ale co mu dadzą! co mu mogą dać? Tyle, ile z prawa wypada. Otóż i ten adwokat będzie miał raczej większe widoki zysku w razie, jeśli ja wygram — bo to może zależeć od osobistego mego z nim układu. Wogóle powiem ci, że w sprawach sądowych, tak jak i w życiu, wygrywa ta strona, która bardziej chce wygrać.

— Ale opinia publiczna zmiele cię na otręby, jeśli poobalasz takie zapisy. Widzisz! moja żona jest poniekąd interesowaną . . . . . .

— Jakto: poniekąd? — przerwał Maszko. — Będę waszym prawdziwym dobroczyńcą.

— Więc dobrze. Otóż żona moja oburzała się i oburza na całą tę sprawę.

— Żona twoja jest wyjątkiem.

— Niezupełnie. Bo i mnie to nie w smak.

— Cóż to? przerobili i ciebie na romantyka?

— Mój drogi! my się zdawna znamy. Mów tym językiem do kogo innego.

— Dobrze. Będę więc mówił tylko o opinii. Naprzód powiem ci, że pewna niepopularność człowiekowi prawdziwie „comme il faut" raczej pomaga niż szkodzi. Powtóre, trzeba te rzeczy rozumieć. Zmielono-by mnie, jak się wyraziłeś, na otręby, gdybym tę sprawę przegrał, ale gdy ją wygram, będę tylko uważany za tęgą głowę — a ja ją wygram!

Po chwili zaś mówił dalej:

— A ze stanowiska ekonomicznego, o co tu chodzi? Pieniądze zostaną w kraju i dalibóg, nie wiem, czy zostaną gorzej użyte. Bo, że mogło-by się za nie wyhodować kilkanaścioro chuderlawych dzieci, które wyrosną na niedołęgów i będą się przyczyniały do skarlenia rasy, albo że kilkanaście szwaczek mogło-by dostać maszyny do szycia, albo

Digitized by Google

że kilkadziesiąt bab lub dziadów mogło-by żyć o parę lat dłużej, to krajowi niewiele z tego przyjdzie. To są cele nieprodukcyjne. Trzeba żebyśmy się raz nauczyli ekonomii... Wreszcie krótko powiem: miałem nóż na gardle. Moim pierwszym obowiązkiem jest zabezpieczyć byt sobie, mojej żonie i mojej przyszłej rodzinie. Jeśli kiedykolwiek będziesz w takiem położeniu, jak ja byłem — to mnie zrozumiesz. Wolałem wypłynąć, niż utonąć — a takie prawo każdy ma. — Żona moja, jak ci pisałem, ma znaczną rentę, ale majątku prawie nic, a przynajmniej nie wiele. Do tego z tej renty płaci jeszcze coś swemu ojcu. Tę pensyę powiększyłem, bo mi groził, że tu zjedzie, a tegom sobie nie życzył.

— Tak więc wiesz już teraz napewno, że pan Krasławski istnieje. Pamiętam, żeś mi o tem wspominał.

— Właśnie dlatego, że ci niegdyś wspominałem, nie robię z tego tajemnicy i dziś. Zresztą wiem, iż ludzie gadają o tem z krzywdą mojej teściowej i mojej żony, że rozpowiadają Bóg wie co, więc, jako przyjacielowi, wolę ci powiedzieć, jak jest. Pan Krasławski żyje w Bordeaux; był pośrednikiem w handlu sardynkami i zarabiał dobre pieniądze, ale posadę tę stracił, bo się zapijał i zapija absyntem, a prócz tego stworzył sobie nielegalną rodzinkę. Te panie posyłają mu trzy tysiące franków rocznie, ale mu to nie wystarcza i między ratą a ratą gniecie go bieda, wskutek czego zapija się coraz bardziej i gnęb te biedne kobiety listami, w których grozi, że ogłosi w pismach, jak się z nim obchodzą. A one obchodzą się z nim lepiej, niż wart. Pisał i do mnie zaraz po ślubie, prosząc o podniesienie pensyi o tysiąc franków. Oczywiście, dowodzi mi, że go te kobiety „zjadły", że nie miał za grosz szczęścia w życiu, że stoczył go ich egoizm — i ostrzega mnie przed niemi...

Tu Maszko począł się śmiać:

— A ma bestya fantazyę szlachecką! Raz z biedy chciał się wziąć do sprzedawania afiszów na korytarzu teatralnym — ale kazali mu się ubrać w jakiś kaszkiet i tego nie mógł przenieść. Pisze do mnie tak: „Wszystko-by panie dobrze poszło, ale kaszkiet!! jak mi dali kaszkiet—nie mogłem!.." I wolał z głodu umrzeć, niż włożyć kaszkiet! Podoba mi się mój teść! — Byłem niegdyś w Bordeaux, ale dalibóg zapomniałem, jakie kaszkiety noszą ci, co sprzedają afisze, a chciałbym taki kaszkiet widzieć... Rozumiesz zresztą, że wolałem dodać tysiąc franków, byle go trzymać zdaleka razem z jego absyntem i kaszkietem... Co mnie boli, to to, że ludzie mówią, że on i tu był jakimś woźnym, czy pisarzem, a to jest podła potwarz, bo dość otworzyć pierwszy lepszy herbarz, żeby wiedzieć, kto byli Krasławscy. Tu kolligacye są wiadome i Krasławskim ich nie brak. Człowiek upadł — ale rodzina była i jest znakomita. Te panie mają tu na tuziny krewnych nie byle-

Digitized by Google

jakich — i jeśli ci całą tę historyę opowiadam, to dlatego, że chcę, byś wiedział, jaka jest prawda.

www.libtool.com.cn

Ale prawda dotycząca rodu Krasławskich mało obchodziła Połanieckiego, więc wrócili do pań, tem bardziej, że tymczasem nadszedł Zawiłowski, którego Połaniecki zaprosił na poobiednią herbatę, aby mu pokazać fotografie przywiezione z Włoch. Jakoż całe ich zwoje leżały już przygotowane na stole, ale Zawiłowski trzymał w ręku ramkę z główką Litki i zachwycał się tak, że zaraz po zapoznaniu się z Maszką, znów począł patrzeć na portrecik i mówić o nim w dalszym ciągu.

— Myślałbym prędzej, że to jakiś pomysł artystyczny — rzekł — niż portret żywego dziecka. Co za cudna główka i co za wyraz! To pani siostrzyczka?

— Nie—odpowiedziała pani Połaniecka—i to jest dziecko, które już nie żyje.

W oczach Zawiłowskiego, jako poety, ów tragiczny cień podniósł jeszcze współczucie i podziw dla tej istotnie anielskiej twarzy. Przez jakiś czas przypatrywał się jej w milczeniu, to odsuwając, to zbliżając do oczu fotografię, poczem rzekł:

— Ja się dlatego pytałem, czy to nie pani siostra, bo jednak jest coś... w rysach, raczej w oczach... doprawdy coś jest!

Zawiłowski zdawał się szczerze mówić, ale Połaniecki miał taką, religijną niemal, cześć dla zmarłej, że, mimo całego uznania dla urody Maryni, porównanie wydało mu się jakimś rodzajem profanacyi, więc, wyjąwszy fotografię z rąk Zawiłowskiego, ustawił ją napowrót i począł mówić z pewną szorstką żywością:

— Ale bynajmniej! bynajmniej!— Niema jednego rysu wspólnego. Jak można nawet porównywać! Ani jednego rysu wspólnego!

A Marynię dotknęła nieco ta jego żywość.

— Ja także jestem tego zdania — odrzekła.

Lecz jemu nie dość było jej zdania.

— Czy pani znała Litkę? — spytał, zwróciwszy się do pani Maszkowej.

— Tak!

— Prawda! widziała ją pani u Bigielów.

— Tak.

— No, przecie niema śladu podobieństwa?

— Nie.

Zawiłowski, który adorował szczerze panią Połaniecką, począł patrzeć na Połanieckiego z pewnem zdziwieniem — on jednak spoglądał teraz na wydłużoną postać pani Maszkowej, rysującą się przez popielatą suknię — i myślał:

Digitized by Google

— Jaka ona zgrabna!

Po chwili Maszkowie poczęli się żegnać. Maszko, całując na odchodnem rękę pani Połanieckiej, rzekł:

www.libtool.com.cn

— Mnie może wypadnie wkrótce wyjechać do Petersburga — niech pani pamięta trochę przez ten czas o mojej żonie.

W czasie herbaty, Marynia przypomniała Zawiłowskiemu obietnicę, jaką jej uczynił za pierwszą bytnością, że jej przyniesie i odczyta waryant wiersza „Na progu", — on zaś tak był przylgnął odrazu do Połanieckich, że odczytał nietylko waryant, ale i drugi wiersz, który był poprzednio napisał. Znać było po nim, że sam dziwi się własnej odwadze i ochocie — to też po odczytaniu i wysłuchaniu pochwał, które były naprawdę szczere, rzekł:

— Ja równie szczerze mówię, że z państwem, za trzeciem widzeniem się, to się tak jakoś jest, jakby się oddawna znało. Aż mi to dziwne.

Połaniecki przypomniał sobie, że niegdyś powiedział coś podobnego Maryni w Krzemieniu — ale przyjął to teraz, jakby należało się i jemu.

Zawiłowski zaś ją wyłącznie miał na myśli: poprostu zachwycała go i swoją prostą dobrocią, i twarzą.

Gdy odszedł, Połaniecki rzekł:

— To bestya naprawdę zdolna. Czyś ty uważała, że on jakby się trochę zmienił na twarzy?

— Przystrzygł włosy — rzekła Marynia.

— Aha! i broda jeszcze więcej mu wystaje.

Tak mówiąc, Połaniecki wstał i począł układać zwoje fotografii na półeczce nad stołem, wreszcie zabrał portret Litki i rzekł:

Przeniosę ją do mego gabinetu.

— A tam masz tę z brzózkami, kolorowaną.

— Tak, ale nie chcę, żeby i ta stała tu, tak na widoku. Każdy robi uwagi, a czasem mnie to gniewa. Pozwolisz?

— Dobrze, mój Stachu — odpowiedziała Marynia.

XIX.

Bigiel usilnie namawiał Połanieckiego, by nie zwijać Domu i nie rzucać się zbyt pośpiesznie w innego rodzaju przedsiębiorstwa. „Stworzyliśmy uczciwy kupiecki dom (mówił), jakich u nas mało — i dlatego jesteśmy pożyteczni." Utrzymywał, że przez samą wdzięczność należy prowadzić dalej interes, za pomocą którego podwoili niemal majątki, przyczem wypowiadał przekonanie, iż okażą największy rozum, gdy

Digitized by Google

teraz właśnie będą prowadzili rzecz ostrożnie, gruntownie, i gdy pierwsza śmiała spekulacya, jakkolwiek szczęśliwa, nietylko nie zachęci ich do innych, ale będzie ostatnią. Połaniecki zgadzał się na to, że umiarkowanie trzeba okazać właśnie w powodzeniu, ale narzekał, iż w domu nie może się pomieścić, i że pragnął-by coś produkować. Miał on tyle zmysłu praktycznego, że o fabryce na własną rękę jeszcze nie myślał. „Małej nie chcę prowadzić — mówił — bo mnie wielkie, produkujące *en gros*, pochłoną, a na wielką nie mam, w akcyjnej zaś pracowałbym nie na siebie, ale na innych." Rozumiał też, że o akcyonaryuszów, złożonych z miejscowych żywiołów, nie łatwo, a obcych nie chciał, wiedząc przytem, że nie potrafi wzbudzić w nich zaufania, i że samo jego nazwisko będzie mu w tem przeszkodą. Bigiel, któremu chodziło o „Dom", szczerze rad był z tej trzeźwości poglądu.

W Połanieckim zaś zbudziła się jeszcze inna chęć, mianowicie odwieczna, stara jak ludzkość, chęć posiadania. Po szczęśliwej spekulacyi i po zapisie Bukackiego stał się on człowiekiem zupełnie zamożnym, ale, przy całej swej istotnej trzeźwości, miał jakieś dziwne poczucie, że ta zamożność, polegająca choćby na najpewniejszych, zamkniętych w kasie ogniotrwałej papierach, jest również papierową i pozostanie nią dopóty, dopóki nie będzie posiadał czegoś realnego, o czem-by mógł powiedzieć: „to moje!" Ta dziwna żądza ogarniała go coraz silniej. Nie chodziło mu o nic wielkiego, ale o jakikolwiek kąt, byle własny, gdzieby mógł czuć się u siebie. Probował nad tem filozofować i tłómaczył Bigielowi, że ta chęć posiadania musi być jakąś namiętnością wrodzoną, którą można potłumić, ale która w wieku dojrzalszym odzywa się z nową siłą. Bigiel uznawał, że tak może być, i mówił mu:

— To i słuszne. Jesteś żonaty, więc chcesz mieć własne, a nie najęte ognisko, a że masz po temu wszelkie środki, więc sobie takie ognisko stwórz.

Połaniecki myślał czas jakiś o wybudowaniu dużego domu w mieście, który-by czynił zadość chęci posiadania i zarazem przynosił dochody. Ale któregoś dnia spostrzegł, że ten praktyczny zamiar ma jedną złą stronę — mianowicie, nie posiada żadnego wdzięku. Coś, o czem się mówi: „to moje" — trzeba lubić, a jak tu lubić kamienicę, w której mieszka każdy, kto najmie mieszkanie. Z początku wstydził się tej myśli, bo mu się wydała romantyczną, ale potem powiedział sobie: „Nie! skoro posiadam środki, przeto użycie ich w ten sposób, któryby mi zapewnił przyjemność, nietylko nie jest romantyzmem, ale dowodem rozsądku." Bardziej poczęła go pociągać myśl o jakimś mniejszym domu w mieście, lub za miastem, o takim, w którym-by sam tylko z żoną mieszkał. Ale chciało mu się przy tem choć kawałka ziemi,

Digitized by Google

na której-by coś rosło. Czuł, że naprzykład widok drzew, które-by rosły w jego ogrodzie, przed jego domem, na jego gruncie, sprawiał-by mu ogromną przyjemność. Sam się dziwił, że tak jest, ale tak było. W końcu doszedł do przekonania, że najmilej było-by mu posiadać jakąś kolonijkę tuż pod miastem, coś w rodzaju takiego letniego domu, jaki posiadał Bigiel, ale z kawałkiem ziemi, kawałkiem lasu, jakiemiś kilku morgami warzywnego ogrodu, wreszcie z sadem i z bocianiem gniazdem gdzieś na starej lipie.

— Skoro na to mam — to wolę, żeby to było takie, niż inne, to jest ładne, nie brzydkie — mówił sobie.

I począł rzecz rozważać ze wszystkich stron. Rozumiał, że gdy chodzi o gniazdo, w którem się ma mieszkać przez resztę życia, trzeba wybrać rozważnie, więc nie śpieszył się. Tymczasem myślenie o tem zajęło mu wszystkie godziny wolne od pracy biurowej i sprawiało mu rzetelną przyjemność. Ci i owi dowiedzieli się wkrótce, że Połaniecki szuka czegoś za gotowy grosz, nadeszły więc z różnych stron propozycye, często dziwaczne, ale niekiedy dość ponętne. Trzeba było czasem jeździć, oglądać wille położone w mieście lub za miastem. Częstokroć po powrocie z biura i po obiedzie, Połaniecki zamykał się z listami, z planami i pokazywał się dopiero wieczorem. Marynia miała wówczas dużo wolnego czasu. Spostrzegła wreszcie, że coś zajmuje go niezwykle i probowała dopytywać, lecz on odpowiedział:

— Moje dziecko, jak będzie rezultat, to ci powiem, ale póki sam nic nie wiem, trudno żebym się rozgadywał o niczem. To takie przeciwne mojej naturze.

Dowiedziała się wreszcie o co chodzi od pani Bigielowej, ta zaś wiedziała od męża, którego naturze nie było przeciwnem rozgadywać się z żoną o wszelkich przedsięwzięciach i zamiarach na przyszłość. Dla pani Połanieckiej było-by również ogromną przyjemnością rozmawiać z mężem o wszystkiem, a zwłaszcza o wyborze gniazda. Oczy śmiały jej się na samą myśl o tem, ale skoro „usposobienie Stacha" stało temu na przeszkodzie, więc wolała nie dopytywać przez delikatność.

On zaś nie miał złych chęci, ale wprost nie przyszło mu do głowy wtajemniczać ją w jakieśkolwiek sprawy, w których chodziło o pieniądze. Może było-by inaczej, gdyby mu była wniosła znaczny posag i gdyby zmuszony był rozporządzać i jej majątkiem: był człowiekiem w takich rzeczach nader skrupulatnym. Ale ponieważ rozporządzał tylko swoim — nie czuł, tak jak i za dawnych kawalerskich czasów, żadnej potrzeby spowiadania się z tego, póty szczególniej, póki nic nie było postanowiono. Z Bigielem jednym rozmawiał, dlatego, że przywykł z nim rozmawiać o interesach.

Digitized by Google

Z żoną mówił o takich rzeczach, które podług niego „do niej należały" — więc między innemi o kółku znajomych, które należało sobie stworzyć. Pod koniec swego kawalerstwa, Połaniecki nie bywał prawie nigdzie — czuł jednak, że obecnie nie może tak być. Oddali więc wizytę Maszkom i któregoś wieczora poczęli rozważać, czy wypada im być u Osnowskich, którzy w tym czasie wrócili z za granicy i mieli do połowy czerwca zostać w Warszawie. Marynia mówiła, że wypada, dlatego, że się będą widywali u pani Maszkowej, i miała ochotę, albowiem lubiła pana Osnowskiego, który ją wzruszał. Połaniecki okazał mniej chęci, i początkowo stanęło na tem, czego chciał; ale w kilka dni później Osnowscy spotkali Marynię i powitali ją tak serdecznie, pani Osnowska powtarzała tak często: „my Rzymianki", oboje zaś kładli taki nacisk na nadzieję widywania i spotykania się, że niepodobna było uniknąć złożenia im wizyty.

Jednak gdy Połanieccy przybyli w odwiedziny, wszelkie uprzejmości okazywano przedewszystkiem Maryni. Mąż prześcigał się pod tym względem w grzecznościach z żoną. Dla Połanieckiego byli, jako ludzie dobrze wychowani, również uprzejmi bez zarzutu, ale zimniej. On rozumiał, że Marynia gra pierwszą, on zaś dopiero następną rolę, i trochę go to jednak drażniło. Pan Osnowski zresztą nie potrzebował się wysilać na grzeczności dla pani Połanieckiej, albowiem czując, że ona ma dla niego szczerą sympatyę, odpłacał jej z nawiązką, gdyż mu tego wogóle brakło.

Maryni wydał się jeszcze bardziej zakochany w żonie, niż był poprzednio. Wprost znać było, że serce bije mu żywiej, gdy na nią patrzy. Mówiąc do niej, zdawał się podsuwać wyrazy, jakby z pewną obawą, by jej czemkolwiek nie zrazić. Połaniecki patrzył na niego z pewnem politowaniem, ale było to zarazem i wzruszające. W walce z otyłością natomiast pan Osnowski odniósł tak walne zwycięstwo, że ubranie wydawało się na nim za szerokie. Czerwone wyrzuty, które okrywały jego twarz blondyna, znikły i wogóle był przystojniejszy niż przedtem.

A pani miała zawsze swoje nieporównane skośne oczy koloru fiołków i myśli, które jak rajskie ptaki ciągle bujały w powietrzu.

Ale Połanieccy zrobili u Osnowskich nową znajomość, mianowicie poznali panią Broniczową i jej siostrzenicę, pannę Castelli, które przybyły na „letni karnawał" do Warszawy i zamieszkały w tej samej willi, którą nieboszczyk Bronicz sprzedał Osnowskim, z wymówieniem jednego pawilonu dla żony. Pani Broniczowa była wdową po panu Broniczu, o którym wspominała, jako o ostatnim krewnym książąt Ostrogskich, zatem ostatnim z Rurykowiczów. Znano ją także w mieście pod nazwą „Słodyczki"; przezwisko to zawdzięczała temu, że,

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

mówiąc, zwłaszcza do osób o które jej chodziło, przymilała się tak, iż zdawać się mogło, że mówi przez trzymany w ustach kawałek cukru. Opowiadano dziwy o jej kłamstwach. Panna Castelli była córką jej siostry, która w swoim czasie, ku wielkiemu zgorszeniu rodziny i świata, wyszła za Włocha, nauczyciela muzyki, i umarła przy słabości, pozostawiając córkę. Gdy w rok potem i pan Castelli utopił się na Lido, pani Broniczowa wzięła i wychowała siostrzenicę.

www.libtool.com.cn

Panna Lineta była zupełną pięknością, o rysach bardzo regularnych, niebieskich oczach, złotawych włosach i cerze aż zbyt pięknej, bo niemal porcelanowej. Miała jednak przyciężkie powieki, co jej nadawało senny wyraz, ale ta senność mogła się wydawać także skupieniem. Można było mniemać, że to jest istota, która żyje ogromnie rozwiniętem życiem wewnętrznem i dlatego zachowuje się nieco obojętnie względem tego, co ją otacza. Ktoby zresztą sam nie wpadł na ów domysł, mógł być pewien, że mu pani Broniczowa do tego dopomoże. Pani Osnowska, która przechodziła przez okresy zachwytu nad kuzynką, mówiła o oczach panny Linety, że są „głębokie jak jeziora", kwestyą było tylko, co jest na dnie, ale właśnie ta tajemnica dodawała pannie Linecie uroku.

Państwo Osnowscy przyjechali z zamiarem bawienia się w Warszawie, ale pani Aneta nie napróżno była w Rzymie. „Sztuka i sztuka! — mówiła do pani Połanieckiej — o niczem więcej nie chcę wiedzieć." Zamiarem jej jawnym było otworzyć salon „ateński", a skrytym — zostać Beatryczą jakiegoś Danta, Laurą jakiegoś Petrarki, lub przynajmniej czemś w rodzaju Vittorii Colonna dla jakiegoś Michała Anioła.

— Mamy ładny ogród przy willi — mówiła — wieczory będą śliczne, i będziem się schodzili na takie pogadanki rzymskie, florenckie... Pani wie (tu podniosła do poziomu z ramionami dłonie i poczęła niemi poruszać), szara godzina, trochę zorzy, trochę księżyca, kilka lamp, trochę cieniów od drzew: siedzi się i rozmawia półgłosem o wszystkiem: o życiu, uczuciach, sztuce. — Przecie to doprawdy więcej warte niż plotki! Mój Józiu, może się będziesz nudził, ale nie gniewaj się, zrób to dla mnie, i wierz mi, że to będzie bardzo ładne.

— Ale, moja Anetko, czy mnie to może nudzić, co ciebie bawi?— odpowiedział Osnowski.

— Teraz zwłaszcza, póki Lineta jest z nami, to przecie artystka w każdej kropli krwi!

Tu zwróciła się do niej:

— Jaką tam niteczkę przędzie ta główka? Co mówisz o takich wieczorach rzymskich?

Digitized by Google

Panna Lineta uśmiechnęła się sennie, a „ostatnia z Rurykowiczów" poczęła mówić z wyrazem nieopisanej słodyczy do Połanieckich:

— Państwo nie wiedzą, że ją Wiktor Hugo błogosławił, gdy była jeszcze mała.

— To panie znały Wiktora Hugo? — spytała Marynia.

— My? nie! Nie była-bym chciała go znać za nic w świecie, ale raz przejeżdżałyśmy przez Passy, gdy on stał na balkonie—i nie wiem, czy przez jakieś przeczucie, czy przez natchnienie, jak zobaczył Linetkę, tak podniósł rękę i przeżegnał ją.

— Ciociu! — rzekła panna Castelli.

— Kiedy prawda, moje dziecko, a co prawda, to prawda! Zaraz na nią zawołałam: patrz! patrz! podnosi rękę — i pan Cardyn, konsul, który siedział na przodzie, widział także, że on podniósł rękę, a potem przeżegnał się. Owszem, ja to chętnie opowiadam, bo może za to przeżegnanie Pan Bóg odpuścił mu jego grzechy, których miał tyle. On taki przewrotny umysł, a jednak, zobaczywszy Linetkę, przeżegnał ją!

Było w tem tyle prawdy, że panie te, przejeżdżając przez Passy, istotnie widziały na balkonie Wiktora Hugo. Co do błogosławieństwa, jakiego miał udzielić Linetce, złe języki warszawskie dowodziły, że podniósł rękę, albowiem w tej chwili ziewał.

Lecz tymczasem pani Osnowska mówiła dalej:

— Stworzymy tu sobie małe Włochy, a jeśli się próba nie uda, to na przyszłą zimę uciekniemy do wielkich. Już mi to chodziło po głowie, żeby otworzyć w Rzymie dom. Tymczasem Józio przywiózł kilka ładnych kopii obrazów i posągów. To tak poczciwie z jego strony, bo jego to niewiele obchodzi, więc zrobił to tylko dla mnie. Są tam bardzo dobre rzeczy, bo Józio miał ten rozum, że sobie nie ufał i prosił o pomoc pana Swirskiego. Szkoda, że go tu niema. Szkoda także, że pan Bukacki jak na złość umarł, bo i on-by się nam przydał. Czasem bywał bardzo miły. Miał taką jakoś giętkość, jak wąż, a to w rozmowie dodaje życia. Ale, (tu zwróciła się do pani Połanieckiej) czy pani wie, że pani całkiem podbiła pana Swirskiego? Po pani wyjeździe o nikim innym nie mówił i zaczął Madonnę, która ma pani rysy. Zostanie pani Fornariną! Pani ma widocznie szczęście do artystów — i jak się moje wieczory florenckie zaczną, musimy się trzymać z Linetą, inaczej pójdziemy w kąt.

A pani Broniczowa, rzuciwszy niechętne spojrzenie Maryni, rzekła:

— Jeśli chodzi o twarze, które robią wrażenie na artystów, to powiem państwu, co się raz zdarzyło w Nizzy...

— Ciociu! — przerwała panna Castelli...

Digitized by Google

— A kiedy prawda moje dziecko, a co prawda, to prawda... Rok temu... Nie! dwa lata temu... Jak to ten czas leci...

www.nbtool.com.cn

Lecz pani Osnowska, która zapewne słyszała już nieraz co się zdarzyło w Nizzy, poczęła wypytywać pani Połanieckiej:

— A państwo dużo mają znajomości w świecie artystycznym?

— Mąż mój, zapewne — odpowiedziała Marynia — ja nie; ale znamy pana Zawiłowskiego.

Pani Osnowska wpadła na tę wiadomość w prawdziwy entuzyazm. Jej marzenie było poznać Zawiłowskiego, i niech Józio powie, czy to nie było jej marzenie? Niedawno czytały z Linetą jego wiersz pod tytułem: „Ex imo" — i Lineta, która czasem tak umie jednem słowem określić wrażenie, jak nikt inny, powiedziała... Co to ona takiego charakterystycznego powiedziała?...

— Że w tem jest coś spiżowego — poddała pani Broniczowa.

— A tak, że w tem jest coś spiżowego. Ja sobie wyobrażam pana Zawiłowskiego także, jak jakiś odlew. Jak on naprawdę wygląda?

— Nizki, — rzekł Połaniecki — gruby, lat pięćdziesiąt i żadnego włosa na głowie.

Na to twarze pani Osnowskiej i panny Linety przybrały taki wyraz rozczarowania, że Marynia poczęła się śmiać i odrzekła:

— Niech panie mu nie wierzą, to zły człowiek i lubi martwić. Pan Zawiłowski jest młody, trochę dziki i trochę podobny do Wagnera.

— To znaczy, że ma brodę jak poliszynel — dodał Połaniecki.

Lecz pani Osnowska nie brała już w uwagę słów Połanieckiego i wymogła na Maryni, że ułatwi jej poznanie z panem Zawiłowskim — i to prędko, „bardzo prędko, bo lato za pasem!"

— Postaramy się przytem, żeby mu było dobrze między nami i żeby nie był dziki—choć, jeśli jest trochę dziki, to nic nie szkodzi, bo on powinien być trochę dziki i trochę najeżać się, gdy ludzie się do niego zbliżają... jak orzeł w klatce! Zresztą porozumieją się z Linetką, bo i ona zamknięta w sobie i tajemnicza jak sfinks.

— Mnie się zdaje, że każda niepospolita dusza... — zaczęła ciocia „Słodyczka."

Lecz Połanieccy poczęli się żegnać. W sieni spotkali cudnego Kopowskiego, któremu służący okurzał trzewiki, a który tymczasem przyczesywał swą posągową i twardą jak marmur głowę. Wyszedłszy, Połaniecki rzekł:

— Ten im się przyda także na „florenckie" wieczory. To także sfinks!

Digitized by Google

— Gdyby stał w niszy! — rzekła Marynia. — Jakie to jednak ładne kobiety.

— Dziwna rzecz — odpowiedział Połaniecki. — Niby pani Osnowska jest ładna, a ja naprzykład wolę, jako urodę, panią Maszkową. Co do Castelli, ta naprawdę ładna, choć za wysoka. Czyś ty uważała, że się tam ciągle o niej mówi, a ona ani mru-mru!

— Ma opinię bardzo inteligentnej—odpowiedziała Marynia — ale może trochę nieśmiała, jak Zawiłowski. — Trzeba będzie pomyśleć o tem poznaniu.

Ale tymczasem wypadek pomieszał plany poznania. Pani Połaniecka, na drugi dzień po wizycie, poślizgnąwszy się na schodach, zbiła kolano tak silnie, że przez kilka dni musiała leżeć w łóżku. On, wróciwszy z biura i dowiedziawszy się co zaszło, naprzód przestraszył się, a następnie, uspokojony przez lekarza, zburczał żonę dość żywo:

— Powinnaś pamiętać, że tu może nietylko o ciebie chodzić! — rzekł jej.

Ona cierpiała dość mocno i z powodu uderzenia, i z powodu tych słów, które wydały się jej jakieś nadto bezwzględne, sądziła bowiem, że jemu powinno przedewszystkiem o nią chodzić, zwłaszcza, że inne obawy nie były jeszcze na niczem oparte. Po-za tem jednak okazał jej wielką troskliwość i ani nazajutrz, ani następnego dnia nie poszedł do biura, i tylko dlatego, by jej pilnować. W godzinach przedpołudniowych czytywał jej, po śniadaniu zaś pracował w przyległym pokoju, przy otwartych drzwiach, tak, aby go mogła w każdej chwili zawołać. — Ona, przejednana tą troskliwością, dziękowała mu za nią bardzo gorąco, wskutek czego ucałował ją i rzekł:

— Moje dziecko, to przecie prosty obowiązek. Widzisz, że nawet i obcy dowiadują się o ciebie codziennie.

Obcy rzeczywiście dowiadywali się codziennie. Zawiłowski wypytywał w biurze „jak się pani ma?" Bigielowa przychodziła po południu, a Bigiel wieczorem, i nie wchodząc do pokoju chorej, wygrywał w przyległym na fortepianie, by ją rozerwać. Państwo Maszkowie i pani Broniczowa zostawili dwukrotnie karty wizytowe, pani Osnowska zaś, zostawiwszy męża w powozie na dole, wdarła się do Maryni trochę przemocą i siedziała u niej koło dwóch godzin, rozmawiając ze zwykłym sobie darem przerzucania się z przedmiotu na przedmiot, o Rzymie, swoich zamierzonych wieczorach, o Swirskim, mężu, o Linecie i o Zawiłowskim, który jej spać nie dawał. Pod koniec odwiedzin oświadczyła pani Połanieckiej, że powinny sobie mówić „ty" — i że wzywa ją, by jej pomogła w jednym planie: „to jest nie w planie, ale w spisku", czyli raczej w czemś takiem, co jak jej wpadło do głowy, tak się pali i pali, do tego stopnia, że cała głowa się pali!

Digitized by Google

— Tak mi utkwił w myśli ten Zawiłowski, że aż Józio począł być o niego zazdrosny, ale Józio z tylu rzeczy, biedaczysko, nie umie sobie zdać sprawy! Ja jestem pewna, że oni z Linetą są dla siebie stworzeni, to jest, nie Józio z Linetą, ale Zawiłowski. I to poezya, i to poezya! Nie śmiej się, Maryniu, i nie myśl, że ja jestem postrzelona. Ty Linety nie znasz. Jej trzeba jakiegoś nadzwyczajnego człowieka. Ona za takiego Kopowskiego za nic w świecie-by nie wyszła, choć Kopowski wygląda jak cherubin. Takiej twarzy, jak ma Kopowski, nigdy w życiu nie widziałam... Może we Włoszech na jakim obrazie, ale i to nie. A wiesz, co Lineta o nim mówi: „c'est un imbécile!" — Może, ale jednak i ona na niego patrzy! Pomyśl, jakby to slicznie było, żeby oni się poznali, pokochali i pobrali, — to jest nie Kopowski z Linetą, ale Zawiłowski! To dopiero była-by para! A Lineta ze swojemi aspiracyami, kogo ona znajdzie? Gdzie dla niej jest mąż? A cobyśmy się napatrzyły, tobyśmy się napatrzyły! Wyobrażam sobie, jakby się oni kochali. Na świecie tak nudno, że jak można mieć taki widok, to warto popracować. Zresztą wiem, że to nie pójdzie trudno, bo i ciocia Broniczowa ręce łamie, gdzie ona znajdzie męża dla Linety. — Boję się, czym cię nie zmęczyła, i pewno cię zmęczyłam, ale to tak miło pogadać, zwłaszcza gdy się coś układa.

Rzeczywiście po wyjściu pani Osnowskiej, Marynia czuła jakby zawrót głowy. Jednakże, gdy Połaniecki nadszedł, poczęła mu opowiadać o przygotowanych na Zawiłowskiego planach, trochę się śmiejąc z zapału pani Osnowskiej, a wreszcie rzekła:

— Ona musi mieć dobre serce i podoba mi się, ale jaka egzaltowana! Co jej przez głowę nie przechodzi.

— Raczej narwana, niż egzaltowana—odpowiedział Połaniecki— a to widzisz jest różnica, bo egzaltacya idzie niemal zawsze w parze z dobrem sercem, a narwanie często godzi się z oschłością serca i często nawet wypływa z tego, że głowa się pali, a serce śpi.

— Ty nie lubisz pani Osnowskiej — rzekła Marynia.

Połaniecki nie lubił jej istotnie, ale tym razem, zamiast potwierdzić lub zaprzeczyć, począł spoglądać na żonę z pewną ciekawością. Uderzyła go w tej chwili jej piękność. Włosy jej rozpłynęły się w nieładzie po poduszce i drobna jej twarz wychylała się z tej ciemnej fali poprostu jak kwiat. Oczy jej wydawały się błękitniejszę niż zwykle, przez rozchylone usta widać było brzeżek drobnych i białych zębów. Połaniecki zbliżył się do niej i rzekł półgłosem:

— Jakaś ty dziś ładna!

I pochyliwszy się nad nią, ze zmienioną twarzą, począł całować jej oczy i usta.

Digitized by Google

Lecz każdy pocałunek wstrząsał nią, a każde wstrząśnięcie sprawiało jej ból. Prócz tego przykro jej było, że on jakby tylko wypadkiem spostrzegł jej piękność, przykrym był dla niej jego wyraz twarzy i jego nieuwaga, więc poczęła odwracać głowę.

— Stasiu! nie całuj mnie tak mocno, wiesz, że jestem cierpiąca.

Wówczas Połaniecki wyprostował się i rzekł z tłumionym gniewem:

— Prawda — przepraszam!

I wyszedł do swego pokoju rozpatrywać plan jakiegoś letniego domu z ogrodem, który mu dzisiejszego rana przysłano.

XX.

Lecz choroba pani Połanieckiej nie trwała długo i w tydzień później mogli już oboje pojechać do Bigielów, którzy tymczasem przenieśli się na letnie mieszkanie; pogoda bowiem, mimo wczesnej pory, uczyniła się piękna i w mieście zaczęły się prawie upały. Zawiłowski, który był się już oswoił, przyjechał także, wraz z ogromnym latawcem, którego mieli puszczać na współkę z Połanieckim i dziećmi. Bigielowie polubili go również, ponieważ był człowiekiem prostym, i po-za swoją dzikością wesołym, a chwilami nawet dziecinnym. Pani Bigielowa utrzymywała przytem, że ma szczególną głowę, co było o tyle prawdą, że posiadał bliznę na powiece i że wystająca broda nadawała mu wyraz energii, której całkowicie przeczyła górna część twarzy, tak delikatna, że prawie kobieca. Z początku pani Bigielowa doszukiwała się w nim oryginała, ale on zbyt uświadamiał wszystko, a zatem i samego siebie, by mógł być oryginałem. Był tylko nierównym przez nieśmiałość, wielkim entuzyastą i człowiekiem nie bez ukrytej pychy.

Przy obiedzie rozpowiadano mu o Osnowskich, o zamierzonych wieczorach ateńsko-rzymsko-florenckich, o pannie Castelli i o ciekawości, jaką w paniach wzbudził. Usłyszawszy o tem, rzekł:

— No, to dobrze wiedzieć, to nie pójdę tam za nic w świecie.

— Naprzód pozna się pan z niemi u nas — rzekła Marynia.

A on złożył ręce:

— Pani! ucieknę z przedpokoju.

— Dlaczego? — spytał Połaniecki — trzeba mieć odwagę nietylko swoich przekonań, ale i swoich wierszy.

— A oczywiście — rzekła pani Bigielowa. — Co tu się wstydzić! Powinien pan śmiało ludziom w oczy patrzeć i mówić im: piszę, bo piszę!

Digitized by Google

— Piszę, bo piszę! — powtórzył Zawiłowski, podnosząc głowę i śmiejąc się.

Lecz Marynia mówiła dalej:

— Pozna się pan z niemi u nas, potem złoży im pan kartę, a następnie pojedziemy kiedy do nich wieczorem:

On zaś odrzekł:

— Nie mogę pochować głowy w śnieg, bo go niema, ale jednak wynajdę sobie jaką kryjówkę.

— A jeśli pana będę bardzo prosiła?

— To pójdę — odpowiedział po chwili Zawiłowski, czerwieniąc się zlekka.

I spojrzał na nią. Przybladłszy nieco przez dłuższe leżenie w łóżku, twarz jej zdrobniała jeszcze i wyglądała na twarz szesnastoletniej dziewczyny. Zawiłowskiemu wydała się tak cudną, że nie mógł jej niczego odmówić.

Wieczorem Połanieccy mieli go zabrać z powrotem do miasta, ale przedtem Marynia rzekła mu:

— Trzeba teraz używać z panem przemocy, bo pan nie widział Linety Castelli, a jak ją pan zobaczy, to się pan zakocha.

— Ja, pani!? — zawołał Zawiłowski, przyłożywszy dłoń do piersi. Ja, w pannie Castelli?

I tyle było szczerości w jego pytaniu, że znów zmieszał się; ale tym razem zmieszała się również nieco i pani Połaniecka.

Tymczasem Połaniecki skończył z Bigielem rozmowę o niebezpieczeństwach lokaty kapitału w ziemi i pojechali. Marynia przypomniała sobie, jak niegdyś wracali tak z ojcem, panią Emilią, Litką i Połanieckim od Bigielów, w taką samą miesięczną noc. Jak wówczas ten „pan Stanisław" kochał się w niej i jaki był nieszczęśliwy; jaka ona była dla niego surowa — i serce poczęło jej bić litością dla tego „pana Stanisława", który wówczas tyle wycierpiał. Chciało się jej teraz przytulić do niego i przeprosić za owe dawne złe chwile — i gdyby nie obecność Zawiłowskiego, była-by to uczyniła.

Lecz ów dawny pan Stanisław siedział sobie teraz spokojny i pewny siebie koło niej, i palił cygaro. Przecie ona była jego, przecie ją wziął i miał, więc wszystko się skończyło.

— O czem ty tak rozmyślasz, Stachu?—spytała.

— O interesach, o których mówiliśmy z Bigielem.

I otrząsnąwszy popiół z cygara, włożył je do ust i pociągnął — tak, że czerwone światełko rozświeciło mu wąsy i część twarzy.

A Zawiłowski, patrząc na twarz Maryni, pomyślał w swojej młodej duszy, że gdyby ona była jego żoną, toby nie palił teraz cygara ani

Digitized by Google

nie rozmyślał o interesach, o których się mówi z Bigielem, ale chyba klęczał-by przed nią i adorował ją na kolanach.

I zwolna, pod wpływem nocy i tej słodkiej twarzy kobiecej, którą uwielbiał, poczęła go ogarniać egzaltacya. Po niejakiej chwili jął deklamować z początku cicho, jakby sam do siebie, a potem coraz głośniej, swój wiersz, pod tytułem „Śniegi w górach". Była w tym wierszu jakby ogromna tęsknota za czemś niedostępnem i niepokalanem. Zawiłowski sam nie wiedział, kiedy znaleźli się w mieście i kiedy latarnie poczęły migać po obu stronach ulicy. Przy domu Połanieckich Marynia rzekła:

— Więc po jutrze, na „five o'clock"?

— Tak jest—odpowiedzał, całując ją w rękę.

Pani Połaniecka była trochę rozmarzona pod wpływem przejażdżki, nocy, a może i wiersza. Lecz od czasu pobytu w Rzymie, oboje z mężem odmawiali razem pacierz wieczorny. I po tym pacierzu ogarnęła ją nagle wielka tkliwość, jakby przypływ uczucia, pokrytego przez chwilę innemi wrażeniami. Zbliżywszy się, objęła ramionami szyję Połanieckiego i poczęła szeptać.

— Mój Stachu! tak nam jednak ze sobą dobrze? prawda?

On zaś przyciągnął ją do siebie i odpowiedział z pewną niedbałą chełpliwością:

— A czy ja się skarżę?

I ani w głowie mu nie postało, że w pytaniu jej był jakby odcień żalu i zwątpienia, którego nie chciała do duszy dopuścić—i że pragnęła, by ją uspokoił i upewnił.

Nazajutrz Zawiłowski oddał w biurze Połanieckiemu wycinek z jakiejś gazety ze „Śniegami w górach". Połaniecki przeczytał go przy obiedzie, ale przy brzęku widelców wiersz wydał się mniej piękny, niż wśród ciszy nocnej, przy świetle księżyca.

— Zawiłowski mówił—rzekł Połaniecki—że wkrótce wyjdzie tom, ale obiecał, że przedtem pozbiera wszystko, co było w różnych pismach i przyniesie ci.

Marynia zaś odrzekła:

— Nie; trzeba żeby to zachował dla Linety.

— Ach! jutro mają się spotkać po raz pierwszy. Chcecie koniecznie urządzić epokę w życiu Zawiłowskiego?

— Chcemy — odpowiedziała z pewną stanowczością, Marynia.— Aneta z początku mnie zdziwiła—ale dlaczegóżby nie!

Jakoż spotkanie nastąpiło nazajutrz. Państwo Osnowscy, pani Broniczowa i panna Castelli przyjechali nader punktualnie o piątej, ale Zawiłowski przyszedł jeszcze wcześniej, by uniknąć wchodzenia do salonu przy całem towarzystwie. A i tak był nietylko nastroszony, ale

www.libool.com.cn

Digitized by Google

niezgrabniejszy niż zwykle i nigdy własne nogi nie wydawały mu się tak długie. Była jednak pewna dystynkcya nawet w jego niezgrabności i pani Osnowska umiała się na tem poznać. Rozpoczęły się pierwsze sceny komedyi ludzkiej, w których te panie, jako osoby dobrze wychowane, wystrzegając się wszelkiej natarczywości w przypatrywaniu się Zawiłowskiemu, nie czyniły jednak nic innego; on zaś, udając, że tego nie widzi, nie myślał jednak o niczem innem, jak, że mu się przypatrują i że go sądzą. Sprawiało mu to wielki przymus, który starał się pokryć przez sztuczną swobodę, miał bowiem tyle miłości własnej, że mu chodziło o to, by sąd wypadł dobrze. Ale panie te były tak z góry nastrojone, że sąd nie mógł wypaść źle, i gdyby nawet Zawiłowski okazał się głupim i płaskim, było-by to wzięte za mądrość i poetyczną oryginalność. Najobojętniej zachowywała się panna Lineta, którą poniekąd dziwiło, że w tej chwili nie ona jest słońcem, a Zawiłowski księżycem, lecz, że dzieje się odwrotnie. Pierwszem wrażeniem, jakie na nią uczyniła twarz Zawiłowskiego, było: „co za porównanie z tym głupcem Kopowskim". I nie porównana, cudna twarz tego „głupca"—stanęła jej jak żywa przed oczyma, skutkiem czego powieki jej stały się jeszcze senniejsze, a wyraz twarzy przypominał jeszcze bardziej niż zwykle sfinksa... z porcelany. Drażniło ją to jednak, że Zawiłowski nie zwraca żadnej niemal uwagi ani na jej postać Junony, ani na to „coś tajemniczego i poetycznego", co, jak utrzymywała pani Broniczowa, przykuwało od pierwszego rzutu oka. Zwolna też zaczęła na niego spoglądać i, mając, obok poetycznego usposobienia, rozwinięty silnie zmysł światowej obserwacyi, zauważyła, że wprawdzie on ma dużo wyrazu, ale że surdut na nim źle leży i że musi się ubierać u byle krawca, a szpilka w jego krawacie jest wprost „mauvais genre". On tymczasem, rzucając niekiedy spojrzenia na Marynię, jako na jedyną blizką i przyjazną duszę, rozmawiał z panią Osnowską, która, uważając za najwyższy takt nie mówić za pierwszym razem o poezyi, a dowiedziawszy się, iż Zawiłowski pierwsze lata dzieciństwa spędził na wsi, poczęła szczebiotać o swoim pociągu do życia wiejskiego. Mąż jej wolał zawsze miasto, mając w mieście swoje przyjemności i przyjaciół, ale co do niej!... Och, ja jestem szczera i przyznam się odrazu, że nie cierpię folwarku, gospodarstwa i rachunków, za które nieraz byłam łajaną... Przytem, trochę ze mnie próżniak, więc lubiłabym taką robotę, przy której można próżnować: zaraz! co to jabym lubiła?

Tu rozłożyła swe wydłużone paluszki, żeby na nich łatwiej wyliczyć zajęcia, które-by jej przypadły do smaku:

— Naprzód, lubiłabym paść gęsi!

Zawiłowski roześmiał się: wydała mu się naturalną, a przytem zabawił go obraz pani Osnowskiej pasącej gęsi.

Digitized by Google

Jej fijołkowe oczy poczęły się także śmiać i wpadła w ton swobodnej i wesołej dziewczynki, która mówi o wszystkiem, co jej przez głowę przejdzie.

www.libtool.com.cn

— A panby lubił?—spytała nagle Zawiłowskiego.

On zaś odpowiedział:

— Pasyami!

— A widzi pan!... co to jeszcze? Aha! lubiłabym być rybakiem. Rano na wodzie muszą się zorze odbijać ślicznie. Przytem mokre sieci przed chatą z błonkami wody w oczkach, to takie ładne... Chciałabym być przynajmniej nie rybakiem, to czaplą i medytować na jednej nodze nad wodą, albo czajką nad łąkami. Ale nie! czajka to jakiś smutny ptak!—prawda? jakby w żałobie!

Tu zwróciła się do panny Castelli:

— A ty, Linetko, czem chciałabyś być na wsi?

Panna Castelli podniosła powieki i po chwili odrzekła:

— Pajęczyną.

Wyobraźnia Zawiłowskiego, jako poety, poruszyła się tą odpowiedzią. Nagle stanęły mu przed oczyma wielkie płowe przestrzenie rżysk i srebrne nitki, pławiące się w spokojnym błękicie i w słońcu.

— A jaki to ładny obraz—rzekł.

I spojrzał uważniej na pannę Linetę, a ona uśmiechnęła się, jakby z podziękowaniem za to, że odczuł piękność obrazu.

Lecz w tej chwili nadeszli Bigielowie. Zawiłowskiego zaś wzięła w obroty pani Broniczowa i zastawiła go krzesłem tak, że się nie mógł poruszyć. Łatwo było odgadnąć, co stanowiło przedmiot ich rozmowy, Zawiłowski bowiem podnosił od czasu do czasu oczy na pannę Castelli, jakby chcąc sprawdzić, czy wygląda na to, co o niej słyszy. Wreszcie, jakkolwiek rozmowa prowadzona była przyciszonym głosem, obecni usłyszeli wkrótce słowa, jakby przecedzone przez kawałek cukru:

— Czy pan wie, że ją Napoleon... to jest, chciałam powiedzieć: Wiktor Hugo, błogosławił!...

Wogóle Zawiłowski nasłuchał się tyle rzeczy niezwykłych, że mógł z pewną ciekawością przypatrywać się pannie Castelli. Była ona według tych opowiadań najdziwniejszem w świecie dzieckiem, zawsze bardzo łagodnem, ale nie obliczalnem. Mając lat dziesięć, była bardzo chora. Kazano jej oddychać morskiem powietrzem i te panie mieszkały długo na Stromboli...

— Dziecko patrzyło na wulkan, na morze i klaskało w rączęta, powtarzając: „ładnie! ładnie!" Zajechałyśmy tam wypadkiem, błąkając się w najętym jachcie bez celu; trudno było zostać dłużej, bo to pusta wysepka i nie było gdzie mieszkać, i nie bardzo co jeść, ale ona

Digitized by Google

za nic nie chciała wyjeżdżać, jakby w przeczuciu, że tam przyjdzie do zdrowia. Jakoż w miesiąc, a jeśli nie w miesiąc, to we dwa, poczęła do siebie przychodzić, i niech pan patrzy, że wyrosła mi, jak trzcina!

www.libtool.com.cn

Rzeczywiście panna Castelli, lubo kształtna i nie rażąca wzrostem, wyższą była nieco nawet od pani Osnowskiej. Zawiłowski patrzył na nią ze wzrastającem zajęciem. Przed rozejściem się gości, wypuszczony wreszcie z niewoli, zbliżył się do niej i rzekł:

— Nie widziałem nigdy wulkanu i nie mam pojęcia, jakie to może sprawiać wrażenie.

— Ja znam tylko Wezuwiusz—odpowiedziała—ale jakeśmy go widziały, nie było wybuchu.

— A Stromboli?

— Nie znam.

— Tom się tylko przesłyszał, bo—ciotka pani...

— Tak—odpowiedziała panna Castelli—nie pamiętam! byłam widocznie zbyt mała.

I na twarzy jej odbiła się przykrość i zmieszanie!

Pani Osnowska, nie wychodząc do końca z roli czarującej terkotki, zaprosiła przed wyjazdem Zawiłowskiego do siebie, „któregokolwiek wieczora, bez ceremonii i bez fraka, bo taką wiosnę można uważać za lato, a w lecie najprzyjemniejsza swoboda". Oświadczyła przytem, iż rozumie, że tacy, jak on, nie lubią nowych znajomości, ale jest na to prosty sposób, a mianowicie uważać ich za starą. Najczęściej siedzą sami: Linetka coś czyta, albo mówi, co jej przez głowę przechodzi, a jej takie różne rzeczy przez głowę przechodzą, że warto je słyszyć, zwłaszcza komuś, kto jest w stanie lepiej je odczuć i zrozumieć, niż kto inny.

Panna Castelli uścisnęła na pożegnanie z niezwykłą siłą jego rękę, jakby potwierdzając, że mogą i powinni się zrozumieć. Zawiłowski, nie przywykły do ludzi, był trochę odurzony: słowami, szelestem sukien, oczyma i zapachem irysowym, który te panie zostawiły po sobie. Czuł przytem trochę zmęczenia, bo w tej rozmowie, jakkolwiek swobodnej i pozornie pełnej prostoty, brakło takiego spokoju, jaki był zawsze w słowach pani Połanieckiej i pani Bigielowej; Zawiłowskiemu zostało poniekąd wrażenie bezładnego snu.

Bigielowie mieli zostać na obiedzie, więc Połaniecki zatrzymał i Zawiłowskiego. Tymczasem poczęli mówić o tych paniach.

— Cóż panna Castelli?—spytała Marynia.

— One mają dużo wyobraźni — odpowiedział po chwili zastanowienia Zawiłowski. — Czy pani zauważyła, jak im łatwo mówić obrazami.

— Ale prawda, jaka Lineta interesująca panna.

Digitized by Google

Połaniecki, na którym panna Castelli nie czyniła wielkiego wrażenia, a który był głodny i pilno mu było do obiadu, odezwał się z pewną niecierpliwością:

libtool.com.cn

— Co wy tam upatrujecie! interesująca, dopóki nie spowszednieje.

Pani Połaniecka zaś odrzekła:

— Nie! Lineta nie spowszednieje... Powszednieją tylko takie zwyczajne, proste istoty, które nie umieją nic innego jak kochać.

Zawiłowskiemu, który spojrzał na nią w tej chwili, wydało się, iż dostrzegł w niej odcień smutku. Była może przytem jeszcze osłabiona, bo twarz jej miała tony poprostu liliowe.

— Pani się zmęczyła?—spytał.

— Trochę—odpowiedziała, uśmiechając się.

Jego zaś młode, wrażliwe serce zabiło dla niej wielkiem współczuciem: „To jest naprawdę lilia", pomyślał — i w porównaniu z jej słodkim urokiem, pani Osnowska przedstawiła mu się jak krzykliwa sójka, a panna Castelli, jak martwa głowa posągu. Poprzednio po każdem widzeniu pani Połanieckiej marzył bywało, o takiej kobiecie jak ona; tego wieczora począł marzyć nie o takiej, jak ona, ale o niej samej. A ponieważ uświadamiał szybko wszystko, co się w nim działo, więc spostrzegł, że i ona mu zaczyna być kwiatem nietylko „polnym", ale i kochanym.

Połaniecki zaś, spotkawszy go na drugi dzień w biurze, pytał:

— Cóż, śpiąca królewna? śniła się panu? co?

— Nie!—odpowiedział Zawiłowski, czerwieniąc się.

Połaniecki, spostrzegłszy jego rumieniec, począł się śmiać i rzekł:

— Ha! trudno! każdy musi przez to przejść: przeszedłem i ja!

XXI.

Marynia nie skarżyła się nawet sama przed sobą na męża. Nie było dotąd między nimi najmniejszego nieporozumienia. Musiała tylko przyznać, że prawdziwe, bardzo wielkie szczęście, a zwłaszcza bardzo wielką miłość, taką, o jakiej marzyła, gdy Połaniecki był jej narzeczonym, wyobrażała sobie inaczej. O tem przekonywał ją każdy niemal dzień. Inne były nadzieje, inną pokazywała się rzeczywistość. Prawa natura Maryni nie poczęła się przeciw tej rzeczywistości buntować, ale padł na nią cień smutku, wraz z poczuciem, że ów cień może się stać z czasem tłem życia. Mając pełną duszę dobrej woli, probowała sobie z początku dowieść, że to są jej własne urojenia. Czego jej brakło i w czem Połaniecki mógł ją zawieść? Nie wyrządził jej nigdy umyślnej przykrości; ilekroć przyszło mu do głowy, że coś mogło-by

Digitized by Google

być jej przyjemne, starał się jej to zapewnić, był dla niej hojny, dbał o jej zdrowie, chwilami zacałowywał jej twarz i ręce—słowem był raczej dobrym, niż złym. A jednak czegoś w tem brakło. Maryni trudno było to określić w jednem lub kilku słowach, ale umysł jej był zbyt jasnym, żeby nie rozumieć tego, co serce odczuwało codzień żywiej i codzień smutniej. Czegoś brakło! Po wielkiem i uroczystem święcie miłości zaczynał się szereg dni powszednich i jej żal było święta; chciała-by była rozciągnąć je na całe życie, widziała zaś ze zmartwieniem, że mężowi jej ta powszedniość wydawała się właśnie czemś normalnem i pożądanem. Tak jak było, nie było źle, ale to nie było owo wysokie szczęście, które „*taki człowiek*" powinien był zdolny czuć, stworzyć i dać. Ale prócz tego, chodziło i o inne rzeczy. Oto ona czuła, że jest więcej jego, niż on jej—i że gdy ona oddaje mu całą duszę, on zwraca jej ze swojej tylko tę cząstkę, którą z góry przeznaczył na użytek domowy. Mówiła sobie wprawdzie, że on jest mężczyzną, że ma po-za nią cały świat pracy i myśli; ale niegdyś spodziewała się, że on ją weźmie za rękę i w ten świat zaprowadzi, że przynajmniej w domu będzie się nim z nią dzielił, tymczasem nie mogła się nawet łudzić, żeby tak było. I rzeczywistość gorsza była, niż sobie wyobrażała. Połaniecki—jak sam się wyrażał—wziął ją i miał, i gdy wzajemne ich uczucie stało się zarazem prostym wzajemnym obowiązkiem, sądził, iż nie potrzebuje inaczej się o nie troszczyć, ani inaczej o nie zabiegać, jak o wszelkie inne obowiązki codziennego życia. Nie przyszło mu wprost do głowy, że do takiego ogniska nie dość jest dokładać zwyczajnych drew, jak się dokłada do komina, ale że trzeba sypać w nie bursztyn i myrrę, tak jak się je sypie przed ołtarzem. Gdyby mu ktokolwiek coś podobnego powiedział, wzruszył-by ramionami i uznał go za romantyka. Dlatego była w nim może troskliwość męża, ale nie było nic troski kochanka, ani przejęcia się, ani czuwania, ani takiej bojaźni, która w mniejszym zakresie ziemskich uczuć jest tem, czem bojaźń boża w uczuciu religijnem. Niegdyś, gdy po sprzedaży Krzemienia Marynia była dla niego obojętna, on czuł i przeszedł przez to wszystko, ale teraz, a nawet od czasu śmierci Litki, gdy począł być zupełnie pewnym, że ona jest jego własnością, nie myślał o niej więcej, niż wypada myśleć o własności. Uczucie jego, oparte przeważnie na jej uroku fizycznym, posiadło to, czego chciało—i było spokojne, a czas mógł je tylko w przyszłości spowszedniać, ochładzać, stępiać.

Tymczasem teraz już, jakkolwiek było jeszcze żywe, brakło mu takiej naprzykład czujnej i pieszczotliwej tkliwości, jaka była w uczuciu dla Litki. I Marynia to spostrzegła. Dlaczego tak było?—na to nie umiała odpowiedzieć, nie mniej jednak wyraźnie czuła, że była dla

Digitized by Google

tego człowieka, któremu chciała być wszystkiem, czemś pospolitszem i mniej cennem, niż tamto zmarłe dziecko.

www.nbbook.com.cn

Nie przyszło jej do głowy i nie mogło-by się żadną miarą w niej pomieścić, iż jedyny powód był ten, że tamto dziecko nie było jego, a ona zaś oddała mu ciało i duszę. Sądziła, że im się więcej oddaje, tem się więcej powinno otrzymać i mieć. Ale czas przyniósł jej pod tym względem dużo zawodów. Oto nie mogła również nié dostrzedz, że wszyscy byli pod jakimś jej urokiem; że wszyscy ją cenią, chwalą, że Swirski, Bigiel, Zawiłowski i nawet pan Osnowski patrzą na nią nietylko z podziwem, ale niemal z zachwytem, i że najmniej ze wszystkich robi sobie z tych przymiotów—on—„Stach."—Ani na chwilę nie przyszło jej na myśl, by on nie był zdolny się na niej poznać i ocenić tego, co inni w niej dostrzegali i cenili z taką łatwością. Więc co był za powód? Te pytania dręczyły ją teraz dniem i nocą. To, iż spostrzegła, że Połaniecki we wszystkiem trochę udaje charakter zimniejszy i bardziej trzeźwy, niż ma rzeczywiście, nie wydało się jej dostateczną odpowiedzią. Pozostawała jej, niestety, odpowiedź tylko jedna: „On mnie nie kocha tak, jakby mógł, i dlatego nie ceni, jak cenią inni."—Było w tem tyle samo prawdy, ile goryczy i smutku.

Instynkt kobiecy, który w takich razach nigdy nie zawodzi, ostrzegł Marynię, że uczyniła na Zawiłowskim niezwykłe wrażenie, i że to wrażenie powiększało się za każdem spotkaniem. I myśl ta nie oburzyła jej, nie wybuchnęła w gniewnem pytaniu: „jak on śmie?!" —bo zresztą on na nic się nie ośmielał—przeciwnie, dodała jej pewnej otuchy, pewnego zaufania we własny urok, które chwilami poczynała tracić, ale zarazem wzbudziła tem większy żal, że taką tkliwą cześć, taki zachwyt okazywał jej ktoś obcy, a nie „Stach."—Co do Zawiłowskiego, nie czuła dla niego nic, prócz wielkiej sympatyi i przychylności, więc myśli jej pozostały czyste. Nie była-by zdolną bawić się przez próżność cudzem cierpieniem, i z tego powodu, nie chcąc, by zaszedł za daleko, przyłączyła się chętnie do planu pani Osnowskiej zbliżenia Zawiłowskiego z panną Castelli, jakkolwiek ten plan wydał się jej tak nagłym, że aż niezrozumiałym. Zresztą i serce jej, i umysł były zajęte całkowicie pytaniami: czemu ten dobry, ten rozumny i ten kochany „Stach" nie chce wstępować z nią na wysokości, czemu on nie ceni jej tak, jakby mógł, czemu on ją tylko kocha, ale nie kocha się w niej, czemu jej miłość uważa tylko za coś przynależnego sobie, ale nie za coś drogiego? skąd to poszło i gdzie leży tego przyczyna?

Każda płaska, samolubna natura znalazła-by całą winę w nim,—Marynia Połaniecka znalazła ją w sobie. Wprawdzie odkrycie to uczyniła z cudzą pomocą, ale tak była zawsze gotowa zdjąć wszelką odpo-

Digitized by Google

wiedzialność ze swego „Stacha", a wziąć na siebie, że obok przestrachu, sprawiło ono jej niemal radość.

www.rbbool.com.ch

Raz po południu siedziała sama, i z rękoma złożonemi na kolanach, gubiła się w myślach i pytaniach, na które nie umiała znaleźć odpowiedzi, gdy wtem drzwi się otworzyły i ukazał się w niej biały kwef i ciemna suknia siostry miłosierdzia.

— Emilka!—zawołała z radością Pani Połaniecka.

— Tak, to ja,—odpowiedziała siostra: mam dziś wolny dzień i chciałam was odwiedzić.—Gdzie pan Stanisław?

— Stach jest u państwa Maszków, ale myślę, że niedługo wróci. Ach, jaki będzie rad!—Siadaj, odpocznij!

Pani Emilia siadła i poczęła mówić:

— Jabym częściej do was wpadała—tylko że nie mam czasu. Ale dziś wolny dzień: byłam u Litki:—Żebyś wiedziała, jak tam zielono i co ptaków!

— Byliśmy tam kilka dni temu. Wszystko kwitnie—i taki spokój.—Jaka szkoda, że Stacha niema!

— Tak. On ma przytem kilka listów Litki: chciałam go prosić, żeby mi ich pożyczył. Na przyszłą niedzielę wpadnę znowu i odniosę mu je.

Pani Emilia mówiła już spokojnie o Litce. Może było tak dlatego, że z niej samej został tylko cień żywej istoty, który miał się wkrótce rozwiać—ale tymczasem była w nim niezmącona pogoda. Myśl jej nie była już także pochłonięta wyłącznie nieszczęściem i owa dawna obojętność dla wszystkiego, co nie było Litką, przeszła.—Zostawszy siostrą miłosierdzia, zstąpiła znów między ludzi i nauczyła się odczuwać wszystko, co stanowiło ich dolę lub niedolę, wesołość lub smutek, a nawet przyjemność lub przykrość.

— A jak tu u was zawsze ładnie!—rzekła po chwili;—po naszych białych ścianach, takie mi się tu wszystko wydaje bogate. Pan Stanisław był niegdyś wielki leniuch; bywał u państwa Bigielów i u nas; nigdzie więcej nie chciało mu się bywać, ale teraz pewno się rozruszał i przyjmujecie dużo ludzi?

— Nie—odpowiedziała Marynia.—Bywamy tylko u państwa Maszków, u pani Broniczowej i u państwa Osnowskich.

— A, poczekaj! Ja znam panią Osnowską. Znałam ją jeszcze panną. Znałam także oboje państwa Broniczów i ich siostrzenicę, ale ona nie była jeszcze wtedy dorosła. Pan Bronicz umarł dwa lata temu. Widzisz, jak ja wszystko wiem!

Marynia poczęła się śmiać.

— Doprawdy więcej ode mnie. Ja poznałam państwa Osnowskich dopiero w Rzymie.

Digitized by Google

— Przecie tyle lat mieszkałam w Warszawie, więc wszystko obijało mi się o uszy. Niby to przesiadywałam ciągle w domu, ale świat mnie zajmował. Taki to był ze mnie lekkoduch!—Zresztą i twój dzisiejszy pan Stach znał panią Osnowską...

— Mówił mi o tem. Spotykali się na balach publicznych.

— Ona miała wówczas wychodzić za pana Kopowskiego. Były i łzy, i rozpacz, bo jej ojciec się sprzeciwił. Ale dobrze trafiła?—nieprawda? Pan Osnowski zawsze uchodził za bardzo dobrego człowieka.

— I jest dla niej jak najlepszy. Ale o tem nie wiedziałam, że ona miała wyjść za pana Kopowskiego, i dziwi mnie to—taka inteligentna!

— Chwała Bogu, że szczęśliwa; byle chciała to cenić. To rzadka rzecz szczęście i tak się trzeba umieć z tem dobrze obchodzić! Ja się nauczyłam teraz patrzeć na świat bardzo bezstronnie, jak mogą tylko ludzie, którzy dla siebie niczego już nie wyglądają—i wiesz, co mi nieraz przychodzi do głowy? że szczęście to jak oczy: lada prószynka—i zaraz poczynają łzy płynąć.

Marynia uśmiechnęła się trochę smutno i odrzekła:

— Oj to, to wielka prawda!

Nastała chwila milczenia, poczem pani Emilia, spojrzawszy uważnie na Marynię, położyła łagodnie swoją przezroczystą rękę na jej dłoni i spytała:

— Ale ty, Marytko, jesteś szczęśliwa—tak?

Marynię chwyciła nagle taka chęć do płaczu, że oparła się jej tylko z największem wysileniem. Ale trwało to jedno mgnienie oka. Cała jej prawa dusza wzdrygnęła się nagle na myśl, że jej łzy lub smutek były-by niejako skargą na męża, więc siłą woli opanowała wzruszenie i odrzekła:

— Byle tylko Stach był szczęśliwy!

I podniosła pogodne już zupełnie oczy na panią Emilię, która rzekła:

— Litka wam to wyprosi. Spytałam tylko dlatego, że jakem weszła, wydałaś mi się jakaś zasępiona. Ale ja wiem najlepiej, jak on cię kochał i jaki był nieszczęśliwy wówczas, gdyś się na niego gniewała z powodu Krzemienia.

Maryni twarz rozjaśniła się uśmiechem. Tak miłe było jej każde słowo o jego dawnej miłości, że gotowa była słuchać tego rodzaju opowiadań bez końca.

Pani Emilia zaś mówiła dalej, dotykając jej ręki:

— A ty brzydkie dziecko!—takieś było niemiłosierne, tak nie umiałaś ani ocenić, ani uszanować prawdziwego przywiązania, że czasem byłam na ciebie zła. Czasem bałam się o poczciwego pana Stani-

Digitized by Google

sława, żeby się nie zraził do życia, żeby się nie zwichnął, żeby nie zdziwaczał. Bo to widzisz, zdarza się, jak się zrobi jakaś fałdka gdzieś w głębi serca, to całe życie nie można jej potem wyprostować.

www.libtool.com.cn

Marynia podniosła głowę i poczęła mrugać, jakby oczy jej poraziło jakieś nagłe światło:

— Emilko, Emilko, zawołała,—jak ty rozumnie mówisz!

Pani Emilia nazywała się teraz „Siostra Aniela", ale Marynia nazywała ją zawsze dawnem imieniem.

— Ej, co tam rozumnego!—rzekła.—Ot tak sobie zrzędzę za dawne czasy. Ale Litka wyprosi wam szczęście i Bóg wam je da, boście go oboje warci.

I poczęła się zbierać. Marynia zatrzymywała ją do przyjścia męża, ale napróżno, gdyż w zakładzie czekało ją zajęcie. Jednakowoż przegawędziły jeszcze, według zwyczaju kobiecego, z kwadrans we drzwiach; wreszcie pani Emilia odeszła, obiecując odwiedzić ich znów na przyszłą niedzielę.

Marynia Połaniecka wróciła na swój fotel pod oknem i, wsparłszy się na ręku, poczęła myśleć nad słowami pani Emilii, po chwili zaś rzekła półgłosem:

— Tak, to moja wina!..

Zdawało jej się teraz, że ma klucz do zagadki.

Oto nie umiała uszanować siły tak prawdziwej i tak wielkiej, jak miłość. I teraz w jej struchlałem sercu wydała się ta miłość jakiemś obrażonem bóstwem, które karze. Wówczas Połaniecki był przed nią na kolanach. Ilekroć się spotkali, patrzył w jej oczy, wyglądając zmiłowania od jej serca i od tych wspomnień błahych, nikłych, ale drogich, które ich łączyły. Gdyby wtedy była zdobyła się na prostotę i na wspaniałomyślność, gdyby była wyciągnęła do niego ręce, jak nakazywało jej tajone uczucie—byłby jej wdzięczny przez całe życie, byłby czcił ją, czcił i kochał z tem większą tkliwością, im bardziej odczuwałby własną winę, a jej dobroć.—Ale ona wówczas wolała pielęgnować i rozdmuchiwać swoją urazę, a jednocześnie przyciągać Maszkę. Gdy było trzeba zapomnieć, nie umiała zapomnieć; gdy trzeba było przebaczyć, nie umiała przebaczyć. Wolała sama cierpieć, byle i on cierpiał. Połanieckiemu oddała rękę wówczas dopiero, kiedy nie mogła inaczej, kiedy nie oddać jej było-by wprost niecną i bezrozumną zatwardziałością. Prawda, że wówczas tłumione kochanie powstało w całej swej nieprzezwyciężonej mocy i że pokochała sercem i duszą—ale to było za późno. Miłość została obrażona. Coś się złamało, coś zginęło; w jego sercu powstała taka złowroga fałda, o jakiej wspomniała pani Emilia —i teraz ona, Marynia, zbiera tylko to, co posiała.

Digitized by Google

On tu nic nie winien—i jeśli kto komu, to nie on jej, ale ona jemu popsuła życie.

Zdjął ją na tę myśl taki strach i taki żal, że przez chwilę patrzyła w przyszłość z zupełnem przerażeniem. A zarazem chciało się jej płakać i płakać, jak małemu dziecku. Gdyby pani Emilia nie była odeszła, była-by to uczyniła w jej ramionach. Była tak przejęta ciężarem własnych przewinień, że gdyby w tej chwili ktoś nadszedł i probował zdjąć z niej ten ciężar, gdyby jej powiedział: „tyś tyle winna, ile gołąb' "—była-by uważała, że mówi rzecz niegodziwą. Najstraszniejszem w tej rozterce duchowej było to, że w pierwszej chwili klęska wydała jej się niepowetowaną, i że jej się zdawało, iż w przyszłości może być tylko gorzej i gorzej, że „Stach" będzie ją coraz mniej kochał—i że będzie miał prawo coraz mniej kochać, słowem: nie widziała przed sobą ratunku.

Logika mówiła jej: dziś jeszcze jest dobrze w porównaniu z tem, co może być jutro, po jutrze, za miesiąc, lub za rok... A tu przecie chodzi o całe życie!

I poczęła wysilać swą biedną, strapioną głowę, by wynaleźć, jeśli nie drogę, to przynajmniej jaką ścieżynę, którą-by można wyjść z tych manowców nieszczęścia. Nakoniec po długiem wysileniu, po Bóg wie ilu połkniętych łzach, zdawało jej się, że widzi przed sobą jakieś światło.

I to światło, w miarę, jak mu się jęła przyglądać, rosło coraz bardziej.

Było jednak coś potężniejszego od logiki nieszczęścia, potężniejszego od win spełnionych i obrażonego bóstwa, umiejącego się tylko mścić—miłosierdzie boże!

Ona zawiniła, więc do niej należy winy naprawić. Trzeba oto „Stacha" kochać tak, żeby odnalazł wszystko to, co mu zginęło w sercu. Trzeba mieć cierpliwość i nietylko nie narzekać na swoją dzisiejszą dolę, ale jeszcze dziękować Bogu i „Stachowi", że jest taka, jak jest. Gdyby przyszły większe smutki i trudności, trzeba je pocichutku pochować w sercu—i wytrwać długo, bardzo długo, choćby lata całe, póki nie przyjdzie miłosierdzie boże.

Ścieżynka poczęła się teraz zmieniać w gościniec. „Nie zabłądzę!" mówiła sobie Marynia. Chciało się jej i teraz płakać z wielkiej radości, ale sądziła, że nie może sobie na to pozwolić. Zresztą lada chwila Stach mógł wrócić i trzeba, żeby ją zastał z suchemi oczyma.

Jakoż niebawem wrócił. Marynia chciała w pierwszej chwili rzucić mu się na szyję, ale czuła się względem niego tak winną, że wstrzymała ją jakaś nagła nieśmiałość.

On zaś, pocałowawszy ją w czoło, spytał:

Digitized by Google

— Nie był tu nikt?

— Była Emilka, ale nie mogła dłużej zostać. Przyjdzie w przyszłą niedzielę.

www.libtool.com.cn

Wówczas zniecierpliwił się:

— Ach, Boże!—Wiesz, że to taka dla mnie przyjemność ją widzieć—czemuś nie dała mi znać? Wiedziałaś przecie, gdzie jestem: czemuś nie pomyślała o mnie?

A ona, jak dziecko, które się tłómaczy, poczęła mówić głosem, w którym drgały łzy, ale zarazem i jakowaś otucha:

— Nie, Stachu!—owszem!—jak ciebie kocham, tak ciągle myślałam o tobie!

XXII.

— A widzicie państwo, że byłem, mówił wesoło u Bigielów Zawiłowski: patrzyli na mnie trochę jak na jakąś panterę, albo na wilka, ale ja okazałem się bardzo oswojonem stworzeniem; nikogo nie podrapałem, nic nie rozbiłem, odpowiadałem mniej więcej przytomnie.—Nie, ja to przecie dawno zauważyłem, że z ludźmi łatwiej żyć, niż się wydaje—i tylko w pierwszych chwilach mam zawsze ochotę zmykać. Ale te panie naprawdę bardzo są swobodne.

— Proszę nas nie zbywać i opowiedzieć nam dokładnie wszystko, jak było,—rzekła pani Bigielowa.

— Jak było? otóż naprzód wszedłem za kratę willi i nie wiedziałem, co dalej uczynić, ani gdzie mieszkają państwo Osnowscy, a gdzie pani Broniczowa—i czy im się razem składa wizytę, czy trzeba być osobno i u jednych, i u drugich.

— Osobno,—rzekł Połaniecki.—Pani Broniczowa ma oddzielne mieszkanie, chociaż mają jeden salon, który uważają za wspólny.

— Otóż znalazłem wszystkich w tym salonie i pani Osnowska pierwsza wyprowadziła mnie z kłopotu, bo mi powiedziała, że się mną dzielą z panią Broniczową i że za jednym razem składam dwie wizyty. Zastałem tam panią Maszkową i pana Kopowskiego—i to jest jakiś pan, taki piękny, że powinien mieć na głowę takie pudełko z aksamitem w środku, jakich używają jubilerowie. Kto to jest pan Kopowski?

— Dureń! —odpowiedział Połaniecki.—W tem się mieści imię, sposób utrzymania, zajęcie i znaki szczególne. Innego rysopisu nie potrzebuje nawet w paszporcie.

— Teraz rozumiem,—rzekł Zawiłowski —i niektóre słowa, jakie słyszałem, stały mi się jasne. Otóż ten pan pozował, a młode panie malowały go: pani Osnowska olejno wprost, a panna Castelli akwarellą

Digitized by Google

z profilu. Obie były ubrane w perkalowe fartuszki na wierzchu sukien i obie były śliczne. Pani Osnowska widocznie dopiero zaczęła się uczyć, ale panna Castelli ma dużo wprawy.

www.libtool.com.cn

— O czemżeście mówili?

Zawiłowski zwrócił się do Maryni:

— Naprzód te panie pytały o zdrowie pani, ja zaś powiedziałem, że pani coraz lepiej wygląda.

Nie wspomniał jednak, że przy tej okazyi zaczerwienił się był jak student i że obecnie pocieszał się tylko myślą, że wszyscy tak byli zajęci malowaniem, iż nikt tego nie zauważył, w czem zresztą mylił się.

Zmieszał się nawet nieco teraz jeszcze i, chcąc to pokryć, począł mówić dalej:

— Później, oczywiście, mówiliśmy o malowaniu i portretach. Ja zauważyłem, że panna Castelli ujęła nieco głowy panu Kopowskiemu, ona zaś odpowiedziała mi: „To nie ja, to natura!"

— To sprytna dziewczyna!

— I powiedziała to zupełnie głośno. Ja się zacząłem śmiać, wszyscy inni także, a ze wszystkimi i pan Kopowski. To musi być łatwy charakter. Oświadczył następnie, że jeśli dziś gorzej wygląda, niż zwykle, to dla tego, że się nie wyspał i że mu pilno w objęcia Orfeusza?

— Orfeusza?

— Tak. Pan Osnowski poprawił go bez ceremonii, ale on się nie zgodził na poprawkę, mówiąc, że przynajmniej z dziesięć razy był na Orfeuszu—i że pamięta dobrze.—Te panie trochę się nim bawią, ale on taki ładny chłopiec, więc rade go malują. Jaka to jednak artystka ta panna Castelli! Jak mi zaczęła pokazywać pendzelkiem rozmaite płaszczyzny i linie na zaczętym portrecie pana Kopowskiego, tak aż dostała kolorów: „co to za linia!" „a jakie tu tony!" Muszę jej oddać sprawiedliwość, że wyglądała przytem jak muza. Mówiła mi, że przedewszystkiem lubi malować portrety, że o każdej twarzy myśli naprzód, jak o modelu, i że te głowy, w których jest coś niepospolitego, śnią się jej.

— Oho! będzie i pan naprzód się jej śnił, a potem pozował—jestem pewna!—rzekła Marynia.—I to będzie dobrze.

Zawiłowski zaś odpowiedział trochę niepewnym głosem:

— Powiedziała mi wprawdzie, że to jest podatek, który lubi ściągać od dobrych znajomych, sama jednak wprost nie zwróciła się do mnie z żądaniem—i żeby nie pani Broniczowa, nie było-by o tem mowy.

— Pani Broniczowa wyręczyła muzę?—rzekł Połaniecki.

Digitized by Google

Marynia zaś powtórzyła:

— Owszem, to będzie dobrze.

— Dlaczego pani?—spytał Zawiłowski.

www.libpol.com.cn

I spojrzał na nią wzrokiem zarazem pokornym i niespokojnym. Myśl, że ona może chce umyślnie popchnąć go do innej, dlatego, iż odgadła, co dzieje się w jego sercu, pociągała go i zarazem przejmowała strachem.

— Bo,—odpowiedziała Marynia,—ja wprawdzie panny Linety prawie nie znam i sądzę tylko z pierwszych wrażeń i z tego, co o niej słyszę, ale mi się wydaje, że to niepospolita natura, i że jest coś głębokiego w jej sercu,—więc dobrze, że się poznacie.

— Ja także sądzę z pierwszych wrażeń,—odpowiedział uspokojony Zawiłowski—i prawda, że mnie równie panna Castelli wydaje się mniej powierzchowną, niż pani Osnowska.—Wogóle to są ładne i miłe kobiety—tylko—może ja nie umiem tego określić, bo nie znam dość świata, ale oto, wyszedłszy od nich, miałem takie uczucie, jakbym jechał w wagonie z ogromnie miłemi cudzoziemkami, które bawią się, rozmawiają bardzo sprytnie—ale nic więcej. Czuje się jednak w nich coś obcego. Pani Osnowska naprzykład, to zupełnie jak storczyk. Kwiat! bardzo szczególny i ładny! ale jakiś obcy. Panna Castelli—także.—Tak!... i w niej niema nic swojskiego.—Z niemi niema się uczucia, że się wyrosło z jednego pola, na jednym dżdżu i pod jednem słońcem...

— Jaką ten poeta ma intuicyę!—rzekł Polaniecki.

Zawiłowski zaś ożywił się tak, iż na jego delikatnem czole zarysowały się wyraźniej żyły w kształcie litery Y. Czuł, że w jego przyganie dla tamtych pań jest zarazem pochwała dla Maryni, i to czyniło go wymownym.

— Przytem,—mówił dalej,—istnieje jakiś instynkt, który odgaduje prawdziwą życzliwość ludzką. Tam się tego nie odgaduje. One są miłe, uprzejme—ale to wygląda tylko na formę i dlatego myślę, że tam człowiek szczery, który łatwo lgnie do ludzi, mógłby doznać wielu zawodów. To taka przykra i upokarzająca rzecz, brać towarzyską plewę za ziarno. Co do mnie, to dlatego właśnie boję się ludzi;—bo choć pan Połaniecki powiada, że ja mam intuicyę, ale ja wiem doskonale, że w gruncie rzeczy jestem naiwny. A bolą mnie takie rzeczy ogromnie. Poprostu nie znoszą tego moje nerwy. Pamiętam, że gdy, będąc jeszcze dzieckiem, zauważyłem, że ludzie są inni dla mnie przy rodzicach, a inni, gdy ich niema, była to jedna z większych przykrości mego dzieciństwa. Wydawało mi się to nikczemne i gryzło mnie tak, jakbym się sam czegoś nikczemnego dopuszczał.

— Bo pan ma poczciwą naturę,—rzekła pani Bigielowa.

Digitized by Google

On zaś wyciągnął swoje długie ręce, któremi miał zwyczaj wymachiwać, gdy, zapomniawszy o swojej nieśmiałości, mówił swobodnie, i zawołał:

www.libtool.com.cn

— Ach, szczerość! to i w sztuce, i w życiu—jedyna rzecz!

Lecz pani Połaniecka poczęła bronić tamtych pań: Ludzie, a zwłaszcza panowie, są często niesprawiedliwi i własne posądzenia, a nawet przypuszczenia, biorą za rzeczywistość. Co do pani Osnowskiej i panny Castelli, jak można je podejrzewać za drugiem widzeniem. Są wesołe, dobre, uprzejme, i z czegóż miała-by płynąć ta uprzejmość, jeśli nie ze szczerego serca.

Poczem, zwróciwszy się do Zawiłowskiego, poczęła się z nim przekomarzać, trochę żartami, a trochę naprawdę:

— A pan nie ma takiej poczciwej natury, jak mówi pani Bigielowa, bo te panie pana chwalą, a pan je obmawia!..

Lecz Połaniecki przerwał jej ze zwykłą sobie żywością:

— Ach, ty jesteś także naiwna i wszystkich mierzysz własną miarą. Wiedz-że o tem, że zdawkowa dobroć i uprzejmość mogą płynąć także z egoizmu, który chce, żeby mu wesoło było i spokojnie.

Poczem rzekł do Zawiłowskiego:

— Jeśli pan tak uwielbia szczerość—to ot! tu siedzi!—masz pan prawdziwy typ.

— Wiem!—wiem, rzekł z zapałem Zawiłowski.

— A chciałbyś, żeby było inaczej?—pytała, śmiejąc się, Marynia.

On począł również śmiać się i odrzekł:

— Nie; nie chciał-bym, ale swoją drogą, jakie to naprzykład szczęście, że nie jesteś za mała i że nie potrzebujesz nosić korków, bo gdybyś je nosiła, miałabyś ustawiczne zapalenie sumienia, że oszukujesz ludzi.

A Marynia, widząc, że wzrok Zawiłowskiego skierował się do jej stóp, pochowała je mimowolnie pod stołek, i zmieniając przedmiot rozmowy, spytała:

— A pański tom wyjdzie już podobno w tych dniach?

— Byłby już wyszedł,—odpowiedział Zawiłowski,—ale dodałem jeden wiersz—i to wydanie opóźni.

— A można wiedzieć tytuł wiersza?

— Lilia.

— Czy nie Lilia-Lineta?

— Nie, pani. Nie Lilia-Lineta.

Twarz Maryni spoważniała. Łatwo jej było z odpowiedzi odgadnąć, że to jest wiersz do niej i o niej, więc nagle uczyniło się jej przykro, że to rozumie tylko ona sama a drugi Zawiłowski i że skutkiem

Digitized by Google

tego powstaje między nimi rodzaj tajemnicy, im tylko wiadomej. Zdawało jej się, że to jest czemś niezgodnem z tą jej szczerością, o której przed chwilą była mowa, i że jest jakimś grzechem względem „Stacha.“ Po raz pierwszy dostrzegła, w jakie duchowe trudności może wpaść kobieta, choćby najbardziej zakochana w mężu i najniewinniejsza, jeśli tylko padnie na nią nieobojętny wzrok obcego mężczyzny. Bo jednak wtajemniczyć męża w swoje przypuszczenia, wydało się jej niepodobieństwem. Po raz pierwszy zdjął ją pewien gniew na Zawiłowskiego, który zresztą odczuł to natychmiast swemi nerwami artysty, tak jak barometr odczuwa zmiany pogody, jako zaś człowiek pozbawiony wszelkiego doświadczenia, wziął rzecz tragicznie. Wyobraził sobie, że Marynia zamknie mu drzwi, że go znienawidzi, że nie będzie mógł jej widywać—i cały świat przedstawił mu się odrazu w żałobnych barwach. W jego artystycznej naturze istniała prawdziwa mieszanina egoizmu, fantazyi i istotnej tkliwości, niemal kobiecej, która potrzebowała ciepła i kochania. Poznawszy panią Połaniecką, przylgnął do niej z prawdziwym egoizmem sybaryty, któremu takie uczucie jest miłe i który o niczem więcej nie myśli; następnie jego fantazya wyniosła ją na poetyckie wyżyny i, spotęgowawszy stokrotnie rzeczywisty jej urok, uczyniła z niej nadziemską niemal istotę, a wreszcie wrodzona tkliwość, dla której osamotnienie i brak blizkiego serca były rzeczywistym bólem, wzruszyła się tak tą dobrocią, z jaką został przygarnięty, że z tego wszystkiego zrodziło się coś, mającego wszelkie pozory miłości. Brakło jednak temu uczuciu realnych podstaw. Zawiłowski, jak zresztą większość artystów, obok zdolności do porywów tak idealnych, jak idealną jest sama dusza, miał zmysły satyra. Otóż zmysły te tym razem spały. Przybrał Marynię w tyle blasków, w tyle świętości, że nie pożądał jej. Gdyby, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, rzuciła mu się niespodzianie na szyję, przestała-by estetycznie dla niego być tem, czem była i czem ją chciał mieć, to jest istotą bez skazy. Tem bardziej też sądził, że na takie uczucie może sobie pozwolić i tem bardziej było mu teraz żal tego upojenia, które w tak wdzięczny sposób kołysało myśl i zapełniło mu pustkę życia. Tak mu było z tem dobrze, że, wróciwszy do siebie, widział jakąś postać kobiecą, do której nóg kładł duszę, że miał o kim marzyć i do kogo pisywać wiersze. Teraz zrozumiał, że jeśli pani Połaniecka domyśli się wyraźnie, co się w nim dzieje, jeśli on sam nie potrafi tego lepiej ukryć, niż dotąd, to stosunek ich nie będzie mógł się ostać i dawna pustka, tym razem jeszcze dotkliwsza, otoczy go znowu. Począł więc wysilać głowę, jakby temu zapobiedz i jakby nietylko nie utracić nic z tego, co dotąd miał, ale widywać Marynię jeszcze częściej. W bujnej jego wyobraźni nie brakło sposobów, jakoż uczyniwszy ich pobieżny przegląd,

www.ibtool.com.cn

Digitized by Google

znalazł i wybrał jeden, który, jak mu się zdawało, prowadził najprostszą drogą do celu

— Zakocham się niby w pannie Castelli, rzekł sobie, a jej będę się zwierzał z moich udręczeń. To nas nie tylko nie oddali, ale zbliży. Uczynię z niej moją patronkę.

I natychmiast począł układać rzecz, tak, jakby układał sztukę. Wyobraził sobie, że się naprawdę kocha w tamtej „sennej królewnie", że jest nieszczęśliwy i że wyznaje swoją tajemnicę Maryni, która go słucha pochylona, z wilgotnemi z litości oczyma i, jak prawdziwa siostra, kładzie mu rękę na czoło. Ta gra fantazyi wydała mu się tak oczywistą, a wrażliwość jego była tak wielką, że komponował wyrażenia, jakiemi będzie spowiadał się Maryni—wynajdował proste a rozdzierające—i czynił to z takiem przejęciem, że się niemi wzruszał zupełnie szczerze.

Marynia zaś, wracając z mężem do domu, rozmyślała o tym wierszu, zatytułowanym „Lilia", który opóźnił wydanie książki. Jako prawdziwa kobieta, trochę go była ciekawa, a trochę się go bała. Bała się też wogóle trudności, jakie mogła zrodzić w stosunku z Zawiłowskim przyszłość.

I pod wpływem tych obaw rzekła:

— Wiesz, o czem ja myślę? że taka Lineta, to byłby jednak wielki los dla Zawiłowskiego?

— Powiedz mi, odpowiedział Połaniecki, co wam strzeliło do głowy z tym Zawiłowskim i z tamtą gidyą?

— Ja, mój Stachu, przecie nie swatam, tylko mówię, że nie byłoby to źle. Anetce Osnowskiej trochę się pali w głowie, to prawda, ale ona taka żywa, jak iskra.

— Narwana, nie żywa, ale wierz mi, że nie taka naiwna, jak się wydaje, i we wszystkiem ma swój osobisty planik. Czasem myślę, że ją panna Castelli tyle obchodzi, ile mnie, i że na dnie tego wszystkiego jest coś innego.

— Cożby mogło być?

— Nie wiem, a nie wiem może dlatego, że i to mnie mało obchodzi. Wogóle nie mam zaufania do tych kobiet.

Dalszą rozmowę przerwał im Maszko, który zajeżdżał właśnie dorożką przed ich dom, i ujrzawszy ich, pośpieszył powitać Marynię, następnie rzekł do Połanieckiego:

— Dobrze, żeśmy się spotkali, bo jutro wyjeżdżam na parę dni, a że dziś termin, więc przynoszę ci pieniądze.

Poczem zwrócił się do Maryni:

— Byłem właśnie u ojca pani. Pan Pławicki doskonale wygląda, ale mówił mi, że tęskni za wsią i za gospodarstwem, dlatego namy-

Digitized by Google

śla się, czy nie kupić jakiego mająteczku pod miastem. Powiedziałem mu, że jeśli wygramy sprawę, to może się utrzymać przy Płoszowie.

Maryni nie w smak była ta rozmowa, w której przebijała zresztą lekka ironia—więc nie chciała jej podtrzymywać. Po chwili też Połaniecki zabrał Maszkę do swego gabinetu.

— Wszystko więc dobrze idzie?—rzekł.

— Oto jest rata,—odpowiedział Maszko,—jaka przypada od twojej sumy. Bądź łaskaw pokwitować.

Połaniecki siadł do biurka i napisał pokwitowanie, Maszko zaś rzekł:

— A teraz inna sprawa. Sprzedałem ci niegdyś dąbrowę na Krzemieniu z warunkiem, że będę mógł ją odkupić, zwróciwszy cenę i umówiony procent. Oto cena i umówiony procent. Spodziewam się, że nie masz nic do nadmienienia, ja zaś mogę ci tylko podziękować, boś mi oddał wówczas rzeczywistą usługę i—jeśli kiedyś będziesz potrzebował czegoś ode mnie—proszę cię—bez żadnej ceremonii!—proszę do mnie jak w dym!—usługa za usługę!—Wiesz, że lubię być wdzięczny!

— Ta małpa poczyna mnie protegować!—pomyślał Połaniecki.

I gdyby nie był u siebie, może wypowiedział-by głośno tę cichą uwagę, lecz się pohamował i rzekł:

— Nic nie mam do nadmienienia, ponieważ taki był kontrakt.—Nie traktowałem też tego nigdy jako interesu.

— Tem bardziej umiem to cenić,—odpowiedział łaskawie Maszko.

— A wogóle, co u ciebie słychać?—spytał Połaniecki.—Widzę, że płyniesz wszystkiemi żaglami. Jak sprawa?

— Ze strony instytucyi dobroczynnych występuje jakiś młody adwokacina, nazwiskiem Śledź. Piękne nazwisko, prawda? Gdybym kota tak nazwał, toby trzy dni miauczał. Ale ja tego śledzia opieprzę i zjem.—Pytasz jak sprawa?—Sprawa stoi tak, że po jej ukończeniu będę się mógł prawdopodobnie wycofać z adwokatury, która zresztą nie jest zajęciem odpowiednem dla mnie—i osiąść stale w Krzemieniu.

— Z gotówką w kieszeni?

— Z gotówką w kieszeni—i to z grubą! Mam dosyć adwokatury. Ostatecznie, kto wyszedł z ziemi, tego do ziemi ciągnie. To się dziedziczy razem ze krwią.—Ale na teraz, dość o tem. Jutro, jak ci powiedziałem, wyjeżdżam i polecam wam moją panią, tembardziej, że pani Krasławska pojechała w tej chwili do okulisty do Wiednia. Wybieram się jeszcze do Osnowskich prosić, żeby również o niej pamiętali.

— Chętnie, owszem!—odpowiedział Połaniecki.

Potem przyszła mu na pamięć rozmowa z Marynią, więc spytał:

— Ty dawno znasz Osnowskich?

Digitized by Google

— Dość dawno. Chociaż żona moja zna ich jeszcze lepiej. On grubo bogaty człowiek; miał jedynaczkę siostrę, która umarła, i skąpca stryja, po którym wziął ogromną fortunę. Co do niej—cóż ci powiedzieć?—czytywała jeszcze jako panna co jej w rękę wpadło, miała pretensye do rozumu, do artyzmu—słowem do wszystkiego, do czego można mieć pretensye, a swoją drogą kochała się w Kopowskim—ot masz ją całą.

— A pani Broniczowa i panna Castelli?

— Panna Castelli podoba się lepiej kobietom, niż mężczyznom, zresztą nic o niej nie wiem, prócz tego, co mówiono, że ten-że sam Kopowski starał się, czy stara o nią, a pani Broniczowa...

Tu Maszko począł się śmiać:

— Panią Broniczowę Khedyw wprowadzał osobiście na piramidę Cheopsa, nieboszczyk Alfons hiszpański mówił jej codzień w Cannes: „bonjour, madame la comtesse!" Musset pisywał jej w 56 roku wiersze w albumie, a Moltke przesiadywał u niej na kuferku w Karlsbadzie—słowem: przez imaginacyę jeździła na wszelkie koronacye. Teraz, od czasu gdy panna Castelli dorosła, a raczej wybujała na pięć stóp i coś tam cali, ciocia „Słodyczka" odbywa te imaginacyjne podróże, już nie na własny rachunek, ale siostrzenicy, w czem jej od pewnego czasu pomaga pani Osnowska tak gorliwie, że aż trudno zrozumieć, jaki ma w tem cel. Oto wszystko, chyba, że chcesz wiadomości o nieboszczyku panu Broniczu, który umarł sześć lat temu, nie wiadomo na jaką chorobę, bo pani Broniczowa za każdym razem wynajduje inną, dodając prócz tego, że był to ostatni z Rurykowiczów, nie dodając zaś, że przedostatni, to jest jego ojciec, był w swoim czasie rządcą u Rdułtowskich, i że na nich dorobił się fortuny. No, skończyłem... Vanity's fair!... Bądź mi teraz zdrów, trzymaj mi się dobrze, i w razie potrzeby licz na mnie. Gdybym był pewien, że taka potrzeba prędko zajdzie, zmusiłbym cię do przyrzeczenia, że się do nikogo innego nie udasz, tylko do mnie. Do widzenia'

To rzekłszy, Maszko uścisnął rękę Połanieckiego z nieopisaną łaskawością—i wyszedł, Połaniecki zaś, wzruszywszy ramionami, rzekł:

— Dobrze, że mnie nie poklepał po ramieniu!... Vanity's fair! vanity's fair! Taki niby sprytny człowiek, a nie widzi takiej samej próżności w sobie, jaką wyśmiewa w innych. Jaki on był inny tak jeszcze niedawno. Omal nie przestał udawać, ale jak bieda przeszła, dyabeł wziął górę.

Tu przypomniało mu się, co Waskowski mówił niegdyś o próżności, o komedyanctwie, poczem pomyślał:

— A jednak takim ludziom u nas się powodzi.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

XXIII.

Pani Osnowska zapomniała tak zupełnie o swoich „florencko-rzymskich" wieczorach, że była zdziwiona, gdy jej je kiedyś mąż przypomniał. Jakieś wieczory! ani jej w głowie! ona ma teraz inne zajęcie, które się nazywa „oswajaniem orła". „Jeśli kto nie widzi, że *orzel* i Lineta dla siebie stworzeni, to, z przeproszeniem męża i pana, ma bardzo krótki wzrok, ale na to niema rady. Mężczyzni wogóle wielu rzeczy nie rozumieją, bo im brak poczuć! Zawiłowski może być pod tym względem wyjątkiem, ale gdyby Marynia Połaniecka powiedziała mu po przyjaźni, żeby się staranniej ubierał i zapuścił brodę, toby było doskonale! Castelka taka nawskróś estetyczna, że ją byle co razi, choć z drugiej strony, on ją porywa—mało powiedzieć!—wprost hypnotyzuje!... I przy jej naturze—niema w tem nic dziwnego!"

Pan Osnowski, słuchając takiego szczebiotania, rozpływał się z zachwytu i korzystając ze sposobności, starał się opanować ręce żony, by je pokrywać pocałunkami aż do łokci; raz jednak zadał jej to zupełnie naturalne pytanie, które i Połaniecki zadał Maryni:

— Powiedz mi, co ci na tem zależy?

A pani Aneta odrzekła z kokieteryą:

— La reine s'amuse! To nie sztuka pisać książki. Byle trochę talentu—to i dosyć: ale przeprowadzać w życiu to, o czem mówią książki, daleko większa sztuka, a przytem co za zabawa!...

Po chwili zaś dodała:

— Może też i mam jakiś osobisty cel, a jeśli mam, to niech się go Józio domyśli.

— Powiem do ucha—odpowiedział Osnowski.

Ona zaś nadstawiła ucho z figlarną miną, mrugając przytem z ciekawości swemi fijołkowemi oczyma.

Lecz Osnowski po to tylko zbliżył usta do jej ucha, by je ucałować, za całą zaś tajemnicę powtórzył jedynie:

— La reine s'amuse!

I była w tem słuszność. Pani Osnowska mogła mieć swoje osobiste cele w zbliżaniu Zawiłowskiego do „Castelki", a swoją drogą to wytwarzanie romansu w życiu i rola małej Opatrzności zajmowały ją i bawiły ogromnie!

W tych opatrznościowych zamiarach wpadała też często i do Maryni Połanieckiej, by się czegoś o „orle" dowiedzieć, i najczęściej wracała z dobrą otuchą, Zawiłowski bowiem, chcąc uśpić podejrzenia Maryni, coraz więcej mówił z nią o pannie Linecie. Dyplomacya jego okazała się tak skuteczną, że gdy raz pani Osnowska zapytała wprost

Digitized by Google

Marynię, czy się Zawiłowski w niej nie kocha, ta odpowiedziała, śmiejąc się:

www.libtool.com.cn

— Musimy się z tem pogodzić, moja Anetko, ale ani we mnie, ani w tobie. Jabłko zostało przyznane Linecie, a nam nie pozostaje nic, jak albo płakać, albo się pocieszyć.

Z drugiej strony panna Castelli żyła w ustawicznem wmawianiu i poddawaniu tak uczuć, jak myśli, których sama miłość własna nakazywała jej się nie zapierać. Od rana do wieczora słyszała, że ten „orzeł" o szerokich skrzydłach kocha się w niej, że jest u jej nóg i że taka wybrana, taka wyjątkowa istota, jak ona, nie może być na to nieczułą. Zbyt jej też to pochlebiało, by mogła być nieczułą. Malując Kopowskiego, podziwiała wprawdzie zawsze „przepyszne płaszczyzny" na jego twarzy — i lubiła go, bo jej dostarczał pola do rozmaitych *powiedzeń*, które powtarzano potem jako dowód sprytu i dowcipu; lubiła go z różnych powodów, ale wszakże i Zawiłowski nie był brzydkim chłopcem, choć nie nosił brody i nie ubierał się dość starannie. A przytem tyle mówiono o jego skrzydłach—i o tem, że taka dusza, jak jej, powinna go zrozumieć. Mówili to wszyscy, nietylko Anetka! Pani Broniczowa, która nie rozumiała niegdyś, jak się mógł ktoś w niej nie kochać, przeniosła później tę szczęśliwą pewność siebie na siostrzenicę—i tem samem przyłączyła się do zdania pani Osnowskiej, haftując przytem kanwę rzeczywistości kwiatami własnego pomysłu. Wreszcie i pan Osnowski zapisał się do chóru. Z miłości dla żony, kochał on „Castelkę", panią Broniczową i gotów był kochać wszystko, co miało dalszy, lub bliższy związek z „Anetką", więc wziął sprawę do serca. Zawiłowski był mu sympatyczny; wiadomości zaś, jakie o nim zebrał, brzmiały pomyślnie. Dowiedział się wogóle o nim tylko tyle, że był odludek, ambitny i uparty we wszystkiem, co zamierzył.., a oprócz tego skryty i bardzo zdolny; gdy zaś paniom przypadło to wszystko do smaku, jął pan Osnowski zupełnie poważnie rozmyślać: „czyby to nie było dobrze". Zachowanie się Zawiłowskiego usprawiedliwiało poniekąd poważny pogląd na rzeczy, począł bowiem od niejakiego czasu częściej nawiedzać „wspólny salon" i więcej rozmawiać z panną Linetą. Czynił wprawdzie to pierwsze zawsze na uprzejme zaproszenia pani Osnowskiej, ale drugie płynęło z jego tylko woli. Pani Aneta zauważyła też, że wzrok jego zatrzymuje się coraz uważniej na złotawych włosach i sennych powiekach Castelki, a oczy jego odprowadzają ją, gdy przechodzi przez salon. On zaś rzeczywiście począł jej się przypatrywać, trochę przez dyplomacyę, a trochę przez ciekawość.

Rzecz jednak stała się o wiele więcej poważną, gdy wyszedł pierwszy tom jego poezyi. Wiersze już poprzednio zwracały na siebie uwagę i mówiono o nich dużo, wszelako wrażenie rozdrabniało się przez

Digitized by Google

to, że wychodziły w znacznych odstępach czasu i w rozproszeniu. Teraz książka uderzyła ludzi w oczy. Był w niej blask, siła i szczerość. Język miał w sobie niepożytość i wagę metalu, a mimo tego giął się posłusznie i przybierał wszelkie najsubtelniejsze kształty. Wrażenie rosło. Wkrótce pochwalny pomruk zmienił się w pełen podziwu gwar. Ze zwykłą w takich razach przesadą, wynoszono teraz dzieło nad wartość, a w młodym poecie poczęto przewidywać przyszłego spadkobiercę wielkiej sławy i wielkich buław. Nazwisko jego przeszło z redakcyjnych gabinetów do publiczności. Poczęto o nim mówić wszędzie, zajmować się nim i szukać go, ciekawość zaś stała się tem większa, że osobiście był mało znany. Stary, bogaty pan Zawiłowski, ojciec panny Heleny, który miał zwyczaj mawiać, że istnieją może dwie największe plagi na świecie, to jest podagra i ubodzy krewni, powtarzał teraz każdemu, kto go spytał: „mais oui, mais oui,—c'est mon cousin!"—i takie oświadczenie miało również swą towarzyską wagę dla wielu osób, a między innemi pierwszorzędną dla pani Broniczowej. Pani Osnowska wraz z panną Castelli przestały cierpieć nawet z powodu mało „gustownej" szpilki w krawacie Zawiłowskiego, bo teraz wszystko w nim mogło już uchodzić za oryginalność. Bolało je jeszcze skrycie, że mu było na imię Ignacy. Wolały-by żeby miał inne, jakoś bardziej odpowiedne do sławy i poezyi; gdy jednakże pan Osnowski, który z Metz wyniósł trochę łaciny, wytłómaczył im, że to znaczy „Ognisty", oświadczyły, że jeśli tak, to co innego—i pogodziły się z Ignacym.

Szczera i wielka radość panowała z powodu rozgłosu książki u Bigielów, u Połanieckich i w biurze. W biurze nie było ludzi zazdrosnych. Stary kasyer, Wałkowski, agent Abdulski i drugi buchhalter, Poźniakowski, dumni byli z kolegi, jakby jego sława opromieniła również i dom. Wałkowski mówił nawet: „Ależ zadaliśmy ludziom szyku!" Bigiel rozważał przez dwa dni, czy Zawiłowski może wobec tego wszystkiego poprzestać na skromnej posadzie w domu handlowym pod firmą Połaniecki i Bigiel, ale Zawiłowski, zapytany przez niego, odpowiedział:

— A to dobre! panie drogi! To za to, że trochę ludzie gadają, chcecie mnie pozbawić kawałka chleba i najmilszego w świecie koleżeństwa. Nakładcy nie znalazłem i żebym nie był waszym buchhalterem, nie mógłbym był książki wydać.

Na taki argument nie było co odpowiedzieć—i Zawiłowski został w biurze. Bywał tylko coraz częściej gościem w domu i u Bigielów, i u Połanieckich. U Osnowskich nie pokazał się po wyjściu książki cały tydzień, jak gdyby coś zbroił. Ale pani Bigielowa i Marynia namawiały go żeby poszedł, on zaś miał skrytą ochotę, więc któregoś dnia wybrał się tam na wieczór.

Digitized by Google

Zastał jednak panie w chwili wyjazdu do teatru. Chciały koniecznie zostać, ale nie zgodził się i w końcu stanęło na tem, co i pani Anecie i pannie Castelli sprawiło widoczną radość, mianowicie, że pojedzie razem z niemi. Tak się też stało: „Józio, jeśli zechce, weźmie sobie bilet do krzeseł". I Józio wziął bilet do krzeseł. W czasie przedstawienia Zawiłowski siedział na przodzie loży razem z panną Linetą, bo pani Osnowska uparła się, że razem z panią Broniczową będzie im „matkowała". — „Wy sobie rozmawiajcie o czem chcecie, a jeśli kto przyjdzie, to już ja go tak zaterkoczę, że nie będzie wam mógł przeszkodzić". Oczy ludzkie zwracały się często na tę lożę, gdy się zwiedziano, kto w niej siedzi. I panna Castelli czuła, że otacza ją jakby światło; czuła, że ludzie nietylko na niego patrzą, ale zarazem pytają się: kto jest ta głowa o złotawych włosach i sennych powiekach, do której on się pochyla i mówi? Sama zaś, spoglądając chwilami na niego, mówiła sobie, że, gdyby nie ta zanadto wystająca broda, toby był zupełnie ładny, bardzo delikatny profil, i że tę brodę mógłby przykryć zarost... Pani Osnowska ze swojej strony dzielnie wywiązywała się z obietnicy, i gdy nadszedł Kopowski, zaterkotała go tak, że zaledwie miał czas przywitać się z panną Castelli i rzec do Zawiłowskiego:

— A pan, to pisuje wiersze.

Po dokonaniu zaś tego szczęśliwego odkrycia, zdołał jeszcze dodać, ale raczej pod postacią monologu:

— Jabym ogromnie lubił wiersze, ale dziwna rzecz, jak tylko czytam wiersze, tak zaraz myślę o czem innem.

Panna Castelli, odwróciwszy ku niemu twarz, rzuciła mu długie spojrzenie—i nie wiadomo co przeważało w tem spojrzeniu: złośliwość kobiety, czy nagły podziw artystki — albowiem ta pozbawiona mózgu głowa, wychylająca się z głębi loży, wyglądała jednak na czerwonem tle ścian, jak jakiś mistrzowski pomysł malarski.

Po przedstawieniu pani Osnowska nie chciała puścić Zawiłowskiego—i pojechali razem na herbatę. Zaledwie jednak stanęli w domu, pani Broniczowa poczęła mu robić wyrzuty:

— Pan jest niegodziwy człowiek, i jeśli Linetce się co stanie, to będzie na pańskiem sumieniu. Dziecko mi nie je, nie spi, tylko czyta pana i czyta...

Pani Osnowska zaś natychmiast dodała:

— Tak! Mam i ja się o co skarżyć: zagrabiła pańką książkę i nie chce nikomu ani na chwilę jej dać, a jak się gniewamy, to, wie pan, co odpowiada?—„to moje! to moje!"

A panna Castelli, jakkolwiek nie miała w tej chwili w ręku książki, przycisnęła je do piersi, jakby chcąc, czegoś bronić, i odrzekła cichym, miękkim głosem:

Digitized by Google

— Bo to moje! moje!...

Zawiłowski spojrzał na nią i uczuł, że coś w nim jakby zadrżało.

Ale wracając późno, przechodził koło okien Połanieckich, w których się jeszcze świeciło. Po przedstawieniu i rozmowie u Osnowskich czuł jakiś zawrót głowy. Teraz widok tych okien oprzytomnił go. Doznał nagle takiego błogiego wrażenia, jakiego się doznaje, gdy się myśli o czemś bardzo dobrem i bardzo drogiem. Ogromnie czyste uwielbienie dla Maryni ozwało się w nim z dawną siłą. Ogarnęła go taka łagodna egzaltacya, w której zmysły usypiają a człowiek staje się niemal wyłącznie duszą—i wrócił do domu, szepcąc ustępy z wiersza „Lilia", najbardziej egzaltowanego, jaki kiedykolwiek w życiu napisał.

A u Połanieckich świeciło się jeszcze dlatego, że zaszło coś, co Maryni wydało się owem wyglądanem miłosierdziem bożem.

Wieczorem, po herbacie, siedziała, łamiąc jak zwykle głowę nad dziennemi rachunkami, gdy nagle złożyła ołówek. Po chwili przybladła—ale zarazem twarz jej stała się jasna — i trochę zmienionym głosem rzekła:

— Stachu!...

Jego zdziwił trochę jej głos, więc zbliżył się i spytał:

— Co tobie jest? Trochęś blada.

— Chodź bliżej, mam ci coś powiedzieć.

I objąwszy rękoma jego głowę, poczęła mu coś szeptać do ucha— a on słuchał, następnie zaś, pocałowawszy ją w czoło, rzekł:

— Tylko się nie wzruszaj, bo sobie możesz zaszkodzić...

Ale i w jego słowach czuć było pewne wzruszenie... Przez czas jakiś chodził po pokoju, — przypatrując się żonie— w końcu pocałował ją znów w czoło:

— Ludzie zwykle sobie życzą pierwszego syna—rzekł—ale ty mi pamiętaj, żeby była córka. Damy jej na imię Litka.

Oboje nie mogli jednak długo usnąć tej nocy—i oto dlaczego Zawiłowski widział światło w ich oknach.

XXIV.

Po tygodniu, gdy prawdopodobieństwo stało się pewnością, Połaniecki zwiastował nowinę Bigielom. Pani Bigielowa poleciała jeszcze tegoż dnia do Maryni, która rozpłakała się z radości w jej poczciwych ramionach:

— Zdaje mi się — rzekła — że mnie teraz i Stach będzie więcej kochał?

Digitized by Google

— Jak to, więcej?—spytała pani Bigielowa.

— Chciałam powiedzieć jeszcze więcej! — odrzekła Marynia. — A zresztą, widzisz, mnie nigdy nie dosyć!

— Miałby ze mną do czynienia, gdyby było nie dosyć!

Tymczasem łzy oschły na słodkiej twarzy pani Połanieckiej— i pozostał tylko uśmiech. Po chwili złożyła ręce jak do pacierza i rzekła:

— Ach, Boże, żeby tylko była córka, bo Stach sobie życzy córki.

— A ty cobyś wolała?

— Jabym... tylko nie mów tego Stachowi, jabym wolała chłopca, ale niech będzie córka!

Następnie zamyśliła się i spytała:

— Na to jednak niema rady! prawda?

— Nie!—odpowiedziała, śmiejąc się, pani Bigielowa.—Na to jeszcze nie wynaleźli sposobu.

Bigiel zaś ze swojej strony opowiadał nowinę każdemu, kogo napotkał, w biurze zaś rzekł przy Połanieckim, z pewnem namaszczeniem w głosie:

— No, moi panowie, zdaje się, że dom się powiększy o jednego wspólnika.

Urzędnicy zwrócili na niego pytające spojrzenia, on zaś dodał:

— Dzięki panu Połanieckiemu—i pani Połanieckiej.

Wówczas wszyscy rzucili się do Połanieckiego z życzeniami, z wyjątkiem Zawiłowskiego, który, pochyliwszy się nad biurkiem, począł pilnie przeglądać kolumny cyfr—i dopiero po chwili, czując, że jego zachowanie się może zwrócić uwagę, odwrócił się ze zmienioną twarzą ku Połanieckiemu i, uścisnąwszy mu rękę, począł powtarzać:

— Winszuję, winszuję...

Poczem wydało mu się, że jest komiczny, że coś zapadło mu się na głowę, że mu jest czczo i bezbrzeżnie głupio i że cały świat jest bajecznie płaski. Najgorszem jednak było uczucie własnej komiczności; bo przecie rzecz była tak naturalna i łatwa do przewidzenia, że byłby ją zdolny przewidzieć nawet taki Kopowski. Tymczasem on, człowiek inteligentny, pisujący wiersze przyjmowane z zapałem, uświadamiający wszystko, co się wokół dzieje, zapędził się w takie złudzenia, iż mu się teraz zdawało, że w niego piorun trzasł. Co za upokarzająca śmieszność! Ale on poznał Marynię, jako panią Połaniecką, i mimowolnie wyobraził sobie, że ona zawsze była panią Połaniecką, że będzie nią na przyszłość, jak jest w teraźniejszości, i wprost nie przyszło mu do głowy, żeby mogły nadejść jakieś zmiany. I oto, zobaczywszy kiedyś liliowe tony na jej twarzy, nazwał ją sobie Lilią i pisywał do niej liliowe wiersze. A teraz ten zatracony zmysł, który do każdej przykrości

Digitized by Google

dorzuca jeszcze drwiny, szeptał mu do ucha: „A ładna lilia!"... I Zawiłowski czuł się coraz bardziej zgnieciony i coraz bardziej śmieszny. On pisał wiersze, a Połaniecki ich nie pisał. W tem zestawieniu była zarazem gryząca gorycz i coś błazeńskiego; Zawiłowski zaś pił z tego kielicha pełnemi ustami, umyślnie tak, by nie uronić jednej kropli. Gdyby jego uczucia były się wydały, gdyby je był wyznał Maryni, gdyby go odepchnęła była z największą pogardą, a Połaniecki zrzucił ze schodów—było-by jeszcze w tem coś zakrawającego na dramat. Ale takie zakończenie! — „takie płaskie!"... Miał on naturę odczuwającą wszystko dziesięć razy silniej, niż zwykłe natury ludzkie, więc położenie wydało mu się wprost nie do wytrzymania, a te godziny biurowe, które musiał jeszcze przesiedzieć—męką. Uczucie jego dla Maryni nie tkwiło głęboko w sercu, ale zajęło całkowicie jego wyobraźnię, teraz zaś rzeczywistość uderzyła go nielitościwie dłonią po głowie, uderzenie zaś wydało mu się nietylko bolesne i grubiańskie, ale zarazem szydercze. Przychodziła mu do głowy desperacka myśl, wziąć kapelusz, wyjść i nie wrócić więcej. Na szczęście nadeszła zwykła godzina zakończenia pracy—i wszyscy poczęli się rozchodzić.

Zawiłowski, idąc przez korytarz, w którym przy wieszadłach było lustro, i ujrzawszy swą długą postać i wystającą brodę, powiedział sobie: „tak wygląda błazen". Tegoż dnia nie poszedł, jak zwykle, na obiad z drugim buchalterem, Pozniakowskim. Radby był uciec nawet sam przed sobą. Tymczasem zamknął się w domu i z przesadą prawdziwego artysty potęgował do niemożliwych granic swoje nieszczęście i swoją śmieszność. Po kilku dniach jednak uspokoił się, czuł tylko jakąś dziwną pustkę w sercu, tak zupełnie, jakby ono było mieszkaniem, z którego się ktoś wyprowadził. U Połanieckich nie pokazał się przez dwa tygodnie, ale po upływie tego czasu zobaczył Marynię na letniem mieszkaniu u Bigielów i zdumiał się.

Wydała mu się prawie brzydka. Nie było to zupełnie jego uprzedzenie, albowiem, jakkolwiek w postaci jej trudno było jeszcze dopatrzyć różnicy, zmieniła się jednak mocno. Usta miała nabrzmiałe, wyrzuty na czole i straciła świeżość cery. Była przytem spokojna, ale nieco smutna, tak jakby spotkał ją jaki zawód. Zawiłowskiego, który w istocie rzeczy miał dobre serce, wzruszyła ta jej brzydota. Poprzednio zdawało mu się, że nią pogardza. Teraz wydało mu się to głupie.

Zresztą zmieniła się tylko jej twarz nie dobroć, ani życzliwość. Owszem, czując się teraz zabezpieczoną od zbytniego z jego strony zachwytu, okazywała mu więcej serdeczności niż dawniej. Wypytywała go z wielkiem zajęciem o pannę Castelli, i gdy spostrzegła, że jest to przedmiot, o którym i on chętnie już rozmawia, poczęła się uśmiechać, dawnym, pełnym niewypowiedzianej słodyczy uśmiechem, i rzekła prawie wesoło:

Digitized by Google

— Dobrze, dobrze! Tam się dziwią, że pan znów dawno nie był— i wie pan, co mi mówiła i Anetka, i pani Broniczowa? Mówiły mi...

www.libtool.com.cn

Ale tu przerwała i po chwili:

— Nie—tego nie mogę głośno powiedzieć. Pójdziemy trochę do ogrodu...

I podniosła się, ale niedość uważnie, tak, że potknąwszy się na pierwszym kroku, omal nie upadła.

— Uważaj!—zawołał z niecierpliwością Połaniecki.

A ona poczęła spoglądać na niego prawie ze strachem, i pokorą— i zaczerwieniwszy się, odrzekła:

— Stachu, to niechcący, jak ciebie kocham!...

— Pan także niech jej nie przestraszа! — rzekła z żywością pani Biegielowa.

Było bowiem tak widocznem, że Połanieckiemu chodziło w tej chwili więcej o przyszłe dziecko, niż o Marynię, że nawet Zawiłowski to zrozumiał.

Co do Maryni, było jej to wiadome nie od dzisiejszego dnia. Przeszła z tego powodu przez całą walkę duchową z sobą, o której na razie nie mówiła nikomu, a walka ta była tem trudniejsza, im bardziej stan jej zdrowia wyradzał rozdrażnienie, niepokój i skłonność do posępnych myśli. Przeszła przez ciężkie chwile, zanim powiedziała sobie, że tak musi być, jak jest.

Połaniecki byłby wprost zdumiony, gdyby mu ktoś powiedział, że nie kocha, a zwłaszcza, że nie ocenia żony tak, jak powinien. Kochał ją po swojemu, a zarazem sądził, że jeśli kiedy, to teraz im obojgu powinno przedewszystkiem chodzić o dziecko. Będąc z natury żywym i porywczym, posuwał chwilami tę troskliwość za daleko, ale nie poczytywał sobie tego za grzech. Nad tem, co się może dziać w duszy Maryni, nawet się nie zastanawiał. Zdawało mu się, że między innemi jej obowiązkami jednym z pierwszych jest obowiązek dostarczenia mu dzieci, że zatem prostą jest rzeczą, iż go spełnia. Był jej za to wdzięczny i wyobrażał sobie, że będąc troskliwym o dziecko, jest tem samem troskliwy o nią, i tak troskliwy, jak mało który mąż. Gdyby był uznał za stosowne wezwać się do obrachunku co do postępowania z żoną, uważał-by również, że jest rzeczą zupełnie naturalną, iż jej urok czysto kobiecy pociąga go teraz mniej, niż przedtem. Z każdym dniem stawała się brzydsza i chwilami raziła jego zmysł estetyczny, on zaś mniemał, że, ukrywając to przed nią i starając się jej okazać współczucie, jest tak delikatnym, jak tylko mężczyzna dla kobiety być może.

Ona zaś miała wrażenie, że ta nadzieja, na którą najbardziej liczyła, zawiodła ją; czuła, że schodzi na drugi plan, że będzie schodziła coraz bardziej. I mimo całego uczucia dla męża, mimo skarbów

Digitized by Google

tkliwości, które już zbierały się w niej dla przyszłego dziecka, w pierwszej chwili ogarnął jej duszę bunt i żal. Ale trwało to niedługo. Poczęła z tem walczyć i zmogła się. Powiedziała sobie, że tu niema niczyjej winy, że takie jest życie i że to wypada z naturalnego porządku rzeczy, który znów jest wynikiem woli bożej. Potem zaczęła sama siebie oskarżać o egoizm i kruszyć się pod ciężarem tej myśli. Czy ona ma prawo myśleć o sobie, nie o Stachu i nie o przyszłem dziecku? Co może Stachowi zarzucić? Co w tem dziwnego, że on, który nawet cudze dzieci tak kochał, ma duszę zajętą teraz przedewszystkiem swojem, że mu serce naprzód do niego bije? Czy niema w tem obrazy boskiej, że ona pozwala sobie dochodzić przedewszystkiem jakichś swoich praw, jakiegoś swego szczęścia, ona, która tyle zawiniła. Kto ona jest i co ma za prawa do jakiegoś wyjątkowego losu? I gotowa była bić się w piersi. Bunt przeszedł; zostało tylko gdzieś, na samem dnie serca, trochę żalu, że życie takie dziwne, i że każde nowe uczucie, zamiast potęgować dawniejsze, odsuwa je w głąb... Ale gdy ten żal cisnął się jej z serca do oczu pod postacią łez, lub poczynał drżeć na ustach, już mu nie pozwalała i na takie ujście: „Cicho mi zaraz!" mówiła sobie w duszy — „tak jest, tak będzie i tak trzeba, bo takie jest życie i taka wola boska, z którą musisz się zgodzić." — I wreszcie zgodziła się.

Powoli odzyskała nawet spokój, nie zdając sobie sprawy, że podkładem jego jest rezygnacya i smutek. Był to zresztą smutek, który się uśmiecha. Jako młodej kobietce, było jej także chwilami przykro, gdy w oczach męża, lub nawet kogoś obcego, wyczytywała nagle wyraźnie: „Ach, jakeś ty zbrzydła!" Ale że pani Bigielowa zapewniła ją, że „potem" będzie jeszcze ładniejsza, więc odpowiadała im w duszy: „Poczekajcie!" — i to była jej pociecha.

Odpowiedziała też coś podobnego i Zawiłowskiemu. Była zarazem rada i nie rada z wrażenia, jakie na nim uczyniła, gdyż jeśli z jednej strony cierpiała na tem trochę jej miłość własna, z drugiej czuła się zupełnie zabezpieczona i mogła z nim swobodnie rozmawiać. Chciała zaś pomówić i to zupełnie poważnie, albowiem przed kilkoma dniami pani Aneta Osnowska powiedziała jej wprost, że „Kolumienka" po uszy zakochana, i że Zawiłowski ma wszelkie przed sobą widoki.

Ją zaś zaniepokoiło cokolwiek to kucie żelaza na gorąco. Nie umiała sobie zdać sprawy, dlaczego tak jest, nawet biorąc w rachubę wrodzoną porywczość pani Anety. Dla Zawiłowskiego, który stał się niejako Benjaminem obu domów, miała również jak Bigielowie i Połaniecki ogromnie wiele przyjaźni — a prócz tego była mu wdzięczna, bądź co bądź bowiem, poznał się na niej. Owóż rada-by była mu dopomódz w tem, co zdawało się być dla niego wielkim losem, ale jednocześnie przychodziło jej na myśl: „A nuż to będzie dla niego źle." Zlękła

Digitized by Google

się trochę i odpowiedzialności i swojej własnej poprzedniej polityki. — Teraz więc chciała naprzód dowiedzieć się, co też on naprawdę myśli, powtóre dać mu do zrozumienia, jak rzeczy stoją, a nakoniec poradzić mu, by w danym razie sam dobrze patrzył i rozważał.

— Tam się już dziwią, że pan dawno nie był — powtórzyła, gdy wyszli do ogrodu.

Zawiłowski zaś spytał:

— Co pani mówiła pani Osnowska?

— Powiem panu tylko jedno, choć nie wiem, czy powinnam to powtarzać. Pani Osnowska mówiła mi, że... Ale nie! Naprzód muszę wiedzieć, czemu pan tak dawno u nich nie był?

— Byłem niezdrów i miałem zmartwienie. Nie bywałem nigdzie. Nie mogłem! — Pani sobie przerwała...

— Tak, bo chciałam wiedzieć, czy się pan naprawdę nie pogniewał o co na te panie. Otóż pani Osnowska mówiła mi, że Lineta przypuszcza, że tak jest, i że kilka razy widziała z tego powodu łzy w jej oczach.

Zawiłowski zaczerwienił się, poczem na jego młodej i wrażliwej twarzy odbiło się prawdziwe rozczulenie.

— Ach Boże! — odpowiedział — jabym się miał gniewać, i jeszcze na taką pannę Linetę! Czy ona może kogo obrazić?

— Ja to powtarzam, co mi powiedziano, choć pani Osnowska jest tak żywa, że — nie śmiem ręczyć, czy wszystko, co ona mówi, jest ścisłe. Wiem, że nie kłamie — ale pan rozumie — że osoby bardzo żywe widzą czasem rzeczy, jak przez powiększające szkło. Niech pan sam sprawdzi, jak to jest. Lineta wydaje mi się miła, bardzo niepospolita i bardzo dobra — ale niech pan sam sprawdzi. — Pan ma tyle zmysłu obserwacyjnego.

— Że jest dobra i niepospolita, to niema wątpliwości. Pamięta pani, jakem mówił, że one czynią mi wrażenie cudzoziemek, ale to nieprawda! Pani Osnowska — może! ale nie panna Lineta!

A Marynia odrzekła:

— Trzeba samemu patrzeć i patrzeć! Rozumie pan, że ja pana do niczego nie namawiam... Bała-bym się nawet trochę Stasia, który nie lubi tych pań... Ale szczerze powiem, że jak usłyszałam o łzach Linetki, tak mnie to chwyciło za serce... Biedactwo!...

— Nawet nie umiem pani powiedzieć, jak mnie wzrusza sama myśl o tem — odpowiedział Zawiłowski.

Dalszą jednak rozmowę przerwał Połaniecki, który, zbliżywszy się, rzekł:

— Cóż? ciągle swaty! Te kobiety są jednak niepoprawne! Wiesz, Maryniu, co ci powiem? że byłbym najszczęśliwszy, gdybyś się w takie rzeczy nie wdawała.

Digitized by Google

Pani Połaniecka poczęła się tłómaczyć, lecz on, zwróciwszy się do Zawiłowskiego, rzekł:

www.jnbook.com.cn

— Ja się tam w nic nie wdaję, ale wiem tylko, że nie mam do tych pań najmniejszego zaufania.

Zawiłowski jednak powrócił do domu rozmarzony. Poruszyły się w nim wszystkie struny wyobraźni i poczęły dźwięczeć, tak, że ochota do snu odleciała od niego zupełnie. Nie zapalił światła, by mu nic nie przeszkadzało grać na tych rozigranych strunach — i siedząc w blasku księżyca, myślał, a raczej tworzył. Nie kochał się jeszcze, ale ogarniała go już wielka tkliwość, gdy myślał o pannie Castelli — i układał obrazy takie, jakby się już kochał. Widział ją tak wyraźnie, jakby stała przed nim; widział jej senne oczy i złotawą głowę, pochylającą się jak podcięty kwiat aż — na jego piersi. I wydało mu się, że kładzie palce na skroniach tej głowy, że czuje jedwabne dotknięcie jej włosów i przechylając ją nieco w tył, patrzy, czy pieszczota nie osuszyła łez, a jej oczy śmieją się do niego, jak niebo, jeszcze mokre po deszczu, ale już słoneczne... Potem wyobraźnia poczęła porywać jego zmysły. Wydało mu się, że jej wyznaje miłość, że ją przyciska do piersi i wyczuwa śpieszne bicie jej serca, że klęczy z głową na jej kolanach, od których przez jedwab' bije ciepło na jego twarz. I począł naprawdę drżeć. Dotychczas była dla niego obrazem, teraz wyczuł ją po raz pierwszy, jako kobietę. Nie było w nim ani jednej myśli, która-by nie była przy niej— i zapamiętał się w niej tak, że stracił poczucie, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Jakiś ochrypły śpiew na ulicy zbudził go. Wówczas zapalił światło i począł myśleć trzeźwiej. Zdjął go teraz pewien niepokój, albowiem jedna rzecz wydała mu się niewątpliwą, mianowicie, że jeśli nie zaprzestanie bywać zupełnie u pani Broniczowej i u Osnowskich, to się zakocha w tamtej dziewczynie bez pamięci.

— Trzeba więc wybrać! — mówił sobie.

I nazajutrz poszedł ją zobaczyć — bo począł tęsknić — a tejże jeszcze nocy probował napisać wiersz pod tytułem „Pajęczyna."

Nie śmiał jednak pójść do samej pani Broniczowej, więc czekał aż do godziny, w której można było zastać wszystkich we wspólnym salonie na herbacie. Pani Osnowska przyjęła go z nadzwyczajną serdecznością i z wybuchami wesołego śmiechu, lecz on, przywitawszy się, począł patrzeć na twarz panny Castelli i serce zabiło mu żywiej, gdy ujrzał, że bije z niej wielka i głęboka radość.

— Wie pan, co ja myślałam? — zawołała ze zwykłą sobie żywością pani Aneta — nasza „Topólka" tak lubi brody u panów, że myślałam, że pan zapuszcza brodę i dlatego się nie pokazuje.

„Topolka" zaś odrzekła:

Digitized by Google

— Nie, nie! niech pan zostanie tak, jak pana poznałam.

Lecz pan Osnowski otoczył wpół ramieniem Zawiłowskiego i rzekł z tą poufałością dobrze wychowanego człowieka, który umie postawić odrazu stosunki na bliższej i serdeczniejszej stopie:

— A, pochował nam się pan Ignaś, prawda? Ale ja mam na niego sposób: niech Linetka zacznie jego portret, to musi codzień przychodzić.

Pani Osnowska klasnęła w ręce:

— Jaki ten Józio rozumny, to aż dziw!

Jemu zaś rozpromieniła się cała twarz, że powiedział coś, co podobało się żonie, i począł powtarzać:

— Prawda? co! Moja droga Anetko — prawda?

— Ja już się przymawiałam — odpowiedziała miękkim głosem panna Castelli — ale bałam się naprzykrzać.

— Kiedy tylko pani rozkaże — odpowiedział Zawiłowski.

— Teraz dzień taki długi: to może o czwartej, po panu Kopowskim. — Zresztą niedługo już skończę tego nieznośnego pana Kopowskiego.

— Wie pan, co ona powiedziała o panu Kopowskim? — zaczęła pani Broniczowa?

Lecz panna Castelli za nic nie pozwoliła jej powiedzieć, zresztą przeszkodził temu pan Pławicki, który właśnie w tej chwili nadszedł i rozbił towarzystwo. Pan Pławicki, poznawszy panią Anetę u Maryni, stracił dla niej głowę, do czego otwarcie się przyznawał, ona zaś kokietowała go, ku wielkiej swojej i innych uciesze, bez miłosierdzia.

— Niech tatuś siada, tu koło mnie — rzekła — będzie nam przy sobie dobrze! — co?

— Jak w niebie! jak w niebie! — odpowiedział pan Pławicki, uderzając się raz po raz dłońmi po kolanach i wysuwając z zadowolenia koniec języka.

Zawiłowski zaś przysiadł się do panny Castelli i rzekł:

— Taki jestem szczęśliwy, że będę mógł tu codzień przychodzić... Czy tylko naprawdę nie zajmę pani czasu?

— Owszem, zajmie pan — odpowiedziała, patrząc mu w oczy — ale zajmie pan tak, jak nikt inny zająć-by nie potrafił. Ja naprawdę bałam się tylko naprzykrzać — bo ja się pana boję.

Teraz on zajrzał jej wgłąb' źrenic i odpowiedział z naciskiem:

— Niech się mnie pani nie boi.

Panna Lineta spuściła powieki i nastała chwila dość kłopotliwego milczenia; poczem panienka spytała trochę przyciszonym głosem:

— Czemu pan tak długo nie przychodził?

Digitized by Google

On miał na języku odpowiedź: „to ja się boję", ale nie śmiał posunąć się tak daleko, więc odpowiedział:

www.libpol.com.cn

— Pisałem.

— Wiersz?

— Tak, pod tytułem: „Pajęczyna!" Jutro go przyniosę. Pamięta pani, co pani powiedziała, kiedym panią poznał? że chciała-by pani być pajęczyną. Jam to zapamiętał — i od tej pory ciągle widziałem obraz takiej śnieżnej nitki, która buja po powietrzu.

— Buja ale nie o własnej sile — odpowiedziała panna Castelli — i nie może zalecieć wysoko, chyba...

— Co? czemu pani nie kończy?

— Chyba że się owinie koło skrzydeł jakiego wielkiego Latawca...

To rzekłszy, panna Lineta nagle wstała i odeszła, by pomódz panu Osnowskiemu, który w tej chwili otwierał okno.

A Zawiłowski został sam — z mgłą na oczach. Zdawało mu się przytem, że słyszy jak mu tętna biją w skroniach.

Oprzytomnił go dopiero miodowy głos pani Broniczowej:

— Parę dni temu mówił mi stary pan Zawiłowski, że pan jego krewny, ale, że pan u niego bywać nie chce, a on u pana nie może, bo ma pedogrę. Czemu pan u niego bywa? to taki miły i dystyngowany człowiek. Niech pan do niego pójdzie. Jemu to nawet przykre. Pójdzie pan?

— Dobrze, pani, mogę pójść — odpowiedział Zawiłowski, który w tej chwili gotów był na wszystko się zgodzić.

— Jaki pan musi być dobry i łatwy. Pozna pan tam swoją kuzynkę, pannę Helenę. Tylko niech się pan nie zakocha, bo to także bardzo dystyngowana panienka.

— Nie, pani, niema niebezpieczeństwa—rzekł, śmiejąc się, Zawiłowski.

— Mówią zresztą o niej, że ona się kochała w tym Płoszowskim, który to się zastrzelił, i że nosi wieczną żałobę w sercu. A kiedy pan do nich pójdzie?

— Jutro, po jutrze. Kiedy się pani podoba.

— Bo widzi pan, oni wyjeżdżają. — Lato za pasem! Gdzie pan będzie w lato?

— Nie wiem, pani. A panie?

Panna Castelli, która przez ten czas wróciła i siadła niedaleko, przerwała rozmowę z Osnowskim i, dosłyszawszy zapytanie Zawiłowskiego, odrzekła:

— Nie mamy jeszcze projektu.

Digitized by Google

— Wybierałyśmy się do Scheweningen — mówiła pani Broniczowa — ale z Linetką to tak trudno...

I po chwili dodała ciszej:

— Ona taka zawsze otoczona — takie ma szczęście do ludzi, że pan nie uwierzy! Choć, dlaczego-by pan nie miał uwierzyć? Dość na nią spojrzeć. Mój nieboszczyk mąż przepowiadał mi to jeszcze wówczas, gdy ona miała dwanaście lat: „Obaczysz — mówił — co to będzie za kłopot, jak ona dorośnie!" I jest kłopot, drogi panie, jest kłopot! Mój mąż dużo rzeczy naprzód przewidział... Ale!... Czy ja mówiłam panu, że on był ostatnim z Rur... A tak! mówiłam! Dzieciśmy własnych nie mieli, bo pierwsze nie doszło, a on był czterdzieści lat starszy ode mnie — i później był mi raczej... ojcem.

— Cóż mnie to może obchodzić! — pomyślał Zawiłowski.

Pani Broniczowa zaś mówiła dalej:

— Mój nieboszczyk mąż zawsze bolał nad tem, że nie ma syna. To jest, — był syn, ale przyszedł o połowę drogi za wcześnie... (Tu w głosie pani Broniczowej zadrgały łzy). Trzymaliśmy go czas jakiś w spirytusie... I, czy pan uwierzy, że na pogodę podnosił się, a na deszcz zniżał? Ach!! co to za smutne wspomnienia! Ile się mąż nacierpiał — że umrze ostatnim z Rur... Mniejsza zresztą z tem! dość, że w końcu przywiązał się do Linetki, jak do rodzonej, i oczywiście, to była najbliższa krewna — i co po nas zostanie, to będzie jej. Może i dlatego ją tak ludzie otaczają... Chociaż — nie! Ja im się nie dziwię. Żeby pan wiedział, co to jednak za męka, i dla niej, i dla mnie! Dwa lata temu w Nizzy, jeden Portugalczyk, hrabia Jao Colimaçao, krewny Alkantarów, tak stracił głowę, że aż śmiech brał. Albo ten Grek zeszłego roku w Ostendzie!... Syn bankiera z Marsylii, milioner... Jakże to on się nazywał?... Linetko, jak to nazywał się ten Grek milioner, — ten, co to wiesz?

— Ciociu! — rzekła z widoczną niechęcią panna Lineta.

Lecz ciocia była już w pełnym biegu, jak pociąg puszczony całą siłą pary.

— Aha! przypominam sobie, — rzekła — Kanafaropulos, sekretarz ambasady francuskiej w Brukselli.

Panna Lineta wstała i odeszła do pani Osnowskiej, rozmawiającej przy głównym stole z panem Pławickim, ciocia zaś, odprowadzając ją wzrokiem, rzekła:

— Gniewa się dziecko!... Ona ogromnie nie lubi, jak mówić o jej powodzeniach, a ja nie mogę wytrzymać. Pan mnie zrozumie? Patrz pan, jaka ona wysoka!— Tak mi wybujała!... Anetka nazywa ją czasem Kolumienką a czasem Topólką — i prawdziwa z niej Topólka! Cóż dziwnego, że ją ludzkie oczy widzą! Nie wspominałam jeszcze o panu

Digitized by Google

Ufińskim. To nasz wielki przyjaciel. Mój nieboszczyk mąż ogromnie go lubił. Pan musiał przecie słyszeć o panu Ufińskim? To ten, co tak sławnie wycina sylwetki z papieru. Cały świat go zna. Nie wiem na ilu dworach wycinał sylwetki, a ostatnim razem wycinał księcia Walii. Był także jeden Węgier...

Pan Osnowski, który siedząc niedaleko, bawił się ołóweczkiem przy breloku, to wysuwając go, to zasuwając napowrót, zniecierpliwił się wreszcie i rzekł:

— Jeszcze ze dwóch takich, kochana ciociu, a będzie wieczorek kostiumowy.

— Właśnie, właśnie! — odpowiedziała pani Broniczowa. — Jeśli o nich wspominam, to dlatego, że Linetka nie chciała ani słyszeć o żadnym. To taka szowinistka! Pan nie ma pojęcia, jaka z tego dziecka szowinistka!

— Niechże jej Bóg da zdrowie — rzekł Zawiłowski.

Poczem wstał i począł się żegnać. Na pożegnanie długo zatrzymał dłoń panny Linety, która zresztą odpowiedziała mu równie długim uściskiem.

— Do jutra! — rzekł, patrząc jej w oczy.

— Do jutra... po panu Kopowskim. A nie zapomni pan o „Pajęczynie?...”

— Nie pani, nie zapomnę... nigdy — odpowiedział nieco wzruszonym głosem Zawiłowski.

Wyszli razem z panem Pławickim, ale zaledwie znaleźli się na ulicy, gdy staruszek uderzył go zlekka w ramię i, zatrzymawszy się, rzekł:

— Panie młodziku, czy pan wie, że ja wkrótce zostanę dziadkiem?

— Wiem — odpowiedział Zawiłowski.

— Tak! tak! — powtórzył z rozkosznym uśmiechem Pławicki — a mimo tego, powiem panu tylko tyle: niema, jak młode mężatki!!...

I śmiejąc się, począł go klepać raz po razu po ramieniu, poczem przyłożył końce palców do ust, pożegnał się i odszedł.—Zawiłowskiego doszedł tylko zdaleka jego trochę drżący głos:

— Niema nad młode...

Resztę zgłuszył turkot na ulicy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Henryk Sienkiewicz.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Petronius Arbiter i romans w starożytności.

Kiedy po obejrzeniu wspaniałych ruin i budowli starożytnego Rzymu, które mówią do nas językiem, pełnym majestatu i patetyczności, znajdziemy się nagle na bruku małej zamarłej mieściny, wśród porujnowanych domków Pompejańskich, starożytność przemówi do nas odmiennym tonem, głosem poufałym codziennego języka, lecz wrażenie nie będzie z pewnością mniej silnem, a wdzięczność za nie nie mniej gorącą. Bo jeżeli lubimy, żeby starożytność przemawiała do nas z wysokości dwudziestu wieków, to tych głosów mamy podostatkiem; ale tej starożytności, która o dwudziestu wiekach nie myślała, nie przybiera się w odświętne szaty kamieni, czy słowa, dla potomnych, znamy dużo mniej, a to byłby ostatecznie ów duch ziemski, *der Geist der Erde*, który, według Göthego, jest bliższym nam i zrozumialszym. Z natury rzeczy przetrwało to wieki, co dla wieków było budowanem; wielkość jednak podnosi nasze uczucia, ale utrudnia poniekąd i mąci pojęcia i zrozumienie zamierzchłej rzeczywistości. I człowiekowi, przyzwyczajonemu do wielkich łuków Rzymu, do kolosalnych przestrzeni Koloseum, Palatynu i Termów, dopiero w Pompei otwierają się oczy na prawdę. Mury te mu opowiedzą, że kiedyś tu żyli tacy sami mniej więcej ludzie, jak my, że serce ich biło nie zawsze przyśpieszonem i podniosłem tętnem, że życie szło zwykłą, szarą koleją drobnych interesów i potrzeb, wśród których błyskały burze indywidualne, nie

Digitized by Google

wstrząsające wprawdzie narodami, ale nie mniej ciekawe, bo poruszające głębią jednego ludzkiego serca.

Takiego Pompeii potrzebowalibyśmy także w literaturze starożytnej, takich opisów codziennego, zwykłego życia z całą jego powszedniością i prawdą. I jakiś opis drugiej punickiej wojny poświęcił-by może nie jeden za szczegółowe opowiadanie, w jaki sposób w zwykłym zdarzeń toku, w najpowszedniejszym z dni powszednich, rzymski obywatel czas swój przepędził od poranku do późnej nocy. Nowożytny realizm po dwudziestu wiekach da to może przyszłym generacyom, da może więcej, niż my-byśmy i sama prawda na to zasługiwała, bo goniąc za rzeczywistością bezwzględną, uwydatnia on przedewszystkiem rzeczy, które w życiu się kryją, wyciąga na światło dzienne to, co szuka pomroku nocy; aby stopniować wrażenie prawdy, kreśli z lubością wybryki rzeczywistości i tem prawdę fałszuje.

Ale literatura starożytna daje nam w tym kierunku za mało. Życie na ulicy i życie publiczne górowało tu stanowczo nad życiem domowem, życie zbiorowe narodu nad duszą indywidyualną, interes dla zacisza domowego i przełomów jednej ludzkiej istoty był słabym i nie znajdował dosyć uwzględnienia, ani oddźwięku. Dlatego też, nawet w spowiedziach listowych, sprawy, obchodzące ogół, przeważają stanowczo nad spowiedzią osobistą, z krzywdą samego listu i z wielką krzywdą naszą. W wynurzeniach zaś serca i w wynurzeniach miłosnych sztuczny ogień słowa nie oświeca, lecz owszem przysłania rzeczywiste serca zapały, retoryka, rozpanoszona w literaturze starożytnej, psuje akcenta prawdy i dźwięki indywidualne, pociąga twory różnych autorów pewnym zbyt jednolitym pokostem. Ta retoryka wyrządziła pewne szkody rzeczywistości, prawdzie i naszym interesom i ciekawościom, szczególnie w literaturze rzymskiej. Wyrodził się tu ten ton koturnowy, który w historyografii nie pozwala się tykać powszedniości i kalać tą powszedniością, w epopei ludzi zbyt bogom równał, a bogów za często sprowadzał na ziemskich rzeczy arenę, w liryce żywe uczucia wlewał w zimne i ulane z góry formuły i marzył o monumentach trwalszych od śpiżu, tam, gdzie ten śpiż nie pozwala nam dosłyszeć tętna indywidualnego serca. Daje nam więc ta literatura klucze do sal senatu i klucze do duszy zbiorowej narodu i zgromadzeń ludowych, odsłania jednak rzadko i ze zbyteczną oględnością i miarą to, co się działo w ludziach, którzy nie dla ogółu i historyi, ale dla bieżącej chwili żyli i przedewszystkiem dla siebie. My-byśmy zaś woleli nawet klucza nie mieć, gdyby nam było wolno przez dziurkę od klucza zajrzeć w te tajemnice, które dla naszego interesu mają prawie równą wartość, jak zburzenie Kartaginy lub podbicie Gallii przez Cezara.

www.tiptool.com.cn

Digitized by Google

I.

www.libtool.com.cn

Taką dziurką od klucza, przez którą mamy patrzeć na społeczeństwo i życie, zamierza być i bywa romans w piśmiennictwie nowożytnem. Rola jednak przeważna, którą on dzisiaj odgrywa, jest objawem nowoczesnym. Ani dawniej, ani przedewszystkiem w starożytności nie dzierżył on tak pokaźnego stanowiska. Romans w literaturze greckiej pojawia się dosyć późno, już po aleksandryjskiej epoce, która kobietę wyzwoliła z dotychczasowego ukrycia w półcieniu i przed miłością roztworzyła na oścież gościnne podwoje literatury. Słyszymy o pewnym Arystydzie z Miletu, który żył może w drugim wieku przed Chrystusem, a napisał tak zwane Milesiaca, t. j. zapewne zbiór nowelli dosyć wyuzdanego charakteru, które jednak się nie łączyły w żadną większą całość [1]). Po tej skromnej przesłance musimy sięgnąć zaraz aż epoki Cesarstwa rzymskiego, w której warstwa t. z. sofistów usiłowała w upadającej Grecyi i w całem rzymskiem imperyum wznowić czar greckiego słowa i wydała wędrownych mówców, którzy po różnych miejscach szukali zbytu dla swych zapałów, czy tez sztucznych ogni. Czynność ich zwróciła się także w dziedzinę romansu. Powstały tedy długie opowieści Heliodora, Achillesa Tatiusa i Longusa, opowieści o parach miłosnych, walczących z trudnościami życia, które dopiero po długich zabiegach usunąć się udaje. Są to romanse, opisujące nadzwyczajne przygody wśród piratów, czyhających na pieniądze lub cnotę, straszne niebezpieczeństwa, przez które cnota i wierność kochanków, trochę nudna i płaczliwa, przechodzić musi, zanim otrzyma swoją nieuniknioną nagrodę. Jest tu dużo ckliwości i melodramatu, pełno łez literackich i literackiego mazgajstwa, a bogowie, którzy niegdyś rozstrzygali szalę zwycięstwa na polach walki, wsłuchani tu są w westchnienia nieustanne nieszczęśliwych kochanków i zaprzątnięci wyłącznie ich losem. Owiane zaś to wszystko jakiemś pasterskiem tchnieniem, jakimś nastrojem bukolicznym, który ludzi zamienia w pasterzy, a pasterzom zupełnie zapominać pozwala, że dobry pasterz strzeże owiec swoich. Brak rzeczywistego gruntu pod nogami wszędzie też czuć się daje; niepodobna w tych romansach określić, w jakim czasie i w jakim rozgrywają się kraju, bo wszystko tu oderwane od czasu i przestrzeni dzieje się jakoby w jakiemś erotycznem empyreum. Ta sama nieokreśloność uderza w obrazie obyczajów. Wszelkie kontury się zle-

---

[1]) Por. artykuł Rohdego—Zum griech. Roman. Rhein. Museum 1893, str. 127 i 139.

Digitized by Google

wają, żadna wyrazista postać, o wybitnie narysowanym charakterze, nie wyłania się z tego morza wynurzeń i westchnień, które falują w nieskończoność.

www.libtool.com.cn

W Rzymie słyszymy, że w pierwszym wieku przed Chrystusem, w epoce Sulli, historyk Cornelius Sisenna, obrobieniem opowieści milezyjskich o luźnym związku i luźniejszej jeszcze moralności chciał rozchmurzać czoła poważnych kwirytów. Całkowity jednak romans, zachowany w zupełności, posiadamy dopiero ze schyłku drugiego wieku po Chr., z epoki Antoninów. Mam tu na myśli metamorfozy Apulejusa, długą fantastyczną opowieść, w której młodzieniec Lucius, zamieniony przypadkiem w osła, kreśli zwyczajne i nadzwyczajne przygody przed zdumiałym czytelnikiem. Mamy tu seryę awantur, których teatrem są groty piratów, czarami napełniona Tessalia, wszystko obraca się w sferze cudownej lub cudacznej. Akcentów życia i rzeczywistości równie tu mało, jak w romansie greckim, autor buja swawolnie w dziedzinie możliwości i niemożliwości, a długi szereg przygód nie powiązany jednolitością duszy bohatera, lecz raczej tylko jednolitością osoby, lub raczej nazwiska. Romansu więc, w naszem znaczeniu tego wyrazu, nie znajdujemy u Apulejusza, podobnie jak w Grecyi.

Czyżby więc starożytność na opowiadanie, zaczerpnięte wprost z życia i prawdą i życiem tryskające, zupełnie zdobyć się nie miała? czy romans w jej pojęciu wyłącznie miał się trzymać fantastycznej dziedziny czarów lub urojonych sceneryi? Zdawaćby się to nam mogło, gdyby nam los nie zachował całej wiązki ułamków romansu łacińskiego, który tętni życiem i prawdą. Romans ten powstał zapewne w epoce Nerona, a do największych strat piśmiennictwa zaliczyć należy, że nam się nie zachował w całości. Wcześnie mianowicie zaczęto zeń robić wyciągi, a te wyciągi sprawiły, że może już w siódmym wieku po Chrystusie całość zaginęła. Aż do siedmnastego wieku nieliczne te ułamki mało na się ściągały uwagi; kiedy jednak w roku 1650 odnaleziono w Trau, w Dalmacyi, nieznaną część opowieści, t. z. ucztę Trymalchiona, interes dla tego zabytku wzmógł się niepomiernie, a odtąd spada lub rośnie według usposobienia idących po sobie pokoleń. Bo popularność większa lub mniejsza starych autorów zależną jest od ducha każdej epoki, a zarazem jest tej epoki miarodajnym probierzem i określnikiem.

Romans ten, przez autora łacińskiego spisany, rozgrywa się w Italii. Pisarz żył niewątpliwie w epoce Nerona i dzieło nosi na sobie niektóre cechy tej epoki. Na czele państwa stał wtedy ten histeryczny czy rozgrymaszony dzieciak, który świat cały uważa za wielką kopalnię wrażeń i sensacyi dla siebie, ma szał Cezarów bez Cezarów ambicyi, którą on zaspokaja w drobnej monecie zdawkowych tryumfów, ak-

Digitized by Google

torskich, muzycznych lub cyrkowych. Wszystko on wyzyskiwa na korzyść nienasyconej swej ciekawości i zużytej wrażliwości. Służą do tego i szały pospólstwa, i męczarnie bliźniego, służy nauka i sztuka, która schodzi na stanowisko królewskiego trefnisia czy błazna, wielkiej ochrony i obrony przed straszną próżnią i nudą. „Filozofów, powiada Tacyt, przypuszczał do siebie po uczcie, aby spory ich i kłótnie były dla niego rozrywką. A nie brakło takich, którzy twarze poważne nadstawiali na uciechę panującego" (Ann. 14, 16.) Jest on estetykiem i tylko estetykiem i idzie w tym kierunku tak daleko, że ofiary katuszy mają mu się grupować według arcydzieł sztuki, że Rzym gorejący budzi w nim literackie wspomnienia i przynosi poetyczne natchnienia. Moralności w nim żadnej nie dopatrzysz; człowiek, który podziwiał według pogłosek skulpturalne kształty zabitej przez siebie matki, zna tylko estetykę, jako przewodniczkę w życiu, a zmysły są dla niego jedynym duszy organem. Estetyką tą przesycił się on i upoił, doprowadziła go do delirium i snów chorobliwych, że cezarowska wola nie ma żadnych więzów, że może być rozuzdaną i w rozuzdaniu szukać wszelkiego zaspokojenia popędów, które stały się jedynym wyrazem chorobliwej energii. Świat cały był dla niego igraszką, nie budził w nim poszanowania ani wyrzutów, bo Cezar patrzał nań przez pryzmat własnej duszy i nie dopatrzył w nim niczego, coby go zawstydzić lub korcić mogło. Swetoniusz przypisuje mu (r. 29) zdanie, że niema wstydliwego człowieka na ziemi, a rzekomo cnotliwi udają i kryją podstępnie swe występki.

Ta absolutna próżnia moralna dosięgała z góry i w głąb społeczeństwa, a dowodem tego jest autor, który nakreślił nasz romans. Przesuwają się w nim przed nami różne sceny, z których niektóre wstrząsają swą rozwiązłą ohydą, ale w stylu nie znać ani drgnięcia pióra, które-by zawahało się przed słowem lub czynem zbyt drażliwym; przez opowieść romansu dojrzeć można twarzy autora, który z uśmiechem roztacza przed nami nędzę i ułomności ludzkie, a ma przeświadczenie, że jedni kałużę odwaniają perfumem, drudzy kalają się w zwykłem, grubem bagnisku, ale ostatecznie bez błota niema życia i użycia. To bezwzględne przebaczenie tryska z każdej linii tego autora, który życie i świat uważać musiał jako wielką farsę, w której przewodnia rola dostała się Neronowi. *Vanitas vanitatum* powtarzają natury silne, aby się podnieść po-nad marności i drobnostki codzienne, ma to być dla nich hasłem górującem nad nędzą życia i hasłem wyższego lotu; *vanitas vanitatum* powtarzają też natury zużyte i zmęczone, które głoszą wszystko marnością, aby stwierdzić jałowość wszystkiego, co się rwie ku górze, a siebie samego i innych strącać na poziomy, do równości i zbratania się w nikczemnej powszedniości. Autor ten za-

www.libtool.com.cn
Digitized by Google

dnej z pewnością moralności ani znał, ani wyznawał. Teorya Nerona co do ludzi ograniczona jest w romansie do zdania o kobietach; niema kobiety wstydliwej, która-by pokusie oprzeć się zdołała (c. 110). W rzeczywistości z pewnością autor rozciągał ten sceptycyzm moralny i na drugą połowę ludzkości. A obok tej próżni występuje tu znów cała pełnia estetycznego i literackiego wykształcenia, dobry smak wyrafinowany, objawiający się w uśmiechu autora, który zawisł nad dziełem, kiedy opisuje rozkosze i uciechy nie dosyć wykwintnych ludzi, głębokie zrozumienie literatury i sztuki, jej błędów i upadków, cała subtelność człowieka cywilizowanego, któremu jedyną gwiazdą przewodnią w życiu, przyświecającą rzadziej na prostych drogach niż na manowcach, jest dobry smak i wyrafinowana elegancya.

www.libool.com.cn

Na manowcach i to przeważnie najgorszego gatunku, rozgrywa się jego romans. Niema tu ani jednej osoby szanownej lub choćby tylko obojętnej pod względem moralnym. Odpowiednio do swego sceptycyzmu i do swojej niemoralności, przesuwa nam autor przed oczyma cały szereg osobistości, które w wyższym lub niższym stopniu dojrzałe są do kryminału, dla których błogosławieństwo wolności stopniowane jest uczuciem, że uszły dotąd kary, na którą zasłużyły w pełnej, lub mniej pełnej mierze. W każdej z nich od razu lub w toku opowiadania dojrzeć można robaka, który napoczął lub toczy ich dusze. Jakaś woń zepsucia osiadła nad całą opowieścią i przesiąknęła wszystkie jej zwroty i przełomy. A umieszczono to wszystko w tym miękkim krajobrazie południowej Italii, wśród cudów przyrody i raju, z którego nawet liczne upadki ludzi nie wypędzały.

Z pierwszemi scenami zachowanemi opowieści dostajemy się nad Neapolitańską zatokę [1]). Miejsce to dla Italii odgrywało tę samą rolę, co dla dzisiejszej Europy pełna czarów i przynęt Riviera. Szla chętniejsze umysły, jak Cycero, szukały tu pociechy i podniety, wypoczynku po trudach życia, poziome—uciechy wśród trwonienia czasu, pieniędzy i zdrowia. Dzisiaj nad całym krajobrazem zewisł słup dymu Wezuwiusza, piętrzącego się nad ofiarami swego gniewu, dym, który, jak żałobny pióropusz to rozpieszczone miejsce uwieńczył jakąś grozą posępnych wspomnień i złowrogiej obawy. Za Nerona czasów Wezuwiusz jeszcze drzemał i uchodził za niewinną górę, jak inne; u stóp jego rozsiadły się gęsto stare greckie miasta i nowe pełne wytworności wille. Na podkładzie greckiej cywilizacyi przetykał tu rzymski dobro-

---

[1]) Czy romans rozgrywa się w Cumae, jak myślał Mommsen, czy w Neapolu, to jest ostatecznie rzeczą podrzędnej wagi; w ostatnich czasach przemówił Klebs (Philologus, Supplementband VI, 1894, str. 679) za Puteoli.

Digitized by Google

byt swe złociste włókna; umysłowości dwóch narodów ścierały się z sobą i wytwarzały ten żywszy bieg myśli i uczucia, jaki zawsze z takiego starcia wypływa; a wreszcie spotykały się tu dwa zepsucia, jedno upadłych Greczynów, którzy tu w godziwy i niegodziwy sposób, podstępem i przebiegłością, przebijali się przez życie, lub błyskotliwością nagromadzonego majątku chcieli zakryć ciemności nizkiego pochodzenia i krętej drogi, którą do majątku doszli, i drugie zepsucie upadających lub upadłych już Rzymian, nacechowane pewną nudą człowieka, usuniętego niedawno od życia publicznego i pewnem zatyciem w kwietyźmie i dobrobycie.

Autor każe nam się obracać wśród nizkich rodem i moralnością osobistości, wśród wyzwoleńców i niewolników, ale w tych mętach dolnych odbijały się także swym wpływem męty górne, ludzie ci żyli i oddychali podobną atmosferą, jaka wtedy zawisła nad światem, a tylko odcienie i różnice w wykonaniu oddzielają ich od tego, co nad nimi w wyższym odbywało się stylu. Tych wyzwoleńców, którzy z niewolnictwa za łaską swych panów lub państwa wkraczali do praw pół-obywatelskich, było już dużo za republiki, warstwa ich stawała się z dniem każdym liczniejszą za cesarstwa. Napływało z nimi do społeczeństwa pełno obcych, szczególnie wschodnich żywiołów, pełno talentów, ale i przewrotności, i pyszalstwa. Miodowe miesiące z wolnością upływały im, albo wśród upojenia, prowadzącego do wybryków i swywoli, albo na frymarczeniu zdolnościami, które zapewniały im wpływy i znaczenie, albo na rozpościeraniu bogactw i odgrywaniu roli królów z chłopa powstałych, przyczem chłopska dusza przezierała nieraz przez szkarłaty królewskie. Długoletnie upodlenie niewoli zrobiło ich giętkimi na wszelkie usługi i posługi, ślizkość i luźność pojęć, których żadna tradycya nie wiązała ani ustaliła, zdolnymi wszelkiej niegodziwości, a zdolności i spryt wschodni czy grecki zapewniały im poklask i powodzenie wśród społeczeństwa [1]). Dlatego też we wczesnej dobie cesarstwa zadziwiali oni Rzym z kolei raz zręcznością w wybijaniu się na wierzch, drugi raz bezczelnością w brodzeniu po kałach, słowem, byli najświetniejszymi awanturnikami epoki. „Przyszedł do naszego miasta, mówi Trymalchion w naszym romansie, Greczyn, nazwiskiem Sarapa, istny bogów doradzca. Opowiedział mi nawet to, o czem dawno zapomniałem, i to jakby po sznurku; wnętrzności moje przejrzał na wylot, ledwie, że mi nie obwieścił, co jadłem wczoraj. Myślał-byś, że wiecznie ze mną pod jednym przebywał dachem." Oto

[1]) Por. o tej warstwie społeczeństwa Friedlaender, Sittengeschichte Roms (5 wyd.) I, str. 348.

Digitized by Google

obraz wierny tych Grekulusów ślizkich, pewnych siebie na najbardziej ślizkim gruncie i wślizgujących się tysiącznemi sposobami w łaski tych, o których łaski dbać było warto.

www.tiotool.com.cn

Bohaterowie romansu mają po największej części greckie nazwiska, są więc nietylko mięszańcami niewoli i wolności, lecz i mięszańcami wpływów obu starożytnych cywilizacyi, z których jedna, przeżyta i więdnąca, wydawała jeszcze dużo starych dzieci, rozbawiających świat czarem greckiego słowa lub błyskami dowcipu, druga, kąpiąca się w dobrobycie i używaniu, wykazywała tylu młodych starców, łaknących coraz nowych wrażeń i sensacyi dla stępionych użyciem zmysłów. Nazywają się oni Enkolpios, Askyltos i Giton, a pierwsze zaraz sceny nam zachowane ukazują ich we właściwym ich żywiole, wśród powietrza przesyconego nieczystością i wyziewami zepsucia. Zazdrość Enkolpiosa i Askyltosa o chłopca Gitona zatruwa pożycie tej dobranej i godnej siebie pary. Ten Enkolpios jest typem człowieka o pełnej głowie a pustem sumieniu i sercu. Umie on doskonale rozprawiać o sztuce i wymowie, kocha się w Wergiliuszu i starych obrazach, wie doskonale, co jest przyczyną upadku artystycznego i literackiego w jego czasach. Słowem, rozróżnia nadzwyczaj trafnie rzeczy piękne od rzeczy brzydkich, zmysłu jednak dla rozróżnienia złego od tego, co dobre, absolutnie nie posiada. Z bankructwa moralnego wyniósł on tylko smak estetyczny jako jedyną w życiu bussolę. Opowiada nam on swe czyny lub wybryki z czołem wytartem, jak wyszarzałe sumienie, jest najświetniejszym dowodem, że Muza nie jest zawsze uświęcającą kapłanką, lecz może być także rozwiązłą heterą, że głową można sięgać Parnasu i Helikonu, a mimo tego nogami grząść w błocie, że cywilizacya bywa przypiętym, noszonym na pokaz kwiatkiem, który do serca nie puścił korzeni.

Bohaterowie nasi mają już sporo przewinień na sumieniu i grzbiecie, skoro my się z nimi poznajemy. W części zachowanej przesuwają się teraz przed naszemi oczyma rozmaite sceny, bardzo mało budujące, szereg awantur miłosnych, jeżeli wyraz miłość na takie poniżenie pozwala, opisanych z prawdziwie nagą bezczelnością. Bo romans sam jest seryą scen powiązanych ze sobą przez tożsamość bohaterów, należy do kategoryi tych opowieści, które Francuzi nazywają *romans à tiroirs*. Po rozmaitych przejściach udają się ci dobrzy towarzysze do wzbogaconego wyzwoleńca, Trymalchiona, na ucztę. Opis tego festynu, całkowicie nam zachowany, jest perłą literacką pierwszorzędnego znaczenia. Powrócimy do niego niebawem. W następnych partyach wysuwa się obok dotychczasowych osobistości nowy typ na pierwszy plan opowieści. Jest to poeta Eumolpus, chorujący na słabość wieku, niewstrzemięźliwość literacką, *litterarum intemperantia*, o której mówił fi-

Digitized by Google

lozof Seneka. Czasy Nerona cierpiały na hyperprodukcyę poetów i wierszy, a sam cesarz folgował tej manii tuzinkowych utworów o tuzinkowem natchnieniu [1]). Poezya Augustowska pozostawiła po sobie całe szeregi utoczonych i urobionych frazesów, a z gotowego tego arsenału zapożyczali późniejsi nietylko strzały Kupidyna, lecz i cięższego kalibru groty, któremi walczono w epicznych walkach i walono potężne mury Trojańskie. Po takich mistrzach słowa, jak Owidyusz, zadanie czeladników dylettantów było nadzwyczaj ułatwione. Wjeżdżano na szczyty Helikonu utartą i wyżłobioną koleją, epigony dosiadali Pegaza z pewnością siebie i otuchą, że go poprzednicy ujeździli doskonale.

www.libtool.com.cn

To też pierwsze wieki cesarstwa poetyzują zawzięcie. Sam autor naszej powieści co chwila wykoleja się z prozy i urozmaica wierszykami tok opowiadania na wzór Greka Menipposa, który tę mieszaninę prozy z poezyą do literatury wprowadził. Ale typem tej niepowściągliwości wierszowej jest poeta Eumolpus. Stary on i ubiorem swoim nie przynosi Apollinowi zaszczytu; ani jednak wiek, ani przewiewność szat jego nie wyziębiły w nim natchnień, któremi niepokoi ludzi bezustannie, w kąpielach, przy ucztach, po spacerach publicznych, z których kamieniami nawet go odganiają. Jest to instrument o bardzo szerokim regestrze; na zawołanie ma się od niego okolicznościowe wierszyki lub całe epopeje. Enkolpios, znękany troskami miłosnemi, idzie do galeryi obrazów, aby tam wrażeniami artystycznemi się pokrzepić. Tu spotyka owego poetę, który mu tłómaczy tajemnice sztuki i przyczyny jej chwilowego upadku, a na widok obrazu, przedstawiącego palącą się Troję, całym poematem trojańskim go raczy. Enkolpios zniecierpliwiony jest z początku nową znajomością, grożącą mu takim zalewem wierszowym. „Mniej niż dwie godziny ze mną obcujesz, powiada, a częściej poetycznie niż po ludzku do mnie przemawiałeś. Nie dziwię się więc, jeżeli cię lud kamieniami raczy. Ja także wezmę do tłomoka kamieni, aby, ilekroć zaczniesz majaczyć, krwi ci upuścić z czerepa."

Ale mimo tego nieporozumienia początkowego, bratnie dusze zrozumiały się jednak. Bo Eumolpus, mimo swych zachwytów poetycznych, mimo lirycznych wynurzeń nad swojem ubóstwem i mimo bardzo niepospolitych sądów o stanie umysłowym epoki, ma bardzo pospolite niedomagania, rozmaite grzechy przeszłości w zanadrzu, które na przyszłość jeszcze pozwalają w nim miłego wietrzyć towarzysza. Opowiada on szczegóły ze swoich pedagogicznych annałów, bardzo mało budują-

[1]) Por. Thomas, L'envers de la société romaine d'après Pétrone, Paris, 1892. str. 45.

Digitized by Google

ce, które są dowodem, że nasz poeta nie u samych Muz szukał kiedyś pociechy i nie im jedynie bił pokłony. „*Dignus est intrare*" mniema hultajska spółka, i odtąd losy jego wiążą się z dalszemi perypecyami powieści.

W dalszym tym ciągu spotykamy poetę z Enkolpiosem i Gitonem na okręcie; uciekają przed furyami, tym razem wcielonemi w stróżów bezpieczeństwa. I tu dla nich niema spokoju i wytchnienia; na okręcie bowiem spostrzegają osoby, przeciwko którym dawniej przewinili ciężko. Poeta Eumolpus szuka dróg wyjścia z okropnego położenia, łagodzi gniewy i mściwe uczucia, a ostatecznie rozbraja całe towarzystwo opowiadaniem, godnem Diderota, o matronie z Efezu, której budująca cnota w bardzo niebudujący sposób została zwalczoną. Myśl, że niema fortecy niezdobytej na ziemi, powiew zepsucia, wiejący z opowieści, rozbraja powaśnione towarzystwo i skłania do bardzo daleko idących ustępstw i kapitulacyi. Tymczasem jednak wiatry wzburzone zaczynają miotać okrętem i ta burza inauguruje ostatnią z zachowanych nam części powieści. Jedni się topią, Enkolpios i Giton uchodzą z życiem, ale trudno im pociągnąć za sobą poetę, którego burza tak natchnęła, że go oderwać nie można od poematu, którym „w progu śmierci" grozę żywiołów opiewa. Enkolpios gwałtem wyciąga go nareszcie na ląd stały z toni fal i powodzi wierszy, które podwójnym grożą zalewem.

Burza, jak się niebawem pokazało, zagnała ich aż pod Krotonę, prastare miasto greckie w Italii. Tutaj rozgrywają się ostatnie sceny w zachowanych fragmentach powieści. Pozbawieni chudoby i wyratowani od zagłady awanturnicy, przemyśliwają o nowym sposobie powodzenia. Postanawiają więc wyzyskać namiętność, która w powieści często jako panująca żądza epoki bywa przedstawianą, jako przyczyna upadku sztuki i nauki,—niepohamowaną żądzę pieniędzy. Ta namiętność objawiała się między innemi w gorączkowem polowaniu na spadki. W Rzymie, gdzie bezżenność i bezdzietność była dawną i starą plagą społeczeństwa, rola dla tego rodzaju przemysłowców bardzo była wdzięczną. Obierano sobie jakiego zużytego Nababa lub pieniężną damę za cel swoich zabiegów i na wszelki sposób starano się pozyskać ich łaski. Posyłano im podarunki, łakocie, pielęgnowano ich w słabości; zręczni pochlebcy myli ich nawet, ucierali im nosy, jak opowiada Owidyusz. Położenie takich bogaczów było więc godnem pozazdroszczenia. Udany kaszel i sztuczne omdlenia działały podniecająco, bo otoczenie, widząc w tem wróżby śmierci, zdwajało swe zachody i daniny. Bezdzietność uchodziła za nadmiar szczęścia. Seneka, pisząc do pewnej matki, która syna straciła, pociesza ją tym szczegól-

Digitized by Google

nym argumentem, że bezdzietność daje w Rzymie więcej wpływu i znaczenia.

www.libtool.com.cn

Nasi podróżni zmierzają tedy do Krotony, a u wstępu spotykają jakiegoś miejscowego obywatela, który im kreśli obraz obyczajowy tego grodu. „W tem mieście, powiada on, sztuki ani wymowa nie kwitną, dobre obyczaje do niczego nie prowadzą, lecz cała ludność na dwie rozpada się połowy: jedni zastawiają sidła, a drudzy w nie wpadają. W tem mieście dzieci nikt nie chowa, bo ktokolwiek-by miał własnych spadkobierców, tego-by ani na uczty, ani na widowiska nie wzywano, odsuwają go od wszelkich przyjemności, słowem, marnieje haniebnie. Ci za to, którzy nie ożenili się nigdy, ani blizkich nie mają krewnych, dostępują najwyższych godności, uchodzą za dzielnych żołnierzy, tęgich i nieskazitelnych obywateli. Wejdziecie do miasta, jakoby do zapowietrzonych włości, w których nikt inny nie przebywa, prócz ścierw szarpanych i kruków je szarpiących."

Wymowna ta i na Rzym współczesny ukuta elukubracya, budzi w przebiegłej głowie Eumolpusa świetne pomysły. Położenie to należy wyzyskać. Spółka więc rozdziela rolę pomiędzy siebie: Eumolpus odtąd udaje Nababa, który, syna straciwszy, puścił się w podróż dla szukania ulgi i pociechy; towarzyszący wyzwoleńcy przyjmują rolę sług jego. Eumolpus jest wielkim panem, który w Afryce w ziemiach i kapitałach ogromne posiada zasoby, a tylu niewolników, że Kartaginę mógłby z ich pomocą zdobyć, gdyby go nie uprzedzono w tym względzie. Kaszle często, skarży się na żołądek, wyrzeka na potrawy. Widocznie już mu niedługo wiekować na świecie. Postanawia w dodatku co miesiąc testament swój zmieniać, aby ciągle nowe budzić nadzieje i coraz to świeże ofiary trzymać na uwięzi.

To też nowym przybyszom zaczyna się dziać bardzo dobrze, tak dobrze, że aż o tem opowiadać trudno. Zresztą ułamki opowieści urywają się wśród tych krotońskich awantur.

II.

Na tle tych dziwactw i pół-prawdopodobnych przygód rysują się jednak wszędzie w wielkiej części prawdopodobne postacie. Mimo przesady i karykaturalności, przed którą autor się nie sroma, czuć jednak tu wszędzie ziemię, po której ci ludzie chodzą, a dojrzeć można epokę, w której żyli i żyć mogli. I w tem leży znaczenie i śmiałość kroku autora, że w osnowę romansu, który w starożytności bywał zawsze wytworem nieokiełznanej fantazyi, kreślącym mgliste postacie w mglistej atmosferze i na tle niepochwytnem, wplótł motywa i osobistości tak

Digitized by Google

ziemskie, że aż bywają czasem zbyt poziomemi, że narysował je tak pewnemi rzutami słowa, iż stają przed nami z krwią i kościami i wrażają się w oczy i pamięć.

www.libool.com.cn

Pod tym względem więc można-by nazwać opowieść autora romansem realistycznym. Ale romans realistyczny nie z samym człowiekiem ma do czynienia; owszem, wciąga on w zakres swego przedstawienia, swej analizy, całe otoczenie martwe, które tysiącem więcej lub mniej określonych wrażeń wpływa na duszę, a z drugiej strony maluje nam upodobania i skłonności człowieka, który wśród niego zamieszkał. Realizm ten wszystkie włókna ukryte, łączące ludzi z rzeczami, uwydatnia i bada. Otóż i pod tym względem romans ten jest ciekawy, prawie jako pierwszy tego kierunku objaw [1]). Mamy bowiem w nim jedną postać, całkowicie wykończoną, wyrzeźbioną, narysowaną na tle domu, ubiorów, służby, całego otoczenia, postać tryskającą życiem, bogatego parweniusza Trymalchiona.

Wyłania się on jako zupełnie coś nowego w społeczeństwie rzymskiem. Rzym stawał się za cesarstwa stolicą świata, tracił swój dawny rodzimy charakter, przez napływ obcych żywiołów kosmopolityzował się stanowczo. Wielkie to miasto ze swoim przepychem ściągało masę obcych przybyszów, potrzebowało wielkiej liczby niewolników, którzy w nagrodę swych usług otrzymywali wyzwolenie, a jako wyzwoleńcy, sprytem swoim wschodnim i przebiegłością dochodzili do wielkich majątków i znaczenia. Obok obywatelstwa rzymskiego stanęła tedy wielka masa takich osobistości, które żadnej nie miały tradycyi w czasie ani miejscu, dla których przeszłość nie znaczyła nic, przyszłość w mglistych jeszcze malowała się barwach, za to teraźniejszość była wszystkiem, wiązała je do siebie błyskotliwym węzłem majątku, tysiącem przynęt i sposobów używania i rozkoszy, fanatycznem przywiązaniem do życia, które po dniach ciemnych, potomków całych pokoleń, pełnych poniżenia, wywyższyło naraz i śmiechem rozkoszy i bogactw uśmiechnęło się do nich. *Opes libertinae* [1]), bogactwo wyzwoleńców weszło niemal w przysłowie, bo ci pół-Rzymianie wszelkiemi sposobami olśnić starali się otoczenie wystawą swych zasobów i mienia. Byli to Rastakuerzy starożytności, na których rodowity patrycyusz patrzał z taką pogardą, jak wytworny Paryżanin na podobne okazy paryskiego bruku.

Autor powieści wprowadził Enkolpiosa i Askyltosa na ucztę do willi Trymalchiona, położonej w Neapolitańskiej zatoce. Nie będziemy

---

[1]) Por. Thomas. Le réalisme dans Pétrone, Gand, 1893.

[2]) Martialis, Epigr. V, 13, 16.

Digitized by Google

jej szczegółowo opisywać. Duch parweniusza żyje tu i tętni w każdym szczególe, począwszy od ubioru Amfitryona, skrojonego nie tylko na ciało, ale i na duszę, aż do ostatniej potrawy, z których każda niezwykłością swoją wprawiać ma w osłupienie odurzonych gości. Pieniądz tu święci swe orgie, ten pieniądz gruby, pospolity, w złotym uwieczniony cielcu, pobrzękiwający ciągle i w słowach właściciela i w potrawach, i w każdym sprzęcie tego domu narzucający się aż do przesytu. Jest on tu bogiem jedynym i wszędobecnym, a odsłania się co chwila w objawieniach nagich i brutalnych, raz wagą półmisków, to znowu klejnotami, raz raportami ekonomów, to znowu wynurzeniami samego Trymalchiona. Nad wszystkiem zaś rozlana ironia autora, dzierżącego w ręku jedyny katechizm, w który wierzył i którego przestrzegał, katechizm dobrego smaku.

Trymalchion chętnie powraca do swoich nędznych początków, opowiada z lubością swe dzieje, które go doprowadziły do pełni obecnego szczęścia. Matematyka tu zdziałała cuda, a dla tej nauki ma on cześć nieograniczoną. W przedsionku też między freskami, uwieczniającemi etapy tej karyery, przedstawioną jest lekcya rachunku młodego Trymalchiona, przybyłego w chłopięcym wieku z Azyi do Rzymu. Tutaj pochwytał on rozmaite wiadomostki z dziedziny historyi i mitologii, które dziwnie zamięszały mu się w głowie, zapomniał, albo przynajmniej z afektacyą udaje, że zapomniał po grecku, a nauczył się łaciny, bardzo podejrzanej wartości, w którą ubiera swe ubogie myśli i pospolite dowcipy. Dla innych nauk, choć posiada dwie biblioteki, ma uśmiechy politowania konkretnej głowy, i na pomniku swym grobowym ryć on każe, ile zostawił pieniędzy, z dodatkiem, że nigdy filozofii nie słuchał.

Ale strzępy tej nauki dobre są jako kondyment przy jedzeniu, bo i wśród uczty, powiada, trzeba znać filologię; a z tą nauką idzie w tej samej roli w zawody sztuka, a mianowicie muzyka, która tu rozbrzmiewać nie przestaje przy wszystkich czynnościach, reguluje najpospolitsze zajęcia: zastawienie uczty, krajanie mięsiw i nawet samo trawienie. Hałas tu nieustanny, który się wymownem echem odbił w nieśmiertelnej komedyi Molière'a „*Le Bourgeois gentilhomme*“,gdzie pokrewny duchem Jourdain przymierza nowe szaty *à la cadence de toute la symphonie*. W czasach Trymalchiona wielki śpiewak na tronie przodował w tym fanatyźmie dla muzyki, która dawała takt dla jego rządów lub nierządów. Tutaj brata się ona ze sztuką kucharską i występuje pod jej poważną egidą.

Mimo tej okrasy idealnej, duch tu jednak lubi przedewszystkiem poziomy i płuży sobie w ciasnym i zatyłym optymiźmie ziemskim. Trymalchion czuje się królem wśród swych pieniędzy i włości, żaden szer-

Digitized by Google

szy powiew, ani oddźwięk ze świata nie odświeża, ani zamąca jego kannibalicznej błogości. Horyzont jego wstecz kończy się na dacie urodzenia, w szerz na słupach granicznych jego majątku; po-za temi krańcami wszystko mu jest dosyć obojętnem, i życie narodów, i życie indywiduów. A ta koncentracya we własnej osobie maluje się dosadnie nie tyle w analizie swej duszy, ile w analizie żołądka, którego stan i losy przedstawia Trymalchion z dokładnością historyka zgromadzonym gościom. Brutalny egoizm, nie uszlachetniony żadną myślą o tych, co byli, nie pokonany żadnem uczuciem dla bliźniego, jest ostatecznym powodem tej genialnie narysowanej ciasnoty i szczęścia bez chmury w tem zacieśnieniu.

Goście Trymalchiona należą także przeważnie do klasy wyzwoleńców. Są oni albo na drodze do zrobienia majątku, albo zachwiani w swych spekulacyach mają nostalgię raju utraconego, do którego rozmaite sprawki utorowały im drogę, z którego wypędził ich krok fałszywy, co nie był grzechem pierworodnym. Na Trymalchiona spoglądają oni z pożądliwym podziwem; chętnie on ich przyjmuje, bo dla parweniusza otoczenie się niższymi jest jednym ze środków lubowania się w sobie i wywyższenia własnej osoby. Lubi on ich raczyć, bo za chleb dostaje wielbiące spojrzenia i chwałę; jałmużny-by nie rozumiał, jak mało ją rozumiała starożytność. Kiedy retor obecny, wezwany przez gospodarza, zaczyna swą opowieść od słów: „był raz pewien ubogi i pewien bogacz,"—Trymalchion przerywa mu pytaniem: Co to jest ubogi, *quid est pauper*? Jest to wyraźnie problemat, którego zatyłe jego oko i zatyła dusza rozświecić nie mogły, pytanie, na które równocześnie rybacy galilejscy dawali życiem swem i nauką odpowiedź wymowną.

Trymalchion z gośćmi swymi robi strasznie mało ceremonii, każe im czekać na siebie, wstaje według upodobania; kiedy się raz wśród uczty oddalił, nawiązuje się wśród pozostałych rozmowa o potocznych rzeczach i sprawach, podsycona swobodą, którą sprowadza nieobecność słońca, około którego te trabanty się kręcą. Rozmowa ta jest z niesłychanym talentem poprowadzona, przebiega prawdziwie całą skalę najpospolitszych, potocznych, rzec-by można ulicznych motywów, jakie po wszystkie wieki zaprzątają puste głowy i serca; autor umiał tu podsłuchać i język pospolity i wszelkie zwroty i akcenta bajek i komerażu i stworzył arcydzieło banalności, które do pierwszorzędnych pereł całego dzieła stanowczo zaliczymy. Zaczyna rzecz człowiek, nazwiskiem Dama, i zaczyna koncert, jak przystoi, od powietrza: „Tęgie mieliśmy teraz zimno. Gorący jednak trunek za płaszcz i krawca starczy. Pogadałem z butelką i ciepło mi się zrobiło na sercu." Po tej uwerturze, podniecającej język i uczucia, zwraca Seleucus myśli do najświeższego pogrzebu. „Byłem dziś na pogrzebie. Miły człek, poczciwy

Digitized by Google

Chrysanthus, przykrył się nogami. Dopiero co jeszcze mówił ze mną, zdaje mi się, że słyszę głos jego. Oj, oj, chodzimy po świecie, jak pęcherze powietrzem rozdęte, warciśmy tyle, co muchy, jesteśmy jak bańki mydlane." Po tych głębokich refleksyach nad śmiercią, obrywa się doktorom, którzy nieboszczyka w końcu zgubili. „Bo czemże jest ostatecznie doktor, jeżeli nie marną tylko pociechą dla duszy. Pogrzeb jednak miał zmarły bardzo piękny, mary pięknemi kobiercami przykryte." W końcu po tym nekrologu, z okazyi podejrzanej szczerości łez pozostałej wdowy, następuje wycieczka na charakter niepewny kobiet.

Że rozmowa zeszła na umarłych, zwraca ją do spraw bieżących i piekących zniecierpliwiony Ganymedes. „Gadacie w kółko i trzy po trzy, a nikt się nie troszczy, że drożyzna nas gryzie. Kęsa chleba dziś dostać nie mogłem, a susza jak trwa, tak trwa. Wszystkiemu winni policyanci, którzy z piekarzami ręka w rękę idą." Następują skargi, że nikt tym zbrodniarzom w oczy prawdy nie rzuci. Dawniej bywało lepiej. „O, gdybyśmy mieli jeszcze tych łepaków, których tu zastałem, kiedy z Azyi przybyłem. Toż było życie! A umieli oni te figury potraktować, że im w pięty chodziło. Przypominam sobie Safiniusa; mieszkał wtedy przy starym łuku, gdy byłem jeszcze chłopcem, istny pieprz, nie człowiek, gdziekolwiek szedł, ziemia wrzała mu pod stopami. Ale uczciwy był i pewny, wierny przyjaciel, żebyś mógł w morrę z nim grać po ciemku. A na ratuszu krzyżową sztuką rznął to w prawo to w lewo, nie obwijając w bawełnę, ale tak prosto z mostu! A gdy na rynku przyszło mu mówić, głosu mu przybywało jak w puzonie... To też wtedy zboże za nic było. Kupiłeś za grosz bułkę, z drugim byś jej nie schrupał. Teraz one nie większe jak oko u wołu." Po tem żałosnem wspomnieniu o heroicznym wieku miasta i małomiejskich wielkościach zwraca się myśl do bogów. I ze zmniejszania się bułek przybywa nowy indukcyjny dowód, że istnieją i że są nawet w złym humorze. Ostatecznie nie sami urzędnicy winni dzisiejszej biedy, ale i niereligijność coraz bardziej panująca. „Bo nikt już w niebo nie wierzy, nikt postów nie zachowywa, Jowisza nie ma sobie za nic, lecz każdy, z oczami wlepionemi w stół, rachuje, ile uciułał grosiwa. Dawniej nasze matrony w długich szatach i na bosaka, z włosami rozpuszczonemi a czystem sumieniem, szły na świętą górę i prosiły o deszcz u Jowisza; to też lało zaraz jak z cebra, albo zaraz, albo wcale nie, i wszyscy wracali przemoklí jak myszy. Teraz bogowie nie śpieszą się z pomocą, bośmy pobożność zatracili. A pola nam marnieją." Bułkowo-agrarna lamentacya sięga więc w końcu samego nieba.

Zatroskanego Ganymedesa, który rozmowę wprowadził na tak żałobne tory, pociesza krawiec Echion. On optymistyczniej zapatruje się na swoją mieścinę ojczystą. „Nie było-by lepszej pod słońcem, powiada,

Digitized by Google

gdyby tylko ludzie rozum mieli. Jest wprawdzie teraz w opałach, ale gdzie indziej lepiej się nie dzieje. Nie trzeba nam przebrzydzać, słońce na wszystkich równo świeci. Gdybyś gdzieindziej przebywał, mówiłbyś, że tu pieczone prosięta po ulicach luzem chodzą." I potem różowo w świat patrzący krawiec zasępionemu zapowiada towarzystwu nowe festyny, wielką walkę gladyatorów, przy której bez pardonu krew się będzie lała strugami, wietrzy przytem, że inny z patrycyuszów małomiejskich uraczy swych przyjaciół niezadługo sutą i obfitą ucztą.

Kiedy siedzący przy stole retor uśmiechnął się nad tym optymizmem, według miary krawca, urażony Echion wpada na jego próżność i nadętość literacką, a ostatecznie wyprowadza w pole syna, który po nad miarę ojca wyrośnie i pomści ojca upokorzenie. „Dorasta już dla ciebie uczeń w moim synalku. Dzielić już malec potrafi; jeżeli pożyje, wyrośnie na twego pachołka. Bo gdy ma tylko czas wolny, od książki go nie oderwiesz. Ma głowę na karku i serce na swojem miejscu, tylko na chwytanie ptaków zbyt jest zajadły. Trzem jego szczygłom kark już ukręciłem i powiedziałem mu potem, że kuna je zjadła. Inne jednak głupstwa też go się trzymają i maluje zawzięcie. Liznął już trochę greczyzny i łacinę pilnie kuje, chociaż jego nauczyciel jest leniwy. Mam jeszcze do niego innego nauczyciela, który nie dużo się uczył, ale gorliwy jest i więcej uczy, niż sam umie. Dochodzi on w święta i cokolwiek mu wtedy dasz, kontent jest z tego. Kupiłem też memu malcowi kilka książek prawnych z czerwonemi rubrykami, bo chcę, żeby na domową potrzebę trochę prawa skosztował. To daje chleb, literaturą dosyć się już umazał."—Takie tedy rozmowy kwitły niewątpliwie przed 20-stu wiekami w małej italskiej mieścinie, przy stole wzbogaconego Trymalchiona. A autora powieści podziwiać musimy, że myśl ich czy bezmyśl przewodnią tak genialnie uchwycił i z tak niezrównanem oddał mistrzostwem. Możemy tak wglądnąć w życie codzienne drobnego miasteczka z jego wielkiemi interesami, które do burz w szklance wody często prowadziły, do głębi tych dusz, które ciasność swego horyzontu rozpierały jedynie lokalnemi sławami, zaściankowemi ambicyami, i zazdrościami bardzo gwałtownemi. Bo o jadzie zębów małomiejskich, *municipalium robigo dentium*, wspomina już Martialis. Miasteczka te italskie w pierwszym wieku cesarstwa cieszyły się autonomią zupełną; dwóch burmistrzów odpowiadało dwom konsulom rzymskim, stu dekuryonów tworzyło radę miejską, senat miejscowy; dla drobniejszych ludzi, mianowicie wyzwoleńców, i dla drobniejszych ambicyi zapewniała korporacya Augustalów, mających pieczę nad kultem cesarskim, także odpowiednie godności [1]). Do tych stanowisk paliły się miejscowe wiel-

[1]) Por. o tem Friedlaender, Cena Trimalchionis, wstęp, str. 27.

Digitized by Google

kości, wielkości z woli ludu lub z woli powstałe własnej; oppozycya rzucała na nie gromy, kruszyła swe kopie na karkach Hannibalów *intra portas* i na karkach policyantów, którzy nie dosyć dbali o porządek miasta, a także o bułki, wychodzące z pieców miejscowych piekarzy. Cele pocisków były drobniejsze, pociski same wielkie i doniosłe, jak u deklamatorów stolicy.

Po tej lawinie banalności wraca Trymalchion na salę i my powrócimy jeszcze na chwilę do niego. Z ukazaniem się Amfitryona on znowu skupia około siebie rozmowy i uwagę, króluje z wysokości swoich pieniędzy, steruje tą bachanalią przysmaków kuchni i rozmowy, dostosowanych do podniebień ugaszczanego towarzystwa. Z postępem uczty nastrój się podnosi o tyle, że Trymalchion grubo się przemawia z żoną, przyczem ona psem go przezywa, on jej rzuca w twarz kieliszkiem; z przypływem wina pękają ostatnie zapory dla tych natur grubiańskich. Wśród tańców i hałasu, wśród udawania instrumentów muzycznych i ptaków, zmierza uczta ku końcowi. A Trymalchion, upojony winem i szczęściem, które go coraz bardziej rozpiera, konkluduje swe ostatnie medytacye tem, że ostatecznie człowiek tyle wart, ile posiada, i każe się podziwiać, że z marnego robaka wyrósł na takiego potentata.

Ostatnia scena dziwacznością swą uwieńcza ten szereg wyskoków i wybryków. Trymalchiona wino natchnęło lirycznie i dramatycznie; każe on przynieść swe szaty, przygotowane na śmiertelne ubranie, i kobierce, które mu za ostatnie posłanie mają służyć, i wsparty na poduszkach, kładzie się jak umarły, a muzykantom każe żałosne zawodzić melodye. Ta wizya śmierci po orgii wyuzdanej i pospolitej przypomina prawie średniowieczne tańce śmierci, tańce szkieletów z wcieleniami rozpusty, rzuca ona swe blade cienie na to towarzystwo, kąpiące się w zdrojach i kałużach uciechy. Jest w tem wywoływaniu śmierci prawie coś zmysłowego; po przeżyciu wszystkich wrażeń, które ziemia daje, pozostaje jeszcze ta ostatnia, niezawodna sensacya ze swoją niepokojącą tajemnicą, której przedsmak prawie nęci człowieka. Widzieliśmy tego rodzaju śmierci w nowszych czasach, a Seneka, filozof, opowiada nam o pewnym senatorze, który po każdej uczcie wśród śpiewów żałobnych przez niewolników do sypialni wynosić się kazał i odurzał do reszty tą grobową maskaradą.

W epoce Nerona przesyt życia i znużenie pewne umysłów, które, w braku wysokich ideałów i zdrowego czynu, durzyły się i zużywały w badaniu tajników swego wnętrza, wypijaniem miodu ze wszystkich kwiatów, dających słodycz lub truciznę, a szukały tego zapomnienia, które dla pokoleń smutnych jest pozornem dobrodziejstwem i rzeczywistą klęską, ta śmierć wychylała często z pod kwiatów życia i rozko-

Digitized by Google

szy swą złowrogą głowę. Dowodem tego Pliniusz starszy, który sławił wyższość człowieka nad bogami w tej mierze, że pierwszy wśród smutków życie sobie odebrać może, dowodem nasz autor, który wśród opisów orgii po kilkakroć w tę nutę śmierci potrąca. Schyłek dziewiętnastego wieku zna podobne objawy I dzisiaj, wśród znużonego moralnie pokolenia, idea śmierci także ciągle nurtuje po umysłach i zabarwia twory ducha, tryskające życiem, jakąś przymieszką złowrogiej bladości. Jedni mają dla niej pewien kult religijny, jako dla wybawicielki z trudów i niepokojów ziemskich, modlą się do niej, jak do bogini spokoju i wypoczynku, która „przywraca ciszę, zamąconą życiem," *Rends nous le repos que la vie a troublé* [1]), drugim pełnia życia w miłości i wszystkie czary i kwiaty wiosny przypominają ciągle tego robaka, toczącego wszystko, co ziemskie, tę otchłań, co pochłania wszystko w swem łonie żarłocznem. Cokolwiek-byśmy zrobili, umrzemy, woła Maupassant wśród cudów przyrody i słońca i sarka na tę nieśmiertelną nędzę, gniotącą ludzkość. Kto pijał ze wszystkich zdrojów, płynących ziemską słodyczą, i pił aż do szału i upojenia, temu zawsze ta walka życia i śmierci, opiewana w starej pieśni kościelnej, ukazywać się będzie w całej grozie i straszliwej beznadziejności.

Mors et vita duello
Conflixere mirando.

W naszej powieści ten objaw ma nieco odmienną naturę, bo odpowiednio do intencyi autora i charakterów jego postaci zmora ta jest tu wywołaną w sposób brutalny i brutalniejsze wywoływa wrażenia. Dla parweniuszów w rodzaju Trymalchiona śmierć jest jedyną potęgą imponującą, bo jej pieniądzem zaimponować nie można, jedyną potęgą, której trzos nie rozbraja, ani przekupić potrafi. Jej nieskazitelność budzi też strach i poszanowanie, ale zarazem jakieś prawie mściwe uczucie, aby jej bezlitosnemu ramieniu, ciążącemu nad zastawionemi stołami życia, zdwojonem używaniem urągać. Nuta ta pobrzmiewa w całej prawie starożytności, przemawia z pieśni Horacyusza zachęcających do życia i użycia, odzywa się na nagrobkach jako napomnienie przechodniów ze strony umarłych. W najbrutalniejszy jednak sposób daje się ona słyszeć przy uczcie Trymalchiona. Wśród przysmaków wstępnych, mających zaostrzyć apetyt gości, wnosi niewolnik lalkę srebrną, udającą kościotrupa, a tak przyrządzoną, że wszystkie jej

[1]) Leconte de Lisle; Jean Lahor nazwał śmierć: Notre Dame la Mort.

Digitized by Google

członki i kręgi się poruszają [1]). Zdziwionym gościom objawia Amfitryon wierszem nasuwające mu się ztąd refleksye:

www.libtool.com.cn

Och, jakiem człowiek stworzeniem jest marnem!
I my takiemi będziem, gdy pomrzemy,
A więc użyjmy życia póki pora.

Później zjawia się znów wśród wesołego towarzystwa Habinnas, przedsiębiorca pogrzebowy. Trymalchion, natchniony jego przybyciem, przypomina, że kazał mu wykonać pomnik swój grobowy, dziwaczny, jak jego życie, nadęty, jak jego próżność, pomnik parweniusza i jego smaku zarazem. Ma on obwieszczać miastu i światu wielkość majątku zmarłego, przypominać potomnym jego czyny doniosłe i również doniosłe sentymenta, ściągać uwagę przechodniów zegarem, umieszczonym w środku, aby ludzie, patrzący na czas, zatrzymali się przy nazwisku zmarłego. Urna strzaskana i chłopiec nad nią płaczący jest uwieńczeniem tego wyskoku gustu parweniusza.

Po tych wynurzeniach Trymalchion daje hasło do płaczu, a całe otoczenie i służba wnet zalewa się łzami. Ale nastrój liryczny przerywa natychmiast Trymalchion napomnieniem. „Nuże tedy, skoro wiemy, że raz umrzeć przyjdzie, czemuż nie używamy żywota", a słowa te działają od razu ożywczo na całe towarzystwo, które niebawem postanawia aż do ranka hulatykę przedłużyć, aby pełniej wyzyskać życie, na które czyha śmierć nieubłagana. Śmierć więc tutaj jest jakby kondymentem kuchennym, kordyałem, podniecającym do rozpusty; pojawia się ona ze swym uśmiechem szyderczym nad marnością i znikomością ludzkiego robactwa, pełzającego w błocie, i z nawoływaniem, aby się, póki czas, w tem błocie jeszcze głębiej zanurzyć. A uśmiech ten szyderczy idzie o lepsze z uśmiechem, pełnym ironii, autora, który zawisł nad całym obrazem.

III.

Od wybryków i wybuchów życia przechodzi to opowiadanie do zmory śmierci, od rysów karykatury i przesady do szczegółów prawdy najrzeczywistszej, od języka wykwintnego do gwary ulicznej, potrąca raz o stronę najwyższych zagadnień umysłowych i artystycznych, to znowu o stronę najpospolitszej niemoralności. Falujemy po tym bez-

[1]) Wyobrażenia takie śmierci się zachowały. Por. o tem Jahrbuch des deutschen archäol. Instituts IV, 1889, str. 106.

Digitized by Google

brzeżnym wrażeń oceanie, jak falują ludzie po życiu, którzy bussoli etycznej nie trzymają w swych rękach. Fakta idą po faktach, tłoczą się z gwałtownością i brutalnością ludzkiej namiętności. Jakiś niepokój panuje w dziele i udziela się wreszcie czytelnikowi. Bo porozrzucane artystyczne poglądy i uwagi nie starczą nam dla wypoczynku; do głosu dopuszczone tu tylko mózg i żądze, niema oddźwięku uczuć ani marzenia, a dusza potrzebuje przecie tych chwil świątecznych w życiu, tych kwiatów, któremi się zaścieła drogi przebyte i mai drogi przyszłości. Przeczytawszy też ułamki tej książki, tęskni człowiek za świeżem powiewem, bo za długo przebywał w powietrzu zatrutem, wśród ludzi bardzo nizkich instynktów, których najsubtelniejsze uwagi estetyczne nie okupią.

Tylko wielki sceptyk i pessymista mógł podobną rzecz napisać. Ale czyż my zdołamy twarz jego i nazwisko odsłonić? Flaubert powiedział kiedyś, że artysta tak postępować powinien, aby potomność mogła myśleć, że on nigdy nie istniał. Jest on więc za zupełną bezosobistością opowiadania. Ale to próżna ostatecznie illuzya i daremne żądanie. Indywidualność wybitniejsza autora, mimo chcianej i wymuszonej bierności, sączy w tysiącznych drobnostkach w wątek jego opowiadania, choćby on uwag żadnych nie robił, odbija się w samym wyborze zdarzeń i ich grupowaniu. I tutaj z tego szeregu lichych osobistości wnosić możemy, że wyprowadził je na scenę ktoś, co o ludzkości miał nizkie wyobrażenie, a nizkie również o cnocie; z ironii, którą całe to opowiadanie jest nasycone, że autor był człowiekiem wykwintniejszego smaku, lecz miał za dużo sceptycyzmu i za mało energii w duszy, aby życie za coś innego uważać, jak za wielką komedyę, w której ludzie cnotliwi są najlepszymi aktorami, a zarazem najprzewrotniejszymi. Wśród towarzystwa, które przedstawia w swej powieści, znalazłby się on niechętnie, bo go ono raziło brakiem smaku i stylu, a styl, i to styl wysoki, był u niego zasadą, od której zbaczać przedewszystkiem w zboczeniach nie wolno.

Rękopisy podają nam nazwisko autora, powieść w nich przypisana pewnemu Petroniuszowi, z przydomkiem Arbiter; ale zresztą nie podają o tym człowieku żadnej bliższej wiadomości. Ponieważ jednak dzieło nosi na sobie wyraźne znamiona Neronowskiej epoki, warto się obejrzeć w innych źródłach i szukać ludzi tego nazwiska, o których wspominają historycy. I tutaj nasuwa nam się jeden, i to człowiek, o bardzo wybitnym zakroju. Tacyt, opisując w 16-ej księdze Annałów ostatnie lata Nerona, zapisuje skrzętnie wszelkie ofiary jego gniewu i kaprysów, ofiary szlachetne i pospolitsze. Ta orgia krwi przybierała w latach 65 i 66 takie rozmiary, że Tacyta pióro wzdraga się prawie przed jej opisem. Wśród ludzi, którzy w r. 66 ściągnęli na siebie gniew

Digitized by Google

i rękę cesarza, wymienia on pewnego Petroniusza i taką nam podaje jego charakterystykę, rylcem mistrzowskim skreśloną.

www.libtool.com.cn

„Mąż ten dnie całe wśród snu przepędzał, noce na załatwianiu spraw i rozpuście; a jak innym zabiegliwość, tak jemu gnusność zapewniła sławę i uchodził nie za rozpustnika i rozrzutnika, jak wielu trwoniących swoją chudobę, lecz za człowieka wybrednego przepychu. A słowa i czyny jego, im więcej miały pozorów naturalnej swobody i pewnego niechcenia, tem chętniej kładziono na karb naiwnej prostoty. Jednak jako prokonsul Bitynii, a krótko potem konsul, okazał się tęgim i do służby zdolnym. Potem, zanurzywszy się w rozpuście, czy też że chciał za rozpustnika uchodzić, przyjętym został do szczupłego grona zaufanych Nerona, jako sędzia smaku, tak, że Neron tylko to uznawał za ponętne i rozkoszne, cokolwiek-by mu Petroniusz zalecił. Ztąd zrodziła się zazdrość u Tigellinusa względem rywala, w tajemnicach rozpusty bardziej biegłego. Zwrócił się on więc do okrucieństwa cesarza, któremu inne żądze ustępowały miejsca, zarzucając Petroniuszowi przyjaźń ze Scewinusem," który, jak od siebie dodaje, w poprzednim roku w tak zwane pizońskie sprzymierzenie był wplątanym. „Właśnie wtedy, opowiada dalej Tacyt, Nero udał się był do Kampanii, a Petroniusz, dojechawszy do Cumae, został tamże przytrzymanym; postanowił on tedy ani strachu, ani nadziei długo nie przewlekać. Życia jednak nie wygonił gwałtownie, lecz żyły przecięte dowolnie raz podwiązywać kazał, raz otwierać i przemawiał przytem do przyjaciół, bynajmniej jednak nie w poważnym nastroju, albo takim, którym-by pozyskał sławę nieugiętości. A wśród tego słuchał nie rozpraw o nieśmiertelności duszy lub myślach mędrców, lecz recytacyi lekkich wierszyków i igraszek poezyi. Z niewolników wymierzył jednym podarki, drugim razy. Potem zasiadł do uczty i zdrzemnął się, aby śmierć, choć wymuszona, była podobną do przypadkowej. I nawet testamentem, jak wielu ginących, nie pochlebił ani Neronowi, ani Tigellinusowi, ani komu innemu z potężnych; lecz występki cesarza, dołączywszy nazwiska chłopców i kobiet, i niezwykłość tych zbrodni opisał, a opieczętowawszy, przesłał Neronowi."

Tacyt z magistralnym spokojem, jak zwykle, opisuje tu dzieje tego życia i zgonu. A jednak śmierć ta należy do niesłychanych objawów tej dziwnej i dziwacznej epoki. Ta udana swoboda w progach ciemności i mar pozgonnych jest tryumfem estetyki, a nie filozofii, jest to zastosowanie kodeksu salonowej elegancyi do najcięższych i ostatnich chwil życia. Jak dawni Rzymianie godnością śmierć rozbrajali, tak ten potomek wielkich rodów chce ją ugłaskać wykwintnością w przyjęciu. I wobec wielkiej jej powagi i grozy występuje tu w szranki sarkazm, rzucający w bladą jej twarz wiązki rozwiązłych wierszów i piosnę-

Digitized by Google

czek, któremi karmiło się życie. Wielki estetyk na tronie, Nero, w kilka lat później nie umiał tak dalece zapanować nad trwogą śmiertelną, on, który w willi Faona, upadając na duchu, wołał z rozpaczą: „nie przystoi to Neronowi, nie przystoi.“ Ale mistrz jego w używaniu życia, Petroniusz, poprawniej odegrał ostatni akt dramatu czy farsy życiowej.

Jeden z wielkich panów i pisarzy francuskich epoki Ludwika XIV, St. Evremond [1]) nazwał śmierć Petroniusza „najpiękniejszym zgonem starożytności,“ a leccy autorowie XVIII wieku przyklasnęli temu sądowi; bo i wtedy równa żądza elegancyi kazała ludziom umierać ładnie, „*joliment*“, jak się d'Alembert o śmierci d'Argensona wyraził. W każdym razie była ta śmierć godnem uwieńczeniem całego żywota. Uchodzić w czasach Nerona za szczególnego rzeczoznawcę w rzeczach rozpusty było rzeczywiście niepomiernem odznaczeniem, szczególnego potrzeba było doświadczenia, żeby dorość stanowiska doradcy cesarza w tym zakresie. Wystawiamy sobie tego wielkiego pana, który nie chciał panować nad swemi namiętnościami, ale z wykwintnym smakiem umiał niemi kierować, jak podsuwał cesarzowi, który użył już wszystkiego i znużył się wszystkiem, myśli i plany podniecające jego ciekawość lub namiętność. Był to człowiek niewątpliwie górujący nad swem otoczeniem wykwintnością wykształcenia i smaku, natura była bogata jak mało, ale bujnym zdolnościom nie przewodniczyła żadna myśl wyższa, ani wyższe uczucie. Był on, według Tacyta, do wszystkiego zdolnym, do zabawy i urzędu zarazem, ale też wszystkiego zdolnym, jak podjęcia się roli, którą spełniał obok Nerona. W tych jego pozorach, kiedy załatwiał wszystko jakby od niechcenia, leżała myśl, że ostatecznie w życiu dla niczego rozgrzewać ani zapalać się nie należy, w tem przerzucaniu się dowolnem od pracy do rozpusty przekonanie, że wszystko na ziemi mniej więcej równo warte, albo nic nie warte, że więc kategoryi złego lub dobrego słupami granicznemi przegradzać nie potrzeba. Jest to pessymizm, który w teoryi tak wszystko lekceważy i nizko ocenia, że, aby wytrzymać to życie i przeżyć, najmiększe i najrozkoszniejsze ściele sobie posłania, pessymizm, który twierdzi, że świat jest tak zły, iż dobrem życiem wyświadczało-by mu się za wiele honoru, a ostatecznie topi te czarne myśli i weselsze żądze w rozpuście. Ale by rozkosz nie zrównała z motłochem i zwierzęciem, za to ręczą wielkopańskie upodobania i wykwintność, a w drugim rzędzie to znużenie, które ubiera w pozorny spokój twarzy, a broni od

[1]) Por. o jego podziwie dla Petroniusza Collignon, Pétrone au moyen age et dans la littérature française. Paris 1893, str. 32.

Digitized by Google

pospolitości w używaniu. Filozofia ta ma swoje dogmata i przykazania; patrzy ona pobłażliwie na wszelkie skazy duszy, byle-by człowiek togi swej przytem zbytecznie nie zwalał, i gardzi grzechem powszednim czy pospolitym, który, według jej pojęć, właśnie jest śmiertelnym.

Wśród spuścizny literackiej Petroniusza, o którym Tacyt mówi, wymienionym jest tylko pamflet na Nerona; o naszej powieści tam głucho. Ale utwór ten i postać Tacytowska tyle mają rysów pokrewnych, iż przypuszczenie, które je z sobą łączy, bardzo jest prawdopodobnem [1]). Ten sam indyfferentyzm moralny, a raczej zupełna bezmoralność wieje z tych kart, co z tamtej duszy, tak wielka znajomość występku, jaką wielki znawca rozpusty na Neronowskim dworze się odznaczał. Pozory naturalnej prostoty, za którą Petroniusz uganiał się w życiu, znaczą się w tej księdze nadzwyczaj swobodnym tonem opowiadania. Wierszyki ulotne i lekkie przeplatają tok jego, a w piosenkach lekkich i dwuznacznych lubował się dworak Nerona; jego życie nawet na piosenkach się skończyło. Przełożone jednak w powieści wszystko na niższe oktawy, których syczącym nutom towarzyszy uśmiech sędziego w rzeczach elegancyi: parweniusz, przedstawiony ze wszystkiemi wykroczeniami przeciw dobremu smakowi, które dla wykwintnego światowca musiały bywać w życiu najdotkliwszem cierpieniem.

Mamy więc w tym człowieku postać nie mniej ciekawą, jak romans, o którym mówiliśmy. Po tylu typach heroicznego męstwa lub cnoty, jakie nam dzieje rzymskie przedstawiają, występuje tu typ klasycznego zepsucia, kwiat wyhodowany w cieplarniach cywilizacyi, o woni, która odurzyć może i zatruć. Objaw to charakterystyczny dla Neronowskiej epoki; człowiek ten nie popada w jej orgie dzikie i brutalne, ale subtylizuje i rafinuje rozpustę, wierzy już tylko w estetykę i ma przekonanie, że ona wszystko odwonić i wszystko uświęcić potrafi. Na głos oburzenia i potępienia wobec grubego występku nie stać go już zupełnie; ma tu w odwodzie tylko uśmiech zdziwienia, uśmiech miękki i miękczący energie i dusze, podobny nieco do sceptycznego uśmiechu jednego z najbardziej wpływowych autorów schyłku naszego wieku. Igra on na znużonych twarzach, jak róże i głogi, oplatające ruiny świątyni, z której duch i bóstwo uleciały na zawsze.

Wobec tej ironii, którą się nie krzepi ani podnosi społeczeństw, zdobywała się sama starożytność na hartowne wyrazy. Wielki historyk cesarstwa, Tacyt, który tak po mistrzowsku kreślił upadek społeczeństw i dusz upodlenie, uchylił kilka razy zasłonę, zakrywającą pół-

---

[1]) Por. o tej kwestyi dzieło Collignon'a, Etude sur Pétrone, Paris, 1892 i moje uwagi, p. t. Petroniana, Lwów, 1894.

Digitized by Google

noc, aby świeżym powiewem, ztamtąd dolatującym, ocucać i budzić dusze swoich ziomków. Mówiąc o ludziach północnych, nadmienia on w jednem miejscu: nikt tam z występków się nie śmieje, a psucie siebie i drugich nie uchodzi za życia istotę. Ze słowem wielkiego autora dochodzi nas odgłos od tych drzemiących jeszcze, ale silnych i świeżych ras, rozbrzmiewa ta groźba, która zawisła nad starem społeczeństwem i ruchem nowych żywiołów i nowych wierzeń zmiażdżyła ostatecznie to, co zwiędło i do zagłady dojrzało.

KAZIMIERZ MORAWSKI.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

KRONIKA PARYSKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA

Rozbudzona dziś tak żywo pamięć pierwszego cesarstwa pociągnęła za sobą przypomnienie wielu osobistości, które w pierwszej połowie tego wieku świeciły wielkim blaskiem, a później poszły w zapomnienie. Do takich należy słynny niegdyś poeta, Beranger. Niedawno oto krytyk Brunetière z katedry sorbońskiej wyraził się o nim z lekceważeniem, odmawiając pieśniom jego wszelkiej wartości. Dotknięty do żywego akademik Legouvé wystąpił z konferencyą, przeznaczoną dla młodych profesorów, w celu sprostowania ich sądu. Przytaczamy w treści tę rozprawę poważnego nestora akademii.

„Nigdy, mówi on, nie wznoszono tylu co dziś posągów, nigdy też tyle ich nie rozwalano. Żaden zapewne poeta nie spadł tak nizko, jak Beranger, ze szczytu chwały, gdzie go pomieścili współcześni.

„Od r. 1820 do 1848 Beranger zajmował miejsce osobne w dziedzinie poezyi; wielbili go klasycy, romantycy przyklaskiwali mu gorąco, młodzież zachwycała się nim, lud umiał na pamięć jego pieśni. Sława poety coraz szersze przybierała rozmiary, a kiedy umarł w r. 1857, większym jeszcze zaświecił blaskiem. Mieniono go poetą narodowym. Przez kilka tygodni wszystkie dzienniki głosiły wiersze Berangera, powtarzały słowa przez niego wyrzeczone. Była to prawdziwa apoteoza.

Digitized by Google

„W pięć tygodni potem ukazał się w druku ostatni tom niewydanych jeszcze utworów. Pomiędzy innemi było ośm pieśni, poświęconych Napoleonowi I. Wówczas-to nastąpił gwałtowny zwrot opinii publicznej. Cała prasa republikańska obróciła się przeciw poecie. W gloryfikacyi pierwszego cesarstwa widziano tylko chęć schlebiania drugiemu. Naprożno przyjaciele poety powtarzali, że te pieśni miały z górą lat dziesięć, że Beranger nie ogłaszał ich wcale; nie, to nie pomyłka; Napoleon I sławiony za Napoleona III; dość było aby go potępić! Pelletan rzucał się na Berangera z całą zażartością, nazwał go fałszywym republikaninem, fałszywym poetą, obłudnikiem... Królewszczyki, nieprzyjaźni zawsze Berangerowi, rzucali pociski ze swej strony; przyszła kolej na filozofów. Renan, obrońca wszelkiej arystokracyi, z pogardą patrzył na tę mieszczańską poezyę; chłostał ją uszczypliwym sarkazmem. Sława śpiewaka nie mogła wytrwać pod tylu pociskami. Nikt nie śmiał go cytować, ani wystąpić w jego obronie; nikt go nie czytał. Młodzież zraziła się ku niemu; przyszło nakoniec do tego, że tak znakomity krytyk i profesor, jak Brunetière, przedstawiając w Sorbonie obraz poezyi lirycznej dziewiętnastego wieku, wyłącza z niej zupełnie Berangera. „Nie będę mówił o nim, rzekł stanowczo, gdyż on wcale nie był poetą, czasem tylko dołączył kilka rymów do swojej prozy."

Legouvé zaprzecza temu silnie. „Całe pokolenie, mówi on, nie mogło się mylić, zowiąc Berangera poetą narodowym. Czytał w głębi serca narodu, cierpiał z nim, stał się wyrazem jego uczuć i jego myśli."

Tu prelegent przypomina pierwsze czasy restauracyi. Ogół, dumny z odniesionych tryumfów, czuł gorzko hańbę upokorzenia swego. Sama nazwa Waterloo doprowadzała go do rozpaczy, budziła wściekłość w sercach. Kiedy oto zabójca księcia Berry, Louvel, stanął przed sądem przysięgłych, prezydent zapytał go, co go mogło pobudzić do tak haniebnej zbrodni. Louvel spuścił głowę, odrzekł stłumionym głosem: „Słyszałem działa grzmiące pod Waterloo". I ogół, mimo całej grozy przeciwko zbrodniarzowi, czuł się niejako rozbrojonym, bo i on czuł odgłos dział z pod Waterloo; „A gdzież, pyta Legouvé, działa te silniej odgrzmiewały, jak w pieśni Berangera.

„A teraz, mówi on, przejdźmy do tryumfów. Można nienawidzieć Napoleona, można przeklinać jego pamięć, ale nikt nie zaprzeczy, że jego zwycięstwa były tryumfem naszym, że on podniósł chwałę narodu i przekazał ją potomności. Stąd zajął wielkie miejsce w poezyi lirycznej dziewiętnastego wieku. Niepodobna mówić o niej, a nie wspominać jego imienia. Dzięki Napoleonowi, historya Francyi przez lat piętnaście stała się bohaterskim poematem; zelektryzował on geniusz wszystkich poetów, którzy go opiewali. Dość tu przypomnieć odę do kolumny

Digitized by Google

Vendôme Wiktora Hugo, Beranger poszedł w ślad za innymi. Poemaciki jego: *Stary sztandar*, *Stary sierżant*, *Stary kapral*, *Piąty maj*, że pominiemy tyle innych, stawiają go w rzędzie słynnych koryfeuszów czasu swego; ale pozostały po nim inne pieśni, oryginalniejsze i bardziej osobiste; w tych odrębne należy mu się miejsce. Są to *Wspomnienia ludu*.

Zobaczmy oto: scena odbywa się pod wiejską strzechą. Wieśniacy wyciągają starą babkę na słowo.

„Mów nam o nim, babuleńko, mów nam o nim"!

Ona opowiada, jak dawno, przed laty, mijał tę wioskę, a królowie z nim byli; aby ich zobaczyć, wdrapała się na wzgórek. Miał na głowie mały kapelusik; a na sobie szarą kapotę... Zmieszała się, on ją powitał.

— On mówił do ciebie, babuleńko, on mówił do ciebie?—pytał lud zaciekawiony.

Minęły lata... po tryumfie nastąpiły klęski. Babka opowiada, jak razu jednego, w noc burzliwą, drzwi otwierają się i ktoś wchodzi... to on!... Siada na ławie strudzony, w tem oto miejscu, i woła: „Cóż to za straszna wojna!"

„On z tobą siedział, babuleńko, on z tobą siedział!"

— „Jam głodny", wyrzecze; zrywam się co tchu, przynoszę kromkę czarnego chleba. On suszy odzież przy ognisku, a potem sen go zmorzył. Gdy się obudził, spostrzegł, żem płakała. „Miejmy nadzieję, rzecze, idę pod Paryż, tam pomszczę krzywdy Francyi."

I odszedł, zostawił szklankę swoją.

„Masz-że ją, babuleńku, masz-że ją jeszcze?"

— Oto jest, patrzcie dzieci!

Wszystko tu drga, rusza się, wszystko żyje. I Wiktor Hugo w *Pieśniach wschodnich* (Orientales), ukazuje nam cesarza u stóp egipskich piramid, na polach Marenga, na wyspach Elby i Ś-tej Heleny; Beranger ukazuje go pod dachem ubogiej chatki, w sercu kilku wieśniaków, a przecież on zawsze wielki, tu silniej działa na wyobraźnię prostaczka, tu pamięć o nim głębiej zarysowana. Historya podziwia bohatera i wielu zachwyca się jego chwałą; ale świat zapomina, historya sądzi, lud tymczasem pamięta, nie wydaje sądu. On przebacza winy, zapomina krzywd własnych, a kiedy babka mówi, że cesarz umarł, lud płacze, woła ze łzami:

„Błogosław cię Boże. babuleńko,
Błogosław cię Boże"!

Legouvé pokazuje Berangera, jako prawdziwie ludowego poetę i tu podnosi jego oryginalność. „Przez dwa ostatnie wieki, mówi on, poezya liryczna miała wyłącznie arystokratyczny charakter. Od Ronsarda i Andrzeja Chenier, do Lamartine'a, opiewała tylko namiętne po-

Digitized by Google

rywy, marzenia, boleści, walki wybranych tego świata. Poezya nowoczesna tem może się pochlubić, że powołała do siebie to wszystko, co cierpi, co pracuje, co się trudzi. Geniusz skąpał się i odrodził w żywym zdroju miłosierdzia. I któż otworzył tę nową drogę? Kto pierwszy wyciągnął na ulicę odę i elegię? ktc je wprowadził do warsztatu rzemieślnika, na ubogie poddasze, za próg ubogiej chaty? Beranger! Sama data poświadcza to wymownie. Ostatni zbiór, wydany pod jego okiem, w 1833 roku, obejmuje ośm pieśni, treści zupełnie nowej. *Jakób*, *Joanna*, *Ruda dziewczyna*, *Włóczęga*, *Przemytcarz*, *Uboga kobieta:* oto pierwszy wstęp biedaków i wyrobników w dziedzinę wzniosłej poezyi. Inni poszli za nim, lecz nikt go nie prześcignął; on pierwszy utorował drogę, nie ustąpił przed nikim, bo stał na własnym gruncie. Inni poeci opiewali lud, lecz nie należeli do niego. Beranger był kością z jego kości; wyszedł on z ludu i nigdy nie zerwał z nim stosunków.

„Widziałem go kilkakrotnie, dodaje Legouvé, przy ulicy Temple, w skromnej izdebce, jak odziany szaraczkową opończą, siedział za stolikiem przy żelaznym piecyku; jadł śniadanie z kilku robotnikami w bluzach i jakąś wyrobnicą w sutym okrągłym czepcu.

Jakkolwiek zapraszano go do wielkich domów, nie lubił życia światowego. „Wszystko to fałszywe, mawiał, wszystko, nawet głos ludzki". Inaczej mu było wpośród ubogich robotników; w ich duszy więcej widział szczerości, więcej siły męskiej, więcej prawdziwej poezyi. To też opiewa ich troski z całą prawdą, umie przemawiać za nich. Nic rzewniejszego, jak pieśń o biednym Kubie.

W ubogiej chacie, spracowany rolnik śpi na garści barłogu. Słońce już wzeszło, on nie otworzył powiek. W tem ktoś kołace do drzwi; poborca domaga się podatku. Żona budzi śpiącego męża—cóż to? on taki blady?

Napróżno woła, on się nie ruszy,
Powieki nie drgną zwarte ołowiem.
Wstańże mój Kubo!... ah! on bez duszy!
Śmierć dla biedaka słodkiem wezgłowiem.

W innej pieśni ukazuje nędzarza, skazanego na wiekuistą tułaczkę, bo odmówił kubka wody Chrystusowi wleczonemu na Golgotę.

Straszny obraz tego człowieka, bez tchu, bez siły, pędzonego gdzieś w nieskończoność! Na domiar kary nieszczęśliwy ma serce. Próżno wyciąga rękę, by uścisnąć dłoń bratnią... Wicher pędzi go dalej a dalej! Spotyka gromadkę dzieci, przypomina sobie własną dziatwę, nie ma czasu spojrzeć im w oczy. Widzi dach rodzinnego domu... gdybyż tu spocząć chwilę!... Niepodobna! Szalony prąd unosi go daleko, ściany domu usuwają się przed nim.

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

Ukazawszy poetę, Legouvé daje poznać człowieka. Beranger, mówi on, nie pragnął niczego, nie chciał wiązać się niczem. Rok 1830 otworzył mu drogę do wielkich zaszczytów... on nie przyjął żadnego. Wbrew własnej woli mianowany deputowanym, w pół roku złożył mandat. Kilkakrotnie ofiarowano mu krzesło akademickie: „Boże mnie strzeż od takiej godności", odpowiadał. „A to czemu". „Czemu? bo znam siebie dobrze: gdybym został akademikiem, musiałbym uczęszczać na posiedzenia, zasiadać w komitecie, toby mnie zanudziło!"

Mimo, że Beranger nie stawiał się nigdy na świeczniku, dodaje Legouvé, był to jeden z ludzi najwięcej wpływowych swego czasu. Ludzie genialni, jak Chateaubriand, Lamartine, Lamenais, związani z nim przyjaźnią, zasięgali częstokroć jego rady. Lamartine powierzał mu swoje widoki finansowe, Chateaubriand rozwodził przed nim wieczne skargi, Lamenais wynurzał niepokój dręczący mu sumienie.

— „Pozostań księdzem!—powtarzał mu Beranger bez ustanku,— inaczej przepadnie cześć twoja. Jeżeli opuścisz kościół, staniesz się poprostu dezerterem". Lamenais nieszczęściem nie posłuchał dobrej rady. Ten wpływ na umysły przypisuje Legouvé przedewszystkiem zupełnej bezinteresowności. „Pióro Berangera, mówi on, mogło obsypać go złotem, ale poeta mało ważył materyalne korzyści. Nie chciał puszczać sztuki na handel. Przyjął od wydawcy swego siedm tysięcy dożywotniej pensyi i nie pragnął nic więcej. Z tych szczupłych dochodów chętnie drugim udzielał pomocy. Pełen miłosierdzia, obiegał ministerya bez względu na skwar lub słotę, aby wyjednać dla kogoś miejsce lub zasiłek pieniężny. Gdy nie mógł inaczej. wspierał radą i dobrem słowem. To słowo, z miłością posiane, kiełkowało w sercu i bujny wydawało owoc.

„Szczery i otwarty, nie pochlebiał nikomu. Wielbił geniusz Lamartine'a i Wiktora Hugo, a jednak ostrym był dla nich sędzią, mówił im prawdę bez ogródki. Dla młodych literatów miał ojcowskie uczucia, odczytywał foliały, jakie mu nadsyłali; udzielał rad, rozbudzał w nich odwagę.

„Pamięć takiego człowieka nie powinna zaginąć w narodzie, słusznie dodaje Legouvé. Stanąć w jej obronie, uważam za święty obowiązek. Aby go uczcić godnie, wypada zbudować mu pomnik, nie z kamienia ani ze spiżu, ale z materyałów przez niego samego dostarczonych. Potrzeba wydać tomik złożony z dwustu stronic. W pierwszej części zamieścić ze trzydzieści pieśni, wartości niezaprzeczonej,—nazwałbym to Berangerem szkolnym; druga część powinna objąć krótki życiorys, zebrany z jego listów i wspomnień dorywczo nakreślonych. Byłby to Beranger przez siebie odmalowany, obraz jednej z najoryginalniejszych postaci tego wieku.

Digitized by Google

„Skromne były życzenia popularnego piewcy,"—mówi w końcu Legouvé, i przypomina, jak dnia jednego, przechadzając się z nim po lasku bulońskim, wyliczał jego zasługi. Beranger zatrzymał się chwilę, wziął go za rękę i rzekł: „Czy wiesz, czem ogranicza się moja duma? Niechaj-by zostało po mnie sto wierszy w pamięci potomnych. Rad poprzestanę na tem."

www.libtool.com.cn

Pozostanie ich więcej, wbrew uczonym krytykom. Konferencya Legouvego przyczyni się niewątpliwie do przypomnienia narodowi zapomnianej postaci Berangera.

W ciągu ubiegłych trzech miesięcy sprawy akademickie żywo rozbudziły ruch umysłowy w Paryżu. Uczone grono przyjmowało raz po raz uroczyście dwóch nowych członków: pana Chalemel Lacour w miejsce Renana, krytyka Brunetière'a, w zastępstwie innego krytyka, Johna Lemoine. Nie dość na tem: z pomiędzy przedstawiających się kandydatów na krzeszło wakujące wybrany został poeta, José Heredia, autor wytwornych sonetów. Napróżno Emil Zola kołatał w podwoje akademickie, pozyskał jedenaście głosów, lecz musiał ustąpić wobec szczęśliwego współzawodnika; nie dał przecież za wygraną, gotów przedstawić się przy nowych wyborach, pewien ostatecznego tryumfu. Wybory te nastąpią niebawem. Taine nie ma jeszcze następcy, a tu już zawakowało nowe miejsce przez śmierć Maksyma Ducamp. Ten świeżo zmarły akademik zostawił po sobie wielką próżnię w gronie czterdziestu kolegów, był to bowiem niezmordowany pracownik.

Akademia, jak każde ciało naukowe, składa się z członków dwojakiego rodzaju: z tak zwanych koników polnych i pracowitych mrówek. Podczas gdy jedni, jak Sully Prudhomme i Lecomte de Lille, dadzą niekiedy słyszeć jakieś dźwięki, dostępne tylko wybranym, na cześć budyjskiej Nirwany, inni krzątają się pilnie, istne mrówki w mrowisku. Ci pracują za wszystkich, na ich głowie spoczywają konkursa literackie i wyszukiwanie kandydatów do nagród za piękne i budujące czyny. Wśród tych pierwsze miejsce zajmował Maksym Du Camp.

Znał on dokładnie Paryż, którego *organa żywotne* opisał w pięciu tomach; znał wszystkie dobroczynne instytucye i towarzystwa — poświęcił im osobny tom znakomitej pracy (*La charité privée à Paris*); nikt też lepiej od niego nie wiedział, gdzie szukać tych maleńkich z wielkiem sercem, dla których Monthyon, a za nim inni ufundowali doroczne nagrody. Wymowni oratorowie wysławiali na zebraniach te czyny nieznanych światu bohaterów, ale sam tylko Maksym Du Camp

Digitized by Google

umiał ich wydobywać z ukrycia. Jego śmierć da się dotkliwie uczuć akademii.

Przejdźmy teraz do ostatniej uroczystości w pałacu Mazaryniego, kiedy Brunetière zajmował miejsce w rzeczonem zgromadzeniu. Przyjmował go hrabia Haussonville. Jeśli wielu słuchaczom nie dosyć była znaną przeszłość Brunetière'a i drogi, jakiemi głośny krytyk, dzięki wytrwałej pracy, doszedł najwyższych zaszczytów w świecie naukowym, p. Haussonville zapoznał ich z tem najdokładniej. Powtarzamy za nim ten krótki psychiczny zarys, świadczący, do czego człowiek przyjść może siłą niezłomnej woli.

Brunetière, najmłodszy z grona akademików, przyszedł na świat w Tuluzie 1849 roku. Dziecinne lata spędził pod słońcem południowem, szkoły odbył w Marsylii. Wcześnie rozmiłowany w naukach i sztuce, postanowił pracować i wyrobić sobie imię na tem polu. Przybył więc do Paryża, mając lat ośmnaście;—pozbawiony wszelkiego poparcia, liczył na własne siły. Tu rozpoczął przygotowania do szkoły normalnej, lecz te nie przyniosły owocu. Umysł młodziana, rozproszony na mnóstwo przedmiotów, niepodległy, nie mógł znieść żadnych karbów. Uczył się pilnie, ale nie tego, co objęte było programatem szkolnym; nie przeszedł egzaminu. Uczęszczał za to na wykład estetyki Taine'a, spędzał długie godziny w galeryach Luwru, badał pochodzenie języków na kursie lingwistycznym Bournoufa.

Widowiska teatralne porywały młody umysł, zachwycał go szczególniej repertuar klasyczny. Pozbawiony dostatecznych zasobów na stalle w *komedyi francuskiej*, wynalazł na to sposób: zaciągnął się do płatnych klakierów, aby poznać do gruntu Rasyna i Moliera. Otwarta właśnie w tych czasach wystawa powszechna rozemknęła przed nim świat nowy, o jakim bynajmniej nie marzył.

Jakkolwiek dla krótkiego wzroku uwolniony od wojska, nie korzystał jednak z przywileju. Na odgłos pobudki bojowej, zaciągnął się do pułku piechoty. Przez czas oblężenia, z tornistrem na plecach, brnął po błocie wkoło okopów. Po skończonej wojnie, praca na chleb stała się koniecznością. Młodzian opuścił Paryż; w jednem z prowincyonalnych miast pracował w biurze notaryusza.. Ta praca zanudzała go na śmierć; nie wiele myśląc, powrócił do Paryża. Całym jego skarbem było 75 franków i zegarek srebrny w kieszeni. Z tem co już umiał, mógł pisać artykuły w podrzędniejszych dziennikach; zrozumiał jednak, że ta szermierka piórem, jeżeli wystarczy na codzienne potrzeby, nie doprowadzi do niczego. Czuł, że chcąc pisać, trzeba naprzód umieć coś dokładnie, a do tego najpewniej przyjść można, nauczając drugich. Został więc korepetytorem w jednym z małych pensyonatów, gdzie liczna młodzież przysposabiała się do egzaminów na stopnie naukowe. Da-

Digitized by Google

wał lekcye rozmaitych przedmiotów: łaciny, greczyzny, historyi, nowożytnych języków, angielskiego i niemieckiego, a nawet matematyki i chemii. W poranku uczył się sam tego, co miał wieczorem wykładać, ale czego się raz nauczył, to mu na zawsze pozostało. Tak przetrwał lat pięć w niezmordowanej pracy. Gromadził cierpliwie oręż, aby wystąpić godnie na polu zapasów, gdy wybije godzina. Jakoż ta godzina uderzyła: szczęście sprzyja zazwyczaj śmiałym. Uzyskał wstęp do *Przeglądu dwóch światów*, to mu zapewniło stanowisko na przyszłość. Wkrótce potem otrzymał katedrę w szkole normalnej, która go niegdyś odrzuciła.

W r. 1875, Brunetière wystąpił po raz pierwszy z krytyką realistycznych powieści. Z całą siłą przekonania wypowiedział zdanie swoje o koryfeuszach nowej szkoły; nie żałował chłosty najpopularniejszym nowatorom. Stąd powstała zacięta walka. Brunetière wyszedł z niej zwycięsko. Nie wybiegając nigdy po-za obręb krytyki literackiej, ogłaszał studya o pisarzach z rozmaitych epok, przebiegając od Rabelais'go do Georges Sanda, od Kartezyusza do Beaudelair'a, ogarniając zarówno teatr, jak i wszystkie działy literatury. Artykuły dziennikarskie zamieniły się w tomy; — przez lat ośmnaście liczba ich rosła bezustanku. Dość tu przytoczyć: *Studya krytyczne* w pięciu tomach, trzymowe dzieło *Historya i literatura*, dwutomowe *Zagadnienie krytyki*, tom jeden *Zarysów literatury współczesnej*, tom *o powieściach naturalistycznych*, tom *o teatrze*, dwa tomy *o poezyi lirycznej*. Dodajmy tu jeszcze liczne rozprawy rozrzucone po pismach.

Hr. Haussonville z poszanowaniem mówi o niezmordowanej działalności Brunetière'a, ocenia jego wytrwałość i odwagę, z jaką walczy, nie ustępując na krok od zasad raz przyjętych. W końcu podnosi niepospolity dar wymowy, jaki rozwinął w konferencyach zeszłorocznych *o poezyi lirycznej*, i w tegorocznych *o Bossuecie*.

Co do ogólnego poglądu na krytykę, Haussonville czyni niejakie zastrzeżenia. Niepodległość i ścisłość zasad w krytyce, mówi on, nie mogą panu wystarczyć, chciałbyś podnieść ją do najsubtelniejszych objawów umysłu ludzkiego. Rzuciwszy wzrokiem dokoła, widzisz wielką liczbę nauk, zrodzonych i rozwijających się w epoce naszej, jak nauki ekonomiczne, społeczne, pedagogiczne, i zapytujesz, dlaczego-by krytyka nie miała stać się również nauką? Ztąd przychodzisz do klasyfikacyi, jeśli nie rozumów ludzkich, to przynajmniej utworów literackich. Spostrzegłeś między rodzajami zwierząt a rodzajami literatury widoczną analogię. Tak jest w przyrodzie: rodzaje przemieniają się, rodzą, żyją i znikają według koniecznych praw, z których najważniejszem walka o byt; tak samo w literaturze, zdaniem twojem, rodzaj tworzy się ze szczątków innych poprzednich rodzajów, przychodzi do do-

www.libool.com.cn
Digitized by Google

skonałości i znika, według praw dotąd nieznanych, które potrzeba odkryć. Pracujesz pan nad tem od lat kilku. Dałeś nam już ewolucyę krytyki, ewolucyę teatru, ewolucyę poezyi lirycznej, słowem: usiłujesz poddać literaturę pod prawa nauk ścisłych. Wpływy zewnętrzne mogą oddziaływać na rodzaje literatury, lecz w tych wpływach niema fatalizmu, gdyż są one wynikiem wolnej woli człowieka. O! przez litość, nie poświęcajmy jednostki, dodaje Haussonville, strzeżmy ją przeciwnie od grożących jej niebezpieczeństw, uchrońmy ją od filozoficznej doktryny, która-by wzięła za cel pokazać jej działalność, jako niezależną od woli; uchrońmy ją w literaturze od upadku, do jakiego doprowadziła-by ją teorya, uznająca jednostkę za igraszkę fatalizmu, nieodpowiadającą za czyny własne. Przywróćmy jej godność istoty niepodległej, wystawionej na walki i obce wpływy, ale obdarzonej wolną wolą, odpowiedzialną tylko przed Bogiem.

Uwaga najsłuszniejsza, zdaje nam się tylko, że p. Haussonville doprowadza wyniki Brunetière'a do ostatecznych krańców, przechodzących zakres jego teoryi. Gdyby Brunetière widział konieczną ewolucyę w prądach panujących w literaturze, byłże-by napisał cały tom przeciw Zoli, przewódcy szkoły naturalistycznej. Gdyby zaprzeczał indywidualizmu poecie, czyżby tak silnie uderzał na teoryę *sztuka dla sztuki*, czyżby głosił, że nie wolno poecie gonić wyłącznie za piękną formą i świetnym kolorytem, ale powinien mieć wytknięty cel, działający dodatnio na umysł czytelnika.

Mowę p. Haussonville'a poprzedziło przemówienie nowego akademika; sam początek bardzo oryginalny. „Pragnę być szczerym, rzekł, przez szacunek dla grona waszego; nie będę się też dziwił, że jestem między wami, ponieważ nie byłbym tu, gdybym sam o to nie prosił; nie będę utyskiwał na moją małą zasługę, bo mógłbym was obrazić, naganiając wasz wybór; poprzestanę więc na wyrażeniu wdzięczności za wielki zaszczyt, jaki czyni mi uczone grono, przyjmując mnie do siebie".

Po tym wstępie, Brunetière silnie nastaje na potrzebę poszanowania tradycyi. „Od lat dwudziestu, rzecze, jak otrzymałem gościnne miejsce w „Przeglądzie dwóch światów", od dziesięciu lat, jak wykładam literaturę w szkole normalnej, — czy to jako profesor, czy jako krytyk, tak piórem, jak słowem — usiłuję wzmocnić tradycyę, ugruntować jej prawa; wobec gwałtownego napadu nowatorstwa pokazać, ile pod jej pozornemi zmarszczkami ukrywa się wiecznej młodości. Błąd to wielki twierdzić, — a wasze grono wymownym tego dowodem, — jakoby poszanowanie i miłość przeszłości miały wyłączać żywe zajęcie się chwilą obecną i ciekawy pogląd na przyszłość. Nie jest-że to barbarzyńskiem zuchwalstwem sądzić, że życie tak krótkie powinno się datować od nas samych. Nasi umarli należą także do rodziny naszej, ich

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

krew płynie nam w żyłach; każde drgnienie piersi naszej pochodzi od nich, i dlatego-to sam postęp nie podobny dla nas, jeśli nie wsparty na tradycyi. Bez niej, po-za jej obrębem, musielibyśmy budować w powietrzu jakieś idealne gmachy, kłamliwe, wymuszone, gotowe rozwiać się za lada podmuchem. Przeszłość nie jest tylko poezyą dla chwili obecnej; jest też jej życiem samem. I dlatego-to, we wszystkich czasach, powinnością naszą względem tych, którzy nastąpią po nas, przekazać im, pomnożone jeśli można, a przynajmniej nietknięte dziedzictwo, jakie przypadło nam po ojcach naszych. Gdybym nie wiedział o tem, od was nauczyłbym się tej prawdy, a jeżeli kiedykolwiek zaczynałem powątpiewać o niej, w was znalazłem wsparcie i siłę."

Przechodzi następnie nowy akademik do poprzednika, po którym zajął krzesło. Był nim John Lemoine, jeden z koryfeuszów prasy, przez lat dwadzieścia główny filar Debatów. Tu mówca mimochodem potrąca o dziennikarstwo. „Mamże, zapytuje, pokazać niesłychany wzrost tej potęgi? dosyć zaprawdę dziennikarze sami palili już sobie kadzideł w roku ubiegłym, przy pomniku protoplasty swego, Rénaudot'a. Nie potrzebują moich pochwał; może-bym ich zresztą źle chwalił. Prasa wiele uczyniła i czyni codzień dobrego; powiem o niej, co Ezop mówił o języku: to rzecz najlepsza w świecie, to węzeł życia cywilnego, klucz nauki, organ prawdy i rozumu. Przez niego budują miasta, uczą je, cywilizują! Więcej dodam jeszcze: on niepokoi samolubstwo, chłoszcze niesprawiedliwość, przypomina obowiązek solidarności. Ale jeżeli mam być szczerym, dodam z bajkopisarzem: język jest również ojcem zaciętych sporów, źródłem niezgody, poswarów, wojen. O ile jest organem prawdy, o tyle też organem jest błędów, a co gorsza, potwarzy. On rozwala miasta, szerzy zepsucie, rozsiewa zarazę. Nasi dziennikarze przebaczą mi, jeśli przypomnę z żalem, ile-to oni codzień marnotrawią werwy, rozumu i talentu; ile-to pożerają co rok poetów, autorów dramatycznych, zdolnych powieściopisarzy! Przebaczą mi to, bo sami szukają w tem chluby! Inaczej było-by, gdybym chciał wykazać, jak niesłusznie przyznają sobie tytuł reprezentantów potęgi umysłowej. Wszelkie ideje, jakiemi karmi się inteligencya współczesna, pochodzą od myślicieli, począwszy od Kanta do Claude-Bernarda i Pasteura. Prasa szydziła czasami z ich teoryi, ale nie przyczyniła się w niczem do ich rozwoju. A gdybym też powiedział, że wszystkie połączone organa prasy, wszystkie jej siły zespolone razem, jeśli mogą obalić ministeryum, nie zdolne są zatrzymać tłumów, gdy te, pędzone bezmyślnym prądem, porzucają poważny teatr, aby słuchać skandalicznych śpiewek po kawiarniach? Gdybym to śmiał powiedzieć, miałże-bym dopiero za swoje!"

Digitized by Google

Brunetière nie poprzestaje na tem, uderza silnie na prasę dzisiejszą, wypowiada śmiało, że ta za czasów Johna Lemoine nie była tem, czem jest dzisiaj. Wtedy, aby zostać dziennikarzem, potrzeba było nauki i długich przygotowań. Poważne pisma, jak Debata i National, wymagały od współpracowników swoich znajomości historyi, jednego lub dwóch języków zagranicznych, oswojenia się z polityką europejską i obszernych wiadomości literackich. Improwizacya nie była wówczas dostateczna; wszyscy nie pisali o wszystkiem, brzękiem dźwięcznych słów nie pokrywano ogólnego nieuctwa. John Lemoine, urodzony w Anglii, znał doskonale tamtejszy język i tamtejszą politykę, pełnił więc w Debatach obowiązki angielskiego korespondenta, podczas, gdy Jakób Ampère, Ksawery Marmier, Filaret Chasles, wykładali w tymże dzienniku zagraniczne literatury, znane im najdokładniej.

www.libook.com.cn

Improwizacyi dziennikarskiej przypisuje Brunetière skażenie języka francuskiego, szerzące się do zatrważających rozmiarów. Stąd pochodzą owe neologizmy, niesmaczne metafory, tak dziś upowszechnione, ów *żargon* nowatorski (modernizm), który od dzienników przeszedł do trybuny parlamentarnej, do kratek, do teatru, do powieści, a nawet do poezyi! Brunetière powstaje z oburzeniem przeciw temu skażeniu. „Cóż wy na to, woła on, duchy Rasyna, Lamartine'a, Wiktora Hugo! cóż wy powiecie na te wiersze bez miary, bez węzłów (invertebrés), jakiemi zachwyca się dzisiejsza młodzież? Nad tymi poetami i literatami nowej szkoły, którzy sami tylko rozumieją się między sobą, prasa ma przynajmniej tę przewagę, że musi pisać jasno, w sposób zrozumiały dla wszystkich!

Tu nowy akademik nastaje ostro na skażony smak dzisiejszej publiczności, żądającej wyłącznie informacyi. „Fakta i tylko fakta! wiadomości pobieżne o teatrze, o sprawach trybunalskich i giełdowych, to jedynie zajmuje ogół; wszystko to żadnego nie ma związku z literaturą! Inaczej było dawniej, zaczem zrodziło się *reporterstwo* dziennikarskie, takiej dziś używające wziętości! Opis mebli lub obiadu Wiktora Hugo nie należał wtedy do sprawozdania z Burgrafów. Dziś zupełnie inaczej: nikt oprócz kilku pedantów nie pyta o wartość Jocelyn'a, Indyany i Rolli,—są to rzeczy podrzędne dla czytelników Lamartine'a, George Sanda, Musseta; idzie im tylko o to, ile osobistych miłostek poeta wyśpiewał w wierszach swoich, ile tajemnic życia wysnuł w powieściowych utworach. Dziwactwa, manie, śmieszności Georges Sanda i Musseta są dla ogółu wyłącznym przedmiotem zajęcia. Całe nowe pokolenie wzrosło pod wpływem gorączkowej ciekawości, a obojętne jest całkiem dla wszelkiej wyższej idei; prasa czyni zadość tym niedyskretnym zachciankom.

Digitized by Google

Przechodzi następnie Brunetière do poprzednika swego, Johna Lemoine, jednego z najpoważniejszych przedstawicieli prasy, gdy ta nie przestała być jeszcze literacką. Zakochany w języku swoim, utyskiwał on gorzko, że minęły czasy, kiedy dwaj ludzie odmiennych narodowości, spotkawszy się, mówili z sobą po francusku; żalił się, że, wobec rozpowszechnionej w świecie angielszczyzny, francuski język postradał dawne panowanie, dawny majestat, tak w żywem słowie, jak i w literaturze.

Tej obawy nie dzieli Brunetière, zaprzecza silnie temu, aby liczba jednostek używających danego języka miała mu zapewnić pierwszeństwo nad innemi. Literacki los każdego języka, mówi on, szczególniej zaś naszego, nie zależy od liczby mówiących nim osób, szczególniej gdy go nielitościwie kaleczą: los jego zależy, jak od wieków zależał, jak w przyszłości zależeć będzie, od liczby, od natury i wartości prawd, jakie przeleli w niego wielcy pisarze. Inne języki mogą inne posiadać zalety. Angielski i hiszpański, oba szeroko upowszechnione na dwu półkulach świata; chińskim przemawiają setki milionów ludzi: ale od czterech wieków z górą, jeśli wielcy pisarze nasi uczynili język francuski najlogiczniejszym, najjaśniejszym, najprzezroczystszym ze wszystkich, jakiemi kiedykolwiek mówiono, jeśli dostroili go do formy, z której nic ująć nie podobna, jeśli pisali nim, nietylko dla siebie i dla współczesnych ziomków, lecz dla ludzkości całej, nie lękajmy się, aby taki język zaginął. Może inny zastąpić go w handlu, przemyśle i giełdowych sprawach, ale nigdy w zamianie i rozszerzaniu idei. Dopóty ludzie nie przestaną uczyć się mowy francuskiej, dopóki zachowają poczucie wspólnego celu, ciemnego i dalekiego jeszcze, dla którego społem pracują. Kornel, a nie kto inny, stworzył prawdziwego Rodryga Cyda, Rasyn stworzył prawdziwą Fedrę; a ktokolwiek zechce ogarnąć wzrokiem dzieje ludzkości, musi zwrócić się ku nam, szukać jej w *Rozprawie o historyi powszechnej* Bossueta, w *Duchu praw* Monteskiusza!

A przecież Brunetière ma niejaką obawę. Gdyby, mówi on, pisarze nasi, zapaleni do nowatorstwa, chcieli zerwać całkowicie z czterowiekową tradycyą, uświęconą tylu arcydziełami, gdyby w pismach swoich mniej myśleli o sprawach ludzkości, aniżeli o sobie, gdyby szli raczej za poszeptem miłości własnej, niźli za głosem prawdy, gdyby chcieli uganiać się bądź co bądź za wątpliwą oryginalnością, której w języku francuskim inaczej dosięgnąć nie można, jak chyba kosztem jasności; wyznać muszę, że w takim razie moglibyśmy utracić naszą starą przewagę, że mówiąc na sposób niemiecki językiem Rasyna, Chateaubriand'a, Lamartine'a; narazilibyśmy zarazem nasz wpływ i działalność geniuszu francuskiego w świecie. Czy pragnie tego młodzież nasza?

Digitized by Google

czy wie, jak drogo przypłacić-by trzeba tę nieszczęsną pogardę przeszłości?

Mimo tak smutnego kierunku nowatorów, Brunetière nie traci otuchy, że język francuski wypłynie z trzęsawiska, w jakiem zanurzyła go szkoła Zoli. Tę otuchę budzi w nim akademia. Przytacza słowa kardynała Richelieu, zapisane w akcie fundacyi: „obowiązkiem ustanowionego ciała uczynić język francuski, nietylko wytwornym, ale odpowiednym do określenia każdej gałęzi sztuk i nauk, zdolnym zastąpić panowanie łaciny". Mówca przypomina akademii, że dotąd trzymała się wiernie programatu. Łatwo odgadnąć, czego nie dopowiedział. Wyraźne to ostrzeżenie przeciw kandydaturze Zoli, kołacącego tak natarczywie w progi akademickie.

Mowa Brunetière'a doprowadziła do wściekłości prasę, zarówno jak i młodzież rozmiłowaną w Zoli, popierającą nowatorstwo. Nie naszą rzeczą opisywać burzliwe manifestacye w sali uniwersyteckiej, podczas wykładu profesora o Bossuecie, i burdy uliczne, jakie po nich nastąpiły. Wszystkie dzienniki rozpisały się o tem szeroko lecz niedokładnie, żaden nie schłostał młodzieży jak na to zasłużyła. Kursa w Sorbonie zawieszono na trzy tygodnie z powodu świąt wielkanocnych, — umysły tymczasem doszły do równowagi W dniu 4 kwietnia profesor rozpoczął na nowo wykłady; wszystko odbyło się najspokojniej.

Pojawił się tu przegląd literacki pod tytułem *Revue de Paris*; redaktorem jego Leo Claretie. Nowe pismo wychodzi co dwa tygodnie w obszernych zeszytach, jak przegląd Dwóch światów. Początek dobrze się zapowiada. W pierwszym zaraz numerze z 1 lutego znajdujemy listy *Balzaca do cudzoziemki*. Jest to korespondencya słynnego autora z panią Hańską, siostrą Henryka Rzewuskiego, z którą w siedmnaście lat później połączył się węzłem małżeńskim. Oryginały tych listów, po raz pierwszy wydanych, znajdują się w ręku br. Spoelberch de Lovenjoul: pierwszy nosi datę stycznia 1833 roku.

Pani Hańska, wówczas dwudziestoosmioletnia, mieszkała w Wierzchowni na Wołyniu. *Sceny z życia prywatnego* obudziły w niej najwyższy zapał. Pod wpływem uniesienia, wysłała do autora list, na ręce jego wydawcy, podpisała go *Cudzoziemka*. Odtąd rozpoczęła się stała korespondencya.

Listy pani Hańskiej nie wydane, widzimy tylko odpowiedzi Balzaca. W r. 1834 nastąpiło spotkanie ich w Genewie, a potem w Neufchâtelu. Od tej chwili znika wyłącznie literacki charakter korespondencyi, zastępują go najtkliwsze wyznania — powtarzać ich nie będziemy.

Digitized by Google

Zasługuje na uwagę niezmordowana wytrwałość, z jaką pracował Balzac, zaczem zdobył tę wytworną formę, jaka cechuje wszystkie jego utwory. Używał już niemałej wziętości, kiedy napisał powieść *Ludwik Lambert*, poświęcił na to trzy miesiące.

www.libtool.com.cn

„Wczoraj, pisze on, przyszedł do mnie przyjaciel, jeden z tych, którzy nie zwodzą, którzy ci w oczy wypowiadają całą prawdę. Przyszedł z nożem anatomicznym w ręku, rozbieraliśmy razem tylko co ukończone dzieło. Człowiek ten, z umysłem ściśle logicznym i smakiem nieskażonym, sam przez się niezdolny nic utworzyć, ale głęboki gramatyk i surowy profesor, wykazał mi tysiące błędów. Wieczorem, gdy mnie opuścił, płakałem gorzkiemi łzami, wściekłość ogarnęła mnie na myśl o tylu błędach w pracy, wykonanej z takim mozołem. Zabieram się do przerobienia z gruntu powieści; za miesiąc lub dwa Ludwik Lambert ukaże się całkiem przeistoczony."

Jeśli Balzac z całem uznaniem przyjmował rady uczonego profesora, to znów niecierpliwiły go dorywcze krytyki dziennikarzy. Skarży się na Juljusza Janin'a, że jak mały buldog gryzie kogo napotka. „Wszystkie pisma szarpią mego „Doktora wiejskiego",—utyskuje w liście,—wszystkie zanurzają w nim ostry sztylet. To, co gniewało Byrona, mnie pobudza do śmiechu. Muszę opanować świat umysłowy w Europie. Dwa lata jeszcze cierpliwości i pracy, a deptać będę po głowie tych, którzy dziś chcą mi spętać ręce i podciąć skrzydła do lotu. Doznana niesprawiedliwość czyni moje serce twardym spiżem".

Nie mylił się Balzac, przepowiadając sobie, jak niegdyś Jan z Czarnolasu, że proch kości jego nie będzie wzgardzony. Obecnie budują mu pomnik, który stanie wkrótce na jednym z placów paryskich. Krytyka uznała w nim twórcę psychologicznych powieści, tak dziś rozpowszechnionych. Zola widzi w nim protoplastę, ale cała przeszłość oddziela ucznia, zanurzonego w bagniskach realizmu, od mistrza, który w wytwornej formie przedstawiał pełne życia obrazy. Charakter osobisty dwóch pisarzy różni się też zupełnie. Marnotrawny Balzac rozrzucał złoto pełną ręką; mimo ogromnych dochodów umarł obarczony długami; praktyczny Zola tymczasem przygarnia złoto i opływa w dostatkach.

W listach Balzaca drga zapał, posunięty niekiedy do szału. Z tej samej strony przedstawiali go liczni sekretarze, zmieniający się bez ustanku. Do liczby ich należał znany później powieściopisarz i akademik, Julian Sandeau. Opisywał on tortury, jakie codziennie przechodził. Nie miał wolnej chwili obok tego niezmordowanego tytana! ileż-to razy, zbudzony nocą z twardego snu, musiał słuchać nowych pomysłów tej potwornej wyobraźni! same korrekty prawdziwem były udręczeniem; wypadało powtarzać je wielokrotnie, w miarę napływających ciągle

Digitized by Google

myśli, zmieniających do gruntu osnuty wątek. Nie dosyć na tem. Balzac żądał coraz nowej pożyczki, wpadał w gniew, gdy mu jej odmówiono: każda scena taka sprowadzała gwałtowną burzę, zakończaną zwykle przyjacielskim pocałunkiem.

www.libtool.com.cn

Biedny Sandeau, w obawie pomieszania zmysłów, zmuszony był rozstać się z Balzakiem. „Nie miałem, mówi on, dosyć silnej głowy, aby wytrwać w tej genialnej atmosferze!"

Ciekawy pod względem psychologicznym ustęp z życia Henryka Heinego, p. t. *L'amour chez Henri Heine*, przez Maurycego Paleologa, zamieszczony w tymże paryskim przeglądzie. Autor pokazuje w poecie francusko-niemieckim nowego Don Juana, z tą różnicą, że jak tamten pożerał setki serc, tak ten pożerał serce własne, trawione wiecznie płonącym żarem dla zmieniających się ciągle ideałów.

Pierwszym, bardzo poetycznym ideałem jedenastoletniego niedorostka, była maleńka Weronika. W dniu letnim, przechadzając się po wzgórku, spostrzegł dzieweczkę z gałązką rezedy w drobnej rączce. Przyłożyła ją do ust i podała chłopcu. Jedyne to było spotkanie. Nazajutrz potem odwieziony do szkoły w Düsseldorfie, mały uczeń uniósł wspomnienie dziewczynki; marzył o niej we śnie i na jawie. Nadchodzą wakacye; mały Heine wraca do domu, biegnie do Weroniki, zastaje rodzinę łzami zalaną,—dziewczynka przed chwilą skonała.

Poprowadzono chłopca do pokoju umarłej. Nie miał on jeszcze dokładnego pojęcia o śmierci; bez przerażenia patrzał na bledziutką twarzyczkę i nieruchomą postać, pełne niepojętego uroku.

„Rozstawione dokoła świece, mówi on, rzucały światło na białe lica, na usteczka złożone do uśmiechu, na różowe kwiatki, jakiemi potrząśnięto jej śmiertelną sukienkę. Pobożna sługa, Urszula, zaprowadziła mnie wieczorem do cichego pokoiku. Na widok małej trumienki, świec i kwiatów, rozstawionych na stole, mniemałem, że to figurka świętej wyrobiona z wosku, ale wkrótce poznałem ją i spytałem: czemu Weronika taka spokojna.

— Śmierć uczyniła ją taką—rzekła Urszula ze łzami.

Potem Heine uczuł głęboki smutek; czas uspokoił go, ale nigdy nie zapomniał małej dzieweczki, dla której pierwszy raz uderzyło jego serce. Spotykał wszędzie jej spojrzenie, jej uśmiech. Widmo jej ścigało go zawsze. Na krótko przed śmiercią błagał otaczających, aby na trumnie jego położyli gałązkę rezedy.

Ale widmo umarłej nie mogło zaspokoić młodego serca. Uganiał on coraz to nowe ideały. Pierwszym z kolei w cztery lata po skonie

Digitized by Google

Weroniki, była rudowłosa, córka düsseldorfskiego kata! Urzekła go, śpiewając mu piosnki ludowe.

www.libtool.com.cn

Wyliczenie całego szeregu ideałów zaprowadziłoby nas zbyt daleko; wspomnimy tylko, że do nich należy jakaś tajemnicza Jadwiga, biała i wiotka jak lilia, napotkana w Gnieźnie przy grobie Ś. Wojciecha. Tych ideałów nie zabrakło nigdy poecie. Nie poprzestając na żywych, szukał ich w bogatym świecie sztuki. Przebiegając słynne muzea i galerye różnych krajów, upatrywał sobie postacie, stworzone wyobraźnią mistrzów pędzla lub dłóta, karmił niemi serce i wyobraźnię, opiewał je w pełnych miłości zwrotkach. Gdy mu to wystarczyć nie mogło, szuka innych na polu historyi, wydobywa z grobów poetyczne widma bohaterek, wskrzesza je do życia, przystraja w kwiaty niewyczerpanej fantazyi.

Wreszcie ten, który życie całe strawił w pogoni za ideałem, znalazł u schyłku życia w pięknej Matyldzie uosobienie swej potężnej wyobraźni. Piękna Matylda zaledwie że umiała czytać. Całem jej zajęciem było strojenie się i hodowanie ptasząt. Kiedy została jego żoną, dręczyła go bez ustanku, jak niegdyś Ksantypa Sokratesa. Za lada przeciwnością unosiła się gniewem, wydzierała sobie włosy, biła głową o ziemię. Po chwili gniew ją opuszczał: od płaczu przechodziła do szalonego śmiechu.

W ten sposób Heine przeżył z żoną ostatni lat dziesiątek. Przy niej konał powoli. Sparaliżowanie mlecza pozbawiło go władzy w nogach, ręce pokurczone utrzymać pióra nie mogły, nakoniec zupełnie ociemniał; umysł tylko zachował dawną krzepkość. Podczas gdy dogorywał, jak Łazarz, gdy obce panie otaczały go troskliwą opieką, Matylda biegała po sklepach i teatrzykach paryskich.

Kochał ją przecież Heine; na krótko przed skonem poświęcił jej jedną z ostatnich pieśni.

„Złowroga śmierć pędzi na płowym koniu, słyszę tentent cwałujących kopyt. Czarne widmo szuka mnie, porywa!... muszę porzucić Matyldę. Oh! serce mi pęka na myśl o tem!

„Ona była żoną moją, ukochanem dziecięciem mojem! gdy zanurzę się w królestwie ciemności, ona będzie wdową i sierotą! Zostawiam samą na świecie tę istotę, co bezpiecznie spoczywała na sercu mojem.

„Anieli z nieba, wy rozumiecie moje łzy i modły. Gdy legnę w czarnym grobie, strzeżcie mej ukochanej, bądźcie dla niej tarczą i opieką. Ona podobna do was, wspierajcie moją biedną Matyldę!"

W marcowym zeszycie *Przeglądu*, wdowa po słynnym autorze dramatycznym i powieściopisarzu. Oktawiuszu Feuillet, ogłosiła listy

Digitized by Google

męża, pisane z Compiegne i Fontainebleau za czasów drugiego cesarstwa. Feuilet pełnił w Fontainebleau obowiązki bibliotekarza, stąd pozostawał w ciągłym stosunku z dworem.

W listach z Compiegne, dokąd go zapraszano, opowiada świetne zebrania jesienne. Pomijamy opisy szarad, żywych obrazów i teatralnych przedstawień, w których Feuillet pełnił obowiązki reżysera; przytoczymy za to charakterystyczną uroczystość. Czterej naczelnicy szkockich klanów przybyli w odwiedziny do Compiegne; przewodniczył im książę Athol. Cesarzowa, jak wiadomo, pochodziła przez matkę z rodziny szkockiej.

„Deszcz pada ulewny, pisze korespondent, cesarzowa mimo to prowadzi Szkotów do myśliwskiego pawilonu. Ich nogi obnażone. Całą procesyą pomijamy park, a potem przedmieście, stajemy nakoniec w dziedzińcu. Służba wyprowadza gończe sfory, rozdaje paniom długie biczyki dla poskromienia zuchwalców. Cesarzowa przechadza się wśród szczekającej zgrai; macha biczykiem na prawo i na lewo. Ja pozostałem na uboczu. Po chwili zbliża się do mnie cesarzowa, mówi mi, że kostium tych panów trochę nieprzyzwoity i wcale nie dworski. Byłem tego samego zdania. Opowiada mi potem, jak raz przybywszy niespodziewanie w góry Highlandu — do zamku księcia Athol, zastała go w stroju narodowym. Nie opuszcza go nigdy. Mówiliśmy o Walterskocie; cesarzowa zna go doskonale; powstał między nami mały spór o Rob-Roya, do jakiego należał klanu. Wezwany na arbitra Szkot, przyznał słuszność najjaśniejszej pani.

Księżna Montebello, księżniczka Anna Murat, pani Walewska, Gounod, Szkoci, parę osób jeszcze i ja pomiędzy nimi, zaproszeni przez cesarzową na herbatę, zebraliśmy się w sali. Książę Athol był rozpromieniony. Przy herbacie miła toczyła się rozmowa. Na mój wniosek cesarzowa prosiła księcia, aby kazał przyjść swemu kobziarzowi. Nadszedł w uroczystym stroju, wygrywał wojennego marsza, przechadzając się po sali z powagą i rycerskim zamachem. Cesarzowa prosiła potem Szkotów, aby puścili się w jakiś taniec narodowy. Dla tem większej zachęty, pani Walewska i księżniczka Anna pląsały z nimi razem. Później tańczyli sami przy dźwięku kobzy, pobrzękując wesoło. Stary książę puścił się też z nimi. Taniec to charakterystyczny, prawdziwie oryginalny."

Ciekawsze jeszcze listy z Fontainebleau, gdzie życie upływało spokojniej. Feuillet z zajęciem mówi o cesarzowej, miał dla niej najwyższe uznanie. Tak pisze w liście z 25 czerwca 1868 roku:

„Pływaliśmy po wielkim stawie, łódką cesarzowej; ciągnął ją mały statek parowy. Na łodzi siedziała cesarzowa, dwie jej siostrzenice, panna Marion, generał Frossard i ja. Łódź czarna, poduszki z czar-

Digitized by Google

nej skóry, liny też czarne, balustrada z miedzi złoconej, ozdobiona łabędziemi głowami. Rozmowa potrącała o coraz nowy przedmiot. Cesarzowa między innemi utyskiwała na trudne nieraz warunki życia panujących, których obowiązkiem ukazywać zawsze twarz pogodną i humor jednostajny, mimo codziennych trosk i niepokojów. Ciężko jej do tego przywyknąć. Odwaga wobec niebezpieczeństwa nic ją nie kosztuje, ale ta niewzruszona moc woli, jaką trzeba wydobywać z siebie każdego dnia, każdej godziny, wymaga w niej wielkiego wysiłku. Marzy niekiedy o zupełnym spokoju, który nigdy nie przyjdzie, lub o wielkich wypadkach, jakie nie często się zdarzają. Kiedy wicher wstrząsa konarami drzew, myśli wtedy o starych zamczyskach, o długich kruźgankach, o zupełnej samotności i ciszy. Wnikając w głąb tej duszy, czujemy próżność wszystkiego co nie jest prostotą.

„Za powrotem weszliśmy do chińskiego salonu, ale już zabawa nie szła. Panienki trochę poskakały; panna d'Albe siadła przy mnie, grała w solitera. Złamałem wachlarz pani R., gdy cesarzowa wezwała nas na herbatę z przyległej sali. Niechętnie zanurzyłem rurkę szklaną w czarny napój, przyprawiony mlekiem i cynamonem przez Naj. Panią. Niepodobna było odmówić. Powiedziałem, że herbata wyborna, ale czułem, że twarz mi zielenieje. Wreszcie cesarzowa znalazła, że dziwnie wyglądam z moją rurką; korzystając z tego, postawiłem szklankę na bilardzie. Przyniesiono depesze, tymczasem nietoperz wpadł do sali. Jeden z obecnych panów zabił go laską; casarzowa kazała go podać, położyła na jednej depeszy, różowym paluszkiem gładziła jego pierś włochatą, roztwierała mu skrzydła, dmuchając przez rurkę, chciała go rozbudzić; a ponieważ pod tchnieniem najpiękniejszych ust w świecie życie nie powracało, rzekłem, że nic go już nie wskrzesi. Dziwny obraz, ta piękna istota, bawiąca się małym potworkiem z dziecinną wesołością!

Przy herbacie cesarzowa opowiadała nam spotkanie swoje z panią Miramon, wdową po generale, rozstrzelanym przy cesarzu Maksymilianie. Ta biedna kobieta, młoda i ładna, przybyła do Europy, czyniąc zadosyć woli męża swego i cesarza, za którymi poszła na plac egzekucyi. Opowiadała cesarzowej wszystkie szczegóły tej okropnej chwili, zalewając się łzami. Dwa plutony stały na placu podwójnym szeregiem, jeden złożony z wytrawnych tyralierów dla cesarza, drugi z rekrutów źle wyćwiczonych. Kiedy cesarz z generałem przybyli na plac, oficer ukazał Maksymilianowi przeznaczony mu pluton: wtedy cesarz zwrócił się do towarzysza.

— Nie mogę, rzecze, dać ci innego dowodu przyjaźni: stań tu; wymagam tego...

Digitized by Google

I rozkazał Miramonowi stanąć przed grupą starych żołnierzy, sam zaś zajął miejsce przed rekrutami. Miramon padł od razu, Maksymilian, postrzelony, męczył się długo. Cesarzowa Eugenia opowiadała to z wielkim zapałem; imię Juaresa wymawiała z najwyższą pogardą.

www.libtool.com.cn

Rozmowy w Fontaineblau smutny często przybierały obrót. Inaczej tu było, niż w Compiegne, gdzie wieczory zchodziły na szaradach i wesołych zabawach. W liście z sierpnia 1868 roku Feuillet wyraża smutne jakieś przeczucie. „Nie wiem, pisze on, czy mnie zwodzi wyobraźnia, zwrócona ku czarnym obrazom, ale czuję, że szybkim krokiem przybliżają się ciężkie czasy". Napoleon niespokojnem okiem patrzał na groźne objawy opinii publicznej, na pamflety Rochefort'a. Dnia jednego potrącił o kierunek literatury damatycznej.

„W teatrze, mówił cesarz, nadzwyczajne widzimy ubóstwo, wszystkie sztuki pełne gwałtów i zbrodni. Sądzę, że sztuka, nacechowana myślą uczciwą, była-by przyjętą z zapałem.

Odrzekłem, że i ja tego samego jestem zdania, ale że teatr dzisiejszy skazany na upadek, skutkiem demokratyzmu, panującego w społeczeństwie: wykaałem różnicę czasów dzisiejszych z epoką Ludwika XIV. Mówiliśmy o nowej sztuce Augier'a *Paul Forestier*. Rozmowa przeszła na latarnię Rochefort'a, a stąd na pole dzisiejszej polityki. Podnosiłem stan społeczny w Anglii, w Niemczech i Ameryce. Cesarz ze swej strony wykazywał mi różnicę tradycyi, charakterów narodowych i trudność w przemienieniu obyczajów.

„W rzeczy samej, dodał, prawa dadzą się zreformować, ale stopniowo i powoli." To rzekłszy, zamyślił się głęboko. Uważałem w półcieniu rysy jego blade, i szerokie czoło wsparte drobnemi rękoma. Za jakiemże gonił marzeniem?

Do rzędu bardzo ciekawych, a do tego ozdobnych publikacyi tegorocznych, należy wielki illustrowany tom, wydany pod firmą Quantin, p. t. *Les Jouets* (zabawki). Z tytułu i pięknych obrazków można-by wnosić, że to książka dla dzieci na kolędowy upominek. Tak przecie nie jest; autor jej, Leo Claretie, rozwinął w niej wielki zasób erudycyi, a obok tego dowiódł, jak z każdego przedmiotu można wydobyć żywą iskrę i przedstawić go w świetle zajmującem.

Zaczyna autor od zarysu historycznego, sięgając do głębokiej starożytności. Daje poznać zabawki u Egipcyan, Greków i Rzymian, jak niemniej zagrzebane w katakumbach rzymskich, z pierwszej epoki chrześciaństwa. Rysunki zdjęte z archeologicznych zabytków, przechowanych po prywatnych i publicznych muzeach. Kolejno każdy wiek

Digitized by Google

aż do czasów dzisiejszych przedstawiony w zabawkach. To wszystko, co zajmowało świat w danym czasie, znajdowało niemniej odbicie w miniaturowym światku dziecinnym.

Dział lalek daje poznać przemiany w stroju kobiet. Widzimy tu królowe, począwszy od Ś. Klotyldy, małżonki Chlodwiga, w powłóczystym płaszczu i welonie na-pół zakonnym, do sztywnej Maryi Ludwiki i wytwornej Eugenii.

Opis fabrykacyi zabawek nie mniej ciekawy. Zajmuje on nietylko wielkie rękodzielnie, ale i najmniejsze zakąty paryskie, gdzie w suterenach i na poddaszach wyrabiają z blachy, drzewa, tektury i wosku miliony bawidełek, zapełniających bazary lub improwizowane sklepiki na bulwarach około nowego roku.

Szczególniej zaś zajmuje nas w tem dziele określenie stosunku zabawek do pedagogii, do nauki, sztuk pięknych, literatury, geografii, wreszcie do życia bieżącego. Co się tyczy pedagoga, autor, opierając się na powadze myślicieli różnych czasów, zaleca wielką ostrożność, umiarkowanie, w łączeniu nauki z zabawą. Dziecko, zdaniem jego, powinno używać zupełnej swobody, bawić się jak chce, nie jak mu każą. Zabawa może ułatwiać naukę: było to już w głębokiej starożytności, skoro w grobach rzymskich dzieci znajdują się ozdobne litery alfabetu, a Kwintylian mówi o ciastkach, wypiekanych w kształcie liter. Uznaje autor pożytek nauki poglądowej, zalecanej przez JJ. Rousseau w Emilu, gani przecie jej nadużycie. Przypomina tu zamek barona d'Alemane, tak opisany przez panią de Genlis: „Kiedy chcemy uczyć dzieci historyi w chronologicznym porządku, idziemy naprzód do sypialni; tu na ścianach odmalowana cała historya święta. Stąd przechodzimy do galeryi przedstawiającej dzieje starożytne. Salon wyobraża historyę rzymską, drugi przyległy historyę Francyi. Każdy przedmiot, bacznie obmyślony, gra tu osobną rolę. Na wachlarzach mamy lekcye geografii, na makatach i parawanach najważniejsze wypadki historyczne. W sali jadalnej przedstawiona cała mitologia.

Przeciw takiej przesadzie ułatwiających środków autor stawia przeciwną teoryę Kanta i zgodne z nią zdanie pani de Staël w opisie uniwersytetów niemieckich. Przytaczamy jej słowa: „Zbyteczne ułatwienia rozpraszają uwagę dziecka, jego umysł powinien przywyknąć do wysiłku w nauce, jak dusza ludzka przywyka do cierpienia. Wy nauczacie za pomocą obrazków; tym sposobem nie nauczycie dziecka, jak się powinno uczyć".

Zabawki dzisiejsze, poruszane parą i elektrycznością, wcale nie zadawalniają autora. Przekłada nad nie dawnych pajaców z papieru, wypchanych trocinami; lepiej dziecko bawiło się niemi, bo mogło tłuc je i szarpać do woli, ciekawe co się wnich znajduje. Nowe zabawki

Digitized by Google

wymagają koniecznie objaśnień naukowych. Z małych mechaników dzisiejszych, dodaje autor, wyrośnie cała generacya pozytywistów. Realizm, tak w sztuce, jak w literaturze, może mieć praktyczne zalety, rozwinie władze analizy, ale będzie to kosztem wyobraźni i poezyi.

Pokazując stosunek zabawek do religii, autor opisuje nasze jasełka: „Piękny to i pobożny zwyczaj w Polsce, mówi on, to obnoszenie szopek, w których maryonetki powtarzają sceny Narodzenia Pańskiego. Wędrowni aktorowie w kożuszkach brną po śniegu, ślizgają się po lodzie; jeden idzie naprzód, oświeca drogę latarką, inny niesie na drągu gwiazdę trzech królów, trzeci na plecach dźwiga szopkę".

We Francyi zwyczaj ten nie istnieje, nie brak przecie zabawek, przypominających tradycye religijne. Najwięcej upowszechniona między niemi Arka Noego, pełna zwierząt wszelkiego rodzaju, najprościej wyrobiona, sprawia dziatwie niesłychaną radość!

Zabawki, zastosowane do geografii, nabrały tu wielkiego znaczenia od lat dwudziestu kilku, to jest od czasu, kiedy nieuctwo pod tym względem sprowadziło tyle klęsk na Francyę. Odtąd wymyślono najrozmaitsze gry ułatwiające naukę geografii. Niektóre sklepy zabawek wyglądają na jakieś etnograficzne muzeum, tyle w nich nagromadzono lalek w kostiumach ze wszystkich części świata. Upodobanie dziatwy w zbieraniu pieczątek i kartek pocztowych przynosi tu korzyść nie małą. Rzecz jednak godna uwagi: podczas kiedy Egipt na pieczątkach ukazuje swoje piramidy, kiedy Ameryka południowa przedstawia na kartkach cudne widoki Kordylerów, kiedy na włoskich kartkach widzimy to płomienisty Wezuwiusz, to historyczne gmachy i przepyszne katedry, to sceny z życia ludu różnych okolic; Francya pokazuje tylko swoją wyrzeźbioną rzeczpospolitą, jakby myśl sama o decentralizacyi prowincyonalnej napełniała ją grozą. A przecie ileż-by nauka geografii skorzystała na tem, gdyby każda część kraju przedstawiła, co ma w sobie najżywotniejszego, czem się słusznie pochlubić może.

W muzeach tutejszych, *Cluny* i *Carnavallet*, zachowano wiele zabawek odnoszących się do historyi. Są to, rzec można, okruchy historyczne, wielce poszukiwane przez archeologów: najwięcej dostarczył ich koniec XVIII wieku. Na kartach do gry widzimy figury encyklopedystów, począwszy od Woltera, J. J. Rousseau i innych promotorów wielkiej rewolucyi. Pomysł żeglugi napowietrznej Mongolfiera rozpowszechnił miliony baloników. Kiedy zburzono Bastylię, posypały się reprodukcye twierdzy, z kamienia, drzewa i tektury. Kiedy krwią pociekały ulice Paryża, sprzedawano dla zabawy dziatek małe gilotynki; ufryzowane główki lalek za pociągnięciem sznurka staczały się na ziemię. Emigracya dworskiej szlachty do Koblencyi dała pomysły do mnóstwa sarkastycznych łamigłówek. Szachy nowego rodzaju przedsta-

Digitized by Google

wiały bitwę pod Marengo. Później szpiczasta głowa Ludwika Filipa, w formie gruszki, długo bawiła małych Francuzików.

www.libtool.com.pl

Współczesne wypadki, które blizki wiek dwudziesty zaliczy do historyi, nie mało też dostarczyły wątku do zabawek; wyliczać wszystkich nie podobna. Sprawy polityczno-społeczne i ekonomiczne znalazły tu odbicie. Wojna prusko-francuska wysypała miliony karabinów i armatek, wojna w Tonkinie wyprowadziła na widownię chmary maleńkich Chińczyków. Pomysły Pasteura stworzyły grę w psa wściekłego. Nie zapomniano też o katastrofie Panamy, o Ravacholu, i bombach anarchistów, że pominiemy mnóstwo innych zabawek, wziętych żywcem z czasu bieżącego.

Oprócz zdarzeń przedstawionych zwykle ze śmiesznej strony, widzimy niemniej wykrojone z drzewa i tektury, w charakterystycznych postaciach, najwybitniejsze w kraju osobistości: jak Boulanger na koniu, Floquet w todze, Rochefort z latarnią i t. d. Nie zapomniano tu i prezydenta rzeczypospolitej. Figurka uderzająca podobieństwem, ustawiona na deseczce, za poruszeniem sprężynki oddaje pokłony odpowiednio do stopnia witanych osób: to stoi sztywno, dotykając zaledwie kapelusza, to zgięta na-pół, odkrywa całkiem głowę. Ruchy wybornie dopatrzone, przedstawione bardzo humorystycznie.

Autor kończy filozoficzną uwagą o znaczeniu zabawek; pokazuje stronę ich poważną i żywotną. „Spotykamy się z niemi, mówi, w chwili gdy poczynamy żyć: urabiają myśl naszą. Ich historya jest historyą ludzkości, ich wpływ indywidualny i społeczny nie małą ma doniosłość; fabrykacya ich rozbudza wyobraźnię wynalazców, daje chleb tysiącom biednych rodzin. Wśród gorączkowej czynności warsztatów rzemieślniczych zabawka pojawia się jako symbol radości i miłosierdzia; rozlewa na świat podwójny prąd: jednym przynosi kęs chleba, innym serdeczną uciechę; karmi biednych i uszczęśliwia dziatki.

Nie chcemy przeczyć autorowi, dodamy tylko co Brunetière za Ezopem powiedział o języku. I zabawka może też być szkodliwą, jeśli oswaja dziatwę ze złem. Potrzebneż były dla niej owe gilotyny i karmaniole, potrzebneż dla niej dzisiejsze manekiny Ravachola i bomby anarchistów.

Z pomiędzy wydanych świeżo dzieł historycznych, pod firmą Plon, tak bogatą w tego rodzaju publikacye, mamy przed sobą dwa tomy p. t. *Le Chevallier de Vergennes*. Autor dzieła, p. Bonneville de Marsangy, opisuje życie słynnego dyplomaty, który, mianowany przez Ludwika XV ambasadorem przy sułtanie, pełnił przez lat czternaście (1755 do 1769) obowiązki swoje z niesłychaną przezornością i taktem. Przy-

Digitized by Google

padła w te czasy elekcya Stanisława Augusta, a ponieważ Porta utrzymywała ścisłe stosunki z Polską, życiorys posła de Vergennes i poufne jego listy do Ludwika XV mogą dostarczyć nie jednego zarysu historykom naszym w badaniach tej epoki. Za powrotem z Turcyi, Vergennes wysłany był jeszcze w poselstwie do Sztokholmu, ale nie długo tam przebywał. Po śmierci króla, Ludwik XVI powołał go do kraju, powierzył mu dyrekcyę polityki francuskiej, mianując go ministrem spraw zagranicznych. Na tem stanowisku pozostał lat trzynaście. Pod jego to wpływem król wysłał posiłki wyzwalającej się Ameryce północnej, co nie małą przynosi mu chwałę. Umarł w r. 1787, na lat dwa przed wybuchem rewolucyi. Ludwik XVI boleśnie odczuł śmierć zdolnego i nieskazitelnego ministra. Później, wobec popełnianych gwałtów, czując, że mu brak ziemi pod stopami, powtarzał wielokrotnie: „Ten człowiek jeden mógł był ocalić monarchię!“

Ukazał się tomik poezyi Deroulède'a p. t. pieśni wieśniaka *(Chants du paysant)*. Poeta ukazuje się tu z nowej zupełnie strony. Wkrótce po wojnie, w której brał czynny udział, wydał on w trzech tomikach zbiór *Pieśni żołnierza*, pełnych werwy, nagrodzonych na konkursie akademickim. Później poprobował sił w dramacie. Przedstawił na scenie Odeonu *Hetmana*, przedmiot wzięty z wojen kozackich za Władysława IV. Nieudatny ten utwór krótko pozostał na afiszu. Rozdrażniony doznanym zawodem autor rzucił się na pole zapasów politycznych. Powołany do izby, wystąpił jako żarliwy zwolennik generała Boulanger'a. Niewczesna ta żarliwość wprowadziła go w niezliczone zatargi, a nawet w krwawe zajścia. Po doświadczonych próbach, Deroulède opuścił Paryż, przypomniał sobie dziecięce czasy, spędzone przy domowem ognisku, w cichej wiosce, gdzie długie lata przeżył dziadek jego i ojciec; zamieszkał tam wpośród pracowitych rolników. W wydanym tomiku opiewa ich prace: żniwa, młockę, sianokos, pląsy i zaloty młodzieży, słowem to życie proste i ciche, a przecież tak pełne w jednostajności swojej. Deroulède, po długiem szamotaniu się, przyszedł wreszcie do równowagi; poeta znalazł żywe źródełko i poi niem pierś spragnioną. Zobaczmy, jak opiewa tę dobroczynną wodę:

Woda, co spada, woda, co bieży,
Radość nam obie przynoszą,
Gdziebądź je wietrzyk popędzi świeży,
Wszystko tchnie błogą rozkoszą.

Digitized by Google

Woda ożywia łąki i gaje,
Bez niej świat zmienion w pwstynię;
Dziękujmy Bogu, On obie daje:
Co spada z nieba, co płynie.

Woda, co płynie, w rączym przebiegu
Ogarnia ziemię w ramiona,
Cudnie wyrasta kwiat na jej brzegu,
Murawa nad nią zielona.
Dąb nią skrzepiony podnosi czoło,
Króluje w cichej dąbrowie,
Rzeka, czy strumień, rozsiewa wkoło
Życie, wesele i zdrowie.

Woda, co deszczem pada z niebiosów,
Gasi słoneczne pożary,
Karmi winnice, wieńcami kłosów
Złoci szerokie obszary.
Chłód dobroczynny jej krople niosą
Tam, gdzie gorzała spiekota;
Woda, czy deszczem spada, czy rosą,
To nowy strumień żywota.

Woda, co pada, woda, co bieży,
Radość nam obie przynoszą,
Gdziebądź je wietrzyk popędzi świeży,
Wszystko tchnie błogą rozkoszą.
Woda ożywia łąki i gaje,
Bez niej świat zmienion w pustynię;
Dziękujmy Rogu, On obie daje,
Czy tę co pada, czy płynie!

A oto zwrotki, wyśpiewane do słońca, nie przez zatopionego w niem Gwebra, ale przez rolnika, wdzięcznego za dary, jakie mu przynosi ożywczy jego promyk:

Ogrzewaj, stare słonko, galskie winogrady!
Przez ciebie niech w jagodach dojrzewa płyn słodki,
Co raduje nam serca, zgania smutek blady,
Zagłusza łkanie w piersi wesołemi zwrotki;
Ogrzewaj, stare słonko, galskie winogrady,

Digitized by Google

Ogrzewaj, Boże słonko, nasze galskie niwy,
Niech złote kłosy ziarnem sypną nam do syta,
Niech lud nie łaknie chleba przy pracy poczciwej,
Na łonie zdrowej matki niech dziecię rozkwita,
Ogrzewaj Boże słonko nasze galskie niwy!

Rozjaśnij czoła nasze, zabłyśnij nam w oczy,
Słoneczko, coś przed laty świeciło nam stale,
Zbudź gasnącą nadzieję, gdy boleść nas tłoczy,
Odegnaj mrok zwątpienia, mów o dawnej chwale,
Rozjaśnij czoła nasze, zabłyśnij nam w oczy.

Rozpłomień chłodne serca! o ty słonko boże,
Tchnij w nie iskrę miłości twą potężną siłą,
Niech brat ukocha brata, służy mu jak może,
Bodajby samolubom rodzić się nie było!
Rozpłomień chłodne serca! o ty słonko boże!

Zapowiedziana oddawna powieść Zoli, p. t. Lourdes, zacznie wkrótce wychodzić w odcinku dziennika *Gil-Blas*. Z jakiej strony głośny powieściopisarz zamierza traktować słynną pielgrzymkę, w której wziął czynny udział w roku zeszłym, dotychczas niewiadomo. Dziennik, wybrany przez niego, gdzie ogłoszoną była w swoim czasie ohydna powieść, *Nana*, a następnie *Ziemia*, że pominiemy tyle innych, nie daje nam żadnej rękojmi. Pisma ogłaszają, że w tych dniach Zola rozpoczął nową powieść p. t. *Paryż*; przedstawi w niej rozmaite odcienia anarchistów. Na tem polu ma on już poprzednika w innym pisarzu, L. H. Rosny, który przed laty kilku w dwóch powieściach, jak: *Bilateral* i *Marc Fane*, nakreślił wierny obraz tych burzycieli społecznego porządku, i przedstawił sceny, na jakie Paryż patrzył niedawno—z trwogą i oburzeniem.

---

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

MARYA KONOPNICKA.[1]

IV.

W dobie emancypacyi kobiecej i rozbudzonego w tym kierunku ruchu społecznego, pisarz-kobieta, rozgłośną cieszący się sławą, obowiązany był niejako z urzędu zwrócić się choć raz jeden do swych siostrzyc i przemówić do nich ozdobnie a górnie, oczywiście w sprawie miłości. Oczekiwano tego od Konopnickiej, nieledwie żądano od niej wierszowanej dla dam prelekcyi. Nadzieje te wkrótce ziściła poetka, napisała wiersz istotnie bardzo ozdobny i niezwykle górny p. t. „Do kobiety.“ Wrażenie było nadspodziewane. Wiersza poczęto z zapałem uczyć się na pamięć, deklamować po koncertach i rautach, na cześć autorki pisać hymny pochwalne. Odezwa „Do kobiety“ stała się odrazu istnym katechizmem miłości, z którego młode panny miały uczyć się sztuki kochania; patrzano na nią, jako na niezawodną receptę szczęśliwego pożycia we dwoje. Wnet znaleźli się naśladowcy: jako pendant do wiersza Konopnickiej ukazała się patetyczna oda „Do mężczyzny.“ Stosunek mężczyzny do kobiety w miłości, postępowo pojętej, i w małżeństwie, usiłowała z wielkim szumem i pewnością siebie określić—poezya.

Nikogo jednak nic nie nauczyła. Wszystko się skończyło na ozdobnych frazesach. A wykład „Do kobiety“, wiersz najbardziej

[1] Patrz zeszyt kwietniowy „Biblioteki.“

Digitized by Google

znany i dziś jeszcze najchętniej wygłaszany ze wszystkich poezyi Maryi Konopnickiej, mimo rozgłosu i programowych haseł, z artystycznych względów zaliczony być musi do jej najsłabszych utworów.

www.libtool.com.cn

Rzecz szczególna, że w wierszu erotycznym poetka, obdarzona wielkim kunsztem obrazowania i poczuciem plastyki, gubi się w mglistych abstrakcyach. Nie do uwierzenia, że w hymnie o miłości niema ani jednej gorętszej nuty. Przeciwnie, zimnym głosem retora poetka usiłuje niewczesne ostudzić zapały. I oto dowiadujemy się ze zdumieniem, że kochać bynajmniej nie znaczy „tonąć w szale pocałunków", pragnąć pieszczoty, uśmiechu, szczebiotu, pragnąć obecności umiłowanej, najdroższej osoby, chcieć z nią marzyć, i tęsknić, i śpiewać, napawać się czarem nocy majowej, pieniem słowików, blaskiem księżycowym. Bo miłość, według Konopnickiej, jednoczy nie dwoje ludzi z krwi, z ciała i z kości, ale dwa nieuchwytne duchy, co błąkają się w beznamiętnym uścisku po ciemnych otchłaniach wieczności. Bo „kocham", to znaczy:

Ja chcę być dla ciebie
Prawdy i dobra i piękna zaklęciem,
Umiłowanem twej duszy dziecięciem,
Twojem marzeniem o niebie.

Zważmy, że prawda, dobro, piękno, to pojęcia oderwane, uogólnione, zaklęcia zaś tych pojęć—to abstrakcye, podniesione do drugiej potęgi. A łatwiej z piany morskiej gmach wybudować, niż z ogólników wznieść dzieło sztuki. Wszak zadanie poety właśnie na tem polega, aby ideom nadać kształt, pojęcia nieuchwytne uzmysłowić tak kunsztownie, żeby niemal dotykalnemi się stały. Nieokreślone marzenia o niebie i zaklęcia bałamutne tak są dalekie od wszelakiej konkretności, jak gorąca, miłosna namiętność od chłodnej, retorycznej rozwagi.

Ale słuchajmy dalej wykładu:

Chcę, byśmy lecąc w uścisku wzajemnym,
Jako dwa duchy w dziedzinie wieczności,
Rozpromienili na świecie tym ciemnym
Gwiaździste szlaki przyszłości.

Jest to chłodna frazeologia. W poezyi koniecznie potrzeba coś widzieć, słyszeć lub odczuwać, przedewszystkiem zaś widzieć. A na bezmiernem tle wieczności, forma każda, kształt wszelki we mgłę się rozpłynie. A nawet te biedne, bezcielesne duchy, unoszące się w dziedzinie nieskończoności, zapadają w nią, jak w ciemną mogiłę.

Digitized by Google

Niekiedy znów poetka wygłasza nader ryzykowne frazesy, zrozumiałe dekadentom chyba:

www.libtool.com.cn

Chcę na twych piersiach być, jak róża biała,
W której płomyczek tajemniczy pała (?)
I chcę być, jako pieczęć rubinowa
Na ustach twoich, bez słowa (?).

Dalej dowiadujemy się, że kobieta ma być tarczą honoru mężczyzny, że ma być jego myślą i ramieniem, że ma być czołu jego od skwarów ochroną. Zatem mężczyźnie wyznaczona zostaje rola biernego niedołęgi. Bo i cóż mu pozostaje do robienia w małżeństwie, skoro żona ma być dlań myślą, i ramieniem, i tarczą? To, co z natury rzeczy do mężczyzny należy, Konopnicka każe wykonywać kobiecie.

Słabe jest zakończenie wiersza. Jeżeli w piersiach twoich, kobieto, konkluduje autorka, nie bije serce do tak wzniosłej miłości, inaczej, jeżeli z ukochanym nie zechcesz latać po dziedzinie wieczności, być tarczą czci jego, pieczęcią rubinową i zaklęciem cnoty wszelakiej, jeżeliś nie zdolna być mu bratnim duchem, duchem bezcielesnym, wyzutym z czysto ludzkich, godziwych namiętności i uczuć, duchem, który tonie w nieuchwytnych marzeniach o „gwiaździstych szlakach przyszłości", naówczas nie mów nikomu tego słowa „kocham", bo małżonek twój, unieszczęśliwiony przez ciebie i rozczarowany, „nie zrobi nic dla przyszłości."

Wśród tego retorycznego szumu i brzęku jedna tylko zwrotka dźwięczy melodyą, błyska rodzajowym obrazkiem, ujmuje prawdą i prostotą:

„Kocham" to znaczy: chcę w cichym zakątku
Żyć zapomniana, byleś ty był ze mną;
Chcę nad kołyską naszemu dzieciątku
Nucić piosenki w noc ciemną.

Gdybyż ze strof podobnych składał się cały słynny wiersz „Do kobiety!"

Niechętnie, z poczucia obowiązku tylko, zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad tym poronionym płodem naszej autorki. Wytykanie talentowi usterek, jakaż to niewdzięczna praca! Jeżeli słuszną jest zasada, że komu dużo dano, od tego wiele wymagać należy, to można jej przeciwstawić regułę, że z win literackich rozgrzeszać wolno tylko prawdziwe talenta. One tyle już dały, tyle dać jeszcze mogą! Miernoty jedynie zawsze zawodzą.

Digitized by Google

To też bynajmniej nie myślimy rozwodzić się nad ujemną stroną talentu Konopnickiej. Zaznaczymy tylko pobieżnie, że takie odezwy, jak „Bądź silnym“ i „Do młodej braci“, takie obrazki, jak „Jaś nie doczekał“, „Bez dachu“, „Chłopskie serce“ i „Sobotni wieczór“, takie pseudo-filozoficzne rozprawy z wiecznym znakiem zapytania, jak „Czem jesteś?“ „Co to jest życie?“ „Nie dziw się?“ „Czy warto?“ przez fałszywą deklamacyjną nutę, przez jawną nieraz tendencyę, przez brak melodyi, barw i kształtów, a nawet przez brak myśli oryginalnej, względom artystycznym nie czynią zadość. Wprawdzie w każdym z tych wierszy znajdują się wartościowe ustępy, całość jednak chroma wskutek pomysłów, nierzadko sprzecznych z istotą poezyi. Z „Bez dachu“ bije wyrzut i skarga na Opatrzność za nie dość gorliwe spełnianie czynności opiekuna cyrkułowego! „Chłopskie serce“ razi sztucznym tragizmem, nieusprawiedliwionym sytuacyą, a „Sobotni wieczór“ napisany został dla celów utylitarno-społecznych. Korzystnie wyróżnia się udatny wiersz „Przed sądem“, nie tyle pomysłem, który oryginalnym nie jest, ile siłą obrazowania, uroczystym nastrojem i powagą słowa. Szkoda, że ostatnie cztery wiersze, przyczepione jak sens moralny do bajki, celowo obnażoną tendencyą znacznie osłabiają wrażenie.

Poezye filozoficzne, czysto rozumowane, niemal abstrakcyjne, jak „Co to jest życie?“ lub „Przeszłość i przyszłość“, schodzą na wyrafinowaną grę wyrazów i wyrażeń, plączą się w bezbarwną wiązankę definicyi, usiłują zamknąć w ciasne ramy określenia zjawiska, nieujęte, niezbadane przez wiedzę. Praca to płonna, a przytem tak bardzo nie artystyczna!

A już najsłabsze chyba są owe pobudki „Bądź silnym“ i „Do młodej braci“, kwalifikujące się na wstępne artykuły do czasopisma dla młodzieży przeznaczonego, gdyż tak wiele jest w nich dobrych chęci i rad poczciwych, a tak mało poetyckiego kunsztu. W ten sposób przemawia publicysta, ale nie poeta. A Marya Konopnicka, skoro pozbywa się retoryki, umie przemawiać i nakazywać posłuch słuchaczom. Czytajmy fragment: „A choćbyście wrośli w ziemi siłami wszystkiemi.“ Poetka wygłasza w nim hasła podniosłego idealizmu z taką szczerością i siłą przekonania, z taką mocą i prawdą, że słowa ważkie, jakie z ust jej wychodzą, brzmią jak przestroga i groźne proroctwo. Wysoko podniesiony sztandar miłości bratniej wieje nam nad głowami i jasny wskazuje gościniec, po którym winny iść społeczeństwa, jeśli nie chcą zdziczeć. A kto głosem nakazującym i donośnym zdolny jest nawoływać do składania płodnej ofiary na ołtarzu cnót życiodajnych, bez których ludom śmierć niechybna grozi, ten ma prawo do napisania o sobie: „Ja wam to mówię, ja mówić mam siłę.“ Siłę tę posiada Kono-

Digitized by Google

pnicka, oczywiście nie wtedy, gdy drapuje się w togę szkolarza albo prelegenta, lecz kiedy ukazuje się w postaci natchnionego poety, kapłana, proroka. Stać ją na to, bo należy nie do tłumu powołanych, lecz do małej liczby wybranych.

Świadczą o tem wymownie jej ostatnie utwory. Świadczy o tem głęboki w pomyśle, potężny w dyalogu poemat „Prometeusz i Syzyf", oraz cały świetny cykl poezyi p. t. „Italia." A kiedy poetka, nabrawszy pełną pierś powietrza z lądów i z mórz, zapragnęła wyśpiewać pieśń epicką w wielkim stylu, naówczas w chwilach rzetelnego natchnienia z pod pióra jej wyszły toczone, świetne strofy „Pana Balcera."

V.

„Pan Balcer w Brazylii", aczkolwiek zaledwie w trzeciej części napisany, wykazał już wszystkie cechy eposu. Posiada żywe figury, tworzone trybem nawskróś poetyckim i imponujące obrazy. Trzy zasadnicze pierwiastki: człowiek, tło i forma, skoro zlewają się w doskonałą, organiczną całość, tworzą epopeję w znaczeniu współczesnem, epopeję, gdzie półbogów oraz bohaterów zastępują ludzie zwyczajni, ale kipiący życiem i z tła występujący w kunsztownych kształtach, gdzie klęski i tryumfy iszczą się nie na polach walk orężnych, ale wynikają ze starć gwałtownych a przeciwnych sobie prądów bytu, gdzie na Olimpie panuje nie Jowisz, otoczony ciżbą niesfornych bogów, lecz drgające radością i bólem, rozpaczą i nadzieją miotane naprzemiany, wrażliwe nad miarę serce nowożytnego człowieka. Gdy tak epos prawie za dni naszych zmienił się gruntownie w duchu i w treści, gdy obywa się bez intryg niebianek i przewag bojowych atletów, jeden przecież warunek po-przez stulecia pozostał bez zmiany: nieodwołalna konieczność doskonałej formy, zaklętej w rym i rytm. Wprawdzie demokratyczna proza z pychą parweniusza coraz to bardziej rozpiera się w literaturze i oczywiście u mas łatwiejszy znajduje posłuch, niż wiersz, który jest wykwintem formy; poeta jednak w chwili natchnienia, niezdolny liczyć się z gustami tłumu, rad uderza w melodyjne struny lutni, gdyż czuje, że hymn zapału i uniesień, wyśpiewany z głębi piersi, choćby przed garstką wrażliwych słuchaczy, brzmieć będzie przez pokolenia, podczas gdy tak popularna mowa niewiązana, o kształtach dowolnych i przypadkowych, rozlewa się szeroko, jak płyn w naczynie nieujęty, i właśnie dlatego ginie. Poeta chwyta w lot nieśmiertelność niecący pierwiastek muzyki, geniusz melodyi siada mu na ramionach, on rzeźbi i maluje—śpiewem,

Digitized by Google

dla niego wiersz jest formą jedyną i konieczną, bo on do barw i kształtów dochodzi przez tony. A dzieje się to zazwyczaj instynktownie, zanim bowiem refleksya obejmie nad twórczością władzę, już obrazy poczynają dźwięczeć melodyą, a słowa wiążą się w rytmiczne spadki. Szczery instynkt poetycki prostą drogą wprowadza pisarza w zaklęte koła czystego artyzmu. Znajdowała się tam Marya Konopnicka, gdy tworzyła „Pana Balcera."

Pośród rozmaitych gatunków i odmian wiersza, poetka, jakby umyślnie lekceważąc sobie wszystkie trudności formy, wybrała rodzaj najbardziej kunsztowny, bo wytworną oktawę, i z niej, niby z regularnych ciosów granitu, umyśliła dźwignąć gmach poematu. A tak zuchwale postawione zadanie stało się jeszcze znakomicie cięższem dlatego, że autorka z powieści uczyniła opowieść i włożyła ją w usta prostaka, który, zawsze pozostając sobą, miał wyśpiewać światu—całą Odysseję. Jakoż wyśpiewał, oryginalnie, po swojemu, z naiwnym poglądem na świat, słowem zawsze melodyjnem i barwnem, często niezmiernie plastycznem, a ta na pozór nieuczona mowa podlaskiego kowala, silna jak jego muskuły i jak jego natura prosta, rzuca raz po raz z nieporównanem mistrzowstwem na tło bezmiernego oceanu iście imponujące obrazy. A w każdym zwrocie, w każdem niemal słowie, w całym toku opowieści pana Balcera widać wyraźnie krępą postawę majstra kowalskiego cechu, jego poczciwą twarz ogorzałą, jego zamaszyste ruchy, słychać jego głos szorstki, gruby, donośny. Poetka rzeźbi z zamiłowaniem i z wielkim artyzmem figurę głównego bohatera powieści, ma nad nim nieustanne baczenie, ani razu nie pozwala mu wyjść z roli, lecz raczej wciela się w niego, i po raz pierwszy w ciągu swej karyery literackiej stwarza jedyną w swoim rodzaju, doskonałą, aż do złudzenia żywą, kreacyę poetycką. Jest to zjawisko dla talentu Konopnickiej niemałego znaczenia. Dotychczas z pod pióra autorki naszej wychodziły zaledwie nikłe sylwetki, lub też, jak we „Fragmentach dramatycznych" symbole. Zdawało się, że jej twórczość nie zdobędzie się na żywą kreacyę ludzką, złożoną z krwi, z ciała i z kości, że w swych objawach pozostanie ograniczoną, że się nie wzbogaci najdzielniejszym środkiem artystycznym, jakim jest złożona a tak rozmaita istota człowieka, odtworzona poetyckim trybem. Dopiero po raz pierwszy w „Panu Balcerze" pokusiła się poetka nakreślić z całą świadomością postać o indywidualnem obliczu, a debiut wypadł tak świetnie, próba udała się tak nadspodziewanie, iż śmiało twierdzić można, że talent Konopnickiej, w obecnej dobie rozkwitu, stał się kreacyjnym, że obok wysokiego poczucia melodyi, kolorytu i kształtów, posiadł tę przedziwną moc intuicyi, która poecie pozwala wcielać się ze zmiennością kameleona w coraz to inne postacie. Już potrafi Konopnicka kilku

Digitized by Google

śmiałemi rzutami wydobyć z tła wypukłą figurę o konturach poprawnych i przez umiejętne oświetlenie nadać jej cechy łudzącej prawdy; wie, jak należy rozwinąć charakter konsekwentnie bez kapryśnych zboczeń i jak dyskretnie potrzeba usunąć się na stronę, aby przez samozaparcie dojść do doskonałego objektywizmu. To też na silnej, szerokiej podstawie stanęła muskularna postać Balcera.

www.rbtod.com.cn

Jest to przedewszystkiem figura epicka, bardziej zbliżona do typu, niż charakterystyczna, narysowana z ogromną zamaszystością, nawskróś swojska, a przez to wypukle odskakująca od egzotycznego tła. Natura prosta i szczera, zdrowa moralnie, fizycznie krzepka, szorstka i rubaszna, a przecież czuła bardzo, nieledwie tkliwa. Nie wiemy, jakie okoliczności skłoniły pana majstra do porzucenia ojczystego zagonu, ale snać musiały być bardzo poważnej natury, skoro człek tak stateczny i rozważny puścił się na awanturniczą podróż. Ma też minę, jak gdyby był gwałtem oderwany od rodzinnego pnia. Żeglując po przestworzach wód słonych, myśli o własnej ziemi, ustawicznie wraca do niej żywem wspomnieniem, nocami marzy o swej kuźni, widzi siebie, jak chłopskiej szkapie podkowę przybija, słyszy gęganie gąsiora na łące, a co spojrzy na okrętowego wołu, zaraz przypomina sobie „szmer skrzypiących soch w gliniastej glebie“ i jary, „gdzie kwiaty kąpią się w srebrnych obłokach tumanu.“ Z wielkiem rozczuleniem wita pierwszą gwiazdę wieczorną, która może po jego ugorze, „po jego polach chodziła świetląca.“ Zresztą jednak jest dobrej myśli i pełen otuchy. Wszak on fach w ręku posiada, wszak z rzemiosłem „człek jest światowy i luźny sam w sobie“, wszak „kunszt takiego prowadzi i naprzód popycha.“ On za oceanem chleb znajdzie pewny, na życie z łatwością zarobi, to też ani mu w głowie o los swój się frasować. Co innego z gromadą chłopów, jego towarzyszy: ci cały swój żywot „wydychali w sochę“, potrafią jedno glebę „skrobać a przewracać“, ci jadą na niepewne losy. To też gdy pan Balcer „na onem wielkiem, rozłożystem morzu“ spojrzał na siwe sukmany chłopów-emigrantów, gdy uprzytomnił sobie, po jakich-to przestrzeniach błędny wiatr pędzi tę rzeszę, „to mróz mu przeszedł i ciarki po grzbiecie.“

Przykładny katolik i konserwatysta, wróg niebezpiecznych teoryi, z niedowierzaniem słucha opowiadań o ziemskim równiku, zkąd na świat cały ma rozejść się równość, by człek dla człeka stał się równym bratem i ani szlachty nie było, ni chłopa. Potrząsa głową i nowatorów w kozi róg zapędza jednem zapytaniem, na które, co prawda, to prawda, największy głowacz odpowiedzi nie znajdzie:

Dobrzeć-by było to, lecz radbym wiedział
Kto będzie majstrem, a kto czeladnikiem,

Digitized by Google

Kiedy i w kuźni ustanie ten przedział,
A chłopak mi się zastawi Równikiem?

www.libtool.com.cn

Bogaci i ubodzy zniknąć kiedyś mogą, szlachta może zmieszać się z chłopstwem, ale w warsztacie cechowego majstra wszystko musi zostać po staremu. Terminatorom z pewnością nigdy nie przyjdzie do głowy na równik się powoływać, gdyż dobrze wiedzą, jaki-by ich za to spotkał poczęstunek. To też pan Balcer pogardliwie odpycha nowinki bałamutne z wysokiem poczuciem własnej godności i słusznie mu należnych przywilejów:

Człek się na prawie majsterskiem osiedział,
Jest w cechu; tego nie zlizać językiem!
Chorągiew bracką nosi, ma w Krakowie
Brata, co ksiądz jest, — Balcerski się zowie.

Podobnych zaszczytów istotnie nie zlizać językiem.

Pan Balcer na wszystko spogląda ze stanowiska kowala i rolnika. To mieszkaniec stałego lądu, wychodźca z zapadłej gdzieś wioski, który po raz pierwszy ujrzał się na morzu, nie zna terminologii żeglarskiej, i nowe dla siebie wodne zjawiska opisuje plastyczną mową ziemianina. Pług i socha, młot i kowadło, lasy, łąki, pola, ugory, bydło i ptastwo ustawicznie występują w jego porównaniach, a ilekroć ujrzy coś niezwykłego, zaraz w tem upatruje podobieństwo do szczegółu jakiego z wiejskiego życia i wiejskiej natury. Gdy okręt podniósł kotwicę i, dążąc na szerokie morze, rył w wodzie po-za sobą głęboką, spienioną brózdę, pan Balcer opisuje to, jakby patrzał na orkę, w sposób obrazowy i dosadny:

Tuż za nim, jako kiedy na nowinie
Pług zajmie krojem skibę a odwali,
Taka się połać skróś morza odwinie
I szczerym ogniem po strzępach się pali.

Pierwsza na oceanie napotkana wyspa przywodzi mu na myśl chróstniak, strzelający wśród fal żyta:

Wtem, jak gdy chróstniak nowizną skróś zboża
Wyrźnie się czarny, tak z wody odwałem
Wręby się jęły wycinać śród morza
Wyspu onego, o którym słyszałem.

A zaś kula ziemska pod owym równikiem zda mu się być do dyni podobną:

Digitized by Google

Mówią, że ziemia, nakształt wielkiej dyni,
Brzuchem się tutaj wypycha do słońca
A czuby wciąga, — przezornie to czyni,
Bo by ją nawskróś strawiły gorąca.

www.libtool.com.cn

Podczas burzy morskiej bałwan tak silnie go uderzył, jak chłop, „gdyć nogi podbije kłonicą“, a wichry jak konie wodę skopały kopytem, „w błyski kowanem i w gromy podbitem.“ Oczywiście, iż szalona nawałnica na oceanie natychmiast budzi w panu Balcerze wspomnienia burz widzianych w puszczach i w lasach. Morze szumi, jak bór sosen, wichurą spiętrzone wały ryczą, niby byk do stada, a zorany ugor nie tak czernieje, jak wodne otchłanie. Zdaje się, że wszystkiemi porami wychodzi z pana Balcera natura wieśniaka, który, chociaż już na morzu, ma płuca pełne jeszcze powietrza z łąk i pól rodzinnych. Sprawia to język charakterystyczny poematu, jędrny, dosadny, silny jak pięść kowala, a tak obrazowy, że każdy pojedyńczy wyraz zda się wyginać w kształty i barwami mienić. Ten kunsztowny język roztacza przed oczyma naszemi całą istotę bohatera poematu, jego naiwność i dobroć, jego wierzenia i przesądy, jego pewność siebie, jego „światowość“, odwagę, siłę fizyczną, rezolutność, poczucie własnej godności, konserwatyzm, głębokie uczucie religijne i silne arystokratyczne skłonności,—wszystko na swojskiem tle pierwotnej i wrażliwej natury rolnika z krwi i z kości. Te wielorakie zaś i rozszczepione promienie duszy ludzkiej zlewają się harmonijnie w jeden świetlany snop i do jednego dążą ogniska. To też doskonale pomyślana figura pana Balcera, pokazana czytelnikowi ze stron rozmaitych i wśród różnych okoliczności, zarówno przy pełnem świetle dnia, jak w mrokach nocy, czasu zabawy, ochoty, bijatyki, otuchy i zniechęcenia, aż kipi życiem indywidualnem i przez rysy głębokie a znamienne dźwiga się do rozmiarów wybornego typu.

Bo typowym rzemieślnikiem wiejskim jest pan Balcer, gdy na pokładzie okrętowym staje „na pewnych nogach i szeroko w kroku“ z czapką dla fantazyi na lewem uchu i z fajeczką w zębach, gdy żegna ląd stały na pozór rezolutnie, lecz w gruncie z rozrzewnieniem i obawą, gdy krzepi się myślą, że jakoś to będzie, gdy siłą zdobywa sobie nocleg na okręcie i marzy o wiosce rodzinnej i o kuźni swojej. Podczas burzy morskiej i pożaru, w bójce z pijanymi majtkami i przy chrzcie dziecięcia, w stypie po zabiciu podolskiego wołu i wobec połowu na rekina, pan Balcer występuje rezolutnie lecz rozważnie, a zawsze z godnością, jak na typowego majstra kowalskiego przystało. To nadaje niezwykłą żywotność jego postaci.

Digitized by Google

Mimo trudów podróży, tęsknoty za krajem, niepewnego jutra i nieszczęść, jakich jest świadkiem dookoła, pan Balcer nie żałuje tej swojej wyprawy do Brazylii. Zjechał kawał świata, zobaczył rzeczy nowe a niezwykłe, bogate wspomnienia mieć będzie. W takiej-to chwili pogodzenia się z losem, autorka kładzie w usta swego bohatera głębokie słowa, owiane melancholijną poezyą wspomnień i pamiątek:

Piękna to jednak rzecz, niech co chce będzie,
Na własne oczy zobaczyć te dziwa!
Zaś gdy człek wróci i na swojej grzędzie
Roztrząśnie snopa z tych ziem cudzych żniwa,
To choć w pomierzchu i w cieniu usiędzie,
Zostaną na nim te blaski, te szkliwa,
I snuć się będą, jak nici pajęcze,
Kiedy w nich słońce zapali swe tęcze.

A choć, żeglując po wodnych bezdrożach, chciwie chwyta wrażenia i z ciekawości mało nie wypatrzy oczu, ustawicznie jednak zwraca oblicze hen ku wschodowi. Rzuca to równe, spokojne światło na wysoce artystyczną kreacyę Konopnickiej, będącą owocem rzetelnego natchnienia.

Na emigracyjnym okręcie pan Balcer bynajmniej nie jest odosobniony. Otacza go liczna rzesza wychodźców polskich, wśród których szczególną uwagę zwracają na siebie Horodziej i Opacz, figury silnie charakterystyczne. Opacz, chłop silny, barczysty, o głowie kędzierzawej i bezczelnej twarzy, „szeroki w gębie", jarmarkowicz i wałkoń, rodzaj wioskowego filuta, stary wyjadacz, który miejskie kąty wycierał, z lekceważeniem patrzący na kmiecia i gardzący jego dolą, pełen złych skłonności, zabawny pyszałek i fanfaron, co, żeglując po Atlantyku, zdziwionym babom dowodzi, że „nie takie morze widywał w Odessie", niedowiarek i karciarz, Opacz nie wiele miejsca zajmuje w poemacie, a przecież ile razy ukaże się z cygarem w zębach i w boki ujęty, to świadczy wymownie, że Konopnicka nie z tektury, ale z krwi i z kości tworzy swe kreacye.

Jakże odmiennym jest stary, nawpół ślepy Horodziej, ten wioskowy patryarcha i mistyk z zacięciem kaznodziei, co rządy dusz nad gromadą trzyma, chrzci urodzone na okręcie dzieci, krzepi wątpiących i zbolałych, nawołuje do cnoty a skutecznie gromi swawolę. Zwłaszcza słabym niewiastom Horodziej nie skąpi pociechy, to też go, jak księdza słuchają, gdy im prawi o św. Piotrze i o niebieskiej opiece nad dziatwą. A choć Opacz radby zazwyczaj przerwać staremu kazanie jakąś cyniczną uwagą lub bezczelnym śmiechem, nie dopuszcza do tego gro-

Digitized by Google

mada, bo wie doskonale, „że owe podniebne rzeczy nad chleb są niewiastom potrzebne."

Natomiast figura Hanki Szczęśniakowej jest nazbyt melodramatyczna. Boleść rodzicielki po stracie dziecka z wielkiem umiarkowaniem stosowaną być winna jako artystyczny czynnik. Nie trudno wogóle pobudzić czytelniczki do płaczu, kiedy im się ukazuje trumienkę z dzieckiem i matkę tarzającą się w bólu. Cóż dopiero, gdy śmierć zabiera niemowlęta na okręcie wśród bezmiernego oceanu, kiedy pachołek spycha trupki do morza, a za niemi oszalałe kobiety rzucają się w głębinę. To już jest zbytek wrażeń.

Ale za to te gromady Mazurów, Kurpiów, Płoczczan, Podlasiaków, cały ten różnobarwny tłum emigrantów żwawo porusza się, żyje, dziwuje się osobliwościom morza, żegna ląd stały modlitwą wieczorną, utyskuje, krzepi się, spiera między sobą, zgrywa się hazardownie w karty, wszczyna zwady i bójki z innemi na okręcie nacyami, radzi o przyszłem gospodarstwie hen za oceanem i o przyszłej lepszej doli marzy. Ten ręką losu na pokład okrętu rzucony lud ubogi roi się charakterystycznemi figurami, zadziera nosa „a gra w szlachcica", jak Magier, stelmach z Łukowa, urządza rebelię i potem w kunie o czczym duchu siedzi, jak Roch Zatrata z Łęczny, przegrywa całą chudobę i mści się swej krzywdy, jak Przytuła, lub też jak trwożliwa gromadka Podlasiaków stoi spokojnie na stronie. Ogromny ruch i rozgardyasz panuje na okręcie i odbija wyraźnie od tła szybko zmieniających się, jak w kalejdoskopie, obrazów.

Najpiękniejszy z tych obrazów, to połów rekina, chrzest na okręcie i burza.

Konopnicka okiem ducha widzi to życie, jakie opisuje, a barwy, kształty, tony ma na zawołanie. Z jaką plastyką maluje naprzykład łowy na rekina:

Aż raz, był ranek mglisty, na pokładzie
Gwałt! Patrzę, lecą szypry, marynarze,
Za nimi ciżba narodu w nieładzie.
Tak ja do burtu! Spychają nas straże,
Sternik klnie, z haków zerwało dwie kadzie,
Szum, plusk na morzu... A w tem się ukaże
Ogromny, stary rekin, co z żelazem
Słoninę chwycił i połknął zarazem.
Dopieroż go tu windować do góry!
Nie tak się szarpie wół, gdy go obuchem
Rzeźnik w łeb żdzieli, jak ów... Byłby sznury
Urwał i poszedł, gdy w tem mi nad uchem

Digitized by Google

Kula świsnęła z miczmańskiej dwurury.
Zwierz się okręcił, chlupnął raz i brzuchem
Na wodę! Tak go dobyli, nietwora!
Dopieroż radość i nuż do topora.

A oto malowidło rodzajowe we flamandzkim stylu:

Kucharczyk jeden, w krochmalnym berecie,
Osiadł go (rekina), jakby kulbakę okrakiem;
Cmoka, że niby na końskim to grzbiecie,
Nuż piętą w boki, nuż po łbie kułakiem!
A w tem się porwie rekin i poniesie...
Chłop z niego. Blady, jak chusta, czworakiem
Klapnął o ziemię, by żaba rozbita,
A ten dopieroż raz chrapnął i kwita.

Podziwiać należy ten artyzm, co szczegóły małoznaczące umiejętnie oblewa blaskami fantazyi, tę poezyę światłocienia, która z powszednich przedmiotów i faktów wdzięczne wydobywa efekta. Konopnickiej tak niewiele potrzeba, aby skreślić znakomity ustęp! Oto straszydło morskie dało się wziąć na wędę i legło pod toporem marynarzy. Wszak treść nie bogata. A przecież jaka obfitość doskonałych szczegółów w wykonaniu, ile rodzajowych obrazków grupuje się około jądra głównego wypadku. Rozgardyasz na pokładzie okrętu, walka rekina ze śmiercią, niefortunny występ kucharczyka, zdziwienie baby na widok potwora, składają się, niby artystycznie szlifowane kamyki, na wzorzystą mozaikę. Środki takie proste, a przecież tak skuteczne— pod piórem utalentowanego pisarza.

To samo da się powiedzieć o chrzcie niemowlęcia, to samo mistrzowskie ujęcie przedmiotu. Oto stary Horodziej, kmieć świątobliwy, wodą i krzyżem naznacza czoło dzieciątka, co ujrzało światło dzienne na okręcie. Cała gromada, świątecznie odziana, otacza starca i chrzestnych rodziców, dziarskiego parobczaka i dziewkę, jak wiśnia rumianą. Dziwią się obcy nowemu dla siebie widokowi, otaczają wiankiem gromadę, a siaki taki, na podarek chrzestny, rzuca w węzełek monetę dla dziecka.

Ale Horodziej w siermięgę odziany
Podniósł dzieciątko w błękitne przestworza,
Gdzie gorzał słońca krąg, ogniem nalany,
I rzekł: Oto się narodził śród morza
Człowiek i chrzest mu z imienia jest dany.

Digitized by Google

A jeśli wola używi go boża,
Krzyżtof zwan będzie, od tego okręta,
Co „Krzyż“ jest... Niech swój początek pamięta.
A ty go ręką swoją, Chryste Panie,
Przeżegnaj, bo jest tułacz nad tułacze.
A pliszka w gnieździe lepsze ma posłanie,
Niźli dzieciątko to, co się kołacze
W korabiu, po tym świata oceanie!
Więc między matki ozwały się płacze
Ciche i ojców odjękły im głosy.
Horodziej milczał i patrzył w niebiosy.

Do najwspanialszych kart poematu należy opis morskiej burzy, godny pono w swoim rodzaju stanąć obok burzy w „Panu Tadeuszu.“ Gwałtowną waśń żywiołów Konopnicka, podobnie jak Mickiewicz, potęguje jeszcze przez kunsztowne zestawienie głównych momentów zjawiska i przez plastyczne porównania. A gdy metody artystycznego uwydatniania chwyci się szczery talent poetycki, naówczas prześcignąć może samą naturę. Może mieć miejsce, jak u Mickiewicza, ten fakt szczególny a niezaprzeczony, że burza rzeczywista mniejsze czyni wrażenie, niż jej obraz kunsztowny.

Nawałnica rośnie u Konopnickiej, jak w rzeczywistości, crescendo. Najprzód morze poczyna burzyć się niepomiernie, fale piętrzyć się i „lizać pokład spienionym językiem“; niebo spuszcza się coraz niżej, mętne, jak szare płachcisko; deszcz leje strugami srebra, które gasną, lecą jak ołów w głębinę, stygną i staczają się w wały. Nagle z czterech stron świata podnoszą się wichry, biorą się za bary, rzucają o morze pokotem z trzaskiem i z rykiem. Pan Balcer, trzymając się masztu, blady ze zgrozy, zdumionem okiem patrzy na huragan. On tęgie burze widywał po leśniczówkach, wie, jak grzmi Kampinos i jak Białowieska puszcza huczy. Jest tam przestrach niemały, gdy nawałnica uderzy w niezmierzone bory i na krętych sosnach zagra, jak na rogu, gdy po pustej trzebieży puści wietrzne ogary i napełni knieje złowrogim rykiem przelękłego żubra. Ale leśnym burzom nie mierzyć się z rozszalałą trąbą morską! O, bo na morzu podczas nawałnicy człowieka chwyta osobny lęk, „co kości liczy, lęk ogromniejszy, niż w końcu żywota!“ I pan Balcer, stojąc na ślizkim pokładzie i drżąc ze strachu i zimna, wściekłość żywiołów w coraz to potężniejszych maluje obrazach:

Tu szpicem na dół przód się okręciska
Sunie, ze wszystkiem chcący grzęznąć do dna;

www.libtool.com.cn
Digitized by Google

Tu trzask, tu łomot, tu gardziel ci ściska
Śmierć, której ręka mokra jest i chłodna;
Aż nagle w górę, jak chybnięta miska,
Jedziem, a przez łby wali góra wodna,
Do suchej nitki mocząc szmat na grzbiecie,
A puść się ręką, to cię, jak źdźbło, zmiecie.

Jakże wszystkie zjawiska na polach i w lasach bledną wobec tego, co się dzieje na onem wielkiem, rozłożystem morzu:

Nie tak się w sobie rozszumi, rozwieje
Bór, gdy się sośnie zamiotą od burzy,
I nie tak ugór zorany czernieje,
I nie tak żyto za wiatrem się kurzy,
Jako więc morze pod oną zawieję,
Wał na wał pędzi, dogania go, nurzy,
Zatapia, ryczy, jako byk do stada,
Zrywa się, leci i w otchłań przepada.

Opis trąby morskiej w „Luzyadach“ nie może poszczycić się większą plastyką i siłą, a przecież Camoens słynie jako niezrównany pejzażysta morza.

Konopnicka jest pierwszym polskim śpiewakiem morza. Wprawdzie w skarbcu literatury ojczystej posiadamy takie klejnoty, jak „Cisza morska“ lub „Burza“ z cyklu Sonetów Krymskich, jednakowoż niezmierzony ocean w całym majestacie i grozie występuje u nas po raz pierwszy dopiero w „Panu Balcerze.“ Widoki morskie Konopnickiej są po mistrzowsku oddane. Jeżeli Camoens celuje w subtelnem malowaniu zmienności fal i gry obłoków, jeżeli jego wodne zjawiska są bardzo wdzięczne i zarazem bardzo dokładne, to o Konopnickiej rzec można, iż jej morze żyje jakiemś potężnem życiem indywidualnem, że posiada jakby własne ruchliwe oblicze, na którem pogoda, cisza, omdlałość, niepokój, gniew i wściekłość malują się z przedziwną wyrazistością. Nie wiemy, czy Konopnicka czerpała obrazy swoje z natury i ani myślimy tego sprawdzać, gdyż jeżeli morze nie wygląda tak, jak je przedstawia poetka, to szkoda, bo tak ze stanowiska sztuki wyglądać powinno. W sztuce nie chodzi o nagą prawdę, ale o jej kunsztowne złudzenie, nie o wierne kopie, lecz o samorodne piękno. A obrazy Konopnickiej są piękne, więc wiekuiście prawdziwe, zatem nieśmiertelne i pod względem artystycznym więcej rzeczywiste od rzeczywistości samej.

Niepodobna wyliczać tu wszystkich piękności poematu, gdyż należało-by, rzec bez przesady można, rozebrać każdą strofę oddzielnie.

Digitized by Google

W każdej z nich uderza to głęboki ton, to bogaty koloryt, to pełne plastyki porównanie, a wszystkie odznaczają się siłą i męskością języka. My tylko wyłowimy co świetniejsze perły.

www.libtool.com.cn

Więc naprzód zachód słońca na morzu. W jednej strofce daje Konopnicka obraz skończony, malowany w sposób impresyonistyczny, lecz z zachowaniem miary i bez jaskrawości. Barwy ogniste, złote, błękitne, zlewają się harmonijnie ze sobą, gasną, przetapiają się w tło przepojonego wodną parą, cichego, pogodnego nieba o blado-niebieskim rąbku od wschodu, na który występują drgające, złotawe plamy gwiazd wschodzących. Kolory żywe, jaskrawe, łagodzone barwą modrą i blado-złotą, przepuszczone przez lekką mgłę przezroczystą, nie zacierającą jednak konturów, składają się na magiczne blaski gwiaździstej, nadchodzącej nocy. Wrażenie odbieramy świetlne, wyłącznie niemal kolorystyczne:

A już te łuny ugasły na wodzie,
Z zachodnich ogniów, kolorów i z słońca;
Niebo się miało ku cichej pogodzie
Otchnione parą od końca do końca.
Lekkuchna modrość szła po niem na wschodzie,
Aż nagle gwiazda wybłysła z niej drżąca
I liczko swoje złociste a blade
Prosto na naszą zwróciła gromadę.

Zanim po zachodzie słońca gwiazdy wzejdą i rozżarzą się na niebie, zmrok święci krótkie chwile swego panowania. Moment taki na morzu, wobec szybko gasnącego słońca i gwałtownie zapadających ciemności, może strach budzić i grozę. Dosadnie chwilę tę oddaje autorka w strofie: „Zczerniały nagle wody.“ Po falach, które tylko co gorzały łuną zachodnich ogniów, kolorów i blasków, rozciągają się gęste, posępne całuny nocy. Morze zdaje się stawać złym i złośliwym potworem, co „rad po omacku w ciemnościach się chlusta“; korzystając z mroków, wściekłości swej z rozkoszą upust daje. Czarną chmurą nakryte bałwany nacierają na boki okrętu, warczą z gniewu i jak pies kły wyszczerzają. Potężny, straszny nawet w swym spoczynku żywioł, uosabia, ożywia poetka tak kunsztownie, iż odbieramy dotykalne niemal wrażenie ponurego zmroku na niegościnnych, wrogich człowiekowi falach oceanu.

Ale cały swój talent kolorystyczny roztacza autorka najwspanialej w pożarze okrętu. Okręt ten gore, jak istna Sodoma. „Niebo objęły krwawe transparenty i tła ogniste, przez które się wieńce dymów waliły. Nad morskie odmęty snuli się ludzie, niby potępieńce,

Digitized by Google

rozkrzyżowaniem rąk swoich krzyczące i wniebogłośne.“ Olbrzymie maszty, przepojone smołą, na pomost zioną deszczem siarczystym, wierzchołkami zataczają w powietrzu ogniste pierścienie i walą się w iskier kurzawie. Żagle, płachty, sznury, wylatują w powietrze, jak ogniste ptaki, ważą się chwilę, kręcą nad dymami, od których bije złowrogi blask rudy, porwane wiatrem wzbijają się jeszcze wyżej, tworzą gwiazdy i miesięczne koła, „toczą się, błyszczą, pękają ogniście i osypują, jak z brzóz w gaju liście.“ A tłum przerażony, bezprzytomny, tłoczy się, tratuje, przewraca, ucieka, skącze w morze, lub, szalony od huku i dymów, rzuca się w sam środek płomieni.

Pan Balcer, patrząc na szał i wściekłość najstraszniejszego z żywiołów, uznaje całą groźną piękność pożaru, ale przejęty i wzruszony nieszczęściem, taką posępną wygłasza sentencyę:

Kupa tam ludu musiała zaginąć
Od głowni onych i iskier kurzawy;
Bo się to śmierci niełatwo uchynąć,
Gdzie woda z ogniem pilnują przeprawy.

Oczywista, zwłaszcza jeżeli ogień i woda tak szaleją i tak niszczą, jak to wspaniale epickim pędzlem maluje Konopnicka.

Na obrazach jej silne, epickie piętno wyciskają dosadne, w homerowym stylu trzymane porównania i przenośnie. Roi się od nich każda niemal stronica poematu. Niekiedy są to krótkie metafory, kunsztowne figury retoryczne, niekiedy zaś skończone w sobie parabole, nadające szczególniejszy wdzięk i żywość opowieści. Czasem poetka łączy ze sobą dwa pojedyńcze epizody obrazowemi porównaniami. W ten sposób powiązaną została bójka pana Balcera z morską nawałnicą. Kiedy na pomoc opadniętemu przez podchmielonych marynarzy zgruchnął się naród, gotów do bijatyki, gdy łby jęły się marszczyć a w licach ognie zaczęły już buchać, autorka przez deszcz rzęsisty nie dopuszcza do okrutnie poczynającej się walki i epizod zaokrągla przepysznem porównaniem:

Jako więc kiedy o kość się u proga
Psi gryzą, a tu dziewka chluśnie z cebra,
Tak wnet ugasła ta cała pożoga,
Tylko matrosa Stach macał pod żebra.

A obraz morskiej burzy zaczyna się również parabolicznie:

Jak kiedy hutnik w rów szlakę wypuści,
A wody ze dna podniosą się z sykiem,

Digitized by Google

Tak wnet przyrosło tych morskich czeluści,
Już pokład liżą spienionym językiem.

www.libtool.com.cn

Tak wiążą się epizod z epizodem, porównanie z porównaniem i tworzą szereg plastycznych obrazów. A owo ożywianie natury, uosobianie jej sił, upostaciowanie zjawisk, tak częste u Konopnickiej, pozostaną zawsze dzielnym środkiem artystycznym, jeżeli będą jak w „Panu Balcerze“ użyte umiejętnie, z poczuciem miary. Nic łatwiejszego, jak wśród tych figur retorycznych, metafor, parabol wpaść właśnie w hyperboliczną przesadę.

Mówiliśmy już wyżej o niezwykłej obrazowości języka w „Panu Balcerze.“ Poetka starannie unika ogólników, wyrażeń abstrakcyjnych, wypłowiałych, banalnych, które nic nie mówią, natomiast epos swój zdaje się tworzyć z tonów, kolorów, kształtów. Słowa robią wrażenie dotykalnego wcielenia idei, język dyszy artystyczną zmysłowością. Barwa jego lokalna, urozmaicona prowincyonalizmami. Język poematu trzyma miejsce pośrednie między wiejską gwarą ludową a mową poprawną, piśmienniczą. Bo wszakże zwraca się do nas nie zwyczajny chłop zagrodowy lub miejski łyczek ciemięga, ani też wykształcony turysta, lecz „luźny w sobie“ rzemieślnik wiejski, majster sławetnego cechu kowalskiego, człek wprawdzie prosty, lecz bywały, wśród ludzi otarty. A właśnie taki człowiek taką tylko może posługiwać się mową.

W „Panu Balcerze“ występuje jeden jeszcze czynnik artystyczny, ważny nader i cenny, bez którego nie obywa się żaden wszechstronny talent literacki, czynnik dotychczas u Konopnickiej nie spotykany prawie, mianowicie humor. W zbiorach jej poezyi nie zabrzmiała ani razu nuta szczerze wesoła, a we „Fragmentach Dramatycznych“ zaledwie parę ustępów zdolne wywołać blady uśmiech na usta czytelnika. Zdawało się, że poetka potrafi płakać, śmiać się, tęsknić nad miarę, że umie zachwycać się i wzbudzać zachwyty, wywoływać podziw, przerażenie, grozę, że zdolna jest do szału i uniesień, że posiadła wszystkie środki artystyczne, oprócz czynnika humoru. A brak humoru, dowcipu, tej attyckiej soli, to w artyście wielki niedobór. Nie módz efektów potęgować kontrastem, igrać światłocieniem, błysnąć słowem, skrzącem się wesołością, wywoływać śmiechu i uśmiechu, to znaczy być skazanym w wielu sytuacyach na niemoc zupełną. Humor, dowcip, ironia, nawet sarkazm zjadliwy, to dary zarówno cenne, jak powaga, groza, wdzięk i szczerość uczucia. Dary te posiadła Konopnicka i po raz pierwszy spożytkowała je z powodzeniem w „Panu Balcerze.“ Humor ten szczery, a przecież subtelny, przeważnie występuje w kreśleniu postaci. Figura charakterystyczna Opacza jest silnie humorystyczną, jest nią

Digitized by Google

Roch Zatrata i, mimo swej srogości, Magier, a i na głównego bohatera poematu padają łagodne, złote blaski naiwnej jowialności. W samym toku opowieści nieraz podnosi się i wzbiera ożywcza fala wesołości. Wobec silnie występujących w poemacie czynników wzniosłości i grozy, humor i dowcip dzielnie przyczyniają się do utworzenia przez powabną rozmaitość doskonale zharmonizowanej całości.

Wady poematu, boć i o brakach, nieznacznych zresztą, dla ścisłości wspomnieć potrzeba, dadzą się właściwie odnaleźć w jego konstrukcyi, w nieproporcyonalnym układzie pojedyńczych epizodów, w braku rozwijającej się prawidłowo akcyi, oraz w zbytniem niekiedy upstrzeniu języka prowincyonalizmami. Za rozwlekły jest opis emigracyjnego okrętu, za szczegółowe, nazbyt specyalne wyliczanie masztów i sposobów ich sporządzania. Za dużo miejsca zajmuje także epizod melodramatyczny ze Szczęśniakową i jej martwem dzieciątkiem. Brak właściwej akcyi usprawiedliwiają okoliczności, wśród których układa się bajka poematu. Zresztą ta żegluga tułaczów nad tułacze przez niezmierzony ocean do krainy tajemniczej, nieznanej, ukazana na takiem tle i w takich ramach, jakie stworzyła fantazya poetki, obywa się bez akcyi, bo wre sama w sobie wzruszającym dramatem.

Ukazanie się „Pana Balcera“ jest po Sienkiewiczowskiej trylogii historycznej najważniejszem u nas zjawiskiem literackiem. Jeżeli Konopnicka w następnych częściach eposu swego utrzyma się na poziomie artystycznym części pierwszej, jeżeli nie zawiedzie jej natchnienie a język ze wszystkiemi skarbami swemi będzie jej jak dotąd posłuszny, jeżeli opowieść zaroi się żywemi figurami, a wdzięk, groza i humor nawzajem i nadal w zupełności potęgować się będą, to stworzy dzieło sztuki wysokiej wartości, które może na razie nie znaleźć należnego uznania, może być nawet zgoła zapoznane, bo i to trzeba przypuścić wobec upadającego u nas poczucia poezyi i, powiedzmy szczerze, niewykształconego smaku nietylko wśród czytającego ogółu, ale nawet wśród uznanych powag literackiej krytyki, — lecz które przejdzie zwycięsko przez probierz czasu i prędzej czy później zaliczone będzie w poczet arcydzieł poezyi naszej. Dla pożytku i chwały piśmiennictwa życzymy poetce, aby iskra Prometeuszowa nadal z równą siłą gorzała w jej łonie i — czekamy.

VI.

Jest to fakt ciekawy i zaznaczenia godny, że współczesna sztuka i krytyka literacka między sobą nawzajem zamieniły rolę. Sztuka, która powinna tworzyć, rada kroczy po zmudnej drodze analizy, kry-

Digitized by Google

tyka, która powinna rozbierać, ima się ponętnej syntezy. Przez analizę sztuka spada na poziomy obserwacyi i wnioskowania, przez syntezę krytyka dźwiga się na wyżyny artyzmu. Oczywiście, że taka ról zamiana wyszła na korzyść krytyki, ze szkodą sztuki. Podczas gdy poeta lub powieściopisarz, hołdujący analizie, gubi się w szczegółach i daje nie całokształt piękna, lecz jego rozbite atomy, krytyk z okruchów dzieła, z wydartych jego strzępków metodą syntezy układa sylwetkę pisarza, pokazuje mózg jego i serce, obraz jego czasu — i sam twórczym się staje. Prawie wszyscy znakomici współcześni krytycy nie sądzą dzieła sztuki, lecz je tłómaczą, nie rozbierają, lecz budują, dochodzą nie do wniosku, ale do obrazu. Synteza zapanowała w krytyce, jej stół anatomiczny ozdobiła kwieciem, tchnęła w nią nowego ducha, dała jej siłę twórczą i polot. Analiza, wzgardzona, odepchnięta, w przybytku sztuki schronienia szuka i tam je niejednokrotnie—znajduje.

Przecież mimo tych ponęt syntezy w krytyce, pracy niniejszej nadaliśmy wyłącznie cechy rozbioru. Naprzód na odtworzenie duchowego oblicza Konopnickiej jest za wcześnie, jej karyera literacka jeszcze nieskończona, obraz mógłby być fałszywy. Powtóre, utwór ważniejszy jest dla nas od twórcy, który wszak przez niego tylko uwagi jest godny. Wreszcie, aby zrozumieć człowieka, należy wprzód poznać i ocenić jego dzieła. Zrobiliśmy więc to, co było niezbędnem i było przedewszystkiem do zrobienia.

W poezyach Konopnickiej bacznie dosłuchiwaliśmy się tonów, melodyi, śpiewu. Muzyka jest artystycznym wyrazem najgłębszych wzruszeń duszy ludzkiej i przez to, jako sztuka, jest najdoskonalszą. Chcieliśmy poznać autorkę „Pana Balcera“ jako piewcę, i dlatego nie rozbieraliśmy wcale jej prozy.

Przyznać musimy, że analiza poezyi Konopnickiej nie podzieliła ich nam na „piękne i nie-piękne“, jak to się trafiło jednemu z krytyków poetki, prawdopodobnie z tej przyczyny, że taki pusty, nic nie mówiący podział, nie może być wynikiem literackiego badania. Nie będziemy także, śladem owego krytyka, we wnioskach swoich stawiali poetce zarzutów, „że przelotne jej i małe światło natchnienia uniemożliwia przyjrzenie się rzeczom wielkim i przyglądanie się jakimkolwiekbądź rzeczom“, gdyż sądzimy, że kto tak pisze, ten zamiast wyniośle sądzić wielki talent, powinien pokornie stylistyki się uczyć. Mimo dużej miary, jaką przykładaliśmy do utworów poetki, doszliśmy nie do lekceważenia jej talentu, ale do uznania jego siły. Niewątpliwie ma Konopnicka poetycki pogląd na naturę i życie. Pod działaniem jej fantazyi nawet martwe przedmioty, bezduszne zjawiska, wybuchy sił brutalnych i ślepych stają się żywymi osobnikami, zlewają się w logi-

Digitized by Google

czną, harmonijną całość, tworzą obrazy plastyczne i barwne, które poetka opiewa melodyjnem słowem. Konopnicka myśli obrazami, tłómaczy się śpiewem, jest przeto poetą z bożej łaski. Początkowo z dźwięcznej lutni swojej wydobywała wyłącznie niemal, z lubością i zamiłowaniem, tony smutne, tęskne, posępne, nawet rozpaczliwe, a przecież donośne i czyste. Można-by poetce zrobić zarzut monotonii, gdyby jej smutek nie był taki szczery, głęboki, tak pełen wdzięku i czaru. Potem usiłowała dokonać niemożliwej rzeczy: wygrać na strunach natchnienia abstrakcyjne pieśni na temat programowych haseł. Oczywiście, że natchnienie zawiodło. To też filozofia, teozofia, a zwłaszcza socyologia poetki, przyznać musimy, jest zgoła nie przetopioną do celów sztuki. Słabo także i beznamiętnie rozlega się w jej pieśniach erotyczna nuta. Ale mistrzem się staje, gdy maluje słonecznemi blaski piękności natury, gdy opiewa zachwyty, szał i uniesienia, kiedy tworzy porywające hymny na cześć roskoszy, młodości, zdrowia i siły, kiedy w piosenkach i pieśniach dzwoni jak skowronek po rosie, kiedy w „Mojżeszu“, w „Faunach“, w „Co się stało?“ przez doskonały kunszt obrazowania dosięga szczytów artyzmu, dźwiga się na wyżyny patosu i grozy, świetne składa dowody siły i miary w tworzeniu, kiedy w cyklu „Italia“ zachwyca stylem, plastyką i kolorami, a w „Panu Balcerze“ rozgrzmiewa epopeją, zdobywa się na tętniące życiem kreacye i po raz pierwszy epicką wzniosłość potęguje jeszcze kontrastowo subtelnym humorem.

A kiedy w pełni rozpali w sobie ogień artystycznej fantazyi, gdy się unosi na wielkich falach natchnienia, wówczas logiką, jasnością, prostotą i mocą twórczego słowa autorka „Pana Balcera“ najbardziej ze wszystkich pisarzy naszych zbliża się do tego, najwięcej przypomina tego, który jest niedoścignionym i nieporównanym w rodzimej poezyi. Twierdzimy to bez wahania, gdyż mamy świadectwa za sobą.

Stanisław Kozłowski.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

DZIEDZICZNOŚĆ

w świetle badań dzisiejszych.

Dziedziczność, w obszernem znaczeniu tego wyrazu, przedstawia jeden z najważniejszych i najbardziej zajmujących przedmiotów biologii. Czy to gdy chodzi o poznanie praw rozwoju organicznego: ewolucyi świata zwierząt lub roślin; czy to gdy chodzi o zrozumienie zawiłych objawów patologii: o choroby przekazywane ludzkości w smutnem spadkobierstwie po przodkach; czy wreszcie, gdy zależy nam na wyjaśnieniu niektórych skomplikowanych zjawisk psychologicznych — we wszystkich tych wypadkach, tak ważnych i różnorodnych, kluczem do rozwiązania nastręczających się zagadnień jest przedewszystkiem dokładne i wszechstronne poznanie praw dziedziczności. To też nie dziw, że najgłębsze umysły pośród współczesnych biologów zwracały się ku temu wielkiemu zagadnieniu i że dziś istnieje, rzec można, cały system poglądów i teoryi, dotyczących dziedziczności. Krytyczne uwydatnienie tych zapatrywań w ramach kilkudziesięciu stronic jest zadaniem niełatwem, zwłaszcza gdy chodzi o przedstawienie tych poglądów szerszemu gronu czytelników, nieobeznanemu, być może, z tem lub owem nowszem spostrzeżeniem dzisiejszej biologii, tak szybko i tak wspaniale się rozwijającej. Sądzę zatem, że najlepiej uczynię, gdy traktować będę przedmiot historycznie, gdy przedstawię teorye dziedziczności tak, jak kształtowały się one w nauce, gdy wykażę, jakiemi

Digitized by Google

drogami umysł ludzki kroczył w celu wyjaśnienia i wytłómaczenia skomplikowanych zjawisk dziedziczności. Taki sposób traktowania przedmiotu wydaje mi się najodpowiedniejszym pod względem pedagogicznym. Jest on zresztą i z tego względu pożyteczny, iż pokazuje, jak się pojęcia zmieniały, jak jedne zapatrywania wyłaniały się z drugich i jak niewłaściwem jest przeto dogmatyczne przywiązywanie znaczenia do danych teoryi. Te ostatnie są tylko wyrazem naszych wiadomości w pewnej dziedzinie w danym czasie i przy danym stanie wiedzy faktycznej; z postępem tej ostatniej i teorye zmieniać się muszą.

www.libtool.com.cn

I.

Zanim przystąpimy do rozpatrywania teoryi dziedziczności, zwrócić naprzód musimy uwagę czytelnika na główniejsze, znane dziś, dziedziny faktów odnośnych, na które przy rozpatrywaniu teoretycznem często powoływać się będziemy.

Ludzie niedostatecznie obeznani z biologią nie mają właściwego pojęcia o sile i potędze dziedziczności; niektórzy np. autorowie, zamało uwzględniający prawa biologiczne, twierdzili, że potęga dziedziczności bywa bardzo przecenianą przez przyrodników. Każdy atoli, kto tylko bliżej nieco obznajomiony jest z przedmiotem, wie, że pogląd taki jest mylny, a hodowcy zwierząt i roślin, mający ciągle do czynienia z krzyżowaniem odmian w celu wywoływania u potomstwa nowych zboczeń przez działanie dziedziczności, są aż nadto przekonani o potędze tego wielkiego czynnika życiowego. (Darwin, „Zmienność zwierząt i roślin").

Niema prawie cechy wrodzonej, która-by nie była dziedziczną. Odziedziczać się mogą: zewnętrzny wygląd ciała, postać, wzrost, konstytucya, predyspozycya do długiego lub krótkiego życia, do chorób, własności duchowe i moralne i t. d., i t. d. Najmniej znaczące, przypadkowe znamiona, przenosić się mogą często dziwnie uparcie z pokolenia w pokolenie. Oto niektóre fakta, podane przez Darwina w dziele o zmienności zwierząt i roślin w stanie kultury. W pewnej rodzinie angielskiej w ciągu bardzo wielu pokoleń niektórzy członkowie odziedziczali pojedyńczy kosmyk włosów, inaczej zabarwiony niż reszta włosów. Od jak dziwnych i rozmaitych kombinacyi budowy ciała, usposobienia i wychowania zależy charakter pisma! A jednak jakże często dzieci odziedziczają po jednym z rodziców charakter pisma, pomimo, iż rodzice w tych wypadkach nie uczyli ich pisania. Pewien skrzętny zbieracz frankosygnatur zapewnił Darwina, iż posiada w swym zbiorze kilka sygnatur ojca i syna, które niczem prawie nie

Digitized by Google

różnią się od siebie, wyjąwszy daty. Chód, gusta, głos oraz ogólna postawa ciała odziedziczać się mogą z zadziwiającą dokładnością, a każdy zapewne zna przykłady odpowiedne. Pewien chłopiec miał szczególny zwyczaj szybkiego poruszania palcami w chwilach zadowolenia, gdy zaś był bardzo pobudzony, podnosił ręce do góry po bokach policzków, dalej poruszając palcami. Zwyczaj ten zachował aż do późnej starości. Jedno z ośmiorga jego dzieci, począwszy od piątego roku życia, zaczęło okazywać zupełnie ten sam gest w chwilach radości lub pobudzenia, a co dziwniejsza, nawet gdy było samo, zdradzało swe uczucia przez te osobliwe ruchy.

Że dziedzicznemi są zdolności umysłowe i talenta, mamy na to liczne bardzo dowody w historyi nauki i sztuki: w rodzinie Bachów przechodził z ojca na syna przez kilka pokoleń talent do muzyki, w rodzinie Herszlów odziedziczały się zdolności do matematyki, w rodzinie de Candolle'ów i Darwinów—zdolności spostrzegawcze i zamiłowanie do badań przyrodniczych i t. d. Samo nawet zjawianie się jednostek gienialnych uwarunkowane jest przez nagromadzenie się w pewnym kierunku dodatnich właściwości intelektualnych, które, potęgując się drogą dziedziczności w szeregu pokoleń, wydają wreszcie jednostkę gienialną. Wykazał to w znakomitem studyum o gieniuszach Galton, autor kilku dzieł pierwszorzędnej wartości, traktujących o dziedziczności, do których powrócimy jeszcze w dalszym ciągu pracy niniejszej.

Dziedzicznemi są dalej rozmaitego rodzaju zboczenia oraz predyspozycye do chorób. W statystyce patologicznej spotykamy się z uderzającemi dowodami strasznego dziedzictwa chorób umysłowych, gruźlicy, epilepsyi, chorób nerkowych, raka, cierpień oczu i uszu i t. d., i t. d. Liczne z tych dowodów są iście przerażające. W. Sedgwick przytacza naprzykład pewnego lekarza, którego ojciec, brat i czterej stryjowie byli umysłowo chorzy i który sam dopuścił się samobójstwa, lub też pewnego chorego, którego ojciec i matka, sześciu braci i sześć sióstr cierpieli na pomieszanie zmysłów. Lecz na szczęście nietylko choroby się dziedziczą, ale w równej mierze bywają też dziedziczne: zdrowie, siła i długowieczność. Dawniej — mówi Darwin — nader był rozpowszechniony zwyczaj, że gdy kupowano rentę dożywotnią, szukano osób, należących do rodziny, której liczni członkowie dosięgali bardzo późnego wieku; wiedziano bowiem z doświadczenia, że długowieczność jest dziedziczną.

Pewien szczególny objaw dziedziczności przedstawia t. zw. *atawizm* (od wyrazu *atavus* przodek). Ten ostatni polega na tem, że pewne znamiona rodziców nie występują u dzieci, czyli są u nich utajone, lecz zjawiają się u wnuków lub prawnuków. Znane są liczne wypadki, w których np. pewne zboczenie, lub pewne cierpienie dziadka lub babki

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

występuje u wnuków, a pomija dzieci. Niekiedy dana cecha dziedziczna utajona jest w ciągu kilku pokoleń i dopiero prawnuki lub praprawnuki otrzymują ją w dziedzictwie po pradziadach lub prapradziadach. Czasami cechy atawistyczne przenoszą się w utajeniu przez dziesiątki i setki pokoleń. Tak np. nasz osioł domowy pochodzi od dzikiego szczepu, mającego nogi pręgowane, to też od czasu do czasu osły domowe wydają potomków z nogami pręgowanemi; zjawianie się pręg tych jest objawem atawizmu czyli powrotu do ubarwienia odległych przodków. W pewnej okolicy Anglii skrzyżowano kury domowe z osobnikami rasy malajskiej, odznaczającej się pewnemi osobliwemi znamionami; przez długi szereg pokoleń kury te miały znamiona zwykłych kur angielskich, lecz po czterdziestu latach zjawiły się osobniki ze znamionami rasy malajskiej; w tym więc przypadku w ciągu wielu pokoleń utajone były cechy odległych przodków i po długim przeciągu czasu znów wystąpiły [1]).

Jednym z najprostszych objawów atawizmu jest przenoszenie się cech z ojca przez córkę na wnuka, lub z matki przez syna na wnuczkę, cech dotyczących narządów rozrodczych. Zdarza się np., że krowa, dająca bardzo wiele mleka (co zależy od ogólnej konstytucyi ciała i należytego rozwoju gruczołów mlecznych), przenosi tę właściwość przez syna na wnuczkę; właściwość ta była więc z konieczności utajona u najbliższego potomka, jako u samca, lecz wystąpiła znów u potomka samiczego w trzeciem pokoleniu.

U znacznej większości istot organicznych potomstwo jest wytworem dwóch płci, z których każda przekazuje potomkowi pewną sumę cech dziedzicznych; znamiona dziecka są przeto kombinacyą znamion ojca i matki. „Vom Vater hab ich die Statur, des Lebens ernstes Führen, vom Mütterchen die Frohnatur und Lust zu fabuliren“ — powiada Goethe, wyrażając w tym miłym i zręcznym czterowierszu ideę o kombinacyi cech dziedzicznych, przenoszących się z obojga rodziców na potomstwo. Trudno sobie wyobrazić na pierwszy rzut oka, jak dalece odbywa się to mieszanie znamion rodzicielskich, a tylko bardzo ścisła analiza poucza nas o tem. Najwyraźniej uwidocznia się to kombinowanie się znamion rodzicielskich u dzieci przy porównywaniu właściwości osobników potomnych z cechami rodziców u t. zw. mieszańców. „Tak np. ogier i oślica wydają t. zw. osłomuła, klacz zaś z osłem—muła. Otóż każdy z tych mieszańców przedstawia stale odmienne kombinacye

[1]) Por. J. Nusbaum, „Zasady ogólne nauki o rozwoju zwierząt.“ 1887, str. 196—219.

Digitized by Google

cech ojcowskich i macierzystych. Gruba i stosunkowo krótka głowa osła, długie jego uszy, suche kończyny i nagi prawie ogon — charakteryzują także muła, gdy tymczasem dłuższa głowa konia, krótsze jego uszy i włosisty ogon—znamionują osłomuła. Dalej, krtań osła jest bardziej złożona od końskiej, a mianowicie t. zw. chrząstka tarczowa opatrzona jest wydatnem zagłębieniem, przez co ryk osła jest bardzo wzmocniony; u konia niema podobnego zagłębienia, przez co rżenie jego różni się znacznie od oślego ryku. Otóż u mieszańców znajdujemy, że osłomuł rży jak koń, a muł ryczy jak osioł, posiada bowiem krań tak zbudowaną jak u tego ostatniego."

Wreszcie zaznaczymy jeszcze, że ważną zasadę dziedziczności stanowi zjawianie się u potomstwa różnych znamion i właściwości w tym samym mniej więcej wieku, w jakim występowały u rodziców. Tak np. w słynnej rodzinie Lambertów, u których w kilku pokoleniach występowały szczególne jeżowate wyrostki na skórze, pojawiały się one stale w dziewiątym tygodniu po urodzeniu. W niektórych rodzinach w ciągu całego szeregu pokoleń siwienie włosów odbywa się w niezwykle wczesnym, mniej więcej jednakowym wieku. W rodzie Le Comte'ów ślepota odziedziczała się w ciągu trzech pokoleń, a nie mniej jak 37 dzieci, wnuków i prawnuków, zaniewidziało około siedmnastego roku życia. Podobne przykłady znane są także i ze względu na liczne inne choroby. Jeśli jednak dana choroba dziedziczna nie występuje w tym samym wieku u dzieci, co u rodziców, to w największej liczbie przypadków zjawia się u potomstwa we wcześniejszym okresie życia niż u przodków.

Przytoczone wyżej dziedziny faktów nie wyczerpują naturalnie całej ilości różnorodnych grup objawów, które obejmuje pojęcie dziedziczności, wystarczą one jednak, zdaje mi się, dla pokazania, że jest to zjawisko biologiczne wielce skomplikowane i wywierające potężny wpływ na kształtowanie się ustrojów zwierzęcych. W ciągu dalszego rozpatrywania czytelnik zapozna się jeszcze z wielu innemi ciekawemi faktami, dotyczącemi rozbieranej kwestyi, z kolei zaś przystąpić musimy do najważniejszego zadania, a mianowicie: do *teoryi* dziedziczności, dążących do objaśnienia i wytłómaczenia odnośnych zjawisk. Pomijając dawniejsze, bardzo zresztą niejasne zapatrywania na istotę dziedziczności, rozpatrzymy teorye, wygłoszone w nowszych czasach i to w porządku historycznym, pozwalającym ocenić stopniowy rozwój pojęć w tym kierunku.

www.fubtool.com.cn

Digitized by Google

II.

www.libtool.com.cn

Najznamienniejszem i najdziwniejszem zjawiskiem w całej sprawie dziedziczności jest to, że wszystkie cechy dziedziczne przenoszą się z rodziców na dzieci za pośrednictwem drobniutkich, mikroskopijnych komórek rozrodczych: jajeczka i ciałka nasiennego. Po uskutecznionem zapłodnieniu, t. j. po połączeniu się ciałka nasiennego z jajeczkiem (patrz niżej), w jaju zapłodnionem zawarte zostają w zawiązku wszystkie przyszło znamiona, które osobnik potomny ma odziedziczyć po rodzicach. Wytłómaczyć działanie dziedziczności — znaczy więc przedewszystkiem wyjaśnić, jakim sposobem owe drzemiące, że tak powiemy, zawiązki cech dziedzicznych, zawarte w komórkach rozrodczych, uzewnętrzniają się, w miarę rozwoju osobnika, pod postacią wszelkich znamion i właściwości tego ostatniego. Wszystkie też teorye dziedziczności postawiły sobie przedewszystkiem za zadanie—wyjaśnić tę wielką, a dziwną zagadkę.

Herbert Spencer [1]) był pierwszym, który w nowszych czasach probował teoretycznie objaśnić dziedziczność. A mianowicie w swoich „Zasadach biologii“ wygłosił on przypuszczenie o istnieniu w ustroju t. zw. „jednostek fizyologicznych“, jednostek, w których uśpioną jest zdolność przeobrażania się w pewną określoną postać. Jeśli np. kończyna lub ogon salamandry, będąc sztucznie odcięte, odradzają się i odrastają, to dzieje się to, według Spencera, dlatego, iż zawarte w tych członkach „jednostki fizyologiczne“, pobudzone do działalności, odtwarzają określone postaci ciała, podobnie jak cząsteczki soli w odpowiednych warunkach układają się w określony sposób dla utworzenia stałej postaci kryształu. Zdolność układania się „jednostek fizyologicznych“ w pewien określony sposób nazywa Spencer „biegunowością jednostek organicznych.“ Według myśliciela angielskiego, cały organizm składa się z tych jednostek, a komórki rozrodcze zawierają ich grupy. Pierwsza okoliczność tłómaczy nam zdolność regeneracyi (odradzania się) organów w różnych częściach ustroju, ostatnia—zdolność komórek rozrodczych do reprodukowania całego nowego ustroju podobnego do pierwotnego. Wszystkie te „jednostki fizyologiczne“ są jednakowe i równe, a tylko ich *rozmaity układ* warunkuje *różnice w częściach ciała* (komórkach, tkankach, organach i t. d.); różnice jednak pomiędzy osobnikami i pomiędzy gatunkami uwarunkowane są przez różnice we właściwościach „jednostek.“

---

[1]) Herbert Spencer: „Die Principien der Biologie“ przekład niemiecki Vettera. 1876.

Digitized by Google

Teorya Spencera nie wiele nam tłómaczy objawy dziedziczności, a właściwie nic nie wyjaśnia dokładniej, albowiem samo pojęcie owych „jednostek“ jest wysoce nieokreślone i mgliste, a porównanie z kryształem nie rzuca światła na złożone procesy rozwojowe, zachodzące w zarodku i dążące do odtworzenia ciała rodzicielskiego. Wszelako jedną wielką zasługę przypisać musimy Spencerowi, a mianowicie, że trafnie zrozumiał konieczność przyjęcia pewnych *najdrobniejszych jednostek życiowych* dla teoretycznego objaśnienia dziedziczności.

www.libtool.com.cn

W kilka lat po ogłoszeniu przez Spencera „Zasad biologii“ zjawiło się znakomite dzieło K. Darwina [1]) o zmienności zwierząt i roślin w stanie kultury, w którem spotykamy się ze słynną jego teoryą dziedziczności, nazwaną teoryą *„pangenezy.“* Jakkolwiek sam autor nazywa ją skromnie „tymczasową hypotezą“, to jednak przedstawia ona pierwszą, na *szerszą* skalę podjętą, próbę objaśnienia wszystkich znanych zjawisk dziedziczności z jednego, ogólnego punktu widzenia.

Oto na czem polega w krótkości teorya pangenezy. Wiadomo, że komórki, wchodzące w skład organizmu, rozmnażają się przez dzielenie, tworząc grupy czyli skupienia komórkowe, tkanki i organa. Ale oto Darwin przyjmuje, że oprócz zwykłego sposobu rozmnażania się komórek, przez podział, istnieje jeszcze inny, polegający na tem, że komórki mogą oddzielić od siebie drobne ziarenka, swobodnie krążące po całem ciele. Te-to przypuszczalne ziarenka, nazwane przez Darwina „gemmules“, mają własność rozmnażania się przez samopodział, skoro warunki odżywiania są sprzyjające, i mogą się rozwinąć w komórki, podobne do tych, z jakich same pochodzą. Krążące we krwi „gemmules“, czyli „zarodeczki“, zbierać się mogą i skupiać w pewnych częściach ciała, a mianowicie głównie w tych, z których rozwinąć się mają osobniki potomne, a więc w pąkach oraz w komórkach rozrodczych. Ponieważ zatem w takich komórkach znajdują się zarodeczki ze wszystkich komórek całego ciała, mają one przeto zdolność do wytwarzania całego nowego osobnika. Odbywa się to mianowicie w taki sposób, iż każdy zarodeczek reprodukuje znów komórki, z jakich sam pochodzi, i że zarodeczki różnych komórek w tym samym porządku rozpoczynają swą działalność, w jakim odpowiedne komórki występowały w rozwoju osobnika rodzicielskiego. Autor hypotezy przypuszcza dalej, że zarodeczki oddzielają się od wszystkich komórek nietylko u zwierzęcia dorosłego, lecz zarówno także podczas wszystkich stanów rozwojowych organizmu. Zarodeczki, przekazywane przez rodziców

[1]) K. Darwin: „Zmienność zwierząt i roślin w stanie kultury“, przekład polski J. Nusbauma. 1889. T. II.

Digitized by Google

potomstwu za pośrednictwem komórek płciowych, rozwijają się zwykle wszystkie w pierwszem zaraz pokoleniu. Niekiedy jednak pewne zarodeczki pozostają jakby w drzemiącym stanie i jako takie przenoszą się do drugiego, trzeciego pokolenia i t. p., gdzie produkują pewne komórki i tem samem odpowiedne części ciała. W tym więc wypadku pewne właściwości rodziców pojawiają się nie zaraz u dzieci, lecz dopiero u wnuków, prawnuków i t. p. — jest to zatem objaw *atawizmu*. Tym sposobem przez teoryę pangenezy starał się wyjaśnić biolog angielski rozmaite przejawy dziedziczności.

Nader słabą stroną hypotezy wyżej przedstawionej jest to, iż pojęcie owych „zarodeczków“ nie jest bliżej wyjaśnione; jakież to są części komórek, w jaki sposób i dlaczego zbierają się one we właściwych miejscach i we właściwym czasie i dlaczego w oznaczonym terminie rozwijają się w komórki. Wszystko to jest niejasne i niewytłómaczone. „Zarodeczki“ nie mogą być atomami ani też cząsteczkami fizycznemi, gdyż atomy i cząsteczki nie mogą się rozmnażać i rozwijać w komórki, mogą to być tylko organizowane cząstki materyi, grupy t. zw. „micellów“ (cząstek organizowanych, wchodzących w skład komórki); ale w takim razie, jak w przybliżeniu obliczył botanik C. v. Naegeli, komórki płciowe, jako zawierające grupy micelli ze wszystkich innych komórek ciała, powinny-by mieć bez porównania większe rozmiary, niż w rzeczywistości posiadają.

Pierwszym, który podjął się zmodyfikowania i poprawienia teoryi pangenezy, był Franciszek Galton [1]), siostrzeniec Darwina. I on przyjmuje istnienie „zarodeczków“, lecz odrzuca wędrówkę ich we krwi i zbieranie się w komórkach rozrodczych. Twierdzi on mianowicie, że w substancyi komórki rozrodczej mieszczą się „zarodeczki“ wszelkich komórek ciała, ale w miarę rozwoju zarodka pewna ilość niezmienionej masy tych różnorodnych „zarodeczków“ przechodzi bezpośrednio do komórek rozrodczych młodego zwierzęcia, podczas gdy wszystkie pozostałe zarodeczki zużywają się na formowanie wszelkich innych komórek ciała. Tym sposobem u młodego zwierzęcia od samego początku w komórkach rozrodowych mieszczą się zarodeczki dla wszystkich części ciała i dlatego tylko te jedynie komórki zachowują zdolność reprodukowania nowego organizmu. Ta idea Galtona była następnie szeroko rozwinięta przez A. Weismanna w jego teoryi t. zw. ciągłości plazmy zarodkowej, którą nieco niżej obszernie rozpatrzymy.

---

[1]) Fr. Galton: „A theory of Heredity.“ Journ. Anthrop. Instit., 1875.

Digitized by Google

Z innych autorów zasługuje na wzmiankę W. K. Brooks [1]), który również był obrońcą teoryi pangenezy, lecz ją nieco zmodyfikował. Autor ten przyjmuje za Darwinem, że „zarodeczki“ oddzielają się od wszystkich komórek ciała, że krążą po ciele i zbierają się w komórkach rozrodczych lub pąkach, twierdzi atoli, że głównie męskie komórki płciowe wywierają siłę przyciągającą względem zarodeczków, tak, że te ostatnie zbierają się w męskich elementach rozrodczych w większej ilości aniżeli w żeńskich. Podczas zapłodnienia, t. j. łączenia się komórki rozrodczej męskiej z żeńską, każdy „zarodeczek“ komórki męskiej łączy się, według Brooksa, z odpowiednym zarodeczkiem żeńskiej, przeznaczonym do wytworzenia tej komórki, z jakiej sam powstał. Ponieważ zaś zarodeczki żeńskie mieszają się z męskiemi, przeto komórki, mające się rozwinąć, jako mieszańce, muszą się nieco różnić od tych, jakie rozwinęły-by się z samych zarodeczków męskich lub z samych żeńskich. W tej okoliczności upatruje Brooks główne źródło zmienności, źródło występowania u potomstwa zboczeń, co tem snadniej musi się zdarzać, iż komórki rozrodcze w różnym stopniu uposażone są w „zarodeczki“, a mianowicie: męskie zawierają ich więcej, żeńskie mniej. Oto główna myśl teoryi Brooksa, którą autor ten stara się poprzeć nader licznemi dowodami. Przytoczyliśmy zapatrywania biologa amerykańskiego, aby pokazać, że w nich kryje się idea, iż zapłodnienie, czyli ogólniej mówiąc, płciowe rozmnażanie się, jest źródłem zmienności. Idea ta została w ostatnich latach również rozwinięta szeroko przez Augusta Weismanna, lecz naturalnie z odpowiednemi zmianami, przykrojonemi do jego teoryi t. zw. ciągłości plazmy zarodkowej, którą poniżej rozpatrzymy.

Wreszcie, zanim przystąpimy do rozbioru poglądów Weismanna, będącego w tej chwili, że tak powiem, bohaterem dnia w kwestyi teoryi dziedziczności, musimy jeszcze poświęcić kilka słów zapatrywaniom słynnego botanika niemieckiego, C. v. Naegelego.

Naegeli [2]) w znakomitem swem dziele o mechaniczno-fizyologicznej teoryi rozwoju podaje głęboko pomyślaną teoryę ewolucyi, jaknajściślej się wiążącą z teoretycznemi zapatrywaniami na sprawę dziedziczności.

Nie będę tu streszczał teoryi Naegelego, odsyłając czytelnika do rozprawki mojej, przed kilku laty ogłoszonej, gdzie krytycznie rozpa-

---

[1]) W. K. Brooks: „The law of heredity, a study of the cause of variation and the origin of living organismus.“ Baltimore, 1883.

[2]) C. v. Naegeli: „Mechanischphysiologische Theorie der Abstammungslehre.„ München 1884. Przed kilku laty podałem obszerne sprawozdanie z dzieła Naegelego w „Ateneum.“

Digitized by Google

trzyłem poglądy znakomitego botanika. Tu zaznaczę tylko, że główna myśl Naegelego polega na wyróżnianiu w ciele organizmów specyalnej substancyi protoplazmatycznej, która jest podścieliskiem cech dziedzicznych i w której znajdują się zawiązki wszelkich wogóle znamion organizmu; tę substancyę nazywa Naegeli „idyoplazmą“ w odróżnieniu od pozostałej plazmy ciała, służącej tylko dla odżywiania organizmu, mającej tylko znaczenie dla samego osobnika i nie zawierającej zawiązków dla cech przyszłych pokoleń; tę-to plazmę nazywa Naegeli „odżywiającą“ (Ernährungsplasma). Przyrodnik niemiecki sądzi, że idyoplazma rozpostarta jest równomiernie w całem ciele, we *wszystkich komórkach ustroju*, i że tworzy pęczki włókniste, ciągnące się i krzyżujące wzajemnie po przez wszystkie komórki ciała. Owa idyoplazma składa się z grup drobnych, organizowanych cząstek, t. zw. *micelli*, a różne kombinacye w układzie wzajemnym tych ostatnich wywołują dostrzegalne różnice w poszczególnych znamionach ustroju, uwarunkowanych przez budowę micellarną idyoplazmy.

Myśl o istnieniu specyalnej substancyi, do której są przywiązane cechy dziedziczne (t. j. przekazywane przez rodziców dzieciom), była więc wypowiedziana przez kilku autorów całkiem niezależnie. Zbiór „zarodeczków“ Darwina, oddzielających się ze wszystkich komórek ciała i gromadzących się w komórkach rozrodczych lub pąkach, idyoplazma Naegelego, tworząca jednociągłą siateczkę włókien w całem ciele — oto substancye specyalne, będące przypuszczalnie materyalnem podścieliskiem znamion i właściwości dziedzicznych. Zanim jeszcze Naegeli był ogłosił swoją teoryę, a zwłaszcza wkrótce po jej zjawieniu się, badania doświadczalne wykazały, że rzeczywiście istnieje pewna *specyalna substancya, będąca podścieliskiem znamion dziedzicznych*, i to, co Darwin, Naegeli, Brooks i inni teoretycznie i przypuszczalnie przepowiadali, okazało się faktem pewnym i niezbitym. Badania eksperymentalne dowiodły, jak powiedzieliśmy, istnienia takiej substancyi specyalnej i pod tym *jedynie* względem stwierdziły przypuszczenia powyższych uczonych. Co się tyczy atoli miejsca, w którem substancya ta znajduje się w organiźmie, badania pozostają w sprzeczności z teoryą pangenezy i idyoplazmy, a przynajmniej nie wykazują żadnego faktu, przemawiającego na korzyść jednej lub drugiej, pośrednio zaś, jak zobaczymy, dowodzą ich bezzasadności. Prawda, o której mowa, zdobytą została na drodze empirycznej przez badanie procesu zapłodnienia. Edward v. Benenden, znakomity biolog belgijski, Herman Fol z Genewy i Oskar Hertwig, słynny profesor berliński, przyczynili się przed innymi do wyjaśnienia tego złożonego procesu biologicznego. Zapłodnienie polega na łączeniu się dwóch komórek rozrodczych: żeńskiej, czyli jajeczka, z męską, czyli z ciałkiem nasiennem. Komórki

Digitized by Google

rozrodcze, podobnie jak wszelkie inne, składają się, jak wiadomo, z protoplazmy oraz z ciałka gęściejszego, zawartego w protoplaźmie [1]), t. zw. jądra (*nucleus*). Jądro komórkowe jest tworem wielkiej doniosłości fizyologicznej, rządzi ono w znacznej części czynnościami komórki, odżywianie się bowiem tej ostatniej, rozrastanie się, ruchy oraz dzielenie się czyli rozmnażanie, zależne są od obecności jądra w komórce, a żadna z tych ważnych czynności nie może się odbywać, skoro jądro usunięte zostaje z protoplazmy. Z drugiej zaś strony byt i życie jądra uwarunkowane są przez obecność protoplazmy, która je odżywia. Otóż, co się tyczy jądra komórkowego, to przekonano się za pomocą wielce dokładnych środków optycznych, że budowa jego jest bardzo złożona (nie mniej skomplikowaną jest organizacya protoplazmy, ale przedmiot ten zupełnie tu pominiemy). Jądro składa się mianowicie z dwóch głównych substancyi: jednej, bardziej twardej i gęstej, tworzącej szczególnego rodzaju nitki, drugiej zaś bardziej płynnej, która wypełnia wszelkie luki pomiędzy owemi nitkami. Twardsza substancya tworzy niejako rusztowanie czyli zrąb jądra, a że ma własność nader energicznego barwienia się różnemi sztucznemi środkami barwiącemi, nazwano ją przeto *chromatyną* (od greckiego wyrazu *chroma*—barwa). Przekonano się tedy, że zapłodnienie polega na tem, iż jądro, a właściwie chromatyna jądrowa komórki męskiej, zlewa się z jądrem, a właściwie z chromatynową częścią żeńskiej komórki jego [2]). U niektórych zwierząt np. u robaka pasorzytnego (*Ascaris megalocephala*) jądra w komórkach rozródczych zawierają niewielką i łatwo dostrzedz się dającą ilość nitek chromatynowych, np. po dwie. Otóż gdy odbywa się zapłodnienie komórki żeńskiej przez ciałko nasienne, można wówczas stwierdzić, że do jaja wstępują dwie nici chromatyczne z komórki męskiej i że jądro zapłodnionego jaja zawiera cztery nitki chromatyny, z których dwie są pochodzenia ojcowskiego, dwie zaś macierzyńskiego (t. j. pochodzą z jądra ciałka nasiennego i jaja). Z chwilą gdy nastąpiło zapłodnienie, rodzice przekazali już potomkowi zawiązki wszystkich znamion dziedzicznych. Jajeczko zapłodnione oddziela się po większej części od ustroju matki i rozwija się po-za obrębem jego w organizm, podobny do rodzicielskiego. Jeśli nawet zarodek rozwija się w łonie

---

[1]) W większości ciałek nasiennych jądro komórkowe przedstawia przednią, zgrubiałą, główkowatą część, a protoplazma wydłużoną, cienką nić w tyle tej główki.

[2]) W ostatnich czasach zauważono (Fol), że przy zapłodnieniu zlewa się także szczególne, drobniutkie ciałko komórki męskiej z takiemże ciałkiem żeńskiej, a mianowicie t. zw. centrosoma. Na tej podstawie twierdzą niektórzy (Bergh, Haacke i inni), że nietylko chromatyna, lecz zarówno też owe ciałka protoplazmatyczne są substancyą, zawierającą zawiązki cech dziedzicznych.

Digitized by Google

ustroju macierzystego, to ten ostatni tylko odżywia zarodek, a nie przekazuje mu już podczas rozwoju żadnych nowych znamion dziedzicznych, albowiem zawiązki wszystkich tych znamion, tak ojcowskich, jak i macierzystych, zawarte są już od początku w jaju zapłodnionem, a mianowicie w chromatynie jądra.

Po tych, w krótkości tu wyłożonych, zapatrywaniach na istotę zapłodnienia, możemy z kolei przystąpić do poglądów Weismanna na kwestyę dziedziczności.

III.

August Weismann, profesor zoologii we Freiburgu, jeden z najwybitniejszych biologów współczesnych, poświęca się już od lat kilkunastu teoryi dziedziczności, a długi szereg rozpraw i dzieł, traktujących o dziedziczności i o pokrewnych objawach biologicznych, zawiera ogromną ilość dociekań teoretycznych, z których liczne na szczególną zasługują uwagę. Weismann stworzył, rzec można, cały systemat filozoficzno-biologiczny, obejmujący całokształt objawów odnośnych. Zapatrywania swoje przedstawia uczony freiburgski z wielką konsekwencyą; a jakkolwiek liczne z nich nie wytrzymały ścisłej krytyki, to jednak niektóre zasadnicze punkta teoryi w wysokim stopniu przyczyniły się do zrozumienia zawiłych praw dziedziczności. W literaturze chwili obecnej teorya Weismanna jest jednem z najgoręcej omawianych pytań i dzień każdy przynosi nam pisma, traktujące o zapatrywaniach uczonego freiburgskiego. Rozpatrzymy tedy krytycznie systemat poglądów Weismanna. Ponieważ jednak sam Weismann kilkakrotnie modyfikował i dopełniał swe zapatrywania, przeto i my rozpatrzymy je w porządku chronologicznym, tak jak się kształtowały w umyśle badacza niemieckiego.

Zasadniczy punkt we wszystkich poglądach Weismanna polega na ścisłem wyróżnianiu t. zw. znamion *urodzonych* i *nabytych*, z których pierwsze są dziedziczne, drugie zaś jakoby odziedziczać się nigdy

---

[1]) Najważniejsze publikacye Weismanna, traktujące o dziedziczności, są: „Ueber die Vererbung. Ein Vortrag.“ 1883. „Ueber Leben und Tod. Eine biologische Untersuchung.“ 1884. „Die Kontinuität des Keimplasmas, als Grundlage einer Theorie der Vererbung.“ 1885. „Die Bedeutung der sexuellen Fortpflanzung für die Selektionstheorie.“ 1886. „Ueber die Zahl der Richtungskörper und ihre Bedeutung für die Vererbung.“ 1887. „Amphimixis oder die Vermischung der Individuen.“ 1891. „Das Keimplasma. Eine Theorie der Vererbung“ 1892. Ostatnio wymieniona praca (628 stronic druku) jest najobszerniejszą i najszczegółowszą ze wszystkich pism odnośnych Weismanna.

Digitized by Google

nie mogą. Znamiona wrodzone są to takie, z któremi osobnik przychodzi na świat; cechy takie mogą się znów na następne przenosić pokolenia. Nabytemi zaś są znamiona, występujące pod wpływem czynników lub bodźców świata zewnętrznego i, jako takie, nie mogące przenosić się na następne pokolenia drogą dziedziczności. Tak np., gdy ktoś posiada od urodzenia słabowite płuca, lub też gdy urodził się z nadmierną liczbą palców (np. z 6 palcami u rąk), to właściwości te przekazać może w dziedzictwie potomkom swoim, gdyż są to cechy wrodzone. Gdy zaś ktoś, mający od urodzenia płuca bardzo zdrowe, nadweręża je sobie np. wskutek długiego pobytu, dajmy na to, w kopalniach, obfitujących w pył bezustannie drażniący organa oddechowe, lub też gdy wskutek jakiegobądź przypadku traci palec u rąk lub nóg, wówczas znamiona te, jako nabyte w ciągu życia indywidualnego, nie mogą się, według Weismanna, przenosić na potomstwo, czyli nie mogą się odziedziczać.

Wprawdzie już i przed Weismannem odróżniano pojęcie znamion wrodzonych i nabywanych i wypowiadano ideę, że gdy pierwsze mogą się *zawsze* przenosić na potomstwo, dziedziczność ostatnich jest często problematyczną. Sądzono jednak, iż gdy pewne warunki zewnętrzne działają stale i przez bardzo długi okres czasu na cały szereg pokoleń, wywoływać mogą wówczas pewne właściwości dziedziczne, z początku nader nieznaczne i nieustalone, lecz w coraz późniejszych pokoleniach potęgujące się i ustalające. Jak wiadomo, idea ta była punktem wyjścia dla teoryi Lamarka. Późniejsi biologowie nie przypisywali jej tak wielkiego i wszechstronnego znaczenia, jak to czynił filozof francuski, sądzili atoli, że nabywanie różnych cech w ciągu życia indywidualnego i przekazywanie onych potomstwu jest postulatem, w zasadzie nie ulegającym wątpliwości.

Przed Weismannem sądzono powszechnie, że różnica co do odziedziczania znamion wrodzonych i nabywanych jest tylko ilościowa, a nie zasadnicza; Weismann natomiast uważa tę ostatnią ewentualność za fizyologicznie niemożliwą. Ażeby rozumieć odnośne zapatrywania uczonego freiburgskiego, musimy naprzód poznać niektóre inne jego poglądy na pokrewne kwestye ogólno-biologiczne.

Istoty jednokomórkowe, jak np. ameby, wymoczki i t. p., rozmnażają się przez samopodział. Komórka, stanowiąca cały organizm, rozpada się w pewnym okresie życia na dwie części, na dwie połowy, z których każda przedstawia samodzielny ustrój. Gdy te osobniki potomne dorastają (ponieważ odżywiają się) do normalnej wielkości, znów się dzielą na osobniki potomne i t. d., i t. d. Tym sposobem drogą takiego bezustannego dzielenia się powstawać może nieskończona ilość

Digitized by Google

pokoleń i łańcuch życia trwa wiecznie i nieprzerwanie. Możemy zatem powiedzieć, twierdzi Weismann, że istoty jednokomórkowe są nieśmiertelne. Wprawdzie z chwilą, gdy ustrój jednokomórkowy rozpada się na osobniki potomne, przestaje on istnieć jako indywiduum, ale nie zamiera, lecz w całej swej masie, w całej swej treści, przekształca się, że tak powiemy, w indywidua potomne, tak, że o właściwej śmierci, z której pojęciem wiąże się nierozerwalnie pojęcie martwego ciała, nie może być tu mowy. Oto na czem polegała idea Weismanna nieśmiertelności istot jednokomórkowych w przeciwstawieniu do śmiertelności ustrojów wyższych, wielokomórkowych, u których osobniki żyją przez pewien czas, wydają potomstwo i wreszcie zamierają. Weismann kładzie wielki nacisk na to, że nazywając istoty jednokomórkowe niepodlegającemi śmierci, ma na myśli śmierć *naturalną*, a nie sztuczną, t. j. wywołaną przez jakiekolwiekbądź warunki niesprzyjające, które mogą działać zabójczo na życie istot. Wiadomo przecie, że np. zbyt wysoka lub zbyt nizka temperatura, albo też różne substancye chemiczne i t. p., powodować mogą śmierć istot jednokomórkowych, działając na nie jako trucizny i t. p. Ale gdyby żaden z tych szkodliwych, trujących czynników nie wywoływał przypadkowo śmierci u organizmów jednokomórkowych, te ostatnie wiodły-by w szeregu nieprzerwanych pokoleń wieczne życie. U organizmów wyższych natomiast śmierć nie jest koniecznie wynikiem przypadkowych wpływów zabójczych, lecz leży ona, że tak powiemy, w naturze organizmów, jest fizyologiczną koniecznością, podobnie jak samo życie, albowiem, nawet przy najbardziej sprzyjających warunkach zewnętrznych, ustrój, począwszy od pewnego wieku, zaczyna się starzeć, podlegać wstecznym procesom rozwojowym i wreszcie czynności jego życia zostają zupełnie zawieszone.

Zapytajmy teraz, dlaczego istoty wielokomórkowe nie są obdarzone podobną nieśmiertelnością, jak pierwotniaki? Otóż Weismann odpowiada na to w sposób następujący. Istota jednokomórkowa jednocześnie pełni czynności życia indywidualnego oraz kontynuje życie gatunku, rozmnażając się przez samopodział. U istot zaś wielokomórkowych tylko pewne, specyalne komórki biorą na siebie tę ostatnią rolę, są to mianowicie komórki rozrodcze (płciowe), czyli propagatoryczne, które przeciwstawić można cielesnym albo somatycznym, mającym tylko za zadanie — spełnianie czynności życiowych osobnika. Podobnie jak ustroje jednokomórkowe są nieśmiertelne w powyższem znaczeniu, tak też i komórki rozrodcze ustrojów wielokomórkowych, z tą tylko różnicą, iż komórki rozrodcze każdego pokolenia produkują elementa płciowe następnego, ale jednocześnie także—całą masę komó-

Digitized by Google

rek cielesnych, czyli somatycznych, które podlegają śmierci naturalnej. Wyobraźmy sobie, że komórka rozrodcza *a* produkuje osobnik pokolenia *A*; otóż komórka ta, zawierająca zawiązki wszystkich cech osobnika *A*, dzieli się i wytwarza masę komórek somatycznych: nerwowych, mięśniowych, nabłonkowych, gruczołowych, tkankołącznych i t. d. osobnika tego; przedewszystkiem atoli oddzielają się od niej komórki rozrodcze *b* pokolenia *B*, zawierające, podobnie jak *a*, zawiązki dla wszelkich cech ustroju pokolenia *C* i t. d. Tym sposobem istnieje nieśmiertelny łańcuch życiowy komórek rozrodczych *a*, *b*, *c* i t. d. kolejnych pokoleń *A*, *B*, *C*..., przyczem każda z komórek rozrodczych pokolenia *A* tworzy takież komórki pokolenia *B* i jednocześnie somatyczne komórki tegoż pokolenia; tak samo znów komórka rozrodcza *B* tworzy komórki rozrodcze pokolenia *C*, utrzymujące w nieśmiertelnej ciągłości łańcuch życia, ale jednocześnie też produkuje całą masę somatycznych, śmiertelnych komórek tegoż pokolenia *C* i t. d., i t. d. Plazmę komórek rozrodczych Weismann nazywa *plazmą zarodkową (Keimplasma)*, jako zawierającą zawiązki czyli zarodki wszystkich dziedzicznych znamion potomstwa. Teoryę przeto o ciągłości i nieśmiertelności komórek rozrodczych w szeregu pokoleń nazywa on teoryą ciągłości plazmy zarodkowej *(Kontinuität des Keimplasmas)*. Plazma zarodkowa, jako niezróżnicowana morfologicznie i fizyologicznie, zawiera zatem zawiązki wszystkich cech i znamion przyszłego osobnika, jakie on ma odziedziczyć, i różni się tem zasadniczo od plazmy komórek cielesnych (somatycznych), która jest już w pewnym określonym kierunku zróżnicowana i nie może przeto wytworzyć nowego osobnika; komórki nerwowe tworzą przez podział tylko nerwowe, nabłonkowe—tylko nabłonkowe i t. d., rozrodcze zaś, jako zawierające niezróżnicowaną plazmę zarodkową, są zdolne do reprodukcyi całkowitego ustroju nowego. W każdem więc pokoleniu owa plazma zarodkowa, zanim zaczyna się różnicować na różnorodne plazmy somatyczne, oddziela przedewszystkiem część niezróżnicowanej jeszcze plazmy, która przedstawia plazmę zarodkową następnego pokolenia i stąd jej ciągłość nieprzerwana. Weismann twierdzi dalej, że pojawienie się komórek płciowych, utrzymujących ciągłość życia, i tem samem wystąpienie zjawiska śmierci, której podlegają w każdem pokoleniu somatyczne komórki ciała, jest dziełem doboru naturalnego. Albowiem gdyby ustroje wielokomórkowe wiecznie istniały, były-by one coraz bardziej skarłowaciałe, podlegając bezustannie różnym, nie zawsze przyjaznym, warunkom zewnętrznym, które pozostawiają wciąż na organizmach ślady swego działania. Łatwo więc zrozumieć, że ustroje, które w każdem pokoleniu na nowo powstawały z komórek zawierających plazmę zarodkową (płciowych), innemi słowy, ustroje, których ciało (soma) na nowo się odbudowywało,

Digitized by Google

że tak powiemy, w każdem pokoleniu z komórek płciowych, miały przewagę w walce o byt z ustrojami, u których nie wyróżnicowały się jeszcze komórki rozrodcze i które nie podlegały przeto śmierci naturalnej.

Komórki płciowe, zawierające plazmę zarodkową, zanim zaczynają się rozwijać, czyli wytwarzać ciało osobnika potomnego, łączą się z sobą, jak wiadomo, przez proces zapłodnienia. Samo istnienie komórek rozrodczych pozostaje w jak najściślejszym związku z zapłodnieniem. Wytworzeniu się elementów rozrodczych, jako komórek kontynujących życie z pokolenia w pokolenie, towarzyszył od pierwszej chwili proces płciowy: łączenie się dwóch komórek, z których jedna jest męską, druga żeńską (u najniższych postaci istot wielokomórkowych nie znajdujemy jeszcze w niektórych wypadkach widocznej różnicy pomiędzy obiema komórkami rozrodczemi).

Otóż zachodzi pytanie: dlaczego płciowe rozmnażanie się istot stało się tak powszechnem, dlaczego w biegu rozwoju organicznego ten sposób rozmnażania się stał się właściwym wszystkim wyższym ustrojom, jakkolwiek z wystąpieniem komórek płciowych osobniki przypłacać musiały byt gatunku własnem swem życiem indywidualnem w każdem pokoleniu? Odpowiedź Weismanna na to pytanie jest zarówno interesująca, jak i głęboka.

Jeśli zważymy, iż rozmnażanie się płciowe jest tak powszechnem zjawiskiem, musimy przypuścić *à priori*, że pod pewnym względem odgrywa ono nadzwyczajnie ważną rolę w ogólnym planie bytu organicznego. Otóż jaką jest jego rola, co jest jego *raison d'être?* Komórka płciowa, zawierająca w swej plaźmie zarodkowej zawiązki wszystkich cech dziedzicznych potomka, łączy się z inną komórką płciową, będącą również siedliskiem znamion dziedzicznych potomka. W ten sposób przez proces zapłodnienia, przez zlewanie się dwóch różnych *tendencyi* dziedzicznych, jak mówi Weismann, osobnik potomny nie może być absolutnie podobny ani do ojca, ani do matki, gdyż jest produktem kombinacyi zawiązków dziedzicznych ich obojga, jest mieszaniną dwóch tendencyi dziedzicznych, z których każda jest nieco odmienną, niema bowiem dwóch indywiduów identycznych. Tu jest tedy, zdaniem Weismanna, źródło zmienności; dzięki procesowi zapłodnienia osobniki posiadać muszą pewne zboczenia od każdego rodzica z osobna, a zboczenia te są materyałem dla działania doboru naturalnego, który zachowuje w walce o byt indywidua, obdarzone zboczeniami dla nich pożytecznemi, usuwa zaś osobniki, odznaczające się zboczeniami niekorzystnemi.

Ze wszystkiego, co powiedzieliśmy wyżej, wynika, że według zapatrywania Weismanna, tak wszelkie właściwości, jakie dzieci odzie-

Digitized by Google

dziczają po rodzicach, jakoteż te wszystkie zboczenia, z któremi na świat przychodzą — istnieją w zawiązku w plaźmie zarodkowej. Ciało (soma) osobnika jest jakby powłoką, odżywiającą komórki rozrodcze, a zmiany, nabywane przez organizm w ciągu życia indywidualnego, nie mogą się przekazywać potomstwu już przez to, iż, według teoryi ciągłości plazmy zarodkowej, od pierwszej chwili rozwoju osobnika znajdują się już w nim komórki rozrodcze, zawierające zawiązki wszelkich znamion dla osobników przyszłego pokolenia.

Jeśli jednak dla ustrojów wielokomórkowych uczony freiburgski nie przyjmuje możliwości nabywania cech dziedzicznych, to uważa to za konieczność fizyologiczną, gdy chodzi o ustroje jednokomórkowe. Ustrój jednokomórkowy jest jednocześnie komórką somatyczną i propagatoryczną czyli rozrodczą, albowiem przez samopodział ustroju takiego powstają osobniki potomne. Oczywista zatem, że wpływy zewnętrzne, pozostawiające pewne piętno na danym organiźmie, odbijać się też mogą na ustrojach potomnych, które są tylko bezpośredniemi produktami podziału organizmu macierzystego.

Oto treść teoryi Weismanna w pierwotnej jej postaci, a mianowicie do r. 1886. W następnych latach biolog niemiecki rozwijał i uzupełniał w dalszym ciągu poglądy swoje na zjawisko dziedziczności, z nadzwyczajną konsekwencyą przeprowadzając swą ideę o ciągłości plazmy zarodkowej.

Przedewszystkiem Weismann zmodyfikował nieco swój pogląd co do siedliska plazmy zarodkowej i stosunku ustrojów wielokomórkowych do jednokomórkowych. Pierwotnie uważał on wogóle komórki rozrodcze za złożone z plazmy zarodkowej i przeciwstawiał im wszystkie inne komórki ustroju jako cielesne (somatyczne); na tej też podstawie, jak widzieliśmy, upatrywał zasadniczą różnicę pomiędzy pierwotniakami a istotami wielokomórkowemi, uważając te ostatnie za śmiertelne, pierwsze zaś za niepodlegające śmierci naturalnej. Ale oto à priori już wydaje się nieprawdopodobnem, aby istniała tak zasadnicza różnica fizyologiczna pomiędzy najniższemi a wyższemi grupami zwierząt ze względu na zjawisko śmierci naturalnej. Wkrótce po ogłoszeniu przez Weismanna jego teoryi nieśmiertelności istot jednokomórkowych, referując gdzieindziej poglądy badacza tego, miałem sposobność wyrażenia swoich wątpliwości w tym względzie i wypowiedziałem myśl, że prawdopodobnie już u pierwotniaków występują pierwsze ślady śmierci indywidualnej. Wiadomo mianowicie, że w ustroju istoty jednokomórkowej spotykamy zawiązki wszystkich główniejszych czynności życiowych, jakie właściwe są organizmom wielokomórkowym: ustrój taki odżywia się, oddycha, wydziela, porusza się, odznacza się wrażliwością na różnorodne bodźce świata zewnętrznego i rozmnaża

Digitized by Google

się; czyż podobna zatem przypuścić, aby ze względu na tak powszechny objaw biologiczny, jakim jest śmierć naturalna, różnił się on tak zasadniczo od ustroju wielokomórkowego? Przypuszczałem tedy w swoim czasie, że prawdopodobnie już u pierwotniaków występują w zawiązku objawy śmierci organicznej, że ustrój jednokomórkowy dzieli się na potomne nie w całej swej treści, że nie cała masa ciała pierwotniaka jest plazmą zarodkową w znaczeniu Weismannowskiem, czyli jest wiecznie bytującem podścieliskiem życia w ciągu nieprzerwanego łańcucha pokoleń, lecz że tylko pewna część składowa ustroju jednokomórkowego, podobnie jak plazma zarodkowa w organiźmie wielokomórkowym, przenosi życie z pokolenia w pokolenie, podczas gdy pozostała, podobnie jak „soma“ u organizmów wyższych, podlega śmierci naturalnej. Wkrótce potem sam Weismann, zupełnie niezależnie, doszedł do tego samego wniosku i zmodyfikował pierwotne swe zapatrywania.

Uczony freiburgski zmienił też dotychczasowy swój pogląd na stosunek komórek płciowych do cielesnych (somatycznych). Albowiem gdy pierwotnie przyjmował on zasadniczą różnicę pomiędzy całą treścią komórki rozrodczej i całą treścią somatycznej, to obecnie dochodzi do wniosku, że różnica taka istnieje pomiędzy substancyą jądra komórki rozrodczej i jądrami komórek cielesnych, że plazma zarodkowa, będąca podścieliskiem i przenosicielem cech dziedzicznych, ma swe siedlisko tylko w jądrach komórek rozrodczych, co pozostaje w zgodności z obserwacyami tyczącemi się zapłodnienia, które polega właśnie, jak nam wiadomo, na łączeniu się wzajemnem jąder dwóch komórek płciowych. W jądrze jaja zapłodnionego spoczywają zatem zawiązki wszystkich cech dziedzicznych ustroju potomnego, ono jest właściwą plazmą zarodkową. Gdy zatem jajo się dzieli na komórki potomne, z których buduje się ciało zarodka, część substancyi jądrowej jaja przechodzi niezmieniona do tego ostatniego i tworzy tam jądra (a właściwiej chromatynę jądrową) komórek płciowych, pozostała część substancyi jądra jajowego daje początek jądrom komórek somatycznych, przyczem różnicuje się na coraz bardziej specyalizowane części. Innemi słowy: gdy w jądrach komórek płciowych znajdują się związki wszelkich bez wyjątku dziedzicznych właściwości przyszłego ustroju, a więc, dajmy na to, cech: *a*, *b*, *c*, *d*, *e*, *f*, *g* i t. d., to do jąder komórek somatycznych przechodzą już tylko grupy tych zawiązków, np. do jąder komórek przyszłej skóry zawiązki znamion: *a*, *b*, *c* i t. d., do jąder komórek przyszłych mięśni zawiązki znamion: *e*, *f*, *g* i t. d., i t. d. W miarę rozwoju zarodka i wyróżniania się poszczególnych organów i części ciała, jądra komórek cielesnych, jako mających się coraz bardziej specyalizować, otrzymują już tylko pewne specyalne zawiązki znamion. Od natury jądra zależy charakter całej komórki, i przeto komórki

Digitized by Google

posiadające jądra, w których zawarte są pewne specyalne zawiązki znamion, otrzymują też odpowiedny, specyalny charakter. Tym sposobem wyróżniają się w organiźmie komórki nerwowe, mięśniowe, tkankołączne i t. d., i t. d. i powstaje różnorodność postaci składowych części ustroju. W jądrach różnych komórek cielesnych mieszczą się zatem zawiązki tylko poszczególnych rodzajów i dlatego np. komórka nerwowa może produkować tylko nerwowe, mięśniowa tylko mięśniowe i t. p. W jądrach natomiast komórek rozrodczych mieści się plazma zarodkowa, zawierająca zawiązki wszystkich znamion ustroju, plazma pochodząca bezpośrednio z plazmy zarodkowej jaja, i dlatego-to komórki te są zdolne do wytwarzania różnorodnych składników organizmu, do reprodukcyi nowego, całkowitego ustroju [1]).

Zasadnicza idea Weismanna polega więc na nieprzerwanej ciągłości plazmy zarodkowej w szeregu pokoleń i na niemożliwości rozwoju tej plazmy z somatycznych elementów ciała. Ta ostatnia idea wymaga jeszcze pewnego wyjaśnienia.

U wielu organizmów znajdujemy faktycznie, iż jednemi z najwcześniejszych produktów dzielenia się jaja zapłodnionego są elementa rozrodcze, których bezpośredni związek z komórką macierzystą jak najoczywiściej w tych wypadkach występuje; daje się to widzieć np. u wielu owadów i robaków. Badając stopniowy rozwój aż do stanu dojrzałości, możemy w tych wypadkach naocznie się przekonać, że jajo *a* daje komórki płciowe *b* przyszłego ustroju, oraz prócz tego całą masę komórek cielesnych *s* tego ostatniego, innemi słowy, że plazma zarodkowa tego ustroju nie zawdzięcza swego pochodzenia ciału (soma) ustroju, lecz pochodzi bezpośrednio od takiejże plazmy przodków. Atoli w znacznej większości wypadków komórki płciowe występują w zarodku stosunkowo dosyć późno, a mianowicie wówczas, gdy „soma“ zarodka jest znacznie posunięta w rozwoju. Czy jednak wtedy komórki płciowe biorą początek od somatycznych, innemi słowy, czy plazma zarodkowa, będąca podścieliskiem zawiązków znamion dziedzicznych, może się wytwarzać ze zwykłej plazmy cielesnej? Na pytanie to Weismann odpo-

[1]) Weismann wypowiada hypotezę co do znaczenia t. zw. ciałek kierunkowych, t. j. części jąder komórek płciowych, wyrzucanych z tych ostatnich w epoce dojrzewania. Hypoteza ta wiąże się wprawdzie ściśle z ogólną teoryą dziedziczności; ponieważ jednak jest ona niedostatecznie uzasadniona i była zresztą bardzo surowo i słusznie krytykowana przez kilku badaczy, a co więcej sam Weismann kilkakrotnie ją modyfikował i cofał się do zasadniczych jej punktów, sądzę przeto, że bez szkody dla czytelnika możemy ją zupełnie pominąć. W szeregu artykułów o dziedziczności, które przed kilku laty ogłosiłem we „Wszechświecie“, podałem między innemi treść tej hypotezy.

Digitized by Google

wiada przecząco. We wszystkich tych wypadkach część plazmy zarodkowej, czyli część niezmienionej substancyi jądra komórki jajowej, ukryta jest przez pewien czas w ciele zarodka i dopiero w pewnym okresie rozwoju staje się widoczną dla nas pod postacią jąder komórek płciowych, występujących w określonem miejscu ciała.

www.Rbook.com.cn

Wiadomo atoli, że rozmnażanie się płciowe (t. j. za pośrednictwem komórek płciowych) nie jest wyłącznym sposobem rozradzania się istot. Liczne zwierzęta jakoteż rośliny rozmnażają się prócz tego za pośrednictwem pąków, wytwarzających się w różnych miejscach ciała i t. p. U wielu np. zwierząt jamochłonnych znajdujemy obok narządów płciowych, zawierających komórki rozrodcze, specyalne organa pąkowate, z których mogą się wytwarzać, zarówno jak z jaj zapłodnionych, osobniki podobne do macierzystych. U roślin również rozradzanie odbywać się może nietylko za pomocą komórek rozrodczych, lecz i za pośrednictwem różnych innych części ciała: pąków, bulw, kłączy i t. p.; roślina, zwana Begonią, może się nawet rozmnażać za pośrednictwem kawałków liści, które, oderwane i na ziemię rzucone, zaczynają kiełkować i reprodukują całą roślinę. Istnieją wreszcie pewne gatunki mchów, które można posiekać na drobne kawałeczki, a każdy z tych ostatnich odtworzyć może całą roślinę, podobną do macierzystej. Fakta te naprowadziły na myśl niektórych badaczy, iż substancya, zawierająca zawiązki znamion dziedzicznych, mieści się nietylko w komórkach płciowych, ale we wszystkich wogóle komórkach ustroju, a więc i w komórkach cielesnych (somatycznych). Takiego poglądu trzymał się, jak nam wiadomo, Naegeli, który umiejscowiał „idyoplazmę“ (patrz wyżej) w całym organiźmie i przypuszczał, że ciągnie się ona w postaci sieci nieprzerwanej po przez wszystkie komórki ustroju. Inni nowsi badacze, np. Oskar Hertwig, trzymają się w zasadzie takiego samego poglądu, nie przyjmują atoli sieci idyoplazmy, lecz twierdzą, że w jądrach wszystkich komórek ciała, pochodzących drogą dzielenia się ostatecznie od jądra komórki jajowej, mieści się substancya, zawierająca zawiązki wszelkich znamion dziedzicznych, i że dlatego właśnie nietylko komórki płciowe, ale również pąki, odrośle i t. p. mogą odtwarzać ustrój macierzysty. Hertwig mniema, że w jądrach komórek rozrodczych oraz tych wszystkich części ciała, które zdolne są do reprodukcyi osobników potomnych, żaden z zawiązków cech nie bierze funkcyonalnie góry nad innemi, lecz wszystkie zachowują w *jednakowym stopniu* swą działalność, wskutek czego wszystkie znamiona dziedziczne mogą się tu rozwinąć i może przeto powstać ustrój podobny do macierzystego. W innych atoli komórkach organizmu zawiązki jednych znamion *biorą górę* nad innemi i nadają przeto pewien specyficzny, swoisty charakter danym komórkom; tak

Digitized by Google

np. w jądrach przyszłych komórek gruczołowych zarodka zawiązki czynności wydzielniczych biorą górę nad zawiązkami innych własności, w jądrach znów komórek mięśniowych zawiązki, określające specyficzne własności mięśni, biorą górę nad pozostałemi i t. d., i t. d. Tym sposobem, według pojęć Hertwiga, pomiędzy idyoplazmą, że użyjemy terminu Naegelego, komórek rozrodczych i cielesnych istnieje różnica nie jakościowa, lecz ilościowa; idyoplazma wszelkich komórek rozrodczych może się stać w pewnych warunkach plazmą zarodkową. Według pojęć zaś Weismanna, różnica jest tu jakościowa: plazma zarodkowa, będąca podścieliskiem cech dziedzicznych, jest bezpośrednim produktem plazmy zarodkowej jaja, bez względu na to, czy mieści się w komórkach rozrodczych, czy też w pąkach, odroślach i tych wszystkich wogóle częściach ciała zwierzęcego i roślinnego, które mogą produkować potomstwo, nigdy zaś z komórek cielesnych nie może napowrót powstawać plazma zarodkowa, ponieważ ta ostatnia zawiera, zdaniem Weismanna, zawiązki wszystkich znamion organizmu; „idyoplazma“ (t. j. według Weismanna substancya określająca cechy komórki, substancya jądrowa) zaś komórek cielesnych zawiera już tylko zawiązki pewnych specyficznych znamion ustroju, zawiązki ściśle zróżnicowane i określone.

www.libtool.com.cn

Ażeby ocenić należycie stanowisko Weismanna, musimy co do owego zasadniczego punktu porównać jego poglądy z zapatrywaniami Darwina i Galtona. Według twórcy teoryi pangenezy, materyalne zawiązki znamion (zarodeczki—*gemmulae*) oddzielają się od komórek cielesnych, krążą swobodnie w organiźmie i zbierają się w pewnej ilości w komórkach płciowych; innemi słowy: plazma zarodkowa jest według tej teoryi produktem cielesnej (somatycznej), a wszelkie nabywane przez ciało znamiona mogą się wskutek tego przenosić na potomstwo za pośrednictwem tej plazmy. Oto pogląd krańcowy w jednym kierunku. Wprost przeciwne i krańcowe w odwrotnym kierunku jest zapatrywanie Weismanna, który, jak wiadomo, wywodzi „idyoplazmę“ wszystkich komórek cielesnych z plazmy zarodkowej jaja, ale uważa za niemożliwe ponowne przeistaczanie się tej idyoplazmy somatycznej w plazmę zarodkową; ta ostatnia natomiast pochodzi w prostej linii od idyoplazmy przodków. Słowem, elementa, będące podścieliskiem dla cech dziedzicznych, odbywają, według Darwina, wędrówkę dośrodkową (centripetalną), według zaś teoryi ciągłości plazmy zarodkowej—wyłącznie odśrodkową (centryfugalną), jak się wyraża Romanes [1]). Galton

[1]) . G. J. Romanes. „Eine kritische Darstellung der Weismannischen Theorie.“ Uebersetzt von Dr K. Fiedler. Lipsk, 1893. Str. 228.

Digitized by Google

wreszcie zajmuje jakby środek pomiędzy temi dwiema krańcowemi teoryami. Przyjmuje on ogólną naukę o obecności „zarodeczków“ (*gemmules*), t. j. somatycznych zawiązków komórek. Lecz Darwin przypuszcza, że te drobniutkie ciałka swobodnie krążą po przez wszystkie tkanki ciała, tak, że liczne bardzo zostają jakby pochłaniane przez komórki rozrodcze, tworząc tu całą masę materyału dziedzicznego, z którego powstaje potomek. Galton zaś przyjmuje, że „gemmules“ krążą stosunkowo trudno i że w każdem pokoleniu stosunkowo tylko bardzo nieliczne mają dostęp do komórek płciowych. Dlatego też znamiona nabyte w ciągu życia indywidualnego są daleko mniej dziedziczne, aniżeli znamiona wrodzone, czyli, jak je nazywa Galton, „kongenitalne.“ Te cechy wrodzone sprowadza Galton do „ciągłości“ plazmy zarodkowej (czyli t. zw. „stirp“) i pod tym względem zgadza się z zapatrywaniem Weismanna. Różni się atoli odeń pod tym względem, iż uczony niemiecki zupełnie odrzuca możność odziedziczania cech nabywanych, co konsekwentnie wynika z jego teoryi absolutnej samodzielności plazmy zarodkowej i braku wszelkiego związku genetycznego pomiędzy komórkami cielesnemi a tą plazmą.

www.rcin.org.pl

IV.

Tak stała teorya znakomitego zoologa freiburgskiego do r. 1892, t. j. do czasu zjawienia się wielkiego dzieła tego autora p. t. „Das Keismplasma. Eine Theorie der Vererbung“, w którem podaje on całkowity i zamknięty systemat swych poglądów na teoryę dziedziczności, pod wielu względami uzupełnia dotychczasowe, wyżej podane zapatrywania odnośne, a liczne punkta zasadnicze modyfikuje. Te uzupełnienia i zmiany wpłynęły, zdaniem naszem, pod jednemi względami dodatnio na teoryę uczonego freiburgskiego, pod innemi atoli ujemnie, i dlatego-to właśnie można ocenić ich znaczenie tylko na tle dawniejszych zapatrywań tegoż autora.

Ale przedewszystkiem kilka uwag ogólnych o najnowszem dziele znakomitego zoologa. Tę ogólną charakterystykę pozwolę sobie wyrazić słowami Romanesa [1]), który dosadnie i nader trafnie ocenia dzieło Weismanna. Uczony freiburgski stara się z największą skrupulatnością i drobiazgowością przeprowadzić swą teoryę ciągłości plazmy zarodkowej i w tym celu przedewszystkiem uwydatnia hypotetycznie budowę i mechanizm plazmy tej, jak to niżej zobaczymy. Otóż, co do tej chęci mechanicznego objaśnienia dziedziczności, trafnie powiada Romanes:

[1]) l. c. na str. 126.

Digitized by Google

„Jakkolwiek zadziwiająca siła spekulatywnego myślenia Weismanna we wszystkich gałęziach biologii chodzi w parze z równie wielką wiedzą, niemniej przeto muszę wyrazić poważną wątpliwość co do tego, czy owym spekulacyom nie zbyt wiele zostawiono swobody. O ile tylko można było łączyć je nicią logicznego związku, tworzono hypotezę za hypotezą w takiej obfitości, jak to tylko się zdarza w dziełach metafizyków, a natomiast w pracach przyrodników rzadko nawet w przybliżonej mierze napotkać się daje. Cały mechanizm dziedziczności nakreślony jest z taką drobiazgowością i z taką wrzekomą ścisłością, że przy czytaniu tego opisu przychodzi nam na myśl opis wnętrza piekła, podany przez Danta. Nietylko „sfera“ plazmy zarodkowej składa się jakoby z dziewięciu zworzy (*Molekülen*, *Biophoren*, *Determinanten*, *Iden*, *Idanten*, *Idioplasma*, *Somatoplasma*, *Morphoplasma*, *Aficalplasma*), lecz nadto przewodnik nasz stara się prawie w każdej z tych dziedzin pokazać nam tyle osobliwych i dziwnych zjawisk, iż powracamy do świata nauki z uczuciem, jak gdybyśmy rzeczywiście byli w jakim innym świecie.“

„Dopełnienia,—mówi dalej uczony angielski—któremi Weismann opatrzył swą teoryę w najnowszej swojej publikacyi, tyczą się głównie wypracowania hypotetycznego mechanizmu dziedziczności w związku z ogólną teoryą plazmy zarodkowej. Bezwątpienia wypracowanie to obfituje w nader liczne idee, a często nawet w bardzo głębokie; ale dopóki teorya w mowie będąca nie jest w zadawalniający sposób ugruntowana, zdaje się przedwczesnem opracowanie tak olbrzymiego programu dla budowy czysto deduktywnej. Bez względu na to, jak pięknie przedstawia się ono przez imponującą swoją wielkość, opis „architektury plazmy zarodkowej“ musi być raczej uważany za artystyczny wytwór wyobraźni, aniżeli za płód naukowego uogólnienia.“

Rozpatrzmy tedy najważniejsze wyniki, do których dochodzi Weismann w nowem swem dziele.

Podstawą wszelkiej dziedziczności jest to, iż substancya żyjąca składa się z najdrobniejszych jednostek organizowanych, t. zw. przez Weismanna „bioforów“ (*Biophoren*), które mają zdolność do assymilacyi, wzrostu i rozmnażania się przez dzielenie. Nie znamy dotąd najniższych ustrojow, jakie tylko można-by sobie wyobrazić, i nie wiemy nawet, czy organizmy takie jeszcze istnieją. W każdym razie jednak niegdyś istniały one, a mianowicie jako pojedyńcze biofory, których dziedziczność pozostawała w styczności z rozmnażaniem się, bez żadnego specyalnego mechanizmu.

Nawet u nieco wyższych istot, a mianowicie złożonych z *grup* bioforów jednakowych, dziedziczność nie wymagała żadnego osobnego mechanizmu, albowiem rozmnażanie się przez samopodział wytwarza

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

tutaj dwie zupełnie jednakowe połowy, z których każda posiada takie same biofory i które wprost wskutek rozmnażania się tych ostatnich dopełniają się i tworzą ustroje zupełnie podobne do organizmu macierzystego.

www.libtool.com.cn

Ten prosty sposób dziedziczności musiał się jednak zmienić z chwilą, gdy biofory zróżnicowały się przez podział pracy. U takich istot, wskutek różnic pomiędzy grupami bioforów, istnieją już różnice pomiędzy pojedyńczemi widocznemi częściami organizmu, co właśnie znajdujemy u znacznej większości znanych nam ustrojów najniższych, należących do pierwotniaków. A mianowicie u tych organizmów odróżniamy przód i tył, stronę górną i dolną, częstokroć kilka różnych i funkcyonalnie różnowartościowych warstw substancyi ciała i t. d., i t. d.

Skoro tylko wytwarza się podobny, mniej lub więcej skomplikowany, skład ciała, wówczas nie wystarcza już prosty samopodział osobnika, aby przenieść na potomstwo cechy organizmu macierzystego. „Skoro — mówi Weismann — przód i tył, strona lewa i prawa, górna i dolna są różne u zwierzęcia, wówczas żaden rodzaj przepołowienia nie jest zdolen przekazać obu produktom podziału wszystkich elementów, t. j. wszystkich rodzajów bioforów oraz ich grup w ten sposób, aby przez prosty rozrost dopełniły się one i wytworzyły osobniki, podobne do macierzystego. Tutaj zatem stały się niezbędnemi pewne środki, umożliwiające to dopełnienie i tem samem zupełne odziedziczanie, a środek ten widzimy w powstaniu *jądra komórkowego*.“

Podobnie jak botanik niemiecki de Vries [1]), Weismann upatruje w jądrze komórkowem pierwotnie nie co innego, jak tylko magazyn zapasowych bioforów, których przeznaczeniem jest: podwajać się ilościowo, czyli dzielić się podczas podziału samej komórki, przyczem każda połowa tej ostatniej, otrzymując brakujące jej rodzaje bioforów, może dopełnić się do całości. Jądro komórkowe u pierwotniaków, czyli u istot jednokomórkowych, jest zatem siedliskiem bioforów, określających charakter komórki. Na zasadzie badań uczonego francuskiego, Maupas'a, a także R. Hertwiga i innych, wiadomo, że u wielu pierwotniaków, np. u wymoczków, odbywa się proces jednoznaczny z zapłodnieniem (t. zw. sprzęganie się), przy którym zachodzi wzajemne łączenie się pewnej części substancyi jądrowej obu sprzęgających się osobników. Weismann oznacza ten proces, podobnie jak zapłodnienie u istot wielokomórkowych, nazwą *amphimixis*; przez mieszanie się grup bioforów dwóch różnych osobników czyli przez mieszanie się różnych indywidu-

[1]) Hugo de Vries: „Intracellulare Pangenesis.“ Jena, 1889.

Digitized by Google

alnych własności, których podścieliskiem są właśnie owe grupy bioforów, pojawiają się z konieczności nowe kombinacye cech, czyli występują drobne zboczenia indywidualne, stanowiące materyał dla doboru naturalnego.

www.libtool.com.cn

U ustrojów wielokomórkowych, których komórki zróżnicowane są według zasady podziału pracy, znajdujemy co do istoty ten sam mechanizm dziedziczności, co u tworów jednokomórkowych, ale—odpowiednio do nierównie więcej złożonej budowy — o wiele bardziej skomplikowany. I u nich również zachodzi „amphimixis“, przyczem zlewają się tu substancye jądrowe dwóch komórek płciowych, należących do dwóch różnych osobników, tak, iż „jajo zapłodnione“ zawiera substancyę dziedziczną, złożoną z takichże substancyi dwóch osobników.

Substancya dziedziczna (plazma zarodkowa) istot wielokomórkowych składa się, według Weismanna, z trzech stopni jednostek życiowych, z których najniższe są bioforami. Grupy bioforów o określonym układzie tworzą zawiązki pojedyńczych komórek ciała i przedstawiają drugi, wyższy stopień jednostek życiowych: t. zw. „determinanty komórek“, lub krócej „determinanty.“

Każda komórka ustroju wielokomórkowego zostaje określana przez determinantę, tak pod względem swych znamion histologicznych, jako też rytmu i sposobu dzielenia się. Wszelako nie każda komórka ma swój samodzielny zawiązek czyli własną determinantę w plaźmie zarodkowej, lecz komórki jednego rodzaju, które, jak np. ciałka krwi, nie są w jednem miejscu zlokalizowane, mogą być zastąpione w plaźmie zarodkowej przez jedną determinantę. Naodwrót zaś każda komórka lub grupa komórek, która ma być *samodzielnie zmienną*, musi być reprezentowana w plaźmie zarodkowej przez specyalną determinantę. Gdyby tak nie było, wówczas mogła-by się ona zmieniać tylko wspólnie z innemi komórkami, które są określane przez te same determinanty.

Ile istnieje komórek lub grup komórek w organiźmie, odznaczających się *samodzielną zmiennością*, tyleż determinant zawierać musi plazma zarodkowa i te muszą się znajdować w tej plaźmie w określonem położeniu wzajemnem, czyli muszą przedstawiać określoną i ograniczoną całość—wyższą jednostkę życiową, t. zw. *id.* Weismann twierdzi, na podstawie pewnych faktów płciowego rozmnażania się i dziedziczności, że w plaźmie zarodkowej zapłodnionego jaja znajduje się znaczna ilość idów. Na pytanie, jakie części, widzialne za pomocą naszych środków optycznych, odpowiadają idom w plaźmie zarodkowej jaja, t. j. w jądrze jego — Weismann odpowiada, że prawdopodobnie nie całe nici czyli pętlice chromatynowe (chromosomy, patrz wyżej), ale tylko ich części, tak, iż widzialne w jądrze nici chromatynowe

Digitized by Google

są zbiorami wielu idów; nici te uważa przeto Weismann za jeszcze wyższe jednostki i oznacza je jako „idanty.“ Tak więc plazma zarodkowa czyli substancya, będąca podścieliskiem znamion dziedzicznych, składa się z pewnej ilości „idantów“, które ze swej strony składają się z „idów“; każdy id ma stałą i określoną budowę, będąc złożonym z determinant, które są sumą znacznej ilości bioforów. W miarę jak się zarodek rozwija i jak komórka jajowa rozpada się drogą dzielenia na coraz liczniejsze komórki, zawiązki znamion ustroju, zawarte w plaźmie zarodkowej, rozwijają się i *uzewnętrzniają się* pod postacią rozmaitych cech i znamion organizmu. Otóż to ostatnie odbywa się w taki sposób, iż wszystkie idy idantów zachowują się zupełnie jednakowo. Już przy pierwszych podziałach jaja, każdy id dzieli się na dwie połowy, z których każda otrzymuje tylko połowę determinant, a przy każdem następnem dzieleniu się komórek powtarza się ten sam proces przepoławiania się liczby determinant, wskutek czego idy coraz późniejszych stadyów rozwoju osobnika są coraz uboższe w determinanty, zawierają coraz mniej różnorodnych grup tych ostatnich, tak, iż w końcu posiadają tylko jeden jedyny rodzaj determinant, nadający już pewne określone i wybitne piętno histologiczne danym komórkom. Tym sposobem tłómaczy Weismann znany fakt, i w coraz późniejszych fazach rozwoju osobnika pomiędzy składającemi go grupami komórek coraz większa istnieje różnica.

Każda komórka zarodka określaną jest („wird bestimmt“ — jak mówi Weismann) przez jeden rodzaj determinant, który może być zawarty w idzie w wielu egzemplarzach, a „określanie“ to odbywa się w ten sposób, iż determinanta rozpada się na swoje biofory, które przebijają wówczas błonę jądrową, przenikają do protoplazmy komórki, tam energicznie się rozmnażają kosztem bioforów, wchodzących już w skład protoplazmy, układają się według określonych a nieznanych nam sił i praw, nadając przeto pewne piętno histologiczne komórce. W każdem stadyum rozwoju osobnika pewne determinanty idu dosięgają „dojrzałości“ i rozpadają się na swoje biofory. Pozostałe zaś determinanty idu, przeznaczone do określania natury komórek w późniejszych stadyach rozwojowych, zachowują się przez pewien czas niezmienione. Ponieważ układ determinant w idzie jest stały i określony, przeto i porządek ich dojrzewania odbywa się według stałych praw w każdym pojedyńczym wypadku, wynika więc z tego pewne stałe i określone następowanie po sobie kolejnych stadyów rozwoju indywidualnego, prowadzące wreszcie do zupełnego rozwoju osobnika. Oto w krótkich słowach główna osnowa dopełnień, jakie Weismann podaje w nowem swem dziele, i jakie mają wyjaśnić mechanikę dziedziczności. Ale i pod kilku innemi względami zasadniczej wagi Weismann dopeł-

www.libool.com.cn

Digitized by Google

nia, a raczej prostuje i modyfikuje dotychczasową swoją teoryę plazmy zarodkowej. Przedewszystkiem tyczy się to kwestyi dziedziczności cech nabywanych.

www.jbtool.com.cn

Jak już kilkakrotnie mieliśmy sposobność wyżej zaznaczyć, Weismann uważał dotąd za *fizyologicznie niemożliwe* odziedziczanie się cech nabywanych, co zresztą stanowiło konieczną konsekwencyę teoryi ciągłości plazmy zarodkowej. Skoro bowiem ta ostatnia przenosi się niezmieniona z osobnika jednego pokolenia na osobnik drugiego i skoro przed uformowaniem się cielesnych komórek plazma zarodkowa zawiera już zawiązki wszystkich znamion dla przyszłych pokoleń (patrz wyżej), wpływy przeto zewnętrzne, wywierające swe działanie na ciało (soma) osobnika rodzicielskiego, nie mogą zasadniczo zmieniać plazmy zarodkowej i powodować przeto trwałych i dziedzicznych zmian w potomstwie.

Kwestya, czy i o ile cechy nabyte w ciągu życia indywidualnego przekazują się potomstwu, należy do pytań wielokrotnie dyskutowanych w ostatnich latach, przyczem większość biologów oświadcza się przeciwko poglądowi Weismanna, jakoby niemożność odziedziczania się cech tych była koniecznym postulatem fizyologicznym. Cała ta kwestya jest równie interesująca dla biologa, jak i dla psychologa, stanowi bowiem doskonały przykład, pokazujący, jak często spory naukowe są wynikiem nie zasadniczej różnicy przekonań, lecz tylko nieporozumienia co do pewnych definicyi naukowych.

Przed Weismannem przyjmowano powszechnie dziedziczność cech nabywanych. Lamarck, jak wiadomo, szeroko ją stosował i oparł na niej swój system ewolucyi świata zwierzęcego. Darwin i jego następcy przyjmowali ją również, jako fakt nie ulegający wątpliwości, zdawało się bowiem, iż niepodobna wyobrazić sobie działania doboru naturalnego, jeśli odrzuca się możność odziedziczania cech nabywanych. Wszelako liczne bardzo zjawiska pokazują, że rzecz ta nie jest tak niewątpliwa, jakby to się pozornie mogło zdawać, i śmiało można powiedzieć, że dotąd nie znamy faktów pewnych i niezbitych, które-by nas doświadczalnie i stanowczo przekonać mogły, że cechy, nabywane przez rodziców, przenoszą się na potomstwo. Przedewszystkiem mamy na myśli całą dziedzinę skaleczeń i chorób przez nie wywoływanych. Wiadomo, że np. u wielu ludów dzikich panuje zwyczaj wybijania pewnych zębów; zwyczaj ten praktykuje się od setek i może tysięcy lat, a jednak dzieci rodzą się zawsze z temi zębami. U wielu zwierząt domowych, np. u psów, obcina się przez wiele pokoleń uszy lub ogony, a pomimo to nabyte te znamiona nie przekazują się potomstwu. Istnieje wprawdzie dosyć dużo rzekomych „faktów“, tyczących się zwierząt domowych, które przez przypadek traciły np. ogon i rodziły jakoby

Digitized by Google

potomków bezogonowych,—lub też ludzi, którzy przypadkowo tracili palec i płodzili jakoby potomków ze skarłowaciałym palcem odpowiednym i t. p., i t. p., ale żaden z tych „faktów“ nie został podany przez wiarogodnego badacza. Niektórzy uczeni, jak np. Virchow, twierdzili, że jeśli jakie nabyte cierpienie powoduje głębokie zmiany organiczne w ustroju, wówczas przenosić się ono może na potomstwo. Wogóle jednak panuje pod tym względem wielka sprzeczność zdań, przyczem nieraz nadzwyczajnie trudno określić, czy dane znamię jest nabyte, czy też wrodzone. Jeżeli dziecko otrzymuje w spadku jakąś chorobę po ojcu lub matce, która to choroba uważana była przedtem za nabytą, wówczas Weismann i jego obrońcy twierdzą, że oczywiście musiała ona być wrodzoną, lub przynajmniej, że predyspozycya do niej była wrodzona. Jeśli np. wskutek jakiejbądź przyczyny ojciec nadmiernie oddaje się alkoholizmowi i płodzi potomstwo chorowite i nerwowe, to można albo twierdzić, że nabyte w życiu indywidualnem właściwości (rozstrój nerwowy, jako *skutek* alkoholizmu) przekazują się w danym wypadku potomstwu, albo też, że predyspozycya do nałogowego pijaństwa była u ojca wrodzona, że zaczął się on oddawać alkoholizmowi właśnie wskutek tego, iż był jednostką nerwowo nienormalną i że przekazał potomstwu nie właściwości nabyte, lecz właśnie wrodzone. Podobne rozumowania przedstawiają naturalnie *circulus vitiosus*, błędne koło, z którego wyjść trudno i które nie pozwala nam ściśle kwestyi rozstrzygnąć. Niektórzy przeciwnicy Weismanna wskazywali fakta t. zw. telegonii, jako zgubne dla teoryi biologa freiburgskiego. Telegonia polega na tem, że pierwszy samiec wpływać może na znamiona potomstwa zrodzonego z drugiego samca; znany jest np. wypadek następujący: Klacz pokryta została przez ogiera gatunku kwaggi i wydała potomstwo mające mieszane cechy konia i kwaggi. Ale po niejakim czasie taż sama klacz, przeniesiona do zupełnie innej miejscowości, pokryta została przez ogiera rasy arabskiej i wydała potomstwo o znamionach rasy arabskiej, z pewnemi wszakże cechami żywo przypominającemi kwaggę. Zrozumieć wpływ jednego samca na potomstwo zrodzone z drugiego — jest nadzwyczaj trudno. Niektórzy przypuszczają, że pierwszy samiec wywiera pewien swoisty wpływ na organizm samicy, wywołuje w niej pewne szczególne, aczkolwiek niedostrzegalne zmiany, które odbijają się następnie na potomstwie, zrodzonem nawet z innego samca. Gdyby tak było rzeczywiście, wówczas fakta podobne byłyby zgubne dla zapatrywań Weismanna; albowiem owe przypuszczalne zmiany, powodowane przez wpływ pierwszego samca, należą stanowczo i niewątpliwie do kategoryi *nabytych*, a pomimo to przekazują się potomstwu. Jednakże cała kwestya telegonii nie jest dotąd ściśle naukowo poznana, eksperymentalnie jej dotąd nie dowiedziono

Digitized by Google

i zachodzi przeto poważna wątpliwość, czy telegonia w rzeczywistości ma miejsce. A zresztą, gdyby nawet okazała się faktem, to, jak słusznie zaznacza Romanes, nie wiadomo, czy nie pochodzi ona stąd, iż część plazmy zarodkowej pierwszego osobnika samczego miesza się z plazmą zarodkową niedojrzałych jeszcze jaj samicy, które to jaja, gdy z czasem dojrzewają i zapłodnione zostają przez drugiego samca, reprodukują wówczas z konieczności pewne cechy pierwszego. Takie objaśnienie telegonii pozostaje w zgodzie z teoryą ciągłości plazmy zarodkowej i niezależności tej ostatniej od komórek somatycznych.

www.libtool.com.cn

Pomimo to wszystko, atoli teoretycznie trudno bardzo przypuścić, aby cechy nabywane były absolutnie niedziedziczne, jak to Weismann do niedawna jeszcze przyjmował. Komórki płciowe i somatyczne, „Keimplasma“ i „Somatoplasma“, znajdują się w tak ścisłej zależności wzajemnej, że niepodobna przypuścić, aby wpływy modyfikujące somatoplazmę nie działały także do pewnego stopnia na plazmę zarodkową i tem samem nie odbijały się na potomstwie. Ścisłego związku fizyologicznego i morfologicznego pomiędzy obu rodzajami plazmy dowodzą zjawiska płciowego dojrzewania osobnika, polegające przedewszystkiem na dojrzewaniu komórek rozrodczych, a odbijające się jednak na całym organiźmie, dalej zjawiska, zachodzące w ustroju po kastracyi i t. d.

To też Weismann w ostatniej swej publikacyi modyfikuje swe dawniejsze poglądy co do dziedziczności cech nabywanych i twierdzi, że jakkolwiek wogóle znamiona nabywane przez ciało (soma) nie przenoszą się na potomstwo, to jednak te wpływy zewnętrzne, które zmieniają determinanty plazmy zarodkowej, są zdolne wywoływać zmiany dziedziczne. Tak np., powiada Weismann, „wpływy klimatyczne wywoływać mogą bardzo stałe przemiany, ponieważ powoli w biegu pokoleń sprawiają coraz to większe modyfikacye w pewnych determinantach.“ Weismann przytacza w swem dziele przykłady pewnych motyli, które zmieniają się pod wpływem warunków klimatycznych; „tutaj — mówi on — determinanty pewnych barwnych łuseczek skrzydeł zmieniają się powoli w biegu pokoleń wskutek podnoszenia się temperatury i sprawiają przeto znaczne przemiany w ubarwieniu łuseczek.“ W każdym razie atoli badacz niemiecki przypisuje u istot wielokomórkowych nadzwyczajnie ograniczone i nieznaczne działanie warunkom zewnętrznym w sprawie tworzenia się dziedzicznych zmian stałych i twierdzi, że dopiero przez następujące potem „amphimixis“, t. j. łączenie się plazm zarodkowych dwóch płci, wzmaga się to działanie i potęguje w każdem pokoleniu w związku z wpływem doboru naturalnego. Słowem, gdy dawniej Weismann zupełnie wyłączał powstawanie nabywanych zmian dziedzicznych, uwa-

Digitized by Google

runkowanych przez wpływy zewnętrzne, i przyjmował, że zboczenia w szeregu pokoleń powstają u istot wielokomórkowych jedynie wskutek kombinacyi dwóch różnych tendencyi dziedzicznych (amphimixis), to dziś dochodzi on do rezultatu, że pierwszym powodem tych zmian są w wielu wypadkach warunki zewnętrzne, i że zmiany te, początkowo nader nieznaczne, potęgować się mogą w wysokim stopniu przez proces „amphimixis.“ Zboczenia powstające w ten sposób podlegają działaniu doboru naturalnego.

Tak dziś stoi teorya Weismanna, w ogólnych zarysach tu przedstawiona. Kwestya budowy plazmy zarodkowej, a mianowicie skład jej z bioforów, determinant, idów i idantów, jest dotąd hypotezą, zręcznie wprawdzie pomyślaną, ale nadzwyczaj mało uzasadnioną naukowo, hypotezą, wkraczającą poniekąd w dziedzinę spekulacyi metafizycznych.

Teorya *ciągłości* plazmy zarodkowej, po odpowiednem ograniczeniu jej (t. j. po przyznaniu wpływu pewnych warunków zewnętrznych na powstawanie stałych zboczeń dziedzicznych), zyskała na ścisłości. Zasługą niemałą badacza niemieckiego jest zwrócenie uwagi na doniosłość procesu płciowego dla kwestyi powstawania zboczeń dziedzicznych (amphimixis). Ważne i nadzwyczaj trudne do rozwiązania pytanie: o ile i w jakich granicach znamiona nabywane są dziedziczne, pozostaje jednak dotąd otwarte.

Dr Józef Nusbaum.

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Folklor i jego obecne zadania.[1]

Nie upłynęło jeszcze sto lat od chwili, kiedy śladem uczonych Europy Zachodniej poczęto i u nas zwracać uwagę na twory umysłowe ludu, szukać w nich nowych pierwiastków literackich, a nawet dobadywać się zamierzchłej, jeszcze przedchrześcijańskiej, narodu przeszłości. Wobec panujących uprzedzeń do wszystkiego, co „gminne", nawet taki ludu miłośnik, jak Brodziński, musiał używać wielkiej ostrożności we wprowadzaniu do literatury tego pierwiastku, musiał się zasłaniać zwrotem do tworów ludowych u innych narodów, a nawet dla bezpieczeństwa tych ubranych w salonową odzież ludowych postaci dodać im cały orszak różnobarwnego tłumu, złożonego z przekładów pieśni słowiańskich, litewskich, greckich, morlackich, norweskich, a nawet „estońskich."

[1]) Pozwalamy sobie nazwać tem mianem popularną dziś umiejętność, zwaną u nas „etnografią." Miano to, utworzone jeszcze w r. 1846 przez Anglika, Wiliama J. Thomsa, oznacza pierwotnie (folk-lore [czyt. föklör]=wiedza ludowa) literaturę ludową i archeologię: dziś, powszechnie przyjęte we wszystkich językach europejskich, jest nazwą w ogólności literatury nie pisanej, tradycyjnej, a więc obejmującej pieśni, podania i klechdy, przysłowia, zagadki, wierzenia i zabobony, obyczaje i zwyczaje ludowe, nie obejmując jednak charakterystyki ludu fizycznej, jego mieszkań, strojów i t. d. Jest to tedy pojęcie ściślejsze, niż to, które się zamyka w słowie: „etnografia."

Digitized by Google

„Lubo zbieranie—pisał do redaktora „Dziennika Warszawskiego"—i przekładanie na język polski pieśni ludów pobratnich jest mi przy innych pracach najmilszą zabawą, z nieśmiałością jednak czynię zadosyć wezwaniu jego, udzielając ich rodakom; *obawiam się, aby te niewiniątka nie wzbudziły okrzyków, iż dobry smak jest zagrożony.* Nie będzie więc może od rzeczy za tą prostą rolniczą Muzą przed wspaniałym sądem naszego Parnasu przemówić" [1]).

Tymczasem, choć się „wspaniały Parnas" gorszył, zwrot do twórczości ludowej i sięganie do niej po nowe dla literatury pierwiastki szły dalej swoim torem; po kompromisu szukającej rozprawie Brodzińskiego („O klasyczności i romantyczności") i zupełnie praktycznym przykładzie kompromisu „Wiesławie" pojawiły się Mickiewicza „Ballady", potem z upiorami „Dziady", puszczyki i sowy w „Zamku Kaniowskim" Goszczyńskiego i „Rusałki" Zaleskiego, aż zabrzmiał hymn na cześć „wieści gminnej", tej „arki przymierza między dawnemi i młodszemi laty", w której lud składa „broń swego rycerza, swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty"—na cześć tej „pieśni gminnej", która „stoi na straży narodowego pamiątek kościoła, z archanielskiemi skrzydłami i głosem", a niekiedy i „bronią archanioła."

Poezyi jednak „gminnej" (jak ją wówczas nazywano) w całej jej prostocie i kształcie naturalnym nie było jeszcze w literaturze, oprócz tych jej pierwiastków, które weszły w ballady i powieści poetyczne tego czasu. Nie znajdziemy jej i w „Piosnkach sielskich" Witwickiego (1830), jak nie widzimy wiernego obrazu ludu i jego wiary w wydanej tego samego roku książce Gołębiowskiego„ (Lud polski, jego zwyczaje i zabobony". Warszawa, 1830), lubw „Przysłowiach narodowych", Wójcickiego.

I.

Witwicki, podając „Piosnki sielskie", na sposób ludowych tworzone, w przemowie „chwyta sposobność zaniesienia prośby do przyjaciół narodowej i sielskiej poezyi, zwłaszcza do mieszkających na wsi, aby się zajęli zebraniem prawdziwych piosnek naszego ludu, w tem przekonaniu, że zbiór taki mógłby „równie zająć literata, jak badacza dziejów i polityka", a dzieło takie „więcejby się mogło przyczynić ku nadaniu poezyi naszej cechy rzeczywiście narodowej, niż wszelkie w tej mierze teoretyczne rozprawy i wszelkie próby miejskich rymotwór-

[1]) List do redaktora Dz. W. Pisma Brodz. t. I, str. 265. (Poznań, 1872).

Digitized by Google

ców"; nie zapominając zaś i o melodyi, wyrażał życzenie, „aby nuty naszych śpiewów gminnych, podobnież jak same pieśni, zostały zebrane i ogłoszone." [1]) Dopisek, uczyniony na str. XII, jakoby L. Żukowski posiadał już w swych ręku dość znaczny zbiór pieśni ludu, nie sprawdził się w rzeczywistości; z innej strony miało nadejść i nadeszło spełnienie życzenia Witwickiego, ale dopiero w trzy lata później (1833) przez wydanie „Pieśni ludu galicyjskiego" Wacława z Oleska (Zaleskiego) z muzyką instrumentowaną przez Karola Lipińskiego.

Jest to pierwszy poważny zbiór pieśni, którego celem było nietylko wzbogacenie literatury narodowej i podanie materyału historyi, psychologii narodowej [2]) i językoznawstwu [3]); ale zarazem otwarcie „skarbu tego wszystkiego, co się narodu najbliżej dotyczy", jak gdyby „archiwum domowego", tego „wyrazu serca ludu, obrazu jego domowego życia w radości i ucisku, wyrazu czucia przy łożnicy i przy grobie" (str. XXIX). Wszystko to zebrane zostało przez „urodzonego na wsi", kochającego te pieśni, które „wiek jego dziecięcy kołysały i jako pierwsze pobudki rozwijającego się uczucia w rannej pamięci utkwiły." Pomimo niepospolitych zalet, jakie ogólnie zbiorowi temu przyznano, brak mu oznaczenia miejscowości, skąd pieśni pochodzą, brak dokładnego oddania gwary ludowej. Również pomieszanie poezyi rozmaitych autorów z ludowemi i podział pieśni na „żeńskie" i „męskie", chociaż obszernie we wstępie motywowany, nie odpowiada celowi i dlatego w późniejszych zbiorach się nie utrzymał.

Po tym świetnym, jak na owe czasy, początku pierwsze dziesięciolecie obfituje istotnie w liczbę wydanych zbiorów pieśni. W tym samym roku, co zbiór Wacława z Oleska, pojawiły się w lipsku: „Volkslieder der Polen. Gesammelt und übersetzt von W(incenz) P(ol?)", poprzedzone wstępem, zaopatrzone objaśnieniami i zawierające w metrycznym przekładzie pieśni 30 [4]).

Niebawem, jako bardzo piękne i staranne dopełnienie zbioru Wacława z Oleska, pojawiają się „Pieśni ludu polskiego w Galicyi" (Lwów, 1838), zebrane przez Żegotę Paulego już dawniej, i jak przed-

---

[1]) Zob. „Piosnki sielskie" z r. 1830, str. XI, XV i XIX.

[2]) „Pieśni ludu są obrazami, w których każdy naród swój charakter najwierniej maluje i przedstawia"—w Rozpr. wstępnej, str. XVII. „Pieśni ludowe są to historye wewnętrznego świata." Tamże str. XVIII.

[3]) Pieśni „są prawdziwe i niezawodne idiotyka każdego języka." Tamże str. XX.

[4]) Jeżeli, jak się nie bez powodu domyślamy, zbieraczem ich i tłómaczem jest Pol Wincenty, stanowi to jeden dowód więcej, jak porwany ogólnym prądem poeta młody zwracał się do ludu i odczuwał jego serca bicie, zanim po latach kilkunastu zrażony do niego nie stał się wyłącznym śpiewakiem staro-szlacheckiego życia.

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

mowa świadczy, już w r. 1833, po porównaniu ze zbiorem Zaleskiego, do druku przygotowane. Podzielone na „obrzędowe", „dumy", „pieśni różnych stanów", „szydebne" i „pieśni do tańca", z zachowaniem w wielu miejscach właściwości gwar mazurskich, szkoda, że nie posiadają melodyi, aby nietylko godnie stanąć obok zbioru Zaleskiego, ale pod pewnym względem nawet go przewyższyć; zebrane przez samego autora w licznych po kraju podróżach świadczą nietylko o głębokiem zamiłowaniu, ale zarazem o niepospolitej skrzętności i zręczności.

Wobec tych dwu zbiorów tracą zupełnie znaczenie, obliczone tylko na efekt, K. Wł. Wójcickiego „Pieśni ludu Białochrobatów, Mazurów i Rusi, z nad Bugu, Warty, Narwi, Bzury i t. p." (Warszawa 1836), zaopatrzone tu i owdzie muzyką i rycinami. Nie naszą rzeczą wykazywać, w jakim stosunku zostaje zbiór ten do zbioru Zaleskiego i Żegoty Paulego; zaznaczamy tylko, że oświadczenie tego ostatniego autora, podane na ostatniej karcie „Pieśni ludu polskiego", przedstawia Wójcickiego, jako niezbyt sumiennego zbieracza tak pieśni, jak i klechd (wydanych w r. 1837), bo wypisującego dosłownie pieśni z cudzego zbioru rękopiśmiennego, lub tłómaczącego pieśni ruskie i podającego je za polskie.

W r. 1840 nakładem Czecha wydaje w Krakowie J(ózef) K(onopka) „Pieśni ludu krakowskiego", a mianowicie krakowiaki, pieśni weselne, pieśni obrzędowe i pieśni różnej treści, dodając 8 zagadek i 17 melodyi. Całość, starannie i ozdobnie wydana, była istotnie pożądanym przyczynkiem.

W dwa lata później (1842) wydaje J. J. Lipiński „Piosnki ludu wielkopolskiego" z ryciną i 20 melodyami. Miała to być część I, obejmująca same pieśni powieściowe (dumy); po niej cz. II zawierać miała pieśni obrzędowe, weselne, wojackie i t. p., czego sam autor dokonać nie mógł, a spełnił dopiero po jego śmierci Kolberg, wydając je z rękopisu w r. 1884, (w VIII tomie „Zbioru wiadom. do antrop. kraj." Akad. Umiejętności). Dosyć ścisły i sumienny badacz, pozwolił sobie przecież Lipiński pewnej niewłaściwości, nadając piosnkom w Cz. I tytuły, jakich u ludu nie mają. Nie są one szkodliwe, ale często nadają pieśniom charakter sentymentalny lub pretensyi pełen (jak np. „Miłość zmarłych wskrzesicielka," „Byle słóweczko!", „Serduszko puka!" i t. p.) przez co zostają w niezgodzie z nastrojem prostym pieśni samych.

Miesiąc przedtem, nim Lipiński swe „Piosnki" oddał do druku, 3 grudnia 1841 r. ogłosił młody muzyk w Warszawie, Oskar Kolberg, prospekt na „Pieśni ludu polskiego", które miały wychodzić nakładem księgarni I. K. Żupańskiego w Poznaniu, w zeszytach sześcioarkuszowych co 6 tygodni, a 10 zeszytów miało tworzyć osobny oddział. W rzeczywistości wyszedł w październiku r. 1842 zeszyt 1 (folio) lito-

Digitized by Google

grafowany, obejmujący 125 pieśni z akompaniamentem fortepianowym, z podaniem waryantów melodyi i okolicy, gdzie pospolicie pieśni śpiewano. Dla małego zapewne pokupu, więcej nie wyszło, a i ten zeszyt stał się rzadkością bibliograficzną, zwłaszcza, że sam Kolberg później nigdzie o nim nie wspomniał, ani się nań nie powołał. Temu-to niepowodzeniu przypisać prawdopodobnie należy wstrzymanie się Kolberga od publikowania zbiorów przez lat następnych piętnaście...

Po równinach przyszła kolej i na górskie Podhale. Podczas badań geologicznych Ludwik Zejszner poznał Podhalan, zżył się z nimi, i pragnąc dać „rzetelny obraz uczuć i sposobu ich myślenia", począł spisywać pieśni już od r. 1838, wydał je zaś w r. 1845. Podzielił je na 4 kategorye: 1) pieśni miłosne (przeważnie krakowiaki w liczbie 478), 2) ślubne śpiewanki (22), 3) śpiewanki pasterskie (103) i 4) zbójeckie i żołnierskie (137). Nie dodawszy melodyi i uwzględniając w bardzo niedostateczny sposób wymowę gwarową ludu, odebrał sam Zejszner większą swemu zbiorowi wartość.

Nareszcie po Łyskowskiego „Pieśniach gminnych i przysłowiach w Prusach Zachodnich zebranych" (Brodnica, 1854), wyszły w Warszawie w r. 1857 „Pieśni ludu polskiego" O Kolberga. Serya I, własnym wydawcy nakładem. Treść tego obfitego tomu tworzą przeważnie dumy i pieśni, podane jako melodya z tekstem; jest ich tylko 41, ale przeważnie w kilku odmianach, a piąta („Jasio konie poił...") w odmianach 54! Wszędzie notowano, skąd pieśń lub jej odmiana pochodzi, a jeszcze na końcu tomu umieścił autor półtoraarkuszową „Tabelę", wykazującą dokładne położenie geograficzne każdej wsi i osady, o której wzmiankę uczyniono. Drugą część tomu stanowią Tańce (tańce polskie, mazury, kujawiaki, walce) w liczbie 446, przeważnie z krótkim tekstem polskim. Nadto w dodatku umieścił autor 10 kolorowanych rycin, ilustrujących stroje ludu; dodał też objaśniającą je kartę, równie jak alfabetyczny wykaz niektórych wyrazów, potrzebujących objaśnienia. Czuć to w tomie całym, a czyta się wyraźnie w przedmowie, że Kolberg nietylko jest muzykiem z powołania, ale zarazem rozumie należycie stosunek, w jakim pieśń ludowa zostaje do melodyi: „treść i melodya—mówi on—uzupełniają się, podnoszą wzajemnie, jedną wspólną stanowiąc całość, a często melodya, ta część mniej określona, mniej materyalna, stanowi całą piękność pieśni." W innych miejscach, jak przy objaśnieniu ubiorów i tańców, znać, że miałby wiele o tem i o innych stronach życia ludu do powiedzenia, ale na teraz postanowił przedstawić tylko pieśni. Ze względu na nacisk, położony na melodyi, wybacza się Kolbergowi nie dość wierne oddanie gwary ludowej, chociaż odżałować nie można, że jak tu, tak i w dalszych swych tomach, na dźwięki mowy ludowej zanadto nieczułe miał ucho.

Digitized by Google

W parę lat potem wystąpił Julian Roger z „Pieśniami ludu polskiego na Górnym Szląsku" (Wrocław 1863). Przykładem Kolberga powodowany umieścił na czele każdej piosnki miejsce jej pochodzenia, oznaczając powiat, wszędzie podał starannie zapisaną melodyę; o wymowę ludową jednak mniej się starał, podając pieśni tylko w brzmieniu języka literackiego. Pieśni 546 ujął Roger w 18 rozdziałów, bardzo dowolnie utworzonych, bez jednolitej podstawy podziału. Obok siebie stoją tu pieśni kolędowe i zwierzęce (!), wiosenne, pożegnalne i majowe, cygańskie i ballady i t. p.

Takie były plony zebrane na niwie pieśni ludowej przez lat 30 od pojawienia się pierwszego zbioru Wacława z Oleska.

Zwróćmy się teraz do powieści. Przedstawiając mniejszy interes literacki ze względu na treść przeważnie fantazyjną, mniejszego też doznały wzięcia. Jeżeli w pieśni starano się zachować jej formę, nieraz rytmicznie kulawą i rymy niezbyt czyste, nadto zwracano uwagę na melodyę, to w zbieraniu powieści, klechd, baśni, gadek, i jak je tam nazwiemy, nie zadawano sobie trudu. Głównym celem wszystkich tego rodzaju publikacyj było zainteresowanie czytelnika, a więc artystyczny układ i gładka forma,—wręcz przeciwne charakterowi baśni ludowych. Takie też są Wójcickiego: „Klechdy, starożytne podania i powieści ludu polskiego..." (Warszawa 1837), także Berwińskiego: „Powieści wielkopolskie" (Wrocław 1840) okraszone wybrykami fantazyi samego autora; takie Balińskiego „Powieści ludu". (Warszawa, 1842), Siemieńskiego: „Podania i legendy..." (Poznań 1845) i Glińskiego: „Bajarz polski."

Do właściwego celu więcej zbliżają się Zmorskiego Romana: „Podania i baśni ludu w Mazowszu" (Wrocław 1852), który, we wstępie zaznaczając, że je podaje w „stosownem do ogłoszenia obrobieniu", wyznaje zarazem, że „z najsumienniejszą wiernością" starał się „zachować wszystko, cokolwiek istotną treść powieści stanowiło, nie opuszczając żadnego szczegółu wybitniejszego lub barwniejszego, powtarzając wszelkie jaskrawsze lub właściwością uderzające wyrażenia, aż do pojedyńczego nawet słowa." Swoboda, jakiej sobie zresztą pozwolił w szczegółach ubocznych, nie była-by zbyt naganna, gdyby nie nawyczka dawnych opracowań, t. j. „akcesorye i koloryt". Naturalnie, że i styl literacki jest wszędzie, bo, jak naiwnie powiada autor: „jednostajna prostota stylu była-by w piśmie nieznośnie (!) nudną." Co za szczególną zasługę Zmorskiemu poczytać należy, to jasny podział powieści ludowych na *podania*, *baśni* i *gadki*.

„W dosłownem narzeczu ludu naszego nad Sanem", t. j. ludu, mieszkającego w Lubelskiem od Tomaszowa do Sanu, podał St. Kamiński kilkanaście podań, które nazwał *gawędami*. („Chłop polski i je-

Digitized by Google

go gawędy", Warszawa 1862). Nie trzeba tego rozumieć w ten sposób, że p. Kamiński spisał z wiernością stenografa gawędzenie chłopa i że podaje je nawet z tą jednostajną prostotą—„nieznośnie nudną";—gawędzi on bowiem sam z chłopem, i tylko tam, gdzie chłop głos zabiera, stara się autor cudzysłowem ujęte zdania i ustępy wiernie za gawędzącym powtórzyć. Zadanie to było o tyle łatwiejsze od innych, że, jak wiadomo, lud mazurski w sąsiedztwie ludu ruskiego traci właściwości, swej gwary (t. zw. mazurzenie dźwięków *cz*, *dż*, *sz*, *ż*, ścieśnienie *a* na *á* i wymawianie wargowe płynnego *t*), a przez to wymowa jego, tak zbliżona do literackiego języka, że p. Kamiński z entuzyazmem pyta, czy Rej, Kochanowski, Górnicki i inni w. XVI pisarze nie od tego ludu nauczyli się polszczyzny. To też cel: „zwrócenie uwagi na przechowane skarby mowy naszej pomiędzy ludem"—osiągnął p. K. w pewnej mierze, ale zbioru podań i powieści, czy „gawęd", jak je nazywa, trudno w tej książce szukać, zwłaszcza, że i te drobne ziarna niczem od całej treści nie są odszczególnione.

Po pieśniach i powieściach najwięcej w tym czasie ogłoszono przysłowi. Nie licząc w to „Przysłowi narodowych" Wójcickiego w których ludowych tworów bardzo nieznaczny mieści się procent, trzeba tu wymienić zbiorki Tyszkiewicza, (Przysłowia polskie, używane na Litwie", 1850) i Lipińskiego, oba ogłoszone w „Bibl. Warszawskiej"; Łyskowskiego przysłowia z Prus Zachodnich, ogłoszone przy „Pieśniach", i Lompy: „Przysłowia i mowy potoczne ludu polskiego na Szląsku" (Bochnia 1858). Kilka szczegółów o zwyczajach i zabobonach znajdujemy u Gołębiowskiego („Lud polski") u Delaveaux („Górale bieskidowi..." Kraków 1853) i Mączyńskiego („Włościanie z okolic Krakowa", Kraków, 1858), nieco o przesądach lekarskich u Michała Zieleniewskiego. („O przesądach lekarskich ludu naszego" (Kraków 1846) —i oto mniej więcej wszystko z tego okresu 30-letniego.

Jest to, jednem słowem, okres romantyczny naszego folkloru, okres szukania nowych obrazów, motywów i wyobrażeń, aby je wprowadzić do literatury i muzyki i uczynić więcej narodowemi.

II.

Niebawem jednak cel się zmienia. W wędrówkach swoich po kraju, szukając z zapałem i spisując pieśni ludowe oraz ich melodye, musiał Kolberg dla nich już samych często brać udział w obrzędach, uroczystościach i zabawach ludu, przy których te pieśni mógł słyszeć. Obcując z ludem, nasłuchał się on jego żywej mowy, opowieści, podań i t. p., a przypatrzył się wszelkim szczegółom bytu i zwyczajów ludo-

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

wych. Żyjąc zaś w takiem otoczeniu, mimowolnie rozciekawiał się i rozmiłowywał w tem wszystkiem coraz mocniej, badał to uważnie, spisywał skrzętnie i tym sposobem rychło przeświadczył się o tem, że ta muzyka ludowa, której badaniu oddawał się głównie, daleko łatwiej da się ująć i jaśniej zrozumieć każdemu ze wszystkiemi swemi właściwościami miejscowemi, jeżeli się ją przedstawi nieodłącznie od wszelkich innych objawów życia ludowego, którego ona jest tylko cząstkowym wyrazem. [1]) Dlatego-to, wydając w r. 1865 „Sandomierskie", dał mu ogólniejszy tytuł: „Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce," pojmując całość jako „Materyały do *etnografii* słowiańskiej," a więc bez względu na *literacką* wartość. Ma wprawdzie i ten tom (czyli serya) przeważającą liczbę pieśni i melodyi, ale ma choć w skromnych rozmiarach „wiadomości topograficzno-etnograficzne" o ziemi, chatach i ubiorze, ma oprócz pieśni obrzędowych i opis obrzędów, a zwłaszcza wesela, ma słowniczek wyrazów i charakterystyczne właściwości gwary, ma jako próbki języka: legendę, klechdę, gadkę, nazwy miast, osad i wsi, jezior i rzek, a nawet nazwy rodowe chłopskie. Dodane ryciny litograficzne i drzeworyty starają się zastąpić obrazkiem to, czego najdokładniejszy nie wyrazi opis. Odtąd-to liczymy nowy okres, okres właściwych badań folklorystycznych, w przeciwstawieniu do dawnych czysto-literackich.

Niema nic bardziej zajmującego nad śledzenie w każdym z następnych tomów „Ludu" Kolberga, jak mu to rośnie pod ręką, jak z nagromadzonych materyałów coraz nowsze wydobywa szczegóły i barwnie je przedstawia, jak z po-za pieśni i opowieści wyrastają ponad inne zwyczaje i obrzędy, wierzenia i zabobony, a nawet gry, zabawy i zagadki. Już w następnej seryi (Kujawy I), kraj i lud mają osobne rozdziały, a powieści zajmują więcej niż $^1/_3$ tomu; w „Krakowskiem" charakterystyka zewnętrzna ludu obejmuje przeszło 100 stronic, a powieści i przysłowia tworzą tom oddzielny; ten sam mniej więcej stosunek zachowany w monografiach następnych, które się pojawiały dalej w nieprzerwanym łańcuchu: a więc Krakowskie (1871—1875), Poznańskie (1875—1882), Lubelskie (1883—4), Kieleckie (1885—6), Radomskie (1887—8), następnie Pokucie (1882—3—5) i Mazowsze (1885—1890), Przemyskie (1889).

Obok Kolberga staje prawie równocześnie kilku poważnych badaczy. A więc najpierw Korneli Kozłowski („Lud. Pieśni, podania, baśnie, zwyczaje i przesądy ludu z Mazowsza Czerskiego, wraz z tańcami

[1]) Dr. J. Kopernicki.—Oskar Kolberg, str. 23 i 24.

Digitized by Google

i melodyami." Warszawa, 1867), który podał monografię systematyczną, wiedziony nie tyle wzorem Kolberga, ile pamiętny słów Kołłątaja, że potrzeba nam dzieła, którego-by zadaniem był lud, jego tradycye, pieśni, obrzędy, zabawy, ubiór, zwyczaje, gusła, zabobony i t. d., a żeśmy się już nauczyli dosyć cenić i korzystać z pieśni ludu, „tego rodzimego źródła Helikonu, zawsze pełnego świeżości i życia."

Wtedy również występuje Zygmunt Gloger, skrzętny zbieracz wszystkiego, co się ludu tyczy, a niepospolity znawca obrzędów, zwłaszcza zaś wesela, któremu osobną monografię poświęcił („Obchody weselne." Cz. I. Kraków, 1869); nie pomija on jednak i pieśni, i powieści, zwyczajów i innych stron życia ludu, oprócz osobnych dzieł w licznych artykułach przedstawionych. Okolica Kielc znajduje swego monografistę w X. Wł. Siarkowskim, który, począwszy od „Wesela włościan z okolic Sobkowa i Chmielnika" (Kielce 1871), w szeregu mniejszych i większych prac, drukowanych w „Zb. wiadomości do antrop.", dał dokładny obraz tego ludu, bardzo zbliżonego do Krakowskiego, a jednak odmienne zachowującego rysy. Dr Eug. Janota zestawia porównawczo zwyczaje świąteczne („Lud i jego zwyczaje"—Lwów 1878); Petrow opisuje „Lud ziemi dobrzyńskiej" (Zb. wiad. do antr. II, (1878); prof. Malinowski ogłasza swe „Zarysy życia ludowego na Szląsku" (Warszawa 1878); Dr Kętrzyński zwraca uwagę na Mazurów pruskich i podaje kilkadziesiąt ich pieśni („O Mazurach." Poznań, 1872).

Wskutek poznania znaczenia gwar ludowych dla historyi języka w szczególności, a dla językoznawstwa w ogólności, w pracach powyższych i innych współczesnych znać usiłowanie oddania wiernego dźwięków mowy ludowej; odnosi się to przed innemi do „Zarysów" prof. Malinowskiego, jedynego znawcy gwar szląskich, do Petrowa „Ludu dobrzyńskiego" i Kętrzyńskiego „Pieśni mazurskich."

Rozproszone usiłowania rozmaitych badaczy znajdują w tym czasie ważne ognisko w Komisyi antropologicznej Akad. Umiej., stworzonej przez dra Majera, Kopernickiego i Kolberga, a wydającej „Zbiór wiadomości do antropologii krajowej." Pomieszczając materyały do etnologii wogóle, pomieszczał „Zbiór" początkowo i dyalektologiczne spostrzeżenia, i słowniczki t. zw. prowincyonalizmów; z utworzeniem się jednak komisyi językowej, materyały tego rodzaju odstępował jej do zużytkowania. Działalność folklorystyczna długoletniego jej sekretarza, dra J. Kopernickiego, skupiała się około tej publikacyi i ogłaszania w niej spostrzeżeń, czynionych w Rabce i okolicy, podczas wieloletniego pobytu w lecie w tych stronach; jego zapał znają dobrze wszyscy, którzy tylko w stosunek z nim weszli; to też dzięki niesłychanej pracowitości i niezmordowanym staraniom, każdy następny tom „Zbioru" przybierał większe rozmiary, aż wreszcie prac większych

Digitized by Google

objąć nie mogąc, do osobnego oddawał je wydania. Tak wyszedł Świętka „Lud nadrabski." Obliczając dobrze zasoby już zdobyte, starał się ś. p. Kopernicki ograniczać ilość pieśni, a nadesłane ich rękopisy odkładał na bok; większy kładł nacisk na obrzędy i powieści starannie gwarą spisane, a wierzenia i zabobony prawie wyszukiwał i zdobywał u współpracowników. Wszystko to jednak, co czynił osobiście i przez niego komisya antropologiczna, nie miało o tyle cechy pracy jednolitej, że oparte było na przygodnie i dowolnie nadsyłanych materyałach, pochodzących z rozmaitych okolic od Warty po Dniepr i Dźwinę i od Bałtyku do Czarnego morza. Czuł dobrze prof. Kopernicki niedostateczność podobnych poszukiwań i dlatego uczynił na jednem z posiedzeń komisyi antropologicznej w r. 1886 wniosek, aby specyalny komitet zajął się wypracowaniem programu prac etnologicznych. Wniosek przyjęto, ale do wykonania go nie przyszło, z niewiadomych nam powodów.

Z pomiędzy współpracowników „Zbioru wiadomości" w tym czasie wymienić trzeba, oprócz Kolberga i ks. Siarkowskiego, jeszcze p. Stef. Ulanowską, dra Wł. Kosińskiego, prof. Bron. Gustawicza i p. Seweryna Udzielę, że pominę cały szereg autorów drobniejsze podających przyczynki. Ze śmiercią Kolberga, a niebawem i dra Kopernickiego, kończy się w historyi naszego folkloru okres drugi, okres badań etnograficznych, oprócz dzieł Kolberga, przygodnych i drobnych, nie zdających sobie dokładnie sprawy ze stosunku wzajemnego części do siebie i z potrzeb chwili obecnej.

Niepospolitej wagi dla folkloru polskiego jest założone w Warszawie w r. 1887 czasopismo geograficzno-etnograficzne „Wisła", które podjętej sprawie służy wiernie i umiejętnie, zwłaszcza pod kierunkiem dra J. Karłowicza. Jeżeli dotąd w stosunku naszego folkloru do zagranicy było więcej flirtu, niż przyjaznego związku, teraz rozpoczyna się nietylko naśladowanie, ale wprost rywalizacya. Uczestnik zjazdu folklorystów w Paryżu w r. 1889 i w Londynie w r. 1891, przypatrzył się dr Karłowicz dostatecznie i metodzie badań w tym przedmiocie, i prądom, jakie się objawiają, i do nich postanowił przystosować charakter folkloru polskiego. Wyłączywszy surowe materyały do osobnej „Biblioteki Wisły", stara się dr K. przedewszystkiem informować czytelników o ruchu folklorystycznym wogólności, wskazywać metodę badań porównawczych i budzić zmysł do poszukiwań i gromadzenia materyałów. Ruch, jaki wskutek tego wytworzył się na tem polu, i ilość współpracowników „Wisły", najlepiej świadczy, że czasopismo to spełnia swe zadanie sumiennie i że fundament pod gruntowne

Digitized by Google

badanie folkloru przez nie położony będzie trwały i pamiętny. Na tym fundamencie budować powinniśmy obecnie.

www.libtool.com.cn

III.

Przechodzimy do poznania środków, za pomocą których nasz folklor dziś rozwinąć się powinien.

Pierwszym postulatem, który wypełnić powinien brak wielki i stworzyć pomoc potrzebną każdemu folkloryście, jest dokładny inwentarz, czyli *szczegółowa bibliografia folkloru polskiego*. „Wisła" pomieściła podobną bibliografię czeską i serbo-chorwacką, polskiej brak nam zupełnie, a materyały do niej gromadzi dopiero p. Z. Wolski w Warszawie.

Obok tego bardzo pouczający byłby przegląd, któryby np. mógł przedstawiać *graficznie* na mapie średnich rozmiarów i unaoczniać za pomocą pewnych konwencyonalnych znaków i barw: 1) *nasz obszar etnograficzny*, do czego w „Poszukiwaniach" „Wisła" już dawno nawołuje i 2) *terrytoryalny obraz dotychczasowych badań*. Pobieżny rzut oka na tę sprawę wykazuje, że sam środek obszaru zamieszkałego przez Polaków w pewnej mierze jest zbadany, głównie przez O. Kolberga, natomiast kresy polszczyzny, a więc te strażnice i placówki prawie zupełnie zaniedbane. Tak się rzecz ma z Mazurami pruskimi, którymi dopiero w ostatnich czasach nieco się zajęto, tak ze Śląskiem górnym i Ks. Cieszyńskiem, tak z polską ludnością, zamieszkującą graniczne powiaty węgierskie, Orawę i Spiż, najgorzej zaś z ludnością mazurską, rozsianą w gęstych koloniach od Sanu aż do Zbrucza.

Aby życie tych kresowych okolic przedstawić co najrychlej w jednolitym obrazie, nie wystarczają siły jednostki, choćby się znalazł nawet drugi Kolberg. *Potrzeba „Towarzystwa ludoznawczego" staje się palącą*, bo tylko takie Towarzystwo, mające członków licznych w Prusiech, w Poznańskiem, w Galicyi i rozporządzające większemi środkami, może rzucić program szeroki i przez tysiące, a choćby tylko setki współpracowników, w latach niewielu, zebrać może imponujące owoce. Czy w obecnej chwili założenie takiego Towarzystwa byłoby właściwe, i czyby się ono rozwinęło jak należy—nie chcę stawiać horoskopów.

Potrzebny, bo pouczający jest również *obraz jakości* naszych dotychczasowych zbiorów. Usiłowania, w jednym prawie wytężone kierunku, wydały też odpowiedni owoc: obraz naszego ludu bardzo jednostronny. Zgromadzone dotąd pieśni przedstawiają materyał kilkudziesięciu wielkich tomów, materyał różnolity, w szczegółach powtarzany, mniej lub więcej dokładnie a przeważnie po literacku spisany, zwykle

Digitized by Google

z dodatkiem muzyki, ale w znacznej części i bez tej istotnej rzeczy po łowy. Rozpatrzenie się w tym ogromie, ujęcie w pewien system, a przedewszystkiem wykazanie wpływu utworów literackich na poezyę ludową, dokładne wyróżnienie kategoryi nieustalonych, zestawienie odmianek, miejscowy tylko mających charakter, i porównanie z pieśniami ludowemi innych narodów—oto praca, czekająca ręki cierpliwej, zręcznej a kierowanej bystrym zmysłem krytycznym. Oczekiwanie większych jeszcze zbiorów, pochodzących z niebadanych okolic, albo łudzenie się, że materyał ten wyczerpany zostanie, nie miało-by zupełnie celu. Więcej niż jakikolwiek inny gatunek twórczości ludowej pieśni są wyrazem chwilowego usposobienia, a więc, jak liście na drzewie, jedne opadają i giną a drugie się rodzą, i twórczości tej nigdy końca spodziewać się nie wolno. Obawiać się owszem należy, że szeroko rozlewająca się cywilizacya, za pomocą wielu środków a szczególniej dróg żelaznych, dostając się w najodleglejsze nawet zakątki, pod wpływem rozlicznych czynników kosmopolitycznej natury, zmieni cały charakter rodzimy i swojski i zatrze niejeden rys indywidualny, który z dawniejszych pieśni nietylko bez trudu badacz wydobędzie, ale który mu się prawie sam narzuca w oczy.

Ważnem tedy zadaniem jest *krytyczne opracowanie zebranego w pieśniach materyału* folklorystycznego.

Nie wynika stąd wcale, że zbieranie pieśni jest obecnie już bezcelowe i bezowocne. Owszem, zbierać się je powinno i potrzeba, ale inaczej niż dotąd. Wiadomo każdemu, kto się przypatrywał życiu ludowemu, choćby tylko przygodnie, że pieśń ludowa nie żyje bez melodyi, i ta zwykle jest pieśni źródłem. Są to dwie połowy tego samego utworu, które oddzielnie nie żyją. Stąd-to bardzo prosty wniosek, że zbierający słowa pieśni bez melodyi jest podobny do fotografa, który zdejmuje rysy ludu, ale, nie kolorując potem wiernie każdego szczegółu ubrania, nie daje wyobrażenia o tak ważnej w stroju charakterystyce barw i ich do siebie stosunku. Oprócz melodyi musi być pieśń zapisana *wiernie* w gwarze ludu, bez jakichkolwiek zmian lub, co gorsza, dodatków, aby dać między innemi i w tym względzie pewny materyał do badań gwaroznawczych. Nareszcie wobec nagromadzonego materyału pieśni, niezbędne jest porównanie z istniejącymi zbiorami, zestawienie odmianek tak tekstu, jak i melodyi, i zaznaczenie, że ta sama piosnka bez żadnej zmiany istnieje w badanej wiosce czy okolicy.

Te same warunki dobrego zbierania zastosować należy i do baśni, klechd, anegdot, przysłowi i zagadek, naturalnie z opuszczeniem warunku melodyi, której te utwory nie posiadają; do podań zaś o tyle należy stosować wierne, gwarowe ich spisanie, o ile na formie tego podania zależeć może ze względu na jej oryginalność.

Digitized by Google

Nie zaniedbując tedy należytego gromadzenia powyższych gatunków, trzeba zwrócić uwagę w badaniach twórczości ludowej na jedną u nas istniejącą wielką lukę. Z powyższego pobieżnego nawet przeglądu łatwo ją odgadnąć, sama narzuca się oczom — brak sumiennego i skrupulatnego zapisywania wierzeń, wyobrażeń, zabobonów, guseł, odnoszących się do całego świata duchowego. Część ta, *par excellence* ludoznawcza, jest najtrudniejsza do zbadania, dlatego wierzeń dotąd mamy tak mało, nawet w najobszerniejszych monografiach. I tak np. „Poznańskie" Kolberga mieści dopiero w 7 tomie przeważnie wierzenia, do których liczyć trzeba i wyobrażenia o zwierzętach i roślinach, i medycynę ludową. „Krakowskie", chociaż 4 tomy obejmuje, ma wierzeń bardzo nie wiele. Łatwo bowiem przypatrzyć się obrzędowi, grom i zabawom, zapisać pieśń, powiastkę a nawet przysłowie, ale zabobonu nie wydobędzie od wieśniaka ten, kto sam nie urodził się pod wieśniaczą strzechą i nie żył w tym czarownym świecie, lub kto, zamieszkując wśród ludu, nie chwytał podobnych przygodnych faktów i nie notował skrupulatnie i skrzętnie przez lat wiele. Takim był autor świeżo wydanej (przez Komisyę antrop. Ak. Um.) monografii o „Ludzie nadrabskim" p. J. Świętek, w którego dziele wierzenia i lecznictwo zajmują część czwartą! A że ten dział folkloru najwięcej przedstawia interesu ze względu na pierwiastki mitologiczne, a pod wpływem cywilizacyi szybko ginie, rzeczą wielkiej wagi jest zwrócenie badań w tym kierunku.

W blizkim związku z wierzeniami zostają również zaniedbane *zwyczaje prawne* ludu. Kwestyonarz p. B. Grabowskiego w „Wiśle" i w osobnej odbitce wydany, usunął trudności wiele, a poniekąd podał i metodę—brak tylko chętnych zbieraczy. A tymczasem, jak w wierzeniach skarby mitologii słowiańskiej, tak w zwyczajach prawnych niepospolity kryje się materyał cywilizacyjno-historyczny; pod wpływem jednak lokalnych stosunków i dłuższego oddziaływania pisanego prawa obcego, resztki te giną, i to giną bezpowrotnie. Terminologia prawna jest również bardzo oryginalna i trafna, a co ważniejsza—bardzo pouczająca.

Jeżeliśmy powyżej skreślili szereg postulatów, których spełnienie przyczyniło-by się znacznie do wprowadzenia badań folklorystycznych na właściwą drogę, to nie dlatego, aby je uważać za jedyne i najważniejsze; wyznać bowiem trzeba, że wydanie dzieła, zbierającego wszystkie rezultaty, do jakich polski folklor doszedł, *było-by najpilniejsze, chociaż niezaprzeczenie najtrudniejsze.* Narody zachodnio-europejskie obfitują w takie dzieła, i stąd ta łatwość zoryentowania się, co dotąd zrobiono u nich, a czego jeszcze oczekują; u nas, prawda, niema jeszcze tylu prac przygotowawczych, ale przecież przynajmniej w szki-

Digitized by Google

cu rzecz przedstawić-by się dała, a była-by tem pożądańszą, że w znaczniejszej mierze niż poprzednio wskazane środki, wykazała-by braki naszych badań i niejednego pracownika na właściwą wprowadzić-by mogła drogę.

Nakoniec jeszcze słowo.

Przy ulepszonych i tanich środkach reprodukcyi, ilustracye w dziele folklorystycznem nie są dziś zbytkiem, na który się nie lada wydawca zdobędzie. Ludoznawca, umiejący czy nie umiejący rysować, nie obejdzie się przecież bez odpowiedniego do podróży aparatu fotograficznego (naturalnie migawkowego). Jakie sceny, jakie typy dadzą się chwytać z tą pomocą, nie ma nikt wyobrażenia, kto tego nie spróbował. Nie wiedząc o ulepszonych sposobach fotografowania, chłop nawet nie przeczuwa, kiedy wśród najżywszej rozmowy znajdzie się jego obraz na kliszy. Jest to wielka pomoc, której folklorzysta pomijać nie powinien, chociaż bezsprzecznie tylko obraz kolorowy spełnił-by wszystkie wymagania. Nim to nastąpi, zadowolić się można i brunatnym fotogramem.

Oto w krótkim zarysie historya naszego folkloru i środki, któremi się posługiwać powinniśmy, aby się ten dział nauki na właściwej mógł rozwijać drodze i abyśmy z innymi narodami w jednym stanęli szeregu.

Roman Zawiliński.

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Ptaszycki. „Do historyi litewskiego prawa po trzecim statucie.“ Petersburg. 1898. (Str. 31).

Nie pierwszy raz stara się p. Ptaszycki o rozjaśnienie dziejów statutu litewskiego. W pierwszej rozprawie, z której swego czasu zdawałem sprawę w „Bibliotece Warszawskiej”, jakkolwiek znajdowało się dużo spostrzeżeń ważnych i dla historyi prawa doniosłych, przeważał jednakże ton polemiczny i spór z profesorem Berszadskim naczelne zajmował miejsce. W obecnej rozprawie polemika została usuniętą na drugi plan, a wykład kwestyi zasadniczych poparty został poważnym i cennym materyałem, odszukanym i troskliwie zgromadzonym w metryce litewskiej.

Jak wiadomo, w r. 1588 uchwalony został na sejmie dla Litwy statut, zwany ogólnie trzecim. Nie upłynęło jednak lat trzech od nadania mu siły obowiązującej, a już szlachta litewska zobowiązywała posłów ziemskich do dopominania się, aby poprawa statutu dokończona była, gdyż wszystko księstwo litewskie niemały nakład na to czyniło. Z tem wszystkiem niema śladu żadnej nowej pracy kodyfikacyjnej i dopiero na sejmie w r. 1633 zapadła uchwała, mocą której w danym terminie miała być uformowana komisya, która w pewnym przeciągu czasu winna była uskutecznić pożądaną poprawę trzeciego statutu. Komisya nie wypełniła wszakże swych obowiązków i ograniczyła się je-

Digitized by Google

dynie na poświadczeniu wydanych przez Piotrowicza sejmowych konstytucyi, mających na Litwie siłę obowiązującą.

Sejm w r. 1647, nie mogąc się doczekać poprawy statutu, uchwalił przedrukowanie starego z r. 1588, a gdy król udzielił przywilej, ukazało się nowe jego wydanie po polsku w r. 1648. Było to pierwsze wydanie, wydrukowane na zasadzie uchwały sejmowej. W wydaniu powyższem pod odpowiednemi paragrafami zamieszczone zostały konstytucye sejmowe, zebrane przez Piotrowicza, a poświadczone przez specyalną komisyę. Jakkolwiek sejm zadowolnił się powyższem załatwieniem kwestyi statutowej, Litwini nie przestawali ani na chwilę domagać się zasadniczej poprawy prawa, gdyż tylko przez nią prędszy sposób dojścia sprawiedliwości mógł być wynaleziony. W ciągu XVII i XVIII wieku kwestya poprawy statutu bywała często podnoszona na sejmikach litewskich, ale nie doprowadziła do pożądanego rezultatu.

W roku 1776 sejm uchwalił, aby Andrzejowi Zamoyskiemu polecono wykonać nową pracę kodyfikacyjną dla całej Rzpltej. Zamoyski wydrukował już w r. 1778 „Zbiór praw sądowych", który wyprzedził o wiele pojęcia ówczesnego wieku i dlatego też przez sejm w r. 1780 stanowczo i bezpowrotnie pogrzebanym został. Posłowie litewscy wystąpili gromadnie przeciwko projektowi Zamoyskiego, stając w obronie statutu litewskiego, w którym, podług ich zdania, wszystko było dobrem, z wyjątkiem nielicznych drobnych szczegółów.

Dzieje wszakże litewskiego statutu przekonywają, że ujawniał on wkrótce po uzyskaniu siły obowiązującej poważne niedostatki. Nieustannie też powoływać musiano do bytu komisye w celu jego poprawy. Komisye powyższe nie stworzyły żadnego kodyfikacyjnego dzieła, lecz ratowały się, jak się trafnie wyraził Lew Sapieha, łataniną. Wiele paragrafów statutu litewskiego zostało przeistoczonych przez konstytucye sejmowe. Konstytucye sejmowe miały nawet dla stron większe znaczenie, niż paragrafy statutu; powołują się też na statut zazwyczaj przekonywając, że dany paragraf nie został zmieniony sejmową uchwałą. Możność modyfikowania przepisów statutu przewidzianą została w samem wydaniu statutu trzeciego; Zygmunt III, zatwierdzając statut, zobowiązał się bowiem, iż żadnych zmian w statucie nie dopuści, chyba za wiadomością, poradą i przyzwoleniem wszystkich stanów do sejmu należących.

Konstytucye, uchwalone przez sejm i zyskujące w następstwie siłę obowiązującą, były ze względu na swą treść, albo ogólnemi, t. j. obowiązującemi dla całej Rzpltej, albo specyalnemi, t. j. w których wymieniono, do kogo się stosują lub nie stosują. Pr. Berszadskij wyraził apriorystyczne zdanie, które dowodziło inaczej, a mianowicie, że konstytucye sejmowe były tylko wówczas dla W. ks. litewskiego obowią-

Digitized by Google

zującemi, jeżeli o tem zamieszczono specyalną w konstytucyi wzmiankę, jeżeli zaś konstytucya ogólna nie głosiła wyraźnie, iż obowiązuje w W. Ks. Litewskiem, wówczas w obszarach powyższej dzielnicy nie uważano jej za prawo obowiązujące.

Już w poprzedniej pracy p. Ptaszycki przekonał, że wywody p-ra Berczadskiego ze stanowiska teoryi prawa państwowego polskiego nie wytrzymują żadnej krytyki. W drugiej rozprawie p. Ptaszycki postanowił pogłębić swe historyczne studya, wykazując, jak się na konstytucye sejmowe zapatrywały litewskie sądy. W tym celu autor zapoznał nas z cennym i niedrukowanym materyałem, znajdującym się w metryce litewskiej. Zapiski sądowe, zebrane skrzętnie przez p. Ptaszyckiego, przekonywają też stanowczo, że wszystkie sądy W. ks. litewskiego uznawały konstytucye sejmowe, uchwalone po 1588 r., za prawo obowiązujące, pomimo, że nie było w nich żadnej specyalnej wzmianki o tem, iż mają w granicach dzielnicy litewskiej obowiązywać. Po przeprowadzeniu też powyższego dowodu z należytą sumiennością i ścisłością, przyszedł p. Ptaszycki do przekonania: że 1) litewski statut w wydaniu z 1588 r. nie może służyć za jedyne źródło dla historycznego wyjaśnienia zasad litewskiego prawa po 1588 r., że 2) litewski statut nie określa wszystkich stosunków prawnych na Litwie, że dlatego 3) poznanie dziejów litewskiego prawa w dobie po 1588 r. nie może polegać wyłącznie na przestudyowaniu powyższego statutu, że 4) prawne stosunki na Litwie normowały się nie tylko na podstawie jednego statutu, lecz i na zasadzie rozlicznych konstytucyi sejmowych, posiadających moc obowiązującego prawa i że 5) w celu dokładnego zgłębienia tych norm, należy poznać się nietylko z wydaniami statutu, jakie się ukazały po 1619 r. oraz z konstytucyami, wydrukowanemi w Voluminach legum, ale wypada starannie przejrzeć księgi sądowe, znajdujące się w litewskiej metryce.

Interesująca rozprawa p. Ptaszyckiego przekonywa, że z prawdziwem zamiłowaniem poświęcał pracę swą dziejom statutu litewskiego i że zdołał poczynić w tym kierunku nie jedno doniosłe spostrzeżenie. Mimowoli nasuwa się przypuszczenie, że prawo litewskie mogło-by w p. Ptaszyckim znaleźć odpowiedniego i pożądanego historyka. Wysokie przymioty, jakie w swych studyach ujawnił autor, upoważniają do nadziei, że umiłowanego przedmiotu badań nie zaniecha, lecz go w przyszłości wypełni i w historyczną całość uchwyci.

Digitized by Google

Pr. Ulanowski. „Akta kapituł i sądów biskupich". T. I. „Pomników dziejowych wieków średnich." T. XIII. Kraków. 1894. Str. 663.

www.libtool.com.cn

W roku 1891, ogłaszając w tomie VI archiwum komisyi historycznej wybór aktów kapitulnych krakowskich i płockich, wyraził pr. Ulanowski nadzieję, że zdoła w najbliższej przyszłości opracować w podobny sposób akta trzech pozostałych głównych kapituł polskich, t. j. gnieznieńskiej, poznańskiej i włocławskiej. Obecnie wywiązuje się pr. Ulanowski z danego przyrzeczenia i daje nam tom I wydawnictwa, które poprzedza odpowiednem wyjaśnieniem.

Akta kapituły krakowskiej, jak nas poucza zasłużony historyk, dochowały się nam w XV wieku tylko częściowo; z tego powodu, mimo znakomitej roli, jaką biskupi krakowscy i ich kapituła odgrywali za czasów Jagiełły i jego synów, materyał historyczny, zaczerpnięty z tego źródła, nie okazał się zbyt obfitym. Również i krakowskie archiwum biskupie, lub, jak je zwykle nazywamy, konsystorskie, z pierwszej połowy XV wieku, nie wiele posiada rękopisów, te zaś, które się w niem znajdują, są po większej części zdefektowane. Z epoki więc, w której z powodu walki o dziesięciny między duchowieństwem i szlachtą oraz szerzącego się husytyzmu, akta sądów kościelnych dyecezyi krakowskiej były-by najciekawsze, zbyt mało z nich dało się zebrać zapisek, aby je warto było w osobnym zbiorze oddzielnie ogłaszać.

Dyecezya płocka jeszcze mniej niż krakowska odpowiedziała oczekiwaniom p-ra Ulanowskiego. Akta bowiem konsystorza płockiego rozpoczynają się dopiero z drugą połową XV wieku, nie mogą zatem uzupełnić braku aktów kapitulnych z pierwszej połowy tegoż stulecia Za to akta konsystorskie gnieznieńskie i poznańskie, rozpoczynające się z r. 1404, kryją w sobie wiele niezmiernie doniosłych wiadomości o wszystkich kwestyach, dotyczących stosunku kościoła do państwa i stanu duchownego do szlachty. Nadto, o wydawnictwie, dotyczącem kościoła w Wielkopolsce, nie można było myśleć, nie biorąc w rachubę protokołów sądowych gnieznieńskich i poznańskich, których blizko 200 tomów przypada na sam wiek XV.

Nic dziwnego też, że zebrany przez p-ra Ulanowskiego materyał, okazał się tak bogatym, że nie podobna go było pomieścić w jednym tomie; ogłaszając więc w pierwszym same li tylko akta kapitulne, trzeba było akta biskupie i konsystorskie pozostawić do tomu drugiego, w którym pomieszczone będą dodatki, uwagi i wykazy. Cenne dla badaczów przeszłości naszej wydawnictwo obiecuje pr. Ulanowski ukończyć najdalej za lat dwa.

Digitized by Google

Dr. Adolf Warschauer. (Stadtbuch von Posen). Erster Band. Die mittelalterliche Magistratsliste, die aelteren Protokollbücher und Rechnungen. Poznań 1892. Dwie części.

Towarzystwo historyczne poznańskie (niemieckie) wydało dwie części pracy D-ra Warschauera, której tytuł na czele został wymieniony. Autor wszakże powiadamia nas w przedmowie, że jest to tylko prawdopodobnie połowa zamierzonego wydawnictwa. Całość bowiem ma się składać z czterech części, ujętych w dwa tomy—tymczasem dotąd ukazały się dopiero części dwie w tomie jednym,

Dr. Warschauer zauważył, że gdy do historyi miast w Niemczech poważny materyał źródłowy został wydrukowany, z dawnych miast królewskich polskich jeden tylko Kraków może się czemś podobnem poszczycić. Chcąc powyższy brak uzupełnić, postanowił Dr Warschauer wydrukować ważniejsze źródła, dotyczące dziejów miasta Poznania, i opatrzyć je w odpowiedne objaśnienia. Tom pierwszy obejmuje wieki średnie i pozwala się dokładnie rozejrzeć w wewnętrznej organizacyi miasta. W tomie drugim zawartym zostanie materyał, określający stosunek miasta do państwa.

Wstęp do pierwszego tomu rozpoczyna autor od dokładnego opisu archiwum miasta Poznania, które ze wszystkich archiwów miast wielkopolskich było najbogatszem. Archiwum powyższe składa się: 1) z oryginalnych dokumentów, 2) protokołów władz municypalnych, 3) ksiąg rachunkowych, 4) miscellaneów i 5) rękopisów. Do uporządkowania archiwum przyczynili się w pierwszej połowie XIX wieku Trojański i Łukaszewicz, który materyałem archiwalnym posiłkował się w swym obrazie historyczno-statystycznym miasta Poznania.

Dokumentów oryginalnych posiada archiwum aż 544, lecz przywilej erekcyjny z r. 1253, mocą którego miasto otrzymało prawo magdeburskie, nie dochował się, i najstarszym dokumentem jest przywilej książąt Przemysława i Bolesława z r. 1254. Protokołów miejskich znajduje się w archiwum znaczna obfitość; rozpoczynają się one z rokiem 1398 i w najdawniejszych czasach prowadzone były w języku niemieckim. W XV wieku wszakże łacina wypychała coraz uporczywiej język niemiecki, a przy zeznaniach świadków lub w rocie przysięgi pojawiał się niekiedy język polski. Najpierwszy dokument w polskim języku ukazał się w księgach radzieckich w r. 1463. Ksiąg protokólarnych posiada archiwum 230, nie licząc w tem około stu brulionów. Prócz tego znajdują się w archiwum poznańskiem „Acta trium ordinum" w 5 tomach, rozpoczynające się z rokiem 1649 i niezmiernie ważne dla historyi administracyi finansów miasta. Przechowały się również

Digitized by Google

protokoły komisyi wojewódzkich, które, z mocy uchwały sejmowej, mianował sejmik generalny wielkopolski, aby ściągnęły zaległe podatki i oddały je jako żołd dowódzcom wojewódzkich zaciągów. Są także w archiwum poznańskiem protokoły komisyi „boni ordinis", która w roku 1780 zasiadała w Poznaniu w celu uporządkowania stosunków miejskich. Protokoły powyższe wypełniają dwa potężne tomy in folio i stanowią, jak autor utrzymuje, nietylko ważne źródło dla historyi miast, ale i trwały pomnik prawdziwego rozumu stanu.

Opisawszy starannie zawartość archiwum miejskiego, poświęcił Dr Warschauer uwagę rozwojowi miasta Poznania w wiekach średnich, zwłaszcza pod względem topograficznym. W pierwszej połowie XIII wieku przedstawiał Poznań szczególny widok dwóch części miasta, przedzielonych nietylko rzeką, ale i znacznemi obszarami ziemi. Zdaje się, że już w tej dobie kolonistów nie brakło, chociaż przypływ znaczniejszy mógł rozwinąć się dopiero wówczas, gdy miasto pozyskało prawo magdeburskie, organizujące władze municypalne i zabezpieczające wymiar sprawiedliwości dla całej okolicy.

Trzeci rozdział pracy poświęcił Dr Warschauer historyi organizacyi władz municypalnych, zaznaczając uprzednio, że jakkolwiek miasta królewskie w dawnej Polsce wraz z prawem niemieckiem pozyskały w ogólności jednakowy ustrój, nie mniej wszakże nie postradały charakterystycznych rysów indywidualnych, które przeszłości ich nadają naukowy interes. Najważniejszym organem samorządu municypalnego była rada (Rath); pierwszą wzmiankę o jej istnieniu w mieście Poznaniu spotykamy w roku 1280, a więc w 28 lat po założeniu miasta. Z dawnych dokumentów przekonać się można, że rada była wybieraną przez gminę, „Communitas", którą to nazwą mianowano grono wyborców, złożone przeważnie z ławników i starszych cechowych. Wybrani przez gminę musieli być jednakże mianowani i zatwierdzeni przez króla (nominati et confirmati) lub w zastępstwie monarchy przez wielkopolskiego generała. Jedynie w okresie od 1444—1449 i od 1456—1459 roku, tytułem szczególniejszej łaski królewskiej, pozostawiono Poznaniowi swobodny wybór rady, co przypisać należy wielkim ciężarom wojennym, od których się miasto nie uchylało.

W historyi organizacyi miejskiej ważnym jest skup na rzecz miasta wójtostwa, które w początkach bywało zazwyczaj w dziedzicznem posiadaniu pewnej rodziny (advocatus hereditarius). Przez skup powyższy miasto zyskiwało nietylko szerszy zakres samorządu w dziedzinie sądownictwa, ale różne użyteczności, a między niemi i opłaty sądowe, stawały się jego udziałem. O Kaliszu wiadomem jest, iż w roku 1360 skupił wójtostwo 360 markami, tymczasem o Poznaniu to

Digitized by Google

jedynie da się powiedzieć, że skup wójtostwa nastąpił podług wszelkiego prawdopodobieństwa między 1380 a 1386 rokiem.

Po założeniu miasta Poznania, zdaje się, iż przez czas jakiś utożsamiano radę z ławą miejską; dopiero też w r. 1288 wzmiankowano osobno o ławnikach w odróżnieniu od rajców. Pod nazwą „tota communitas", „gancze gemeyne", rozumiano zazwyczaj radę ławą i przysięgłych (jurati). Przysięgłymi zaś zwano starszyznę cechową (Innungsvorstand) której w zarządzie miasta przypadł także pewien udział; niekiedy wszakże tymże samym terminem oznaczano i ławników.

W kwestyach obchodzących miasto, zazwyczaj cechy obradowały w swych izbach a starszyzna cechowa zasiadała razem z magistratem. W ten sposób rajcy, ławnicy i przysięgli mogli twierdzić, iż postanowienia swe wydawali z wiadomością wszystkich cechów, z przyzwoleniem całej gminy (Jawort der ganzen Gemeine). Gminie przysługiwało jedynie przyjęcie lub odrzucenie przedstawień magistratu, ale modyfikacyi częściowych czynić jej nie było wolno i dlatego też nadano jej oryginalne miano ludu przyzwalającego „Javolk". Wśród kollegium rady spotykamy jeszcze członków zwanych „seniores" lub „consules antiqui", do których zaliczano wysłużonych rajców, powoływanych specyalnie do rady (specialiter ad hoc rogatis) a nie należących do niej z urzędu.

W początku XV wieku wyrobiła się zwyczajowo zasada, iż służbę w samorządzie municypalnym rozpoczynano w ławie, aby następnie przejść do rady. Rękodzielnicy zaś przechodzili zazwyczaj do stanu kupieckiego, zanim rozpoczęli służyć publicznie miastu i kupcy dostarczyli też największą stosunkowo ilość członków magistraturze municypalnej. Z listy urzędów municypalnych przekonać się można, że jeszcze w XIII wieku przypływ kolonizacyi niemieckiej był znacznym, albowiem ster spraw municypalnych znajdował się przeważnie w rękach rodzin niemieckiego pochodzenia. Z 260 nazwisk rodzinnych, które lista obejmuje, 80 należy zaliczyć do kategoryi, pod względem narodowości zupełnie niepewnej, zresztą zaś 59 nazwisk można uważać za polskiego pochodzenia a 119 niemieckiego. W początku jednak XVI wieku polonizacya postępowała tak szybko, że nawet niemieckie rodziny przybierały polskie rodowe nazwiska. W r. 1504 nastąpiła radykalna zmiana ustroju municypalnego; prawo bowiem wyboru rady municypalnej przeszło do korony i z 16 członków rady wybierał zazwyczaj generał wielkopolski 8 rajców zasiadających, z których każdy po kolei przez miesiąc sprawował urząd burmistrza. Rajcowie zaś wybierali ławników. Rada więc ze zmiany w r. 1504 skorzystała i to z ujmą gminy, która swych praw publicznych pozbawioną została. Szesnastu rajców

Digitized by Google

mianowała bowiem korona dożywotnio i przy nominacyi uwzględniała miejscowy patrycyat.

Czwarty rozdział poświęcił Dr. Warschauer radzie municypalnej, jej obowiązkom i aktom. Z rozdziału powyższego dowiadujemy się, że stosunkowo dość późno uczuła rada miasta Poznania potrzebę stwierdzenia i utrwalenia swych czynności aktami. Najdawniejszy tom obejmuje epokę od 1398 do 1449 roku, a i tych aktów nie można uważać za formalne protokoły posiedzeń rady. W aktach radzieckich panował jeszcze w XIV wieku przeważnie język niemiecki, w ciągu jednak XV stulecia ustępuje coraz bardziej miejsca łacinie, a w XVI wieku znika zupełnie.

Jak był swego czasu poważanym magistrat stolicy Poznania, dowodzi najlepiej fakt, iż powoływany był często jako rozjemca przez strony, które bynajmniej do forum jego nie należały. Szlachta nie uważała bynajmniej za ubliżenie poddawać się jego sądowi polubownemu, a ta sama powaga, której używał magistrat poznański, stała się udziałem jego ksiąg, do których i szlachta produkowała ważniejsze dokumenta. W tymże rozdziale Dr Warschauer wykazuje szczegółowo, jakie cenne światło rzucają akta radzieckie na zarząd finansowy i sprawiedliwości miejskiej. Lekceważyć ich znaczenia nie należy, pomimo że istnieją rachunki miejskie, które do gruntownego zapoznania się z finansami miasta są niezbędnemi, i że egzystują ławy uzupełniające dzieje municypalnego sądownictwa.

Piąty rozdział poświęca Dr. Warschauer ławie sądowej, jej obowiązkom i aktom, a VI-ty sądownictwu kryminalnemu. Z rozdziału VI dowiadujemy się, że na początku XVI wieku drogi około Poznania były tak niebezpiecznemi, a to, między innemi, dzięki i rozbójnikom niemieckim, że nietylko kupcy byli zastraszeni, ale zuchwalstwo urosło do tego stopnia, że rozbójnicy powzięli plan pochwycenia w podróży całego magistratu miasta Poznania, uwięzienia generała wielkopolskiego, kasztelana kaliskiego, i spalenia przedmieść poznańskich.

W ostatnim rozdziale przedstawia Dr. Warschauer administracyę finansów miasta Poznania, wykazując, iż najdawniejsze księgi rachunkowe dotyczą epoki od 1493—1502 roku. Jak się z rzeczonych ksiąg rachunkowych (regestra civitatis) pokazuje, zarząd finansów miejskich powierzanym bywał wydziałowi złożonemu z trzech dispensatorów, wybieranych corocznie przez radę, ławę i starszych cechowych, w ten sposób, iż jeden z dispensatorów należał zawsze do grona rady, drugi do ławy a trzeci do starszyzny cechowej. Do końca XV wieku obliczano jeszcze wszystko na marki, ale już w pierwszej połowie XVI stulecia marka ustępuje miejsce złotemu. Na podstawie ksiąg rachunkowych trudno nawet przy schyłku wieków średnich przedstawić ogól-

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

ny etat miasta Poznania; w przybliżeniu też, podług starannych obliczeń Dra Warschauera, wynosi on w r. 1493 dochodów *287 1/2* marek a rozchodu *250* m., w roku zaś 1496/7 dochodu *424* m. a rozchodu *355* m.

www.libtool.com.cn

Dr. Warschauer przedstawił szczegółowo wszystkie podatki, które miasto opłacało na rzecz skarbu królewskiego, i wszystkie opłaty, jakie pobierało na rzecz kasy miejskiej. Omawiając zaś kwestyę pożyczek miejskich, doszedł autor do tego przekonania, że miasto Poznań zaciągało ją nietylko wówczas, gdy potrzebowało znaczniejszej sumy dla skupu wójtostwa lub zadośćuczynienia ciężarom państwowym, ale i wtedy, gdy się zdarzała sposobność zrobienia korzystnego interesu. W dwóch częściach tomu pierwszego wydrukował jeszcze Dr Warschauer w oryginalnym tekscie: 1) średniowieczną listę magistracką, 2) akta rady miejskiej, 3) akta kolegium ławniczego, 4) akta sądownicze karne i 5) rachunki miejskie.

W tomie pierwszym zawarł Dr Warschauer dopiero połowę zamierzonej pracy. Z tego jednak, co już wykonał, przekonać się możemy stanowczo, iż mamy przed sobą badacza sumiennego, gruntownego, któremu w studyach przewodniczyła prawda, bez żadnej przymieszki narodowościowych lub politycznych tendencyi. Tom pierwszy dzieła Dra Warschauera posiada niezaprzeczenie wysoką naukową wartość, a gdy ukaże się tom drugi, równie gruntownie i umiejętnie opracowany, wtedy pierwszy Poznań pozyska tak pełną i wykończoną monografię historyczno-prawną, a Dr Warschauer zdobędzie sobie należytą wdzięczność i uznanie w dwóch literaturach — niemieckiej i naszej.

A. Rembowski.

Correspondencia diplomática del Conde de Aranda embajador cerca del Rey de Polonia, 1760—1762. Corr. dipl. del Marqués de Almodóvar, ministro plenipotenciario cerca de la corte de Rusia, 1761—1763. (Madrid, Perales y Martinez, 1893).

Niniejsza korespondencya dyplomatyczna, wyjęta z Archiwum Stanu w Simancas, stanowi tom CVIII znanej *Colección de documentos inéditos para la historia de España*. Wielkie to wydawnictwo, podjęte przed pół wiekiem przez kilka osób prywatnych, miłośników historyi ojczystej, ich staraniem i sumptem prowadzone, w ostatnich czasach szybko urasta, dzięki chwalebnej ruchliwości obecnego kierownika, członka madryckiej akademii nauk historycznych i politycznych, p. de la Fuensanta del Valle. Ukończywszy druk interesującej ze wszech miar korespondencyi zagranicznej Filipa II, wydawca miłą uczynił nam niespodziankę, przerzucając się obecnie do środka XVIII wieku,

Digitized by Google

przez ogłoszenie relacyi posłów hiszpańskich z Warszawy i Petersburga.

Stosunki między Polską a Hiszpanią nigdy nie były zbyt ożywione, a najmniej w ubiegłem stuleciu. To też nietyle względy polityczne, ile raczej familijne, były powodem umocowania ambasadora Jego Katolickiej Mości u dworu Augusta III. W sierpniu 1759 r., po śmierci Ferdynanda VI, jego brat młodszy, don Carlos, król Obojga Sycylii, wstąpił na tron hiszpański. Był on żonaty z Maryą-Amalią, córką najstarszą króla polskiego. — August złym był monarchą, lecz był dobrym ojcem rodziny. Co prawda, z synów niewiele miał pociechy. Najstarszy, z urodzenia kaleka, — ks. Albrecht, lichy generał,—ks. Klemens, lichy biskup, — ks. Ksawery, i ulubieniec rodzica, ks. Karol, w których wyraźnie znać nieczystą krew dziada: żaden z tych ostatniej doby królewiczów sympatyi nie budzi. Ale córki król miał poczciwe i przywiązane. Zaś dowodów ich przywiązania w owej chwili, śród perypetyi wojny siedmioletniej, potrzebował wielce. Wiadomo, jak jedna z tych córek, młoda małżonka Delfina, uderzona jak gromem wieścią o najściu Fryderyka na Saksonię, ze łkaniem padła do nóg Ludwikowi XV, błagając dla rodziców ratunku, i jak tym sposobem przyczyniła się do ściślejszego zadzierzgnięcia aliansu francusko-austryackiego. Alians niewiele poradził, ratunek łatwym nie był. Fryderyk dalej w galeryi drezdeńskiej estetycznych zażywał rozkoszy, usadowiony w fotelu naprzeciw *Notte* Correggia; August, schroniwszy się do Polski, nudził się i biadał w Warszawie.

Królowa hiszpańska również szczerze, jak młodsza córka, pragnęła ojcu przyjść z pomocą w położeniu tak rozpaczliwem. Miała z tem jednak niemało kłopotu. Stosunki polityczne na dworze madryckim były dość powikłane. Karol III, dziedzicząc koronę hiszpańską, winien był, w myśl traktatu akwizgrańskiego, Neapol ustąpić bratu, Filipowi, ks. Parmy, od którego z kolei Parma wróciła-by do Austryi. Zamiast tego, król dał Oboje Sycylii własnemu synowi, Ferdynandowi; don Filip został przy Parmie; Austrya, nic nie dostawszy, protestowała głośno, popierana przez sprzymierzoną Francyę. Królowa-matka, Elżbieta Farnese, nie taiła się z nienawiścią dla dworów wersalskiego i wiedeńskiego. Tem się tłómaczy, że minister spraw zagranicznych zmarłego króla, Ricardo Wall, kreatura angielska, pozostał na urzędzie za nowego panowania. Taki skład rzeczy nie uszedł uwagi najuważniejszego polityka owych czasów. Fryderyk, wszędzie obecny, bijąc Soubise'a i Dauna, Węgrów podniecając do rokoszu, korespondując z Chanem tatarskim i z Wolterem, Padyszachowi śląc przyjacielską zachętę do wojny świętej w imię Mahometa, a Jerzemu II w imię reformacyi,—śród tylu zajęć miał też oko na to, co się działo w Escurialu. Miał on w Madrycie podówczas zaufanego reprezentanta, osobistego

Digitized by Google

swego przyjaciela, marszałka d'Ecosse; jemu na pierwszą zaraz, przedwczesną jeszcze, wiadomość o zgonie króla Ferdynanda, śpieszy przewidująco stosowne posłać dyspozycye [1]). Z tem wszystkiem, jakkolwiek opóźnione zostało porozumienie się między Hiszpanią a koalicyą, tymczasem przecie (lipiec 1760) wzgląd na królową Maryę-Amalię dał pobudkę do wyprawienia do Warszawy, w charakterze ambasadora, hr. Arandy.

www.rbtool.com.cn

Aranda wtedy już miał ustaloną opinię oświeconego i głębokiego polityka, choć nic jeszcze nie był zrobił. Zlecenie królewskie zastało go w Paryżu, gdzie lubił bawić się i filozofować. Wziął on swą misyę polską bardzo seryo. Niezwłocznie, jeszcze z Paryża, wystosował do Madrytu memoryał, gdzie prosi o skazówkę, jak się ma zachowywać w Warszawie, w szczególności w razie opróżnienia tronu polskiego. Trzy kierunki, pisze, w takim wypadku były-by do uwzględnienia: jedni w Rzpltej trzymają z księciem następcą saskim, drudzy woleli-by którego z młodszych synów królewskich, inni wreszcie dosyć już mają monarchów z Drezna: — poseł pragnie wiedzieć, w jakim kierunku ma być czynny. Takie zajęcie się ewentualnością elekcyi na trzy lata przed śmiercią Augusta wydaje się nam rzeczą dość osobliwą. Przypuszczamy, że znajduje się ono w związku z planami, z jakiemi w tym samym czasie nosił się ks. Ksawery i jakiemi zabierał czas Choiseulowi. Zadłużony królewicz miał zamiar skłonić ojca do abdykacyi w Polsce, odszkodować go kosztem Fryderyka, (było to po Hochkirchu, Kunersdorfie, Maxen; Fryderyk zdawał się być złamanym;)—i znienacka, przy pomocy Francyi, własną przeprowadzić elekcyę. W Madrycie nie myślano w te rzeczy się wdawać: pochwalono Arandę za gorliwość, lecz dodano, że król życzy teściowi najdłuższego życia, bezkrólewia nie przewiduje tak rychło, angażować się przedwcześnie nie zamierza [2]).

W Warszawie nie wiele miał Aranda do roboty. Tegoż samego dnia, kiedy tu przybył, zmarła w Madrycie królowa (27 września); niefortunna ta okoliczność, zrywając główną łączność między dwoma dworami, czyniła w gruncie rzeczy misyę posła całkiem zbyteczną. Istotnie, cała jego tutejsza działalność dyplomatyczna, jak przedstawia się z relacyi, równa się zeru. Z tego Arandzie zarzutu czynić niepodobna;

---

[1]) Fryderyk do marszałka, 21 lipca 1759. Tachez, je vous prie, par tous les moyens imaginables de me rapatrier avec la reine douairière d'Espagne (Elżbieta, Fryderyk otrzymał fałszywą wiadomość o śmierci Ferdynanda)... son amitié m'est d'autant plus nécéssaire, parceque la reine des Deux-Siciles est une princesse Saxonne et par bonne et certaine conséquence mon ennemie jurée. Pol. Corr. XVIII (1891), 432.

[2]) Aranda do Walla 28 lipca 1760; Wall do Arandy, 16 sierpn., 328, 339. Do tego odnosi się oczywiście dokument bez daty, będący referatem z depeszy Arandy, a niewłaściwie odniesiony do końca roku, 427 nast.

Digitized by Google

i biorąc do ręki jego doniesienia, nie szukaliśmy w nich dyplomaty, lecz obserwatora. Człowiek, który dla swego kraju, jako organizator i polityk, tak znaczne położył zasługi, pierwszy minister, który z energią i zręcznością wyjątkową potrafił zburzyć zakon jezuitów w ojczyźnie Loyoli, bez wątpienia był umysłem niepospolitym. Tem bardziej byliśmy ciekawi usłyszeć, jakie on uczyni postrzeżenia i jakie wygłosi sądy o sprawach i stosunkach polskich, którym z blizka przez dwa lata się przyglądać najlepszą miał sposobność.

Parę interesujących uwag znajdujemy, w rzeczy samej, w początkowych depeszach Arandy. Bardzo się on był śpieszył w drodze, aby zdążyć na sejm do Warszawy; tymczasem zaraz na wstępie, — w pierwszych dniach października,—trafił na zerwanie sejmu. Ze zdumieniem przygląda się systematycznemu gwałceniu neutralnego terrytoryum Rzpltej w czasie trwającej wojny przez wojska cudzoziemskie, które z zupełną swobodą obierają sobie tutaj podstawę operacyjną. Te dziwne zjawiska dają mu do myślenia. „Zbyt krótko tu bawię,— pisze w listopadzie—abym zasadnie mógł orzekać o sprawach tego państwa, lecz niemniej dochodzę do wniosku, że ono dąży do upadku... Nie jest to ani rząd republikański, ani monarchiczny, ani mieszany. Roztropniejsi dobrze widzą ten nieporządek, przewidują ruinę, lecz mniemają, że nie nastąpi ona za ich czasów, a o przyszłe się nie troszczą.“ Zwraca uwagę, że skutkiem przemarszu wojsk obcych oraz niechęci dla dworu i dla Brühla, rosną sympatye dla króla pruskiego [1]). Ta ostatnia okoliczność dowodnie dziś została stwierdzona przez korespondencyę polityczną Fryderyka, skąd widać, że Klemens Branicki, Franciszek Salezy Potocki i wielu innych, przez cały czas trwania wojny utrzymywali nader dwuznaczne stosunki z Berlinem. Często wspomina Aranda o nadzwyczajnej deprecyacyi monety, skutkiem zalania kraju przez wyroby fałszerzy berlińskich; parę cyfr dokładnych, jakie w tym przedmiocie podaje, nie są bez znaczenia. Również nie są pozbawione wartości niektóre szczegóły w jego depeszach z początku 1761 r., oświetlające podjętą wówczas z Paryża negocyacyę pokojową, która się rozbiła o opór Maryi-Teresy.

Ale otóż i wszystko, co się dało wyłowić z długiej a beztreściwej korespondencyi warszawskiej Arandy. Niepospolitego obserwatora, jakiegośmy w niej szukali, nie znaleźliśmy zgoła. Trochę się on wydaje taki ciemny i zbłąkany w rzeczach polskich, jak jego rodak,

---

[1]) Aranda do Walla, 8 listop., 380: Esos bastante afectos al Rey de Prusia, declaman que los rusos aprenden el camino, toman gusto al país, como mas fertil y templado que el suyo, y que si se retirasen por ahora, volverían en un otro tiempo intentando quedarse.

Digitized by Google

elokwentny don Medina-Coeli z powieści Niemcewicza; tyle tylko, że zamiast łatwej admiracyi, jak czuły przyjaciel Tenczyńskiego, objawia ambasador zgryźliwą pretensyonalność dyplomaty, który jest w kłopocie, czem ma swoje depesze zapełnić. Jest w tych depeszach Arandy dużo „wyższych" politycznych dyskursów, są cytaty z Vattela, a najwięcej jest tłómaczeń, sporów, rekryminacyi w sprawach etykiety. Zaraz po przyjeździe zaczęło się od kredencyałów: Aranda oddał swoje listy uwierzytelniające Brühlowi i otrzymał u króla audyencyę; stąd w. marszałek kor. (Bieliński) spór wytoczył, że kredencyały adresowane były do króla, nie do Rzpltej. Potem posypały się najróżnorodniejsze kłótnie z posłem francuskim. Choć obadwaj teraz Burboni, król arcychrześciański i król katolicki, jak spółzawodniczyli za czasów Karola i Franciszka, tak obecnie w osobies wych przedstawicieli u dworów spierali się zażarcie o pierwszeństwo w przedpokojach. Posłem francuskim był naówczas w Warszawie Paulmy. Człowiek nie bez ukształcenia ani dobrych chęci, był to przecie niezawodnie człowiek ograniczony, a jego słabość dla pani Mniszchowej (córki Brühla) nie dodawała mu ani rozumu, ani taktu. Wywiązywały się między obu posłami kwestye i spory przy lada okazyi. A więc rozchodziło się o to, kto ma pierwszy próg przestąpić, kto jakie wznosić toasty na obiadach dworskich, kto w loży poselskiej w operze ma siedzieć po prawej stronie i t. p. Hiszpan, twardy na punkcie etykiety, dziesiątki depesz zapełnia gruntownemi roztrząsaniami w tych ważnych materyach. Nie dowie się z tych depesz czytelnik, co się działo w kraju ani nawet w stolicy, lecz jedynie, jakie zachodziły ewenementa w warszawskim świecie dyplomatycznym. A był to światek bardzo mizerny. Nuncyusz Visconti, dobroduszny człowiek a słaba głowa; poseł austryacki, Sternberg, i angielski, Stormont, obadwaj dyplomaci trzeciego rzędu; Benoît, pruski rezydent, niepozbawiony sprytu, lecz mający słabość do datków i do mocnych trunków. Nie można wziąć za złe Arandzie, jeśli po Paryżu czuł się w tem towarzystwie trochę jak na wygnaniu.

Relacye Arandy urywają się w niniejszej edycyi na czerwcu 1761; być może, iż w drugiej połowie znajdzie się więcej rzeczy godnych uwagi. Tymczasem—jakkolwiek mała jest nadzieja, aby ta skarga doszła do Madrytu i wpłynęła na edycyę następnego tomu, — musimy wyrazić zdumienie nad iście fantastyczną pisownią nazwisk cudzoziemskich w ogłoszonej korespondencyi Arandy. Naturalną jest rzeczą, że p. de la Fuensanta, który tyle uczynił dla wyświetlenia dziejow Filipa II, lepiej się zna na hiszpańskich mężach stanu z XVI w., niż na polskich z XVIII,—lecz z drugiej strony nie powinien przeceniać domyślności swych czytelników. Jeszczeć to bagatela, gdy się tutaj czyta: „Sartorinski", „Sapielia", „Kraunitz", „Dafscoff" i t. d., bo dorozumieć się

Digitized by Google

można bez wielkiego mozołu, że mowa o Czartoryskim, Sapieże, Kaunitzu, Daszkowej. Że tajemniczy „Presidente de Sajonia" jest identyczny z rezydentem saskim w Petersburgu, Prassem, to już mniej jest widocznem dla nieprzygotowanego czytelnika. Zaś wysilić potrzeba domyślność, aby wykryć, że „Sadolonowski" oznacza Jabłonowskiego, „Lolus"—Solms'a, „Rozamuski"—Razumowskiego, „Bosgh"—Borcka i t. p. A jest to rzecz, której wydawca z łatwością mógłby dopilnować, zajrzawszy choćby do indeksu nazwisk w którymkolwiek spółczesnym tomie korespondencyi Fryderyka albo Mercy'ego.

Niezadługo po wyprawieniu Arandy do Warszawy, wysłany został (w styczniu 1761 r.) do Petersburga don Pedro Almodóvar. Dokonywało się w owym czasie zbliżenie pomiędzy rządem hiszpańskim a koalicyą, które doprowadziło w sierpniu t. r. do paktu familijnego z Francyą, a w początku roku następnego do wojny z Anglią. Jednak instrukcya dla Almodóvara trzymana jest w wyrazach nader ogólnikowych; głównem zadaniem posła ma być zawiązanie żywszych stosunków handlowych między Hiszpanią a Rossyą, uzyskanie od cesarzowej Elżbiety ulg i przywilejów, które pozwoliły-by kupcom hiszpańskim spółzawodniczyć w handlu północnym z Anglikami i Holendrami. Była to oczywiście myśl nie do urzeczywistnienia. Almodóvar krótki czas zatrzymał się w Warszawie, gdzie był przez Arandę przedstawiony królowi; po mozolnej podróży—zaraz na wstępie do Polski uskarża się na „złe drogi i gorszych pocztylionów", jakich nawet w Hiszpanii nie widział,—w czerwcu dopiero dotarł do Petersburga. Cesarzowa przyjęła go nader łaskawie, lecz z młodym dworem wielkoksiążęcym zaczęły się niebawem nieporozumienia, — oczywiście znowuż w sprawach etykiety. Na przyjęciu oficyalnem margrabina Almadóvar ucałowała rękę cesarzowej, lecz żadną miarą nie chciała tego powtórzyć względem w. księżny Katarzyny; poseł zaś nietylko, że żonę utwierdził w oporze, lecz sam z kolei odmówił ucałowania ręki w. ks. Piotra. To samo uczynił poseł francuski i pani Breteuil. Trudno sobie wyobrazić, jaką burzę ten ciekawy epizod wywołał u dworu. Tymczasem w styczniu 1762 r. zmarła cesarzowa Elżbieta; na tron wstąpił Piotr III. Położenie Almodóvara odrazu stało się nader niedogodnem. Wiadomo, jak raptownej zmianie uległa polityka zagraniczna Rossyi. Cesarz od pierwszej chwili dał wyraz swoim sympatyom dla Prus i Anglii; poseł Fryderyka, Goltz, i Jerzego, Keith, wyjątkowe zajęli stanowisko. A w tym samym czasie przypadło wypowiedzenie wojny między Anglią a Hiszpanią. Przykrzejszą jednak była sytuacya posłów francuskiego i austryackiego, Breteuila i Mercy'ego. Do tych szczególniejszych stosunków mieści się w depeszach Almodóvara parę przyczynków ciekawych; jest tu między innemi szczegółowy opis głośnego zajścia na

Digitized by Google

wieczorze u kanclerza Woroncowa, które było już znane z doniesień Mercy'ego i Breteuila. Nowy zatarg etykietalny przyczynił się do zaostrzenia stosunków. Kiedy Almodóvar zażądał audyencyi urzędowej dla złożenia cesarzowi nowych kredencyałów, zażądano od posła, aby przedtem złożył pierwszy wizytę ks. Jerzemu Holsztyńskiemu, wujowi Piotra. Almodóvar odmówił. W tem samem położeniu znalazł się Breteuil. Obadwaj skutkiem tego nie mogli audyencyi uzyskać ani oddać listów uwierzytelniających [1]). Z kłopotliwej sytuacyi uwolniło ich objęcie rządów przez Katarzynę II. Bardzo interesującą jest obszerna depesza Almodóvara z 13 lipca. Uzupełnia ona nader już obfity, znany dotychczas materyał: depesze Mercy'ego, ogłoszone przez p. Tatiszczewa w Zbiorze Cesarskiego Towarzystwa Historycznego, wyciągi z doniesień Bérenger'a i Prasse'go, podane przez Grimblot'a, a uzupełnione niedawno przez p. Bilbasowa. Brak wprawdzie jeszcze relacyi najciekawszych — posła pruskiego Goltza, do których nie potrafił dotrzeć nawet p. Bilbasow, a które, być może, ukażą się w roku przyszłym w korespondencyi Fryderyka w dłuższych wyciągach.

Kierunek, w jakim potoczyła się polityka zagraniczna cesarzowej Katarzyny, zupełnie zawiódł oczekiwania trzech dworów skoalizowanych. Pokój zawarty przez Piotra III z Prusami, został przez jego następczynię potwierdzony; a jakkolwiek nie otrzymał ratyfikacyi wygotowany już traktat przymierza, niemniej jednak podjęte zostały negocyacye przyjacielskie między Berlinem a Petersburgiem, których owocem miał zostać alians z r. 1764.

Już w styczniu 1763 r., Almodovar, tłómacząc się przed królem chorobą żony, wyprosił odwołanie swoje z Petersburga. W tym samym czasie odwołani zostali stąd jego przyjaciele, a poniekąd mentorowie, Breteuil, przeznaczony do Sztokholmu, i Mercy, który następnie dostał się do Warszawy. Zdaje się, że Almodovar nie życzył sobie pozostać sam śród stosunków, gdzie, jak widać z jego depesz, nie potrafił się oswoić. Przeczekał jeszcze do przyjazdu swego zastępcy, którym był Herreria; zaraz potem, w lipcu t. r., wyjechał z Petersburga.

Szymon Askenazy.

---

[1]) Almadóvar do Walla, 26 lutego, 9 marca 1762, 120 nast.: la extraña y pública pasion de este Soberano per los enemigos de las tres coronas... ha influido tanto en los ánimos serviles de sus vasallos que apenas nos hablan ó nos miran en lugar tercero; en nuestras casas nadie pone los piés.

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

Gabrielski. „Czem filozofia jest i czem będzie?" Kraków. 1894. Gebethner i S-ka.

www.libtool.com.cn

W niewielkiej broszurze o 78 stronach, której połowa przytem poświęcona polemice ze zdaniami, zaprzeczającemi wszelkiej racyi bytu filozofii, usiłuje autor odpowiedzieć na pytania, czem ona jest i czem będzie?

Rozprawkę swoją dzieli na 5 części: „w pierwszej opowiemy, jak na pytanie: „czem filozofia jest dzisiaj"—odpowiadali inni; w drugiej damy sami odpowiedź na to zagadnienie; w trzeciej przytoczymy zapatrywania różnych filozofów na pytanie: „czem filozofia będzie z czasem"; w czwartej poprobujemy sami sił swoich w trudnej sztuce odgadywania przyszłości; w piątej odpowiemy na zarzuty, które filozofii czynią anti-filozofowie, jak nam się zdaje niesłusznie." Taki program zapowiada autor we wstępie.

Jak że go wypełnił?

Oto nasamprzód w pierwszym rozdziale wyciągnął z Ueberwega kilkanaście określeń filozofii, przepisując dosłownie stamtąd szereg cytat, ale zamilczając starannie o źródle swojej zapożyczonej erudycyi [1]); przytem zupełnie niepotrzebnie i nielogicznie rozdziela, co rozumiano pod wyrazem, a co pod pojęciem filozofii.

W rozdziale drugim autor tym samym sumiennym sposobem zużytkował odpowiedne ustępy z *System der Physolophie* Wundta, którego to dzieła również nie cytuje, chociaż powołuje się na inne prace tegoż autora. Z dosłownie przetłómaczonych ustępów tej książki, jak np. „Filozofia jest to nauka ogólna, mająca na celu zespolenie wiedzy i wiary w całość, zaspakajającą potrzeby umysłu i serca" [2]), lub „Filozofia jako nauka ogólna ma za przedmiot całość wiedzy ludzkiej w najogólniejszem znaczeniu; jej badanie zatem musi się odbywać w dwóch kierunkach. Ona ma na celu wykazanie, albo w jaki sposób wiedza powstaje, albo jak daje się w nierozerwalną całość zespolić..." i t. p., przeplata-

---

[1]) Plagiatu tego dowiódł licznemi konfrontacyami tekstów i cytat p. A. S. w „Ateneum", 1894 (marzec). Przytem, jak wykazuje ów krytyk, powstało nie jedno komiczne *qui pro quo* wskutek łapania na prędce cytat bez znajomości przytoczonego dzieła, jak np. zaliczenie do jednej kategoryi przeciwnych sobie poglądów Riehla i Baumanna—od czego mogło-by go ochronić wprost nawet uważniejsze przeczytanie Ueberwega, lub wypisanie Cosha, którego nazwisko przypadkowo znalazło się n niemieckiego historyka filozofii obok tytułu książki *The final science and spiritual materyalism*, napisaaej przez Anonima, jako autora tej książki i t. p.

[2]) Zbliżone do tego określenie filozofii z należytem umotywowaniem i zastrzeżeniami podałem przed paru laty w „Ateneum" („Pogląd na świat, jako przedmiot badania umiejętnego." Październik. 1891.)

Digitized by Google

nych wstawieniami z polskich autorów (jak J. Śniadecki), zostającem w zupełnej sprzeczności z poprzedniemi, lub własnemi dodatkami, paczącemi zupełnie sens przepisanych urywków, składa się ta „druga część," mająca zawierać własną odpowiedź autora.

Cała jego mądrość w częściach następujących jest również pożyczona z wymienionego dzieła Wundta, skąd też pochodzą i cytaty niezapożyczone od Ueberwega. „Część" trzecia składa się z 24 wierszy i odsyłacza po niemiecku, którego autor nawet nie zadał sobie pracy przetłómaczyć. W czwartej podaje on znowuż za „swoje" zdanie, że „filozofia w przyszłości przestanie być nauką, a stanie się sztuką"—dalekie echo poglądów Langego o twórczości metafizycznej—bez bliższego wyjaśnienia i umotywowania. W piątej wreszcie, idąc również śladem cudzych stóp, zbija zarzuty przeciw filozofii, oparte na tem, że jest niepraktyczna, niepotrzebna, zmienna.

Gdyby autor nie był udawał uczonego i nie upstrzył swojej broszury niezliczonemi zapożyczonemi cytatami, gdyby natomiast starał się był lepiej zrozumieć te dwie książki, z których się zapożyczył, i powołał się sumiennie na nie, gdyby dalej nie udawał był oryginalnego myśliciela, stawiając takie tytuły, jak: „Moja odpowiedź na to pytanie", (która okazuje się wcale nie „moją"), gdyby wreszcie opuścił był niektóre żarty i anegdotki w niesmacznym feljetonowym tonie, broszurka była-by nie pozbawiona pewnej wartości, jako bardzo popularna obrona filozofii przeciw zaprzeczającemu jej krańcowemu pozytywizmowi, a stojąca na umiarkowanem stanowisku.

Prawda, że obrona ta nie odznaczała-by się ani siłą, ani głębokością pojmowania rzeczy, ale, napisana żywo i lekko, mogła-by być czytaną z korzyścią przez ludzi, nie obeznanych bliżej z rzeczą. W formie obecnej jest ona tylko zuchwałą mistyfikacyą, obliczoną na nieuctwo czytelnika.

Przed dwudziestu laty takie mistyfikacye udawały się i zjednywały rozgłos swoim twórcom. Dziś, szczęściem dla naszej literatury, nie mogą już liczyć na powodzenie.

Wł. M. Kozłowski.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wolno wprawdzie, ale przecież posuwa się naprzód sprawa reformy wewnętrznej we Włoszech. Oppozycya rzuca się gwałtownie, usiłując przerazić społeczeństwo widmem dyktatury. Ilekroć jednak rząd stanie przed parlamentem z jakimś konkretnym wnioskiem, parlament okazuje uległość. Doznaje się wrażenia, że opinia publiczna oswaja się powoli z myślą o potrzebie wykonania tej próby ratunku, jaką jej proponuje gabinet, a izba, jakby poddając się wpływowi opinii, w ostatniej chwili zawsze kapituluje. Nieszczęściem oppozycyi jest, że wszystkie jej hasła albo zdążyły już wykazać swoją jałowość, albo nie wytrzymują krytyki. Nie chce ona nowych podatków—nie wskazuje wszelako sposobu wybrnięcia z kłopotów obecnych bez tych nowych podatków. Doradza obcięcie budżetu wojskowego, ale przed tym ryzykownym środkiem większość każdego parlamentu włoskiego cofnęła-by się. Po-za tem oppozycya nie ma programu tak jasnego, jak rząd, lub nawet nie ma go wcale. Krytykuje ona politykę wewnętrzną i zewnętrzną gabinetu. ale w ten sposób, że gabinet nie czuje się zachwianym w zaufaniu publicznem. Crispi i koledzy jego, przeciwnie, potrafili, zarówno z motywów wewnętrznych, jak zagranicznych, wydobyć argumenta na korzyść swojego planu reformy. Powiadają oni, że armii zmniejszać nie można, że zresztą gdyby nie przymierza, zawarte przez Włochy, armia ta musiała-by być taką samą, jak dziś, albo większą, a pomimo to, nie dawała-by krajowi tego bezpieczeństwa, jakiem się

Digitized by Google

on dziś cieszy; że stosunek ekonomiczny z Francyą popsuł się nie skutkiem polityki zagranicznej Włoch, bo dziś Francya jest w wojnie celnej np. ze Szwajcaryą, która nie zawierała przymierza z Niemcami; że wreszcie szkody z zatargu handlowo-politycznego z Francyą powinny z czasem zrównoważyć się przez tę korzyść, jaką osiągną Włochy przez wyzwolenie się z bezwzględnej zależności od rynku francuskiego. A więc, konkluduje rząd: polityki zagranicznej zmieniać nie można, ani armii zmniejszać; skoro zaś ratunek na tej zawodnej drodze, zalecanej przez oppozycyę, jest niepodobny, trzeba go szukać gdzieindziej. Nikt nie wskazuje lepszej nad tę, jaką wytknął rząd.

O ile coraz prawdopodobniejszem się staje, że gabinet Crispiego odniesie w końcu zwycięstwo i otrzyma zatwierdzenie swoich projektów bez rozwiązywania parlamentu, o tyleż na innym krańcu Europy, w Anglii, pozycya rządu robi się z każdym dniem coraz trudniejszą i niepewniejszą. Wyrazem zewnętrznym zmniejszania się wytrzymałości podstaw pod gabinetem Roseberego jest coraz topniejąca większość przy głosowaniach. Przy pierwszych głosowaniach wynosiła ona przeszło czterdzieści głosów, przy ostatniem już tylko czternaście. Z większością, która wynosi czternaście głosów, a i te niepewne, trudno jest rządzić Anglią. Pokazuje się teraz, że zastęp, któremu przywodził Gladstone, potrzebował jego wielkiego uroku do trzymania się w spójności. Lord Rosebery nie umiał pod tym względem zastąpić swojego poprzednika. Dobry jako minister spraw zagranicznych, nie posiada warunków przywódcy armii, tak do niekarności skłonnej, jaką jest obecna większość liberalna w izbie gmin. To też coraz to jakiś oddział żołnierzy zbiegnie mu z szeregów. Opuścili go już Parneliści, opuściły go drobne grupy radykalne. Jeszcze jedna potyczka, jeszcze jedna dezercya i może się znaleźć w mniejszości. A wtedy wypadnie rozwiązać parlament i odwołać się do wyborców.

Lord Rosebery jakby przewidywał blizkość tej chwili. Wnosi on do parlamentu różne projekta bez nadziei przeprowadzenia ich, ale widocznie tylko z myślą o przyszłych wyborach. Wszystkie te projekta będą służyły za środek agitacyjny; tu należy: reforma wyborcza, reforma kościelna w Walii, ustawa o czynszownikach irlandzkich i inne. Według obecnego nastroju umysłów sądząc, mało jest widoków, aby ta sesya skończyła się bez katastrofy i aby dzisiejszy parlament miał się zebrać jeszcze na jesieni.

Parlament niemiecki skończył swoją mozolną sesyę z tem przekonaniem, że państwo odniesie z uchwał jego duży pożytek w zakresie stosunków zagranicznych przez uchwalenie traktatu handlowego z Rossyą; ale że w zakresie polityki wewnętrznej nie udało mu się rozwiązać żadnego z zadań, jakie stały na porządku. Reforma finansów rzeszy

Digitized by Google

pozostała niezałatwiona. Wydatki na pokrycie reformy wojskowej nie zostały pokryte. Powziął przytem parlament jedną ciekawą uchwałę, mianowicie o zniesieniu banicyi, ciążącej na zakonie jezuitów. Miało stąd zadowolenie centrum, ale może także tylko chwilowe, bo niewiadomo, czy rada związkowa uchwałę tę zatwierdzi. Po-za tem stronnictwa rozeszły się z przekonaniem, że na jesieni trzeba będzie rozpocząć na nowo ciężką walkę o te interesa, które teraz nie otrzymały zadośćuczynienia.

www.fibrool.com.cn

W Węgrzech toczą się gorące rozprawy nad projektem rządowym ślubów cywilnych. Usposobienie kraju stanowczo jest przyjazne reformie, która też ma zapewnioną większość w izbie deputowanych. Jedynym szańcem obronnym, który pozostał przeciwnikiem tej innowacyi, jest izba magnatów. Ale zapewne i ten szaniec nie wytrzyma pod naporem. Kwestya ta do wysokiego stopnia podnieciła namiętności polityczne Węgrów i przy dzisiejszym nastroju opinii nie może nie być załatwiona w duchu projektu rządowego. Izba magnatów obraduje przy akompaniamencie gwaru niezliczonych tłumów, które ją otaczają, czekając niecierpliwie na wyniki obrad. Ten gwar jest to *vox populi*.

Jesteśmy w tym sezonie, kiedy to najobficiej mimowoli w myśli naszej rodzą się projekta wypoczynku wakacyjnego, kiedy ogarnia nas błogie oczekiwanie zupełnego rozkwitu natury, nadzieja ciepła, pogody i osłabienia nareszcie złośliwości epidemii cholerycznej. Może to straszne zwierzę da się nareszcie oswoić i okiełznać; trzecie już lato między nami przebywać będzie; trzecie lato lekarze będą trzymać ją pod mikroskopem, badać naturę i mozolić się nad środkami jej złagodzenia. Oby skutecznie!

Tym czasem oglądamy już letnie mieszkania, płacimy za nie słono, stosunkowo w trójnasób drożej, niż się płaci za lokale miejskie, po to, ażeby tam znosić w trójnasób większe niewygody i łudzić się pozornym wypoczynkiem. Matki pojadą dla dzieci, dzieci dla wytchnienia po nauce, a ojcowie—podwójny kłopot na swe barki wezmą. Rzecz to wielce charakterystyczna, że ci, którym najwięcej wypoczynku się należy, dziwnem zrządzeniem losu i warunków, najmniej wypoczywają, a w sezonie ogólnego rozleniwienia—częstokroć muszą pracować z większem natężeniem, niż przez rok cały. Przeciętny urzędnik biuralista jest to taka osobistość, której energia na podobieństwo nitki gumowej daje się rozciągać na bardzo szerokim dystansie. Gdzie w porze normalnej kilka lub kilkanaście takich nitek wiąże się z sobą,—w okresie wakacyjnym musi jedna lub dwie wystarczyć. Urzędnik taki jest powszechnym zastępcą licznych kolegów, jest duszą aparatu wiecznie czynnego. Czasem jednak nitka gumowa, zanadto przeciągnięta,

Digitized by Google

pęka i boleśnie uderza nas w palce. Uderzenie to odczuwa i ów aparat, tworzący jedną istotę, z wielu głów i rąk złożoną. Ale nie zdaje on sobie z tego sprawy, chociaż sam cierpi na tem, chociaż napięta energia jego pracowników słabnie w stosunku prostym do szerokości rozciągnięcia; chociaż to zamula i osłabia wnętrze aparatu, co znowu wymaga straty czasu i nowych kosztów na naprawę, a co ważniejsza, naraża najbardziej na stratę w ogólnej sumie produkcyjności.

www.libtool.com.cn

Nie zawsze atoli te zjawiska brane są w rachubę i tylko pocieszyć się możemy, że nie my jedni to odczuwamy. Oto co pisze dr Otto Dornblüth („Hygiena pracy umysłowej"): „Pomiędzy urzędnikami publicznymi niektóre dykasterye posiadają określone, dość długie ferye, kiedy tymczasem bardzo wiele innych musi za każdym razem o takie przerwy w robocie prosić. A wszakże w zasadzie niema żadnego powodu do mniemania, jakoby należący do ostatnio wymienionej grupy mniej potrzebowali czasu dla wytchnienia, lub mniej na nie zasługiwali. Natomiast rzeczywiście w niektórych zawodach stale wakacye istnieć nie mogą, z tego powodu, że w nich nawet na czas jakiś czynności zawiesić nie można. Otóż wydawanie urlopów w takich razach należy uważać nie za rodzaj nagrody lub gratyfikacyi, lecz za proste, konieczne urządzenie. Wiadomo, że instytucye, których urzędnicy pełnią szczególnie męczącą służbę umysłową, zapominają o tym hygienicznym punkcie widzenia i wydają urlop dopiero w razie choroby. Takie postępowanie mści się czasem na całem urządzeniu, gdyż odmawianie corocznego należytego wytchnienia zmniejsza sprawność i wyczerpuje zdrowie urzędnika, co sprowadza mniejszy rezultat pracy i wcześniejsze udzielanie emerytury." U nas uzyskanie urlopu nie jest rzeczą łatwą, a gdybyśmy zechcieli zebrać w tej mierze dane statystyczne, przekonalibyśmy się, że przeciętnie każdy pracownik korzystać z wakacyi może raz na pięć lub sześć lat. Gdyby wszakże wszelkie nasze instytucye, oparte na pracy, zechciały podstawy swego rozwoju wzmocnić hygieną, znalazł-by się sposób wyjścia bez kłopotliwych i trudnych zmian w tym względzie. Mianowicie, można było-by w sezonie letnim podzielić pracowników na dwie lub trzy grupy, czyli zmiany, i uświęcić dla nich zwyczaj stałych wakacyi. Słabe próby czegoś podobnego mieliśmy w zeszłym roku śród niektórych właścicieli aptek; był tam wprawdzie urlop krótki, kilko i kilkunastodniowy; ale nie zapominajmy, że to dopiero początek i że dla pracowników aptekarskich, których znaczna większość prawie chodzić zapomniała, te nawet krótkie wakacye, bez utraty zarobku, wielką ulgę przynieść mogą.

Kto, przykuty przez obowiązek i brak środków, nie może głowy wychylić po-za miasto, odetchnąć w cieniu lasów, lub przynajmniej

Digitized by Google

ogrodów, prawdziwie wiejskich, będzie miał w tym roku na pocieszenie —„ogródki." W ostatnich paru latach jakoś się one popsuły i przerzedziły, ale oto rozbite, rozproszone drużyny wiecznych włóczęgów bezdomych i głodnych silniej się zorganizowały, przynajmniej na jedno lato, dla pocieszenia bezwakacyjnych mieszkańców Warszawy. I sami może jakoś mocniejszy poczują grunt pod sobą. Dotychczas pozostawali na łasce przedsiębiorców—„dyrektorów", uważających wypłatę przynajmniej części pensyi aktorom za jakąś szczególną łaskę. Zapytałem kiedyś bardzo zdolnego artystę z trupy wędrownej: Dlaczego pan nie starasz się o debiut na scenie warszawskiej? Miał-byś stały punkt oparcia, skończył-byś tę wędrówki cygańskie.—W teatrach warszawskich nie dostanę, przynajmniej w pierwszych latach, tej gaży, jaką obecnie pobieram.—Późną jesienią spotkałem go znowu w wytartem paletku letniem, szedł zmizerowany, zgnębiony.— Cóż pan porabiasz?—zapytałem.—Nic! Szukam tymczasowo służby. Trupa nasza rozpadła się, dyrektor winien mi kilka tysięcy rubli!—Staraj się pan o debiut tutaj. —Nie mogę; nie mam już ani sił, ani werwy. Zresztą, przychodzić tak z ulicy, gdy wiedzą, że nie mam zajęcia...

Nie pojedyńczy to wypadek. Zwykle pan dyrektor, werbujący ochotników do swej drużyny, oprócz słodyczy w uśmiechu, obiecuje im piękne gaże, jakich isotnie nie mają nawet zdolniejsi artyści na scenach stałych. Ale cóż za pociecha, jeżeli nawet procent od tej gaży rzadko bywa wypłacany? Ale oto zmieni się ich położenie nieco nalepsze i pewniejsze; z rozporządzenia bowiem władzy stosownej, przedsiebiorcy dyrektorowie teatrzyków będą musieli zawierać umowy z aktorami według wszelkich formalności prawnych, dających rękojmię odbioru płacy. Nie zapewni to im trwałego bytu, ale przynajmniej pozwoli odbierać grosz, zapracowany na scenie.

Kto jest o tyle szczęśliwy, że nie będzie szukał świeżego powietrza w... „ogródkach" dla tego nie są obojętne ulgi taryfowe na kolejach żelaznych. Zdaje się, rok temu, podaliśmy projekt zniżenia opłaty za przejazd do miejscowości leczniczych i oto dziś cieszy nas, że ta myśl jest już do pewnego stopnia w czynie. Do niektórych miejscowości opłatę dla wszystkich trzech klas zniżono (między innemi do limanów odeskich o 30%). Obecnie zaś rozstrzyga się kwestya udogodnień dla komunikacyi pasażerskiej w okolicach podmiejskich, szczególnie przylegających do wielkich miast. Doświadczenie wykazało, iż ruch ten wzrasta w stosunku prostym do ulg czynionych. Szczegół powyższy przy opracowywaniu ogólnych zasad reformy taryfowej zajmuje zupełnie stanowisko odrębne, gdyż się nie zgadza z zasadami kombinacyi taryfowych. Z tego względu wszystkie koleje, łączące wielkie miasta, lub wychodzące z nich, muszą nadesłać do komisyi taryfowej szczegó-

Digitized by Google

łowe dane o ruchu pasażerskim od stacyi głównych na przestrzeni wiorst 80-iu dla opracowania racyonalnej zniżki, nie tylko na sezon letni, lecz wogóle na rok cały. Projekt to niezmiernie ważny, tem bardziej, że jest oparty na zrozumieniu istotnych potrzeb; okolice bowiem podmiejskie w promieniu mniej więcej wiorst 80, a nawet 100, są ściśle związane z potrzebami swego zbiorowiska. Dziś nie znajdziemy nawet chłopa prostego, który-by, mieszkając w obrębie tego pierścienia, nie zaglądał często do miasta. Ale teraz, gdy dla niego kolej żelazna jest jeszcze *nieprzystępna*, radzi on sobie inaczej: zakłada chabety do wozu, ładuje produkt na sprzedaż i jedzie. Pozornie tylko na tem zyskuje, traci bowiem dużo czasu, a i kolej ma stąd uszczerbek, zarówno w dziale bagażowym, jak i pasażerskim. Znane są przykłady, szczególnie podczas targów świątecznych, że furmanki zdążają na rynki warszawskie z odległości nawet 200 wiorst, i podobno lepszy to jest czasem interes, niż transport kolejowy, bo tam, gdzie musi być przeładunek, towar dłużej idzie koleją, niż furmanką.

Obok powyższych szczegółów reformy, żywo obecnie zajmuje ogół jej treść zasadnicza—ustanowienie oddawna oczekiwanych taryf strefowych. Terminu ich wprowadzenia jeszcze nie znamy i ściśle określić nie możemy. To tylko pewna, że projekt już nie upadnie, że wkroczył on w sferę czynów i jest w okresie robót przygotowawczych. W roku zeszłym zebrano dane statystyczne o ruchu pasażerskim na wszystkich drogach żelaznych i na tej podstawie osnuto plan nowego ustroju, który, zdaje się, już nie ulegnie zasadniczym zmianom. Ponieważ fakta przekonały, że klasa trzecia największą liczbę osób przewozi i największy dochód daje, więc najpierw na nią komisya taryfowa zwróciła uwagę. Przyjęto za zasadę wielką oględność w stosowaniu zniżki, aby tym sposobem ani skarb, ani koleje nie poniosły straty. Najodpowiedniejszą metodą w tym względzie jest system różniczkowy, który też uzyskał uznanie twórców reformy. Według przyjętego schematu, zniżka ma obowiązywać od 100 do 200 wiorst; na długość tysiąca wiorst stanowi ona dla III kl. 47%, na 1500 w.—55%, na 2000—61%. Cena biletów II kl. przy odległości 600 wiorst równać się będzie dzisiejszej cenie klasy trzeciej; t. j. w wagonie klasy II można przejechać powyższą przestrzeń za cenę klasy III. Tak samo przy odległości 300 wiorst cena biletu I kl. równać się będzie dzisiejszej cenie kl. II. Po wprowadzeniu taryfy strefowej, wszystkie koleje, według przybliżonych obliczeń, stracą na razie od siedmiu do ośmiu milionów rubli. Można atoli przypuszczać, iż straty owe prędko dadzą się pokryć, dzięki wzmożonemu ruchowi pasażerskiemu. Naturalnie marzyć nie można, ażeby ta ważna reforma dała się lekko i szybko wprowadzić w życie. Napotka ona

Digitized by Google

wiele trudności, wiele powikłań, które trzeba będzie rozplątać. Zbytecznem jest mierzyć tę gorączkę, z jaką ogół ludności oczekuje owych udogodnień; jak również nie potrzeba dowodzić, iż uprzystępnienie taryfy pasażerskiej zbudzi z uśpienia i wzmocni wiele gałęzi życia ekonomicznego.

www.libtool.com.cn

Ważne są również z punktu ekonomicznego i zdrowotnego inne udogodnienia dla podróżnych, które w cześniej niż taryfy strefowe przyjdą do skutku. Któż z nas, dużo jeżdżących, nie zaznał tej strasznej katuszy noclegowania w lichych, brudnych, ciasnych i drogich zajazdach w pobliżu stacyi węzłowych? Tam, gdzie trzeba od pociągu do pociągu czekać przez noc całą, podróżni nie mieli dotychczas prawa pozostawać w sali dworca, wypraszano ich mniej lub więcej grzecznie i zostawiano własnej zaradności. Obecnie, według świeżego rozporządzenia, drogi żelazne nie tylko muszą dać chwilowy przytułek dla podróżnych tego rodzaju, lecz nadto obowiązane będą urządzić osobne lokale dla pasażerów, przesiadających z linii na linię, tudzież dla spóźnionych. Na tę stronę wygody publicznej położono tak silny nacisk, że nawet plany budynków stacyjnych nie będą zatwierdzane, jeżeli nie obejmą powyższych pomieszczeń. W związku z tem pozostaje jeszcze jedna nowość: wagony trzeciej klasy dla komunikacyi bezpośredniej. Dotychczas np. podróżny, jadący z Warszawy do Odessy, musiał przesiadać trzy razy: w Brześciu, Koziatynie i Zmierzynce, t. j. na takich stacyach, gdzie zwykle tłok panuje, gdzie miejsca trzeba zdobywać przebojem, niemal pięścią. Jakież okropne jest położenie człowieka, który, zdobywszy z wielkim trudem kącik, roztasował się już zupełnie, rozmieścił swoje walizki, gdy naraz w nocy konduktor mu oznajmia, że musi przesiadać. Znowu troska o miejsce, gorączkowe zbieranie manatków i przedzieranie się przez tłumy do innego wagonu. Udogodnienie powyższe oszczędzi tym podróżnym trudu, zdrowia i kosztów na przenoszenie bagażu; można będzie, wsiadłszy w Warszawie, być pewnym, że nikt naszego miejsca nie zajmie i nikt nas nie poruszy aż do samej Odessy.

Z szeregu ważnych reform, gorączkowo wyczekiwanych, jedna już przed paru tygodniami weszła w życie: przekształcone ministeryum dóbr państwa i rolnictwa. O jego wewnętrznej organizacyi i zakresie działań pisaliśmy już dawniej, w chwili, gdy rozpatrywano jeszcze sam projekt. Nie uległ on zasadniczym zmianom, więc go podawać nie będziemy. Z obowiązku tylko kronikarskiego zaznaczamy sam fakt i charakteryzujemy jego doniosłość w praktyce. Jak wiadomo, w nowym organie sterniczym niepoślednie miejsce zajmie żywioł ziemiański, który wejdzie do Rady z różnych prowincyi państwa i rzecznikiem bę-

Digitized by Google

dzie najpilniejszych potrzeb właścicieli ziemskich. Ażeby te potrzeby znalazły u steru jak najprawdziwsze i najwyraźniejsze oświetlenie, przedstawiciele będą wybierani co rok. Co zatem ujdzie uwagi jednego, dopatrzy drugi i wskazówkami swemi przyczyni się do dobra ogólnego. Dziś wiele żądań i potrzeb rolników chodzi luzem, dostaje się do sfer właściwych lub nie, w wielu wypadkach znaczna ich liczba dostaje się za późno, ale przy tem są one albo niejasno, albo ogólnikowo i mało przekonywająco formułowane, nie obejmują całokształtu warunków, nie są dostatecznie umotywowane, lub w szczegółach nie zgadzają się z potrzebami ogólnemi. Otóż w nowej organizacyi, gdzie się będzie patrzyło z pewnego punktu, z którego łatwiej ogarnąć i ocenić ogólne interesa, rozplątać ich węzły i nitki, gdzie łatwiej przeprowadzić i odrazu ocenić myśl daną, i gdzie wreszcie do tej oceny oprócz grupy ziemian światłych przybędą uczeni specyaliści,—w takiej organizacyi wszelki wniosek, byle-by tylko był jasny i racyonalny, na marne pójść nie może, boć to przecie będzie instytucya zasobna w siły umysłowe i materyalne, wyłącznie stworzone dla tego rodzaju interesów. Trudno jeszcze przewidzieć, jak szybko ta machinerya centralna potoczy swe koła po całem państwie i pochwyci w bieg prawidłowy sprawy ziemiańskie. To tylko pewna, że pierwsze kroki gładkie nie będą, że dużo sił i czasu pójdzie na roboty wstępne, na czynności wywiadowcze, sprawdzanie i badanie. W każdym razie pod skrzydłami tego steru rozpocznie się nowy okres w rolnictwie, powstrzymujący wszelką rozbieżność spraw jego. Wtedy i praca pomniejszych instytucyi-stowarzyszeń rolniczych o wiele będzie skuteczniejszą i płodniejszą, a więc i naszej sekcyi warszawskiej, gdyż rada ministeryalna zajmie się między innemi poważnem rozpatrywaniem narad i wniosków wszelkich towarzystw i organów rolniczych.

Rozglądając się w dziedzinie reform, nie możemy pominąć wielce doniosłego zwrotu do nauki praktycznej w wychowaniu szkolnem. Dążność ta w ostatnim szczególnie miesiącu silnie się zaznaczyła w różnych pogłoskach, naradach, planach i osnowach projektów i, w miarę zbliżania się nowego roku szkolnego, coraz silniej się ujawnia. Jest to także wielka potrzeba życia, która przechodzi przez filtr ścierających się wniosków i wysnuwanych systematów, ażeby znowu, w formie dopasowanej do istotnych wymagań rzeczywistości, wrócić do tego życia. Jedną z takich potrzeb, wchodzącą już w praktykę, jest świeżo ogłoszone nowe prawo o szkołach dla uczniów rzemieślniczych. Będą to zakłady wychowawcze typu specyalnego, zastąpią zaś dzisiejsze terminowanie u majstrów. Przedewszystkiem będą one udzielały nauki szczegółów, potrzebnych dla dokładnego wyuczenia się rzemiosła. Wstęp

Digitized by Google

będą mieli kandydaci w wieku 11—17 lat, po przejściu szkoły początkowej, w program zaś nowych zakładów wejdą, oprócz szczegółów danego rzemiosła, wykłady zasad rysunku i rachunków. Dla stworzenia całokształtu warunków, w jakich się znajdą te nowego typu zakłady, ministeryum oświaty zażądało szczegółów od kuratorów, nadto poleciło tym ostatnim, ażeby się porozumieli z zarządami miast i innych instytucyi co do zasiłków na rzecz nowych zakładów.

Fakt powyższy znalazł ogromny oddźwięk w życiu, obudził wielkie zainteresowanie. Dawno nie pamiętamy takiego ruchu w tym względzie. W Warszawie, jako rezultat kilkakrotnych rozpraw w sekcyi rzemiosł, odbyły się walne narady wszystkich starszych zgromadzeń rzemieślniczych, na których uznano za rzecz niezbędną otwarcie szkół fachowych najpierw dla stolarstwa, tokarstwa, potem dla ślusarstwa. Cztery zakłady tego rodzaju już wkrótce powstaną w Warszawie; niezależnie zaś od tego ruchu w naszem mieście, szerzy się on w całym kraju; o potrzebach i żądaniach nowych szkół z kierunkiem praktycznym dochodzą wieści z różnych zakątków; wyrazem zaś tych potrzeb są pogłoski z odcieniem prawdopodobieństwa, które, między innemi, zapowiadają otwarcie jeszcze w roku bieżącym trzech nowych zakładów w Królestwie, według normalnej ustawy, zatwierdzonej przed dwoma laty, mianowicie: szkoły stolarsko ciesielskiej we Włocławku, kowalsko-ślusarskiej w Kielcach, tkacko-tapicerskiej w Zgierzu. Wyrosną one na funduszach miejskich, a utrzymywane będą kosztem ministeryum oświaty.

Wobec tak dalece ożywionego ruchu szkolnego w projektach i początkach czynu, wysnutego z sumy potrzeb życiowych, wobec coraz większej dążności do wglądania w sposoby traktowania malców-terminatorow przez majstrów, dziwnie jaskrawo i nad wyraz smutnie zaznaczają się fakta nadużywania władzy opiekuńczo rodzicielskiej, która dotychczas w pojęciu ogółu nieukształconego, lub bardzo słabo ukształconego, nie podlega żadnemu ograniczeniu i karze za nadużycia. „Co wam do tego! To moje dziecko; wolno mi zrobić z niem, co się podoba." Tak zwykle brzmi odpowiedź na uwagi dobrych sąsiadów. Niedawno proces w końcu odsłonił ohydny fakt, jeden z wielu, takiego znęcania się nad dzieckiem. Bohater-męczennik, siedmioletni Kazio Woźniak, katowany codzień przez babkę i ciotkę, oprócz ciężkich razów, musiał trzymać po trzy godziny miotłę w rękach, podniesionych do góry. Żeby nie krzyczał, zatykano mu usta chustką; kazano sypiać u progu na gołej glinianej podłodze; głodzono tak dalece, że zbierał i zjadał wszelkie odpadki, których, jak powiada świadek,—nie tknął-by żaden pies. Biedne dziecko, wychudzone, wycieńczone biciem i głodem, umarło; opiekunki zaś zostały przez sąd ukarane. Ale sąd karze przestęp-

Digitized by Google

stwa, tylko szczególnym zbiegiem okoliczności ujawnione. Ile się ich ukrywa w powszedniości życiowej mas całych, o tem żadna statystyka nie mówi, o tem wiedzieć mogą tylko najbliżsi sąsiedzi i to nie zawsze. Jakaż więc tu jest możliwa kontrola i ograniczenie tej władzy rodzicielskiej i opiekuńczej? Liczyć tylko można było-by na wpływ czynników moralnych, gdyby te się dostały do owych dusz najciemniejszych, okrucieństwem przerosłych.

Na żałobną kartę ubiegłego miesiąca śmierć wpisała imiona trzech pracowników pożytecznych i znanych. W pamięci szerokiego ogółu wyraźnie jeszcze tkwi postać Stanisława Kronenberga i cała jego działalność, chociaż skutkiem ciężkiej choroby organicznej był on już umarłym od lat ośmiu nietylko dla społeczeństwa, lecz i dla swoich najbliższych. Żasobny w środki materyalne, tudzież bogactwa duszy, serca i umysłu, stał się on prawdziwym obywatelem kraju. Z szeregu jego czynów obywatelskich dość jeden wymienić, który jest dlań pomnikiem najtrwalszym: on to głównie, wraz z J. Natansonem, przyczynił się do powstania kasy pomocy naukowej imienia Mianowskiego. Hojnie tę instytucyę uposażył zapisem testamentowym: 40,000 rs. jej ofiarował. Nadto w dziale legatów publicznych przeznaczył 30,000 rs. na wpisy dla uczniów i 5000 dla studentów. Niechże wiedza, rozkwitająca przy pomocy kasy, a szeregi zdolnych, pożytecznych jednostek przez ułatwienie im studyów—będą utrwaleniem pamięci nieboszczyka i przelaniem w skutkach na przyszłe pokolenia jego zacnych czynów.

Również przez długi szereg lat złamany chorobą, bezczynny i już trochę nawet przez szerszy ogół zapomniany, zgasł Henryk Pilatti, utalentowany artysta-malarz, którego sława i twórczość dosięgła najwyższego szczytu przed laty trzydziestu. Imię to świeciło na czele pierwszego pokolenia naszych artystów. Jako illustrator, zdobył sobie przez pisma obrazkowe uznanie i sławę; jako zaś kolorystę w utworach malarskich stawiano go najwyżej. Urodzony w Warszawie r. 1832, w bardzo młodym wieku poświęcił się zawodowi artystycznemu; przez pewien czas uczęszczał na wykłady b. szkoły sztuk pięknych, następnie przebywał w Paryżu. Po powrocie przez długi czas mieszkał w Warszawie i Petersburgu. Przed laty mniej więcej dwudziestu mgła mu zasnuła władze umysłowe i w tych smutnych mrokach pozostawiła go do chwili ostatniej. Zmarł w Warszawie 14 maja.

W naszem też mieście zgasł Adolf Bogucki, zrazu muzyk-kompozytor z powołania i nauczyciel gry fortepianowej z zawodu. Potem w znacznej mierze pochłonęło go życie praktyczne, przemysłowo-han-

Digitized by Google

dlowe, ale z charakterem dobra społecznego. Przez pewien czas zajmował się handlem księgarskim, który zwinąwszy r. 1867, osiadł na własnym zagonie w Ostrowiu, gdzie uprawiał pszczelnictwo i jedwabnictwo. Jeżeli dziś widzimy u nas jaki taki rozwój tego ostatniego, to w głównej mierze Boguckiemu trzeba to zawdzięczyć. Do jakiego stopnia był on żarliwym szerzycielem zamiłowania do tego działu gospodarki, świadczy wygłoszenie w różnych miejscowościach 60-iu odczytów, traktujących o tym przedmiocie. R. 1885 założył u siebie w Sielcach (Bogucinie) pod Warszawą spore szkółki i plantacye morw, ulepszył przyrządy do hodowli jedwabników, urządził dużą rozwijalnię surowego jedwabiu krajowego, tudzież tkalnię ręczną, systemu Jacquarda, wreszcie otworzył w Bogucinie bezpłatną szkołę jedwabnictwa, czynną podczas hodowli. Warszawskie towarzystwo jedwabnicze, w dowód uznania zasług, obrało go na swego wiceprezesa, a niedawno zamianowało członkiem dożywotnim. Z szeregu ważniejszych jego prac zasługują na uwagę: „Jedwabnictwo nasze i obce“ (2 wydania); „Regulamin hodowli jedwabników"; „Zasiew i hodowla morwy"; „Jedwabnik." Bogucki urodził się 21 lipca 1835 r.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Wiadomości bibliograficzne.

— Dn. 9 kwietnia na posiedzeniu wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie prof. Sternbach odczytał treść swej rozprawy p. t. „O itacyzmie greckim" (Część III); nadto podał wiadomość o pracy swojej p. t. „*Lectiones Augustanae.*" Tekst bajek ezopowych, ogłoszony niedawno według rękopisu biblioteki narodowej w Paryżu, przedstawia rzecz samodzielną, wolną od wielu naleciałości bizantyjskich, które w dotychczasowych wydaniach główną odgrywają rolę. Rozprawa niniejsza zwraca uwagę na pokrewną recenzyę kodeksu monachijskiego, zestawia waryanty i omawia je pod względem językowym i leksykalnym, stylistycznym i rzeczowym.

Prof. Malinowski wykładał „O przyimku i przystawce *wz-wez*— w języku polskim." Na wstępie autor podaje etymologię przyimka słowiańskiego vъzъ; odpowiada on literze uz. W obu językach wymaga acc. W języku serbsko-chorwackim przyimek ten przybrał brzmienie uz, uza; tu jednak u nie jest identyczne z samogłoską wyrazu litewskiego. W językach południowo-słowiańskich uz używa się jako przyimek z acc., tak samo jak lit. už: serb.-chorw. uz brdo, uz vodu; bulg. vъz planina. Że cząstka vz miała znaczenie przyimka i w językach zachodnio-słowiańskich, dowodzą wyrażenia przysłówkowe, jak czeskie vzhůru, pols. wzgórę wzwodę i t. d. Następnie autor przytacza inne złożenia imienne z przystawką wz, wez, jak wez-głowie wzgórze, wzwiady, wzrost i przechodzi do znacznie obfitszych złożeń

Digitized by Google

głównych. Przystawka wz nadaje słowom ruch oznaczający kierunek ku górze, w innych oznacza to, co greckie ἀνά i łacińskie re-red lub służy do oznaczenia czynności dokonanej. Autor w dalszym ciągu wykazuje: 1) o ile w języku współczesnym polskim zachowała się przystawka wz, wez—w tej pierwszej postaci, a) w złożeniach imiennych, b) w złożeniach głównych; 2) jakim ulega zmianom w obu tych rodzajach złożeń: a) fonetycznym, b) zmianom połączonym z modyfikacyą poczucia jej znaczenia. W wywodach swoich autor ciągle uwzględnia język polski współczesny i dawniejszy, odwołuje się także do starosłowiańskiego, czeskiego i innych słowiańskich. Wylicza wyrazy i wyrażenia, które wyszły z użycia w nowszym języku; dalej wylicza słowa, w których skład wchodzi przystawka wz, wez—w formie pierwotnej przed spółgłoskami dźwięcznemi; z asymilacyą z na s, przed bezdźwięcznemi. Autor przegląda słowa dawnego języka, które w nowszym albo wyszły z użycia, albo uległy zmianom. W końcu zastanawia się nad najliczniejszą kategoryą słów, które zamiast pierwotnego wz, mają z, s, na początku.

Prof. Malinowski wskazał w języku polskim ślad rzeczownika sor.

Sekretarz zdał sprawę z posiedzeń komisyi. Dn. 15 marca pod przewodnictwem prof. Sokołowskiego odbyło się posiedzenie Komisyi Historyi sztuki, na którem p. Z. Hendel odczytał pracę o kościele Ś. Idzego w Krakowie i jego kamiennych stallach. Dr St. Tomkowicz udzielił wiadomości o fabryce gobelinów, istniejącej w w. XVIII w Bieżdziatce (wieś pod Kołaczycami, pow. Jasielski), którą założył Aleksander Romer, kasztelan Zawichojski, około r. 1760. Prelegent pokazał ornat, wyszły z tej fabryki, z herbem Jelita i datą 1860. P. Adam Chmiel zakomunikował wyjątek z testamentu malarza Macieja, mieszczanina krakowskiego, z r. 1561, z którego okazuje się, że pracował on dla dworu królewskiego i dla dworów pańskich. Następnie referent podał wiadomość o stolarzu artystycznym (Kunst Tischler) króla Zygmunta Augusta, Jerzym Schwarzu. P. Chmiel złożył z Archiwum miejskiego w Krakowie wykazy obrazów, będących w posiadaniu rajców krakowskich: Stanisława Kłosowicza r. 1673 i Kaspra Guttetera r. 1616. Dr Demetrykiewicz przedstawił fotografię fragmentu rzeźbionego gotyckiego nagrobka z w. XV. Wyobraża on postać rycerza klęczącego w zbroi; znajduje się w podziemiach kościołka Bożego Miłosierdzia na Smoleńsku w Krakowie.

Sekretarz przedstawił ostatnie wydawnictwa wydziału i komisyi: J. Baudouin'a de Courtenay „Próba teoryi alternacyi fonetycznych.“ Część I, ogólna lex 8-o str. 146. K. J. Hecka „Życie i dzieła Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów (Ozimków) na tle stosunków ówczesnego

Digitized by Google

Lwowa" lex 8-o str. 187; Z. Sternbacha „Fabularum Aesopiarum Sylloge. E codice Pasisino"; Gr. N. 690 suppl. lex 8-o, str. 83. Br. Dembowskiego „Słownik gwary podhalskiej" 8-o, str. 106. St. Windakiewicza „Akta Rze-czypospolitej Babińskiej według oryginalnego rękopisu", lex. 8-o, str. 160. „Rozprawy Wydziału Filologicznego." Serya II. Tom VI, lex. 8-o, str. 42.

— *Nikodem Krakowski.* „Kredyt ludowy. Nasze stowarzyszenia współdzielcze. Podręcznik niezbędny dla orgarnizatorów i uczestników stowarzyszeń, opartych na samopomocy, zawierający nadto zbiór wszystkich druków, blankietów, szematów i wzorów ksiąg buchalteryjnych, używanych w stowarzyszeniach kredytowych współdzielczych." Warszawa. 1894, (8-ka, str. 119). Książka ta zawiera rzut oka na rozwój kredytu ludowego i stowarzyszeń współdzielczych w ogólności, początek i rozwój naszych stowarzyszeń, analizę ich ustaw i statystykę minionej działalności, patronat dla stowarzyszeń współdzielczych, wzór ustawy federacyjnej dla tych stowarzyszeń, nowo-zatwierdzoną ustawę normalną kas zaliczkowo-wkładowych, kompletny zbiór wszystkich druków, blankietów, szematów i t. d., niezbędnych przy zakładaniu i działaniu stowarzyszeń współdzielczych, wreszcie szemat dla sporządzenia rocznych sprawozdań. Autor opracował tę rzecz ze względu, iż ministeryum skarbu zajęło się energicznem krzewieniem idei oszczędności i rozwojem kas odpowiednych, że komisya, obradująca nad przekształceniem Banku Państwa, również włączyła do swego programu kwestyę kredytu drobnego, który postanowiono przyznać nie bezpośrednio drobnym klientom, lecz ich stowarzyszeniom współdzielczym. Obok dążności w tym zakresie, jeszcze przed ukończeniem rozpraw komisyi zatwierdzono nowe stowarzyszenia w Kaliszu i Wieluniu: w dwudziestu kilku miastach zawiązano takie instytucye, w tej liczbie w Radomiu i Łomży, chociaż miasta te posiadają już po jednem, doskonale funkcyonującem stowarzyszeniu. Doświadczenie przekonywa, że prace organizacyjne należą do najtrudniejszych przy zakładaniu stowarzyszeń współdzielczych, a zgromadzenie informacyi i potrzebnych materyałów pochłania zawsze wiele czasu i trudu. Dla ułatwienia więc interesowanym działań w tej mierze p. Krak. opracował książkę niniejszą.

— *Dr Wiktoryn Kosmowski.* „O wzroście i wadze dzieci klas biednych w Warszawie." (Odbitka z „Medycyny"). Warszawa. 1894. (4-ka, str. 20). Autor posługiwał się materyałem, który dość obficie nagromadził się w biurze kolonii letnich, złożony z pomiarów wagi i długości ciała (czyli wzrostu) dzieci z najbiedniejszych klas ludności

Digitized by Google

warszawskiej. Nadto, materyał ten dr K. dopełnił z własnej praktyki i doszedł do cyfry kilku tysięcy dzieci różnego wieku. Dla jaśniejszego przedstawienia przedmiotu i przystosowania go do badań, robionych w tym względzie gdzie indziej, autor skreślił przedewszystkiem część kompilacyjną, w której przedstawił ważniejsze szczegóły ze sprawy rośnięcia dzieci wogóle. Za podstawę w tej mierze posłużyły autorowi prace dawniejsze Quetelet'a i późniejsze K. Vierordta, tudzież z lat ostatnich Axela Keya, Malling-Hansena, Baudnitza i Camerera. Autor na mocy swych badań i porównań przychodzi do przekonania, że bezwzględna długość ciała i bezwzględna waga chłopców klas biednych w Warszawie jest niższa od bezwzględnej długości i wagi takich-że chłopców amerykańskich w Bostonie i szwedzkich w Sztokholmie, wyższa zaś od włoskich w Turynie. Dopiero między 14—15 rokiem chłopcy biedni u nas przewyższają wzrostem chłopców szwedzkich i dosięgają amerykańskich, przy wadze mniejszej. Inaczej z dziewczętami. Te u nas do 15 roku życia, tak co do bezwzględnej wagi, jak długości ciała, stoją niżej od szwedzkich i amerykańskich, a nawet pod względem wzrostu w 14 roku życia są prześcignięte przez włoskie. Dr K. twierdzi, że dzieci klas biednych w Warszawie, ogólnie biorąc, nie wiele ustępują pod względem rozwoju fizycznego dzieciom biednym w Sztokholmie, są lepiej rozwinięte od włoskich w Turynie, a ustępują znacznie amerykańskim i angielskim. Stosuje się to do chłopców i dziewcząt, z małemi wyjątkami. Na mocy nagromadzonego materyału, autor ułożył dwie tablice: cyfrową i graficzną, które malują różnicę w wadze i długości ciała dwu klas biednych: chrześciańskich i żydowskich w Warszawie. Wogóle cały wykład objaśniony jest 19-tu tablicami.

— *Teodor Jeske-Choiński.* „Na schyłku wieku." Studyum. Warszawa. 1894.

— *Antoni Pilecki.* „Miłość w poezyi romantycznej"—odczyt wygłoszony w d. 2 kwietnia 1893 r. w Sali ratuszowej na dochód Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności.

— „Bibliografii polskiej" Estreichera wyszły zeszyty 3 i 4 tomu XIII (wiek XV—XVIII) i mieszczą nazwiska od Borejszy Jana Kantego do Bzoviusa Montinusa. Dodane są nadto do tych zeszytów sprostowania do tomów XII i XIII.—Kraków. 1894.

— *Dr medycyny F. H. Nuttal.* „Zabiegi hygieniczne przy chorobach zakaźnych", przełożył dr S. Sterling. Warszawa. 1894.

Digitized by Google

— *Dr. Z. Zeissel.* „Chemia—nieorganiczna i organiczna", z niemieckiego przełożył dr M. Flaum.

— „Słownika Geograficznego" wyszedł zeszyt 147 i zawiera między innemi artykuły: *Wągrowiec, Wąsosz, Wąwolnica, Wczorajsze, Wejrowo, Wełna, Wełnianka, Wenden, Werbka, Werszyca, Werkały, Werki, Wernyhorodek.*

— Zeszyt XXXII „Encyklopedyi Rolniczej" wyszedł z druku i mieści prócz dokończenia *Handlu drzewnego*, artykuł *Handel inwentarzem żywym.*

Książki, nadesłane do Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej."

— *Wiktor Hahn.* „Przyczynek do genezy *Maryi Stuart.*" Juliusza Słowackiego Odbitka z „Ateneum"). Warszawa. 1894.

— *Maryan Gawalewicz.* „Mechesy", powieść (Cz. II). Warszawa. 1994, u Gebethnera i Wolffa.

— *Arne Garborg.* „Zmożone dusze", studyum. Warszawa. 1894—nakładem T. Paprockiego.

— *Ignacy Dąbrowski.* „Felka", nowella. Warszawa. 1894—nakładem T. Paprockiego.

— *Plato v. Reussner.* „Najlepsza metoda języka angielskiego." Kurs pierwszy, (5 wydanie). Warszawa. 1894, nakładem autora.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weyssenhoff.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Sprostowanie.

W kwietniowym ciągu „Rodziny Połanieckich“ wkradły się następujące omyłki:

Na str. 15 w wierszach 23 i 24 zamiast *rentę i renty*, powinno być *resztę i reszty*.

Na str. 20 w wierszu 12, zamiast *gdy przychodzę*, powinno być, *gdy przychodzą*.

Na str. 31, w wierszu 19, zamiast *niewątpliwość*, ma być *niepożytość*.

Na str. 34, w ustępie, zaczynającym się od słów: „jeden z kardynałów“, zamiast „*przypranej* biało postaci“, czytać należy *przybranej*; cztery wiersze dalej zamiast: „było w niej coś *bezsilnego*“, powinno być *bezcielesnego*; zamiast *przeświecającem alabaster*, ma być *przeświecającem przez alabaster*.

Na str. 38 zamiast „per *mi* si va“, czytać należy: „per *me* si va.“

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Początki teatru i dramat średniowieczny.

Gdy przed dwudziestupięciu wiekami, jak mówi podanie, wynaleziono sztukę dramatyczną, nie mogli chłopi ikarscy, którzy pierwsi widowiska dramatyczne urządzili, ani marzyć o wielkich a zmiennych kolejach, jakie zabawny ich wynalazek przejdzie. Przeszczepiony do Aten, miał on urość rychło w sam szczyt i koronę sztuki greckiej, najpełniej wyrazić ducha narodu i stać się skarbem jego nie wyczerpanym; gdy się znowu zmieniły czasy i ludzie, dramat, jak naród, który go kołysał, utracił wszystko: i poklaski widzów, i życie na scenie, i pamięć na świecie. I nie odżył więcej naród, ale odżył dramat i, piastowany w ramionach świeżych a silnych, rozszedł się po cywilizowanym świecie i panuje dziś wszechwładnie od Europy przez Amerykę do Japonii i Chin, Indyi i Persyi. Wprawdzie nie myślimy miarą zamiłowania w dramacie mierzyć wysokości cywilizacyi. Włochy, Chiny i Japonia stanęły-by wtedy zbyt wysoko, a zbyt nizko Ameryka, nie posiadająca właściwej sztuki, lecz osypująca za to złotem głośne spektakle i towary—dla mody i humbugu: charakterystycznem też jest, że w Utopii amerykańskiej Bellamy'ego, gdzie muzyka koncertowa, jak woda za odkręceniem kranu, zawsze się rozlewa, o teatrze głuche milczenie. Może zresztą społeczeństwa, którym już o niczem marzyć, niczego życzyć, ani się spodziewać nie trzeba, bez teatru się obejdą, lecz dla ludzi dzisiejszych stanowić będzie teatr zawsze źródło najgłębszych i najczystszych wrażeń, lub choćby tylko przyjemnej rozrywki. Bo już od-

Digitized by Google

dawna teatr, o ile nie jest igraszką dworów, przeznaczoną dla wyższych warstw, schodzi znowu do ludu, staje się narodowym, jakim był w swych początkach; zajęcie nim rośnie i próżne są utyskiwania bądź w Paryżu, bądź w Berlinie, że teatra upadają: przybywają przecież coraz nowe, a i stare się nieźle trzymają, chyba że są prowadzone zbyt bezmyślnie. I jak w trunku Bakcha-Dyoniza znajdujemy przyjemność, pokrzepienie, a choćby zapomnienie, tak rozmarza nas i widowisko Bakcha-Dyoniza: cieszy nas, gdy po pracy albo nudach dnia choćby na scenie widzimy życie pełniejsze, barwniejsze, a prostsze niż nasze; gdy spotykamy serca tkliwsze, namiętności gwałtowniejsze, dzielniejsze ramiona, ostrzejszy dowcip; cieszy nas widok śmiesznych nieporozumień i zawikłanej intrygi, i ślepego trafu, i sprawiedliwości nieziemskiej; bawi nas podłość, mniej tajona, niż za dnia, i idyotyzm, jakiego świat nie widuje, i zepsucie, co to przed słońcem się chowa.

Wobec takiego znaczenia i rozwielmożnienia się dramatu, nie wadzi zastanowić się i nad tem, jakie mogą być pierwsze jego początki; ale ponieważ nie myślimy tym razem badać psychologicznych jego podstaw, rozbierać samego popędu mimetycznego i towarzyszącego mu uczucia, przeto określimy zadanie nasze ściśle historycznie i zapytamy: gdzie, kiedy i dlaczego powstał dramat? Zdawało-by się, że każdy podręcznik czy encyklopedya dostarczają wszelkich potrzebnych danych. Cóż tu pytać? Wiemy, że dramat powstał z dytyrambów i chórów tragicznych, a śpiewek komicznych na cześć Dyoniza-Bakcha; że pierwszy Tespis z Ikary dodał do chórów aktora i wystawił pierwszą tragedyę w r. 534 p. Chr.; że Eschyl dodał drugiego aktora i po ludzku ich przebrał, że Sofokles dodał trzeciego, a pierwszy przestał być aktorem i poetą razem; że z Aten w końcu rozszedł się dramat po całym świecie; każda historya literatury greckiej stwierdza to z tryumfem. Otóż zaraz ostatnie twierdzenie nie słuszne, dramat bowiem powstawał i bez wpływów greckich; a i w pierwszem nie wszystko jasne, bo zaraz pytamy: dlaczegóż właśnie tylko z koźlich i biesiadnych śpiewów Dyoniza, a nie z jakich innych, dramat powstał? dlaczego np. kult Apollona nic podobnego nie wytworzył? w takich Delfach mieścili się obaj bogowie razem, brzmiał pean Apollona, gdy milkł dytyramb Dyoniza, Muzy otaczały jednego, jak tyady drugiego, a przecież nie z peanów Apollona, tylko ze śpiewu kozłów wyszła tragedya. Albo w Attyce, gdy się na misterya do Eleuzys udawano, szydzili bezkarnie widzowie po mostach i drogach z przechodzących—czemuż nie z tych „gefiryzmów" podczas obchodów Demetry, lecz tylko z szyderstw i drwin, jakiemi orszak Dyoniza z wozów tłumy obrzucał, urosła komedya? Nie będzie więc chyba zbytecznem zastanowić się raz znowu nad temi początkami; ale że o świadectwa trudno, że początki te już dla Arystote-

www.libool.com.cn

Digitized by Google

lesa zasunęły się były w mgłę niepamięci, nie zawadzi obejrzeć się po szerokim świecie za przykładem i podobieństwem i nie zrazi nas od tego ani zgryźliwy docinek znakomitego filologa, zwrócony ku tym, którym zdaje się być ważniejszem przesłuchiwać Botokudów i Kamczadalów, niżli Hellenów. I inne względy, uboczne, spowodowały nas do podjęcia tej pracy: raz okaże się nam, jak mało teorya dramatu, popłacająca od czasów Arystotelesa do dziś, liczy się z historyą dramatu, jak dowolnie narzucona krępuje ocenę estetyczną i sprowadza na manowce twórczość autora i wrażliwość publiczności, jak w jej powijakach nie zmarniał wprawdzie talent potężny, ale skrzywiły się pojęcia o sztuce.

Inny wzgląd tyczy się dziedziny ludoznawczej. Na niej-to bowiem panoszy się dziś coraz bardziej teorya—nazwał-bym ją teoryą migracyonistów,—wedle której, jeśli się gdzie na świecie powtórzy jakieś nieco skomplikowane zjawisko, np. wątek powieściowy, albo instytucya społeczna, albo narzędzie, albo dramat i t. d., należy zaraz szukać drogi, a po niej wędrówki tego motywu, ornamentu i t. d. od ludu do ludu, a więc teorya, zaprzeczająca, by skomplikowane nieco zjawiska mogły na kilku punktach ziemi, zupełnie od siebie niezależnie, powstawać. Wyznajemy zdanie przeciwne, mniemamy, że spryt ludzki w podobnych położeniach do podobnych wyników samodzielnie dojść może; Teatr rzecz już wcale skomplikowana; zobaczmyż oto, czy w kwestyi teatralnej zyszczemy jakie dane dla rozjaśnienia sprzecznych poglądów. Ale jeszcze więcej nęciło nas przy sposobności tej pomówić obszerniej i o początkach teatru u Słowian zachodnich, mianowicie u Czechów, Kroatów i Polaków.

I.

Rozejrzyjmyż się najpierw po świecie, gdzie szukać dokumentów, które-by nam początki teatru objaśniły. Zaczniemy od narodów cywilizowanych, ale wykluczymy zaraz na wstępie Babilończyków, Semitów i Chamitów; ich kultura nie wytworzyła niczego, co-by teatrem lub dramatem nazwać się godziło; Ewald niegdyś, a za nim inni odnajdowali wprawdzie dramat w Pieśni nad pieśniami, lub w księdze Hioba, ale monolog i dyalog same dramatu jeszcze nie stanowią,—w takim razie byłby nim i cały psalmoksiąg, albo w byle której eklodze Wergila już znaleźli-byśmy i dramat pasterski. Trudno też wyobrazić sobie w czasach późniejszych, aby Semita monoteista, brzydzący się wszystkiem, co kształty odtwarza, zgodzić się mógł na żywą plastykę dramatu; w czasach zaś dawniejszych życie jego koczownicze i zbójeckie nad brzegami pustyni nie wytwarzało chyba atmosfery, z której dramat się

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

rodzi. Zwróćmy się więc od Semitów do Indów, którzy dramat bezsprzecznie posiadają. Tu znowu, dla zupełnego braku źródeł pierwotnych, niepodobna przedstawić szczegółowo dziejów tego dramatu. Przypuszczają, że z recytacyą bogato rozwiniętego eposu o bogach i bohaterach połączono kiedyś i mimiczne jego przedstawienie, że więc indyjski epos wydał dramat o treści mitycznej, czerpiący głównie z cyklu legiend, skupionych około boga Wisznu. Do tego mitycznego i religijnego dramatu powrócili-by nowsi Hindowie; z pierwotnych dramatów bowiem nic się nie zachowało, spadły one chyba do rzędu najniższych ludowych widowisk i stąd się dopiero znowu podnoszą.

W żadnym związku z tym domorosłym dramatem nie stało-by w takim razie to, co my jako dramat indyjski znamy i cenimy. Trzy dramata Kalidasy, a najsławniejszy z nich Sakuntala, szczególny zdobyły poklask; obok nich, wymieńmy bardzo rozległy, Mrczchakatika króla Sudraki w dziesięciu aktach, który, niestety, w banalnej, wszelki połysk indyjski nadto ścierającej przeróbce Pohla, jako Wasantasena, (nazwę wygodniejszą tę nadal zatrzymujemy), zeszłego roku w berlińskim teatrze królewskim, a tego roku w Wiedniu bardzo się podobał, (godziło-by się wystawić go może i w Warszawie), wreszcie kilka innych dramatów, których nie wyliczamy. Czas, miejsce, autorowie nieznani, albo wątpliwi; Wasantasenę uznają za najdawniejszą, dzieła Kalidasy odnoszą do trzeciego lub czwartego wieku po Chrystusie, inne znacznie są późniejsze; (dawniejsze, które niegdyś pewnie istniały— cytują je bowiem—całkiem zaginęły). Otóż treść ich, szczególniej Wasantaseny, nie zawiera nic mitycznego, odgrywa się na ziemi, wśród ludzi, nieraz na wcale nizkich stopniach indyjskiej społeczności. Wasantasena np., bogata kokotka, i zubożały kupiec, Czarudata, pokochali się i po rozmaitych zawikłaniach, wystawiających stałość ich i charakter na ciężkie próby, łączą się, przyczem nowy król, wdzięczny za usługi, Wasantasenę rehabilituje. Sakuntala również kokotka, tylko niebianka, apsaras, coś jakby Peri, wykroczyła przeciw obowiązkom gościnności i traci miłość króla, za karę przez niego nie jest poznaną, aż odnaleziony pierścień poznanie i miłość wraca. Te i podobne dramata, odgrywane nie wobec ludu, lecz wobec króla i wyższego towarzystwa, w największe święta doroczne, wiosenne, połączone z kultem Siwy (nie Wisznu), który greckiemu Dyonizowi odpowiada, pochodzą ze stolicy zachodnich wybrzeży indyjskich, Udżajini, greckiego Odzene, i wskazują tem samem, jak i podziałem na akty, treścią miłosną, osobami kokotek, bramarbasów i sług dowcipnych, na nowszą grecką, Menandrową, komedyę.

Jakżeż dotarła ta komedya do Indyi? Dwie drogi otwierają się tu: raz, bezpośredni wpływ Aleksandra Wielkiego i dyadochów. Ze

Digitized by Google

źródeł, np. z Plutarcha, wiadomo, że tysiące greckich technitów, t. j. aktorów, grajków i t. d. towarzyszyły i dodawały blasku i pompy pochodom Macedończyka, że jeszcze o wiele później na dworach baktryjskich i innych azyatyckich grywano greckie dramata, skąd łatwo dalej rozejść się mogły. Powtóre, wiemy o związkach handlowych Aleksandryi Ptolemeuszowej z wybrzeżem indyjskiem, z Barygazą, skąd gościniec handlowy wprost do Udżajiny prowadził;—z kupcami mogły i trupy wędrujące dostać się do Indyi.

www.libtool.com.cn

W dalsze szczegóły nie wchodzimy; jakiemu zabarwieniu indyjską fantazyą i fantastycznością, jakiemu przystosowaniu do warunków życia indyjskiego uległy greckie wątki i osoby, jak wpływ grecki powoli słabiał, starał się wykazać E. Windisch w cennej pracy *Der griechische Einfluss im indischen Drama*, umieszczonej w rozprawach piątego kongresu oryentalistów (Berlin, 1882, str. 3—106).

Zatrzymajmy się jeszcze w Azyi. Do cech charakterystycznych Chińczyka i Japończyka należy upodobanie w widowiskach teatralnych, ale o wieku tych widowisk i pochodzeniu nic pewnego sądzić nie można. Synologowie, których pytałem, przypuszczają, że i chiński dramat obcego jest pochodzenia, wskazują na prastare stosunki z zachodnią Azyą, innemi słowy i do Chin mogła przez Baktryę, jeżeli nie przez Indyę, komedya Menandrowa dotrzeć. Scena bardzo prymitywna, bez kulis i maszyneryi; komedyę cechuje treść, wzięta z historyi, a częściej z życia; obserwacya zewnętrzna życia i motywów chińskich bardzo dokładna, ale brak pogłębienia psychologicznego, albo choćby ciekawego wątku; rozwlekłą jej prozę przerywają liryczne wstawki i śpiewki. Stałego teatru niema, ale liczne wędrowne trupy przedstawiają po domach bogatszych, lub na estradach po placach publicznych, dramata podczas rozmaitych uroczystości lub obchodów; stan aktorów i literatura dramatyczna, jako w narzeczu pospólstwa pisana, nie są cenione; właściwa literatura ignoruje je. Najliczniejszy szereg dramatów ogłosił przed laty Bazin, a sprawozdanie Ampère'a z wrażeń tej lektury można odczytać w „Revue des deux mondes" z r. 1838 tom XV, str. 737—771. Inne znane były i dawniej, mianowicie Sierota (chiński) z Czao, który w (całkiem dowolnej, paryskiej, nie chińskiej) przeróbce Woltera literaturę europejską okrążył, a i w naszej znany jest z tłómaczenia z r. 1806 (pierwszy akt pióra Trembeckiego). O teatrze japońskim napisał barwną, choć czysto feljetonową rzecz Lequeux, *Le théâtre japonais* (Bibliothèque orientale elzévirienne, nr 63, Paryż 1889). Szczegóły ciekawe są. W teatrze siedzi się nie parę, lecz dziesięć godzin; główny interes wzbudzają nie tyle słowa, ile mimika aktora, którego twarz osobno dla tego jest oświetlona, i t. d. Gdybym się tu wdawał we wnioski, przypuszczał-bym wobec tych faktów, że taki dramat

Digitized by Google

powstał z pantominy, a ta może z maryonetek, które na różnych punktach Azyi (w Azyi Mniejszej, Persyi, lub słynne „wajangi" Jawańczyków, maryonetki skórzane złocone i mówca, recytujący ich role) ulubione stanowią oddawna widowisko. Na osobną wzmiankę zasługują jeszcze perskie teazye, o których pierwszy nasz A. Chodźko obszerną zdał sprawę: z recytowanych elegii i trenów, w jakich opłakiwano a później i opowiadano losy Alego i jego rodu, przeszli Persowie do przedstawiania tych dziejów: ale wiek, jaki temu przejściu od liryki i eposu do dramatu wyznaczają, tak jest późny, że wypada się raczej wystrzegać śmielszego orzeczenia o zupełnej oryginalności tego przeobrażenia. Bądź co bądź, podobieństwo między teazyami a dramatem Dyoniza i misteryum średniowiecznem jest uderzające: odgrywa się teazye w pierwsze dziesięć dni Moharremu; wstęp dla widzów bezpłatny, koszta widowiska ponosi jaki bogacz, który przytem na przepych kostiumów, kosztowności i kobierców się wysadza, jeżeli nie opłaca się ich ze składek, bo wystawianie tych widowisk skarbi zasługi w niebie. Autorowie bogobojnych dzieł ani z nazwiskiem swem nie występują, ani tych dzieł nie ogłaszają; misterya, dochodzące do liczby kilkudziesięciu, opisują dzieje Mahometa, Alego i Huseina, zaczynają się nieraz od prefiguracyi z dziejów starozakonnego Józefa i braci jego, a kończą zmartwychwstaniem Alego i Huseina, kreśląc niby zarazem losy odkupienia ludzkości; modlitwy i przemowy pobożne poprzedzają i kończą widowisko. Ciekawych stylu i treści tych misteryów perskich odsyłamy do pracy Chodźki, *Théâtre persan*, Paryż, 1878 (nr 19 owej Bibliothèque orientale elzévirienne), lub do sprawozdania p. Ed. Montet w *Revue de l'histoire des religions* XIV (Paryż 1886). Obok tych misteryów, wstrząsających religijnym nastrojem narodu, fanatyzujących go nieraz, będących hymnem uwielbienia proroka i (szyickich) następców jego, posiada Pers i komedyę, a raczej farsę. Wędrowne trupy „lutich" odgrywają lub improwizują t. z. temachi, których próbę przytacza Chodźko: dwaj ogrodnicy chwalą na wyścigi płody swych sadów, kłócą się, biją, godzą, zapijają zgodę i wyrażają ku wielkiej uciesze trzeźwego wszelkie stopnie podchmielenia. Młodszy ogrodnik, udający tylko pianego, porozumiewa się potem z córką starszego. Jeszcze chętniej niż na temachę patrzy Pers na karaguezy, maryonetki, z ich „łysym bohaterem", smakoszem i obłudnikiem. Próbka u Chodźki przypomina nieco scenę między Kalchasem a przebranym Parysem w Pięknej Helenie; maryonetki te mają sięgać bardzo dawnych wieków.

U ludów amerykańskich można-by może niejedno pokrewne zjawisko, np. w Meksyku, zanotować, ale dla braku źródeł trudno znaczenie jego bliżej określić. Zatrzymamy się więc tylko przy dramacie peruwiańskim, który i dziś jeszcze, acz niesłusznie, głośną sławą się cieszy.

www.libnoo.com.cn

Digitized by Google

Kultura Inków to najwyższy stopień rozwoju, jaki Ameryka przedkolumbowa osiągnęła; socyalizm monarchiczny zapewnił tu każdej jednostce byt i utrzymanie, pozbawiwszy ją naprzód wszelkiej wolności. Otóż program obchodów uroczystych peruwiańskich obejmował i przedstawienia dramatyczne, w których albo dzieje bogów, albo zdarzenia codziennego życia przedstawiano, więc przypomina attycką tragedyę i komedyę. Przypuszczamy, wobec najściślejszego rozkładu prac, charakteryzującego społeczność Inków, że ich mędrcy-poeci, Amautowie, byli twórcami takich scen, urządzanych może też celowo, dla rozszerzania znajomości mitu i języka panującego rodu między podbitemi szczepami. Misyonarze katoliccy umieli później korzystać z takich widowisk, zastępując je misteryami chrześciańskiemi i rozkrzewiając w ten sposób nową wiarę. Otóż i wszystko, co o dramacie peruwiańskim na podstawie źródeł powiedzieć było można.

Tymczasem ogłosił był pilny badacz języka Inków (Quichua, Kespua,) Tschudi, r. 1853, dramat p.t. „Olanta", pisany w narzeczu dawnej stolicy Inków, Kusko, oznaczywszy z wszelką stanowczością czas pochodzenia jego na pierwsze dziesięciolecie szesnastego wieku, jeszcze przed najazdem Pizarra i Hiszpanów. Treść „Olanty," który doczekał się kilku wydań z różnych rękopisów i tłómaczeń, zgadza się z tradycyą, niezapisaną wprawdzie u żadnego historyka, ale ludową, i uzupełnia ją. W dramacie szczęśliwy wódz i wasal Inków, przełożony nad terytoryum Anti, Olanta, wszedłszy w stosunek z córką króla, prosi ojca o jej rękę; doznawszy stanowczej odmowy, poprzysięga zemstę, korzysta z niezadowolenia wasalów i ogłasza się panem w Anti. Wojsko, wysłane przeciw niemu, rozbite jest podstępem. Kochanka, wydawszy na świat córeczkę, pokutuje w lochu klasztoru dziewic słońca, córeczka zaś wychowuje się obok. Po latach dziesięciu umiera stary król, następca jego odzyskuje Anti zdradą, przypominającą najściślej tę, którą Zopir Daryuszowi Babilon otworzył. Olanta i rokoszanie, stawieni przed młodego króla, mają zginąć, ale wspaniałomyślny zwycięzca nietylko przebacza, lecz wywyższa jeszcze Olantę do godności namiestniczej; owa zaś córeczka, odkrywszy więzienie matki, ucieka się do łaski monarszej; wszyscy wyruszają do klasztoru, następuje wzajemne poznanie i połączenie Olanty z dawną kochanką, a siostrą króla.

Znaczenie Olanty, jako jedynego pomnika literatury Inków, zniszczył jednak ostatni wydawca, E. W. Middendorf (r. 1890), wykazawszy niezbicie, że dramat ten, choć Hiszpanów i chrześciaństwa niczem nie wspomina, powstał dopiero za czasów hiszpańskich, może w przeszłym wieku; autor jego (czy nie ksiądz Valdez, zmarły około r. 1818), udramatyzowawszy podanie, ukrywał dla przyczyn politycznych autorstwo i dzieło, późne pochodzenie jednak, mimo wszelkiego przejęcia się

Digitized by Google

kulturą ową, zdradził szczegółami, nie możebnemi dla dawnego Peru, jak wzmiankami o osłach, kocie, wieszaniu i t. d., i motywami, nie godzącemi się wcale z temi, jakie państwo synów słońca jedynie uznawało. Starego dramatu peruwiańskiego, niestety, Olanta nam nie zastąpi.

W Europie pozostają obok Greków Włosi, u których dramat, a raczej komedya, wobec żywych giestów, dobitnej mimiki i chętki naśladowania i przedrzeźniania, cechujących zawsze synów Auzonu, powstać mogła; ale i tu, niestety, nie zbierzemy bogatszego plonu: późne początki literatury narodowej, a nader wczesne wpływy obce, greckie, nie dozwalają rozpatrzyć i ocenić szczegółów. O tragedyi na gruncie włoskim mowy być nie może, bo Italowie nie mieli ani własnego eposu, ani nawet, ile się zdaje, bogatych wątków podaniowych; natomiast wypadnie im może przyznać początki komedyi. Młodzież wiejska, przebrana w maski z kory, wyprawiała komiczne pieśni i sceny, farsy, zwane fescekinami, podczas dożynek i świąt jesiennych, później wyłącznie podczas obchodów weselnych. W innych, w saturach, przeważał może element dramatyczny; z wiejskiej dostały się one w końcu i na scenę rzymską, przyczepiano je do tragedyi. Rychło jednak satury ustąpiły mimom, scenom komicznym, w których wystawiano już jakąś intrygę, niewiarę małżeńską, oszustwa, zwodzenia i t. p. Sama ich nazwa grecka wskazuje na przejęcie z Wielkiej Grecyi, ale na rozkrzewienie się mimu w Wielkiej Grecyi wpłynął może właśnie pierwotny przykład włoski; mimy grywano na widowiskach Flory, dodawano je potem do tragedyi jak saturę, aż za czasów cesarstwa pasorzyt mimów zagłuszył dramat poważny; mimy odgrywali aktorowie i aktorki, podczas gdy młodzież obywatelska improwizowała t. zw. atelany z typowemi figurami komicznemi, pierwotnie małomiejskiemi, i atelany ustąpiły w końcu przed mimami, które już od czasów Cycerona coraz wyłączniej na scenie panowały.

Oto krótki przegląd zjawisk sztuki dramatycznej u narodów cywilizowanych; wrażenia, że są to naśladownictwa sztuki greckiej, nie mogliśmy się wszędzie pozbyć, a gdzie takiego wrażenia nie mieliśmy, tam, niestety, z powodu braku źródeł, niczego zbadać niepodobna. Całym plonem naszej wędrówki pozostanie więc dla tragedyi greckiej wskazanie na analogię dramatów religijnych w Peru i Grecyi, a dla komedyi—na improwizowane farsy włoskie i perskie.

II.

Dokładniejsze wskazówki, ciekawsze informacye co do początków sztuki dramatycznej znajdziemy może u ludów barbarzyńskich, a nawet

Digitized by Google

wet i dzikich, gdyż relacye podróżnych o ich dramatycznych „teatralnych" widowiskach wcale nie są rzadkie. Moglibyśmy wspomnieć Kamczadalów, którzy przytem głównie chód i giesty obcych gości przedrzéźniają. Donoszą nam, że Tlinkici (albo Kolusze) na Alaszce, Ahtowie Wankuwerscy i Mokwijowie upodobali sobie dramatyczne przedstawienia. Osobliwsze gry maskowe spostrzeżono u szczepów Tekuna nad Amazonką. Ahlquist zdaje sprawę o przedstawieniach, urządzanych przez aktorów w maskach u Wogułów i t. d.; ale zamiast kilku, niéraz pobieżnych i niedokładnych wzmianek, wolimy korzystać z wyczerpującej relacyi p. Gondatti z r. 1885, ogłoszonej w Pracach etnograficznego działu ces. Towarzystwa Przyjaciół przyrodoznawstwa, antropologii i etnografii przy uniwersytecie moskiewskim (tom VIII, Moskwa 1888 r., str. 74—87). Dla lepszego zrozumienia tego co następuje, nadmieniam, że kult niedźwiedzia, o który tu chodzi, rozpowszechniony jest na olbrzymiej przestrzeni, od zatoki Fińskiej, przez całą Syberyę i wyspy, do Hudsońskiej; największy zwierz drapieżny strefy północnej „łapa miodowa," „gospodarz ziemnego domostwa" i jak go tam różnie nazywają, odbiera cześć półboską, np. szczepy nad zatoką Hudsońską, gdy ubiją niedźwiedzia, wygłaszają mu pieśni pochwalne i chowają w uroczystym obchodzie czaszkę jego; czterdziesta szósta runa (pieśń) Kalewali fińskiej opiewa takąż uroczystość, wyraża się tu poszanowanie i miłość dla groźnego zwierza. Dalej zdejmują z niedźwiedzia skórę, przy uczcie śpiewają o jego pochodzeniu i dziejach, potem wyłamują zęby (w celach zabobonnych, leczniczych), a czaszkę zawieszają na wysokiej sośnie, by nie uległa jakiej profanacyi. U Ajnosów uchodzi niedźwiedź za ich protoplastę i t. d. Przystępujemy teraz do widowisk dramatycznych, łączących się z kultem niedźwiedzia u Mańzów.

Mańzowie, mieszkający w północno-zachodniej Syberyi nad północną Soświą i Sygwą, lewobocznemi dopływami Obi z Uralu, pokrewni z Wogułami Permskiej gubernii i nieraz tak nazywani, zbliżeni są całym trybem życia do sąsiadujących obok Ostyaków i Samojedów, oddają się, jak i ci, głównie myśliwstwu i rybołówstwu. Choć ochrzczeni, zachowują pogańskie wierzenia i zwyczaje, niknące coraz szybciej przy powolnem wyradzaniu się szczepu. Wierzenia ich podobne są do innych szamańskiej Syberyi: wielkorządca świata, spoczywający po trudach tworzenia, zdał właściwą władzę nad nim na szereg bóstw departamentalnych, synów swoich i t. p.; od nich więc zawisło wszystko, a wzywa się ich pomocy za pośrednictwem szamanów. Bogi nocą objeżdżają świat dla przestrzegania ładu; kształty ich człowiecze, tylko w razie trwogi przybierają inne, głównie ptasze, rzadziej jaszczurcze i inne; licznemi ofiarami wyraża się im wdzięczność. Mieszkają nieraz na samej ziemi, w jeziorach i indziej.

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

Osobną cześć okazuje się niedźwiedziowi, który, czy to przyszedł z nieba, czy też weń ludzi zamieniono, zawsze posłusznem jest narzędziem bóstw, karających nim przestępców. Nie polują więc Mańzowie umyślnie na niedźwiedzia, chyba gdy na legowisko jego natrafią, wychodząc przytem z fikcyi, że i niedźwiedź, zawiniwszy cokolwiek wobec bóstwa lub ludzi, wydany im jest na ukaranie; że jednak pewności niema, należy mu się przeto krzywdę wynagrodzić i choć cień jego (duszę) przebłagać, by się nie mścił później na strzelcu. Obrzędy towarzyszące temu mają też wybitną cechę zwykłych obchodów lustralnych, omywania i t. p.

Po zabiciu niedźwiedzia zdejmuje się z niego skórę, całkiem jak płaszcz z człowieka, i wnosi do chałupy najmożniejszego z (nielicznych zresztą) uczestników polowania; rozkłada się ją na miejscu honorowem, stawia przed paszczą kilka figurek jelenich, oczy i pysk nakrywa monetami srebrnemi i krążkiem, z powodu kobiet, które niegodne są patrzeć w oczy niedźwiedzia i całować go w pysk,co należy tylko do mężczyzn. Przez następne noce, najmniej trzy, najwięcej dwanaście, odbywają się obchody i uczty, na które nawet z wielkich odległości naród się skupia, podejmowany gościnnie. Zabicie więc niedźwiedzia, acz zaszczyt wielki, naraża na znaczne wydatki, od których wymówić się nie można.

Nocne te obchody dzielą się na pieśni i przedstawienia sceniczne, przeplatane tańcami i ucztą. Każdy wchodzący kłania się niedźwiedziowi, równie jak śpiewacy, zwykle w liczbie trzech, którzy co noc śpiewają pieśni, od trzech do pięciu, treści mitycznej, o bogach i bohaterach, lub o życiu niedźwiedzia w lesie; po każdej pieśni tańce, nieraz mimiczne, naśladują ruchy niedźwiedzia lub menków (bożków leśnych, niby satyrów). Śpiewa zwykle jeden śpiewak, inni tylko w dośpiewie mu wtórują—bez muzyki, bez masek; obecni słuchają w głębokiem milczeniu. Po pieśniach, jakby ściślej religijnej części obrzędu, obecni jedzą i piją; potem następuje część obrzędu więcej świecka, przedstawienie. Są to sceny krótsze i dłuższe, których nieraz i dziesięć w jedną noc odegrają; aktorami są tylko mężczyźni, którzy i w rolach kobiecych występują przebrani, starając się uzyskać sławę dobrych aktorów. Dyalog zdaje się być zawsze improwizowanym, tylko motyw mniej ulega zmianie, ale komponują się i całkiem nowe sceny; repertuar wcale bogaty, obejmuje nieraz dla wszystkich nocy obchodu do stu i więcej scen; w scenach ostatniej nocy wprowadza się bogów, aby ich przekonać o czci, jaką się niedźwiedziowi okazuje.

Aktorzy ubrani są w maski z kory brzozowej lub z drzewa, wcale niezgrabne, z potwornemi nosami, na których zawiesza się nieraz ozdóbki; brwi, wąsy i broda namalowane farbą lub sadzą; maski te kryją aktorów przed niedźwiedziem i przed widzami. Ponieważ bowiem

Digitized by Google

sceny pełne są nieokiełzanej rubaszności w słowach i giestach, a niedźwiedziowi tem się ubliża, nie wypada więc bez maski ukazywać się przed nim. Wobec widzów zaś zasłania maska przed wszelką odpowiedzialnością za wycieczki i zarzuty, któremi się nieraz osypuje obecnych, mianowicie starszyznę szczepu; najdotkliwsze ucinki, których-by kiedy indziej nie pozwolono, uchodzą maskom bezkarnie. Aktor, przybrawszy maskę, staje się inną osobą, której tak widzom, jak i spółgrającym niewolno nawet nazywać jej codziennem mianem, tylko innem, wymyślonem. Obok masek używa się i kostiumów, np. kobiecych, Menkwów (satyrów) i innych.

Jakaż treść tych scen? Gondatti opisuje krótko trzydzieści trzy sceny, jakie mu się widzieć zdarzyło. Kilka łączy się ściśle z obchodem samym, np. wchodzą osoby działające na łyżwach, jakby z daleka, i pytają o przyczynę takiego zbiorowiska ludzi; widzowie odpowiadają, że gospodarz zabił niedźwiedzia i że oddają mu winną część. Widząc skórę, uciekają przestraszeni, aż powoli nabierają odwagi i w końcu całują paszczę. Albo: dwóch ludzi natrafia na legowisko niedźwiedzia, chcieli-by go upolować, a nie wiedzą, jak się do tego zabrać; poucza ich staruszka szczegółowo, co też oni wypełniają. Kostur ze skórą przedstawia niedźwiedzia. Trzech braci wyruszyło na takie łowy, lecz nie udały im się; niedźwiedź zagryzł średniego, tamci dwaj skryli się; potem starszy, kiedy młodszy zleźć nie chciał z drzewa, na którem był się ukrył, podrąbał je, młodszy spadł i zabił się, ale obu ożywiono. Trzej strzelcy po szczęśliwych łowach dobrali się do tej wsi, wódkę już wszystką wypili, proszą więc o łaskawe przyjęcie między biesiadników, na co widzowie zezwalają. Lub wchodzi na łyżwach innoplemiennik, niedźwiedziowi urąga, chełpiąc się swem nieustraszonem męstwem. Daremnie przestrzegają go widzowie, aż ogarnia go strach paniczny, biedak trzęsie się i przyznaje, że tchórz, poczem się widzowie z nim godzą. Ojciec z synem, który jeszcze tylu ludzi nigdy nie widział, tem bardziej niedźwiedzia się przeląkł i ucieka, póki go uspokoją.

To znów odgrywają się sceny codziennego życia, np. mąż struga strzały, żona przyrządza nici jelenie; oboje śpiewają, jak on będzie zwierzynę łowił, a ona odzież szyła. Kobieta oporządza skórkę sobola i opiewa przytem życie sobola w lesie. Miewa też sceny swoje i rybołówstwo: rybak wybiera miejsce na rzece, łowi mnóstwo ryb i śpiewa, co z tem bogactwem pocznie; do rzeki jedzie saniami, w psy zaprzężonemi, deska wyobraża „nartę", a pałki psy. Idą mąż i żona, on chwali jej piękność i dobroć, ona wesoła podskakuje,—potem on gani jej niewiarę i pijaństwo, ona smutna zwiesza głowę; powtarza się to z pięć razy, poczem oboje tańczą. Rybak wystawiał samołówki na ryby, które złodziej zawsze sprzątał, aż go raz przydybał; uciekającemu

Digitized by Google

zastrzągł haczyk w ciele, dogonił go rybak, obił i nie wyswobodził, póki się sowicie nie okupił. Starosta i pisarz wybierają daniny i skórki, a jest ich tyle, że jelenie ledwie nartę uciągną; strzelec oddał im już wszystko: sobola, jelenia, skórę łosiową, ci żądają nawet „wotlepu" (strużki z drzewa, używane najrozmaiciej); rozsierdzony strzelec obił ich i wygnał, tak że go więcej nigdy nie nachodzili. Spotyka się dwóch Ostyaków, jeden na łyżwach, drugi z jeleniami; dziwią się sobie, gdyż jeden jeleni, a drugi łyżew nie zna; mieniają się; nie umieją się z nowym nabytkiem obchodzić i mieniają się napowrót. Dwaj kupcy tobolscy nachodzą ostyackiego rybaka, pytają, czy ma ryby.—„Mam, ale nie dla was." Obiecują dobrze zapłacić;—„mam ryby, ptactwo i zwierzynę, czegóż mi więcej potrzeba? a w wasze łapy wpaść, to się z nich i nie wydostaniesz." Odchodzą więc bez niczego, a on woła za nimi: „zbóje, rabusie." Jest scena uzdrawiania słabego: lekarz odcina toporem puchliny, poczem wszyscy tańczą. Inna wskrzeszania zmarłego za pomocą „żywej wody" i nacierań, ale ożywiony zażywa tabaki, której dotąd nie znał, i umiera. Scena powtarza się, póki żywej wody nie zabraknie; umarłego chowają z wszelkiemi obrzędami i sporządzają stypę. Śpiącego w lesie kąsają komary, ogania się im przez sen, potem nakłada ognisko, które nic nie pomaga. Inny dziwi się własnemu cieniowi, powtarzającemu wszystko, co on robi; ucieka wreszcie przerażony. Miejsce cienia zastępuje innym razem pień, który również ruchy powtarza, aż w członki człowiecze porasta; lub Menkw (satyr), którego przeprosić należy. Ojciec szuka żony dla syna; znalazł, umówił się o „kałym" (wiano) i przyprowadza syna dziczka, który przed wszystkiem ucieka, lub o wszystko pyta, aż urządzą wesele.

Obok takich nieskomplikowanych scen znajdujemy i całe akcye z intrygą, lepiej lub słabiej przeprowadzoną; o miłości jeszcze nie rozprawia się, za to praktykuje się niewierność małżeńska. Samojed przyjeżdża do Ostyaka, nie rozumieją się, z czego szereg komicznych pomyłek; ale żona Ostyaka umie nieco po samojedzku i służy za tłómacza. Samojed kusi ją: „porzuć męża, ja bogatszy, u mnie będziesz miała więcej ozdóbek, uszyję ci futro sobole, daruję stado jeleni." Ostyaczka w końcu się zgadza, warzy odurzający napój z muchomorów, raczy gościa i męża, gość pije mało, mąż wiele; gdy się upił, uwiózł mu Samojed żonę. Młodzieniec chce się żenić i stara się o córkę sąsiada, ale nigdy nie może dojrzeć jej oblicza, bo skoro go ona zobaczy, zakrywa się chustką. Prosi w końcu stwórcę, Numi Torum, by zesłał wiatr, który-by zerwał chustkę skromnisi: stało się, jak sobie życzył, i ujrzał twarz tak brzydką, jakiej jeszcze nie widział nigdy; ucieka i dziękuje stwórcy, że go od takiej żony uchronił. Ojciec, matka i syn płyną w łódce; chłopiec, objadłszy się niezdrowych jagód, umiera; ojciec nie-

www.hdool.com.cn

Digitized by Google

sie go w trumience i śpiewa po drodze o starcu, co zabłądziwszy w lesie, wpadł do jamy niedźwiedzia i przespał z nim zimę, liżąc jakąś kulkę, przeznaczoną przez Numi Torum na zimę dla niedźwiedzia, który go na wiosnę na drogę wyprowadził. Podczas tego śpiewu nie czuł ojciec znużenia, ale teraz usiadł zmęczony, wyjął syna, uciął mu nogi i poniósł go dalej, aż w końcu całego z trumienki wyrzucił. Przyszedłszy na umówione miejsce, zastaje już żonę, która przed pogrzebaniem chciała-by jeszcze raz syna obaczyć; otwiera wieko, a tu syna niema. Ojciec udaje zdziwionego i zapewnia, że to chyba Numi Torum porwał go do nieba; matka szczęśliwa, oboje tańczą.—Trzy siostry przychodzą z Małej nad Wielką Soświę, gdyż słyszały, że tu dużo mężczyzn, a mało kobiet. Najstarsza uczy, by po sobie nie pokazywały, że polują na mężów, bo to chytry naród, domyślą się i próżne będą ich zabiegi; ale i tak, mimo wszelkich nęcących poz i giestów, męża nie znalazły, splunęły zgorszone i wróciły do domu.—Dwaj bogaci Tatarzy przyjechali nad Ob szukać narzeczonej; gdy się im nie powiodło, schwycili staruszkę, ale i ta im uszła; gonią ją i zbijają się nawzajem z nóg.—Dwaj bracia wyruszają w las na łowy, najmłodszy, głupi, miał pozostać, ale uprosił ich w końcu, że go z sobą zabrali. Rozmaite zdarzają się wypadki z powodu głupoty jego; on im warzy wieczerzę tak, że tamci idą głodni spać, a on sam wszystko spożywa; na drugi dzień tamci polują, on sporządza „sanguldap“ (narzędzie muzyczne); wieczorem oni przynoszą zdobycz, on zaś widział tyle zwierzyny, że nie wiedział, w którą stronę strzelać; podobnież nazajutrz. Na trzeci dzień głupi dokończył sanguldapu i tak się zagrał, że grał przez całą noc; bracia, nie widząc go, szukają,—on słyszy ich gwizdanie, chce umykać, ale widzowie go uspokajają: to tylko wiatr, lub łyżwy twoje skrzypią; aż go bracia znaleźli i sanguldap odebrali, ale próżno silili się zagrać. Do muzyki widocznie inteligiencyi nie trzeba, tylko czucia, więc głupiec odebrał instrument i tak zagrał, że wszyscy zatańczyli.

Scen z bogami Gondatti nie przytacza, chyba policzymy tu te, w których występują (satyrowie) Menkwowie. Surowość ich przyrody objawia się nieskładnemi tańcami, dzikiemi giestami, strasznym krzykiem i świstem: niektóre sceny przedstawiają tylko takie rysy, w innych zaś sami Menkwowie wpleceni są w losy śmiertelnych. I tak łowią dwaj strzelcy ptactwo z niesłychanem powodzeniem; tłómaczą to sobie tem, że jeden z nich znakomicie wabić umie, lecz z błędu wyprowadza ich córka Menkwa, pragnąca obu pojąć za mężów: ona - to napędzała im zdobycz w sieci. Strzelcy jej nie chcą; obrażona Menkwa odchodzi z groźbami. Odtąd wszelkie starania strzelców są daremne, niczego nie ułowili; gdy zaś zapasy się wyczerpały, wrócili do domu po nowe, a tam wszystko zgorzało. Dalsze łowy znowu bez skutku, sami

www.ibtool.com.cn

Digitized by Google

więc strzelcy przyzywają leśną boginię, ale na próżno, ta nie pojawia się więcej, a oni giną w strasznych konwulsyach głodowych.—Trzej bracia polują; w nocy śni się najstarszemu miejsce w jeziorze, w którem mieszkają córy Menkwa; opowiada to braciom i namawia ich, by mu towarzyszyli w wycieczce; oni ze strachu po drodze zostają, tak, że najstarszy sam dochodzi do tego domu. Na niego rzuca się córa Menkwa, lecz w pasowaniu się on zwyciężył, przyznała go więc za męża i poszła za nim spokojnie. Doszli do braci, którzy z zawiści chcą brata zabić, a żonę zabrać; ale on się domyślił ich zdrady i zaczął ich wyśmiewać, że przed babinką stchórzyli. Oni w gniew, zwalają winę jeden na drugiego, kłócą się i wyzywają, a w końcu zabijają się na śmierć. Brat i żona tańczą z radości i podążają do domu. — Dwóch strzelców idzie na łów soboli, ale niczego ubić nie mogą; wtem widzą ślady, większe niż ludzkie, i chcą uciekać, ale za późno: ze świstem i wrzaskiem zagradza im drogę Menk; jeden więc wystrzelił miedzianą kulą w serce i położył go trupem. Trzy dni czeka córka Menkwa ojca, potem go szuka, aż znajduje trupa, widzi i obu strzelców i błaga ich, by ożywili ojca,— obiecuje im powodzenie w łowach, pomoc, nakoniec ofiaruje siebie samą za żonę. Wtedy dopiero wyjmują oni kulę z serca, Menkw zyskuje życie i przystaje z chęcią na wesele; bracia uprowadzają jego córkę.

Przeważa więc w tych scenach żywioł komiczny, ale nie brak też tragiczności, jak i pewnego stopniowania wrażeń dramatycznych. Komizm polega nieraz na umyślnych nieporozumieniach, niedosłyszeniu lub mylnem pojęciu słów, głównie zaś na giestach i grymasach, dochodzących do największej sprosności. Fantazya widzów tak jest żywa, że scenaryi lub rekwizytów nie wymaga; pałki lub deski zastępują co potrzeba: sanie, jelenie i t. d.; czas i miejsce oznacza się słowami. W grze biorą i widzowie udział uwagami, radami i t. d. Łatwo wyobrazić sobie, jaką rolę odgrywają takie obchody w jednostajnej walce o byt pod niewdzięcznem niebem, z jaką ciekawością zbierają się tłumy widzów; dopiero dalej na północy, u Samojedów, gdzie z powodu rzadkiej ludności zbiorowe obchody są wykluczone, ustają te formy kultu niedźwiedzia.

Streśćmyż te dane. Przedewszystkiem należy podnieść religijny charakter obrzędów: zabójca niedźwiedzia usprawiedliwia się na wszelkie sposoby: „wybacz i nie sądź mnie ostro, toż nie ja, ale Russki cię zabił, od niegom dostał broni, prochu i ołowiu, jam cię zawsze kochał i szanował i dowiodę ci tego uroczystym obchodem.“ Obrzucają się śniegiem i polewają wodą, latem ziemią i mchem, borykają się, przywdziewają najlepszy ubiór, z izby, gdzie niedźwiedź leży, wychodzą twarzą do niego. Kobiety muszą twarz i ręce zakrywać, by niedźwiedź ich ciała nie widział. Skórę ofiarują bogom, czaszkę zawieszają na drzewie; wszystko, co pozostało, wrzucają do ognia, by psy lub ptactwo czego

Digitized by Google

nie porwały. Są to więc ofiary, obrzędy błagalne i różnią się tem od tańców np. bawolich u innych narodów, gdzie przed rozpoczęciem łowów urządza się podobne tańce i obchody, nieraz z maskami bawolemi lub innemi, aby przynęcić i zapewnić sobie bogatą zdobycz.

www.libool.com.cn

Maskami odróżniają się aktorowie od widzów, stają się innymi, jakby bliższymi bóstwa, któremu służą, jak umieją: co ich zadawala, musi i na boski cień niedźwiedzia tak działać. Czy maski te były zawsze ludzkie? czy nie poprzedziły ich inne, zwierzęce? i tu przecież w przeciągu wieków mogły zajść zmiany, rozwój jakiś; może pierwotni słudzy bożka-niedźwiedzia, ubrani jak inni kapłani, (czego może wskazówką są i dziś zawieszane u nosów i bród ozdóbki), przetworzyli się w aktorów. A w tem przetwarzaniu się odegrała znaczącą rolę fantazya, podniecona licznem zebraniem, obfitszą ucztą, naprężoną ciekawością widzów; obok niej zaś jeszcze i cecha, znamienna u Mańzów, wielka skłonność do szydzenia i dowcipkowania. Tak się przedstawia teatr u barbarzyńskiego szczepu i nie ulega wątpliwości, że w innych warunkach, pod łagodniejszem niebem, przy wyższym rozwoju umysłowym albo literackim, z takich początków dramat śmiało mógł powstać.

III.

I powstał on rzeczywiście w Attyce.

O religijnych jego początkach świadczy wszystko: i sama nazwa tragedyi, t. j. śpiewu kozłów, i czas przedstawień, ograniczony do świąt Dyoniza, najpierw tylko do Leneów (w styczniu i lutym), później i w wielkie Dyonizya (w marcu i kwietniu), i tymela, t. j. ołtarz, około którego chór się grupował, i miejsce honorowe, na jakiem kapłan Dyoniza zasiadał. Jeżeli więc zawiązki dramatu religijne z kultu Dyoniza wyszły, musimy mimowoli zapytać, cóż stanowiło ten kult, więc i samą naturę bożka? więc czemżeż był on właściwie?

W podręcznikach, które pojęcia o mitologii zupełnie wykrzywiają, uchodzi Dyoniz zazwyczaj za boga wina, albo, wedle terminologii umiejętnej, za ubóstwienie napoju ofiarnego, na podobieństwo wedyjskiego Somy. Dla innych staje się on bóstwem chtonicznem, podziemnem nawet, albo uosobieniem płodnych sił przyrody, jej wegietacyi, ginącej w mrozach zimy lub skwarze słonecznym, a odradzającej się znowu: i takie abstrakcye gabinetowe narzucane są społeczeństwom pół dzikim. Pytanie, jak zwykle, mylnie jest postawione. Bogowie—u bogiń i heroów uderza to nieuprzedzonego jeszcze silniej—nie różnią się pierwotnie: co Zeus, to samo i Apollon, Dyonizy lub Ares; Hera, Athena, a Artemis to także jedno; tak samo Ziu, Donar (Tor) i Wodan (Odin),

Digitized by Google

lub Swiętowit, Trzygłów i Swarożyc. Wyznaczanie bogom stopni pokrewieństwa, rang i wydziałów oświaty, wojny, finansów, rolnictwa i t. d. stosunkowo późne wywołane jest zlewaniem się i stykaniem rozmaitych szczepów i stanów, których rozmaite bóstwa przyjąć, zmienić, odrzucić, a zawsze uporządkować należało. Pytanie powinno więc brzmieć: jakim strefom, ziemiom i czasom, jakiemu społeczeństwu, ludowi, szczepowi i stanowi przynależy ów bóg?

www.libtool.com.cn

Kult Dyoniza dla Homera nie istnieje, ledwie że imię bożka jest u poety wymienione. Kult ten uchodził za obcy, tracki, przeszczepiony do Focydy i Beocyi, później do Attyki; o wędrówce i walkach, które staczać mu wypadało, świadczą mity o okrutnej karze tych, którzy czci bożka się opierali, a szczęśliwym losie jego wyznawców. Szereg niezwykłych, barbarzyńskich szczegółów łączy się z kultem i bóstwem. Otaczają go wyłącznie istoty żeńskie, Menady i Tyady; orgie jego odprawiają się nocą, przy świetle pochodni. Bożek zjawia się w postaci zwierząt, byków i kozłów, które mu są poświęcone; rozszarpany i pożarty Zagreus odradza się jako Dyonizos; rozdzierając w orgiach byka, kozła, sarnę lub cielę i pożerając surowe ich mięso, uczestnicy obchodu rozdzierają i pożerają wrzekomo bożka samego, wchłaniają niby jego siłę i niby łączą się z jego orszakiem, przywdziawszy skórę pożartego zwierzęcia. Wyobrażenie siły płodnej, *fallus*, obnoszą przy jego obchodach, przypadających w ważne daty roku gospodarczego. Staje się więc Dyonizy bogiem trzód, winnic i sadów, bogiem pasterzy, winiarzy i chłopów, poczem kult jego przenosi się ze wsi do grodu—nieraz może nie bez politycznej tendencyi.

Ale w tem przechodzeniu od szczepu do szczepu hellenizował się stopniowo tracki Dyonizy i kult jego pozbywał się pierwotnej dzikości; orgie przenosiły się z nocy na dzień, miejsce bachantek zajmowali mężczyźni, w orszaku bożka zjawiały się nowe postacie, między niemi duchowie leśni, satyrowie, a jak oni bożka, tak chór otacza kapłana. Cechą bożka pozostaje jednakże postać albo choć szata ze skóry zwierzęcej; bassara, może nawet jedna z trackich nazw Dyoniza, Zalmoksys, kto wie, czy nie skórę niedźwiedzia oznaczająca, tego dowodzą. Skórę zwierzęcia, kozła ofiarnego, przywdziewa więc w Attyce kapłan i chór; maska na twarzy, lub smarowanie się lagrem winnym i innym, wyróżnia chór lepiej od reszty śmiertelników, czyni ich satyrami; tak zamaskowani, już nie ludzie, lecz satyrowie, wpadają w wir obchodu, rozweselają obecnych raźnemi skokami i wesołemi śpiewami. Śpiewy wyrażały dzięki bożkowi za sprzęt owoców i wina, za przypłodek w trzodzie; sławiły go, przytaczając świetne jego czyny, zdobycze, wędrówki; albo opiewały jego męki i cierpienia, gdyż bóg-grono winne, albo bóg-kozioł lub byk, jakże ciężkiego od ludzi doznali losu! Kornem

Digitized by Google

jego wystawianiem powinni wyznawcy los ten słodzić, zagniewanego przebłagać, upokorzonego podnieść. Kreśląc takie sceny, wciągano w nie zwolna całe życie w domu i po-za domem; nie zadawalano się słowami, lecz dodawano im mimicznym tańcem wyrazistości; sama maska wiodła do tego, zaś dobra myśl chłopska, rubaszna a wesoła, urozmaicała obchód. Chór odgrywał tu główną rolę; kolejno występowali, jako pasterze, myśliwi, winiarze i t. d. Przewódzca chóru rzucał mu może pytania lub uwagi i wywoływał tem nowe śpiewy, opowiadania i pląsy, w których sam brał udział. Tak wyobrażamy sobie te sceny, które się najbarwniej na pograniczu Attyki i Megary, np. koło Ikary, odgrywały; dramatyczne sceny u Mańzów niezbyt daleko odbiegły.

I z takich-to śpiewów, opowiadań i tańców mimicznych powstała tragedya? Tak i nie. Nie należy bowiem zapominać, że tragedya grecka, nawet najdawniejsza, z literatury, a nie z ludu powstała, czego sam język dowodzi. W tragedyi attyckiej spodziewali-byśmy się attyckiego narzecza, tymczasem w partyach mówionych znajdujemy cechy jońskiego, w śpiewanych doryckiego narzecza, i nie trudno to wytłómaczyć. Na wsi, w Ikarze, sceny te były-by zawsze pozostały sielskiemi, jak u Mańzów; przeniesione zaś do Aten, gdzie cały obchód świetniejszego nabierał blasku, i one się zmienić musiały. Przecież istniała już bogata literatura; świetne epos wybrzeży jońskich rozniosły od dawna usta Homerydów po Grecyi; w elegiach i jambach dawano wyraz refleksyi, gnomice, inwektywie; poezya liryczna w pieniach, chórach i dytyrambach sławiła bogów, heroów i ludzi, zwycięzców w agorach czy tyranów w grodach, albo subjektywnie śpiewała o własnych uczuciach. I taka literatura w budzącem się szybko życiu umysłowem Aten Solona i Pizystrata, miała przejść obojętnie, nie dodać ze swej strony niczego do obchodów Dyoniza? W stare, sielskie formy chórów mimicznych wlano teraz nową treść; w usta chóru z satyrów włożono większe opowiadania, w stylu i z dziedziny eposu, a niewymuszone śpiewy ich zastąpiły pieśni, wzorowane wedle Stezychora i innych. Zwyczaj zaś, że satyrowie wyrażali mimiką wszystko, o czem śpiewali, popchnął do nowego kroku. Do wyrażania nieco skomplikowanej akcyi całość chóru nie nadawała się, należało go chyba dzielić, i jeżeli już dawniej ktoś mu przodował, nim kierował, niby poddawał temata do ruchów i śpiewów, tem bardziej teraz musiała się nastręczyć konieczność wyróżnienia zupełnie z chóru tego, w kim się interes opowiadania, akcyi, skupiał. I tak przesuwał się powoli punkt ciężkości z chóru na aktora; gdy dodano drugiego a potem i trzeciego aktora, wykluczono tem samem chór z akcyi, ograniczono go do wyrażania refleksyi, do śpiewów. Usunięcie chóru zupełne spełniło się już po-za tragedyą.

Digitized by Google

Za wzorem eposu spoważniały natychmiast w Atenach sceny koźle; naiwna ich rubaszność i drastyczna komika nie zgadzały się więcej z nowym stylem, ale lud nie zrzekł się ich odrazu: dawny komiczny element kozłów-satyrów zachował miejsce na końcu, do nowej „tragedyi“ przyczepiano t. zw. satyra, farsę najczęściej mitologiczną, również wystylizowaną, w której chór dawną maskę satyrów zatrzymywał; widocznem jednak było, że prędzej czy później narośl ta, teraz nieorganiczna, odpadnie. Związku literackiego z eposem nowa tragedya nigdy się nie wyrzekła. Pomijamy treść mityczną i heroiczną, którą z nim dzieliła zawsze; brak akcyi—w najdawniejszych tragedyach, w takich Hiketydach lub Persach, niema jej prawie wcale—odgrywanie najważniejszych scen za sceną, obszerne o nich opowiadania, wkładane w usta posłów i innych osób dodatkowych, wszystko przypomina jakby recytacyę eposu; nie trzeba zatem zmieniać i miejsca, którego jednostajność pociągnie za sobą niechybnie jednolitość czasu, a więc i akcyi. Tak przedstawia się całość rozwoju; szczegółów jego dzielić między Tespisa, Frynicha, Eschyla niepodobna; przekraczało-by też granice naszej pracy wdawanie się w dalsze określenia, nadmieniamy tylko, że jedna cecha dawnego satyra, maska, pozostała u aktora z wielką stratą wrażenia i illuzyi, którą później pantomima tem gorliwiej wynagradza; a i koturny, i onkos—niby peruka—zwiększające postać aktora, są może attrybutami dawnego satyra; postać półbogów musiała się przecież od ludzkiej odróżniać.

Tragedya attycka nadawała formę komedyi attyckiej i sycylskiej. Nietylko satyrowie reprezentowali element wesoły i komiczny w obchodach Dyonizowych; obok ich akcyi, ujętej w pewne karby miejsca, czasu i treści, pozwalały sobie rozochocone szeregi czy to falloforów, czy innych zamaskowanych byle jak uczestników obchodu, wesołych piosnek i docinków, któremi obsypywano otaczających. Obok wyszydzania obywateli, ich przywar i właściwości wystawiano i tu sceny komiczne, ośmieszano jaki niedawny wypadek lub wprowadzano figury szarlatana, złodzieja i innych. „Śpiewy koźle“ satyrów dostąpiły już dawno literackiego obrobienia, gdy „śpiewy komosu“ (pochodu obrzędowego), komedye, zawsze jeszcze na najniższym ludowym poziomie się utrzymywały. Wkońcu wpłynęła dramatyczna akcya tragedyi i literacka jej forma na komedyę, która jednakże pochodzenia swego nigdy nie zapomniała: i język jej, najczystszy attycki, i wybór tematów, —satyra polityczna lub obyczajowa, albo jakiś wyskok fantazyi, jakieś bajeczne społeczeństwa i państwa, sejmujące kobiety i t. p.,—dalej niesłychana rubaszność i cyniczność dyalogu i akcyi, ruchliwość chóru, postacie ludowe, brak więzów czasu i miejsca i inne cechy starszej komedyi łączą ją wprost z wyuzdanym komosem. Nie dziw też, że podo-

www.libool.com.cn

Digitized by Google

bne zarodki komedyi oddawna daleko po-za Attyką, znajdujemy w Megarze, Sparcie, Syrakuzach,—ale tu na Epicharma wpłynął również Eschyl; stało się to i gdzieindziej; lecz bogatszy rozwój ogranicza się do Aten.

www.rcin.org.pl

IV.

Kiedy tak zupełny brak najdawniejszych źródeł, oraz niejasność i sprzeczność w podaniach, pozwalają nam zaledwie tylko w przybliżeniu, mniej więcej, odtworzyć drogę, po której Attyka od chórów mimicznych i żartów komosu doszła do tragedyi i komedyi, to przeciwnie, życie dramatu chrześciańskiego śledzimy od kolebki do grobu. Streszczając teraz jego dzieje, obieram y za głównego przewodnika dzieło, owoc wszechstronnej pracy kilkuletniej, wyczerpującej bogatą literaturę, wnoszącej własne a trafne badania autora, napisanej jasno i przystępnie: świeżo ogłoszony tom pierwszy *Geschichte des neueren Dramas* von Wilhelm Creizenach (Erster Band. *Mittelalter und Frührenaissance.* Halle 1893. XV i 586 stron). Autor jego jest profesorem giermanistyki przy uniwersytecie krakowskim. Nadmienię, że w szczegółach, podziałach i t. d. odstępujemy nieraz, a na głównem polu pracy naszej, w przedstawieniu działu słowiańskiego (czeskiego, polskiego i kroackiego), jesteśmy najzupełniej od autora niezawiśli.

Widowiska religijne wyszły z obrzędów kościelnych, mianowicie ze śpiewów, w których chóry dzielono, a tekst rozszerzano t. z. tropami już od początku wieku dziesiątego. Jeden z takich tropów, wstawiony w *introitus* mszy wielkanocnej, wzięty z ewangielii Ś. Marka, a rozdzielony między śpiewaków. („Kogoż szukacie w grobie, czcicielki Chrystusa?—Jezusa Nazareńskiego ukrzyżowanego, dziedzicy niebiańscy.—Niema go tu, on zmartwychwstał, jak przepowiedział; idźcie, oświadczcie, że On z grobu zmartwychwstał"), stał się zarodkiem wszystkich przedstawień wielkanocnych. Niebawem bowiem przyjął się zwyczaj, że kleryk, w albie, z palmą w ręku, siedzący nad grobem, a więc w roli anioła, zwracał owo pytanie do trzech innych, przebranych w płaszcze, niosących kadzielnice i kroczących zwolna, jakby czegoś szukali (trzy Marye); dodano jeszcze ustęp ze Ś. Mateusza: „przyjdźcie a oglądajcie miejsce, gdzie pan był pogrzebiony"; „Anioł" podnosił następnie przykrycie grobu, w którym krzyż, obwinięty w prześcieradło, był od wielkiego piątku złożony, a potem wyniesiony, i pokazywał, że niema już krzyża; „trzy Marye" rozwijały prześcieradło, śpiewały „Pan zmartwychwstał", poczem intonowano *Tedeum.* Pierwszą tę scenę dramatyczną rozszerzano statecznie dodawaniem nowych

Digitized by Google

ustępów z ewangielii, nowych pieśni, np. t. zw. sekwencyi *Victimae paschali*, która po wystawieniu Zbawiciela wprost pyta: „powiedz Maryo coś po drodze widziała?" Z ewangielii Ś. Jana dodawano dwie sceny: Marya oznajmia Piotrowi i Janowi, że grób próżny, poczem obaj do grobu śpieszą; odpowiedne słowa śpiewał chór, a dwaj klerycy wykonywali tę czynność, ożywiającą całą scenę. W drugiej płacze Marya nad grobem, Chrystus zjawia się jej w postaci ogrodnika, ona, poznawszy Pana, pada mu do nóg; rzewność jej płaczu, a wystąpienie tryumfującego Chrystusa, w białych szatach, z chorągwią krzyżową w ręku, wnoszą do obchodu nowe czynniki.

www.libtool.com.cn

Podobne pierwiastki dramatyczne zawierała msza niedzieli kwietnej, gdy ewangielię śpiewano, jakby z rozdzielonemi rolami; dalej przedstawiano drogę do Emaus, w scenie liturgicznej na nieszporach poniedziałkowych, albo zwyczaj obchodzenia z procesyą kościoła w noc wielkanocną, przyczem stawano przed zamkniętemi drzwiami, t. j. wejściem do otchłani, kleryk-Chrystus, kołacąc w drzwi, żądał wejścia, a inny *in figura diaboli* odmawiał. W nierównie bogatsze sceny rozwinęła się liturgia jasełkowa, dnia „Młodzianków" (Niewiniątek) i Trzech Króli. Trop jasełkowy, ułożony wedle wielkanocnego, o którym wyżej wspomnieliśmy („Kogo szukacie w jasełkach, o pasterze! powiedźcie: Zbawiciela Chrystusa pana, dziecięcia, zawiniętego w pieluszki i t. d."), dzielono między chór pasterzy i dwóch dyakonów, przebranych w dalmatyki, stojących za ołtarzem przy jasełkach, na miejscu owych „babek" Salomy i Zebel, które, wedle apokryficznej ewangielii Jakóba, Maryi służyły. O obfitości ustępów i pieśni, jakie tu wplatano, może świadczyć „rząd osób u jasełek w Boże Narodzenie" (*ordo personarum ad cunabulum in Nativitate Domini*), jakiśmy w rękopisie biblioteki Jagiellońskiej (pochodzącym z Czech, XIV wieku) znaleźli.. W obrzędzie, gwiazdą (stella) zwanym, łączyli się trzej przebrani duchowni przed ołtarzem, wskazywali sobie gwiazdę, szli do jasełek, przynosili dary i modły i t. d.; do sceny tej dodano rychło ową pasterską, a kończono ją herodową i rzezią niewiniątek z płaczem Racheli; poprzedzała ją jeszcze udramatyzowana lekcya, wyjęta z kazania Ś. Augustyna przeciw żydom, gdzie ustępami z proroków starego zakonu i świadectwami pogańskiemi, Wergiliusza, Nebukadnezara i Sybili, dowodzono przyjścia Mesyasza. Lekcyę tę przerobiono wcześnie na śpiewany dyalog, łączony z procesyą po kościele.

Oto początki dramatu religijnego, jakie się w czasie między dziesiątym a dwunastym wiekiem rozwinęły; stanowi on jeszcze ścisłą całość z liturgią, tekst wyłącznie łaciński i śpiewany; osoby—to duchowni, przebrani w szaty kapłańskie, miejsce—obok i za ołtarzem, czas —nabożeństwo, msza lub nieszpory. Niebawem rozwija się scena litur-

Digitized by Google

giczna, *officium*, we właściwą grę lub dramat, *ludus*; wymyka się więc z ram nabożeństwa, przybiera obok duchownych jeszcze inne osoby, żaków, wplata coraz więcej żywiołów świeckich, komicznych, przenosi się przed kościół, w końcu na place miejskie, wymaga nowych rekwizytów i kostiumów, dodaje do śpiewów recytacyę, parafrazuje pierwotny tekst łaciński w języku narodowym, który niebawem wyłącznie ma zapanować; scena liturgiczna, *officium*, cofa się do wnętrza kościoła, dramat zaś, *ludus*, opuszcza go zupełnie. Tylko cel pozostaje ten sam: nauczać lud, wystawiając mu niemal dotykalnie dzieje odkupienia, wdrażając weń przez zmysły skruchę i wiarę; jednakże wykrzywiają go zbytnie domieszki, tak, że kościół zaczyna patrzeć na te widowiska nieufnie i niechętnie. Nowy ten rozwój dopełnia się między dwunastym a piętnastym wiekiem.

I tak gra prorocka, *ludus prophetarum*, cofa się jeszcze wstecz; obejmując teraz cały związek przyczynowy dzieła odkupienia, wciąga upadek Lucypera, kuszenie Adama i wygnanie z raju; zwiększa ilość pojedyńczych ustępów i rozszerza je coraz bardziej. Tak np. biskup Albert wystawia zimą roku 1204 w Rydze na rynku, dla zbudowania nowonawróconych i pogan, grę prorocką z największą okazałością; tłómacz wyłożył najpierw w krótkości jej treść; ale gdy w ciągu akcyi Gedeon i mężowie jego rzucili się na Filistynów, chcieli przestraszeni widzowie uciekać. Już w XII wieku wyłaniają się z gry prorockiej osobne dramata, np. kilka o Danielu, jeden z nich Hilarego, ucznia Abelarda, w kilkuset poważnych wierszach łacińskich;—pierwszy to znany nam z nazwiska autor dramatu religijnego. Najważniejszym pomnikiem tej gałęzi jest t. z. Adam, najstarszy dramat w języku narodowym, po francusku napisany przez Normandczyka w Anglii w XII wieku, przeznaczony do recytacyi, opatrzony w obszerne wskazówki łacińskie co do sceny i aktorów. Wymaga się tu dobrego wyuczenia roli, zupełnego wygłaszania wierszy, tonu uroczystego lub łagodniejszego, pewnych giestów i mimiki. Scena przed kościołem podzielona jest na raj, nieco podwyższony, umajony i obwieszony jedwabiem, tak, że osoby jego widne są tylko po plecy; na ziemię i piekło miejsce jest odgraniczone, z którego się dym i wrzaski unoszą, dyabli uwijają się po niem i między widzami. Wedle zwyczaju, jaki średnie wieki przy kazaniach stale zachowywały, czyta się i śpiewa odnośne ustępy biblijne najpierw po łacinie, a potem dopiero omawia się je w wierszach francuskich. Akcya postępuje za biblią, ale znacznie rozszerzona; pokusy odpycha Adam statecznie, tak, że dyabeł smutny z pochyloną głową odchodzi; po naradzie z innymi zwycięża u Ewy. Następują dalej rozwlekłe skargi i żale Adama; wygnanie; potem pierwsi ludzie pracują na polu, ale szatan zasadza ciernie między zboże; nowe narzekania,

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

poczem ich dyabli związanych do piekła odprowadzają. W drugiej scenie występują Kain i Abel; Kain porusza też temat średniowieczny wielkiej wagi: oddawanie dziesięciny; uważa ją za zbyteczne, gdyż

de dis ne remaindront que noef
icist conseil ne vealt un oef;

w końcu i ich stawiają w piekle; Abla z respektem, a Kaina silnie tłukąc. Następują prorocy wedle kazania Ś. Augustyna; wywoływani wygłaszają proroctwa, poczem ich dyabli do otchłani zabierają; Sibillę zastępuje przemowa o znakach sądu ostatecznego.

Myśl o sądzie ostatecznym wstrząsała do głębi średniowiecznego człowieka, pod jej miarę podciągał on wszelkie słowa, zamiary i czyny; nie dziw więc, że do niej wracał nieustannie i w dramacie, a wyrażał ją tu w dwojaki sposób. Raz dramatyzowaniem przypowieści o pannach mądrych i głupich; jedna taka w języku mieszanym, jeszcze z pierwszej połowy XII wieku, trzyma się ściślej ewangielii, zaczyna wezwaniem do czuwania w uroczystych rytmach, najpierw łacińskich, potem francuskich, a kończy rozpaczą głupich i porwaniem ich przez dyabłów, których tu po raz pierwszy na scenie widzimy. Równie uroczysty jest nastrój innego dramatu, łacińsko-niemieckiego, z początku XIV wieku, który zaczyna się od podobnego wezwania Anioła. Mądre dziewice stosują się do niego, a głupie liczą na to, że jeszcze i po latach dosyć będzie czasu na skruchę i pokutę. Gdy oblubieniec je wyklucza, proszą Maryę, aby się wstawiła za niemi; lecz najgorętsze jej prośby są bezskuteczne, gdyż „słowa moje nie przeminą"; dyabli domagają się z uporem przynależnych sobie dusz, wiążą i odprowadzają zwracające się do ludu w przenikających serce skargach i żalach. Mamy spółczesne świadectwo, jakie wrażenie taki dramat wywoływał: gdy go bowiem w sobotę 26 kwietnia 1322 r. klerycy i żacy w Eisenachu wobec landgrafa Fryderyka przedstawili, powstał hrabia gniewny i odszedł, zawoławszy: „cóż jest wiara chrześciańska, jeśli grzesznik ani za prośbami Maryi i świętych łaski nie uzyszcze", i biedząc się myślami, zmarł w kilka dni później.

Inne dramata eschatologiczne, t. j. o rzeczach ostatecznych, przedstawiają Antychrysta i jego państwo, wedle proroctwa Ś. Pawła i podań; najdawniejszy z nich, łaciński, autora Niemca, z czasu około r. 1160, tem jest ciekawszy, że miejscami natchniony ówczesnemi ideami politycznemi, tak walką cesarstwa z papiestwem, jak i krucyatami, i że wprowadza po raz pierwszy postacie alegoryczne. Najpierw przedstawia się wedle przepowiedni zjednoczenie władzy nad światem w rękach cesarza, który, zwyciężywszy królów Francyi i Babilonu, t. j.

Digitized by Google

pogaństwa, (królowie Grecyi i Jerozolimy poddają się dobrowolnie) składa koronę w świątyni jerozolimskiej. Następuje panowanie Antychrysta: w pochodzie jego otaczają go: Hipokryzya, która mu świeckich zjedna, i Herezya, która wiarę duchowieństwa osłabi; on wypędza króla Jerozolimy, wznosi swój tron w świątyni i podbija królów: greckiego groźbami, francuskiego darami, cesarza cudami (fałszywemi), oraz króla Babilonu i Synagogę (żydowstwo), która w Antychryście obiecanego Mesyasza uznaje; wszystkich piętnuje na czole swą cechą (A). Ale zjawiają się Henoch i Eliasz, zdzierają przepaskę z ócz Synagogi, która z nimi, wyznając Chrystusa, śmierć męczeńską ponosi. Teraz tryumf Antychrysta dokonany, królowie hołdują mu, on się chełpi zwycięstwem, ale—jak Pankracy w Nieboskiej—zapada się nagle; wszyscy wracają do prawdziwej wiary i na wezwanie *Ekklezyi* (kościoła) wielbią Boga. Przeróbki takiego dramatu wystawiano często; przedstawienie z 6 lutego r. 1513 w Dortmundzie na rynku obszerniej jest opisane: stało tu sześć „zamków" dla scen oddzielnych: na pierwszym, bogato przyozdobionym, znajdowali się Bóg, Marya, Chrzciciel, Ś. Piotr i Paweł, Aniołowie; na drugim, wystawionym przy mięsnych jatkach, Papież z kardynałami i biskupami; na trzecim, po zachodniej stronie ratusza, cesarz z królami, książętami i panami; na czwartym północnym Antychryst z orszakiem, na piątym—żydzi, a na szóstym—piekło ze strasznymi dyabłami: wystawa kosztowała wiele trudu i pieniędzy. Posiadamy tekst gry lucerneńskiej z r. 1549, dawanej przez dwa dni; w drugi dzień przedstawiano sąd ostateczny, dramatyzowany już w XIV wieku, tekst z Szafhuzy (r. 1467); kończą, po sądzie i daremnym wstawianiu się Maryi, żale i skargi potępionych; obie gry razem wystawiono r. 1468 we Frankfurcie nad Menem, wobec 265 widzów (?).

Krótszą wzmianką zbywamy właściwe gry Bożego Narodzenia. I one rozszerzyły się znakomicie; za typowy przykład może służyć łaciński tekst XIII wieku (z Benediktbeuren). W scenie prorockiej występują po zwykłym jej przebiegu Ś. Augustyn i Archisynagogus; jeden twierdzi, drugi przeczy możności, by Panna porodziła; następnie scena zwiastowania, ściśle wedle ewangielii, nawiedzenie Elżbiety, Marya śpiewa *Magnificat*; dalej Narodzenie, „Józef ma stać przy łożu w przyzwoitym ubiorze i z długą brodą". Zjawia się gwiazda, chór śpiewa antyfonę; trzej królowie rozmyślają nad gwiazdą i stają przed Herodem; pastuszkom Anioł wesołą nowinę obwieszcza, a dyabeł im dowierzać nie każe, tak, że trzy razy wyruszają i znowu wracają, nim oddadzą dary, a po nich królowie; rzeź niewiniątek opłakują matki; ukaranie Heroda, którego robactwo pożera, a dyabli porywają, i sceny w Egipcie, czerpane z apokryficznej ewangielii o dziecięctwie Chrystusa. Najdawniejszy niemiecki tekst, z XIV wieku, z S. Gallen, li-

Digitized by Google

czy 1086 wierszy; Herod grozi posłańcowi śmiercią, krewni jego, książęta z Körroczin i ze Smaide, głosują za rzezią. Prowansalski tekst z tegoż czasu lub nieco starszy, przedstawia i zaślubiny Maryi, przyczem zawistnik jakiś stroi żarty ze starości Józefa.

www.jbbook.com.cn

Coraz częściej zjawiają się dramata o Maryi i świętych. Skoro raz bowiem udramatyzowano ustępy ewangielii, poddawały się same przez się i legendy podobnym przeróbkom, tem bardziej, że kult Maryi od XII wieku silnie wzrastał; szczególniej nadawała się scena zwiastowania. I tak ustanawia w r. 1261 bractwo trewizańskie, że się corocznie starać będzie o kostiumy, a duchowieństwo ma do roli Maryi i Anioła dwu kleryków wyznaczyć. Do szerzenia się przedstawień o Maryi przyczyniały się we Francyi również bractwa, *puy*; dramat o Teofilu, który, wedle legiendy, duszę dyabłu zapisał, jak Faust, ale za wstawieniem się Maryi łaskę odzyskał, z drugiej połowy wieku, dziełko Paryżanina, Rutebeufa, może właśnie dla takiego *puy* było przeznaczone, a pewnie nim był ów rękopis francuski z początku XV wieku, mieszczący w dwóch tomach czterdzieści gier Maryjnych, przeróbki dramatyczne znanych legiend i kilku opowiadań w rodzaju Genowefy, o niewinnie posądzanej Bercie lub królowej hiszpańskiej, o uchodzącej przed miłością ojca Izabeli (najdłuższa z tych gier), o Robercie dyable, o Papieżu Sylwestrze i nawróceniu Konstantyna i t. d., w których wystąpienie Maryi tylko zewnętrznym jest dodatkiem. Role komiczne przypadają dyabłom; satyrycznych wycieczek przeciw duchowieństwu nie brak; niektóre rysy charakterystyczne uchwycone szczęśliwie, za to przejścia i walki duszy i sumienia nie są nakreślone, tylko zaznaczone, a styl, mimo krótkości, streszczania i skupiania faktów, często rozwlekły. Sztuki te dawano w salach bractwa. Obok legiend o Maryi, dramatyzowano legiendy o świętych, o ich męczeństwie, lub o Katarzynie i Mikołaju, patronach uczącej się młodzieży, dorosłej i drobniejszej. Najlepszy dramat całej tej epoki Jana Bodela z początku XIII wieku, przeznaczony dla jednego z bractw w mieście Arras, wystawiony w wigilię Ś. Mikołaja, wzięty jest z następnej legiendy: poganin powierzył straż nad swemi skarbami wizerunkowi świętego; złodzieje unoszą skarby, ale przerażeni zjawieniem się świętego, wracają je; poganin przyjmuje chrzest. Łacińskie przeróbki dramatyczne tej i kilku innych legiend posiadamy już z XII wieku; ale bardzo udatne i obfite kreślenie tła świeckiego, mianowicie sceny z wagusami, pijącymi w karczmie, lub z królem, seneszalem i statuą bożka, wyróżniają znakomicie dramat Bodela od wszystkich innych.

Na pierwszym planie stoją jednak zawsze jeszcze przedstawienia wielkanocne, tylko nie ograniczają się one, jak dawniej, scenąą zmartwychwstania, lecz obejmują całą mękę Pańską—*passio*, a nawet

Digitized by Google

sięgając po za nią, przedstawiają całość dzieła odkupienia: upadek Aniołów i występek Adama; z kultu Maryi wynikło, że w przedstawieniu pasyjnem żalom jej—*planctus Mariae*—główne wyznaczono miejsce. Nie wdając się jednakże w analizę odnośnych sztuk łacińskich, niemieckich i innych, przytoczymy czeskie czternastego wieku, jako wzór i próbę całej tej gałęzi.

V.

Ze wszystkich narodów słowiańskich jedyni Czesi stworzyli w wiekach średnich literaturę, bo jedynie w ich pomnikach piśmiennych bije żywe tętno narodowe, odsłania się całe bogactwo języka, panuje nad formą pewna siła myśli, uwydatnia się różnorodność i obfitość treści, nie wyłącznie religijnej lub ascetycznej i dydaktycznej, lecz świeckiej, epickiej, z legend, podań, lub bajek obcych i własnych zaczerpniętej, lub też osnowy satyrycznej i lirycznej. Zarazem ta literatura jest to wyraz i świadectwo ścisłości owych węzłów, jakie życie umysłowe Czech łączą z zachodem; po Paryżu, już w trzynastym wieku nabiera Praga znaczenia centrum naukowego dla ziem przyległych. Wszystko więc, co na zachodzie powstawało, odbijało się szybko a silnie w Pradze i Czechach; szczególnie tu ważny jest wpływ niemiecki, z powodu blizkości granic, stosunków politycznych, ze względu na opieranie się dynastyi narodowej o elementa niemieckie, które się mianowicie po po miastach szerzą. Nie dziwi nas więc rychłe przeszczepienie i przedstawień nabożnych w łacińskim (i niemieckim) języku na ziemię czeską, przyjęcie się ich i wywołanie naśladowań; takim czeskim przedstawieniom wielkanocnym poświęcił obszerny artykuł I. Truhlarz w Czasopisie Muzeum czeskiego z r. 1891, z którego tu również korzystamy.

Rozwój przechodził te same stopnie, jakieśmy w zachodniej Europie właśnie poznali. Znajdujemy więc po antyfonarzach, brewiarzach i procesyonałach XII i XIII wieku oficya łacińskie z jedną sceną (przygrobną), do której przybywa i druga, apostolska, lub trzecia nawet, Chrystusowa, scena, a w nich do antyfon ze słów ewangielicznych, dzielonych między chór i pojedyńcze osoby, dodane są pieśni kościelne. Olejkarz, *unguentarius*, podaje Maryom maści, milcząc, lub ze śpiewem albo przemową; w późniejszych księgach liturgicznych, np. z końca XIV wieku, gdy dramat się rozrósł po-za kościołem, w kościele samym zanikają te sceny do najdrobniejszych rozmiarów, tracą dramatyczny charakter, ale zatrzymują choć jedną pieśń w języku narodowym.

Digitized by Google

Do tych-to łacińskich oficyów dorobił jakiś duchowny w końcu XIII wieku czeską parafrazę tekstów i pieśni, którą dla ludu po łacińskich ustępach tylko recytowano, lub również śpiewano; dwa jej odpisy, miejscami zepsute, zachowały się z XIV wieku; dodatków pozwolili sobie tłómacze i ci, co z niego korzystali, nie wiele: Magdalena odsyła inne Marye do domu, chcąc przy grobie czuwać sama, czem motywuje się następna scena z Chrystusem i jej opowiadanie apostołom.

Ale *officium* rozrasta się szybko w przedstawieniu, bo dodają do niego nowe sceny, z olejkarzem, Emauską i z Tomaszem; sceny te, prócz pierwszej, wyjęte jeszcze zawsze z ewangielii, nie przedstawiają ani zstąpienia do piekła, ani zmartwychwstania samego. Nie zadawalnia się tem rozbudzona raz fantazya autora i ciekawość widza; niebawem przybywa to i owo, przyczem sceny się przestawiają, bo Chrystus dopiero po zmartwychwstaniu zstępuje do piekieł. Sceny piekielne coraz są bogatsze w szczegóły; ale i straż u grobu nadawała się do nowych kombinacyi; dla zupełności należało wystawić naradę starszyzny żydowskiej, prośbę o straż u Piłata i relacyę straży o zmartwychwstaniu przed starszyzną i Piłatem. Nakoniec, jako uwieńczenie niby całego przedstawienia, występuje na początku herold (*precursor*, *preco*, lub *barbatus*, wąsal), który treść następującego widowiska krótko podaje, o spokój prosi i gadatliwe babki wyszydza; nieraz zwraca się jeszcze w humorystycznym epilogu do widzów. Obszerniej wyłożymy teraz treść dwóch przedstawień, zachowanych, niestety, w ułamkach. Na wiek bowiem XIII i XIV, na porę rozwoju i rozkwitu, przypadła doba walk i klęsk, gdzie tyle pamiątek tak okrutnie zniszczono, że rzadkie dzieło doszło nas w całości, lub w pierwotnych odpisach. Na równi z innemi pomnikami tej literatury, posiadamy i dramatyczne tylko w urywkach lub późnych kopiach. Niedawno odszukano fragment XIV wieku w oprawie rękopisu jednej z bibliotek klasztornych pod Lincem, drugi starszy znano już dawniej. Treść pierwszego następująca:

Zaczyna się od scen z Lucyperem, jego wyniesienia i strącenia do piekieł, poczem aniołowie odśpiewują *Tedeum* i inne pieśni. Lucyper wysyła dyabłów po grzeszne dusze, t. j. epizod ze zstąpienia Chrystusa do piekieł tu został przeniesiony, jak i w przedstawieniach niemieckich; przedstawiają się mu Belzebub, Szatan, twierdzący o sobie „znam się w Czechach i po Włoszech, Rusi, Flandrzech i po Sasiech, wszystkich ludzi dobrze znam, jednego dnia wsze zbiegam"—i Berzyt, (t. j. z Berytu, Bal); Lucyper każe im grzeszne dusze znosić, „szewce, panosze, (giermki), siodłaki, krawce, karczmarze i żaki", ale odpowiedna scena bardzo jest krótka, tylko jeden „demon" wzywa duszę, niech opowie swe dzieła świeckie, „damy ci rywułę (wino istryańskie) pić",

Digitized by Google

a drugi opowiada, że znalazł księdza w nieprzystojnem towarzystwie. Następują, jak w niektórych niemieckich przedstawieniach, sceny z Magdaleną, o jej grzesznym żywocie i nagłej poprawie. Najpierw śpiewa ona: „Kędym ja chodziła, tam trawa zielona... gdzie tu są księża i żacy, gdzie fryjerzy i dworacy, pójdźcie tu dla krotochwili.“ Dyabli przywodzą jej trzech chłopców, jak laleczki, ona śpiewa: „byłam ci w sadku, w zielonym gaiku, rwałam ci kwiaty dla swego braciszka— wsze to jemu na miłość, by był mój miły gość.“ Siostra Marta ją upomina; „patrz, za tobą dyabli chodzą, a cię z dobrej drogi zwodzą“, ale „Magdalena“ przy swojem się upiera: „chcę wesołą być zawsze i ninie, jedwabną wstążkę wić swemu miłemu.“ Ponowne upomnienie Marty przełamuje nagle jej upór: „siostro, Marto miła, tyś mi na dobre radziła, ale czy Bóg grzech odpuści?“ Marta upewnia ją o tem, a ona uderza się w twarz i pokusę odgania: „od dzisiaj aż po skończenie, precz odemnie, złe stworzenie.“

Wielka następuje luka w rękopisie, scena namaszczania nóg Zbawiciela i wszystkie następne (wjazd do Jeruzalem, ostatnia wieczerza, męka i złożenie w grobie) zaginęły; zachował się tylko ciąg dalszy, scena z olejkarzem, u którego trzy Marye maści kupują. Najdawniejsza ta scena komiczna dramatu religijnego powstała, jak wspomnieliśmy, stąd, że Maryom, do grobu spieszącym, wręczał kleryk kadzielnice. Niemej tej osobie wnet rozwiązał się język, dostała pomocników, jednego lub dwóch, i żonę, a wychwalając swe maści, przedrzeźniała ówczesnych szarlatanów; szczególniej w niemieckich przedstawieniach rozszerzano tę scenę wstawkami najwyuzdańszej sprośności, lubującej się w brudach i wyzwiskach; musimy też wiele pomysłów czeskich, rażących uszy nasze, opuścić, później poznamy, wedle czego scenę tę wzorowano. Olejkarz, (tu mistrz lekarz), wzywa sługę, Rubina (ta i inne nazwy typowe, wzięte z lichemi konceptami od Niemców), który chce nająć jakiego „panoszę“, by za nim nosił kosze. Zgłasza się Pustrpalk (jam jest bardzo wielki szalk) i godzi się o myto, na co Rubin: „dam ci od spodni pas i dwie onuce odemnie masz, a k'temu pchłę jednooką“. Dla nagłej potrzeby oddala się Rubin, a tu przychodzi żyd z prośbą, by mu dziecko ożywić: zaczyna niby hebrajskiemi słowami (Chyry chyry achamary), obiecuje trzy grzywny złota i wychwala dziecko: „ono takie było dobre, gdy biały chleb uwidziało, zaraz żytni porzucało.“ Mistrz nie może się Rubina dowołać, pyta go po niemiecku, *wo pist tu kwest?* obrażony Rubin odcina się: „miły panie, że tak skrzeczysz, a swym żwadłem na mię beczysz, wielkim ty się panem zdasz, a przecież i... nie masz.“ Powtarza się podobna scena z Pustrpalkiem, który Rubinowi zarzuca: „wiemy cię, jakiegoś rodu, syn woźnego z Czeskobrodu, mnie nie możesz się dorównać, moja matka Gawlica, w Pradze

Digitized by Google

mnichów zwodnica i t. d."; ale Rubin odpowiada: „moja ciotka Julka, a druga Milka, po świecie się tkają, w Pradze mnichów znają... przeto milcz niemądre cielę, niech ciebie mój kij nie zmiele." Pogodziwszy się wreszcie, tłuką maści, „bo przyjdą kupcy z dalekiej właści", aż ich kości bolą; nakoniec wstaje Rubin i zaczyna zalecać maści, wyliczając ich niemożliwe składniki i niesłychane skutki; przytoczyć można tylko parę wierszy: „Otóż jest maść pierwsza, droga, Nie ma jej Wiedeń ni Praga... kto jej sobie k zębom dobędzie, wnet i z maścią u wszech czartów będzie... Otóż jest maść z Myszni, kupiłem ja za trzy białe wisznie... jakby ją kto od nas kupił, wnetby go czart w piekło złupił i t. d."

Nowa luka; ciąg dalszy w otchłani, w której wrota Chrystus kołace. Odzywa się Lucyper: „kto w moje wrota tłucze, że mi aż w uszach huczy; niech się stąd precz bierze, bo go swym kijem uderzę",— odpowiada Zbawiciel: „Jam jest, dyable, Twórzec Święty, ja tobie, czarcie przeklęty, chcę mocą swą wrota złamać, a dusze swe k'sobie pobrać;" i wywołuje Adama, Jana i innych. Ostatnia scena rycerzy u grobu, którzy próżno strzegą; trzeci z nich oświadcza „królowi" (Piłatowi), że „nas wszech jeden rozpłoszył, przybiegł w jakiejś białej szacie, tak nam groźne rany dawał, że się nam bardzo zeckniło i t. d." (Następny urywek w rękopisie należy do przedstawienia o Wniebowstąpieniu, dyalog między Zbawicielem a każdym z apostołów.)

W poprzedniem przedstawieniu uderza nierównomierność scen; rozwałkowanie olejkarskiej wobec zwięzłości wszystkich innych, czy godzi się złożyć na karb przepisującego? Wiele z wierszów powtarza się w innym, starszym fragmencie, który z przedstawienia wielkanocnego zachował tylko scenę olejkarską i wystąpienie trzech Maryi; w obu tekstach łacina odgrywa jeszcze znaczną rolę. Występują tu kupiec (Seweryn), Rubin i Pustrpalk, ci śpiewają: „Ku wam przyszedł mistrz Hipokras, *de gratia divina*, Niema gorszego w ten to czas *in arte medicina*, komu która niemoc szkodzi, a chciałby rad żywym być, On jego raczy uzdrowić, że musi swej duszy zbyć." To samo rozprowadza Rubin sam, chwaląc mistrza, jakiego świat nie widział, poczem wbiega w tłum, mistrz nań woła i t. d., jak przedtem; rozkładają bańki z maściami i Rubin wysławia ich własności i składniki, komarowe sadło i t. p.; nader sprośnie wzywa Pustrpalka do tłóczenia, ale gdy kupujących niema, więc mistrz chce już kram przenieść, lecz wspomina o trzech paniach, które mają maści kupować i posyła do nich Rubina; one śpiewają łacińskie teksty, a czeskim wierszem je powtarzają; dla ich zachęcenia stara się mistrz o jaki cud i wyprawia cyniczną parodyę wskrzeszenia małego Izaka, przedziwnego dzieciątka, które, „gdy piwo ujrzało, na wodę oka nie rozdzierało, a gdy na piec właziło, widzia-

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

ło, co się w izbie robiło." Izaak dziękuje za wskrzeszenie, mistrz zwraca się ponownie do pań, chwali swój towar, (np. „jest gdzie w kącie stara baba, na jej brzuchu skóra słaba, gdy się tą maścią pomaże, sobie w trzy dnie dzwonić każe") i spuszcza cenę z trzystu grzywien na dwie „prze wasz wielki smutek." Teraz napada go żona, że gubi ją i siebie, zbywając drogie rzeczy za pół darmo, by się tylko młodym niewiastom przypodobać! ale kupiec ją strofuje: „mnogie żony ten obyczaj mają, gdy się zapiją, wtedy wiele bają i t. d.", „zabieraj się do twej prześlicej, bo dostaniesz pięścią w lice". Żona się skarży, że go porzuci (uchodzi też w niemieckich przedstawieniach z innym). Odzywa się wreszcie Pustrpalk, Rubin chce go uciszyć, wywodzą wzajemnie ród swój, aż Rubin grozi: „przestań, bo cię przewrócę, żyły, kości kijem zmłócę." Tu urywa się tekst, w którym scena z olejkarzem do najpotworniejszych rozmiarów doszła.

Nie chcąc wracać osobno do czeskich tekstów, notujemy, że z XV i XVI wieku zachowało się więcej pomników, pisanych (a więc i używanych) nawet przez utrakwistów (husytów). Sceny komiczne mniej są rozwlekłe i mniej sprośne; oprócz przedstawień wielkanocnych, zachodzą też pasyjne i na palmową niedzielę. Wystawiali je żacy, zniżając już ich poziom, stąd wzmianki o szkole, do której „mazańce" (kołacze) odnoszą; w przedstawienie wplatano lub kończono je śmieszną przemową, „kazaniem" do starych bab, które młodym spokoju nie dają i czarami wszystkim dokuczają. Ton jest umiarkowany, ale jeszcze nieraz wpada w dawną rubaszność, np. mówi ogrodnik do Magdaleny: „niewiasto! radzęć z miłości, zapomnij wszystkiej żałości, chowaj swego gospodzina Jezu Chrysta, Maryi syna, a przetoż bierz mi się nagle z oczu precz, boć złamię o głowę ten rydel, a nie tłocz mi cebuli, boć dam rydlem po rebuli (?), poniechaj ze mną mówienia, bo mi nic do tego, ja swe dzieło zawsze działam, a dzieciom chleba dobywam." Albo Tomasz mówi: „dosyć jest rzecz niepodobna, że was ma zwieść kobieta nędzna; albo ci dwaj wagusy (chodcowie, Piotr i Jan), którzy są właśnie bydlęta (hovada prava): „chodzą po świecie, by co mieli, a ludzie o dobytek przyprawiali, dasz im okraj chleba, chcesz li, powiedząć, że Boga w niebie nie trzeba.". Skargi Maryi bardzo rozszerzone. W jednym tekście napomknienie pisma Ś. o tem, że apostołowie, bojąc się prześladowania żydowskiego, siedzieli zamknięci, rozwleczone jest na całą scenę; każdy z jedenastu opowiada o swoim strachu, narzeka, wspomina słowa Chrystusowe i t. d., aż Szymon słyszy śpiew powracających od grobu Maryi, lecz Tomasz nie radzi wierzyć, może to raczej podstęp, by nas po jednemu wywabić z ukrycia i okrutnie zamordować.

Jedno tylko przedstawienie bogatsze jest w rysy charakterystyczne i uderza oryginalnem ułożeniem. „Precursor" (herold) każe się

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

wszystkim uciszyć: „dosyć my już smutni byli, czterdzieści dni my pościli, jedząc kisiałę i grzyby, mogłyć nam już wygnić zęby, zapijając litomierzyckiem piwem, co zawsze czuć bagnem a dymem i t. d." „stójcie tu pokornie, jak przed wilkiem owce." Scena piekielna pierwsza: Lucyper żałuje utraconego nieba, ale cieszy się choć pomstą nad ludźmi, każe dyabłom wszystkich zbierać, „tylko nie chodźcie między żaki, bo ci jak się wbiorą w nasze rzesze, całą nam rodzinę spiszą. (?)" Występuje kilku dyabłów, każdy chwali się ze swych czynów, między nimi Wierzbięta (Vrbata, nazwa tak jak naszego dyabła Rokitka, od drzew, po których siadywają), Belzezub (zamiast Belzebub, bo mu baby „zub" wybiły kamieniami), który uczy baby leczyć, a z cierlicy mleko doić. I rzeczywiście każdy z dyabłów chwyta jakąś duszę, prowadzi przed Lucypera, a ta się mu spowiada. Najpierw dusza młynarza, który ludziom źle mierzył i ich słodem własny dobytek karmił; szynkarza: „dawałem mało piwa za halerz, gdy przyszli chłopi z babami, dawałem piwo z drożdżami"; dusza szewca: „źlem szyła i partała, jakobym świdrem wierciała, zamiast końskiej, szyłam owczą", a Lucyperdo niej: „To li ten szewc był, co źle buty szył, każę go czartom drzeć, a jego skórę naciągać"; piekarz, który przy tanich cenach zbożowych małe „precliki" wypiekał. Łapka, pan-ździerca, który babom i koszule ściągał, „gdym dosiągł pościeli, nie zostawiłem ani kądzieli, chodząc w srebrnym pasie, czyniąc kędziory we włosie." Lucyper każe: „prędko z nim do piekielnej szkoły, naleją mu... smoły." Wierzbięta każe Szatanowi pośpieszyć do karczmy, gdzie „opilcy" się biją na śmierć, on sam czem innem się bawić musiał; gdy przykładnego małżeństwa rozerwać nie mógł, wyszukał babę i obiecał jej parę trzewików, baba ich tak powadziła, że mąż żonę zabił. Odstawia teraz Wierzbięta „Rebekę" (często używana nazwa dla bab-czarownic, np. w kazaniach husyty polskiego i innych), która się spowiada: „jam taka zła baba, gorsza niż gady i żaba; co bądź zwieść albo rozwieść jest mi niby powróz spleść; cierlicę doiłam zamiast krowy, a na rozstajnych drogach z gwiazdamim latała... w piekle drzyjcie mię lub nie drzyjcie, wszak więcej umiem, niż wy czarci i to uczynię na swą chlubę, że wsze baby w piekle będą." Nadmieniamy, że powieść o owej babie, znana z kazań, między ludem i u nas się powtarza. Scena druga: setnik, czyniąc Piłatowi drogę między ludem, wychwala „króla" Piłata, jego moc i mądrość: „Kto z was ubogi, przystąp ku niemu, nasz król tak go obdarzy, jak łakomego psa sparzy." Żydzi proszą o straż do grobu, jest ich sześciu, każdy innym argumentem przemawia do setnika i żołnierzy, do których przyłącza się i tchórz Chadim, bojący się bardzo „kijowania". Żołnierz krzepi jego odwagę: „gdy się skryć niemożesz, nadstaw głowy albo boku, przytem patrzaj drogi k'skoku, rany chwytaj zawsze w plecy." Trzecia scena

Digitized by Google

u grobu: setnik i inni wychwalają męstwo i bogactwo drużyny; dla skrócenia czasu, by nie zasnęli, grają w kostki z Chadimem, który wygrywa i z płaszczem ucieka; zjawienie się anioła, przed którym bledniejąc i trzęsą się, „jak Ostrzeszem przestraszeni"; wskrzeszenie Chrystusa ze snu przez Anioła i wyjście z grobu. W czwartej scenie: żołnierze idą do Kaifasza i opowiadają co zaszło, jak uciekali, najprędzej Marzata, co to wypił piętnaście czasz „kisielicy kapalicy", a rogi gdzieś od czarta wziął; inny skoczył między baby, jęły go obierać kijmi pięścmi, przęślicami i t. d. Piąta i ostatnia scena piekielna powtórna: Chrystus kołace we wrota, Lucyper posyła, „ba wyjrzy ty Wierzbięta, alibo ty Godzięta, alibo ty Astarota, alibo ty Kosięta (krzywooki), kto tak silnie tłucze wrota." Wstępującego Pana sławią, osobno przemawiają Adam, Ewa, *anima communis* (powszechna), łotr. Chrystus każe Michałowi odprowadzić ich do raju, dokąd sam przybędzie. Epilog rękopis zaznacza wprawdzie (*sermo*), lecz go nie podaje.

Przedstawienie to uderza rozdzieleniem niezwykłem a trafnem sceny piekielnej na dwie, bardzo stosownie poczynające akcyę tryumfem piekła nad ludźmi i kończące tryumfem Chrystusa nad piekłem; dalej udatną charakterystyką żołnierzy, walną satyrą na wydmikuflów i chełpliwą hołotę, np. „jak słyszycie o ich chwale, bywalić są dobrze dalej, niż pan Garncarz po rycerstwie; tak się ich klejnoty błyszczą, jak czarna cholewa w błocie... po tym znajcie ich dostatki: mając garść plew, dwie miotełki, a od gontów trzy gwoździki, statku dosyć u frankskiego, (t. j. króla) złota dość u węgierskiego i t. d.)" Szkoda, że odpis jest późny, z lat między 1516 a 1526 dopiero, w którym tekst pierwotny pewnie nie jednej uległ zmianie; tekst ten odnosi Truhlarz do 1360—1380 i przypisuje jakiemuś Morawianinowi; myślę, że pochodzi z pierwszej połowy XV wieku.

Jeszcze w r. 1582 złożył wierszokleta, Szymon Łomnicki, trzy dramata wielkanocne, jeden—komedya dyabelska, drugi o Maryach u grobu (przeróbka ze staroczeskiego oficyum, o którym wyżej mowa była), trzeci o zmartwychwstaniu: draby Hniewsa, Sztyrsa, Kuman a Tuman strzegą grobu i t. d. Piotr narzeka na zaprzanie się Chrysta, aż omdlewa, aby można go było cucić piwem piwowaru Łomnickiego. Wartość literacka tych sztuk, odgrywanych przez bractwa „literackie" (nabożne), jeszcze mniejsza, niż dawniejszych.

Dramatów pasyjnych mniej szczątków przechowało się; do nich można jednak zaliczyć i Żale Maryi, czyli plankt, scenę u krzyża, pierwotnie liryczną, rozszerzoną wystąpieniem Jana, którą przerywają słowa Chrystusa na krzyżu; dopiero wielkopiątkowy plankt ten odpowiadał obszernością swoją znaczeniu i powadze, jakich kult Maryi w XIV i XV wieku zażywał. Kilka takich planktów zachowa-

Digitized by Google

ła literatura czeska, rozebrał je obszernie Truhlarz w Czasopisie 1891 r., str. 175—189. Inne ułamki, np. monachijskie z połowy XV wieku, zbyt drobne, by o nich tu traktować; mówi o nich Truhlarz w Czasopisie, 1892, str. 35—47; są to ułamki gry prorockiej i gier na Boże Narodzenie i na Niedzielę palmową.

www.libtool.com.cn

Resztki dramatu duchownego, spadając z biegiem wieków coraz niżej, dochowały się po dziś dzień u morawskich pasterzy; próbki ich wydał J. Feifalik, *Volksschauspiele aus Mähren*. Większa ich część nie różni się od kolend, które trzech pasterzy odśpiewuje; ale w Rosicach np. zachowało się zupełne misteryum o trzech królach z licznym, dobrze umaskowanym personelem; pochodzeniem swem sięga to misteryum pewnie XV wieku. Chór oznajmia wyjazd trzech króli, „Prorok"—znaczenie dnia, „po cośmy tu przybyli"; występują trzej królowie, zamierzają pytać Heroda o nowo-narodzonym; scena z pasterzami, Walentą, Kmechem i Mikeszem, sielskie otoczenie znać po ich życzeniach i prośbach, gdy od żłobu odchodzą, np. „byś nasze skopy a jagnice, wołki, owce, jałowice, tukiem mlekiem napełniwał, od słabości ostrzegiwał, czyń by wilcy i niedźwiedzie o stadach nic nie wiedzieli, niech na łąkach trawa roście, która czyni stado tłuste i t. d." Osobno występuje biedny Kuba, który przepiórkę a kukułkę dzieciątku darowuje. Królowie przed Herodem opowiadają się, on woła w piśmie uczonych, niezrozumiałe ich słowa (żartobliwe) to hebrajszczyzna, jak w średniowiecznych misteryach zawsze, zresztą mówią po czesku, zarywając wymowy niemieckiej. Monolog zaniepokojonego Heroda; królowie posyłają trabanta, by szopkę wyszukał, poczem składają sami dary, tłómacząc je alegorycznie wedle średniowiecznego typu i t. d. Po rzezi niewiniątek, do której dyabli króla nakłonili, gdy on znowu pewny swej potęgi i Boga wyzywa, trąca go śmierć w bok, a dyabli porywają. „Prorok" prologu kończy przedstawienie życzeniem szczęśliwego nowego roku i wiecznego żywota. Jest i gra rajska, o skuszeniu Adama i Ewy, ale w późniejszej, prozaicznej przeróbce. Z innych zasługują na wzmiankę tylko wielce lubiane sceny o męczeństwie Ś. Doroty i Teofila, wedle znanej legendy, poprzedzane lub kończone pieśnią o świętej. Dyabli, grający w końcu o duszę króla i dwóch katów (katanów), którzy by się radzi „masem" palonego (gorzałki) lub wina krzepili, z ich „szwancarą bruncwikową" (miecz Bruncwika, bohatera powieściowego), lub „krakowianką", przedstawiają żywioł komiczny. W najpełniejszych wersyach prawi „legat" królewski prolog, poczem zaraz dyabeł się prezentuje; król Fabrycyusz wyjawia w monologu chęć zaślubienia panny najpiękniejszej, Doroty, posyła legata do niej, ale Chrystowi poślubiona odrzuca starania poganina, którego groźby nie skutkują i t. d. Legat kończy epilogiem do

Digitized by Google

zgromadzonych panów i pań, życząc im wiecznej radości. Zwykłe wersye dramaciku tego są bardzo skrócone.

I tak przebiegliśmy początki dramatycznych widowisk religijnych na zachodzie. Z poważnych a pompatycznych ceremonii kościoła greckiego nie rozwinął się dramat, mimo licznych zarodków dyalogu a wątków akcyi, jakie w tych ceremoniach się kryją; respekt przed pismem Ś., które dla ludu nie było tak niezrozumiałe, jak w krajach wiary rzymskiej, konserwatyzm bizantyński, nie znoszący nowinek, wstręt do wszelakiego ześwieczczenia, nie dozwalały dodatków lub wtrętów. Jeśli np. podziśdzień w niektórych klasztorach Patmu, Jerozolimy a nawet Konstantynopola w wielki czwartek t. z. *nipter* (mycie nóg) odprawiają, to dyalog przytem ograniczony jest do słów ewangielii. Podobnie na Rusi. Tu nadawały się do dramatycznego układu misteryum (t. j. służba) piecowe i palmowe; pierwsze przed Bożem Narodzeniem, wyobraża trzech młodzieńców w piecu gorejącym, do których (sztuczny) anioł z dachu cerkwi się spuszczał; słudzy-chaldeje, przebrani w kostium wschodni, z wysokiemi spiczastemi czapkami, wtrącali młodzieńców i rozżarzali ogień; tym samym „chaldejom", w maskach z pochodniami, wolno było do Epifanii rozbiegać się po ulicach Moskwy, zaczepiać przechodniów, osmalać im brody—mimo to w misteryum samem chaldeje nie odegrali większej roli; było to raczej widowisko nieme. Podobnie i misteryum palmowe, gdy sam patryarcha na ośle, którego car prowadził, wjazd Chrystusa przedstawiał. I tu dyalog przy odwiązywaniu osła i t. d. ograniczał się do tekstu pisma Św. Nie mogły więc powstać na Rusi misterya: przeszły one tu gotowe z zachodu, już z końcem XVI wieku, czy to w formie jasełkowej, z maryonetkami, t. z. wertepem, czy w formie misteryum szkolnego.

A. Brückner.

(Dokończenie nastąpi.)

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

RODZINA POŁANIECKICH.[1)]

XXV.

Od tego czasu Zawiłowski przychodził codziennie do cioci Broniczowej. Często zastawał jeszcze Kopowskiego, albowiem w ostatnich czasach coś popsuło się w portrecie „Antinousa." Panna Lineta mówiła, że nie zdołała jeszcze wszystkiego z tej twarzy wydobyć, że może wyraz jest nie taki, jak być powinien, — słowem: potrzebowała czasu do namysłu. — Z Zawiłowskim szło jej łatwiej.

— W takiej głowie, jak pana Kopowskiego, — rzekła raz — dość jest zmienić najmniejszą linię, dość położyć niewłaściwie światło, żeby wszystko przepadło. Tymczasem w panu Zawiłowskim trzeba chwycić przedewszystkiem charakter.

Słysząc to, obaj byli zadowoleni. Kopowski oświadczył nawet, iż to nie jego wina, że go takim Pan Bóg stworzył. Pani Broniczowa opowiadała później, że panna Lineta rzekła z tego powodu: „Bóg go stworzył, Syn Boży odkupił, ale Duch Święty zapomniał go oświecić." Dowcip ten powtarzano o biednym panu Kopowskim w całej Warszawie.

Zawiłowski dość go lubił. Po kilku spotkaniach, wydał mu się tak bezdennie ograniczony, iż nie przyszło mu do głowy, żeby można

---

[1)] Patrz zeszyt majowy „Biblioteki."

Digitized by Google

być o niego zazdrosnym. Natomiast, zawsze miło było na niego patrzeć. Te panie lubiły go również, choć często pozwalały sobie z niego żartować, a czasem służył im wprost za piłkę, którą przerzucały sobie z rąk do rąk. Głupota Kopowskiego nie była zresztą ani posępną, ani podejrzliwą. Humor posiadał jednostajny i istotnie przecudny uśmiech, o czem może wiedział, więc wolał się uśmiechać, niż marszczyć. Był dobrze wychowany, obyty w świecie, a przytem ubierał się wyśmienicie i pod tym względem mógł Zawiłowskiemu służyć za mistrza.

Zadawał też od czasu do czasu zdumiewające pytania, które napełniały uciechą młode panie. Raz, słysząc panią Broniczową mówiącą o poetyckich natchnieniach, spytał Zawiłowskiego: „czy na to co trzeba, czy nie trzeba?" — i w pierwszej chwili zmieszał go, albowiem ten nie wiedział, co mu odpowiedzieć.

Kiedyś znów pani Aneta rzekła mu:

— Czy pan pisał kiedy wiersze? Niech pan dobierze jaki rym!

Kopowski zażądał, żeby mu zostawiono czas do jutra. Ale nazajutrz zapomniał, albo też i nie znalazł, te panie zaś były tak dobrze wychowane, że mu nie przypomniały obietnicy. Tak zawsze przyjemnie było na niego patrzeć, że nie chciały mu robić przykrości.

Tymczasem kończyła się wiosna a nadchodziły wyścigi. Zawiłowski był zaproszony na cały ich czas do powozu państwa Osnowskich; dawano mu miejsce naprzeciw panny Linety. I podziwiał ją z całej duszy. W jasnych toaletach, w jasnych kapeluszach, z uśmiechem w sennych oczach, ze swoją spokojną twarzą, zarumienioną nieco pod tchnieniem świeżych powiewów, wydawała mu się wiosną i rajem. Wracając do domu, miewał jej pełne oczy, pełną myśl i pełne serce. W tym świecie, w którym one żyły, w towarzystwie tych młodych ludzi, którzy zbliżali się do powozu, by bawić te panie, bywało mu nieswojo, ale jej widok wynagradzał mu wszystko. Pod wpływem słonecznych dni, pogody, szerokich letnich powiewów i tej młodej dziewczyny, która poczynała być mu drogą, żył jakby w ciągłem upojeniu. Czuł w sobie młodość i siłę. W twarzy jego bywało czasem istotnie coś orlego. Chwilami zdało mu się, że jest rozbujanym dzwonem, który bije i bije i głosi radość życia, radość miłości, radość szczęścia—wielki odpust kochania. Pisywał też dużo i pracował tak łatwo, jak nigdy, a w wierszach jego był jakby czerstwy zapach świeżo zoranych zagonów, jakby bujność młodych liści, jakby szum skrzydeł ptaków nadlatujących na ugory — i ogromna szerokość łąk i pól. Poczuł się w swej mocy i przestał się wstydzić poezyi nawet przed obcymi, bo zrozumiał, że w nim coś jest, że coś tkwi i że ma co podłożyć pod kochane stopy.

Połaniecki, który, mimo swego kupiectwa, miał niepohamowaną namiętność do koni i nie opuszczał nigdy wyścigów, widywał go przez

Digitized by Google

wszystkie dni w towarzystwie Osnowskich i panny Castelli, zapatrzonego w nią jak w tęczę, i kiedyś w biurze począł go prześladować, że się kocha, na co Zawiłowski odpowiedział:

www.libtool.com.cn

— To nie ja, to moje oczy; ale państwo Osnowscy wkrótce wyjadą, te panie także — i wszystko minie jak sen.

Nie mówił jednak prawdy, bo już nie wierzył sam, by wszystko mogło minąć jak sen. Przeciwnie, czuł, że zaczęło się dla niego nowe życie, które wyjazd panny Castelli może złamać.

— A gdzie wybiera się pani Broniczowa z panną Castelli? — pytał dalej Połaniecki.

— Przez resztę czerwca i przez lipiec zabawią u państwa Osnowskich, a potem jadą jakoby do Scheweningen, ale to jeszcze niepewne.

— Przytułów Osnowskich o trzy mile od Warszawy — rzekł Połaniecki.

Zawiłowski od kilku już dni zadawał sobie z biciem serca pytanie, czy go zaproszą, czy nie; gdy go jednak zaprosili i w dodatku bardzo uprzejmie, nie obiecał im i przy wszelkich zapewnieniach wdzięczności począł się drożyć, tłómacząc się zajęciami i brakiem czasu. Panna Castelli słuchała z boku, podnosząc w górę swoje złotawe brwi, a gdy wychodził, zbliżyła się ku niemu i rzekła:

— Czemu pan nie chce przyjechać do Przytułowa?

On zaś, spostrzegłszy, że nikt ich nie słucha, odrzekł, patrząc jej w oczy:

— Boję się.

Wówczas poczęła się śmiać i, powtarzając słowa Kopowskiego, spytała:

— Czy na to co trzeba, czy nie trzeba?

— Na to trzeba — odpowiedział nieco drżącym głosem — by mi pani powiedziała: przyjedź!

Ona zawahała się przez chwilę; może nie śmiała mu powiedzieć tak wprost i w tej formie, jak on tego żądał, nagle jednak zarumieniła się i wyszeptała:

— Przyjedź!

Poczem uciekła, jakby wstydząc się tych kolorów, które pomimo mroku biły coraz widoczniej jej na twarz.

Zawiłowskiemu, gdy wracał do domu, zdawało się, że pada deszcz gwiazd.

Wyjazd Osnowskich miał jednak nastąpić dopiero za dziesięć dni. Przedtem malowanie portretu szło zwykłym trybem i miało tak iść aż do ostatniego dnia, albowiem panna Lineta nie chciała tracić czasu. Pani Osnowska namówiła ją, by wyłącznie malowała Zawiłowskiego,

Digitized by Google

ponieważ Kopowski potrzebuje już tylko kilku posiedzeń, które będzie można urządzić w Przytułowie, przed samym ich wyjazdem do Scheweningen. Dla Zawiłowskiego owe posiedzenia stały się teraz jakby pierwszą potrzebą życia — i jeśli wypadkiem zaszła jaka przeszkoda, uważał taki dzień za stracony. Pani Broniczowa bywała najczęściej obecna przy malowaniu. Zawiłowski odgadywał w niej jednak duszę przyjazną i w końcu sposób, w jaki mówiła o pannie Linecie, począł mu być miły. Oboje układali wprost hymny na cześć panny Linety, którą w poufałej rozmowie pani Broniczowa nazywała „Niteczką." Zawiłowskiemu podobało się to miano tem bardziej, im wyraźniej czuł, jak ta „Niteczka" obwija mu się koło serca.

Częstokroć jednak wydawało mu się, iż pani Broniczowa opowiada rzeczy nieprawdopodobne. Że panna Lineta była i mogła być najzdolniejszą uczennicą Swirskiego, że Swirski mógł ją nazywać „La Perla", że mógł się w niej, jak to pani Broniczowa dawała do zrozumienia, kochać, — w to wszystko było łatwo uwierzyć; ale żeby ów Swirski, znany w całej Europie i nagradzany wielkiemi medalami na wszystkich wystawach, miał oświadczyć ze łzami na widok jakiegoś szkicu panny Linety, że po-za techniką — on-by raczej mógł brać od niej lekcye, o tem nawet Zawiłowski pozwalał sobie wątpić. I gdzieś, w jakimś kącie duszy, w którym zataiło się jeszcze trochę trzeźwości, dziwił się, że panna „Niteczka" wprost temu nie zaprzecza i poprzestaje na zwykłych w takich razach słowach: „Ciociu! wiesz, że ja nie lubię jak takie rzeczy powtarzasz!" Wreszcie jednak stracił i te ostatnie przebłyski trzeźwości, począł się rozczulać nawet nad nieboszczykiem Broniczem, a panią Broniczową niemal pokochał, za to tylko, że mógł rozmawiać z nią od rana do wieczora o pannie Castelli.

Wskutek powtarzających się nalegań pani Broniczowej, odwiedził także w tych czasach starego pana Zawiłowskiego, owego Krezusa, u którego przedtem nie bywał. Stary szlachcic, o białych jak mleko wąsach, rumianej cerze i obciętych krótko siwych włosach, przyjął go z nogą na fotelu i z pewną wielkopańską poufałością człowieka, który przywykł do tego, że się ludzie więcej z nim liczą, niż on z nimi.

— Przepraszam, że nie wstaję — rzekł — ale pedogra, nie żarty... Ha, cóż robić! Spuścizna! Zdaje się, że to już będzie po wiek wieków przywiązane do nazwiska. A ty nie miewasz czasem łupania w wielkim palcu?

— Nie, — odpowiedział Zawiłowski, cokolwiek zdziwiony zarówno sposobem przyjęcia, jak i tem, że stary szlachcic mówi mu od pierwszego widzenia: ty:

— Poczekaj, przyjdzie starość!

Digitized by Google

Poczem, zawoławszy na córkę, przedstawił jej Zawiłowskiego i począł rozmawiać o stosunkach rodzinnych, wykazując młodemu człowiekowi, w jaki sposób są krewni. W końcu rzekł:

www.libipol.com.cn

— No, ja tam wierszy nie pisywałem, bom na to za głupi, ale muszę ci powiedzieć, żeś mi się popisał — i żem się nie wstydził, chociażem wyczytał moje nazwisko pod wierszami.

Odwiedziny nie miały się jednak skończyć pomyślnie. Panna Zawiłowska, osoba lat trzydziestu, ładna, ale jakby przedwcześnie zwiędła i posępna, chcąc wziąć jakiś udział w rozmowie, poczęła wypytywać „kuzyna", kogo zna i gdzie bywa, a stary szlachcic do każdego wymienionego nazwiska dodawał w jednem lub dwóch słowach swoją opinię. Przy wymienieniu Połanieckich powiedział: „dobra krew!" przy Bigielach spytał: „jak?", a gdy Zawiłowski powtórzył ich nazwisko, dodał: „connais pas!"; panią Osnowską określił jednem słowem: „dzierlatka!", przy pani Broniczowej mruknął: „furfantka!", nakoniec, gdy młody człowiek wymienił z pewnem zmieszaniem pannę Castelli, szlachcic, którego w tej chwili łupnęło widocznie w nodze, skrzywił się okropnie i zawołał:

— Aj! półdyable weneckie!

Na to Zawiłowskiemu, który, mimo swej nieśmiałości, był człowiekiem popędliwym, zaćmiło się w oczach, wystająca i tak dolna szczęka wysunęła się jeszcze bardziej naprzód, począł mierzyć wzrokiem starego człowieka od chorej nogi, aż do głowy — i rzekł:

— Pan masz sposób wydawania doraźnych sądów, który mi się nie podoba, dlatego miło mi go pożegnać.

I skłoniwszy się, porwał za kapelusz i wyszedł.

Stary pan Zawiłowski zaś, który przywykł sobie na wszystko pozwalać i któremu wszystko uchodziło, patrzył czas jakiś z osłupieniem na córkę i dopiero po długiem milczeniu zawołał:

— Co, on się „wścik?"

Młody człowiek nie opowiedział pani Broniczowej tego, co zaszło. Wspomniał tylko, że był z wizytą i że ojciec i córka zarówno mu się nie podobali. Dowiedziała się jednak o wszystkiem od samego starego Zawiłowskiego, który zresztą nawet w oczy nie nazywał panny Castelli inaczej, jak „Półdyable weneckie."

— Nasłałaś mi pani za to całego dyabła, — rzekł jej — dobrze, że mi głowy nie rozbił.

W głosie jego przebijało jednak jakby pewne zadowolenie, że to *Zawiłowski* okazał się taki czupurny, ale pani Broniczowa, nie zauważywszy tego odcienia, wzięła rzecz nieco do serca i, ku wielkiemu zadziwieniu „całego dyabła", rzekła mu:

Digitized by Google

— On przepada za Linetką i to jest u niego rodzaj pieszczoty, a przytem człowiekowi, mającemu taką pozycyę i w tym wieku, dużo trzeba przebaczyć. Pan musiał nie czytać powieści Kraszewskiego: „Półdyable weneckie..." To jest przezwanie, w którem jest od tego czasu pewna poezya... Jak się staruszek udobrucha, niech pan do niego parę słów napisze — dobrze? Takie stosunki trzeba podtrzymywać...

— Pani—odpowiedział Zawiłowski—nie napiszę za nic w świecie.

— Nawet gdybym nietylko ja o to prosiła?

— To jest... kamieniem znów nie jestem.

Panna Castelli, uśmiechnęła się, słuchając tych słów. W duszy podobało się jej jednak, że Zawiłowski po jednem słowie o niej, które wydało mu się ubliżającem, skoczył tak, jakby usłyszał bluźnierstwo. To też, przy pozowaniu, gdy na chwilę zostali razem, rzekła mu:

— Dziwna rzecz, jak ja mało wierzę w szczerość ludzką... Tak mi trudno uwierzyć, żeby ktoś, prócz cioci, był mi prawdziwie życzliwy.

— Czemu pani?

— Nie wiem. — Sama nie umiem sobie zdać z tego sprawy.

— A naprzykład, państwo Osnowscy? pani Aneta?

— Pani Aneta? — powtórzyła panna Castelli.

I poczęła pilnie malować — jakby zapomniała o pytaniu.

— A ja, pani? — spytał ciszej Zawiłowski.

— Tak! — odrzekła — pan, tak! Pan jeden, jestem pewna, nie pozwolił-by o mnie nikomu źle mówić. Ja czuję, że pan mi jest szczerze życzliwy, choć nie wiem dlaczego, bo ja wogóle tak mało jestem warta!...

— Pani mało warta! — zawołał, zrywając się, Zawiłowski. — Niechże pani pamięta, że ja naprawdę nie pozwalam nikomu o pani źle mówić, nawet jej samej.

Panna Castelli uśmiechnęła się i rzekła:

— Dobrze, ale niech pan siada, bo nie mogę malować.

On siadł, lecz patrzył na nią wzrokiem tak pełnym miłości i zachwytu, że poczęło ją to mieszać.

— Co za nieposłuszny model!—rzekła—niech pan odwróci głowę trochę na prawo i nie patrzy na mnie.

— Nie mogę! nie mogę! — odpowiedział Zawiłowski.

— A ja doprawdy nie mogę malować. Głowa zaczęta w innej pozycyi... Niech-że pan poczeka...

To rzekłszy zbliżyła się i dotknąwszy palcami jego skroni, poczęła odwracać mu zlekka głowę na prawo. Lecz jemu serce jęło bić

Digitized by Google

jak młotem, wszystko zakręciło mu się w oczach i przytrzymawszy rękę panny Castelli, przycisnął do ust jej ciepłą dłoń.

www.libool.com.pl

— Co pan robi? — szepnęła panna Lineta.

On wciąż trzymał jej dłoń na ustach — i nie odpowiadał nic — tylko przyciskał ją coraz silniej.

Wówczas ona rzekła śpiesznie:

— Niech pan pomówi z ciocią... My jutro wyjeżdżamy.

I nie mogli powiedzieć sobie nic więcej, albowiem w tej chwili Osnowski, Kopowski i pani Aneta, którzy poprzednio siedzieli w przyległym saloniku, wrócili do pracowni.

Pani Aneta, spostrzegłszy zarumienione policzki panny Castelli, spojrzała bystro na Zawiłowskiego i rzekła:

— Jakże państwu dziś idzie?

— Gdzie ciocia? — spytała panna Castelli.

— Wyjechała z wizytami.

— Dawno?

— Kilka minut temu. Jakże państwu dziś poszło?

— Dobrze, ale na dziś już dosyć.

To rzekłszy, panna Lineta złożyła pendzle i po chwili poszła do siebie, by umyć ręce. Zawiłowski zabawił jeszcze czas jakiś, odpowiadając mniej więcej przytomnie na pytania, które mu zadawano, ale miał ochotę odejść. Bał się rozmowy z panią Broniczową i, zwyczajem tchórzów, pragnął ją odłożyć do jutra. Chciał przytem zostać na chwilę sam ze swemi myślami, uładzić je, ocenić lepiej doniosłość tego, co się stało, w tej chwili bowiem miał w głowie tylko jakby chaos mętnych pojęć, że stało się coś niesłychanego, coś, od czego zacznie się nowa epoka w jego życiu. Na samą myśl o tem, przejmował go dreszcz szczęścia, ale zarazem i strach, czuł bowiem, że teraz nie czas się już cofać, że trzeba iść naprzód przez miłość, przez wyznania, przez oświadczenie się pannie i rodzinie, aż do ołtarza. Pragnął tego całą duszą, ale tak przywykł wszystko co jest szczęściem uważać za poetyczne urojenie, za coś należącego wyłącznie do świata myśli, sztuki i marzeń, że prawie nie śmiał uwierzyć, by panna Castelli została naprawdę jego żoną. Tymczasem ledwie mógł dosiedzieć i gdy Lineta wróciła, począł się żegnać.

Ona podała mu swą ochłodzoną w zimnej wodzie rękę i rzekła:

— Nie zaczeka pan na ciocię?

— Muszę odejść, a jutro pożegnam się z panią i panią Broniczową.

— Więc do widzenia.

Pożegnanie to wydawało się Zawiłowskiemu, po tem co zaszło, tak nieodpowiedne i chłodne, że ogarniała go rozpacz. Ale nie śmiał

Digitized by Google

żegnać się przy ludziach inaczej, tem bardziej, że pani Aneta patrzyła na niego z niezwykłą uwagą. Na odchodnem pan Osnowski rzekł mu:

— Czekaj pan. Mam coś do załatwienia w mieście, więc pójdziemy razem.

I wyszli. Ale zaledwie znaleźli się przed bramą willi, pan Osnowski zatrzymał się, położył mu rękę na ramieniu i z przekorną miną zapytał:

— Panie Ignasiu! a czy nie pokłóciliście się trochę z Linetą?

Zawiłowski spojrzał na niego wielkiemi oczyma:

— Ja? z panną Linetą?

— Bo tak jakoś pożegnaliście się chłodno. Myślałem, że ją pan przynajmniej w łapkę pocałuje!

Oczy Zawiłowskiego stały się jeszcze większe, pan Osnowski zaś zaczął się śmiać i rzekł:

— No, to powiem panu prawdę! Żona moja, jako to kobietka ciekawa, podglądała was i widziała, co się stało. Mój panie Ignasiu, masz pan we mnie ogromnego przyjaciela, który prócz tego wie, co to znaczy kochać. I jedno tylko panu mogę powiedzieć: daj ci Boże być tylko tak szczęśliwym, jak ja jestem.

To rzekłszy, począł potrząsać jego dłonią, a Zawiłowski, chociaż zmieszany do najwyższego stopnia, ledwie się powstrzymał, żeby mu się nie rzucić na szyję.

— Czy pan naprawdę masz dziś coś do roboty? Dlaczegoś odszedł?

— Otwarcie panu powiem, potrzebowałem myśli zebrać, a przytem zdjął mnie strach przed panią Broniczową.

— To pan cioci nie znasz. Jej także się w głowie pali. Odprowadź-że mnie kawałek drogi, a potem wracaj do nas bez ceremonii. Wracając zbierzesz właśnie myśli, przez ten czas wróci pani Broniczowa i powiesz do niej mówkę, przy której się rozpłacze. Nic innego ci nie grozi. Pamiętaj także, że jeśli ci będzie dobrze, to będziesz głównie winien wdzięczność mojej Anecie, bo dalibóg, że tak *montowała* głowę Castelce, jakby była pańską rodzoną siostrą. To już taka szalona główka, a zarazem takie poczciwe serce! Równie dobre kobiety może istnieją, ale lepszej niema na świecie... Nam się trochę zdawało, że ten głuptaś Kopowski ma się ku Castelce, i Anetkę gniewało to ogromnie. One lubią Koposia, ale pozwolisz, że wyjść za takiego — toby było nadto.

Tak gawędząc, wziął Zawiłowskiego pod rękę i po chwili począł znów mówić:

— Dajmy też sobie pokój z tytułowaniem się per pan. Mamy przecie zostać krewniakami. Muszę ci jeszcze to powiedzieć: nie wą-

Digitized by Google

tpię, że Castelka kocha cię najserdeczniej, bo to też poczciwe stworzenie. Ale swoją drogą, tak jej zawracano tobą głowę, a ona taka jeszcze młoda, że dorzucaj drew na ten ogień... dorzucaj!... Rozumiesz!... Trzeba żeby się to wkorzeniło — co powinno łatwo przyjść, bo to istotnie niezwykła natura. Nie myśl, żebym cię chciał przestrzegać albo straszyć. Nie! Chodzi tylko o ugruntowanie rzeczy. Że ona cię kocha, to nie ulega wątpliwości. Żebyś ty ją był widział, jak ona nosiła się z twoją książką, albo co się z nią działo wówczas, gdy wróciliście z teatru! Przyszła mi wtedy do głowy głupia myśl. Powiedziałem, żem słyszał, iż stary Zawiłowski dlatego tak chciał-by cię poznać, że ma zamiar ożenić cię ze swoją córką, żeby majątek nie wyszedł z nazwiska — i, wyobraź sobie, że to biedactwo, jak to usłyszało, tak zrobiło się blade, jak papier. Ażem się przestraszył i co prędzej odwołałem. Cóż ty na to?

Zawiłowskiemu chciało się śmiać i płakać, tymczasem przyciskał tylko z całej siły do boku rękę trzymającego go pod ramię Osnowskiego i po chwili rzekł:

— Anim ja jej wart, ani...

— No — i co po tem drugiem: „ani"? — może chciałeś powiedzieć: „ani jej tak kocham!"

— Bogdaj tak! — odpowiedział Zawiłowski, podnosząc w górę oczy.

— No, to wracaj-że teraz i ułóż sobie mówkę do cioci Broniczowej. Nie bój się być nadto patetycznym. Ona to lubi!... Do widzenia, Ignaś! Ja za jaką godzinę także wrócę i będziemy mieli zaręczynowy wieczorek.

Tu poczęli się ściskać za ręce z uczuciem istotnie braterskiem, przyczem pan Osnowski rzekł:

— Powtarzam ci jeszcze raz: daj ci Boże znaleźć w Castelce taką tylko żonę, jak moja Anetka.

Zawiłowski, wracając, myślał, że pan Osnowski jest jeden anioł, pani Osnowska drugi, pani Broniczowa trzeci, a panna Lineta unosi się nad nimi wszystkimi na archanielskich skrzydłach, jak świętość, jak coś bożego. Zrozumiał teraz, że serce może kochać aż do bólu. W duszy klęczał u jej kolan, bił głową u jej nóg, kochał ją, ubóstwiał, a jednocześnie do tych wszystkich uczuć, które w nim grały, jakby jeden wielki hejnał, dołączyło się uczucie takiej tkliwości, jak gdyby ta uwielbiona kobieta była zarazem dzieckiem, jedynem i ogromnie kochanem, ale jeszcze malutkiem i potrzebującem opieki. Przypominał sobie opowiadanie Osnowskiego, jak pobladła, gdy jej powiedziano, że chcą go żenić z inną — i w duszy powtarzał sobie: „A moja ty, a moja!..." I rozczulał się bez miary, a wdzięczność zalewała mu tak

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

serce, iż zdawało mu się, że życiem całem nie wypłaci się jej za tę jedną chwilę bladości. Czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy, i chwilami ogrom tego szczęścia niemal przerażał go. Przedtem był teoretycznym pessymistą, obecnie zaś rzeczywistość zadawała tak dalece kłam tym naleciałym teoryom, iż trudno mu było uwierzyć, by się mógł do tego stopnia omylić.

www.ibtool.com.cn

Tymczasem wracał do willi, wciągając po drodze w nozdrza zapach kwitnących jaśminów i mając jakieś mętne poczucie, że ta upajająca woń nie jest niczem zewnętrznem, ale po prostu cząstką i składnikiem jego szczęścia. Po drodze mówił sobie: „Co to za ludzie, co to za dom, co za rodzina! tylko między nimi mogła się wychować ta moja Biała!" Patrzył przytem na zachodzące wśród wieczornego spokoju słońce, na złociste firanki zórz, poprzewiązywane taśmami z purpury, i ten spokój począł go ogarniać. W tych niezmiernych światłach uczuł niezmierną łaskę i dobroć, które patrzą na świat, koją go i błogosławią. Nie modlił się wprawdzie słowami, ale wszystko śpiewało mu w duszy jakby jedną dziękczynną modlitwę.

Przy bramie willi, ocknąwszy się jak ze snu, spostrzegł starego służącego Osnowskich, który patrzył sobie na przejeżdżające powozy.

— Dobry wieczór, Stanisławie,— rzekł — a pani Broniczowa nie wróciła?

— Właśnie wyglądam: tylko co starszej pani nie widać.

— Panie są jeszcze w salonie?

— Są — i pan Kopowski też.

— A kto mi otworzy?

— Tam otwarte, ja ino na chwilę zeszedłem.

Zawiłowski poszedł na górę — ale nie znalazłszy we wspólnym salonie nikogo, przeszedł do pracowni. Tam było jednak również pusto, natomiast z przyległego mniejszego pokoiku doszły go przez portyerę, przedzielającą ów salonik od pracowni, jakieś ciche głosy.

W przypuszczeniu, że znajdzie tam obie panie wraz z Kopowskim, uchylił portyerę — i spojrzawszy, skamieniał:

Panny Castelli nie było w saloniku, natomiast Kopowski klęczał przed panią Osnowską, która, trzymając ręce zanurzone w jego bujnych włosach, odchylała mu w tył głowę, zniżając jednocześnie twarz, jakby dla złożenia na jego czole pocałunku.

— Aneto! jeśli mnie kochasz! — mówił zdławionym przez namiętność głosem Kopowski.

— Kocham, ale nie! ja tego nie chcę! — odpowiedziała pani Osnowska, odsuwając go nieco od siebie.

Zawiłowski mimowolnym ruchem zapuścił portyerę, przez chwilę stał przed nią, jakby nogi jego stały się naraz ołowiane, wreszcie, nie

Digitized by Google

zdając sobie dobrze sprawy, co robi, przeszedł pracownię, której gruby dywan zgłuszył, tak jak i poprzednio, jego kroki, przeszedł główny salon, przedpokój, schody i znalazł się w bramie willi.

www.libook.com.cn

— Jaśnie pan wychodzi? — spytał stary służący.

— Tak! — odrzekł Zawiłowski.

I począł iść tak szybko, jakby uciekał. Po chwili jednak stanął i rzekł głośno do siebie:

— Czym ja nie oszalał?

I nagle wydało mu się to możliwem, poczuł bowiem, że traci wątek myśli, że nie umie zdać sobie z niczego sprawy, że nic nie rozumie i niczemu nie wierzy. Coś poczęło się w nim rwać, coś walić. Jakto? więc ten dom, o którym przed chwilą myślał, że jest jakimś błogosławionym przybytkiem wyjątkowych dusz, kryje zwykły fałsz, zwykłą lichość, zwykłe brudy życiowe, — nędzną i zarazem haniebną komedyę? I taką atmosferą oddycha, w takiem żyje otoczeniu, z takiemi istotami przestaje jego Lineta — jego Biała? Tu przypomniały mu się słowa Osnowskiego: „daj ci Boże znaleźć w Castelce taką tylko żonę, jaką ja znalazłem w mojej Aneciel" — „Dziękuję!"—pomyślał Zawiłowski— i mimowoli począł się śmiać. Zło, ni brud, nie były mu nowiną: widział je i wiedział, że istnieją, ale po raz pierwszy życie ukazywało mu je z taką niemiłosierną ironią, przez którą ów pan Osnowski, człowiek, który mu okazał serce brata, człowiek uczciwy, człowiek prawy, dobry jak mało ludzi w świecie, wydał mu się zarazem błaznem, rodzajem wzniosłego durnia — wzniosłego przez wiarę i uczucie — durnia przez kobietę. I po raz pierwszy również ujrzał jasno, co może licha i nędzna kobieta zrobić z człowieka — bez jego winy. Otworzyły się nagle przed nim nowe, straszliwe widnokręgi życiowe — całe krainy, których istnienia nie przypuszczał, rozumiał bowiem dotąd, że zła kobieta może człowieka wyssać jak pająk i zabić — i wydawało mu się to demonicznem, ale nie przypuszczał, że może go przytem zbłaźnić. Z tą myślą nie umiał sobie dać rady. A jednak, ów pan Osnowski, życzący mu, by był szczęśliwym ze swoją przyszłą, jak on z Anetą — był śmieszny. — Na to także nie było rady. Nie wolno tak kochać, by aż do tego stopnia się zaślepić.

Tu myśli Zawiłowskiego przeniosły się do Linety. W pierwszej chwili miał poczucie, że od tego brudu w domu Osnowskich i od tego zwątpienia, które zrodziło się w jego sercu, padł jakiś cień i na nią. Po chwili począł sobie jednak wyrzucać to wrażenie, jako profanacyę, jak zbrodnię obrażonej niewinności, jako pokalanie myślą równie czystej jak kochanej istoty i jej anielskich piór. Chwyciło go oburzenie na siebie samego. „Czy taki gołąb' domyśla się nawet złego?" — pytał w duszy. I miłość jego wzmogła się jeszcze bardziej na myśl, że „takie

Digitized by Google

przeczyste dziecko" musi ocierać się o zepsucie. Chciałby był odsunąć ją jak najprędzej od pani Osnowskiej, osłonić ją od jej wpływu, porwać na ręce i wynieść z tego domu, w którym niewinne jej oczy mogły się otworzyć na zło i zepsucie. Demon jakiś szeptał mu wprawdzie chwilami do ucha, że i pan Osnowski tak wierzy, jak on, że dałby krew własną w zakład za uczciwość żony, że każde zwątpienie poczytał-by także za profanacyę swej świętości. Lecz Zawiłowski odpędzał ze zgrozą te podszepty. „Dość spojrzeć w jej oczy" — mówił sobie. I na samo wspomnienie o tych oczach, gotów był bić się w piersi, jakby ciężko zgrzeszył. Był też zły na siebie, że wyszedł, że nie doczekał pani Broniczowej i nie pokrzepił się widokiem Linety. Wspominał teraz, jak przyciskał usta do jej dłoni, i jak ona, mieniąc się ze wzruszenia, mówiła mu: „Niech pan pomówi z ciocią." Ile było anielskiej prostoty i czystości w tych słowach! jaka prawość duszy, która, kochając, chce, by wolno jej było wobec całego świata kochać! Zawiłowskiego, gdy o tem myślał, brała ochota wrócić, czuł jednak, że nadto był wzburzony i że poprzedniej swej bytności, jeśli służący o niej wspomniał, nie potrafił-by usprawiedliwić.

Potem znów mu stanął przed oczyma obraz Kopowskiego klęczącego przed panią Osnowską, i począł się siebie pytać, co ma wobec tego robić i jak postąpić. Przestrzedz Osnowskiego? — myśl tę odepchnął odrazu z oburzeniem. Zamknąć się z panią Anetą—i powiedzieć jej na cztery oczy kazanie? — wskaże mu drzwi. Przez chwilę przyszło mu do głowy zagrozić Kopowskiemu i wymódz na nim przyrzeczenie, że przestanie bywać w domu Osnowskich. Ale po chwili uznał, że i to na nic. Kopowski, jeśli ma choć trochę odwagi, zelży go, wyzwie — w takim razie on będzie musiał milczeć, a ludzie pomyślą, że awantura powstała z powodu panny Castelli. Zawiłowskiemu było żal Osnowskiego, albowiem powziął dla niego szczerą przyjaźń, a z drugiej strony zbyt był młodym, by zgodzić się odrazu z myślą, że zło i krzywda ludzka mają pozostać bezkarne. Ach, gdyby w tym razie mógł się kogo poradzić, naprzykład takiego Połanieckiego, albo Maryni! Ale nie mogło to być. I po dłuższym namyśle doszedł do przekonania, że należy mu wszystko pochować w sobie i milczeć.

Przytem, z namiętnej prośby Kopowskiego i z odpowiedzi pani Anety, wnosił, że zło mogło jeszcze nie przejść w zupełny upadek. — Kobiet nie znał,—ale naczytał się o nich niemało. Wiedział, że istnieją i takie, dla których forma złego ma więcej ponęty od jego istoty — to jest kobiety, pozbawione zmysłu moralnego, ale też i temperamentu, mające tyle samo pociągu do zakazanego romansu, ile niechęci do zupełnego upadku, słowem takie, które, niezdolne kochać nikogo, zawodzą zarówno mężów, jak i kochanków. Przypomniały mu się słowa

Digitized by Google

jakiegoś Francuza: „Gdyby Ewa była Polką, była-by urwała jabłko, ale nie byłaby go zjadła." — Podobnym typem wydała mu się pani Osnowska. Zło mogło być w niej równie płytkie, jak i dobro, i w takim razie zakazany stosunek mógł jej się prędko znudzić, zwłaszcza z takim Kopowskim.

www.libtool.com.cn

Tu jednak Zawiłowski tracił osnowę rozumowań i klucz do duszy pani Anety. Rozumiał-by raczej stosunek z każdym innym, ale nie z Kopowskim, z takim Cherubem o mózgu idyoty. „Pudel więcej rozumie, co się do niego mówi — myślał Zawiłowski — i kobieta z takiemi aspiracyami do rozumu, do wiedzy, do artyzmu, do rozumienia wszelkich odcieniów myśli i uczuć, może się poniżać dla takiej pałuby!" Tego nie umiał sobie wytłómaczyć nawet tem, co o kobietach czytał.

A jednak rzeczywistość mówiła wyraźniej niż wszystkie książki, że tak było. Nagle przyszło na pamięć Zawiłowskiemu, co mu mówił Osnowski, że bali się, iż „ten głuptaś może się mieć ku Castelce", że panią Osnowską ogromnie to gniewało i że dlatego *montowała* jej głowę innem uczuciem. Więc jednak pani Osnowskiej chodziło o to, by Kopowski nie starał się o pannę Castelli—i by go zachować dla siebie. Tu Zawiłowski drgnął nagle, bo uderzyła go myśl, że jeśli tak, to jednak Kopowski miał jakieś widoki powodzenia. I cień znowu przesłonił mu jasną postać Linety. Gdyby tak było, spadła-by w jego oczach do poziomu pani Osnowskiej. Przez chwilę uczuł gorycz w ustach, a ogień w mózgu. Zerwał się w nim gniew, jak wicher. Tego nie mógłby jej przebaczyć i samo podejrzenie otruło-by go. Zatrzymawszy się znów na ulicy, czuł, że musi zdusić tę myśl w sobie, bo inaczej, chyba oszaleje.

Jakoż zdusił ją tak dokładnie, że uznał się za ostatniego głupca, tylko dlatego, że mu mogła przyjść do głowy. Że panna Lineta nie była zdolną pokochać takiego Kopowskiego, najlepszy dowód był w tem, że pokochała jego — a obawy i podejrzenia pani Osnowskiej wypływały tylko z miłości własnej kobiety lekkiej i próżnej, która lęka się, by nie uznano innej za piękniejszą i bardziej ponętną od niej. Zawiłowski miał teraz uczucie, że zepchnął kamień z piersi, który go gniótł. Począł też w duszy przepraszać znów na klęczkach swoją niepokalaną, i myśli jego o niej były już odtąd pełne miłości, uwielbienia i skruchy.

Uczynił sobie jednak uwagę, jak zło, choćby przez kogo innego spełnione, rodzi zło — i ile szkaradnych myśli przeszło mu przez głowę dlatego tylko, że widział durnia u nóg wietrznicy. Uwagę tę zanotował sobie w pamięci.

W pobliżu domu spotkał Połanieckiego pod rękę z panią Maszkową, i tak już był zatruty dniem dzisiejszym, że przeszło mu przez myśl

Digitized by Google

nagłe podejrzenie. Ale Połaniecki poznał go przy świetle księżyca i latarni i widocznie nie miał zamiaru się ukrywać, bo go zaczepił.

— Dobry wieczór — rzekł. — Co tak wcześnie dziś do domu?

— Byłem u pani Broniczowej, a teraz, ot tak, włóczę się, bo noc piękna.

— To wstąp-że pan do nas. Ja tylko odprowadzę panią — i wracam. Żona dość dawno pana nie widziała.

— Dobrze — rzekł Zawiłowski.

I istotnie wzięła go ochota zobaczyć panią Połaniecką. Tyle się przez niego przewaliło uczuć i myśli, że czuł się zmęczony, a wiedział, że dobra i spokojna twarz pani Maryni podziała na niego w sposób kojący.

Po chwili też zadzwonił do Połanieckich i, wszedłszy, począł się po przywitaniu tłómaczyć, że przychodzi zaproszony przez męża — na co ona rzekła:

— Ale owszem! bardzom rada. Mąż mój odprowadza w tej chwili panią Maszkową, która mnie odwiedziła, ale wróci na herbatę. Pewno i państwo Bigielowie przyjdą, a może i mój ojciec, jeśli się nie wybrał do teatru.

To rzekłszy, wskazała mu miejsce przy stole, sama zaś, poprawiwszy ciemnik na lampie, zabrała się do roboty, którą była zajęta poprzednio, mianowicie do szycia kokardek z wązkich różowych i błękitnych wstążek, których pełno leżało przed nią.

— Co pani robi? — spytał Zawiłowski.

— Kokardki. To się przyszywa na rozmaite ubrania.

Po chwili zaś dodała:

— Ale daleko ciekawsze jest, co pan robi? Czy pan wie, że już cała Warszawa żeni pana z Linetką Castelli. Widzieli was w teatrze, na wyścigach, widują na spacerach i ani ludziom wytłómaczyć, że to jeszcze nie zdecydowane.

— Bo — mówiłem zawsze z panią tak otwarcie — że i teraz powiem szczerze, że to już prawie zdecydowane.

A ona podniosła na niego ożywione uśmiechem i ciekawością oczy:

— Tak? A, to doskonała nowina! Niech-że Bóg da panu takie szczęście, jakiego panu oboje życzymy.

Tu wyciągnęła do niego rękę, a potem, rozciekawiona, spytała:

— Mówił pan z Linetką?

Zawiłowski począł opowiadać, jak było, i przyznał się jej do swojej rozmowy z panną Castelli i z panem Osnowskim; potem, unosząc się stopniowo w opowiadaniu, wyspowiadał się ze wszystkiego, co się w nim działo: jak z początku przypatrywał się, krytykował, walczył

Digitized by Google

ze sobą, nie śmiał się spodziewać, jak starał się sam sobie wybić z głowy, a raczej z serca to uczucie — i jak nie mógł jednak mu się oprzeć. Zapewniał, że kilka razy obiecywał sobie przeciąć odrazu znajomość, bywanie, ale za każdym razem sił mu brakło, za każdym razem spostrzegał ze strachem, że już cały świat, cały cel życia tam, że bez niej, bez panny Linety, nie wiedział-by, co z tem życiem zrobić—i wracał.

www.libtool.com.cn

Zawiłowski nie mniej wprawdzie przypatrywał się, ale mniej krytykował i walczył ze sobą, niż opowiadał. Mówił to jednak szczerze. Dodał w końcu, że obecnie wie już z pewnością, że kocha, nie swoje własne uczucie, uwięzione w pannie Linecie, ale ją samą, dla niej samej, i że to jest jego najdroższa w świecie głowa.

— Niech pani pomyśli — rzekł — inni mają rodziny, matki, siostry, braci; ja, po-za moim nieszczęśliwym ojcem, nie mam nikogo — i dlatego wszelkie ludzkie miłości skupiły mi się w niej jednej.

— Tak — rzekła Marynia. — To się musiało stać.

On zaś mówił dalej z coraz większem uniesieniem:

— Ale ciągle jeszcze zdaje mi się, że to sen, i nie może mi się w głowie pomieścić, żeby ona naprawdę została moją żoną. Czasem zdaje mi się, że to nie może być i że zajdzie coś takiego, że wszystko przepadnie.

Rzeczywiste uczucie potęgowało się w nim jeszcze przez egzaltacyę, do której więcej od innych ludzi był skłonny, i wreszcie począł drżeć nerwowo, a potem zakrył oczy ręką i mówił:

— Ot, widzi pani! muszę oczy zasłonić, żeby sobie to dobrze wyobrazić. Takie szczęście! takie bajeczne szczęście! Czegoż człowiek szuka i w życiu, i w małżeństwie? — właśnie tego! — a swoją drogą, to aż siły przerasta. Nie wiem, czym ja taki słaby, czy co? — ale szczerze mówię: czasem mi tchu nie staje.

Marynia położyła kokardkę na stole, i złożywszy na niej ręce, przez chwilę patrzyła na niego, poczem rzekła:

— Bo pan jest poeta i nadto się unosi. Powinien pan patrzeć spokojniej. Niech pan posłucha, co panu powiem. Ja mam książeczkę po matce, w której, będąc chora i nie spodziewając się długo żyć, spisywała dla mnie, co uznała za dobre. O małżeństwie napisała mi coś, czego później nie słyszałam od nikogo i nie czytałam w żadnej książce: że nie po to powinno się wychodzić za mąż, by być szczęśliwą, tylko po to, by spełnić te obowiązki, które Bóg wówczas wkłada—i że szczęście, to tylko przydatek i podarek boży. Widzi pan, jakie to proste, a jednak doprawdy, że nietylko tego później nie słyszałam, ale nie widziałam, żeby ktoś, żeniąc się, albo wychodząc za mąż, więcej o tem myślał, niż o szczęściu. Niech pan o tem pamięta i niech pan powtórzy to Linetce — dobrze?

Digitized by Google

A Zawiłowski popatrzył na nią ze zdziwieniem:

— Wie pani, że to jest tak proste, że istotnie nie przychodzi nikomu na myśl.www.libtool.com.cn

Ona zaś uśmiechnęła się — trochę smutno — i wziąwszy swoją kokardkę, poczęła ją zszywać znowu; po chwili zaś powtórzyła:

— Niech pan to powie Linetce.

I szyła dalej, wyciągając szybkim ruchem swoją wychudłą nieco rękę wraz z igłą.

— Rozumie pan: jak się taką zasadę ma w sercu, to się ma wieczny spokój — weselszy, albo smutniejszy — jak Bóg da! — ale jednakowo głęboki. A bez tego, to tylko jakaś gorączka szczęścia — i gotowe zawsze zawody, choćby dlatego tylko, że to szczęście może być insze, niż je sobie wyobrażamy.

I szyła dalej.

A on patrzył na jej pochyloną głowę, na jej migającą rękę, na jej robotę, słuchał jej głosu i zdawało mu się, że ten spokój, o którym mówiła, unosi się nad nią, napełnia całe powietrze, zwiesza się nad stołem, pali się łagodnie w lampie — i wreszcie wstępuje w niego.

Był tak zajęty sobą, swoją miłością, że ani mu w głowie powstało, że serce jej może być przytem smutne, natomiast przejmowało go jakby podwójne zdziwienie: naprzód, że te prawdy, które ona mówi, są takiem a, b, c, iż powinny leżeć na samem wierzchu każdego umysłu, a powtóre, że, mimo to, jego własny umysł nie wydobył ich jednak z siebie, a przynajmniej na nie nie baczył. „Co to jest — pomyślał — mądrość nasza, książkowa, w porównaniu z tą prostą mądrością prawego kobiecego serca!" Potem, przypomniawszy sobie panią Osnowską i spoglądając na Marynię, począł w duszy monologować: „Tamto kobieta, i to kobieta!" I nagle przyszła na niego ogromna ulga; wszystkie rozkołysane myśli ułożyły się do poziomu. Czuł, że wypoczywa, patrząc na tę szlachetną istotę.— „W Linecie — mówił sobie — jest taka sama cisza, taka sama prostota i taka sama prawość."

Tymczasem nadszedł Połaniecki, a wkrótce potem Bigielowie, za którymi przyniesiono wiolonczelę. Przy herbacie Połaniecki mówił o Maszce. Sprawę o zwalenie testamentu prowadził Maszko z całą energią i postępowała naprzód, choć trudności jeżyły się na każdym kroku. Adwokat, stający ze strony instytucyi dobroczynnych, ów młody Śledź, którego Maszko obiecywał opieprzyć, podlać oliwą i zjeść — okazywał się nie tak łatwym do zjedzenia, jak się zdawało. Połaniecki słyszał o nim, jako o człowieku zimnym, upartym, a jednocześnie jak o biegłym prawniku.

— Co jest przytem zabawne — rzekł — że Maszko, jak to Maszko, uważa się za jakiegoś patrycyusza, który walczy z plebejuszem

Digitized by Google

i mówi, że to będzie próba, jaka krew tęższa. Szkoda, że Bukasio nie żyje, bo sprawiło-by mu to uciechę.

— A Maszko ciągle jeszcze w Petersburgu? — spytał Bigiel.

www.libtool.com.cn

— Dziś wraca. Ona dlatego nie mogła zostać na wieczór — odpowiedział Połaniecki.

Po chwili zaś dodał:

— Ja miałem do niej w swoim czasie uprzedzenie, ale przekonywam się, że to niezła kobiecina, a przytem biedna.

— Czemu biedna? jeszcze pan Maszko sprawy nie przegrał — rzekła pani Bigielowa.

— Ale on ciągle przesiaduje za domem. Matka pani Maszkowej jest w zakładzie oftalmicznym w Wiedniu i podobno całkiem oczy traci, a ona siedzi po całych dniach sama, jak pustelnica. — Mówię, że miałem do niej uprzedzenia, ale teraz mi jej żal.

— Prawda, — rzekła Marynia — że ona, od czasu jak wyszła za mąż, stała się daleko sympatyczniejsza.

— Tak — odpowiedział Połaniecki — i przytem nic nie straciła wdzięku. Szpeciły ją dawniej czerwone oczy, a teraz jej to przeszło — i zawsze taka panienkowata, jak była.

— Niewiadomo tylko, czy Maszko z tego równie zadowolony — odrzekł Bigiel.

Lecz Marynię korciło, by powiedzieć obecnym nowinę o Zawiłowskim; ponieważ jednak nie był jeszcze urzędownie zaręczonym, więc nie wiedziała, czy można. Ale, gdy po herbacie pani Bigielowa poczęła go wypytywać, jak „sprawa" stoi, a on sam odrzekł, że jest prawie ukończona, wtrąciła i pani Marynia swoje słówko, oznajmiając obecnym, że sprawa stoi w ten sposób, iż mogą składać panu Zawiłowskiemu życzenia. Wówczas wszyscy poczęli go ściskać za ręce, z tą prawdziwą przyjaźnią, jaką dla niego mieli — i wszystkich ogarnęła szczera wesołość. Bigiel pocałował z radości panią Bigielową, Połaniecki rozkazał przynieść kieliszki i butelkę szampana, by wypić zdrowie „najwybujalszej pary" w Warszawie, pani Bigielowa poczęła przekomarzać się z Zawiłowskim, przewidując naprzód, co to będzie za gospodarstwo poety i malarki, Zawiłowski śmiał się, ale zarazem był naprawdę wzruszony tem, że jego marzenia poczynają być czemś realnem.

W chwilę później, Połaniecki, trącając się z nim, rzekł:

— Szczęść Boże, a ja dam panu tylko jedną radę: co masz w sobie poezyi, to kładź w *dzieło*, w robotę, a w życiu bądź realistą i pamiętaj, że małżeństwo to nie rom...

Lecz nie mógł skończyć, bo pani Marynia położyła mu nagle rękę na ustach i rzekła, śmiejąc się:

Digitized by Google

— Cicho, ty mądra głowo!

A potem do Zawiłowskiego:

— Niech pan nie słucha tego sensata, niech pan nie tworzy sobie żadnych teoryi z góry, tylko niech pan kocha.

— Tak, pani, tak! — odpowiedział Zawiłowski.

A Połaniecki, drażniąc się, dodał:

— To kup pan sobie w takim razie harfę...

Ale, na wspomnienie o harfie, Bigiel chwycił swoją wiolonczelę, mówiąc, że taki wieczór trzeba skończyć muzyką; Marynia siadła do fortepianu i po chwili poczęli serenadę Händla. Zawiłowski miał wrażenie, że duszą z niego wychodzi, bierze te łagodne tony w siebie i leci, wśród nocy, kołysać niemi do snu Linetę. Późnym wieczorem wyszedł, jakby pokrzepiony widokiem tych zacnych ludzi.

XXVI.

A Marynia miała już spokój— „taki, jaki Bóg dał" — ale rzeczywiście głęboki. Wielką pomocą w odzyskaniu jego był ów zagrobowy głos, owa pożółkła już przez lata książeczka, w której wyczytała: „nie po to powinno się wychodzić za mąż, by być szczęśliwą, ale po to, by spełnić te obowiązki, które Bóg wówczas wkłada." Marynia, która często zaglądała do tej książeczki, nieraz poprzednio odczytywała te słowa, ale prawdziwego znaczenia nabrały one dla niej dopiero w ostatnich czasach, wśród tego procesu duchowego, przez który przechodziła od powrotu z Włoch. Skończył się on w ten sposób, że nietylko pogodziła się z losem, ale obecnie nie dopuszczała nawet myśli, że jest nieszczęśliwa. Powtarzała sobie, że jest to szczęście inne wprawdzie, niż sobie wyobrażała, ale nie mniej rzeczywiste. Zapewne, że gdyby jej Bóg dał moc rządzenia sercami ludzkiemi, toby chciała, żeby „Stach" okazywał jej — nie więcej czci — ale więcej takiej tkliwości, do jakiej był zdolny i jaką okazywał był w swoim czasie Litce, żeby uczucie jego dla niej mniej było trzeźwe, żeby było w niem to jakieś ziarnko poezyi, którą miała jej miłość. Ale z drugiej strony, naprzód, gdzieś, w jakimś kąciku serca żywiła zawsze nadzieję, że to przyjść może, a powtóre, myślała w duszy, że gdyby nawet nie przyszło, to i tak powinna Bogu dziękować, że jej dał człowieka dzielnego i prawego, którego mogła nietylko kochać, ale i cenić. Nieraz zastanawiała się, z kim-by go tu porównać — i nie umiała znaleźć nikogo, ktoby porównanie wytrzymał. Bigiel był zacny człowiek, ale nie miał tego polotu; Osnowskiemu, przy całej jego dobroci, brakło tej dzielności życiowej i brakło pracy; Maszko był istotą we wszystkiem stokroć niższą;

Digitized by Google

Zawiłowski wydawał jej się raczej gienialnem dzieckiem, niż mężczyzną — słowem: z porównań Stach wychodził zawsze zwycięsko — i jedynym ich rezultatem było, że czuła do niego coraz większe zaufanie życiowe i coraz więcej go kochała. Przytem, ograniczając siebie, poddając mu swoje ja, przynosząc na ofiarę swe rojenia i swój egoizm, miała poczucie, że coraz więcej wyrabia się duchowo, że się doskonali, że staje się lepszą, że nie schodzi na żaden niż, ale wstępuje na jakieś wyżyny, skąd duszy bliżej do Boga — i nagle spostrzegła, że w takiem poczuciu leży cały świat szczęścia. Połaniecki często bywał teraz za domem, więc ona często zostawała sama i nieraz rozumowała z wielką prostotą uczciwej kobieciny: „Przecież człowiek powinien się starać, by być coraz lepszy, a jeżeli ja nie jestem gorsza, niż byłam — to i dobrze! Gdyby było inaczej, tobym się może popsuła!" — Nie przychodziło jej jednak na myśl, że jest w tem więcej mądrości, niż naprzykład we wszystkich myślach i powiedzeniach pani Osnowskiej. Wydało jej się też naturalnem, że tymczasem ma dla „Stacha" mniej powabu, niż przedtem. Od tego miała duże lustro, w które spoglądając mówiła sobie: „No, oczy się nie zmieniają, ale co to za figura! co za twarz! ja, żebym była Stachem, tobym uciekła z domu!" — I myślała nieprawdę, bo nie była-by uciekła, ale zdawało jej się, że w ten sposób powiększa zasługę Stacha. — Dodawały jej też otuchy słowa pani Bigielowej, że potem będzie jeszcze ładniejsza, „zupełnie jak jaka dziewczyna." — I chwilami wzbierała w jej sercu radość i wdzięczność, że tak wszystko mądrze urządzone, iż z początku jest się trochę brzydszą, potem trzeba trochę przecierpieć, a jeszcze potem, nietylko że wszystko wraca, ale w nagrodę ma się jeszcze „bobo" kochane, które i z życiem wiąże, i nowy węzeł między żoną a mężem wytwarza. W ten sposób miewała chwile nietylko spokoju, ale i wprost wesołości — i kiedyś rzekła pani Bigielowej:

— Wiesz, co ja myślę, że zawsze można być szczęśliwą, tylko trzeba się Boga bać.

— Co to się ma jedno do drugiego? — spytała pani Bigielowa, która od męża przejęła się zamiłowaniem jasności w rozumowaniu.

— A to — odpowiedziała Marynia — żeby poprzestawać na tem, co On daje, i nie dręczyć Go, że nie dał tego, co nam się zdawało najlepsze.

Potem dodała wesoło:

— Nie nudzić, nie nudzić!

I obie poczęły się śmiać.

Nieraz też, w troskliwości, niemal przesadnej, jaką Połaniecki okazywał żonie, znać było wyraźnie, że mu głównie chodzi o dziecko, ale Marynia nie miała mu już tego za złe. Poprawdzie, nie miała

Digitized by Google

nigdy; obecnie jednak gotowa była uważać to za jego zasługę, albowiem powiedziała sobie, że teraz jest obowiązkiem ich obojga dbać przedewszystkiem o dziecko, jako o przyszłe wspólne kochanie. Tak zrzekając się z każdym dniem czegoś z własnego egoizmu, zyskiwała coraz większy spokój, coraz większą pogodę, która odbijała się w jej oczach, tak cudnych, jak nigdy przedtem. Główną jej troską było teraz tylko to, czy będzie córka? Gotowa była i pod tym względem zgodzić się z wolą boską, ale trochę się bała Stacha — i pewnego dnia spytała go, żartując:

— Stachu, a nie wybijesz, jak będzie syn?

— Nie, — odpowiedział śmiejąc się i całując ją w rękę — ale wolałbym, żeby była córka.

— A ja słyszałam od pani Bigielowej, że panowie zawsze wolą chłopców.

— A ja jestem taki pan, który woli dziewczynę.

Nie zawsze jednak myśli jej bywały tak wesołe. Chwilami przychodziło jej do głowy, że może umrzeć, bo wiedziała, że się to zdarza, i modliła się gorąco, żeby się tak nie stało, bo naprzód bała się śmierci, powtóre żal-by jej było odchodzić, choćby do nieba, wówczas, gdy tyle zapowiadało jej się kochania, a nakoniec, wyobrażała sobie, że Stach ogromnie-by jej jednak żałował. I na tę myśl rozczulała się nad nim tak, jakby już obecnie był człowiekiem najgodniejszym politowania ze wszystkich nieszczęśliwców na świecie. Nigdy też nie mówiła z nim o tem, chociaż zdawało jej się, że on sam czasem się tego obawia.

I myliła się najzupełniej. Doktorka, która odwiedzała co tydzień Marynię, zapewniała za każdym razem i ją, i Połanieckiego, że wszystko jest i postępuje najprawidłowiej, skutkiem czego Połaniecki nie miał żadnej obawy o życie żony. Powodem jego niepokoju było zgoła co innego, czego Marynia na szczęście dla siebie ani się dotąd domyślała, a czego sam Połaniecki nie śmiał wyraźnie nazwać. Oto od niejakiego czasu poczęło mu się coś psuć w życiowych rachunkach, z których był tak dumny i które dawały mu taką wewnętrzną pewność siebie. Przed niedawnym jeszcze czasem uważał, że jego teoryé życiowe są jak dom, zbudowany z tęgich bierwion i wsparty na potężnych fundamentach. W duszy pysznił się tym domem, a pocichu wywyższał się nad tych, którzy nie umieli sobie nic podobnego zbudować. Krótko mówiąc, uważał się za lepszego życiowego majstra od innych. Sądził także, że robota jest skończona od góry do dołu — tylko wejść, zamieszkać i wypoczywać! Zapomniał, że dusza ludzka, jak ptak: gdy wzbije się na pewną wysokość, nietylko niewolno jej spocząć, ale musi tęgo skrzydłami pracować, by się na niej utrzymać. Inaczej pierwsza lepsza pokusa przyciągnie ją ku ziemi.

Digitized by Google

Im zaś pokusa była lichsza i marniejsza, tem większa brała go na siebie złość, że jednak jej ulega. Poziomy przedmiot i płaska żądza! — nie było się nawet czem przed sobą wytłómaczyć. A pomimo tego ściany domu poczęły się rysować. Połaniecki był obecnie człowiekiem religijnym—i to z przekonania, miał zaś za dużo szczerości wobec siebie samego, by wejść w układ ze swemi zasadami i powiedzieć sobie, że nawet najbardziej wierzącym ludziom zdarzają się podobne sprawki. Niel Był on z natury człowiekiem dość bezwzględnym i logika mówiła mu: „albo, albo!" — czuł zaś, że tak mówi słusznie. Pokusie dotąd nie uległ, lecz gniewało go już to samo, że ją ma, albowiem prowadziło go do zwątpienia o własnym charakterze. Uważając się za lepszego od innych, nagle stanął wobec pytania, czy nie jest lichszym od innych, bo jednak pokusę nietylko miał—ale czuł, że w danym razie mógłby się jej poddać.

Nieraz, patrząc na panią Osnowską, powtarzał sobie zdanie Konfucyusza: „Kobieta zwyczajna ma tyle rozumu, ile kura; kobieta nadzwyczajna—tyle, ile dwie kury"—na widok zaś pani Maszkowej, przychodziło mu do głowy, że są kobiety, względem których ta oburzająca prawda chińska jest jeszcze pochlebstwem. Gdybyż przynajmniej można było powiedzieć o pani Maszkowej, że jest szczerze głupia, stanowiło-by to pewien jej rys indywidualny. Ale ona była żadna. Kilkanaście lub kilkadziesiąt formułek uczyniło z niej przyzwoitą nicość. Równie jak dwieście lub trzysta wyrazów stanowi cały język mieszkańców Nowej Gwinei i zaspakaja wszystkie ich potrzeby, tak owe formułki wystarczały pani Maszkowej do stosunków towarzyskich, do myślenia i do życia. Zresztą była bezdennie bierna, z tym odcieniem automatycznej powagi, jaką wytwarza ciasnota umysłowa i ślepa wiara, że gdy się zachowuje odpowiedne formy, nie można błądzić. Połaniecki taką ją znał i taką nieraz wyśmiewał, jeszcze jako pannę. Nazywał ją lalką, manekinem, miał do niej złość za owego lekarza, który dla niej zmarniał gdzieś, gdzie pieprz rośnie — lekceważył ją i nie lubił jej. Ale nawet i wówczas, ilekroć ją widział, czy to u Bigielów, czy gdy w sprawie Maszki chodził do pani Krasławskiej, zawsze wracał pod fizycznem jej wrażeniem, z którego doskonale zdawał sobie sprawę. Ta zgaszona twarz, ów bierny, roślinny spokój jej wyrazu, ów chłód w zachowaniu się, owe zaczerwienione częstokroć oczy, owe wysmukłe kształty, miały w sobie coś, co go niezwykle pociągało. Tłómaczył to sobie wtedy jakiemś prawem naturalnego doboru, i określiwszy rzecz technicznie, poprzestawał na tem, albowiem wrażenie, jakie czyniła na nim Marynia, było jeszcze większe, więc za niem poszedł. Ale obecnie Marynia była jego i oswoił się z jej pięknością, która zresztą na czas pewien znikła; złożyło się zaś tak, że z powodu częstych wyja-

Digitized by Google

zdów Maszki, widywał panią Maszkową prawie codziennie, skutkiem czego dawne wrażenia nietylko odżyły, ale, w warunkach, w jakich znajdował się Połaniecki, ze względu na Marynię, odżyły z niespodzianą potęgą. I stało się wreszcie, że on, który nie zgodził się być paskiem do ostrzenia się dla dziesięć razy piękniejszej i bardziej uroczej pani Osnowskiej, on, który się oparł jej rzymskim fantazyom, on, który uważał się za człowieka zasad, silniejszego charakterem i tęższego umysłem od innych ludzi, spostrzegł teraz, że gdyby pani Maszkowa chciała trącić nóżką w ów gmach, to wszystkie jego wiązania mogły-by się rozluźnić, i pułap mógł mu spaść na głowę. — Zapewne— nie przestał-by żony kochać, bo się do niej szczerze i głęboko przywiązał — ale czuł, że byłby w stanie ją zdradzić— i to nie tylko ją, ale siebie samego, swoje zasady, swoje pojęcia o tem, jakim uczciwy i moralny człowiek być powinien. Z pewnym przestrachem, a zarazem i ze złością, odnalazł w sobie nietylko zwierzę ludzkie, ale i słabe zwierzę. Niepokoił się tem, buntował się przeciw owej słabości, a jednak nie mógł jej zmódz. Prostą rzeczą było wobec tego nie widywać pani Maszkowej, lub widywać ją jak najrzadziej — on tymczasem wynajdywał powody, by ją widywać jak najczęściej. Z początku chciał się sam niemi uśpić, ale wobec wrodzonej mu szczerości wewnętrznej, było to niemożliwe i kończyło się na tem, że tylko sobie wymyślał. Natomiast oszukiwał niemi żonę i kogo wypadło. Gdy był razem z panią Maszkową, nie mógł się powstrzymać od patrzenia na nią, od obejmowania wzrokiem jej twarzy i całej postaci. Brała go chorobliwa ciekawość, jakby ona znalazła się w razie, gdyby wobec niej wydał się z tem, co się w nim działo, coby wówczas rzekła — i lubował się mimowoli w przypuszczeniach, że zachowała-by się zupełnie biernie. Z góry nią za to pogardzał, ale tem bardziej stawała mu się pożądaną. Odkrywał w sobie całe góry zepsucia, które przypisywał swemu długiemu pobytowi za granicą i, mając się dotychczas za niepożytą i zdrową naturę, poczynał się niepokoić, czy się na sobie nie pomylił i czy owo dziwne wrażenie, jakie czyniła na nim istota tak mało ponętna, nie jest objawem jakiejś newrozy, toczącej go mimo jego wiedzy. — Nie przyszło mu do głowy, że mogą istnieć takie nawet stany, w których dusza męska kobietą wprost pogardza, a zwierzę ludzkie tęskni do niej.

W niej zaś instynkt zastępował bystrość; nie była już zresztą dość naiwną, by nie rozumieć, co znaczył jego ślizgający się po jej postaci wzrok, lub co wyrażały jego oczy, gdy, rozmawiając z nią, zwłaszcza gdy byli sami, patrzył z pewnym uporem w jej twarz. I naprzód doznała pewnego zadowolenia miłości własnej, jakiemu trudno się oprzeć nawet kobiecie uczciwej, gdy widzi wywierane przez się wrażenie, gdy czuje się wyróżnioną, bardziej pożądaną od innych—słowem:

Digitized by Google

zwycięską. Po-za tem gotowa była nie uznawać i nie widzieć niebezpieczeństwa, jak nie chce go widzieć kuropatwa, gdy chowa głowę w śnieg, czując krążącego nad sobą jastrzębia. Tym śniegiem były dla pani Maszkowej pozory. I Połaniecki to czuł. Wiedział jeszcze z kawalerskiego doświadczenia, że są kobiety, którym przedewszystkiem chodzi o ocalenie pewnych, często nawet dziwacznych, pozorów. Pamiętał takie, które wybuchały oburzeniem, gdy mówił do nich po polsku to, czego słuchały z uśmiechem po francusku; spotykał i takie, które były jak nieprzystępne twierdze u siebie w domu i w mieście, a jak wolne miasta na letnich mieszkaniach, na wodach, lub w kąpielach — i takie, które znosiły zamach, a nie znosiły słów, — i takie, dla których rozstrzygającą rzeczą było światło i ciemność.—Wszędzie, gdzie uczciwość nie płynęła z duszy i zasad wszczepionych jak ospa w krew, opór lub upadek zależały od przypadku, od otoczenia, od zewnętrznych, nieraz błahych, warunków, od osobistych pojęć o pozorach przyzwoitości. Sądził, że takby być mogło i z panią Maszkową, i jeśli nie wszedł dotychczas na drogę prób i doświadczeń, to tylko dlatego, że walczył sam z sobą, że się nie chciał poddać i że, pogardzając nią na dnie duszy, pragnął uniknąć pogardy dla siebie. Hamowało go też przywiązanie do Maryni i współczucie, jakby pomieszane z czcią dla jej stanu, i wdzięczność dla niej, i nadzieja ojcowstwa, którą się wzruszał, i pamięć na krótkość czasu, który ze sobą przeżyli, i uczciwość, i uczucia religijne. Były to niby łańcuchy, na których trzymał jeszcze szarpiące się zwierzę ludzkie.

Nie trzymał jednak z równą zawsze siłą. Raz, a mianowicie tego wieczora, w którym spotkał ich Zawiłowski, o mało się nie zdradził. Na myśl, że Maszko wraca i że pani Maszkowa dlatego śpieszy do domu, ogarnęła go nagle nizka, czysto fizyczna, zazdrość, i rzekł z pewną złością, tłumioną ale wyraźną:

— Tak! rozumiem pani pośpiech! — Ulisses wraca, więc Penelopa musi być w domu, ale...

Tu uczuł ochotę kląć.

— Ale co? — spytała pani Maszkowa.

Połaniecki zaś odrzekł bez żadnego zastanowienia:

— Właśnie dziś chciałbym panią dłużej zatrzymać!

— Nie wypada! — odpowiedziała krótko, swoim jakby przecedzonym przez drobne sitko głosikiem.

I w tem: „nie wypada!" była cała jej dusza.

On wrócił, klnąc naprawdę, ją i siebie, a wróciwszy zastał w jasnym, spokojnym pokoju Marynię z Zawiłowskim, dowodzącą, że w małżeństwie winno się szukać nie jakiegoś urojonego szczęścia, ale obowiązków, które Bóg wówczas wkłada.

Digitized by Google

XXVII.

www.libtool.com.cn

— Co mi pani Osnowska, i co mi jej wszystkie sprawki?—mówił sobie nazajutrz Zawiłowski, idąc do pani Broniczowej: ja nie żenię się z panią Osnowską, tylko z *tą moją*! Pocom ja się wczoraj tak szarpał i dręczył?

I rzekłszy to „do swojej duszy wyniosłej", począł już tylko myśleć o tem, co powie pani Broniczowej, albowiem, mimo upewnień Osnowskiego, mimo wszelkiej nadziei, że ta rozmowa będzie tylko jakąś formą, którą trzeba wypełnić, mimo zaufania do serca Linety i dobroci pani Broniczowej, „wyniosła dusza" była w strachu.—Zastał obie panie razem—i już, ośmielony dniem wczorajszym, przycisnął do ust rękę Castelki, która, spłoniwszy się leciuchno, rzekła:

— A ja uciekam!

— Niteczko,—zostań! rzekła pani Broniczowa.

— Nie,—odpowiedziała: boję się i tego pana, i cioci.

Tak mówiąc, poczęła się ocierać swoją złotawą główką, jak rozpieszczona kotka, o ramię pani Broniczowej, powtarzając:

— Ciociu, nie zrób mu krzywdy! nie zrób mu krzywdy.

I spojrzawszy na niego, uciekła rzeczywiście. Zawiłowski ze wzruszenia i nadmiaru miłości blady był jak płótno! a pani Broniczowa miała łzy na rzęsach.

I widząc, że on gardło ma tak ściśnięte, że łatwiej-by mu było płakać, niż mówić, rzekła:

— Ja wiem, po co pan przychodzi. Widziałam ja oddawna, co się u was dzieje—moje dzieci...

Zawiłowski chwycił jej ręce i począł je kolejno do ust przyciskać, ona zaś mówiła dalej:

— Och, ja sama w życiu zbyt wiele czułam, żebym się nie miała znać na prawdziwych uczuciach—powiem więcej: to moja specyalność! Kobiety żyją tylko sercem i umieją serce odgadywać.—Wiem, że pan Niteczkę prawdziwie kocha i jestem pewna, że, gdyby ona pana nie kochała, lub gdybym ja jej panu odmówiła,—toby pan tego nie przeżył—prawda?

Tu poczęła patrzeć na niego pytającym wzrokiem, on zaś rzekł z wysileniem:

— Niechybnie pani! Nie wiem—co-by się ze mną stało!

— A co? ja to zaraz odgadłam!—odrzekła z rozpromienioną twarzą.—Ach, mój drogi panie, mnie dość spojrzeć!—to też nie będę złym duchem dla pańskiego gieniuszu. Nie! ja tego nie zrobię, ja nie mogę tego zrobić! Kogo ja znajdę dla Niteczki? gdzie człowiek, który-by jej

Digitized by Google

był wart? który-by miał w sobie to wszystko, co ona głównie kocha i ceni? Ja jej nie mogę oddać za takiego Kopowskiego i nie oddam, panie! Pan Niteczki może tak dobrze nie zna, jak ja, ale ja nie mogę! i nie oddam!

www.inbook.com.cn

Zawiłowskiego, mimo całego wzruszenia, zdziwiła ta energia, z jaką pani Broniczowa odmawiała ręki „Niteczki" Kopowskiemu, tak, jak gdyby on właśnie Kopowskiego, nie siebie oświadczał, ciocia zaś mówiła dalej, wzruszona, ale widocznie lubująca się we własnych słowach i w położeniu:

— Nie! o Kopowskim mowy być nie mogło!—Pan jeden potrafi uszczęśliwić Niteczkę. Pan jeden potrafi jej dać to, czego ona potrzebuje. Ja już od wczoraj wiedziałam, że pan będzie ze mną dziś mówił... Przez całą noc ani oka nie zmrużyłam.—Niech się pan nie dziwi. Tu przecież o Niteczkę chodzi!—więc wahałam się jeszcze! Strach mnie brał przed dzisiejszą rozmową, bom z góry wiedziała, że się panu nie oprę, że pan porwie mnie swojem uczuciem i swoją wymową, tak jak wczoraj porwał pan Niteczkę...

Zawiłowski, który ani wczoraj, ani dziś, nie umiał słowa wybąkać, nie mógł jakoś zdać sobie sprawy, w czem właściwie leżała siła jego wymowy i kiedy miał czas z nią się popisać; lecz pani Broniczowa nie pozwoliła mu zastanowić się dłużej nad tem pytaniem:

— I wie pan, co zrobiłem! Oto, co zawsze czynię w najważniejszych chwilach życia. Rozmówiwszy się wczoraj z Niteczką, poszłam dziś rano na grób męża! On tu leży, w Warszawie... (Nie wiem, czy panu mówiłam, że on był ostatnim z Rury... a tak! mówiłam!)—Ach, drogi panie, co to dla mnie za ucieczka ten grób—i ile już wyniosłam stamtąd dobrych natchnień!.. Czy chodziło o edukacyę Niteczki, czy o jaką podróż, czy o lokatę kapitałów, które mąż mi zostawił, czy o pożyczkę, której ktoś z krewnych, albo znajomych żądał, ja zawsze tam, jak w dym! I da pan wiarę? Nieraz, hipoteka, zdaje się, dobra, interes doskonały, nieraz nawet serce nakazuje dać, lub pożyczyć—a mąż, tam z głębi wiekuistego spoczynku, powiada: „nie daj!"—i nie dawałam! I nigdy źle na tem nie wyszłam! Ach, drogi panie! pan, który wszystko czuje i rozumie, pan pojmie, jak się dziś modliłam, jak ze wszystkich sił duszy pytałam: „Dać Niteczkę, czy nie dać Niteczki?"

Tu chwyciła go rękoma za skronie i zawołała przez łzy:

— Ale mój Teodor odpowiedział: „dać!"—więc ci ją daję—i moje błogosławieństwo w dodatku!

Łzy zgasiły istotnie dalszą wymowę pani Broniczowej. Zawiłowski klęknął przy niej, panna „Niteczka", która weszła, jakby na umówioną chwilę, rzuciła się przy nim na kolana, pani Broniczowa zaś, wyciągnąwszy ręce, mówiła, łkając:

Digitized by Google

— Ona twoja! twoja! daję ci ją ja, i daje Teodor!

Potem wstali we troje. Ciocia nakryła oczy chustką i pozostała czas jakiś bez ruchu; zwolna jednak poczęła nieco uchylać chustki, spoglądać z boku na oboje młodych; nagle rozśmiała się i, grożąc im palcem, rzekła:

— Oj, wiem ja, czego-by się wam teraz chciało! chcielibyście zostać sami. Pewno macie sobie teraz coś do powiedzenia—prawda?

I wyszła. Zawiłowski wziął wówczas ręce panny Castelli i patrzył z upojeniem w jej oczy.

Poczem siedli, i ona, pozostawiwszy swoje dłonie w jego rękach, oparła skroń na jego ramieniu. Była to jakby pieśń bez słów. Zawiłowski począł pochylać głowę ku jej jasnej twarzy, Lineta przymknęła oczy, ale on zbyt był młody, zbyt nieśmiały, nadto czcił i kochał, więc nie odważył się jeszcze dotknąć ustami ust, tylko całował jej złotawe włosy—a i tak, pokój, w którym siedzieli, począł się z nim kręcić, ziemia poczęła się kręcić; potem wszystko znikło mu z przed oczu, stracił pamięć, gdzie jest, co się z nim dzieje, słyszał tylko bicie własnego serca, czuł woń tych jedwabnych włosów, które muskały jego wargi, i zdało mu się, że w tem jest świat.

Lecz to był tylko sen, z którego trzeba się było zbudzić. Po pewnym czasie ciocia poczęła uchylać lekko drzwi, jakby chcąc jak najmniej stracić z romansu, w którym odegrała, przy pomocy Teodora, rolę opiekuńczego ducha; w przyległym pokoju ozwały się głosy państwa Osnowskich i w chwilę później panna Castelli znalazła się w ramionach cioci, z których przeszła w objęcia pani Anety, Osnowski zaś, ściskając ze wszystkich sił ręce Zawiłowskiego, mówił:

— A jaka radość w domu, jaka radość!—bośmy cię tu wszyscy szczerze pokochali: ja, i ciocia, i Anetka, nie mówiąc już o tej małej.

Poczem zwrócił się do żony i rzekł:

— Wiesz, Anetko, czego ja Ignasiowi jeszcze wczoraj życzyłem? —żeby im tak było ze sobą, jak nam!

I chwyciwszy jej ręce, począł je namiętnie całować. Zawiłowski, jakkolwiek wogóle nie wiedział, co się z nim dzieje, odzyskał jednak o tyle przytomność, że spojrzał w twarz pani Anety; lecz ona odrzekła wesoło, odbierając mężowi ręce:

— Nie! Im będzie lepiej, bo Castelka nie taki trzpiot, jak ja, a pan Zawiłowski nie będzie jej tak natarczywie całował ręki przy ludziach.—No, Józiu, puść!

— Niech ją tylko tak kocha, jak ja ciebie,—mój skarbie, moja dziecinko!—odpowiedział rozpromieniony Józio.

Zawiłowski tego dnia został aż do wieczora u pani Broniczowej i nie poszedł wcale do biura. Po śniadaniu wyjechali powozem wraz

Digitized by Google

z ciocią i panną Linetą, pani Broniczowa bowiem chciała ich koniecznie światu pokazać. Przejażdżka w Aleje niezupełnie się jednak udała, z powodu krótkiego, nawalnego dżdżu, który rozpędził powozy. Po powrocie, pan Osnowski, poczciwy jak zawsze, postawił nowy wniosek, który Zawiłowskiego uszczęśliwił:

— Przytułów nam nie ucieknie, rzekł: mieszkamy tu i tak, jakby w pół na wsi, a że dosiedzieliśmy do końca czerwca, więc możemy posiedzieć jeszcze parę dni. Niechże ta zakochana para zamieni pierścionki przed wyjazdem, a przytem, niech nam z Anetką wolno będzie wyprawić im zaręczynowy wieczorek. Dobrze, ciociu? Widzę, że oni nic nie mają przeciw temu, a Ignasiowi będzie pewno przyjemnie mieć na zaręczynach swoich blizkich, państwa Połanieckich, państwa Bigielów... u tych ostatnich wprawdzie nie bywamy, ale to nic! Jutro będziemy u nich z wizytą i rzecz się załatwi. Dobrze, Ignasiu? dobrze, ciociu?

Ignaś był oczywiście w siódmem niebie, co do cioci, nie wiedziała wprawdzie, jakiego zdania byłby pod tym względem Teodor—i poczęła się wahać. Ale naprzód, można było Teodora jeszcze o to zapytać, a powtóre przypomniała sobie, że tak wielkim głosem odpowiedział ze swego miejsca wiekuistego spoczynku: „Dać!", że niepodobna było mieć wątpliwości co do jego dobrych chęci—w końcu więc zgodziła się na wszystko.

Po obiedzie nadszedł codzienny niemal gość, Kopowski—i okazało się, że był jedyną istotą w willi, której wieść o uczuciach i zaręczynach młodej pary nie sprawiła radości. Twarz jego wyrażała przez jakiś czas niewypowiedziane osłupienie, w końcu zaś rzekł:

— A ja, tobym się nigdy nie był domyślił, że panna Lineta pójdzie za pana Zawiłowskiego.

Pan Osnowski zaś, trąciwszy łokciem Zawiłowskiego, przymrużył oko i rzekł mu po cichu z wielce przebiegłą miną:

— Uważałeś? ja ci wczoraj jeszcze mówiłem, że on się podkochuje w Castelce.

Zawiłowski opuścił późnym wieczorem willę Osnowskich. Wróciwszy do siebie, nie zabrał się jednak do wierszy,—choć zdawało mu się teraz, że jest jakąś harfą, której struny dźwięczą same przez się—ale do biurowej korespondencyi i do rachunków, których we dnie nie mógł odrobić.

W biurze ujęło to wszystkich tak dalece, że gdy państwo Bigielowie po wizycie Osnowskich byli u nich z rewizytą, a zarazem z pierwszemi odwiedzinami u pani Broniczowej, Bigiel rzekł:

— Co są warte wiersze pana Zawiłowskiego, to paniom wiadomo, ale może panie nie wiedzą, jaki to sumienny człowiek. Ja mówię

Digitized by Google

dlatego o tem, że to u nas rzadka rzecz. Wtedy, jak tu u pań bawił cały dzień i nie mógł być w biurze, to je sobie kazał w nocy otworzyć dyżurnemu, zabrał książki i listy do domu i odrobił, co do niego należało. To miło pomyśleć, że się ma z takim człowiekiem do czynienia, bo takiemu można ufać.

Tu jednak zacny wspólnik domu, pod firmą Bigiel i Połaniecki, zdziwił się, że tak wysoka pochwała z jego ust tak małe uczyniła wrażenie i że pani Broniczowa, zamiast okazać radość, odrzekła:

— Ach, mamy nadzieję, że w przyszłości pan Zawiłowski będzie się mógł oddać pracy odpowiedniejszej jego pozycyi i zdolnościom.

Wogóle wrażenie, jakie obie strony odniosły z poznania się, dowodziło, że obydwom było ze sobą jakoś nieswojo. Bigielom podobała się wprawdzie panna Lineta, ale on, odchodząc, szepnął żonie: „Jak oni tu sobie wygodnie żyją." Miał poczucie, że duszą tej całej willi jest jakby ciągłe świętowanie, czyli próżniactwo, ale nie umiał tego odrazu dobrze wyrazić, albowiem nie miał daru prędkiego wyrażania swych myśli.

Pani Broniczowa zaś po ich odejściu mówiła do panny Castelki:

— Zapewne, zapewne!.. To muszą być wyśmienici ludzie—tak!.. doskonali ludzie! jestem pewna... tak!.. zapewne!..

I jakoś nie kończyła swej myśli, ale „Niteczka" musiała ją jednak zrozumieć, albowiem odrzekła:

— Przecie to nie żadni jego krewni.

Ale w kilka dni później odezwali się i krewni.—Zawiłowski, który dotąd, mimo życzenia pani Broniczowej, nie był z przeprosinami u starego pana Zawiłowskiego, odebrał od niego list następujący:

— „Panie Żbiku! Podrapałeś mnie niesłusznie, bo ja cię nie chciał obrazić, a że mówię zawsze to, co myślę, to mi wolno, bom stary. Musieli ci też powiedzieć, że ja twojej pannie w oczy nie mówię inaczej, jak „Półdyable weneckie." Ale Bóg cię tam wiedział, że się kochasz i żenisz. Ja się o tem wczoraj dopiero dowiedział, i teraz dopiero rozumiem, czemuś mi skoczył do oczu; ale że wolę paliwodów, niż ciemięgów, a nie mogę przez tę dyablą pedogrę przyjść sam do ciebie, żeby ci powinszować, przeto przyjdź ty do starego, który ci jest życzliwszy, niż myślisz.

Po takim liście, Zawiłowski poszedł tego samego dnia i został przyjęty z serdecznością cokolwiek mrukliwą, ale tak szczerą, że tym razem stary weredyk podobał mu się naprawdę i że naprawdę poczuł w nim krewnego.

— Niech cię Bóg błogosławi i Najświętsza Panna,—rzekł mu stary: Ja cię mało znam, ale tylem o tobie słyszał, że chciałbym, żebym o wszystkich Zawiłowskich mógł tak słyszeć.

Digitized by Google

I począł ściskać jego rękę, poczem, zwróciwszy się do córki, rzekł:

— I genialna bestya—co?

www.libtool.com.pl

Na odchodnem zaś spytał:

— A cóż „Teodor?"—nie bruździł ci tam zanadto?—co?

Zawiłowski, który, jako artysta, posiadał w wysokim stopniu poczucie śmieszności i któremu w duszy wydał się także ów Teodor komiczny, roześmiał się i odpowiedział:

— Nie. Przeciwnie: był za mną.

A stary począł kręcić głową:

— To dyablo wygodny Teodor! Miej się z nim na baczności, bo to wyga!

Pani Broniczowa miała jednak tyle prawdziwej czci dla majątku i towarzyskiego położenia starego pana Zawiłowskiego, że zaraz na drugi dzień poszła do niego w odwiedziny i poczęła mu niemal dziękować za tak uprzejme przyjęcie krewniaka; ale szlachcic niespodzianie rozgniewał się:

— Cóż to pani myślisz, że ja jaki furfant?—rzekł.—Pani słyszałaś ode mnie, że ubodzy krewni to plaga—i myślisz, że ja mam im to za złe, że goli. Nie!.. Pani mnie nie znasz! Tylko, wiedz pani o tem, że jak szlachcic straci wszystko i zrobi się goły, to najczęściej staje się szują. Takie nasze charaktery, albo raczej, taki ich brak. A ten Ignacy—słyszę zewsząd—porządny człowiek, choć goły, i dlatego go kocham.

— I ja go kocham,—odrzekła pani Broniczowa.—Wszakże pan będzie na zaręczynach!

— C'est décidé. Choćbym się miał kazać zanieść!..

Pani Broniczowa wróciła rozpromieniona i przy śniadaniu nie mogła się powstrzymać od wypowiedzenia przypuszczeń, które jej bujna fantazya poczęła tworzyć:

— Pan Zawiłowski, rzekła, to milionowy człowiek i bardzo przywiązany do nazwiska. Zupełnie-bym się nie dziwiła, gdyby naszego Ignasia zrobił swoim spadkobiercą, jeśli nie w głównej, to przynajmniej w znacznej części, albo gdyby który ze swych majątków w Poznańskiem zmienił dla niego na ordynacyę.—Zupełniebym się nie zdziwiła.

Nikt nie zaprzeczył, bo widziano i takie wypadki na świecie; dlatego po śniadaniu pani Broniczowa, uścisnąwszy Niteczkę, szepnęła jej do ucha:

— Oj, ty, ty!—przyszła pani ordynatowo!

Wieczorem zaś rzekła Zawiłowskiemu:

— Niech się pan nie dziwi, że ja się tak do wszystkiego mieszam, ale ja przecie wasza mama. Otóż mama ogromnie ciekawa, jaki pierścionek pan przygotuje dla Niteczki? Prawda, że to będzie coś ła-

Digitized by Google

dnego? Tyle ludzi będzie na tych zaręczynach!—A przytem nie ma pan pojęcia, co to za malec wybredny! Ona taka nawet w drobiazgach estetyczna—i ma swój własny gust, ale jaki! ho! ho!

— Ja, chciałbym, pani, odpowiedział Zawiłowski, żeby w kamieniach były kolory, oznaczające wiarę, nadzieję i miłość, bo w niej moja wiara, moja nadzieja i moja miłość.

— Bardzo śliczna myśl! mówił pan już o tem z Niteczką?—Wie pan co?—W środku niech będzie perła, na znak, że ona perła. Teraz symbole w modzie. Czy ja panu mówiłam, że pan Swirski, jak jej dawał lekcye, to ją nazywał: „La perla"? A tak, mówiłam panu! Pan nie zna pana Swirskiego? On także... Mówił mi Józio Osnowski, że on dziś jutro przyjeżdża. Więc to szafir, rubin, szmaragd i w środku perełka?.. O tak! pan Swirski także... Czy pan będzie na pogrzebie?

— Na czyim, pani?

— Pana Bukackiego. Bo Józio Osnowski mówił mi, że pan Swirski przywiózł jego ciało.

— Nie znałem go, nigdym go w życiu nie widział.

— To lepiej. Niteczka będzie wolała, że pan go nie znał! Bóg w miłosierdziu swojem może mu przebaczyć, pomimo, że dla mnie nie był nigdy sympatyczny, a Niteczka nie mogła go znosić.—Ale mała będzie rada z pierścionka, a jak ona rada, to i ja rada.

A Mała nietylko była rada z pierścionka, ale z życia wogóle. Rola narzeczonej nabierała dla niej coraz większego uroku. Przyszły śliczne, ogromnie widne noce, w czasie których przesiadywali z Zawiłowskim na balkonie i, przytulając się do siebie, patrzyli na drganie światła na liściach, albo gubili wzrok w srebrnej kurzawie drogi mlecznej i w rojach gwiazd. Od rosnącej pod balkonem akacyi szedł w górę zapach mocny i odurzający, jak z wielkiej kadzielnicy. W nich zmysły zdawały się usypiać, dusze zaś, ukołysane ciszą, same zmienione w czyste światło, rozpraszały się niejako wśród nocnych głębin, stapiały się w jedność z łagodnym blaskiem księżyca—i tak, oboje, siedząc z dłonią w dłoni, w pół-zapamiętaniu, w pół-śnie, zatracali prawie poczucie odrębnego bytu i życia, zachowując tylko pół-świadomość jakiegoś powszechnego szczęścia i powszechnego „sursum corda."

Zawiłowski, gdy się potem rozbudził i wracał do rzeczywistego życia, rozumiał, że takie chwile, w których serce topnieje w owym panteiźmie miłości i bije tem samem tętnem, jakiem drga wszystko, co kocha się, łączy i ładzi we wszechświecie, są najwyższem szczęściem, jakie miłość dać może, i tak niezmiernem, że gdyby trwało dłużej, musiało-by zniszczyć ludzką jednostkę. Lecz, mając duszę idealisty, przypuszczał, że gdy przychodzi śmierć i oczyszcza z materyi monadę ludz-

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

ką, wówczas te chwile zmieniają się w wieczność—i w ten sposób wyobrażał sobie niebo, w którem nic nie jest pochłoniętem, lecz wszystko tylko złączonem i zładzonem z ogólną harmonią.

Panna Lineta nie mogła wprawdzie szybować jego lotem, lecz odczuwała jakby pewien zawrót głowy, jakby pewne upojenie od jego pędu i czuła się także szczęśliwą. Kobieta, nawet niezdolna kochać człowieka, kocha jednakże miłość, a co najmniej, siebie i swoją w niej rolę, i dlatego najczęściej z radością przestępuje próg narzeczeństwa, czując zarazem wdzięczność dla mężczyzny, który otwiera przed nią nowe widnokręgi życia. Przytem, w pannę Linetę wmawiano miłość tak mocno, że w końcu uwierzyła w nią zupełnie.

I raz, gdy Zawiłowski spytał jej, czy jest pewna siebie i swego serca, podała mu obie ręce, jakby z wylaniem, i odrzekła:

— O tak; teraz już wiem, że kocham.

On przycisnął wysmukłe jej palce do ust, do czoła, do oczu, jak coś świętego, ale zaniepokoił się jednak jej słowami i spytał:

— Czemu dopiero „*teraz*" Niteczko? Czy była chwila, w której myślałaś, że nie będziesz mnie mogła pokochać?

Panna Castelli podniosła w górę swe błękitne oczy i zamyśliła się nieco; po chwili w kącikach jest ust i w dołkach twarzy począł się zbierać uśmiech:

— Nie, rzekła, ale ja jestem wielki tchórz, więc się bałam. Ja rozumiem, że kochać pana, to inna rzecz, niż kochać pierwszego z brzegu.

I nagle poczęła się śmiać:

— Och! z panem Kopowskim to było-by simple comme bonjour! ale z panem!.. Może ja nie umiem dobrze tego wyrazić, ale nieraz mi się zdawało, że to tak, jakby wstępować na jakąś górę, albo na jakąś wieżę. Gdy się raz stanie na wierzchołku, widać świat cały, przedtem jednak trzeba iść i iść, i trudzić się, a ze mnie—taki leniuszek!..

Zawiłowski, jak był długi i kościsty, wyprostował się i rzekł:

— Jak mi się mój drogi leniuszek zmęczy, to go wezmę na ręce, jak dziecko, i poniosę choćby najwyżej.

— A ja się będę przytulała, żeby jaknajmniej ciążyć—odpowiedziała Castelka, ściskając ramionka i wchodząc w rolę małego dziecka.

Zawiłowski zaś ukląkł przed nią i począł całować brzeżki jej sukni.

Zdarzały się jednak na tem niebie i chmurki, ale nie oni byli temu winni. Młodemu człowiekowi zdawało się czasem, że jego uczucie nadto jest dozorowane, że i pani Broniczowa, i pani Osnowska zanadto sprawdzają, czy kocha, zanadto rozpatrują, jak kocha. Tłomaczył to sobie wprawdzie ciekawością kobiecą i wogóle zajęciem, jakie w ko-

Digitized by Google

bietach wzbudza miłość, ale wolał-by był mieć więcej swobody i wolał-by był, żeby mu nie pomagano kochać. Uczucie swe uważał za świętość i przykro mu było czynić z niego wystawę dla niepowołanych oczu, a tymczasem śledzono każdy jego ruch i każde słowo. Przypuszczał także, że się muszą potem odbywać kobiece sesye, na których pani Broniczowa z panią Osnowską wydają swoje „approbatur", i ta myśl gniewała go, bo sądził, że obie nie są nawet w stanie zrozumieć jego uczucia.

www.libtool.com.cn

Gniewało go również, że Kopowski został zaproszony do Przytułowa i że wybierał się tam razem ze wszystkimi, ale w tym wypadku chodziło mu tylko o Osnowskiego, którego szczerze polubił. Pozorem do tych zaprosin był niedokończony przez pannę Linetę portret Kopowskiego. Zawiłowski rozumiał teraz jasno, że wszystko stało się tak za namową pani Osnowskiej, która doskonale umiała podsuwać ludziom swoje życzenia, jako ich własne. Chwilami przychodziło mu nawet do głowy prosić pannę Linetę, by zaniechała kończenia tego portretu, ale wiedział, że ją zasmuci tem żądaniem, jako artystkę, a przytem bał się, by go nie posądzono o zazdrość o takiego mydłka, jak „Koposio."

XXVIII.

Swirski przyjechał istotnie z Włoch z ciałem Bukackiego i zaraz na drugi dzień po przyjeździe poszedł do Połanieckich. Zastał jednak tylko Marynię, mąż jej bowiem wyjechał był za rogatki dla oglądania jakiejś wystawionej na sprzedaż kolonii. Marynię znalazł tak zmienioną, że z trudnością ją poznał, ale że w Rzymie polubił ją ogromnie, więc się tylko tem bardziej rozczulił jej widokiem; po chwili zresztą wydała mu się tak wzruszająca i tak w swoim rodzaju piękna w aureoli przyszłego macierzyństwa, a prócz tego, tyle mu nasunęła artystycznych porównań z rozmaitemi „primitivami" rozmaitych szkół włoskich, że, wedle zwyczaju, zaczął głośno swoje zachwyty wypowiadać. Ona śmiała się z jego oryginalności, ale jednak dodał jej pewnej w biedzie otuchy i rada była, że przyjechał,—naprzód dlatego, że czuła szczerą sympatyę dla tej krzepkiej i zdrowej natury, a powtóre, iż była pewną, że się będzie nad nią zachwycał i przy „Stachu", a tem samem podnosił ją w jego oczach.

Zatrzymała go też dość długo, chcąc, by doczekał powrotu Połanieckiego, ten jednak wrócił dopiero późnym wieczorem, a tymczasem nadszedł Zawiłowski, który teraz, potrzebując kogoś, przed kim-by mógł wylewać swój nadmiar szczęścia, odwiedzał panią Połaniecką dosyć często. Przez chwilę obaj ze Swirskim spoglądali na siebie z pe-

Digitized by Google

wną ostrożnością, jak się zwykle zdarza ludziom wybitnym, którzy wzajem obawiają się wygórowanych pretensyi, a natomiast tem łatwiej przystają do siebie, gdy spostrzegą, że obaj są prości. Tak stało się i z nimi. Do złamania lodów przyczyniła się także i Marynia, przedstawiając Zawiłowskiego, jako narzeczonego znajomej Swirskiemu panny Castelli.

— Jakże!—zawołał Swirski: znam doskonale. To moja uczennica! I począł ściskać ręce Zawiłowskiego, poczem mówił:

— Pańska narzeczona ma tycyanowskie włosy... Trochę za wysoka, ale i pan wysoki.—Takiego osadzenia głowy ze świecą szukać! Pan naturalnie musiał zauważyć, że ona ma w ruchach coś łabędziego. Ja nawet nazywałem ją Łabędziem.

A Zawiłowski uśmiechnął się tak szczerze i wesoło, jak człowiek, przed którym chwalą to, co najwięcej w życiu kocha, i rzekł z odcieniem chełpliwości:

— „La perla"—pamięta pan?

Swirski spojrzał na niego z pewnem zdziwieniem:

— To jest taki obraz Rafaela w Madrycie—odpowiedział—w Museo del Prado. Skąd panu przyszła na myśl „La perla"?

— Zdaje mi się, żem o niej coś od tych pań słyszał, rzekł zbity nieco z tropu Zawiłowski.

— A tak, być może, bo ja mam u siebie w pracowni, na via Margutta, kopię własnej roboty.

Zawiłowski powiedział sobie w duchu, że jednak trzeba być więcej ostrożnym w powtarzaniu słów pani Broniczowej, i po niejakim czasie począł się zbierać, szedł bowiem na wieczór do narzeczonej. Swirski podążył wkrótce za nim, zostawiwszy Maryni adres swojej warszawskiej pracowni i prosząc, by Połaniecki zobaczył się z nim w sprawie pogrzebu jak najprędzej.

Jakoż Połaniecki wybrał się do niego zaraz nazajutrz rano. Pracownia Swirskiego stanowiła rodzaj szklanej halli, przyczepionej jak gniazdo jaskółcze do dachu jednego z kilkupiętrowych domów, i trzeba było do niej iść osobnemi krętemi schodami, jak na wieżę. Natomiast artysta miał w niej zupełną swobodę i widocznie nie zamykał drzwi, albowiem Połaniecki, idąc do góry, usłyszał tępy dźwięk żelaziwa i basowy głos śpiewający:

„Wiosna ciepłem na świat chucha,
„Kwitną ciernie i rzeżucha,
„A ja śpiewam, zamiast szlochać,
„Bom cię także przestał kochać!
Hu-ha-hu!!

Digitized by Google

— Dobrze, pomyślał Połaniecki, przystając dla nabrania tchu: ma bas, bo ma! ale czem on, u licha, tak szczęka?

www.libtool.com.cn

Lecz przeszedłszy resztę schodów, a następnie mały korytarzyk, zrozumiał powód, ujrzawszy przez odemknięte drzwi Swirskiego, przybranego do pasa tylko w siatkową koszulkę, z pod której przeglądał jego herkulesowy tors—i z hantlami w ręku.

— O! jak się pan ma!—począł wołać Swirski, kładnąc hantle na widok gościa.—Przepraszam, żem nieubrany, ale to nic; przytem się trochę hantlowałem. Wczoraj zaraz byłem u państwa, ale zastałem tylko panią. Cóż panie! przywiozłem naszego biednego Bukacyusza! A chata dla niego gotowa?

Połaniecki odrzekł, ściskając ręce malarza:

— Grób skończony od dwóch tygodni—i krzyż już stoi.—Serdecznie witamy tu pana w Warszawie!—Mówiła mi żona, że ciało jest już na Powązkach.

— Tymczasem w krypcie kościelnej. Jutro go pochowamy.

— Dobrze. Ja dziś jeszcze zamówię księży i dam znać znajomym. Co tam porabia profesor Waskowski?

— Miał pisać do was. Upały wypędziły go z Rzymu i wiesz pan gdzie pojechał? oto między najmłodszych aryjczyków. Mówił, że podróż zajmie mu ze dwa miesiące. Chce się przekonać, o ile gotowi są do jego historycznej misyi. Pojechał na Ankonę i Fiume, a potem dalej i dalej!..

— Biedny profesorzysko. Myślę, że go czekają nowe zawody.

— To być może. Ludzie się z niego śmieją. Ja, wiesz pan, nie wiem, o ile najmłodsi z Aryjów są zdolni do spełnienia jego idei—ale sama idea jest, dalibóg, tak niepospolita i chrześciańska, i prawdziwa, że trzeba być takim Waskowskim, żeby się na nią zdobyć. Pozwolisz pan, że się ubiorę. Upały tu u was bez mała, jak we Włoszech, i gimnastykować się lepiej w samym kaftaniku.

— A najlepiej wcale się nie gimnastykować w takie gorąco.

Tu Połaniecki spojrzał na ramiona Swirskiego i rzekł:

— No, ale pan, to mógł-byś się za pieniądze pokazywać.

— Co?—rzekł Swirski: bicepsy niezłe! A obacz pan te deltoidey. To moja próżność. Bukacyusz znowu powtarzał, że może mi każdy powiedzieć, że maluję, jak idyota, ale nie wolno nikomu, że nie podniosę stu kilo jedną łapą, albo, że nie zrobię dziesięciu musz w dziesięciu strzałach.

— I taki człowiek nie przekaże swoich bicepsów, ani deltoideów potomstwu.

— Ha! cóż robić!.. Boję się, panie, niewdzięcznego serca; jak Boga kocham, tak się boję! Znajdź mi pan taką drugą, jak pani Połaniecka,

Digitized by Google

to nie będę się i dnia namyślał. Ale!.. Czego mam życzyć? syna, czy córki?

www.libtool.com.cn

— Córki, córki!.. potem niech będą synowie, ale pierwsza, niech będzie córka.

— A kiedy się spodziewacie?

— Jakoby w grudniu.

— Daj Boże szczęśliwie. Pani zresztą zdrowa kobieta, więc nie ma się czego bać.

— Ogromnie się zmieniła—prawda?

— Ona jest inna, niż była, ale daj Boże najpiękniejszym tak wyglądać. Co to za wyraz! Czysty Botticeli! daję słowo! Czy pan pamięta ten jego obraz, w willi Borghese? Madonna col Bambino e angeli. Tam jest jedna głowa anioła, trochę pochylona, ubrana w lilie: zupełnie pani! zupełnie ten sam wyraz. Wczoraj mnie to odrazu uderzyło— i ażem się wzruszył.

To rzekłszy, poszedł za parawan, by wdziać koszulę i z za parawana mówił dalej:

— Pan pytasz, czemu ja się nie żenię! A wie pan, czemu? Bo nieraz mi się przypomina, że Bukacyusz także powtarzał, że ja mam ostry język i twarde bicepsy, a maślane serce,—takie głupie,—że gdybym miał taką żonę, jak pańska, i gdyby ta żona była w tym stanie, to dalibóg, nie wiem, co-bym zrobił? czy chodził-bym przed nią na kolanach, czy czołem bił, czy stawiał gdzie w kącie na stole i adorował z podniesionemi rękoma—dalibóg nie wiem!

Połaniecki począł się śmiać:

— Ej! odrzekł: to się tylko tak zdaje—przed ślubem, a potem samo przyzwyczajenie miarkuje zbytek czułości.

— Nie wiem. Może ja taki głupi.

— Wie pan co? Jak już moja Marynia będzie wolna, trzeba, żeby dla pana znalazła żonę taką, jak sama.

— Zgoda!!—huknął z za parawana Swirski: Verbum! Oddam się pani w ręce i jak mi powie: „żeń się!"—tak się żenię z zamkniętemi oczami.

I wyszedłszy jeszcze bez surduta, począł powtarzać:

— Zgoda! zgoda!.. Bez żartów! Byle pani zechciała.

— Kobiety zawsze to lubią!—odpowiedział Połaniecki: żebyś pan był widział naprzykład, co taka Osnowska wyrabiała, żeby naszego Zawiłowskiego ożenić z panną Castelli! A i Marynia jej pomagała— tyle, ile pozwoliłem! I ona uszkami strzygła. Kobietom w to graj!

— Poznałem wczoraj u państwa tego Zawiłowskiego. Ogromnie miły chłopak. I to poprostu gienialny łeb. Dość na niego spojrzeć. Co

Digitized by Google

to za profil, z tem kobiecem czołem i z tą zuchwałą szczęką. Ma za długie piszczele i kolana musi mieć grubo wiązane, ale głowa pyszna!

— To nasz Benjaminek w biurze i naprawdę ogromnie go kochamy, to przytem poczciwa natura.

— Aha! To on jest waszym urzędnikiem? A ja myślałem, że to z tych bogatych Zawiłowskich, bom za granicą widywał dość często jakiegoś starego oryginała bogacza.

— To jego krewny, rzekł Połaniecki: ale ten nasz nie ma złamanego szeląga.

A Swirski począł się śmiać:

— Jakże! stary Zawiłowski z córką, milionową jedynaczką! pyszna figura! Koło panny kręciło się tam we Florencyi i w Rzymie z pół tuzina porujnowanych książąt włoskich, a stary gadał, że córki za obcego nie da—„*bo to, panie, kiepściejsza rasa.*" Wyobraź pan sobie, że on nas uważa za pierwszą na świecie rasę, a między nami, pewno Zawiłowskich,—i kiedyś dowodził tego tak: „Niech sobie (powiada) gadają co chcą! ja się dosyć najeździł po świecie i ilu to Niemców, Włochów, Anglików, Francuzów, czyściło mi bóty, a ja (powiada) bótów nikomu nie czyścił, i nie będę!

— Dobry!—odpowiedział, śmiejąc się, Połaniecki: to czyszczenie bótów uważa, nie za kwestyę pozycyi w świecie, tylko narodowościową.

— Tak, i zdaje mu się, że Pan Bóg po to wyłącznie stworzył inne „nacye", żeby szlachcicowi z pod Kutna miał kto wyczyścić bóty, jak mu się podoba wyjechać za granicę.—A czy on nie kręci nosem na małżeństwo młodego, bo to wiem, że on Broniczów uważał za hetkę pętelkę.

— Może i kręci, ale on się z naszym Zawiłkiem niedawno poznał,—przedtem nie widywali się, bo nasz to harda dusza i nie chciał pierwszy szukać starego.

— To go lubię. Byle tylko dobrze trafił, bo to...

— Co? Pan zna pannę Castelli, co to za dziewczyna?

— Ja znam pannę Castelli, ale, widzisz pan, nie znam się na pannach. Ba! żebym się na nich znał, tobym nie doczekał czterdziestki w kawalerskim stanie... One wszystkie dobre i wszystkie mi się podobają; tylko jak kilka z tych, które mi się podobały, widziałem potem mężatkami—tak teraz żadnej nie wierzę. I złości mnie to—bo, żebym nie miał ochoty się żenić—no! to powiedział-bym: mniejsza z tem!—ale mam! Co ja mogę wiedzieć? Wiem, że każda ma gorset, ale jakie tam serce w tym gorsecie—licho wie! A w pannie Castelli się kochałem, bo zresztą, ja się we wszystkich kochałem, którem spotkał. W tej, może nawet więcej, niż w innych.

Digitized by Google

— I co? i jakoś jednak żeniaczka nie przyszła panu do głowy?

— Licha tam nie przyszła! Tylko wówczas nie miałem tych pieniędzy, co dziś, ni tego rozgłosu—byłem na dorobku, a wierz mi pan, że ludzi na dorobku nikt się tak nie boi, jąk dorobkiewicze.—Bałem się, że mi pan Bronicz, albo pani Broniczowa minę zrobi, a że panny nie byłem pewny, więc dałem spokój.

— Zawiłowski też przecie nie ma pieniędzy.

— Ale głośno o nim i przytem jest stary Zawiłowski—a to koligacya nie żartem. Kto o starym u nas nie słyszał? Zresztą co do mnie, mówiąc szczerze, nie smakowali mi Broniczowie do tego stopnia, żem w końcu machnął ręką.

— To pan i nieboszczyka znał? Niech pan się nie dziwi, że ja tak wypytuję, bo mi idzie o naszego Zawiłka.

— Panie, kogo ja nie znałem? Znałem i siostrę pani Broniczowej, panią Castelli. Przecie ja od dwudziestu czterech lat siedzę we Włoszech—a o czterdziestce, to się tak mówi dla okrągłości. Naprawdę to mam czterdziesty piąty.—Znałem i pana Castellego, który był zresztą dobry człowiek; znałem wszystkich. Cóż panu powiedzieć? pani Castelli była egzaltowana kobieta, a odznaczała się tem, że nosiła krótkie włosy, że była zawsze nie umyta i miała newralgię w twarzy. Co do pani Broniczowej, tę pan znasz.

— A kto był pan Bronicz?

— „Teodor?"—Pan Bronicz był dubeltowy dureń, raz dlatego, że był durniem, a powtóre, że się za niego nie miał. Zresztą milczę, bo: „de mortuis nihil, nisi bene."—był o tyle tłusty, o ile ona chuda; ważył podobno przeszło sto pięćdziesiąt kilo i miał rybie oczy.—Wogóle to byli ludzie przedewszystkiem próżni. Co tu się rozwodzić! Jak człowiek długo żyje na świecie i dużo ludzi widuje, a gada z nimi tak, jak ja gadam przy malowaniu, to się przekonywa, że istnieje prawdziwy wielki świat, który się wspiera na tradycyi, a prócz tego istnieje kanalia, która, mając trochę grosiwa, udaje wielki świat. Otóż nieboszczyk Bronicz i jego dzisiejsza wdowa zawsze mi trochę trącili tym gatunkiem, dlatego wolałem się trzymać z daleka. Ot, żeby Bukacki żył, tenby dopiero rozpuścił język ich kosztem. On wiedział, że ja się kochałem w Castelli, i co się ze mnie nadrwił, niech mu Bóg nie pamięta—a kto wie, czy słusznie, bo kto jest panna Lineta, to się dopiero pokaże.

— Mnie najbardziej chodziło, odrzekł Połaniecki, żeby się właśnie o niej coś dowiedzieć.

— Wszystkie dobre, wszystkie dobre! tylko ja ich się boję, razem z ich dobrocią. Chyba mi pańska żona za którą zaręczy.

Digitized by Google

Na tem rozmowa się urwała i poczęli mówić o Bukackim, a raczej o jutrzejszym jego pochówku, do którego Połaniecki porobił już poprzednio wszelkie przygotowania.—Wyszedłszy od Swirskiego, zamówił jeszcze księży, a następnie dał znać znajomym o jutrzejszej godzinie.

Kościelny obrządek pogrzebowy był już odprawiony w swoim czasie w Rzymie, więc Połaniecki wezwał tylko kilku duchownych, jako człowiek religijny, by modlitwy swoje połączyli z modlitwami obecnych. Uczynił też to także przez przywiązanie i wdzięczność dla Bukackiego, który mu zostawił znaczną część swego majątku.

Prócz obojga Połanieckich, przybyli państwo Maszkowie, Osnowscy, Bigielowie, Swirski, pan Pławicki i pani Emilia, która chciała odwiedzić zarazem Litkę. Dzień był prawdziwie letni, słoneczny i znojny. Cmentarz wyglądał zupełnie inaczej, niż za poprzednich bytności Połanieckiego. Wybujałe ogromnie drzewa stanowiły jakby zbitą, gęstą, złożoną z ciemniejszych i jaśniejszych liści, zasłonę, pokrywającą głębokim zielonym cieniem białe i szare pomniki. Miejscami cmentarz wydawał się wprost lasem, pełnym mroku i chłodu. Na niektórych grobowcach drgała świetlista sieć promieni słonecznych, przecedzonych przez liście akacyi, topoli, grabów, bzów i lip; inne krzyże, zatulone w gąszcz, zdawały się drzemać w chłodzie, nad mogiłami. W gałęziach i wśród liści rojno było od ptasiego drobiazgu, który odzywał się ze wszystkich stron nieustannym świegotem, łagodnym i jakby umyślnie przyciszonym, by śpiących nie budzić.

Swirski, Maszko, Połaniecki i Osnowski wzięli na ramiona wązką trumnę ze szczątkami Bukackiego i poczęli ją nieść do przygotowanego grobu. Księża, w białych komżach, które to rozbłyskały w słońcu, to gasły, szli przed trumną, za nią czarno ubrane młode kobiety i cały ten orszak posuwał się zwolna przez cieniste aleje, cicho, spokojnie, bez łkań i łez, towarzyszących zwykle pogrzebom, tylko z powagą i smutkiem, który tem był na ich twarzach, czem cień od drzew na grobowcach. Była w tem wszystkiem jednak jakaś pełna melancholii poezya—i wrażliwa dusza Bukackiego potrafiła-by odczuć wdzięk tego żałobnego obrazu.

W ten sposób przyszli do grobowca, który miał kształt sarkofagu i cały był wzniesiony nad ziemię, Bukacki bowiem mówił był za życia Swirskiemu, że nie chce leżeć w piwnicy. Trumnę łatwo wsunięto przez żelazne drzwi do środka, poczem oczy kobiet wzniosły się ku górze, usta poczęły szeptać modlitwy, i po chwili zostawiono Bukackiego cmentarnej samotności, drzewom szumiącym, świegotowi ptactwa i Bożemu miłosierdziu.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Pani Emilia i Połanieccy poszli następnie do Litki; reszta towarzystwa czekała na nich w powozach przed kościołem, bo tak sobie życzyła pani Osnowska.

Połaniecki miał sposobność przekonać się przy grobie Litki, jak dalece ta, tak bardzo niegdyś kochana dziecina, zbłękitniała mu już w duszy i rozwiała się w cień. Niegdyś, ilekroć odwiedzał jej grób, tylekroć buntował się przeciw jej śmierci i nie zgadzał się na nią, z całą namiętnością świeżego żalu. Dziś wydało mu się rzeczą prawie naturalną, że ona tu sobie leży w cieniu tych drzew, na tym cmentarzu; miał niemal poczucie, że tak musiało się skończyć; przestała być dla niego prawie zupełnie realną istotą, a stała się tylko słodką mieszkanką pamięci, westchnieniem, światłem—rodzajem jeno takiego wspomnienia, jakie zostawia muzyka.

I był-by się może oburzył na siebie, gdyby nie to, że spostrzegł, iż pani Emilia wstała po odmówionej modlitwie z twarzą pogodną, z wyrazem wielkiej tkliwości w oczach, ale bez łez. Zauważył przytem jednak, że wygląda jak osoby chore, że z trudnością podniosła się z klęczków i że, idąc, wspiera się na lasce. Jakoż ona była już w początkach ciężkiej choroby krzyża, która później na kilka lat przykuła ją do łóżka i puściła dopiero do trumny.

Przed bramą cmentarną czekali na nich Osnowscy; pani zaprosiła ich na jutro na wieczorek zaręczynowy Zawiłowskiego, a potem „kto łaskaw," do Przytułowa.

Swirski siadł wraz z panią Emilią do powozu Połanieckich i przez czas jakiś zbierał w milczeniu wrażenia, a wreszcie rzekł:

— Jakie to dziwne! Dziś byliśmy na pogrzebie, jutro będziem na zaręczynach: co śmierć wykosi, miłość posieje i to jest życie!

XXIX.

Zawiłowski życzył sobie, by jego zaręczyny odbyły się, nie wieczorem, przy ludziach, tylko przedtem, i stało się zadość jego woli, tem bardziej, że Castelka, która chciała przed ludźmi ukazać się już jako narzeczona, poparła go wobec cioci Broniczowej. Było im tak swobodniej i gdy ludzie poczęli się schodzić, oboje występowali już, jako młoda para. Od panny Linety bił blask szczęścia. Sama znajdowała urok w roli narzeczonej i rola dodawała jej uroku. W wysmukłej jej postawie było coś skrzydlatego; powieki nie zapadały jej dziś sennie na oczy; źrenice były świetliste, usta w uśmiechach, twarz w rumieńcach. Była tak ładna, że Swirski, ujrzawszy ją, nie mógł się jednak

Digitized by Google

wstrzymać od kilku cichych westchnień za rajem utraconym, i odzyskał pogodę duszy, dopiero wówczas, gdy przypomniał sobie swoją ulubioną piosnkę:

www.libtool.com.cn

„A ja śpiewam, zamiast szlochać,
„Bom cię także przestał kochać!
Hu-ha-hu!

Zresztą wszystkich dziś uderzała jej piękność. Stary pan Zawiwiłowski, który się kazał na swoim fotelu wnieść do salonu, zatrzymał jej ręce i przez jakiś czas patrzył na nią, poczem, oglądając się za córką, rzekł:

— No! że takie „pół-dyable weneckie" może głowę zawrócić, to może, a zwłaszcza poecie, bo to panie, jak powiadają, u nich w głowach: fiu! fiu!

Poczem zwrócił się do młodego i spytał:

— A co? nie skręcisz mi dziś karku, żem na nią powiedział: „pół-dyable weneckie"?

Zawiłowski zaś rozśmiał się i, pochyliwszy głowę, pocałował w ramię staruszka:

— Nie; dziś bym nie mógł nikomu skręcić karku.

— No! rzekł stary, widocznie uradowany z tej oznaki czci: Niech wam Bóg i Najświętsza panna błogosławi. Mówię: i Najświętsza Panna!—bo Jej opieka, to grunt!..

To rzekłszy, począł szukać za sobą w fotelu i wydobywszy duże jubilerskie pudełko, mówił do Linety:

— A to od rodziny Zawiłowskich: daj ci Boże długo nosić.

Castelka, wziąwszy pudełko, przegięła swą wdzięczną postać, by również pocałować go w ramię, on zaś objął ją za szyję, i rzekł do młodego:

— Choć-że i ty!

I ucałował oboje w czoło, z większem wzruszeniem, niż chciał okazać, mówiąc przytem:

— A kochajcie-że się i szanujcie, jak uczciwi ludzie.

Panna Lineta otworzyła następnie pudełko, w którem na szafirowej aksamitnej podścieli rozbłysła brylantowa wspaniała rywiera. Stary powtórzył raz jeszcze z naciskiem: „od rodziny Zawiłowskich" —chcąc widocznie okazać, że panna, która wychodzi za Zawiłowskiego, nawet nie mającego majątku, nie robi jednak złego interesu. Ale nikt go nie słuchał, gdyż głowy młodych pań: pani Linety, pani Osnowskiej, pani Maszkowej, pani Bigielowej i nawet Maryni, pochyliły się zwartym wiankiem nad migotliwemi kamieniami i usta wstrzymywały

Digitized by Google

czas jakiś oddech, nim wreszcie szmer podziwu i pochwał przerwał milczenie.

— Nie o te brylanty chodzi!—wołała pani Broniczowa, rzucając się niemal w objęcia starego pana Zawiłowskiego: ale jaki dar, takie serce!

A staruszek bronił się i powtarzał:

— Daj pani spokój! daj pani spokój!..

Poczem towarzystwo rozbiło się na pary, lub małe gromadki: Narzeczeni zajęli się tak sobą, że cały świat zginął im z oczu; Osnowski ze Swirskim przysunęli się do Maryni i pani Bigielowej, Kopowski jął zabawiać panią domu, a Połaniecki panią Maszkową. Co do samego Maszki, chodziło mu widocznie o bliższe poznanie się ze starym Krezusem, bo zastawił go tak krzesłem, że nikt nie mógł się do niego zbliżyć, i począł z nim rozmowę o czasach dawnych i dzisiejszych, która, jak łatwo odgadł, stanowiła ulubiony temat dla staruszka.

Był jednak nadto sprytny, by być we wszystkiem jego zdania. Pan Zawiłowski zresztą nie zawsze napadał na nowe czasy, owszem, w części je podziwiał, w części uznawał, że pod wielu względami idą ku lepszemu, ale swoją drogą nie chciały mu się w głowie pomieścić, Maszko zaś tłómaczył mu, że wszystko na świecie musi się zmieniać, zatem, tak dobrze szlachta, jak inne warstwy ludzi.

— Ja, szanowny panie, mówił, trzymam się roli, przez jakieś dziedziczne instynkta, przez to coś, co człowieka, który z ziemi wyszedł, do ziemi ciągnie—ale, administrując własnym majątkiem, jestem przytem adwokatem i jestem poniekąd z zasady, bo trzeba, żebyśmy mieli swoich w tej gałęzi. Inaczej zostaniemy na łasce i niełasce ludzi, pochodzących z innej sfery i często wprost przeciw nam uprzedzonych. I muszę naszym ziemianom oddać tę sprawiedliwość, że po większej części rozumieją to dobrze i dlatego wolą powierzać swoje interesa mnie, niż innym.—Niektórzy poczytują to sobie nawet poniekąd za obowiązek.

— To tam, panie, w palestrze zawsze bywali nasi, odpowiedział pan Zawiłowski, ale w innych fachach, czy szlachcic da sobie radę—dalibóg nie wiem! Słyszę ja to, słyszę, żeśmy się powinni do wszystkiego brać, tylko ludzie zapominają, że brać się, a wskórać, to dwie rzeczy różne. Pokaż mi pan takiego, co by wskórał.

— A ot, masz szanowny pan, takiego Połanieckiego: ten na domu komisowo-handlowym zrobił wcale duży majątek i co ma, to w gotowiźnie, tak, że jutro mógłby wszystko na stół położyć. Sam on szanownemu panu nie zaprzeczy, że rady moje często były mu przydatne, ale jednak co zrobił, to zrobił przez handel—głównie zbożem.

Digitized by Google

— Proszę! proszę!—rzekł pan Zawiłowski, patrząc na Połanieckiego i wytrzeszczając trochę ze zdziwienia oczy: naprawdę zrobił majątek? Proszę... Jeśli z prawdziwych Połanieckich,—to dobra rodzina.

www.libtool.com.cn

— A tamten, brunet, krępy,—to malarz Swirski.

— To wiem, bom go za granicą widywał. I Swirscy, panie,w piecach nie palili... Ale on może sobie tylko wymalował pieniądze, bo przecie chyba ich nie zrobił?

— Licha tam, nie zrobił!—rzekł poufałym tonem Maszko. Niejeden gruby majątek podolski tyle nie daje, ile jemu akwarelle.

— Co takiego?

— Obrazy, wodną farbą...

— Proszę! nawet nie olejne!.. I ten także?.. Ha! to może i mój krewniak dorobi się na wierszach... Niech pisze! niech pisze. Ja mu tego nie będę brał za złe... Pan Zygmunt był szlachcic i pisywał—i to, panie, nie od parady! Pan Adam był także szlachcic—a głośno o nim —głośniej, niż o tym trzecim furfancie, co to się bawił w demokracyę... Jakże mu tam? Mniejsza z tem! Mówisz pan, że się czasy zmieniają? Hm, proszę!.. Niech się tam i zmieniają, byle z pomocą bożą, na lepsze.

— Główna rzecz, rzekł Maszko, by nie więzić ni zdolności w głowach, ni kapitałów w kasach, bo kto tak czyni, ten wprost grzeszy przeciw społeczeństwu.

— A, to za pozwoleniem! Jakże to pan rozumiesz? To mi nie wolno zamknąć na klucz tego co moje, tylko mam zostawić szufladę otworem dla złodziei?

Maszko uśmiechnął się z odcieniem wyższości, i położywszy rękę na poręczy fotela, rzekł:

— Nie o to chodzi, szanowny panie.

I następnie zaczął wykładać panu Zawiłowskiemu zasady ekonomii politycznej, których stary szlachcic słuchał, kiwając głową i powtarzając od czasu do czasu: „proszę! to coś nowego!—ale ja i bez tego rady sobie dawał!"

Pani Broniczowa zaś wodziła rozrzewnionemi oczyma za parą narzeczonych, a jednocześnie opowiadała panu Pławickiemu, (który znów wodził niemniej rozrzewnionemi oczyma za panią Osnowską) swoje lata młodości, pożycie z Teodorem i nieszczęście, jakie ich spotkało z powodu przedterminowego przyjścia na świat jedynego ich potomka. Pan Pławicki słuchał z dystrakcyą, lecz ona w końcu, wzruszywszy się własnem opowiadaniem, mówiła nieco drżącym głosem:

— Tak więc cała moja miłość, nadzieja i wiara w Linetce! Pan to zrozumie, bo pan ma także córkę! A co do Lola, niech pan pomyśli, jakiem błogosławieństwem byłoby to dziecko, gdyby żyło, skoro nawet i potem tyle oddawało nam usług...

Digitized by Google

— Ogromnie wzruszające! ogromnie wzruszające!—przerwał pan Pławicki.

— O, tak!—mówiła dalej pani Broniczowa.—Ileż-to razy, w czasie żniw, mój mąż wbiegał do mnie z okrzykiem: „Lolo monte!" i wysyłał wszystkie siły robocze w pole. U innych pszenica porastała w kopach, u nas nigdy. O tak! I to była tem większa strata, że to była ostatnia nadzieja! Mój mąż był człowiek w wieku—i mogę rzec, że był dla mnie najlepszym opiekunem, ale po tem nieszczęściu,—tylko opiekunem.

— Tu go przestaję rozumieć,—rzekł pan Pławicki...—Hel hel zupełnie go nie rozumiem!..

I otworzywszy usta, spojrzał figlarnie na panią Broniczową, ta zaś uderzyła go z lekka wachlarzem i rzekła:

— Nieznośni są ci mężczyźni: dla nich niema nic świętego!

A Swirski pytał tymczasem Maryni:

— Co to za istny Perugino—ta blada osoba, z którą rozmawia mąż pani!

— To nasza znajoma, pani Maszkowa. Czy pan jej nie był przedstawiony?..

— Owszem. Poznałem ją jeszcze wczoraj na pogrzebie, ale zapomniałem nazwiska. Wiem, że to żona tego pana, który rozmawia ze starym panem Zawiłowskim. Czysty Vannucil.. Ten sam kwietyzm i trochę żółtawa. Ale ona ma bardzo piękne linie.

I popatrzywszy jeszcze chwilę, dodał:

— Twarz zgaszona, ale nadzwyczajne linie całej figury. Niby szczupła! niech jednak pani zauważy rysunek ramion i pleców.

Ale Marynia nie patrzyła na rysunek ramion i pleców pani Maszkowej, tylko na męża—i na twarzy jej odbił się nagle niepokój. Połaniecki pochylał się właśnie w tej chwili do pani Maszkowej i mówił do niej coś, czego Marynia nie mogła dosłyszeć, siedzieli bowiem z daleka, ale wydało się jej, że on spogląda na tę zgaszoną twarz i w te blade oczy takim wzrokiem, jakim w czasie ich podróży poślubnej spoglądał chwilami na nią. Ach! ona znała ten wzrok! I serce poczęło teraz bić w niej, jakby w poczuciu jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa. Natychmiast jednak powiedziała sobie: „to nie może być! to byłoby niegodne Stacha."—Nie mogła się wszelako powstrzymać, żeby na nich nie patrzeć. Połaniecki mówił coś bardzo żywo, czego pani Maszkowa słuchała ze zwykłą sobie obojętnością. Marynia zaś pomyślała znowu: „Co mi się uwidziało!—mówi żywo, jak on zawsze, ale nic więcej." Resztę jej wątpliwości rozproszył Swirski, który, czy to dlatego, że zauważył jej niepokój i badawczy wzrok, czy nie poznawszy się istotnie na wyrazie twarzy Połanieckiego, rzekł:

Digitized by Google

— Z tem wszystkiem ona nic nie mówi. Mąż pani musi podtrzymywać rozmowę i wygląda jakby się razem nudził i złościł.

Twarz Maryni rozpromieniła się w jednej chwili:

— O to pan ma słuszność! Stach z pewnością trochę się nudzi, a on jak tylko się nudzi, tak zaraz zły.

I wpadła w doskonały humor. Oddała-by teraz taką rywierę brylantową, jaką pan Zawiłowski podarował Castelce, by ten Stach zbliżył się w tej chwili do niej i żeby mu mogła powiedzieć i usłyszeć od niego jakie dobre słowo. Jakoż w kilka minut później stało się zadość jej życzeniu, albowiem do pani Maszkowej przybliżył się pan Osnowski, Połaniecki zaś wstał, po drodze rzekł parę słów do pani Osnowskiej, rozmawiającej z Kopowskim, i wreszcie siadł przy żonie.

— Czy ty chcesz mi co powiedzieć?—spytał.

— Jakie to dziwne, Stachu!—rzekła Marynia—bo ja w tej chwili wołałam na ciebie, ale tylko w myśli, a tyś to jednak odczuł i przyszedłeś.

— A widzisz, jaki ze mnie mąż! — odpowiedział z uśmiechem. — Ale naprawdę, to przyczyna jest bardzo prosta: zauważyłem, że na mnie patrzysz, zląkłem się, czy ci co nie jest i przyszedłem.

— Ja patrzę, bo—bo mi tęskno.

— A ja przychodzę, bo mi tęskno.—Jak ty się czujesz? powiedz szczerze? może chciałabyś do domu?

— Nie, Stachu, doskonale mi jest, jak cię kocham. Mówiliśmy z panem Swirskim o pani Maszkowej i bawiłam się doskonale.

— Domyślam się, żeście ją obmawiali. Ten oto artysta sam o sobie mówi, że ma zły język.

— Przeciwnie — odpowiedział Swirski. — Tym razem podziwiałem tylko jej figurę. Na zły język może przyjść kolej później.

— O tak — rzekł Połaniecki — pani Osnowska mówi, że ona ma właśnie niedobrą figurę i to jest dowód, że ma dobrą. Ale! Marychna, powiem ci coś o pani Osnowskiej.

Tu pochyliwszy się do żony, rzekł po cichu:

— Wiesz co po drodze słyszałem z ust Kopowskiego, idąc tu do ciebie?

— Co? coś zabawnego?

— Jak kto uważa: słyszałem, jak mówił do pani Anety: „ty."

— Stachu!

— Jak ciebie kocham! Powiedział jej: „tyś zawsze taka!"

— Może cytował jakie cudze słowa.

— Nie wiem! Może, ale może i nie. Oni się przecież niegdyś podobno kochali.

— Fe! wstydź się.

Digitized by Google

— Powiedz to im — a raczej pani Anecie.

Marynia, która wiedziała doskonale, że przeniewierstwo istnieje, ale uważając je raczej za jakąś książkową francuską teoryę, ani się spodziewała, by je można było napotkać na każdym kroku i w praktyce, poczęła teraz spoglądać na panią Anetę ze zdziwieniem, a przytem z taką ogromną ciekawością, z jaką kobiety uczciwe spoglądają na te, które miały odwagę zejść z gościńca na boczne ścieżki. Miała jednak zbyt prawą naturę, by uwierzyć odrazu w zło — i nie chciało się jej jakoś w głowie pomieścić, żeby mogło coś być naprawdę między tą parą, choćby ze względu na niesłychaną głupotę Kopowskiego. Zauważyła wszelako, że rozmawiają ze sobą bardzo żywo.

A oni, siedząc nieco zasunięci między wielki porcelanowy wazon a fortepian, nietylko rozmawiali, ale kłócili się od kwadransa.

Po przejściu Połanieckiego, pani Aneta rzekła z pewnym niepokojem:

— Boję się, czy czego nie dosłyszał. Ty nigdy nie uważasz.

— Tak! zawsze moja wina! A kto ciągle powtarza: bądź ostrożna!

I rzeczywiście, pod tym względem oboje byli siebie warci, on bowiem nie umiał niczego przewidzieć z powodu swej głupoty, ona zaś była nieostrożna aż do zuchwalstwa. Dwie już osoby wiedziały ich tajemnicę; inne mogły ją odgadywać i trzeba było całego zaślepienia Osnowskiego, żeby się niczego nie domyślać. Ale ona właśnie na to liczyła.

Lecz tymczasem Kopowski spojrzał na Połanieckiego i rzekł:

— Nic nie słyszał.

Poczem wrócił do zaczętej rozmowy, ale tym razem począł mówić ciszej i po francusku:

— Bo, żebyś mnie kochała, tobyś była inna, ale skoro mnie nie kochasz, to cóż ci to mogło szkodzić?

To rzekłszy, zwrócił na nią swoje cudne, bezmyślne oczy, a ona odpowiedziała z niecierpliwością:

— Kocham, czy nie kocham, a z Castelką nigdy! rozumiesz? nigdy! raczej wolałabym z każdą inną! — choć, gdybyś ty naprawdę mnie kochał, tobyś o małżeństwie nie myślał.

— Jabym nie myślał, żebyś była inna.

— Patientez!

— Tak! do śmierci? Jakbym się był z Castelką ożenił, tobyśmy właśnie byli blizko.

— Nigdy! powtarzam ci!

— No, ale dlaczego?

— Tybyś tego nie zrozumiał. Zresztą Castelka jest narzeczona i szkoda czasu o tem mówić.

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

— Samaś mi kazała udawać, że się o nią staram, a teraz mi robisz wyrzuty. Ja z początku o niczem nie myślałem, ale później podobała mi się — i tego się nie wypieram: ona się wszystkim podoba, a oprócz tego to dobra partya.

Pani Osnowska poczęła targać w palcach chusteczkę.

— I ty mi śmiesz w oczy mówić, że ona ci się podobała, więc nareszcie: czy ja, czy ona?

— Ty, ale się z tobą przecie nie mogę ożenić, a z nią mogłem, bom to widział doskonale, że jej się też podobałem.

— Gdybyś lepiej rozumiał kobiety, tobyś się cieszył z tego, żem do małżeństwa nie dopuściła. Ty jej nie znasz. Ona jest cała jak patyk, a przytem ma zły charakter. Czy i tego nie rozumiesz, żem ci kazała starać się o nią, przez wzgląd na ludzi i na Józia. Inaczej, czembyś mógł usprawiedliwić codzienne prawie bywanie?

— Jabym rozumiał, gdybyś była inna.

— Nie przeszkadzaj mi. Widzisz, że wszystko tak urządziłam, żeby twój portret nie był skończony i żebyś mógł przyjechać do Przytułowa. Potem przyjedzie tam Stefcia Ratkowska, krewna daleka Józia. Rozumiesz? Musisz udawać, że ci się podoba, a ja w Józia wmówię, co chcę. W ten sposób będziesz mógł zostać w Przytułowie. Do panny Ratkowskiej już pisałam. Jest niełądna, ale miła.

— Ciągle udawać i za to nic.

— Chciałabym ci powiedzieć: to sobie nie przyjeżdżaj.

— Anetko!

— Więc bądź cierpliwy. Nie mogę się na ciebie długo gniewać.— Ale teraz już idź sobie. Idź, zabaw panią Maszkową.

I po chwili pani Osnowska została sama. Oczy jej odprowadzały przez minutę Kopowskiego, z resztkami gniewu, ale zarazem z pewną czułością. W białym krawacie, przy swej smagłej cerze, był tak zabójczo piękny, że nie mogła mu się dosyć napatrzyć. Lineta była już narzeczoną innego, a jej jeszcze wydała się nieznośną myśl, że ta jej codzienna rywalka mogła go nietylko posiąść, jako męża, ale nawet jako kochanka. Pani Aneta, mówiąc Kopowskiemu, że zgodziła-by się dla niego raczej na każdą inną, niż na Castelkę, mówiła szczerą prawdę. Była to dla niej kwestya, zarazem ogromnej słabości dla tego głupiego Endymiona, i kwestya miłości własnej. Nie zgadzały się na to wprost jej nerwy. Pewne zamiłowania estetyczne, które sama uważała za wzniosłe i płynące z greckiej natury, a które w gruncie rzeczy były płaskie, zastępowały w niej moralność i sumienie. Z powodu tych zamiłowań zostawała pod nieprzepartym urokiem Kopowskiego, ale mając tylko zapalną głowę, a zimny, jak u ryby, temperament, wolała, jak to intuicyjnie odgadł Zawiłowski, igraszkę ze złem, niż samo zło.

Digitized by Google

Swoją drogą, trzymając się zasady: „jeśli nie ja, to nikt inny!", była-by gotowa posunąć się do ostateczności, by nie dopuścić małżeństwa Kopowskiego z Linetą, tem bardziej, że spostrzegła, iż Lineta, mimo wszystkich swoich *„powiedzeń"* o Kopowskim, mimo ironii, z jaką się o nim odzywała, i żartów z niego, jest także pod urokiem jego wyjątkowej urody, że te wszystkie żarty są tylko drażnieniem się, w którem tkwi pociąg, i że wogóle upodobania jej własne i upodobania Linety są jednakowe. Nie spostrzegła natomiast, że z tego powodu na dnie duszy ma rodzaj pogardy dla Linety.

Chciała ją przedewszystkiem zwyciężyć i przez Zawiłowskiego udało się jej to znakomicie. Wiedziała, że dziewczyna przez samą próżność nie oprze się jej wmawianiu i hołdom człowieka o rozgłośnem imieniu. W ten sposób zachowała dla siebie Kopowskiego, a nadto wyprawiła sobie pyszne widowisko, na jakie zawsze z chciwością patrzą wszystkie kobiety, żądne bardziej wrażeń niż uczuć. Gdyby przytem ów sławny Zawiłowski, gdy mu żona z czasem spowszednieje, chciał sobie szukać gdzieindziej Beatryczy — to może-by ją znalazł... Ludziom, którzy mają moc przekazać pamięci ludzkiej i uwielbieniu wieków kochane imię, mało się czego odmawia. Tych zamiarów na przyszłość pani Aneta nie określała dotąd wyraźnie, miała jednak jakby mgliste poczucie, że wówczas tryumf jej byłby jeszcze zupełniejszy.

Tryumfowała jednak już i teraz, albowiem wszystko poszło podług jej woli. Gniewał ją tylko Kopowski. Sądziła, że on jest niemal jej rzeczą, tymczasem spostrzegła, że, o ile był zdolny do wyrozumowania czegoskolwiek, wyrozumował sobie, że od przybytku głowa nie boli i że Aneta mogła-by nie przeszkadzać Linecie. Drażniło to ją tak mocno, że chwilami myślała czem-by mu za to dokuczyć, tymczasem rada była, że Lineta zdawała się być naprawdę zakochana duszą i sercem w swoim Zawiłowskim, co dla Kopowskiego było zarazem i niezrozumiałe, i przykre.

Myśli te przelatywały jej teraz, jak błyskawica, przez głowę i przeleciały wszystkie przez krótką chwilę samotności. Przerwało je wreszcie podanie kolacyi. Osnowski, który chciał, by żonę otaczało takie powszechne uwielbienie, jakiem on ją otaczał, a któremu wydawało się przytem nader trafnem to, co mówił Zawiłowskiemu o pożyciu małżeńskiem, miał nieszczęśliwą myśl powtórzyć znów przy pierwszym toaście życzenie, by Zawiłowskiemu było tak dobrze z Linetą, jak jemu z Anetą. Na to oczy Zawiłowskiego i Połanieckiego zwróciły się mimowoli na piękną panią, która spojrzała bystro na Połanieckiego i wątpliwości obojga pierzchły w jednej chwili, to jest ona nabrała zupełnej pewności, że Połaniecki ich słyszał, on zaś, że Kopowski nie

Digitized by Google

cytował obcych słów, ale mówił: „ty" wprost do niej. Pani Aneta odgadła nawet, iż Połaniecki musiał mówić o tem z Marynią, widziała bowiem, jak w chwilę po jego przejściu, oboje rozmawiając, spoglądali czas jakiś na nią z wielką ciekawością. Ta myśl napełniła ją gniewem, chęcią zemsty i dystrakcyą, tak, że bez żadnej uwagi słuchała dalszych toastów, które wnosił jej mąż, pan Zawiłowski i pan Pławicki, a w końcu Bigiel.

Lecz po kolacyi przyszło jej nagle do głowy, by urządzić „dancing-party" — i „Józio" — posłuszny, jak zawsze, na każde skinienie, a przytem rozochocony po kolacyi, poparł gorąco tę myśl. Marynia nie mogła tańczyć, ale było prócz niej pięć młodych pań: panna Lineta, pani Osnowska, pani Bigielowa, pani Maszkowa i panna Zawiłowska. Ta ostatnia oświadczyła wprawdzie, że także nie tańczy, ale ponieważ mówiono i tak o niej, że ona nie tańczy, nie mówi, nie je i nie pije, więc odmowa jej nie popsuła ochoty. Osnowski, który był w rozkosznem usposobieniu, oświadczył przytem, że „trzeba, aby Ignaś mógł wziąć w ramiona Linetkę, bo pewno się dotąd nie ośmielił."

Pokazało się jednak, że Zawiłowski nie był w możności skorzystania z dobrych chęci pana Osnowskiego, albowiem nigdy w życiu nie tańczył i nie miał o tem najmniejszego pojęcia, co panią Broniczową i pannę Linetę nietylko zdziwiło, ale i cokolwiek dotknęło. Natomiast Kopowski posiadał tę sztukę w wysokim stopniu, on więc rozpoczął tańce z panną Linetą, jako z bohaterką wieczoru. Tworzyli razem śliczną parę i oczy mimowoli zwracały się za nimi. Zawiłowski musiał patrzeć, jak jej złotawa główka pochyla się ku ramieniu Kopowskiego, jak piersi ich są blizko — i jak oboje, wirując w takt Bigielowego walca, łączą się w harmonii ruchów, zlewając się niejako w jeden ład i w jedną całość. I patrząc na to, był zły, rozumiał bowiem, że jest coś, czego on nie umie i co będzie łączyło Linetę z innymi, a rozłączało z nim. Na dobitkę, mówiono koło niego o urodzie tańczącej pary, a siedzący obok Swirski rzekł:

— Co to za śliczny pan! Gdyby istnieli hurysowie, tak jak istnieją huryski, to on mógłby być hurysem w damskim raju Mahometa.

Oni zaś walcowali długo i była w tych tonach walca, a zarazem w ich poruszeniach jakby jakaś upajająca i upojona omdlałość, co jeszcze bardziej drażniło Zawiłowskiego, przypomniał sobie bowiem, równie cyniczny jak prawdziwy, wiersz Byrona o walcu. Wreszcie począł sobie mówić z zupełną niecierpliwością: „Kiedyż ten osieł ją puści!" Bał się także, by mu się nie zmęczyła.

„Osieł" puścił ją wreszcie na drugim końcu salonu i wziął zaraz panią Osnowską. Lecz Lineta przybiegła do narzeczonego i, siadłszy przy nim, rzekła:

Digitized by Google

— On dobrze tańczy, ale lubi się z tem popisywać, bo zresztą nie ma z czem innem. Za długo mnie trzymał. Zdyszałam się trochę i serce mi bije... Chciałabym, żeby pan przyłożył rękę i zobaczył jak bije... Ale nie wypada! — Jakie to dziwne! bo przecie to pana własność...

— Moja!—rzekł Zawiłowski, wyciągając ku niej rękę.— Linetko, nie mów mi dziś: „pan."

— Twoja własność — odszepnęła.

I nie broniła mu dłoni, opuściła ją tylko trochę wzdłuż sukni, tak, aby ludzie mniej widzieli.

— Zazdrościłem mu — rzekł Zawiłowski, ściskając namiętnie jej palce.

— Czy chcesz, żebym więcej dziś nie tańczyła? Ja lubię, ale wolę być przy tobie...

— Moja uwielbiona!

— Ja jestem głupia, światowa dziewczyna, ale ja chcę być ciebie wartą. Widzisz, ja bardzo lubię muzykę... nawet walce, nawet polki. Tak to na mnie dziwnie działa. Jak ten pan Bigiel ładnie gra!... Ja przecie wiem, że są rzeczy wyższe od walców. Potrzymaj mi chusteczkę, i puść na chwilkę rękę. To twoja ręka, ale muszę poprawić włosy. Czasem potańczyć, to przecie nic złego? — prawda? Ale jeśli ty nie będziesz sobie życzył — to nie będę — bo ze mnie pokorne stworzenie. Nauczę się czytać w twoich oczach i potem będę jak woda, która odbija i chmury, i pogodę. Tak mi przy tobie dobrze.— Patrz, jak tamci także doskonale tańczą!

Zawiłowskiemu nie starczyło słów: mógł tylko w jeden sposób okazać co czuje dla niej, to jest klęknąć przed nią. Ale ona tymczasem ukazywała mu Połanieckiego, tańczącego z panią Maszkową, i poczęła ich szczerze podziwiać:

— Doprawdy, że on lepiej tańczy od pana Kopowskiego — mówiła z błyszczącemi oczyma — i ona, jaka zgrabna! — O! chciałabym z nim choć raz zatańczyć... jeśli pozwolisz.

Zawiłowski, w którym Połaniecki nie wzbudzał najmniejszej zazdrości, odrzekł:

— Mój skarbie, ile zechcesz. Sam ci go zaraz przyślę.

— Ach i jak doskonale tańczą! — jak doskonale! — I ten walc, to jakby jakiś miły dreszcz. Oni płyną, nie tańczą.

Tegoż zdania była i Marynia, która, wodząc oczyma za tańczącą parą, doznawała jeszcze większego uczucia przykrości, niż przed chwilą Zawiłowski, albowiem wydało jej się kilkakrotnie, że Połaniecki spogląda znów na panią Maszkową takim wzrokiem, jakim spoglądał na nią wówczas, gdy Swirski uczynił przypuszczenie, że albo się nudzi, albo jest zły. Tylko teraz przypuszczenie takie było-by już niemożliwe.

Digitized by Google

Chwilami oboje tańczący przesuwali się tuż koło Maryni i wówczas widziała doskonale, jak jego ręka silnie obejmuje stan pani Maszkowej, jak jego oddech oblewa jej szyję, jak rozdymają mu się nozdrza, a spojrzenia ślizgają się po obnażonym gorsie. Mogło to być niewidoczne dla wszystkich innych, ale nie dla Maryni, która umiała czytać w jego twarzy, jak w książce. I nagle światło lamp zmierzchło w jej oczach. Zrozumiała, że co innego jest nie być szczęśliwą, a co innego było-by być nieszczęśliwą. Trwało to krótko, tak krótko, jak jeden takt walca, lub jak minuta, w której serce ściska się i przestaje bić, ale starczyło na przeczucie, że życie w przyszłości mogło-by się zupełnie poplątać, a dzisiejsza miłość zmienić się w gorzki i pogardliwy żal. I przeczucie to napełniło ją przerażeniem. Uchyliła się na chwilę przed nią jakby zasłona, z po-za której ukazała się niespodzianie cała lichota i nędza natur ludzkich, cały szych życia. Nic się jeszcze nie stało, nic zupełnie! tylko przyszło na panią Połaniecką widzenie, że może nadejść czas, w którym ufność jej do męża rozwieje się jak dym.

Ale probowała się jeszcze bronić zwątpieniom. Pragnęła w siebie wmówić, że on jest pod wrażeniem tańca, nie tancerki. Wolała nie wierzyć oczom. Zdejmował ją wstyd za tego „Stacha", z którego dotychczas była tak dumna, i walczyła ze wszystkich sił z tem uczuciem, rozumiejąc, że chodzi o rzeczy ogromnie ważne i że z tej małej rzeczy, z tej jego winy, dotąd prawie żadnej, mogą wypłynąć następstwa, które odbiją się na całej ich przyszłości.

A wtem ozwał się koło niej żartobliwy głosik pani Osnowskiej:

— Ach Maryniu! twojego męża i panią Maszkową chyba natura umyślnie stworzyła, żeby ze sobą walcowali. Co to za para!

— Tak! — odpowiedziała z wysileniem pani Połaniecka.

Pani Aneta zaś szczebiotała dalej:

— Doskonale do siebie przystają. Doprawdy, że na twojem miejscu była-bym trochę zazdrosna... A ty, jesteś zazdrosna? — Nie? — Ja jestem szczera i przyznaję się otwarcie, że tak. Przynajmniej niegdyś tak było. Och! wiem przecie, że Józio mnie kocha, ale ci panowie, nawet kochając, miewają swoje małe fantazye. Ich o to głowa ani trochę nie boli, a że nas trochę boli serce — to tego nie widzą, lub nie chcą widzieć. Najlepsi nie są inni. — Józio? — tak! wzorowy mąż — a czy myślisz, że ja tego nie znam? Teraz już przyzwyczaiłam się i często śmiech mnie zbiera, bo oni przytem tacy niezgrabni!... Ja natychmiast wiem, jak tylko Józio poczyna się bałamucić — i wiesz po czem to poznaję?

Marynia wciąż patrzyła na męża, który przez ten czas przestał tańczyć z panią Maszkową, a wziął pannę Linetę. I nagle doznała wielkiej ulgi, wydało jej się bowiem, że Stach tańczy z panną Linetą

Digitized by Google

z tym samym wyrazem twarzy. Podejrzenia jej poczęły blednąć, natomiast pomyślała, że jeśli posądzała go niesłusznie, to sama jest niegodziwą. Nigdy nie widziała go przedtem tańczącego i przyszło jej do głowy, że może on zawsze tak tańczy.

Tymczasem pani Osnowska powtórzyła:

— Wiesz, po czem poznaję, gdy Józio poczyna się bałamucić?

— Po czem? — spytała raźniej Marynia.

— Nauczę cię tego sposobu. Otóż, jak tylko sam ma nieczyste sumienie, natychmiast podejrzewa innych i udziela mi tych swoich spostrzeżeń, żeby odwrócić uwagę od siebie. Poczciwy Józisko! To ich metoda. Jak oni wszyscy kłamią! nawet najlepsi!

To rzekłszy, odeszła, z przekonaniem, że na towarzyskiej szachownicy uczyniła nader zręczne posunięcie. I było ono poniekąd zręczne. W głowie Maryni powstał jakby chaos. Nie wiedziała, co wreszcie ma o wszystkiem myśleć. Ogarnęło ją też wielkie zmęczenie fizyczne. „Ja jestem niezdrowa,—rzekła sobie—rozdrażniona, i może mi się Bóg wie co wydawać." I poczucie zmęczenia powiększało się w niej z każdą chwilą. Cały ów wieczór przedstawiał jej się teraz jakoś gorączkowo. Mąż jej mówił o pani Osnowskiej, jak o kobiecie wiarołomnej, ona mówiła to samo o wszystkich mężach; on patrzył nieuczciwemi oczyma na panią Maszkową, a pani Aneta mówiła do Kopowskiego: „ty." Do tego mieszały się tańczące pary, jednostajny takt walca, głowy zakochanych—i wreszcie burza, która ozwała się na dworze. Co za mieszanina wrażeń, co za fantasmagorya! — „Ja jestem niezdrowa" — powtórzyła w myśli Marynia. — Ale czuła zarazem, że ją opuszcza spokojność i że to był zły wieczór jej życia. Chciało jej się ogromnie do domu, ale, jak na złość, na dworze była ulewa. — „Do domu! do domu! gdyby tak jeszcze Stach powiedział jakie dobre i serdeczne słowo! niechby nie mówił ani o pani Osnowskiej, ani o pani Maszkowej, tylko o czemś, co ich samych dotyczy, a jest im drogiem.

„Ach, jaka ja zmęczona!"

Tymczasem Połaniecki zbliżył się do niej i na widok jej biednej, bladej twarzy, ozwało się w nim nagle współczucie dla niej, na jakie zresztą łatwo zdobywało się jego dobre z natury serce.

— Moje biedactwo — rzekł — czas na ciebie do łóżka; niech tylko ulewa trochę przejdzie. Nie boisz się grzmotów?

— Nie — siądź przy mnie.

— To letnia burza, zaraz minie. — Jakaś ty senna.

— Możem niepotrzebnie przyjechała. Mnie bardzo potrzeba spokoju, Stachu.

On sumienie miał niezbyt czyste i był zły na siebie. Ani mu przez myśl nie przeszło, by to, co ona mówi o spokoju, mogło odnosić

Digitized by Google

się do niego, do jego pokus i postępowania z panią Maszkową, ale uczuł nagle, że gdyby się czegoś domyśliła, spokój jej byłby z jego winy zabity raz na zawsze — i — ponieważ nie był człowiekiem zepsutym, ogarnęła go bojaźń i skrucha.

— Do licha z wszystkiemi tańcami — rzekł. — Będę siedział w domu i pilnował swojego dobra.

I mówił to tak szczerze, że jej, która go znała doskonale, nie mógł przejść przez głowę ani cień zwątpienia. To też ogarnęło ją uczucie ogromnej ulgi.

— Jak ty jesteś przy mnie — rzekła — to ja zaraz mniej się czuję zmęczona. Przed chwilą było mi jakoś niedobrze. — Aneta siedziała koło mnie, ale cóż ja ją mogę obchodzić! Gdy człowiek jest niezdrów, potrzebuje koło siebie kogoś swojego i pewnego. Może mnie wyłajesz za to, co ci powiem, bo to dziwne, żeby takie rzeczy mówić na wieczorze, u obcych, i tak dawno po ślubie, więc sama rozumiem, że trochę dziwaczę, ale mi ciebie naprawdę potrzeba, bo — ja cię bardzo kocham.

— I ja ciebie kocham, drogie stworzenie, — odpowiedział Połaniecki — który w tej chwili miał uczucie, że jedynie miłość do niej może być w nim uczciwą i spokojną.

Tymczasem ulewa zmniejszyła się, tylko błyskało jeszcze tak, że okna willi stawały się co chwila jasno-sine. Bigiel, który był na zakończenie wieczoru odegrał preludium Szopenowskie, rozmawiał teraz z panną Linetą i Zawiłowskim o muzyce i, zastanowiwszy się dobrze nad swoją ideą, rzekł:

— To tam Bukacki wymyślał rozmaite podziały i typy kobiet, a ja mam swoje kryteryum muzyczne. Są kobiety, które lubią muzykę duszą, a są takie, które ją lubią skórą — i takichbym się bał.

W kwadrans później, krótka letnia burza przeszła i wypogodziło się zupełnie; goście państwa Osnowskich poczęli zbierać się do domów. Tylko Zawiłowski pozostał dłużej od innych, by ostatni mógł powiedzieć pannie Linecie: dobra noc!

Połaniecki, z obawy o Marynię, kazał powozowi jechać noga za nogą. W jej zmęczonej głowie przesuwał się ciągle obraz męża tańczącego z panią Maszkową, a w uszach brzmiały słowa pani Osnowskiej: „ach, jak oni kłamią! nawet najlepsi." Ale Połaniecki otoczył ją tymczasem ramieniem i trzymał opartą o siebie przez całą drogę — więc stopniowo niepokój jej począł tajać. Chciało jej się z całej duszy zadać mu takie jakieś pytanie, z którego mógłby się domyślić jej obaw i uspokoić ją. Ale po chwili pomyślała: „Gdyby mnie nie kochał, nie okazywał-by troskliwości. On prędzej mógł-by być okrutnym, niż udawać. Nie spytam go dziś o nic."

Digitized by Google

Połaniecki zaś, widocznie pod wpływem myśli, które snuł w głowie, i pod wpływem wrażenia, że ona jedna może być jego prawą miłością i prawdziwem szczęściem, pochylił się i pocałował zlekka jej twarz.

— Nie spytam go o nic i jutro — pomyślała Marynia, opierając głowę o jego ramię.

A po chwili jeszcze:

— Nigdy mu nic nie powiem.

I utrudzenie zarazem duchowe i fizyczne poczęło przemagać jej siły, tak, że nim dojechali do domu, oczy jej się przymknęły i usnęła na ramieniu Połanieckiego.

Pani Broniczowa siedziała tymczasem w salonie, spoglądając ku szklanym drzwiom balkonu, na który narzeczeni wyszli na chwilę, by odetchnąć odświeżonem przez deszcz powietrzem i powiedzieć sobie bez świadków: dobranoc. Po burzy zrobiła się przejasna noc, pachnąca mokremi liśćmi, pełna gwiazd, jakby wykąpanych w dżdżu i uśmiechniętych przez łzy. Oni stali czas jakiś w milczeniu, potem poczęli sobie mówić, że się z całej duszy kochają, a wreszcie Zawiłowski wysunął rękę, na której połyskiwał pierścionek, i rzekł:

— Moja, bardzo kochana! Patrzę na ten pierścionek i nie mogę mu się napatrzyć. Dotychczas zdawało mi się, że to wszystko sen, i teraz dopiero śmiem myśleć, że ty będziesz moja naprawdę.

A Lineta przyłożyła dłoń do jego ręki, tak, aby dwa pierścionki były obok siebie, i odrzekła rozmarzonym głosem:

— Tak! Już niema dawnej Linety, tylko twoja narzeczona; już całe życie musimy do siebie należeć — i aż mi dziwnie, że w tych pierścionkach jest taka siła, jakby w nich było coś świętego.

Zawiłowskiemu zalewało serce szczęście i spokojna słodycz.

— Bo — rzekł — w pierścionku jest dusza, która się oddaje, a w zamian bierze drugą duszę... I w taką złotą obietnicę wszczepia się wszystko, co w człowieku mówi: chcę, kocham i przyrzekam!...

Panna Lineta powtórzyła jak ciche echo:

— Chcę, kocham i przyrzekam...

Wówczas on objął ją i trzymał długo przy piersiach, a potem począł się z nią żegnać. Lecz porwany siłą miłości i polotem własnej swej duszy, uczynił z tego pożegnania jakiś religijny akt czci i adoracyi.

Więc dawał dobranoc tym błogosławionym rękom, które mu dały tyle szczęścia, i dobranoc sercu, które go pokochało, i dobranoc ustom, które wypowiedziały miłość, i dobranoc przeczystym oczom, przez które patrzyła na niego wzajemność — a wreszcie dusza wyszła z niego i zmieniła się jakby w świetlisty krąg, koło tej droższej nad świat i uwielbionej głowy...

Digitized by Google

— Dobranoc!...

Po chwili pani Broniczowa i panna Castelli zostały same w salonie.

www.libtool.com.cn

— Zmęczyłaś mi się, dziecko?—spytała pani Broniczowa, patrząc na jakby zbudzoną ze snu twarz Linety.

A panna Castelli odrzekła:

— Ach, ciociu, wracam z gwiazd, a to taka daleka droga.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HENRYK SIENKIEWICZ.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

W Białymgrodzie.

I.

Ambicya Amerykanów i dobre mniemanie o sobie. Ogólny widok Białegogrodu i architektura. Koło Ferrisa i Midway Plaisance. Uroczystość 9 października.

Pewien dowcipny Francuz opowiada, że jeszcze nie wysiadł był na ląd amerykański, a już jakiś Yankee zagadnął go: *how do you like America.* Nieodłącznem tem pytaniem darzy on każdego przybysza, a dodajmy, że z góry oczekuje pochlebnej odpowiedzi. Jeżeli dostanie inną, odchodzi niezadowolony. Amerykę uważa on za doskonałość, i nie przypuszcza, aby kraj inny zdołał przyćmić jego ojczyznę. My w Europie nie mamy nawet pojęcia o tem, jak Yankee patrzy z góry na nas i ile łoży wysiłku, aby utrzymać godnie swoją wielkość.

Dość było przeglądać chicagoski „Herald" albo jakąkolwiek inną z olbrzymich płacht zadrukowanego papieru, wychodzących w stolicy „zdobywców świata." Wystawa była źrenicą w ich oku. Wyśpiewywały one bezustanne hymny ku jej większej chwale i jako czyn patryotyczny, bodaj czy nie na równi z działalnością Franklina lub Liucolna, uważały wszelką wizytę oddaną „Białemu grodowi." Wystawa winna była zaćmić pod każdym względem przeszłość, oraz teraźniejszość nieamerykańską. Obywatel Stanów Zjednoczonych, który, będąc w Chicago, nie przyczynił się swoją obecnością do wspaniałości jakiegoś fajerwerku, przyjęcia jakiej flotyli lub ogromu zbiorowych chórów, ich zdaniem, nie zasługiwał na to, aby wolna ziemia Związku go nosiła.

Digitized by Google

Zwłaszcza kiedy nad Białym grodem zawisło niebezpieczeństwo, że fundusze prywatne, uwięzione w wystawie, mogą nie być powrócone, naówczas każdy Yankee, który, mając możność odwiedzić to dzieło twórczości narodowej, nie uczynił tego, uchodził wprost za wyrodka.

A jakie hymny rozlegały się w łamach dzienników! Skrupulatnie obliczano, ile razy przestrzeń, zajęta pod wystawę, przewyższała swoim ogromem europejskie wystawowe obszary; chlubiono się, że glob ziemski na swoim grzbiecie nigdy nie dźwigał podobnego olbrzyma, jakim był gmach przemysłu i sztuki. Wątpić można, czy ktoś zdołał-by przy najlepszych chęciach dać cudzoziemcowi pojęcie o tej troskliwości Amerykanina, samochwalstwie i dumie! Może więc najlepiej zrobimy, przytaczając kilka ustępów, żywcem zaczerpniętych z dzienników chicagoskich. Bierzemy je z opisu uroczystości, jaką świętowano w rocznicę ogłoszenia niepodległości kolonii odłączonych od angielskiej metropolii.

„Ćwierć miliona osób — czytamy w „Heraldzie" — wypełniło ogromny Białygród, w którym setki plemion, narodów i królewstw wzniosło największe budynki, jakie gdzieś kiedykolwiek istniały. Zaświadczyć one mogą, że nigdy nie oglądano czegoś podobnego na globie ziemskim ani w jakiemkolwiek innem miejscu wszechświata (!). O wiele mniejsze zbiorowiska historya notowała od najdawniejszych czasów i przekazywała potomności, jako cuda co do swojego ogromu. Aleksander z mniejszym orszakiem puścił się ku Wschodowi, kohorty Hannibala, które przebyły Alpy, były nieliczną garstką; Egipcyanie, których pochłonęła otwarta paszczęka Czerwonego morza, i wybrany naród, przez Boga wyprowadzony z domu niewoli, i nieprzeliczone falangi Filistyńczyków, które wyruszyły przeciwko rodakom Dawida, wynosiły zaledwie połowę tej liczby. Tłumy były tak wielkie, jak połowa największej armii Napoleona, a część czwarta zastępów Attyli. Karol W., gdyby był posiadał na swoje rozkazy takie tłumy, narzuciłby swoją władzę całej Europie; Cezar podzielił-by je na kohorty i postawił-by centuryonów na czele. Armie te, gromady i zbiegowiska bawiących się, świętujących lub walczących synów starożytności maleją wobec wczorajszego widoku. Nasz obchód przejdzie do dziejów, jako drogoskaz dzisiejszej epoki. Zdawało się, że potok patryotów nie będzie miał końca. Setkami i tysiącami i dziesiątkami tysięcy prawowici potomkowie walecznych synów falą płynęli przez wrota."

Skróciliśmy i urwaliśmy ów hymn — ciągnie się on przez kilka szpalt. Kiedy oda na cześć wielkości tłumów się skończyła, rozpoczęła się inna — ku chwale fajerwerków. Dowiadujemy się, że „patryoci" przypatrywali się arcydziełom sztuki pyrotechnicznej, jakich świat jeszcze nie oglądał, że Ameryka toruje drogę postępowi, że widzowie

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

swoją obecnością stwierdzili, jako w ich piersi bije szlachetne patryotyczne serce... Może to samochwalstwo wyda się komuś nadzwyczaj czczem, ale niezapominajmy, że stanowi ono jeden z objawów wielkości amerykańskiej, Yankee nie poprzestaje bowiem na frazeologii, lecz usiłuje ją wcielić w czyny.

Zresztą obywatele zamorskiej rzeczypospolitej tak są przeświadczeni, że ich ojczyzna góruje nad innymi narodami globu ziemskiego, iż nie znieśli-by, gdyby się okazało, że nawet w pogoni za wystawnością międzynarodowego kiermaszu dali się prześcignąć komuś innemu. Niebawem przypatrzymy się, jak wyglądał dzień 9 października—najwybitniejszy objaw tej ambicyi zamorskiej.

* * *

A sama wystawa? Z balustrady, która otaczała dach głównego tułowia halli przemysłu i sztuki, lubiłem podziwiać wystawę, która rozścielała się u nóg moich ze swojemi białemi budynkami, kobiercami zieleni i gajami krzewów, stawami i wysepkami, pełna różnobarwnego mrowiska ludzkiego. Życiem swojem i ruchem wystawa odbijała ostro od niezmierzonej tafli jeziora, gładkiej, czystej, spokojnej. Z przeciwnej strony rozpostarło się miasto. Bliższe części — dzielnice zamożnego obywatelstwa, kąpiące się w zieloności, istnieją jeszcze dla oka, lubo są już przyćmione, jakby muślinem, lekką oponą mgły—z kurzu, dalsze nikną zupełnie wśród tumanów sadzy; jedynie kominy fabryczne wynurzają się z tej chmury i dymią się jeszcze ciemniejszym obłoczkiem, który zwolna rozpływa się w okalającej go atmosferze pyłu. Jeszcze dalej spostrzegam jakieś sterczące baszty, może „drapacze nieba", ale nie jestem tego pewny, bo w nieprzezroczystem powietrzu tracę wszelką zdolność odróżniania konturów. Szkaradny widok!

Myśl z niechęcią ucieka od tych obrazów, które splamiły czystość przyrody i unosi się nad tem, co mnie bezpośrednio otacza. Kiedy błąkam się na dole, po powierzchni parku Jacksona, mam zawsze do czynienia tylko z jakąś cząstką Białegogrodu. Całość rozprasza się i rozpływa w drobiazgach. Jestem wtedy, jako kret estetyczny, wyróżniający różne „subtelności", ale niezdolny do ujęcia całokształtu. Tutaj, na wyniosłości, zdaje się, dwustu stóp, „subtelne" zarzuty i zachwyty stają się naiwnie śmiesznemi. Chaotyczne na dole zbiorowisko budynków układa się w harmonijną i potężną mozaikę, a Białygród z innem ukazuje się obliczem, jak wszystko, co jest potężnem i śmiałem, budzi w duszy widza okrzyk zachwytu i uderza w stronę marzycielską. Majaczy mi się, jakbym stał wobec zewnętrznego skieletu dalekiej, dalekiej przyszłości. Te gmachy, które mam przed sobą, jakże odmienne są od wzorów teraźniejszości! Podziwiam olbrzymie kopuły, na których

Digitized by Google

zbudowanie niegdyś trzeba było dziesiątków lat i mistrzów kunsztu murarskiego, a które dzisiaj rodzą się i dojrzewają w ciągu kilku tygodni. Albo czyż nie arcydziełem jest ten gmach, na którego wierzchołku puszczam cugle swojej wyobraźni! Potrzebuję kilkunastu minut, aby obejść balustradę; z pod niej unosi się w górę dach szklany głównego korpusu, u nóg zaokrągla się i spada olbrzymia powierzchnia dolnego sklepienia, a kiedy spadła, znowu podnosi się i piętrzy śpiczastym dachem, rozpostartym nad pawilonami. Wuj Sam chwali się, że glob ziemski po raz pierwszy dźwiga na swoim grzbiecie takiego potwora. Nowy wiek architektury wynurza się przed nami—wiek żelaza, szkła i staffu, który swawolnie łamie wszystkie tradycyjne formy, drwi ze wszystkich trudności architektonicznych, szydzi z siedmiu cudów starożytności.

Tak, wystawa jest zwiastunką nowej ery w budownictwie—ery koczowniczej, kiedy olbrzymie namioty ze szkła i żelaza będą wznoszone w ciągu tygodnia, po spełnieniu zaś zadania rozebrane i przewiezione, znajdą się na nowem miejscu.

* * *

Z balustrady podziwiam kształty budynków-namiotów, wzniesionych z szybkością, jaka przystała wiekowi pary. Tłoczą się one rzędami, to znowu sterczą samotnie wpośrodku zielonego kobierca. Bywały dnie, kiedy patrzyłem z góry i nie mogłem się na te śnieżnej białości gmachy napatrzyć. A tam gdzieś w wiorstowej, może dalszej, odległości, w powietrzu porusza się olbrzymie, chociaż pajęczej nikłości, koło—młyn dyabelski Ferrisa. Jest to jeden z cudów nowoczesnej sztuki inżynierskiej. Kiedy Ferris wystąpił ze swoim projektem, myśl jego wywołała powszechny uśmiech niedowierzania. Wszyscy powątpiewali o możliwości zbudowania takiego olbrzyma. Jedni wprost niedowierzali, aby udało się doprowadzić do końca budowę, mniemali bowiem, że niepodobna będzie przełamać trudności, koniecznych przy wzniesieniu koła; inni dowodzili, że budowa jest możliwą i że zamierzone koło stanie tam, gdzie mu kazano, ale nie wierzyli, aby obracało się około swojej osi, ciężar bowiem górnej części będzie tak znaczny i tarcie z tego powodu tak olbrzymie, że trudno będzie myśleć o wprawieniu w ruch potwornej machiny; jeszcze inni zgadzali się na to, że wszystkie trudności zostaną przezwyciężone, że młyn dyabelski będzie obracał się, ale tylko dopóty, póki nie zerwie się jakiś porządny huragan, który, znalazłszy na swej drodze taką podatną budowę, zdmuchnie ją wnet i zwali. Zarząd wystawy, kierując się temi głosami, długo nie chciał dać swego przyzwolenia. Młyn dopiero w końcu drugiego miesiąca po otwarciu wystawy obrócił się po raz pierwszy. Najwyższy punkt

Digitized by Google

wznosi się nad poziomem gruntu na 260 stóp, t. j. 13 pięter. Budowa Ferrisa składa się z dwóch kół do siebie równoległych, służących do oparcia osiom, na których przyczepiono wagony dla pasażerów — 60 osób, chociaż według przepisów nie wolno mu zabrać jednorazowo więcej nad 40 kandydatów. Wagonów jest 36. A zatem odrazu około półtora tysiąca osób, t. j. ludność sporej osady, może używać przyjemności przejażdżki.

Młyn Ferrisa winien był zaćmić sławę Eiffla. Wątpię jednak, czy dopiął tego. Pomimo, że budowle z drutów posiadają zwykle nader wdzięczny wygląd zdaleka—a lekkość niby pajęcza dodaje im sporo wdzięku, to jednak koło, panujące nad wystawą, przeniewierza się tej zasadzie. O ile wieża Eiffla uśmiechała się do widzów swoją powiewnością i odznaczała się lekkością form, o tyle twór chicagoski razi niezgrabnością,—widocznie koło nie nadaje się w tym razie do wywoływania efektów estetycznych. Zresztą dzieło Ferrisa jest jednem z charakterystycznych znamion kultury amerykańskiej. Nie idzie tam o zaspokojenie wymagań estetycznych, ale jedynie o zbudowanie czegoś nadzwyczajnego. Kiedy jedne stulecia wysilały się na pozostawienie po sobie imienia w arcydziełach pendzla, inne—w tworach myśli filozoficznej; kiedy wieki średnie wznosiły ponure ale potężne pięknem katedry, XVII i XVIII stulecia zgrabne pałacyki; to dzisiejszy amerykanizm dba tylko o wysokość i niebywałość. Koszarowe Audytoryum, niezgrabne „drapacze nieba", młyn dyabelski — oto twory jego sztuki. Geldhab zamorski ukochał tylko ogrom, skoro coś jest dużem i jeżeli przytem sporo kosztuje pieniędzy, w jego rozumieniu będzie też pięknem.

Dzieło Ferrisa panuje nad częścią wystawy, poświęconą zabawie. *Midway Plaisance* jest olbrzymiem polem mokotowskiem podczas wielkanocnych uroczystości. Różnica cała na tem polega, że technika wysiliła się na istne cuda, klowny zbiegli się z całego świata, wszystkie zakątki globu ziemskiego dostarczyły komedyantów, nie zabrakło nawet przedstawicielek wschodniego *danse de ventre*, z którego powodu zarząd wystawy wytoczył proces pomysłowemu przedsiębiorcy i przegrał. Tancerki zaś od tej pory wabiły przechodniów, wykonywając w otwartem oknie najcynicznieiejsze ustępy swoich pląsów.

Należy przyznać, że *Midway Plaisance* był najbardziej ukochany przez publiczność. Tłoczyła się ona tam najliczniej. Ilekroć czułem się zmęczony systematycznem oglądaniem wystawy, oddawałem się wtedy na łaskę przypadku i szedłem tam, dokąd sunęły najobfitsze tłumy. Zawsze dostawałem się na wystawowy Mokotów, niekiedy trafiałem do statku Wikingów, wątłej łódki, na której jednak odważny kapitan Andersen z kilku towarzyszami przebył Atlantyk, albo do gmachu Kruppa

Digitized by Google

przepełnionego narzędziami nowoczesnego kunsztu wojennego, lub do jakiejś innej szopki — w podobnym rodzaju. Gdziekolwiek udaliśmy się wdłuż i wszerz wystawy, wszędzie spotykaliśmy zabawkę dla dorosłych dzieci. A wieczorami poczynały się iluminacye i fajerwerki. Wystawa była nietylko zbiorem tworów przemysłu i sztuki, ale olbrzymim kiermaszem rozrywki! Wątpię, czyby udała się tak, jak się powiodła, gdyby nie wzięła pod uwagę tej słabostki ludzkiej natury i nie uczyniła jej zadość. Zresztą nie bądźmy purytanami i przyznajmy się otwarcie do grzechu! Wystawa ogromnie nużyła. Wchodzę do halli maszyn: łoskot i hałas nie do wytrzymania. Oglądam się, — tyle i tak różnych maszyn! Ale ponieważ jesteśmy profanami, więc cała ta rozmaitość zlewa się dla nas w monotonną całość. W gruncie rzeczy te maszyny, acz wyglądają tak odmiennie, są tak podobniusieńkie do siebie! Idzie się do halli elektrycznej, może tam będzie coś ciekawszego. Słyszało się tyle o cudach, jakie wyprawia Edison, Gray i inni. Gdzież tam! — lampki, lampki i lampki, wprawdzie rozmaitego kształtu, lecz ostatecznie tylko lampki. W pedagogicznej wystawie piętrzą się znowu stosy szkolnych zeszytów, w antropologicznej — rzędy czaszek, krzemieni. Cóż zrobisz wtedy, turysto, jeżeli nie jesteś specyalistą i przyjechałeś tylko w tym celu, ażeby przyjemnie użyć wczasów. Uciekasz tam, gdzie Chińczycy dają przedstawienie, lub gdzie maszyny robią tkaniny z nici szklanych—słowem w gwar ludzki na *Midway Plaisance*. A nawet wtedy, kiedy przyjechałeś ze specyalnym celem zbadania czegoś, i wtedy po paru godzinach uczuwasz straszne zmęczenie od natłoku wrażeń i z przyjemnością puszczasz się w wędrówkę bezcelową.

Trzeba przyznać, że takie włóczenie się dla cudzoziemca przedstawiało niemały urok. Tyle można było spostrzedz *echt* amerykańskiego! Chociażby owe reklamy na słupach nadziemnej kolei elektrycznej! Zarząd wystawy ogłasza, że jego drukowane przewodniki są najlepsze ze wszystkich — obok jakiś prywatny przedsiębiorca reklamuje swoje i urąga urzędowemu wydawnictwu. Administracya sprzedała zatem miejsca na ogłoszenia przeciwko sobie! Mogła-by tego nie uczynić, ale w Ameryce istnieją inne pojęcia, tam nie znają przymusu lub zakazu w takich przypadkach, lecz szanują prawa wolnej konkurencyi... Albo zatrzymajmy się przed następującym widokiem. Przede mną przesuwa się fotel na kołach. Jakaś dama rozparła się w nim i poufale gwarzy z młodzieńcem, popychającym z tyłu ten wehikuł. Twarz młodzieńca jaśnieje inteligencyą i śmiałością, jasnobłękitna kurtka świadczy, że należy on do służby wystawowej, która zarobkuje, wożąc widzów w fotelach. Ciekawa to kartka zwyczajów amerykańskich, jedna z tych, które sprawiają, że wróciwszy do kraju, długo trzeba tęsknić po Ameryce. Kiedy organizowano służbę przy fotelach,

Digitized by Google

studenci miejscowego uniwersytetu zastrzegli sobie pierwszeństwo do tego zarobku, a nietylko zastrzegli, lecz w samej rzeczy przywłaszczyli je sobie i w ten sposób zdobywają środki do dalszych studyów. Praca nikogo nie upokarza! Zasada ta kwitnie w Stanach Zjednoczonych; prosty drwal, jeżeli nosi na karku przedsiębierczą mózgownicę, może z czasem zdobyć wielkie stanowisko. Europejski student spoliczkowałby tego, kto-by zaproponował mu takie źródło utrzymania.

* * *

Amerykanie lubią różnego rodzaju obchody, może dlatego, że nie znają innych parad. Przepadają oni za tryumfalnemi pochodami i marszami, mundurami niewinnej natury — estetyka ich ma w sobie sporo pierwiastku dziecięcego. Największe święto nie było-by kompletną uroczystością, gdyby obyło się bez obchodu. To też wystawa, w ciągu całego swego trwania, była przybytkiem najrozmaitszych ceremonii, które poczynały się gdzieś w mieście a kończyły w murach wszechświatowego kiermaszu. Różne narodowości, zamieszkujące w Chicago, urządzały swoje *days*. Czesi ciągnęli tryumfalnym marszem przez miasto: stowarzyszenie za stowarzyszeniem, związek za związkiem, w rozmaitych kostiumach, z muzyką na czele, z wozami, symbolicznie przystrojonemi. To samo czynili Irlandczycy, Polacy, Szwedzi, Niemcy. Podobne święto miewał każdy stan, wchodzący w skład Związku północno-amerykańskiego. Uroczystości te wraz z innemi, jak sławny np. dzień Kolumba, lub przyjęcie statku Wikingów, stanowiły bardzo ważną część składową życia w Białymgrodzie, oraz rys charakterystyczny, wyróżniający wystawę chicagoską od jej poprzedniczek. Wreszcie, po uroczystościach różnych narodów i stanów, przyszła kolej na samo Chicago. Obrano dzień 9-go października, znamienny w dziejach tego miasta, bo trzydziestą rocznicę owej chwili, kiedy przedstawiało ono widok zupełnej ruiny, wśród której tu i owdzie dogorywały ostatnie iskierki pożaru. Z obchodem uroczystości postanowiono złączyć jeszcze parę innych tryumfów. Naprzód uiszczenie długu prywatnego, obciążającego wystawę. Dzienniki jęły uderzać w dzwon miejscowego patryotyzmu: „wielkie miasto" nic nie będzie warte, jeżeli podczas swego dnia nie pokryje całej należności, która pozostaje do spłaty. Podniesiono jeszcze alarm z innego powodu.

Trzeba być samemu w Ameryce, zetknąć się z najrozmaitszymi ludźmi, przejąć się duchem miejscowego dziennikarstwa, ażeby pojąć, jak Amerykanie są naiwni w niektórych wypadkach, a między innemi gdy chodzi o wielkość i pierwszeństwo Związku. Przez cały czas nie mogli strawić tego, że rozmiary jednodniowej uczęszczalności nigdy jeszcze nie dosięgły najliczniejszego dnia wystawy paryskiej. Każde

Digitized by Google

codzienne pismo chicagoskie przypominało swoim współobywatelom i współrodakom, że największy dzień paryski widział w swoich murach tylu a tylu gości... Od miesiąca poruszono wszystkie sprężyny duszy Chicagowian: nie będziemy Chicagowianami, jeżeli nie zdobędziemy dla Białegogrodu palmy pierwszeństwa. Te trąby dziennikarskie, to wzajemne nawoływanie, wyglądały niekiedy śmiesznie, chociaż nie zapominajmy, że śmieszność ta godną jest poniekąd zazdrości, — szło o postawienie na swojem, a czyn uwieńczył zamiary...

W przededniu uroczystości municypalność ogłosiła, że 9-go października władze zamkną wszystkie biura, nawet poczty; zwróciła się z publiczną prośbą do przedsiębiorców o zawieszenie robót w fabrykach i zakładach. Ale nie potrzeba było o to prosić *businessmen*'ów. Wśród nich panował zachwyt nie do opisania. Firmy handlowe nabywały bilety dla swoich subjektów i rozdawały je bezpłatnie; bilet był jednodniowy, tylko na 9-ty października.

Udało nam się wyjątkowym sposobem dostać w tym dniu na balustradę halli przemysłu i sztuki. Cóż za widok ujrzeliśmy naówczas z tej wyniosłości! Cała przestrzeń wystawy była jednem falującem morzem głów ludzkich. Wśród tej ruchomej czarnej masy można było spostrzedz osobliwsze postacie: w zimowych paltotach, chociaż skwar dopieka, z walizką w ręku. Zagadka łatwa do rozwiązania. Pociągi kolejowe zwiozły w przededniu do Chicago aż dwieście tysięcy pasażerów, a nadto tłumy przybywały i wcześniej. Wszystkie hotele przepełnione zostały; mnóstwo osób zadawalało się tem, że dano im na korytarzu krzesełko do siedzenia. Ci, którzy 9 października rano przybyli, i tego już nie znaleźli. W podróżnym ubiorze udali się wprost na wystawę... Bywały chwile, kiedy tam na górze zawrot głowy mnie ogarniał na widok falującej powierzchni ciał ludzkich! Rozumie się, wszechwładny tłum zdeptał wszelkie przepisy wystawowe — nie przypadkiem, ale ze świadomością czynu. „My postanawiamy prawa", rzekł do mnie jakiś fermer, kiedym wdał się z nim w rozmowę z tego powodu. Cudowne trawniki, ochraniane przez tablicę z napisem: *Keep off*, zamieniły się na obozowisko zgłodniałego tłumu, który odpoczywał na trawie, spożywał przyniesione z sobą wiktuały i upstrzył zieloność murawy ogryzionemi kostkami i strzępami papieru. Kraty pawilonów zostały zamienione na siedzenia, na mostach niepodobna się było przetłoczyć. A wciąż nowe tłumy napływały, ażeby przyjrzeć się wieczornemu marszowi, illuminacyi i fajerwerkom, aby wreszcie wziąć udział w olbrzymich, improwizowanych na poczekaniu chórach. A skoro zmrok zapadł, z setek tysięcy piersi popłynął ku jezioru hymn narodowy. Chicago zdobyło pożądaną palmę pierwszeństwa, wystawę bo-

Digitized by Google

wiem zwiedziło przeszło siedmset tysięcy widzów, t. j. dwa razy tyle, co paryską w najwyższym dniu.

Przyznam się, szacunek mój ku Amerykanom ogromnie się zwiększył podczas uroczystości chicagoskiej. Jeżeli myśl o tem, aby ojczyzna ich dała ludzkości widok najliczniejszego tłumu, a zatem nader płocha, dziecinna, zdołała jednak tak ich zelektryzować, cóż uczyniłaby inna, poważniejsza?

* * *

Poznajomiliśmy się nieco z ogólnym widokiem wystawy. Puśćmy się teraz na systematyczną wędrówkę po jej przestworach—od gmachu do gmachu, od pawilonu do pawilonu. Jakiś cierpliwy Amerykanin obliczył, że zwiedzający, gdyby zatrzymywał się jedynie dwie minuty nad każdym wystawionym przedmiotem, straciłby na to 32 lata życia. Nasza wędrówka naturalnie będzie ostrożniejszą. Nie mamy zamiaru być ścisłymi, niekiedy może zatrzymamy się nad drobiazgami, milczeniem zaś pominiemy dążności pierwszorzędnej wagi, gdyż, jako zwykły profan, mogliśmy ich nie dostrzedz. Dodajmy do tego, że do paru działów, w tej liczbie do gmachu obrazów i rzeźby, nie zdążyliśmy niemal dotrzeć mimo pięciomiesięcznego pobytu. Zabrakło czasu! Jeszcze jedno: niekiedy czyniliśmy na miejscu luźne notatki; teraz, nie zmieniając ich, wcielamy do opisu Białegogrodu. Wreszcie mówiąc o wystawie, będziemy robili częste wycieczki po-za jej mury, do życia amerykańskiego.

II.

Rozmiary mamuta-budynku. Halla przemysłu i handlu jako siewca zawiści. Arena międzynarodowego zbytku. Górne galerye. „Farmazoni." Upowszechnienie się „maszynek" w życiu amerykańskiem; niektóre z nich.

Szczegółowszą naszą znajomość z „wielkim Białym grodem" rozpoczniemy od gmachu sztuki i przemysłu; „z wieku bowiem i z urzędu", t. j. z rozmiarów, ten zaszczyt mu się słusznie należy. Stanowił on przedmiot dumy dla Amerykanów. Wszak glob ziemski nie dźwigał jeszcze na swoich barkach podobnego potwora! Jest to mamut pomiędzy budynkami, największy, jaki gdziekolwiek się znajduje lub kiedykolwiek istniał na powierzchni ziemi. Starożytność zaliczyła-by go do siedmiu cudów architektury. Najrozleglejsze gmachy to karły w porównaniu z tym olbrzymem, o którym z dumą powiada wuj Sam, że na wystawie jest najlepszem świadectwem amerykańskiego ducha. Do-

Digitized by Google

starczał on przewodnikom po wystawie, żywym i martwym, okazyi do wykładu Europejczykom zasad amerykańskiej estetyki, znanych zresztą u nas — patrz „Pana Geldhaba" Fredry. Owa teorya piękna polega na przytaczaniu cyfr, świadczących o ogromie przedmiotu lub jego kosztowności. A gmach mamutowy wcielił w sobie kilka *maximów*— czyliż nie jest to jedno wymownym dowodem piękna?! Z arsenału estetyki wystawowej wyjmę zatem kilka dat, powiadających, czem jest ów olbrzym pomiędzy dziełami architektury.

A więc każdy Amerykanin zacznie od tego, że żaden gmach nie pokrył sobą takiej olbrzymiej powierzchni gruntu, nasz potwór rozsiadł się bowiem aż na 30 akrach. Tem samem żaden nie może przytulić pod swoją strzechę podobnego mnóstwa głów ludzkich. Bazylika św. Piotra w Rzymie, uważana dotychczas za gmach, mogący wchłonąć najwyższą liczbę osób, może zmieścić w sobie tylko 54,000 widzów. Olbrzym z Białegogrodu w swojem łonie daje schronienie czterokrotnie większemu tłumowi, bo w potrzebie zdoła pomieścić aż 200,000 głów ludzkich! Nie dziw, że zwykle wygląda pusto. Ale są to pustki względne. Cóż bowiem znaczy jakiś jeden dziesiątek tysięcy osób wśród labiryntu uliczek i zaułków, wśród lasu kapliczek i pawilonów? Niknie on — tylko tu i owdzie, przed jakąś wystawą, skupia się i gapi, lub obficiej płynie główną arteryą ruchu, nie zapuszczając się w boczne ścieżyny...

I tracimy zdolność oryentowania się w potoku ludzkim, przepływającym przez wnętrze potworu. Równie trudno nam uwierzyć, że ten nikły, przezroczysty, niby pajęczy dach, złożony z żelaza i szkła, unosi się nad nami na wysokości dziesiątka, a może więcej, pięter warszawskich, że ziemia jeszcze nie widziała takiej dużej powierzchni walcowatej, jaka rozścieła się het wysoko nad naszą głową, ani podobnej wielkości półobręczy. Dopiero trzeba wsiąść na windę, która powiezie nas na balustradę, wieńczącą dokoła wierzchołek szczytu, abyśmy pojęli olbrzymie rozmiary mamutowego pałacu. Pawilony, kapliczki, ludzie—wszystko maleje w naszych oczach, kiedy jedziemy ku górze; niepewną nogą i z zawrotem głowy stąpamy po wątłym pomoście, który prowadzi od windy do balkonu, a kiedy tam obejrzymy się, nie możemy wyjść z podziwu nad śmiałością łuków i ogromem rozmiarów. Oko nasze błąka się po olbrzymim dachu. Jakieś litery—to robotnik wapnem wypisał swoje nazwisko. Przypatrujemy się i wyczytaliśmy: „Białocerkewskij." Gmach nietylko jest siedzibą międzynarodowej wystawy, ale też dziełem rąk różnych narodów!

* * *

Digitized by Google

Trzymajmy się jednak dołu! Wchodzimy przez główne wejście. Przed nami ciągnie się szeroka ulica, zabudowana z obu stron szpalerami najdziwaczniejszej struktury. Czegoż niema w tym chaosie budowlanym! Feodalne zameczki, średniowieczne kapliczki, maurytańskie altany—słowem, co tylko dało się wyciągnąć z pomroków czasu, architekci wszystko wydobyli i, rozumie się, zeszpecili w ten lub inny sposób i rozkazali dźwigać stosy różnych rupieci i nierupieci. Środkiem ulicy ciągną się rzędy ławek. Wśród takiego ogromu wystawy, który wymaga całego dnia czasu, aby jako tako się z nim zapoznać, nogi mordują się niebawem i poszukują miejsca na odpoczynek. Przed oknami pawilonów i wewnątrz tłoczą się ciżby ludzkie. Wzdłuż głównej arteryi, od której wciąż biegną pomniejsze, niekiedy bywa wprost czarno od głów ludzkich—nie! poprawmy się i powiedzmy—kobiecych. Obsiadły one ławki i krzesła, przylgnęły twarzami do szkieł wystawy, gorączkują się, rozprawiając o przymiotach tej lub innej rzeczy. Powieściopisarz mógłby tutaj czynić studya nad psychologią duszy kobiecej: nad tem, co ją roznamiętnia, nad sposobami zachwytu, stosunkiem pokładu idejowego i moralnego do wewnętrznej ławy żądz.

Zawiść jest wielką siłą społeczną. O tem mogłem się przewybornie przekonać, kiedym się tułał po olbrzymim gmachu i przysłuchywał rozmowom tego dziesiątka tysięcy osób, który się tam tłoczył. Ileż w ulotnie rzuconych uwagach zawiera się żółci i jadu, ileż czuć w nich zawiści. Prości fermerzy, którzy siedzieli w swoim zakątku i nie mieli ani pojęcia o tem, czem jest zbytek plutokracyi, teraz, kiedy stanęli oko w oko z temi wytworami kunsztu, poczynają przebąkiwać o różnych rzeczach. Wyzysk ze strony kolei żelaznych i banków, jakiego padają ofiarą, staje im w pamięci, a gdy wrócą na fermę, każdy zatarg wskrzesi w wyobraźni widziane przedmioty i uczyni zajadłość mocniejszą, namiętniejszą. Wystawa zbytku jest dobrą tylko dla tych, którzy zbytkiem i w zbytku żyją.

Dla usuniętych od tej uczty jest jątrzącym jadem, siewcą, który do duszy rzuca ziarno zawiści społecznej.

* * *

Budynki: elektryczny, agronomiczny, górniczy, są szczególnego rodzaju księgami — przedmioty zajmują miejsce stronic — opowiadającemi o tem, za pomocą jakich narzędzi wydziera człowiek przyrodzie to, co jest mu potrzebnem. Tymczasem gmach mamutowy jest zgoła czemś innem. Potwornych rozmiarów halla sztuki i przemysłu w swoich galeryach zebrała wszystko, co w Ameryce zrobiono dla oświaty. Na dole za to, wśród tego labiryntu ulic i uliczek, pawilonik ów i pałacyków, przykrytych wspólnym dachem, inne żywioły rej

Digitized by Google

wodzą. Jest to arena, na której rozsiadła się międzynarodowa wystawa zbytku i kusi swoją wspaniałością, nawet wonią, zmysły ludzkie. Co tylko sztuka i wynalazczość stworzyły dla uprzyjemnienia wczasów dostatniego życia, co technika dokonała dla komfortu łechcącego wszystkie nerwy, dogadzającego wszystkim zachciankom, to zgromadził ten potwór kunsztu budowniczego i pomieścił w swojem wnętrzu. Mroźna północ wysłała meble pokryte futrami, Lyon dostarczył arcydzieł tkactwa jedwabnego, Belgia wystawia stosy koronek, Ameryka północna dała salony, sypialnie, meble, serwisy swoich miliarderów. Zwykły chudopachołek niewiele znalazł w halli przedmiotów dla siebie, dowiedział się jedynie, jak żyje plutokracya. Nie wielką posiadam znajomość w zakresie rzeczy, które w niej wystawiono na pokaz: tych różnobarwnych gałganków, dywanów wyścielających ściany pawilonów, szkła i porcelany piętrzących się gdzieindziej, ale czuję, że tylko bardzo nieliczna garstka plutokratów może rozsiadać się w fotelach, pokrytych sobolami, przewracać się w złoconych łożach, deptać po wystawionych dywanach. Wycieczka do halli sztuki i przemysłu jest w pewnej mierze ogromnie ciekawą. To, co w codziennym potoku życia kryje się wstydliwie w mroku prywatnej siedziby, a o czem zwykła gawiedź chudopachołków wie z drugich ust, tutaj wyszło z ukrycia, rozłożyło się jawnie, uśmiecha się ku przechodniom i kusi ich żądze. A wystawa zbytku jest nietylko wystawą, lecz też i wymianą — szybką, niezwłoczną. Może żadna dziedzina nie wymienia tak prędko swoich produktów. Wystawione przedmioty noszą na sobie kartki sprzedaży. To plutokraci amerykańscy nabywają arcydzieła zagranicy.

Przewidziano najmniejsze potrzeby, pośpieszono z uczynieniem zadość najlżejszej zachciance. Fotele mają oparcia dla najrozmaitszych pozycyi; w potrzebie fotel może być zamienionym na szezlong, dla każdej nogi istnieje inna poduszka, która za pomocą sprężyny daje się ustawić najrozmaiciej. Wędrując po odpowiednym dziale, zaznajamiamy się zwolna ze smakiem Amerykanina. Lubuje się on w różnych składanych meblach.

Wzorów i wzorków jest co niemiara! Że fotel może stać się szezlongiem, a kanapa łóżkiem, do takich metamorfoz już przywykliśmy. Ale ażeby łóżko podczas dnia zamieniało się na toaletę, z komodą u dołu i dużem lustrem w pośrodku, kombinacya taka, jak dotychczas, jest rysem wyłącznie amerykańskiego życia. Podobnych kombinacyi, może mniej oryginalnych, oglądamy bez liku. Przed nami zwykłe krzesło, z wygodnem oparciem, które w razie potrzeby może być odwrócone i zamienić się na drugie siedzenie, związane z pierwszem w nierozerwanem małżeństwie.

Digitized by Google

* * *

www.libtool.com.cn

Po schodach dostajemy się na olbrzymie galerye, które wzdłuż gmachu mamutowego idą kilku równoległemi pomostami. Mijamy ogromną wystawę pedagogiczną — (wrócimy do niej niebawem), przechodzimy obok pawilonów różnych sekt religijnych. Metodyści—ba! chcieliśmy wyliczać spis bez końca, przerywamy go więc—metodyści i inne kościoły pośpieszyły z uzmysłowieniem swoich dogmatów, katalogami wydawnictw, propagandą ustną, jeżeli jej kto zechce posłuchać. Rzucamy okiem na pawilon ligi pokoju i widzimy, że pustki w nim panują; przechodzimy mimo pawilonów templaryuszów i innych „farmazonów." Jakkolwiek śpieszy się nam dalej, niepodobna nie zatrzymać się nieco nad nimi. Wszak stanowią oni taką ciekawą stronicę kultury zamorskiej!

Różne stowarzyszenia farmazońskie szeroko rozsiadły się po ziemi amerykańskiej. Pojedyńcze loże są miejscami zabawy i rozrywki, a nadto stanowią organizacyę bojową przeciw pijaństwu i rozpuście. Są jednocześnie wzajemnem ubezpieczeniem na wypadek choroby, na starość, w razie śmierci, utrzymują zakład wychowawczy dla sierot po zmarłych członkach ligi, dopomagają przy wyszukiwaniu zarobków i t. p. Wogóle wyobraźmy sobie podeszłego staruszka, który bardzo mało już rozumie młodszą generacyę, żyjącą i mnożącą się dokoła niego, lecz który przywykł do uczciwego trybu życia — uczciwego w znaczeniu społecznem. Tę swoją uczciwość usiłuje on zaszczepić w sercu młodego pokolenia, ale tak nudnie i jałowo gderze, tak nieumiejętnie moralizuje, tak nie pojmuje życia, które wyrosło, kiedy umysł jego starzał, ani potoku, którym on pędzi, iż zamiast wzniecić zapał i tętna serca młodszej generacyi przyśpieszyć do żywszego tempa, wzbudza jedynie w słuchaczach uśmiech politowania. Takim zbiorowym staruszkiem są farmazoni. Nie pojmują oni ani nowych prądów, które w imię uczuć społecznych walczą właśnie przeciw wszechmocnemu dolarowi, ani tego, że palenie papierosów i wypicie kieliszka „brandy" nie jest jeszcze źródłem zgnilizny i sobkowstwa. To też życie w biegu swym pomija te związki, a one coraz bardziej stają się przytułkiem poczciwych dorosłych dzieci, bawiących się młotkami i kielniami, drapujących się w tajemniczość. Jednocześnie *Allmighty dollar* wgryza się do nich, uczy ich budować „drapacze nieba" i zbierać majątek. Poczciwe niedołęgi, stare dzieci i dewocko-sekciarskiego kroju geszefciarze, oto „farmazoni."

Swoją drogą farmazoni stanowią wielką siłę polityczną i odgrywają potężną rolę w życiu publicznem. Nadto zadość czynią oni dwom potrzebom Amerykanina, nieodznaczającego się ani polotem artyzmu,

Digitized by Google

ani nadmiarem smaku. Yankee ukochał nadzwyczajnie wszystkie ceremonie, w których może przywdziać na siebie mundur, jakieś ordery, powiewać chorągiewkami. Pamiętam któregoś dnia, ledwie wziąłem się do śniadania, doleciały mnie z ulicy dźwięki muzyki, niby wojskowej,— jakiś marsz, z biciem bębnów. Ponieważ wziąłem sobie za zasadę przypatrywać się wszystkiemu w Ameryce, co tylko jest jej właściwością, pośpieszyłem na ganek. Dziwna procesya. Powóz jedzie za powozem; ale woźnica zwrócony twarzą ku siedzącym w karecie, rozmawia z nimi tak poufale, iż oczekujemy tylko kiedy wreszcie poklepie po ramieniu dżentelmana albo damę. Panowie przewiesili szarfy przez ramię, damy mają podobne wstęgi, siedzący w powozie trzymają jakieś sztandary, z młotkami na krzyż, kielniami. Na chorągwiach napisy: loża Magdaleny, loża Tomasza. Powozów idzie ze sto, a wszystkie przystrojone w taki sam sposób.

Podobne zamiłowanie tajemniczości wniknęło silnie w duszę Amerykanina. To też w Stanach Zjednoczonych roi się od różnych tajemniczych lóż, związków, stowarzyszeń, chociaż konstytucya pozwala na zupełną swobodę. Tajemniczość istnieje zatem tylko po to, ażeby zaciekawić przyjaciela, który do związku nie należy, albo wzbudzić większy ku sobie interes w jakiejś przedstawicielce płci ciekawej. Związki farmazonów liczą w ten sposób parę milionów członków. Tajemnica je osłania, ale taka, o której wróble śpiewają na dachach.

* * *

Ale czas nagli. Opuśćmy zatem farmazonów, metodystów i idźmy dalej. Wchodzimy do dzielnicy popisującej się rozmaitemi maszynkami. Wogóle Ameryka czyni na przybysza szczególne wrażenie. Gdy jedziemy koleją, uderza nas np. okoliczność, że to ten, to ów podróżny wydobywa notesik i kreśli w nim jakieś uwagi atramentem, chociaż niema z sobą kałamarza. Zastępuje ten brak obsadka ze złotem piórem lub sztyfcikiem, wewnątrz której odpowiedny przyrząd, w miarę pisania, wypuszcza kroplę po kropli atrament przez czas długi. Obsadka z atramentem? Czyż to może być jakąś nadzwyczajną osobliwością życia amerykańskiego, może ktoś ironicznie zapytać. Prawda, że to drobnostka, ale idzie o to, że Amerykanin wszędzie i zawsze musi wymyślić „maszynkę", skoro stąd wypływa choćby najmniejsza korzyść lub dogodność. Dość jest wejść do pierwszego lepszego sklepu, a napewno zobaczymy tam rzeczy, do których oko nasze w Europie nie przywykło. Różne maszyny i maszynki popisują się swoją działalnością, usuwającą rękę ludzką. Chcąc zabezpieczyć się na pewną sumę podczas podróży koleją, kupić karmelek lub kawałek czekolady, wypić szklankę sodowej wody i t. d., nie zwracamy się z naszem żądaniem

Digitized by Google

do osób żywych, ale wrzucamy wyznaczoną sumę do otworu w automacie i wnet otrzymujemy bilet; gdy podstawimy szklankę, napełni ją woda. Automat sam wszystko reguluje i sam sprzedaje. Nawet w biurach automatyczny komptometr wyręcza człowieka. Ktoś kolejno po guzikach przebiera ręką, odpowiednio do tego jakie cyfry trzeba dodać lub pomnożyć, porusza pewne trybki i w rezultacie tej mechanicznej roboty otrzymuje na pulpicie guzikowym stosowną cyfrę wypadkową. Jeżeli w większym sklepie dokonaliśmy kupna i winniśmy uiścić się z należności, nie odeślą nas do kasyera z odpowiednym kwitkiem, lecz wezmą pieniądze i włożą je wraz z karteczką rachunkową do puszki, która podnosi się wdłuż drutów, wędruje pod sufitem przez salę aż do kasy, znajdującej się może w innym pokoju lub na innem piętrze, a później, odniosłszy kwotę, spuszcza się z powrotem i przynosi resztę, jeśli ta nam się należy. Gdybyśmy jednak sami udali się za tą puszką do kasy, znaleźlibyśmy tam znowu jakieś nieznane przyrządy—do zmieniania pieniędzy. Automat, rozpadający się na kilka rur—tyle, ile krąży w kraju monet, wyrzuca stosowną monetę za naciśnieniem. Cel maszyny dwojaki. Naprzód usuwa ona możność omyłek, prawdopodobnych tam, gdzie od rana do wieczora osoba jest zajęta wydawaniem reszty i zmienianiem pieniędzy; powtóre, przyrząd upraszcza czynności i tem samem oszczędza mnóstwo czasu.

Otóż znajdujemy się teraz wśród labiryntu wystaw różnych podobnego rodzaju maszynek. Ponieważ niepodobieństwo jest o wszystkich mówić, zatrzymamy się tylko nad niektóremi.

Nie uważamy za stosowne kłaść w szkołach zbytniego nacisku na kaligrafię, natomiast uczymy dziatwę rysunków, — powiedział mi jeden z tamtejszych pedagogów. Kaligrafia staje się zbyteczną, ponieważ *type-writers*,—maszyny pisarskie—zajmują miejsce ręcznego pisania. My, w Warszawie, nie mamy nawet pojęcia, jak te maszyny upowszechniły się w Stanach Zjednoczonych. Wszystkie kantory, biura, urzędy inaczej nie piszą. Często nawet odbierałem listy prywatne, pisane za pomocą *type-writer'a*; jedynie u dołu figuruje własnoręczny podpis. Dzieci w miejskich szkołach wprawiają się do użycia tej maszyny. Pewnego dnia spędziłem kilka godzin w górnej galeryi pałacu przemysłu i sztuki, gdzie rozsiadły się firmy, wyrabiające maszyny pisarskie. Pawilonik idzie po pawiloniku, a każdy wystawił innego modelu *type-writer!* Prawdopodobnie będzie tego kilka dziesiątków. Już taka obfitość fabryk, trudniących się wyrobem danej maszyny, i takie bogactwo odmiennych systemów, wymownie świadczą o jej rozpowszechnieniu. Inne fakta jaskrawiej jeszcze przemawiają. Skoro jakaś gałąź przemysłu poczynała mnie interesować, miałem zwyczaj nudzić wystawców rozpytywaniem się o wielkość procederu i przede-

www.inptool.com.cn

Digitized by Google

wszystkiem żądać drukowanych dowodów w postaci katalogów, broszur. Amerykanie bardzo chętnie dają odpowiedzi, zwłaszcza kiedy dowiedzą się, że przybyłem z jakiejś Warszawy, o której zresztą przeważnie wiedzą tylko tyle, że nie leży ona w Anglii. Tą drogą zdobyłem kilka szczegółów. Np. fabryka w mieście Syracuse, trudniąca się wyrobem *type-writer'ów*, składa się z kilku budynków, główny ma 8 pięter wysokości i patrzy na jedną ulicę ośmiu, na drugą piętnastu oknami! A dana firma zgoła nie należy do największych! *Type-writer* zresztą nietylko pozbawia miejsca tradycyjnych kaligrafów i sztukę pięknego pisania czyni rzeczą obojętną; posuwa się on dalej i zagraża rzemiosłu drukarskiemu o tyle, że jeśli autor zamierza wydać niewielką książeczkę, może obejść się bez drukarni i sam to wykonać, a na robotę użyje prawie tyle czasu, ile zabiera samo pisanie. Z tą dążnością *typewriter'ów* jest związanem nazwisko sławnego elektrotechnika, Edisona. Z każdego oryginału, wydrukowanego przez maszynę pisarską, można zdjąć od 1,200—1,500 kopii, z szybkością 600 egzemplarzy na godzinę. Mimeograf Edisonowski,—taką bowiem nazwę nosi ów zresztą bardzo prosty przyrząd, — poczyna już dzisiaj odbierać chleb drukarniom, oraz innym dziedzinom zarobkowym. Kiedy bowiem idzie o rozesłanie w kilku setkach egzemplarzy pewnego zawiadomienia, cyrkularza, instrukcyi, liczbę tę można wydrukować u siebie w domu przy pomocy *type-writer'a*, w pewien sposób skombinowanego z mimeografem. Wynalazek widocznie przypadł do gustu, skoro obecnie jest używany przez setki tysięcy osób w Stanach Zjednoczonych.

Automaty, między innemi, zagrażają także buchhalterowi i rachmistrzowi w kupiectwie.

Inną bowiem ogromnie upowszechniającą się maszyną jest *cash-register*—rodzaj automatycznego, że tak powiem, buchhaltera i kasyera. O jego rozpowszechnieniu świadczy istnienie mnóstwa wzajemnie z sobą rywalizujących firm, trudniących się wyrobem różnych systemów registratora. Fabryka jednego systemu, znajdująca się w mieście Dayton, składa się z mnóstwa dwupiętrowych budynków, a zatrudnia 1,211 robotników przy akcyjnym kapitale półtora miliona dolarów. Takie przedsiębiorstwa istnieć mogą tylko w gałęziach, które produkują przedmiot, znajdujący dla siebie dostatecznie liczny rynek zbytu. Registratory widzieliśmy nawet w prostych kramikach. I nie dziw. W sposób automatyczny kontroluje on wymianę i handel w sklepie i usuwa błędy, w każdej chwili wskazuje, jakie kupno zostało dokonanem, właścicielowi pozwala wiedzieć o każdej czynności służbowej subjekta, nawet o prostej zmianie pieniędzy, w końcu dnia pokazuje ogólną sumę sprzedaży. Niepodobna nam wdawać się w opis samej maszyneryi registratora, powiemy tylko, że każde nawet otworzenie

Digitized by Google

szufladki musi być zaregestrowane. Przyrząd upowszechnia się, a upowszechniając, czyni niektóre prace buchhaltera zbytecznemi. Dzieli się na kilka rubryk: wydatków, dochodów, sprzedanych przedmiotów. Automatycznie notuje rezultaty, kiedy naciśniemy guzik, a wrzucona kartka — z twardej, różnokolorowej, odpowiednio do okoliczności, tektury — uzupełnia odpowiedzi registratora, kiedy idzie o bliższą informacyę.

* * *

Na dobrą sprawę moglibyśmy o halli sztuki i przemysłu napisać całą książkę. Ponieważ jednak taka szczodrość z naszej strony była-by nadużyciem zaufania, przeto uciekamy z pałacu mamutowego gdzieindziej, do halli elektrycznej. Wprawdzie powrócimy kiedyś do opuszczonego gmachu, lecz zatrzymamy się wtedy w jednym tylko zakątku jego: wystawie pedagogicznej.

III.

Zawód, sprawiony elektrotechnikom. Telautograf Graya. Rozwój elektrotechniki za morzem. Przenoszenie siły elektryczności na odległość. Koleje elektryczne. Automatyczni nauczyciele języków. Kuchnia elektryczna.

Specyaliści elektrotechnicy uskarżali się gorzko, że Białygród zawiódł ich nadzieje. Zbałamuceni i rozpieszczeni przez nieustające odkrycia w swojej dziedzinie, narzekają, że, w porównaniu z frankfurcką, wystawa chicagoska odznaczała się ubóstwem, a jak niektórzy powiadają, nawet zupełnym brakiem wynalazczości. Unaoczniła jedynie, o ile siła elektryczności znalazła zastosowanie w życiu. Sąd ten słyszałem od ludzi, wzajemnie nie wiedzących o sobie. Ameryka wystąpiła tylko z jedną rzeczą nową, „względnie nową"—jak mnie poprawił jakiś elektrotechnik. Jest to telautograf profesora Elisha Graya. Pierwsze próby publiczne zostały wykonane wiosną, a teraz o dwadzieścia mil od Chicago powstaje fabryka akcyjna, która ma eksploatować ów wynalazek. Telautograf jest telegrafem, przesyłającym rysunki. Na jednej stacyi kreślę odpowiednio przymocowanym ołówkiem jakieś wyrazy, rysunki, znaki, na drugiej zaś pióro z drobiazgową dokładnością odtwarza to samo.

Reklamy rozniosły wieść o przymiotach nowego przyrządu. Posłuchajmy litanii zastosowań, jakie Gray obiecuje ze swego wynalazku. A zatem przemysłowiec, nie ruszając się ze swego kantoru i bez pomocy pośredników, zdoła rozsyłać własnoręczne rozkazy do różnych

Digitized by Google

oddziałów swego zakładu i otrzymywać co chwila podobnie pisane sprawozdania od oficyalistów. Bankier, znajdując się w jednem mieście, w razie potrzeby będzie podpisywał czeki w innem. Kontrakty mogą być podpisywane przez dwie strony z odległości jednej i drugiej setki mil. Doktor będzie zapisywał własnoręcznie recepty w aptece, lubo znajduje się w swoim kantorze. Reporter, obecny przy jakimś wypadku i nie odchodząc od niego, będzie jednak mógł wysyłać do redakcyi nietylko opis, ale też rysunek zdarzenia. Świadek, nie udając się do sądu, składać będzie własnoręczne zeznania. Słowem, telautograf będzie jednym z przyrządów, w najwyższym stopniu znoszących przestrzeń. A nadto od telefonów odróżnia się korzystnie jedną zaletą: kiedy ktoś na jednej stacyi wysyła własnoręczny rozkaz, nie potrzeba, ażeby inna osoba była obecna na drugiej. Pisane słowo, to nie dźwięk, nie przebrzmi nadaremnie, ale pozostawi ślad swój na papierze.

* * *

Gmach elektryczności, jeżeli nie odpowiedział pokładanym w nim nadziejom, że ukaże światu coś nowego a wielkiego, to natomiast dał przewyborny obraz rozkwitu zastosowań elektrotechniki po tamtej stronie Atlantyku. O tej szybkości, z jaką życie amerykańskie stosuje odkrycia rozpatrywanej obecnie dziedziny, dostarczy chyba najlepszego świadectwa rozwój fabryk, należących do „Generalnej kompanii elektrycznej", która zjednoczyła kilka niezależnych ongi od siebie zakładów: Edisona, Houstona i in.

Warsztaty Edisona w Shenectady w roku 1886 dawały zatrudnienie tylko 450 osobom, dzisiaj rozrosły się w olbrzymi zakład, liczący w swoim obrębie z górą pół setki budynków, a zatrudniający przeszło 3,000 robotników. Fabryka Thomsona Houstona w Lynn mieściła się w r. 1884 w jednym budynku i użytkowała z pracy 75 robotników, dzisiaj zajmuje olbrzymią przestrzeń, na której wznosi się 19 gmachów, a pracuje niemal $3^1/_2$ tysiąca osób. Wreszcie dodajmy do tego fabrykę lamp elektrycznych w Harrison, zatrudniającą z górą tysiąc robotników, a otrzymamy ogólną cyfrę warsztatów owej kompanii. Kędy przed laty dziesięciu wystarczała praca kilkuset osób, tam dzisiaj poci się armia niemal dziesięciotysięczna!

Albo zajrzyjmy do pawilonu telefonów. Kilkanaście kobiet pracuje w oczach przepływającej publiczności. Pawilon ów jest bowiem centralnem ogniskiem porozumiewania się wystawy ze światem zewnętrznym. Na ścianach wiszą ogromne tablice, pokazujące rozrost w Stanach Zjednoczonych sieci telefonicznej. Przytoczymy niektóre cyfry:

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

	Liczba pracujących osób:	Liczba telefonów:	Uskutecznionych połączeń:	Długość drutów mil ang.:
W r. 1881 . . .	1,482	180,000	215,280,000	28,000
„ 1893 . . .	9,970	553,000	600,000,000	441,000

A dodajmy do tego rozgałęziające się połączenia telefoniczne pomiędzy oddzielnemi miastami. Obecnie np. na wystawie działa telefon, łączący New-York z Chicago; jest to olbrzymia odległość, niemal tysiąca mil angielskich.

Zresztą nie trzeba cyfr statystycznych, ażeby przekonać się, że telefon wżarł się w codzienne życie Amerykanina i że chyba większą tam za morzem odgrywa rolę, aniżeli u nas poczta. Najmniejszy kantor posiada swój telefon, w większych prywatnych mieszkaniach znajdują się w ścianach odpowiedne przygotowania, a jeżeli lokator zażąda, na drugi lub trzeci dzień będzie związany z siecią telefoniczną nietylko swego miasta. Każdy stały mieszkaniec Chicago na karcie wizytowej daje adres najbliższego telefonu, przynajmniej jednego z najbliższych. Kiedy ktoś ma interes, telefonuje do owej stacyi, która odsyła wiadomość na wskazane miejsce za opłatą 10 centów. A oświetlenie za pomocą elektryczności? Zbytecznem byłoby rozwodzić się nad jego częstością. Spotykaliśmy je w prywatnych mieszkaniach.

* * *

Dotychczas lampy elektryczne i telefony zdobywały sobie prawo obywatelstwa, dzisiaj w Ameryce do współzawodnictwa w zastosowaniu występują masowo daleko ważniejsze wynalazki. Jedne obiecują dokonać zupełnego przewrotu w hutach, kuźniach i zakładach metalurgicznych. Sztaby metaliczne, przeznaczone do kucia, przeróbki, stopienia, są poddawane prądowi elektrycznemu, a uskutecznione próby pozwalają mniemać, że wiele trudności technicznych, z jakiemi boryka się teraźniejszy przemysł, stanie się z czasem, przy zastosowaniu metody elektrycznej, błahostkami. W halli elektrycznej na każdym kroku oglądamy mnóstwo innych wynalazków, które tu i owdzie już wylegitymowały się ze swojej wartości, a teraz na wystawie wołają o szerszą widownię działalności. Po większej części są to różne motory, poruszane przez siłę elektryczną. Zdają one egzamin w ten sposób, że wywołują silny prąd w otaczającem powietrzu, w którem pływają sztuczne ryby i ptactwo, lub od którego otwierają się i zamykają drzwi wewnątrz pawilonu danej firmy, i tak dalej w tym rodzaju.

Najważniejsze jednak ulepszenia i wynalazki ukryły się niepokaźnie w różnych kątach i trzeba pomocy specyalisty elektrotechnika, ażeby do nich dotrzeć. Są to przyrządy, przeznaczone do przenoszenia siły elektrycznej i zamieniania jej na motor—na odległości. Wynala-

Digitized by Google

zek ten, może jeden z najważniejszych w naszem stuleciu, oczekuje od lat kilku na to, ażeby wprowadzono go do przemysłu. Ameryka, jak o tem przekonywają nas posiadane tablice, jęła się już wyzysku tego odkrycia w mnóstwie punktów swojego obszaru. Wszystkie wysiłki rozwiązania istniejących w tej mierze trudności technicznych doznają szalonej podniety przez nagrodę, jaką wyznaczyło za odkrycia w tej sferze towarzystwo akcyjne, zamierzające zamienić siłę prądu Niagary na elektryczność i przenieść ją do Buffalo i nawet do odległego o paręset wiorst New-Yorku. Uzyskano bowiem pozwolenie rządu na zmniejszenie poziomu Niagary o cal jeden i obrócenie kradzieży dokonanej na przyrodzie na cele techniczne. Rabunek taki dał-by bezpłatną siłę motoryczną aż 7 milionów koni mechanicznych, t. j. dwa razy większą, niż ta, która znajduje się na usługach przemysłu w całym Związku północno-amerykańskim! Powstała spółka akcyjna, posiadająca kapitał dziesięciu milionów dolarów, celem dokonania tego podkopu. Uzyskała potrzebną koncesyę i wzięła się do pracy — odprowadzenia wody przy pomocy kanałów. Mają być zbudowane duże centralne stacye, jedna dla zamiany siły spadku na dogodniejszy motor w postaci zgęszczonego powietrza, druga — na prąd elektryczny; każda obecnie będzie dawała siłę dziesięciu tysięcy koni mechanicznych, później zaś stu. Nastręcza się kwestya, jakim sposobem tę potęgę, wydartą przyrodzie, można-by przenieść w inne, dalsze okolice. Inżynierya elektrotechniczna Stanów Zjednoczonych dzisiaj pracuje gorliwie nad najpraktyczniejszem rozwiązaniem tego zadania. Towarzystwo, prowadzące roboty hydrauliczne, umawia się z zarządem miasta Buffalo o dostarczanie mu prądu elektrycznego do oświetlania ulic. Mieszkańcy Buffalo marzą w ciągu dalszym o oświetleniu domów siłą, wydartą Niagarze, o ogrzewaniu kuchni i o innych zastosowaniach.

* * *

Innem wielkiem zastosowaniem danej siły są upowszechniające się w Stanach Zjednoczonych koleje elektryczne. Spotykamy się tam z niemi na każdym kroku. Koleje bywają zwykle w małem użyciu wewnątrz wielkich miast, natomiast idą od nich na zewnątrz i łączą je z okolicami podmiejskiemi. W Chicago można użyć godzinnej przejażdżki het pomiędzy polami i gajami — wszystkiego za 5 centów. Im bardziej na zachód, tem obficiej spotykamy tego rodzaju tramwaje. Tradycya przeszłości nie ciąży i pozwala wcielać w życie odrazu najlepsze wzory teraźniejszości. Obecnie wzięto się do olbrzymiej próby — zaprowadzenia pociągów elektrycznych pomiędzy Chicago a St-Louis, które mają biedz z szybkością, nieznaną nawet sławnemu „Flyerowi", kursującemu pomiędzy Chicago a New-Yorkiem od kilku

Digitized by Google

miesięcy. Pociągi drogi elektrycznej będą składały się tylko z 2—3 wagonów, ale za to będą kursowały w nader blizkich odstępach czasu, podobno co kwadrans. A elektryczność winna poruszać nietylko wagony kolejowe. Na kanałach, które przerzynają plan wystawy, pływają czółna, poruszane przy pomocy elektryczności. W kącie budynku elektrycznego spostrzegamy coś w rodzaju omnibusa bez dyszla. Omnibus ów będzie się poruszał po zwyczajnych drogach, pchany przez ten sam motor. Zwykły powóz—bez koni!

* * *

Drobniejsze zastosowania znajdujemy na górnych galeryach. W jednym zakątku zastosowano elektryczność do inkubatorów, poświęconych sztucznemu wylęganiu kurcząt; w innym motora elektrycznego użyto do krawiectwa,—w naszych oczach odpowiedny przyrząd kraje calowej grubości warstwę złożonych jeden na drugi pokładów sukna; gdzieindziej znowu—jako zastosowanie elektryczności!—rozsiadły się kramiki szarlatanów, leczących wszystkie choroby elektrycznością. Korzystając ze sposobności, dodamy, że podobnie jak na ulicach Chicago oglądamy szyldy czarodziejek, medyów, wróżbiarek, taką samą swobodę zostawiono wystawcom. W Białymgrodzie niejednokrotnie natrafiamy na reklamę kuglarstwa. Do takiego grona należą też popisujący się „elektryczni lekarze." W jednem miejscu usadowiła się wystawa metody Rosenthala, polegającej na zastosowaniu fonografu Edisona do nauki języków. Sądzimy, że metoda ta posiada olbrzymią przyszłość przed sobą — dla samouków. Uczeń trzyma rurki fonografu przy uchu, przed sobą zaś ma specyalnie ułożone metody różnych języków. Oglądaliśmy metody języków francuskiego, niemieckiego i hiszpańskiego dla Anglików — a fonograf z cierpliwością podaje do ucha wyraz za wyrazem, z możliwemi odcieniami akcentu. Samouk przyucza odrazu swoje ucho do uchwycenia dźwięków cudzoziemskiej mowy i unika nabrania złego akcentu. Automat-maszyna zagraża odebraniem chleba nawet nauczycielom języków!

Lecz przedewszystkiem wabi przechodniów ku sobie elektryczna kuchnia, pono coraz bardziej znajdująca zastosowanie w Stanach Zjednoczonych. Istnieją specyalne firmy, zajmujące się wyrabianiem odpowiednych sprzętów i przyrządów. Przed nami duży blaszany piec, wewnątrz oświetlony lampkami elektrycznemi, a okno szklane pozwala dokładnie widzieć, w jakim stanie jest włożone tam ciasto lub pieczeń. Przy innym stoliku postawiona np. na metalicznym krążku szklanka zimnej wody poczyna się już gotować, gdyż bąble wydobywają się silnie na powierzchnię. W niklowem naczyniu kipi kakao. Murzyn w białym ubiorze uwija się w kuchni i przyrządzone potrawy odnosi

Digitized by Google

do restauracyi. A w całem gospodarstwie ani jednej iskry, nie dopatrzysz najmniejszego śladu ognia, niema niepotrzebnego gorąca, prócz tego, jakie unosi się z rozgrzanych naczyń, powonienie nie czuje swędu, a dym nie żre oczu. Nie widać ani kawałka drzewa, nawet niema zapałki, prąd elektryczny nie potrzebuje tego rodzaju pomocników. Dość zakręcić w tę lub inną stronę szrubkę, a już tamujemy bieg gotowania się wody lub ogrzewamy ją. Kuchnia ta posiada inne jeszcze przymioty. Elektryczność jest stałem źródłem ciepła, działającem dzisiaj według wczorajszej normy. Po kilku dniach doświadczenia gospodyni wie, ile w danem naczyniu jakaś potrawa wymaga czasu. A zatem może spokojnie siedzieć w trzecim i czwartym pokoju i tam mieć szrubkę, regulującą prąd; nie uczyniwszy ani kroku, „gasi" ogień lub roznieca go. Może nawet wyjść z domu na odpowiedny przeciąg czasu; „ogień" nie zgaśnie i nie wznieci pożaru, potrawy się nie przypalą.

Kuchnia elektryczna ma wielką przyszłość przed sobą. Służąca zjawia się w amerykańskim domu dopiero wtedy, kiedy dochody są już względnie znaczne i odpowiadają mniej więcej naszej stopie 3—4 tysięcy rubli rocznie. Naturalnym tego wynikiem jest spory postęp w technice kuchennej. Taniość służby u nas sprawiła, że mało dbamy o zdobycze, dokonane na tem polu. Wszak ciężar obowiązku i mozoły w kuchni spadają nie na nasze barki, a posiadanie dwóch służących nieraz jest tańszem, aniżeli kupno sprzętów nowożytnej techniki domowej! Amerykanka, której gospodarstwo obywa się bez najemnicy, zachowuje się, bo musi, inaczej. To też kuchnia wygląda odmiennie. Usunięto opał drzewem, jako zbyt mozolny, a na jego miejsce wprowadzono gaz lub gazolinę. Sam piec wygląda niby mebel, cały z metalu, błyszczy się jak cacko. Stanowi on własność lokatora, który, kiedy zmienia mieszkanie, rozbiera go na części. W takich warunkach zapanowanie wszechwładne w Stanach Zjednoczonych kuchni elektrycznej jest kwestyą niedalekiej przyszłości.

IV.

Ogólny widok halli ogrodniczej. Sadownictwo zamorskie. Ferma owocowa oldeńska, gaje jabłczane i pola poziomkowe. Kalifornia—las owocowy. Przewrot, dokonywający się tam w technice sadownictwa. Nowa era w dziejach osadnictwa ludzkiego. Karczowanie dziewiczych przestrzeni w imię zakładania plantacyi owocowych. Właściwości amerykańskiego sadownictwa.

Dwa długie, lecz nizkie, równolegle idące pawilony, oszklone od dołu do góry, związane wzajemnie z sobą na każdym końcu wyższemi,

Digitized by Google

kwadratowemi salami, a nadto wpośrodku połączone kształtnie zbudowaną rotundą, — oto siedlisko kunsztu ogrodniczego. Dokoła niego ciągną się szpalery zieloności: tutaj sterczą kaktusy Arizony i N. Meksyku, tam uśmiecha się flora Australii, owdzie jakiś Stan pośpieszył z widokiem swojej roślinności. Dalej idą kwiaty: cała przestrzeń wysepki, utworzonej przez kanały, pokryta jest różnobarwną szatą. Gdzieniegdzie sterczą drobne, odosobnione rotundy. To pojedyńcze, zamożniejsze firmy, zajmujące się hodowlą kwiatów, oddzieliły się od gminu ogrodniczego.

Czy mam prowadzić czytelnika po tych zakątkach? Gdybym był specyalistą, może wyszukał-bym w tym zbiorze zieloności, w tych długich oranżeryach, gdzie wśród wilgoci i gorąca pierś z trudnością oddychała, coś ogólnie interesującego. Ale jestem najzupełniejszym profanem, którego całą przyjemnością było przyglądać się bujnej, popisowej florze, a z pośród zielonego widoku wyróżniałem jedynie garbate, pękate kaktusy. I zarząd wystawy równie pojął, że tę zieloność trzeba czemś urozmaicić; w pośrodku rotundy wzniesiono zatem szereg sztucznych grot, mających widzowi dać przedsmak cudów sławnej kryształowej jaskini. Ale i bez tego było tutaj zawsze gwarno. Oranżerya służyła za przewyborne miejsce spaceru i flirtu.

Zatrzymam się jedynie nad owocowym działem wystawy ogrodniczej.

* * *

Sadownictwo w Stanach Zjednoczonych staje się gałęzią rolnictwa, przynajmniej w niektórych okolicach. O tem świadczą nawet specyalne czasopisma rolnicze, które tak samo sporo, jeżeli nie więcej, poświęcają miejsca uprawie owoców, jak zboża. Nawet zabudowania gospodarskie mówią o takiem równouprawnieniu; oglądałem modele śpichlerzy, przeznaczonych jednocześnie do przechowywania owoców i zboża. A o takiem mieszanem fermerstwie mogliśmy się przekonać niejednokrotnie.

Z okien wagonu kolejowego przyglądaliśmy się takim widokom. Niekiedy na przestrzeni bardzo a bardzo wielu mil jechaliśmy wzdłuż plantacyi ogrodowych: ciągnęły się one, niby gaje, poprzedzielane polanami zbóż. Domki, widniejące wśród zieleni drzew, wyglądały niby chatki leśników. Plantacye szły regularnemi rzędami, wszystkie drzewa ostrzyżone tak samo, słowem cały obraz dowodził, że jesteśmy nie wśród swojskiej rutyny, lecz wśród obszarów, stosujących wskazówki naukowego sadownictwa.

* * *

Digitized by Google

Znajdujemy się tedy w halli owocowej. Najbardziej krzyczące barwy skojarzyły się z sobą, a jednak w tym chaosie czerwieni, jaskrawej żółtości, purpury, błękitu, niema dyssonansu. Może dlatego, że jestem wobec tworów przyrody a nie ręki ludzkiej. W głębi sterczy pomnik, ułożony z cytryn i pomarańcz Kalifornii, z drugiego końca ciągną się stoły, zastawione podobnem nakryciem. Ściany są oblepione schodami jabłek, grusz i innych owoców, a w szafach widać najrozmaitszą mozaikę słojów. Bezład i gra jaskrawych barw, a jednak oko z zadowoleniem biega po tych górach, stosach, posągach.

A do wrażeń oka dołączają swoją działalność inne zmysły. Cała gama zapachów przelatuje przede mną za lada powiewem wiatru w halli owocowej i działa niby narkotyk.

Może pod wpływem tych wrażeń, obraz, wiszący na ścianie, przestaje być pasmem barw, rozpostartych na płótnie, i przekształca się na cząstkę żywej przyrody, której przypatruję się niby z lotu ptaka. Powierzchnia gruntów wygląda jak zakrzepła fala morza, wszędzie unoszą się pasma wzgórzy. Gaje, ułożone w regularne czworoboki i porznięte prawidłowemi, porządnie utrzymanemi drożynami, szumią regularnemi rzędami drzew, tuląc do zielonego łona drobne, kształtne domki leśników. Ale bory te nie są zwykłemi lasami, to plantacye drzew owocowych! Obraz przedstawia nam jeden z nowoczesnych folwarków-sadów, *Olden fruit farm*, który rozpostarł się na przestrzeni blizko 3,000 akrów w stanie Missouri. Chatki, wyglądające z po-za gąszczów, są domkami ogrodników, którym właściciel powierzył pojedyńcze działy tego szczególnego folwarku. Środkiem lasów owocowych biegnie gościniec pocztowy, a stacya ulokowała się naprzeciwko gmachu, w którym skrzętne ręce ludzkie nadają owocom postać handlową. A rozbudzona wyobraźnia unosi się dalej, po-za widnokręgi, objęte obrazem. Wszak cały stan Missouri jest usiany takiemi gajami. Mam pod ręką listę folwarków owocowych w hrabstwie Howell, kilka posiada po parę dziesiątków włók rozległości, mnóstwo jest takich, których rozmiary sięgają kilkudziesięciu. W całym stanie znajduje się około 30 tysięcy ferm, zajmujących się jedynie hodowlą owoców. Wieśniak nie jest zwykłym wieśniakiem, powierzającym macierzy-ziemi jedynie ziarno zbóż, ale ogrodnikiem. Do gajów owocowych zastosował prawo płodozmianu, a u postępowych gospodarzy zjawia się specyalny inwentarz, mający dostarczać odpowiednej mierzwy. Czyżby wujaszek Sam chciał wydrwić te mądre, trzeźwe mózgownice, które szydziły z bredni Fouriera, przepowiadającego, że kiedyś ziemia będzie pokryta lasami owocowemi, a całe okolice będą rywalizowały w uprawie tylko specyalnej odmiany grusz lub jabłoni? Olbrzymi gaj jabłoni Ben Dawis na fermie oldeńskiej, wyraźnie świadczy, że nie należy trzeźwości

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

kreta brać za jedno z mądrością. Albo inne widoki, które mam przed sobą w halli owocowej: te fotografie pól poziomkowych, które mierzą swój zbiór tysiącami buszli, owe olbrzymie suszarnie śliw! W całej pełni przemawia z tych kopii żywej lecz celowo prowadzonej przyrody nowa epoka dziejów ludzkich!

* * *

Lubię przypatrywać się wystawom kalifornijskim. Jeśli wyobraźnia uniosła mnie daleko na widok gajów oldeńskich, jak wysoko musi szybować, kiedy stanąłem wobec zamiarów kalifornijczyka! Te stosy pomarańcz, brzoskwiń i cytryn, te słoje winogron, fig i daktyli, czyż nie są wymownem świadectwem, że kapitalista z całą gorliwością *businessmana*, węszącego zyski, krząta się tam nad założeniem nowego Edenu? Płody, które w ciągu dziesiątków tysięcy lat rutyniczna ręka zbierała w ustroniach, poprzedzielanych niezmierzoną przestrzenią, zostały zniesione do jednego miejsca, poddane tresurze, a nauka objęła kierownictwo. Kalifornia zawsze jest ojczyzną złotej gorączki: niegdyś dobywano złoto z łona ziemi, dzisiaj je zgarniają z gałęzi drzew. A zaprawdę jest to dziwnie urodzajny kraj. Trzechletnie plantacye dają już obfite zbiory, wiśnie wyrastają do 60 stóp i mają w obwodzie po 8, uginają się pod ciężarem owocu. Pojedyńcze śliwy dają w przecięciu po 300 funtów owocu, są zaś okazy, które w jednym roku dostarczyły 1102 funtów! Jeden dwudziestowłókowy folwark w dolinie św. Joachima, wprawdzie wzorowo prowadzony, dał około 3 milionów funtów owoców jednego roku. Czyż potrzeba wymowniejszych cyfr?

Kraina ta zamienia się zwolna na olbrzymi sad. Człowiek względem przyrody spełniał dotychczas rolę rabusia, który ogałacał powierzchnię ziemi z szaty leśnej. Kalifornijczyk usiłuje przywrócić tę osłonę, ale, zamiast dzikiego kroju, daje jej cywilizowany, owocowy. Tam, gdzie przed dziesiątkiem lat nie było ani jednego drzewka, teraz ciągną się tysiące akrów gaju. Powstały hrabstwa, pokrywające się gajami śliwkowemi, inne — brzoskwiniowemi, gruszkowemi, cytrynowemi. Kalifornia szczodrze obdarzała na wystawie przechodniów różnemi broszurkami, mającemi zwabić wychodźców. Wszędzie kładzie ona nacisk tylko na sadownictwo, jak gdyby pragnęła całą swoją przestrzeń przekształcić na olbrzymi raj owocowy. I takie są, w samej rzeczy, jej zamiary. Po głowie jej obywateli tuła się ambitna idea, ażeby Kalifornii w międzynarodowym podziale produkcyi dostała się rola sadu, jak górom Szwajcaryi i holenderskim nizinom — wyrobu serów.

Rozwój taki sadownictwa rodzi dalsze skutki. „Powstała wysoce posunięta organizacya w zakresie produkcyi—czytamy w pewnej pracy

Digitized by Google

o Kalifornii—i powołano do życia na wielką i wciąż wzrastającą skalę różne maszyny, pozwalające osiągać wielkie oszczędności na pracy ludzkiej. Możemy wykazać, że rzeczywiste koszta wyprodukowania funta owoców spadają z każdym rokiem. Niepodobna nawet określić, jak nizko mogą one spaść w sprzyjających okolicznościach pod ręką intelligentnego Amerykanina, znającego swój interes. Fermerzy robią fortuny mimo cen, które przed laty dziesięciu prawdopodobnie doprowadziły-by ich do bankructwa. Rozumie się, istnieją jakieś szranki, po-za które taniość owocu nie przejdzie, ale leżą one jeszcze daleko." Wszystko, co ma tylko coś wspólnego z sadownictwem, porwane zostało wirem rewolucyi technicznej. Sposób sadzenia i dozorowania plantacyi, opieki nad owocem na drzewie, zbioru, opakunku i transportu owoców, wyrobu konserw, przechowywania,—wszędzie po przez bagno rutyny przebiega wartki potok postępu i oczyszcza je z szablonów przeszłości. Weźmy chociażby sposoby walki z pasorzytami. Wdłuż plantacyi widać pompy, odświeżające te lasy sztucznym deszczem—niekiedy odpowiednio przygotowanej cieczy—celem zniszczenia szkodników, to znowu oglądamy kaptury, któremi okrywają podejrzane drzewko i pogrążają je na czas jakiś w atmosferze stosownego gazu. Są dnie, kiedy na przestrzeni wielu mil gryzie oczy odor preparatów chemicznych, skierowanych przeciwko pasorzytom. Ale dajmy spokój tej litanii środków, jakiemi rozporządza ogrodnik kalifornijski.

Koncentracya hodowli oddziaływa na handel owocami. Świeży owoc wędruje z Kalifornii do Bostonu i New-Yorku, ale przecież łatwiej przebyć tę drogę przerobionemu na soki i konserwy. To, co u nas jest jeszcze dziełem domorosłej gospodyni, tam stało się przemysłem fabrycznym, a wśród gajów poczynają ukazywać się zakopcone kominy, strzelające wysoko po-nad plantacyami. W górnej galeryi spotykamy baterye słojów, wystawionych przez różne firmy, które chwalą się nietylko swojemi produktami. W pawiloniku jednej z nich wiszą fotografie. To szczegóły transportu. Pociąg, złożony z 25 wagonów towarowych, wywozi z Kalifornii owoce i produkta jednej fabryki, która u dołu fotografii dodała: „widok, nieoglądany jeszcze w dziejach." Ale kiedy jednemu zbiera się na śmiech, inny musi gotować się do płaczu. Co pocznie wieśniak sycylijski, kiedy Kalifornia będzie na rynek wszechświatowy wyrzucała masy swoich owoców? Czy na zegarze dziejowym nie wybije godzina nędzy i ciemnoty dla południa i tak już ubogiego i ciemnego? Cała halla owocowa przedstawia się nam w innem świetle. Ameryka wznosi baterye przeciwko staruszce Europie, pewna zaś zwycięstwa zaprosiła ofiary do przyjrzenia się tym śmiertelnym pociskom. *(Przypisek późniejszy.* W proroctwie swojem omyliliśmy się, bo nie w dalekiej przyszłości, lecz obecnie nastała owa chwila. Rokosz

Digitized by Google

sycylijski, który wybuchnął ku schyłkowi ubiegłego roku, wypłynął z nędzy, w jaką ostatnie lata pogrążyły uroczą wyspę w następstwie spadku cen owoców. Zniżka zaś owa była wywołana przez wyrugowanie płodów sycylijskich z rynków amerykańskich).

* * *

Nietylko Kalifornia, lecz Colorado i Oregon marzą także o przekształceniu swoich obszarów na lasy owocowe. Właśnie stoimy wśród zbiorów oregońskich. Rzęd za rzędem ciągną się napisy buńczuczne, napuszone reklamą, lecz charakterystyczne. „W Oregonie zrobisz fortunę na ogrodownictwie." Uderzono w najczulszą strunę duszy ludzkiej, w słabość do robienia grosza... „Oregon, to raj owocowy!" „Ojczyzna czerwonej jabłoni." „Ukochane siedlisko śliwy", „grusze oregońskie ważą po trzy funty", „brzoskwinie mają po 17, a wiśnie po 3¾ cali." Niema najmniejszej wątpliwości, że z tych napisów przemawia smok reklamy. Ale Amerykanin, gdzie idzie o trwałe zyski, pamięta, że wszelki żart ma swoje granice i że nic gorszego, jak przebrać miarkę. W jego bladze tkwi zawsze źdźbło prawdy! U dołu pod napisami spostrzegamy potwornej wielkości owoce. Może to także wyjątki, ale dzisiejszy biały kruk w industryi pomologicznej jutro stanie się zasadą. Jest to dziedzina, gdzie z wielkiem powodzeniem hodują arystokratów i w przepaść nicości rzucają organiczne pospólstwo.

Czyż te reklamy Oregonu i Kalifornii nie zwiastują nowej fazy w dziejach ludzkiego osadnictwa? Człowiek kolonizował glob ziemski w imię najrozmaitszych haseł. Szerzył pożogi i rzezie pomiędzy dwunożnymi ssakami; wędrował, pędząc przed sobą trzody i poszukując pastwisk; karczował knieje i nowinom powierzał ziarno, ufny, że jego zachody będą uwieńczone sowitym plonem. Ale ażeby jął kolonizować ziemię w imię owocowego fermerstwa, to dopiero sprawiła doba dzisiejsza. Zamiast worków pszenicy — stosy owoców, zamiast ulepszonych kos — noże ogrodnicze, zamiast pól pszennych — gaje, tak wygląda osadnictwo nad brzegiem Pacyfiku!

* * *

Rewolucya wkracza do ogrodownictwa, rewolucyonistami są zaś Amerykanie. Sadownik europejski wyhodował kilka gatunków szlachetnego owocu, ale nie poszedł, a poniekąd pójść nie mógł dalej. W naszej części świata rynki rozsiadły się niedaleko sadów i udaremniły wszelki postęp techniczny przewozu. Życie nie domagało się śpichlerzy owocowych, zbrakło też przedsiębierczości. Po tamtej stronie Atlantyku śpichlerze stały się zjawiskiem codziennem, fermerzy-ogrodnicy obradują nad tem, jakby stworzyć coś w rodzaju elewato-

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

rów — rozumie się nie dla zboża, ale dla owoców! W halli na jabłkach widzimy napisy: „świeże." Aż do tego doszło! Bo obok rozłożone są stosy owoców z 1891, a nawet 1890, wyglądające tak samo.

Europejski ogrodnik jest rutynistą. Wbił sobie do głowy różne przesądy. Ubrdało mu się, że to jest szlachetnem, co zostało uszlachetnionem przed wiekami. Zapomniał, że najpiękniejsze grusze pochodzą od zwykłej dziczki. Parweniusz amerykański, w którego oczach chłop szląski dobija się godności senatora, lubo jest przybyszem, inaczej spogląda na przyrodę. Dlań „hołota" jest roztworem, z którego mogą się osadzić najcudowniejsze kryształy. A zatem na stacyach doświadczalnych pielęgnuje żórawiny, czernice, jerzyny, orzechy laskowe. Kto wie, dokąd te próby doprowadzą! Marne czernice i orzechy laskowe znalazły się nawet w halli owocowej. Wątpię, czy w kastowej Europie ten chłopski owoc doczekał-by się podobnego uznania. Brr! plantacye czarnych jagód! Na taką propozycyę oburzył-by się każdy szanujący się ogrodnik arystokratycznej Europy. On uprawia tylko pańskie owoce, chamskie niechaj rosną dziko!

V.

Ogólny zarys amerykańskiej techniki rolnej. Wiek żelazny w rolnictwie. Drobne fermy i tryb gospodarowania na nich. Specyalizacya w produkcyi maszyn. Przystosowanie narzędzi do warunków gleby. Wizerunki fermy amerykańskiej. *Bonanza farms* na dalekim zachodzie Ameryki.

Wstępując w progi halli rolniczej, stajemy wobec najpotężniejszej fali rewolucyjnej, jaka dzisiaj wstrząsa skołataną techniczną nawą cywilizowanej ludzkości.

Gdziekolwiek zwrócimy kroki, wszędzie oczekuje nas jakaś niespodzianka. Rutyna europejska, którą pozostawiliśmy za sobą, po tamtej stronie Atlantyku, a nowatorstwo amerykańskie, upostaciowane w maszynach, olbrzymich obrazach, albumach z fotografiami, wreszcie w modelach, jaskrawo przeciwstawiają się sobie. To dwa odrębne światy, dwie różne epoki w historyi kultury ludzkiej! I Amerykanin tak tę rzecz pojął. Wzdłuż górnych galeryi znajdujemy modele i wizerunki, zawsze w podwójnej liczbie: jeden przedstawia niezmiennie, jak dawniej robiono masło, orano pole, zbierano siano, młócono zboże, a to „dawniej" jest jeszcze żyjącą teraźniejszością w Europie; drugi maluje nam dzień dzisiejszy, to jest amerykańskie stosunki. Liczne rysunki uprzytomniają nam tryb życia i gospodarowania na glebie amerykańskiej. Czegóż tutaj nie mamy! Znajdujemy szereg olbrzymich, a doskonałych fotografii, przedstawiających, jak wyglądają żniwa,

Digitized by Google

siejba, orka na fermie amerykańskiej. To znowu piętrzą się olbrzymie albumy widoków folwarku, obór, gumien, plany zabudowań i pól; gdzieindziej mamy rzecz jeszcze doskonalszą—panoramy folwarcznego życia amerykańskiego. Tu i owdzie widać kolorowane obrazy—prawdopodobnie kilkudziesięciu stóp kwadratowych—amerykańskiej uprawy pola; zresztą nie wiem, czy mam prawo nazwać je obrazami, tło bowiem jest urządzone jak w teatrze, na polu poruszają się rzekome żniwiarki, orzą parowe pługi. Oglądamy nawet miniaturowe modele całego gospodarstwa: budynki wznoszą się przed nami, zboże faluje na polu, ludzi z narzędziami widać wśród niw.

Amerykanin wie, że może być dumny z przewrotu, jaki sprawił we wszystkich gałęziach produkcyi rolnej, chwali się zatem na każdym kroku. Nie zna on fachowej zazdrości, może dla tego, iż powątpiewa, aby Europa dorównała mu w czemkolwiek, co dotyczy techniki. Jeżeli zapożyczy u niego zdobycze chwili dzisiejszej, on tymczasem wcieli w życie coś nowego i jeszcze doskonalszego. Wśród reklam, rozdawanych w dziale maszyn rolniczych, znajduje się jedna nader charakterystyczna. Obrazek składa się z dwóch części: jedna nieruchoma, posiada okienko, przez które zawartość drugiej się ukazuje, a w miarę tego, jak ją obracamy, przed oczami przesuwają się coraz nowe widoki: to maszyna do rozrzucania gnoju, to inna—do przetrząsania siana, wykopywania kartofli. Yankee wymalowany, z dumną miną wskazuje palcem na te zdobycze techniki rolnej: „chodźcie, a przypatrujcie się, narody kuli ziemskiej!" Z drugiej strony ciśnie się na rysunku tłuszcza rolników globu ziemskiego w swych narodowych kostiumach i podziwia cuda amerykańskie...

* * *

Z przyjemnością przebywałem w tym oddziale halli rolniczej, gdzie wystawiano maszyny.

„Wiek żelazny w rolnictwie!" taki dumny napis rozpostarł się w tym dziale czysto amerykańskim, bo któż odważy się w tym przybytku amerykańskiego geniuszu współzawodniczyć z przedsiebierczymi synami Nowego Świata?!

W pierwszych dniach oczarowany chodziłem wśród łoskotu poruszających się maszyn. Byłem jako ów tłum na reklamie, o której tylko co wspomniałem. Sądzę, że gdyby wzięto naszego wieśniaka, który spędził całe swoje życie w pracy nad macierzą-ziemią, którego ojcowie i praojcowie nie znali innego zarobku, przeniesiono go tutaj i powiedziano, że znajduje się wobec maszyn rolniczych, obraził-by się na so-

Digitized by Google

wizdrzała, szydzącego z jego prostoty. Po długiem chodzeniu odkryłby wreszcie kilka znanych sobie kształtów: poznał-by pług, a raczej domyślił-by się, że ten instrument musi być pługiem, z ostrza, które stanowi najbardziej rutyniczną składową część narzędzia, jakiem człowiek kraje łono ziemi. Zdziwiło-by go w pogańskim pługu tylko siedzenie, unoszące się w górze. Co ono znaczy? Czyżby parobek, względnie wieśniak zamorski, pozwalał sobie aż na takie fanaberye, czyżby siedział na pługu i swojem ciałem przysparzał ciężaru biednemu bydlęciu? Niestety, miewa on takie zachcianki, a siedząc na pługu, trzyma jeszcze w gębie cygaro i czyta gazetę...

www.tiptool.com.cn

Błąkam się po gmachu i przypatruję się sterczącym przede mną zagadkom. Do jakiego celu np. służy ów szereg widelców, ułożonych niby szprychy koła od wozu, zachodzących przy swoim obrocie na inne szprychy, te zaś jeszcze na dalsze? Albo czem jest owo nieskończone płótno pod obracającą się drabiną, które, zrobiwszy obrót, wraca na swoje miejsce. Nieznane mi są te kształty z nieznanem przeznaczeniem. A jednak sporą część swego życia spędziłem na wsi i znam swojskie sprzęty gospodarskie. Jedno zrozumiałem: Amerykanin nie trudzi nóg swoich chodzeniem. Na każdej niemal łamigłówce umieszczono siedzenie. Ono ułatwia mi odcyfrowywanie nieznanych kształtów. Domyślam się, że gdziekolwiek jest siedzenie, tam przed sobą mam narzędzie, które porusza się po polu, a zatem jest przeinaczonym sierpem, kosą, broną, ręką, rzucającą ziarno—pługi wykluczam, bo się je odrazu poznaje po ostrzu. Gdzie niema siedzenia, tam stają przede mną zmienione cepy, widły do podawania i inne pokrewne narzędzia. Teraz, kiedy uskuteczniłem tę pierwszą linię klasyfikacyjną, łatwiej odgaduję, do czego służą te różne rebusy. Do pomocy przychodzą mi rozdawane przez każdą firmę katalogi z różnobarwnemi rysunkami—ta obfitość i rozmaitość kolorów olbrzymio ułatwia studya. Do rysunku dołączono opis użycia, a jednocześnie dodano inny, pokazujący, jak człowiek radził sobie w przeszłości. To zestawienie europejskiej rutyny i amerykańskiego postępu daje mi klucz do tajemnic zgromadzonej w gmachu techniki agronomicznej.

* *
*

A może to tylko najbardziej posunięte wzory techniki agronomicznej Stanów Zjednoczonych?—Nie! Mnóstwo drobnych fermerów przepływa przez tę salę, z którymi wdajemy się w gawędę, o ile zrozumieniu nie staną na przeszkodzie osobliwości miejscowego dyalektu. Okazuje się, iż ci ludzie w rzeczy samej używają żniwiarko-wiązałek, kopią kartofle za pomocą maszyn.

Digitized by Google

Napis nad hallą, opiewający, że jest ona wystawą żelaznej epoki w zakresie rolnictwa, zgadza się z rzeczywistością. Przekonaliśmy się też o tem podczas naszej wycieczki do pszennego stepu w dolinie Czerwonej rzeki. Znajdowaliśmy tam żniwiarko-wiązałkę nawet na najdrobniejszych fermach. Obok niej parowa młocarnia młóciła zboże. Naturalnie, nastręcza się pytanie, jakim sposobem młocarnia może się opłacać na dwu-lub trzy-włókowej przestrzeni. Drobny włościanin znajduje na to taką radę, że zwraca się do odpowiednego przedsiebiorcy, ażeby wysłał maszynę parową. Ów przedsiebiorca jest tem, co u nas nazywają maszynistą, człowiekiem, który własnoręcznie pracuje. Wezwany przybywa. Ale maszyna parowa potrzebuje do 20 rąk, kilku wozów, kilkunastu koni. Czy fermer ma się o to kłopotać? Nie, ów maszynista najmuje od siebie wszystko, a wciąż z tem mając do czynienia, zdobywa z czasem ogromną umiejętność oszczędności, wzajemna zaś konkurencya czyni, że oszczędności te wychodzą na dobre fermerowi. Ten ostatni od buszla pszenicy wnosi stałą opłatę, która pochłania około jednej piątej do siódmej całej wartości zboża. Za to jest zwolniony od wszelkiej troski. Wykonywa tylko jedną czynność, a jest to dozór nad wymłóconem ziarnem. W polu widzimy domki bez okien, są to śpichlerze. Młócarnia sadowi się przy takim domku, odrazu zsypuje do niego czyste ziarno, które tam czekać będzie chwili, kiedy fermer zwolna odwozić je pocznie do elewatorów. Dzięki znowu zastosowaniu wiązałki, może istnieć włościanin, który, skoro posiada syna, zdoła bez parobków uprawić 4-włókowy folwark, produkujący pszenicę. (Takie specyalnie pszenne fermy istnieją licznie na stepie dakockim). W tym celu zróbmy mały obrachunek. Żniwiarko-wiązałka Deeringa może zżąć i związać w snopy w ciągu dnia zboże na przestrzeni 20 akrów; jeżeli ferma ma około 4 włók, t. j. 160 akrów, jeśli nadto gospodarz ma syna, który kieruje drugą żniwiarką, wtedy po 4 dniach całe żniwo jest ukończonem. Pozostaje teraz plon wymłócić. Przy średnim urodzaju będzie to około 3,000 buszli, właśnie tyle, ile parowa młocarnia zmłóci w ciągu jednego dnia. A zatem na 4 włókowej osadzie żniwa i młocka zabrały ogółem pięć dni czasu dwojgu ludziom! Orka jest jedyną robotą, która wymaga większego zachodu, bo maszyny parowe, wlokące za sobą sześcioskibowy pług, są dostępne tylko dla wielkiego majątku. Mniemam jednak, że niebawem i tutaj nastąpi przewrót, mianowicie: że zjawią się tacy sami przedsiebiorcy, jak w zakresie parowej młócarni.

Wogóle, dziwny to widok, takie wymykanie się z rąk rolnika odwiecznych jego zajęć i dostawanie się ich w wir społecznego podziału pracy. Jak pieczenie chleba, wędzenie szynek, wymknęły się dawnej

Digitized by Google

gospodyni małomiasteczkowej, tak samo dzieje się w dalekiej Dakocie z młocką w teraźniejszości i z orką w przyszłości.

* * *

www.libtool.com.cn

Tak, wiek żelazny nastał w całej pełni w rolnictwie amerykańskiem. A o rozpowszechnieniu ulepszonych maszyn świadczy daleko posunięta specyalizacya w odpowiednych fabrykach. Np. w zakresie maszyn, używanych w gospodarstwie łąkowem, spostrzegamy mniej więcej następujące facliowości. Niektóre zakłady trudnią się jedynie fabrykacyą maszyn, służących do prasowania siana, i na tem poprzestają. Inne wyrabiają jedynie grabiarki lub kosiarki, z tą specyalnością łącząc czasami produkcyę niektórych kultywatorów. Elewatory, używane przy ładowaniu, znowu są produktem innych zakładów. Istnieją zakłady, trudniące się wyrabianiem tylko wozów do rozrzucania automatycznie po polu gnoju. Maszyny, używane przy kopaniu kartofli, wychodzą znowu z innych fabryk. Istnieje kilka olbrzymich firm, które trudnią się jedynie wyrobem pługów. Żniwiarki i żniwiarko-wiązałki są dziełem znowu innych zakładów, poświęcających się jedynie fabrykacyi tych sprzętów—inne są im nieznane. Słowem, specyalizacya przewyższa wszelkie pojęcie, a ponieważ istnieć może tylko przy odpowiednio wielkiem zapotrzebowaniu, zatem jest najlepszem świadectwem, do jakich rozmiarów dochodzi popyt ze strony rolników. A niektóre z tych zakładów posiadają bardzo znaczną wielkość. Opowiadano nam wprost bajeczne rzeczy o rozmiarach jednej z takich fabryk: jest ona tak obszerną, iż własny tramwaj ułatwia komunikacyę pomiędzy różnemi oddziałami zakładu.

Mamy w tej mierze ściślejsze dane jedynie względem niektórych firm, posiadających swoje warsztaty w obrębie Chicago. Fabryka Bradleya i S-ki, trudniąca się wyłącznie produkcyą pługów i kultywatorów, rozsiadła się na przestrzeni 10 akrów i daje zajęcie 600 robotnikom; wszechświatowej sławy fabryka Mac-Cormicka, trudniąca się wyrabianiem jedynie żniwiarek, zajmuje 37 akrów i daje zatrudnienie 2 tysiącom najemników, w r. 1890 sprzedała ona 105,468 maszyn; katalog głosi, że w ciągu wielu miesięcy w roku nowa maszyna bywa ukończaną co minuta. Firma Deeringa, trudniąca się również fabrykacyą jedynie żniwiarko-wiązałek, ulokowała się na obszarze z górą 40 akrów i daje pracę 3,500 robotników. Są to, jak rzekłem, firmy, osiadłe w Chicago, o których właśnie dzięki temu zdołałem zebrać informacye szczegółowsze; o innych, których można naliczyć dziesiątkami, nie posiadam żadnych wiadomości. O liczebności fabryk świadczy wzajemna konkurencya, której dowody możemy oglądać, nie wychylając

Digitized by Google

się z murów halli rolniczej. Ileż musiały pieniędzy pochłonąć te obrazki i ryciny, rozdawane jako reklamy, te kilkoarkuszowe dzieje Kolumba, ofiarowywane w upominku z zaznaczeniem, jaka firma to uczyniła, koszyczki, medale, medalioniki, nawet szpilki ze złotym łebkiem w postaci zęba żniwiarki, jeśli wystawca podejrzewa, że ktoś z widzów posiada wpływ większy! Niektóre firmy mają własnych agentów, którzy z modelami maszyn jeżdżą po fermach i sprzedają je na wypłatę, jak u nas to się dzieje z maszynami do szycia. Inne wydają czasopisma agronomiczne, do których dokładają sporo, ale zyskują na tem, że organ taki wciąż głosi hymny na cześć narzędzi swojego właściciela. Są takie, które nawet wypożyczają na próbę wyrabiane narzędzia, z warunkiem, że jeśli będą dłużej zatrzymane, tem samem zostają kupione. Taka konkurencya wraz z powyżej skreśloną specyalizacyą i rozmiarami zakładów świadczy wymownie, że te złożone maszyny, które oglądamy przed sobą w halli agronomicznej, nie są przedmiotem parady, ale istotnej potrzeby.

* * *

Maszyna powinna być „praktyczną"—jest to wielka zasada przemysłowego życia w Ameryce. To wymaganie wywołuje nadzwyczajną rozmaitość w zakresie narzędzi rolnych. Gleba, równość powierzchni, obfitość kamieni, wszystko to tak odmiennie wygląda w różnych okolicach amerykańskiego terrytoryum! W porzeczu Missisipi przestrzeń tak gładka, jak stół, gdzieindziej—wzgórzysta i kamienista; nad Atlantykiem kultura ziemi stoi wysoko, dalej ku zachodowi wśród pól sterczą jeszcze pnie, te ostatnie szczątki, które pozostały po dawnych lasach. A jednak wszędzie zastosowano do uprawy te same narzędzia, żniwiarko-wiązałki są jednako w użyciu na wschodzie, jak i na zachodzie. Technika wywiązała się ze wszystkich tych trudności, a jeżeli uczyniła to w jakiejś mierze w sposób niedostateczny, gorliwie usiłuje wejść na lepszą drogę. To samo narzędzie zróżniczkowało się na mnóstwo odmiennych form, z których każda ma na widoku działalność wśród szczególnego splotu warunków. Np., ileż oglądamy postaci żniwiarko-wiązałki?! Na dalekim zachodzie, w stanie Waszyngtońskim, rolnik nie zwraca jeszcze macierzy-ziemi zabieranych soków, gleba bowiem jest pono bajecznej urodzajności. Żniwiarka ścina tam tylko kłosy, łodygę pozostawia na polu. Wiązałka jest tam zbyteczną, natomiast natura żniwa wymaga, aby ścięty kłos nie padał na ziemię, ale odrazu był rzucanym na wóz. Potrzeby te powołały do życia istotnego olbrzyma—podobnie wielkiego narzędzia rolniczego dotychczas jeszcze nie oglądałem! Konie—czwórka!—pchają je przed sobą,

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

ucięty kłos spada na ruchome płótno, z niego dostaje się na inne, niosące go na równolegle idący wóz.

Gdzieindziej znowu żniwiarko-wiązałka ma ciężką olbrzymią budowę, a nadto pomost jest nieruchomie poziomy, niepodobna go wznosić do góry.—Jest to narzędzie, przeznaczone na gładką, równą ziemię. Tymczasem dla wzgórzystych lub usianych kamieniami albo sterczącemi kłodami miejscowości przybiera inną formę.

* *
*

Step pszenny wystawił mnóstwo krajobrazów swojego rolnictwa. Ciekawe wzorki! Gdyby ktoś powiedział naszym dziadom, ba! gdyby dzisiaj opowiadał naszemu ziemianinowi, że nastaną czasy, gdy oracz nie będzie szedł za pługiem, lecz jechał na nim, paląc cygaro, takiego proroka okrzyczano-by za waryata, bardzo niebezpiecznej natury! A jednak owa wróżba, tak dziwnie brzmiąca, jest żyjącą rzeczywistością wzdłuż i wszerz Stanów Zjednoczonych! Nie dość na tem. Na każdym kroku spotykamy mnóstwo innych niespodzianek. Stoimy przed fotografią, przedstawiającą zaiste obrazek z tysiąca i jednej nocy.

Drobny—napewno drobny fermer, tnie łąkę. Rozumie się, że jedzie na kosiarce. Połowica jego widocznie jest zaprzątnięta około domu i nie ma czasu dojrzeć dwuletniej może dzieciny. Cóż zatem począć!? Kosiarka, która z mężczyzny zdjęła ciężar pracy, ulokowała go na foteliku i pozwoliła podczas roboty czytać gazetę, znalazła też rozwiązanie dla owej trudności, z jaką boryka się matka. Posadzono maleństwo na kolanach ojca! Dziecina bawi się brodą ojca, który córeczkę objął jedną ręką, drugą zaś trzyma lejce.

Maszyna uczyniła jeszcze inne przewroty—jest nieubłaganą a namiętną burzycielką rutyny. Na naszej mazowieckiej równinie oracz, który prosto poprowadził skibę, lub kosarz, który równo tnie zboże, dochodzą do tej doskonałości dopiero po dłuższym przeciągu czasu, przytem w wieku, kiedy mięśnie zadrgają siłą męzką. W gospodarstwie amerykańskiem rzecz to zbyteczna. Na jednej z fotografii widzimy, jak malec dwunastoletni—nie omylimy się chyba, dając mu taki wiek—kieruje żniwiarką. Gotów jestem nawet założyć się o grubą sumę, że tu i owdzie pietnastoletnia *miss* dosiada żelaznego potwora. Wszak nie jest to trudniejsze, jak powozić jednokonnym kabryoletem. A codziennie widzę, jak podlotki to czynią.

Albo zatrzymajmy się przed innym widokiem. Środkiem pola parska wóz parowy i toczy się kierowany umiejętną ręką maszynisty. Ciągnie za sobą sześć olbrzymich ostrzy, jak u pługa, ułożonych skośnie,

Digitized by Google

tak, iż jeden odwala ziemię przy bróździe, zoranej przez poprzednika. To pług parowy! Na upartego możemy znaleźć w gospodarstwie rolnem parowe wozy do zwózki drzewa lub zboża, w gmachu zaś komunikacyi wzory powozów i bryczek, równie poruszanych przez motor martwy.

www.libtool.com.cn

* * *

A wielkie gospodarstwo rolne Dakoty, owe sławne *bonanza-fermy*, o których tyle dziwów wyczytałem jeszcze w Europie? W halli rolniczej mogę studyować w bardzo sprzyjających warunkach stosunki, jakie na nich zostały powołane do życia. Fermy Clifforda, Dalrymple'a, Larimore'a pośpieszyły z obrazami swoich żniw, orki, młocki. Przepraszam, popełniłem omyłkę, lecz moja europejska natura jakoś nie może przyzwyczaić się do wzorów rzeczywistości amerykańskiej. Nie są to bowiem fermy, ale spółki akcyjne, noszące nazwę dyrektora, który prowadzi gospodarstwo rolne. Okoliczność ta nadaje wielkiemu rolnictwu amerykańskiemu szczególną elastyczność i ruchliwość, wielce przyczyniającą się do postępu w technice. Jak są prowadzonemi takie wielkie folwarki, o tem daje nam pojęcie notatka pewnego większego fermera Dakoty, gospodarującego na jednem polu pszennem rozległości stuwłókowej. „Wielkie fermy Dakoty,—powiada on,—są prowadzone ściśle według zasad *businessu*. Wszystko zostało tam systematycznie urządzone, i wiemy dokładnie, ile każdy szczegół kosztuje i ile jest wart dla właściciela. Nasze fermy posiadają buchhalterów, administratorów, urzędników. Codziennie z fermy dostajemy opracowania, które wskazują nam, co w ciągu dnia zrobiono i czego dokonał każdy pojedyńczy człowiek, koń lub maszyna. Oceniamy zużycie się maszyny w stosunku do jej działalności, doliczamy koszta reparacyi i dokładnie znamy jej wartość i żywot. Wiemy dobrze, ile akr pola nas kosztuje i zyski, jakie z niego osiągamy; aż do centa możemy wyliczyć odsetki, jakie pobieramy od włożonego kapitału." A wielkość owych folwarków? Oglądaliśmy kilka z nich w naszej wycieczce do doliny Czerwonej. Folwark Dalrymple'a posiada pod pszenicą 30 tysięcy akrów; pola, zajęte pod to zboże w majątku akcyjnej spółki Larimorskiej, posiadają w zwartej przestrzeni 10 tysięcy akrów. Widzieliśmy tam odrazu działalność czterdziestu z górą żniwiarek, mogących w ciągu dnia zżąć i związać w snopy pszenicę z 30 włók. U Dalrymple'a jednocześnie znajduje się w ruchu 189 żniwiarek-wiązałek uprzątających w ciągu dnia przeszło sto włók. A obok takiego orszaku maszyn postępuje odpowiedna armia robotników, np. na fermie Larimorskiej w naszej obecności pracowało 150 ludzi, w tej liczbie znajdowało

Digitized by Google

się kilku mechaników konno, którzy odgrywali rolę chirurgów względem oddziału żniwiarek. Tłumy te przypływają z dalekich miast, niekiedy z odległości tysiąca wiorst naszych. Obozują one na folwarku, tam dostają jedzenie, a po ukończeniu roboty znowu odpływają. Najrozmaitsze narodowości mieszają się z sobą. Podczas zimy w fermie panują ogromne pustki, gdyż przebywa tam zaledwie kilkanaście dozorców. Nawet inwentarz, służący do zaprzęgu maszyn,—przeważnie muły,—zostaje wysłany dalej w stepy. Iście koczowniczy tryb życia!

Trudno znaleźć słowo na opisanie wrażeń, jakie sprawia widok smoka, złożonego z kilkunastu żniwiarek. Obchodzi on dokoła olbrzymie pole pszenne, pozostawiając za sobą rodzaj ślimaczego skrętu i za każdem obejściem zwęża jego rozmiary. Z pod żniwiarki co chwila wysuwa się kilka snopów i sterczy na skibie, jako świadectwo, do jakiego stopnia rozwoju doszła sztuka techniczna w rolnictwie. Rzekłbyś, ogromne pobojowisko, usłane trupami. Na widnokręgu widać drugie i trzecie złocące się morze, a wśród jego pszennej fali uwijają się podobne żelazne potwory, ścinające kłos i wiążące go w snopy. Jeszcze dalej kłęby dymu pokrywają swoją czarną osłoną zgoloną ziemię. To lokomobila młóci na polu zboże. Cały ten widok pozostawia w umyśle europejskiego widza dziwne wrażenie, tak jest odmienny od naszego. Wiek pary i żelaznej industryi przeziera z każdego zakątka, nawet budynki folwarczne, widniejące w głębi obrazu, wyglądają zgoła inaczej. Poeta starego zakroju opiewa pracę zginania krzyża przy sierpie, wiązaniu snopków. Zgoła inne skojarzenia poetyckie wypłyną z pod pióra jakiegoś Burnsa przyszłości, który w szatę rymowanego słowa przyodzieje piękno owych mórz pszenicy, poruszających się automatów, parskających dymem olbrzymów!

* * *

Ale opuśćmy to siedlisko łamigłówek i cudów. Przy wychodnem spostrzegam swojską sochę i kilka innych zabytków, które dotrwały u nas od czasów legendowego potopu. Czyżby i one były jeszcze w użyciu? Nie! Napis opiewa, że takiemi narzędziami uprawiano ziemię w Missouri w r. 1840. A zatem to ustęp z dzisiejszego archiwum Ameryki, jakiś antyk, pokazywany jako ciekawostka!

(Dokończenie nastąpi.)

K. R. Żywicki.

www.libool.com.cn

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

KRONIKA WIEDEŃSKA.

Ilekroć zasiadam do pisania kroniki wiedeńskiej, a dzieje się to od wielu lat średnio po kilka razy na miesiąc,—uczuwam pewną zazdrość wobec kolegów-kronikarzy z Paryża, Berlina, a wreszcie chociaż-by i z Warszawy. Niemasz bowiem stolicy na świecie, która-by tak mało, jak Wiedeń, miała łączności z wszechświatowym ruchem literackim i artystycznym i która-by w tym stopniu żyła życiem czysto wewnętrznem i lokalnem, nie zrozumiałem po-za-rogatkami miasta. Nawet silnie rozwinięte życie teatralne, albo posiada koloryt zaściankowo-lokalny, albo też jest jeno odbiciem prądów i dążeń sztuki berlińskiej lub francuskiej. Ta zawisłość Wiednia, od Berlina mianowicie, opiera się na bardzo jasnych powodach. Jako stolica wielojęzycznej Austryi, po utracie dominującego wobec Niemiec stanowiska, Wiedeń coraz to bardziej przestaje być niemieckim. Brzmi to może paradoksalnie, a jednak, znając Wiedeń dokładnie, obserwuję, jak w oczach niemal traci charakter niemiecki i przybiera jakoś inny, nie jasno określony, ale w każdym razie czysto miejscowy. Sztuka rozkwita zazwyczaj na gruncie jakichś uniesień narodu, jakichś polotów, wierzeń i ideałów. Takiego gruntu w Wiedniu niema. Narodowo-niemieckie mrzonki, jeżeli jeszcze w Austryi istnieją, to ukryły się gdzieś głęboko w górach styryjskich lub tyrolskich—w stolicy państwa nie objawiają się zgoła. Patryotyzm tak zwany austryacki, jako sztuczny i czysto wyrozumowany, nie jest zdolen wytworzyć owej atmosfery entuzya-

Digitized by Google

zmu, która użyźnia gdzieindziej literacką i artystyczną niwę; co najwyżej stworzyć on może w literaturze szkołę zimnych panegirystów, w sztuce lokalną manierę. Różnojęzyczne prowincye austryackie żyją, rozumie się, odrębnem i własnem życiem duchowem, do Wiednia zaś grawitują tylko jako do metropolii uciech i zabaw, nie zaś jako do centrum życia literackiego lub artystycznego. Odcięty od Niemiec granicą polityczną, od krajów monarchii granicą językową, nie mając więc znikąd dopływu ożywczych soków duchowych, Wiedeń coraz to bardziej powszednieje i coraz to bardziej spada do roli jakiegoś „Théâtre des Variétés" na użytek prowincyi, które mu za to płacą. W miarę, jak prowincye, po upadku systemu germanizacyjnego, wyrabiają sobie odrębne życie duchowe, ujawnia się coraz bardziej słuszność sądu, jaki jeszcze Goethe wydał o „mieście Feaków." Półtora-milionowa ludność stolicy sama przez się nie jest zdolna w jakikolwiekbądź sposób wpłynąć na ruch duchowy miasta. Zamożne mieszczaństwo wiedeńskie dzieli się na dwie wielkie grupy. Do pierwszej należą wielcy kapitaliści, przeważnie żydzi z Węgier, Czech i Galicyi, a więc ludzie, których z miastem nie wiążą żadne tradycye, ani żaden patryotyzm. Ludzie ci szukają i znajdują tu wyłącznie rozrywki, a chcąc widzieć, czytać i słyszeć wszystko, co za granicą inni widzą, czytają i słyszą, pośrednio nadają literaturze i sztuce charakter eklektyczny, czyli, ściśle mówiąc, pozbawiają je wszelkiego charakteru. Na drugą grupę składa się mieszczaństwo rdzennie wiedeńskie: kupcy i fabrykanci z dzielnic miejskich. Nie przesadzę w niczem, jeżeli powiem, że ta część mieszczaństwa pod względem kultury o wiele niżej stoi nawet od miejskiego proletaryatu. Znam tu milionowych fabrykantów, którzy nie byli jeszcze nigdy w teatrze cesarskim, ani w operze, a instynkta estetyczne zaspokajają, przysłuchując się wraz z całą rodziną co wieczór kawiarnianym śpiewakom. To też obok kilku teatrów istnieje w Wiedniu kilkadziesiąt lokali, poświęconych muzie drugiego rzędu.

Brak estetycznie wykształconego rodzimego mieszczaństwa jest też głównym powodem upośledzenia literatury i sztuki w Wiedniu. Jedynym ich filarem jest owa grupa pierwsza mieszczaństwa, ruchoma masa międzynarodowych kapitalistów, żądnych rozrywki i wrażeń. Faktem jest, że na rozwój kulturalny Wiednia nie wpływa żaden inny czynnik ekonomiczny, oprócz giełdy: kurs akcyi kredytowych stanowi o kursie kultury. W minionem półroczu akcye kredytowe stały wysoko—no i mutatis mutandis kultura. Ale sztuka i literatura, zawisłe od takich czynników, zostające niejako na łasce hazarderów giełdowych, którzy szukają w nich jeno zabawy, jeżeli nawet stoją wysoko—to tylko chyba w znaczeniu materyalnem: o jakimś organicznym kierunku lub o jednolitości ani mowy być nie może. Kapitaliści, którzy pła-

www.libtpol.com.cn

Digitized by Google

cą, widzieć, czytać i słyszeć chcą wszystko, co gdzieindziej widziano, czytano i słyszano; wydawca zaś, dyrektor teatru, a poniekąd i artysta, muszą liczyć się ze swoimi „odbiorcami" i podawać im bez wyboru wszystko, czego pragną.

www.rbpol.com.pl

Chcąc jednak być sprawiedliwym, wymienić muszę jeszcze i trzecią grupę, jakkolwiek tak jest szczupła, co gorzej, tak mało zamożna, że jej gusta i dążności nie przekraczają prawie sfery ideałów. Ta grupa, to szczupła garstka młodzieży, mierzącej siłę na zamiary, marzycieli o wielkich celach, a małych rozrywkach, idealistów, którzy w mieście Feaków nie mogą wyrobić sobie racyi bytu. Znam ich, bo widziałem ich przy robocie. Tylna izba w niemieckiej kawiarni, to ich lokal klubowy. Wieczorami po całodziennej pracy schodzą się tam na poważne dysputy, rozprawiają o prądach w literaturze i sztuce, krytykują najnowsze dzieła, i—o słodka naiwności młodzieży!—odczytują sobie nawzajem utwory własne i wygłaszają odczyty. W tej ciasnej izdebce widziałem tyle szlachetnego zapału, tyle uniesień i ideałów, że powracam tam, ilekroć czuję potrzebę rozgrzania umysłu i serca krzepnących pod zimnem tchnieniem samolubstwa i trywialności. Jest to jedyne zebranie w Wiedniu, gdzie wolno mówić na seryo o zagadnieniach życiowych, nie narażając się na śmieszność, i przyznać się do ideałów, a nie zostać uznanym za waryata. Zebranie składa się przeważnie ze studentów, praktykantów z rozmaitych urzędów, młodych literatów i t. p. Pomiędzy nimi snuje się grono młodych panien, brzydkich lub ładnych, ale zawsze powabnych szlachetnością i pociągających owym wdziękiem, jaki nadaje kobiecie idealny kierunek umysłu. Ta młodzież, to jakby świat odrębny, jakby kolonia z dalekich stron, rzucona na bruk wiedeński, jakby niezwiązana żadnym statutem loża masońska, gdzie każdy drugiego rozumie, a wszyscy się nawzajem kochają i wspierają. Na każdej wystawie sztuki, na każdem lepszem przedstawieniu spotkać można reprezentantów tej grupy, którą prasa tutejsza ochrzciła ironicznie mianem „Jungdeutschland." Z ich sądem i zdaniem nie liczy się wprawdzie żaden przedsiębiorca, a jednak skromne wydawnictwa, przez nich samych podejmowane, zdziałały już wiele dobrego w kierunku podniesienia moralnego poziomu publiczności. Od czasu do czasu jeden lub drugi z tej szarej rzeszy wzleci wysoko, zwróci na siebie uwagę ogółu i wtedy albo ucieka z ciasnej i dusznej atmosfery wiedeńskiej na szeroki świat, albo, zepsuty powodzeniem, porzuca dawnych towarzyszy i idzie w służbę intelligentnej gawiedzi, która dekoruje nim swoje salony i płaci szczerem złotem. Do tych smutnych, jak widzicie, warunków, przybył w ostatnich czasach jeszcze silnie szerzący się prąd, który nazwać-by można śmiało anty-kulturalnym. Ażeby prąd ten należycie zrozumieć, sięgnąć należy cokol-

Digitized by Google

wiek dalej w przeszłość i cokolwiek głębiej w teraźniejszość. Prasa wiedeńska, zarówno codzienna, jak peryodyczna, od wielu lat znajdowała się wyłącznie niemal w ręku wydawców i literatów żydowskich. Prąd, lub jeśli wolicie, szał niwelacyjny, który ogarnął mieszczaństwo austryackie po nastaniu ery konstytucyjnej, opartej na zasadniczych ustawach państwowych, wpłynął w wysokim stopniu na oddanie całego ruchu literackiego w ręce żydów. Był czas, kiedy samo stwierdzenie faktu, że ten lub ów jest żydem, ściągało na śmiałka gromy gniewu i ironii. Rzecz da się psychologicznie bardzo łatwo wytłómaczyć. Żydzi, jako słabi, przez długi lat szereg znosić musieli upokorzenia i prześladowania. Następnie, kiedy zawiał z zachodu prąd tolerancyi i braterstwa, ci, którzy dobrowolnie podnieśli ich do siebie i obdarzyli równością, do tego stopnia upoili się własną szlachetnością i własnem poświęceniem, że z kopciuszków zrobili nagle ulubieńców, a upośledzonych helotów przemienili w panujących bramanów. Żydzi znów zanadto skwapliwie rzucili się do wyzyskiwania praw, których tak długo byli pozbawieni, i pewni opieki, opierając się jeno na literze konstytucyi, nie zważali na żadne względy, upajali się nowem stanowiskiem i z właściwą parweniuszom śmiałością hardo stawali wobec innych. Paroksyzm braterstwa i równości nie trwał zbyt długo. Już przesilenie finansowe w roku 1873 otrzeźwiło w pewnej mierze umysły. Trudno było nie widzieć, że przedewszystkiem zawiniła sprzedajna prasa, a trudniej jeszcze było nie wiedzieć, że prasa ta znajduje się wyłącznie w ręku żydów. Pierwszym objawem reakcyi w tym kierunku był ruch nie anty-żydowski, ale anty-kapitalistyczny. Obok socyalizmu proletaryatu powstał sui generis socyalizm mieszczaństwa, walka małych producentów przeciwko wielkim, rękodzieinników przeciw fabrykantom, kramarzy przeciw kupcom. Ustawodawstwo austryackie, powstałe pod wpływem liberalnej doktryny, a nie dające ekonomicznie słabszym żadnej, ale to literalnie żadnej opieki, zgoła tej walce nie sprzyjało. Dopiero, kiedy w dalszym a konsekwentnym rozwoju praw konstytucyjnych rozszerzono prawo wyborcze na drobnych przemysłowców, opłacających najniższy podatek, rzecz odrazu się zmieniła. Drobne mieszczaństwo poczuło, że ma w ręku władzę, i zaczęło z niej korzystać. W pogoni za względami nowych wyborców rząd i stronictwo na wyścigi czyniły im koncesye. W ten sposób powstała nowa ustawa przemysłowa i nowa organizacya drobnego mieszczaństwa, które stało się kolebką antysemityzmu. Żydzi, rozporządzając prasą, nie zrozumieli nowego prądu i, zamiast się z nim liczyć, podjęli walkę tą bronią, na jaką stać ich było najbardziej: drwinami i szyderstwem. Z identyfikowali się do tego stopnia z wielkim kapitałem, że, w miarę, jak drobny kapitał przychodził do znaczenia, rósł też w siłę prąd antysemicki. Wresz-

www.jbbpol.com.pl

Digitized by Google

cie po niewielu latach anty-semityzm stał się (liczebnie) gorującym w Wiedniu prądem. Rozumie się, że przeciw anty-semityzmowi propagowanemu w formie tak dzikiej, jak to się tutaj dzieje, oprócz żydów, powstała też cała intelligencya miejska, zaczem znów poszło, że anty-semici jęli identyfikować intelligencyę z żydostwem, aż wreszcie wytworzyli ruch, który każdy objaw wyższej kultury zwalcza i wciąga gwałtem mieszczaństwo w kałużę pospolitości, przedstawiając ją jako morze, mające zmyć z ludu plamę niewoli żydowskiej. A że anty-semici mają za sobą całe pospólstwo i najzręczniejszych mówców i agitatorów—stało się, że znaczna część wiedeńskiego mieszczaństwa i służąca jej prasa z herostratową rozkoszą niszczą wszelkie pomniki kultury, i szukając chwały w pospolitości, jadem i błotem bryzgają na każdy wyższy polot, na każde usiłowanie, skierowane ku podźwignięciu ludności z moralnego upadku. Ruch ten opierał się w początkach, jak wiadomo, na uczuciach narodowo-niemieckich; ze względów oportunistycznych i żeby nie zrażać władz państwowych, kierownicy ruchu zwolna cechę tę zatarli, zatrzymując jednak jej pozory. Ideały germańskie dzisiejszych antysemitów nie wykraczają po-za ramy opilstwa: kto być lub uchodzić chce za prawdziwego Germanina, wypijać musi całkiem nieprawdopodobne ilości piwa, okazywać na zewnątrz klasyczną gburowatość walecznych Germanów z teutoburskiego lasu i spoglądać z najgłębszą pogardą na wszelki objaw kultury i obyczajności. W ten sposób z ruchu, pod wielu względami aż nadto usprawiedliwionego, przeciw zatruwającej życie publiczne przewadze żydowskiej, wyrobił się ruch anty-cywilizacyjny, dziki i nieokiełzany, a tak już zuchwały, że onieśmielił tą zuchwałością wszelką oppozycyę. Żydzi rozsiadają się w teatrach, więc prawdziwy Germanin do teatru nie chodzi; żydzi czytują książki—zatem w ogień z książkami; żydzi nie upijają się—racya więc, że prawdziwy Germanin z opilstwa nie wychodzi. Jeden przykład z wielu: pewne grono osób powzięło myśl urządzenia wystawy teatralno-muzycznej. Bynajmniej nie żydzi, broń Boże! Księstwo Metternich, margrabia Pallavicini, baron Bourgoing, hr. Kielmansegg, z pewnością ani kropli krwi żydowskiej nie mają w żyłach; a jednak wnet cała prasa anty-semicka jak wściekła rzuciła się na wystawę i wydała hasło, by żaden prawdziwy „Aryjczyk" nie ukazał się na wystawie, dlatego—no dlatego, że taka rzecz to dobra tylko dla żydów.

Co więcej: każdą niewinną zabawę, urządzaną na wystawie, podpatrywano i wypominano komitetowi, jako grzech publiczny, ba, nawet pokryty z własnej kieszeni komitetowych deficyt służył za podstawę do obelg, rzucanych nie już w knajpach przedmiejskich, ale nawet z trybuny parlamentarnej!

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

Doszło do tego, że ktokolwiek występuje na widownię publiczną, czy to urządzając wystawę, czy odczyty publiczne, czy wreszcie nawet jako literat, naraża się na to, że liga anty-kulturalna rzuci się na niego, jak wściekła, obedrze ze czci i poda w publiczną pogardę.

www.ftptool.com.cn

Na takiem tle i w takich warukach rozwijające się życie publiczne przedstawia bezwątpienia wdzięczny przedmiot dla studyów socyologicznych i politycznych, ale dla kronikarza chuda to parafia i bardzo a bardzo niewdzięczna.

Ruch literacki, mianowicie książkowy, dawno już przeniósł się z Wiednia do Niemiec, a prasa peryodyczna w wielkim znajduje się upadku. Upadek ten nie objawia się bynajmniej w ilości wydawnictw, które, przeciwnie, wyrastają jak grzyby po deszczu, ale pożal się Boże jakości! Zacznijmy od prasy politycznej. Z istniejących oddawna dzienników (t. zw. żydowskich), jedno tylko, „Neue freie Presse", jest wydawnictwem w wyższym stylu. Pominąwszy przewrotne tendencye pisma, które może najbardziej przyczyniły się do wywołania ruchu anty-semickiego, przyznać mu trzeba bezwarunkowo pierwszeństwo w części literackiej i artystycznej. Gdyby z całego pisma pozostawić tylko felietony i krytyki Witmana, Speiella, Hanslicka, Ranzoniego i t. d., dziennik jeszcze był-by pierwszorzędnym. W części felietonowej ważnym, ale o wiele już pośledniejszym, jest „Neuer Wiener Tagblatt", najbardziej rozpowszechniony organ średniej intelligencyi—co po za tem, nie warto nawet wzmianki. Wszystkie zdolniejsze pióra znalazły przytułek w jednej z tych dwóch redakcyi, tu i owdzie tylko zabłąka się jeszcze jakiś talent literacki do redakcyi „Fremdenblattu" lub też „Tagblattu." Mówię dlatego o pismach codziennych, bo—*mirabile dictu*—stolica Austryi nie ma prawie prasy czysto literackiej, starczyć musi za nią felieton prasy politycznej. Podejmowane w tej mierze usiłowania rozbijały się zawsze o apatyę publiczności, chociaż niektóre z nich rozporządzały krociowemi funduszami. Przez krótki czas istniało, przez stowarzyszenie najmłodszych literatów wydawane, pismo tygodniowe pod nazwą „Moderne Rundschau", które pielęgnowało kult naturalizmu, ale i to upadło. Istnieje, co prawda, cały szereg spekulacyjnych wydawnictw illustrowanych i nie illustrowanych, ale o tych i mówić nie warto. Dopiero bieżący rok przyniósł w tym względzie nowość, która rokuje wielkie powodzenie. Dwaj młodzi, ale o wybitnem już nazwisku, literaci, Edmund Wengraf i Henryk Osten, założyli pod tytułem „Neue Revue" tygodnik, który w ciągu kilku miesięcy swego istnienia zjednoczył już wszystkie młodsze talenta i przyjęty został z otwartemi ramionami przez całą lepszą część czytającej publiczności. Na wstępie kroniki wyraziłem zazdrość wobec kronikarzy warszawskich, usprawiedliwię to, powtarzając w tem miejscu z naci-

Digitized by Google

skiem, że „Neue Revue" jest jedynem prawdziwie literackiem pismem w Wiedniu, kiedy Warszawa od lat wielu ma ich cały szereg. Pismo nie ma wyraźnej tendencyi z rodzaju tych, które zaślepiają sąd i zamykają oczy na wszystko, co wychodzi z innego obozu; w każdym jednak razie przeważa w niem kierunek postępowy, chociażby już w formie śmiałej i bezwzględnej krytyki. „Neue Revue" ma nadto cechę tylko w niemieckiej literaturze możliwą, jest bowiem nawskroś międzynarodową. Na czele jednego numeru naprzykład znajdujemy gruntowne studyum o ekonomicznych stosunkach Włoch profesora Ferrero z Bolonii, w innym znów nowellę Rodziewiczówny, a w ostatnim naprzykład ustęp ze znajdującego się pod prasą dzieła Alfreda Nossiga o społecznej hygienie. Najbardziej oryginalnym i najbardziej czytanym działem pisma są tak zwane „Miniaturbilder aus der Zeit", ostra chłosta wszelkich śmieszności i przewrotności na jakiemkolwiek polu by się objawiły. Tylko krytyka teatralna nowego pisma cierpi na tę samą chorobę, co cała reszta krytyki wiedeńskiej, to jest tu, jak w każdej innej gazecie, krytycy są zarazem autorami dramatycznymi, wskutek czego do całej produkcyi dramatycznej przykładają miarę własnych —rozumie się dla nich najcenniejszych—dzieł. Ta sama okoliczność wpływa nietylko na jakość krytyki, ale i na repertuar teatralny bardzo ujemnie. Począwszy od Burgteatru, każda dyrekcya zostaje wszakże w mniejszej lub większej zależności od krytyków i skutkiem tego musi, dziś temu, jutro owemu grzeczność czyniąc, wystawiać sztuki, które sama za złe uznaje i których niepowodzenie z góry przewiduje. Najwięcej takich klientów liczy najbardziej od krytyki zależny „Deutsches Volkstheater." Powstały przed kilku laty teatr ten rozpoczął swą działalność pod szczęśliwą gwiazdą. Już jako jedyny prywatny teatr dramatyczny, miał on niejako powodzenie zapewnione, a szczególna okoliczność spotęgowała jeszcze te szanse. Burg, jako teatr cesarski, kierując się rozmaitemi względami, nie dopuszczał niektórych poetów, mimo największych zalet ich dzieł. Pierwszym na indeksie był Ludwik Anzengruber, rodzimy poeta wiedeński, talent potężny i wielce oryginalny, pisarz, którego dzieła, jestem o tem przekonany, prędzej czy później znajdą drogę do wszystkich scen europejskich. Ale w czasie gorącej walki przeciw klerykalizmowi i za panowania jeszcze konkordatu, w siódmym lat dziesiątku, młody naówczas poeta napisał dramat anty-kościelny i odtąd droga do Burgu była dlań zamknięta. „Volkstheater" dopiero wprowadził go znów na scenę i każdą nową sztuką zdobywał nowe powodzenie. A kiedy się jeszcze zdarzyło, że poeta u szczytu powodzenia i sławy nagle umarł, Volkstheater, mając kontraktem zapewnioną wyłączność, przy rozbudzonem zajęciu publiczności, stał niemal samym Anzengruberem. Ale skończył się kontrakt, zape-

Digitized by Google

wniający wyłączność, wobec powodzenia zmiękła i cenzura nadworna, nowy teatr gotował się do otwarcia i Volkstheater musiał obejrzeć się za nową attrakcyą. Zaczął się repertuar zmienny, bez ładu i systemu, spekulacya na sensacyę i gorączkowa pogoń za nowościami. Od tej chwili teatr stał już tylko łaską krytyków i od tej chwili jęli krytycy zasypywać go swojemi utworami. Ażeby uzyskać uznanie krytyków dla rzeczy istotnie dobrych, musiała dyrekcya w zamian przedstawiać najgorsze dramidła. Zdarzało się jeszcze inaczej. Zdolny naprzykład autor i jeden z krytyków „N. fr. Presse", Rudolf Lothar, napisał dwa dramata i oba wystawił w tym roku. Jeden p. t. „Der Wunsch", mający prawdziwą wartość, wystawił w Burgteatrze, drugi, który sam uznać musiał za ostatnią lichotę, narzucił dyrekcyi Volkstheatru. Wśród powodzi tej produkcyi lokalnej, jedna tylko rzecz zyskała rzetelne uznanie i utrzymała się na repertuarze: Daniela poważny dramat p. t. „Hagars Sohn", osnuty na tle wojen chłopskich. Daniel, autor młody, chociaż nie początkujący, należy do rzędu tych pisarzy, którzy nie tworzą wprawdzie arcydzieł, ale, w każdym razie, oddają—wyrażając się trywialnie—robotę, dobrze wykończoną. Jest to talent oryginalny, trochę szorstki, trochę jeszcze niewyrobiony, ale zawsze talent. Jako poeta i nowellista, sięga najczęściej po temata społeczne, ale, opisując nędzę i upodlenie, nie czyni, jak nowsi poeci zazwyczaj czynią, nie zgrzyta zębami i nie buntuje się przeciw społeczeństwu, jeno traktuje swój przedmiot spokojnie, nie wysnuwając ogólnych wniosków i nie zakłócając snu ani apetytu sobie, ani drugim. Wybiera taki a nie inny temat, bo taki widocznie bardziej odpowiada jego talentowi, zresztą pozostaje zimnym i. jak to czuć z obrobienia, osobiście obojętnym. Jest to kamieniarz, któremu oddano do odrobienia, najszlachetniejszy marmur—zawsze jednak kamieniarz, a nie rzeźbiarz, nie artysta.

Bądź co bądź, ma Volkstheater tę zasługę, że pierwszy wydobył na jaw dramatyczny talent Daniela; przedtem znano go tylko jako poetę i nowellistę. Druga rzecz, wystawiona na tej scenie, a zasługująca na wzmiankę, jest to staro-indyjski dramat „Vasantasena", rzekomo napisany przez króla Sudrakę, a zmodernizowany i do sceny przystosowany przez Emila Pahla. „Vasantasena" to staroindyjska dama kameliowa. Bajaderka o złotem sercu, uszlachetniona i uduchowiona przez miłość szlachetnego bramina. Oryginalny dramat dziesięcioaktowy, na modnej scenie wręcz do przedstawienia niemożliwy, przerobił i na pięć aktów zredukował Pahl, pozostawiając mu zresztą wszystkie cechy egzotycznego pochodzenia. „Vasantasena" o tyle już wyżej stoi od „Kameliowej damy" i całego szeregu naśladujących ją dramatów francuskich, że rozgrywa się na szerokiem tle społecznych i politycznych wypadków. A jednak, mimo wybitnych zalet, sztuka utrzymała

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

się tylko bardzo krótko na repertuarze, a miejsce jej zajęła szumnie z Paryża reklamowana „Madame Sans-Gêne", spółki Sardou i Moreau. Znacie tę sztukę chociażby ze sprawozdań kronikarzy paryskich, pozostaje mi tylko dodać, że i tu, jak w Paryżu, stała się ona probierzem zepsutego smaku średniej publiczności. Każda szwaczka, która się szanuje, była już przynajmniej raz na przedstawieniu „Madame Sans-Gêne", a zewnętrzne powodzenie onieśmieliło nawet poważną krytykę.

Oprócz tych sztuk opędził Volkstheater dobiegający do kresu sezon samemi farsami, z których Kadelburga „Der Herr Senator" i Davisa „Die Katakumben" miały wielkie powodzenie.

Bilans tego teatru świadczy, jak bardzo był on Wiedeńczykom potrzebny. Volkstheater powstał z inicyatywy spółki zamożnych mieszczan, a koszta budowy rozłożono na udziały. Oprócz gruntu, który podarował spółce cesarz, teatr, wybudowany przez architektów Hellmera i Fellnera kosztował w okrągłej cyfrze pół-miliona guldenów. Udziały rozebrali w znacznej części przemysłowcy, zatrudnieni przy budowie teatru: więc budowniczowie, fabrykanci mebli, dekoratorzy, installatorzy i t. d. Następnie spółka wydzierżawiła teatr dyrektorowi Bukovicsowi, za czynsz, odpowiadający pięcioprocentowemu oprocentowaniu kapitału. W kilku latach swego istnienia teatr stał się niemal niezbędnym. Przed kilku dniami zgromadzenie właścicieli udziałów, stwierdziwszy znakomite powodzenie teatru, podwyższyło nawet dyrektorowi tenutę, na co on zgodził się bez szemrania, ponieważ w ciągu czterech sezonów dorobił się wcale znacznego majątku. Swoją drogą Volkstheater, jak już wspomniałem, nie kieruje się żadną przewodnią myślą i stara się jeno dogadzać żądnej wrażeń publiczności. Odpowiednio do tego kierunku złożony jest także personel teatru. Kilku pierwszorzędnych artystów i artystek, pobierających nieprawdopodobnie wysokie gaże, a po-za tem szara rzesza miernoty.

Powodzenie Volkstheatru rozbudziło ducha spekulacyi i powołało do życia również na udziały założony „Rajmundtheater", który rozpoczął w bieżącym roku swą działalność. Spółka jednak tego teatru prowadzi przedsiębiorstwo na własny rachunek, a dyrekcyę powierzyło bardzo poczytnemu pisarzowi i krytykowi, panu Adamowi Müller Guttenbrunn. W pierwszem, minionem właśnie półroczu swego istnienia, zachował Rajmundtheater charakter czysto idealny. Nie schlebiając gustom i upodobaniom publiczności, pielęgnuje dyrekcya kierunek poważny, a przedewszystkiem kierunek ludowy, i to specyalnie niemiecki. Z tego ostatniego powodu, jako też z powodu znacznego oddalenia od miasta, Rajmundtheater rzadko odwiedzanym bywa przez publiczność przejezdną, a szkoda, bo młoda scena rozporządza znakomitemi siłami i reżyseryą, mogącą walczyć o lepsze z Meiningeńczykami.

Digitized by Google

Burgtheater, aspirujący jeszcze ciągle do roli pierwszej sceny niemieckiej, zakończył sezon pod bardzo smutną wróżbą. Od czasu objęcia kierownictwa tej sceny przez d-ra Burckhardta, upadek jej stał się z dnia na dzień widocznym. Nie zapomnę dnia, który nagle przyniósł Wiedeńczykom wiadomość o powołaniu d-ra Burckhardta na to wybitne stanowisko, o które ongi walkę staczali najpierwsi niemieccy poeci. Każdy pytał, kto zacz jest dr Burckhard i jaki dał dowód uzdolnienia. Nazwisko nikomu nie było znane, z wyjątkiem szczupłego grona prawników, którzy znowuż znali młodego dyrektora z kilku studyów prawniczych. Opowiadano sobie wtedy, a nawet drukowano, arcy-charakterystyczną dykteryjkę, opartą na fakcie, że intendent teatrów cesarskich, baron Bezecny, jest zarazem głównym kierownikiem austryackiego zakładu kredytowego ziemskiego, największej instytucyi hypotecznej w monarchii. Otóż opowiadano, że minister oświaty, baron Gautsch, spotkawszy w towarzystwie barona Bezecnego, prosił go, by przy danej sposobności chował jaką wyższą posadę dla młodego człowieka, nazwiskiem Burckhardt, posiadającego jakoby nadzwyczajne zdolności. Po kilku tygodniach wyczytał minister ze zdziwieniem, że jego protegowany powołany został na posadę dyrektora teatru cesarskiego. Udał się więc natychmiast do barona Bezecnego i spytał, co też to mianowanie ma znaczyć?

— Jakto—odrzekł intendent—wszakże ekscellencya sam poleciłeś mi tego pana na wyższą posadę?

— Tak—odpowiedział minister—ale mówiłem wtedy do pana, jako do dyrektora banku, a nie jako do intendenta teatrów!

Tableau.

Nie wiem ile prawdy mieści się w tem opowiadaniu, ale faktem jest, że dyrektor Burckhardt napisał w tym czasie wprawdzie znów obszerne dzieło prawnicze, dowodu jednak uzdolnienia na dyrektora teatru nie złożył w żadnym względzie. Za jego dyrekcyi scena nadworna, lawirując tędy i owędy, spadła z rażącą szybkością z artystycznej wysokości, na jaką wznieśli ją ludzie, jak Dingelstedt, Laube i t. d. Protekcya zapuściła tak głęboko korzenie, że przyjmowane bywają nieraz i przedstawiane sztuki, odrzucone już przez wszystkie prywatne sceny niemieckie; a jeżeli co utrzymuje jeszcze dobrą sławę teatru, to poczet znakomitych artystów, pozostały z dawniejszych czasów. Ubiegły sezon był dla tej sceny najnieszczęśliwszy. Z wyjątkiem Gerhardta Hauptmana fantazyi „Hanele", każda nowość upadła od pierwszego razu.

O innych teatrach, jako pielęgnujących wyłącznie prawie sztukę drugorzędną, lokalną, nie warto się rozpisywać, wolę zatem zwrócić się odrazu do opery.

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

Przed kilku dniami obchodziła opera cesarska dwudziestoletni jubileusz swego istnienia w nowym gmachu, a dyrekcya wydała z tej okazyi statystyczny przegląd repertuaru z całego tego okresu. Jest to praca pod każdym względem nauczająca, bo z niej przebija się najjaśniej kierunek dyrekcyi i upodobanie publiczności. Wyjmuję tu niektóre szczegóły, zestawione w ostatnim zeszycie wspomnianej powyżej „Neue Revue." Największemi łaskami wiedeńskiej publiczności, a więc i dyrekcyi opery, cieszył się balet „Wiener Walzer", odtańczony od czasu pierwszej reprezentacyi, to jest od roku 1885, nie mniej jak 260 razy. Nawet najbardziej lubiana tu opera, „Lohengrin", nie dosięgła tej liczby przedstawień, mimo, że o piętnaście lat dłużej znajduje się na repertuarze; „Lohengrina" grano ogółem 230 razy. Następnym z rzędu ulubieńcem publiczności jest znów balet: „Wieszczka lalek", grany od roku 1888 razy 228. „Don Juan", którego przedstawienia rozpoczęły się z otwarciem nowego gmachu w roku 1869, dożył 137 przedstawień. Natomiast najsłabsze dzieło Gounoda, „Małgorzata", doczekało się 218 przedstawień. Balet „Excelsior" od roku 1885 przedstawiano 210 razy, natomiast „Tannhauser", rozpoczęty jeszcze w roku 1870, miał tylko 200 przedstawień. Ponad wszystkiem jednak góruje Mascagniego „Cavalleria rusticana", grana w ciągu niespełna czterech lat 129 razy, to jest właśnie tyle, ile przedstawień dożył „Fliegende Hollaenders" w ciągu lat 23! Z tych cyfr powziąć już można wyobrażenie, jaki duch wieje w cesarskiej operze. Dyrekcya, zamiast wychowywać publiczność, schlebia jej gustom i zniża stale poziom swej sceny. Ubiegły sezon przyniósł w operze trzy nowości, z których tylko Smetany „Der Kuss" („Hubićka") miał znaczniejsze powodzenie. Miejscowego kompozytora, Henbergera, „Miryam" i Forstera „Rose von Pontevedra" nie zasługują na uwagę.

Dziś—z początkiem czerwca—sezon teatralny w Wiedniu zupełnie skończony. Opera zamknęła już swoje podwoje, inne sceny kończą sezon wobec pustego amfiteatru. Zaczyna się sezon letni, zainaugurowany przez księżnę Metternich urządzeniem festynu ogrodowego, mającego uwidocznić Wiedeń przyszłości i przeszłości. Oryginalna bo też to osoba ta księżna Metternichowa. W pogoni za popularnością wymyśla coraz to nowe zabawy: to corso kwiatowe, to zabawę „bzową" (Fliederfest), to znów co innego, a wszystko byle tylko narobić wiele wrzawy i byle na cel dobroczynny naciągnąć naiwną gawiedź. Drobni przemysłowcy i kupcy otaczają ją niezwykłą czcią, z jej bowiem łaski mają od czasu do czasu sute zarobki, a usłużna prasa sławi „dobroczynną" księżnę, jakby zbawicielkę ludzkości. Dla charakterystyki przytoczę jeden z przykładów „dobroczynności" księżnej Metternich. Chcąc ubiegłej zimy zebrać fundusze—nie wiem już, czy na chustki do

Digitized by Google

nosa dla nawróconych Murzynów, czy na schronisko dla zbłąkanych kotów, wpadła księżna na szczególnego rodzaju koncept. Dobrawszy sobie inne panie z arystokracyi, objechała wszystkie pracownie artystów i, zdobywszy u każdego z osobna artysty jakiś obraz lub rzeźbę, urządziła publiczną wystawę, a następnie licytacyę dzieł sztuki wyżebranych od biednych artystów—na cel dobroczynny. Artyści zapłacili koszta, a panie arystokratki, sprzedając na wystawie herbatę i licytując obrazy, zyskały sobie sławę filantropek. Od kilku śmielszej natury artystów usłyszała księżna gorzkie słowo prawdy, ale znaczna większość, chcąc zapewnić sobie wysoką protekcyę, dała się wyzyskać bez szemrania.

Toczyła się tu walka nauczycielek wiedeńskich przeciw nauczycielom. Rada szkolna, pozostawiając nauczycielkom zupełnie nieograniczony awans, wyznaczyła im jednak, dla każdej z osobna rangi, niższą płacę, niż nauczycielom. Nauczycielki udały się do sejmu z zażaleniem, wskutek czego sprawa stała się przedmiotem szczególnego rodzaju publicznej dyskusyi. Jeden z posłów dowodził, że oszczędności były konieczne, a największa oszczędność nastręcza się właśnie przez—zniżenie płac nauczycielek. Jeżeli—rzekł—kobiety odstręczą się przez to od zawodu nauczycielskiego, to i lepiej, bo wogóle nie powinny czynić konkurencyi mężczyznom. Już ten pierwszy mówca otrzymał w nagrodę huczne oklaski. A dopieroż drugi! Był nim „liberalny" poseł Maresz, który wziął całą sprawę ze stanowiska humorystycznego. Myśl równej płacy dla nauczycielek wypływa, zdaniem jego, chyba z galanteryi, a galanterya należy do salonu. Nauczycielki, dowodził dalej, mają o wiele mniejsze potrzeby, „gdyż kobieta może sama załatwić sobie wiele rzeczy, za które mężczyzna płacić musi." Wreszcie—i to był główny armument „liberalnego" posła—„mężczyzna potrzebuje towarzystwa, by wypić kufel piwa, kiedy nauczycielka przy filiżance kawy robi wieczorem pończochy." Ten ostatni obraz wywołał w wysokiej Izbie salwy wesołości i przechylił zwycięstwo na stronę pana Maresza.

Ogólnie biorąc, kwestya pracy kobiet znajduje się jeszcze w Wiedniu w powijakach. Oprócz kobiet-nauczycielek istnieje bardzo nawet liczny poczet kantorzystek, ale też po-za tem nic—zgoła nic. Nie, mylę się: istnieje jeszcze grono bas-bleus, związane w stowarzyszenie, które objawia swoją działalność przez petycye do parlamentu w sprawach, najmniej je obchodzących. Za rządów pana Gautscha, jako ministra oświaty, sarawa dopuszczenia kobiet do wykładów uniwersyteckich, mimo oppozycyi części profesorów, była na drodze do urzeczywistnienia. Obecny minister, dr Madeyski, jest jej nieprzychylny i rzecz co najmniej pójdzie w odwłokę. Ruch, który przed laty objawił się w tym kierunku, skończył się na razie na założeniu pierwszego w Au-

Digitized by Google

stryi gimnazyum dla dziewcząt, które istnieje już od lat trzech. A jednak nigdzie bardziej, jak w Austryi, nie objawia się potrzeba kobiet-lekarek. Kiedy bowiem rozpoczęto w Bośnii i Hercegowinie organizacyę rządowej służby lekarskiej, okazało się, że niema sposobu, by kobiety-mahometanki skłonić do posługiwania się lekarzami płci męskiej. Już przed kilku laty musiał tedy rząd austryacki angażować pewną ilość lekarek, a w miarę, jak organizacya postępuje, potrzeba ich coraz więcej. Sprowadza się więc lekarki z za granicy, byle tylko nie dopuścić kobiet do studyów w uniwersytetach własnych!

Kiedy mowa o kobietach, nie chciał-bym pominąć milczeniem oryginalnej postaci baronowej Berty von Suttner, prezydentki austryackiej ligi pokoju i wydawczyni pisma o dowcipnym tytule „Die Waffen nieder." Pani baronowa nie tylko propaguje panowanie ducha Bożego na zewnątrz monarchii, ale też i wewnątrz na swój sposób stara się o spokój pomiędzy współ-obywatelami. Zatem rozumie się, że pani Suttnerowa należy do najgorliwszych członków oryginalnego w swoim rodzaju stowarzyszenia „ku zwalczeniu propagandy anty-semickiej"—rodzaju straży chrześciańskiej, ustanowionej dla bezpieczeństwa żydów. Onegdaj stowarzyszenie urządziło ku własnej czci bankiet. Toasty szły jeden po drugim, a kiedy profesor Nathnagel (prezes stowarzyszenia) wniósł toast na cześć kobiet, jako stojących na straży miłości bliźniego, pani baronowa nie leniwa odpowiedziała mniej więcej tak: „My, kobiety, możemy w tym kierunku najwięcej zdziałać. Anty-semici rzucili hasło: „nie kupujmy u żydów", my odpowiemy hasłem: „nie kochajmy anty-semitów." Zajmującem zresztą jest, jak mieszczaństwo wiedeńskie nie wydało z siebie ani jednej kobiety, która-by w życiu publicznem jakąkolwiek rolę odgrywała. Wszelkie przedsiębiorstwa humanitarne, czy też czysto towarzyskie, kierowane bywają przez panie z arystokracyi, pomiędzy któremi baronowa Suttner do najniższych rang należy. Gawiedź wiedeńska nie pójdzie na żadną plewę, jeżeli nie zaprosi jej kilka księżniczek i hrabianek, ale też wtedy idzie na pewne. Wobec tego bałwochwalstwa tutejszej społeczności, na żart chyba zakrawa ogłoszona niedawno temu w arystokratycznym „Vaterland" odezwa o założenie „korporacyi szlacheckiej", celem ratowania wpływu i znaczenia szlachty. Jakiś pan, H. von A., sądzi, że „w czasie, kiedy atomizacya społeczeństwa coraz większe czyni postępy", konieczną jest ściślejsza łączność pomiędzy szlachtą, celem obrony swoich szeregów. Pan H. von A. proponuje organizacyę szlachty wedle krajów i powiatów, z całym aparatem kollegiów szlacheckich, marszałków państwowych, krajowych i powiatowych i t. d. Wobec faktycznych stosunków, odezwa przedstawia się w istocie jako śmieszna donkiszoterya. Faktem jest, że w żadnem państwie—nie wyłączając Prus—

Digitized by Google

szlachta nie korzysta z tylu (chociaż nie skodyfikowanych) przywilejów, co w Austryi. Cała administracya polityczna spoczywa w ręku szlachty. Niemasz w całem państwie ani jednego namiestnika, któryby nie był co najmniej baronem, a nawet starostowie powiatów pochodzenia mieszczańskiego dadzą zliczyć się na palcach. Doszło do tego, że synowie rodzin mieszczańskich zupełnie omijają służbę w administracyi politycznej, wiedząc, że nie dojdą w niej po-za najniższe szczeble. Toż samo dzieje się w armii, toż samo we wszystkich władzach centralnych. Dodajmy do tego, że trzy czwarte dóbr ziemskich znajdują się w ręku szlachty, że izba panów składa się w 80 procentach, a nawet izba poselska w 24 procentach ze szlachty, a zrozumiemy, jak dziwną wydać się musiała odezwa, ogłoszona zresztą w jednym z najpoważniejszych dzienników austryackich.

ADIN.

www.zhtool.com.cn

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

PEDRO.

O parę mil od Walencyi, na górzystych stokach Sierry Moreny, stała kapliczka. Widna z daleka, kiedy zwłaszcza uderzały na nią promienie zachodu, wyglądała na tle sinych wierzchołków jak gołąb biały.

Z wioski, rozsiadłej na spadzistościach wzgórza, potrzeba było iść z pół godziny, aby dojść do niéj, ale z miasteczka Durango, położonego o wiele niżej, droga była uciążliwsza i dłuższa.

Kaplicę, tak dniem jak nocą stojącą otworem, rzadko kto odwiedzał. Wlatywały tylko do niej jaskółki, goniąc się w powietrzu. Okrążały piskliwie jej cztery ściany i przysiadały na gzemsach, i znów migotliwym lotem swych czarnych skrzydeł znikały w szafirowej otworów przestrzeni.

Lecz z wioski przychodził tu często stróż, Pedro, aby podsycić oliwą płonącą przed ołtarzem lampę, której promień przez dwa wielkie przeciwległe okna rzucał światło na zewnątrz murów.

Zbawiennemi były wśród nocy dla wieśniaków, zapóźnionych w tych górach, te jasne okna kościołka, gdyż droga krótsza, idąca ze wsi, zamieniała się miejscami na wązki i niebezpieczny przesmyk tuż nad przepaścią.

Głosiło podanie, że owa kaplica, jak i lampa złota, były ofiarą hiszpańskiego księcia, który, nocą zbłądziwszy w tych górach, zleciał z koniem do przepaści i tylko cudem nie postradał życia.

Digitized by Google

Teraz już podróżnym nie groziło niebezpieczeństwo.

Smuga długiego światła, skierowana umyślnie na ścieżkę, oświecała z góry krawędź urwiska. Na jednym zakręcie, blizko kaplicy, przesłonione przez wyższe wiszary opoki, nikło światło opiekuńcze, lecz wiadomem było, że właśnie w tem miejscu, gdy się dążyło pod górę, łamie się ścieżka na prawo i o kilka kroków dalej znów ukazuje się promień.

Kapliczki, poświęconej Pannie Maryi Śnieżnej, nie obsługiwał ksiądz żaden. Należała do parafii Durango i był tylko dzień jeden w roku, w którym Padre Masillio, wsiadłszy na muła, wstępował na krzemienny próg sierry, śpiewając hymny z brewiarza, a lud szedł za nim, aby *Nuestrę Senorę*, patronkę tych szczytów śnieżnych, uczcić jak należało.

Procesya dążyła drogą dłuższą, lecz przestronną.

Pięknie wtedy wyglądała w jaskrawych a pełnych blaskach hiszpańskiego słońca, z chorągwiami, kołyszącemi się zwolna nad głębokością przepaści, ta barwnie przystrojona rzesza. Szły z miasta korporacye tkaczy, ślusarzy i cieśli, *los tejedores* i *carpinteros*, a każda z odrębnym znakiem swojego cechu. Czerwone w pasy płaszcze wieśniaków, jaskrawo-żółty strój kobiet odbijały wdzięcznie na tle granitu, chorągwie połyskały złotem, ciemną górę owijał jakby żywy wieniec kwiatów, a ściany sąsiednich wyżyn powtarzały echem śpiew ludu, jak gdyby przyroda połączyć się chciała z ludźmi we wspólnej pieśni i modlitwie.

Było to w porze sierpniowej.

Uwijał się Pedro w kaplicy od rana, opylając firanki przy obrazie Najświętszej Panny, oczyszczając mensę i wprawiając świece białe. Słońce zalewało światłem nawę kościołka, zawadzając po drodze o lampę złotą, przezroczystą, a wyrabianą jak najcudniejsza koronka. Promienne jego strzały łamały się o błyszczącą cynę lichtarzy, zapalały złocone wyskoki i rzeźby ołtarza, a w smudze światła wznoszące się z ziemi drgały poruszone pyły. Pedro kończył robotę. Wymieciona teraz nawa oczekiwała pobożnych. Idących drogą z Durango już widać było.

Daleko wzrok sięgał, w dniu tak świetlanym i jasnym, z tych powietrznych wyżyn. Wyłaniał się z widnokręgu kraj Andaluzyi, kraj pól żółtawych i kwiecistych błoni, sinawą mgłą owiany. Dolina Almanzy, porznięta w ogrody, błyszczała z daleka srebrnemi wężami strumieni, pełna laurusów, fig i oliwników, pomarańczowych i palmowych gajów. Bliżej, ponura i groźna, z wierzchołkiem przyprószonym śniegiem, z olbrzymiemi szkarpami, jak rozstrzelone ściany krateru, rozpościerała się majestatyczna Sierra Morena, z zieleńszem podnóżem falo-

Digitized by Google

watych wzgórzy, na których się rozsiewały gdzieniegdzie, jak strząśnięte lawiny, wsie białe. W tyle zaś Guadalquivir odzwierciedlał w swych szparkich nurtach wieże Walencyi.

Z wioski, leżącej w pół drogi, z której i Pedro pochodził, polami ciągnęli wieśniacy, aby się złączyć z idącymi z miasta; żwawsza młodzież szła przodem. I taka była przezroczystość powietrza i wyrazistość wszech kształtów, że patrzący z góry Pedro rozpoznawał prawie twarze.

Ale Pedro był pochmurny i w miarę, jak patrzał, zasępiało mu się bardziej oblicze.

W tej zamożnej a wesołej wiosce on jeden musiał cierpieć biedę... José Lambana, odkąd się zapisał do *panederos*, w niespełna trzy lata pospłacał długi. Mendez zarabiał na dostawach. Achegarray występował dzisiaj w ubraniu, za które zapłacił w mieście 38 pecetów i dziwo, że się niem czwanił. Jemu się tylko nie wiodło... Gdyby nie ta choroba, a potem śmierć żony i dwoje dzieci na barkach, dałby sobie może radę. Ale Juanita chorowała długo, zanim ją febra zabrała, i tak się wydał na doktory, że choć kozy sprzedał i pole oddał w dzierżawę, w coraz cięższą popadał biedę...

Ksiądz Masillio, co prawda, oddał mu kaplicę w opiekę, aby mu pieniężnie dopomódz. Cóż jednak znaczyło 15 durów rocznie, które pobierał. Achegarray na jedno ubranie dwa razy tyle wydawał.

Pedro patrzył ku wiosce. Widział ten wązki szmat pola, które sąsiad uprawiał za niego. Przez liście aloesu, zwieszające się z wysokości, spostrzegał także dach własnej zagrody. Nawet z daleka uderzała ubóstwem i opuszczeniem, a jej stare, wątłe ściany zdawały się wrastać w ziemię.

Żebyż przynajmniej mógł więcej zarabiać... Benito w Durango miał warsztat na sprzedaż, lecz za co go dzisiaj nabędzie? Iść w świat, tam, gdzie rąk braknie, nie mógł,—bo nie chciał rozstawać się z dziećmi..

— Gdyby mi kto chłopca wziął do rzemiosła—pomyślał Pedro,—było-by to dla mnie zbawiennem. Cóż, kiedy młody jeszcze... Zapytywano w Walencyi w fabryce mozaik Nolli, lecz tam nie było dlań miejsca... warsztaty wszystkie pełne... José Pinto, daleki krewny, i młodszych brał na naukę, lecz José z Pedrem pokłócili się przed laty, a on, Pedro, prosić nie będzie... Tak się więc wikłało wszystko...

Oj, Nieves jego maleńka! ta mu najbardziej ciężyła na sercu... szczebiotka urocza, co go, szepleniąc, nazywała „Tlato", co mu tak serdecznie zarzucała rączki na szyję. Żywy portret matki... Były dni, że nie miał trzech *cuartos* w kieszeni i żywić nie było jej za co...

Pochylił się na zrąb skały.

Digitized by Google

— Sieroty moje musiały tam także wyjrzeć na drogę, aby na procesyę popatrzeć—i wodził oczyma po błoniu, czy ich nie dostrzeże.

Pedro kochał swe dzieci namiętnie. Leon kończył rok dwunasty zaledwie, a Nieves nie miała sześciu. Ładniejszych i milszych dzieci nie znalazłbyś i w Walencyi. Leon, odkąd mu ojciec powiedział, że musi pamiętać o siostrze, zamienił się w prawdziwego jej rycerza i otaczał ją sumienną opieką. Dzień cały bawili się razem, najczęściej w wąwozach lub na pochyłościach wzgórza. Z chłopaka rósł góral prawdziwy. Bywało, jak koza, wdrapywał się po zrębach opoki, aby zerwać dla Nieves ożyny.

— Patrz, jakie piękne—mówił do siostry.

— Dobre—odpowiadała Nieves, biorąc je skwapliwie.—Ale wnet się powstrzymywała.

— Ty weź!—mówiła swym cienkim, dziecinnym głosikiem, kładąc jagody do ust bratu.

Dzielili wtedy zdobycz, a sok rumiany dojrzałych ożyn czerwienił im wargi i twarze.

Lecz często, prócz kawałka chleba i jagód, nic przez dzień cały nie jedli. W lecie żyli jako tako. Litowali się ludziska nad nimi; ale zimą nawet fasola szła w cenę i w dwójnasób kosztowało wszystko.

Pedro ocknął się z zadumy.

Już pierwszy odgłos śpiewów dolatywał do niego. Procesya mijała wioskę i przesmyk po-nad przepaścią i wstępowała bitym gościńcem, jak wąż olbrzymi, pełzający pod górę. Chorągwie, niesione przodem, wyglądały z daleka jak głowa wzniesiona potworu, który, lśniąc się i mieniąc w słońcu, skręcał się i znikał za skałą.

Teraz góry śpiewać zaczęły.

Nuta hymnów, uderzając o kamienne ściany, leciała echem w otchłanie, aby się w nich odbić raz drugi i zmieszać w dźwiękach z napływającą zewsząd melodyą, aż powietrze całe zaczęło drgać tonów falą, poruszając wrzosy i wiszące u skał agawy. Gladiole i kampanule i cyklameny niebieskie potrząsały kielichami, paprocie chwiać się zaczęły i dreszcz szmaragdowy przebiegał mchy skalne; a wtem z pieśnią wierzchołków i natury całej zmieszał się odgłos kościelnego dzwonka,—to Pedro dzwonił—i dźwięki spiżu leciały do góry, niemal widomie, wyżej i wyżej, aż na śnieżny szczyt Moreny.

Czas było zapalać na ołtarzu świece i przywdziać mundur galowy.

Pedro naciągnął czerwony płaszcz z peleryną; na żółtą chustę, którą obwiązywał włosy, nałożył trójkanciasty kapelusz, galonem szerokim lamowany wkoło; wziął laskę o złocistej kuli i, kiedy już wszy-

Digitized by Google

stko było gotowe, wyszedłszy przed krużganek, z ręką u boku, patrzał wyzywająco przed siebie.

www.libool.com.pl

Nadeszła wreszcie procesya zgiełkliwa i rozhulana. Młódź zdobywała kościołek jakby fortecę: popychały się czarnobrewy, śmiejąc się i walcząc o miejsca.

Tłoczyły się teraz chorągwie u wejścia, a środkiem frędzlistych płaszczów niebieskich, koszul białych, czerwonych i żółtych chustek na głowach i kamizelek aksamitnych, i szpilek filigranowych, utkwionych w koronki, i szklannych pereł, zdobiących włos kruczy, posuwał się w ścisku i gwarze sam proboszcz, Padre Masillio. Tłum uspokoił się wreszcie: ksiądz wszedł do zakrystyi i ubierał się teraz na mszę. W kaplicy z lekka dostrajano arfy i słychać było szum poruszanych wachlarzy.

Nie obeszło się bez nauki w dniu tak uroczystym dla wszystkich.

Padre przypomniał zgromadzonym, jakiemu cudownemu zdarzeniu zawdzięczano tu kaplicę.

W tych górach, których szczyty wiekuiste pokryły śniegi, lud czci odtąd Pannę Śnieżną. To *Nuestra Senora*, jaśniejsza od lawin srebrnych, sprawiła, że zabłąkany w tych stronach książę Jej życie zawdzięczył szczęśliwie. Ukazała mu się nad otchłanią, gdy padał, i chwyciła go w powietrzu za płaszcz złoty i tak mu powiedziała Pani: —„Niech ten, któremu nad przepaścią Ja ratuję życie, zawiesi z kolei także nad przepaścią, dla bezpieczeństwa okolicznych wiosek, szczerozłotą wielką lampę, aby jej promień zbłąkanych od zguby ratował, i niech czuwa w nocy lampa, jako łaska Boża.“—I w miarę, jak mówił Padre, lud się wpatrywał w tę lampę, z cudu słynącą, zwieszoną od stropu, w poziomie okien.

Przeciągnęło się nabożeństwo dobrze za południe. Była już trzecia, gdy się zebrani poczęli rozchodzić.

Znowu cechowe ruszyły chorągwie, ozwały się tamburyna i śmiechy młodzi i wołania niewiast i grzmiał po skale krok raźno schodzącego ludu. Teraz już nawet i ksiądz Masillio, siedzący na mule, wesoło gwarzył z gromadą. Zapalono *cigarritos* i jedzono pomarańcze po drodze. Młodzież przystawała chwilami w pół góry, a potem puszczała się pędem na dół, wołając: „*largo, largo, senorites!*“ a wtedy dziewczęta z krzykiem wielkim umykały chłopcom z drogi. Potem śpiewać zaczęto. Śmiechy i śpiewy wyraźne jeszcze tonęły w oddali, słabły, rozlewały się w przestrzeni i nikły wreszcie za stokami sierry.

Księdza niepokoiła przyszłość Pedra.

Digitized by Google

— Dumny chłop z niego—mówił w duchu—nie chce się udawać do krewnych, *una cabeza de plomo*, ołowiana głowa! Jak dalej tak pójdzie, to się źle skończy.

www.libtool.com.cn

Za chłopca w rzemiośle tkackiem miałby najmniej sto pecetów.

— Pinto!—zawołał na idącego przed nim człowieka.—Czy prawda, że Pedro jest twoim krewnym?

— *Puede ser*—mogło-by tak być—odparł José.

— Nawet tak jest: wasze matki były siostrami.

— Z innego ojca—odburknął Pinto.

Cuidado. Bądźmy ostrożni—pomyślał Padre—i rozpoczął z innej beczki.

— Czy prawda, że tkactwo nie idzie wam wcale i że minęły zarobkowe czasy. Macie pono zwinąć warsztat?

Zaraz Pinto podniósł głowę. Roznamiętnił się w jednej chwili.

— Nie wiem, kto warsztat ma zamknąć—ale... nie ja! W Walencyi znają mnie... myślę, że nawet nieco indziej, niż w Walencyi. Bywają na świecie *ligeros de casco*, ale nie Pinto do takich należy, towaru lepszego nie znajdą. Płacą mi zań ile chcę...

— Chwalić Boga,—odpowiedział Padre,—bogatszy może wesprzeć biednych, a skarbi zasługę przed Panem uczynek dobry.

Teraz pewniejszy wygranej, ksiądz z większą stanowczością przemawiał za Pedrem.

Leone i Nieves, tak jak inne dzieci wiejskie, wybiegły znowu na drogę.

Chłopak o prostych, regularnych rysach, z krótkim czarnym kędzierzawym włosem, jak hidalgo dumny w postawie, zarzucił ramie na szyję siostry, która się opierała o niego. Nieves była o wiele niższą od brata. Na czoło jej i wielkie płomienne oczy spadały całe kaskady jasnych, roztrzepanych włosów, któremi wstrząsała jak grzywą. Z cieniutkiej szyi i chudziutkich ramion spływał do ziemi szal frędzlisty, wielki, cały już w dziurach i plamach, zapewne dawniejszy strój matki. Z pod włóczącej się po ziemi frędzli przezierały zabawnie jej nóżęta chude a bose.

Kiedy powracał orszak procesyi, zaciekawiona Nieves wpatrywała się w tłum wosoły, aż oczy jej błyszczały z pod długich czarnych rzęs, i klaskała w ręce z radości, kiedy tuż obok niej przesunęły się gitary. I z tłumu ją zaczepiano. *Ey pobrecita, ey negros ojos de fuego!* wołano. Pytali niektórzy, jak się nazywa, a brat za nią odpowiadał: Nieves. Z kolei przechodziły korporacye, chociaż nie w takim, jak rano, porządku. Niesiono teraz chorągwie na plecach zwinięte i zawiązane.

W tem jakiś człowiek zapytał Leona:

— Czy ty syn Pedra?

Digitized by Google

— Tak—odpowiedział chłopak.

— Ile masz lat?

— A jedenaście.

www.libtool.com.cn

Pinto popatrzał—podobał mu się malec.

— Niech będzie jak Padre radzi—rzekł głośno.—A ty chciałbyś zostać tkaczem?

Z oczu chłopaka strzeliła radość.

— Czy ja wiem!—odrzekł nieśmiało.

— Przyjdź jutro do miasta. Powiedz ojcu, że José Pinto widział się z tobą.

Powiem.

— Niechaj cię przyprowadzi, a już tam się ułożymy o ciebie.

I poszedł.

— Poczciwie to z waszej strony—dziękował Padre—całą rodzinę uratujecie od zguby.

Zniżyło się wreszcie słońce za góry. Od opoki razgrzanej biło gorąco, ale w dolinie przeciągał powiew ożywczy, zmiatając mgły oparu, ścielące się smugą białą. Do połowy sierry cienie padały i dachy wioski, ukośnym złocone blaskiem, stopniowo zasuwały się w zmierzch. Szczyty śnieżne zaróżowiły się promieniami zachodu i także gasły powoli. Kozy o rubinowem wejrzeniu, o długiej, powłóczystej sierci, wracały do obór, becząc i potrząsając dzwonkami; u stóp góry coraz rzadziej odzywały się głosy ludzkie, a wyżyny umilkły zupełnie. W krawędzie i szczerby skalne zapadała noc głęboka.

— Już wszyscy powrócili do miasta—mówiła Nieves,—i do wsi powrócili, a ojca niema?

— Pewnie wróci niezadługo.

Dziewczę prosiło:

— Pójdźmy do niego, Leonie?

Leon znał dobrze drogę, więc odrzekł:

— Za daleko tam dla ciebie.

— Tlato—mówiła Nieves,—pokaże mundur czerwony; tlato ma i laskę złotą...

Co prawda i chłopakowi było pilno donieść ojcu o tem, co zaszło. Miał wstąpić do *tejedores*, a jutro na nich czekano w mieście... Zgodził się przeto.

Dzieci szły na spotkanie ojca, wprost do kościołka.

Rozmawiali z sobą w drodze i Nieves znowu pytała:

— Jutro już nie przyjdzie procesya?

— Jutro—nie.

— Szkoda!—A po jutrze przyjdzie?

— Dopiero za rok powróci; to raz na rok takie święto.

Digitized by Google

Nieves, pod wrażeniem niedawnych wspomnień, odpowiadała:

— Oni tam jedli pomarańcze... ot, jakie wielkie pomarańcze... prawda Leonie?..

www.libtool.com.cn

Ale Leon patrzał na dół.

— Patrz, jaki stąd dom nasz mały. Rzucić kamieniem, to zdaje się kamień doleci... ale pewno nie doleci...

I jął ciskać kamykami, które zakreślały tylko mały krąg w powietrzu i znikały tuż obok drogi, w przepaści.

— Gdzie poszedł?—pytało dziewczę i nachylało się, patrząc ciekawie...

Nie byli jeszcze u połowy drogi, gdy się ściemniło na dobre.

Nie bój się, mówił Leone, tam widno wyżej, bo świeci się lampa.

— Jaka lampa?—pytała Nieves.

— Ta, którą ojciec zapala.

— I dzisiaj lampę zapalił tlato?

A malec, wziąwszy na rozum, tłómaczył:

— Dla tego tato dotychczas nie wracał, że na wieczór musiał palić.

— Pójdźmy; ja chcę widzieć lampę tlaty.

Ale że była zmęczona, więc odpoczywali czasami, poczem Leon podał jej rękę i ciągnął zwolna pod górę.

Pedro w rzeczy samej nie opuścił był jeszcze kaplicy.

Uporządkowawszy kościołek, ołtarz i zakrystyę, że nie jadł od rana, uczuł czczość, więc wydobył kawał wczorajszego chleba, butelkę z oliwą od lampy, i polał na chleb, aby go zwilżyć. Potem siadłszy, zaczął znów przemyśliwać.

Póki zatrudnienia dzienne i ruch zewnętrznego świata rozrywały myśl, znikało przed wzrokiem Pedra widmo nędzy. W samotności odnajdywał je znowu.

Zwierzył się był księdzu Masillio z ubóstwa, w które popadł; jeszcze w zeszłym tygodniu obiecywał mu Padre, że będzie o nim pamiętał. Głupi, ktoby na czyich obietnicach polegał. Nic dla nich dotychczas klecha nie zrobił.

Co prawda, nie wiele mógł zrobić... bo do kogóż za nim przemówi? on sam do różnych ludzi kołatał oddawna, a zawsze bezskutecznie, aż mu się wreszcie sprzykrzyło... Był jednak prosty ratunek: kupić warsztat Benita za dwieście lub trzysta pecetów...

I ugrzązł Pedro w tej jednej myśli, która mu się zbawienną zdawała.

— Tak jest—powtarzał—żebym miał tylko co sprzedać albo zastawić...

Digitized by Google

Ale w opustoszałem mieszkaniu, wśród gołych ścian chaty, już na zastaw niczego nie było.

Gdy się zaczęło ściemniać, dźwignął się Pedro, aby lampę zapalić. Już był pociągnął za sznur i ręką łańcucha dotykał, gdy stanął nagle jak wryty.

www.libtool.com.cn

Był pod niezwykłem wrażeniem.

To, czego daremnie od tak dawna szukał, codziennie miał tuż przed sobą... *Un candal assombroso*, bogactwo niezrównane, środek zbawienny, co ocalić mógł go od nędzy!.. Że też wcześniej nie pomyślał o nim i z własnej winy błąkał się w zaczarowanem kole!.. Sam ksiądz powiadał dzisiaj, że była szczerozłotą i cenną...

Jak jeszcze cenną! była co się zowie... ciężką! Każdy z handlujących żydów w Walencyi dałby z pewnością za nią jakie trzy tysiące pecetów. Ale on-by jej nie sprzedał, cóż znowu? Jest przedewszystkiem uczciwym człowiekiem...

— Gdyby jednak ją zastawić,—mówił Piotr w duchu,—to za tyle tylko, aby warsztat kupić. Co-by znaczyły parę nędznych setek... Odrobiłbym prędko i lampę-bym wykupił... tymczasem w domu nie słyszał-bym płaczu dziecka, mojej Nieves ukochanej...

Patrzał teraz na lampę z rosnącą pożądliwością.

Oj, oj... było-by wtedy w chacie *choriza* i *garbanzos*, ile-by się chciało.

Zaniepokoił się jednak.

— A jeżeli nie zarobię i w porę nie zwrócę lampy? Bóg jeszcze gotów mnie skarać—pomyślał.

Zapalone światło biło na białe mury. Pedro czuł się teraz onieśmielonym. Myśli jego potrzebowały ciemności. Jął chodzić gorączkowo wszerz i wzdłuż kaplicy, a cień jego to się zwężał i kurczył pod jego stopami, to wydłużony bezmiernie łamał się na ścianach.

Czego miał się lękać, i za co miał być karany? czyż to nie ojcu ratować dzieci?—czy mało im było dwóch długich lat nędzy? Dawniej, kiedy zarabiał, to i on na kościół dawał! a jakże? Stracił wszystko, ale czy ze swojej winy? czy nie był przeciwnie ofiarą losu? Nie, nie! po tylu nieszczęściach, Bóg już by nie chciał jego kary... To *Nuestra Senora de los desamparados* podsuwała mu tę myśl szczęśliwą. I nieśmiało, jakby ukradkiem, spojrzał na obraz w ołtarzu.

Obawiał się, czy zarobi... to także płonna obawa!.. Miał czasu dosyć... Za rok dopiero ludzie tu powrócą, a gdyby ją w zastawie żyd dłużej przetrzymał, nie było-by to jeszcze nieszczęściem. Jego nikt nie posądzi... czyż nie stróżował uczciwie dwa lata całe?.. czyż mało takich, których prędzej obwinią, niż jego?.. Zamiast tej lampy, inną jutro zawiesi, a co złoto, to złoto! *Nuestra Senora* nie pozwoli, byśmy zginęli.

Digitized by Google

Słabł widocznie i zaczynał ulegać pokusie.

Wtem drgnął. Zdało mu się, że słyszy jakieś niewyraźne głosy. Wyszedł na krużganek i nasłuchywał.

www.ibtool.com.cn

Jakże noc była ciemna! po parnym dniu chmury się widocznie nagromadziły na niebie, przesłaniając gwiazdy boże.

Nie. Głosu żadnego nie słyszy. Któżby tu o tej porze przychodził?.. To krew tak mocno uderza mu do skroni.

Stał jeszcze przez chwilę.

Nawet z wioski pod wieczór ludzie wędrują do miasta, aby się bawić. Tam, gdzie te światełka migocą w oddali, tańczono zapewne w tej chwili przy dźwięku cytr i mandolin, przelewał się w kieliszku Val de Penas, podawano gorące puchero... Tylko jemu na zbytki zbrakło... Carambo! carambo! nie tylko jemu, lecz i sierotom, które przecie kochał nad życie...

Oczy mu świeciły. Gorączkowy rumieniec oblał twarz śniadą. Pedro napowrót wszedł do kaplicy.

Już się nie wahał: pójdzie. Czemu miał odkładać na później? Wszakże i tak już namyślał się za długo... Noc właśnie dobra: nie pozna go nikt na drodze.

Przyśpieszonym ruchem pociągnął ku sobie łańcuch i nachylony teraz nad lampą, wpatrywał się w płomień z wytężeniem myśli i wzroku

. . . . . .

Leone i Nieves dochodzili nareszcie do mety. Szli jeszcze bezpiecznie przy świetle, oświecającem drożynę. Przed niemi na dziesięć kroków wznosiły się czarne opoki, zaciemniające przesmyk na zakręcie skały. Głos ich mógł być usłyszany z kościołka; Leon jął wołać:

— Tato! to my: Leone i Nieves!..

A mała, naśladując brata, probowała wołać głośniej.

— Przyjdź do nas, tlato!

Ale z kościołka nikt nie odpowiedział. Leone dostrzegał jednak cień ojca, odbity na suficie kaplicy.

Nagle ściemniało przed oczyma dzieci. Oboje zamilkli. Czy to skały tak raptownie zaciemniły drogę, czy kto lampę zgasił przed nimi?—Nieves chwyciła za rękę Leone.

— Nie bój się!—uspakajał chłopak—dochodzimy do końca... to tu na prawo... Ominiemy skałę i znów jasno będzie.

I przesunęli się ostrożnie nad przepaścią.

. . . . . .

Digitized by Google

Na skręcie błysł promień. W jaskrawem oświetleniu okien szedł ku nim Pedro.

— To tlato!—zawołała Nieves.

www.libtool.com.cn

A on skamieniał.

— Nieves! Leone! co wy tu robicie?—zawołał przytłumionym głosem.

— My szli do tlaty, my chcieli lampę widzieć i mundur widzieć... tłómaczyła Nieves ojcu.

— Tato!—wołał Leone—José Pinto chce przyjąć mnie do warsztatu. Trzeba jutro iść do *tejedores*...

Pedro ich nie słyszał. Drżał na całem ciele.

Boże! omal nie uległ pokusie... omal że nie zgasił światła... teraz! w takiej oto chwili! na zatratę własnych dzieci!.. *O nuestra Senora de los desamparados*!..

Serce biło mu jak młotem. Wpółnieprzytomny chwycił na ręce swoją Nieves ukochaną. Uciekał z nią teraz do chaty, tuląc w objęciu, a Nieves ściskała go oburącz za szyję bardzo mocno i całowała, pytając:

— Tlato?—płacze tlato?.

Michał Radziwiłł.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Bobrzyński i Smolka. „Jan Długosz, jego życie i stanowisko w piśmiennictwie.“ Kraków. 1893. (Str. 333).

Nareszcie pierwszy nasz dziejopis z XV wieku, przerastający wysoko ówczesne kronikarskie poziomy, doczekał się wyczerpującej i niezwykle interesującej monografii. Dwaj zasłużeni literaturze naszej historycy, profesorowie: Bobrzyński i Smolka, podjęli wdzięczne choć trudne zadanie skreślenie jego żywota, jego pracy publicznej i stanowiska w piśmiennictwie, a same nazwiska autorów, zdobiące wiele gruntownych i cennych rozpraw, były rękojmią, że zamierzony cel naukowy zostanie w zupełności osiągniętym.

Pozwolę sobie zwrócić uwagę czytelnika na ważniejsze ustępy tej w całem znaczeniu słowa pięknej i pouczającej pracy; ostrzedz jednak winienem, że zarówno niezwykłe bogactwo szczegółów, jak i szeroki podkład historyczny, odznaczający monografię o Długoszu, zmuszają mnie do zaznaczenia jedynie najdonioślejszych faktów, przez co sprawozdanie musi być niedokładnem i nie może dać należytego wyobrażenia o doniosłości pracy profesorów: Bobrzyńskiego i Smolki.

Podług naszych historyków Długoszowych, pierwszy raz uśmiechnął się szczęśliwy los do rycerza polskiego, Jana, z przydomkiem Długosza, z rodu szlacheckiego Wieniawa, na Grünwaldzkiem polu bitwy. On-to bowiem schwytał niedobitków brandenburgskiej chorągwi i przy-

Digitized by Google

prowadził Witoldowi jego osobistych wrogów. Byli nimi: Markward von Salzbach i rycerz Schumbergk, którzy się poważyli niegdyś potwarczemi słowy ubliżyć czci niewieściej matki Witolda, Biruty. Ujrzawszy ich teraz w swej mocy, krzyknął Witold: „Hie bist du Markward", oni też jedni z pod ogólnego przebaczenia wyjęci zostali.

Wielką podporą domu Długoszowego stał się brat rodzony rycerza, kapelan królewski, imieniem Bartłomiej. I on w bitwie grunwaldzkiej brał udział, tylko, że jego miejsce było przy boku modlącego się za pomyślność polskiego oręża Jagiełły. W takim domu w r. 1415 w Brzeźnicy, z ojca Jana, matki Beaty, urodził się Jan Długosz, wielki historyk. Bardzo wcześnie zapewne przeznaczyli go rodzice do duchownego stanu. Biograf jego uzasadnia ten wybór wątłem i do rycerskiego rzemiosła niesposobnem zdrowiem, jego wczesną powagą, dojrzałością umysłu i zamiłowaniem nauk; można jednak i w tem dopatrzyć się ambicyi rodzinnej, która kazała szukać w zawodzie kościelnym drogi do dostatków i zaszczytów na cały dom spływających. Zostać księdzem nie znaczyło to wówczas koniecznie oddać się duchownemu powołaniu, poświęcić pieczy dusz i ubogich, ale znaczyło przedewszystkiem wstąpić w grono ludzi nauki i intelligencyi.

Po siedmiu latach początkowej nauki, zapisał się Długosz w półroczu letniem 1428 r. w poczet uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i, mając lat trzynaście, rozpoczął nowy okres na wydziale filozoficznym, który podówczas stanowił konieczny wstęp i przygotowanie do innych wydziałów i zadanie dzisiejszego gimnazyum spełniał. Umysł jego, z natury praktyczny, nie zbudził w sobie zaufania i zamiłowania do filozofii, pochłoniętej niemal zupełnie przez naukę logiki, obracającej się około formy myśli z zupełnem niemal pominięciem treści. Musiała już podówczas przejmować go żądza jakiejś innej, prawdziwej wiedzy, którą później znalazł w historyi i tak wyraźnie przeciwstawiał filozofii ówczesnej.

Nie może też bynajmniej zadziwiać, że młodzieniec, który miał przeczucie wiedzy do praktycznych skierowanej celów, nie mógł znieść dyalektycznego balastu, którym uniwersytet umysły uczącej się młodzieży przygniatał, uciekł naprzód od swego pedantycznego mentora, opuścił później bursę, zapełnioną nieustanną wrzawą dysput bezpłodnych i suchych. Nagła śmierć matki, powtórne ożenienie się ojca i uszczuplenie dochodów miały się, według biografa, do tego postanowienia Długosza przyczynić, ale drobne to tylko były okoliczności, bo ileż-to najuboższej młodzieży przebijało się przez długoletnie studya filozofii, ażeby następnie rozpocząć nowe—teologii lub prawa.

Pod względem wykształcenia politycznego nie postąpił Długosz w studyach swych uniwersyteckich dość daleko, ażeby sobie czy to po-

Digitized by Google

litykę Arystotelesową, czy też teoryę prawa kanonicznego, czy wreszcie zasady prawa rzymskiego przyswoić; w całym też jego późniejszym, mianowicie piśmienniczym, zawodzie, nie znajdujemy żadnych śladów fachowej w tym kierunku erudycyi. Mógł także Długosz nie stać się panem erudycyi potrzebnej do naukowej z husytyzmem szermierki, ale przejął się przekonaniem, że jest to najszkodliwsza herezya, ze stanowiska herezyi nań się wyłącznie zapatrywał i do narodu czeskiego, jako do wytępienia godnych kacerzy, głębokie wyniósł uprzedzenie i nienawiści.

Porzuciwszy studya uniwersyteckie, wstąpił Długosz do kancelaryi biskupiej Zbigniewa Oleśnickiego. Osobny to był świat, ten świat urzędniczo-kościelny, który się podówczas około każdego biskupa, a cóż dopiero około biskupa krakowskiego, rozwijał. Umysł Długosza, niewtłoczony w formułki ówczesnej scholastycznej wiedzy, a więc wrażliwy i świeży, z natury rozległy, jasny i porządkujący, w takiej szkole, w której sam Oleśnicki był nauczycielem, niezmiernie prędko się kształcił, zapoznał się dokładnie z tokiem wszystkich spraw, zdobywał sobie szeroki pogląd na wszystkie stosunki polityczne, kościelne i ekonomiczne. Posiadał nadto Długosz jeden wrodzony, samoistny, niezrównany talent, talent administracyjny, gospodarczy. Umiał się w każdej sprawie ekonomicznej prędko rozejrzeć, jej warunki ocenić, zamąconą rozwikłać i uporządkować, zakwestyonowaną przeprowadzić przez sądy i ustalić, środki obmyślić, plan działania nakreślić i wykonania dopilnować. Poznał się też na jego talencie Oleśnicki i dlatego, nie zważając na młodość swego sekretarza, poruczył mu dozór nad swoim dworem, a później jeszcze włożył na jego barki zarząd swojego całego osobistego i biskupiego majątku.

Mając lat dziewiętnaście, wszedł Długosz w posiadanie dochodów jednego z najbogatszych probostw (Kłobucko), a w dwa lata później przyjął pierwsze święcenie kapłańskie. W roku zaś 1441 Zbigniew Oleśnicki wysłał Długosza z ważną misyą do Rzymu, którą szczęśliwie załatwił, przywożąc biskupowi krakowskiemu kapelusz kardynalski. Powodzenie, jakiem uwieńczoną została pierwsza misya dyplomatyczna Długosza, skłoniło Oleśnickiego, że go znowu użył do negocyacyi z Węgrami. Jakkolwiek i tym razem Długosz położył nie małe dla kardynała zasługi, naraził się jednak królowi, który rad był zachować z rządem węgierskim dobre stosunki i na politykę kardynała godzić się nie chciał.

Mimo niechęci królewskiej, jaką Długosz ściągnął na siebie, w listach swych zaleca Oleśnickiemu, aby króla zwolna a niepostrzeżenie ociosywał z obyczajów, które mu się nie podobają. W niejednej rzeczy już bowiem zaczyna być rozsądniejszym i niejednego już pozbywa

www.intool.com.cn

Digitized by Google

się narowu. Błagam cię tylko, Ojcze Przewielebny, pisze Długosz, nie wyliczaj tak często tych dobrodziejstw, które ci król zawdzięcza, doszedł bowiem już do uszu jego taki regestr, na co on miał powiedzieć: „Zrobię z nim już obrachunek, a zebrawszy wszystko, co kiedykolwiek otrzymałem od niego, oddam mu bez zwłoki, żeby nie być wystawionym na ciągłe łajania." O wiele lepiej-by było, gdybyś chciał, Ojcze Przewielebny, już to wszystko, co trudno naprawić, raczej na dobre tłómaczyć, a pokazywał mu twarz przychylną i pogodną.

W czasie pobytu króla w Krakowie, miał z nim również do czynienia Długosz w jednej z najdraźliwszych spraw kościelno-politycznych, jakie były wówczas na porządku dziennym, w sprawie Mikołaja Lasockiego, dziekana kapituły krakowskiej. Wkrótce pielgrzymka do Rzymu i ziemi Ś-ej odsunęła Długosza od spraw publicznych. W chwili powrotu do kraju zastał on ten sam jeszcze stosunek między królem a kardynałem, a hasłem jego było i nadal umiarkowanie.

Mając około siebie liczne grono doktorów i uczonych, Oleśnicki nikogo z nich nie nakłaniał do spisania dziejów narodowych, tylko Długosza zachęcał do tej pracy, którego głównem zadaniem było wyszukiwanie włódarzy i dzierżawców dla dóbr biskupich, sprawdzanie rachunków lub porządkowanie zawiłych spraw majątkowych. Z czegóż jednak było się można o ówczesnych dziejach pouczyć? Wiele kronik kryło się w rzadkich rękopisach i przypadkiem zaledwie dostawały się komuś do rąk. Niezawodnie nikogo też nie było wówczas w Polsce, ktoby je był wszystkie przeczytał. Cóż dopiero mówić o źródłach, któremi opowiadanie tych kronik uzupełnić, z których okresy, nieobjęte niemi, odtworzyć należało. Kto chciał wówczas dzieje narodu napisać, ten musiał zgromadzić te wszystkie, tak trudne do odszukania, tak niedostępne materyały, nie mając żadnego przewodnika, żadnego z poprzednich usiłowań ułatwienia, zagłębić się w te pomniki i z surowego materyału własną wyłącznie pracą zbudować gmach, o którego fizyognomii archigektonicznej nikt ze współczesnych nie miał pojęcia, ani on sam nawet, dopóki tego syzyfowego nie dokonał dzieła.

Długosz, który przed scholastyczną wiedzą się cofnął, z tem większą chciwością musiał pierwsze promienie odrodzenia sobie przyswajać i chwytać. W Polsce dochodzić go mogły słabe tylko echa humanitarnych dążeń, a niebo włoskie ujrzał po raz pierwszy, kiedy zaledwie dwudziesty rok życia przekroczył. Do Rzymu dotarł jednak Długosz dopiero w kilkanaście lat później, a po drodze zatrzymał się w Bononii, by pozyskać dla kraju wsławionego tam na uniwersytecie Polaka, magistra, Marcina z Przemyśla. Podczas pobytu w Rzymie, który przeciągnął się przez pół roku z górą aż do jesieni 1449 r., nie brakło Długoszowi sposobności, ażeby korzystać ze zbliżenia się do głównych

Digitized by Google

ognisk humanistycznego ruchu. W Rzymie zaś doszła go wieść, że Jan Gara, biskup na Węgrzech, z którym Marcin z Przemyśla w bliskich był stosunkach, posiada tak rzadkie wówczas i cenione, a w Polsce nieznane jeszcze, dzieła Tytusa Liwiusza. Bez zwłoki więc po powrocie do Krakowa pisze Długosz do Marcina, bawiącego na Węgrzech, prosząc go, by wyjednał u biskupa pożyczenie tego manuskryptu i przysłał go kardynałowi Oleśnickiemu przez Grzegorza z Sanoka, który podówczas z dworu Jana Gary do Polski właśnie miał wracać.

W trzecią i ostatnią podróż do Włoch wybrał się Długosz niebawem, bo w cztery zaledwie miesiące po powrocie z poselstwa po kapelusz. Włochy były tym razem tylko stacyą pośrednią, a celem pielgrzymka do Ziemi Świętej. Przybywszy do Wiener-Neustadt, spotkał Długosz cesarza Fryderyka III wraz z całym dworem. W otoczeniu cesarskiem znajdował się Eneasz Sylwiusz Piccolomini, znany jako pierwsza powaga w świecie humanistycznym. Długoszowi przypadł zaszczyt powitania mową cesarza, a musiała ona niezłe sprawić wrażenie, gdy Eneasz w liście, później do Oleśnickiego pisanym, nazwał Długosza: „mężem niemniej wymową, jak cnotami znacznym."

Wracając z Ziemi Świętej, nie tracił Długosz we Włoszech daremnie czasu. W Wenecyi zamożny jakiś kupiec, z rzadką na owe czasy uprzejmością, pożyczył mu do kraju jakiegoś cennego, nieznanego bliżej kodeksu. Tym więc razem przywiózł do kraju wielu niepospolitych gości, których poprzednio u nas po największej części zaledwie ze słyszenia znano; przybyli z nim Curtius, Justyn, Sallustius i wszystkie pozostałe pisma Liwiusza, wiele woluminów Cycerona i niemała liczba innych starożytnych i nowych autorów.

Szukając upragnionego wzoru do napisania dziejów Polski, dowiedział się Długosz w stosunkach swych z humanistami o dekadach Liwiusza. Szlachetne, posągowe, a pełne naturalnego wdzięku opowiadanie dziejowe Liwiusza zachwyciło go stokroć więcej od misternych efektów stylistycznych w pismach Sallusta. Odtąd już nie wahał się posłuchać namów Oleśnickiego i jedynym celem ambicyi zajaśniało mu marzenie, żeby stać się dla Polski—Liwiuszem. Z zapałem począł Długosz w r. 1455 pisać „dzieje dawne i spółczesne", z zapałem jął się zadania, w którem miał, według jasno wypowiedzianego zamiaru, do obecnych dawniejsze przyłączyć. Z jakiem przygotowaniem, na owe czasy niepospolitem, przystępował do pracy, jak nad tym olbrzymim materyałem faktów już wówczas panował, o tem najwyraźniej świadczy jasny, przejrzysty, a z góry obmyślany plan i rozkład całego dzieła. Plan ten powstał już niezawodnie pod wpływem Liwiusza. Całość dzieła rozłożył Długosz na ksiąg dwanaście, a w każdej księdze objął szereg wydarzeń, wiążących się z sobą i wspólny niejako stanowią-

www.tibtool.com.cn

Digitized by Google

cych wątek. Śmiało można powiedzieć, że pisarz XV wieku nie mógł się zdobyć na lepszy rozkład przedmiotu. Nie jest to bowiem mechaniczne rozsiekanie materyału, lecz każda księga, ze względu na treść, stanowi całość zaokrągloną.

www.libtool.com.cn

Mając jednak przed oczyma Liwiusza w ogólnym planie dzieła, odstępował Długosz od tego wzoru, jeśli w tem dla pracy swojej widział pożytek. Tak na początku pierwszej księgi umieścił geografię Polski z przeważnem uwzględnieniem hydrografii. Jemu też piśmiennictwo nasze zawdzięcza, że tak wcześnie, rychlej niż Niemcy, Francya lub humanistyczne Włochy, doczekało się zarysu geografii ziem polskich, jak na owe czasy znakomitego, a w niektórych względach, zwłaszcza w hydrografii, zdumiewającego swą dokładnością. Skrzętnie wyczerpał Długosz wszystkie pomniki średniowiecznej historyografii polskiej, nieliczne kroniki i spory zasób roczników, zgarniając z trudem i kosztem niesłychanym zbiorowe kodeksy rękopiśmienne, które spółcześni zbieracze spisywali z ciekawości, bez planu i systemu. Dość tu tylko ten jeden fakt zdumiewający przytoczyć, że nawet z kroniki brunświlerskiego klasztoru, ukrytej w jego murach i nierozpowszechnionej zgoła, zdołał Długosz wydobyć luźne wiadomości o niejasnych dziejach Polski w XI wieku, a siwizną już okryty wziął się do nauki russkiego alfabetu, aby dzieje nasze, z russkich korzystając źródeł, wyłożyć tem jaśniej i dokładniej.

Pisząc dzieje Polski, przyszedł Długosz do przekonania, że jeśli kto zajmie się czytaniem dziejów i poznawaniem państw i narodów, w krótkim czasie i z niewielką pracą dojdzie do szczytu najwznioślejszej wiedzy i umiejętności. Nie mało także przyczynia się do rządnego kierowania sprawami Rzptej czytanie dziejów dawnych i rozważanie zacnej jako i ohydnej przeszłości przodków. W naturze Długosza, na wskroś praktycznej i trzeźwej, nie było jednak poczucia artyzmu w historycznej konstrukcyi; wobec zadań sztuki dziejopisarskiej tępiała jego fantazya, tak płodna zresztą w domysły dla dopełnienia oschłej treści małomównych źródeł. Długosz nie usiłował zgoła przekroczyć granic pragmatyzmu, aby wznieść się na wyżynę artystycznej kreacyi i tchnieniem poezyi ożywić martwy skielet ubiegłych wydarzeń.

Gdy umarł pojednawczy następca Oleśnickiego, biskup krakowski, Strzempiński, zjawili się dwaj wysłańcy królewscy, prosząc imieniem Kazimierza Jagiellończyka, ażeby kapituła głosy swoje oddała Janowi Gruszczyńskiemu, biskupowi z Włocławka, chociaż kapituła wybrała Jana Lutkowicza z Brzezia. Spór jednak zażegnanym został na czas jakiś, albowiem Jan z Lutkowicz odstąpił od elekcyi i otrzymał za to biskupstwo włocławskie. Tymczasem niespodziewanie przyszła do Polski bulla, oddająca wyłącznie prawo do katedry krakowskiej Jakó-

Digitized by Google

bowi z Sienna. Walkę z królem więc, od której duchowieństwo polskie rade się było usunąć, podejmował sam Papież. Kapituła krakowska zajęła zrazu stanowisko wyczekujące, a Długosz szedł razem z większością kapituły, gdy tymczasem Papież wzywał Jana Teńczyńskiego, kasztelana krakowskiego, i Jana z Melsztyna, ażeby siłą zbrojną bullę wykonali, a tem samem rzucał pochodnię otwartego buntu przeciw Kazimierzowi.

Długosz oświadczył się z posłuszeństwem dla Sienieńskiego i rozpoczęło się dla niego długie, bo przeszło rok trwające, dobrowolne więzienie w zamku Melsztyńskim, czas ciężkiej niedoli i próby. Zaraz też starosta grodowy krakowski z rozkazu królewskiego zagrabił mu wszystkie dobra, przywiązane do jego beneficyów, a gdy król, przybywszy do Krakowa, ujrzał dom Długosza, zachowany w całości, wysłał zaraz Kurozwęckich, którzy, wyłamawszy drzwi, wszystko, co tylko posiadał, zabrali. Zostały mu jeszcze dochody z dziesięcin, o których zapomniano z początku. Gdy jednak w roku następnym nadszedł czas żniwa, znaleźli się ludzie, którzy zwrócili na nie uwagę króla, i zaraz Jakób z Góry, podczaszy krakowski, wszystkie dziesięciny zagrabił. Dopiero na zjeździe walnym piotrkowskim w r. 1463, po zrzeczeniu się Sienieńskiego, nastąpiła zgoda, poczem król udzielił opornemu duchowieństwu amnestyę, z której także skorzystał i Długosz.

Te dwa lata walki kościelnej stanowią ważny zwrot w życiu i w zapatrywaniach Długosza. Teraz dopiero pojął on, że się czasy zupełnie zmieniły i że trzeba się zbliżyć do zwycięzcy. Niepodobna mu zostać regalistą we właściwem tego słowa znaczeniu i nie będzie przykładał ręki do polityki kościelnej króla, ale będzie ją tolerował; nie będzie żarliwym zwolennikiem jego postępowania z Litwą, ale też i sarkać na nic nie będzie. Tymczasem król zaczął Długosza używać coraz to częściej do posług dyplomatycznych i aż do końca wojny pruskiej, przy każdej ważniejszej sprawie z zakonem, pełnił on obowiązki komisarza królewskiego. Do pokoju toruńskiego w r. 1466 nie mało Długosz przyłożył ręki i „nie małą też czuł pociechę z odzyskania krajów z dawna od królestwa polskiego odpadłych."

Kazimierz Jagiellończyk nabrał też powoli przekonania, że już nie z tym samym co dawniej Długoszem ma do czynienia, wiedział, że jeżeli w nim pozostało coś z tradycyi Oleśnickiego, to był to już tylko niemy, osłabiony czasem pietyzm dla starego, starganego sztandaru; Długoszowi więc postanowił król powierzyć wychowanie królewiczów, a Długosz pojmował dobrze trudność i doniosłość zadania i długo podobno się wahał, zanim przystał na żądanie królewskie. Najwięcej się Długosz przywiązał do królewicza Kazimierza; jego głębokie uczu-

Digitized by Google

cia religijne a nadzwyczajne przytem zdolności najbardziej pociągały ku niemu starego nauczyciela i osobiście pewnie był Długosz najwięcej z tego wychowańca dumny, który później zajaśniał aureolą patrona Litwy.

www.libtool.com.cn

W r. 1467 wyjechał Długosz w poselstwie do Pragi i cieszył się następnie, że król czeski, nie przywykły do słów katolickich, przecie ich raz musiał wysłuchać. Dyplomacya polska odniosła jednak w tem poselstwie porażkę, i kiedy królowi Kazimierzowi wypadło w kilka miesięcy potem rozpocząć nową akcyę rozjemczą, już do poselstwa nie użył Długosza. Odtąd bierze Długosz jeszcze nieraz udział w misyach dyplomatycznych, nawet w najważniejszych, na wielkich międzynarodowych zjazdach i kongresach, w najznamienitszych poselstwach, ale zawsze w tak licznem otoczeniu i w towarzystwie tak wybitnych osób, że w ich cieniu nie mógł już rozwinąć jakiejkolwiek samodzielniejszej akcyi politycznej.

W lutym 1471 r. umarł król Jerzy czeski, a w cztery miesiące potem przybyło z Pragi uroczyste poselstwo z zaproszeniem najstarszego z królewiczów, szesnastoletniego Władysława, na tron jego dziadów po matce i pradziadów. Ale wychowaniec Długosza przyjmować musiał koronę z rąk kacerzy, z którymi wszelki stosunek klątwą był zagrożony, tymczasem król Kazimierz wzywał Długosza, żeby młodemu królowi towarzyszył na koronacyę do Pragi. Trudne położenie czekało Długosza: będzie się musiał w Czechach ocierać o samych utrakwistów; ale naleganie króla przełamało wszelkie skrupuły i Długosz musiał się tem pocieszać, że w orszaku króla Władysława jechało trzech biskupów do Pragi.

Po koronacyi król Władysław pragnął mieć starego swego nauczyciela w pobliżu i nalegał na Długosza, aby przyjął arcybiskupstwo w Pradze. Zgadzając się jednak na propozycyę królewską, nie mógł-by Długosz utrakwizmu uważać za herezyę, musiał-by dozwalać komunii pod obydwiema postaciami, co ze względu na stanowisko, jakie Kościół był zajął wobec utrakwizmu, sprzeciwiało się jego własnym przekonaniom. Odmówił więc Długosz stanowczo naleganiom młodego króla, a może nawet odpowiedź ubrał w formę warunku, że w takim tylko razie przyjmie godność arcybiskupią, jeśli Czesi do zupełnej jedności z kościołem powrócą.

Rok po roku mijał, a godność biskupia, która w zawodzie Długosza była najnaturalniejszym celem ambicyi, omijała go uporczywie, choć sposobności do tego wyniesienia wcale nie brakło. Długosz byłby też gotów przyjąć godność biskupią z rąk królewskich, ale tymczasem po wakansie krakowskim w ciągu następnych lat ośmiu opróżniło się po kolei dziewięć stolic biskupich, a Długosza ciągle omijała infuła.

Digitized by Google

Na nic się także nie przydała gorliwość i praca Długosza w układach wyszogrodzkich, przyniosła mu tylko zmartwienie i podwoić musiała drażliwość jego w chorobie, w którą zapadł po trudach podróży węgierskiej. To bowiem pewna, że brakiem gorliwości w żadnej ze swych misyi nie zgrzeszył, ale jeśli tylko powierzono mu jakieś zadanie, w którem potrzeba było większej samodzielności sądu, gdzie nietylko o samą technikę chodziło, tam prawie zawsze Długosz nie zdołał sprostać zadaniu.

www.libtool.com.cn

Nie możemy żądać od Długosza, ażeby w swych dziejach samoistnie zapanował nad wiadomościami źródeł, ażeby zamierzchłe zdarzenia przeszłości w odrębnem i z nich samych wydobytem świetle oceniał i stawiał. Nie dziwmy mu się też, że ślepo idzie za tem ocenieniem ludzi i wypadków, które napotkał w źródłach. Tło dziejowe wziął Długosz ze współczesnej mu historyi i przeniósł, pomijając zupełnie perspektywę, w przeszłość. Ta sama atmosfera duchowa, ten sam ustrój państwa i społeczeństwa, te same instytucye, wśród których Długosz żył i działał, sięgają według jego mniemania w najodleglejsze wieki. Tylko w najdawniejszym brzasku pierwszego zarania dziejów było inaczej, za czasów Lecha, założyciela Polski, i jego najbliższych następców. Nie zdaje się nawet Długoszowi, żeby za wprowadzeniem chrześciaństwa zaszedł jakiś przewrót stanowczy w ustroju państwa. Według jego zdania, była Polska największą i najpotężniejszą, kiedy w rzeczywistości jeszcze nie istniała, gdy zaś zaczęła dopiero budować się i powstawać, już w jego rozumieniu zbliżał się czas upadku.

Podsuwając tło współczesne wypadkom odległej przeszłości, ożywiał przez to Długosz ich obraz, ale przyczynowego związku nie był w stanie oświecić, istotnych ich następstw na dalszy przebieg dziejów odgadnąć. Czując, że stoi przed zagadką, nie dającą się rozwiązać, chwieje się Długosz niejednokrotnie, gotów jest pewne wypadki przypisać zrządzeniu ślepych losów, lub, co gorsza, szukać ratunku w astrologii. Do sprawiedliwych rządów Boga odnosi też Długosz zarówno cały bieg dziejów, jako też wszystkie pojedyńcze wypadki. Ufność w Boga sprowadza zwycięstwa, prawda z Jego pomocą zwycięża, a tajemne wyroki Boga często są niezbadane. Na tem przekonaniu opiera się system historyczny Długosza.

Nie podobna zaprzeczyć, że Długosz był tendencyjnym pisarzem. Jeśli kto, tak jak on, pisał historyę nietylko dla pożytku, ale i „ku większej chwale ojczyzny“, to trudno mu było zawsze w zgodzie z prawdą pozostać i zdarzenia, hańbę krajowi przynoszące, w całej nago ci i jaskrawości przekazać czasom potomnym. Znał wprawdzie Długosz zasadę ewangieliczną, że nieprzyjaciołom dobrze czynić należy, ale nie zawsze o niej pamiętał. O prawdzie zaś i o tem, co jej wi-

Digitized by Google

nien historyk, również w teoryi nie zapominał i w przedmowie jasno wyznaje, że historykowi przystoi prawdę nad wszystko przekładać i że winien sobie zatykać uszy na złudny śpiew syren, aby prawdy i czystości dziejów nie skazić zawiścią lub pochlebstwem.

www.libpool.com.cn

Przystępując jednak do dziejów spółczesnych Długosza, nabywamy przekonania, że nawet w takim razie, kiedy miał niezawodnie najlepsze informacye, nie daje rękojmi, czy nie podał nam umyślnego fałszu. Nie na wiele przyda nam się usprawiedliwienie, że fałsz taki, sam przez się zdrożny, wynikał z pobudek moralnych, którym niepodobna odmówić pewnej sympatyi; do wartości źródłowej jego historyi wcale to się nie przyczynia. Przychodzi także żałować, że Długosz nie zdawał sobie jasno sprawy z ważnego przewrotu w ustroju państwowym Polski, który się w tym czasie rozpoczął. Któż nie przyzna, że ustawodawstwo nieszawskie z r. 1454 było jednym z najważniejszych faktów w dziejach panowania Jagiellończyka, i któż się nie zdumieje, jeśli o niem w dziele Długosza ani słowa nie znajdzie? Dalszy postęp i rozwój kiełkującej z ustaw nieszawskich reprezentacyi stanowej nie zwraca na siebie również uwagi Długosza; znajdziemy wprawdzie niekiedy luźne wzmianki o niektórych sejmikach dzielnicowych, ale nie odgadujemy z nich charakteru i znaczenia tych zgromadzeń. Są pewne wskazówki, że Długosz niechętnem okiem spoglądał na to zrywanie się społeczności szlacheckiej do życia politycznego, i dla tego nie miał ochoty szerzej się nad niem rozwodzić; ale i to pewna, że nie rozumiał należycie tych objawów i nie umiał jasno ich znaczenia określić.

Zniechęcony i zgryziony tokiem spraw spółczesnych, odgrzewa stary Długosz dawne tradycye i wzdycha pod wrażeniem zatrważających postępów oręża tureckiego do nowych walk krzyżowych. Utyskując tak słusznie na niedbalstwo wojny szlacheckiej, jeszcze bardziej się Długosz zżymał na werbowanie zaciężnych, którzy, nie otrzymując należnego żołdu, szerzyli pustoszenia po kraju, a mianowicie po dobrach kościelnych, i znów skarży się gorzko, że król zarzuca dawny, tradycyą uświęcony sposób prowadzenia wojen za pomocą dworzan i ziemian, a posługuje się obcym żołnierzem i przezeń tylko klęski na kraj sprowadza.

W końcu swej pracy oświadczają profesorowie Bobrzyński i Smolka, co następuje: „Wszystkie braki i zboczenia, któreśmy w dziele Długosza z bezwzględną surowością, w całej nagości wykazali, są wspólne całemu ówczesnemu dziejopisarstwu, wynikają bowiem po największej części z ówczesnego stanowiska, metody i sztuki historycznej, a wśród współczesnych historyków jest Długosz, w każdym razie, w całej literaturze europejskiej jedynem w swoim rodzaju zjawiskiem. Prawdo-

Digitized by Google

mówność Długosza, choć ją tak ostrej poddamy krytyce, nic nie ucierpi wskutek porównania z arcydziełami pamiętnikowej literatury historycznej, tendencya zaś jego i wszelkie zboczenia z niej wynikające wyda nam się prawie gołębią niewinnością, jeśli dzieło jego porównamy z pomnikami współczesnej lub prawie współczesnej historyografii soborowej, z pracami takiego Jana z Segowii lub Teodoryka z Nieheim. Jeśli wreszcie ogrom dzieła Długoszowego rozważymy w całości, to napróżno w całej literaturze powszechnej XV wieku szukalibyśmy pomnika, który-by obok niego mógł godnie stanąć, żaden naród nie doczekał się wówczas swej historyi na tę, co dzieje Długosza miarę.

„Skoro zatem położymy wszystkie niedostatki jego dzieła na jednej szali, niespożytą zaś zasługę na drugiej, to pierwsza wysoko w górę podleci i Herodot naszej historyografii, choć tak surowo sądzony, nie zejdzie z tego miejsca, które mu cześć i wdzięczna pamięć narodu słusznie wyznaczyła w Panteonie narodowej chwały. Że zaś nie był ideałem historyka, że nie zdołał się zbliżyć o tyle do tego ideału, o ile to nawet w jego czasach było rzeczą możliwą, to sławy jego i zasługi w niczem nie umniejszy. Kto tak wiele, nieskończenie wiele daje, ten ma prawo żądać, żeby to, co dał, przyjąć z gorącem uczuciem wdzięczności, które pewnie nigdy nie wygaśnie, dopokąd na polu dziejów naszych krzątać się będziemy."

W r. 1480 napisał Długosz jeszcze dwa rozdziały współczesnej historyi i wówczas skreślił to piękne i zarazem rzewne zakończenie dzieła, w którem żegna się ze światem, rychłą śmierć przewidując. W pożegnaniu owem czytamy następujące słowa: „Po długiej i ustawicznej pracy, po wielorakich badaniach i rozmyślaniach, po licznych wycieczkach i podróżach, które podejmowałem, spisując kroniki tak krajowe, jako i obce, po doznaniu rozmaitych przymówek, obelg i potwarzy, czuję nie małą w sercu pociechę, acz pośród gorzkich utrapień i niemal schodząc już do grobu, że domierzyłem kresu mojego dzieła. Błagam wszystkich duchownych, tak zakonnych, jako i świeckich, wielebnych i przezacnych mężów, doktorów, profesorów, mistrzów, uczniów i pisarzy każdego wydziału, przesławnej akademii krakowskiej, aby po mojej śmierci ktokolwiek z ich grona, według sił i możności swojej, te księgi dziejów w dalszym ciągu pisał, żeby nigdy przerwy w nich lub zaniechania nie dopuszczali. Błagam i każdego z osobna, kto tę księgę dziejową teraz lub kiedykolwiek czytać będzie, ażeby za mnie, ze wszystkich grzeszników najpierwszego i ostatniego, klęcząc jedno „Ojcze Nasz" i jedno „Zdrowaś Marya" z nabożeństwem zmówić raczył i t. d."

Autorowie monografii, Długoszowi poświęconej, kończą swe wyborne i pouczające dzieło następującem oświadczeniem: „Nie jeden

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

z historyków szarpał bezwzględnie dzieło Długosza skalpelem krytyki nowoczesnej, nie jeden wytykał w nim tylekroć rozmaite błędy i usterki, czyniąc ostatecznie tylko zadość gorącemu życzeniu autora, który o to sam prosił przed czterema wiekami. Ale każdy był przejęty tem samem uczuciem wdzięczności za tytaniczną pracę, bez której dzieje polskie średnich wieków smutnemi świeciły-by pustkami."

www.libtool.com.cn

Praca profesorów Bobrzyńskiego i Smolki, poświęcona Długoszowi i jego dziełom, daje nam niezmiernie bogaty i z niezwykłym talentem odtworzony obraz cywilizacyi w Polsce XV wieku. Życie Długosza i jego działalność polityczno-kościelna oraz naukowa były tylko wątkiem, w który umiejętnie i z mistrzostwem wpleciono najważniejsze objawy społecznego i państwowego życia całego narodu. Sąd porównawczy, od jakiego się autorowie nie uchylali, był zawsze wytrawnym i trzeźwym; dozwolił on też ujawnić wszystkie usterki, płynące z ducha czasu, a mimo to, ocenić pracę Długoszową należycie i bez narażenia się na zarzut niewłaściwego ulegania szowinizmowi narodowemu. Tak pełne i gruntowne dzieło, jakiem profesorowie Bobrzyński i Smolka obdarzyli literaturę naszą, mogło być tylko owocem zupełnego opanowania historycznych źródeł, a więc rezultatem usilnych i sumiennych studyów. Trud rzetelny, jaki autorowie podjęli, niewątpliwie też przyniesie im zasłużoną nagrodę. Nie tylko bowiem, że im w udziale przypadnie zaszczyt wzniesienia Długoszowi najtrwalszego pomnika, na jaki się nauka zdobyć może, ale, prócz tego, zaskarbią sobie wdzięczność za to, że literaturę naszą obdarzyli dziełem, odźwierzającem wytwornie i pouczająco obraz cywilizacyi naszej w XV stuleciu.

A. Rembowski.

Arcydzieło poezyi polskiej A. Mickiewicza „Pan Tadeusz", studyum krytyczne Walerego Gostomskiego.

„Pan Tadeusz" jest w literaturze europejskiej jedyną próbą, świetnie udaną, i jedynym wzorem niepożytym epopei nowoczesnej w wielkim stylu. Wprawdzie dr Biegeleisen zaprzecza „Panu Tadeuszowi" prawa do nazwy „epopeja", wprawdzie uczeni badacze literaccy o tę nazwę spór z sobą wiodą, przecież „arcydzieło poezyi polskiej" zawiera w sobie wszystkie te artystyczne czynniki, które same jedne zdolne są wytworzyć epos współczesny. Ktoby dziś zamierzał napisać wielką powieść epicką, ktoby chciał dać szeroki obraz narodowego bytu, ten musiał-by się wzorować nie na Homerze, lecz na Mic-

Digitized by Google

kiewiczu. Bo Mickiewicz przejął z poezyi klasycznej to, co w niej było nieśmiertelnego, natomiast odrzucił skamieniałości i ustrzegł się niewolniczego naśladownictwa, któremu ulegli tacy pisarze, jak Torquato Tasso, Milton, Camoens, a nawet Goethe (Herman i Dorota). Nadto, co najważniejsza, pieśń Homerową wzbogacił rozlicznemi tony i zagrał nie na kilkostrunnej lirze, lecz na wszystkich klawiszach natury i życia. Mickiewicz potargał klasyczną jednolitość stylu epickiego, bo doba ciszy greckiej minęła bezpowrotnie, bo życie nerwowe targa sercem naszem; strącił z Olimpu Jowisza i ciżbę bogów niesfornych i poemat swój zaczął wezwaniem nie do muzy, lecz do Najświętszej Panny zamiast pół-bogów i bohaterów, pokazał zwyczajnych ludzi, którym zdjął maskę z twarzy i odsłonił indywidualne oblicza; zaczem monotonny dyalog epicki urozmaicił dramatycznemi akcenty i w ten sposób dał artystyczny wyraz psychologii; mimo, że obrazów przyrody nie ma w Homerze i wbrew poglądom Lessinga, wzbraniającym wszelkiej opisowości w poezyi, rozwinął zdumiewający kunszt obrazowania i dał opowieści swojej tło wspaniałe; wprowadził obcy Iliadzie cenny czynnik humoru; bynajmniej nie wyłączył tonów lirycznych, nie dążył do podmiotowości bezwzględnej, lecz swobodnie pozwolił przemówić osobistym uczuciom tęsknoty i czułej miłości do rodzinnego zagonu. Ciężko grzeszył Mickiewicz przed obliczem estetyków szkolnych, zuchwale łamał książkowe przepisy, wprowadzał niedozwolone przez kodeks klasyczny innowacye, ale za to stworzył nieśmiertelne arcydzieło, wyśpiewał epopeję, wprawdzie nie w Homerowym stylu, lecz własną, nowoczesną, Mickiewiczowską, o wiele od tamtej bogatszą i rozmaitszą.

Jak Szekspir zreformował dramat, tak Mickiewicz rzucił pod epickie budowle nowe, granitowe podwaliny, które przetrwają długo.

Tło i ludzie—oto dwa zasadnicze żywioły składowe „Pana Tadeusza." Człowiek i natura, namalowane po mistrzowsku, stanowią wysoką artystyczną wartość epopei. A zwłaszcza w obrazowaniu jest nasz wieszcz nieporównanym. Bo tworzyć, jak Mickiewicz, doskonałe kreacye ludzkie, wielu pisarzy potrafi. Sienkiewicz kilku rysami umie wydobyć tętniące życiem typy i charaktery. Ale takie obrazy, jak Burza lub Puszcze Litewskie, nie mają sobie równych w naszem piśmiennictwie. Z obcych poetów mało kto pod tym względem dorówna śpiewakowi „Farysa." To też z ośmiu rozdziałów książki p. Gostomskiego weźmy przedewszystkiem pod uwagę rozdział piąty „Obrazy przyrody", jako ustęp najważniejszy, bo kunsztowi Mickiewiczowskiego obrazowania poświęcony. Zobaczmy, jak też p. Gostomski ocenia Mikiewicza jako kolorystę.

Zaraz na wstępie rozdziału krytyk oświadcza, że bynajmniej nie zamierza sądzić Mickiewicza ze stanowiska poezyi Homerycznej. Nic

Digitized by Google

nad to słuszniejszego. Można i należy oddać hołd śpiewakowi Iliady, ale trzeba być także sprawiedliwym dla twórcy „Pana Tadeusza." Te dwa tytany poezyi stoją obok siebie i równej są miary. To nawet dwa pokrewne sobie duchy. Tylko, że Mickiewicza dzieli od Homera dwadzieścia ośm wieków historyi, Mickiewicz posiadł doświadczenie dwudziestu ośmiu stuleci! Obaj wielcy poeci stoją na krańcach dziejowych, są wyobrazicielami epok rdzennie różnych i każdy z nich sądzony być może tylko z tego stanowiska, jakie zajął w sztuce. Odrębności stylowe, tryb tworzenia jednego z nich bynajmniej nie obowiązuje drugiego.

W sądach swoich p. Gostomski istotnie nie krępuje się zasadami estetyki formalnej. Zaznaczywszy, że do najpiękniejszych ustępów „Pana Tadeusza" należą malowidła natury, krytyk o Mickiewiczowskim poglądzie na naturę takie czyni spostrzeżenie:

„Stosunek Mickiewicza do przyrody wyróżnia się głównie prostotą, a zarazem głęboką i wszechstronną prawdą w odczuwaniu różnych jej zjawisk. Przedewszystkiem poeta ma tę zaletę, *iż pojmuje naturę naturalnie*: nie czyni z niej romantycznego straszydła, ani rozpływa się nad nią w uniesieniach ckliwego sentymentalizmu; lecz zwraca się do niej szczerem i prostem sercem głęboko czującego człowieka, spogląda na nią jasnem okiem zdrowego rozumu i odczuwa ją czułym niezmiernie i wysoce rozwiniętym zmysłem artysty. Przytem Mickiewicz daleki jest od wszelkiego filozofowania nad przyrodą; jej objawy nie wywołują w nim oderwanych refleksyi, ani idei metafizycznych; patrzy on na przyrodę rozumnie, zdrowo i trzeźwo, ale wcale nie filozoficznie ma dla niej głębokie uczucie i żywe upodobanie, lecz ani śladu wybujałej egzaltacyi i marzycielskich zachwytów."

Przytoczyliśmy powyższy ustęp dla jego trafności. Mickiewicz istotnie odczuwał naturę, jak wielki artysta, który zachował zdrową ale wrażliwą duszę wieśniaka. Wielka prostota łączyła się w nim z wielką siłą i plastyką słowa. Wspaniały realizm nie wyklucza bynajmniej poetyckiego oświetlenia. Wszystkie pejzaże w „Panu Tadeuszu" mają cechy łudzącej prawdy, osiągniętej prostemi środkami.

Szczególny wdzięk nadają Mickiewiczowskim opisom nader liczne a zawsze piękne przenośnie i porównania. Roi się niemi niemal każda stronica poematu. P. Gostomski gęsto przytacza cytaty i zwraca uwagę na trafność i niezwykły czar tych porównań, które bynajmniej nie przyozdabiają natury sztucznie, lecz potęgują, uwydatniają piękno, tkwiące w samych przedmiotach i zjawiskach. Porównanie zachodniego obłoku do rąbkowych firanek, lub lekkich chmur do stada owiec, śpiących na murawie, nietylko jest zgodne z naturą zjawiska, ale wypływa nieledwie z jego istoty i rdzenia.

Digitized by Google

P. Gostomski robi systematyczny przegląd obrazów natury w „Panu Tadeuszu." Dzieli je na krajobrazy i na opisy zjawisk powietrznych. Zasadniczym motywem krajobrazów są lasy. W opisie ich poeta tem pełniej mógł rozwinąć siłę swej twórczej fantazyi, iż sam przedmiot zawierał w sobie wiele fantastycznych żywiołów: „bogactwo i bujność form roślinnych, różnorodna gra światła i cieniów, szumy i szmery wśród gałęzi drzew, wreszcie ów tak osławiony przez romantyków niemieckich urok samotności leśnej (*Waldeinsamkeit*); wszystko to są motywy, stanowiące naturalną poezyę lasu."

Koroną leśnych pejzaży jest obraz wnętrza nieprzebytej puszczy, a właściwie szereg znikających obrazów, jakie poeta ukazuje czytelnikowi podczas przedzierania się do „jądra gęstwiny." Podczas tej wędrówki fantazya poety dźwiga się na wyżyny grozy i roztaczą widoki w piękności swej ponure i dzikie:

Dalej co krok czyhają, niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe napoły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą,
— Wielkie jest podobieństwo, że dyabły tam siedzą.
Woda tych studni śklni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,
Od której drzewa w koło tracą liść i korę;
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary mchem kotłunowate
I pnie garbiąc, brzydkiemi grzybami brodate,
Siedzą w około wody, jak czarownic kupa,
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.

Uważmy, jak w powyższym obrazie dobór wyrazów i wyrażeń, przenośni i porównań jest kunsztowny, doskonały, wysoce artystyczny. Na takich wzorach uczyć się pisarzom sztuki malonowania natury! Owe jeziorka, do wilczych porównane dołów, głębokie i napoły zarosłe trawą, zdają się istotnie czyhać na nierozważnego myśliwca, który lekkomyślnie zapędzi się w głąb tajemniczej puszczy. A jak świetnem jest porównanie tych drzew skarłowaciałych do czarownic kupy, jaka siła i dosadność w takich mistrzowskich wyrażeniach: *plamiste rdzą krwawą, pnie garbiąc, mchem kołtunowate,* jakie crescendo w określeniach: *łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore.* To już jest nieporównane wirtouzostwo w plastyce i w barwności.

Chociaż las jest żywiołem Mickiewicza, przecież w malowaniu piękności łąk i pól poeta jest istnym czarodziejem. Czytelnicy przypominają sobie niezapomniany obraz dwóch stawów i młyna, co niedy-

Digitized by Google

skretnym klekotem mąci miłosną tych stawów rozmowę. „Zdawało-by się,—powiada p. Gostomski, iż w skrzeczeniu żab, w brzęku owadów, w krzykach ptaków nocnych, wreszcie w widoku dwóch błotnistych stawów i sączącej się przez pole strugi, niewiele jest estetycznych żywiołów; a jednak jak cudny obraz wysnuła z tych motywów twórcza fantazya poety!" Obraz jest cudnie piękny, a przecież pełen artystycznej prawdy, jest realny i fantastyczny zarazem. Że poeta nad brzegiem stawu sadza świteziankę i każe jej igrać miesięcznemi blaski, że drgającą w promieniach księżyca powierzchnię krętego strumienia porównywa do lśniącej łuski pięknego węża żmudzkiego, to bardzo naturalne i tak zgodne z istotą wierzeń i podań ludowych. Piękno bez sztuczności, niewysłowiony czar bez uciekania się ozdóbek, stanowią cechy znamienne kunsztu obrazowania wielkiego poety.

Nawet naturę utylitarną, gospodarską, ukazuje Mickiewicz w poetyckiem oświetleniu. W „Panu Tadeuszu" mamy poezyę jarzyn i grzybów! Najpospolitsza roślina pod piórem poety uwypukla się, nabiera niemal cech indywidualnych.

Wysmukły bób wielooki spogląda na zieloną marchew, która na wiatr rozpuszcza warkocze; ówdzie znów kukuruza pyszni się złotą kitą swoją, tam maki białawe podnoszą badyle, konopie w szeregach stoją jak ciche cyprysy, a poważna o łysej głowie kapusta „siedzi i zda się dumać o losach jarzyny." Również plastycznie i z zamiłowaniem nakreślony został opis grzybów, a choć on nie stanowi zamkniętego obrazu, czego p. Gostomski nie omieszkał zaznaczyć, to przecież jest niezwykle barwny przez trafne porównania.

W każdym poszczególnym rodzaju grzybów poeta upatruje podobieństwo do kształtów którego z naczyń stołowych:

Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
Niby czareczki różnem winem napełnione;
Koźlak, jak przewrócone kubka dno wypukłe;
Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe;
Bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie,
Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,
I kulista, czarniawym pyłkiem napełniona
Purchawka, jak pieprzniczka.

Tak „na łąk zielonym obrusie" każdy okaz grzyba wyodrębnia się przez formę sobie właściwą i zwraca na siebie uwagę.

Wśród zjawisk powietrznych, bardzo licznych wschodów i zachodów słońca, oczywiście prym trzyma słynny obraz burzy, którym zaczyna się księga dziesiąta poematu. P. Gostomski dobrze odczuwa

Digitized by Google

wysokie piękności tego ustępu: „Jest to niewątpliwie jeden z najpiękniejszych obrazów w „Panu Tadeuszu", a być może, iż ze względu na niezmiernie pełne rozwinięcie i niezrównaną typowość wszystkich szczegołów, należało-by naczelne przyznać mu miejsce. Mamy tu burzę we wszystkich głównych jej rysach, począwszy od gromadzenia się i wzrostu chmur, aż do wyczerpania się ich w potężnej ulewie. W pośrednich momentach widzimy stopniowy jej rozwój w różnorodnych objawach, wywołanych w całej przyrodzie: poeta ukazuje nam stan nieba, ziemi i powietrza, skutki i wrażenia zarówno w świecie roślinnym, jak zwierzęcym, grę światła i cieni, wycie, ryk i świst wichrów, unoszone przez nie tumany kurzawy, liści, gałęzi i traw, wreszcie grzmoty, błyskawice, pioruny z nieustannym szumem ulewy, wśród gęstej, nieprzeniknionej ciemności. Dodajmy, iż wszystkie te objawy szalejących żywiołów oddane są przez odpowiedne brzmienia i spadki rytmiczne wiersza, uplastycznione przez liczne i wspaniałe przenośnie, ożywione bogatemi i świetnie rozwiniętemi uosobieniami."

Ale jeżeli gwałtowną waśń żywiołów opiewa poeta słowem, potężnem jak grom, i świetnem, jak błyskawica, to z drugiej strony potrafi z wdziękiem i czarem oddać pogodę i ciszę. A nawet wilgotny i ponury ranek, dyszący mgłą i wróżący słotę, pod działaniem słonecznych promieni i ciepłych powiewów gra w opisie poety magicznemi blaski:

Wiatr rozwinął dłonie
I mgłę muskał, wygładzał, rozścielał na błonie;
Tymczasem słonko z góry tysiącem promieni
Tło przetyka, posrebrza, wyzłaca, rumieni,
Jak para mistrzów w Słucku lity pas wyrabia,
Dziewica, siedząc w dole, krośna ujedwabia
I tło ręką wygładza; tymczasem tkacz z góry
Zrzuca jej nitki srebra, złota i purpury,
Tworząc barwy i kwiaty: tak dziś ziemię całą
Wiatr tumanami osnuł, a słońce dzierzgało.

Przedziwne jest u Mickiewicza stopniowanie i konsekwencya w wyrażeniach. Wiatr naprzód mgłę *muska*, potem *wygładza*, w końcu *rozścieła* na błonie, niby rozumna, świadoma celu swej roboty, siła natury, a zaś słońce zrazu mgłę *posrebrza*, potem nadaje jej silniejszą barwę *złota*, która, potęgując się w sobie, przechodzi w kolor *różowy*. Z taką logiką i poczuciem prawdy maluje swe obrazy wielki kolorysta, maczając pendzel naprzemiany w złocie, w purpurze i w srebrze.

Digitized by Google

P. Gostomski kończy rzecz swoją o obrazach natury w „Panu Tadeuszu" uwagą, iż nastrój tych obrazów i stan nieba znajduje się w sympatycznym związku z rozwojem akcyi. Gdy zgoda i spokój panuje wśród Soplicowskich mieszkańców, wówczas słońce im wesoło przyświeca, natomiast kłótniom i walce wtóruje poświst wiatru i granie piorunów. Trudno jednak przypuszczać, aby ta harmonia między niebem a ziemią panowała w poemacie ze świadomością poety, wskutek z góry powziętego planu.

www.rcbook.com.cn

Obok świetnych malowideł natury, które stanowią bogate tło poematu, drugim jego żywiołem składowym są doskonałe postacie, występujące ze swego tła z dosadną wyrazistością. Figury Mickiewicza kipią życiem indywidualnem. Każda z nich posiada charakterystyczne oblicze, swą odrębną postawę, ruchy, sposoby mówienia i własny swój tryb postępowania. Rysunek tych figur wzorowy, biegłą ręką mistrza zatoczony, charakterystyka konsekwentna, rozwinięta z artystyczną logiką w kierunku raz przez poetę wybranym, oświetlenie pełne, prawidłowe, koloryt barwny, poetycki. Typom i charakterom „Pana Tadeusza" p. Gostomski poświęca rozdział czwarty swej książki. O ile p. G. w rozbiorze cech znamiennych Mickiewiczowskiego obrazowania wykazał wiele gustu i poetyckiego poczucia, wygłosił niejedną trafną i rozumną uwagę, zdobył się na myśl nową i pogląd oryginalny, o tyle wykład o typach i charakterach zbył bądź utartemi ogólnikami, bądź zaciemnił go przez zbytnie nagromadzenie szczegółów. A przecież stać było p. Gostomskiego wobec rojnej galeryi figur poematu nie na suchy rozbiór tylko.

O wiele ciekawsze są uwagi p. Gostomskiego nad stylem poematu i jego stroną podmiotową. Owóż mamy i trzeci ważny czynnik artystyczny epopei, mianowicie formę. Tło i figury wcielone w doskonałe formy złożyły się na arcydzieło poezyi ojczystej. A forma ta ściśle odpowiada naturze przedmiotu. Styl „Pana Tadeusza"—powiada p. G. —jest jak szata, przystosowana doskonale do ciała i uwydatniająca naturalne jego kształty. Ten jasny styl przezroczysty wolny jest od maniery, której podlegał Słowacki i Krasiński, jest prosty, a przecież tak bogaty w barwy i tony. Wiersz „Pana Tadeusza" rozbrzmiewa naprzemiany nutą epicką, liryczną i dramatyczną, daleki jest zatem od jednolitości klasycznej, na co sarkają pedanci. A właśnie ta harmonijna rozmaitość tonów ustrzegła naszą epopeję od pewnej monotonii wiersza „Iliady" i jej niewolniczego naśladownictwa, „Hermana i Doroty" Goethego.

Oczywiście, że w „Panu Tadeuszu" przeważa żywioł epicki, który można rozszczepić na dwa pierwiastki: opisowy i narracyjny. Wszystkie obrazy natury kreślił poeta stylem opisowo-epickim, podobnież

Digitized by Google

wszystkie epizody rodzajowe. Opisy Mickiewicza żywo nieraz przypominają Homera, zwłaszcza w bogato rozwiniętych przenośniach. Jako klasyczny tego przykład p. Gostomski trafnie cytuje opis obrony Serwacego w zamczysku z księgi piątej: („Jako wilk obskoczony znienacka przy ścierwie.")

www.libool.com.cn

Ustępy narracyjne mają zacięcie staro-polskiej gawędy. „Ton gawędy szlacheckiej stanowi niejako podkład stylu „Pana Tadeusza", pisze p. Gostomski, ale dodać należy, że wtedy jedynie, gdy poeta występuje w roli opowiadacza. Bo skoro tylko akcya wzmaga się, a wzbierają namiętności, zaraz tony gawędziarskie milkną, sielanka poczyna huczeć epopeją.

Z epickiemi tony poematu harmonijnie zlewają się wybuchy liryczne oraz pełne akcentów dyalogi. Te ostatnie trzymane są w nastroju dramatycznym, poczynając od komiki Telimeny, Assesora, Rykowa, aż do tragizmu Jacka Soplicy, którego spowiedź przedśmiertna, drgająca bólem serdecznym, wyrażona wierszem porwanym, mogła by być przeniesiona żywcem do tragedyi.

P. Gostomski zaznacza, że „każda z osób poematu posiada w dyalogach swój własny, charakterystyczny sposób mówienia", pomimo, że „u Homera wszystkie osoby mówią zawsze jednakim stylem, który nie różni się wcale od stylu opowiadania. Salonowa paplanina Telimeny, frazeologia romantyczna Hrabiego, dosadny i barwny język Rykowa, oto są różne rodzaje stylu dyalogowego, odpowiadające różnym charakterom osób. Taki dyalog zbliża się do rzeczywistości życia, więcej ma werwy i realnego kolorytu. Ogólnie zaś można powiedzieć, iż dyalogi Mickiewicza odznaczają się przedewszystkiem realizmem."

W wybuchach lirycznych „Pana Tadeusza" dosłuchuje się krytyk wyrazu osobistych uczuć poety. Na dowód cytuje p. Gostomski wezwanie do N. Panny, apostrofę do drzew litewskich w księdze czwartej, wspaniały wstęp liryczny do księgi jedenastej („O roku ów, kto ciebie widział w naszym kraju!"), a nawet „koncert nad koncertami" Jankiela. P. Gostomski jest zdania, iż wyrażone w muzyce Jankiela uczucia nie mogą być poczytywane za „znamienne rysy wyobrażanego przezeń typu." Ten hymn ma być wyrazem uczuć samego poety. Nie należy także „koncertu nad koncertami" brać za czysty wylew liryzmu. Dźwięczą w nim wyraźnie epickie i dramatyczne nuty. A właśnie ta rozmaitość tonów i ich potęga sprawiają, że opis gry na cymbałach należy do najwspanialszych ustępów w „Panu Tadeuszu", że temu koncertowi dorównywa chyba jeden tylko obraz burzy.

Nader liczne czynniki artystyczne poematu, tony epickie, liryczne, dramatyczne, patos, grozę, wdzięk i komizm harmonizuje ze sobą pogodny humor, co, jak słońce, oblewa całą epopeję złotym blaskiem,

Digitized by Google

łagodnym i równym. Krytyk wykazuje, że humor Mickiewicza posiada przeważnie odcień staro-szlachecki i dlatego niema w nim wcale dążności satyrycznej; jest on epicki, a nie liryczny, niekiedy jowialny, bez domieszki nowożytnej melancholii. Humor ten wybornie nadaje się do oświetlenia komizmu zarówno pojedyńczych figur, jak całych epizodów, a nadto znosi jednostronną wybujałość uczuć i łagodzi gwałtowne między niemi kontrasty.

W pozostałych rozdziałach swej książki zastanawia się autor nad genezą i kompozycyą poematu, bada jego tło obyczajowe i kończy studyum uwagami nad znaczeniem i wpływem „Pana Tadeusza.“ Cokolwiek-by się rzekło o doniosłości Mickiewiczowskiej epopei, ten fakt jest niezbity, iż ona należy do małej liczby książek, na których kształcą się całe pokolenia. „Pan Tadeusz“, to nietylko dzieło literackie, to wielki czyn, w następstwa płodny, to świetne zjawisko w dziejach polskiej kultury. Przez swój poemat Mickiewicz odniósł walne zwycięstwo na polu bezkrwawem, gdzie nic się nie burzy, a wszystko buduje, gdzie narody stają do zaszczytnej walki o prawo pierwszeństwa w dziedzinie sztuki i wiedzy.

Obszerne studyum p. Gostomskiego ma wybitne cechy akademickie. Autor jest gorliwym systematykiem i rad hołduje analizie. Rozbiór krytyczny, to jego żywioł. Lubuje się także w definacyach. Autor wykład swój prowadzi systematycznie, nieledwie trybem szkolnym, tłómaczy się jasno, jest bardzo ścisły i uważny, posiada rzetelność badaczy niemieckich. Brak mu polotu i oryginalności w poglądach i w stylu. Do pracy o arcydziele poetyckiem za mało sam wprowadził pierwiastków artystycznych i syntetycznych, zbyt często gubi się w szczegółach. Umie za to konsekwentnie stosować metodę literackiego badania. Zabrawszy głos o „Panu Tadeuszu” po Tarnowskim, Chmielowskim, Biegeleisenie, Witkiewiczu, Zatheyu, p. Gostomski powinien-by choćby tylko rozdziałem o obrazowaniu („Obrazy Przyrody“) zwrócić na swą książkę uwagę czytelników.

Stanisław Kozłowski.

Digitized by Google

Maurycy Straszewski. „Dzieje filozofii w zarysie.“ T. I. Wstęp ogólny i dzieje filozofii na Wschodzie.

www.libtool.com.cn

Literatura nasza, która dotąd widziała w swoich szeregach zaledwie kilka tłomaczonych krótkich podręczników historyi filozofii [1]), znalazła się odrazu w posiadaniu dwóch prac oryginalnych, poświęconych tej gałęzi wiedzy. Mam tu na myśli „Historyę filozofii greckiej do śmierci Arystotelesa" przez X. Pawlickiego, niegdyś profesora filozofii w Szkole Głównej, (Kraków, 1890) i „Dzieje filozofii w zarysie“ prof. Straszewskiego. Obu dzieł wyszły dopiero pierwsze tomy oba też doskonale uzupełniają się wzajemnie, a pożądanem-by było aby się nie zatrzymały na tych pierwszych tomach.

Filozofia wschodu bywa zwykle po macoszemu traktowana w podręcznikach ogólnych [2]), a przyczyną tego, jak słusznie uważa p. Straszewski, jest, że historycy filozofii nie mają gdzie jej przyczepić (str. 20). Istotnie w Europie szkoły filozoficzne rozwijały się przy ustawicznem oddziaływaniu wzajemnem: wątek myśli przechodził z jednej do drugiej i porządek logiczny, w najogólniejszych przynajmniej zarysach, zgadzał się z historycznym: systemata późniejsze można było zawsze uważać jako dalszy rozwój poprzednich lub jako wywołaną przez nie reakcyę. Tymczasem na wschodzie rozwijały się cywilizacye, niezależne od siebie, prawie nic o sobie nie wiedzące; wytwarzały też one objawy myśli po części równoległe, po części zupełnie odrębne od europejskich. Jak związać np. atomizm, panteizm lub idealizm indyjski z podobnemiż objawami w Grecyi? Jak powiązać z niemi rozwój spekulacyi filozoficznej w Chinach?

Niema tu ani tak widocznego oddziaływania, ażeby można było mówić o zapożyczaniu się, ani tak ścisłej równoległości, aby twierdzić o istnieniu ogólnego typu, czyli prawa rozwoju myśli filozoficznej [3]).

---

[1]) Z tych zaś znaczna część nie została nawet doprowadzona do końca: taki los spotkał „Historyę filozofii“ Laforeta, pisaną ze stanowiska katolickiego (przekład Miłkowskiego, Kraków 1874) oraz Lewesa, napisaną ze stanowiska pozytywistycznego (przekł. Dygasińskiego. Warsz. 1881). Oba przekłady zatrzymały się na pierwszych tomach. Wyjątek stanowi doskonałe i obszerne dzieło Langego; pomijając jednak tę okoliczność, że więcej zajmuje się historycznie uzasadnioną krytyką niż historyą, obejmuje ono tylko systemata materyalistyczne, zaledwie potrącając o ich przeciwieństwa.

[2]) Z polskich zawiera ją wyżej wymienione dzieło Laforeta.

[3]) Usiłował to uczynić V. Cousin w „Historyi filozofii XVIII w.“; pierwsze dwa tomy jej wyszły w polskim przekładzie. Warszawa. 1866. dla filozofii indyjskiej, którą poznał ze świeżo wówczas wydanych tłomaczeń i wyciągów Colebrooke'a. (str. 99—134). Znakomity eklektyk francuski w całym rozwoju myśli filozoficznej

Digitized by Google

Jednak objawy te są tak ważne, że nie mogą być pominięte, i jeśli nie wiążą się bezpośrednio nieprzerwanem pasmem dziejowego rozwoju z myślą filozoficzną współczesnej Europy, to rzucają wiele światła na ogólne zasady, według których rozwijała się myśl ludzka.

Czyż nie jest np. zastanawiającem, że potężny rozkwit spekulacyi filozoficznej odbył się mniej więcej w tym samym czasie (mianowicie od VII—VI stul. przed Chr.) w trzech oddzielnych od siebie i nie ulegających żadnym wpływom wzajemnym [1]) ogniskach cywilizacyi: Chinach, Indyi i Grecyi? Można-by sądzić, że pewne odłamy ludzkości w owym czasie dojrzały do myśli filozoficznej, nie wiedząc nic o sobie, tak jak drzewka jednego wieku zaczynają w tym samym czasie owocować, chociaż na różnych rosną gruntach.

Czy nie jest godnem uwagi to podobieństwo ogólnego typu systematów: idealizmu, panteizmu i atomizmu u narodów jednej rasy (Indów i Greków), zostające zawsze po odrzuceniu tego, co było nieścisłem i sztucznem w uogólnieniach Cousin'a?

Czując niedogodność przyjętego podziału historyi filozofii według okresów dziejów powszechnych, p. Straszewski obiera inny—według typów, czyli organizmów pojęć, rozwijających się odrębnie, a do pewnego stopnia równolegle. Takich typów przyjmuje trzy: europejski, chiński, indyjski. Ale to nie wyczerpuje wszystkiego. „Podobnie jak w przyrodzie, nie wszystkie organizmy wykształcają się, lecz wiele z nich ginie marnie w samym początku, inne, wykształciwszy się do pewnego tylko stopnia, ulegają następnie zagładzie skutkiem niesprzyjających im warunków,—tak też i w dziejach cywilizacyi i myśli ludzkiej spotykamy się także z całym szeregiem typów niewykształconych, albo zagładzie uległych, a przykrytych następnie warstwą cywilizacyi." Do takich należą spekulacye narodów Azyi Zachodniej, zaczynające się dopiero wykluwać z wierzeń religijnych i zawarte w ich księgach świętych. To też tym spekulacyom, zawartym w pismach kapłanów egipskich (głównie zaś w „księdze umarłych") i chaldejskich, w Zend Aweście i księgach Starego Testamentu, poświęcony jest ostatni roz-

---

widzi następstwo kolejne 4-ch systematów, wynikających z samej natury rozumu ludzkiego: sensualizmu, idealizmu, mistycyzmu i sceptycyzmu. W Indyi mają je przedstawiać filozofia Sankhya (Kapila), Niaya (Gotama), Bhagawad-Gita (Samkhya-Patandżali) i Karika.

[1]) Oddziaływanie filozofii indyjskiej na Chiny należy do znacznie późniejszego okresu; Buddyzm przeniknął do Państwa Niebieskiego około czasu Nar. Chr.; inne systemata (Samkhya) ukazały się w VI w. po Chr. Również i w Japonii znaleziono pisma filozoficzne sanskryckie. Arabowie tłómaczyli Kapilę i Patandżalego w epoce islamizmu.

Digitized by Google

dział pierwszego tomu „Dziejów filozofii"; początkowe zaś w sposób bardziej wyczerpujący traktują filozofię indyjską oraz chińską, która w późniejszym okresie ulegała wpływowi pierwszej, i doprowadzają ich dzieje prawie do najnowszych czasów.

www.libtool.com.cn

Filozofia każdego narodu zostaje w ścisłym związku z innemi objawami jego życia umysłowego i czynnego, zwłaszcza zaś z religią, etyką i polityką. Dają się tu przytem widzieć oddziaływania obustronne. Szeroko więc autor uwzględnił wpływ tych czynników, poprzedzając wykład filozofii każdego z wymienionych narodów rzutem oka na osobliwości rasowe, urządzenia i religię, oraz starając się wykryć wpływy tej ostatniej na filozofię lub odwrotnie (jak w Buddyźmie). Sposób ten wykładu, bardzo pożądany, zwłaszcza w dziełach, przeznaczonych dla szerszych kół czytelników, świadczy, obok gorących pochwał autora dla Alb. Langego (str. 61), o przejęciu się jego metodą, której wpływ coraz szerszy na historyków filozofii miałem już sposobność zaznaczyć [1]).

Już w najdawniejszym pomniku piśmiennictwa ludzkiego, w hymnach Rig-Wedy, spotykamy się z pytaniami filozoficznemi:

„Któż wie zaprawdę, kto zwiastować może,
„Gdzie zrodzon powstał ten wszechświat wspaniały!
„Bogowie później powstali od niego,
„Wszechświata czyż znany początek?

Już kapłani, zastanawiając się nad zagadnieniami religii i kultu, dochodzili do pojęć abstrakcyjnych *r'tam*—porządku czyli ładu wszechświata i *atman*—absolutu. Atman utożsamiają oni z *Brahmą* i uczą, że połączyć się z nim można przez ofiarę i modlitwę. Świeccy myśliciele (pochodzący z kasty wojowników) przeciwnie stają w opozycyi do nich i za najskuteczniejszy sposób połączenia się z *atman* uważają poznanie absolutu.

Tocząc walkę przeciwko przewadze kapłanów, ogłosili oni, jako następstwo, swego poglądu, świat realny za złudzenie, a wskazali człowiekowi życie pustelnicze, połączone z ascetyzmem i zadumą, jako jedyny cel, godny mędrca.

W tym czasie rozwija systemat Kapili, znany pod nazwą *Samkhya*, niektóre myśli zawarte w *Upaniszadach*. [2]) Celem filozofii jest wyzwolenie się od cierpień, czyli ostateczne uwolnienie się od wędrówki dusz; do tego wyzwolenia prowadzi wiedza. Systemat ten ma swoją teoryę

---

[1]) Ob. Pogląd na świat jako przedmiot historyi. „Bibl. Warsz." 1894. Kwiecień.

[2]) Tekstach zaliczonych do ksiąg świętych *Brahmanów*; są one jednak późniejszego pochodzenia i zajmują się więcej metafizyką, niż religią.

Digitized by Google

poznania i swoją metafizykę. Pierwsza przyznaje trzy źródła wiedzy: 1) zmysły, 2) rozumowanie i 3) świadectwo powagi. Druga jest dualistyczna; opiera się na wyróżnieniu dwóch pierwiastków: ducha (*purusza*) i materyi, czyli przyrody (*prakriti*). Pomiędzy duszą a materyą pośredniczy rodzaj eterycznego ciała, czyli *linga*; jest to jakby dusza czynna, kiedy purusza jest czystem światłem, świecącem tylko dla siebie.

Pierwiastki, zawarte w systemacie *Samkhya*, rozwija dalej filozofia *Njaya*, której twórcą ma być Gotama. Systemat ten, również jak i poprzedni, za główny cel uważa wyzwolenie duszy z wędrówek. Rozróżnia on podmiot i przedmiot poznania; główny nacisk kładzie na metodę indukcyjną i zajmuje się bardzo stosunkiem przyczyny do skutku.

Filozofia Kanady, znana pod nazwą *Wajśeszika*, za podstawę swą obiera zasadę odrębności. W teoryi poznania dochodzi ona do pojęcia *kategoryi*, w metafizyce—do *atomu*. Odrębne rodzaje bytu są: ziemia, woda, światło, powietrze, eter, czas, przestrzeń, duch i *manas* (dusza). Wszystkie złożone są z atomów, których połączenie i rozłączenie zależy od niewidzialnej siły (*adriszta*). Atomy duszy odznaczają się szczególną subtelnością.

Drugą epokę filozofii indyjskiej rozpoczyna filozofia Buddy, skierowana przeważnie ku reformie moralnej i społecznej—ku zniesieniu ustroju kastowego i ku propagandzie równości, a wywołana widokiem nędzy i cierpień ludzkich. Filozofia ta wyrabia pojęcie *Nirwany*, t. j. błogostanu, wypływającego z poskromienia wszelkich żądz i pragnień, bardzo przypominającego *apathyę* stoików, z których filozofią zbliżają reformę Buddy i główny cel, i dążność, i warunki powstania. Stoicyzm w Rzymie był również protestem przeciw niewolnictwu i miał dążności przeważnie społeczne i etyczne, a powstał w okresie największych przeciwności między zbytkiem i samowolą jednych, a nędzą drugich. To też Buddyzm niebawem staje się religią i, jako taka, zalewa połowę niemal Azyi.

Trzeci i czwarty okresy filozofii indyjskiej wywołane są wpływem Islamizmu oraz pojęć europejskich.

Zbyt szczupłe są nasze wiadomości o starożytnych systematach Indyi, ażebyśmy mogli z całą jasnością zrozumieć ich związek wzajemny; często brak nam nawet przybliżonych dat chronologicznych. To też niejasność ta odbija się i na wykładzie p. Straszewskiego.

Wiemy (głównie dzięki szczęśliwie przechowanej przez Arystotelesa tradycyi), jak stopniowo wyrabiało się w Grecyi pojęcie np. atomu; miałoż-by ono w Indyach powstać raptownie, bez wszelkich prac przygotowawczych? Toż samo stosuje się do takich pojęć, jak duch i materya i wielu innych.

Digitized by Google

To, co doszło do nas z filozofii dawnej Indyi, stanowi prawdopodobnie tylko kilka ogniw końcowych długiego łańcucha rozwojowego.

www.libtool.com.cn

Chińczycy z natury swojej, jako przedstawiciele rasy mongolskiej, mało skłonni byli do zagadnień metafizycznych. To też filozofia ich jest nietylko praktyczną, ale przeważnie zlewa się ze sztuka rządzenia. Najdoskonalszym wyrazicielem ducha tego narodu był *Kong-fu-tse* (Konfucyusz), a w jego nauce główne miejsce zajmuje *li*, t. j. przyzwoitość, właściwość. „Niebo i ziemia cicho i posłusznie spełniają swoje zadania, czytamy w jednym z jego komentarzy, dla tego księżyc nigdy nie zbacza, a cztery pory roku następują zawsze po sobie regularnie; tak samo postępuje mędrzec, powoduje się głównie posłuszeństwem, a narody idą w jego ślady.“ Jak pessymizm i porywczość ku niezbadanemu były cechą indyjskiej filozofii, tak pogoda i optymizm, zwrócenie się ku interesom realnym, znamionują chińską. Przytem utrzymuje ona zabobon wróżbictwa, właściwy wszystkim Mongołom, a pochodzący z Szamanizmu i spoczywający na przekonaniu o ścisłym związku pomiędzy zjawiskami świata, a postępowaniem człowieka. Konfucyusz daje temu wierzeniu taki podkład filozoficzny: Człowiek jest istotą z natury dobrą i kwiatem stworzenia; w nim najlepiej ujawnia się harmonia obu najwyższych pierwiastków, t. j. nieba i ziemi, droga cnoty zaś jest mu samym porządkiem rzeczy wskazana. Skoro więc człowiek z tej drogi zbacza, psuje się i porządek świata, a następstwem tego są różne niezwykłe zjawiska, przewroty w przyrodzie. Na tej samej wierze opiera się i magia, którą wielu filozofów chińskich uważa za jeden z celów mądrości [1]).

Przedstawicielem naturalizmu i panteizmu jest *Li-tse* (Licyusz), jeden ze zwolenników Lao-tsego. Micyusz (*Mih-tih*) przedstawia starochiński socyalizm. Jak Konfucyusz był typowym konserwatystą, dążącym do utrzymania starych tradycyi i dawnego porządku (cała też cywilizacya chińska złożyła się zgodnie z jego nauką), tak Micyusz przedstawia żywioł przewrotowy: potępia on zbytek i nawołuje do prostoty i równości pierwotnej: ludzie powinni się kochać wzajemnie, nikt nie powinien się wywyższać nad innymi; każdy powinien pracować i poświęcać się dla dobra ogółu, nawet książę niech się stara o potrzebne do życia zboże i sam niech sporządza własne odzienie. Nauka jego, stojąca w tak rażącej sprzeczności z chińskim mandarynizmem i poszanowaniem rangi, jest do dziś dnia uważana tam za najgorszą z herezyi. Filozofowie chińscy stawiają ją na równi z doktryną *Jang-czhu*

[1]) Przekonanie to podzielał, jak wiadomo, Fr. Bakon i umieścił magię w swoim systemacie umiejętności.

Digitized by Google

—krańcowego przedstawiciela cynicznego egoizmu i filozofii użycia. Na początku naszej ery wtargnął do Chin Buddyzm; w XI i XII w. po Chr. rozbudził się w nich na nowo duch spekulacyi filozoficznych.

Takie są w krótkości dzieje filozofii w tych dwóch wielkich i starożytnych ogniskach cywilizacyi. Czy stwierdzają one, jak chce autor, „prawo": „że filozofia w religii ma swój początek i w religię ostatecznie się przekształca" (Str. 324)? Zdaje mi się, iż wniosek to zbyt pośpieszny. Może z większą słusznością powiedzieć-by się dało, że oddzielając się od religii, która początkowo skupia w sobie całozbiór czynności duchowych człowieka, zastępuje ją filozofia częściowo, dając podstawy i zasady do etyki i wierzeń w zamian za te, które znikły wraz z naiwną wiarą pierwotnych religii?

Nie zatrzymujemy się tu dłużej na ostatnim rozdziale, którego treść w krótkości podaliśmy wyżej.

Książka prof. Straszewskiego zapełnia niezawodnie ważną lukę w naszej literaturze filozoficznej, a biorąc przedmiot swój z punktu widzenia kulturalnego i ogólnie dziejowego, jest zajmującą i nauczającą.

Wł. M. Kozłowski.

Wydania, dotyczące Sztuk Pięknych. „Architektura męska i żeńska starożytnej Grecyi." I. Swiecianowski. Warszawa. 1894. „Monografia kościoła parafialnego w Będkowie" p. I. Dziekońskiego. Kraków i Petersburg. 1893. „Sprawozdania komisyi do badania sztuki w Polsce." Kraków. 1893.

Nie będziemy się wdawali w rozbiór stylistycznych, bardziej formuł niż uzasadnień, nagromadzonych w rozprawie P. Swiecianowskiego, ani odpierali zdań naciąganych do okoliczności, takich naprzykład (str. 9), jakoby Grecy mieli wzgardę dla tego, co... olbrzymie, gdyż na to odpowiadają wymiary posągów Fidyasza: Atheny, wysokiej na 25 łokci, i podobnie wielkiego Zeusa Olimpijskiego; odpowiadają ogromne wymiary Parthenonu i innych świątyń. Nie myślimy też bronić katedr średniowiecznych, (str. 10), niepotrzebnie zestawionych ze świątyniami greckiemi, ani prostować zdania, że kościoły chrześciańskie nie są poświęcane oddzielnym świętym, (str. 13) bądź męskiego, bądź niewieściego rodzaju, ale że pod wezwaniem danego Patrona wybudowane, nie przysługują jemu tylko jednemu, jak świątynie greckie, lecz przedewszystkiem ku czci Boga w Trójcy jedynego służąc, służą zarazem ku czci tylu świętych płci obojej, ile ołtarzów w kościele pomieścić można.

Digitized by Google

Stąd też płynie niemożność marzenia o jakiejś architekturze męskiej lub żeńskiej w kościele Chrystusowym. Jedno tylko zdanie p. S. przypomnimy, w którem pięknie i słusznie mówi o tworzeniu, niemogącem się odbyć bez dobrych zasad (str. 13); poddamy krytyce pytanie z dwóch złożone: czy istniała architektura męska i żeńska w Grecyi? a następnie, czy się opierała na proporcyach budowy człowieka?

Różnica architektury męskiej i żeńskiej w Grecyi miała polegać, wedle zdania p. Swiecianowskiego, na różnicy proporcyi wysokości kolumny do jej grubości; żeńskie miały być wysmuklejsze, męskie grubsze. Przyznać musimy, że kolumn tych ani w Atenach, ani w Koryncie, ani w Olimpii nie mierzyliśmy, nie wiemy też, czy p. S. Grecyę zwiedzał; o ile atoli z rysunków w odnośnych dziełach sądzić możemy, to kolumny świątyni Pallady w Koryncie miały na wysokości sześć szerokości, Tezeusza w Athenach siedm, Apollina w Bassa $6^3/_4$, wszystkie doryckiego stylu, różnicy więc żeńskich od męskich nie było. Co atoli najważniejsza, że to, co sprawdzić możemy istotnie dokładnie, to jest wymiar proporcyi posągów greckich, nie zgadza się z wymiarami podanemi przez p. S., Grecy bowiem nie rozróżniali proporcyi męskich od żeńskich, w sposób, jaki zaznacza p. S. Dokładnie dokonane pomiary posągów starożytnych dowodnie o tem świadczą, że różnicę proporcyi męskich i żeńskich Grecy upatrywali, zgodnie z prawdą rzeczywistą, nie w stosunku głowy do całej postaci, ale w stosunku górnej połowy ciała do dolnej. Podane zaś przez p. S. posągi mówcy greckiego [1]), dzieło Kleomenesa z Aten i Aphrodyty, zwanej Wenerą Medycejską, bynajmniej jego teoryi przysłużyć się nie mogą, gdyż pierwszy ma na wysokość nie 7 głów, ale 8, druga zaś ma 8 i $^3/_4$ dlatego tylko, że znaleziona potłuczona, jak przeważna liczba posągów greckich starożytnych, i bez głowy, ma głowę dorobioną przez Berniniego, rzeźbiarza włoskiego z wieku XVII, z epoki manieryzmu, przez tego rzeźbiarza zainicyowanego. Przytaczamy tu wymiary innych posągów starożytnych greckich na poparcie powyższego twierdzenia o proporcyach.

Strygillator Praksytelesa	ma	głów	$8^1/_2$.
Adonis	„	„	$8^1/_2$.
Venus Kapitolińska	„	„	$8^1/_2$.
Venus z Melos (Milo)	„	„	$8^1/_4$.

Ta ostatnia więc ma proporcye krótsze, należy bowiem do dzieł dawniejszej epoki. Utrzymują, i istotnie utrzymywać można, że była łączność pomiędzy proporcyami ludzkiemi i kolumn greckich, dawne-

[1]) Mylnie pospolicie zwanego Germanikiem.

Digitized by Google

go doryku i tylko doryku; joński porządek, jednocześnie zastosowany w propyleach z dorycki[illegible], z tego związku wyszedł, ale żeby ta łączność była tego rodzaju i takie za sobą pociągała następstwa, jakie chce mieć p. S., tego dowieść niepodobna.

* * *

Monografia kościoła w Będkowie p. Dziekońskiego, budowniczego, jest właściwie szkicem do monografii dobrze przygotowanym, niema w niej bowiem dochodzeń archiwalnych, lub, w ich braku, wiadomości o nieistnieniu onych, niema rysunków wnętrza i szczegółów architektonicznych i ornamentacyjnych tej dokładności, jaką widzimy w tablicy erekcyjnej. Brak *rysunków*, dodajemy z naciskiem; bo chociaż fotodruki mają istotnie pod wielu względami wartość dokumentowego znaczenia, wszakże gdy idzie o czystość zarysów, musimy posługiwać się rysunkiem, czego dowód złożył p. D. na tablicy 5 swego wydania, a co dało-by nam lepiej poznać ciekawe kręcone słupki i wykładania. Właściwego tekstu, po odtrąceniu sześciu aforyzmów, stanowiących jakoby *entrée en matière*, zostają trzy niecałe stronice, na których zgromadził autor jednak dość dokładny opis ogółowych cech konstrukcyi i zalet estetycznych tego zajmującego kościoła. Miłośnik sztuki, miłośnik piękna, miłośnik pomników na ziemi tej powstałych, z przyjemnością i pożytkiem może się wczytać w tę treść do monografii, której ostateczne dokonanie odnieść-by należało do chwili, kiedy-by, jak tego pośrednio i słusznie domaga się p. D., ściany kościoła wewnątrz oczyszczone zostały z pobiały ordynaryjnej. Powinniśmy spodziewać się, że po tym dobrym początku uda się p. D. i resztę monografii dokonać, że wtedy da nam w planie sytuacyjnym strzałkę, dokładnie oznaczającą oryentacyę, da topografię miejscowości i kilka słów o tem, gdzie Będków położony.

Dla wiadomości więc tych, których uwadze p. D. pragnął-by polecić tę piękną budowlę, wieku XV sięgającą, dodamy, iż Będków leży na granicy powiatów Rawskiego i Piotrkowskiego, nad rzeczką, wpadającą do Pilicy, a rozgraniczającą powiaty wzmiankowane, że nakoniec, jadąc koleją warszawsko-wiedeńską, pomiędzy przystankiem Wolborki a stacyą Baby, po lewej stronie drogi, (jadąc ku południowi) kościołek Będkowski dostrzedz można od strony głównych drzwi i wieży tak dokładnie, iż styl otoku tych drzwi rozpoznać się daje.

Oprócz pożytku nareszcie, jaki czytelnik z informacyi p. D. otrzymuje, ten jeszcze ważniejszy pośrednio z tej pracy niewątpliwie wypłynie, że i słuszne uwagi autora co do sposobu sumiennego odnawiania

Digitized by Google

budowli znajdą posłuch u interesowanych, i sam autor w budowanym przez siebie kościele na Pradze z tego rodzaju ozdobności majolikowej, przeciwko której tak gorąco był publicznie wystąpił, a którą w Będkowie się zachwyca, użytek zrobić potrafi niewątpliwie.

www.libtool.com.cn

* *
*

Sprawozdania komisyi do historyi sztuki w Polsce, poszyt o 46 kartach *in quarto majori*, to cały tom, na który złożyło się sześciu autorów, wytrawnych w rzeczach badań sztuki starożytnej.

Nie rozbieramy rzeczy p. Sokołowskiego o wzorach rysunku ornamentacyjnego Erazma Kamyna, złotnika, gdyż o tych z osobna pisaliśmy dawniej na tem miejscu, natomiast o źródłach do historyi sztuki w Polsce z XVII i XVIII wieków tegoż autora powiemy słów parę. Możemy nie zgodzić się na to, że jakoby niderlandcy malarze: Rubens, Van Dyck i inni wywarli wpływ na włoskich, gdyż historya sztuki i dzieła tych mistrzów świadczą przeciwko temu zdaniu autora; możemy także wywód o wrażliwości zastąpić innym, prostszym; ale nie możemy nie czuć wdzięczności dla p. M. Sokołowskiego za pilnie dokonany spis rysunków i rycin źródłowych do budowli monumentalnych warszawskich, znajdujący się w archiwum drezdeńskiem i w innych wydawnictwach, bądź lipskich, bądź berlińskich. Nie mniejszej wagi są postrzeżenia p. M. S. co do budowy pałacu Willanowskiego i udziału w nim Schlütera.

Reszty zamku Herburta pod Dobromilem szeroko i wyczerpująco opisał, wyjaśnił i rysunkami w tekście zrozumiałemi uczynił Władysław Łuszczkiewicz, z przedmiotem wybornie obeznany. Rozpoczyna obszerną rozprawę, można-by rzec monografię, na 10 wielkich stronnicach pomieszczoną, od określenia samego znaczenia obyczajowego rozmaitego rodzaju zamków, zameczków, grodów i twierdz, te ostatnie stale z cudzoziemska fortalicyą nazywając. Punkt miejscowości geograficzny i topografię omówiwszy, przystępuje do wyjaśnienia, jakiego rodzaju zamkiem był ten Herburtów, jaki był obronności jego stopień. Przyczynek to do historyi budownictwa wogóle ważny, a szczególnie do historyi budowli zamczystych. Co do uzasadnienia nazwy zamku, nadawanej nieraz dawnym dworom polskim, nawet drewnianym, pozwolił-bym sobie nadmienić, iż przy obecnem ich zniszczeniu powszechnem, charakter wielu zupełnie został zatracony, zwłaszcza, iż choć bywały drewniane, niemniej jednak w swoim czasie obronnemi były. Zwiedzałem i obrysowałem był jeden z takich w r. 1852. Postawiony w r. 1586 w Szkalmierskiem, w Chruszczynie-Wielkiej, nie miał już wtedy czte-

Digitized by Google

rech narożnych wieżyczek, obronność tej drewnianej dużej budowli stanowiących; ślady ich wszakże były w konstrukcyi tego dworu miecznika Inowłocławskiego, Dąbskiego, i żywa jeszcze tradycya, temi dowodami poparta; były więc zameczki drewniane, obronności przysługujące.

Z dziejów malarstwa lwowskiego przez Ferdynanda Bostla mamy kart kilka spisu malarzów lwowskich, począwszy od najdawniejszego z r. 1387 aż do 1700; w spisie tym, obejmującym 51 nazwisk, małe są wiadomości o pracach malarzów, a nawet o rodzaju tych prac, więcej o ich organizacyi cechowej, o poziomie, do jakiego cechy pod względem artystycznym obowiązywały swych uczestników i uczniów. Lepsze wiadomości podał Rastawiecki w swym słowniku malarzów. Znajdujemy w artykule p. Bostla wszakże parę ciekawych dokumentów: jeden otrzymuje Honestus Albertus Stephanowski, *pictor imaginum*, od Stefana Batorego, mocą czego staje się malarzem nadwornym, dobrze uprzywilejowanym. Drugi bardzo piękny, który otrzymał *nobilis* Joannes Szwankowski od Zygmunta III, wysławiający wymownemi słowy jego zdolności artystyczne. Wielce zajmująca jest wiadomość o fabrykacyi pasów polskich i o znakach ich, z notat Alfreda Römera uzupełniona i przerobiona przez przewodniczącego komisyi. Dowiadujemy się o całym przebiegu fabrykacyi pasów w Polsce z tej wyczerpującej relacyi. Nietrwała ona dłużej nad stokilkadziesiąt lat, od początku bowiem wieku XVIII, a może nieco wcześniej, a ustała w pierwszej połowie XIX. Mażarski w Słucku, Paschalisowie w Kobyłce pod Warszawą, a nakoniec Masłowski w Krakowie najwięcej są w tej fabrykacyi zasłużonymi [1]). Autor artykułu wzmiankuje, jako najpierwszego używającego szerokich pasów, Sobieskiego. To pierwszy rodowód obyczajowy, drugi zanotować tu musimy ornamentacyjny. Rodzaj ornamentacyi przyszedł wraz z pasami z Persyi, szczególnie atoli przypadł rodzaj ornamentów wraz z upodobaniem do pasów, do ozdobności roślinnej, kwiatowej, naturalistycznej, używanej do pokrywania litych i jedwabnych stref, na jakie pasy były podzielone. Łatwiej tę zgodność upodobań zrozumiemy, gdy sobie przypomnimy, że ubiór Medów i Partów, pobratymców Persów, był bardzo podobny do ubioru Daków, pobratymców Chrobatów i Lechitów.

---

[1]) Zwyczaj noszenia pasów w Polsce jest odwieczny, spotykamy się z nim na wyobrażeniach z początku wieku XIII, a co więcej z obyczajem opierania prawej ręki na pasie, lub za pas zakładania, wszakże aż po koniec wieku XVI, a nawet w XVII, jeszcze pasy bywały wązkie, dopiero pod koniec XVII rozpoczyna się używanie szerokich. Przyp. W. G.

Digitized by Google

Z wycieczek, jakie prof. Władysław Łuszczkiewicz odbywa z uczniami szkoły Sztuk Pięknych, sprawozdania komisyi obfity zawsze otrzymują plon. Rok 1891 przyniósł opis kościołów w Przeworsku i bóżnic w Rzeszowie i Przeworsku, a oprócz tego z osobna p. W. Ł. opracował opis kościołka drewnianego w Dębnie, a szczególnie polichromii jego.

www.libool.com.cn

Z opisu ostrołukowego kościoła dziś farnego w Przeworsku, dawniej Bożogrobców, najbardziej interesująca jest i najwięcej miejsca zajmuje wzmianka o starożytnym obrazie z przed roku 1400, na którym są portrety Rafała Tarnowskiego, żony jego i trojga dzieci. Szkoda tylko, że p. Ł. nie wyjaśnia, jak pogodzić datę erekcyi kościoła tego, wyznaczoną u Nakielskiego na lata 1430—1471, nietylko z tym obrazem exwotowym z przed roku 1409, który mógł-by tu być przyniesiony z kościoła Ś. Katarzyny, ale, co trudniej wyjaśnić, z płytą grobową innego Rafała Tarnowskiego, zmarłego w r. 1412, która musiała być na grobie samym położona. Wielce oryginalnym jest opisany tu kościół Bernardynów w Przeworsku, a szczególnie szczyty, zdobiące ściany *presbiterium*, wznoszące się na trzech bokach wielokąta, zamykającego absydę. Jest to drugi dopiero przykład wzniesienia szczytowego na ścianie lub ścianach presbiterium; pierwszy opisał p. Dziekoński w swej monografii Będkowa. Notujemy powtórzenie się tej formy architektonicznej dla zwrócenia na nią uwagi badaczów. Pobieżnie wzmiankuje autor inne budowle w Przeworsku, zamek w Łańcucie i ogołocone z pamiątek Jasło, dodając słów parę o starym kościele, a krótką relacyę zdaje z notat, dotyczących Strzyżowa.

Jednem z najciekawszych opracowań jest wiadomość o polichromii kościoła drewnianego w Dębnie pod Nowym-Targiem, o dwie mile blizko od tego miasta, na prawym brzegu Dunajca położonem. Osada ta bardzo dawna, sięga XIII wieku; kościołek, wedle zdania p. Ł., stanął w wieku XVI, o jednej wieży nad kruchtą, jest on rodzoniuteńkim bratem nieistniejącego już Chochołowskiego na drugim końcu Nowotarskiej doliny, zbudowanego niewiadomo też kiedy. Z powodu tego bratniego podobieństwa, nie należało-by ich nazywać bezstylowemi, skoro mają swoje rodowe cechy. Malowanie odnosi p. Ł. naturalnie do tej samej epoki, z której pochodzić ma kościołek, lubo przyznaje, iż ornamentyka jest romańska, ubiory zaś postaci najwyraźniej pochodzą z wieku XIII i XIV. Malowanie jest klejowe, znacznie podniszczone; dołączone w zeszycie dwie tablice chromolitograficzne dają dokładne wyobrażenie o tym zajmującym zabytku.

W zeszycie, o którym mówimy, znalazły miejsce jeszcze opisy p. Łuszczkiewicza dwóch bóżnic żydowskich w Rzeszowie, murowanych, w stylu barokko, zewnątrz niepozornych, a wewnątrz stylowo

Digitized by Google

skonstruowanych i o skromnej ale stylowej ozdobności. Trzecia bożnica w Przeworsku ozdobniejsza od poprzedzających.

Ważnym przyczynkiem do kartografii miejscowej jest duży widok dawnego Rzeszowa, z lotu ptaka wzięty:

www.libtool.com.cn

Nakoniec sprawozdania z posiedzeń za rok 1892 pełne są szczegółów niezmiernie zajmujących. Mieszczą się tu wiadomości o pracach już dokonanych na niwie historyi sztuki i szeregi projektów na długą przyszłość. Najciekawsze z wiadomości są o księdzu Złotkowskim, malarzu z XV wieku, o Janie de Monte, Włochu, malarzu z XVI wieku. Pana Łozińskiego, przewodniczącego grona lwowskiego komisyi, o lwowskich malarzach XVII wieku, długie, w liczne dane zaopatrzone, Do najważniejszych projektów na prace zamierzone należy szereg propozycyi p. M. Sokołowskiego, dotyczący badań romańszczyzny, w które przewodniczący włącza wielkiej wagi drzwi bronzowe gnieznieńskie i płockie, skarbce kościelne, a nakoniec *desiderium* sięgnienia po materyał do tych badań na Szląsk i Pomorze. Z grona lwowskiego p. Wł. Łoziński zwraca uwagę na wyroby kobierców, złotogłowi i materyi bogatych, noszących w zbiorach i w ustach starożytników zagranicznych miano staropolskich, a zatem i na zbadanie historyi fabryk tych wyrobów. Do historyi obyczajowości starożytnej przyczynkami są w tem sprawozdaniu inwentarze: Zamku Brzeżańskiego, Sebastyana Taurbacha, stolarza królewskiego z r. 1552, Petroneli z Tarnowskich Firlejowej kosztowności z r. 1663. Do historyi architektury p. Zacharyewicz składa fotografie i rysunki pomników Ostrogskich w Tarnowie i Sieniawskich w Brzeżanach, a p. Wł. Łoziński spis budowniczych lwowskich od 1383 r. do 1642, z akt grodzkich wyciągnięty.

Niepodobna objąć w przeglądzie sprawozdań komisyi całego mnóstwa szczegółów, wynurzających się w ciągu dyskusyi na posiedzeniach w protokóły zamienionych, ani wszystkich projektów i propozycyi powtórzyć; odsyłamy ciekawych i zajmujących się temi rzeczami do tekstu sprawozdań, akcentując tylko wzmiankami powyższemi poważną doniosłość tych prac uczonych.

Dodać należy, że sprawozdanie objaśnione jest znaczną liczbą rycin w tekście, oprócz planu Rzeszowa i tablic do polichromii kościołka w Dębnie.

Wojciech Gerson.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Miesiąc ubiegły bogaty był w zgony gabinetów. Trzy zeszły ze świata: francuski, włoski i węgierski, z nich pierwszy bezpowrotnie, dwa pozostałe nie bez nadziei odżycia w zmienionej formie.

We Francyi zmiana ministeryum odbyła się przy oryginalnych warunkach. Rządził rzecząpospolitą od kilku miesięcy gabinet pod firmą Casimir-Perier, jednolicie dobrany, a w barwie politycznej umiarkowany. Ten gabinet przegłosowany został przez koalicyę grup radykalnych, do których, na ten jeden raz — nie pierwszy zresztą — przyłączyła się garść republikanów z centrum i monarchistów. Dlaczego radykaliści znaleźli taki sukurs, to się tłómaczy łatwo treścią przedmiotu spornego. Chodziło o to, czy robotnicy przy kolejach rządowych mają korzystać z prawa zawiązywania syndykatów, czy nie. Rząd, w interesie karności, sprzeciwił się temu, twierdząc, że robotnicy kolei rządowych nie są zwykłymi robotnikami, ale urzędnikami płatnymi z budżetu państwa. Centrum w większości swej było tegoż zdania; ale pewna liczba jego członków zlękła się jednak, że takie postawienie kwestyi wzięte im będzie za grzech przeciw republikańskiej równości. Ci więc z obawy, a monarchiści dla wywarcia wrażenia na umysłach robotników, głosowali ze skrajną lewicą. Gdy się to stało, gabinet Perier'a, znalazłszy się w mniejszości, podał się do dymisyi. Wówczas pisma radykalne zaczęły opowiadać, że „wyłoniła się“ w parlamencie „większość radykalna.“ Dorabiano zaraz legendy, jak to ta większość

Digitized by Google

była tam w zarodku oddawna, jak się coraz wyraźniej krystalizowała, jak nareszcie ukazała się. To wszystko słysząc, prezydent rzeczypospolitej przyszedł do wniosku, że trzeba teraz władzę powierzyć radykalnej lewicy, i zaczął powoływać do siebie wybitnych przywódców radykalnych: Bourgeois, Brissona, Peytrala. Żaden z nich jednak misyi utworzenia gabinetu podjąć się nie chciał. Dlaczego nie chcieli, skoro w parlamencie czekała tylko na gabinet radykalny świeżo „wyłoniona“ większość radykalna? Ba, oni tej większości nie mogli dostrzedz, bo w rzeczywistości nie było jej. Deklamowały o niej dzienniki, to im wolno. Co innego jednak, kiedy chodzi o wzięcie na barki obowiązków rządu. Tu już trzeba się ściśle liczyć z faktami i rozróżniać przesadne deklamacye od prawdy. Dzienniki, im który głośniej poprzednio krzyczał o większości radykalnej w parlamencie, tem bardziej się teraz gniewał na „niędołężnych“ przywódców. O wielkich gwiazdach radykalizmu prasa stronnictwa zaczęła się wyrażać z pogardą, jako o zdrajcach. Oczywiście prasa ta chciała, żeby powołani przez prezydenta rzeczypospolitej do objęcia władzy przywódcy tak samo siebie zwodzili, jak ona zwodziła publiczność, opowiadając jej o większości radykalnej w izbie. Żaden z nich jednak nie chciał się narażać na śmieszność tworzenia gabinetu dziś po to, żeby jutro utracić władzę.

Gdy w ten sposób prezydent spotkał ze strony radykalnych trzykrotną odmowę, i gdy się pokazało, po bliższem rozważeniu stosunków, że nawet sformowanie gabinetu koalicyjnego jest niepodobieństwem, a narzuca się w dalszym ciągu gabinet jednolity barwy umiarkowanej, p. Carnot powierzył misyę utworzenia ministeryum prezesowi izby, p. Dupuy. Ten sformował ministeryum tego samego kroju i kierunku, co poprzednie. Zmieniła się firma, wszystko inne pozostało. Dla radykalistów przesilenie minione było niby snem złotym z bajki o różnych pięknych rzeczach, jak władza, wpływy, zaszczyty; po takim śnie jakże przykre jest przebudzenie się. To też jak ten, co zły wstawszy z łóżka, od rana robi sceny swojej połowicy, tak samo radykaliści, od pierwszego zetknięcia się z gabinetem Dupuy, szukali z nim zwady. Izba dała im jeszcze jeden dowód, iż są w mniejszości, bo poparła ministeryum przeciwko oppozycyi radykalnej, która je chciała obalić. Każde inne stronnictwo po takich niepowodzeniach czuło-by się niezbyt szczęśliwem i budziło-by współczucie. Ale radykaliści francuscy pod tym względem właśnie stanowią wyjątek. Mają oni tę pierwotną naiwność, która pozwala nie liczyć się z faktami. Teraz, tak samo jak dawniej, niektórzy z nich jednakowo głoszą, że parlament posiada większość radykalną i że gabinet Dupuy powstał niekonstytucyjnie. Były nawet o tem interpelacye i rozprawy, i mowy takich wybitnych mężów na lewicy, jak pp. Goblet i Pelletan.

Digitized by Google

Dlaczego wziął dymisyę gabinet Crispiego, to nie jest dość jasne. Czytelnicy wiedzą z gazet i z poprzednich naszych przeglądów, że rząd włoski wniósł do parlamentu rozległe projekta reform finansowych oraz wniosek udzielenia królowi, pod odpowiedzialnością ministrów, pełnomocnictw wyjątkowych dla przeprowadzenia reformy administracyjnej. Izba mianowała komisye specyalne do badania tych wniosków rządowych, nieprzychylnie dla nich usposobione. Ale pomimo to, rząd odnosił zwycięstwo, ile razy stawał przed parlamentem i odwoływał się do niego. Do głosowania nad całością projektów rządowych nie przyszło jeszcze. Gdyby było przyszło i gdyby Crispi ujrzał się przegłosowanym, rozumiał-by każdy, skąd dymisya. Ale on ustąpił przed stanowczemi głosowaniami. Wyprowadzono stąd wniosek, że w dymisyi tej są jakieś motywa ukryte, że Crispi ma zamiar powrotu na czele gabinetu przekształconego. Być to może. Nie jest wyłączone, że podawał się do dymisyi, przewidując niebezpieczeństwo i mając nadzieję zażegnania go przez dokonane w okresie przesilenia kompromisa. W każdym razie, samo to już zachwianie się rządu, który wystąpił ze wspomnianemi wyżej wielkiemi projektami reform, dowodzi, że projekta owe w pierwotnej formie napotkały-by, zdaniem inicyatorów, trudności, niepodobne do przezwyciężenia w parlamencie, i wątpliwy nastrój w narodzie, gdyby parlament uległ rozwiązaniu. Z ustąpieniem wszakże Crispiego i z zachwianiem się jego projektów, następuje okres niepewności: kto teraz będzie rządził, jak będzie probował dać sobie radę z kłopotami finansowemi i administracyjnemi, nie wiadomo.

Inaczej zupełnie w Węgrzech. Tutaj większość liberalna parlamentu chce, aby rządził Weckerle, który się podał do dymisyi, i odmówiła stanowczo poparcia hrabiemu Kuehn-Hedervaremu, który otrzymał od cesarza misyę utworzenia gabinetu. To też niezawodnie Weckerle wróci do steru.

Dymisyę tę węgierską takie wywołały okoliczności: Izba deputowanych uchwaliła projekt o zaprowadzeniu ślubów cywilnych, izba magnatów nieznaczną większością odrzuciła go. Weckerle zażądał od cesarza następujących trzech rękojmi przeprowadzenia owego projektu: żeby cesarz mianował trzech liberalnych parów dożywotnich na trzy wakujące miejsca w izbie wyższej; żeby pozwolił ogłosić w swojem imieniu, iż uważa wprowadzenie ustawy o ślubach cywilnych za polityczną konieczność, i nareszcie, żeby mianował tylu parów dziedzicznych, ilu było-by potrzeba dla stworzenia w izbie wyższej niezawodnej większości za projektem rządowym.

Franciszek Józef na dwa pierwsze żądania przystał; trzeciemu odmówił. W odpowiedzi na to Weckerle podał się do dymisyi, którą cesarz natychmiast przyjął i powierzył utworzenie nowego ministe-

Digitized by Google

ryum hrabiemu Kuehn-Hedervaremu, banowi chorwackiemu. Stronnictwo liberalne wszakże, solidaryzując się z Weckerlem, odmówiło hrabiemu poparcia i ten musiał się zrzec misyi, a składając ją, wskazał na Weckerlego, jako na człowieka sytuacyi. Zdaje się też, że Weckerle powróci do rządów. Układa się kompromis. Weckerle zrzeknie się trzeciej rękojmi, a cesarz zrzeknie się oppozycyi przeciw Weckerlemu. Gabinet jeszcze się nie utworzył, lecz jest blizki sformowania się. Nie wszyscy poprzedni ministrowie powrócą, między innymi ustąpić ma minister sprawiedliwości. W każdym razie, przeprowadzenie ustawy o ślubach cywilnych jest odtąd niezawodnem i dokonać się musi w bardzo niedalekiej przyszłości.

Widownią ważnego przewrotu była Serbia. Król Aleksander odwołał konstytucyę, nadaną krajowi przez ustępującego Milana, i przywrócił konstytucyę poprzednią z roku 1869, która daje koronie daleko większe prorogatywy od Milanowskiej z roku 1888. Podług pierwszej, korona miała prawo mianowania pewnej liczby członków sejmu, a przez to łatwość formowania rządowej większości. Prócz tego, wybory podług konstytucyi z r. 1869, nie były bezpośrednie, lecz pośrednie, co także ułatwiało rządowi wpływ na nie. Natomiast konstytucya z r. 1888 oddała całkowitą władzę w ręce głosowania powszechnego bezpośredniego. Nie było-by to złe, gdyby nie okoliczność, że przy takim trybie wyborów panami sejmu i rządu stali się radykaliści, którzy nie umieli ani porządnie administrować krajem, ani porządnie prowadzić polityki. Przez błędy swoje, acz nie stracili większości, stracili zaufanie króla i tę powagę moralną, która nawet w braku siły często ją zastępuje.

Okazyę do zmiany dał powrót rodziców królewskich do Serbii. Król Aleksander życzył sobie tego powrotu i zarządził go naprzekór zakazującym uchwałom sejmu. Dekretem król zniósł zakaz pobytu w Serbii swoich rodziców, których rozwód już poprzednio został unieważniony. Ale rada stanu unieważniła dekret królewski. To wyczerpało do ostatka cierpliwość króla. Zawiesił konstytucyę, na jej miejsce przywrócił konstytucyę poprzednią; jednocześnie nastąpiły liczne aresztowania pod zarzutem spisku anty-dynastycznego. Można się było obawiać i przez czas jakiś obawiano się, że w Serbii istotnie nastąpi poważniejszy jakiś przewrót; dziś już obawy te rozwiały się. Obrenowicze wyszli cało z zatargu z sejmem radykalnym, dzięki wierności armii, na której się opierają. Cała zmiana ograniczyła się do zastąpienia jednej konstytucyi przez drugą, co nawet może wyjść na dobre społeczności serbskiej, niedojrzałej politycznie i nie umiejącej sobie dawać rady z samorządem.

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

W dniu 12 maja Anglia zawarła z państwem Konga układ, mocą którego odstąpiła Kongu znaczne terytorya nad górnym Nilem, sama zaś otrzymała, jako dzierżawę, dwudziestopięciometrowej szerokości pas ziemi między jeziorami Tanganika i Alberta. Układ ten wywołał protestacyę ze strony rządu francuskiego. Minister spraw zagranicznych rzeczypospolitej oświadczył z trybuny parlamentu, że umowa powyższa obraża prawa Francyi, oparte na traktatach (konwencya z r. 1884) i prawo międzynarodowe, z tych też powodów Francya uważa ją za niebyłą. Deklaracyę tę ministra prasa wielkich stolic bierze za zapowiedź poważnego zatargu kolonialnego.

Urosło u nas mniemanie, że odczyty publiczne, wkraczające w okres pełnej wiosny, nie mogą mieć powodzenia; każdy bowiem, zamiast skrępowania w sali dusznej, woli wałęsać się po ulicach i ogrodach, (jak gdyby ta jedna godzina miała wielką krzywdę ruchowi wyrządzić). Tegoroczne atoli prelekcye zadały kłam temu twierdzeniu i dowiodły, że dobry, zajmujący temat (a czasem i prelegent), w najpiękniejszym nawet dniu majowym ściągnie słuchaczy. Najwięcej chyba ich miał Maryan Gawalewicz, który zamknął cykl odczytów na rzecz osad rolnych pięknym wykładem, a raczej utworem kunsztownym, p. t. „Królowa Niebios." Autor osnuł go na krążących śród ludu legendach o Matce Boskiej i przeznaczył jako tekst do obrazów Stachiewicza. (Razem będzie to całość artystyczno-literacka w formie pięknego, ozdobnego wydania). Legendy owe same-przez się są bogate, pełne poezyi; ale zyskały one dużo na sile obrazowania i formie pod piórem Gawalewicza. Lud chętnie fantazyuje na temat pisma świętego; ale najchętniej oprowadza „Królowę Niebios" po swych zagonach i chatach. Na każdym kroku widzi swą Opiekunkę, zaprasza Ją na gody weselne, poleca Jej opiece narzeczonych, sieroty i wogóle ludzi nieszczęśliwych, pokrzywdzonych. To też nieraz w legendach i przypowieściach kryje się, oprócz poezyi, dużo prawdy życiowej, filozofii chłopskiej i uczucia. Co lud wysnuł z własnej wyobraźni, ze swojej duszy i serca, pełne jest szczerej prostoty. Matka Boska w sobotę „pieluszki prała dla swojego syna i sama one suszyła na słońcu." Stąd w każdą sobotę musi choć na chwilę błysnąć złoty promień słońca, troski ludzkie rozpędzić, wlać w duszę ukojenie i pogodę. Jesienią, przy ostatnich podmuchach ciepła, Królowa Niebios rozsiewa w powietrzu nitki pajęczyny: „płynie jako przędza i zamiast berła, złotą kądziel trzyma. Idzie prząść białe nici na płótno bieluchne, aby zmarłe dziateczki, co jeszcze nie mogą dostać się do nieba, gdyż bez chrztu umarły, miały ciepłe odzienie." Szczególną opieką Matka Boska sieroty otacza: „We śnie do nich przychodzi i smutne pociesza i o zmar-

Digitized by Google

łych rodzicach posyła im wieści, i troszczy się tak niemi, jak matka łaskawie, a nieraz schodzi nawet do nich i na jawie." Nietylko pogodna lecz i łzawa postać Matki Boskiej zbawienie przynosi. Gdy bowiem Bóg, ciężko rozgniewany na ludzi, zesłał im głód i suszę, Najświętsza Panna zapłakała cicho, a każda jej łza stała się ziarnkiem grochu, które kiełkowało w ziemi i zgłodniałych karmiło. Gdy podczas zimy ciężkiej zgłodniałe stada wilków czyhają na ludzi i ich dobytek, Matka Boska na Gromniczną „staje im na drodze z gromnicą w ręku, śród tumanów śniegu i wilcze stada zatrzymuje w biegu."

Tego rodzaju legend lud wysnuł wielkie mnóstwo; ale śród podanych przez Gawalewicza nie wszystkie są ludowe. Tam, gdzie przegląda tło Pisma Świętego, gdzie bujna fantazya ubarwiona blaskiem Wschodu, tam już trudno dopatrzyć nici, wysnutych pod strzechami ludu naszego. To są pół-apokryfy, bogate, wzorzyste, bujne, które i nasz kmieć chętnie przyswoił i własną jeszcze wyobraźnią okrasił, dał im podkład rodzimy. Takie legendy nietylko piękne obrazy mieszczą, lecz i perły myśli ludzkiej. Weźmy jeden urywek: „Ongi ta ziemia bowiem była czysta, biała jak prawda, jak kryształ przejrzysta; więc kędy tylko dłońmi skrwawionemi zagrzebał Kain ciało Abla w ziemi, wszędy trup widniał ze szklanego grobu, że skryć go całkiem nie było sposobu. Więc zaczął Kain kląć tę ziemię białą, że jego zbrodni utaić nie chciała... Wtedy od klątw tych ziemia poczerniała..."

Gawalewicz, zebrawszy garść tych legend, wlał w nie ducha swej twórczości i poezyi, oprawił w ramy ślicznej formy, słowem dał literaturze rzecz piękną.

Inny charakter nosi reszta odczytów w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa. Dzięki niektórym prelegentom, słuchacze, mało u nas mający do czynienia z naturą w życiu i nauce, poznali parę skrawków przyrody, pokazanych i wyjaśnionych przystępnie. P. Aleksander Palmirski wybrał rozległy i bogaty temat: życie, jako przedmiot nauki. Tajemnicza siła, rządząca zjawiskami natury żywej, umiejscowiona jest w żywej protoplaźmie, wraz z nią rozpływa się po powierzchni ziemi, chroniąc się od wygaśnięcia jedynie ustawiczną, niezmordowaną pracą istot żywych. Każde pokolenie przenosi życie na pewną odległość i zostawia następców, którzy tę samą pracę w dalszym ciągu prowadzą. Wszystko, co czyni ich zależnymi od tej pracy, stanowi właściwość materyi, z której się składają. Gdy, pomijając przyczyny, o których nauka nic powiedzieć nie może, zechcemy sobie zdać sprawę z ogółu zjawisk życiowych, możemy swoje wiadomości w następujący sposób wyrazić: W roślinach, przy udziale promieni słonecznych, wytwarzają się materye organiczne, t. j. pośrednie ogniwa, łączące nie-

Digitized by Google

przerwanym materyalnym związkiem naturę martwą i żywą. Materya organiczna zaspokaja wszystkie potrzeby natury żywej. Wydziela utajoną w sobie siłę promieni słonecznych, daje w ten sposób roślinom i zwierzętom zasób siły, przy której pomocy może pokonać przeszkody, przez naturę martwą stawiane. Tak się przedstawia w głównych zarysach treść pierwszej części wykładu. Druga objęła grupę zjawisk biologicznych, naszkicowanych obrazowo. Tu prelegent rozsnuł teoryę naukową o powstawaniu gatunków, ich walkę o byt. „Dla współczesnego zoologa gatunki są liśćmi na olbrzymiem drzewie życia zwierzęcego. Drzewo to swemi korzeniami sięga do pierwszych brzasków życia na powierzchni ziemi; pniem zaś, konarami, niezliczoną ilością gałęzi i gałązek, wypełnia całkowity okres jego istnienia, rozpościerając obecnie przed nami swoje najnowsze utwory—gatunki. Wykryć związek, zachodzący między gatunkami zwierząt, to cel działalności współczesnego zoologa."

Badacz atoli napotyka trudności. Liczne gatunki, bardzo ciekawe i pożyteczne, już wygasły, inne—skazane są na wygaśnięcie w niedalekiej przyszłości. Temu przedmiotowi, odłamowi wiedzy pod nazwą paleontologii, poświęcił swój wykład p. Władysław Umiński. Uczeni za pomocą odszukanych szczątków starali się odtworzyć zanikły świat zwierzęcy, no i poniekąd to się im udało. Ubolewać wszakże nad utratą szeregu istot jeszcze przed wiekami dziś już za późno. O wiele smutniejszym jest dla współczesnych obraz tępienia stworzeń, zamieszkujących lądy i głębiny oceanowe. Lista zwierząt zaginionych i ginących, ułożona przez zoologa amerykańskiego, Lucasa, jest przerażająco długa, a fakta rabunkowej gospodarki ludzkiej oburzenie i odrazę rodzą w człowieku szlachetnym. Tu już nie żyłka sportowa lub potrzeba obrony działa; tutaj silnym bodźcem jest czynnik ekonomiczny, który wytworzył armie rzemieślników-myśliwych, raczej rzeźników. W pogoni za wielorybami dziś już oni zapuszczają się w sfery podbiegunowe, z narażeniem życia własnego; jedna bowiem sztuka, przynosząca parę tysięcy rubli, to gratka nielada, warta usiłowań ryzykownych. Do jak wielkiego zaślepienia chciwość ludzka doszła, świadczy historya wyniszczenia bawołu amerykańskiego. W przeszłem stuleciu zamieszkiwał on jeszcze $^1/_3$ powierzchni Stanów Zjednoczonych od gór Alegańskich do Skalistych i od zatoki Meksykańskiej do wielkiego jeziora Niewolniczego. W r. 1871, t. j. 23 lata temu, widziano w Arkansas stado bizonów, zajmujące 25 mil angielskich szerokości i 50 długości. Na takiej przestrzeni musiało się zmieścić do pięciu milionów sztuk. Charakterystyczny jest również z tych samych czasów fakt zatrzymania pociągu na godzin kilkanaście przez olbrzymie stado

Digitized by Google

owych bawołów, ciągnące się na 120 mil angielskich. Zorganizowane przez przemysłowców bandy myśliwych zajmowały się zapamiętałem masowem tępieniem tego zwierzęcia i oto dziś z owych milionów zostało zaledwie kilka tysięcy niedobitków, rozproszonych w drobnych stadach śród puszcz amerykańskich. Ślepota ludzka nie znała granic, nie obliczała skutków, tak dalece, że jeszcze w ostatnich czasach zorganizowano kilka kosztownych wypraw myśliwskich, które, naraziwszy przedsiębiorców na straty, dowiodły, że polowanie na bawoły przestało być *businesem*.

Tak więc na podstawach wielkich bogactw świata zwierzęcego rozwinął się i opasał świat cały licznemi ramionami przemysł i handel. Pod działaniem tych dwu nerwów materyalnego życia ludzkiego znikły z powierzchni naszego globu miliony stworzeń różnorodnych. Dla fiszbinu i tłuszczu wytępiono wieloryby, dla przyozdobienia kapeluszy damskich znikają liczne gatunki krasnopiórych ptaków; dla kołnierzy futrzanych i czapek padły bobry, tak, iż należą już do rzadkości. Taki los spotka jeszcze inne stworzenia i wówczas kto wie, czy się nie sprawdzą przewidywania p. Umińskiego, że po śmierci wielkich gatunków zostanie naruszona dotychczasowa równowaga w świecie zwierzęcym, skutkiem czego rozmnożą się niesłychanie drobne, szkodliwe stworzenia, z któremi walka będzie niezmiernie trudną.

Już dziś szkodniki ze świata zoologicznego sprowadzają klęski dość znaczne w rolnictwie i zmuszają ludzi do wyszukiwania środków obrony. Europę kilkakrotnie masowo nawiedziły myszy polne i przyniosły milionowe szkody; chrabąszcze zaś we Francyi corocznie wyrządzają straty na sto milionów franków. To też konieczność obrony powołała tam naukę na pomoc; najskuteczniejszą zaś okazała się najnowsza dziedzina wiedzy — bakteryologia. Gdy króliki zanadto Australijczykom dokuczyły, Pasteur dał skuteczną radę: tępienie tego zwierzątka za pomocą szczepienia zarazka cholery kaczej. Usłuchano tej rady z pomyślnym rezultatem. Wślad za tem wykryto zarazek, stanowiący przyczynę gnilca u pszczół, dalej poznano zarazek jedwabników, następnie Francuz Giard obwieścił światu, iż wynalazł grzybek zabójczy dla pędraka chrabąszcza. Wreszcie prof. Loeffler z Greiswaldu odkrył zarazek tyfusu mysiego. Wszystkie te zdobycze nauki już zastosowano w praktyce, i o ile tu się nie wkradła spekulacya przedsiębiorców, kupczących owemi środkami trującemi, rezultaty były pomyślne. We Francyi powstały liczne syndykaty do tępienia chrabąszcza, tudzież laboratorya dla hodowli zarazków. U nas czyniono próby luźne, o charakterze więcej teoretycznym. Praktyka wszakże potrzebuje środków

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

ratunku, bo chociaż ani chrabąszcze, ani myszy, nie wyrządzają tutaj tak olbrzymich klęk, jak to zapisały na Zachodzie Europy kroniki z ostatnich paru dziesiątków lat, — jednakże działanie różnorodnych szkodników odczuwa każdy niemal nasz rolnik, a gdybyśmy mieli dokładną organizacyę statystyczną w tej mierze, gdybyśmy się interesowali nietylko tem, co się dzieje u sąsiadów najbliższych, lecz zechcieli szerzej sięgać, przekonalibyśmy się, że straty, wynikające z powyższego źródła, nieraz mogą stanąć na równi z klęskami, wyrządzanemi przez susze lub grady.

Pomimo to wszakże, nic u nas dotychczas w tym przedmiocie nie robiono i dopiero przed kilku tygodniami światły ziemianin, p. Chełchowski, w sekcyi rolnej wystąpił z pouczającym wykładem, streszczającym wszystko, co dotąd na zachodzie uczyniła nauka w tym względzie i, zaznaczywszy doniosłość sprawy, zaproponował stworzenie delegacyi, która zajęła-by się racyonalnie zorganizowaną walką ze szkodnikami u nas. Głosu tego usłuchano i dziś już delegacya istnieje. Jednocześnie zaś prawie z tym samym programem stworzono inną delegacyę w Towarzystwie ogrodniczem i oba te kółka, dla skuteczniejszych i silniejszych działań, postanowiły zlać się w jedno i tym sposobem stworzyć stałą instytucyę ratunkową. Podczas atoli, gdy delegacya rolna położyła nacisk na potrzebę niszczenia szkodników zwierzęcych, ogrodnicza postanowiła przedewszystkiem objąć także w swych czynnościach przeciwdziałanie *ludziom*.

Kto wie nawet, czy szkody, wyrządzane przez tych ostatnich, nie są dotkliwsze, niż gospodarka chrabąszczy, myszy i t. p. stworzeń. Zdarzało się nam widzieć nieraz śród łanów żyta lub pszenicy ścieżki wydeptane dla skrócenia drogi, albo też zbite przez woły krańce posiewów. Łamanie i obrywanie gałęzi drzew owocowych, to są fakta powszednie, na które właściciele sadów ciągle się uskarżają i nie widzą środków zaradzenia temu. Wreszcie znany jest powszechnie fakt ścinania lub złamywania drzewek, posadzonych przy drogach, tak, iż wyhodowanie szpalerów zielonych przy liniach komunikacyjnych, ciągnących się przez pola, jest u nas rzeczą niezmiernie trudną. Ale oto jeszcze bardziej znamienny szczegół: Gminy w okolicach Warszawy zwołują narady nad stworzeniem środków, zapobiegających najazdowi gości warszawskich, ludzi prawdopodobnie ze sfer t. zw. „towarzyskich", którzy, udając się na „majówki", brną przez pola zasiane i niemiłosiernie tratują zboże. Ponieważ „dobre słowo", skierowywane do rozsądku, nie pomaga, więc krzywdzeni przez majówkowiczów postanowili urządzić wspólnie straż polną i pociągać szkodników do odpo-

Digitized by Google

wiedzialności sądowej. Jeżeli do ludzi ukształconych przemawiać trzeba środkami prawno-administracyjnemi, to czyż się można dziwić ciemnocie chłopa, który tylko swoje szanuje, nie oszczędza zaś ani sąsiada, ani dobra publicznego? Może on z najczystszem sumieniem paść konia w owsie sąsiada, dopóki nie zostanie złapany na gorącym uczynku; nie zawaha się nawet urwać całej gałęzi dla jednego jabłka lub gruszki. Ale czy na te grube jego instynkta niema innych środków po-za sądem, grzywną i kozą? Dlaczego za granicą bujne łany zboża falują spokojnie i nawet jednego kłosa tam nie złamie człowiek obcy? Dlaczego właściciele wielu sadów nie odgradzają się nietylko parkanem, ale nawet płotem zwyczajnym? Dlaczego drogi dają cień strudzonym podróżnym, a nigdzie nie znajdziesz śladu ręki szkodnika na drzewie przydrożnem? — Bo tam od dzieciństwa dusza każdego obywatela kraju przesiąka poczuciem i poszanowaniem dobra publicznego, bo tam kultura uszlachetnia nietylko pola i ich płody, ale i tych, którzy około nich chodzą. Czyżby więc i u nas nie dało się działać takiemi środkami na umysły gminu? Sprobować warto. Jeżeli grono przeciwdziałające szkodnikom ma się wzorować na odpowiednych przepisach, istniejących za granicą, niechże i o środkach moralnych nie zapomina. Zapewne, łatwiej kogoś wsadzić do kozy lub ściągnąć karę pieniężną, niż wpoić weń zasady poszanowania tego, co do niego bezpośrednio nie należy; ale probować trzeba i tych sposobów, które dopiero po długich latach dają widoczne rezultaty.

Co do mieszczuchów, na pielęgnowanie ich brutalnych popędów działają zapewne inne czynniki. Jeżeli przeciętny mieszkaniec miasta nie może odróżnić żyta od trawy, jeżeli nie wie, że owoce kartofli i buraków rosną pod powierzchnią ziemi, jeżeli nie może znaleźć różnicy między klonem, brzozą a dębem, jeżeli wreszcie koniczynę kwitnącą lub grykę bierze za dzikie kwiatki polne, to, zważywszy jego ciemnotę w tym względzie, trzeba być wyrozumiałym poniekąd i, obok doraźnych środków prawnych, starać się oświecić go. Kto wie, czy urządzenie innego charakteru odczytów popularnych dla mieszczuchów, wyjeżdżających na majówki i letnie mieszkania, nie było-by jednym ze środków skutecznych w tym względzie. Wykłady przystępne z obrazami niknącemi, o życie, pszenicy, jęczmieniu, o sposobach przetwarzania tego ziarna na produkta mączne i t. d., możeby w duszy słuchaczów zasiały ziarno poszanowania tych produktów. Dziwaczny pomysł posuńmy dalej. Niech interesowani rolnicy, zamiast pociągać szkodników miejskich do odpowiedzialności, zagarną ich, oprowadzą po polach i nauczą poznawać płody ziemi i ich cele, a za to wdzięczni uczniowie niech złożą odpowiedne kwoty na utrzymanie straży polnej. Stare

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

przysłowie mówi, że w każdym żarcie mieści się połowa prawdy. Niech więc czytelnik powyższe nasze rady weźmie za żart i wysnuje z nich nieco prawdy. Przeciętny mieszczuch, zaprawiony na humorystyce kalendarzowej, z pewnem lekceważeniem traktuje „hreczkosieja" na bruku miejskim, czuje się od niego wyższym przynajmniej o kilkanaście szczebli i, dumny, z tem przekonaniem, że „ogarnia szersze horyzonty", ironicznie i płytko traktuje wszystko, co wiejskie; wreszcie powtarza stary komunał, że promienie jego środowiska rozpraszają mroki zaścianka. Gdyby ten biedny i zarozumiały mieszczuch bliżej się zetknął z tą wsią, jej bogactwem przyrody i ludźmi, możeby do jego głowy więcej zajrzało promieni, niż z ognisk uciechy miejskiej; możeby jego „szeroki horyzont" bardziej się podniósł i rozszerzył.

Warszawa zyskuje nową instytucyę, mającą ściślejszą łączność ze wsią: Towarzystwo pszczelnicze, które powstaje na gruncie smutnej pamięci nieszczęśliwego Muzeum, znanego z kołatania się w niepowodzeniach i rozterkach przez lat kilka. Ustawa nowej organizacyi, opracowana przez adwokata przysięgłego, Emila Weidla, została już zatwierdzona przez władzę, jej zaś osnowa obejmuje dość szeroki program działań. Przedewszystkiem Towarzystwo ma na celu dopomaganie rozwojowi pszczelnictwa i ogrodnictwa, szerzenie pożytecznych wiadomości w tym zakresie i budzenie śród ogółu zamiłowania do pasiek. Do osiągnięcia celu powyższego posłużyć może szereg środków następujących: pokazywanie udoskonalonych systemów rozmnażania pszczół i budowania uli; urządzanie wzorowych pasiek doświadczalnych i takich samych ogrodów na gruntach własnych i zadzierżawionych. Przysposabianie pasieczników i ogrodników uzdolnionych; wyznaczanie nagród za dzieła konkursowe, tudzież za wzorowe pasieki i ogrody; urządzanie odczytów publicznych i konferencyi z dziedziny pszczelnictwa i ogrodnictwa; utworzenie biblioteki dla członków Towarzystwa; badanie stanu pszczelnictwa i ogrodnictwa w kraju; utrzymywanie stosunków z miłośnikami pszczelnictwa oraz instytucyami pokrewnemi; urządzenie muzeum, składu i fabryki uli; dostarczanie osobom prywatnym pszczół, uli, nasion, miodu, wosku, sadzonek i t. d. Wreszcie urządzanie wystaw pszczelarskich i ogrodniczych, ze specyalnem uwzględnieniem roślin miododajnych. Członkami założycielami są pp.: Kazimierz Chrapowicki, Emil Weidel i Paulin Dąbrowski. Członkowie rzeczywiści muszą wnosić 5 rs. wpisowego i 10 rs. składki rocznej.

Instytucya więc już istnieje; dla jej ożywienia i pobudzenia do ruchu potrzeba tylko możliwie największej liczby członków. Co do za-

Digitized by Google

kresu działań dość rozważyć powyższe punkta, ażeby przyjść do przekonania, że program jest pięknie i rozumnie obmyślany, że wyzyskano w nim i przewidziano wszelkie możliwe środki, jakiemi dało-by się podnieść i rozwinąć ten ważny odłam gospodarki, zaniedbanej i lekceważonej u nas. Czynność instytucyi musi się rozgałęzić w całym kraju, zajrzeć wszędzie, zobaczyć, co i gdzie zrobiono i co dało-by się zrobić. Wszelka praca luźna w tej mierze, to tylko traktowanie rzeczy dla dla przyjemności i użytku domowego. Tak też i jest u nas przeważnie traktowane dotychczas pszczelnictwo. Nie posiadamy ani literatury odpowiedniej, ani organu specyalnego, który-by informował interesowanych o tem, co się dzieje za granicą, jakie tam postępy uczyniono i jakiemi środkami wzmacniane są podstawy gospodarki. Dodajmy jeszcze, że nasza instytucya wprowadza do swego programu ważny szczegół: zbieranie wiadomości o pszczelarzach i ogrodnikach, potrzebujących miejsca, lub o posadach dla nich wakujących. Będzie zatem i biuro pośredniczące, wywiadowcze, warunek niezmiernie ważny dla rozwoju pszczelnictwa i ogrodnictwa. Premia za wzorowe ogrody i pasieki, to także silny bodziec, a konkursa na dzieła fachowe, to środek dla rozwoju literatury specyalnej, na której musi się opierać rozwój gospodarki postępowej.

Jeżeli zastanowimy się, jak dalece są przyjazne warunki dla pszczelnictwa w naszym kraju, jakie są bogactwa przyrodzone (rośliny miododajne) i że wreszcie trud człowieka w znacznym stopniu zastępują tutaj armie pracownic drobnych skrzydlatych, to przyjdziemy do tego przeświadczenia, że pszczelnictwo, racyonalnie pokierowane, musi mieć powodzenie; a gdy się ono rozwinie, to i zastępy przysposobionych fachowców znajdą korzystną i produkcyjną pracę. Życzyć należy, iżby Towarzystwo rozwinęło swą akcyę szeroko w kraju, żeby werbowało członków z różnych zakątków prowincyi, gdyż w ten tylko sposób można wzmocnić podstawy instytucyi dla jej owocnego działania.

W ubiegłym miesiącu zeszedł do grobu artysta-malarz, Stanisław Wolski, w kwiecie wieku: liczył 35 lat. Uległ on temu samemu losowi, co Pillati. Rozstrój umysłowy przerwał jego pracę twórczą i skazał na wegetacyę przez dwa ostatnie lata. Wolski urodził się w Warszawie 8 kwietnia 1859 r. Pierwsze nauki pobierał na pensyi prywatnej. Ale zadrgała w nim zbyt wcześnie struna artystyczna, więc wstąpił do miejscowej szkoły rysunkowej, następnie dalsze studya odbywał w Krakowie pod kierunkiem mistrza Matejki, w szkole sztuk pięknych. Tam już stworzył sporo obrazków rodzajowych, które odrazu zwróciły uwagę miłośników piękna i zapewniły powodzenie młodocianemu arty-

www.zlibtool.com.cn

Digitized by Google

ście. Po kilkoletnim pobycie w Krakowie, udał się kosztem dra Jordana do Akademii w Monachium. Tam talent jego więcej dojrzał i wzmocnił się. Ale nieprzerwana twórczość gorączkowa, przyczem natura wrażliwa i niezmiernie nerwowa, prędko wyczerpały zasób duchowy Wolskiego. I w chwili, gdy znawcy oczekiwali od niego niepospolitych płodów, a ogół intelligentny bardzo serdecznie przyjmował jego prace, rozstrój duchowy wydarł go naszemu społeczeństwu. *Z. P.*

www.libraol.com.ua

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Wiadomości bibliograficzne.

— „Podręcznik praktyczny ikonografii chrześciańskiej" skreślił ks. Ant. Brykczyński, czł. kom. archeol. i kom. sztuki Akad. Umiejętności w Krakowie. Z czterema tablicami. Warszawa. 1894.

Ks. Antoni Brykczyński, proboszcz w Goworowie, znanym jest już z kilku dzieł archeologiczno-liturgicznych, jako to „Dom Boży", t. j. praktyczne wskazówki budowania, naprawiania i utrzymywania kościołów i t. d. „Ołtarz chrześciański," „O naczyniach i sprzętach eucharystycznych," skreślonych po części jako tłómaczenie, albo też na wzór dzieł francuskich ks. Barbier de Montault i ks. Corbleta. We Francyi, w Belgii, nie mówiąc już o Włoszech, nauka ikonografii chrześciańskiej stoi, jak wiadomo, bardzo wysoko; u nas od dłuższego czasu inicyatywę w tym względzie powzięła krakowska Akademia Umiejętności, dlatego też znajomość archeologii i sztuki kościelnej stoi tam dzisiaj na poziomie wiedzy Zachodu. Ale rozpowszechnienie odnośnych wiadomości w szerszych kołach, w odległych zakątkach, spopularyzowanie ich odbywa się zapomocą publikacyi i z nich jedną właśnie chcemy tutaj streścić. Wprawdzie dziełko ks. Brykczyńskiego jest, jak sam powiada, tylko skromnym podręcznikiem a nie całkowitą i wyczerpującą ikonografią chrześciańską, ale też autor miał przedewszystkiem na celu i myśli praktyczną stronę przedmiotu. Przez Ikonografię rozumiemy opisanie obrazów (zarówno obraz olejny, jak rzeźba lub rysunek). Ikonografia jest nauką, mającą swoje zasady

Digitized by Google

i prawa, od których artysta, dla dogodzenia swojej wyobraźni, nie może odstępować, ale musi ściśle się ich trzymać, a zatem koniecznie znać je powinien, albowiem zadaniem ikonografii jest nietylko poznanie tego, co było i jest na tem polu zdziałanem, ale zarazem podanie przepisów, wskazujących, co i jak ma być nadal w tym przedmiocie tworzone. Ikonografia jest więc jakby językiem plastycznym i graficznym wiernych, „ideą religijną, obleczoną w formę pod tchnieniem sztuki."

Zarówno sam przedmiot, jaki ma traktować sztuka chrześciańska, jak i sposób wyrażania go, nie może być dowolnym, lecz jest oznaczonym przez tradycyę, gdyż ikonografia, jak wspomnieliśmy wyżej, jest nauką, kierującą wyobraźnią artysty. Obowiązek zaś zastasowania się do pewnych reguł jest dla tego tak ścisły, że przedmiotem sztuki chrześciańskiej bywają niekiedy dogmata religijne, a więc najdrobniejsza omyłka może prowadzić do błędów przeciwnych mierze. Nieraz też spotyka się dzieła z zakresu religijnego, z krzyczącemi błędami, wprost sprzecznemi z podstawowemi zasadami ikonografii. Temu brakowi zaradzić ma właśnie książka naszego autora w sposób treściwy, praktyczny i łatwo zrozumiały. Mieliśmy dotychczas w obrębie sztuki i archeologii kościelnej dzieło ks. J. Bielczewskiego „Archeologia chrześciańska wobec historyi kościoła i dogmatu", dotykające pośrednio także ikonografii, mamy rozprawy p. Maryana Sokołowskiego i prof. Łuszczkiewicza, dotyczące tego samego zakresu archeologiczno-kościelnego; ale specyalny podręcznik ikonografii kościelnej dał nam dopiero ks. Brykczyński. Oprócz ogólnych zasad, dotyczących ikonografii Chrystusa, Trójcy, N. M. Panny, umieścił on również spis alfabetyczny Świętych z ich oznakami, symboliką roślin, od początku ikonografii, t. j. od katakumb rzymskich, przez średnie wieki, z przerwą tej tradycyi w epoce Odrodzenia, aż do naszego wieku, który powraca w dziedzinie sztuki do starej tradycyi chrześciańskiej.

A. D.

— *Dr Stanisław Budikowski* o wyborze miejscowości klimatycznych, a w szczególności o Gleichenbergu (8-ka, str. 86). Lwów, 1893. „Balneologia i klimatologia—powiada autor—należą do nauk rozległych, a pomimo, iż w terapii chorób chronicznych pierwszorzędne miejsce zajmują, wydziały uniwersyteckie za mało temu przedmiotowi czasu poświęcają." Książkowe traktowanie zaledwie małą część potrzeb zaspokoić może, gdyż chodzi o poznanie ogromnej masy szczegółów, nietylko naukowych, lecz i w zakres praktyczny wchodzących. Tu już największa książka balneologiczna i klimatologiczna potrzebnego materyału nie zmieści. Ale i studyowanie praktyczne, za pomocą

Digitized by Google

zwiedzania zdrojowisk, nie dla każdego lekarza jest przystępne. Autor, chcąc chociaż w części odpowiedzieć potrzebom specyalistów i klientów, opracował szczegółowo informacyę, dotyczącą jednego tylko zdrojowiska. Dr B. jest przeciwnikiem kuracyi domowej. „Za regułę uważać zawsze będziemy, że każdy chory bez wyjątku w domu własnym przeprowadzać będzie kuracyę mniej ściśle, mniej konsekwentnie i wytrwale, z mniejszym bez porównania skutkiem, aniżeli po-za domem. W miejscowości leczniczej zwykłe i codzienne jego kłopoty i troski zejść muszą na drugie miejsce, a sama tylko sprawa zdrowia staje jako cel wyłączny. W Gleichenbergu szukają poratowania zdrowia prawie jedynie chorzy na płuca; tego więc rodzaju chorych autor ma na względzie. Oto jest w głównych zarysach charakterystyka tej miejscowości leczniczej: Łagodne, ciepłe, wilgotne i jednostajne powietrze leśne, podgórskie, wpływa ochraniająco na konstytucyę chorogo. Jest to miejscowość, w której pobyt pod gołem niebem może się ciągnąć nieskończenie długo. Wreszcie w osobnym rozdziale autor szczegółowo zbija krążące w ostatnich czasach mniemanie o rzekomem zakażeniu Gleichenbergu lasecznikami gruźliczemi.

— *Prof. dr August Weissmann.* Myśli o muzyce u zwierząt i człowieka. Petersburg. 1894, (8-ka; wstępu str. 69, tekstu 71). Wykład poprzedza dość obszerne studyum (zamiast przedmowy) Adama Mahrburga p. t. „Muzyka w świetle poglądów Weissmanna." Słynny biolog niemiecki wywarł znaczny wpływ na naukę społeczną. W dziedzinie teoryi rozwoju odznacza się nadzwyczajną śmiałością i oryginalnością pomysłów. Na szczególnym przykładzie uzdolnień muzycznych Weismann stara się wyjaśnić ważne rozgraniczenie pomiędzy dziedziną rozwoju i doskonalenia się. Tam, gdzie wchodzą w grę fizyka, biologia, psychologia, estetyka i historya kultury, trudno w niewielkim szkicu rozwinąć dokładnie wszystkie zagadnienia; każde z osobna, jak np. rozwój głosu ze wszystkiemi właściwościami jego, rozwój słuchu, wzruszeń estetycznych w zakresie muzyki, wreszcie rozwój muzyki samej, twórczości muzycznej,—każde z tych zagadnień może stanowić przedmiot specyalnych rozpraw. Mając atoli na względzie odrębne zadanie biologiczne, Weissman porusza te wszystkie zagadnienia z lotu ptaka. Co do roli doboru płciowego w sprawie powstania i rozwoju organu śpiewaczego, a w dalszym ciągu i zmysłu muzykalnego, autor godzi się stanowczo z tem, że „śpiew" u owadów i ptaków powstał i rozwinął się pod wpływem doboru płciowego. Natomiast przeczy, iżby ten sam czynnik grał jakąkolwiek rolę w sprawie śpiewu i wogóle rozwoju zdolności muzykalnych u człowieka. Autor utrzymuje, iż słuch u zwierząt i człowieka rozwinął się pod wpływem doboru naturalnego. Skoro się

Digitized by Google

zaś rozwinął, to, zdaniem Weissmanna, zmysł muzykalny w istocie swojej znalazł się już sam przez się, jako czynność przypadkowa. Mahrburg w swoim rozbiorze czyni liczne zarzuty Weissmannowi, tudzież rozwija i uzupełnia wiele zjawisk, traktowanych pobieżnie przez profesora niemieckiego.

www.libtool.com.cn

— *Dr Cz. Miller*. Mamka. Porady i informacye. Z niemieckiego przełożył dr med., Ludwik Wolberg, lekarz chorób dzieci. Warszawa, 1894, 8 ka, str. 104. Celem tej książki jest dać rodzicom pewne wskazówki i rady co do wyboru, pielęgnowania i obchodzenia się z mamką, szczególnie zaś wskazać im warunki najpomyślniejszego rozwoju ich dziecka przy piersi mamki, z uwzględnieniem racyonalnej hygieny i lecznictwa dziecięcego. Autor nie pominął także ciemnych stron kwestyi mamek. Tłómacz, na podstawie własnego szesnastoletniego doświadczenia, rzecz tę uzupełnił samodzielnemi uwagami.

— Tom VIII wydawnictwa „Wisła" (za styczeń, luty i marzec 1894), zawiera między innemi artykuły: *Jana Łosia* „O literaturze ludowej"; *Maurycego Hoernesa* (w przekładzie E. Majewskiego) „Systematyka archeologii przedhistorycznej"; *Bogumiła Hoffa* „Kolęda w Wiśle, wiosce przy źródłach Wisły"; *Iwana Franki* „Przyczynki do podań o Mahomecie u Słowian"; *Karola Matyasa* „Śmierć w wyobraźni i ustach gminu"; *ks. Antoniego Juszkiewicza* „Wesele litewskie z okolic Wielony" (w przekładzie z litewskiego J. Karłowicza); *Z. A. K.* „O młynarczance i o zbóju"; *G. Z. Zielińskiego* „Kilka zabobonów owczarskich."

— W zeszycie II rocznika VIII lwowskiego „Kwartalnika historycznego" znajdujemy prace *Piotra Bieńkowskiego* „Z dziejów cywilizacyi starożytnej", *ks. Juliana Bukowskiego* „Przyczynek do dziejów rokoszu Zebrzydowskiego" i Miscellanea z artykułami A. Kraushara i St. Starzyńskiego.

— Zeszyty: kwietniowy i majowy lwowskiego „Przewodnika naukowego i literackiego" mieszczą artykuły *L. Germana* „Henryk Ibsen"; *d-ra Leopolda Caro* „Pomoc dla rolników w Austryi"; „Listy Andrzeja Edwarda Koźmiana"; *Wiktora Halma* „Geneza Lilli Wenedy"; *ks. d-ra Jana Fijalka* „Ustalenie chronologii biskupów włocławskich"; *d-ra Franciszka Majchrowicza* „Seminarium praeceptorium w Halli nad Saalą"; *d-ra Aeksandra Raciborskiego* „Filozofia jako nauka akademicka."

Digitized by Google

— Wyszedł z druku zeszyt 148 „Słownika Geograficznego", zawierający, między innemi, większe opracowania: *Wesoła*, *Weta*, *Węgobork*, *Węgrów*, *Węgrzec*, *Wiar*, *Wiazyń*, *Widawa*, *Widzów*, *Wieczfnia*, *Wiejsieje*, *Wieldowo*, *Wisle*, *Wieleń*, *Wielgie*, *Wieliczka*.

— Wiadomości statystyczne, dotyczące dóbr stowarzyszonych, zebrane z akt Towarzystwa kredytowego ziemskiego (w dniu 1 stycznia 1893 r.) i wydane staraniem delegacyi statystycznej. I. Gubernia Warszawska. Warszawa. 1894. (4-ka, str. 39).

— Wydawnictwa księgarni J. M. Bazewicza. Prace ludowe Józefa Grajnerta. Powiastki i opowiadania. Pod pręgierzem, opowiadanie z dawnego życia ludu warszawskiego. Niewinność, czy zbrodnia? (powiastka). O zbójniku Doboszu i szlachetnym słudze. Warszawa, 1894. (8-ka, str. 52).

— W Petersburgu wyszła księga zbiorowa pod nazwą „Charitas", wydana na rzecz R. K. Towarzystwo Dobroczynności przy miejscowym kościele Ś-ej Katarzyny.

— *Leon Polaczek.* „Spis rodzin szlachty polskiej." Zeszyt II,— zawiera nazwiska od ks. Bohatyrewicza do Chożowskiego.

— „Encyklopedyi Rolniczej" zeszyt XXXIII wyszedł z druku i mieści w sobie artykuły: *Handel spirytusem i Handel zbożem.*

Książki, nadesłane do Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej."

— *Oskar Leroi.* „Do wybrzeży Azyi Wschodniej." Wrażenia turysty—przełożył S. Stetkiewicz.

— *M. Flaum.* „Alkohol i alkoholizm" (odbitka z „Biblioteki Warszawskiej") Warszawa. 1894. Nakład T. Paprockiego.

— *A. Śniegocki.* „Hodowla nasion i roślin przemysłowych." Warszawa 1894.

Digitized by Google

— „Pisma Jordana“ (Juliana Wieniawskiego). Tom I zawiera: „Wędrówki delegatata.“ Tom II „Przygody panów Marka i Agapita podczas wystawy rolniczej w Warszawie.“—Kraków. Nakład Gebethnera i Spółki. 1894.

— *Julian Łętowski.* „Rogata dusza“, powieść. Warszawa. 1894. Nakład S. Lewentala.

— *Henryk Gliński.* „Zrzędzenia.“ Petersburg. 1894.

Sprostowanie.

W majowym zeszycie, w dziale „Wiadomości bibliograficzne", na str. 410 i 411 zakradły się następujące omyłki:

Str. 410, w. 13 od góry; zam. „odpowiada on *literze uz*", powinno być: „odpowiada on *litewskiemu uż.*"

Str. 410, w. 17 od góry: zam. „jak lit. *uź*", powinno być: „jak lit. *uż.*"

Str. 411, w. 1 od góry: zam. „*głównych*", powinno być: „*słownych.*"

Str. 411, w. 2 od góry: zam. "ἀνὰ", powinno być „ἀνά".

Str. 411, w. 6 od góry: zam. „b) w złożeniach *głównych*", powinno być: „b) w złożeniach *słownych.*"

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weyssenhoff.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

SANCTISSIMI DOMINI NOSTRI

www.libtool.com.cn

LEONIS

DIVINA PROVIDENTIA

PAPAE XIII

EPISTOLA ENCYCLICA

Ad

EPISCOPOS POLONOS.

ENCYKLIKA

ŚWIĘTEGO OJCA NASZEGO

LEONA XIII

Z BOSKIEJ OPATRZNOŚCI

PAPIEŻA

Do

BISKUPÓW POLSKICH.

Digitized by Google

Venerabilibus Fratribus, Archiepiscopis et Episcopis Poloniae

LEO PP. XIII.

Venerabiles Fratres

Salutem et apostolicam Benedictionem.

Caritatis providentiaeque Nostrae peculiare testimonium quod aliis catholicis gentibus per intervalla exhibuimus, ut, datis ad earum Episcopos singularibus litteris, documenta Apostolicae exhortationis impertiremus, id similiter vobis ex opportunitate praestare posse, iamdiu Nos ingens desiderium tenebat. Equidem populum istum, genere, sermone, religioso ritu varium, uno Nos omnem, quod alias ediximus, eodemque studio complectimur et fovemus; neque unquam nisi iucundissime de ipso cogitamus, cuius et praeclara spirat memoria gestarum rerum, et magnam erga Nos coniunctam cum fiducia pietatem constanter agnovimus.

In ceteris enim laudibus, laus merito manet eximia patribus illis vestris, qui, tremefacta Europa ad impetus hostium christiani nominis praepotentium, pectorum suorum praesidia inter primos, insignibus praeliis, opposuerunt, iidem religionis et civilis cultus vindices acerrimi fidissimique custodes. His de promeritis palam est a Nobis non multos ante menses cum gaudio commemoratum, tunc scilicet quum nonnulli vestrum, Venerabiles

Czcigodnym Braciom Arcybiskupom i Biskupom Polskim

LEON XIII.

Czcigodni Bracia

Pozdrowienie i apostolskie Błogosławieństwo.

Dawno już gorąco pragnęliśmy dać Wam ten szczególny dowód miłości i pieczołowitości Naszej, jaki innym ludom katolickim od czasu do czasu okazywaliśmy, przemawiając w zwróconych do ich biskupów listach okólnych słowami zachęty Apostolskiej. Naród bowiem Wasz, różny pochodzeniem, mową i obrządkiem kościelnym, jednaką zawsze, jak to przy innej sposobności wypowiedzieliśmy, otaczamy troską i miłością i nigdy inaczej o nim nie myślimy, jak z uczuciem ukontentowania, ile że przeszłość jego tchnie świetnych czynów wspomnieniem, a wszędy widnieje wielkie jego względem Nas pełne ufności przywiązanie.

Śród bowiem innych zasług, ta przedewszystkiem w sposób niespożyty opromienia pamięć przodków waszych, że w chwilach najazdów na strwożoną Europę ze strony potężnych nieprzyjaciół chrześciaństwa murem własnych piersi najście wrogów w świetnych bitwach przed innymi powstrzymywali, stając się najdzielniejszą tarczą i najpewniejszą strażą zarówno religii jak cywilizacyi. O tych zasługach z zadowoleniem wspomnie-

Digitized by Google

Fratres, pia fidelium agmina peregre ad Nos salutatum gratulatumque adduxistis; ex qua pulcherrima fidei testificatione, pergrata adfuit occasio ut avitae religionis decus, per multos rerum et difficiles casus integrum, vividum, Poloniae vicissim gratularemur.

Iamvero sacris eius rationibus si, quantum erat in Nobis, nihil antea prodesse destitimus, id posse vel amplius cupimus, atque in praesentia efficere consilium est: ea nimirum causa, ut sollicitudinis in vos Nostrae apertior extet coram Ecclesia declaratio, utque etiam vestrum omnium animi in catholicae professionis officiis, roborata virtute, subsidiis auctis, confirmentur et praestent. Hoc autem facere instituimus alacriore quidem cum spe, propterea quod cognitum perspectumque habemus qua vos, Venerabiles Fratres, sollertia interpretes voluntatis Nostrae et ministri esse consueveritis, et quo proposito in summis vestrorum gregum bonis tuendis augendisque elaboretis. Quos autem in ipsis praestabiles fructus expetimus, ita Deus, qui ad alloquendum movit, benignus idem secundet.

Beneficium divinae veritatis et gratiae, quod humano generi religione sua Christus Dominus attulit, tantae excellentiae utilitatisque est, cum quo aliud nullum in ullo genere ne conferri quidem possit, nedum possit aequari. Cuius virtus beneficii, multiplex, ut omnes norunt, et saluberrima, mirum in modum affluit ad singulos et ad universos,

liśmy przed kilku miesiącami, kiedy mianowicie niektórzy z Was, Wielebni Bracia, pobożne pątników orszaki do Nas dla złożenia życzeń przyprowadzili; owo zaś piękne zaznaczenie wierności miłą nam podało sposobność, byśmy Polsce wzajemnie powinszowali, że klejnot religii praojców po przez różne i ciężkie koleje rzeczy zachowała nietknięty i jaśniejący.

Jeżeli zaś zawsze usiłowaliśmy zaspakajać wedle możności jej duchowne potrzeby, obecnie bardziej jeszcze leży nam to na sercu, a odezwą niniejszą uwydatnić to chcemy dla tego mianowicie, aby wobec Kościoła widoczniejszą była Nasza względem Was pieczołowitość, jako też abyście Wy wszyscy wzmożeni męstwem, pokrzepieni naszem poparciem w powinnościach, z wiary katolickiej płynących, umocnili się i celowali. Zabieramy się zaś do tego z tem żywszą otuchą, że Nam nie tajno, z jaką energią, Wielebni Bracia, zwykliście być tłómaczami i wykonawcami Naszej woli, tudzież z jaką stanowczością pracujecie nad zachowaniem i obroną tego, co stanowi najwyższe dobro trzód, waszej pieczy poleconych. Niech Bóg, który Nas do zabrania głosu pobudził, sprawi łaskawie, aby owoce, jakich stąd pożądamy, były jak najobfitsze.

Skarb prawdy i łaski Bożej, który Chrystus Pan dla rodu ludzkiego w swej religii złożył, tak jest cenny i doniosły, iż nic w żadnym kierunku nie da się obok niego postawić, a cóż dopiero na równi z Nim położyć. Wieloraka zaś, jak każdemu wiadomo, i nader zbawienna skarbu tego skuteczność w podziwu godny sposób oddziaływa tak na

Digitized by Google

ad societatem domesticam et ad civilem, ad prosperitatem caducae vitae iuvandam et ad felicitatem adipiscendam vitae immortalis. Ex quo continuo apparet, gentes catholica religione donatas, sicut maximo bonorum omnium in ea potiuntur, ita officiorum omnium maximo adstringi eiusdem colendae et diligendae. Simul vero apparet, rem non esse eiusmodi, quam ad suum cuiusque arbitrium vel singuli vel civitates recte se praestare posse confidant, verum qua dumtaxat ratione, qua disciplina, quo ordine ipse definivit et iussit religionis divinus auctor: videlicet magisterio et ductu Ecclesiae, quae ab ipso tamquam *columna et firmamentum veritatis* [1]) constituta est, eiusque singulari ope per omnes aetates viguit, vigebitque, rata promissione, perpetuo: *Ego vobiscum sum omnibus diebus, usque ad consummationem saeculi* [2]).

Iure igitur genti vestrae tam clarus religionis honor ab avis et maioribus ideo stetit, quod Ecclesiae matri summa semper adhaesit fide, parique in obsequio Pontificum romanorum et in obedientia sacrorum Antistitum, quos illi pro potestate designarent, immota perstitit semper. Inde quam multa ad vos commoda et ornamenta profluxerint, quam praesentia in trepidis rebus solatia ceperitis, quanta habeatis etiamnum adiumenta, vosmet gratis tenetis animis, grate profitemini.

[1]) I Tim. III. 15.
[2]) Matth. XXVIII, 20.

jednostki, jak na ogół, na stosunki prywatne i publiczne, na utrwalenie doczesnej pomyślności, na możność zdobycia sobie szczęścia wiecznego. Z tego zaś bezpośrednio wypływa, że narody katolickie, jak z jednej strony w swem wyznaniu posiadają najwyższe dobro, tak z drugiej za pierwszy mieć powinny obowiązek cenić je i miłować. Zarazem jasnem się staje, iż nie jest to sprawa tego rodzaju, której prowadzenie może zależeć od widzimisię jednostek lub państw, lecz że kierunek jej musi iść drogą przez Boskiego Ustawodawcę wskazaną i określoną, t. j. pod wodzą i kierownictwem Kościoła, jako *filar i utwierdzenie prawdy* [1]) przezeń ustanowionego, i że dzięki tylko szczególnej sile Kościoła, szczytne to dzieło w szeregu wieków moc swą utrzymywało i utrzymywać na zawsze będzie, wedle owego stanowczego przyrzeczenia: *A oto ja jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata* [2]).

Słusznie więc naród wasz od naddziadów chlubił się religijnością, gdyż w rzeczy samej trzymał się z niewzruszoną wiernością Matki Kościoła, niemniej będąc stałym w uległości Papieżom, jak i w posłuszeństwie biskupom, przez nich z mocy urzędu wyznaczonym. Jak wiele stąd na was spłynęło korzyści i zaszczytów, jak dotykalną w chwilach przeciwności czerpaliście stąd pociechę, jaką podziśdzień macie w tem dźwignię,—sami to z uczuciem wdzięczności w pamięci chowacie, sami z zadowoleniem wyznajecie.

[1]) Tym. III, 15.
[2]) Mat. XXVIII, 20.

www.libool.com.cn
Digitized by Google

Manifestum quotidie est, quaenam gravissimarum rerum in populis imperiisque consequantur momenta, Ecclesia catholica vel observata et digno loco habita vel per iniuriam, contemptionemve laesa. Quum enim in doctrina et lege Evangelii ea contineantur quae ad salutem perfectionemque hominis, tum in fide et cognitione, tum in usu et actione vitae, usquequaque proficiant; quumque eam doctrinam et legem Ecclesia, divino a Christo iure, tradere possit et religione sancire; ipsa propterea, divino munere, vi magna pollet moderatrice humanae societatis, in qua et fautrix est generosae virtutis et lectissimorum bonorum effectrix.

At Ecclesia vero, cui divinitus romanus Pontifex praeest, tantum abest, ut, ex auctoritatis tanta amplitudine, quidquam sibi de alieno arroget iure aut cuiusquam obliquis studiis conniveat ut potius de iure suo saepe remittat, indulgendo; atque summis et infimis sapienti consulens aequitate, sese omnibus gubernatricem et matrem exhibeat sollertissimam. Qua propter illi iniuste faciunt qui hac etiam in re veteres contra ipsem calumnias, iam toties refutatas planeque contritas, in lucem nituntur revehere, nova vituperationis specie confictas: neque ii minus reprehendendi, qui eadem de causa diffidunt Ecclesiae eique suspicionem conflant apud rectores civitatum et in publicis legumlatorum coetibus, a quibus nempe laus plurima ipsi debetur et gratia. Nihil enim omnino ea docet aut praecipit quod maiestati principum, quod incolumitati et progrediendi populorum vitae,

Stwierdza to dzień każdy, jak dalece pierwszorzędne interesa państw w ścisłej są zawisłości od czci okazywanej Kościołowi katolickiemu i od przyznania mu należnego stanowiska, lub od sponiewierania Go i od pogwałcenia praw Jego. Skoro bowiem nauka i prawa ewangeliczne zawierają w sobie wszystkie sprężyny pomyślności i udoskonalenia człowieka, zarówno w zakresie wiary i umiejętności, jak w życiu praktycznem, i skoro do ogłoszenia tej nauki i prawa powołany został przez Chrystusa Kościół: z Boskiego zaiste nadania posiada on tę siłę, która, kierując społecznością ludzką, popiera szlachetne dążności i nieocenione sprowadza dobrodziejstwa.

Kościół atoli, na czele którego stoi Papież, pomimo tak rozległej władzy, nietylko nie wkracza w czyjekolwiek prawa, nietylko nie potakuje czyimkolwiek mniej godziwym dążeniom, lecz owszem czyni nieraz, w drodze pobłażliwości, z własnych praw ustępstwa, a uwzględniając z rozumną sprawiedliwością potrzeby tak sfer najwyższych, jak i upośledzonych, spełnia względem wszystkich jak najskuteczniej zadanie matki i sterniczki. To też niesłusznie czynią ci, którzy wznowić usiłują przeciw niemu stare, oddawna zbite i zniweczone w tej mierze zarzuty, przyoblekając je w nowe do napaści pozory; nie mniej skarcenia godni są ci, co z tegoż powodu nie dowierzają Kościołowi i rozniecają nieufność śród panujących i zgromadzeń prawodawczych, którzy właśnie najwięcej poczuwać się winni do wdzięczności względem Kościoła. Nie uczy on bowiem, ani nie naka-

Digitized by Google

ullo modo officiat vel adversetur; multa immo ex christiana sapientia assidue profert ad communem eorum utilitatem sane quam conducibilia. In quibus haec memoratu digna principatum qui teneant, eos imaginem divinae in homines potestatis providentiaeque referre; eorum imperium debere iustum esse et imitari divinum, bonitate temperatum paterna, atque unice emolumenta spectare civitatis; ab ipsis rationem Deo iudici aliquando reddendam, eam que pro celsiore dignitatis loco graviorem; qui vero sint sub potestate, debere constanter reverentiam et fidem servare principibus, tamquam Deo regnum per homines exercenti, eisdem obtemperare, *non solum propter iram, sed etium propter conscientiam* [1]), pro ipsis adhibere *obsecrationes, orationes, postulationes, gratiarum actiones* [2]); debere sanctam custodire disciplinam civitatis; ab improborum machinationibus sectisque abstinere, nec quidquam facere seditiose; omnia conferre ad tranquillam in iustitia pacem tenendam.

Ista et similia praecepta institutaque evangelica, quae ab Ecclesia tantopere suadentur, ubi in pretio sunt et re ipsa valent, praestantissimos ibi fructus afferre non cessant, eosque afferunt in illis gentibus uberiores, in quibus Ecclesia liberiore utitur sui muneris facultate. Eisdem vero refragari praeceptis et Ecclesiae ductum recusare, idem est ac refragari voluntati divinae et insigne beneficium abiicere;

zuje niczego zgoła, coby w najmniejszej mierze sprzeciwiało się dostojeństwu monarchów, lub bezpieczeństwu i rozwojowi ludów; owszem, przeciwnie: w świetle mądrości chrześciańskiej krzewi ustawicznie zasady, licujące najzupełniej z ich wspólnym pożytkiem. Wymieńmy z nich główniejsze: że panujący piastują władzę nad ludami z ramienia Bożego sobie nadaną; że ich rządy powinny być sprawiedliwe, naśladować rządy Boże, nacechowane dobrocią ojcowską i zmierzać jedynie ku pożytkowi państwa; że kiedyś muszą zdać Bogu Sędziemu sprawę, tem większą ściągając na się odpowiedzialność, im wyżej byli postawieni: że poddani winni panującym okazywać cześć i wierność, tudzież jako Bogu, przez ludzi królującemu, uległość *nietylko dla gniewu, ale też dla sumienia* [1]); czynić za nich *prośby, modlitwy, przyczynianía, dziękowania* [2]), że powinni stosować się święcie do przepisów Państwa, zdala się trzymać od wszelkich knowań, intryg i rokoszu, przykładać się wszystkiemi środkami do podtrzymywania porządku i pokoju.

Te i tym podobne przepisy i ustawy ewangieliczne, tak usilnie zalecane przez Kościół, gdzie tylko są w należytej czci i poszanowaniu, tam niechybnie przynoszą najobfitsze owoce, tem obfitsze, im rozleglejszej zażywa Kościół swobody. Wyłamywać się zaś z pod tych przepisów i uchylać się z pod przewodnictwa Kościoła znaczy tyleż, co sprzeciwiać się woli Bożej i odtrącać znakomite dobrodziejstwa,

[1]) Rom. XIII, 5.
[2]) I Tim. II, 1—2.

[1]) Rzym. XIII, 25.
[2]) I Tym. 1—2.

Digitized by Google

nihil ut in civitate vere prosperum honestumque permaneat, permixta delabantur omnia, anxia calamitatum formidine et rectores et populi occupentur.

www.nbloot.com.cn

Habetis quidem, Venerabiles Fratres, de his rerum capitibus iam fusius a Nobis tradita per occasionem praescripta: eadem tamen visum est summatim revocare, quo navitas vestra, novo quasi auspicio freta auctoritatis Nostrae, impensius in idem feliciusque contendat. Illud certe optimum faustumque fuerit in gregibus vestris, si aflatus caveantur turbulentorum hominum, pessimis artibus nihil iam non scelestissime audentium ad evertenda delenda imperia; si nullae officiorum partes, quae civium sunt bonorum, desiderentur; si ex fide Deo debita et sacra, fides erga rem publicam et principes efflorescat.

De societate item domestica, de iuventutis et sacri ordinis institutione, de modis optimis christianae tractandae caritatis, diligentiam acuite.

Integritas et honestas domesticae convictionis, ex qua praecipue sanitas funditur in venas societatis civilis, repetenda est primum a sanctitate coniugii, quod secundum Dei et Ecclesiae praecepta initum sit, unum et individuum. Tum oportet iura et officia inter coniuges inviolata esse et quanta maxima fieri possit concordia et caritate expleri; prolis tuitioni commodisque, potissimum educationi, parentes consulere; suo ipsos documento

tak, iż następstwem oporności musi być upadek prawdziwego szczęścia i zacności, zamęt i nieład we wszystkich stosunkach, niepokój i obawa przed klęskami, dotykająca zarówno panujących, jak i naród.

Macie wprawdzie, Wielebni Bracia, podawane przez Nas w tym przedmiocie w miarę sposobności wskazówki i to wyczerpujące: uznaliśmy jednak za stosowne w streszczeniu je tu powtórzyć, byście w inicyatywie, z Naszego wysokiego stanowiska podjętej, szukali bodźca do usilniejszej i skuteczniejszej w tym duchu działalności. W łonie trzód waszych najpożądańszą zaiste byłoby rzeczą strzedz się podszeptów ludzi przewrotnych, w zbrodniczem zaślepieniu nie cofających się przed niczem dla zwalczenia i podkopania władzy, nie uchybiać pod żadnym względem powinnościom dobrych obywateli; w wierze świętej należnej Bogu czerpać podnietę do wierności względem Państwa i monarchów.

Podwajajcie też pilność w przedmiocie stosunków rodzinnych, wychowania młodzieży i kleru, szczepienia w sposób najskuteczniejszy miłości chrześciańskiej.

Nieskazitelność i uczciwość życia prywatnego, z której przedewszystkiem ciągnie soki ożywcze społeczność w formy państwowe ujęta, spoczywa głównie w świętości małżeństwa, jego wedle praw Bożych i kościelnych skojarzeniu, jego jedności, nierozerwalności. Należy też, by prawa i obowiązki wzajemne małżonków nie były naruszane, lecz by je w największej zgodzie i miłości wypełniano; by rodzice otaczali potomstwo ojcowską o-

Digitized by Google

vitae, quo nihil praestantius est neque efficacius, antecedere. Institutioni tamen liberorum rectae probaeque nequaquam illi arbitrentur se posse, ut par est, prospicere, nisi summopere evigilando. Neque enim ab iis tantum scholis lyceisque defugiendum est, ubi doctrinis error de religione, dedita opera, admisceatur, vel ubi propemodum dominetur impietas, sed ab iis etiam in quibus de christianis institutis et moribus, perinde ac de importunis rebus, nulla sit praeceptio nec disciplina. Nam quorum ingenia litteris et artibus eruduntur, eosdem profecto necesse est pariter cognitione cultuque eruditi divinarum rerum, utpote qui, admonente ipsa et iubente natura, non minus quam civitati, multoque amplius, debeant Deo, quique idcirco in lucem suscepti sint, ut civitati servientes, ad mansuram in caelo patriam iter dirigant suum studioseque conficiant. In hoc autem cessandum minime erit, procedente cum eorum aetate cultura civili; quin etiam eo insistendum enixius, tum quod iuventus cupiditate sciendi, ut nunc praesertim agitantur studia, vehementius quotidie urgetur, tum quod eidem maiora quotidie impendent de fide pericula, magnis iam deploratis tanta in re iacturis. Quod vero de ratione sacrae doctrinae tradendae, de magistrorum probitate et peritia, de librorum delectu, quasdam Ecclesia censet vindicare sibi cautiones, quosdam modos praefinire, id sane suopte iure facit; neque id potest non facere, pro eo quo tenetur gravissimo officio providendi ne quid usquam irrepat, ab integritate alienum fidei morumve, quod christiano populo noceat.

pieką, troszczyli się o jego potrzeby, zwłaszcza o wychowanie; by mu przyświecali własnego życia przykładem, nad który nic niema przedniejszego, ani skuteczniejszego. Niech jednak nie sądzą, by dobre i rzetelne wykształcenie dzieciom swym zapewnić inaczej mogli, jak tylko dzięki szczególnej w tej mierze czujności. Nietylko bowiem tych zakładów naukowych unikać należy, gdzie nauka zaprawianą bywa rozmyślnie fałszem w rzeczach religii, lub gdzie niemal wprost panoszy się bezbożność, ale i tych nawet, z których usunięto naukę zasad i obyczajów chrześciańskich, jako rzecz zbyteczną. Młodzieży bowiem kształcącej swój umysł w umiejętnościach i sztukach należy podawać koniecznie znajomość rzeczy Boskich, gdyż winna ona jest Bogu, jak sama natura uczy i wskazuje, nie mniej jak Państwu, owszem więcej, i dla tego powołaną została do życia, by służąc Państwu, do wiecznej w niebie ojczyzny z miłością i zapałem dążyła. Nie należy też kłaść kresu tej czujności w miarę, jak z latami postąpią w wykształceniu świeckiem; przeciwnie, tem usilniej nalegać wypada, już to dlatego, że żądza wiedzy, przy obecnym zwłaszcza biegu oświaty, coraz bardziej zapala usposobienia młodzieży; już to że jej codzień większe pod względem wiary grożą niebezpieczeństwa, a tak już dotkliwe duch niewiary poczynił spustoszenia. Że zaś w kwestyi nauczania religii, uczciwości i uzdolnienia w uczących, wyboru podręczników, Kościół stawia pewne zastrzeżenia i granice, czyni to zaiste z najzupełniejszą słusznością; i nie może tego nie czynić

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Sacram porro institutionem, quae impertiatur in scholis, ea confirmet et compleat quae certis temporibus praescriptisque habeatur in curiis ac templis, ubi eiusdem fidei caritatisque germina, quasi in solo suo, uberius nutriuntur et proveniunt.

Haec satis per se ipsa monent, singulari opus esse diligentia et opera ad informandum ordinem clericalem; qui, divino oraculo, talis succrescere debet atque sacrum ita tenere propositum, ut *sal terre* et *lux mundi* habeatur et sit. Utraque laus, quae doctrina sana vitaeque sanctimonia praecipue continetur, in adolescente quidem clero potissime acquiranda est, neque tamen minus est custodienda et provehenda in clero adulto, qui proxime incumbit *ad consummationem sanctorum in opus ministerii, in aedificationem corporis Christi* [1]).

De sacris seminariis clericorum bene est Nobis cognitum, Venerabiles Fratres, minime partes deesse vestras; ut, potius quam admoveamus incitamenta, comprobationem testari deceat vobis eisque omnibus quorum ipsa laetantur procurandi et docendi labore assiduo. Sane, temporibus quae inciderunt tam Ecclesiae iniquis, quum hostes veritatis invalescunt, quum corruptelarum pestis iam non serpit occulta, sed

[1]) Eph. IV, 12.

z uwagi na ciążący na nim obowiązek zapobiegania wszelkiego rodzaju knowaniu przeciw wierze i obyczajom ze szkodą ludu chrześciańskiego.

Naukę zaś religii, udzielaną w obrębie szkół, niech potwierdzi i uzupełni nauczanie w pewnych oznaczonych terminach po parafiach i kościołach, gdzie właśnie nasienie wiary i miłości, jako na najwłaściwszym dla siebie gruncie, najszczytniejsze, najmilsze i najbujniejsze wydaje owoce.

Wszystko to zaś samo przez się dostatecznie już uczy i przypomina, jak szczególnej potrzeba staranności i pracy nad wychowaniem kleru, ten bowiem, wedle orzeczenia Bożego, tak się powinien rozwijać i tak być wiernym swemu zadaniu, by był „solą ziemi“ i „światłością świata.“ Oba te przymioty, na zdrowej nauce i świętości życia przedewszystkiem polegające, wpajać należy głównie w kler dorastający, lubo niemniej strzedz je wypada i podtrzymywać w kapłanach, którzy obowiązani są bezpośrednio *ku wykonaniu świętych, ku robocie posługowania, ku budowaniu ciała Chrystusowego* [1]).

Wiemy dobrze, Wielebni Bracia, że w przedmiocie seminaryów duchownych nie jesteście winni zaniedbania, tak, iż zamiast dodawać podniety, raczej przystoi wynurzyć wam pochwałę, zarówno jak i tym wszystkim, którzy w nich z taką pilnością i pożytkiem pracują i nauczają. Zaiste, w czasach dla Kościoła tak trudnych, gdy nieprzyjaciele prawdy potężnieją, gdy zaraza zepsucia już nie potajemnie się

[1]) Efez. IV, 12.

Digitized by Google

impudens in omnia grassatur, si plura quam antea levamenta et remedia expectanda sunt a sacerdotali ordine, is nimirum maiore quam antea cura et exercitatione comparandus est ad bonum certamen fidei et ad parem virtutis omnis dignitatem. Quae de ratione dirigenda studiorum sunt a Nobis identidem normae praestitutae, in re praesertim philosophica, theologica, biblica, probe nostis; ad eas instate ut sese magistri perdiligenter componant, neve ullam praetermittant ex doctrinis ceteris, quae gravioribus illis ornamento sunt, et sacerdotalibus muniis addunt commendationem. Instantibus similiter vobis, moderatores disciplinae et pietatis (homines qui esse debent integritate et prudentia spectatissimi), sic rationem temperent vitae communis, sic alumnorum animos conforment exerceantque, ut virtutum congruentium quotidiani in ipsis progressus eluceant: atque huc illud etiam spectet, omnem ut addiscant matureque induant prudentiam in iis attingendis quae civilis sint potestatis. Hoc sane modo ex sacris illis veluti palaestris et castris nova continenter militia, eaque optime instructa, prodibit, quae suppetias veniat laborantibus in pulvere et sole, atque defessos emeritosque integra suppleat. Verum, in ipsa sacrorum munerum perfunctione, facile videtis quantum periculi virtus vel solida offendat, et quam sit humanum languescere in propositis ab eisque deficere. Itaque eo simul pertineant curae vestrae ut sacerdotibus apposite praebeatis quo studia doctrinae recolere possint et augere, in primis quo contentius possint, redintegratis interdum animorum

szerzy, lecz otwarcie i bezczelnie we wszystko się wdziera, jeżeli większej ze strony duchowieństwa oczekiwać mamy energii i przeciwdziałania, większą też pilnością i wprawą przybrane ono być winno do podjęcia walki, do odpowiednej we wszystkich cnotach dzielności. Wiecie dobrze, jakieśmy od czasu do czasu wskazywali zasady pod względem kierunku w wykładach, zwłaszcza w przedmiocie Filozofii, Teologii, i Biblii: nalegajcie więc, by wykładający do nich się z całą starannością stosowali, by nadto nie zaniedbywali żadnej z pozostałych gałęzi wiedzy, które owym wyższym służą za ozdobę i czynności kapłańskie wysoce zalecają. Baczcie, aby przewodnicy karności i pobożności (mają to być ludzie ze wszech miar nieposzlakowani i roztropni) taki nadawali życiu wspólnemu obrót, tak układali i ćwiczyli umysły alumnów, by codziennie ujawniało się w nich pomnożenie cnót ich powołaniu właściwych; niech też w zakres ich urobienia umysłowego i to wchodzi, by z całą i pełną dojrzałości roztropnością dotykali się spraw podlegających kompetencyi władzy świeckiej. Tym to sposobem z tych świetnych jakoby fechtowni i obozów nowi wciąż wychodzić będą żołnierze, i to doskonale wyćwiczeni, by zluzować pracujących w pocie i znoju, a wyczerpanych i wysłużonych świeżym zastąpić kontyngensem. Atoli w samem spełnianiu świętych czynności wiadomo, na jakie szkopuły trafia nawet wyprobowana cnota, i jak dalece właściwem jest człowiekowi słabnąć w przedsięwzięciu a nawet zupełnie ustawać. To też dokładajcie wszelkiego starania, aby

Digitized by Google

viribus, et perfectioni vacare suae et aliorum sempiternae saluti prodesse.

www.libtool.com.cn

Talem vos, Venerabiles Fratres, rite in oculis vestris eductum atque probatum si habueritis clerum, sentietis profecto vobis pastorale munus, non allevari solum, sed etiam abundare optatis in grege fructibus: quorum licet sperare copiam a cleri maxime exemplo et actuosa caritate.

Eiusdem caritatis praeceptum, quod *magnum* in Christo est, omnibus ex quovis ordine commendantissimum sit, idque singuli perficere studeant, quemadmodum Ioannes monet apostolus, *opere et veritate*: nullo enim alio vinculo aut praesidio constare ad firmitatem familiae et civitates possunt, neque, id quod pluris est, christianae dignitatis merita adipisci. Quae Nos considerantes, deplorantesque tam multa mala et acerba, eo posthabito dimissove praecepto, publice et privatim consecuta; saepenumero in eadem re Apostolicam vocem edidimus: singulariter fecimus per litteras encyclicas, quarum initium est *Novarum rerum*, ubi principia retulimus, ad causam de conditione opificum ex veritate et aequitate evangelica dirimendam aptiora.

duchowieństwo odświeżało i pomnażało raz nabytą wiedzę, szczególnie zaś, aby przez pokrzepienie (od czasu do czasu) sił duszy i swemu się oddawało udoskonaleniu, i innym ku zbawieniu pomagało.

Jeżeli takie należycie pod waszym nadzorem wychowane i wyprobowane mieć będziecie duchowieństwo, przekonacie się, Wielebni Bracia, jak urząd wasz pasterski stanie się nietylko lżejszym, ale nawet obfite i pożądane wśród wiernych przyniesie owoce, których właśnie zasobu oczekiwać można głównie od przykładu ze strony duchowieństwa i od jego czynem ujawnionej miłości.

Tej miłości prawo, wielkie w Chrystusie, niech będzie w cenie u wszystkich jakiegokolwiek stanu osób, i niech wszyscy starają się wykonywać je w czynie i prawdzie, jak zaleca Jan św. apostoł, żaden bowiem inny łącznik, żadna podpora nie może zapewnić tak rodzinie, jak państwu, siły i trwałości, a co ważniejsza żadna inna droga nie prowadzi do zdobycia sobie zasług prawdziwie chrześciańskich. Jakoż, rozważając z bólem serca wielostronne i nawet dotkliwe nieszczęścia, jakie z lekceważenia lub zaniedbania przykazu tego wynikają, tak w dziedzinie życia publicznego, jak w stosunkach prywatnych,—nieraz w tym przedmiocie głos Nasz Apostolski podnosiliśmy, osobliwie zaś w wydanem przez nas piśmie okólnem, zaczynającem się od słów: *Novarum rerum*, gdzie wykazaliśmy zasady, nadające się do słusznego i zgodnego z prawem Ewangelii rozstrzygnięcia sprawy robotniczej.

Digitized by Google

Ea ipsa nunc renovata admonitione inculcamus. Sancta movente et ducente caritate, quantam catholica instituta, sodalitia artificum, mutuo opitulantium consociationes, id genus plura, vim habeant virtutemque vel ad leniendas tenuiorum aerumnas vel ad infimam plebem recte erudiendam, apertum experiendo est: qui autem consilium vel auctoritatem, pecuniam vel operam ad ista conferant in quibus vertitur multorum salus, etiam sempiterna, ii verissime de religione et de civibus suis promerentur egregie.

Ad haec, genti Polonae universe dicta, certa quaedam subiicere libet, quae singulatim, pro locorum in quibus versamini conditione, usui fore censemus; atque adeo ex his ipsis quae dedimus monitis quaedam libet eo altius in animis vestris defigere.

Vos primum, ut plures numero, qui Russico imperio paretis, iure est quod catholicae professionis nomine collaudemus, hortatione muniamus. Caput est hortationis nostrae, ut istum constantiae animum in sancta fide colenda retineatis acriter et foveatis, in qua id bonum habetis, quod principium et fons est, ut diximus, maximorum bonorum. Hoc utique christianus animus ceteris rebus omnibus longe anteponat oportet; hoc ipsum, ut sunt divina iussa et splendida sanctorum hominum facta, nec ullis fractus difficultatibus deserat, et summis viribus laborisque custodiat; eiusdemque virtute ful-

Tu więc ponownie je przypominamy i zalecamy. Doświadczenie przekonało, jak wielki wpływ mają na złagodzenie gorzkiego losu ubogich i na urabianie zdrowych śród ludu prostego pojęć instytucye katolickie, w duchu świętej miłości poczęte i prowadzone, cechy rzemieślnicze, stowarzyszenia wzajemnej pomocy i inne tym podobne urządzenia; kto zaś radą, powagą, groszem lub współdziałaniem przykłada się do pomyślności licznej rzeszy upośledzonych, ten nietylko dolę nieszczęśliwych osładza, nietylko z punktu obywatelskiego dobrze czyni, ale też i wobec religii się zasługuje.

Do tych uwag, dla całego narodu Polskiego wypowiedzianych, uważamy za słuszne dodać pewne spostrzeżenia, które z pożytkiem w poszczególnych przez was zamieszkałych dzielnicach dają się zastosować, przyczem pragnęlibyśmy niektóre z tylko co wypowiedzianych przestróg głębiej jeszcze wyryć w waszych umysłach.

Was przedewszystkiem, jako najliczniejszych, co Rossyjskiemu podlegacie berłu, słusznie Nam z tytułu wyznawstwa wiary katolickiej pochwalić i słowami zachęty pokrzepić wypada. Osią zachęty z Naszej strony jest, abyście wytrwale trzymali się i pielęgnowali w sobie tego ducha stałości w poszanowaniu skarbu wiary, w którym, jako w początku i źródle najwyższych dóbr, osłodę czerpać możecie. Ten wzgląd umysł chrześciański najwyżej stawiać powinien: jego, jako rozkazu Bożego, popartego świetnym świętych ludzi przykładem, wbrew największym przeciwnościom strzedz i z całą

Digitized by Google

tus, solatium et opem quoscumque humanae res eventus adducant, aeque certissime ac patienter a Deo memori expectet.

Ad Nos quod attinet, rerum vestrarum quae sit conditio, equidem, pro munere Nostro, habemus compertum; valdeque ista delectat fiducia quam in Nobis, filiorum instar, plurimum collocatis. Sic igitur, admonemus, fallaciis omnino reiectis quae contra benevolentiam et sollucitudinem in vos Nostram nequiter serantur, hoc sit vobis penitus persuasum, nihil Nos minus quam Pontifices decessores, sicut pro ceteris popularibus vestris, ita pro vobis suscepisse et intendisse curas; qui etiam, vestram ut sustineamus fiduciam, omnia parati sumus et laboriose conniti et persequi confidenter. Iuvat memoria repetere, inde Nos a Pontificatus exordiis, de re catholica istic relevanda cogitantes, opportune apud Imperiale Consilium officia interposuisse, ut ea contenderemus quae simul dignitas huius Apostolicae Sedis, simul rationum vestrarum patrocinium viderentur deposcere. Quibus ex officiis consecutum est, ut anno MDCCCLXXXII certa cum illo pactionum capita sint constituta: haec inter, Episcopi liberam fore copiam moderandi ad canonicas leges seminaria clericorum; tum Academiam ecclesiasticam Petropolitanam, quae Polonis quoque patet alumnis, iurisdictioni plene tradendam Archiepiscopi Mohyloviensis, atque in melius adducendam, ad ampliorem cleri et religionis catholicae utilitatem: accepta praeterea fide, quamprimum abrogatum aut mitigatum

usilnością trzymać się powinien i jego siłą wsparty, pociechy i otuchy, jakąkolwiek koleją rzeczy ludzkie pójdą, spokojnie, cierpliwie i niewzruszenie od Boga, który o wszystkiem pamięta, oczekiwać może.

Co do Nas, z urzędu Naszego doskonaleśmy świadomi, w jakim stanie sprawy wasze pozostają; wielce nas cieszy ta ufność, jaką w Nas, wzorem dobrych dziatek, w tak przeważnej mierze pokładacie. To też przestrzegamy, byście, nie dając posłuchu fałszywym wieściom, niegodziwie o Naszej względem Was trosce i życzliwości rozsiewanym, nawskroś przejęli się przekonaniem, że nie mniej jak poprzednicy Nasi wytężamy usiłowania i pieczołowitość tak o Was, jak o innych waszych rodakach; jesteśmy nawet gotowi i podejmować wszystkie usiłowania, i z nadzieją skutku je popierać, byle tylko zaufanie to w Was podtrzymać. Tu miejsce przypomnieć, że od początku Naszego Pontyfikatu o podniesieniu sprawy katolickiej u Was myśląc, weszliśmy w układy z Rządem Cesarskim, by uzyskać rezultat odpowiadający godności Stolicy Apostolskiej i zapewniający opiekę dla waszych potrzeb kościelnych. Następstwem tych rokowań były ustanowione w 1882 roku pewne punkta ugodowe, a między innemi, że Biskupi będą mieli swobodę w zarządzaniu seminaryami duchownemi podług praw kanonicznych, i że akademia duchowna w Petersburgu, do której wstęp ma także młodzież polska, pozostanie całkowicie pod juryzdykcyą Arcybiskupa Mohylowskiego i ulegnie ku pożytkowi kleru i religii katolickiej odpowiednej reformie; wynieśliśmy prócz tego przeko-

www.bibljol.com.ua

Digitized by Google

iri singulares eas leges, quas clerus vester severiores sibi conquerebatur. Illo ex tempore nunquam Nos, vel capta vel quaesita occasione, pacta conventa expostulare desiimus. Quin immo easdem expostulationes ad ipsum deferri placuit potentissimum Imperatorem, cuius et exploratum in Nos amicitiae animum et studium iustitiae excelsum obtestati enixe sumus in causa vestra: neque intermittemus rogationes ad Ipsum per tempus adhibere, eas potissime commendantes Deo, quippe *cor regis in manu domini* [1]).

Vos autem, Venerabiles Fratres, pergite dignitatem sacrosanctaque iura religionis catholicae Nobiscum tueri: quae tunc vere proposito potest, constare suo et beneficia afferre quae debet, quum iustae securitatis libertatisque compos, idoneis praesidiis instruitur ad actionem, quantum oporteat, explicandam. Quoniam vero ipsi perspicitis qualem dederimus et demus operam tranquillitati publici ordinis conciliandae in gentibus continendaeque, iidem agere ne cessetis, ut sublimiorum potestatum observantia et publicae obtemperatio disciplinae in clero pariterque in ceteris firme consistat: atque ita, omni prorsus offensionis vel reprehensionis causa submota, omnique specie insimulationis in reverentiam conversa, catholico nomini sua laus maneat et accrescat.

[1]) Prov. XXI, 1.

nanie, że w czasie najkrótszym cofnięte lub złagodzone zostaną te prawa, na których surowość duchowieństwo wasze się skarżyło. Od owej pory nie przestaliśmy nigdy powoływać się na zawarte układy, czy to korzystając z nadarzonej sposobności, czy to wręcz szukając tejże. Co więcej, przedstawienia te uznaliśmy za stosowne przełożyć samemu Przepotężnemu Cesarzowi, wiele licząc w waszej sprawie na dowiedzioną Jego dla Nas przyjaźń i wysokie poczucie sprawiedliwości, a i nadal nie zaniechamy od czasu do czasu zwracać się z takowemi przedstawieniami, nadewszystko polecając je Bogu, *w Którego dłoni jest serce królewskie* [1]).

Wy zaś, Wielebni Bracia, współdziałajcie i nadal z Nami w obronie godności i świętych praw wiary katolickiej, która wtedy odpowie swemu przeznaczeniu i spodziewane skutki dobroczynne sprowadzi, kiedy, mając sobie zapewnioną swobodę i bezpieczeństwo, posiada odpowiedne środki do rozwinięcia swej działalności. Ponieważ zaś sami pojmujecie, jakiego dokładaliśmy i dokładamy starania około zabezpieczenia i utrzymania pomiędzy ludami pokoju i porządku publicznego, nie przestawajcie wytężać usiłowań nad utrwaleniem śród kleru i ogółu poszanowania dla Zwierzchności i przestrzegania karności publicznej; tak zaś usuwając wszelką przyczynę do obwinień i strofowań, zamieniając wszelki pozór do zarzutów na uczucie szacunku, jednajcie i potęgujcie uznanie dla imienia katolickiego.

[1]) Przyp. XXI, 1.

www.ebtool.com.cn

Digitized by Google

Item sit vestrum in id incumbere, ut quidquam ne desit de summa fidelium salute, neque in administrandis curiis, neque in pabulo divini verbi impertiendo, neque in alendo religionis spiritu; ut pueri et adolescentes, maxime in scholis, sacra catechesi diligenter imbuantur, idque, quanto magis fieri possit, opera sacerdotum, quibus sit a vobis id legitime demandatum; ut cultui divino et decor sacrarum aedium et festus solemnitatum honor plane congruant, unde fides haurit bona incrementa. Rectissime porro feceritis, praecavendo discrimina, si qua forte hisce in rebus instare videantur: ob eamque causam ne dubitetis ratas ipsas cum hac Apostolica Sede conventiones graviter quidem prudenterque appellare.

Talia nimirum et discrimina abesse et convenientia bona contingere, non Polonis tantummodo, sed cunctis qui sincera publicae rei caritate ducantur, gratum esse et optabile debet. Ecclesia enim catholica, quod principio docuimus quotidieque eminet, sic nata institutaque est, ut civitatibus et decoras utilitates, in rerum etiam mortalium genere, nunquam non pariat feliciter.

Vos deinde qui in ditione estis inclitae Domus Habsburgensis, reputate animis quantum augusto Imperatori, religionis avitae studiosissimo, debeatis. Iusta igitur in Eum fides gratumque obsequium luculentius a vobis in dies pateat: pateat studium non dissimile ea persequendi omnia, quae ad catholicae religionis in-

Poczuwajcie się też do stosownych zarządzeń, aby wierni nie doznawali zaniedbania w przedmiocie zbawienia swych dusz, a więc w obsłudze parafialnej, w podawaniu pokarmu słowa Bożego, w podtrzymywaniu ducha pobożności, aby dzieci i młodzież, zwłaszcza w szkołach, starannie były katechizowane i to o ile można przez kapłanów od Was do tego prawowicie przeznaczonych; aby zdobność kościołów i należne świąt obchodzenie odpowiadały godnie czci Bożej, z tego bowiem wiara rozrost swój czerpie. Nader też słusznie uczynicie, zapobiegając niebezpieczeństwom, gdyby w tej mierze jakie dostrzedz się dały; i dlatego bez wahania powołujcie się ze stanowczością i roztropnością na owe ze Stolicą Apostolską zawarte układy.

Uchronić się tego rodzaju niebezpieczeństw, a dopiąć odpowiednych korzyści pożądanem naturalnie być powinno nietylko dla Polaków, ale dla każdego, kogo ożywia szczera miłość dobra społecznego. Kościół bowiem katolicki, jakeśmy to na czele tej odezwy wykazali i jak to dzień każdy stwierdza, takiemi się rządzi zasadami, iż państw i ludów nietylko nie przyprawia o szkody, ale przeciwnie przysparza im różnorodne i cenne korzyści, nawet w sferze interesów doczesnych.

Wy, następnie, podlegający przesławnemu domowi Habsburskiemu, miejcie na baczeniu, ile zawdzięczacie Dostojnemu Cesarzowi, w najwyższym stopniu do wiary przodków przywiązanemu. Udowadniajcie tedy z każdym dniem jawniej swą względem Niego wierność i pełną wdzięczności uległość; okazujcie ró-

www.libook.com.cn
Digitized by Google

columitatem et decus vel iam sunt optime constituta vel tempora et res provide constituenda suadeant.

Universitatem Cracoviensem, vetustam atque nobilem doctrinarum sedem, valde optamus integritatem et praestantiam tueri suam, atque etiam aemulari laudes talium Academiarum, quas insignis Episcoporum cura et liberalitas privatorum non paucas, faventibus Nobis, per haec ipsa tempora excitavit. Quaemadmodum in illis, ita in vestra, sollertia dilecti Filii Nostri, Cardinalis Episcopi moderante, gravissimae quaeque disciplinae cum fide amico foedere coëuntes, et, quantum ab ea luminis mutuantur et firmitatis, tantum subsidii ad ipsius defensionem referentes, utinam iuventuti lectissimae magis magisque in partes omnes sint profuturae.

Item vestra magni interesse debet, Nostra certe interest maxime, vigere apud vos in omnium existimatione ordines Religiosorum; qui, virtutis quam consectantur perfectione et doctrina varia fructuosoque in excolendis animis labore commendati, tamquam apparatiores copiae praesto sunt Ecclesiae, eisque non minus civitas ad honestissima quaeque adiutoribus optimis omni tempore usa est. Nominatimque Galiciam respicientes, summa voluntate perantiquum commemoramus Basilianum ordinem, in quo instaurando peculiaria quaedam consilia et curas iampridem Ipsi posuimus. Non mediocrem enimvero laetitiae fructum ideo capimus; quod expectationi ille Nowniеż gorliwość w wykonywaniu wszystkiego, co dla pomyślności i uświetnienia religii albo już zostało wprowadzonem, albo co czas i okoliczności wprowadzić radzą.

Wielce pragniemy, aby Uniwersytet Krakowski, starożytny i rozgłośny rozsadnik umiejętności, strzegł tych tradycyi nieskazitelności i świetności, jakie sobie zdobył; by też szedł w zawody z temi wszechnicami, które za Naszem poparciem znakomita biskupów zabiegliwość i hojność osób prywatnych w znacznej liczbie do życia powołała. Jak w tych uczelniach, tak i w waszej, pod umiejętnym kierunkiem drogiego Nam Syna, Kardynała Biskupa, wszystkie celniejsze gałęzie wiedzy, w przyjaznej pozostając zgodzie z wiarą i wywzajemniając się tejże za promienie światła i gruntu moralnego — poparciem i obroną, bodajby wzorowej młodzieży coraz większą w każdym razie przynosiły korzyść.

Gorąco was też obchodzić powinno, — Nas zaiste obchodzi to w stopniu najwyższym, — by zakony cieszyły się śród was powszechną wziętością; one bowiem, mając za sobą doskonałość życia cnotliwego, zasługę z uprawiania różnorodnych umiejętności, długie pasmo pracy skutecznej około wykształcenia umysłów, stanowią jakoby armię posiłkową, gotową na rozporządzenie Kościoła, a i państwa po wsze czasy do ich pomocy w najszlachetniejszych zadaniach ze skutkiem się uciekały. Uwzględniając w szczególności Galicyę, z największem uznaniem wspominamy prastary zakon Bazyliański, ku dźwignięciu którego sami pewne środki i starania od

Digitized by Google

strae alacri religione obsecundans, nititur pleno gradu ad superiorum temporum gloriam, quum ecclesiae Ruthenae multis modis extitit salutaris: cuius eiusdem salutis auspicia, Episcoporum vigilantia et curatorum industria, iam ex ipso praeclariora in dies nitescunt.

Hic autem quoniam de Ruthenis incidit mentio, eam sinite iteremus cohortationem, ut vos cum ipsis, quamquam originum rituumque dissimilitudo intercedat, arctius voluntates amantiusque societis, prout eos condecet quos regionum, civitatis, maximeque fidei sociat communio. Hos enim sicut Ecclesia benemerentes habet et diligit filios, eisque legitimas consuetudines ac ritus proprios sapienti consilio permittit, non aliter vos, praecedente clero, sic habete et colite ut fratres, quorum sit cor unum et anima una, eo demum conspirantium, ut uni Deo et Domino amplificetur gloria, simulque fructus omnis iustitiae multiplicentur *in pulcritudine pacis*.

Libenti pariter animo orationem ad vos convertimus, qui provinciam incolitis Gnesnensem et Posnaniensem. Siquidem hoc inter cetera gratum est recordari, quemadmodum ex civibus ipsis vestris, omnium ut erant vota, ad illustrem sancti Adalberti sedem virum eveximus pietate, prudentia, caritate eximium. Gratius est autem videre, qua vos obedientia, quo amore gubernationi eius miti operosaeque unadość dawnego czasu podjęliśmy. A niemały owoc zadowolenia stąd zbieramy, że tenże, oczekiwaniu Naszemu z zapałem odpowiadając, raźnie zmierza do odzyskania chwały przeszłych wieków, kiedy to do pomyślności Kościoła rusińskiego pod wielu względami się przyłożył, tychże zaś zasług przy czujności Biskupów i skrzętności kapłanów w coraz większej mierze po nim sobie rokować można.

Tu zaś, skoro mowa o Rusinach, nie możemy nie powtórzyć zachęty, abyście z nimi, lubo odmienni pochodzeniem i obrządkiem, najściślejszą zachowywali zgodę i miłość, jak przystoi na tych, których jednoczy miejsce zamieszkania, przynależność państwowa i osobliwie wspólność wiary świętej. Jak bowiem Kościół za prawowitych poczytuje ich synów i miłością otacza, tudzież pozostawia im w swej mądrości uprawnione zwyczaje i właściwe obrzędy, tak też i Wy z duchowieństwem na przedzie uważajcie ich i traktujcie jako braci, stanowiących jedno ciało i jedną ożywionych duszą, i do tego ostatecznie zmierzających, aby wzrastała chwała Pana Boga i pomnażał się wszelki owoc sprawiedliwości w „piękności pokoju.“

Chętnie też zwracamy się do Was, co zamieszkujecie prowincyę Poznańską i Gnieźnieńską. Miło nam bowiem wspomnieć między innemi, iż z łona ziomków waszych, jakeście tego wszyscy pragnęli, na znakomitą św. Wojciecha stolicę wynieśliśmy męża odznaczającego się pobożnością, roztropnością i miłością. Milej zaś jeszcze widzieć, z jakiem posłuszeństwem i przywiązaniem łagodnym jego a

Digitized by Google

nimi studeatis: ex quo vere sperandum, religionis catholicae statum fore apud vos bonis auctibus quotidie laetiorem.

Eadem vero spes quo magis affirmetur optatisque plenius respondeat, non sine causa iubemus vos magnanimae aeqitati confidere serenisimi Imperatoris; cuius praeterea propensam in vos ac benevolam mentem ex Ipso coram haud semel pernovimus, sane adfuturam vobis, in verecundia legum, in omnique recte factorum christiana laude perseverantibus.

Haec, Venerabiles Fratres, praescripta et hortamenta gregibus quisque vestris sic nuntietis velimus, ut vestra etiam opera fructuosiora eveniant. In his agnoscant carissimi filii quam magno ipsorum gratia affectu caritatis urgemur; haec autem ipsi, ut optatissimum Nobis est, pari accipiant observantia et pietate. Quae quidem si diligenter, id quod pro certo habemus, constanterqe coluerint, profecto poterunt quum fidei ex temporum gravitate pericula declinare, tum patrum memorabilia decora custodire, animos et exempla referre, manantibus inde ad huius quoque solatium vitae emolumentis quam optimis.

Secundam autem divini auxilii copiam, precatoribus adhibitis gloriosissima Virgine Maria, Josepho sanctissimo, cuius hodie solemnibus christianus populus gaudet, sanctisque Caelitibus Po-

czynnym rządom jednomyślnie sprzyjacie; pozwala to mieć nadzieję, że stan sprawy katolickiej będzie u was coraz pomyślniejszym.

By zaś nadzieję tę na tem pewniejszych oprzeć podstawach i pełniejszego oczekiwać spełnienia życzeń, nie bez przyczyny zalecamy Wam ufność w wielkoduszną sprawiedliwość Cesarza, o jego bowiem względem Was przychylności i życzliwem usposobieniu osobiście od Niego samego powzięliśmy wiadomość, a ta życzliwość może wam przynieść dotykalne skutki, byleście szanowali prawa i stali wytrwale na chrześciańskim gruncie dobrych uczynków.

Te, Wielebni Bracia, przepisy i przestrogi każdy z Was trzodom swym w taki sposób oznajmijcie, by za waszem staraniem tem skuteczniej mogły oddziałać na umysły wiernych. Niech się z nich dowiedzą ukochane dziatki Nasze, jak wielkie ku Nim żywimy uczucie miłości, oni zaś, jak tego pragniemy, niech wysłuchają głosu Naszego z równąż miłością i poszanowaniem. A jeśli je, jakeśmy tego pewni, pilnie i statecznie zechcą zachowywać, potrafią niechybnie udaremniać ciosy grożące w tych ciężkich warunkach wierze, przechowają wiekopomne zaszczytne przymioty przodków, tudzież wskrzeszą w sobie pamięć ich ducha i pięknych przykładów, za czem pójdą nieobliczone korzyści ku osłodzie tego nawet doczesnego żywota.

Szukajcie też wraz z Nami pomocy Bożej w gorących prośbach o wstawiennictwo do Pana Niebios: Najświętszej Maryi Panny i świętego Józefa, którego uroczystość świat dziś obchodzi,

Digitized by Google

loniae Patronis vehementer Nobiscum, quaesumus, implorate. Huius rei auspicium atque praecipuae benevolentiae Nostrae testem, Apostolicam benedictionem, vobis et clero populoque universo vigilantiae vestrae commisso, peramanter in Domino impertimus.

Datum Romae apud S. Petrum die XIX martii anno MDCCCXCIV, Pontificatus Nostri decimo septimo.

LEO Pp. XIII.

oraz świętych Polskich patronów. Jako rękojmię tych życzeń i wyraz osobliwej Naszej przychylności: Wam, kapłanom i ludowi Waszej pieczy oddanemu udzielamy miłościwie w Panu błogosławieństwo Apostolskie.

Dan w Rzymie u św. Piotra 19 marca roku 1894, Pontyfikatu Naszego 17-go.

LEON XIII, Papież.

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z ROKU 1894.

Str.

Encyklika Świętego Ojca Naszego Leona XIII z Boskiej Opatrzności Papieża do Biskupów polskich . . . . . I—XIX

Filozofia.

Pogląd na świat, jako przedmiot historyi, przez Wł. M. Kozłowskiego . 122

Historya.

Spory dyplomatyczne o Samozwańców, przez Adama Darowskiego. (Dokończenie) 45

Etnografia i szkice podróżnicze.

Wśród stepów i jarów. I. Ziemia, przez Ks. Chamca. 90
W Białymgrodzie, przez K. R. Żywickiego 504

Literatura.

Rodzina Połanieckich, powieść, przez Henryka Sienkiewicza. (Ciąg dalszy) . . . . . 1, 209 i 450
Pedro, nowella, przez M. Radziwiłła 554

Digitized by Google

Studya, szkice i notatki literackie i artystyczne.

Str.

Marya Konopnicka, przez Stanisława Kozłowskiego . . . . . 70 i 318
Poeta barokowy, przez Kazimierza Kaszewskiego 138
Petronius Arbiter i romans w starożytności, przez K. Morawskiego . . 269
Folklor i jego obecne zadania, przez R. Zawilińskiego 368
Początki teatru i dramat średniowieczny, przez A. Brücknera 417

Nauki przyrodnicze.

Dziedziczność w świetle badań dzisiejszych, przez Dra Józefa Nusbauma 338

Krytyka.

Adam Darowski „Szkice historyczne"; Karol Potkański „Naukowa działalność Lotara Darguna"; Ptaszycki „Do historyi litewskiego prawa po trzecim statucie"; Prof. Ulanowski „Akta kapituł i sądów biskupich"; Dr Adolph Warschauer „Stadtbuch von Posen"; Bobrzyński i Smolka „Jan Długosz, jego życie i stanowisko w piśmiennictwie", przez A. Rembowskiego . . . . . 174, 382 i 565
Zofia Urbanowska „Atlanta" przez W. Kosiakiewicza 180
Marya Rodziewiczówna „Lew w sieci", przez W. Karczewskiego . . . 183
„Correspondencia diplomatica del Conde de Aranda embajador cerca del Rey de Polonia 1760—1766." „Corr. dipl. del Marquis de Almodovar, ministro plenipotenciario cerca del corte de Rusia 1761—1763", przez S. Askenazego. 390
Gabrielski „Czem filozofia jest i czem będzie", Maurycy Straszewski „Dzieje filozofii w zarysie", przez W. M. Kozłowskiego . . 397 i 585
Gostomski „Arcydzieło poezyi polskiej", przez S. Kozłowskiego . . . 576
„Wydawnictwa dotyczące sztuk pięknych", przez W. Gersona 590

Kronika zagraniczna.

Galicyjska, przez U. Projekt hr. Stanisława Badeniego zmiany ustawy o ponoszeniu kosztów zakładania i utrzymywania publicznych szkół ludowych. Seminarya nauczycielskie. Sprawa sprzedaży soli w zarządzie kraju. Pomoc dla ludności nawiedzonej w 1893 r. klęskami powodzi i nieurodzajów. Ustawa upoważniająca miasto Lwów do zaciągnięcia pożyczki celem spłaty długów i przeprowadzenia robót publicznych 111

Digitized by Google

Str.

Paryska. Konferencya Legouvé'go w obronie Berangera. Przyjęcie w Akademii nowych akademików: Chalemel-Lacour'a i Brunetière'a. Mowa hr. Haussonville'a i przemówienie Brunetière'a o dziennikarstwie. Nowy przegląd „Revue de Paris" i korespondencya Balzac'a z panią Hańską. Maurycego Paleologa „L'amour chez Henri Heine." Listy Oktawiusza Feuillet ogłoszone przez jego wdowę. „Les jouets" Leona Claretie. „Le Chevalier de Vergennes" p. Bonneville de Marsangy. Deroulède'a „Pieśni wieśniaka" („Chants du paysant"). „Lourdes" Emila Zoli. 293

Wiedeńska przez Adina. Życie wewnętrzne Wiednia. Miasto traci charakter niemiecki. Dwie grupy zamożnego mieszczaństwa. „Jungdeutschland." Żydzi. Prasa. Krytyka teatralna. Autorowie-recenzenci. Rudolf Lothar. Dramat Daniela „Hagars Sohn." Dramat staroindyjski „Vasantasena." Teatra wiedeńskie. Dyrekcya Burgtheatru. Jubileusz opery cesarskiej. Zabawy na cele dobroczynne. Księżna Metternichowa. Walka nauczycielek wiedeńskich przeciw nauczycielom. Praca kobiet. Liga pokoju. Stowarzyszenie dla zwalczania propagandy antysemityzmu. Hasło baronowej Suttner. Korporacya szlachecka. Przywileje i wpływy szlachty austryackiej. 540

Kronika miesięczna.

Kwiecień. Narady specyalnej komisyi parlamentu włoskiego nad wnioskami rachunkowemi rządu. Głosy prasy włoskiej o zbliżeniu z Francyą. Przemówienie króla Humberta. Projekt reformy finansowej w parlamencie niemieckim. Gabinet Roseberego. Kwestya kobieca w sferach rzemieślniczych i desiderata delegacyi niewieściej wyrażone w sali Muzeum przemysłu. Odczyty p. Antoniego Pileckiego i Piotra Chmielowskiego. Prelekcye Stanisława Kramsztyka, dra Ołtuszewskiego i p. Edmunda Jankowskiego. Nabycie Bagateli przez Towarzystwo Ogrodnicze. Zajęcie dzieci na koloniach letnich. Zmarli: August hr. Cieszkowski, Józef Łepkowski i Władysław Olendzki 187

Maj. Reforma wewnętrzna we Włoszech. Trudna sytuacya rządu angielskiego. Aspiracye do letniego wypoczynku. „Hygiena pracy umysłowej dra Dornblütha." Zniżenie taryf kolejowych. Projekt taryf strefowych. Przekształcenie ministeryum dóbr państwa i rolnictwa. Zwrot do nauki praktycznej w wychowaniu szkolnem. Uznanie potrzeby otwarcia szkół fachowych. Nadużywanie władzy rodzicielskiej. Zmarli: Stanisław Kronenberg, Henryk Pilatti i Adolf Bogucki 399

Digitized by Google

Str.

Czerwiec. Dymisye gabinetów we Francyi, Włoszech i Węgrzech. Przewrót w Serbii. Układ Anglii z Kongiem. Zdanie publiczności o prelekcyach. Odczyt M. Gawalewicza p. t. „Królowa Niebios", Legendy o Matce Boskiej. Odczyty w Muzeum przemysłu i rolnictwa. P. Aleksander Palmirski o „życiu jako przedmiocie nauki." Odczyt p. Władysława Umińskiego. Projekt p. Chełchowskiego walki ze szkodnikami ze świata zoologicznego w rolnictwie. Narady gmin podmiejskich nad zapobieżeniem szkodnictwu „gości warszawskich." Towarzystwo pszczelnicze. Ś. p. Stanisław Wolski . . . 597

www.libtool.com.cn

Wiadomości bibliograficzne.

Kwiecień 202
Maj 410
Czerwiec 610

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Digitized by Google

www.libtool.com.cn

Digitized by Google